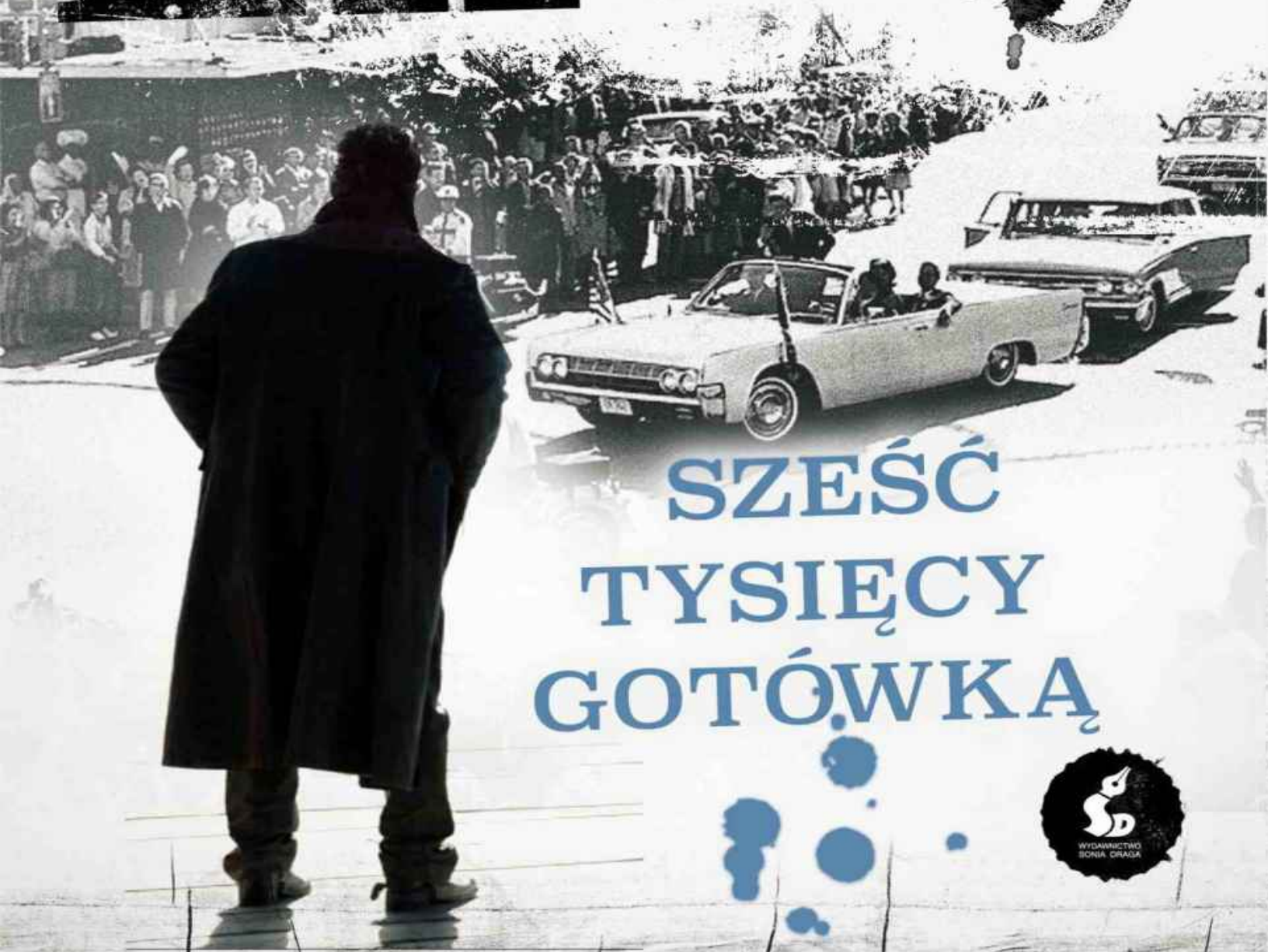


„Ellroy wbija się w amerykańską kulturę z zaciekleścią piły mechanicznej w rzeźni... Przeczytaj jeśli się odważysz, odłóż jeśli jeszcze możesz”. – *Time*

James Ellroy



SZEŚĆ
TYSIĘCY
GOTÓWKĄ



James Ellroy

SZEŚĆ
TYSIĘCY
GOTÓWKĄ

Z języka angielskiego przełożyła
Violetta Dobosz



Tytuł oryginału:
The Cold Six Thousand

Copyright © 2001, James Ellroy
All rights reserved

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Violetta Dobosz under exclusive license to
Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Mariusz Kulan
Korekta: Izabela Sieranc

ISBN: 978-83-8110-760-0

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:


konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Część I. Ekstradycja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

Część II. Wyłudzenie

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

Część III. Dywersja

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

Część IV. Przymuszenie

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

Część V. Ingerencja

93

94

95

96

97

98

99

100

101

102

103

104

105

Część VI. Odsunięcie

106

107

108

109

110

111

112

113

114

115

116

117

118

119

120

121

122

Przypisy

Billowi Stonerowi

CZEŚĆ I
EKSTRADYCJA

22–25 LISTOPADA 1963

1

Wayne Tedrow Jr. (Dallas, 22 listopada 1963)

Wysłali go do Dallas, żeby zabił czarnego alfonsa o nazwisku Wendell Durfee. Nie był pewien, czy da radę. Wysłala go Rada Zarządców Kasyn. Opłacili mu bilet lotniczy w pierwszej klasie. Nadszarpnęli swój fundusz łapówkowy. Posmarowali mu. Podsypali sześć kawałków gotówką.

Nikt *nie* powiedział:

Zabij tego smolucha. Załatw to, jak należy. Weź honorarium.

Lot przebiegał gładko. Stewardesa serwowała drinki. Dostrzegła pistolet. Stała się upierdliwa. Zaczęła zadawać głupie pytania.

Powiedział, że pracuje w Wydziale Policji Las Vegas. Dowodzi sekcją wywiadowczą. Kompletuje akta i zdobywa informacje.

Spodobało się jej. O mało co nie zemdląca.

– Kotku, a co będziesz robił w Dallas?

Powiedział jej.

Pewien Murzyn dźgnął nożem rozdającego przy grze w oczko. Rozdający stracił oko. Murzyn prysnął do Wielkiego D. Spodobało się jej. Przyniosła mu whisky z wodą sodową. Pewne szczegóły pominął.

To rozdający sprowokował napaść. Rada wydała wyrok – śmierć za napad drugiego stopnia, z bronią.

Odprawa przed podróżą. Porucznik Buddy Fritsch:

„Nie muszę ci mówić, czego oczekujemy, synu. I nie muszę dodawać, że twój ojciec też tego chce”.

Stewardesa zaczęła odgrywać gejszę. Nastroszyła swoje wysoko upięte włosy.

– Jak się nazywasz?

– Wayne Tedrow.

Zapiała z zachwyty.

– No to *musisz* być Junior!

Spojrzał na nią obojętnie. Zaczął pitolić byle co. Ziewnął.

Nie przestawała się do niego łąsić. Wprost uwielbiaaała jego tatusia. Latał z nią mnóstwo razy. Wiedziała, że jest szyczą wśród mormonów. Tak baaaardzo chciałyby się dowiedzieć więcej.

Wayne opowiedział o Wayne Seniorze.

Był przewodniczącym związku zawodowego pomocy kuchennych. Zaniżał swoje dochody. Miał szmal. Miał wpływy. Kolportował prawicowe ulotki. Zadawał się z grubymi rybami. Znał J. Edgara Hoovera.

Pilot włączył interkom. Lądowanie w Dallas – o czasie.

Stewardesa nastroszyła fryzurę.

– Założę się, że masz rezerwację w Adolphusie.

Wayne zapiął pas.

– Czemu tak sądzisz?

– Cóż, twój tatuś mówił mi, że zawsze się tam zatrzymuje.

– Ja też mam się tam zatrzymać. Nikt mnie nie pytał o zdanie, ale tam właśnie zakleпали mi pokój.

Stewardesa przykucnęła. Podciągnęła jej się spódnica. Wyszła podwiązka.

– Twój tatuś mówił, że mają tam, w hotelu, milutką restauracyjkę, i... no, cóż...

Samolot wpadł w turbulencję. Wayne kiepsko to zniósł. Spocił się. Zamknął oczy. Ujrzał Wendella Durfee'ego.

Stewardesa dotknęła go. Wayne otworzył oczy.

Zobaczył jej pryszczę. Zobaczył popsute zęby. Poczł zapach jej szamponu.

– Chyba się troszkę wystraszyłeś, Wayne Juniorze.

„Junior” przepełnił miarę.

– Daj mi święty spokój. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz, i nie zamierzam zdradzać żony.

13.50.

Wylądowali. Wayne wysiadł pierwszy. I tupnął parę razy, by przywrócić krążenie w nogach.

Ruszył do terminalu. Jakieś uczennice blokowały przejście. Jedna płakała. Jedna certoliła się z paciorkami różańca.

Ominął je. Kierując się znakami, ruszył po bagaż. Dokoła snuli się ludzie. Wyglądali jak rozmemłani frajerzy.

Czerwone oczy. *Buuu*. Baby z chusteczkami przy nosach.

Wayne zatrzymał się przy odbiorze bagażu. Obok przemknęły jakieś dzieciaki. Strzeliły z kapiszonowców. Ryknęły śmiechem.

Podszedł jakiś facet – południowy wsiok – wysoki i tłusty. Na głowie miał stetsona. Na nogach wielkie kowbojki. Przy pasie czterdziestkę piątkę inkrustowaną masą perłową.

– Jeśli pan to sierżant Tedrow, to ja jestem Maynard D. Moore z Wydziału Policji Dallas.

Podali sobie ręce. Moore żuł tytoń. Moore cuchnął tanią wodą kolońską. Jakaś kobieta minęła ich – *buuu-uuu-uuu* – jeden wielki czerwony nos.

Wayne spytał:

– Co się dzieje?

Moore się uśmiechnął.

– Jakiś ćwok stuknął prezydenta.

Większość sklepów była zamknięta. Flagi państwowe powiewały w połowie masztów. Jacyś kolesie na samą górę powciągali flagi konfederackie.

Moore wiozł Wayne'a. Moore miał plan: wpadnijmy do hotelu/ zameldujmy cię/ znajźmy tego czarnucha.

John F. Kennedy – nie żyje.

Obiekt miłości jego żony. Przedmiot obsesji macochy. JFK sprawiał, że Janice miała mokre majtki. Janice powiedziała o tym Wayne'owi Seniorowi. I Janice zapłaciła za to. Przez to Janice utykała. I pokazywała siniaki na udach.

Nie żyje znaczyło, że nie żyje. Ale Wayne nie chwycił. Docierało to do niego jak przez mgłę. Moore żuł tytoń. Potem splunął przez okno. Słychać było wystrzały. Radość na zadupiu.

Moore powiedział:

– Niektórzy wcale się nie smucą.

Wayne wzruszył ramionami. Minęli billboard – JFK i ONZ.

– Nie jesteś rozmowny. Muszę powiedzieć, że jak na razie to nie jest z ciebie najweselszy partner od ekstradycji, jakiego miałem.

Wystrzelił jakiś pistolet. Blisko. Wayne sięgnął do kabury.

– Hej! Aleś się spietrał, chłopcze!

Wayne zaczął grzebać przy krawacie.

– Chcę to już mieć z głowy.

Moore przejechał na czerwonym świetle.

– Wszystko w swoim czasie. Jestem pewien, że już niedługo pan Durfee przywita się z naszym upadłym bohaterem.

Wayne zamknął okno. Pochwyił zapach kolońskiej Moore'a.

Moore powiedział:

– Byłem ostatnio w Vegas. Prawdę mówiąc, wiszę na dziś całkiem sporo markerowi w Dunes.

Wayne wzruszył ramionami. Minęli przystanek autobusowy. Jakaś kolorowa dziewczyna szlochała.

– Słyszałem o twoim tatusiu. Słyszałem, że niezła z niego szyszka w Nevadzie.

Jakaś ciężarówka przejechała na czerwonym świetle. Kierowca pomachał piwem i rewolwerem.

– Mnóstwo ludzi gada o moim ojcu. Wszyscy powtarzają, że go znają, to już brzmi jak zdarta płyta.

Moore się uśmiechnął.

– Hejże, chyba wyczuwam tu lekkie spięcie.

Pozostałości po przejeździe kawalkady. Transparent w oknie: „Dallas kocha Jacka i Jackie”.

– O tobie też słyszałem. Że masz skłonności, które nie za bardzo podobają się twojemu tatusiowi.

– Na przykład?

– Powiedzmy, że lubisz czarnuchów. Powiedzmy, że niańczysz Sonny'ego Listona, jak przyjeżdża do Vegas, bo Wydział Policji boi się, że koleś wpakuje się w jakieś szambo z gorzałą i białymi babkami, a ty go *lubisz*, za to *nie* lubisz tych miłych makaroniarzy, którzy dbają o czystość w twoim małym mieście...

Wóz wpadł w dziurę. Wayne rąbnął o deskę rozdzielczą.

Moore gapił się na Wayne'a. Wayne gapił się na Moore'a. Mocowali się na spojrzenia. Moore przejechał na czerwonym. Wayne mrugnął pierwszy.

Moore puścił oko.

– Nieźle się w ten weekend zabawimy.

Hotelowy hol był elegancki. Grube dywany. Faceci zahaczali o nie obcasami kowbojek.

Ludzie pokazywali na ulicę – patrz, patrz, patrz – ta kawalkada

przejeżdżała obok hotelu. JFK tu machał. JFK dostał tu w pobliżu.

Ludzie gadali. Nieznajomi wspierali nieznajomych. Faceci w teksańskich garniturach. Kobiety wystrojone à la Jackie.

Recepcję oblepili goście, którzy chcieli się zameldować. Moore coś ściemnił. I zaprowadził Wayne'a do baru.

Tylko miejsca stojące – w barze tłummy.

Na stoliku grał telewizor. Barman podkręcił dźwięk. Moore przepchnął się do budki telefonicznej. Wayne ruszył w stronę odbiornika.

Ludzie jazgotali. Faceci w kapeluszach. Wszyscy w kowbojkach na wysokich obcasach. Wayne stanął na palcach. I wyciągał szyję ponad rondami kapeluszy.

Obraz podskoczył i znieruchomiał. Zakłócenia głosu i harmider na ekranie. Gliny. Jakiś chudy cieć. Słowa: „Oswald”/ „broń”/ „zwolennik komu...”.

Jakiś koleś wymachiwał karabinem. Pchali się dziennikarze. Ujęcie panoramiczne. I znów ten chudy cieć. Zestrachany i posiniaczony.

Hałas w barze był okropny. Dym gęsty. Wayne zachwiał się na palcach.

Jakiś gość wzniósł toast:

– Za Oswalda. Powinni mu dać...

Wayne stanął na całych stopach. Popchnęła go jakaś kobieta – miała mokre policzki i rozmazany tusz do rzęs.

Wayne podszedł do budki telefonicznej. Moore rozmawiał przy uchylonych drzwiach.

Powiedział:

– Słuchaj, facet...

Powiedział:

– Niańczy jakiegoś smarkacza przy okazji jednej bzdurnej ekstradycji.

„Bzdurnej” przesądziło.

Wayne dźgnął Moore'a. Moore się obrócił. Nogawki jego spodni podjechały do góry.

Kurwa – noże w cholewkach. Kastet w skarpecie.

Wayne powiedział:

– Wendell Durfee, pamiętasz?

Moore się wyprostował. Moore'a sparaliżowało. Wayne podążył za jego spojrzeniem.

Zobaczył telewizor. Zobaczył ujęcie. Zobaczył obrazek: „Zastrzelony policjant J.D. Tippit”.

Moore się gapił. Moore drżał. Moore dygotał.

Wayne powiedział:

– Wendell Durf...

Moore popchnął go. I wybiegł na zewnątrz.

Rada zarezerwowała mu *duuuzy* apartament. Boy hotelowy snuł opowieści. JFK uwielbiał ten apartament. Posuwał tutaj babki. Ava Gardner obciągnęła mu na tarasie.

Dwa salony. Dwie sypialnie. Trzy telewizory. Fundusz łapówkowy. Sześć kawałków gotówką. Załatw tego czarnucha, chłopcze.

Wayne przechadzał się po apartamencie. Żywa historia. JFK uwielbiał Dallas i tutejsze cipki.

Włączył telewizory. Nastawił na trzy różne kanały. Oglądał przedstawienie w trzech inscenizacjach. Chodził między odbiornikami. Poznawał historię.

Chudym cieciem był Lee Harvey Oswald. Cieć zastrzelił JFK i Tippita. Tippit pracował w Wydziale Policji Dallas. Tutejsze gliny były bardzo ze sobą zżyte. Moore pewnie go znał.

Oswald był za czerwonymi. Oswald kochał Fidela. Oswald pracował w magazynie podręczników. Sprzątnął prezydenta w przerwie na lunch.

Policja z Dallas go miała. W tutejszej kwaterze wrzało. Gliny. Pismaki. Fotografowie i cała reszta.

Wayne rzucił się na kanapę. Zamknął oczy. Ujrzał Wendella Durfee'ego. Otworzył oczy. Ujrzał Lee Oswalda.

Wyłączył dźwięk. Wyciągnął z portfela zdjęcia.

Oto jego matka – jeszcze w Peru w Indianie.

Rzuciła Wayne'a Seniora. Pod koniec 1947. Wayne Senior ją bił. Nieraz pogruchotał jej kości.

Spytała raz Wayne'a, kogo kocha najbardziej. Odpowiedział: „Tatusia”. Uderzyła go w twarz. Płakała. Przepraszała.

Ten cios przesądził. Został z Wayne'em Seniozem.

Odwiedził matkę – w maju 1954 – wpadł do niej po drodze do wojska. Powiedziała: „Nie bierz udziału w głupich wojnach”. I jeszcze: „Nie ziej nienawiścią jak Wayne Senior”.

Zerwał z nią. Zdecydowanie/ permanentnie/ na zawsze.

A oto i jego macocha.

Wayne Senior puścił kantem mamę Wayne'a. I ruszył w konkury do

Janice. I zabrał ze sobą Wayne'a. Wayne miał wtedy trzynaście lat. Wayne był napalony. Wayne ślinił się na widok Janice.

Janice Lukens Tedrow sprawiała, że na salonach wrzało. Grała znudzoną żoną. Grała dobrze w golfa. Grała w tenisa.

Wayne Senior bał się jej ognia. Patrzyła, jak Wayne dorasta. Jego żar rozpałał żar w niej samej. Zostawiała otwarte drzwi. Lubiła, kiedy patrzył. Wayne Senior to wiedział. I wcale o to nie dbał.

No i teraz *jego* żona.

Lynette Sproul Tedrow. Siedząca na jego kolanie. Zakończenie studiów w Brigham Young.

On jest oszołomiony. Właśnie zdobył dyplom z chemii – Uniwersytet Brigham Younga, rocznik 1959 – z wyróżnieniem. Rwał się do działania. Wstąpił do Wydziału Policji Las Vegas. Pieprzyć wyróżnienie.

Poznał Lynette w Little Rock. Jesienią 1957. W liceum Central High zniesiono segregację. Wsioki z Południa. Kolorowe szczeniaki. Osiemdziesiąta Druga Dywizja Powietrznodesantowa.

Włóczą się jacyś biali chłoptasie. Biali chłoptasie wyrywają kanapkę kolorowemu. Lynette daje mu swoją. Chłoptasie atakują. Kapral Wayne Tedrow Jr. odpięra atak.

Pokonuje ich. Dźga jednego dupka. Dupek drze się: „Mamusiu!”.

Lynette leci na Wayne'a. Ma siedemnaście lat. On dwadzieścia trzy. Skończył jakiś college.

Pieprzyli się na polu golfowym. Zmoczyły ich zraszacze. Opowiedział o wszystkim Janice.

Ona powiedziała:

– Szybko wam poszło z Lynette. I pewnie walka podobała wam się tak samo jak seks.

Janice go znała. Janice była jego prywatną wyrocznią.

Wayne wyjrzał przez okno. W dole snuły się ekipy telewizyjne. Ich furgonetki parkowały w dwóch rzędach wzdłuż krawężnika. Przeszedł przez apartament. Wyłączył telewizory. Trzej Oswaldowie znikli.

Wyciągnął swoje akta. Same kopie: WPLV/ Biuro Szeryfa Dallas.

Durfee, Wendell. Mężczyzna/ czarny/ ur. 6.06.1927/ okręg Clark, Nevada. 190 cm/80 kg. „Często gra w kości”. Niezatrzymywany poza Vegas i Dallas.

„Jeździ cadillacami”.

„Nosi krzykliwe stroje”.

„Spłodził trzynastoro nieślubnych dzieci”.

„Stręczy Murzynki, białe, homoseksualistów i meksykańskich transwestytów”.

Dwadzieścia dwa aresztowania za stręczycielstwo. Czternaście wyroków. Dziewięć odsiadek za niepłacone alimenty. Pięć przypadków niestawienia się na rozprawę po zwolnieniu za kaucją.

Uwagi gliniarzy: Wendell jest bystry/ Wendell jest tępy/ Wendell pociachał gościa w Binion’s.

Gość był opłacony. Gość przypieprzył się do Wendella pierwszy. Taka była polityka Rady. Wydział Policji Las Vegas ją egzekwował.

„Znane kontakty w okręgu Dallas”:

Marvin Duquesne Settle/ czarny mężczyzna/ areszt stanu Teksas.

Fenton „Duke” Price/ czarny mężczyzna/ areszt stanu Teksas.

Alfonzo John Jefferson/ czarny mężczyzna/ Wilmington Road 4219, Dallas 8, Teksas. „Partner do hazardu Wendella Durfee’ego”. Na zwolnieniu warunkowym z więzienia okręgowego (nr 92.04 w rejestrze stanu Teksas): 14.09.1960–14.09.1965. Zatrudniony: rozlewnia napoju Dr Pepper. Uwaga: „Zobowiązany do spłacania grzywny przez okres zwolnienia warunkowego w każdy trzeci piątek (wypłata w Dr. Pepper) na ręce kuratora okręgowego”.

Donnell George Lundy/ czarny mężczyzna/ areszt stanu Teksas.

Manuel „Bobo” Herrera/ mężczyzna pochodzenia meksykańskiego/ areszt stanu Tek...

Zadzwoił telefon. Wayne chwycił słuchawkę.

– Tak?

– To ja, synu. Twój nowy serdeczny kumpel.

Wayne sięgnął do kabury.

– Gdzie jesteś?

– Teraz akurat w żadnym szczególnym miejscu. Ale spotkajmy się o ósmej.

– Gdzie?

– W klubie Carousel. Przyjedź tam i znajdziemy tego palanta.

Wayne się rozłączył. I poczuł, że go skręca.

Wendell, nie chcę cię zabić...

2

Ward J. Littell **(Dallas, 22 listopada 1963)**

Jest limuzyna. Czeka na pasie startowym. Najnowszy model czarnego wozu FBI. Samolot podkołował do auta. Minął stojącego Air Force One. Żołnierze piechoty morskiej pełnili wartę w szeregach po obu stronach wyjścia.

Pilot wyłączył silnik. Samolot zarzucił ogonem. Ze stukotem opadły schodki.

Littell wysiadł. Uszy mu się odetkały. Skurcze w nogach ustąpiły.

Działali błyskawicznie. Poprzestawiali dla niego plan lotów. Wsadzili go w mało luksusową awionetkę dla dwóch osób.

Zadzwoił do niego pan Hoover – DC do LA.

Powiedział: „Zastrzelono prezydenta. Chcę, żeby pan tam poleciał i monitorował śledztwo”.

Zamach nastąpił o 12.30. Teraz była 16.10. Pan Hoover zadzwonił o 12.40. Pan Hoover otrzymał wiadomość i zadzwonił natychmiast.

Littell podbiegł. Kierowca limuzyny otworzył drzwi. Miękką tylną kanapą. Przyciemniane szyby. Lotnisko Love Field widoczne w odcieniach szarości. Niewyraźne sylwetki ludzi. Bagażowi. Dziennikarze i czarterowe samoloty.

Kierowca ruszył. Littell spostrzegł pudełko na kanapie. Otworzył. Opróżnił.

Odznaka agenta specjalnego – sztuk jedna. Legitymacja FBI ze zdjęciem – sztuk jedna. Standardowa trzydziestka ósemka w kaburze – sztuk jedna.

Jego stare zdjęcie. Jego stara broń.

Zdał ją w sześćdziesiątym. Pan Hoover go wtedy wyeliminował. Miał teraz swoje narzędzia – nowe i stare – i gładko wrócił na dawne stanowisko.

Pan Hoover przechował rzeczony narzędzia. *W Dallas.* Pan Hoover przewidział zamach.

Znał lokalizację. Przeczuwał ramy czasowe. Był biernie współwinny. Wyczuwał zaangażowanie Littella. Wyczuwał potrzebę Littella, by sprawę

wyciszyć.

Littell wyrzął przez okno. Ciemne szyby zniekształcały widok jak krzywe lustra odbicia. Chmury implodowały. Budynki się chwiały. Ludzie pulsowali.

Przywiózł ze sobą radio. Słuchał podczas lotu. Znał podstawowe fakty:

Zatrzymany jeden podejrzany – jakiś pajac – urobiony lewicowiec. Guy Banister go podstawił. Pajac zabił gliniarza. Jednego z dwóch podstawionych, by zabić jego. Etap numer dwa się nie powiódł. Drugi gliniarz spieprzył zadanie.

Littell przypiął kaburę. Littell przyglądał się swej legitymacji.

Gliniarz/prawnik wtedy. Prawnik mafii teraz. Od Hoovera-wroga do Hoovera-sojusznika. Jednoosobowa firma prawnicza z trzema klientami:

Howard Hughes/ Jimmy Hoffa/ Carlos Marcello.

Zadzwoił do Carlosa. O dziesiątej rano czasu LA. Carlos był szczęśliwy. Bo wygrał sprawę o unieważnienie nakazu deportacji wydanego przez Bobby'ego K.

Bobby procesował się z Carlosem w Nowym Orleanie. Carlos miał Nowy Orlean w *kieszeni*. Carlos był tam nietykalny dla ławy przysięgłych.

Klan Kennedych i ta ich nieposkromiona pycha...

Ława przysięgłych uniewinnia Carlosa. Bobby się wścieka. Jack ginie godzinę później.

Wymarłe ulice. Migające okna budynków. Tysiące włączonych telewizorów.

To był *jego* show.

To on sporządził plan. Pete Bondurant mu pomógł. Carlos wszystko zatwierdził i podstawił ekipę Guya Banistera. Guy udoskonalił *jego* plan. Guy go zmienił. Guy wszystko spieprzył.

Pete też był w Dallas. Pete się ożenił. Pete był w hotelu Adolphus. Guy B. też tu był. Guy B. był gdzieś w pobliżu.

Littell liczył okna. Wszystkie zniekształcone przez ciemne szyby. Smugi i zygzaki. Jego myśli się rozbiegały. A potem się zbiegły:

Pogadać z Pete'em. Zabić Oswalda. Postarać się, by śledztwo wskazało na sprawstwo samotnego strzelca.

Limuzyna wjechała do centrum Dallas. Littell przypiął odznakę.

Oto i Dealey Plaza. Niedaleko jest budynek Wydziału Policji. Rozejrzeć się za: magazynem podręczników/ szyldem Hertza/ greckimi kolumnami.

Są...

Kolumny. Szyld. Żałobnicy na skrzyżowaniu Houston i Elm. Sprzedawca hot dogów. Szlochające zakonnice.

Littell zamknął oczy. Kierowca skręcił w prawo. Stał na początku podjazdu. Zahamował ostro. Tylne szyby się zsunęły.

Ktoś zakaszłał. Ktoś spytał:

– Pan Littell?

Littell otworzył oczy. Ujrzał podziemny garaż. Ujrzał smarkatego fedzia. Smarkaty fedzio był cały spięty.

– Sir, jestem agent specjalny Burdick... Hm, szef mówił, że powinien pan pójść prosto na górę i zobaczyć świadków.

Littell chwycił swoją aktówkę. Spluwa wbijała mu się w biodro. Wysiadł. Rozprostował się. Przetarł okulary.

Burdick trzymał się blisko. Burdick go drażnił. Wsiedli do windy towarowej. Burdick wcisnął 3.

– Sir, muszę powiedzieć, że to jakiś obłąd. Mamy ludzi, którzy twierdzą, że było dwóch strzelców, że trzech, że czterech, nie potrafią nawet ustalić, skąd padły...

– Odizolowaliście ich?

– No... nie.

– Kto ich przesłuchuje?

Chłoptaś się zająknął. Przełknął głośno ślinę.

– Jakie *agencje*, chłopcze?

– No cóż, my, Wydział Policji Dallas, Biuro Szeryfa i...

Drzwi się otworzyły. Buchnął zgiełk. Pokój operacyjny pękał w szwach.

Littell się rozejrzał. Burdick stał się nerwowy. Littell miał go gdzieś.

Świadkowie też byli nerwowi. Świadkowie mieli plakietki z nazwiskami. Świadkowie przycupnęli na jednej ławie.

Trzydzieści parę osób. Rozgadanych. Przejętych. Zanieczyszczających fakty.

Oddzielone ściankami boksy. Gliniarze i cywile – zadekowani w dziuplach przesłuchań. Nerwowi gliniarze i zszokowani cywile.

Czterdzieści biurek. Czterdzieści telefonów. Czterdziestu gadających głośno stróżów prawa. Gdzieniegdzie odznaki na garniturach. Poprzewracane kosze na śmieci. Międzyagencyjny chaos i...

– Sir, czy możemy...

Littell podszedł. Littell spojrział na ławę. Świadkowie się wiercili.

Świadkowie palili. Pełne popielniczki podskakiwały.

Widziałem to/ widziałem tamto/ głowa roztrzaskała mu się na kawałki! Maraton gadania – kompletna fuszerka – zwyczajna partanina z udziałem masy świadków.

Littell szukał typów szczególnych. Porządnych/wiarygodnych świadków.

Cofnął się. Objął wzrokiem ławę. Dojrzał kobietę: ciemnowłosa/atrakcyjną/trzydziestopięcioletnią na pewno.

Siedziała nieruchomo. Była opanowana. Obserwowała wyjście. Spostrzegła Littella. Odwróciła wzrok. Nawet nie mrugnęła.

Burdick podszedł z telefonem. Bezgłośnie powiedział: „On”. Littell chwycił telefon. Kabel się naprężył.

Pan Hoover rzekł:

– Proszę mówić krótko.

Littell zasłonił wolne ucho. Hałas w pomieszczeniu przycichł.

– Śledztwo we wstępnej fazie prowadzone jest bardzo nieudolnie. To jedno, czego na razie mogę być pewien.

– Nie jestem zaskoczony i nie jestem zawiedziony, i jestem całkowicie przekonany, że Oswald działał na własną rękę. Pańskim zadaniem jest usunięcie nazwisk potencjalnie kłopotliwych świadków, którzy mogliby tej tezie zaprzeczyć.

Littell odparł:

– Tak jest, sir.

Burdick podniósł podkładkę do pisania. Miał do niej przypięte jakieś świstki. Karty z danymi świadków/ wstępne zeznania/ prawa jazdy.

Głos w słuchawce zamilkł. Burdick zabrał telefon. Littell wziął od niego podkładkę. Świstki odstawały. Trzymający je klips latał luźno.

Przejrzał pobieżnie świstki.

Dwulinijkowe oświadczenia. Zatrzymane prawka. Zabezpieczenie przed ucieczkami. Wykluczające się nawzajem informacje: 3/4/5/6 strzałów z 1/2/3 kierunków.

Parkan. Magazyn podręczników. Trzypasmowy przejazd pod wiaduktem. Strzały z przodu. Strzały chybione. Strzały z tyłu.

Littell sprawdzał fotki na prawach jazdy.

Świadek nr 6: strzały ze skrzyżowania Houston i Elm. Świadek nr 9: strzały z miejsca w bok od autostrady. Opanowana kobieta: dwa strzały z dwóch kierunków. Jej dane: Arden Smith/West Mockingbird Lane.

Dym papierosowy był gęsty. Littell zrobił krok w tył. Od dymu zaczął kichać. Wpadł na biurko. Rzucił kwity. Podszedł do dziupli przesłuchań.

Burdick włókł się za nim. Hałas w pomieszczeniu się wzmógł. Littell sprawdził dziuple.

Partacka robota – żadnych magnetofonów/żadnych stenotypistek.

Sprawdził dziuplę nr 1. Chudy gliniarz maglował chudego smarkacza. Smarkacz się śmiał. Ale jaja. Mój tato głosował na Nixona.

Littell sprawdził dziuplę nr 2. Gruby gliniarz maglował grubego faceta.

Gliniarz mówił:

– Panie Bowers, nie zaprzeczam temu, co mi pan powiedział.

Pan Bowers miał na głowie czapkę kolejarską. Pan Bowers nie mógł spokojnie usiedzieć.

– No to dziesiąty raz powtarzam, żebym mógł wreszcie iść do domu. Byłem w wieży za tamtym parkanem na wzgórku. Zobaczyłem dwa podjeżdżające samochody około... cholera... jakieś pół godziny przed strzelaniną... i dwóch mężczyzn stających przy końcu ogrodzenia, a potem, jak tylko usłyszałem strzały, ujrzałem błysk, dokładnie w tym miejscu, gdzie stali.

Gliniarz rysował jakieś bohomazy. Pan Bowers strzepnął popiół z papierosa. Littell mu się przyglądał. Littella ogarnął niepokój.

Nie znał planów dotyczących strzelca. Ale *znał* się na wiarygodnych świadkach. Bowers był nieustępliwie pewny swego. Z Bowersa był *dobry świadek*.

Burdick poklepał Littella po ramieniu. Littell się obrócił. Littell prawie go przewrócił.

– *Czego?*

Burdick zrobił krok w tył.

– Hm, właśnie tak sobie pomyślałem, że Wydział Policji zgarnął takich trzech gości, włóczęgów chyba, z wagonu kolejowego za tamtym parkanem, jakieś pół godziny po strzelaninie. Mamy ich w areszcie.

Niepokój Littella wzrósł.

Littell powiedział:

– Prowadź.

Burdick ruszył natychmiast. Minęli dziuple. Minęli pokój socjalny. Korytarze się krzyżowały. Skręcili w lewo. Dotarli do pomieszczenia zamkniętego od frontu drucianą siatką.

Przez interkom rozbrzmiało:

– Agent Burdick proszony do dyżurki.

Burdick rzekł:

– Powinienem tam pójść.

Littell potaknął. Burdick nie mógł ustać w miejscu. I już go nie było. Littell chwycił siatkę. Światło było kiepskie. Littell mocno zmrużył oczy.

Zobaczył dwóch meneli. Zobaczył Chucka Rogersa.

Chuck był człowiekiem Pete'a. Mokra robota/ CIA. Chuck trzymał się z Guyem B.

Rogers zobaczył Littella. Menele go zignorowali. Rogers się uśmiechnął. Littell dotknął swojej odznaki. Rogers na migi pokazał strzał z karabinu.

Poruszył ustami. Wyszło: „Bum!”.

Littell się wycofał.

Zawrócił. Skręcił w prawo. Znalazł się na skrzyżowaniu korytarzy. Skręcił. Zobaczył boczne drzwi. Otworzył je. Ujrzał schody i drabiny przeciwpożarowe. Po drugiej stronie korytarza: toaleta i drzwi oznaczone napisem: „strażnik”.

Drzwi toalety się otworzyły. Wyszedł pan Bowers. Przeciągnął się. Zapiął rozporek. Poprawił klejnoty.

Ujrzał Littella. Zmrużył oczy. Dostrzegł odznakę.

– FBI, he?

– Zgadza się.

– No to dobrze, że na pana wpadłem, bo jest coś, o czym zapomniałem powiedzieć tamtemu gościowi.

Littell się uśmiechnął.

– Przekażę.

Bowers podrapał się po karku.

– No dobra. Niech mu pan powie, że widziałem paru gliniarzy, jak wlekli kloszardów z suki i jeden wyglądał dokładnie tak jak jeden z tych gości, których widziałem przy parkanie.

Littell wyciągnął notatnik.

Pisał. Rozmazał trochę atramentu. Ręka mu drżała. Notes się trząsał.

Bowers powiedział:

– Żal mi Jackie.

Littell się uśmiechnął. Bowers się uśmiechnął. Bowers uchylił czapki. Zabrzęczał monetami. Odszedł powoli. Odszedł baaardzo powoooooli.

Littell patrzył za nim.

Bowers kroczył. Bowers skręcił w prawo. Bowers znalazł się w korytarzu głównym. Littell rozluźnił ręce. Odetchnął.

Podszedł do drzwi pokoju strażnika. Złapał za klamkę. Nacisnął.

Drzwi puściły. Littell wszedł.

Klodka trzy na trzy – pusta. Biurko/ krzesło/ wieszak na klucze.

Papiery – przypięte do korkowej tablicy: karty włóczęgów – „Doyle”/ „Paolino”/ „Abrahams” – bez zdjęć.

Jasna sprawa: Rogers skombinował lewe papiery. Siedział tu pod lewym nazwiskiem.

Jeden klucz na wieszaku – wielki/gruby/mosiężny.

Littell zebrał papiery. Littell schował je do kieszeni. Littell zabrał klucz. Przełknął ślinę. Wyszedł, jakby nigdy nic. Podszedł do drucianej siatki.

Otworzył drzwi. Rogers przygotował meneli. Zawołał ich. Pokazał: „teraz cisza”. Wygłosił krótką mowę.

Oto pojawił się nasz zbawca – róbcie, co wam każe.

Menele stali blisko siebie. Zaraz się rozeszli. Stanęli przy ścianach.

Littell odszedł.

Wrócił na główny korytarz. Stanął przed pokojem operacyjnym. Zasłonił sobą widok na korytarz. Dał znak Rogersowi. Pokazał ręką. Drzwi przeciwpożarowe – jazda.

Usłyszał kroki. Menele zapiszczeni. I głośno zachichotali. Drzwi pożarowe skrzypnęły. Jeden menel wrzasnął „Alleluja!”. Drzwi trzasnęły.

Littell poczuł wietrzyk. Oblał się zimnym potem. Tętno mu oszalało.

Wszedł do pokoju operacyjnego. Nogi mu dygotały, kolana miał jak z waty. Ocierał się o biurka. Wpadał na ściany. Wpadał na gliniarzy.

Ława dla świadków spowita była dymem. Dymiło dwadzieścia papierosów. Arden Smith znikła.

Littell się rozejrzał. Przebiegł wzrokiem po biurkach. Zobaczył dokumenty świadków.

Wziął je do ręki. Sprawdził oświadczenia i prawa jazdy. Papiery Arden Smith – też znikły.

Zajrzał do dziupli. Zajrzał w korytarze. Wyjrzał przez okno.

Jest Arden Smith. Na ulicy. Idzie szybko. *Odchodzi.*

Przeszła przez Houston. Weszła na jezdnię, nie bacząc na samochody. Skierowała się na Dealey Plaza.

Littell zamrugał.

I zgubił ją. Zasłonili ją żałobnicy oplakujący Jacka.

3

Pete Bondurant (Dallas, 22 listopada 1963)

Apartament dla nowożeńców. Pieprzalnia pierwsza klasa.

Złocona tapeta. Amorki. Różowe dywaniki i fotele. Narzuta na łóżko ze sztucznego futra – różowiotka jak pupa niemowlaka.

Pete przyglądał się śpiącej Barb.

Nogi nagle jej zjechały. Wierzgnęła zamasyście. Skopała pościel.

Barbara Jane Lindscott Jahelka Bondurant.

Przywiózł ją tu zawczasu. Zamknął apartament na cztery spusty. Powyłączał wiadomości. Lecz ona w końcu się obudzi. *Usłyszy wiadomość. Będzie wiedzieć.*

Pieprzyłam się z Jackiem w sześćdziesiątym drugim. Było krótko i nijako. Zapluskwiłeś niektóre pokoje. Nagrałeś głosy. Miałeś to na taśmie. Szantaż nie wypalił. Twoi kumple się przegrupowali. Zamiast szantażować, zabiliście Jacka.

Pete przesunął fotel. Zyskał świeży widok. Barb się przekręciła. Jej włosy zafalowały.

Nie kochała Jacka. Służyła mu tylko własnym ciałem. Zgodziła się na szantaż. Na śmierć by się nie zgodziła.

18.10.

Jack powinien już nie żyć. Tak samo jak pajac Guya. Chuck Rogers miał gdzieś ukryty samolot. Ekipa powinna już być w drodze.

Barb się skrzywiła. Pete'a rozbolała głowa. Łyknął aspirynę i popił szkocką.

Miewał *paskudne* bóle głowy – chroniczne – zaczęły się od szantażu Jacka. Szantaż nie wypalił. Pete świsnął trochę mafijnej heroiny. Pomógł mu jeden gość z CIA.

Kemper Cathcart Boyd.

Byli ze sobą *très* blisko. Mieli kontakty z mafią. Znali Sama G. Pracowali

dla Carlosa M. Pracowali dla Santa Trafficantego. Wszyscy nienawidzili komuchów. Wszyscy kochali Kubę. Wszyscy nienawidzili Brodacza.

Kasa i terytorium – dwie pieczenie na jednym ogniu. Stuknijmy Brodacza. Otwórzmy na nowo nasze kasyna.

Santo i Sam zaczęli grać na dwie strony. Zaczęli podlizywać się Castro. Kupili herę od Brata Raúla.

Carlos pozostał czysty. Nie olał *la Causa*.

Pete i Boyd świsnęli prochy. Sam i Santo ich przycykali. Do Pete'a dotarły słuchy: przez tę ich kradzież szlag trafił interes z Fidelem.

Carlos się do tego nie mieszał. Biznes to biznes. Prawo mafii było ponad wszelkimi wielkimi sprawami.

Wszyscy oni nienawidzili Bobby'ego. Wszyscy nienawidzili Jacka. Jack orznął ich z Zatoką Świń. Jack robił naloty na obozy kubańskich uchodźców. Jack podlizywał się Brodaczowi.

Bobby deportował Carlosa. Bobby gnębił mafię na *très* wielką skalę. Carlos nienawidził Jacka i Bobby'ego – *molto bravissimo*.

Nienawidził ich także Ward Littell. Ward przeszmułował Carlosa z powrotem. Ward został jego totumfackim. Ward zajął się jego procesem o deportację.

Ward powiedział: „Stuknijmy Jacka”. Carlosowi się spodobało. Carlos pogadał z Santem i Samem.

Im też się spodobało.

Santo i Sam mieli własne plany. Powiedzieli: „Stuknijmy Pete'a i Boyda. Chcemy odzyskać herę. Chcemy zemsty”.

Ward pogadał z Samem i Carlosem. Ward wstawił się za Pete'em. Chłopcy odpuścili swój morderczy plan.

Haczyk: darujemy wam życie. Będziecie nam *dłużni*. Sprzątniecie Wielkiego Jacka K.

Guy Banister opracowywał swój plan zamachu. Jego plan przypominał plan Littella. Plany zamachu mnożyły się na potęgę. Jack wkurzał *mucho* gorących głów. Dupek miał przechłapanie.

Guy miał przebicie. Guy znał Carlosa. Guy znał kubańskich uchodźców. Guy znał grube ryby ze szmałem. Guy urobił jednego frajera. Guy uprzedził plan Littella.

Poszedł ze swoim do Carlosa. Carlos go zatwierdził. Carlos udaremnił plan Warda. Ich przygotowania poszły na marne. Zmienili się ludzie. Niektórzy

z chłopaków Pete'a i Warda dołączyli do ekipy Guya.

Zaczęły się mnożyć ustերki – *last minute* – Pete i Boyd musieli je usuwać.

Santo i Sam nie mogli ścierpieć Boyda. Odnowili swój wyrok śmierci. Kemper Boyd – *mort sans doute*¹.

Barb się poruszyła. Pete wstrzymał oddech. Aspiryna zaczynała działać. Ból głowy zelżał.

Santo i Sam *jemu* darowali życie. Carlos go polubił. Kochał *la Causa*. A obaj Chłopcy mieli plany. Plany, w które Pete *mógł* się wpasować.

Pracował dla Howarda Hughesa – od 1952 do 1960 roku. Stręczył mu dziwki. Dostarczał prochy. Robił za goryla.

Ward Littell był teraz prawnikiem Hughesa. A Hughes chciał wykupić Las Vegas. Hughes pragnął całego Vegas Strip. Hughes pragnął *wszystkich* hoteli i kasyn.

Hughes miał plan wykupu. Mówił, że to potrwa wiele lat. Chłopcy też mieli plan:

Sprzedajmy mu Las Vegas. Ale zrobmy Howarda Hughesa na szaro. Nasze ekipy dalej będą tam pracować. Oskubiemy Hughesa do czysta. Vegas wciąż będzie należeć *do nas*.

Ward należał do Carlosa. I dostał zadanie: wynegocjować kontrakt tak, żeby wyszło na *nasze*.

Pete należał do Chłopców. Chłopcy zaproponowali:

Jedź do Vegas. Pracuj z Wardem. Przygotuj grunt dla kontraktu z Hughesem. Znasz się na mokrej robocie. Znasz się na heroinie. Może uchylimy nasz zakaz handlu prochami. Może pozwolimy ci sprzedawać czarnuchom.

Może cię nie zabijemy. *Może* nie zabijemy twojej królowej twista.

Barb nie zabrała swoich ciuchów do hotelu. Niebieskie cekiny i zieleń. Mieli dwa występy dziś wieczór. Jego żona i trio jej eks-męża.

Jakaś smutna knajpa. Smutna Barb. Zadedykujmy jeden numer Jackowi.

Wiadomość o akcji poprzedziła akcję. Chłopcy z mafii gadali. Chłopcy *wiedzieli*. Hesh Ryskind zameldował się w Adolphusie. Hesh miał raka. Hesh przyjechał, by zobaczyć i umrzeć.

Hesh widział kawalkadę. Hesh umarł o 13.00. Kopnął w kalendarz w tym samym czasie co Jack.

Pete dotknął łóżka. Różowa pościel, a na niej rude włosy – krzykliwe zderzenie kolorów.

Rozległ się dzwonek u drzwi – melodia *Eyes of Texas* w tonacji B-dur. Barb się nie obudziła. Pete podszedł. Uchylił drzwi.

Kurwa mać – przyszedł Guy Banister.

Guy się pocił. Guy był po sześćdziesiątce. Guy był po dwóch zawałach.

Pete wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi. Guy pomachał szklanką z whisky i wodą sodową.

– Chodź. Wynająłem pokój w głębi korytarza.

Pete poszedł za nim. Chodnik na podłodze się elektryzował. Guy otworzył drzwi, po czym zamknął je na zasuwkę.

Złapał za flaszkę – whisky marki Old Crow – Pete zaraz mu ją odebrał.

– Powiedz mi, że obaj nie żyją i przyszedłeś po mnie nie dlatego, że coś się spieprzyło.

Guy zamieszał whisky w szklance.

– Król John Pierwszy nie żyje, ale mój chłoptaş zabił gliniarza i został aresztowany.

Podłoga zaczęła się zapadać. Pete zaparł się nogami.

– Gliniarza, który miał zabić *jego*?

Guy wpatrywał się we flaszkę. Pete oddał mu ją.

– Zgadza się. Tippita. Mój chłoptaş wyciągnął spluwę i stuknął go na Oak Cliff.

– A czy *twój chłoptaş* wie, jak się nazywasz?

Guy odkorkował flaszkę.

– Nie, kontaktowałem się z nim przez łącznika.

Pete walnął w ścianę. Posypał się tynk. Guy rozlał gorzałę.

– Ale *twój chłoptaş* wie, jak się nazywa łącznik. Łącznik wie, jak ty się nazywasz, a prędzej czy później *twój chłoptaş* zacznie sypać nazwiskami. Popraw mnie, kurwa, jeśli się mylę.

Guy nalał sobie drinka. Ręka mu drżała. Pete usiadł okrakiem na krześle. Ból głowy powrócił. Zapalił papierosa. *Jego* ręka też drżała.

– Musimy go zabić.

Guy starł to, co rozlał.

– Tippit miał wsparcie, ale chciał iść sam. To była robota dla dwóch, a teraz musimy za to zapłacić.

Pete ścisnął oparcie krzesła. Szczęble zadrżały. Jeden się obluzował.

– Nie mów mi, co trzeba było zrobić. Powiedz lepiej, jak dobierzemy się do twojego chłoptasia.

Guy usiadł na łóżku. Guy wyciągnął się wygodnie.

– Zleciłem tę robotę wsparciu Tippita.

Pete rzekł:

– I?

– Facet ma dostęp do aresztu i jest do tej roboty dostatecznie wredny, a na dodatek wisi trochę kasy markierom z kasyn, co oznacza, że ma dług u mafii.

Pete rzekł:

– Jest jeszcze coś. Na razie za różowo mi to wygląda.

– Cóż...

– Cóż, cholera, *co?*

– Cóż, facet jest uparty i nie chce tego zrobić, a do tego jest udupiony robotą jako wsparcie jakiegoś gliny z Vegas.

Pete strzelił knykciami.

– Przekonamy go.

– Nie wiem. To twardziel.

Pete pstryknął papierosem. Trafił prosto w Guya. Guy podskoczył. Zdusił niedopałek. Przypalił poduszkę.

Pete zakaszłał.

– Ciebie pierwszego Carlos stuknie, jak twój chłoptaş zacznie mówić.

Włączył się gdzieś telewizor – piętro niżej. Dźwięk niósł się po ścianach: „Naród w żałobie”/ „dzielna pierwsza dama”.

Guy powiedział:

– Boję się.

– To twój, kurwa, pierwszy sensowny komentarz.

– Ale go dostaliśmy. Przez nas świat stanął na głowie.

Stary pierdoła aż się *zaczerwienił*. Pot i durne uśmiechy.

– Opowiedz resztę.

– Co powiesz na toast za zastrzelonego...

– Co powiesz o Rogersie i naszym zawodowym strzelcu?

Guy zakaszłał.

– No dobra, do rzeczy. Pan Hoover, jak tylko dotarła do niego wiadomość, przysłał tu Littella, a ja sam widziałem go w Wydziale Policji. Gliniarze podczas łapanki zgarnęli Rogersa, ale Littell go wypuścił i zniszczył dokumentację. Rogers miał lewe papiery, więc zdaje się, że tu jesteśmy czyści.

Usterki/poprawki...

– Ten zawodowiec. Udało mu się zwać?

– Spokojna głowa. Dostał się do McAllen i przekroczył granicę. Zostawił wiadomość u mnie w domu w Nowym Orleanie, a ja zadzwoniłem tam i wiem, że wszystko jest cacy.

– A co z Rog...

– Siedzi w motelu w Fort Worth. Littell mówił, że świadkowie są zakręceni, opowiadają różne historie, a panu Hooverowi jak diabli zależy na udowodnieniu, że to robota mojego chłoptasia. Według Littella powinniśmy się przejmować tylko jednym gościem...

Pete rzekł:

– Mówże. Nie męcz mnie tak.

– Dobra. Littell powiedział, że jeden kolejarz prawie rozpoznał Rogersa, więc moim skromnym zdaniem powinniśmy go załatwić.

Pete pokręcił głową.

– To będzie za bardzo podejrzane. Lepiej niech wraca do roboty, jakby się nic nie stało.

– No to trochę go nastraszę.

– Nie ty. Niech ten od wsparcia to załatwi. Każ mu udawać gliniarza.

Telewizor ryczał: „Naród opłakuje”/ „samotny zabójca”.

Guy założył ręce.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Gadaj już.

– No dobra. Rozmawiałem z naszym zawodowym strzelcem. Uważa, że możliwe, iż Jack Ruby się we wszystkim połapał.

Ruby: poborca haraczy/ alfons/ dawny kapuś Littella/ właściciel lokalu ze strip...

– Trzymałem tę całą ekipę w kryjówce w Oklahomie. No i Rogers zadzwonił do Ruby'ego i załatwił coś dla rozrywki. Zawodowiec powiedział, że Ruby pojawił się z dwiema panienkami i jakimś sługusem i widział karabiny na tyłach... Zaczekaj, jeszcze się tak nie podniecaj – powiedziałem temu od wsparcia, żeby przycisnął Ruby'ego i sprawdził, co wie.

Pokój gdzieś odpłynął. Wymiary się zmniejszyły. Pete wziął się w garść.

Guy powiedział:

– Może trzeba będzie ich stuknąć.

Pete powiedział:

– Nie.

Guy *znów* się zaczerwienił. Jakby miał dostać trzeciego zawału.

– *Nie?* Ty, wielki gość, mówisz *nie*? Wielki gość mówi *nie*, jakby nie wiedział, że Chłopcy gadają, a gadają, że stracił ochotę na Życie...

Pete wstał. Pete strzelił kciukami. Pete wyciągnął ręce. Pete chwycił szczeble krzesła, szarpnął. Pete rozwalił krzesło w drzazgi.

Guy zlał się w spodnie. Guy, kurwa, nie wytrzymał. Plama się powiększała. Z krocza mu ciekło. Pomoczył pościel.

Pete wyszedł. Korytarz jakoś tak się rozpląwał. Ściany pomagały utrzymać równowagę. Wracał do apartamentu. Zatrzymał się trzy metry przed drzwiami. Usłyszał telewizor.

Usłyszał, jak Barb szlocha. Usłyszał, jak ciska krzesłami o ściany.

4

(Dallas, 22 listopada 1963)

Psie odchody na wybiegu. Striptizerka próbująca ominąć gówna. Witamy w klubie Carousel.

Gliniarze klaskali. Gliniarze pohukiwali. Gliniarze rządzą tą spelunką. Klub został zamknięty dla zwykłych śmiertelników. Właściciel kochał Jackie. Właściciel kochał JFK.

Popłaczmy więc. Przetrwajmy jakoś tę gehennę. Okażmy trochę szacunku.

Wystarczyła odznaka. Właściciel kochał gliniarzy. Sługa uniżony – Jack Ruby.

Wayne wszedł. I rzucił nazwisko Maynarda Moore'a. Ruby go posadził. Gliniarze z Dallas byli wysocy. To przez te buty na obcasach. Wayne miał ponad metr osiemdziesiąt. A przy tutejszych czuł się jak karzeł.

Estrada przylegała do wybiegu. Grał saksofon i jakiś bęben. Dwie striptizerki się rozbiegały. Blondynka przypominała Lynette. Brunetka przypominała Janice.

Moore się spóźniał. W klubie było głośno. Combo grało *Night Train*. Wayne sączył 7 Up-a. Muzyka go wkurwiała. Łomot bębna wywoływał obrazy.

Bum – załatwia Wendella Durfee'ego. Bum – podrzuca mu spluwę.

Obok niego zakołysała się striptizerka. Miała cieliste majteczki. Prześwitywało przez nie odrastające owłosienie. Jakiś gliniarz strzelił jej gumką. Zachwiała się i poleciała w jego stronę.

Ruby krzątał się po lokalu. Oczyszczał popielniczki. Rzucił kości. Zganiał psa z wybiegu. Nalewał drinki. Podawał ogień. I wylewał żale.

Jakiś dupek zabił jego prezydenta. Dupek-bitnik podobno. A jemu samemu księgowa przysła. Przerznęła jego kasę. Wykiwała go. Ale jego przyjaciół nie wykiwa.

Wisiał kasę urzędowi skarbowemu. Arden mówiła, że mu pomoże. Arden była cuchnącą pizdą. Arden kłamała i kradła. Arden miała fałszywy adres.

A jakiś bitnik zastrzelił jego bohatera.

Wszedł Maynard Moore.

Zapiał z zachwytu. Zawył z rozkoszy. Rzucił kapeluszem. Kapelusz złapała striptizerka.

Moore podszedł do Ruby'ego. Ruby dalej pieprzył swoje. Wskoczył pomiędzy nich pies. Moore go złapał. Pocałował. Pociągnął za ogon.

Ruby się skrzywił. Chłopcze – to boli!

Moore upuścił psa. I wziął się za Ruby'ego. Popchnął go. Pstryknął w mezuzę. Zrzucił mu kapelusz.

Wayne patrzył. Moore *urabiał* Ruby'ego.

Szarpnął za jego krawat. Strzelił szelkami. Dźgnął go palcem w pierś. Ruby się związał. Ruby wpadł na automat z gumkami.

Moore szarpał go za ubranie. Ruby wyciągnął chusteczkę i otarł czoło.

Wayne podszedł. Wayne przycisnął Moore'a.

– Pete jest w mieście. Ludziom nie spodoba się to, co możesz wiedzieć, więc chyba wisisz nam parę przysług.

Wayne zakasłał. Moore się obrócił. Ruby ścisnął łańcuszek od mezuzy.

Moore się uśmiechnął.

– Wayne, to jest Jack. Jack jest jankesem, ale i tak go lubimy.

Moore miał jakąś pilną sprawę w Plano. Wayne się zgodził. Pieprzyć to. Co się odwlecze... Odłóżmy Wendella D. na później.

Ruchu praktycznie nie było. Wiatr hulał. Moore jechał swoją prywatną furą. Chevroletem 409 – chromowane rury i felgi – autostradą Stemmons baaaardzo szyyyybko.

Wayne trzymał się deski rozdzielczej. Moore żłopał wodę. Spaliny drażniły oczy.

Radio wyło na cały regulator. Jakiś kaznodzieja nawracał:

John F-jak-Fiutek Kennedy kochał Czerwonego Papieża. Sprzedał duszę Narodom Żydowionym. Niech Bóg błogosławi Lee H-jak-Heros Oswalda.

Wayne ściszył. Moore ryknął śmiechem.

– Masz niską odporność na prawdę. W przeciwieństwie do twojego tatusia.

Wayne uchylił trójkątną szybkę po swojej stronie.

– Czy wszyscy gliniarze z Wydziału są tacy jak ty, czy może w twoim przypadku zrezygnowali z testu na inteligencję?

Moore mrugnął.

– Wydział Policji w Dallas jest bardzo na prawo. Jest u nas trochę ludzi z Klanu i trochę od Johna Bircha². Tak jak w tych ulotkach kolportowanych przez twojego tatulka. „Wybierasz czerwień czy błękit, biel i czerwień?”

Wayne wyczuł nadciągający deszcz.

– On na swoich ulotkach tylko zarabia pieniądze. I nie zobaczysz go w białym prześcieradle w żadnym Pierdziuchowie w stanie Teksas.

– Z pewnością nie, co wcale mu się nie chwali.

Deszcz spadł. Deszcz ustał. Wayne odpłynął. Spaliny łaskotały w gardle. Samochód warczał monotonnie. Wayne znów przeżywał cały ten niedawny szajs.

Zachodnie Vegas: napaść pierwszego stopnia/ osiem zgłoszeń. Białe mężczyzna bije kolorowe dziwki.

Podrywał je. Zabierał do domu. Bił je i cykał fotki – a Wydział Policji Las Vegas miał to gdzieś.

On nie miał tego gdzieś. Powiedział Wayne’owi Seniorowi. Wayne Senior go wyśmiał.

Moore zjechał z autostrady. Krążył teraz po bocznych uliczkach. Włączył długie światła. Odczytywał nazwy ulic. Wjechał na nieutwardzoną drogę.

Zahaczał o krawężniki. Czytał nazwiska na skrzynkach pocztowych. Znalazł tę skrzynkę. Zatrzymał samochód.

Wayne zmrużył oczy. Dostrzegł nazwisko: „Bowers”.

Wayne się przeciągnął. Moore się przeciągnął. Moore wziął torebkę śniadaniową.

– To zajmie najwyżej dwie minuty.

Wayne ziewnął. Moore wysiadł. Wayne też wysiadł i oparł się o samochód.

Dom był obskurny. Trawnik wyschnięty. Ze ścian łuszczyła się farba i sypał tynk.

Moore wszedł na werandę. Moore zadzwonił. Otworzył jakiś mężczyzna. Moore pokazał odznakę. I wepchnął tamtego do środka. Kopniakiem zamknął drzwi.

Wayne przeciągnął się, żeby pozbyć się skurczy. Zaczął oglądać samochód. Butem ostukał felgi. Pomacał rury. Otworzył maskę. Powąchał zawory. Namierzył zapach. Wyczuł tlenki.

Jesteś teraz gliniarzem. Dobrym gliniarzem. I nie przestałeś być chemikiem.

Ktoś krzyknął. Wayne zatrzasnął maskę. Huk zagłuszył krzyk nr 2.

Rozszczękały się psy. Poruszyły się zasłony. Sąsiedzi zaczęli filować na podwórze Bowersów.

Moore wyszedł.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Zatoczył się odrobinę. Starł z koszuli krew.

Wrócili do Wielkiego D. Moore żuł tytoń. Włączył radio na Wolfmana Jacka. Poruszał ustami do słów jego zawodzenia. Śpiewał bezgłośnie rhythm and bluesa.

Wjechali do Czarnogrodu. Znaleźli chatę faceta: cztery ściany z dykty połączone klejem.

Moore zaparkował na trawniku. Otarł się o szykownego lincolna. Lincoln miał otwarte okna. Wnętrze całe lśniło.

Moore splunął. I zabrudził siedzenie.

– Założę się, że kiedyś nazwą samochód na cześć Kennedy’ego. A każdy czarnuch będzie kradł i zabijał, żeby go tylko dostać.

Wayne podszedł do chaty. Moore powlókł się z tyłu. Drzwi były otwarte. Wayne zajrzał. I zobaczył kolorowego.

Facet kucał. Facet *coś robił*. Facet gmerał przy telewizorze. Stukał w pokrętła. Szarpał za kabel. Nie mógł się pozbyć pasów i śniegu.

Wayne zapukał. A Moore wszedł. Oblukał metę:

Naturalnej wielkości plakat JFK. Wycinki z Bobbym. Kukła Martina L. Kinga.

Facet ich spostrzegł. Wstał. Zadygotał. Zgiął się wpół.

Wayne wszedł do środka.

– Pan Jefferson?

Moore strzyknął śliną. Opluł krzesło.

– To on. Jefferson vel Jeff, vel Jeffy. Myślisz, że nie odrobiłem zadania domowego?

Jeff rzekł:

– To ja, sir.

Wayne się uśmiechnął.

– Nie ty masz kłopoty. Szukamy jednego z twoich przyja...

– Jak to się dzieje, że wy wszyscy macie takie prezydenckie nazwiska? Połowa gnojków, których zwijam, nazywa się bardziej dystyngowanie ode

mnie.

– Tak, sir, to prawda, ale nie wiem, co panu odpowiedzieć, więc...

– Dorwałem raz szczeniaka, który się nazywał Roosevelt D. McKinley i nawet nie wiedział, skąd mamuśka wytrzasnęła mu takie imiona. To właśnie jest w tym wszystkim najbardziej przykre.

Jeff wzruszył ramionami. Moore go zmałpował. Zwiesił bezwładnie rękę. Wytrzeszczył oczy. Wyciągnął pałkę.

Telewizor zaszumił. Obraz zamigotał. Pojawił się Lee H. Oswald.

Moore splunął na ekran.

– Oto facet, na którego cześć powinniście nazywać swoje czarnuszatka. Zabił mojego kumpla, J.D. Tippita, który był zajebistym białym facetem, i jest dla mnie obrazą fakt, że muszę tkwić z tobą w jednym pokoju w dniu jego śmierci.

Jeff wzruszył ramionami. Jeff spojrzął na Wayne'a. Moore zakręcił pałką. Telewizor zdechł. Zaczęły trzaskać uszkodzone lampy.

Jeff zadygotał. Zadrżały mu kolana. Wayne dotknął jego ramienia. Moore go zmałpował. Moore świsnął pałką w powietrzu.

– Ależ z was para, chłopcy. Tylko patrzeć, jak weźmiecie się za rączki.

To przeważało...

Wayne pchnął Moore'a. Moore się potknął. Moore strącił lampę. Jeff trząsnął się jak ciota. Wayne wepchnął go do kuchni.

Stali blisko siebie. Zlew ich do tego zmuszał. Wayne czubkiem buta zamknął drzwi.

– Wendella Durfee'ego nosi po kraju. Zawsze przynosi go do Dallas, więc może powiesz mi, co o tym wiesz.

– Sir, ale ja nie...

– Nie mów do mnie „sir”, tylko gadaj, co wiesz.

– Sir, to znaczy, proszę pana, nie wiem, gdzie jest Wendell. Niech skonam, jak to nieprawda.

– Robisz mnie w ciula. Przestań albo przekażę cię tamtemu twardzielowi.

– Proszę pana, ja wcale panu nie ściemniam. Nie wiem, gdzie jest Wendell.

Ściany się zatrzęsły. Pokój obok chyba walił się w gruzy. Wayne rozpoznał dźwięki:

Uderzenia pałką. Mocna stal w zetknięciu z dyktą i klejem.

Jeff się trząsnął. Jeff głośno łykał ślinę. Jeff skubał skórę przy paznokciu.

Wayne powiedział:

– Spróbujmy tak. Pracujesz w rozlewni Dr. Peppera. Dziś dostałeś wypłatę.

– Zgadza się. Niech skonam, jak...

– I wpłaciłeś ratę grzywny, którą jesteś zobowiązany spłacić na zwolnieniu warunkowym.

– Wpłaciłem, żadnej ściemy.

– Ale zostało ci trochę kasiorki. I ta kasiorka dosłownie wypala ci dziurę w kieszeni. Wendell to twój kumpel od hazardu. Na pewno gdzieś odbywa się dzisiaj gra w kości z okazji wypłaty, a ty możesz mi pokazać gdzie.

Jeff ssał paznokiec. Jeff łyyyyyykał ślinę.

– To czemu ja nie biorę teraz udziału w tej grze?

– Bo dałeś większość swojej kasiorki Wendellowi.

Zabrzączało szkło. Wayne rozpoznał dźwięk: jedno uderzenie pałką/jeden telewizor mniej.

– Wendell Durfee. Dawaj namiary albo powiem temu Teksowi, że zabawiałeś się z białymi dziećmi.

Jeff zapalił papierosa. Jeff się zakrztusił. Jeff zakaszłał dymem.

– Liddy Baines, kiedyś chodziła z Wendellem. Wiedziała, że wiszę mu kasę, więc przyszła i powiedziała, że jej eks zamierza prysnąć do Meksyku. Dałem jej ostatnie pięć dolców z mojej wypłaty.

Zatrzeszczało drewno. Zatrzęsły się ściany. Zadrżały podłogi.

– Adres?

– Róg Siedemdziesiątej Pierwszej i Dunkirk. Taki mały, biały domek, trzeci od skrzyżowania.

– A ta gra?

– Róg Osiemdziesiątej Trzeciej i Clifford. Załek koło magazynu.

Wayne otworzył drzwi. Jeff stanął za nim. Jeff przyjął pozycję startową. Moore zobaczył Wayne'a. Moore się uklonił. Zamrugał.

Z telewizora nie zostało nic. Z chaty tylko pył. Ze ścian miazga i wióry.

Zrobiło się poważnie.

Moore miał splotkę do podrzucenia. Miał pompkę. Koroner był mu winny przysługę. Sfałszuje dane dotyczące rany.

Wayne'owi zaschło w ustach. Wayne poczuł mrowienie. Wayne'owi skurczyły się klejnoty.

Jechali. Zagłębiali się w Czarnogród coraz bardziej. Wpadli do chaty

Liddy Baines. Nikogo nie zastali – Liddy, gdzie cię wzięło?

Stanęli przy budce telefonicznej. Moore zadzwonił na centralę. Moore spytał o Liddy Baines: żadnych listów gończych/ żadnych nakazów aresztowania/ brak samochodu.

Dojechali do rogu Osiemdziesiątej Trzeciej i Clifford. Po drodze mijali złomowiska i wysypiska śmieci. Sklepy z gorzałą i banki krwi. Meczet Mahometa nr 12.

Minęli zaułek. Dostrzegli w nim: uliczne latarnie/ twarze/ rozłożony koc.

Jeden grubas rzucił kości. Drugi zdzielił go w czoło. Jakiś chudy zgarnął gotówkę.

Moore zatrzymał się przy Osiemdziesiątej Drugiej. Moore wziął pompkę. Wayne wyciągnął swój rewolwer. Moore wetknął do uszu zatyczki.

– Jeśli tam jest, aresztujemy go. Zabierzemy w jakieś ustronne miejsce i tam stukniemy.

Wayne usiłował coś powiedzieć. Gardło mu się ścisnęło. Zapiszczał tylko. Moore mrugnął. I zarechotał.

Zbliżali się. Trzymali się w cieniu. Skuleni. Powietrze było suche. Grunt się zapadał. Wayne omal się nie przewrócił.

Weszli w zaułek. Wayne usłyszał bezsensowną paplaninę. Wayne ujrzał Wendella Durfee'ego.

Nogi się pod nim ugięły. Potknął się. Kopnął puszkę po piwie. Gracze w kości się ożywili.

Co jest?

Kto to?

O rany, to wy?

Moore wycelował. Moore wypalił. Moore trafił trzech mężczyzn. Dostali w nogi. Posiekał ich koc. Posiekał pieniądze.

Huk wystrzału – ryk dwunastki – mnóstwo decybeli w wąskim zaułku...

Wayne'owi zaparło dech. Wayne ogłuchł. Wayne ośleplł. Moore strzelił w kosz. Śmietnik dosłownie *poszybował*.

Wayne przetarł oczy. Odzyskał częściowo wzrok. Gracze w kości wrzeszczeli. Rozproszyli się. Wendell Durfee biegł.

Moore wycelował wyżej. Trafił w ścianę. Śruciny odbijały się i świszczały. Trafiły w kapelusz Durfee'ego. Posiekały opaskę. Urwały piórko.

Durfee biegł. Wayne biegł.

Celował wysoko i w bok. Durfee zaczął mierzyć ze swojej. Wypalili. Błyski wystrzałów oświetliły wąską uliczkę. Pociski walnęły w ściany.

Wayne to *widział*. Wayne to *czuł*. Wayne kompletnie nic *nie słyszał*.

Strzelił. Chybił. Durfee strzelił. Durfee chybił. Płomienie z luf. Fale dźwiękowe. Zero *normalnego* dźwięku.

Biegli. Stanęli. Wypalili. Rzucili się sprintem.

Wayne wystrzelił sześć pocisków – cały bębenek. Durfee wystrzelił osiem pocisków – cały magazynek.

Błyski znikły. Zero światła. Zero orientacji, dokąd iść...

Wayne się potknął.

Poślizgnął się. Przewrócił. Upadł. Najadł się piachu z zaułka. Poczował zapach kordytu. Trafiał językiem na niedopałki papierosów i pył.

Przekręcił się na plecy. Ujrzał lampy na dachach. Ujrzał błyski policyjnych kogutów. Dwa radiowozy – *za* jego plecami – fordy Wydziału Policji.

Usłyszał jakieś dźwięki. Wstał. Złapał oddech. Odwrócił się i zaczął iść. Jego buty chrzęściły na żwirze. *Słyszał* to.

Stał tam Moore. Stali gliniarze. Gracze w kości leżeli na brzuchu. Skuci w nadgarstkach/kostkach/rozpieprzeni.

Porozrywane spodnie. Oparzenia i dziury od śrutu – rany aż do samych kości.

Rzucali się. Do Wayne'a dobiegały krzyki.

Moore podszedł. Moore coś mówił. Moore wrzeszczał.

Wayne wychwycił: „Bowers”. Uszy się odetkały. Zaczął odbierać dźwięki.

Moore pokazał swoją torebkę śniadaniową. Otworzył ją. Wayne zobaczył krew i chrząstkę. Ujrzał ludzki kciuk.

5

(Dallas, 23 listopada 1963)

Wieńce w oknach/ flagi/ ołtarzyki na parapetach. 8.00 rano – jeden dzień później – osiedle Glenwood Apartments kocha Jacka.

Dwie kondygnacje. Dwanaście okien od frontu. Kwiaty i gadżety związane z JFK.

Littell oparł się o wóz. Rozciągała się przed nim fasada budynku. Littell łapał słońce. Namierzył wóz Arden Smith. Namierzył jej wynajętego dostawczaka U-Haul.

Pożyczył samochód z FBI. Sprawdził Arden Smith. Wydawała się czysta. Zdobył dane jej wozu. Namierzył jej chevroleta.

Podpadła mu. Widziała strzał. Wybiegła z Wydziału Policji. Wynajęcie dostawczaka to jak przyznanie, że jest UCIEKINIERKĄ.

Mieszkała pod 2D. Sprawdził od podwórza. Jej okna wychodziły właśnie tam – żadnych flag/ żadnych błyskotek/ żadnego ołtarzyka.

Pracował do północy. Znalazł sobie kawałek miejsca w komendzie. Na drugim piętrze był istny dom wariatów. Gliniarze wałkowali Oswalda. Roilo się od kamer i dziennikarzy.

Jego numer z menelami się powiódł. Rogers uciekł. Menele nawiali bez przeszkód. Widział się z Guyem Banisterem i kazał mu przycisnąć Lee Bowersa.

Przeczytał zeznania świadków. Przejrzał notatki Wydziału Policji. Brakowało w nich pewności. Pan Hoover wydał nakaz. Do śledztwa włączyli się agenci. Materiał dowodowy wskazujący na samotnego strzelca był w porządku.

Problem stanowił Lee Oswald. Tak twierdził Guy. Guy nazywał go świrem.

Lee nie strzelał. To była robota zawodowca. Strzelał z tego samego piętra, na którym znajdował się Oswald. Rogers strzelał z miejsca przy ogrodzeniu.

Lee znał swojego łącznika z Guyem. Gliniarze i federalni pracowali nad

nim całą noc. Nie podał żadnych nazwisk. Guy twierdził, że wie dlaczego.

Chłoptaş łaknął uwagi. Chłoptaş był niezłe walnięty. Chłoptaş pławiał się solo w świetle jupiterów.

Littell spojrział na zegarek – 8.16 – słońce i niskie chmury.

Policzył flagi. Policzył wieńce. Glenwood kochało Jacka. Wiedział dlaczego. On też kiedyś kochał Jacka. I kochał Bobby’ego.

Nigdy nie spotkał Jacka. Bobby’ego spotkał raz.

Usiłował do nich dołączyć. Kemper Boyd go polecał. Bobby olał takie referencje. Lojalność Boyda okazała się elastyczna. Boyd pracował dla Jacka i Bobby’ego. I pracował dla CIA.

Boyd załatwił Littellowi robotę. Ward, poznaj Carlosa Marcello.

Carlos nienawidził Jacka i Bobby’ego. Jack i Bobby odtrącili Littella. Littell zbudował na tym własną nienawiść. Dostroił do niej swą życiową filozofię.

Nienawidził Jacka. *Znał* Jacka. To podkopało jego wizerunek. Jack słynał z gładkiej gadki. Jack dawał czadu. Jack nie miał w sobie ani krzty prawości.

Bobby definiował prawość. Bobby żył zgodnie z prawem. Bobby karał złych ludzi. Teraz Littell nienawidził Bobby’ego. Bobby go zlekceważył. Bobby wzgardził jego szacunkiem.

Pan Hoover zapluskwił ulubione miejsca spotkań mafii. Pan Hoover wychwycił aluzje. Pan Hoover przeczuwał zamach. Nie powiedział o niczym Jackowi. Nie powiedział Bobby’emu.

Pan Hoover znał Littella. Pan Hoover wiedział o jego nienawiści. Pan Hoover zachęcił go, by zadał cios Bobby’emu.

Littell miał dowody. Dowody na to, że Joe Kennedy od lat był w zмовie z mafią. Spotkał się z Bobbym – na maleńkie pół godziny – nie dalej jak pięć dni temu.

Wpadł do jego gabinetu. Odtworzył mu nagranie. Nagranie przyszpiliło Joego Kennedy’ego. Bobby był bystry. Bobby mógł teraz powiązać nagranie z zamachem. Bobby mógł uznać nagranie za groźbę.

Ani słowa o zamachu w kontekście mafii. Nie kalaj nazwiska Kennedy. Nie kalaj świętości Jacka. Czuj się współwinni. Czuj się winny. Czuj się źleeeee.

Twoja kruczata przeciw mafii zabiła twego brata. Zabiliśmy Jacka, żeby dowalić tobie.

Littell oglądał wiadomości. Wczoraj późnym wieczorem – Air Force One

ląduje w Waszyngtonie. Bobby wysiada. Bobby idzie spokojnie. Bobby pociesza Jackie.

Littell zabił Kempera Boyda. Carlos tak zarządził. Littell zastrzelił Boyda w czwartek. Bolało. Ale miał dług wobec Chłopców. Dług został spłacony.

Widział Bobby'ego i Jackie. To bolało bardziej niż Boyd...

Arden Smith wyszła.

Szła szybkim krokiem. Dźwigała torbę na ramię. Niosła spódnice i pościel. Littell podszedł. Arden podniosła wzrok. Mignął jej legitymacją.

– Tak?

– Dealey Plaza, pamięta pani? Była pani świadkiem strzelaniny.

Oparła się o dostawczaka. Upuściła torbę. Opuściła rękę ze spódnicami.

– Obserwowałem panią na komendzie. Oszacowała pani swoje szanse i wykonała ruch, a ja muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Lecz będzie pani musiała wyjaśnić, dlaczego...

– Moje informacje były niepewne. Pięć czy sześć osób słyszało to, co ja, a chciałam już mieć to z głowy.

Littell oparł się o wóz.

– A teraz się pani wyprowadza.

– Tylko chwilowo.

– Opuszcza pani Dallas?

– Tak, ale to nie ma nic wspólnego...

– Jestem pewien, że to nie ma nic wspólnego z tym, co widziała pani podczas przejazdu kawalkady, i interesuje mnie tylko, dlaczego wykradła pani swoje wstępne oświadczenie i prawo jazdy, po czym opuściła komendę bez pozwolenia.

Odgarnęła włosy do tyłu.

– Niech pan posłucha, panie...

– Littell.

– Panie Littell. Chciałam spełnić obywatelski obowiązek. Poszłam na komendę i usiłowałam złożyć anonimowe zeznanie, ale jakiś policjant mnie zatrzymał. Naprawdę przeżyłam wielki szok i chciałam jedynie wrócić do domu i zacząć się pakować.

Jej głos brzmiał efektownie. Pewnie i południowo. Słysząc w nim było wykształcenie.

Littell się uśmiechnął.

– Możemy wejść do środka? Czuję się niezręcznie, rozmawiając tu, na

dworze.

– W porządku, ale będzie mi pan musiał wybaczyć bałagan w mieszkaniu.

Littell się uśmiechnął. Arden się uśmiechnęła. Ruszyła przodem. Przebiegły jakieś dzieciaki. Strzelały z pistoletów zabawek. Jeden chłopiec wrzasnął:

– Nie strzelaj do mnie, Lee!

Drzwi były otwarte. W pokoju dziennym panował chaos. Wszystko spakowane, meble na wózkach.

Zamknęła drzwi. Uprzątnęła krzesła. Chwyciła kubek po kawie. Usiedli. Zapaliła papierosa. Balansowała kubkiem na dłoni.

Littell odsunął się z krzesłem. Dym mu przeszkadzał. Wyciągnął notes. Stuknął piórem.

– Co pani sądziła o Johnie Kennedym?

– Dziwne pytanie.

– Jestem tylko ciekaw. Nie wygląda mi pani na osobę, którą łatwo oczarować, i jakoś nie mogę sobie pani wyobrazić, stojącej i czekającej, aż ukaże się jakiś przejeżdżający samochodem mężczyzna.

Założyła nogę na nogę.

– Panie Littell, nie zna mnie pan. Uważam, że pańskie pytania mówią więcej o panu i pańskim stosunku do prezydenta, niż sam chciałby pan przyznać.

Littell się uśmiechnął.

– Skąd pani pochodzi?

– Z Decatur w Georgii.

– Dokąd się pani przenosi?

– Myślałam o Atlancie.

– Pani wiek?

– Zna pan mój wiek, bo sprawdził mnie pan, zanim tutaj przyszedł.

Littell się uśmiechnął. Arden się uśmiechnęła. Strząsnęła popiół do kubka.

– I myślałam, że federalni zawsze działają w parach.

– Brakuje nam ludzi. Nie planowaliśmy żadnego zamachu w ten weekend.

– Gdzie pańska broń? Wszyscy ludzie z tej agencji nosili kiedyś rewolwery.

Ścisnął pióro.

– Widziała pani moją legitymację.

– Tak, ale wyciąga pan ode mnie bzdury. Coś jest nie tak.

Pióro pękło. Atrament wyciekł. Littell wytarł ręce w marynarkę.

– Pani jest w to jakoś zamieszana. Wiedziałem już wczoraj, a teraz swoim zachowaniem jeszcze to pani potwierdziła. Będzie pani musiała mnie przekonać...

Zadzwoił telefon. Arden wpatrywała się w Littella. Aparat zadzwonił trzy razy. Wstała. Przeszła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi.

Littell wytarł ręce. Miał usmarowane atramentem spodnie i marynarkę. Rozejrzył się dokoła. Zlustrował pokój, dzieląc go na kwadraty.

No tak...

Komoda na wózku. Cztery szuflady – zapchane.

Wstał. Sprawdził szuflady. Wymacał skarpetki i bieliznę. Wymacał coś śliskiego – plastik wielkości jakiegoś dokumentu – wyciągnął to.

No tak...

Prawo jazdy ze stanu Missisipi – na nazwisko Arden Elaine *Coates*.

Adres korespondencyjny: numer pocztowej skrzynki depozytowej. Data urodzenia: 15.04.1927. W jej *teksańskim* prawie jazdy było: 15.04.1926.

Odłożył je. Zamknął szuflady. Usiadł szybko. Założył nogę na nogę. Zaczął bazgrać. Udawał, że robi notatki.

Arden Smith wróciła. Arden Smith uśmiechnęła się i przybrała *pozę*.

Littell zakaszłał.

– Dlaczego oglądała pani przejazd z Dealey Plaza?

– Stamtąd miał być najlepszy widok.

– To nie do końca prawda.

– Mówię tylko to, co usłyszałam.

– A kto pani to powiedział?

Zamrugła.

– Nikt. Przeczytałam w gazecie, kiedy podano trasę przejazdu.

– Kiedy to było?

– Nie wiem. Może miesiąc temu.

Littell pokręcił głową.

– Wcale nie. Trasę przejazdu podano przed dziesięcioma dniami.

Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem dobra w zapamiętywaniu dat.

– Nieprawda. Jest pani w tym równie dobra jak we wszystkim, czego pani spróbuje.

– Niby skąd pan to wie? *Nie zna* mnie pan.

Littell wpatrywał się w nią. Dostała gęziej skórki.

– Boi się pani i ucieka.

– To *pan* się boi. A *to* nie jest typowe grillowanie FBI.

Teraz *on* dostał gęziej skórki.

– Gdzie pani pracuje?

– Pracuję jako księgowa na zlecenie.

– Nie o to pytam.

– Piszę podania i wyciągam biznesmenów z kłopotów z urzędem skarbowym.

– Pytałem: *Gdzie pani pracuje?*

Jej dłonie drgnęły.

– Pracuję w miejscu zwanym klubem Carousel.

Jego dłonie drgnęły. Carousel/ Jack Ruby/ człowiek mafii/ skorumpowani gliniarze.

Spojrzał na nią. Ona spojrzała na niego. Ich fale mózgowe się spotkały.

6

(Dallas, 23 listopada 1963)

Środki bezpieczeństwa – do dupy. Gównno warte/ niestaranne/ niedostateczne.

Pete snuł się po komendzie. Guy załatwił mu przepustkę. Nie potrzebował jej. Jakiś palant sprzedawał fałszywki. Ten sam palant sprzedawał trawę i zdjęcia gołych panienek.

Drzwi na dole były otwarte. Palanci tacy jak tamten tłoczyli się. Wartownicy pozwali do zdjęć. Kable od kamer wiły się na chodniku. Furgonetki dziennikarzy korkowały ulicę.

Reporterzy włączyli się dokoła. Nagrajmy prokuratora. Nagrajmy gliniarzy. Całą kupę gliniarzy – fedziów/wydziałowych/okręgowych – oni wszyscy bardzo lubią gadać.

Oswald to komuch. Oswald jest czerwony. Oswald kocha Fidela. Kocha muzykę folk. Kocha śniade panienki. Kocha Martina Lucyfera King Konga. Wiemy, że to on. Mamy jego broń. Zrobił to sam. Zdaje się, że to cwel. Nie potrafi się wysikać, jak w kibelku są inni faceci.

Pete się snuł. Pete oglądał korytarze. Szkicował rzuty poszczególnych pięter. Zmagał się z bólem głowy – bardzo dłuuuugo – skurczybyk nie dawał mu spokoju i dokuczał raz w jednym miejscu, raz w drugim.

Barb WIEDZIAŁA.

Powiedziała: „Zabiliście go. Ty, Ward i ci faceci z mafii, dla których pracujecie”.

Próbował kłamać. Nic z tego nie wyszło. Barb go przejrzała.

Powiedziała: „Wyjedźmy z Dallas”. Odparł: „Nie”. Zmyła się do klubu.

Poszedł tam. Interes się nie kręcił. Barb śpiewała trzem transwestytom. Przeszyła go wzrokiem. Wyszedł z klubu sam.

Spał sam. Barb spała w łazience.

Pete się snuł. Pete minął Wydział Zabójstw. Zatrzymał się przy pokoju 317. Różni palanci kręcili się, żądni widoku. Palanci tłoczyli się przy drzwiach. Jakiś gliniarz był tak miły i otworzył je szeroko.

I oto Oswald. Wygląda na zmarnowanego. Jest przykuty do krzesła.

Tłum się zagaścił. Gliniarz zamknął drzwi. Gruchnęły rozmowy:

Znałem J.D. On był z *Klanu*. J.D.? Wcale *nie*. Będą go musieli niedługo przenieść. Jasne – do więzienia okręgowego.

Pete się snuł. Pete unikał cieciov z wózkami. Ciecie sprzedawali kanapki. Ciecie wciskali je ludziom. Ciecie chlapali ketchupem.

Pete szkicował korytarze. Pete notował.

Jedna cela za drucianą siatką. Obok porządny areszt. Cele w piwnicy. Obok pokój dla mediów. Konferencje prasowe/ dziennikarze/ kamerzyści.

Pete się snuł. Aż ujrzał Jacka Ruby'ego. Jack rozdawał pióra wieczne w kształcie penisa.

Dojrzał Pete'a. Zastygł. Spietrał się. Upuścił swoje fiutowate pióra. Pochylił się niiiisko i zaczął zbierać.

Rozpruły mu się portki. Patrzcie tylko na te kraciaste gacie...

Maynard Moore źle na niego działał.

Jego cuchnący oddech. Jego popsute zęby. Jego gadka à la Ku Klux Klan.

Spotkali się na parkingu. Siedzieli w samochodzie Guya. Przed sobą mieli kościół czarnuchów i bank krwi. Moore przyniósł sześciopak piwa. Moore wychylił jedno. I wyrzucił puszkę za okno.

Pete spytał:

– Przycisnąłeś Ruby'ego?

Moore odparł:

– No, przycisnąłem. I zdaje mi się, że on wie.

Pete przesunął siedzenie do tyłu.

Moore podniósł nogi.

– Hej, zgnieciesz mi kolana.

Guy opróżnił popielniczkę.

– Ustalmy szczegóły. Jackowi nie sposób zatkać gęby, jak już raz zacznie gadać.

Moore otworzył piwo nr 2.

– No dobra, więc wszyscy – to znaczy, ludzie z ekipy – zebrali się w motelu Jacka Zangetty'ego w Altus w Oklahomie, gdzie faceci zachowują się jak na facetów przystało, a cioty postępują jak tchórze.

Pete strzelił palcami.

– Skończ już tę prelekcję.

Moore beknął.

– Schlitz, śniadanie mistrzów.

Guy powiedział:

– Maynard, do cholery.

Moore zachichotał.

– W porządku. No więc tak: Jack R. odbiera telefon od starego kumpla Jacka Z. Wygląda na to, że ten pilot i tamten Francuz mają ochotę na cipki, a Jack R. mówi, że je przywiezie.

Pilot: Chuck Rogers. Francuz: zawodowy strzelec. Lepiej nie wymieniać nazwisk.

Pete rzekł:

– Mów dalej.

Moore powiedział:

– No dobra, więc Ruby jedzie tam ze swoim koleśkiem Hankiem Killiamem i tymi panienkami, Betty McDonald i Arden jakąśtam. Betty zgadza się dać dupy, ale Arden nie, przez co ten Francuz się wkurza i staje się trochę brutalny. Uderza ją w twarz, a ona przypala go płytką kuchenki elektrycznej, po czym pryska. Ruby nie zna adresu tej Arden i podejrzewa, że babka ma całą kupę ksywek. Ale najgorsze jest to, że wszyscy oni widzieli karabiny i kukły naszego celu i mogli też zobaczyć dokładny plan Dealey Plaza.

Guy się uśmiechnął. Guy przejechał palcem po gardle, jakby je sobie podrzynał. Pete pokręcił głową. Pete'owi mignęło wspomnienie sprzed *wieeeeelu* lat:

Wybucha bomba. Huczą płomienie. Zapalają się włosy jakiejś kobiety.

Moore beknął.

– Schlitz, najlepsze piwo z Milwaukee.

Pete rzekł:

– Załatwisz Oswalda.

Moore się zakrztusił. Aż prychnął piwem.

– *Eeeeeee*. Nie ja. To misja dla kamikadze i mnie na nią nie poślecie, zwłaszcza że mam na głowie pewną ekstradycję, a za partnera lalusia, który za bardzo się do tego nie przykłada.

Guy przesunął siedzenie. Guy docisnął Moore'a jeszcze bardziej do tyłu.

– Ty i Tippit schrzaniłście robotę. A wiesz kasę w jednym kasynie i musisz ją w końcu oddać.

Moore otworzył piwo nr 3.

– Eeeee. Nie zamierzam dobrowolnie pchać się w szambo tylko dlatego, że wiszę jakimś makaronom parę dolców, których braku nawet nie zauważą.

Pete się uśmiechnął.

– W porządku, Maynard. Dowiedz się tylko, kiedy go będą przenosić. My załatwimy resztę.

Moore beknął.

– To mogę zrobić. To akurat nie będzie kolidowało z moimi innymi sprawami.

Pete sięgnął za siebie. Pete otworzył tylne drzwi. Moore wysiadł. Moore się przeciągnął. Moore pomachał: pa-pa.

Guy powiedział:

– Wsiowy śmieć.

Moore odpalił swojego 409. Ruszył, paląc gumy.

Pete rzekł:

– Ja go zabiję.

Betty McDonald mieszkała w Oak Cliff – Zadupkowo, USA.

Pete zadzwonił do Wydziału Policji. Pete udał gliniarza. I zdobył jej dane: cztery zatrzymania za prostytutkę/ jedno za lewy czek/ jedno za narkotyki.

Dał sobie spokój z „Arden”. Nie znał jej nazwiska.

Wpadł do baru Księżycowy Promień. Carlos miał w nim udział. Joe Campisi przyjmował tam zakłady.

Joe miał w garści cały Wydział Policji. Gliniarze lubili się zakładać. Gliniarze przegrywali. Gliniarze zbierali forszę dla Joego. Joe zdierał z ludzi na potęgę – dług plus dwadzieścia procent.

Pete pogadał z Joem. Pete pożyczył okrągłą dyszkę. Pete uznał, że ryzyko jest minimalne. Nikt nie powiedział: „Stuknij ich”. Nikt nie powiedział: „Przestrasz ich”. Nikt w ogóle nie powiedział nic. Guy nie był z mafii. Życzenia Guya gównem znaczyły.

Joe fundnął mu *calzone*. Pete jadł je już na autostradzie. Ser kleił mu się do zębów.

Zjechał z autostrady. Krążył po Oak Cliff. Znalazł adres: podłużny barak/ obskurny/ najwyżej trzy pomieszczenia.

Zaparkował. Wrzucił pięć kawałków do pudełka po *calzone*. Zabrał je ze sobą. Zastukał do drzwi. Zaczekał. Rozejrzał się za gapiami.

W domu: nikogo – świadków brak.

Wyjął grzebień. Wygiął zęby. Bez problemu otworzył zamek. Wszedł i powoli zamknął drzwi.

W pokoju dziennym cuchnęło – trawą i kapustą – przez okno sączyło się światło.

Pokój dzienny/ kuchnia/ sypialnia. Trzy pomieszczenia, układ amfiladowy.

Przeszedł do kuchni. Otworzył lodówkę. O jego nogi otarł się kot. Pete rzucił mu kawałek ryby. Kot w mig go pochłonał. A Pete pochłonał kawałek sera.

Zwiedzał mieszkanie. Kot chodził za nim. Przeszedł przez pokój dzienny. Zaciągnął zasłony. Przysunął fotel i usiadł przy drzwiach.

Kot wskoczył mu na kolana. Kot wbił pazury w pudełko po *calzone*. W pokoju było zimno. Fotel był miękki. Ściany zawirowały i przeniosły go w przeszłość.

Ścieżka pamięci. Los Angeles – 14.12.1949.

Jest gliniarzem. Pracuje przy łamaniu strajków w okręgu. Ma też *faaaajne* fuchy na boku. Zajmuje się szantażami. Wymusza kasę od cweli. Robi naloty na mety ciot.

Jako strażnik obstawia gry w karty. Załatwia skrobanki. Jest francuskojęzycznym Kanadyjczykiem z Quebecu. Brał udział w wojnie. Dostał amerykańską zieloną kartę.

Koniec roku 1948 – jego brat, Frank, zjeżdża do LA.

Frank był lekarzem. Frank miał złe nawyki. Frank zawierał złe przyjaźnie. Frank się łąjdaczył. Frank uprawiał hazard. Frank trwonił pieniądze.

Frank robił skrobanki. Frank skrobał Ritę Hayworth. Frank był specem od aborcji dla gwiazd. Frank grał w karty – i trwonił pieniądze. Regularnie bywał na karcianych imprezkach u Mickeya Cohena.

Frank trzymał się z innymi specami od skrobanek. Frank poznał Ruth Mildred Cressmeyer. Ruth robiła skrobanki. Ruth kochała swego syna, Hueya. A Huey parał się napadami.

Huey zrobił skok na imprezkę Mickeya. Hueyowi zsunęła się z twarzy maska. Gracze go rozpoznali. A Pete miał grypę. Pete wziął akurat na ten wieczór wolne. Mickey kazał Pete'owi zabić Hueya.

Huey się ukrył. Pete znalazł jego metę: były burdel w El Segundo.

Pete podpalił metę. Pete stanął z tyłu. Pete patrzył, jak budynek płonie. Wybiegły cztery postacie. Pete do nich strzelił. Pete pozwolił im wrzeszczeć i płonać.

Było ciemno. Kopciły im się włosy. Dym przesłaniał ich twarze. Gazety podjęły temat – CZTERY OFIARY POŻARU PRZY PLAŻY – gazety zidentyfikowały zmarłych:

Ruth. Huey. Dziewczyna Hueya.

Oraz: kanadyjski doktorek – François Bondurant.

Ktoś zadzwonił do ich taty. Ktoś podkablował Pete'a. Tata zadzwonił do niego. Tata błagał: „Powiedz NIE. Powiedz, że to nie byłeś TY”.

Pete się jąkał. Pete próbował. Pete'owi się nie udało. Rodzice wpadli w rozpacz. Rodzice nawdychali się spalin. Rodzice ulegli rozkładowi we własnym samochodzie...

Kot zasnął. Pete go głaskał. Czas leciał. Pete wpatrywał się w ciemność.

Przysnął. Poruszył się. Usłyszał coś. Otworzyły się drzwi. Do środka wpadło światło.

Pete się zerwał. Kot spadł. Pudełko po *calzone* gdzieś poleciało.

I oto Betty Mac.

Blondynka. Zgrabna. W okularach przeciwsłonecznych w kolorowych oprawkach.

Ujrzała Pete'a. Wrzasnęła. Pete ją złapał. Kopniakiem zamknął drzwi.

Drapała. Wrzeszczała. Chwytała go za gardło. Zakrył jej usta. Rozsunęła wargi. Ugryzła go.

Pete się zatoczył. Kopnął w pudełko po *calzone*. Wpadł na włącznik w ścianie. Rozbłysło światło. Rozsypała się gotówka.

Betty spojrzała w dół. Betty ujrzała pieniądze. Pete ją puścił. Pete otarł ranę po ugryzieniu.

– Jezu Chryste. Lepiej się wynoś, zanim ktoś cię załatwi.

Betty się rozluźniła. Pete się rozluźnił. Obróciła się. Dojrzała jego twarz.

Pete nacisnął wyłącznik. Światło w pokoju zgasło. Stali blisko siebie. Próbowali złapać oddech. Opierali się o drzwi.

Pete rzekł:

– Arden?

Betty zakaszlała – zarzęziła jak prawdziwy palacz – Pete wyczuł zapach ostatniego skręta.

– Nie skrzywdzę jej. No dalej, przecież wiesz, że ja od...

Dotknęła jego ust.

– Nic nie mów. Nie wymieniaj nazwiska...

– To powiedz mi, jak ją...

– Arden Burke. Mieszka chyba w Glenwood Apartments.

Pete przecisnął się obok niej. Jej włosy musnęły mu twarz. Zapach jej perfum przylgnął mu do ubrania. Wyszedł. Dłoń pulsowała bólem. Oślepiło go słońce.

Panował spory ruch. Pete wiedział dlaczego.

Znalazł się niedaleko Dealey Plaza. Zabierzmy tam dzieciaki. Niech łykną trochę historii, a potem po hot dogu.

Opuścił Oak Cliff. Znalazł budynek, w którym mieszkała Arden. Miał ponad czterdzieści mieszkań. Zaparkował. Sprawdził drogi dojścia. Podwórze wykluczało możliwość włamania.

Sprawdził skrzynki na listy – Arden *Burke* brak – ale pod 2D widniała Arden *Smith*.

Pete obszedł podwórze. Pete przejrzał tabliczki na drzwiach: 2A /B/C...

Zaraz, zaraz...

Rozpoznał garnitur. Rozpoznał sylwetkę. Rozpoznał rzadkie włosy. Cofnął się. Przykucnął. *Patrzył*.

A tam...

Ward Littell i jakaś wysoka babka. Rozmawiali, świata poza sobą nie widząc.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.11.1963. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Ściśle tajne: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Panie Littell?

WJL: Dzień dobry, sir. Jak się pan miewa?

JEH: Darujmy sobie uprzejmości. Proszę mi opowiedzieć o Dallas. Metafizyczny wymiar tej rzekomej tragedii mnie nie interesuje. Proszę od razu do rzeczy.

WJL: Powiedziałbym, że sprawa wygląda obiecująco, sir. O spisku praktycznie nikt nie mówi i wszystko zdaje się zmierzać do dość pewnej tezy zakładającej sprawstwo samotnego strzelca, pomimo dość niejednoznacznych zeznań świadków. Spędziłem sporo czasu na komendzie Wydziału Policji Dallas, gdzie powiedziano mi, że prezydent Johnson dzwonił zarówno do

komendanta głównego policji Curry'ego, jak i do samego prokuratora okręgowego, i wyraził życzenie, by owa teza została potwierdzona.

JEH: Lyndon Johnson to bezpośredni człowiek, posiadający wielki dar przekonywania i przemawiający językiem, który ci kowboje są w stanie zrozumieć. Teraz zaś przejdźmy do świadków.

WJL: Śmiem twierdzić, że tych, którzy mogliby nam zaszkodzić, można postraszyć, pozbawić wiarygodności i odpowiednio pouczyć.

JEH: Zapoznawał się pan więc z danymi świadków, obserwował przesłuchania i zmagał się pan z nieuchronnym zalewem anonimowych telefonów od różnych wariatów. Mam rację?

WJL: Tak jest, sir. Owe telefony brały się wyłącznie z urojeń bądź nienawiści. John Kennedy zdążył wzbudzić w Dallas sporo niechęci.

JEH: Tak, i to całkowicie uzasadnionej. Zaś wracając do świadków, czy prowadził pan jakieś przesłuchania osobiście?

WJL: Nie, sir.

JEH: I nie wykrył pan żadnych świadków, którzy wygłaszałyby wybitnie prowokujące historie?

WJL: Nie, sir. Jedyne, na co zdarzyło mi się jeszcze natknąć, to alternatywna hipoteza wywodząca się z liczby strzałów i ich trajektorii. To raczej zawiła teoria, sir. Nie wydaje mi się, by mogła zostać uznana za oficjalną wersję.

JEH: Jak według pana prowadzone jest śledztwo?

WJL: Niekompetentnie.

JEH: Jak jeszcze by je pan określił?

WJL: Jako chaotyczne.

JEH: A jak oceniliby pan wysiłki na rzecz ochrony pana Oswalda?

WJL: Jako niedostateczne.

JEH: Czy to pana niepokoi?

WJL: Nie.

JEH: Prokurator generalny poprosił o regularne sprawozdania. Co według pana powinienem mu powiedzieć?

WJL: Że jego brata zabił bezmyślny młody szaleniec i że działał sam.

JEH: Czarny Księżę nie jest imbecylem. Na pewno wyczuwa istnienie wewnętrznych sporów, których jest świadoma większość dobrze poinformowanych ludzi.

WJL: Tak jest, sir. I jestem przekonany, że czuje się współwinny.

JEH: Słyszę w pańskim głosie całkiem niestosowną nutę współczucia, panie Littell. Powstrzymam się od komentarza na temat pańskiego długotrwałego i skomplikowanego związku z Robertem F. Kennedym.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Nie mogę jednak opędzić się od myśli o pańskim chełpiącym się kliencie, Jamesie Riddle'u Hoffie. Darzy on Księcia niesamowitą antypatią.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Jestem pewien, że pan Hoffa chciałby wiedzieć, co Księżę naprawdę sądzi o tym jarmarcznym zabójstwie.

WJL: Sam chciałbym to wiedzieć, sir.

JEH: Nie mogę się też opędzić od myśli o pańskim zwyrodniałym kliencie Carlosie Marcellu. Przypuszczam, że chętnie poznałby pełne udręki myśli Bobby'ego.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Dobrze by było znaleźć jakieś źródło w otoczeniu Księcia.

WJL: Zobaczę, co da się zrobić.

JEH: Pan Hoffa chełpi się dość niewybrednymi manierami. Powiedział „New York Timesowi”, cytuję, że Bobby Kennedy jest teraz tylko jednym z wielu prawników, koniec cytatu. To całkiem trafne stwierdzenie, lecz myślę, że we włoskiej diasporze są osoby, które chętnie widziałyby nieco większą dyskrecję w zachowaniu pana Hoffy.

WJL: Poradzę mu, by trzymał gębę na kłódkę, sir.

JEH: Wracając do tematu. Czy wiedział pan, że nasza agencja posiada akta Jeffersona Davisa Tippita?

WJL: Nie, sir.

JEH: Ten człowiek należał do Ku Klux Klanu, do Narodowej Partii Praw Stanów, Partii Odrodzenia Narodowego i do podejrzanego nowego odłamu, zwanego Legionem Gromu. Był bliskim współpracownikiem funkcjonariusza Wydziału Policji Dallas, niejakiego Maynarda Delberta Moore'a, człowieka posiadającego podobne zapatrywania ideologiczne i słynącego z infantylnego zachowania.

WJL: Czy uzyskał pan te informacje od swojego źródła w Wydziale Policji Dallas, sir?

JEH: Nie, mam swojego człowieka w Nevadzie. To konserwatywny pamflecista kolportujący tworzone przez siebie ulotki, mężczyzna o bardzo głębokich i zróżnicowanych powiązaniach z prawym skrzydłem.

WJL: Czy to mormon, sir?

JEH: Tak. Wszyscy ci niedoszli führerzy z Nevady to mormoni, zaś ten człowiek ma bez wątpienia nadzwyczajne do tego predyspozycje.

WJL: Brzmi to interesująco, sir.

JEH: Próbuje mnie pan podejść, panie Littell. Doskonale wiem, że Howard Hughes sika w spodnie za mormonami i chciwie spogląda na Las Vegas. Zawsze podzielę się z panem dyskretnie pewnymi informacjami, o ile poprosi mnie pan o to w sposób niewłaczający mojej inteligencji.

WJL: Przepraszam, sir. Przejrzał pan mój plan, a ten człowiek naprawdę wydaje się bardzo interesujący.

JEH: Jest dość użyteczny i ma bardzo różnorodne zainteresowania. Kolportuje, na przykład, po cichu szerzące nienawiść ulotki. Część ze swoich subskrybentów umieścił jako informatorów w tych grupach Klanu, które Biuro postanowiło ścigać za rozsyłanie nienawistnych broszurek. W ten sposób sam pozbywa się konkurencji na tym polu.

WJL: I znał zmarłego oficera Tippita.

JEH: Znał go lub wiedział o nim. Uznawał go bądź nie uznawał za ideologicznie niepoprawnego i ekscentrycznego. A tak w bardziej ogólnym kontekście, zawsze jestem zdumiony i rozbawiony tym, kto kogo zna. Na przykład szef agentów specjalnych z Dallas powiedział mi, że dawny człowiek Biura, niejaki Guy Williams Banister, przebywa w ten weekend w mieście. Niezależnie od tego, inny agent poinformował mnie, że widział pańskiego przyjaciela, Pierre'a Bonduranta. Ludzie posiadający wyobraźnię mogliby wytknąć tę zbieżność i usiłować połączyć mężczyznę tego pokroju z waszym wspólnym kolegą Carlosem Marcello i jego nienawiścią do Królewskiej Rodziny, ja jednak nie jestem skłonny wysnuwać tak nieprawdopodobnych wniosków.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Ton pańskiego głosu sugeruje, że chce mnie pan poprosić o przysługę. Czyżby dla pana Hughesa?

WJL: Tak jest, sir. Chciałbym uzyskać dostęp do głównych akt Biura dotyczących właścicieli hoteli-kasyn w Las Vegas oraz do akt dotyczących Nevadzkiej Komisji do spraw Hazardu, Komisji Kontroli Gier i Komisji Kontroli Sprzedaży Wyrobów Alkoholowych Okręgu Clark.

JEH: Odpowiedź brzmi: tak. Czy mogę liczyć na coś w zamian?

WJL: Oczywiście, sir.

JEH: Chciałbym zapobiec szerzeniu się ewentualnych pogłosek na temat pana Tippita. Jeśli Biuro w Dallas ma na niego osobną teczkę, chciałbym, aby ona znikła, zanim moi mniej zaufani współpracownicy poczują impuls, by ujawnić te informacje ogółowi.

WJL: Zajmę się tym jeszcze dziś wieczór, sir.

JEH: Czy myśli pan, że teza zakładająca sprawstwo samotnego strzelca zostanie przyjęta?

WJL: Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by tak się stało.

JEH: Dobrego dnia, panie Littell.

WJL: Dobrego dnia, sir.

7

(Dallas, 23 listopada 1963)

Przesyt. Przesada. Głupota.

Hotel winił się o wszystko. Hotel o wszystko winił Lee Oswalda.

Hotel pękał w szwach – miał więcej gości niż miejsc – dziennikarze dzielili ze sobą pokoje. Wisieli na telefonach. Zużywali ciepłą wodę. Rzucali się z pytaniami na obsługę.

Hotel winił się o wszystko. Hotel o wszystko winił Lee Oswalda.

Nasi goście są nieutuleni w żalu. Nasi goście płaczą. Nasi goście oglądają telewizję. Pozostają w pokojach. Dzwonią do domów. Snują domysły na temat Wielkiego Show.

Wayne chodził po apartamencie. Wayne zmagął się z bólem ucha – wciąż słyszał huk tamtego wystrzału.

Zadzwonili z obsługi. Powiedzieli: przykro nam – mamy opóźnienie. Maynard Moore *nie dzwonił*. Durfee uciekł. Moore odpuścił.

Moore nie puścił listu gończego. Nie wydał nakazu zatrzymania. Opisał tylko spieprzoną akcję z graczami w kości. Jeden gość stracił rzepekę w kolanie. Drugi – litr krwi. Trzeci – palec u nogi.

Pan Bowers stracił kciuk. Wayne zmagął się z tym obrazem – przez całą noc widział jego powtórki.

Przez całą noc się rzucał. Oglądał telewizję. Wykonywał telefony. Zadzwonił do straży granicznej. Wydał nakazy zatrzymania. Cztery patrole trafiły na podobnych osobników i oddzwoniły.

Wendell Durfee miał jakieś blizny po nożu – fatalnie, kurwa mać – zatrzymani nie mieli żadnych blizn.

Zadzwonił do Lynette. Zadzwonił do Wayne'a Seniora. Lynette opłakiwała JFK. Wygadywała szampowe bzdury. Wayne Senior sypał żartami:

Ostatnim słowem Jacka była „cipka”. Jack na łożu śmierci obmacywał pielęgniarkę i zakonnicę.

Podeszła Janice. Janice wychwalała elegancję Jacka. Janice opłakiwała

jego fryzurę. Wayne się roześmiał. Wayne Senior był łyсы. Janice Tedrow – *touché!*

Zadzwonili z obsługi. Powiedzieli: „Przykro nam. Wiemy, że spóźniamy się z pańską kolacją”.

Wayne oglądał telewizję. Podkręcił dźwięk. Trafił na konferencję prasową.

Dziennikarze rzucali pytania. Jeden gliniarz się burzył. Oswald był „samotnym katem!”. Wayne zobaczył Jacka Ruby’ego. Jack niósł psa. Rozdawał pióra wieczne w kształcie fiuta i inne erotyczne gadzety.

Gliniarz się uspokoił. Powiedział: „Jutro przenosimy Oswalda – najlepiej chyba tak przed południem”.

Zadzwoił telefon. Wayne ściszył dźwięk. Odebrał.

– Słucham?

– Tu Buddy Fritsch. Przez cały dzień próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– Przepraszam, panie poruczniku. Tutaj wszystko stoi trochę na głowie.

– Domyślałem się. Domyślałem się także, że wpadłeś na Wendella Durfee’ego i pozwoliłeś mu uciec.

Wayne zacisnął pięści.

– Kto panu powiedział?

– Straż graniczna. Weryfikowali twój list gończy.

– Chce pan usłyszeć moją wersję?

– Nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Nie chcę wiedzieć, dlaczego wałkonisz się w swoim luksusowym apartamencie, podczas gdy powinienes być w terenie i przetrząsać okoliczne zarośla.

Wayne kopnął podnózek. Walnął nim w telewizor.

– Czy wie pan, jak *długa* jest granica? Wie pan, jak wiele jest tam przejść? Fritsch zakaszłał.

– Wiem, że siedzisz z dupą i czekasz na to, aż do ciebie oddzwonią, a to nigdy nie nastąpi, jeżeli ten smoluch zapadł się pod ziemię gdzieś w Dallas. I wiem jeszcze, że używasz sobie teraz za te sześć kawałków, które dali ci chłopcy od kasyn, nie kiwając palcem w sprawie, za której załatwienie ci zapłacili.

Wayne kopnął dywanik.

– Nie prosiłem o te pieniądze.

– Jasne, że nie. Ale też nie odmówiłeś ich przyjęcia, bo jesteś typem kolesia, który lubi, by wilk był syty i owca cała, więc...

– Panie poruczniku...

– Nie przerywaj mi, dopóki nie przewyższysz mnie rangą, i pozwól, że coś ci teraz powiem. W Wydziale na dwoje babka wróżyła. Są chłopcy, którzy twierdzą, że Wayne Junior to facet z jajami, ale są też tacy, co mówią, żeś ciota. Zrozum, jeżeli załatwisz to, jak należy, zamkniesz tym drugim gęby i sprawisz, że wszyscy będą z ciebie *naprawdę* dumni.

Do oczu nabiegły mu łzy.

– Panie poruczniku...

– Tak już lepiej. To jest Wayne Junior, którego chętnie słucham.

Wayne przetarł oczy.

– On jest na granicy. Intuicja mi to podpowiada.

Fritsch się roześmiał.

– Myślę, że intuicja podpowiada ci wiele rzeczy, a ja podpowiem ci jedno. Te akta, które ci dałem, pochodziły od szeryfa, więc sprawdź, czy są też jakieś w Wydziale Policji. Ten czarnuch musi znać jakichś innych czarnuchów w Dallas albo nie nazywam się Byron B. Fritsch.

Wayne chwycił kaburę. Zatkane ucho wreszcie się odblokowało.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– *Nie*. Ty go znajdziesz i zabijesz.

Wartownik przy drzwiach go wpuścił. Za nim wdarli się Shrinersi³. Na schodach panował ścisk. W korytarzach tłok. Windy były pełne jak konserwy z sardynkami.

Ludzie wpadali na siebie. Ludzie pochłaniali hot dogi. Ludzie rozlewali kawę i colę. Shrinersi się pchali. Mieli na głowach te swoje śmieszne czapeczki. Wymachiwali piórami i notesami na autografy.

Wayne szedł za nimi. Stratowali operatorów kamer. Przeciskając się, torowali sobie drogę na górę.

Dotarli na drugie piętro. Dotarli do pokoju operacyjnego. Był zatłoczony ponad miarę. Gliniarze. Dziennikarze. Przestępcy przykuci kajdankami do krzeseł. Poprzypinane identyfikatory: odznaki policji policyjne/ gwiazdy Biura Szeryfa/ legitymacje prasowe.

Wayne przypiął swoją odznakę. Hałas sprawiał mu ból. Ucho znów się zatkało. Obejrzał się. Zobaczył część przeznaczoną tylko dla pracowników. Zobaczył dziuple przesłuchań i drzwi do pokoi.

Włamania/Włóczęstwo. Kradzieże samochodów/ Fałszerstwa.

Zabójstwa/Podpalenia/Kradzieże.

Ruszył tam. Potknął się o jakiegoś menela. Jakiś pismak się zaśmiał. Menel potrząsnął łańcuszkiem od kajdanek. Menel wygłaszał monolog:

Jackie potrzebny jest teraz wielki *braciole*. Wdowy za tym przepadają. W „Playboyu” tak napisali.

Wayne skręcił w boczny korytarz. Zaczął odczytywać tabliczki na drzwiach. Wayne ujrzał Maynarda Moore’a. Moore go nie zauważył. Moore stał w jakimś składziku. Uruchamiał powielacz.

Wayne przemknął obok. Potem minął pokój socjalny. Potem usłyszał ryczący telewizor. Jakiś gliniarz oglądał konferencję prasową – na żywo z piętra niżej.

Wayne zaglądał do pokoi. Minął go Jack Ruby – uwieszony jakiegoś *niesamowitego* draba. Czepiał się go. Zawracał mu głowę. Biadolił:

– Pete, Pete, *blaaagam*.

Wayne znalazł się koło celi. W środku miotali się jacyś frajerzy. Jeden z bok wystawił przez oczko w siatce swego fiuta. Głaskał go. Kręcił nim. Śpiewał coś o uroczym wieczorze.

Wayne zawrócił. Znalazł archiwum. Klitka z dwunastoma szufladami – dwie z nich oznaczone jako „Znane kontakty”.

Zamknął za sobą drzwi. Otworzył szufladę „A–L”. Znalazł niebieską kartotekę:

Durfee, Wendell.

Przejrzał ją. Ciągłe powtarzające się bzdury i jeden nowy kontakt:

Rochelle Marie Freelon – ur. 3.10.1939. Dwoje dzieci z Walniętym Wendellem. Harvey Street 8819/ Dallas.

Dwie notatki:

8.12.1956: Rochelle ukrywa Wendella/szeryf chce go dorwać/ ma już dziewięć nakazów zatrzymania. 5.07.1962: Rochelle pogwałca warunki swojego zwolnienia warunkowego.

Opuszcza Teksas. Jedzie samochodem do Vegas. Odwiedza Stęsknionego Wendella D. Brak informacji o samochodzie/ brak najświeższych kontaktów/ dwoje dzieci z Wendellem D.

Wayne spisał dane. Wayne odłożył akta. Wepchnął do szuflady luźne kartki. Wyszedł. Krążył po korytarzach. Minął pokój socjalny.

Jego uwagę przykuł telewizor. Zobaczył *coś dziwnego*. Zatrzymał się. Zajrzał do środka. Patrzył.

Jakiś gruby facet. Przed nim mikrofon. Jedna ręka na temblaku. *Jedna* ręka – obandażowana – *bez kciuka*.

Miał identyfikator: „Świadek Lee Bowers”.

Bowers mówił. Bowersowi łamał się głos.

– Przebywałem w wieży tuż przed strzałem... i... tego... naprawdę niczego nie widziałem.

Bowers znikł. Pojawiła się reklamowa kreskówka. Bóbr Bucky kłapał szczęką. Wyciskał pastę do zębów.

Wayne’owi zrobiło się zimno – poczuł dreszcze – jakby miał lód w gaciach.

Jakiś gliniarz spytał:

– Nic panu nie jest? Zbladł pan jak ściana.

Wayne pożyczył z Wydziału Policji samochód. Wayne pojechał sam.

Dowiedział się o drogę. Harvey Street znajdowała się w Czarnogrodzie. Gliniarze nazywali to miejsce Kongo albo Asfaltydą.

Bowers i Moore – powtórz to – bardzo powoooooli.

Wayne spróbował – to było łatwe – pryszcz.

Moore był świrem. Moore był skorumpowany. Moore żłopał ciągle piwo. Być może handlował prochami. Być może przyjmował zakłady. Bowers też mógł być skorumpowany. Pokłócili się. Moore się wkurzył. Moore odciął mu kciuk.

Wayne dojechał do Czarnogrodu. Wayne znalazł Harvey Street. Syfiasta okolica – szalasy i nory – niewydzielone, nieutwardzone podwórza.

Numer 8819: kompletny bezruch i ciemność.

Zaparkował przed domem. Włączył długie. Świeciły na jedyne okno: zero rolet/ zero mebli/ zero firanek.

Wayne wysiadł. Wayne chwycił latarkę. Wayne okrążył budę. Przeszedł przez podwórze. Wpadł na jakieś meble.

Jeden wielki bajzel – jak na podwórzowej wyprzedaży. Kanapy i fotele – tandeta.

Zaklął. Światło latarki obudziło kurę. Napuszyła się. Pokazała pazury. Zagdakała.

Wayne kopnął poduszkę. Jakieś światło padło *na niego*. Jakiś facet się zaśmiał.

– To teraz moja własność. Mam kwit, który to potwierdza.

Wayne zasłonił oczy.

– Wendell Durfee to panu sprzedał?

– Zgadza się. On i Rochelle.

– Powiedział, dokąd się wynoszą?

Facet zakaszłał.

– Poza jurysdykcję tych południowych wsioków.

Wayne podszedł. Facet był tłustym Mulatem. Obrócił latarkę. Snop światła podskoczył.

Wayne powiedział:

– Nie jestem z Wydziału Policji Dallas.

Facet postukał w jego odznakę.

– Bo jest pan tym gościem z Vegas, który szuka Wendella.

Wayne się uśmiechnął. I rozpiął marynarkę. I poprawił pasek. Facet włączył światło na werandzie. Podwórze zajaśniało. Pojawił się pitbull.

Cętki i mięśnie. Szczęki mocne jak imadło.

Wayne rzekł:

– Ładny pies.

Facet rzekł:

– Lubił Wendella, więc i ja go lubiłem.

Wayne podszedł. Pit polizał go po ręce. Wayne podrapał go za uszami.

Facet rzekł:

– Ale nie zawsze stosuję tę zasadę.

Pitowi się spodobało. Pit przewrócił się na grzbiet i zaczął przebierać łapami.

– Bo jestem policjantem?

– Bo Wendell powiedział mi, jak pracujecie.

– Wendell próbował mnie zabić, panie...

– Jestem Willis Beaudine, a Wendell próbował pana zabić, bo pan próbował zabić jego. A teraz niech mi pan powie, że Rada Zarządców Kasyn nie sypnęła panu ekstra kasą, wysyłając pana na to polowanie na Wendella.

Wayne przysiadł na stopniach werandy. Pit trącał go nosem.

Beaudine powiedział:

– Psy dają się nabrać tak samo łatwo jak ludzie...

– I mówi pan, że Wendell i Rochelle prysnęli do Meksyku.

Beaudine się uśmiechnął.

– Razem z dzieciakami. Mam zgadywać? Założę się, że dokładnie w tej

sekundzie siedzą w sombreroach na leżakach i mają niezły ubaw.

Wayne pokręcił głową.

– Kolorowym nie jest tam łatwo. Meksykanie nienawidzą ich tak samo jak niektórzy ludzie w Vegas.

Beaudine pokręcił głową.

– Jak większość ludzi albo i wszyscy, chciał pan powiedzieć. Tak jak tamten rozdający, którego Wendell pociachał. Ten sam facio, który nie pozwala kolorowym sikać w swojej łazience, ten sam facio, który pobił staruszkę, bo sprzedawała na jego parkingu naszą prasę.

Wayne się rozejrzał. Meble na podwórzu zbierały kurz. Meble na podwórzu cuchnęły.

Rozsypane jedzenie. Wóda. Psie zapachy. Odrapane drewno i porozpruwana tapicerka.

Wayne się przeciągnął. Zatkane ucho się odblokowało. Wpadł na pewien Szalooooony Pomysł.

– Może pan dla mnie zadzwonić pod numer zamiejscowy?

Beaudine podciągnął spodnie.

– Jasne... chyba mogę.

– Posterunek straży granicznej w Laredo. Z przywołaniem. Niech pan poprosi dowódcę zmiany.

Beaudine podciągnął spodnie. Wayne się uśmiechnął. Beaudine strzelił paskiem – głośno.

Szaleeeeeeństwo...

Beaudine wszedł do środka. Włączył tam jakieś lampy. Wreszcie wykręcił numer. Wayne pogłaskał pita. Pit dał mu buzi. Pit przejechał mu po twarzy jęzorem.

Beaudine przyciągnął do drzwi telefon. Sznur się napiął. Wayne złapał słuchawkę.

– Kapitanie?

– Tak? Kto mówi?

– Sierżant Tedrow z Wydziału Policji Las Vegas.

– O, cholera. Miałem nadzieję, że pan zadzwoni, jak już będziemy mieli dobre wieści.

– A są jakieś złe?

– Tak. Pański zbieg, kobieta z dwójką dzieci, próbowała przekroczyć granicę w McAllen jakąś godzinę temu, ale ją zawróciliśmy. Jechał z nimi

i ten pański chłoptaş, ale był zamroczony i nikt go na czas nie rozpoznał. Porucznik Fritsch przesłał nam teleksem jego zdjęcie, tyle że nie kapnęliśmy się, dopóki...

Wayne się rozłączył. Beaudine chwycił telefon. Beaudine strzelił paskiem – *mocno*.

– Lepiej, żeby to było coś dobrego. Ta rozmowa kosztowała dwa dolce.

Wayne wyciągnął portfel. Wayne wygrzebał dwa dolary.

– Jak spróbuje przekroczyć granicę jeszcze raz, to go złapią. Ale jeśli wróci tutaj, niech pan mu powie, że przyjdę do niego sam.

Beaudine podciągnął spodnie.

– Po co miałby pan tak ryzykować dla Wendella?

– Lubi mnie pański pies. Powiedzmy, że dlatego.

Bar w Adolphusie – sami faceci w środku nocy. Wielka stypa po Jacku.

Stołki dla zwolenników Jacka. Stołki dla przeciwników Jacka tuż obok. Młodość. Loty w kosmos. *Ich bin ein Berliner*⁴.

Wayne usiadł pomiędzy dwiema frakcjami. Jazgot docierał do niego w stereo.

Udające kowbojów śmieci – że niby wysocy – jakby nie mieli butów na obcasach. Mówili o Jacku „Jack”. Pozwalali sobie – jakby wszyscy bzykali panienki w Hyannis.

Pieprzyć ich. To *on* spał teraz w łóżku Jacka. To *on* tarzał się w jego pościeli.

Wayne się upił. A Wayne *nigdy* się nie upijał. A teraz upił się najdroższą whisky.

Szklanka nr 1 – pieczenie. Szklanka nr 2 – obrazek: kciuk Lee Bowersa. Szklanka nr 3 – ciepło w jądrach. I *te* obrazki: Janice w bluzeczce bez pleców i skąpych spodenkach.

Jack miał w sobie krew charta. Tak twierdził Wayne Senior. Martin Luther King rznął białe cipki.

Szklanka nr 4 – kolejne obrazki:

Durfee próbuje przekroczyć granicę. Straż graniczna go gubi. Wayne spieprzył robotę. Wayne zostaje wezwany do domu. Buddy Fritsch zatrudnia nowego faceta. Rzeczony facet zabija Wendella D.

Wayne spieprzył robotę. Fritsch opierdala go za to. Fritsch wypierdala go z Wydziału Policji Las Vegas. Wayne Senior mówi: nie wypierdalaj mojego

synka. Następuje triumfalna eskalacja pierdolenia.

Szklanka nr 5:

Kciuk/ pogoń w zaułku/ rozpieprzona gra w kości.

Jack wysłał człowieka na orbitę. Jack stchórzył przed Chruszczowem. Jack pchnął tego szwarca na Uniwersytet Missisipi⁵.

Wszedł Maynard Moore. Przyprowadził kogoś. Pete'a – tego draba od Jacka Ruby'ego.

Moore dostrzegł Wayne'a. I się zbliżył. Pete przywłókł się za nim.

Moore powiedział:

– Dawaj, poszukajmy tego smolucha. Mój kumpel Pete nie znosi smoluchów, prawda, *sahib*?

Pete się uśmiechnął. Pete przewrócił oczami. Pete miał niezły ubaw z wsioka Moore'a.

Wayne żuł kostki lodu.

– Pierdol się. Sam go znajdę.

Moore oparł się o bar.

– Twojemu tatusiowi by się to nie spodobało. To by oznaczało, że jabłko upadło *bardzo* daleko od jabłoni.

Wayne chlusnął swoim drinkiem. Trafił w Moore'a – prosto w oczy. Burbon palił – palił jak sto diabłów – wysoka jakość potwierdzona.

Frajer przetaił oczy. Frajer zapiszczał.

8

(Dallas, 24 listopada 1963)

Pete się spóźniał. Littell patrzył przez okno.

Jego pokój znajdował się wysoko. Okno wychodziło na kościół. Ludzie gromadzili się na nocne nabożeństwo.

Littell obserwował. Mszę obwieszczał plakat – zdjęcie Johna K. w czarnych ramkach.

Dzieciaki już go przerobiły. Littell widział je późnym popołudniem. Potem poszedł na obiad. Zobaczył ich robotę z bliska.

Jack miał kły. Jack miał rogi diabła. Jack mówił: „Jestem homo!”.

Żałobnicy napływali. Wiatr zerwał plakat. Jakaś kobieta go podniosła. Ujrzała nowy wizerunek Jacka. Zgniotła papier.

Przejechał jakiś wóz. Ktoś wystawił rękę i pokazał środkowy palec. Kobieta zaczęła szlochać. Kobieta się przeżegnała. Kobieta ścisnęła paciorki różańca.

Statler nie był drogi. Biuro rezerwowało raczej tanie pokoje. Widok z okna rekompensował wszystko.

Pete się spóźniał. Pete był z tym gliniarzem od wsparcia. Gliniarz znał szczegóły. Gliniarz miał skopiowany na powielaczu plan sytuacyjny.

Littell obserwował kościół. To go bawiło. Pomagało nie myśleć o Arden.

Rozmawiali przez parę godzin. Krążyli wokół TEGO. On zaszyfrował wiadomość: WIEM. WIEM, że ty WIESZ. Nie obchodzi mnie, skąd WIESZ. Nie obchodzi mnie, co ROBIŁAŚ.

Ona zaszyfrowała wiadomość: *Nie będę próbowała zgłębić twojego w tym udziału.* Nikt nie powiedział: „Jack Ruby”.

Rozmawiali. Robili uniki. Ustalali reguły gry.

Powiedział, że jest prawnikiem. Że był w FBI. Że ma gdzieś w świecie eks-żonę i eks-córkę. Ona przyglądała się bliznom na jego twarzy. Wyznał szczerze: zafundował mi je najlepszy kumpel.

*Le frère Pete – un Francuz sanglant*⁶.

Ona powiedziała, że podróżuje. Że ima się różnych zajęć. Że kupuje i sprzedaje akcje, i zarabia pieniądze. Powiedziała, że ma eks-męża. Nie powiedziała, jak on się nazywa.

Zrobiła na nim wrażenie. Wiedziała o tym. Zaszifrował wiadomość: jesteś w to jakoś zamieszana. Udajesz. Ale nie dbam o to.

Znała Jacka Ruby'ego. Użyła słowa „grillowanie”. Nie zareagował. Udzielił jej porady. Kazał znaleźć motel.

Powiedziała, że tak zrobi. Dał jej swój numer do hotelu. Proszę, zadzwoń do mnie. Proszę, jak najszybciej.

Chciał jej dotknąć. Nie zrobił tego. Ona raz dotknęła jego ramienia. Opuścił ją. Pojechał do FBI.

W Biurze było pusto – zero agentów – pan Hoover się o to postarał. Pogrzebał w szufladach. Znalazł akta Tippita.

Pete się spóźniał. Littell przejrzał więc te akta. Pełno w nich było bełkotu i dygresji.

Wydział Policji Dallas był bardzo na prawo: kliki Klanu i Stowarzyszenia Johna Bircha. Najróżniejsze odłamy: Narodowa Partia Praw Stanów/ Pospolite Ruszenie/ Legion Gromu.

Tippit był „sklanowany”. Wstąpił do Koalicji Klanu na rzecz Nowej Konfederacji. Jej szefem w Wydziale Policji Dallas był Maynard D. Moore. Moore był wtyczką FBI. Szefem Moore'a był Wayne Tedrow Senior.

Tedrow Senior: „Pamflecista”/ „Organizator zbiórek pieniędzy”/ „Przedsiębiorca”/ „Udziałowiec wielu holdingów w Las Vegas”.

Ciekawe dane – znajome – „niedoszły Führer” pana Hoovera.

Littell czytał. Littell notował dane. Tedrow Senior go fascynował.

Gromadził fundusze dla prawicowców. Mógł znać Guya B. Guy zebrał o fundusze dla prawicowców. Jakies grube ryby zasilaly fundusz na mokra robotę.

Littell czytał dalej. Littell notował dane. Littell odnotowywał możliwe powiązania.

Wsparcie Guya dla Tippita – przyjaciel J.D. Tippita – zakład, że to Maynard D. Moore.

Zakład: pan Hoover o tym wiedział. Pan Hoover domyślił się powiązania.

Littell czytał dalej. Życiorys Tedrowa Seniora stawał się coraz bogatszy.

Zatrudniał wyłącznie mormonów. Miał kontakty w bazie sił powietrznych Nellis. Był ściśle powiązany z Komisją Kontroli Gier. Miał syna: policjanta

w Vegas.

Senior ukrywał dane przed Juniorem. Junior pracował w sekcji wywiadowczej. Junior przechowywał akta komisji. Junior ukrywał dane przed Seniosem. Senior „asystował” panu Hooverowi. Senior „szerzył propagandę”.

Na temat: Martina Luthera Kinga/ Konferencji Przywódców Chrześcijańskich Południa (SCLC).

Littell przerzucał kartki. Littell robił notatki. Howard Hughes kochał mormonów. Mormoni mieli „nieskazoną” krew. Tedrow Senior był mormonem. Senior miał powiązania z mormonami.

Littell potarł oczy. Rozległ się dzwonek u drzwi. Littell wstał i otworzył.

Pete wszedł. Prosto do krzesła przy biurku. Rozparł się na nim.

Littell zamknął drzwi.

– Aż tak źle?

Pete odparł:

– Źle. Plan wygląda nie najgorzej, ale on nie stuknie Oswalda. Jest świrem, ale kompletnie mu jeszcze nie odbiło.

Littell potarł oczy.

– Maynard Moore, zgadza się? Tak się nazywa.

Pete ziewnął.

– Guy się stacza. Zwykle lepiej ukrywa nazwiska.

Littell pokręcił głową.

– To pan Hoover go wydał. Miał teczkę Tippita. Domyślił się, że Moore musi być gdzieś blisko.

– To twoja własna interpretacja, co? Hoover nie mógł być aż tak konkretny.

– Nigdy nie jest.

Pete strzelił palcami.

– Jak bardzo się boisz?

– Raz bardziej, raz mniej, ale nie pogardziłbym jakąś miłą wiadomością.

Pete zapalił papierosa.

– Rogersowi udało się dotrzeć do Juarez. Ten zawodowy strzelec dotarł do granicy, ale straż go zatrzymała i sprawdziła paszport. Guy mówił, że to rodowity Francuz.

Littell rzekł:

– Guy za dużo gada.

– Boi się. Wie, że Carlos myśli sobie: „Gdybym postawił na ekipę Pete’a i Warda, nie byłoby teraz tego całego szamba”.

Littell wyczyścił okulary.

– I gdzie on jest?

– Pojechał z powrotem do Nowego Orleanu. Ma nerwy w strzępach i łyka prochy na uspokojenie jak jakiś pieprzony ćpun. Całe to gówno jest teraz na jego głowie i on to wie.

Littell rzekł:

– I?

Pete uchylił okno. Wpadło zimne powietrze.

– I co?

– Jest chyba coś więcej. Guy nie wróciłby do siebie, gdyby nie miał jakiegoś usprawiedliwienia, które mógłby wcisnąć Carlosowi.

Pete wyrzucił przez okno papierosa.

– Jack Ruby wie. Przywiózł jednego ze swoich przydupasów i jakieś babki do kryjówki. Widzieli kukły naszego celu i karabiny. Guy mówi, że powinniśmy ich rąbnąć. Myślę, że zasugeruje to Carlosowi, żeby tylko wykupić się z tego gnoju.

Littell zakaszłał. Jego puls przyspieszył. Wstrzymał oddech.

– Nie możemy sprzątnąć czterech osób będących tak blisko akcji. To by było zbyt oczywiste.

Pete się roześmiał.

– Do cholery, Ward, mów wprost. Ja nie mam odwagi zabijać cywili, więc czemu ty miałbyś ją mieć?

Littell się uśmiechnął.

– Wyłączmy może z tego Ruby’ego.

Pete wzruszył ramionami.

– Mnie też Jack ani ziębi, ani grzeje.

– A zatem kobiety. To o nich mówimy.

Pete strzelił stawami kciuków.

– I nie zamierzam się spierać. Jedną z nich już ostrzegłem, ale nie mogłem namierzyć drugiej.

– Podaj mi ich nazwiska.

– Betty McDonald i Arden jakaś tam.

Littell dotknął krawata. Littell podrapał się po karku. Przy pomocy rąk chciał opanować nerwowość. Skrzywił się mimowolnie. Przełknął.

Zachłysnął się powietrzem. W pokoju było zimno. Zamknął okno.

– Zostaje Oswald.

– Tak. Jak zniknie, wszystko się skończy.

– Kiedy go przenoszą?

– O jedenastej trzydzieści. Jeśli do tej godziny nie sypnie łącznika z Guyem, będziemy mogli uznać sprawę za niebyłą.

Littell zakaszłał.

– Załatwiłem sobie rozmowę z nim w cztery oczy. Szef agentów specjalnych twierdzi, że facet nic nie powiedział, ale chcę się upewnić.

Pete pokręcił głową.

– Bzdura. Chcesz się do niego zbliżyć. Chcesz z nim przeprowadzić numer z jakimś pieprzonym rozgrzeszeniem, żebyś później mógł go udzielić samemu sobie.

In nomine patris, et filii et spiritus sancti, Amen.

– Miło, że jest ktoś, kto mnie tak dobrze zna.

Pete się roześmiał.

– Nie robię ci wyrzutów. Chcę tylko zakończyć tę pieprzoną sprawę.

Littell powiedział:

– A ten Moore. Nie ma takiej możliwości, żeby...

– *Nie*. On za dużo wie, za dużo pije, za dużo gada. Jakby sprzątnął Oswalda, trzeba by też sprzątnąć *jego*. Taka jest prawda.

Littell spojrział na zegarek. Cholera – 1.40, środek nocy.

– Ale to policjant. Może mieć dostęp do celi w podziemiu.

– *Nie*. Jest zbyt szalony. Pracuje nad jakąś ekstradycją z jednym gliniarzem z Vegas i zachowuje się wobec faceta w najgorszy możliwy sposób. Nie o kogoś takiego nam chodzi.

Littell przetarł oczy.

– Jak się ten facet nazywa? Ten glina, znaczy się.

– Wayne jakiś tam. A bo co?

– Tedrow?

Pete odparł:

– No, ale co cię to obchodzi? On nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, a pieprzony zegar tyka.

Littell zerknął na zegarek. Carlos mu go kupił. Złoty rolex/ czysta pretensjonal...

– Ward, czy ty jesteś w jakimś pieprzonym transie?

Littell odrzekł:

– A Jack Ruby...

Pete odchylił się z krzesłem do tyłu. Zatrzeszczały nogi.

Littell ciągnął:

– Jest stuknięty. Boi się nas. Boi się mafii. Ma siedmioro rodzeństwa, które możemy zastraszyć.

Pete się uśmiechnął.

– I gliniarze wiedzą, że ma świra. Nosi przy sobie broń. Przez cały weekend plątał się po komendzie i powtarzał, że ktoś powinien zastrzelić tego komucha. Chyba setka pieprzonych dziennikarzy go słyszała.

Littell rzekł:

– Ma też problemy z urzędem skarbowym.

– Kto ci powiedział?

– Wolę tego nie zdradzać.

Zerwał się wiatr. Szyba w oknie zadygotała.

Pete rzekł:

– I?

– I co?

– Jest chyba coś więcej. Chcę wiedzieć, dlaczego podejmiesz to ryzyko z psycholem, który zna nas obu.

*Cherchez la femme, Pierre*⁷.

– To będzie taka wiadomość. Zaszifrowana wiadomość dla każdego, kto tylko był w tamtej kryjówce, że ma wiać.

9

(Dallas, 24 listopada 1963)

Weszła Barb. Miała na sobie jego prochowiec. Za długie rękawy. Za szerokie ramiona. Ciągający się niemal po ziemi dół. Rzuciła:

– Cholera.

Pete spojrzał na jej lewą dłoń. Ujrzał obrączkę.

Podniosła rękę.

– Nie myśl, że się gdzieś wybieram. Staram się po prostu do tego przywyknąć.

Pete nosił obrączkę w kieszeni. Okazała się za mała – pieprzony pigmejski rozmiar.

– Ja przywyknę do tego, jak mi ją powiększą.

Barb pokręciła głową.

– Przywykniesz do *tego*. Co zrobiłeś...

Pete wyciągnął swój złoty krążek. Próbował wepchnąć go na palec. Dźgał tylko dziurę.

– Powiedz mi coś miłego, co? Powiedz mi, jak ci się udał ostatni występ.

Barb zrzuciła płaszcz.

– Twist się skończył, tylko Dallas jeszcze o tym nie wie...

Pete się przeciągnął. Koszula na brzuchu mu się rozchyliła. Barb zobaczyła sploty.

– Wychodzisz.

– To nie potrwa długo. Zastanawiam się tylko, gdzie ty będziesz, kiedy wrócę...

– A ja zastanawiam się, kto jeszcze wie. Ja wiem, więc muszą być inni.

Jego ból głowy powrócił. Jego ból głowy znalazł sobie nową pożywkę.

– Każdy, kto wie, ma w tym jakiś udział. To się nazywa tajemnica poliszynela.

Barb rzekła:

– Boję się.

- Nie myśl o tym. Wiem, co robić.
 - Nie wiesz. Nigdy przedtem nic *takiego* się nie wydarzyło.
- Pete zapewnił:
- Wszystko będzie dobrze.
- Barb odrzekła:
- Bzdura.

Ward się spóźniał. Pete obserwował klub Carousel.

Stał dwa wejścia dalej. Jack Ruby wyganiał gliniarzy i dziwki. Wychodzili parami. Ładowali się do aut. Dzwki pobrzękiwały kluczykami.

Jack zamykał klub. Jack dłubał ołówkiem w uszach. Wykopał psi bobek na ulicę.

Jack wszedł z powrotem do środka. Jack gadał do swoich kundli. Gadał bardzo głośno.

Było zimno. Było wietrznie. W powietrzu wirowały śmieci pozostałe po kawalkadzie: pudełka po zapalkach/ confetti/ chorągiewki z Jackiem & Jackie.

Ward się spóźniał. Ward mógł być z „Arden”.

Ledwo opuścił pokój Warda, usłyszał telefon. Ward popychał go do działania. Widział Warda z Arden. Oni go nie widzieli. I sprzedał Wardowi opowieść o kryjówce.

Powiedział: „Arden”. I Ward się zagotował. Napuścił Warda na Ruby’ego. Ward nie zagrał w otwarte karty.

Pieprzyć to – przynajmniej na razie.

Psy Jacka ujadły. Jack gadał do nich jak do dzieci. W jidysz. Jazgot niósł się na zewnątrz. Podjechała bryka FBI. Wysiadł Ward. Kieszenie marynarki miał wypchane.

Podszedł. Rozładował kieszenie – rekwizyty twardego gliniarza.

Kastet/ sznur/ meksykański sprężynowiec.

– To z depozytu Wydziału Policji. Nikt mnie nie widział.

– Przemyślałeś to.

Ward z powrotem spakował rekwizyty.

– To w *razie* gdyby się nie zgodził.

Pete zapalił papierosa.

– Pociachamy go i upozorujemy włamanie.

Zaskamlał pies. Ward się wzdrygnął. Pete zaciągnął się papierosem.

Końcówka zajaśniała czerwienią.

Podeszli. Ward zastukał do drzwi. Pete zawołał, przeciągając z teksańska samogłoski:

– Jack! Hej, Jack, chyba zostawiłem tu portfel!

Zaszczekały psy. Drzwi się otworzyły. Pojawił się Jack. Zobaczył ich. Powiedział:

– O! – Szczeka mu opadła i tak już została.

Pete pstryknął niedopałkiem do środka. Jack zakrztusił się dymem. Jack zakaszłał i splunął flegmą.

Pete zamknął drzwi. Ward złapał Jacka. Pete go szturchnął. Pete go obszukał. Pete wyciągnął mu spluwę zza pasa.

Ward go uderzył. Jack upadł. Jack się skulił i zassał głośno powietrze.

Wszędzie biegały psy. Psy siedziały też przy wybiegu. Ward złapał spluwę. Wyrzucił pięć nabojów.

Przykląkł. Jack zobaczył spluwę. Jack zobaczył jeden nabój. Ward zamknął bębenek. Ward zakręcił. Ward wycelował w głowę Jacka.

Nacisnął spust. Kurek pstryknął. Jack załkał i zassał powietrze. Ward zakręcił bębenkiem. Ward nacisnął na spust. Ward strzelił na sucho w głowę Jacka.

Pete powiedział:

– Sprzątniesz Oswalda.

Jack załkał. Jack zakrył uszy. Jack pokręcił głową. Pete chwycił go za pas. Pete go podniósł. Jack wierzgał, kopał krzesła i stoły.

Ward podszedł. Pete upuścił Jacka przy wybiegu. Psy ujadają i warcząły.

Pete podszedł do baru. Złapał butelkę whisky. Złapał garść psich przysmaków. Rozsypał przysmaki po podłodze. Psy się na nie rzuciły. Ward wlepił wzrok we flaszkę. Ward był alkoholikiem. Ward był na odwyku. Gorzała robiła z niego łamagę.

Przysunęli krzesła. Jack łkał. Jack wycierał kinola. Psy pożerały przysmaki. Psy dreptały i sapały. Psy srały jakby nigdy nic przy wybiegu.

Jack usiadł. Jack opasał rękoma kolana. Jack wcisnął plecy w szczeble oparcia. Pete złapał jakąś bezpańską szklanekę. Pete wrzucił jakieś resztki lodu i nalał whisky.

Jack przyglądał się własnym butom. Jack ścisnął zawieszoną na łańcuszku gwiazdę Dawida.

Pete powiedział:

– *Lechaim!*

Jack podniósł wzrok. Pete zakołysał szklanką. Jack pokręcił głową. Ward zakręcił bębenkiem. I odciągnął kurek.

Jack złapał szklankę. Ręka mu drżała. Pete wcisnął mu szklankę do ust. Jack wypił. Jack zakaszłał i sapnął. Jack nie wypluł.

Ward powiedział:

– Przez cały weekend gadałeś, że ktoś to powinien zrobić.

Pete powiedział:

– Dostaniesz za to najwyżej półtora roku. A jak wyjdiesz, zorganizują ci triumfalny przejazd przez miasto.

Ward:

– To miasto będzie twoje.

Pete:

– On stuknął tego całego Tippita. Będą cię wielbić wszyscy gliniarze w Dallas.

Ward:

– Skończą się twoje problemy finansowe.

Pete:

– Zastanów się. Nieopodatkowana dożywotnia emerytura.

Jack powiedział:

– Nie. – Pokręcił głową.

Ward machnął pistoletem. Ward zakręcił bębenkiem. Ward wycelował w głowę Jacka. Nacisnął spust *dwukrotnie*. Dwa razy puste komory.

Jack łkał. Jack się modlił – monotonna żydowszczyzna.

Pete nalał mu jeszcze – whisky, tak na trzy palce – Jack pokręcił głową. Pete złapał go za kark. Otworzył mu gębę. Wlał mu whisky do gardła.

Jack nie wypluł. Zakaszłał tylko i sapnął.

Pete powiedział:

– Wyremontujemy klub i pozwolimy go prowadzić twojej siostrze Evie.

Ward powiedział:

– Albo wykończymy całe twoje rodzeństwo.

Pete:

– Zarobi tu fortunę. Ten lokal stanie się miejscem kultu dla całego narodu.

Ward:

– Albo podpalimy go i zostaną zgliszczka.

Pete:

– Kapujesz już?

Ward:

– Wiesz już, jaki masz wybór?

Pete:

– Jeśli powiesz „nie”, zginiesz. Jeśli powiesz „tak”, będziesz miał świat u swoich stóp. Jeśli spieprzysz robotę, wtedy „Szalom, Jack”, próbowałeś, ale my nie lubimy porażek i bardzo nam przykro, że musimy skasować całą twoją rodzinę.

Jack powiedział:

– Nie.

Pete:

– Znajdziemy twoim pieskom jakiś miły dom. Ucieszą się, jak cię zobaczą, gdy wyjdiesz.

Ward:

– Albo cię zabijemy.

Pete:

– Skończą się twoje kłopoty z urzędem skarbowym.

Ward:

– Albo wszyscy, których kochasz, zginą.

Jack powiedział:

– Nie.

Pete strzelił knykциями. Ward wyciągnął zza paska pałkę – kawał giętkiej rury wypełnionej grubym śrutem.

Jack wstał. Pete go posadził.

Jack sięgnął po flaszkę. Pete wylał jej zawartość. Zachował tylko coś na popitkę.

Jack powiedział:

– Nie. *Nie nie nie nie nie.*

Ward zdzielił go pałką – raz po żebrach – łup.

Jack się zwinął. Jack ucałował gwiazdę Dawida. Jack ugryzł się w język.

Ward chwycił go za pas. Ward go powlókł. Ward wrzucił go do kantorka. Ward kopniakiem zamknął drzwi.

Pete się śmiał. Jack zgubił but i spinkę do krawata. Ward zgubił okulary.

Pete słyszał głucho uderzenia. Jack wrzeszczał. Psy się obudziły. Pete łyknął aspirynę i popił whisky. Psy jazgotały. Zrobił się wielki harmider.

Pete zamknął oczy. Pete rozmasował kark. Pete zmagął się z bólem

głowy – *kurwa mać*.

Poczuł dym. Otworzył oczy. Dym płynął przez kratkę wentylacyjną w ścianie. Wylatywał też tamtędy popiół.

Arden...

Ward wziął Jacka na stronę. Pete wiedział dlaczego. Rób, czego chcemy/ rób, czego *ja* chcę/ ani słowa o NIEJ. I spalił akta Jacka. Spalił JEJ nazwisko. Spalił Arden – JAK-JEJ-TAM?

Jack wrzeszczał. Psy ujadły. Dym płynął przez kratkę. Dym sączył się i rozlewał po pomieszczeniu.

Drzwi się otworzyły. Dym buchnął. Wyfrunęły mokre drobinki popiołu. Szum wody w zlewie. Wrzaski. Potoczyły się drobne kulki.

Wyszedł Ward. Z jego pałki sypał się śrut. Z rury kapła krew. Ward się zatoczył. Przetarł oczy. Nadepnął na swoje okulary.

Powiedział:

– On to robi.

10

(Dallas, 24 listopada 1963)

Kac.

Od światła w pokoju bolały oczy. Od dźwięku telewizora bolały uszy. Mógł pomóc alka-seltzer. Wayne popijał i w myślach odtwarzał walkę.

Zamachnął się. Walnął Moore'a. Moore zamachnął się, oślepiony burbonem. Pete wszedł pomiędzy nich. Miał, kurwa, niezły ubaw.

Wayne oglądał telewizję. Obsługa się spóźniała – w tym hotelu to normalka.

Jakiś gliniarz miał mikrofon pod nosem. Mówił: „Przenosimy go. Proszę zrobić przejście”.

Willis Beaudine nie zadzwonił. Zadzwonił Buddy Fritsch. Buddy był informowany na bieżąco. Buddy rozmawiał ze strażnikami na granicy.

Wendell Durfee – wciąż na wolności.

Wayne przedstawił swój plan: mam wóz/ pojadę do McAllen/ dogadam się z tamtejszymi strażnikami.

Fritsch powiedział: „Weź ze sobą Moore'a. Jeśli stukniesz tego czarnucha, lepiej, żeby jakiś teksański glina był na twoje usługi”.

Wayne się spierał. Wayne niemal to powiedział: „Mój plan to lipa”.

Fritsch powiedział: „Sprzątnij go. Wreszcie, kurwa, na siebie zarób”.

Fritsch wygrał. Wayne przegrał. Grał na zwłokę. Oglądał telewizję. Do Moore'a w ogóle nie zadzwonił.

Wayne popijał alka-seltzer. Oglądał gliniarzy w stetsonach. Obraz w telewizorze zaczął skakać.

Walnął w pudło. Poruszył pokrętłami. Obraz się uspokoił.

Pojawił się Oswald. Oswald zakuty w kajdanki. Dwóch gliniarzy po bokach. Prowadzili go przez podziemie.

Wyskoczył jakiś facet. Ciemny garnitur, fedora. Wyciągnięte prawe ramię. Zrobił krok w przód. Wycelował pistolet. Strzelił bez pudła.

Wayne zamrugał. To się działo naprawdę – o, kurwa.

Oswald zgiął się wpół. Oswald jęknął:

– Oooo...

Gliniarze zamrugali. To się działo naprawdę – o, kurwa.

Zamieszanie. Ścisk. Strzelec na ziemi. Na brzuchu. Rozbrojony. Przyduszony płasko do posadzki.

Jeszcze raz... Zdaje się, że...

Kapelusz. Sylwetka. Profil. Ciemne oczy. Tusza.

Wayne chwycił telewizor. Potrząsnął nim. Skupił wzrok.

Sylwetka się powiększyła. Twarz ukazała się w pełni. Ktoś wrzasnął:

– Jack!

Nie. Ten dupek Jack Ruby – klub z dziwkami/ psie gówna/ ten...

Ktoś wrzasnął:

– Jack!

Jakiś facet zerwał mu kapelusz. Gliniarze go obezwładnili. Skuli. Postawili. Obszukali jego spodnie.

Obraz zaczął skakać. Lampy zaiskrzyły. Zadzwoił pieprzony telefon.

Obraz się uspokoił. Jakiś pismak wrzeszczał:

– Miejscowy klub nocny...

Wayne wstał. Wayne się potknął. Wayne złapał telefon. Wayne szarpnął słuchawkę.

– Słucham. Tedrow.

– Mówi Willis Beaudine. Pamiętasz pan, spotkaliśmy się...

– No, pamiętam.

– To dobrze, bo Wendell zgadza się na tę pańską propozycję. Nie wie, dlaczego pan to robisz, ale powiedziałem mu, że mój pies pana lubi.

Dźwięk zdechł. Jack poruszał ustami. Wielcy gliniarze obstawili go z dwóch stron.

Beaudine spytał:

– Facet, jesteś tam?

– Jestem.

– To dobrze. To bądź pan na parkingu numer 10 przy międzystanowej I-35, sto trzydzieści kilometrów na południe od Dallas. Powiedzmy o trzeciej. Aha, Wendell chce wiedzieć, czy masz pan kasę...

Gliniarze górowali nad Jackiem – wielkie byki – po jakies metr dziewięćdziesiąt w butach.

– Hej, facet. Jesteś tam?

– Niech pan mu powie, że mam sześć tysięcy.

– Hej, musisz pan lubić tę robotę.

Wayne się rozłączył. Obraz w telewizorze podskoczył. Oswalda nieśli w białym prześcieradle na łóżko.

11

(Dallas, 24 listopada 1963)

Widział to na żywo.

Włączył Kanał 4. Mrużył oczy, by coś zobaczyć. Potłukł okulary w klubie u Jacka.

Siedział w swoim pokoju. Oglądał show. Pokazali nawet jego spotkanie – godzinę wcześniej. Siedział z Lee Oswaldem. Rozmawiali.

Teraz Littell jechał I-35. Znaki przy autostradzie się zamazywały. Wybrał pas dla wolniejszych pojazdów i włókł się jak zółw.

Zeszłej nocy dzwoniła Arden. A Oswald zmarł w Parkland. Ruby'ego aresztowano.

Oswald obgryzał wtedy paznokcie. Littell zdjął mu kajdanki. Oswald rozmasował nadgarstki.

Jestem marksistą. Jestem kozłem ofiarnym. Nie będę się na ten temat rozwodził. Jestem za Fidelem. Oskarżam Stany Zjednoczone. Gardzę ich występkami wobec Kuby. Gardzę uchodźcami. Gardzę CIA. National Fruit to zło w czystej postaci. Zatoka Świń była szaleństwem.

Littell się zgadzał. Oswald zabiegał o przyjaciół. Łącznik Guya o tym wiedział. Littell pozostał oschły. Oswald to wyczuł. Oswald nic sobie z tego nie robił.

Trochę faktów. Trochę bredzenia wariata. Nie kochasz mnie – więc zabiję cię przy pomocy Prawdy.

Littell wyszedł. Przedtem skuł Oswalda z powrotem. Skuł go ciasno.

Znaki przy autostradzie się zamazywały. Drogowskazy migwały. Oznaczenia zjazdów z autostrady umykały. Littell dostrzegł „Grandview”. Littell zjechał na prawo. Zjechał z autostrady.

Zobaczył ukośne pasy na asfalcie. Zobaczył przydrożny bar.

Proszę...

Budynek przed nim – motelowe pokoje – jeden długi szereg.

Przeciął drogę dojazdową. Zaparkował przy barze. Przeszedł się wzdłuż

pokoi. Zmrużył oczy. Dostrzegł „14”.

Proszę... drzwi uchylone. I Arden na łóżku.

Littell wszedł. Zamknął drzwi. Wpadł na telewizor. Wyłączony. Pudło było ciepłe. Wyczuł papierosy.

Arden rzekła:

– Siądź tutaj.

Littell usiadł. Sprężyny w łóżku się ugięły. Arden przesunęła nogi.

– Wyglądasz inaczej bez okularów.

– Potłukły się mi.

Upięła wysoko włosy. Włożyła sukienkę z zielonej dzianiny.

Littell włączył lampę. Arden zamrugała. Littell pochylił lampę. To nieco zmniejszyło blask.

– Co zrobiłaś ze swoimi rzeczami?

– Wynajęłam magazyn.

– Na własne nazwisko?

– Żartujesz chyba. Wiesz przecież, że nie jestem taka niemądra.

Littell zakaszłał.

– Oglądałaś telewizję.

– Tak jak cały kraj.

– Wiesz o rzeczach, o których inni nie wiedzą.

– My mamy swoją wersję, oni swoją. Czy to próbujesz powiedzieć?

– Teraz to ty chyba żartujesz.

Arden przytuliła do siebie poduszkę.

– Jak go przekonałeś? Jak można sprawić, żeby ktoś zrobił coś tak szalonego przed kamerami telewizji?

– Trzeba zacząć od tego, że on sam był szalony. A stawka niekiedy jest tak wysoka, że może dziać cuda.

Arden pokręciła głową.

– Nie chcę znać szczegółów.

Littell pokręcił głową.

– Nie musimy o tym mówić.

Arden się uśmiechnęła.

– Zastanawiam się, dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, by mi pomóc.

– Wiesz dlaczego.

– Mogę poprosić, byś to powiedział.

– Powiem. Jeśli będziemy ciągnąć to dalej.

– *To?* Czy zdefiniujemy w końcu *cokolwiek* w naszych stosunkach?
Littell zakaszłał – przepełnione popielniczki/ zastały dym z papierosów.
– Popraw mnie, jeśli się mylę. Miewałaś już kłopoty, zdarzało ci się uciekać, wiesz, jak to się robi...
Arden skinęła.
– Jestem w tym niezła.
– To dobrze, bo mogę dla ciebie zdobyć zupełnie nową tożsamość.
Arden założyła nogę na nogę.
– Czy *to* zawiera w sobie jakąś klauzulę o jawności?
Littell pokiwał głową.
– Możemy zatrzymać parę sekretów dla siebie.
– To ważne. Nie lubię kłamać, chyba że naprawdę muszę.
– Jadę na kilka dni do Waszyngtonu. Potem będę musiał urządzić się w Las Vegas. Tam możesz się ze mną spotkać.
Arden złapała papierosy. Paczka była pusta – odrzuciła ją.
– Oboje wiemy, kto za tym stoi – rzekła. – *A ja* wiem, że wszyscy oni mają związki z Vegas.
– Ja dla nich pracuję. To jeden z powodów, dla których będziesz ze mną bezpieczna.
– Bezpieczniej czułabym się w LA.
Littell się uśmiechnął.
– Tam mieszka pan Hughes. A mnie będzie potrzebny dom albo mieszkanie.
– No to się spotkamy. Na tyle mogę ci zaufać.
Littell spojrział na zegarek – 13.24 – złapał telefon przy łóżku.
Arden skinęła głową. Przeciągnął telefon do łazienki. Sznur o mało co nie pękł. Zamknął drzwi. Wykręcił do Adolphusa. Centrala go połączyła.
Odebrał Pete.
– Tak?
– To ja.
– No. Jesteś moim bohaterem tygodnia. Nie miałem stuprocentowej pewności, czy to zrobi.
– A co z Moorem?
– *Koniec*. Będę go śledził i go dorwę.
Littell się rozłączył. Littell wrócił. Littell upuścił telefon na fotel.
Usiadł na łóżku. Arden się przysunęła. Arden rzekła:

– *Powiedz to.*

– Chwytam się samych niewłaściwych rzeczy i chcę, by wynikło z tego coś dobrego.

– To nie wystarczy.

Littell powiedział:

– Pragnę cię.

Arden dotknęła jego nogi.

12

(Dallas, 24 listopada 1963)

Powtórki:

Kciuk. Pete i Moore. Jack zabójca i Lee zabójca.

Wayne jechał autostradą I-35. Powtórki się mnożyły. Towarzyszył im dźwięk:

Wayne dzwoni do Moore'a. Mówi: „Spotkajmy się. Wpadłem na trop Durfee'ego”. Kłamie. Sypie szczegółami. Zakłócenia trzeszczą na linii i chrzanią połączenie.

Moore słyszy ostatnie słowo. Moore mówi: „...się zabawimy”.

Autostrada biegła płasko. Płaska i pusta wstążka czarnego asfaltu. Wzdłuż niej po bokach piaszczysta równina. Piaszczysta równina i suche zarośla. Zajęczy szkielet. Piach chrzęszczący w układzie wentylacji.

Dźwięk się zniekształcił. Rozmowę przerwało. Przez ten show Jacka i Lee wszystko mu się pieprzyło.

Wyskoczył jakiś królik. Wpadł na drogę. Umknął gładko przed jego kołami. Zerwał się wiatr. Wzbił w powietrze suche owoce krzewów i kawałki papieru.

Oto i znak: „Parking nr 10”.

Wayne zjechał. I rozejrzał się po parkingu – powoooooli.

Żwirowa nawierzchnia. Żadnych samochodów. Ślady opon w pobliżu. Piaszczysta równina. Piaszczyste wydmy. Sięgające bioder suche zarośla.

Kryjówki ekstraklasa.

Toaleta dla panów. Toaleta dla pań. Dwie betonowe budy, a pomiędzy nimi przestrzeń, w której można by się przyczaić. Budy stały frontem do wydmy. Wydmy ciągnęły się daleko w głąb równiny. Wiatr wzbijał w górę luźne ziarenka piasku.

Wayne zaparkował. Beaudine powiedział, że o 15.00. Wayne kazał Moore'owi przyjechać o 16.00. Aktualny czas – 14.49.

Wyciągnął spluwę. Otworzył schowek. Wyjął pieniądze – równe sześć

kawałków.

Wysiadł. Zwiedził męską toaletę. Sprawdził kabiny, celując z broni. Wiatr przywiał celofanową torbę.

Wyszedł. Wszedł do toalety dla pań. Puste kabiny/ brudne umywalki/ pływające w lizolu robactwo.

Wyszedł. Tulił się do ścian. Przeszedł na tył. Jasna dupa – jest Wendell Durfee.

Ma ciuchy w stylu alfonsa. Ma siatkę na włosach. Ma przylizany murzyński fryz. Ma gnata – zajebista spluwa.

Durfee stał pod ścianą. Durfee chował się przed piachem. Piach psuł mu fryzurę.

Zobaczył Wayne'a. Powiedział:

– No.

Wayne zbliżył się do niego. Durfee podniósł ręce. Wayne podszedł powoli. Piach sypał mu się do butów.

Durfee spytał:

– Dlaczego to dla mnie robisz?

Wayne wziął od niego spluwę. Wysunął magazynek. Zatknął sobie spluwę za pas, lufą w dół.

Wiatr poruszył krzewem. Ukazała się bryka Durfee'ego. Mercedes, rocznik 1951. Porysowany od piasku. Zanurzony w nim do połowy kół.

Wayne rzekł:

– Nie odzywaj się do mnie. Nie chcę cię znać.

Durfee odrzekł:

– Może trzeba mnie będzie wziąć na hol.

Wayne usłyszał chrzączenie żwiru – z tyłu, na parkingu. Durfee gmerał coś przy siatce na włosach. Durfee gównem słyszał.

– Willis mówił, że masz kasę.

Chrzęst żwiru – chrzęst opon – Durfee kompletnie nic nie słyszał.

– Przyniosę ją. Zaczekaj tutaj.

– Cholera, pewnie, że się bez niej nie ruszę. Pieprzony z ciebie święty Mikołaj, wiesz?

Wayne schował do kabury swoją broń. Wayne wrócił na parking. I tam ujrzał czterysta dziewiątkę Moore'a.

Stoi sobie obok samochodu Wayne'a. Chodzi głośno na luzie. Podryguje jeszcze chwilę po zatrzymaniu. A w niej sam Moore. Siedzi za kierownicą.

Żuje tytoń.

Wayne stanął. Jego mały drgnął. Pociękł z niego mocz.

Coś zobaczył.

Plamkę – w dali na autostradzie – coś jakby miraż samochodu.

Uspokoił drżące nogi. Podeszedł nerwowo. Oparł się o wóz Moore'a.

Moore opuścił szybę.

– Hej, chłopcze. Co tam nowego i ciekawego?

Wayne pochylił się nisko. Wayne chwycił się dachu.

– Nie ma go tu. Tamten facet podsunął mi fałszywy trop.

Moore splunął tytoniowym sokiem. Trafił w buty Wayne'a.

– A dlaczego to kazałeś mi przyjechać o czwartej, skoro sam jesteś tu przed trzecią?

Wayne wzruszył ramionami: A bo ja wiem? Nudzisz mnie, facet.

Moore wyciągnął nóż. Podłubał nim w zębach. Wydłubał kawałek kotleta. Strzyknął przed siebie tytoniowym sokiem. Poplamił Wayne'owi koszulę.

– Jest z tyłu. Sprawdziłem to pół godziny temu. A teraz rusz tam dupę i załatw go wreszcie.

Wayne znów zobaczył powtórki – w baaaaardzo zwolnionym tempie.

– Ty znasz Jacka Ruby'ego.

Moore dłubał w zębach. Moore wytarł nóż o deskę rozdzielczą.

– No i co z tego? Wszyscy znają Jacka.

Wayne wetknął głowę przez okno.

– A co z Bowersem? On widział, jak Kennedy...

Moore zamachnął się nożem. Moore rozerwał Wayne'owi koszulę. Moore złapał Wayne'a za krawat. Zderzyli się głowami. Moore zamachnął się nożem. Jego dłoń trafiła w drzwi.

Wayne cofnął głowę. Wayne wyciągnął broń. Wayne strzelił Moore'owi w głowę.

Odrzut...

Rzuciło nim do tyłu. Uderzył w swój samochód. Ale zebrał się i wymierzył. Strzelił w głowę Moore'a/ w szyję Moore'a/ w Moore'a bez twarzy i brody.

Posiekał siedzenia. Rozwalił deskę rozdzielczą. Wywalił okna. Narobił hałasu. Niosło się głośne echo. Głośniejsze od podmuchów wiatru.

Wayne zamarł. Czteryście dziewiątka podskoczyła – jeszcze jeden wstrząs po ustaniu pracy silnika.

Wybiegł Durfee. Durfee'emu plątały się nogi. Durfee poślizgnął się i padł jak długi. Wayne zamarł. Ta plamka na autostradzie – to jest, kurwa, samochód.

Samochód nadjechał. Samochód zjechał na parking. Samochód stanął obok bryki Moore'a. Sypnęło piaskiem. Poderwało w powietrze suche owoce krzewów. Rozprysł się żwir.

W samochodzie-plamce zgasł silnik. Wysiadł Pete. Pete podniósł ręce.

Wayne wymierzył do niego. Wayne pociągnął za spust. Kurek pstryknął – masz pusty magazynek – jesteś skończony.

Durfee patrzył. Durfee próbował biec. Durfee wstał i padł jak długi. Pete podszedł do Wayne'a. Wayne rzucił swoją spluwę i wyciągnął gnata Durfee'ego. Włożył magazynek.

Miał śliskie ręce. Pistolet upadł. Podniósł go Pete.

Powiedział:

– Zabij go.

Wayne spojrział na Durfee'ego. Durfee spojrział na Wayne'a. Wayne spojrział na Pete'a. Pete dał mu pistolet. Wayne odbezpieczył.

Durfee wstał. Nogi go nie posłuchały. Klapnął na tyłek.

Pete oparł się o wóz Moore'a. Pete sięgnął do środka. Pete wyciągnął kluczyki. Wayne sięgnął do swojego wozu. Chwycił sześć tysięcy. Zakaszłał, plując piaskiem.

Pete powiedział:

– Zabij go.

Wayne podszedł do Durfee'ego. Durfee łkał. Durfee patrzył na ręce Wayne'a. Widział pistolet. Widział torbę z gotówką. Widział dłonie – obie zajęte.

Wayne upuścił torbę. Durfee ją złapał. Durfee się podniósł. Durfee odzyskał władzę w nogach i zaczął biec.

Wayne opadł na kolana. Wayne zwymiotował lunch. Wayne czuł w ustach smak hamburgera i piasek.

Durfee biegł.

Potykał się na wydmach. Dobiegł do swego merca. Odpalił go. Zaczął podskakiwać na wydmach. Brnął przez nie. Dotarł do parkingu. Wyjechał na I-35 i skręcił na południe.

Pete podszedł. Wayne otarł twarz. Miał ją umazaną krwią Maynarda Moore'a.

Pete powiedział:

– Wybrałeś na to właściwe miejsce. I właściwy weekend.

Wayne klęczał. Odrzucił pistolet. Pete go podniósł.

– Trzy kilometry stąd jest składowisko odpadów. Możesz porzucić tam jego brykę.

Wayne wstał. Pete go podtrzymał. Pete powiedział:

– Może spotkamy się w Vegas.

13

(Dallas, 25 listopada 1963)

Żałoba po Jacku – punkt kulminacyjny: jedno zbiorowe buuu!, przenikające przez ściany apartamentu dla nowożeńców.

Barb powiedziała:

– Zaczynam rozumieć. Wszystkie elementy układają się w jeden obraz.

Pete pakował walizkę.

– Niektórzy ludzie dostali wcześniejszy prezent gwiazdkowy. Wiedzą, jak się sprawy mają, i wiedzą, co jest najlepsze dla kraju.

Barb składała suknie.

– Jest w tym jakiś haczyk. Chodzi mi o nas.

Pete przestał jej słuchać. Niedawno rozmawiał z Guyem. Guy niedawno rozmawiał z Carlosem. Carlosowi bardzo spodobał się Ruby Show. Carlos chciał też stuknąć Maynarda Moore’a.

Guy powiedział o tym Pete’owi. Pete zaimprovizował. Pete powiedział, że Moore zniknął – pyk! – i nie ma.

Guy spuszczał się nad wyczynami Moore’a w Vegas. Guy nabijał się z Wayne’a Juniora. Junior o niczym nie wiedział – kurewsko mały świat – Wayne Senior zasilił fundusz zamachowy.

Barb powiedziała:

– *Haczyk*. Nie mów mi tylko, że żadnego nie ma. I nie mów mi, że te bilety do Vegas nie mają z tym nic wspólnego.

Pete spakował broń.

– Twierdzisz, że kupując dwa bilety, byłem zbyt optymistą?

– Nie. Dobrze wiesz, że cię nigdy nie zostawię.

Pete się uśmiechnął.

– Mam na koncie parę spieprzonych spraw, za które na pewno bym się nie wziął, gdybym znał cię lepiej.

Barb się uśmiechnęła.

– Jaki haczyk? *Vegas*? I nie rób tu do mnie słodkich oczu, kiedy musimy

pędzić na lotnisko.

Pete zamknął walizkę.

– Mafia ma plany wobec pana Hughesa. Ward ma to wpasować w listę swoich rozlicznych zadań.

– A więc chodzi o to, by pozostać przydatnym.

– Tak. Przydatnym, a przy tym całym i zdrowym. Jeśli nakłonię Chłopców, by nagięli pewną zasadę, będę mógł powiedzieć, że mi się udało.

Barb spytała:

– Jaką zasadę?

– Daj spokój. Przecież wiesz, co robię.

Barb pokręciła głową.

– Jesteś wszechstronny. Przeprowadzasz szantaże, handlujesz bronią i prochami. Zabiłeś prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale taka okazja mogła ci się zdarzyć tylko raz.

Pete się roześmiał. Pete'a ze śmiechu rozboleł brzuch. Pete'owi pociekły z oczu duuurne łzy. Barb rzuciła mu ręcznik. Pete wytarł twarz.

– Nie można tam sprzedawać heroiny. To ustalona reguła, ale właśnie dzięki niej mogę chyba zarobić dla Chłopców naprawdę niezłą kasę. Mogą na to pójść, jeśli będę sprzedawał tylko czarnym w zachodnim Vegas. Pan Hughes nie znosi czarnuchów. Uważa, że przez cały czas powinni być naćpani, tak jak on. Chłopcy mogą podjąć decyzję, że go w tym zakresie zadowolą.

Barb posłała mu To Spojrzenie. Pete już je znał. *Ja pieprzyłam się z JFK. Ty go zabiłeś. Moje życie jest szalooooone.*

Powiedziała:

– Chcesz być przydatny.

– Tak, o to chodzi.

Barb chwyciła swe sukienki do twista. Barb wyrzuciła je przez okno. Pete wyjrzał. Jakiś dzieciak popatrzył w górę. Niebieska sukienka zawisła na parapecie.

Barb pomachała dzieciakowi. Dzieciak pomachał jej.

– Twist się skończył, ale założę się, że mógłbyś mi załatwić jakieś klubowe występy.

– Będziemy oboje przydatni.

– Ja wciąż się boję.

Pete powiedział:

– I to jest właśnie ten haczyk.

CZĘŚĆ II
WYŁUDZENIE

GRUDZIEŃ 1963–PAŹDZIERNIK 1964

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.12.1963. Raport sekcji wywiadowczej FBI dostępny tylko dla pracowników Biura. Oznaczono: „Tajne 2-A: dostępne wyłącznie dla agentów”/ „Fakty i obserwacje dotyczące najważniejszych właścicieli kasyn w Las Vegas oraz informacje z tym związane”. Uwaga: umieszczono w oficjalnych aktach w delegaturze Biura w południowej Nevadzie dn. 8.02.1963.

Najważniejsze hotele-kasyna Las Vegas usytuowane są w dwóch miejscach: w centrum (Fremont Street/ „Złoty Jar”) i przy „Strip” (Las Vegas Boulevard, najważniejsza arteria komunikacyjna miasta na osi północ-południe). Lokale w centrum są starsze, mniej krzykliwe, przeznaczone głównie dla pobliskich mieszkańców oraz mniej zamożnych turystów, którzy przyjeżdżają, by uprawiać hazard, korzystać z rozrywki dość miernej jakości oraz z usług prostytutek. Zorganizowane grupy członków pewnych organizacji dobroczynnych i stowarzyszeń (takich jak: Elksi, Kiwanisi, Rotarianie, Shrinersi, Związek Weteranów, Organizacja Młodzieży Katolickiej) są częstymi bywalcami hoteli-kasyn w śródmieściu. Lokale w centrum są przeważnie w posiadaniu „pionierskich” konsorcjów (tzn. rodowitych mieszkańców Nevady oraz niewielkich grup przestępczości niezorganizowanej). Niektórzy właściciele zostali zmuszeni do odsprzedania części (5–8%) udziałów grupom przestępczości zorganizowanej w zamian za dalsze „traktowanie na specjalnych warunkach” (np. za „ochronę” oraz „usługi” mające zapewnić spokój, gdy chodzi o zamieszki robotnicze i nieprzewidziane, nieprzyjemne zdarzenia w samych kasynach). Współpracujący z przestępczością zorganizowaną często występują w kasynach jako „szefowie administracyjni”, a zatem jako porządkowi i informatorzy swoich patronów z przestępczości zorganizowanej.

Śródmieście podlega jurysdykcji Wydziału Policji Las Vegas (WPLV). Obszar jurysdykcji WPLV graniczy z obszarem podległym Wydziałowi Szeryfa Okręgu Clark (WSOC). Obie agencje, za obopólną zgodą, pracują na obydwu obszarach jurysdykcji. Wydział Szeryfa patroluje okolice „Strip” na południe od hotelu Sahara. Prowadzi dochodzenia we własnej jurysdykcji, mając jednocześnie upoważnienie do czynności operacyjnych na obszarze podlegającym WPLV, czyli „policji miejskiej”. Podobnie WPLV ma zezwolenie na prowadzenie śledztw na terenie podległym Wydziałowi Szeryfa, czyli „okręgówce”. Zauważyć należy, iż obie agencje podlegają

silnym wpływom i są mocno skorumpowane przez ugrupowania przestępczości zorganizowanej. Korupcję z gatunku tej, jaka występuje w Las Vegas, często określa się mianem „Rządów Kolesiów” (tzn. podatki płacone przez kasyna stanowią podstawę finansów Las Vegas i w ten sposób dają właścicielom kasyn możliwość wpływania na politykę i zasady zachowania porządku publicznego). Liczni funkcjonariusze obu agencji czerpią zyski z „dowodów wdzięczności” przekazywanych przez przestępczość zorganizowaną (darmowe pobyty w hotelach, darmowe żetony w kasynach, usługi prostytutek, „zniżki dla policjantów” w różnorodnych firmach będących własnością osób współpracujących z przestępczością zorganizowaną), jak również ze zwyczajnych łapówek. WPLV i Wydział Szeryfa wprowadzają w życie zasady ustanowione przez przestępczość zorganizowaną za cichym przyzwoleniem politycznego establishmentu okręgu Clark oraz Zgromadzenia Ustawodawczego Stanu Nevada. (Np. czarnoskórzy obywatele są mocno zniechęceni do bywania w pewnych wybranych hotelach-kasynach przy „Strip”, zaś personelowi owych kasyn wolno takich obywateli wypraszać. Porachunki pomiędzy pracownikami kasyn związanych z przestępczością zorganizowaną a osobami, które popełniły wobec nich jakieś wykroczenie, są załatwiane przez funkcjonariuszy WPLV działających na polecenie Rady Zarządców Kasyn, najważniejszej w mieście zorganizowanej grupy przestępczej. Funkcjonariusze WPLV i zastępcy szeryfa są często wykorzystywani do tropienia karcianych oszustów, „zniechęcania” ich i wypędzania z miasta).

Najbardziej znane hotele-kasyna ulokowane są przy „Strip”. Wiele z nich infiltrowanych jest przez gangsterów, przy czym zarobki dzielone są procentowo pomiędzy baronów karteli przestępczości zorganizowanej. (Np. Kartel Przestępczy Chicago kontroluje hotel-kasyno Stardust, zaś szef kartelu Sam „Mo”, „Momo”, „Mooney” Giancana posiada w nim 8% udziału. Chicagowski gangster John Rosselli [rezydujący w Las Vegas nadzorca z ramienia Kartelu Chicago] posiada 3% udziału, zaś egzekutor chicagowskiej mafii Dominic Michael Montalvo vel „Butch Montrose” – 1% udziału). (Patrz: Aneks nr B-2 – kompletna lista udziałowców związanych z kartelami przestępczymi i szacunkowe udziały w procentach).

Pomniejsze udziały procentowe są dzielone pomiędzy inne zorganizowane grupy przestępcze w celu uzyskania pewności, że wszystkie one będą zaangażowane w ekonomiczny rozwój kasyn Las Vegas. Tak więc bazy

zysk jest dzielony, dzięki czemu możliwe jest uniknięcie rywalizacji pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami. W związku z tym zorganizowana przestępczość ma w Las Vegas stosunkowo jednolite oblicze. Człowiekiem odpowiedzialnym za wdrożenie i kontynuację tej polityki jest Morris Barney „Moe” Dalitz (ur. 1899), dawny mafioso z Cleveland, „ambasador dobrej woli” grup przestępczości zorganizowanej i mafijny lobbysta. Dalitz posiada udziały w hotelu-kasynie Desert Inn i, wedle pogłosek, w kilku innych lokalach. Dalitz znany jest jako „Pan Las Vegas” ze względu na swe liczne przedsięwzięcia filantropijne oraz wiarygodny wizerunek człowieka niezwiązanego z przestępczością. Dalitz był założycielem Rady Zarządców Kasyn, obecnie zaś dyktuje w owej Radzie warunki utrzymania porządku, a także jest w znacznym stopniu odpowiedzialny za politykę „Czyste Miasto”, która zgodnie z przewidywaniami przestępczości zorganizowanej pomoże w promocji turystyki i w ten sposób przyczyni się do wzrostu zysków czerpanych z działalności hoteli-kasyn.

Owa „polityka” jest wprowadzana w życie za cichym przyzwoleniem politycznej maszyny Las Vegas, a także WPLV i Wydziału Szeryfa. Jednym z założeń owej polityki jest specyficzna segregacja w hotelach-kasynach przy „Strip” (np. są w nich przyjmowane murzyńskie osobistości i przedstawiciele murzyńskich „wyższych sfer”, natomiast wszyscy inni czarnoskórzy obywatele mają zakaz wstępu) oraz odizolowanie od reszty miasta murzyńskiego osiedla slumsów w zachodnim Las Vegas. (Pośrednicy handlu nieruchomości z Las Vegas notują ostatnio wzrost liczby zawieranych bardzo restrykcyjnych umów najmu). Kluczową zasadą „polityki” jest „zero narkotyków”. Odnosi się ona w szczególności do heroiny. Handel heroiną jest zabroniony i karany śmiercią. Reguła ta została wprowadzona w życie, by ograniczyć liczbę narkomanów, zwłaszcza takich, którzy mogliby dla zaspokojenia swego nałogu uciec się do rabunków, włamań, napadów i innych przestępstw, które skalałyby reputację Las Vegas i w ten sposób przyczyniły się do zahamowania rozwoju turystyki. Liczni handlarze heroiną stali się ofiarami zabójstw, których sprawców nigdy nie wykryto, zaś wielu innych znikło i zakłada się, że także zostali zabici, zgodnie z wcześniej wspomnianą „polityką”. (Patrz: Aneks nr B-3 – skrócona lista zabitych i zaginionych). Do ostatniego zabójstwa doszło 12.04.1960 i wydaje się, że od tego dnia handel heroiną w Las Vegas przestał istnieć. Można więc bezpiecznie założyć, że wcześniej wspomniane zabójstwa spełniły swoją rolę

jako czynnik odstrasżający.

Dalitz jest bliskim znajomym przewodniczącego Teamsters Jamesa Riddle'a Hoffy (ur. 1914) i uzyskał od Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych Teamsters olbrzymie pożyczki, które pokryły koszty modernizacji hoteli-kasyn. Fundusz (którego aktywa szacuje się na 1,6 miliarda dolarów) to „studnia bez dna”, stanowiąca niewyczerpane źródło pożyczek dla przestępczości zorganizowanej. Podejrzani „biznesmeni” powiązani z przestępczością zorganizowaną także pożyczają od Funduszu pieniądze na lichwiarski procent, co często skutkuje konfiskatą majątku ich firm. Krążą pogłoski o istnieniu drugiego zestawu ksiąg rachunkowych Funduszu Emerytalnego (zestawu, o którego istnieniu nie wiedzą władze, w związku z czym nie podlega on żadnym oficjalnym kontrolom). Księgi te rzekomo zawierają prawdziwą księgowość Funduszu Emerytalnego oraz listę jego aktywów, a także wyszczególniają nielegalne i quasi-legalne pożyczki oraz terminy ich zwrotu.

Wiele z hoteli-kasyn przy „Strip” ukrywa większą część swoich przychodów. (Patrz: załączony dokument z urzędu skarbowego, zestawienie hoteli i zaksięgowanych przez nie zysków z gry w kości, ruletki, blackjacka, pokera, bingo, bakaratu i innych gier). Szacuje się, że owe zestawienia pokrywają się z prawdą najwyżej w 70–80%. (Trudno jest dokładnie oszacować stopień zaniżania zysków w przedsiębiorstwach bazujących w głównej mierze na obrocie gotówką). Można przyjąć, że zyski zatajone przed urzędem skarbowym w rzeczywistości mogą sięgać 105 milionów \$ nieopodatkowanego przychodu rocznie (szacunkowe dane za rok podatkowy 1962). Taka praktyka nazywana jest „odciąganiem”.

Wpływy kasowe zabierane są bezpośrednio ze skarbców kasyn i rozdawane kurierom, którzy przekazują pieniądze do wcześniej zorganizowanych punktów. Banknoty o dużych nominałach wymieniane są na bilon do automatów do gry, zaś dzienny utarg jest na bieżąco fałszowany i zapisywany przez księgowych. „Odciąganie” w kasynach jest praktycznie nie do wykrycia. Większość z pracowników hoteli-kasyn utrzymuje się z niskich pensji oraz nieopodatkowanych „premi” w gotówce, w związku z czym nigdy nie zgłosi żadnych nieprawidłowości. Ta typowa dla Las Vegas korupcja rozciąga się nawet na związki zawodowe, które dostarczają pracowników najważniejszym hotelom-kasynom.

Zrzeszenie Rozdających i Krupierów nr 117 to przykrywka dla Kartelu

Przestępczego Chicago. Jego członkowie otrzymują niskie stawki godzinowe, lecz w zamian mogą liczyć na darmowe żetony do gry i (najprawdopodobniej pochodzące z kradzieży) towary w charakterze premii. We wszystkich oddziałach terenowych tego związku obowiązuje ścisła segregacja. Zrzeszenie Artystów Estradowych Występujących w Barach nr 41 to przykrywka dla Kartelu Przestępczego Detroit. Jego członkowie są dobrze opłacani, lecz co tydzień muszą przekazywać łapówki organizatorom występów. Tutaj segregacja nie jest tak restrykcyjnie przestrzegana. Ciemnoskórzy artyści estradowi są „zniechęceni” do bywania w charakterze klientów w kasynach, w których pracują, a także do spoufalania się z białymi gośćmi. Cztery zrzeszenia skupiające zarządców i obsługę budynków hotelowych przy „Strip” stanowią przykrywkę dla Kartelu Przestępczego Cleveland i współpracują wyłącznie z firmami poleconymi przez zorganizowaną przestępczość. Sfeminizowane Zrzeszenie Pokojówek nr 16 to przykrywka dla Kartelu Przestępczego Florydy. Wiele z jego członkiń zostało nakłonionych do prostytucji. Na czele pracowniczej komórki każdego z tych zrzeszeń stoi tzw. Filar, który składa raporty Radzie Zarządców Kasyn.

Związek Pracowników Kuchni (działający wyłącznie w Las Vegas i nieposiadający żadnych innych oddziałów terenowych) nie jest powiązany z przestępczością zorganizowaną i wolno mu współpracować z „pionierskimi” konsorcjami w Las Vegas, jak również ze zdominowaną przez mormonów machiną polityczną stanu Nevada. Na czele związku stoi Wayne Tedrow Sr. (ur. 1905), konserwatywny pamflecista, inwestor na rynku nieruchomości i właściciel jednego z tzw. młynów (tj. gorzej prosperujących kasyn) o nazwie Land o’Gold. Szefami personelu są sami mormoni, zaś pracownicy (głównie nielegalni imigranci z Meksyku) otrzymują zaniżone stawki płacowe oraz „premie” w postaci uszkodzonych konserw z jedzeniem oraz żetonów Land o’Gold. Pracownicy mieszkają w najtańszych hotelach w meksykańskiej enklawie na północno-zachodnich obrzeżach Las Vegas. (Uwaga: Tedrow Sr. ma rzekomo ciche udziały w czternastu młynach w północnym Las Vegas oraz w sześciu sklepach z alkoholem wyposażonych w automaty do gry w pobliżu bazy sił powietrznych Nellis. Jeśli to prawda, stan jego posiadania będzie stanowił naruszenie statutu Nevadzkiego Komitetu Gier).

Nevadzki Komitet Gier ma za zadanie nadzorować i regulować wydawanie licencji na prowadzenie kasyn oraz kontrolować zatrudnianie przez nich

pracowników. Komitet stanowi marionetkowy twór wykonujący polecenia Komisji Kontroli Gier oraz Komisji Kontroli Sprzedaży Wyrobów Alkoholowych Okręgu Clark. W obu komisjach zasiada pięć tych samych osób (Szeryf Okręgu Clark, Prokurator Okręgowy oraz trzech wyznaczonych „obywateli”). Tak więc wszelka władza związana z przydzielaniem licencji na sprzedaż alkoholu i prowadzenie kasyn w całym stanie sprawowana jest wyłącznie w Las Vegas. Żaden z pięciu członków obu komisji nie jest jawnie powiązany z przestępczością zorganizowaną i trudno jest ocenić stopień zaangażowania komisji w zмовie, ponieważ za większością podań, jakie rozpatrują, stoją osoby cieszące się ukrytym poparciem przestępczości zorganizowanej, które bardzo trudno jest ujawnić. Nie istnieją żadne dostępne dokumenty dotyczące członków powyższych instytucji. Sekcja wywiadowcza WPLV posiada szczegółowe akta osób zasiadających w Komisji Kontroli Gier i Komisji Kontroli Sprzedaży Alkoholu, jednak nieugięcie odmawia do nich dostępu Prokuratorze Okręgowej i FBI. (Jak już wcześniej zauważono, WPLV podlega silnym wpływom przestępczości zorganizowanej). Sekcja wywiadowcza WPLV działa na terenie miasta i okręgu i jest jedyną tego rodzaju komórką w okręgu Clark. Pracują w niej dwie osoby. Oficerem prowadzącym jest porucznik Byron B. Fritsch (wspomagający wydział śledczy WPLV, ściśle powiązany z Radą Zarządców Kasyn), zaś jedynym podległym mu funkcjonariuszem jest sierżant Wayne Tedrow Jr. (sierż. Tedrow jest synem wspomnianego wcześniej Wayne’a Tedrowa Sr. Pozostaje niepodatny na korupcję wedle standardów policji Las Vegas).

Uwaga podsumowująca: dostęp do aneksów nr B-1, 2, 3, 4, 5 wymaga zezwolenia dwóch osób: szefa agentów specjalnych na południową Nevadę oraz wicedyrektora Tolsona.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.12.1963. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrano na polecenie Dyrektora”/ „Tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Dzień dobry, panie Littell.

WJL: Dzień dobry, sir. I dziękuję za kopie.

JEH: Las Vegas to piekło. Nie nadaje się do zamieszkania dla zdrowych na

umyśle ludzi, co może poniekąd tłumaczyć, dlaczego tak bardzo pociąga Howarda Hughesa.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Ale porozmawiajmy może o Dallas.

WJL: Wygląda na to, że teza została przyjęta, sir. Wydaje się też, że zabójstwo Oswalda uznano za całkiem dobre rozwiązanie.

JEH: Ruby dostał cztery tysiące listów od wielbicieli. Jest dosyć popularny wśród Żydów.

WJL: Muszę powiedzieć, że w jakimś sensie ma klasę, sir.

JEH: A czy może pan powiedzieć, że potrafi trzymać język za zębami?

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Zgadzam się z panem co do tezy. I chcę, żeby zawarł pan swoje przemyślenia w szczegółowym raporcie dotyczącym zdarzeń, które uświęciły miniony weekend. Przypiszę sporządzenie raportu agentom z Dallas i przekażę bezpośrednio prezydentowi Johnsonowi.

WJL: Zacznę natychmiast, sir.

JEH: Prezydent obwieści powołanie komisji, która przeprowadzi dochodzenie w sprawie śmierci Króla Jacka. Starannie wyselekcjonuje agentów do pracy w terenie. Pański raport będzie stanowił dla prezydenta wcześniejszą zapowiedź tego, czego pewnie się dowiedzą.

WJL: A czy prezydent wyrobił już sobie jakąś opinię, sir?

JEH: Podejrzuje pana Castro bądź niesfornych kubańskich uchodźców. Jego zdaniem zabójstwo było skutkiem bezmyślnych poczynań Króla Jacka na Karaibach.

WJL: To brzmi całkiem sensownie, sir.

JEH: Owszem, ale muszę powiedzieć, że Lyndon Johnson nie jest głupi. Doczekał się dogodnej dla siebie śmierci zamachowca i zemsty za krzywdę narodu, która dokonała się na oczach widzów ogólnokrajowej telewizji. Czyż może chcieć czegoś więcej?

WJL: Nie, sir.

JEH: I, stosownie do sytuacji, ma już dość idiotycznego marnotrawienia pieniędzy w związku z Kubą. Nie zamierza dłużej traktować tej sprawy jako zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa narodowego; zamiast tego ma zamiar skoncentrować się na Wietnamie.

WJL: Rozumiem, sir.

JEH: Pański ton nie umknął mej uwadze, panie Littell. Wiem, że nie

pochwała pan amerykańskiego kolonializmu i uważa nasze miłe Bogu działania, zmierzające do powstrzymania plagi światowego komunizmu, za nieprzemyślane.

WJL: To prawda, sir.

JEH: Ironia pańskiej sytuacji nie umknęła mej uwadze. Cichy lewicowiec rzecznikiem interesów Howarda Hughesa i jego kolonialnych zapędów...

WJL: Cóż, dziwna z nas para, sir.

JEH: A jak określiliby pan jego zapędy?

WJL: Chce ominąć przepisy antytrustowe i nabyć wszystkie hotele-kasyna przy Strip w Las Vegas. Nie wyda jednak ani centa, dopóki nie zakończy się jego proces o podział udziałów TWA i dopóki nie zgromadzi przynajmniej 500 milionów dolarów. Myślę, że proces zakończy się za jakieś trzy, cztery lata.

JEH: A pańskim zadaniem jest przygotowanie owej kolonizacji Las Vegas?

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Chciałbym teraz usłyszeć pańską szczerą opinię na temat stanu psychicznego pana Hughesa.

WJL: Pan Hughes wstrzykuje sobie kodeinę w rękę, w nogi i w penisa. Je tylko pizzę i lody. Poddawany jest częstym transfuzjom „wolnej od zarazków” mormońskiej krwi. Jego pracownicy zwykle mówią o nim „Hrabia”, „Hrabia Drakula” lub „Drak”.

JEH: To dosyć barwna ocena.

WJL: Czasami bywa przytomny, sir. I potrafi myśleć tylko o Las Vegas.

JEH: Krucjata Bobby’ego przeciwko mafii może mieć tam reperkusje...

WJL: Myśli pan, że Bobby pozostanie na stanowisku?

JEH: Nie. Nienawidzi Lyndona Johnsona, a Lyndon Johnson nie pozostaje mu dłużny. Myślę, że złoży rezygnację. Zaś jego następca może mieć wobec Las Vegas plany, których nie będę w stanie pokrzyżować.

WJL: Mianowicie, sir?

JEH: Bobby zastanawia się nad dochodzeniem w sprawie „odciągania”.

WJL: Pan Marcello i inni mają własne plany w związku z poczynaniami pana Hughesa...

JEH: Jakże by mogło być inaczej? Mają uzależnionego od narkotyków wampira, z którego mogą uczynić swoją ofiarę, i pana, który pomoże im wyssać jego krew.

WJL: Wiedzą, że nie żywi pan wobec nich niechęci, sir. Zrozumieją, że niektóre z planów Bobby'ego mogą zostać wprowadzone w życie przez jego następcę.

JEH: Tak. A jeśli Hrabia wykupi Las Vegas i oczyści wizerunek miasta, te plany mogą zostać porzucone.

WJL: W rzeczy samej, sir. Taka myśl przyszła mi do głowy.

JEH: Bardzo chciałbym wiedzieć, co Czarny Książę myśli o śmierci swojego brata...

WJL: Ja też, sir.

JEH: To oczywiste. Robert F. Kennedy jest zarówno pańskim zbawcą, jak i pańską zmorą, zaś ja nie zamierzam wydać pana jako jego podglądacza.

WJL: Cieszę się, sir.

JEH: Czy podsłuch mógłby przynieść pożądany efekt?

WJL: Nie, sir. Ale porozmawiam z moimi pozostałymi klientami i zobaczę, co oni zasugerują.

JEH: Potrzebny mi ktoś o wizerunku „upadłego liberała”. Być może poproszę pana o przysługę.

WJL: Do usług, sir.

JEH: Miłego dnia, panie Littell.

WJL: Miłego dnia, sir.

14

(Las Vegas, 4 grudnia 1963)

Rozpracowywali go. Dwóch speców: Buddy Fritsch i kapitan Bob Gilstrap.

Wykorzystali biuro Fritscha. Osaczyli Wayne'a. Zajęli kanapę.

Odwłókł to spotkanie. Sporządził raport i wypełnił go kłamstwami. Umniejszył znaczenie faktu zniknięcia Moore'a.

Odprowadził wóz Moore'a na składowisko odpadów. Zdjął tablice. Wyrwał Moore'owi zęby. Wydłubał z ciała kule. Wypakował mu usta nabojami do strzelby. Polał benzyną jakąś szmatę. Podpalił.

Głowa Moore'a eksplodowała. Spieprzył robotę specom od medycyny sądowej. Wepchnął też wóz do dołu z chemicznymi odpadami. Wóz zatonał szybko.

Nad dołem uniosła się para. Znał się na chemii. Żrące substancje rozpuściły tkanki i cienki metal wozu.

Ruszył w udawany pościg za Wendellem D. Zadzwoił do Buddy'ego Fritscha i skłamał. Powiedział: „Nie mogę go znaleźć. Nie mogę znaleźć Maynarda Moore'a”.

Odnalazł Willisa Beaudine'a. Kazał mu pryskać z Dallas. Beaudine capnął swojego psa i zwiął. On sam przejeżdżał potem koło budynku Wydziału Policji. Wyciągnął parę kartotek. Zatarł ślady po kontaktach Wendella. Zahaczył paru gliniarzy – widzieliście Maynarda Moore'a?

Fritsch zdjął go ze sprawy Wendella. Fritsch go zdradził. Fritsch wezwał go z powrotem do domu.

Urabiali go. Osaczali. Rzucali dowcipami o JFK: JFK obmacywał pielęgniarkę i zakonnicę. Ostatnim słowem JFK była „cipka”.

Fritsch rzekł:

– Czytaliśmy twój raport.

Gilstrap rzekł:

– Musiałeś się nieźle bawić. No wiesz, zamieszanie z Kennedym i twoja wymiana kulek z tym czarnuchem.

Wayne wzruszył ramionami. Udawał lodowate opanowanie. Fritsch zapalił papierosa. Gilstrap wydebił jednego dla siebie.

Fritsch zakaszłał.

– Ale nie przepadałeś tam za Moore'em.

Wayne wzruszył ramionami.

– Był parszywy. Nie szanowałem go jako policjanta.

Gilstrap strzelił uśmiech od ucha do ucha.

– Parszywy, hę?

– Przez większość czasu chodził pijany. Był zbyt brutalny.

Fritsch rzekł:

– Według twoich standardów?

– Według standardów porządnej policyjnej roboty.

Gilstrap się uśmiechnął.

– Tamtejsi chłopcy działają po swojemu.

Fritsch się uśmiechnął.

– Po tym poznasz Teksasczyka.

Gilstrap dodał:

– I po niczym więcej.

Fritsch się roześmiał. Gilstrap klepnął się po kolanach.

Wayne rzekł:

– A co z Moore'em? Pojawił się?

Fritsch pokręcił głową.

– Podobne pytanie nie powinno było paść z ust takiego bystrego chłopca jak ty.

Gilstrap wypuszczał kóleczkę dymu.

– Bo pomyśl tylko: Moore cię nie lubił. Zaczął ścigać Durfee'ego sam. No i Durfee zabił go i ukradł mu samochód.

Fritsch rzekł:

– Masz więc prawie dwumetrowego czarnucha w rzucającej się w oczy podrasowanej bryce i list gończy rozesłany po trzech stanach. Spróbuj mi wcisnąć, że mogło zdarzyć się coś innego, a nazwę cię durniem. Spróbuj mi wcisnąć, że nie zabije go pierwszy lepszy gliniarz, który go zauważy, choćby po to, żeby potem móc się tym chełpić.

Wayne wzruszył ramionami.

– Taka jest wersja Wydziału Policji Dallas?

Fritsch się uśmiechnął.

– Ich i nasza. A nikt inny i tak się nie liczy.

Wayne pokręcił głową.

– Znajdźcie tylko paru gliniarzy z Dallas, którzy nie należą do Klanu, i spytajcie ich, co sądzą o Moorze. Powiedzą wam, jaki był z niego parszywiec, ilu ludzi wkurzał, i zobaczycie, ilu będziecie mieli podejrzanych.

Gilstrap skubał skórę przy paznokciu.

– Mówisz tak tylko ze względu na własną dumę, chłopcze. Obwiniasz się, bo Durfee ci zwał i zabił kolegę policjanta.

Fritsch zgasił papierosa.

– Wydział Policji Dallas ciężko nad tym pracuje. Chcieli tu przysłać jednego ze swoich oficerów od spraw wewnętrznych, żeby z tobą pogadał, ale się nie zgodziliśmy.

Gilstrap rzekł:

– Mówią coś o zaniedbaniu obowiązków, chłopcze. Poprztykałeś się z Moore'em w Adolphusie, więc facet poszedł solo i dał się zabić.

Wayne kopnął podnózek. Poleciała popielniczka.

– To śmieć. Jeśli nie żyje, to sam sobie na to zasłużył. Możecie przekazać tym wsiokom z Południa, że ja tak powiedziałem.

Fritsch podniósł popielniczkę.

– No, no, wyhamuj.

Gilstrap zbierał niedopałki.

– Nikt cię nie obwinia. Wykazałeś się, moim zdaniem, dostatecznie.

Fritsch dodał:

– Wysnułeś parę błędnych sądów, *ale* udowodniłeś też, że masz jaja. W tutejszym Wydziale Policji bardzo poprawiłeś sobie reputację.

Gilstrap się uśmiechnął.

– Opowiedz o tym tatusiowi. O swojej wymianie ognia z jednym wrednym skurwysynem.

Fritsch mrugnął:

– A ja coś czuję, że szczęście mi dzisiaj sprzyja.

Gilstrap odrzekł:

– No, nie wiem...

Fritsch zdjął z biurka miniaturowego jednorękiego bandytę. Gilstrap pociągnął za rączkę. Obrazki zawirowały. Stały na trzech wiśniach. Przez otwór posypały się monety.

Gilstrap je zebrał.

– No to mam kasę na lunch.

Fritsch mrugnął:

– Pieskie życie. Kapitanowie kradną od poruczników...

Gilstrap szturchnął Wayne'a.

– Kiedyś sam zostaniesz kapitanem.

Fritsch dodał:

– Mógłbyś to zrobić? Zabić go, znaczy się.

Wayne się uśmiechnął.

– Durfee'ego czy Moore'a?

Gilstrap zapiął z zachwytu.

– No, Wayne Junior to dziś prawdziwy wulkan!

Fritsch się roześmiał.

– Niektórzy tak nie uważają, ale ja zawsze powtarzam, że to nieodrodny syn swojego tatusia.

Gilstrap wstał.

– A powiedz nam prawdę, chłopcze. Na co wydałeś tamte całe sześć kawałków?

Wayne wyszczerzył się w uśmiechu. Potem powiedział:

– Na wódę i dziwki.

Fritsch wstał.

– Płynie w jego żyłach krew Wayne'a Seniora.

Gilstrap mrugnął.

– Nie piśniemy ani słowa Lynette.

Wayne wstał. Bolały go nogi. Pieprzone skurcze ze zdenerwowania. Gilstrap wyszedł. Wyszędł, gwizdząc i pobrzękując monetami.

Fritsch rzekł:

– Gil cię lubi.

– Lubi mojego ojca.

– Nie doceniasz się.

– Czy to nie mój ojciec kazał panu mnie wysłać do Dallas?

– Nie, ale bardzo mu się ten pomysł spodobał.

Rozpracował to: przynęta i zmyłka – dywersja. Jego tętno dochodziło do dwustu. Ciśnienie skakało. „Samotny zamachowiec” – gówny prawda. WIDZIAŁ Dallas.

Wayne jechał do domu. Ale się ociągał. Fremont była zapchana. Po Rubes

bujali się gracze w bingo. Przy Rubes roіło się od kasyn.

Wayne miał papkę zamiast mózgu. Wayne wrócił w tym stanie z Dallas.

Pete mówi: „Zabij go”. Ale on nie może. Szuka w Wydziale Policji. Znajduje nazwisko Pete’a. Zwraca się do trzech sekcji wywiadowczych: LA/Nowy Jork/Miami.

Pete Bondurant: eks-glina/ eks-goryl Howarda Hughesa. Obecnie: egzekutor mafii.

Sprawdza meldunki w hotelach. 25 listopada – Pete i Frau Pete’owa przybywają do Stardust. Mają darmowy apartament. Pete ma konszachty z mafią. Prawdopodobnie z *chicagowską* mafią.

Ruch był koszmarny. I samochodowy, i pieszy. Na Rubes sprzedawano drinki i piwo.

Trzeba śledzić Pete’a. Dyskretnie. Wynająć jakiegoś krawężnika. Zapłacić mu żetonami z Land o’Gold.

Wayne zawrócił. Znów jechał wzdłuż Fremont. Migał się przed obiadem z Lynette. Bo Lynette była banalna. Cytowała sztamkowe haselka: Jack był młody. Jack był dzielny. Jack *napraaaaawdę* kochał Jackie.

Jack i Jackie stracili dziecko. Jakoś w 1962. Lynette wtedy się w nich zakochała. Wayne nie chciał dzieci. Lynette chciała. Zaszła w ciążę w 1961.

To go zmroziło. To go zamknęło. To zmroziło ich stosunki. Kazał jej zrobić skrobankę. Powiedziała nie. Zwrócił się do Świętych w Dniach Ostatnich. Modlił się o martwe dziecko.

Lynette się połapała. Lynette uciekła do swojej rodziny. I słała gawędziarskie listy. Wróciła do domu chuda jak szczapa. Powiedziała, że poroniła. Nie zarzucił jej kłamstwa.

Ale zadzwonił do niego tatko Sproul. Tatko-rewizjonista. Tatko dostarczył szczegółów. Powiedział, że Lynette miała skrobankę w Little Rock. Powiedział, że miała krwotok i omal nie umarła.

Małżeństwo przetrwało. I mogła je teraz zniszczyć sztampa.

Lynette ustawiła przed telewizorem tacki na kółkach. LBJ zepsuł im obiad. Obwieścił właśnie wszczęcie śledztwa przez jakąś tam Komisję Warrena.

Wayne wyłączył dźwięk. LBJ poruszał ustami. Lynette bawiła się jedzeniem.

– Myślałam, że cię to bardziej zainteresuje.

– Za dużo miałem tam na głowie. I nie mogę powiedzieć, by mnie ta

sprawa osobiście dotknęła.

– Wayne, przecież *byłeś* tam. A to jest wydarzenie, o którym ludzie będą opowiadać wnu...

– Mówiłem ci, że nic nie widziałem. A wnuków i tak nigdy nie będziemy mieli.

Lynette zmięła serwetkę.

– Odkąd wróciłeś, wciąż chodzisz naburmuszony. I nie mów mi, że chodzi tylko o Wendella Durfee'ego.

– Przepraszam. Ta uwaga była okropna.

Lynette otarła usta.

– Wiesz, że już dawno się poddałam na tym froncie.

– Powiedz mi więc, o co chodzi.

Lynette wyłączyła telewizor.

– Chodzi o to twoje nowe naburmuszenie, o to protekcyjne zachowanie typowe dla wszystkich gliniarzy. No wiesz, „Widziałem takie rzeczy, których moja żona-nauczycielka nigdy nie zrozumie”.

Wayne dźgał swój kawałek pieczonej wołowiny. Wayne brzęknął widelcem o talerz.

Lynette powiedziała:

– Nie baw się jedzeniem.

Wayne wziął łyk wody sodowej.

– Jesteś na swój sposób tak cholernie bystra.

Lynette się uśmiechnęła.

– Nie klnij przy stole.

– Znaczą się, przy tacy.

Lynette chwyciła widelec. Lynette dźgnęła Wayne'a dla zabawy. Z widelca pociekł sos i rozlał się, tworząc plamę.

Wayne się wzdrygnął. Wayne szturchnął tacę. Szklanka się przewróciła i woda zalała mu jedzenie.

Lynette powiedziała:

– O, cholera.

Wayne poszedł do kuchni. Wayne wrzucił tacę do zlewu. Obrócił się. Zobaczył Lynette przy kuchence.

Spytała:

– Co się wydarzyło w Dallas?

Wayne Senior mieszkał na południu – w Paradise Valley z mnóstwem ziemi i widokami.

Miał pięćdziesiąt akrów. Pasł na nich woły. Zabijał je na mięso na grilla. Dom miał trzy kondygnacje – kamień i sekwoja – szerokie tarasy i rozległe widoki.

Parking przed domem zajmował cały akr. Przylegał do niego pas startowy. Wayne Senior latał dwupłatowcami. Wayne Senior miał wywieszane flagi: amerykańską/nevadzką/z grzechotnikiem⁸.

Wayne zaparkował. Wayne zgasił światła. Wayne włączył radio. Złapał McGuire Sisters – trójgłosowa harmonia.

Janice miała własną garderobę. Okna wychodziły na parking. Janice się nudziła. Janice zmieniała ciuchy. Nie gasiła światła, chcąc przyciągnąć spojrzenia.

Wayne rozsiadł się wygodnie. Sisters zawodziły. *Sugartime* przeszło w *Sincerely*. Janice przemaszerowała pod lampą. Janice miała na sobie szorty do tenisa i biustonosz.

Pozowała. Spuściła szorty. Wybrała obcisłe spodnie. Jej majtki rozciągnęły się i zjechały nisko.

Włożyła spodnie. Rozpuściła włosy i je rozczesła. Ukazało się siwe pasemko – srebro pośród czerni – żywo kontrastujące z różowymi spodniami.

Okręciła się. Piersi jej zafalowały. Sisters podkładały ścieżkę dźwiękową. Światło przygasło. Wayne zamrugał. Wszystko działo się za szybko.

Uspokoił się. Wyłączył silnik. Przeszedł przez dom. Poszedł prosto na tyły. Wayne Senior zawsze siedział na zewnątrz. Widok z północnego tarasu był fascynujący.

Zrobiło się zimno. Liście zasypały taras. Wayne Senior miał na sobie gruby sweter. Wayne oparł się o balustradę – zasłonił mu widok.

– Nigdy się tym nie znudzisz.

– Lubię ładne widoki. Jestem w tym podobny do mojego syna.

– Nie zadzwoniłeś, żeby spytać o Dallas.

– Buddy i Gil mnie informowali. Dostyc szczegółowo, lecz mimo to chciałbym poznać twoją wersję.

Wayne się uśmiechnął.

– W swoim czasie.

Wayne Senior sączył burbona.

– Ta przygoda z graczami w kości przypawiła mnie o gęsią skórę. I twój

pościg za tym kolorowym chłopcem.

– Byłem odważny i głupi. Nie jestem pewien, czybyś to pochwalił.

Wayne Senior zakręcił swoją laską.

– A ja nie jestem pewien, czy moje pochwały są ci potrzebne.

Wayne się odwrócił. Nad Strip wznosiła się poświata. Neony pulsowały.

– Mój syn otarł się o historię. Chętnie poznałbym szczegóły.

Samochody opuszczały Las Vegas – exodus przegranych – światła reflektorów wskazywały południe.

– W swoim czasie.

– Pan Hoover widział zdjęcia z sekcji zwłok. Mówił, że Kennedy miał małego ptaszka.

Wayne usłyszał strzały na północnym wschodzie. Spłukany hazardzista ucieka z miasta. Spłukany hazardzista sięga po śrutówkę. Spłukany hazardzista szuka odprężenia.

– LBJ powiedział panu Hooverowi coś ciekawego. Oznajmił: „Jack i ja stanowiliśmy dziwną parę na długo przed tym, jak zaczął coś znaczyć w polityce”.

Wayne się odwrócił.

– Nie chwal się tym. To takie kurewsko upadlające.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– Masz parszywy język jak na mormona.

– Kościół mormoński to szajs i ty o tym wiesz.

– To dlaczego prosiłeś Świętych, by zabili twoje dziecko?

Wayne chwycił się balustrady.

– Zapomniałem, że ci o tym mówiłem.

– Mówisz mi o wszystkim – „w swoim czasie”.

Wayne opuścił ręce. Jego obrączka się zsunęła. Nie jadał regularnie. Schudł. Nie mógł zapomnieć o Dallas.

– A kiedy wydajesz przyjęcie gwiazdkowe?

Wayne Senior zakręcił laską.

– Nie zmieniaj tak nagle tematu. W ten sposób pokazujesz ludziom, czego się boisz.

– Nie czepiaj się znowu Lynette. Wiem, do czego zmierzasz.

– I to osiągnę. To tylko szczeniackie małżeństwo, którym już się znudziłeś, i ty sam o tym wiesz.

– Takie jak twoje i matki?

– Zgadza się.

– Już to słyszałem. Jesteś tutaj i masz to, co masz. Nie jesteś jakimś tam ciecieniem handlującym nieruchomościami w Peru w stanie Indiana.

– Zgadza się. Bo wiedziałem, kiedy zwinąć manatki i prysnąć od twojej mamuśki.

Wayne zakaszłał.

– Chcesz powiedzieć, że spotkam swoją Janice i odejdę, tak jak ty.

Wayne Senior się zaśmiał.

– Jasna dupa. Twoja Janice i moja Janice to jedna i ta sama babka.

Wayne się zaczerwienił. W uszach mu, kurwa, zaczęło dzwonić.

– Jasna dupa. Akurat gdy zdawało mi się, że utraciłem kontrolę nad swoim synem, sprawiam, że zaczyna płonąć jak lampki na choince.

Gdzieś padł strzał. Zawyło kilka kojotów.

Wayne Senior rzekł:

– Ktoś stracił pieniądze.

Wayne się uśmiechnął.

– Pewnie przegrał wszystko w jednym z twoich kasyn.

– *Jednym z?* Przecież wiesz, że mam tylko jedno.

– Z tego, co ostatnio słyszałem, masz udziały w czternastu. A o ile wiem, jest to sprzeczne z prawem.

Wayne Senior zakręcił laską.

– W kłamstwie trzeba pamiętać o jednym. Trzeba się trzymać wybranej przez siebie wersji, choćby nie wiadomo co się działo.

– Zapamiętam to.

– Jasne. Ale zapamiętasz też, kto ci o tym powiedział.

Jakiś latający owad ugryzł Wayne'a. Wayne go zabił.

– Nie rozumiem.

– Zapamiętasz, że powiedział ci to ojciec, i wygadasz się kiedyś z jakąś okropną prawdą – z czystej przekory.

Wayne się uśmiechnął. Wayne Senior mrugnął. Zakręcił laską. Opuścił ją. Zaprezentował cały swój repertuar sztuczek.

– Wciąż jesteś jedynym policjantem, którego obchodzą tamte bite kolorowe dziwki?

– Zgadza się.

– Dlaczego?

– Z czystej przekory.

– Ty i ta twoja fascynacja Little Rock.

Wayne się zaśmiał.

– Szkoda, że cię tam wtedy nie było. Łamałem wszystkie przepisy stanowe, jakie tylko znalazłbyś w kodeksach.

Wayne Senior się zaśmiał.

– Wiesz, pan Hoover zawziął się na Martina Luthera Kinga. Musi tylko najpierw znaleźć „upadłego liberała”.

– Powiedz mu, że jestem zajęty.

– Mówił, że podgrzewa się sprawa Wietnamu. A ja mu na to: „Mój syn był w Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznodesantowej. Ale niech pan nie czeka z zapartym tchem, aż się znowu zaciągnie – zamiast z czerwonymi, woli walczyć z wsiokami z Południa”.

Wayne popatrzył dokoła. Wayne dojrzał kubełek z żetonami. I zwinął trochę krążków Land o’Gold.

– Ty mówiłeś Buddy’emu, żeby wysłał mnie do Dallas?

– Nie. Ale zawsze uważałem, że okrągła sumka pieniędzy na coś ci się przyda.

Wayne rzekł:

– I to było pouczające.

– A co zrobiłeś z forszą?

– Wpakowałem się przez nią w kłopoty.

– Było warto?

– Nauczyłem się tego i owego.

– Masz ochotę mi opowiedzieć?

Wayne podrzucił żeton. Wayne Senior wyciągnął spluwę. Strzelił do krążka. Trafił. Posypały się plastikowe drobinki.

Wayne wszedł do domu. Dalej ruszył okrężną drogą i minął garderobę Janice. Janice zafundowała mu widok.

Gołe nogi. Taneczny krok. Urok posiwiałych włosów.

15

(Las Vegas, 6 grudnia 1963)

Na myśl o Dallas go skręcało. Powinien był zabić Juniora. Junior powinien był zabić tamtego czarnucha.

Vegas iskrzyło – pieprzyć teraz śmierć – te wszystkie „powinien był” gównem znaczący. Miły wietrzyk/ miłe słońce/ miłe kasyna.

Pete jeździł po Strip. Pete wypatrywał tego, co mogło mu pomóc zapomnieć:

Pole golfowe Tropicana. Liczne wózki handlarzy drinkami. Knajpy dla kierowców. Kelnerki na wrotkach. Otucha gwarantowana.

Pete zrobił dwie rundy. Najpierw niemiły incydent:

Parę zakonnic rusza do Sands. Widzą Franka Sinatrę. Mdleją i wkurzają Franka. Miętoszą mu garnitur znanego projektanta.

Potem kłopoty przy Dunes:

Dwóch gliniarzy i dwóch meksów. Meksy krwawią na potęgę. Scena wygląda na burdę pomiędzy młodszymi kelnerami. Juan przeleciał siostrę Ramona. Ramon pierwszy dorwał kosę. Zaczęli się ciachać nad tacą na kółkach.

Ładne góry. Neony. Japońce z aparatami fotograficznymi.

Pete zrobił trzy rundy. Strip zaczęło mu się nudzić. Znow skręcało go na myśl o Dallas.

BĄDŹ PRZYDATNY: pierdolony święty wers. Praca nad układem z Hughesem potrwa całymi latami. Ward tak powiedział. Carlos się zgodził. Carlos powiedział, że Pete *powinien* zająć się handlem prochami w Vegas – ale – muszą się też zgodzić inni Chłopcy.

Ward był *très* sprytny. Jego ruch z Arden był *très* głupi. Ward potknął się o własnego fiuta – w *très* złym czasie.

Ward pojechał do Waszyngtonu i Nowego Orleanu. Potrzebował go Jimmy H. Wzywał też Carlos.

Carlos chce dokończyć luźne wątki. Chce w tym udziału Warda. Carlos

ufa Wardowi – ale Ward zawsze gardzi rzezią.

Arden widziała ekipę od zamachu. Arden знаła Betty Mac. Arden знаła Hanka Killiama. *Très* pewna hipoteza: Carlos chce ich stuknąć. *Très* pewna hipoteza: Ward powie, że to lekkomyślność.

Szerzyła się jakaś zaraza. Coś jakby grypa miłosierdzia. Coś jakby blues niezabijania.

Powinien był zabić Juniora. Junior powinien był zabić czarnucha.

Obserwował potem Juniora przy robocie. Wspiął się na pobliskie wzgórze. Patrzył z ukrycia. Junior pociachał Maynarda Moore'a. Junior rozwalił mu czaszkę. Junior wyciągnął kule. Nóż mu się omsknął. Nałykał się odłamków kości. Wyrzygał je i kołysał się miarowo.

Sprawdził Juniora. W trzech sekcjach wywiadowczych: LA/Nowy Jork/Miami. Jego ludzie powiedzieli mu, że Junior sprawdzał *jego*.

Jego znajomi nienawidzili Juniora. Mówili, że Wayne Senior to ogier. Mówili, że Wayne Junior to mięczak.

Junior zaraził go grypą miłosierdzia. Junior darował życie asfaltowi. Żle pojął przedstawione mu opcje. Asfalt wyglądał na durnia. Asfalt wyglądał na takiego, co lubi wracać. Asfalt może wrócić tutaj.

Pete krążył. Pete odczytywał szyldy barów. Pete tworzył sobie obraz miasta.

Lokale i nazwiska. Lokale bez nazwisk. Dick Contino/ Art & Dottie Todd/ Rewia Wystrzałowych Panienek. Hank Henry/ Wagabundy/ Freddy Bell i the Bellboys. Perska Komnata/ Niebiańska Komnata/ Na Końcu Strip.

Jack „Jive” Schafer/ Greg Blando/ Jody i Odmieńcy. Morska Kopuła/ Salon Sułtana/ Urocza Spelunka.

Do tego: toalety i zwykłe szulernie. Trochę luksusowych pokoi. Powiedzmy, że tak już zostanie na zawsze:

Znajdzie Barb zatrudnienie. Znajdzie nie należący do żadnych związków zespół. Brad i Brudasy albo Garry i Gnojki – za umówioną stałą stawkę i procent.

Pete zaparkował przed Sands. Pete wpadł do paru kasyn – Thunderbird/ Riviera/ Desert Inn. Trafił akurat na chwilowy zastój. Męty rzucały się w oczy.

Grał w blackjacka. Obserwował:

Jakiemuś ćwokowi zebrało się na szulerkę. Frajer ma podwójny rękaw. I wyciąga z niego karty.

Zobaczył Johnny'ego Rossellego. Pogadali chwilę. Mówili o układzie z Hughesem. Johnny chwalił Warda Littella – taka zakamuflowana groźba: Ward jest dla naszych planów niezbędny. Ty masz jedynie siłę w łapie – to się nie liczy.

Johnny rzucił *ciao*. Podeszły dwie dziwki. Zanosiło się na dupczenie we trójkę.

Pete odszedł. Pete wpadł do Sands/ do Dunes/ do Flamingo. Pete zobaczył przyćmione światła i grube dywany.

Iskry strzelały mu spod stóp. Skarpetki trzeszczały od naelektryzowania.

Wpadł do kilku barów. Pił wodę sodową. Obraz miasta stawał się coraz dokładniejszy. Obserwował barmanów przy pracy. Dziwki go unikały. Miał prawie dwa metry wzrostu i ważył ponad sto kilo. Wyglądał na brutalnego gliniarza...

A to co:

Barman wsypuje pigułki – sześć do małego kieliszka – kelnerka zabiera.

Zahaczył barmana. Pokazał fałszywą odznakę. Zawarczał groźnie.

Barman go wyśmiał. Taką samą odznakę nosił jego syn. Jego syn wyciął ją z Kakaowych Bąbelków.

Facet miał klasę. Pete postawił mu drinka. Facet rozgadał się o Vegas i prochach.

Hera/trawa/koka – *verboten*. To gliny upierały się przy tej trójcy. Mafia zakazywała tylko hery.

Torturowali handlarzy. Zabijali ich. Lokalne ćpuny zaopatrywały się w LA. Lokalne ćpuny przemierzały Heroinową Autostradę.

Piguły i inne dragi były okej. Anielski pył/ kwas/ azotan amylu. Tak samo jak płynna amfa bez igły. Pij, co chcesz, tylko się nie szprycuj – strzeż się policyjnych igłofobów.

Gliny uznawały piguły. Obie brygady narkotykowe – szeryfa i Wydziału Policji. Piguły docierały trasą: Tijuana–LA/ LA–Vegas. Miejscowe konowały też przepisywały piguły. Zaopatrywały barmanów i taksjarzy. Zaopatrywały pigułowymi ćpunów w całym Vegas.

Smoluchy z zachodniego Vegas łaknęły hery. Rzeczonych smoluchów świerzbiło, żeby odlecieć. Zakaz handlu herą pozbawiał ich odlotów i wprawiał w niezadowolenie.

Pete wyszedł. Pete odwiedził Perską Komnatę. Pete obejrzał próbę Dicka Contina. Znał Dicka. Dick grywał na harmoszce Samowi G. Dick był

utrzymankiem kartelu Chicago. Chłopcy wypisywali mu czeki. Chłopcy fundowali mu żarcie. Chłopcy opłacali jego czynsz i kupowali ciuchy jego dzieciakom.

Dick zaczął snuć gadkę o niedoli – niedola to moje drugie imię – wiele niedoli i zero przyjemności. Pete wetknął mu dwie stówki. Dick rozgadał się o barach w Las Vegas.

Lokal, w którym byli, prowadzili Chłopcy z Detroit. Intendent brał łąpówki. Wybierał dla siebie co lepsze cipki. Płacił im i robił z nich dziwki. Pracowały podczas rejsów statkami po jeziorze Meads. Pracowały o dziwnych porach. Jadały tylko śniadanie. Pracownicy barów jechali na amfie i naleśnikach.

Pete wyszedł. Pete dorwał Louisa Primę podczas próby. Stary dziwak zagadał go na śmierć.

Papcio występował anonimowo. Papcio opiekował się dziewczętami, jeśli godziły się mu obciągnąć. Papcio mówił im, kogo unikać:

Czarnych alfonsów. „Łowców talentów”. Zidiociałych „producentów”. Wydawców świerszczyków i palantów bez stałego adresu.

Pete mu podziękował. Papcio głądził dalej. Papcio wspominał szczenięce lata, kiedy był alfonsiem: Stręczyłem elegancko – najlepiej na całym zachodzie – załatwiałem panienki dla nieboszczyka JFK.

Pete rozmiął trzy stowy. Miał sześćdziesiąt banknotów pięciodolarowych.

Złapał notes. Na sześćdziesięciu kartkach zapisał swój numer telefonu. Wpadł do sklepu z gorzałą. Kupił sześćdziesiąt piersiówek. Wziął swoją pałkę i ruszył do zachodniego Vegas.

Jechał powoli. Pod ręką miał pałkę. W ręce swój pistolet. Zobaczył:

Nieutwardzone ulice. Nieutwardzone podwórka. Nieutwardzone place. Walące się chaty – całe mnóstwo.

Kryte papą nory o ścianach z pustaków. *Beaucoup* kościołów/ jeden meczet. Hasła: „ALLACH JEST PANEM!”. Przemalowane na: „JEZUS JEST PANEM!”.

Spora aktywność na ulicach. Szwarce grillujący mięso w beczkach po oleju.

Bar Dzika Gęś/ klub Kolonia/ bar Cukrowe Wzgórze. Ulice nazwane na cześć prezydentów lub oznaczone literami. Wszędzie gruchoty – tymczasowe mieszkania:

Chevrolety dla par. Lincolny dla samotnych. Fordy dla całych rodzin.

Pete krążył powoooooli. Pyszałkowate czarnuchy śledziły go pyszałkowatym wzrokiem. Marszczyły brwi. Ciskały puszkami po piwie. Waliły w jego błotniki.

Zatrzymał się przy beczce, gdzie grillowano żeberka. Jakiś Mulat serwował ochłapy. W kolejce wszyscy się pchali po żarcie. Zauważyli Pete'a. Zarzeli. Uśmiechnęli się szyderczo.

Pete się uśmiechnął. Pete się uklonił. Pete zafundował im lunch.

Dał Mulatowi pięć dych napiwku. Rozdał też piersiówki i piątaki. Rozdał kartki ze swoim numerem telefonu.

Nastała cisza. Cisza narastała. Rzeczona cisza ustępowała powoooooli.

No co, dryblasie? Czego, facet, chcesz?

Pete przemówił:

Kto handluje towarem? Kto widział Wendella Durfee'ego? Kto olewa zakaz sprzedaży hery? Zaczęło się przekrzykiwanie – małe klejnociki informacji – i wielkie klejnoty wśród pustej gadaniny i bełkotu.

Młodszy kelnerzy handlują anielskim pyłem. Pracują w Dunes. No i taksjarze z Monarchy. Opychają amfę i anielski pył. Monarcha jest okej. Monarcha obsługuje zachodnie LV. Monarcha jeździ tam, gdzie inne taksy nie pojedą.

To Curtis i Leroy – takie mają plany – to oni chcą hadlować herą. Niedooooobre chłopaki. Mówią: pieprzyć zakazy. Mówią: pieprzyć tych wszystkich pojechańców.

Przekrzykiwanie – dalsza pusta gadanina/ dalszy bełkot. Pete wrzeszczał. Pete dobywał z siebie charyzmę. Pete przywracał spokój.

Powiedział Mulatowi, żeby zadzwonił do Dzikiej Gęsi. Powiedział szwarzom, żeby zadzwonili do niego.

JEŚLI zobaczycie Wendella Durfee'ego. JEŚLI Curtis i Leroy zaczną opychać herę.

Obiecał szczodłą nagrodę. Otrzymał owację: KURWA, CO ZA GOŚĆ!

Pojechał do Dzikiej Gęsi. Niektóre asfalty pobiegły za nim. Podskakiwały i wymachiwały piersiówkami.

W Gęsi panował tłok. Pete powtórzył występ. Czarnuchy były wniebowzięte. Pete przekrzykiwał pustą gadaninę i bełkot.

Nie dostał nic na Curtisa i Leroya. Dostał tylko plotki o Wendellu D. Wredny Wendell – gorszy niż w kartotece – gwałciciel/gnojek/gnida. Lubił

wracać – w Vegas się urodził i wychował – do Vegas go ciągnęło jak ćmę do światła.

Przekrzykiwanie narastało. Czarnuchy improwizowały. Jeden obsmarował nawet Wayne’a Tedrowa Seniora.

Senior-Król-Slumsów go wycycał. Senior-Król-Slumsów go orznął. Senior-Król-Slumsów podniósł mu czynsz. Hałas stawał się nie do zniesienia. Pete’a rozbolała głowa. Ukoił ból smażonym boczkiem i szkocką.

Gadka o Seniorze go podrajcowała – klejnot wśród pustej gadaniny. A Junior pracował w sekcji wywiadowczej. Junior miał dostęp do akt Komisji Gier.

Czarnuch się rozkręcił. Zszedł z tematu Seniora. Zaraził zapalem innych. Zaczął się bogaaaty murzyński recital:

Jim Crow⁹. Prawa obywatelskie. Restrykcje na rynku nieruchomości. Hymny i peany na cześć Martina Luthera Kinga.

Nie wyglądało to dobrze. Czarni szykowali się do linczu. Pete pochwycił wredne spojrzenia:

JESTEŚMY LUDŹMI! A z CIEBIE jest pieprzony wyzyskiwacz!

Pete wyszedł. Pete poruszał się szybko. Pete zarobił kilka szturchańców.

Wyszedł na chodnik. Jakiś szczeniak polerował mu wóz. Pete dał mu napiwek. Odjechał. Ruszył za nim jakiś chevrolet.

Pete wyczuł ruch. Spojrzał w lusterko. Dojrzał kierowcę:

Młody/ biały/ krótko ostrzyżony. Jakiś gówniarz z policji.

Pete jechał zygzakiem. Pete nie zatrzymał się przed znakiem stop. Chevrolet siedział mu na ogonie. Dojechali do LV. Pete zatrzymał się na światłach. I zaciągnął hamulec ręczny.

Chevrolet się zatrzymał. Pete podszedł. Pete zakręcił pałką. Gówniarz z policji udawał twardziela. Podrzucił w powietrze żeton do gry.

Pete wyciągnął rękę. Pete złapał. Gówniarza zatkaaaało.

Czerwony żeton – 20 \$ – z Land o’Gold. O, cholera – lokal Wayne’a Seniora.

Pete się roześmiał. I powiedział:

– Przekaż sierżantowi Tedrowowi, żeby do mnie zadzwonił.

16

(Waszyngton, 9 grudnia 1963)

Tworzenie nowej tożsamości – stare formularze i rozmazany tusz.

Littell działał. Jego kuchenny stół skrzypiał. Znał się na pracy z papierem i tuszem. Wszystkiego nauczył się w FBI.

Porobił smugi na druku aktu urodzenia. Przypalił go lekko na płycie grzejnej. Poprzecinał naboje do pióra i porobił kleksy.

Dawna Arden Smith/Coates – teraz: *nowa* Jane Fentress.

W mieszkaniu było gorąco. Żeby druki szybciej schły. Littell posmarował tuszem pieczęć. Wykradł ją z Wydziału Policji Dallas.

Arden była z Południa, mówiła z południowym akcentem. Alabama ma dość luźne przepisy, gdy chodzi o wydawanie praw jazdy. Kandydaci wysyłają opłatę. I akt urodzenia. I wypełnione druki testu pisemnego.

Skompletowali je. Wysłali. Wysłali razem ze zdjęciem. Prawo jazdy także przyszło pocztą.

Littell poleciał do Alabamy – jakieś osiem dni temu. Littell pogrzebał w archiwum narodzin i zgonów. Jane Fentress urodziła się w Birmingham 4.09.1926. Zmarła: 1.08.1929.

Pojechał do Bessemer. Wynajął mieszkanie. Na skrzynce pocztowej umieścił „Jane Fentress”. Z Bessemer do Birmingham – trzydzieści pięć kilometrów.

Littell zmienił pióro. Littell rozłożył czystą kartkę papieru. Littell narysował pionowe linie.

Arden była księgową. Arden potrzebowała dokumentów. Arden skończyła szkołę w DeKalb w Missisipi. Podnieśmy jej trochę kwalifikacje – Tulane 1949 – dajmy jej dyplom z rachunkowości.

Miał jechać do Nowego Orleanu. Mógłby odwiedzić po drodze Tulane. Mógłby przejrzeć stare kartoteki. Mógłby rozejrzeć się po uczelni. Mógłby sfalszować wyciąg z indeksu. Mógłby poprosić o pomoc pana Hoovera. Miejscowi agenci znali Tulane. Któryś z nich mógłby podrzucić stosowne

dokumenty.

Littell rozłożył sześć kartek – standardowe formularze z college’u. Działał szybko. Robił kleksy. Robił smugi. Rozcierał to wszystko.

Arden była bezpieczna. Zadekował ją w Balboa – na południe od LA.

Kryjówka w hotelu – opłacana przez Hughes Tool. Hughes Tool Company nie przykładała uwagi do jego wydatków – na polecenie pana Hughesa.

Wymieniali krótkie listy z panem Hughesem. Rozmawiali przez telefon. Nigdy się oficjalnie nie spotkali. Zakradł się do pieczary Drakuli tylko raz – w dzień zamachu przed południem.

Oto i Drak:

Dostaje krew przez kroplówkę. Wstrzykuje sobie herę w penisa. Jest wysoki. Jest chudy. Paznokcie mu się zawijają.

Pilnowali go mormoni. Mormoni dezynfekowali igły. Mormoni podawali krew. Mormoni opatrywali ślady po wkłuciach.

Drak nie ruszał się ze swego pokoju. Drak miał ten pokój *na własność*. Hotel go tolerował – powiedzmy, że uznał jego prawo przez zasiedzenie – jak to w Beverly Hills.

Littell rozłożył zdjęcia. Arden w trzech wersjach. Jedna fotka do paszportu/ prawa jazdy – dwie na zaś.

Kochali się w Balboa. Raptem otworzyło się okno. Jakies dzieciaki ich usłyszały. Dzieciaki się śmiały. Psy dołączyły do nich, szczekając.

Arden miała kościste biodra. On był chudy jak szczapa. Objiali się nawzajem, drapali się, poruszali gwałtownie jak w ataku padaczki.

Arden podniosła rękę do włosów. Jej tętno szalało. W dzieciństwie przeszła szkarlatynę. Miała jedną skrobankę.

Uciekała. On ją złapał. Jej zamiar ucieczki pochodził jeszcze sprzed zamachu.

Littell przyglądał się fotkom. Przyglądał się *jej*.

Miała jedno oko brązowe. Jedno piwne. Jej lewa pierś była mniejsza od prawej. Kupił jej kaszmirowy sweterek. Ładnie opinał ją z jednej strony.

Jimmy Hoffa rzekł:

– Idę na *dno*? Po całym tym pieprzonym zamachu, o który się postaraliśmy?

Littell rzucił: „ćśśś”. Hoffa się zamknął. Littell przeszukał pokój. Sprawdził lampy. Sprawdził dywany. Sprawdził pod biurkiem.

– Ward, za bardzo się przejmujesz. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przed drzwiami stoi strażnik.

Littell sprawdził okno. Pluskwy naokienne się sprawdzały. Przyssawkami mocowało się je do szyby.

– Ward, Jezu, kurwa mać...

Żadnych pluskiew/ żadnych szklanych płytek/ żadnych przyssawek.

Hoffa się przeciągnął. Hoffa ziewnął. Hoffa odchylił oparcie fotela i położył nogi na biurku.

Littell przycupnął na krawędzi.

– Prawdopodobnie zostaniesz skazany. Dzięki apelacji zyskasz najwyżej...

– Ten dupojebiec Bobby Figo-Fago...

– ...ale próba manipulacji ławą przysięgłych nie stanowi wykroczenia, które podpadałoby pod federalne wytyczne dotyczące wydawania wyroków, co oznacza wyrok wedle uznania sędziego, co...

– ...oznacza, że Bobby F-jak-Fiutek Kennedy wygrywa, a James R-jak-Rozpacz Hoffa idzie do pieprzonego pierdła na pięć albo sześć pieprzonych lat.

Littell się uśmiechnął.

– W skrócie tak można powiedzieć.

Hoffa dłubał w nosie.

– Coś jeszcze można powiedzieć. To twoje całe „w skrócie” jest dla mnie głównie warte.

Littell skrzyżował nogi.

– Apelacje mogą się ciągnąć przez jakieś dwa, trzy lata. Pracuję nad długofalową strategią zalegalizowania pieniędzy Funduszu Emerytalnego, podzielenia ich i wyprania przy wykorzystaniu zagranicznych firm, które powinny już nieźle prosperować, kiedy wyjdiesz. W przyszłym tygodniu spotykam się z Chłopcami w Las Vegas, żeby to omówić. Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie to może być ważne.

Hoffa dłubał w zębach.

– A co w pieprzonym międzyczasie?

– W międzyczasie powinniśmy się martwić o te inne wielkie ławy przysięgłych, które powołał Bobby.

Hoffa wydmuchał nos.

– Co za pierdolony lachociąg. Po tym, co zrobiliśmy jego pierdol...

– Musimy wiedzieć, co Bobby sądzi o zamachu. Chciałby to wiedzieć

także pan Hoover.

Hoffa dłużył w uszach. Hoffa uśmiechał się promiennie do Littella. Wydłużył coś. Sięgnął głębiej. Wsadził do ucha pióro, chcąc wydobyć woskowinę. Powiedział:

– Carlos zna jednego takiego prawnika z Departamentu Sprawiedliwości.

W Nowym Orleanie było gorąco. Powietrze było wilgotne i ciężkie.

Carlos miał motel – dwanaście pokoi i biuro. Carlos lubił, gdy na niego czekali.

Ward czekał. W biurze cuchnęło – cykorią i płynem na insekty. Carlos wystawił butelkę – Hennessy X.O. Carlos wąpił w jego zdolność do abstynencji.

Wysiadł z samolotu. Pojechał do Tulane. Przejrzał katalogi. Zrobił listę przedmiotów wykładanych na rachunkowości.

Zadzwoził do pana Hoovera. Poprosił o przysługę. Pan Hoover się zgodził. Tak, zrobię to – podłożę twoje dokumenty.

Padła klimatyzacja. Littell zdjął marynarkę. Potem rozwiązał krawat. Wszedł Carlos. Carlos włączył wentylator w ścianie. Powiało chłodnym powietrzem.

– *Come va, Ward?*

Littell ucałował jego pierścień.

– *Bene, padrone.*

Carlos usiadł na biurku.

– Uwielbiasz ten gówniany rytuał, a nie jesteś nawet Włochem.

– *Stavo perdiventare un prete, Signor Marcello. Aurei potuto il tuo confessore.*

Carlos otworzył butelkę.

– Przetłumacz mi to ostatnie zdanie na angielski. Mówisz po włosku lepiej ode mnie.

Littell się uśmiechnął.

– Mógłbym być twoim spowiednikiem.

Carlos nalał sobie na dwa palce.

– Nie miałbyś nic do roboty. Nigdy nie robię nic, czym mógłbym wkurzyć Pana Boga.

Littell się uśmiechnął. Carlos podał mu butelkę. Littell pokręcił głową.

Carlos zapalił cygaro.

– No to mów, co sływać?

Littell zakaszłał.

– Wszystko w porządku. Ta komisja to pic na wodę, a ja podsunąłem jej sprawozdanie, na którym ma się w swojej pracy oprzeć. Wszystko rozgrywa się tak, jak się spodziewałem.

– Mimo że co nieco się pochrzańilo.

– Z winy Guya Banistera. Nie Pete'a i nie mojej.

Carlos wzruszył ramionami.

– Guy to w gruncie rzeczy kompetentny facet.

– Nie powiedziałbym.

– Jasne, że nie. Ty chciałeś, by zrobiła to twoja ekipa.

Littell zakaszłał.

– Wolę nie spierać się na ten temat.

– Pewnie, kurwa. W końcu jesteś prawnikiem.

Wentylator ścienny się wyłączył. Carlos wcisnął guzik. Znowu powiało chłodem.

Littell powiedział:

– Datę spotkania ustalono na czwartego.

Carlos się roześmiał.

– Moe Dalitz nazywa to „szczytem”.

– Całkiem stosownie. Zwłaszcza jeśli nadal możemy liczyć na twój głos w sprawie interesu Pete'a.

– *Ewentualnego* interesu Pete'a? Tak, pewnie.

– Nie tryskasz optymizmem.

Carlos strzepnął popiół.

– Narkotyki to brudna robota. Nikt nie chce ładować Vegas w takie szambo.

– Vegas to już jest szambo.

– Nie, panie niedoszły księże, to twoje wybawienie. W ten sposób spłacasz nam dług, a bez tego długu gnąłbyś już w innym szambie razem ze swoim przyjacielem Kemperem Boydem...

Littell zakaszłał. W biurze było gęsto od dymu. Ścienny wentylator nim kręcił.

Carlos powiedział:

– No i?

– No i mam plan dotyczący ksiąg rachunkowych Funduszu Emerytalnego. Dość długofalowy i pozostający w związku z twoimi planami wobec pana

Hughesa.

– Chciałeś powiedzieć z naszymi planami.

Littell zakaszlał.

– Tak, z naszymi.

Carlos wzruszył ramionami – na razie mnie to nudzi – a potem podniósł jakąś teczkę.

– Jimmy coś mówił, że potrzebny ci ktoś w pobliżu Bobby’ego.

Littell wziął teczkę. Przebiegł wzrokiem po pierwszej stronie – kartoteka Wydziału Policji Shreveport/ jeden wpis.

12.08.1954: Doug Eversall jedzie samochodem do domu. Doug Eversall potrąca trójkę dzieci. Jest pijany. Dzieci umierają. Kolega Douga, prokurator okręgowy, grzebie sprawę.

Robi to dla swojego kolegi: Carlosa Marcella.

Doug Eversall jest prawnikiem. Doug Eversall pracuje w Departamencie Sprawiedliwości. Bobby lubi Douga. Bobby nie cierpi pijaków, a uwielbia dzieci. Bobby nie wie, że Doug jest zabójcą dzieci.

Carlos powiedział:

– Polubisz Douga. Jest na odwyku, tak jak ty.

Littell chwycił swoją aktówkę i wstał.

Carlos powiedział:

– Za chwilę.

Dym był okropny. Wzmacniał jeszcze zapach alkoholu. Littell prawie się ślinił.

– W naszej sprawie są pewne niezakończone wątki. Ten Ruby nie daje mi spokoju i uważam, że powinniśmy przesłać mu wiadomość.

Littell zakaszlał. No to się za...

– Guy powiedział, że znasz tę historię. No wiesz, to nieszczęsne zamieszanie w motelu Jacka Zangetty’ego.

Dreszcze – jakby ktoś obłożył go suchym lodem.

– Znam tę historię, owszem. Wiem, co chce zrobić Guy, i jestem przeciwny. To zupełnie zbędne, zbyt rzucające się w oczy i zbyttno powiązane z aresztowaniem Ruby’ego.

Carlos pokręcił głową.

– Muszą zginąć. Powiedz Pete’owi, żeby się tym zajął.

Zawroty głowy – jakby wznosił się wysoko nad ziemią.

– Ale to wszystko przez Banistera. To on pozwolił im jechać do kryjówki.

On spieprzył sprawę z Tippitem i Oswaldem. *On* jest pijaczkiem, który chwali się tym każdemu prawicowemu dupkowi na całej ziemi.

Carlos pokręcił głową. Wystawił cztery palce.

– Zangetty, Hank Killiam, ta cipa Arden i Betty McDonald. Powiedz Pete’owi, by nie zwlekał.

17

(Las Vegas, 13 grudnia 1963)

Gazeta z Dallas pisała – strona 6 – BRAK TROPÓW W SPRAWIE ZAGINIONEGO POLICJANTA.

Wayne siedział w Sills' Tip-Top. Okupował boks przy oknie. Miał pod ręką pistolet – załadowany i gotowy do strzału – przykrył go gazetą.

Gazeta kochała Maynarda Moore'a. Pisała o Moorze więcej niż o Jacku Rubym. WIELBICIELE PISZĄ DO ZABÓJCY ZAMACHOWCA. SZEFE POLICJI CHWALI ZAGINIONEGO OFICERA. POSZUKIWANIA TAJEMNICZO ZAGINIONEGO MURZYNA.

Wayne odliczał. Minęło osiemnaście dni. Komisja Warrena/ „Samotny Strzelec”/ brak wieści to dobre wieści.

Wciąż nie mógł przestać myśleć o Dallas. Wciąż opuszczał posiłki. Wciąż latał sikać co parę minut.

Wszedł Pete. Zjawił się punktualnie. Dostrzegł Wayne'a. Usiadł. Uśmiechnął się.

Sprawdził kolana Wayne'a. Zerknął i nic. Zobaczył gazetę. Powiedział:

– Och, daj spokój.

Wayne próbował schować spluwę do kabury. Nie mógł trafić. Walnął w stół. Kelnerka się obejrzała. Wayne się zaczerwienił. Pete strzelił palcami.

– Obserwowałem cię, jak sprzątałeś. Niezła robota, ale szkoda, że lepiej nie rozwiązałeś sprawy z tamtym czarnuchem.

Wayne poczuł ucisk na pęcherz. Wayne zacisnął kolana.

– Masz darmowy apartament w Stardust. To znaczy, że sprowadzili cię tu ludzie z Chicago.

– Mów dalej.

– Wydaje ci się, że jestem twoim dłużnikiem za tamten weekend.

Pete strzelił kciukami.

– Chcę zobaczyć twoje akta Komisji Gier.

Wayne powiedział:

– Nie.

Pete złapał widelec. Pete go obrócił. Pete ścisnął go i zgiął na pół. Kelnerka to zobaczyła. Kelnerka się podnieciła.

Wydusiła: „Oooo”. Upuściła tacę. Narobiła bałaganu.

– Mógłbym cię obejść. Buddy Fritsch to ponoć miły facet.

Wayne wyjrzał przez okno. Wayne zobaczył kolizję dwóch aut.

Pete powiedział:

– Dupki, siedzą jeden drugiemu na ogonie. Zawsze wlepiałem mandaty palantom takim...

– Akta są ukryte i nie istnieją kopie. To jedyna gwarancja bezpieczeństwa w pracy policjanta. Jeśli pójdziesz do Buddy’ego, poproszę o interwencję ojca. Buddy się go boi.

Pete strzelił palcami.

– To wszystko, na co mogę liczyć za Dallas?

– W Dallas nic się nie wydarzyło. Nie oglądasz wiadomości?

Pete wyszedł. Wayne poczuł ucisk na pęcherz. Pobiegnął do kibla.

18

(Las Vegas, 13 grudnia 1963)

Znowu ból głowy/ znowu drink na uśmierzenie/ znowu jakiś bar.

Księżycowa Komnata w Stardust – przyćmione światła i księżycowe panienki w trykotach.

Pete sącył szkocką. Księżycowa panienka przyniosła orzeszki. Ward zostawił mu wiadomość. Przekazał ją recepcjonista. Czekać na biblijny kod – prześlę ci go przez Western Union.

Wayne Junior odmówił. Odmowy bolały. Odmowy go wkurwiały.

Obok przemknęła księżycowa panienka – farbowane na rudo włosy, ciemne odrosty i ciemna opalenizna. Pieprzyć farbowane rude. To prawdziwe rude go rajcowały.

Załatwił Barb robotę – przed trzema dniami – Sam G. pociągnął za sznurki. Proszę bardzo: Barb i Barbarzyńcy.

Stała praca – cztery występy/ sześć nocek w tygodniu – Salon Sułtana w Saharze. Barb się przygotowywała. Mówiła, że twist się skończył. Przyszła moda na rytmy go-go.

Muzyka czarnuchów. Swim/Fish/Watusi. Białe sztywniaki – strzeżcie się!

Olał eksa Barb. Olał jego kapelę. Z pomocą przyszedł Dick Contino. Dick załatwił Barb trio – saksofon/trąbka/ bębny – trzech weterani knajpianych popisów.

Gogusie. Mięśniaki. Klasyczne wsioki.

Pete ich nastraszył. I ostrzegł. Sam G. szepnął słówko: Barb B. jest *verboten*. Zbliżysz się raz i cierpisz. Zbliżysz się drugi raz – umierasz.

Barb podobało się w Vegas. Hotelowe apartamenty i nocne życie. Żadnych prezydenckich kawalkad.

Zachodnie LV wyglądało niezgorzej. Zachodnie LV wydawało się zdane na siebie i złaknięte zakazanego owocu.

Takie ograniczenie handlu do jednej strefy było okej. Walczył w Pearl Harbour w 1942. Straż wybrzeża zamknęła niektóre drogi i kordonem

otoczyła obszar objęty tryprem. Z herą będzie podobnie. Czarnuchy jej łąknęły. Naćpają się. Zostaną w domach. Będą srać do własnego gniazda.

Obok przemknęła księżycowa panienka – farbowana blondyna – ciemne odrosty i woda utleniona. Przyniosła orzeszki. Przekazała wiadomość od Warda.

Pete dopił drinka. Poszedł do apartamentu. Wziął do ręki Biblię. Kod obejmował caluński tekst – od Księgi Wyjścia po Apokalipsę.

Znalazł notatnik – liczby na litery – litery na słowa.

Proszę bardzo:

„Polecenie CM. Elim. 4 z motelu/kryjówki. Zadzwoń jutro wieczorem, 10.30. Budka w Silver Spring, Maryland: BL4-9883”.

19

(Silver Spring, 14 grudnia 1963)

Idealnie:

Zjazd z autostrady/ droga/ dworzec kolejowy/ tory/ peron/ budka telefoniczna.

Niedaleko autostrada. Prowadząca do niej dojazdówka. Widok na parking. Kręcący się ludzie: późne powroty z pracy – wypływająca z Waszyngtonu mamona.

Littell siedział w swoim wozie. Littell obserwował zjazd z autostrady – uwaga na bładoniebieskiego forda. Carlos opisał Eversalla. Facet jest wysoki. Nosi but ortopedyczny.

21.26.

Przemknął ekspres. Samochody parkowały i odjeżdżały. Podmiejski powinien przyjechać o 22.00.

Littell studiował swój scenariusz dla Eversalla. Koncentrował się na pobycie Douga w Nowym Orleanie. Koncentrował się na pobycie tam Lee Oswalda. Koncentrował się na procesach w sprawie wielkich oszustw w 1963. Koncentrował się na wielkiej w nich roli Bobby'ego.

Mafia wpada w panikę. Mijają dwa miesiące. JFK ginie. Eversall kojarzy fakty. Eversall widzi znowę.

Littell spojrzął na zegarek – punktualnie 21.30 – uwaga na faceta w ortopedycznym bucie.

Zajechał niebieski ford. Littell błysnął światłami. Trafiał w przednią szybę i kratownicę. Ford zahamował i stanął. Wysiadł wysoki mężczyzna. Utykał na nogę – w ortopedycznym bucie.

Littell zgasił długie. Eversall zamrugął i się potknął. Jakoś nie upadł. Chora noga mu się wykoślawiła. Niesiona teczka pomogła utrzymać równowagę.

Littell wyłączył światła. Littell otworzył drzwi pasażera. Eversall przykuśtykał – z teczką jako balastem – Eversall klapnął na siedzenie.

Littell zamknął drzwi. Littell włączył światło nad lusterkiem. Nad Eversallem utworzyła się aureola.

Littell go obszukał.

Chwycił go za krocze. Podciągnął koszulę. Ściągnął mu skarpetki. Otworzył teczkę. Przejrzał papiery. Dorzucił mu scenariusz.

Eversall cuchnął – potem i olejkiem pimentowym.

Littell spytał:

– Czy Carlos coś wyjaśnił?

Eversall pokręcił głową. Mięśnie na karku mu się napięły.

– Odpowiadaj. Chcę usłyszeć twój głos.

Eversall się skulił. Jego ortopedyczny but kopnął w plastik pod deską rozdzielczą.

– Nigdy nie rozmawiam z Carlosem. Odbieram telefony od jednego Cajuna.

Powiedział to powoli. Po chwili zamrugął. Zamrugął i umknął przed światłem. Littell złapał go za krawat. Littell szarpnął. Littell przyciągnął go z powrotem pod światło.

– Będiesz nosił podsłuch i rozmawiał z Bobbym. Chcę wiedzieć, co on sądzi o zamachu.

Eversall zamrugął. Eversall się zaj-j-j-jąknął.

Littell szarpnął go znowu za krawat.

– Przeczytałem coś w „The Post”. Bobby wydaje przyjęcie gwiazdkowe i zaprasza ludzi z Departamentu Sprawiedliwości.

Eversall zamrugął. Eversall się zaj-j-j-jąknął. Próbował coś powiedzieć. Zaciął się na *p* i *r*. Chciał powiedzieć: „Proszę”.

– Przygotowałem scenariusz. Powiesz Bobby’emu, że nie podoba ci się zbieżność w czasie tamtych procesów i ostatniej tragedii, i zaproponujesz pomoc w wyjaśnieniu tej zbieżności. Jeśli Bobby się wścieknie, masz jeszcze bardziej obstawać przy swoim.

Eversall zamrugął. Eversall się zaj-j-j-jąknął. Próbował coś powiedzieć. Zaciął się na *p* i *r*. Wskoczyło mu *b* jak „Bobby”.

Littell poczuł smród moczu. Littell zobaczył płamę. Littell otworzył okna.

Miał trochę wolnego czasu. Budka była niedaleko. Pootwierał okna i wietrzył samochód.

Przetaczały się pociągi. Kobiety odbierały ze stacji mężów. Rozpętała się

burza gradowa. Lodowe kulki grzmociły w przednią szybę. Włączył wiadomości w radiu.

Pan Hoover przemawiał do skautów. Jack Ruby stroił fochy w celi. Trudna sytuacja w Sajgonie. Bobby Kennedy w żałobie.

Bobby kochał szczerze. Bobby opłakiwał szczerze. Przynajmniej *kiedys*.

Koniec roku 1958:

Littell pracował w Biurze FBI w Chicago. Bobby pracował dla Komisji McClellana. Kemper Boyd pracował dla Bobby'ego. Kemper Boyd pracował *przeciwko* niemu. Pan Hoover wykorzystywał Kempera bardzo wszechstronnie.

Pan Hoover nienawidził Bobby'ego. Bobby ścigał mafię. Pan Hoover twierdził, że mafia nie istnieje. Bobby upokorzył pana Hoovera. Bobby wykazał, że pan Hoover kłamał.

Pan Hoover lubił Kempera Boyda. Boyd lubił swego kumpla Warda. Boyd załatwił Wardowi pierwszorzędną robotę w FBI:

Program PRZESTĘPCZOŚCI STOP – spóźniona reakcja pana Hoovera – spóźniony gest pana Hoovera w sprawie mafii. Powiedzmy, że półśrodek. Powiedzmy, że chwyt reklamowy.

Littell pracował w PRZESTĘPCZOŚCI STOP. Spieprzył sprawę. Pan Hoover wykopał go z powrotem do Czerwonej Drużyny. Wtedy znów pojawił się Boyd. Wystąpił w imieniu Bobby'ego. Boyd zaproponował swemu kumpłowi Wardowi *prawdziwą* robotę.

Tajne zadania – bez zapłaty.

Wziął tę fuchę. Gromadził informacje przeciwko mafii. Przekazywał je Boydowi. Boyd przekazywał je Bobby'emu.

Nigdy nie spotkał Bobby'ego. Bobby nazywał go Widmem. Do Bobby'ego docierały uporczywe pogłoski. Bobby przekazał je Kemperowi Boydowi:

Teamstersi posiadali *tajne* księgi rachunkowe Funduszu Emerytalnego.

W tych „prawdziwych” tajnych księgach ukryto miliard dolarów.

To *on* tropił „prawdziwe” księgi. Wytropił je u człowieka o nazwisku Jules Schiffrin. Wykradł je – pod koniec 1960 roku.

Schiffrin odkrył kradzież. Schiffrin dostał zawału. Schiffrin zmarł jeszcze tej samej nocy. Littell ukrył księgi. Księgi były zaszyfrowane. Jeden wpis Littell odszyfrował bardzo szybko.

Wpis pogrążył rodzinę królewską. Wpis był dowodem na to, że Joe Kennedy miał silne związki z mafią.

Joe karmił Fundusz. Joe sam się z niego posilał. Joe zainwestował 49 milionów dolarów. Forsa została wyprana. I wykorzystana na pożyczki. Przekupywała polityków. Finansowała przekręty związków zawodowych.

Suma bazowa pozostawała w Funduszu. Zasilała różnorakie interesy. Suma roooosła.

Joe nie ingerował. Teamstersi zarządzali jego aktywami. Littell nie powiedział Bobby'emu. Littell nie zaatakował jego tatusia.

Zatrzymał księgi. Olał robotę w Czerwonej Drużynie. Zaprzyjaźnił się z lewicowcem. Pan Hoover się dowiedział. Pan Hoover go wywalił.

Jack Kennedy został prezydentem. Bobby został prokuratorem generalnym. Bobby załatwił Boydowi robotę w Departamencie Sprawiedliwości.

Boyd interweniował. Naciskał na Bobby'ego – zatrudnij Widmo, proszę.

Pan Hoover interweniował. Naciskał na Bobby'ego – nie zatrudniać Warda J. Littella. To pijak. To mięczak. To komunista.

Bobby się ugiął. Bobby odciął się od Widma. Widmo miało w swych rękach „prawdziwe” księgi. Widmo przestało pić. Widmo zaczęło się najmować w charakterze prawnika. Widmo rozszyfrowało księgi Funduszu.

Wytropiło miliard dolarów. Wytropiło przychody i rozchody. Ślęczało, wyciągało wnioski, aż w końcu *wiedziało*:

Środkami można było obracać. Środki można było legalnie zainwestować.

Nie podzielił się swą wiedzą. Ukrył księgi. Własnoręcznie wykonał ich kopię. Nienawidził teraz Bobby'ego. Ta nienawiść rozciągnęła się na Jacka K.

Boyd miał świra na punkcie Kuby. Podobnie jak Carlos M. – Carlos sponsorował grupy uchodźców. Chłopcy chcieli usunąć Fidela Castro. Chłopcy chcieli odzyskać swoje kubańskie hotele.

Boyd pracował dla Bobby'ego. Boyd pracował dla CIA. Bobby nienawidził Carlosa. Bobby deportował Carlosa. Widmo znało się na prawie deportacyjnym.

Boyd spiknął Widmo z Carlosem. Widmo zostało prawnikiem mafii. Ziejące nienawiścią Widmo czuło, że to moralnie słuszne.

Carlos spiknął go z Jimmym Hoffą. Znow pojawił się pan Hoover.

Pan Hoover zrobił się miły. Pan Hoover pochwalił go za powrót do zawodu. Pan Hoover spiknął go z panem Hughesem. Pan Hoover podzielał jego nienawiść do Jacka i Bobby'ego.

Pracował dla Carlosa i Jimmy'ego. Snuł plany dotyczące układu Hughes–Vegas. Bobby nalatywał na mafię. Jack zaniechał sprawę kubańską. Jack przestał się przejmować napalonymi uchodźcami.

Pete i Boyd dmuchnęli trochę hery. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Chłopcy się naprawdę wściekli.

Littell pogadał z Carlosem. Powiedział: „Zabijmy Jacka”. Powiedział: „Odbierzmy władzę Bobby'emu”. Carlos powiedział: „Tak”. Carlos zatwierdził plan. Carlos zatrudnił Pete'a i Boyda.

Carlos ich wykiwał. Carlos wybrał Guya B. Carlos wysłał Guya do Dallas.

Dały o sobie znać wcześniejsze sekrety. Wyszły na jaw niezapłacone rachunki. *On* miał „prawdziwe” księgi. Miał dane. I nikt go o to nie podejrzewał.

Mylił się. Carlos *wiedział*, że je ma. Carlos widział, jak pnie się w górę. Carlos zażądał wyrównania rachunku.

Carlos powiedział, *sprzedasz* Hughesowi Las Vegas – a *my* go orzniemy. *Ty* wiesz, co jest w księgach. *Ty* złamałeś szyfr. *Ty* masz pomysł, co zrobić z pieniędzmi. *Z tymi* pieniędzmi. A *te* pieniądze plus pieniądze *Hughesa* równa się *nasze* pieniądze – dojone dzięki *twojej* długofalowej strategii.

Zwrócił księgi. Zatrzymał kopie. O jego kradzieży wiedzieli prawie wszyscy. Wiedział Carlos. Carlos powiedział Samowi G. Sam powiedział Johnny'emu Roselliemu.

Wiedział Santo. Wiedział Moe Dalitz. Nikt nie powiedział Jimmy'emu. Jimmy był stuknięty. Jimmy był krótkowzroczny. Jimmy by go zabił.

Littell stroił radio. Docierały do niego strzępy wiadomości i reklam: LBJ/ spróbuj Kool Menthol/ doktor King i Bobby.

Spotkał się z Bobbym – na trzy dni przed Dallas – nie podał swej prawdziwej tożsamości. Powiedział: „Jestem zwyczajnym prawnikiem”. Powiedział: „Mam taśmę”. Bobby poświęcił mu dziesięć minut.

Odtworzył taśmę. Gangster oskarżał Joego Kennedy'ego.

Oskarżał o: oszustwa w Funduszu Emerytalnym/ znowę/ wieloletnie malwersacje.

Bobby zadzwonił do banku swego ojca. Dyrektor potwierdził prawdziwość informacji. Bobby zdusił łyzy. Bobby wściekał się i rozpaczał. Wtedy Littell poczuł się wspaniale. Teraz czuł się parszywie.

Skończyły się wiadomości. Odezwał się spiker: „Już za chwilę Pan Melodia – tylko dla was!”.

Zadzwoił telefon w budce.

Littell podbiegł. Littell poślizgnął się na gradowych kulkach. Littell chwycił słuchawkę.

Pete powiedział:

– Junior się wypiął. Ten pieprzony gówniarz postawił mnie w sytuacji bez wyjścia.

– Pogadam z Samem. Inaczej to załat...

– Stuknę Zangetty'ego i Killiama. I tyle. Kobiet nie ruszę.

W budce było gorąco. Okna zaszyły mgłą. Przez burzę w powietrzu pełno było wilgoci.

– Niech ci będzie. Trzeba by tylko jakoś udobruchać Carlosa.

Pete się roześmiał.

– Nie pieprz mi tu. Wiesz, że nie tylko na tym polega problem.

– Co ty pleciesz?

Pete odpowiedział:

– Wiem o Arden.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.12.1963. Stenogram rozmowy telefonicznej. Oznaczono: „Nagrano na prośbę pana Hughesa. Kopie do: archiwum głównego/ archiwum roku 1963/ archiwum bezpieczeństwa”. Rozmawiają: Howard R. Hughes, Ward J. Littell.

HH: To ty, Ward?

WJL: To ja.

HH: Miałem przeczucie ostatniej nocy. Chciałbyś o nim posłuchać?

WJL: Oczywiście.

HH: Znam ten ton. Zadowolili szefa, byleby wreszcie przeszedł do rzeczy. (WJL się śmieje).

HH: Oto moje przeczucie. Zamierzasz mi powiedzieć, że podział udziałów TWA potrwa całymi latami i dlatego powinienem zająć się pilniejszymi sprawami, a tamtym w ogóle nie zawracać sobie głowy.

WJL: Przeczucie pana nie myliło.

HH: To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Opuuszczasz sobie mnie tak łatwo?

WJL: Mógłbym opisać prawne czynności towarzyszące podziałowi wartych miliard dolarów aktywów i powiedzieć panu, jak bardzo utrudnił pan

to postępowanie poprzez unikanie różnych wezwań.

HH: Wydajesz się dzisiaj bardzo bystry i pewny siebie. Nie zamierzam prowadzić z tobą żadnych słownych potyczek.

WJL: Ja się z panem nie potykam, panie Hughes. Tylko patrzę i oceniam.

HH: A twoja najświeższa ocena brzmi?

WJL: Wyrok zostanie wydany za jakieś dwa lata. Apelacje przeciągną sprawę co najmniej o dziewięć do czternastu miesięcy. Powinien pan omówić szczegóły ze swoimi innymi prawnikami i pchnąć sprawę do przodu poprzez wcześniejsze złożenie zeznań pod przysięgą.

HH: Jesteś moim ulubionym prawnikiem.

WJL: Dziękuję.

HH: Tylko mormoni i ludzie z FBI mają czystą krew.

WJL: Nie jestem ekspertem od krwi, sir.

HH: A ja jestem. Ty znasz się na prawie, a ja na aerodynamice, krwi i zarazkach.

WJL: Jesteśmy ekspertami każdy w swojej dziedzinie, sir.

HH: Znam się też na interesach. Mam teraz środki, by kupić Las Vegas, ale wolę poczekać i dokonać zakupu za gotówkę z udziałów.

WJL: To rozsądna strategia, sir. Powinienem jednak zwrócić pańską uwagę na kilka szczegółów.

HH: W porządku. Słucham.

WJL: Punkt pierwszy: nie kupi pan ani miasta Las Vegas, ani okręgu Clark w Nevadzie. Punkt drugi: zamierza pan nabyć liczne hotele-kasyna, których zakup klócić się będzie z wieloma przepisami antytrustowymi, zarówno stanowymi, jak i federalnymi. Punkt trzeci: nie może pan dokonać tych zakupów teraz. Aby to zrobić, musiałby pan uszczuplić środki niezbędne do prowadzenia Hughes Tool, a poza tym najpierw musi pan jeszcze wkraść się w łaski Zgromadzenia Ustawodawczego Nevady i właściwych ludzi w okręgu Clark. Punkt czwarty: to zadanie należy do mnie – i potrzeba na to czasu. Punkt piąty: chcę zaczekać i prześledzić procesy sądowe w sprawie tworzenia innych sieci hoteli, żeby porównać precedensy i zastosowanie przepisów antytrustowych.

HH: Jezu, co za przemowa. Ależ ty potrafisz przynudzać.

WJL: Tak jest, sir.

HH: Nie wspomniałeś o swoich kumplach z mafii.

WJL: To znaczy, sir?

HH: Rozmawiałem z panem Hooverem. Twierdzi, że masz tych facetów w kieszeni. Jak się nazywa ten gość z Nowego Orleanu?

WJL: Carlos Marcello?

HH: Marcello, no właśnie. Pan Hoover mówił, że facet je ci z ręki. Powiedział: „Jak przyjdzie czas, Littell ożydzi tych ćwoków z Południa i załatwi ci hotele za półdarmo”.

WJL: Z pewnością się postaram.

HH: Zrobisz znacznie więcej.

WJL: Postaram się, sir.

HH: Musimy się zastanowić nad polityką antyżarazkową.

WJL: To znaczy, sir?

HH: W moich hotelach. Żadnych zarazków, żadnych Murzynów. Murzyni są powszechnie znanymi nosicielami zarazków. Skażą moje automaty do gry.

WJL: Zajmę się tym, sir.

HH: Najlepszym rozwiązaniem będzie masowe zastosowanie środków uspokajających. Przeglądałem podręczniki chemii. Niektóre narkotyki posiadają właściwości bakteriobójcze. Moglibyśmy zastosować je wśród Murzynów i obniżyć u nich ilość białych krwinek, dzięki czemu trzymaliby się z dala od moich hoteli.

WJL: Masowe zastosowanie takich środków wymagałoby uzyskania pewnych pozwoleń, których możemy nie dostać...

HH: Nie wydajesz mi się przekonany. Poznaję to po twoim głosie.

WJL: Zastanowię się nad tym.

HH: Zastanów się. Lee Oswald był nosicielem zarazków, zarażał śmiertelną chorobą. Nie potrzebował karabinu. Wystarczyłoby, żeby chuchnął na Kennedy'ego, i w ten sposób by go zabił.

WJL: To interesująca teoria, sir.

HH: Tylko mormoni i ludzie z FBI mają czystą krew.

WJL: W Nevadzie ma pan całkiem sporo mormonów. Jest pewien człowiek o nazwisku Wayne Tedrow Senior, z którym mógłbym w pańskim imieniu nawiązać znajomość.

HH: Mam tu kilku dobrych mormonów. Zapoznali mnie z Fredem Otashem.

WJL: Słyszałem o nim.

HH: To „Podglądacz Gwiazd”. Opiekuje się grupą sobowtórów Howarda Hughesa w całym LA, tak jak kiedyś robił to Pete Bondurant. Ci gońcy

z wezwaniami do sądu uganiają się za nimi jak roboty.

WJL: Powtórzę raz jeszcze, sir: unikanie wezwań przedłuży tylko cały proces.

HH: Ward, ależ ty potrafisz popsuć zabawę.

(WJL się śmieje).

HH: Freddy to Libańczyk. Ci ludzie mają wysoki poziom białych krwinek. Lubię go, ale to nie Pete.

WJL: Pete pracuje ze mną w Las Vegas.

HH: To dobrze. Francuzi mają niski poziom białych krwinek. Czytałem o tym w „National Geographic”.

WJL: Miło mu będzie to usłyszeć.

HH: To dobrze. Pozdrów go ode mnie i przekaz, żeby postarał się dla mnie o trochę lekarstwa. Będzie wiedział, o co chodzi. Powiedz mu, że moi mormoni przynoszą mi towar dość niskiej jakości.

WJL: Przekazę.

HH: Pozwól, że wyjaśnimy sobie jedną rzecz, zanim się rozłączę.

WJL: Tak, sir?

HH: Chcę kupić Las Vegas.

WJL: Wyraził się pan jasno.

HH: Pustynne powietrze zabija zarazki.

WJL: Tak jest, sir.

20

(Las Vegas, 23 grudnia 1963)

Przyjęcie – doroczne wydarzenie w Vegas – gwiazdkowy jubel u Wayne’a Seniora.

Jakiś pedzio udekorował dom. Poustawiał rzeźby lodowe i pokrył ściany sztucznym śniegiem. Zatrudnił elfy i nimfy.

Za elfy robili nielegalni robole z Meksyku. Podawali przekąski. Nosili tuniki przypominające zwykłe szmaty. Za nimfy robiły dziwki z Dunes. Serwowały gościom własne dekolty i drinki.

Pedzio ustawił estradę. Pedzio urządził parkiet do tańca. Pedzio wynajął jakiś żaloszny kwartet: Barb i Barbarzyńcy – piosenkarka i trzech gogusiowatych eks-skazańców.

Wayne krążył. Kapela go wkurzała. W facecie od trąbki rozpoznał pospolitego oszusta. W facecie od saksofonu – gwałciciela.

Piosenkarka rekompensowała wszystko – rude włosy i obłędne nogi.

Lynette krążyła. Tłum się mieszał. Gliniarze i szumowiny z Vegas. Mormoni i ważniaki z bazy wojskowej Nellis. Wayne Senior krążył. Janice tańczyła solo. Tłum się na nią gapił. Janice potrząsała biodrami. Janice się kołysała. Janice przysiadła – baaaardzo nisko.

Wayne Senior podszedł. Wayne Senior zakręcił swoją laską. Jakiś jednogwiazdkowy generał z Nellis ją złapał.

Dał znak kapeli. Barb wystukała rytm. Kapela zaimprovizowała przygrywkę. Barb wzięła w dłoń marakas.

Jednogwiazdkowy przyklęknął. Jednogwiazdkowy opuścił laskę – baaaardzo nisko.

Barb improwizowała:

– Vegas miasto na sto dwa, każdej damie szansę da...

Janice rozstawiła szeroko nogi. Janice zakołysała biodrami. Janice przykucnęła baaaardzo nisko. Tłum klaskał. Tłum tupał. Barb pomrukiwała do rytmu.

Janice odchyliła się w tył baaaardzo nisko. Janice błysnęła cekinami. Janice trzasnęły szwy. Janice trachnęły obcasy. Zrzuciła buty. Przeszła pod laską i się wyprostowała.

Tłum bił brawo. Janice ukloniła się baaaardzo nisko. Miała rozprutą sukienkę. Ukazały się czerwone majtki.

Wayne Senior dał jej salema. Światła przygasły. Combo zagrało *Moonglow*. Zapalił się mały reflektor. Jego światło padło na Janice. Przesunęło się i pochwyliło Wayne'a Seniora.

Trzymali się razem. Janice trzymała papierosa. Dym unosił się w snopie światła. Tańczyli w kółku.

Wayne Senior się uśmiechał. Wayne Senior to uwielbiał. Janice zgrywała się i nabijała z całej tej gównianej cikliwości.

Kołysali się. Janice gubiła cekiny. Światło reflektora podskoczyło. Wayne spostrzegł Lynette. Lynette spostrzegła Wayne'a. Lynette spostrzegła, jak Wayne pożera wzrokiem Janice.

Uciekł przed jej spojrzeniem. Wyszedł na zewnątrz. Chodził po tarasie od frontu. Poczł marihuanę – na dole czuwało pogotowie narkotykowe.

Janice lubiła się sztachnąć przed przyjęciem. Janice dzieliła się ze służbą. Wayne widział naćpanych lokai. Widział jakąś setkę samochodów – a teraz jeszcze spojrzenie na pas startowy.

Samolot zaparkowany przez służącego – piper deuce jednego z gości.

Wayne spacerował. Wayne chodził po tarasie. Wayne przeżywał Dallas.

Jack Ruby obchodził Chanukę. W gazecie zamieszczono unikatowe zdjęcia. Dwie strony na temat: MALEJĄ SZNASE NA ODNALEZIENIE POLICJANTA.

Wayne obserwował przyjęcie. Przeszklone drzwi tłumiły hałas. Spojrzał na pijanych elfów – wlepiali gały w Barb.

Wayne patrzył na nią.

Barb porusza ustami. Barb kołysze biodrami. Barb stuka w statyw mikrofonu. Barb rozgląda się po pomieszczeniu. Barb widzi czyjaś twarz i kolana jej mięką.

Wayne ścisnął szklanekę. Wayne stanął pod odpowiednim kątem. Wayne podążył za jej spojrzeniem.

Oto i Pan Zmiękczac – Pete Bondurant.

Barb wymięka. Topnieje jak pierdolone zaspy w sierpniowym słońcu. Wielki Pete tak samo.

Wayne uchylił drzwi. Wayne pochwycił tekst piosenki: „Moje oczy są tylko dla ciebie”.

Wayne zamknął drzwi. Żołądek mu się skurczył. Oparł się o szklaną taflę. Poczłł chłód i ocalił zjedzony obiad.

Barb przesłała całusa. Pete przesłał swojego. Pete przeciągnął się i rąbnął głową w sufit.

Pete wyszczerzył zęby w uśmiechu. Pete zrobił: „ups!”. Dołączył do niego facet – opalony i chudy – jakieś wsiowe chuchro.

Wayne usiadł na krześle. Wayne zadarł nogi. Wayne się bujał, odpychając się od balustrady. Gdzieś w dole zapłonęła zapalka. Dym ze skręta wzniósł się w górę, do niego.

Przyjemny zapach. Wzbudził wspomnienia. Raz sam się nasztachał. W szkole spadochroniarskiej w Fort Bragg. Skoczmy nawaleni i zobaczmy, jak chmury zmieniają barwy.

Drzwi się rozsunęły. Na taras wdarł się zgiełk. Wayne poczuł Janice – papierosy i Chanel N°5.

Podeszła. Oparła się o niego. Ścisnęła jego ramiona i plecy.

Wayne powiedział:

– No dalej, masuj.

Janice zaczęła masować. Janice wbijała palce. Janice rozluźniała napięte mięśnie.

– Coś tam na dole słodko pachnie...

– Pachnie przestępstwem, jeśli o mnie chodzi.

– Daj spokój. Są święta.

– Chciałaś powiedzieć: „To jest Vegas i prawo jest na sprzedaż”.

Janice wbiła palce.

– Przy policjancie nie zdobyłabym się na taką szczerość.

Wayne odchylił się do tyłu.

– Kto to jest ten jednogwiazdkowy?

– To generał brygady Clark D. Kinman. Strasznie leci na rozmawiającą tu z tobą kobietę.

– Zauważyłem.

– Wszystko zauważasz. A ja zauważyłam, jak pozeraleś wzrokiem tę piosenkarkę.

– A zauważyłaś jej męża? Tego wielkiego?

Janice masowała mu kręgosłup.

– Zauważyłam samolot, którym przyleciał, i kaburę, którą ma przy kostce. Wayne drgnął. Janice połaskotała go w kark.

– Dotknęłam czułego punktu?

Wayne zakaszłał.

– A to chuchro to co za jeden?

Janice się roześmiała.

– To pan Chuck Rogers. Przedstawił się jako pilot, geolog naftowy i zawodowy antykomunista.

– Powinnaś przedstawić go mojemu ojcu.

– Wydaje mi się, że już są bliskimi przyjaciółmi. Dyskutowali o sprawie kubańskiej czy innych takich bzdurach.

Wayne poruszył głową w obie strony.

– A kto zatrudnił to combo?

– Twój ojciec. Buddy Fritsch mu ich polecił.

Wayne się odwrócił. Wayne zobaczył Lynette. Lynette zobaczyła jego. Zastukała w przeszklone drzwi. Pokazała na zegarek. Wayne pokazał dziesięć palców.

Janice powiedziała:

– Jak ona potrafi popsuć zabawę. – Janice zrobiła z dłoni szpony. Janice zadrwiła z drętwej Lynette.

Wayne włączył lampę przy poręczy. Janice zeszła po schodach. Sypały się za nią cekiny. W świetle lampy połyskiwały.

Służący chichotali. *Hola, senora. Gracias por la trawka.*

Wayne majstrował przy lampie.

Obrócił ją. Schylił. Wycelował w samolot. Oświetlił okno. Zobaczył strzelby i kamizelki.

Drzwiczki się otworzyły. Wyskoczył Pete B. Wayne go oświetlił. Pete pomachał i mrugnął.

Wayne go olał. Wayne wszedł do środka i dołączył do bawiącego się tłumu. Szaleństwo o północy. Pijani goście huścili jemiołą.

Elfy były zalane. Nimfy nawalone. Mormoni schlani w cztery dupy. Lodowe rzeźby topniały. Lodowa stajenka się rozpływała. Z Dzieciątka Jezus została chlapa. Rzeczony Zbawca robił za popielniczkę. W jego żłóbku wałały się pety.

Wayne krążył. Barbarzyńcy się pakowali. Barb dźwigała statywy do mikrofonów i bębny. Wayne ją obserwował. Lynette obserwowała jego.

Wayne Senior czynił honory domu. Czwórka ludzi z mormońskiej starszyny i zestawione ciasno krzesła. Chuck Rogers zasiadł. Chuck trzymał dwie butelki – żłopał gin i jagodowego sznapsa.

Wayne Senior sypał nazwiskami – pan Hoover powiedział to/ Dick Nixon powiedział tanto. Starszyna się śmiała. Chuck częstował swoimi trunkami. Wayne Senior podał mu klucz.

Chuck ujął go w dłoń. Chuck wstał. Starszyna się śmiała. Starszyna wymieniała sztubackie spojżenia.

Wszyscy się podnieśli. Ruszyli bocznym korytarzem. Chuck ich prowadził. Szykowała się jakaś schadzka. Stanęli przy drzwiach pokoju, gdzie Senior trzymał broń.

Chuck otworzył. Starszyna się wtoczyła. Starszyna rechotała i udawała zgorszona. Chuck wszedł na końcu. Starszyna dorwała się do jego gorzały. Chuck szybko zamknął drzwi.

Wayne obserwował. Wayne dorwał jakiegoś bezpańskiego drinka. Wayne wypił. Wódka i przecier owocowy – na szklance ślad szminki.

Owocowy przecier łagodził pieczenie. Szminka miała słodki smak. Powoli zaczynało go rozbierać.

Podszedł do pokoju z bronią. Usłyszał rechotanie. Nacisnął klamkę. Otworzył drzwi.

Seans trwał w najlepsze. Chuck obsługiwał projektor. Film leciał na rozwijanym ekranie. Bohater: Martin Luther King.

Jest tusty. Jest nagi. Jest w ekstazie. Pieprzy ostro białą kobietę.

Rznęli się. Rznęli się bezgłośnie. Rznęli się chłop na babie. Szum zakłóceń i kropki na obrazie. Widoczna perforacja i liczby – kod FBI. Tajna robota/ film z inwigilacji/ zniekształcony obraz.

King był w skarpetkach. Kobieta w nylonowych pończochach. Starszyna rechotała. Projektor pstrykał. Film zaciął się w pół klatki.

Zapadnięty materac – tusty wielebny King – jeszcze tłustsza kobieta. Popielniczka podskakująca na łóżku – rozrzucone dokoła i podskakujące pety.

Chuck dorwał latarkę. Nakierował jej światło. Na trzymaną w rękę zapisaną kartkę.

King się spuścił – ujęcie panoramiczne – kondomy na nocnej szafce.

Chuck wrzasnął – cisza teraz – Chuck odczytał z kartki:

– Gruba Berta powiedziała: „Różnij mnie, Marty! Razem dojdziemy na

szczyyyt!”.

Wayne wbiegł. Chuck go zobaczył. Chuck się rozdziawił – co jest, do...

Wayne kopnął projektor. Rolki taśmy spadły i potoczyły się po podłodze. Film wyświetlił się na trzech ścianach i znikł. Starszyzna się cofała. Starszyzna potykała się i waliła głowami. Starszyzna przewróciła ekran.

Wayne dorwał kartkę. Chuck się odsunął. Wayne popchnął go i wybiegł. Pokonał boczny korytarz. Zahaczył o estradę. Przedarł się przez grupę elfów i nimf.

Wypadł na frontowy taras. Dorwał lampę na balustradzie. Przekręcił ją i skierował na kartkę.

No jasne – układ strony według Wayne’a Seniora. Jego wielkość kartki/ jego marginesy/ jego czcionka.

Tekst i obrazki. Martin Luther King-Kong i tłusta kobieta. Tłusci Żydzi z kłami.

Martin Luther King-Kong – erekcja.

Jego członek to żelazny pręt do wypalania piętna. Rozgrzany do czerwoności. Końcówka ma kształt sierpa i młota.

Wayne splunął na karykaturę. Wayne przedarł ją na pół. Wayne podarł ją na drobne kawałki.

21

(Nowy Meksyk, 24 grudnia 1963)

Wiatr uderzał znienacka. Samolotem telepało.

Niebo było czarne. Powietrze wilgotne. Grudki lodu waliły w skrzydła. Altus, Oklahoma – na wschód.

Chuck leciał nisko. Chuck leciał tak, by uniknąć radarów. Chuck leciał bez dziennika pokładowego. Zero lądowiska. Zero pasa startowego. Prosto do wiejskiej mety Jacka.

W kabinie było ciasno. W kabinie było zimno. Pete włączył ogrzewanie. Zadzwoił wcześniej. Udawał turystę. Dowiedział się, że Jack Z. ma trójkę gości.

Łowcy przepiórek. Chwała Bogu – sami faceci.

Chuck znał to miejsce. Chuck spędził tam trochę czasu. Chuck znał rozkład. Jack spał w biurze. Jack umieścił swoich gości blisko. Trzy przejściowe pokoje.

Pete sprawdził ładunek.

Latarki/strzelby/magnum. Benzyna/jutowe worki. Taśma izolacyjna/gumowe rękawice/lina. Polaroid/ kaftany bezpieczeństwa/ cztery słoje miodu.

Nadwyżka środków bojowych. Ale Carlos uwielbiał mokrą robotę. Carlos planował. Carlos załatwiał ludzi, nie brudząc własnych rąk.

Chuck czytał nienawistny pamflet. Od pulpitu sterowniczego biło dość światła. Pete dojrzał komiksowe obrazki i teksty rodem z FBI. Nienawiść i obscena – czarnuch o nazwisku Bayard Rustin – pedalski grupenseks.

Pete się roześmiał. Chuck powiedział:

– Po co poszliśmy na to przyjęcie? Żeby nie było, że narzekam. Spotkałem tam parę życzliwych dusz.

Samolotem bujnęło. Pete rąbnął się w głowę.

– Chciałem przekazać komuś wiadomość, że nie odejdę.

– Zechcesz powiedzieć mi komu i dlaczego?

Pete pokręcił głową. Samolotem szarpnęło. Pete walnął kolanami w pulpit

sterowniczy.

Chuck powiedział:

– Pan Tedrow to prawdziwy Amerykanin. Nie powiedziałbym tego o jego synu.

– Nad Juniorem trzeba popracować. Nie lekceważ go.

Chuck łyknął awiomarin.

– Pan Tedrow zna ważnych ludzi. Guy B. mówił, że sypnął gotówką na pewną operację.

Pete rozmasował kark.

– *Nie było* żadnej operacji. Nie czytasz pieprzonego „New York Timesa”?

Chuck się roześmiał.

– To znaczy, że mi się to przyśniło?

– Lepiej, żebyś tak uważał. Dłużej pożyjesz.

– No to musieli mi się przyśnić wszyscy ci ludzie, których Carlos chce sprzątnąć.

Pete potarł oczy. O, kurwa – Ból Głowy nr 3000.

– To będę pewnie śnił, jak będziemy załatwiać Jacka Z., a już *na pewno* będę śnił, jak znajdziemy starego Hanka i te cipy, Arden i Bet...

Pete złapał go za kark.

– W Dallas nic się nie wydarzyło i nic nie dzieje się teraz.

3.42.

Wylądowali. Na ziemi lodowa skorupa. Chuck schował klapy i zahamował. Samolot zrobił obrót. Zatańczył na lodzie. Wykonał kilka ósemek, po czym stanął w wysokiej trawie.

Włożyli kamizelki. Wzięli latarki/strzelby/magnum. Przykręcili tłumiki.

Ruszyli na południowy wschód. Pete wszystko wymierzył: pięćset metrów. Niskie wzgórza. Jaskinie w litej skale. Powłoka chmur, a nad nimi księżyc.

Jest – motel – w dole, na wybrukowanym placu.

Dwanaście pokoi. Kształt podkowy. Dojazdowa polna droga. Zero świateł. Zero dźwięków. Dwa jeepy koło biura.

Podeszli. Chuck znieruchomiał. Pete oświetlił drzwi. Ujrzał zamek z zapadką sprężynową. Ujrzał obluzowaną gałkę. Ujrzał obiecująco wyglądającą szczelinę.

Wyciągnął nóż. Wetknął w szparę. Otworzył zamek. Wszedł do środka. Drzwi zaskrzypiały. Zaświecił latarką pod nogi.

Trzy stopnie i kontuar – na nim księga meldunkowa na łańcuchu.

Wspiął się po omacku. Plan pomieszczeń Chucka był dokładny. Wpadł na kontuar. Spojrzenie w lewo – z boku: szeroko otwarte drzwi. Pokój nr 1 – ciemno.

Oczy przyzwyczały się do mroku. Przymrużył je. Wychwycił tony szarości pośród czerni. Minał wzrokiem pokój nr 1. Zmrużył oczy jeszcze bardziej. Zobaczył uchylone drzwi pokoju nr 2.

Uszy na lewo – chrapanie pod 1. Uszy w przód – chrapanie za kontuarem.

Pete poczuł zapach papieru. Pete obmacał kontuar. Pete namacał księgę. Oświetlił stronę, na której była otwarta. Zobaczył zameldowanych trzech gości – pokoje 1/2/3.

Pete oparł się o kontuar. Pete wyciągnął spluwę. Pete poświecił latarką i wycelował tam, skąd dochodziło chrapanie. Oto i Jack Zangetty – na wznak na połowym łóżku – oczy zamknięte, usta szeroko otwarte.

Pete wycelował nieco w bok od snopa światła. Pete nacisnął spust. Głowa Jacka pękła. Zęby eksplodowały.

Tłumik zadziałał – zabrzmiało jakby kaszlnięcie i prychnięcie. Jeszcze raz – tak na wszelki wypadek.

Pete wycelował nieco w bok od snopa światła. Pete nacisnął spust. Trafił w perukę Jacka. Krew i sztuczne włosy/ kaszlnięcie i prychnięcie.

Uderzenie – peruka poleciała. Uderzenie – Jack stoczył się z łóżka.

Jack potracił butelkę. Butelka spadła. Butelka brzęknęła i się potoczyła.

Głośny brzęk. Głośny dźwięk. Głośny odgłos toczenia.

Pete wyłączył latarkę. Pete kucnął nisko. Chrupnęła mu chrząstka w kolanie. Oczy na lewo/ uszy na lewo/ uwaga na drzwi.

No i proszę – śmiech gościa/ skrzywienie łóżka.

– Jack, dorwałeś gdzieś nową flaszkę?

Jasna sylwetka w drzwiach – frajer ma białą piżamę.

Pete włączył latarkę. Pete skierował snop na biały kształt. Pete poświecił facetowi w oczy. Wycelował nieco w bok od światła. Nacisnął spust. Trafił w dziesiątkę.

Krew i plamy na bieli/ kaszlnięcie i prychnięcie.

Facet pofrunął. Facet walnął w drzwi. Facet wyrwał je z zawiasów. Oczy na lewo – jest światło – drzwi nr 2. Uszy na lewo – stukot butów i odgłos zapinanego rozporka.

Pete położył się na brzuchu. Pete wycelował. Teraz – uwaga na drzwi.

Jakiś facet je otworzył. Rzeczony facet przystanął. Rzeczony facet minął pokój nr 1. Rzeczony facet przykucnął i wymierzył z karabinu 30.06.

Pete też wymierzył. Facet się zbliżył. Wypaliła strzelba. Posypało się szkło – z *zewnątrz* – śrut roztrzaskał *boczne* okno.

Chuck strzelał. Chuck strzelał swoją specjalną amunicją – zatrutym grubym śrutem.

Facet znieruchomiał. Odłamki szyby powbijały mu się w ciało. Zakrył oczy. Pobiegł na oślep. Wpadł na krzesła. Zaczął pluć szkłem.

Pete wypalił. Pete chybił. Chuck wpadł przez okno. Podbiegł szybko. Szturchnął faceta lufą – BUM! – strzelił mu w plecy.

Facet pofrunął. W Pete'a trafiły łuski i drobniejszy śrut. Chuck pobiegł na południe. Chuck wywalił drzwi nr 3.

Pete pobiegł za nim. Chuck zapalił lampę. Światło padło na faceta pod łóżkiem. Facet łkał. Nogi mu sterczały. Miał na sobie pizamę w tureckie wzory.

Chuck wycelował nisko. Chuck odstrzelił mu stopy. Facet wrzeszczał. Pete zamknął oczy.

Wiatr ucichł. Budził się dzień. Sprzątanie się przeciągnęło.

Zabrali jeepy. Przewieźli trupy do samolotu. Znaleźli jaskinię i wprowadzili tam wozy. Musieli się użerać z nietoperzami. Trąbili klaksonami. Nietoperze uciekały. Uderzały w przednie szyby. Włączyli wycieraczki. Małe sukinsyny tylko się od nich odbijały.

Rozlali benzynę. Podpalili jeepy. Ogień zapłonął i przygasał. Jaskinia zatrzymała dym.

Pieszo wrócili do samolotu. Owinęli sztywniaków w kaftany bezpieczeństwa. Zapakowali w jutowe worki. Rozwarli im szczęki. Wlali miód. Miód przyciągał wygłodniałe kraby.

Pete cyknął cztery fotki polaroidem – po jednej na każdą ofiarę – Carlos chciał dowodów.

Lecieli nisko. Dotarli do północnego Teksasu. Zobaczyli całą masę małych jeziorek. Zrzucili trzech sztywniaków. Dwóch chlupnęło i zatoneło. Trzeci zrobił dziurę w mocnym lodzie.

Chuck niemal szorował brzuchem po ziemi. Chuck leciał nisko. Chuck sterował kolanami.

Miał tytuł magistra. Czytał komiksy. Chuck palnął w łeb prezydentowi

Kennedy'emu. Mieszkał z rodzicami. Wciąż w swoim pokoju. Budował modele samolotów i wachał klej.

Chuck niemal szorował brzuchem po ziemi. Jego usta się poruszały. Pete odczytał z nich: KKK klaruje kontrowersje. Biali faceci mają największe kutasy!

Pete się roześmiał. Chuck przeleciał nad jeziorem Lugert. Pete wrzucił Jacka Z. do wody.

22

(Las Vegas, 4 stycznia 1964)

Szczyt. Penthouse w Dunes – jeden wielki stół.

Karafki. Syfony. Słodczyce i owoce. Żadnych cygar – Moe Dalitz był uczulony.

Littell najpierw sprawdził, czy nie ma podsłuchu. Chłopcy oglądali telewizję. Poranne kreskówki – Miś Yogi i kaczor Webster Webfoot.

Chłopcy toczyli spór. Sam i Moe lubili Misia. Johnny R. lubił kaczora. Carlos lubił debilnego kumpla Yogi.

Santo T. drzemał – pieprzyć ten szajs dla imbecyłowatych bachorów.

Podsłuchu nie stwierdzono – można zaczynać.

Littell prowadził spotkanie. Chłopcy ubrali się nieformalnie – koszulki polo i bermudy.

Carlos sączył brandy.

– Ja zacznę. Hughes jest *non compos mentis* i wydaje mu się, że Ward siedzi w jego kieszeni. Sprzedamy mu hotele i każemy zatrzymać naszych ludzi, którzy zajmą się odciąganiem, i to na jeszcze większą skalę niż dotychczas. Hughes w niczym się nie połapie, bo pokażemy mu zaniżone liczby, jeszcze zanim cokolwiek kupi.

Littell pokręcił głową.

– Jego negocjatorzy sprawdzą każdą deklarację podatkową z każdego hotelu, sięgając dziesięć lat wstecz. Jeśli odmówicie ich przedłożenia, będą próbowali zdobyć nakaz albo przekupić odpowiednich ludzi, którzy mogliby uzyskać kopie. A poza tym nie możecie przedłożyć sfałszowanych deklaracji, wykazujących niskie dochody, bo w ten sposób sami obniżycie swoją cenę sprzedaży.

Sam powiedział:

– A więc?

Littell wziął łyk wody sodowej.

– Musimy uzyskać możliwie najwyższą cenę ze spłatą rozłożoną na

osiemnaście miesięcy. Naszym celem długoterminowym jest stworzenie pozorów legalnego inwestowania pieniędzy w legalne interesy, za pomocą których pieniądze te zostaną wyprane. Mój plan...

Carlos mu przerwał.

– Właśnie, plan – przejdź do niego wreszcie i wyłóż tak, żebyśmy zrozumieli.

Littell się uśmiechnął.

– Będziemy mieli do dyspozycji pieniądze ze sprzedaży i te, z których nasi ludzie oskubią Hughesa. Nabywamy za nie legalne przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwa należące do osób, które skorzystały z pożyczek Funduszu Emerytalnego. Są to firmy bardzo dochodowe i pozornie całkiem niepodatne na przestępcze działania, firmy, które zostały założone za pożyczki udokumentowane w „prawdziwych” księgach. Tak więc pochodzenie ich kapitału jest dość niejasne. Dlatego pożyczkobiorcy owi są bardzo podatni na wymuszenia i nie będą protestowali przeciwko przyjęciu wmuszanych im pieniędzy ze sprzedaży. Pożyczkobiorcy nadal będą prowadzili swoje interesy. Nasi ludzie będą nadzorować operacje i obracać zyskami. Pieniądze będziemy kierować do hoteli-kasyn za granicą. Przez „zagranicę” rozumiem Amerykę Łacińską. Przez „Amerykę Łacińską” rozumiem kraje rządzone przez wojskowych bądź skrajną prawicę. Zyski z kasyn będą opuszczać owe kraje nieopodatkowane. Będą wędrować na konta w szwajcarskim banku i pomnażać się dzięki odsetkom. Pochodzenie pobranej gotówki będzie absolutnie niemożliwe do wytropienia.

Carlos się uśmiechnął. Santo zaklaskał. Johnny powiedział:

– To tak jak na Kubie.

Moe rzekł:

– To tak jak na Kubie, tylko że dziesięć razy lepiej.

Sam rzekł:

– Chyba nie musimy na tym poprzestawać?

Littell wziął jabłko.

– Na razie to jedynie plan, bardzo długofalowy. Czekamy, aż pan Hughes pozbędzie się udziałów w TWA i zdobędzie w ten sposób pieniądze na zakup.

Santo rzekł:

– No to mówimy o całych latach czekania.

Sam rzekł:

– Mówimy o cierpliwości.

Johnny rzekł:

– To cnota. Czytałem gdzieś o tym.

Moe:

– Będziemy obserwować klimat na południe od granicy. Znajdziemy sobie tuzin Batistów.

Sam:

– Pokaż mi Latynosa, którego nie da się przekupić.

Santo:

– Potrzebne im tylko białe mundury ze złotymi pagonami.

Sam:

– Są pod tym względem jak czarnuchy.

Johnny:

– Nie znoszą komuchów. To im trzeba oddać.

Carlos dorwał się do winogron.

– Zabezpieczyłem księgi. Musimy liczyć się z tym, że Jimmy poleci za te manipulacje ławą przysięgłych.

Littell pokiwał głową.

– Za to i za inne rzeczy.

Sam mrugnął.

– Ukradłeś księgi, Ward. A teraz powiedz nam, że ich nie skopiowałeś.

Johnny się roześmiał. Moe się roześmiał. Santo ryknął śmiechem.

Littell się uśmiechnął.

– Powinniśmy pomyśleć o naszych ludziach w kasynach. Pan Hughes będzie chciał zatrudnić mormonów.

Sam strzelił palcami.

– Nie lubię mormonów. Oni nienawidzą Włochów.

Carlos sącył X.O.

– Dziwisz się?

Santo rzekł:

– Nevada to stan mormonów. Dla nich to to samo co Nowy Jork dla Włochów.

Moe rzekł:

– Chciałeś powiedzieć dla Żydów.

Johnny się roześmiał.

– To poważna kwestia. Hughes będzie chciał wybrać własnych ludzi.

Sam zakaszłał.

– Nie możemy sobie tego odpuścić. Musimy zatrzymać naszych ludzi w branży.

Littell rozkroił jabłko.

– Znajdziemy naszych własnych mormonów. Wkrótce będę rozmawiał z człowiekiem zawiadującym Związkiem Zawodowym Pracowników Kuchni.

Moe rzekł:

– Wayne'em Tedrowem Senioorem.

Sam rzekł:

– On nienawidzi Włochów.

Moe:

– Za Żydami też nie przepada.

Santo rozpakował cygaro.

– Dla mnie to bzdury. Najważniejsze, żeby w branży byli nasi ludzie.

Johnny rzekł:

– Zgadzam się.

Moe wyrwał Santowi cygaro.

– Chcesz mnie zabić?

Carlos rozpakował batonik Mars.

– Na tym zakończmy na razie, co? Rozmawiamy o nie wiadomo jak dalekiej przyszłości.

Littell rzekł:

– Zgadza się. Pan Hughes jeszcze przez jakiś czas nie będzie miał tych pieniędzy.

Sam obrał banana.

– To twoje pięć minut, Ward. Wiem, że masz do powiedzenia coś jeszcze.

Littell rzekł:

– Prawdę mówiąc, cztery rzeczy. Dwie ważne i dwie mniej ważne.

Moe przewrócił oczami.

– No to gadaj. Jezu, jak tego faceta trzeba poganiać.

Littell się uśmiechnął:

– Po pierwsze, Jimmy jest świadom swojej sytuacji i nie może tego znieść. Zamierzam zrobić, co w mojej mocy, żeby nie trafił do więzienia, dopóki nasz plan z księgami nie zostanie wdrożony.

Carlos się uśmiechnął.

– Gdyby Jimmy się dowiedział, że ukradłeś księgi, to już on by cię wdrożył.

Littell potarł oczy.

– Zwróciłem je. I nie mówmy już o tym.

Sam rzekł:

– Wybaczamy ci.

Johnny rzekł:

– Żyjesz przecież, no nie?

Littell zakaszłał.

– Bobby Kennedy prawdopodobnie poda się do dymisji. Nowy prokurator generalny może mieć własne plany wobec Las Vegas, a pan Hoover może nie być w stanie im przeszkodzić. Postaram się wyświadczyć mu parę przysług, dowiedzieć się, czego się da, i wszystko wam przekazać.

Sam rzekł:

– Bobby, ten fiut złamany.

Moe rzekł:

– To pierdolone złe nasienie.

Santo rzekł:

– Ten złamas nas wykorzystał. Wsadził tego pedała swojego brata do Białego Domu za nasze pieniądze. Orznął nas tak, jak faraonowie rznąli naród wybrany.

Johnny rzekł:

– Rzymianie, Santo. Faraonowie rznąli Joannę D’Arc.

Santo rzekł:

– Pieprzyć Bobby’ego i Joannę. I on, i ona to fiuty złamane.

Moe przewrócił oczami. Pieprzyć to gojowskie pieprzenie.

Littell rzekł:

– Pan Hughes nienawidzi Murzynów. Chce, żeby trzymali się z dala od jego hoteli, niezależnie od kosztów. Wyjaśniłem mu dżentelmeńską umowę, jaka w tym względzie obowiązuje, ale on chce posunąć się dalej.

Santo wzruszył ramionami.

– Każdy nienawidzi czarnuchów.

Sam wzruszył ramionami.

– Zwłaszcza tych od praw obywatelskich.

Moe wzruszył ramionami.

– Szwarce jak szwarce. Nie chciałbym widzieć Martina Luthera Kinga na

swoim progu tak samo jak Hughes, ale prędzej czy później oni wywalczą te swoje prawa.

Johnny rzekł:

– To robota czerwonych. To oni ich agituja i podburzaja. A z podburzona osobą nie da się rozsądnie rozmawiać.

Santo rozpakował cygaro.

– Ale wiedza, że nie są tu mile widziani. Czarny motłoch trzymamy z daleka, a wpuszczamy tylko kilka grubszych ryb. Gdyby król Faruk z Konga zechciał zostawić w Sands ze dwieście kawalków, nie miałbym nic przeciwko temu.

Johnny wziął brzoskwinię.

– Król Faruk jest Meksykaninem.

Santo rzekł:

– Niech będzie. A jak przepieprzy wszystkie pieniądze, damy mu robotę w kuchni.

Sam rzekł:

– Ja grywam w golfa z Billym Eckstinem. To kapitalny gość.

Johnny rzekł:

– Bo ma w sobie białą krew.

Moe rzekł:

– A ja regularnie grywam w golfa z Sammym Davisem.

Carlos ziewnął. Carlos zakaszłał. Carlos kiwnął w stronę Littella.

Littell zakaszłał.

– Pan Hughes uważa, że miejscowych Murzynów należałoby „wyciszyć”. Pomysł jest niedorzeczny, ale być może uda nam się zadziałać tak, że sami odniesiemy z jego realizacji pewne korzyści.

Moe przewrócił oczami.

– Ward, jesteś geniuszem. Nikt tego nie kwestionuje. Ale za bardzo lubisz owijać w bawełnę.

Littell skrzyżował nogi.

– Carlos wstępnie zgodził się, że powinniśmy odstąpić od bezwzględnego zakazu sprzedaży narkotyków i pozwolić Pete’owi Bondurantowi handlować wśród Murzynów. Wszyscy znacie jego przeszłość. Pete rozprowadzał towar dla organizacji Santa w Miami od 1960 do 1962 roku.

Santo pokręcił głową.

– Wtedy finansowaliśmy uchodźców. To była akcja wymierzona

wyłącznie przeciwko Castro.

Johnny pokręcił głową.

– Akcja jednorazowa.

Carlos rzekł:

– Podoba mi się ten pomysł. To żyła złota, a Pete jest diabło przedsiębiorczy.

Littell rzekł:

– Dajmy mu zajęcie. Możemy stworzyć sobie nowe źródło gotówki, a jednocześnie udobruchać pana Hughesa. On nie musi znać szczegółów. Nazwę to „Akcją Ciszą”. Spodoba mu się to określenie i będzie zadowolony. Pod pewnymi względami jest jak dziecko.

Carlos rzekł:

– To naprawdę żyła złota. Węszę tu wielkie zyski.

Sam pokręcił głową.

– A ja węszę dziesięć tysięcy ćpunów zmieniających Vegas w szambo.

Moe pokręcił głową.

– *Ja* tu mieszkam. Nie chcę być świadkiem wielkiego pieprzonego napływu naćpanych włamywaczy, naćpanych złodziei i naćpanych gwałcicieli.

Santo pokręcił głową.

– Vegas to Królowa Miast Zachodu. Nie bruka się miejsca takiego jak to na własne życzenie.

Johnny pokręcił głową.

– Wyobraź sobie bandę nawalonych czarnuchów szukających następnej działki. Oglądasz sobie *Show Lawrence’a Welka*, a tu jakiś wielgachny asfalt kopniakiem wywała drzwi i kradnie ci telewizor.

Sam pokręcił głową.

– A przy okazji gwałci ci żonę.

Santo pokręcił głową.

– O turystyce można by wtedy zapomnieć.

Moe wyrwał Santowi cygaro.

– Carlos, jesteś w tym punkcie przegłosowany. Nie sra się na własny dywan.

Carlos wzruszył ramionami. Carlos wyciągnął przed siebie ręce, dłońmi do góry.

Moe się uśmiechnął.

– Ward, napykałeś dziś sobie mnóstwo punktów. Więcej niż ma na koncie którykolwiek z nas. A ten twój długofalowy plan to po prostu strzał w dziesiątkę.

Sam się uśmiechnął.

– Albo i w setkę.

Santo się uśmiechnął.

– To po prostu taki strzał, że się w pierdolonej skali nie mieści.

Johnny się uśmiechnął.

– To po prostu Kuba nr 2. Bez brodatego czerwonego pedała, który mógłby nam wszystko spieprzyć.

Littell się uśmiechnął. Littell się wzdrygnął. Littell omal nie ugryzł się w język.

– Chciałbym się upewnić, czy otrzymamy jednomyślną zgodę od Komisji Kontroli Gier oraz Komisji Kontroli Sprzedaży Wyrobów Alkoholowych. Pete próbował dobrać się do akt sekcji wywiadowczej WPLV, ale nic z tego nie wyszło.

Santo odebrał swoje cygaro.

– Nigdy nie byliśmy w stanie przekupić Komisji. Oni tam przydzielają te pierdolone licencje wedle własnego kaprysu.

Moe rzekł:

– To robota tutejszych pierwotnych osiedleńców. No wiecie, uprzedzenie. Mamy to miasto na własność, ale oni wrzucają nas do jednego wora z czarnuchami.

Johnny rzekł:

– Trzeba zacząć od akt. Musimy znaleźć jakieś słabe ogniwa i je wykorzystać.

Sam rzekł:

– Gliny strzegą tych informacji. Nawet Pete B. nie był w stanie ich wydobyć. Mówi ci to coś?

Littell się przeciągnął.

– Sam, może jeden z twoich ludzi mógłby spróbować. Może Butch Montrose?

Sam się uśmiechnął.

– Dla ciebie, Ward, wszystko.

Littell się uśmiechnął.

– Ja chcę poszukać wsparcia w stanowym zgromadzeniu ustawodawczym.

Pan Hughes zamierza sypnąć pieniędzmi na cele charytatywne i rozgłosić to w całej Nevadzie, więc gdybyście mieli jakieś ulubio...

Johnny mu przerwał.

– Święty Wincenty a Paulo.

Sam rzekł:

– Rycerze Kolumba¹⁰.

Santo rzekł:

– Szpital Świętego Franciszka. Operowali tam mojemu bratu prostatę.

Moe rzekł:

– Zgromadzenie Żydowskie – i pieprzyć KKK.

Drakula fundował mu kwatery – apartament w Desert Inn. Cztery pokoje/ wolny wstęp na pole golfowe/ nieograniczony czas pobytu.

Jego trzecia kwatery.

Miał metę w DC. Miał metę w LA – dwa kosztowne mieszkania. W sumie trzy domy. Wszystkie umeblowane. Wszystkie pozbawione stylu.

Littell wniósł swoje rzeczy. Littell musiał umykać przed piłkami do golfa. Littell rozebrał telefony. Littell sprawdził, czy nie ma podsłuchu.

Telefony były bezpieczne. Złożył je na nowo. Rozluźnił się i rozpakował.

Arden była w LA. Zbliżała się do niego skokami. Dallas do Balboa/ Balboa do LA. Vegas ją przerażało. Tam zabawiali się Chłopcy. Znała Chłopców. Nie chciała powiedzieć skąd.

Była teraz jego „Jane”. Uwielbiał jej nowe imię. Uwielbiał jej poprawioną przeszłość.

Dokończył tworzenie jej dokumentów. Ona nauczyła się danych. Jeden z agentów podrzucił papiery. Raczyła go opowieściami o Jane – improwizowała – sypała szczegółami i przypominała je po kilku dniach.

On je zapamiętywał. Rozumiał aluzję:

To ty mnie stworzyłeś. Teraz pogódź się ze swoim dziełem. Nie zarzucaj kłamstwa moim opowieściom. *Poznasz mnie jeszcze. Powiem ci, kim byłam.*

Pete wiedział o Arden. Pete dowiedział się w Dallas. Ufał Pete’owi. A Chłopcy mieli w garści ich obu.

Carlos kazał Pete’owi zabić Arden. Pete rzekł: „Okej”. Ale Pete nie zabije kobiet. Nie będzie „okej”.

Pete załatwił Jacka Zangetty’ego. Pete poleciał do Nowego Orleanu. Pete zdał relację Carlosowi. Carlosowi bardzo spodobały się zdjęcia. Carlos

powiedział: „Jeszcze trójka”.

Pete pojechał do Dallas. Pete się rozejrzył. Pete zadzwonił do Carlosa. Pete zameldował:

Jack Ruby świruje. Drapie się. Jęczy. Gada z duchami. Hank Killiam prysnął z Dallas. Hank zadekował się na Florydzie. Betty Mac prysnęła w miejsce nieznane.

Ta *Arden*? Znikła – tylko tyle wiem. Carlos powiedział: „Okej – na razie”.

Szczyt przebiegł pomyślnie. Jego plan zawojował Chłopców. Nie zgodzili się jednak na projekt narkotykowy. Pete usłyszał: „Nie”. Pete przycisnął Wayne’a Juniora. Wayne Junior powiedział „Nie”. Pete usłyszał: „Nie” – dwa razy z rzędu.

Zadzwonił do niego Doug Eversall – w Wigilię. Doug powiedział: „Nie udało mi się nagrać Bobby’ego”.

On odrzekł: „Zachowaj sprzęt – przyduś go raz jeszcze”.

I wesołych świąt. I nie potknij się o swój but. I nie upuść mikrofonu.

Zadzwonił do pana Hoovera. Powiedział, że znalazł źródło przy Bobbym. Powiedział, że założył mu podsłuch.

Nie powiedział:

Sam, muszę usłyszeć głos Bobby’ego.

23

(Las Vegas, 6 stycznia 1964)

W przewodach grzewczych dudniło. W pokoju operacyjnym można było zamarznąć. Pieprzone igloo.

Ludzie zmywali się na potęgę. Wayne pracował sam. Wayne porządkował biurko.

Przeglądał zgromadzoną makulaturę. Najpierw odłożył na jeden stos dzienniki z Dallas. Były tam jakieś bzdury o Rubym. Były duperele o Moorze i Durfeem.

Sonny Liston przysłał pocztówkę. Przypominała ich „dobre czasy”. Sonny przepowiadał, że wygra z Clayem przez nokaut.

Znalazł jedno akta – pobicia dziwek w zachodnim LV/ raporty i zdjęcia. Kolorowe dziwki/ paskudne siniaki/ rozmazana szminka i stłuczenia.

Nie odłożył akt. Zaczął je czytać. Szukać tropów. Nic się nie pojawiło. Przydzielony gliniarz nienawidził Murzynów. Przydzielony gliniarz nienawidził dziwek. Przydzielony gliniarz dorysował im fiuty w ustach.

Wayne układał papiery. Wayne porządkował biurko. Wayne zamykał akta na klucz. Wayne na maszynie wystukiwał raporty.

W pokoju operacyjnym można było zamarznąć. W przewodach grzewczych dudniło – brrr-kurwa-brrr.

Wayne ziewał. Wayne’owi chciało się spać. Lynette truła mu bezustannie. Lynette znała jedną śpiewkę: „Co się wydarzyło w Dallas?”.

Unikał jej. Wcześniej zmywał się z domu. Pracował do późna. Chodził do barów. Pił piwo. Widywał Barb B. Pielęgnował to swoje zauroczenie.

Siadał blisko estrady. Pete siadywał tuż obok. Nigdy nie rozmawiali. Obaj pożerali wzrokiem tę rudą.

Niech to będzie takie zabezpieczenie. Niech to będzie strefa buforowa – pozostajmy w kontakcie.

Lynette go naciskała. Lynette mówiła: nie chowaj się przede mną. Lynette mówiła: nie chowaj się u Wayne’a Seniora.

Chował się tam przed Dallas. Durzył się w Janice przed Barb. Dallas wiele zmieniło. Wayne zmienił obiekt swojego zadurzenia.

Obserwował Barb. Jednocześnie bawił się z Pete'em w „kto pierwszy stchórzy”. Janice stanowiła drugoplanowy obiekt zadurzenia.

Unikał teraz Wayne'a Seniora. Od Gwiazdki. Ten film i ulotka nienawiści – styl drukarski Wayne'a Seniora.

Tamte stare bazgroły to było jedno: „Veto dla Tito!”/ „Wykastrować Castro!”/ „Precz z ONZ!”. To były wołania strachu. To była antyczerwona panika. To nie była nienawiść w najczystszej postaci.

Widział Little Rock. Wayne Senior nie widział. Klan podpalił samochód. Wybuchł zbiornik z paliwem. Kolorowy chłopak stracił oko. Jakies wsioki zgwałciły kolorową dziewczynę. Mieli prezerwatywy. Po wszystkim wepchnęli je jej do ust.

Wayne ziewał. Wayne czytał sporządzone przez kalkę kopie. Blady druk zamazywał mu się przed oczami.

Podszedł Buddy Fritsch.

– Znudziła cię twoja zwykła robota?

Wayne się przeciągnął.

– Obchodzi to pana, że jacyś rozdający karty do blackjacka byli skazani za drobne wykroczenia?

– Mnie nie, ale Nevadzki Komitet Gier to obchodzi.

Wayne ziewnął.

– Chętnie zabrałbym się za coś ciekawszego.

Fritsch usiadł okrakiem na krześle.

– Bardziej potrzebne mi są aktualne informacje na temat członków Komisji Kontroli Gier i komisji od alkoholu. Wszystkich oprócz szeryfa i prokuratora. Przedstaw mi je przed wpięciem do akt.

Wayne powiedział:

– Dlaczego teraz? Zawsze aktualizuję te dane latem.

Fritsch wyciągnął zapalnik. Ręka mu zdrząła. Nie trafił w pudełko. Złamał główkę.

– Dlatego, że ci każę. Takie uzasadnienie musi ci wystarczyć.

– Co za informacje?

– Wszystko, co może im zaszkodzić. No już, znasz ich przecież. Od jakiegoś czasu prowadzisz obserwacje i wiesz, kto jest niegrzeczny.

Wayne bujnął się na krześle.

– Wezmę się za to, jak skończę swoją robotę.

– Weźmiesz się za to teraz.

– Dlaczego „teraz”?

Fritsch wyciągnął zapalną. Ręka mu zadrżała. Nie trafił w pudełko.

– Dlatego, że spieprzyłeś tamtą ekstradycję. Dlatego, że pewien policjant wziął się za nią bez ciebie i dał się zabić. Dlatego, że spieprzyłeś stosunki pomiędzy nami a Wydziałem Policji Dallas, i dlatego, że uparłem się, by wydobyć z ciebie coś wartościowego, zanim dochrapiasz się wyższej rangi i wyniesiesz się z mojej sekcji.

„Wartościowego” przesądziło – pieprzyć palanta.

Wayne przysunął się z krzesłem. Wayne pochylił się nisko. Wayne mocno grzmotnął w kolana Fritscha.

– Myśli pan, że zabiłbym człowieka za sześć tysięcy dolarów i parę klepnięć po plecach? Niech pan sobie zapamięta: nie chciałem go zabić, nie mogłem go zabić, nie zabiłbym go, i to jest najbardziej wartościowa rzecz, jaką może pan ze mnie wyciągnąć.

Fritsch zamrugnął. Ręce mu zadrżały. Spieniła mu się ślina na ustach.

Nie wyglądało to dobrze. Logika – E następuje po D.

Pete chce dostać akta. Pete wie o procedurze zabezpieczającej przed przekrętami: akta są przechowywane przez jednego gliniarza. Rzeczony gliniarz bada ewentualne wykroczenia. Rzeczony gliniarz informuje Komitet Gier.

Taka procedura chroni dane. Taka procedura nie jest na rękę skorumpowanym glinom. Taka procedura rzuca kłody pod nogi skorumpowanym funkcjonariuszom wydziału.

Taki plan stworzyli uczciwi gliniarze – jeden policjant/ jedno akta. Gliniarze sekcji wywiadowczej znajdowali sobie protegowanych. Im przekazywali swoją robotę. Ostatni wywiadowca zginął na służbie. Wayne Senior pociągnął za sznurki. Wayne Senior załatwił Wayne’owi tę fuchę.

E następuje po D. Pete ma konszachty z mafią. Podobnie jak Buddy Fritsch. Buddy wie, że akta zawierają *stare* dane. Ostatnie oskarżenie o niestosowne zachowanie zostało odnotowane w 1960 roku.

Pete chce *świeżych* brudów. Pete chce czegoś *mocnego*. Pete przycisnął Buddy’ego Fritscha. Buddy jest wściekły na Wayne’a. Buddy uwielbia Wayne’a Seniora. Buddy wie, że Wayne *wykona* to zadanie.

Wayne przechowywał swoje akta w skrytce bankowej. Zgodnie z procedurą: sejf w głównym oddziale Banku Ameryki.

Pojechał tam. Urzędnik otworzył skarbiec. Wayne wyciągnął akta. Znał już nazwiska. Przebiegł wzrokiem po danych i odświeżył pamięć. Spisał adresy.

Duane Joseph Hinton. Wiek: 46 lat. Przedsiębiorca budowlany/ mormon. Brak powiązań mafijnych. Pijak/ bije żonę. Jedno oskarżenie – lipiec 1959.

Hinton przekupuje członków zgromadzenia ustawodawczego. Tak twierdzi jeden z informatorów. Hinton funduje im dziwki. Hinton rozdaje bilety na walki bokserskie. Urzędnicy przekazują mu oferty przetargowe. Hinton składa najkorzystniejszą. Hinton otrzymuje rządowy kontrakt na prace budowlane.

Rzeczony informator – niezweryfikowany. Zamknięcie sprawy – wrzesień 1959.

Webb Templeton Spurgeon. Wiek: 54 lata. Emerytowany prawnik/ mormon. Brak powiązań mafijnych/ brak oskarżeń.

Eldon Lowell Peavy. Wiek: 46 lat. Właściciel Korporacji Taksówkowej Monarcha i hotelu-kasyna Golden Cavern.

Cavern przyciągało słabo nadzianych graczy. Monarcha obsługiwał tanią klientelę. Taksówki woziły pijaczków do młynów. Taksówki czatowały przed aresztem. Taksówki woziły prostytutki. Monarcha obsługiwał zachodnie LV. Monarcha woził Murzynów. Monarcha pobierał opłaty z góry.

Eldon Peavy był ciotą. Eldon Peavy zatrudniał byłych więźniów. Eldon Peavy był właścicielem baru dla pedałów w Reno.

Odnutowane donosy: sierpień 1960, wrzesień 1960, kwiecień 1961, czerwiec 1961, styczeń 1962, marzec 1962, sierpień 1962. Wszystko to donosy informatora – jak dotąd niezweryfikowane:

Kierowcy Peavy'ego noszą broń. Kierowcy Peavy'ego handlują pigułami. Peavy stręczy męskie dziwki. Peavy ma towar pierwsza klasa. Peavy szuka talentów podczas występów estradowych. Peavy werbuje tancerzy, którzy mają się rznąć i obciągać.

Są uroczy. Są ciotami. Dają dupy dla przyjemności i amfetaminy. Sprzedają się gwiazdorom filmowym.

Ostatni donos: sierpień 1962.

Wayne był wtedy zwykłym patrolowcem. Wayne został sierżantem. Wayne awansował do sekcji wywiadowczej: 8.10.1962. To poprzedni gliniarz zebrał te donosy. Rzeczony gliniarz był odporny na łąpówki/ podły/

leniwy. Był przy napadzie na supermarket. Dostał pięć kulek, sam wystrzelił dziewięć. Zmarł. Przy okazji zabił dwóch meksów.

Trzej członkowie komisji. Dziewięć donosów – niepotwierdzonych. Wayne sprawdził załączniki – zdawały się w porządku.

Peavy rejestrował swoich eks-skazańców. Zeznania podatkowe Peavy'ego wyglądały czysto. Podobnie jak Hinton'a i Spurgeon'a.

Wayne schował akta. Urzędnik zamknął skarbiec. Wayne poszedł na kawę. Wayne zabił czas.

Trochę się poszwendał. Zabił jeszcze trochę czasu. Pojechał na komisariat. Dotarł na parking. Buddy Fritsch akurat wyjeżdżał. To było bardzo dziwne i nie-Fritschowate.

Była 17.10. Fritsch zawsze odmeldowywał się o 18.00. Jak w zegarku.

Żona się z nim rozwiodła – pod koniec zeszłego roku. Żona przysła z kochanką. Fritsch dąsał się i rozmyślał. Fritsch zachowywał się jak typowy rogacz.

Wychodzi z roboty o 18:00. Jedzie do Elks Lodge. Wypija późny obiad i gra w brydża.

Wayne minął komisariat. Fritsch odjechał Pierwszą Ulicą. Wayne patrzył, jak się oddala. Fritsch skręcił na wschód. Do Elks Lodge jechało się na zachód.

Wayne zawrócił. Wayne wpuścił przed siebie kilka samochodów. Fritsch jechał prawym pasem. Fritsch zatrzymał się przy Binion's Casino.

Podszedł jakiś facet. Fritsch uchylił okno. Facet przekazał kopertę. Wayne zmienił pas. Zyskał lepszy widok. Rozpoznał faceta:

Butch Montrose. Sługus Sama G. Jeden wielki gnój.

24

(Las Vegas, 6 stycznia 1964)

Barb prezentowała wah-watusi. Śpiewała. Kołysała biodrami. Podrygiwała.

Barbarzyńcy głośno przygrywali. Barb nie trafiała w wysokie tony. Jej śpiew był do bani. Wiedziała o tym. Nie próbowała udawać, że jest inaczej.

Bar był pełen. Barb nęciła facetów. Samych smutnych frajerów. Samotnych palantów i emerytów – i Wayne’a Tedrowa Juniora.

A Pete patrzył.

Barb podniosła ręce. Barb się spociła. Ukazała odrastające rude włoski pod pachami. To go kręciło. Uwielbiał to, jak w tym miejscu smakowała.

Barb prezentowała swim. Światło scenicznych lamp wydobywało jej piegi. Pete patrzył na Barb. Junior patrzył na Pete’a. To mu działało na nerwy.

Nerwy miał w strzępach. Szczyt odbył się i przeszedł do historii. Chłopcy powiedzieli „nie”. Ward był jego rzecznikiem. Carlos też był za – pohandlujmy herą.

Przeegrali głosowanie – dwoma głosami.

Widział się z Carlosem w Nowym Orleanie. Carlos widział fotki Zangetty’ego. Carlos powiedział: „*Bravissimo*”. Pogadali sobie. Pogadali o Kubie. Polamentowali. CIA spieprzyło sprawę kubańską. Tak samo jak niektórzy mafiosi.

Pete’owi wciąż zależało. Carlosowi też. Stara ekipa znalazła *nową* robotę.

John Stanton siedział w Wietnamie. CIA działało tam na szeroką skalę. Wietnam był jak Kuba, tyle że z żółtkami. Laurent Guéry i Flash Elorde pracowali dorywczo – szantaże i zastraszenia na zlecenie skrajnej prawicy. Robili wypadki z Mexico City. Laurent kosił czerwonych w Paragwaju. Flash kosił czerwonych na Dominikanie.

Pete i Carlos pogadali o Taxi Tygrys. Dawne dobre czasy w Miami – prochy i rekrutacja uchodźców. Taksówki w tygrysie pasy/ czarno-złote siedzenia/ heroina i *la Causa*.

Pogadali o zamachu. Zaczął Carlos. Carlos sypnął nowymi szczegółami.

Pete nawiązał do zawodowego strzelca. Chuck mówił, że to Francuz. Carlos *znał* nowe szczegóły.

To Laurent go wprowadził. Laurent zachował się jak prawdziwy frankofil. Strzelec miał żabojadzkie referencje. Był snajperem w Indochinach. Był zabójcą w Algierii.

Próbował zabić Charlesa de Gaulle'a. Nic z tego nie wyszło. Nienawidził de Gaulle'a. Kochał zabijać. Stuknijmy JFK – JFK w Paryżu całował się z Charliem z jęczyzkiem.

Carlos się wkurzył – wypłynęło ciało Jacka Z. – pisali o tym w gazecie w Dallas. O zaginionych gościach Jacka ani mru-mru. Jack był nieczysty. Jack prowadził „melinę”. Śmierć Jacka załatwywała „gangsterskimi porachunkami”.

To wypłynięcie to była zła wróżba. To wypłynięcie wróżyło „nie”. Junior powiedział „nie” dla akt. Chłopcy powiedzieli „nie” dla hery.

Carlos powiedział: „Marzec. Wiesz, czego chcę – zabij całą tę bandę z kryjówki”.

Pete pojechał do Dallas. Pete udał, że szuka Arden. Pete szukał Betty Mac. Ściemniał. Ściemniał porządnie. Ostrzegł w ten sposób Betty Mac. Betty zbystrzyła się i dała nogę.

Znalazł trop dotyczący Hanka Killiama. Hank był na Florydzie. Hank czytał gazetę z Dallas. Wiadomość o Jacku Z. trochę go wystraszyła.

Pete zadzwonił do Carlosa. Pete zameldował o tropie. Pete musiał lizać makaroniarską dupę. Pogadali. Carlos kłął na Guya B.

Guy za dużo pił. Guy za dużo gadał. Guy uwielbiał swojego kumpla-chwalidupę Hanka Hudspetha. *Razem* za dużo pili. *Razem* za dużo gadali. *Przechwalali się* ponad miarę.

Pete powiedział: „Stuknę ich”. Carlos powiedział: „Nie”. Carlos zmienił temat. „Zaraz, Pete – a gdzie jest ten dupek Maynard Moore?”

Pete powiedział, że zabił go jakiś asfalt. W Wydziale Policji Dallas się wściekli. Klan wyznaczył nagrodę.

Carlos się śmiał. Carlos ryczał ze śmiechu. Carlos był wniebowzięty.

Myśl o zamachu jeżyła mu włosy na karku.

Zrobili to. Wyszli z tego cało. Dupki z kryjówki były bez znaczenia. Carlos o tym wiedział. Zamach go rajcował. Pogadajmy o tym i się rozluźnijmy. Zabijmy paru frajerów, żeby było o czym rozmawiać. Pete sączył colę. Tydzień wcześniej rzucił gorzałę. Carlos kłął na Guya. Carlos

gardził pijaczkami...

Barb zakręciła mikrofonem na sznurze. Barb nie trafiła w dźwięk. Barb rozsiała kropelki potu.

Pete patrzył na Barb. Junior patrzył na niego.

Barb występowała do późna. Pete wrócił do hotelu sam.

Zadzwoił po obsługę. Stał na tarasie i wpatrywał się w Strip. Czuł podmuchy chłodnego powietrza.

Zadzwoił telefon. Złapał słuchawkę.

– Tak?

– Czy to Pete? No, ten wielki facet, co rozdawał swój numer w zachodnim LV?

– Tak, tu Pete.

– To ekstra, bo dzwonię w sprawie nagrody.

Pete powiedział:

– Słucham.

– To słuchaj pan, bo Wendell Durfee pojawił się w mieście i słyszałem, że kupił spluwę, żeby sprzątnąć jednego rozdającego przy grze w kości. Słyszałem też, że Curtis i Leroy właśnie przywieźli trochę he-ro-i-ny.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 7.01.1964. Dosłowny zapis tajnego nagrania dokonanego w Hickory Hill, Wirginia. Rozmawiają: Doug Eversall, Robert F. Kennedy.

(Hałas w tle/ zlewające się głosy).

RFK (rozmowa w toku): Cóż, skoro uważasz, że to isto...

DE: Jeśli można, wolałbym (hałas w tle/ zlewające się głosy, przypadkowe dźwięki. Trzaśnięcie drzwi, kroki)...

RFK (rozmowa w toku): ...tu były. Liniąły, zostawiały sierść na całych dywanach.

DE (kaszel): Ja mam dwa airedale.

RFK: To dobre psy. Dobrze dogadują się z dziećmi. (Pauza: 2,6 sekundy). Doug, o co chodzi? Patrzysz tak, jak według tego, co mówią ludzie, patrzę ja.

DE: Cóż...

RFK: No? Jesteśmy tutaj, żeby ustalić daty procesów, pamiętasz?

DE (kaszel): Cóż, chodzi o prezydenta.

RFK: Johnsona czy mojego brata?

DE: O brata. (Pauza: 3,2 sekundy). Hm, nie podoba mi się ta sprawa z Rubym. (Pauza: 1,8 sekundy). Nie chcę, by to zabrzmiało niestosownie, ale nie daje mi to spokoju.

RFK: Naprawdę? (Pauza: 2,1 sekundy). Wiem, o czym mówisz. O jego powiązaniach z mafią. Niektórzy dziennikarze lubią o tym pisać.

DE (kaszel): To najważniejsza rzecz, owszem. (Pauza: DE kaszle). A poza tym, cóż, hm, Oswald podobno spędził jakiś czas w Nowym...

RFK: Orleanie. Zeszłego lata. A ty pracowałeś tam kiedyś dla prokuratora stanowego.

DE: Cóż, chodzi o to...

RFK: Daj już temu spokój. (Pauza: 4 sekundy). Ale masz rację co do Ruby'ego. Wkroczył tam, zastrzelił Oswalda i wyglądał, jakby poczuł wielką ulgę, że mu się udało.

DE (kaszel): Nie jest czysty.

RFK (śmiech): Nie kaszł na mnie. Nie stać mnie na to, żeby znowu nie iść do pracy.

DE: Przepraszam, że do tego nawiązałem. Niepotrzebnie wszystko przypomniałem.

RFK: Jezu Chryste, przestań mnie co parę sekund przepraszać. Im szybciej ludzie zaczną mnie normalnie traktować, tym lepiej będę się czuł.

DE: Sir, ja...

RFK: To właśnie dobry przykład. Nie zwracałeś się do mnie „sir”, dopóki nie zginął mój brat.

DE (kaszel): Chcę tylko pomóc. (Pauza: 2,7 sekundy). Nie daje mi spokoju chronologia zdarzeń. Procesy, zeznanie Valachiego, Ruby. (Pauza: 1,4 sekundy). Oskarżałem niegdyś w procesach o zabójstwo z udziałem kilku podsądnych. Nauczyłem się, by ufać chrono...

RFK: Wiem, co chcesz powiedzieć. (Pauza: RFK kaszle). Zbieżność zdarzeń. Rozprawy. Naloty, które zleciłem. No wiesz, na obozy uchodźców. Mafia wspierała uchodźców, więc i jedni, i drudzy mieli motyw. (Pauza: 11,2 sekundy). To mnie też dręczy. Jeżeli właśnie to zaszło, to znaczy, że zabili Jacka, żeby uderzyć we mnie. (Pauza: 4,8 sekundy). Jeśli tak... cholera... powinni byli zabić...

DE (kaszel): Bob, przepraszam, że o tym wspomniałem.

RFK: Przestań przepraszać i kaszleć. Jestem teraz podatny na

przeziębienia.

(DE się śmieje).

RFK: Masz rację z tą chronologią. Porządek zdarzeń też nie daje mi spokoju. (Przerwa: 1,9 sekundy). Ale jest coś jeszcze.

ED: Tak, sir? To znaczy...

RFK: Jeden z prawników Hoffy naszedł mnie kilka dni przed Dallas. To było bardzo dziwne.

DE: Jak się nazywał?

RFK: Littell. (Pauza: 1,3 sekundy). Popytałem trochę. Facet pracuje dla Carlosa Marcella. (Pauza: 2,3 sekundy). Nic nie mów. Ten Marcello rezyduje w Nowym Orleanie.

DE: Chętnie skontaktuję się ze swoimi źródłami i...

RFK: Nie. Dla kraju tak jest lepiej. Bez procesu, bez tych wszystkich bzdur.

DE: Cóż, jest jeszcze Komisja.

RFK: Jesteś naiwny. Hoover i Johnson wiedzą, co jest najlepsze dla kraju, i obaj ci to powiedzą: „zatuszowanie”. (Pauza: 2,6 sekundy). Nie zależy im. Są ludzie, którym zależy, i tacy, którym nie zależy. Wszyscy oni stanowią elementy pewnego konsensusu.

DE: Mnie zależy.

RFK: Wiem, że tak. Tylko nie wracaj już do tego więcej. Ta rozmowa zaczyna wprawiać mnie w zakłopotanie.

DE: Przepr...

RKF: Jezu, nie zaczynaj od nowa.

(DE się śmieje).

RFK: Zostaniesz w Departamencie Sprawiedliwości? To znaczy, jeśli ja zrezygnuję.

DE: To zależy od twojego następcy. (Pauza: 2,2 sekundy). Zamierzasz odejść?

RFK: Może. Teraz po prostu uzalam się nad sobą. (Pauza: 1,6 sekundy). Ale Johnson może mi wręczyć wymówienie. Przyjąłbym je, gdyby do tego doszło, tym bardziej że niektórzy ludzie chcą, bym ubiegał się o miejsce Kena Keatinga w nowojorskim senacie.

DE: Zagłosuję na ciebie. Latem jeżdżę do Rhinebeck.

(RFK się śmieje).

DE: Żałuję, że nic więcej nie mogę zrobić.

RFK: No cóż, poprawiłeś mi samopoczucie.

DE: Cieszę się.

RFK: I masz rację. Jest coś podejrzanego w chronologii zdarzeń.

DE: No tak, to...

RFK: Nie przywrócimy życia mojemu bratu, ale coś ci powiem. Gdy nadejdzie – (odgłos kroków zagłusza rozmowę) – to wystartuję, a wtedy niech wygra lepszy.

(Trzaśnięcie drzwi i kroki. Nagranie się kończy).

25

(Los Angeles, 9 stycznia 1964)

Kupił Jane portfel. Kazał na nim umieścić inicjały.

Miękka koźleca skóra. Wytłoczone małe litery „j.f.”.

Jane pomachała okładkami.

– Miałaś rację. Pokazałam im prawo jazdy z Alabamy i zaraz wydali mi nowe, tutejsze.

Littell się uśmiechnął. Jane uśmiechnęła się i przybrała pozę. Oparła się o okno. Wypchnęła naprzód jedno biodro. Przesłoniła widok.

Littell przysunął do niej krzesło.

– Zdobędziemy ci jeszcze legitymację ubezpieczeniową i będziesz miała już wszystkie potrzebne dokumenty.

Jane się uśmiechnęła.

– A co z dyplomem magistra? Licencjat już mi załatwiłeś.

Littell założył nogę na nogę.

– Mogłabyś pójść na tutejszy uniwersytet i sobie na niego zapracować.

– A co powiesz na to? Będę studiować w trzech miejscach naraz: w LA, w Waszyngtonie i w Vegas, żeby móc być z moim zapracowanym na wielu etatach kochankiem...

Littell się uśmiechnął.

– Czy to miała być drwina?

– Po prostu obserwacja.

– Stajesz się niespokojna. Masz zbyt duże kwalifikacje na to, by trwać w bezczynności.

Jane wykonała piruet. Jane przysiadła nisko, po czym stanęła na palcach. Była dobra. Była zwinna. Musiała się tego gdzieś nauczyć.

Littell powiedział:

– Niektórzy ludzie z kryjówki znikli. To raczej dobra wiadomość niż zła.

Jane wzruszyła ramionami. Jane skrzyżowała nogi i przykucnęła. Jej spódnica zamiotła podłogę.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

Jane rzekła:

– W Tulane. Chodziłam na zajęcia z tańca, ale nie znajdziesz tego w moim indeksie.

Littell usiadł na podłodze. Jane zbliżyła się do niego krokiem baletnicy.

– Chcę znaleźć pracę. Byłam dobrą księgową, jeszcze zanim upiększyłeś mi dokumenty.

Littell pogłaskał ją po stopie. Jane poruszyła palcami.

– Mógłbyś znaleźć mi coś w Hughes Aircraft.

Littell pokręcił głową.

– Pan Hughes jest bardzo nieźrównoważony. Pracuję przeciwko niemu na niektórych płaszczyznach i wolę trzymać cię z daleka od tej części mego życia.

Jane złapała papierosa.

– A nie masz jakiegoś innego pomysłu?

– Mógłbym ci załatwić robotę dla Teamsters.

Jane pokręciła głową.

– Nie. To nie dla mnie.

– Dlaczego?

Zapaliła papierosa. Jej ręka drżała.

– Po prostu to nie dla mnie. Nie martw się już tym, coś sobie sama znajdę.

Littell powiódł palcem po szwie na jej pończosze.

– Poradzisz sobie. Prześcigniesz i przyćmisz wszystkich, z którymi przyjdzie ci pracować.

Jane się uśmiechnęła. Littell zabrał jej papierosa. Pocałował ją. Dotknął jej włosów. Spostrzegł kolejny siwy.

Jane rozluźniła mu krawat.

– Opowiedz mi o ostatniej kobiecie, z jaką byłeś.

Littell przeczyścił okulary.

– Nazywała się Helen Agee. Była przyjaciółką mojej córki. Wpadłem w tarapaty z FBI i Helen była tego pierwszą ofiarą.

– Zostawiła cię?

– Tak, uciekła.

– Co to były za tarapaty?

– Nie doceniłem pana Hoovera.

– Nic więcej mi nie powiesz?

- Nie.
- I co się stało z Helen?
- Jest radcą prawnym. Podobnie jak moja córka, przynajmniej z tego, co ostatnio o niej słyszałem.
- Jane go pocałowała.
- Musimy zachowywać się tak, jak postanowiliśmy sobie w Dallas.
- Littell powiedział:
- Tak.

Jane zasnęła. Littell udawał, że śpi. Potem powoli wstał.

Poszedł do swojego gabinetu. Nastawił magnetofon. Nalał sobie kawy.

Przycisnął Douga Eversalla. Zadzwoił do niego wczoraj. Zagroził mu. Pokonał własny opór.

Powiedział: „Nie dzwoń do Carlosa. Nie mów mu, co powiedział Bobby. Nie kabluj na Bobby’ego”.

Ostrzegł go. Powiedział: „Pracuję dla wielu osób. Nie zrób mnie na szaro, bo mogę się zemścić. Jadąc po pijaku, zabiłeś dzieci. Wydam cię. Nie pozwolę, żeby Carlos skrzywdził Bobby’ego”.

Bobby podejrzewał Chłopców. To oznaczało, że Bobby WIE. Bobby nie powiedział tego wprost. Bobby nie musiał. Bobby nie chciał cierpieć.

Mea culpa. Przyczyna i skutek. *Moja* kruczata przeciw mafii zabiła mojego brata.

Littell przewinął taśmę – kopia nr 2.

Spreparował duplikat. Specjalnie dla pana Hoovera. Pozostawił pogaduszki o niczym. Włączył zakłócenia. Skasował mowę Bobby’ego o mafii.

Littell włączył „Play”. Bobby mówił. Słyszać było smutek. Smutek, przez który przebijała dobroć.

Dobry Bobby – pogawędka z przyjacielem-kuternogą.

Bobby mówił. Bobby zamilkł. Bobby rzucił nazwisko: „Littell”.

Littell słuchał. Littell odliczał pauzy. Bobby się zawahał. Bobby WIEDZIAŁ. Bobby nigdy tego nie powiedział.

Littell słuchał. Littell *przeżywał* pauzy. Powrócił dawny strach. Strach zdawał się szeptać:

Wierzysz w niego znowu.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.01.1964. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Dzień dobry, panie Littell.

WJL: Dzień dobry, sir.

JEH: Pomówmy o nagraniu. Jakość dźwięku była bardzo słaba.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Treść zaś mało pouczająca. Jeśli będę miał ochotę porozmawiać z Czarnym Księciem o airedale terrierach, w każdej chwili mogę wykręcić jego bezpośredni numer.

WJL: Podstawiony przeze mnie człowiek strasznie się wiercił, sir. Poruszał się i powodował zakłócenia.

JEH: Czy spróbuje pan ponownie?

WJL: To niemożliwe, sir. Moja wtyczka i tak miała wielkie szczęście, uzyskując jedną audiencję.

JEH: Pańska wtyczka miała znajomy głos. Przyszedł mi na myśl pewien kaleki prawnik zatrudniany przez Czarnego Księcia.

WJL: Ma pan doskonałą pamięć do głosów, sir.

JEH: Owszem. I mam kilka własnych wtyczek.

WJL: Między innymi mnie.

JEH: Nie nazwałbym pana zwykłą „wtyczką”, panie Littell. Jest pan w zbyt wielu dziedzinach zbyt utalentowany.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Czy przypomina pan sobie naszą rozmowę z drugiego grudnia? Powiedziałem, że potrzebny mi mężczyzna o wizerunku „upadłego liberała”, i zasugerowałem, że może to być pan.

WJL: Tak jest, sir. Pamiętam tę rozmowę.

JEH: Nie podoba mi się Martin Luther King i jego bezczelnie niechrześcijańska Konferencja Chrześcijańskich Przywódców Południa. Chciałbym głębiej spenetrować tę grupę, zaś pan jest idealnym „upadłym liberałem”, który może pomóc mi ten cel osiągnąć.

WJL: W jaki sposób, sir?

JEH: Mam już w Konferencji swoją wtyczkę. Jest to człowiek, który zyskał w SCLC reputację specja od zdobywania akt policjantów, ważnych

figur przestępczości zorganizowanej i innych notabli, których lewicujący Murzyni mogliby uznać za swoich przeciwników. Mój plan zakłada, że przekażę mu pańskie akta. Akta przedstawiające pana jako usuniętego z FBI człowieka o lewicowych zapatrywaniach, z których, szczerze mówiąc, jeszcze nie do końca się pan wyleczył.

WJL: Wzbudził pan moje zainteresowanie, sir.

JEH: Pańskim zadaniem będzie udawać sympatyka walki o prawa obywatelskie, co, jak wiem, nie będzie zbyt odbiegać od prawdy. Będzie pan przez dłuższy czas przekazywał Konferencji darowizny pochodzące z oznaczonych mafijnych pieniędzy, kwoty w wysokości około dziesięciu tysięcy dolarów. Moim celem jest skompromitowanie Konferencji i uczynienie jej bardziej posłuszną. Pańskim celem jest przekonanie Konferencji, że zdefraudował pan te pieniądze ze źródeł powiązanych z przestępczością zorganizowaną, starając się w ten sposób złagodzić poczucie winy płynące przede wszystkim z tego, że pracował pan dla gangsterów. To zresztą też nie będzie zbyt odbiegać od prawdy. Jestem przekonany, że zdoła pan dokopać się do najbardziej ambiwalentnych pokładów swojej natury i odegrać przekonujące przedstawienie. Równie przekonany jestem, że zdoła pan uzasadnić konieczność takich wydatków swoim kolegom z mafii, przedstawiając je jako środek mający zapobiec problemom związanym z prawami obywatelskimi w Las Vegas, co zadowoli zarówno ich, jak i pana Hughesa.

WJL: To śmiały plan, sir.

JEH: To prawda.

WJL: Byłbym wdzięczny, mogąc poznać więcej szczegółów.

JEH: Moją wtyczką jest były policjant z Chicago. Posiada on zdolności kameleona, podobnie jak pan. Wkupił się w łaski Konferencji bez najmniejszego problemu.

WJL: Jak brzmi jego nazwisko, sir?

JEH: Lyle Holly. Jego brat pracował dla FBI.

WJL: Dwight Holly. Przeniósł się, o ile pamiętam.

JEH: To prawda. Obecnie pracuje w Federalnym Biurze do spraw Narkotyków w Nevadzie. Zdaje się, że uważa swą nową pracę za bardzo męczącą. Szybki handelek prochami byłby bardziej w jego guście.

WJL: Zaś Lyle...

JEH: Lyle jest bardziej impulsywny. Pije więcej, niż powinien, i sprawia

wrażenie nader wylewnego. Murzyni go uwielbiają. Wmówił im, że jest najbardziej osobliwym, liberalnym gliniarzem na świecie, podczas gdy tak naprawdę ten tytuł należy się panu.

WJL: Pochlebia mi pan, sir.

JEH: Nie miałem takiego zamiaru.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Holly przedstawi pana jako swojego znajomego ze służb policyjnych Chicago i zaprezentuje Konferencji dokumenty dotyczące pańskiego usunięcia z FBI. Skieruje pana do Murzyna o nazwisku Bayard Rustin. Pan Rustin jest bliskim współpracownikiem pana Kinga. Jest komunistą i homoseksualistą, co czyni go *rara avis* wedle wszystkich standardów rozsądnie myślącego człowieka. Prześlę panu résumé na jego temat i każę Lyle'owi Holly'emu do pana zadzwonić.

WJL: Będę czekał na telefon, sir.

JEH: Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

WJL: Na ten temat nie. Ale chciałbym uzyskać pańskie pozwolenie na skontaktowanie się w imieniu pana Hughesa z Wayne'em Tedrowem Seniozem.

JEH: Ma je pan.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Miłego dnia, panie Littell.

WJL: Miłego dnia, sir.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.01.1964. Raport podsumowujący dotyczący „Osób prowadzących działalność wywrotową”. Oznaczono: „Daty/ Fakty/ Obserwacje/ Znane kontakty/ Członkostwo w organizacjach wywrotowych”. Obiekt obserwacji: RUSTIN, BAYARD TAYLOR (Murzyn/ ur. 17.03.1912/ miejsce ur. West Chester, Pensylwania). Opracowano: 8.02.1962.

BAYARD RUSTIN powinien być postrzegany jako przebiegły wywrotowiec posiadający bogatą przeszłość naznaczoną komunistycznymi powiązaniem oraz jako wyraźne zagrożenie dla bezpieczeństwa przez swe powiązania ze znanymi, „dominującymi” demagogami murzyńskimi, takimi jak MARTIN LUTHER KING i A. PHILIP RANDOLPH. RUSTIN pochodzi z rodziny ortodoksyjnych kwaków, zaś powiązania jego rodziców z Narodowym Zjednoczeniem na rzecz Rozwoju Ludności Kolorowej (NAACP) wskazują

na to, że już od wczesnego dzieciństwa obiekt poddawany był radykalnej indoktrynacji. (Patrz: załącznik nr 4189 dot.: RUSTIN JANIFER I RUSTIN JULIA zd. DAVIS).

RUSTIN w latach 1932–33 uczęszczał do Wilberforce College (murzyńska uczelnia). Odmówił wstąpienia do Korpusu Szkolenia Żołnierzy Rezerwy i (podburzany przez licznych sympatyków komunizmu) został przywódcą strajku przeciw rzekomo złej jakości jedzenia podawanego studentom. Na początku roku 1934 RUSTIN przeniósł się do Stanowego Kolegium Nauczycielskiego w Cheyney (Pensylwania). Podczas studiów na tej uczelni najprawdopodobniej kontaktował się z licznymi murzyńskimi wywrotowcami. W roku 1936 RUSTIN został relegowany. Powszechnie uważa się, że do usunięcia przyczynił się incydent zdradzający jego homoseksualne skłonności.

W okresie 1938–39 RUSTIN przeniósł się do Nowego Jorku. Stał się członkiem tak zwanej murzyńskiej inteligencji, studiował filozofię MOHANDASA „MAHATMY” GANDHIEGO i określał siebie jako „zagorzałego trockistę”. RUSTIN (uzdolniony muzyk) bratał się z licznymi białymi i murzyńskimi wywrotowcami (w tym z PAULEM ROBESONEM), którzy od tamtej pory zostali zidentyfikowani jako członkowie 114 organizacji komunistycznych. (Patrz: „Znane kontakty”, załącznik nr 4190).

RUSTIN został członkiem Komunistycznej Ligi Młodych przy College’u Miasta Nowy Jork i był częstym gościem na spotkaniach komunistycznej komórki przy Sto Czterdziestej Szóstej Ulicy. Bratał się z komunistycznymi wykonawcami muzyki folk i prowadził zainspirowaną przez Ligę kampanię przeciwko segregacji w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych. W roku 1941 RUSTIN poznał się z murzyńskim agitatorom związkowym A. PHILIPEM RANDOLPHEM (ur. 1889 r.). (Patrz: akta Randolpha nr 1408, 1409, 1410). RUSTIN pomagał organizować odwołany murzyński „Marsz na Waszyngton” w 1941 roku i wstąpił do socjalistyczno-pacyfistycznego Bractwa na rzecz Pojednania oraz Ligi Przeciwników Wojny. W tym czasie stał się wytrawnym mówcą i głosiocielem socjalistyczno-komunistycznej propagandy.

RUSTINA zarejestrowano w komisji poborowej (Harlem, Nowy Jork) jako przeciwnika służby wojskowej i wydano mu nakaz stawienia się na badanie lekarskie 13.11.1943. RUSTIN wysłał list z odmową (patrz: załączona kopia nr 19) i został aresztowany 1.12.1944. Osądzono go i skazano za złamanie

przepisów Ustawy o Służbie Wojskowej (patrz: załącznik nr 4191), a następnie wysłano na 3 lata do Federalnego Zakładu Karnego w Ashland w stanie Kentucky. RUSTIN podejmował liczne działania prowadzące do zniesienia segregacji w więziennej stołówce, za co został przeniesiony do zakładu karnego w Lewisburgu (Pensylwania). RUSTIN został zwolniony warunkowo (czerwiec 1946) i stał się wędrownym mówcą Bractwa na rzecz Pojednania. W latach 1946–47 uczestniczył w wielu zainspirowanych przez komunistów poczynaniach (m.in. „Podróż Pojednania”), mających na celu zniesienie segregacji w autobusach dalekobieżnych. W listopadzie 1947 RUSTIN wstąpił do Komitetu przeciwko Ustawom Jima Crowa w Szkoleniu i Służbie Wojskowej i doradzał młodym Murzynom, aby unikali służby w armii (patrz: załącznik nr 4192 – lista członków Komitetu i ich powiązań z innymi ugrupowaniami komunistycznymi).

RUSTIN podróżował po Indiach (1948–49), powrócił do USA i odbył karę 22 dni pozbawienia wolności za swą działalność wywrotową w „Podróży Pojednania”. Spędził sporo czasu (w latach 1950, 1951, 1952) w Afryce, poznając tamtejsze murzyńskie ruchy powstańcze i narodowościowe. 21.01.1953 RUSTIN został aresztowany za obrazę moralności w Pasadenie w stanie Kalifornia (patrz: załącznik nr 4193 – raport z aresztowania i stenogram z procesu). RUSTIN i dwaj biali młodzieńcy zostali przyłapani podczas homoseksualnej orgii w zaparkowanym samochodzie. RUSTIN przyznał się do winy i spędził 60 dni w Więzieniu Okręgowym Los Angeles. Homoseksualizm RUSTINA nie jest tajemnicą i tak zwani „przywódcy” murzyńskiego „głównego nurtu”, którzy wykorzystują jego zdolności organizacyjne i oratorskie, uznają to za hańbę.

Incydent z 21.01.1953 spowodował wydalenie RUSTINA z Bractwa na rzecz Pojednania. RUSTIN przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie przyjaźnił się z członkami środowiska cyganerii w mocno lewicującej dzielnicy Greenwich Village. Ponownie wstąpił do Ligi Przeciwników Wojny i znowu podróżował po Afryce, poznając murzyńskie ruchy narodowościowe. RUSTIN powrócił do USA i poznał STANLEYA LEVISONA, pozostającego pod wpływem komunizmu doradcy MARTINA LUTHERA KINGA. (Patrz: akta nr 5961, 5962, 5963, 5965, 5966). LEVISON przedstawił RUSTINA KINGOWI. RUSTIN doradzał KINGOWI w sprawie organizacji bojkotu autobusowego w Montgomery w latach 1955–56. (Patrz: Kartoteka centralna – akta poszczególnych uczestników bojkotu). RUSTIN został

wtedy zaufanym doradcą KINGA – przypisuje mu się udział w tworzeniu pacyfistyczno-socjalistyczno-komunistycznego programu siania zamętu i wywoływania zamieszek. RUSTIN sporządził dokument, na którego mocy została utworzona Konferencja Przywódców Chrześcijańskich Południa (SCLC). KING zatwierdził ów dokument na odbywającym się w dniach 10–11.01.1957 kongresie w Atlancie. (Patrz: załącznik nr 4194 i Akta Inwigilacji Elektronicznej nr 0809). KING został wybrany na przywódcę Konferencji 14.02.1957 i pozostaje nim do dziś (8.02.1962).

RUSTIN wstąpił do Forum Amerykańskiego (zaklasyfikowanego w roku 1947 jako ugrupowanie komunistyczne) i z ramienia Konferencji planował wraz z Narodowym Zjednoczeniem na rzecz Rozwoju Ludności Kolorowej marsz na Waszyngton pod hasłem „Pielgrzymka Modlitwy” (17.05.1957). W marszu wzięło udział 30 000 ludzi, w tym wiele murzyńskich osobistości (patrz: materiały operacyjne, filmy nr 0704, 0705, 0706, 0708). W październiku 1958 roku RUSTIN zorganizował Marsz Młodych na rzecz Integracji w Szkołach. W trakcie tego marszu A. PHILIP RANDOLPH publicznie zaatakował DYREKTORA HOOVERA za jego komentarz, że marsz stanowił jedynie „zainspirowaną przez komunistów promocję”. W kwietniu 1959 roku RUSTIN zorganizował drugi marsz młodych. (Patrz: materiały operacyjne, filmy nr 0709, 0710, 0711).

RUSTIN odrzucił (na początku roku 1960) propozycję pracy dla Konferencji w pełnym wymiarze. Do dziś (8.02.1962) pozostaje żarliwym krytykiem instytucji demokratycznych i przez cały czas popiera MARTINA LUTHERA KINGA oraz jego socjalistyczne knowania, służąc mu za doradcę i organizatora działań Konferencji. RUSTIN uważany jest za przywódcę zespołu ekspertów Konferencji oraz za mózg odpowiedzialny za wzrost znaczenia KINGA w roli demagoga wzbudzającego społeczny niepokój. Organizował i rozmieszczał białych i murzyńskich demonstrantów podczas akcji mających na celu zniesienie segregacji w restauracjach i autobusach w latach 1960–61, nie zrywając przy tym udokumentowanych przyjaźni z 94 członkami ugrupowań komunistycznych (patrz: Lista znanych kontaktów nr 2). Podsumowując, RUSTIN powinien być zaklasyfikowany jako osoba bezpośrednio zagrażająca bezpieczeństwu wewnętrznemu państwa i w związku z tym poddawany okresowej inwigilacji, a także, jeśli to możliwe, monitorowaniu korespondencji. (Uwaga: dostęp do załączników, filmów i taśm z nagraniami wymaga zezwolenia II stopnia potwierdzonego

przez wicedyrektora Tolsona).

26

(Las Vegas, 12 stycznia 1964)

Obserwacja:

Obserwacja na siedząco. Obserwacja w ruchu. Trzech nudnych obserwowanych. Drętwa robota – już całe pięć dni.

Webb Spurgeon mieszkał za Tropicana. Meta Webba Spurgeona graniczyła z polem golfowym. Webb Spurgeon żył nijako. Webb Spurgeon przesiadywał w domu. Webb Spurgeon woził syna do szkoły.

Wayne obserwował jego drzwi. Wayne zmagął się z bolączkami obserwowanego.

Ziewał. Drapał się po tyłku. Sikał do puszki po mleku. W samochodzie cuchnęło. Kiepsko celował. Czasem trafiał w deskę rozdzielczą.

Spurgeon wywoływał ziewanie. Duane Hinton – chrapanie. Eldon Peavy – pedalskie drzemanie. Ciulowa robota. Buddy Fritsch potrzebował brudów. Pete go przekupił. Fritsch spotkał się z Butchem Montrose'em – wyglądało to na wypłatę.

Robota była do dupy. Wykonywał ją mimo wszystko. Zmieniał miejsca i dopasowywał je do grafiku. Zmieniał obserwowanych.

Hinton przesiadywał w domu. Hinton jeździł do pracy. Peavy spędzał czas w korporacji Monarcha. Ciulowa robota. Wayne się starał. Wayne spędzał przy niej dwadzieścia godzin na dobę.

Lynette mu truła. Lynette truła, i to ostro. Lynette znalazła plik jego gazet z Dallas. Skłamał. Powiedział: „Nie truj”. Powiedział, że chodzi o Moore'a i Durfee'ego – po prostu śledzę sprawę.

Dał się jej złapać w pułapkę. Wiedziała, że kłamie. Nie dawała mu żyć. Wayne ciągnął tę swoją ciulową robotę. Rozwahał różne możliwe zakończenia.

Ukryje potencjalne brudy. Pieprzyć Fritscha i Pete'a – włączy do akt fałszywy raport. Pójdzie im na rękę. Włączy do akt to, co będą chcieli. Ukryje się w Salonie Sułtana. Ukryje się przed żoną. Ukryje się przed

Wayne'em Seniozem i jego parszywym pornolcem.

Wayne ziewnął. Wayne się przeciągnął. Wayne podrapał się po jajach. Webb Spurgeon wyszedł. Webb Spurgeon zamknął drzwi na klucz. Zapalił oldsmobile'a 88.

Czas: 14.21.

Spurgeon ruszył na południe. Wayne siedział mu na ogonie. Spurgeon wjechał na międzystanową I-95. Wayne zajął lewy pas. Obaj jechali mniej więcej dziewięćdziesiątką.

Spurgeon włączył kierunkowskaz, migacz zamigał. Spurgeon zjechał z autostrady. Zjechał do Henderson. Podążył głównymi ulicami. Wayne śledził go z pewnej odległości.

Dojechali do świątyni mormonów. Wayne odnotował czas: 14.59.

Spurgeon wszedł. Wayne zaparkował po przekątnej. Podczas takiego siedzenia czas się dłużył.

Trzydzieści minut. Czternaście/piętnaście.

Spurgeon wyszedł. Wayne odnotował czas: 15.14.

Ruszyli z powrotem. Wzdłuż I-95 na północ. Jechali w odległości dwóch samochodów od siebie. Wayne zostawał w tyle. Wayne popuszczał smycz. Wayne śledził z daleka.

Wracali do Vegas. Zatrzymali się przy Liceum Jordana. Dziwne – Webb Junior chodził do LeConte'a.

Spurgeon zaparkował. Wayne zaparkował dwa miejsca wcześniej. Kręciły się dzieciaki. Spurgeon zakrył twarz.

16.13.

Podchodzi dziewczyna. Dziewczyna się rozgląda. Dziewczyna wsiada do wozu tatuńcia.

Spurgeon ruszył. Wayne ściągnął smycz. Teraz siedział mu prawie na ogonie. Dziewczyna schyliła głowę. Samochód skręcił gwałtownie i przez chwilę jechał zygzakiem. Dziewczyna podniosła głowę.

Otarła usta. Poprawiła makijaż. Poprawiła fryzurę.

Jechali I-95 na południe. Skręcili ku tamie Hoovera. Minęli jakieś wiejskie chaty. Ruch był tu niewielki. Wayne popuścił smycz.

Spurgeon skręcił w lewo. Spurgeon wjechał na polną drogę. Wayne zaparkował przy kępie karłowatych sosen. Wayne wziął do ręki lornetkę.

Patrzył. Zobaczył chatę drwali. Za chwilę ujrzał samochód. Dziewczyna wysiadła. Miała najwyżej szesnaście lat. Miała mocno polakierowane włosy

i pryszczce.

Spurgeon wysiadł. Dziewczyna się na niego rzuciła. Weszli do środka. Wayne odnotował czas: 17.09. Wayne odnotował uwiedzenie osoby nieletniej i nakłanianie do czynności lubieżnych – dwa niezbyt poważne wykroczenia.

Wayne obserwował chatę. I spoglądał na zegarek. Przygotował aparat fotograficzny. Ustawił statyw. Zrobił zbliżenie.

Pieprzyli się przez 51 minut. Wayne cyknął im zdjętko, jak wychodzili. Całowali się długo i namiętnie. Na fotce dobrze było widać języki.

Wayne zaparkował przed korporacją Monarcha. Wayne zanotował czas: 18.43.

Barak się walił. Dach się zapadał. Pustaki kruszały. Po parkingu wały się śmieci. Taksówki były stare – same trzytonowe packardy.

Wayne obserwował okno. Eldon Peavy rozsyłał taksówki. Eldon Peavy obsługiwał centralkę. Eldon Peavy siedział sam.

Przewijali się kierowcy. Wayne rozpoznał trzech przestępców – pedalskich alfonsów.

Jeden gość popełnił zabójstwo pierwszego stopnia. Rzeczony gość zadźgał babochłopa na balu drag queen. Rzeczony gość udowodnił, że działał w samoobronie.

Taksówki wyjeżdżały. Tłoki stukały. Tłumiki kaszłały. Rury wydechowe wypluwały chmury spalin. Logo Monarchy było *zarypiaste*:

Mały człowieczek w wielkiej koronie. Czerwone kostki do gry zamiast zębów.

Wayne ziewnął. Wayne się przeciągnął. Wayne podrapał się po jajach. Był akurat w północnym LV. Barbarzyńcy dawali dziś występ. Barb zwykle miała niebieską sukienkę.

Kolejna z taksówek ruszyła. Wayne pojechał za nią. Jeżdżenie za innymi trochę go ożywiało. Nocne śledzenie to była bułka z masłem. Zwłaszcza śledzenie taksówek – ich światła na dachach widział z daleka.

Wayne trzymał się blisko. Taksówka skręciła ku Owens. Minęli cmentarz Palute. Wjechali do zachodniego LV.

Ruch był spory. Jakiś samochód wciął się pomiędzy Wayne'a a taksówkę. Wayne skręcił gwałtownie i zmienił pas. Było wietrznie. Było zimno. W powietrzu fruwały biegacze pustynne.

Minęli skrzyżowanie Owens i H. Bary i sklepy z gorzałą pulsowały w rytm rock and rolla. Moczymordy w środku i ciemne interesy na zewnątrz.

Proszę – taksówka hamuje przed Miłym Zakątkiem.

Taksówka stanęła. Silnik zgasł. Kierowca wdusił klakson. Wayne cofnął. Wayne zobaczył wychodzących czterech Murzynów.

Spostrzegli taksówkę. Podbiegli. Pokazali pieniądze. Kierowca wydał paczki. Murzyni zapłacili gotówką. Murzyni rozpakowali amfetaminowe dropsy.

Podnieśli butelki. Popili tabletki. Odeszli tanecznym krokiem. Kołysząc się, weszli z powrotem do Zakątka.

Taksówka odjechała. Wayne za nią. Taksówka dotarła do skrzyżowania Lake Mead i D.

Proszę – taksówka hamuje przed Dziką Gęsią.

Kolejka stała gotowa na chodniku – sześciu Murzynów – z wyglądu same ćpuny. Taksówka stanęła. Kierowca opchnął amfę. Murzyni tanecznym krokiem wrócili do Gęsi.

Taksówka odjechała. Wayne za nią. Dotarła do Gerson Park Flats. Wsiadł jakiś facet. Taksówka ruszyła. Wayne siedział jej prawie na ogonie.

Proszę – taksa hamuje – przed skrzyżowaniem Jackson i E. Kierowca zaparkował. Kierowca wysiadł. Kierowca śmignął do knajpy U Skipa.

Kierowca miał róż na policzkach. Kierowca miał cień na powiekach. Kierowca wyglądał jak femme fatale. Kierowca został w knajpie. Wayne zmierzył czas: dokładnie 6,4 minuty.

Kierowca wyszedł. Szedł, kołysząc workami. Kierowca dźwigał worki z *monetami*. Rzeczony kierowca taszczył je niezgrabnie. Rzeczony kierowca wrzucił je do bagażnika.

Jasna sprawa: automaty do gry na zapleczu – nielegalne – obsługiwane przez Monarchę.

Taksówka ruszyła. Taksówka zawróciła. Wayne siedział jej na ogonie. Proszę – taksówka hamuje – przed Evergreen Project.

Pasażer wysiadł. Taksówka skręciła na północ. Reflektory zbombardowały zaparkowane samochody.

Proszę – jeden zaparkowany cadillac/ jedna pochylona nisko blada twarz. O, kurwa – to Pete Bondurant – nisko skulony.

Wayne widział ten obraz tylko przez moment – spojrzenie i odjazd – obłoczek dymu i adieu!

Wayne jechał za taksówką. Obraz pozostał – Pete za kierownicą. Czarnogrodzki Pete – no i co? – co my tu mamy?

Taksówka wracała do Monarchy. Wayne jechał za nią, ale niezbyt blisko. Wayne zaparkował w swoim stałym punkcie.

Ziewnął. Przeciągnął się. Wysikał się do puszki. Czas się ślimaczył. Czas się włókł. Czas stał w miejscu.

Wayne obserwował okno budynku.

Eldon Peavy żonglował wezwaniami. Eldon Peavy łykał piguły. Eldon Peavy był sam.

Kierowcy zjeżdżali. Kierowcy się obijali. Kierowcy zabijali czas. Grali w karty. Grali w kości. Stroili się i fiokowali.

Czas się ciągnął. Wayne ziewał. Wayne się przeciągał. Wayne dłubał w nosie.

Podjechała limuzyna. Białe drzwi i błotniki/ dach ze sztucznej skóry. Wayne odnotował czas: 2.03.

Peavy wyszedł. Wskoczył do limuzyny. Limuzyna ruszyła na południe. Wayne za nią. Wjechali na Strip. Zatrzymali się przed Dunes.

Limuzyna warczała na luzie przed samymi drzwiami. Wayne warczał na luzie trzy auta dalej. Podeszło trzech pedziów. Widoczne mięśnie i natapirowane włosy. Pewnie jakiś zespół rewiowy.

Stanęli koło limuzyny. Zachwyceni wskoczyli do środka. Limuzyna odjechała.

Wayne za nią. Dotarli na lotnisko McCarrana. Limuzyna zaparkowała przed bramą. Wayne – cztery auta dalej.

Peavy wysiadł. Peavy ruszył. Wayne wszystko widział.

Peavy idzie swobodnie. Podchodzi do głównej bramy. Ląduje samolot. Wsiadają turyści.

Wayne patrzył. Wayne ziewał. Wayne się przeciągał. Peavy siedł z powrotem. Wraz z nim szło dwóch mężczyzn. Dwóch mężczyzn szło bardzo blisko.

Wayne przetarł oczy. Wayne zamrugał i spojrzał raz jeszcze. O, kurwa – to Rock Hudson i Sal Mineo.

Peavy uśmiecha się szeroko. Peavy częstuje proszkiem. Rock i Sal wciągają. Uśmiechają się szeroko. Chichoczą radośnie. Wsiadają do limuzyny. Peavy im pomaga. Peavy łapie ich za pośladki i popycha.

Limuzyna ruszyła. Wayne za nią. Wayne jechał niemal zderzak w zderzak.

Otworzyło się okno. Wayne ujrzał dym. Pocztał zapach marihuany.

Dojechali do północnego LV. Dojechali do hotelu Golden Cavern. Gogusie wysiadają. Rock i Sal się chwieją.

Lynette świrowała na punkcie Wielkiego Rocka – teraz chyba się, kurwa, zesra.

Duane Hinton mieszkał koło Sahary. Wayne odnotował czas: 3.07 – to *baardzo* późny show.

Zaparkował. Wyrzucił puszkę po mleku. Ziewnął. Przeciągnął się. Podrapał.

Meta Hintona była nowa – cała z prefabrykatów – w jednym oknie poświata. Obraz kontrolny w telewizorze – chorągiewki i paski w geometryczne wzory – kanał KLXO.

Wayne obserwował okno. Czas pełzł. Czas się czołgał. Czas nie miał końca. Obraz kontrolny znikł. W pokoju zapaliło się światło. Hinton wyszedł.

Wayne odnotował: 3.41.

Hinton miał na sobie robocze ubranie. Wayne postawił na wyprawę do sklepu – Food King był czynny przez całą noc. Hinton uruchomił swoją furgonetkę. Hinton cofnął. Hinton ruszył na północ.

Takie śledzenie nad ranem było do dupy. Wayne tego nie cierpiał – brak ruchu/ brak krycia.

Wayne zwlekał. Wayne odliczył dwie minuty – bezpieczne opóźnienie. 1,58, 1,59... Start...

Przekręcił kluczyk. Ruszył na północ. Nadrobił poślizg. Dogonił Hintona.

Minęli Food King. Wayne czaił się z tyłu. Hinton skręcił na zachód – przez Fremont do Owens.

Ruch się zwiększył. Wayne podjechał bliżej. Wjechali do zachodniego LV. Ruch stał się jeszcze większy – bryki alfonsów i różnorakie gruchoty – murzyńskie nocne marki w akcji.

Hinton przystanął. Proszę – hamuje – za skrzyżowaniem Owens i H.

Przed Klubem Woody'ego. Słyszycym z całonocnej wyżerki. Znany ze smażonego wszystkiego.

Hinton zaparkował. Hinton wszedł. Wayne zaparkował po przekątnej. Podszedł do niego jakiś menel.

Uklonił się. Odańczył watusi. Spryskał szybę. Wayne włączył wycieraczki. Menel pokazał mu tyłek. Jego kolesie zawyli z uciechy.

Wayne opuścił szybę. Fe! – powietrze cuchnęło. Poczłł smród wymiocin. Poczłł smażonego kurczaka. Zamknął okno.

Hinton wyszedł. Hinton przytrzymał drzwi. Hinton przepuścił dziwkę. Miała ciemną skórę. Była gruba. Wyglądała na nawaloną.

Podeszli do furgonetki. Wsiedli. Pojechali za róg. Wayne zgasił światła. Wayne ruszył za nimi. Wayne trzymał się blisko.

Zatrzymali się. Zaparkowali. Przeszli przez pusty plac. Chwasty i bylica. Jakies rupiecie. Przyczepa stojąca na cegłach.

Wayne podjechał i stanął przy krawężniku. Zaparkował dziesięć metrów z tyłu. Dzwka otworzyła przyczepę. Hinton wszedł. Hinton coś niósł.

Może flaszkę. Może aparat. Może jakiś erotyczny gadzet.

Dzwka weszła. Dzwka zamknęła drzwi. Światło zapłonęło i zgasło.

Wayne spojrział na zegarek. Dwie minuty wlokły się niemiłosiernie. Czekał, aż coś zacznie świadczyć o bara-bara.

Proszę – po 2,6 minuty:

Przyczepa się kołysze. Cegły podrygują. Oboje są grubi. Przyczepa jest z cienkiej blachy.

Kołysanie ustało. Wayne zmierzył czas pieprzenia: 4,8 minuty.

Zapaliło się światło. Przez okno było widać błyski. Niebieskawe – jak od lampy przy aparacie.

Wayne ziewnął. Wayne się przeciągnął. Wayne wyrzucił kubek z moczem. Przyczepa się zakołysała – najwyżej przez minutę – światło zgasło.

Hinton wyszedł. Hinton się potknął. Hinton coś niósł. Przeciął plac. Wsiadł do furgonetki. Ruszył, drąc gumy.

Wayne włączył krótkie światła. Wayne ruszył za nim. Wayne tarł oczy i ziewał. Droga jakby uciekła – w przednią szybę stuknęły kamyki – co jest?/ co jest?

Samochodem bujnęło. Wayne odbił kierownicą. Ujrzał czerwone światło. Nacisnął hamulec. Puścił sprzęgło i silnik zgasł.

Furgonetka wjechała na wzniesienie. Furgonetka dała nura. Duane Hinton znikł.

Wayne przekręcił kluczyk. Wayne przygazował ostro. Wayne zaatakował silnik zbyt gwałtownie. Odczekał dwie minuty. Przekręcił kluczyk. Wcisnął gaz powoooooooooli.

Silnik zaskoczył. Wayne ziewnął i ruszył. Cały świat zamaaaaazał się zaspaaaaany.

Przyszedł świt. Wayne wpakował się do łóżka w ubraniu. Lynette się poruszyła. Wayne udał pogrążonego we śnie.

Dotknęła go. Poczuła w palcach ubranie. Wyciągnęła mu pistolet.

– Dobrze się bawisz? Ukrywając się przed żoną, oczywiście.

Ziewnął. Przeciągnął się. Walnął głową w wezglowie. Powiedział:

– Rock Hudson to ciota.

A Lynette spytała:

– Co się wydarzyło w Dallas?

Spał. Najwyżej dwie godziny. Obudził się półprzytomny. Lynette nie było. W Dallas nie wydarzyło się nic.

Przygotował sobie grzanekę. Wypił kawę. Wrócił do roboty. Zaparkował za domem Hinton. Rozejrzył się po podwórzu na tyłach.

Uliczka dojazdowa była zapchana – obok coś budowano. Jego główniany wóz pasował jak ulał.

Rozejrzył się po podjeździe. A tam, jak zawsze – furgonetka Hinton i impala Deb Hinton. Odnotował czas swego przybycia: 9.14.

Wayne obserwował dom. Wayne drapał się i ziewał. Wayne wysikał poranną kawę. Robotnicy montowali płyty gipsowe – sześciu chłopów z elektronarzędziami – ryczące piły motorowe, jazgoczące wiertarki.

10.24:

Deb Hinton wychodzi. Deb Hinton odjeżdża. Impala Deb stuka i łomocze.

12:08:

Robotnicy mają przerwę. Ruszają do wozów. Chwytają za pudełka i woreczki z lunchem.

14:19:

Duane Hinton wychodzi.

Idzie przez podwórze. Niesie ubrania. Te z minionej nocy. Podchodzi do płotu. Wkłada ciuchy do spalarni. Zapala zapałkę.

JA CIĘ KRĘCĘ. KURWA MAĆ.

Wayne pojechał na skrzyżowanie Owens i H. Wayne zaparkował przed Klubem Woody'ego.

Otworzył bagażnik. Chwytał łom. Przeszedł za róg – ulica była wymarła – nigdzie żadnych świadków.

Przeszedł przez plac. Zastukał do drzwi przyczepy. Rozejrzył się – świadków nadal brak.

Naparł na łom. Rozwalił zamek. Wszedł do środka. Poczul krew. Zamknął za sobą drzwi.

Obmacał ścianę. Trafił na włącznik. Zapalił górne światło.

Dziwka była martwa. Na podłodze/ pierwsza faza stężenia pośmiertnego/ robactwo już w akcji. Stłuczenia/ rany głowy/ z policzków miazga.

Hinton ją zakneblował. Hinton wsadził jej do ust piłeczkę.

Krew z ucha. Krew z oka. Brak jednej gałki ocznej. Śrut na podłodze. Śrut w jej krwi.

Hinton założył rękawice wypełnione śrutem. Tkanina jednej pękła. Kulki się wysypały.

Wayne dyszał. Wayne podążał szlakiem krwi. Wayne przyglądał się jej smugom.

Poślizgnął się na szmacie. Nadepnął na oko.

Osiem napaści. Jedno śmiertelne pobicie.

Słyszał to. Myślał, że to bara-bara nr 2. A to było zabójstwo pierwszego stopnia. Okaze się pewnie nieumyślnym spowodowaniem śmierci. Hinton był biały. Hinton miał wpływy. Hinton zabił *kolorową* dziwkę.

Wayne jechał z powrotem. Wayne rozmyślał. Wszystko się zgadzało.

Ofiary napaści wносиły skargi. Mówiły, że napastnik robił zdjęcia. Wayne widział błyski flesza. Znał metodę działania sprawcy. Był już wtedy wykończony. Nie załapał.

Spieprzył sprawę. Był tej dziwce coś winien. Koszt nie miał żadnego znaczenia.

Wayne zaparkował w uliczce dojazdowej. Wayne obserwował dom. Robotnicy wrzeszczeli. Piły ryczały. Wiertarki jazgotały.

Wayne się wysikał. Wayne nie trafił do puszki. Wayne obsikał siedzenie.

Czas pędził. Wayne obserwował dom. Obserwował podjazd. Czas leciał jak szalony. Nastal zmierzch. Robotnicy się rozeszli.

Wsiadali do samochodów. Zajeżdżali sobie drogę. Trąbili na pożegnanie. Wayne czekał. Czas zmęczył się i przysnął.

18.19:

Hintonowie wychodzą. Niosą torby z kijami golfowymi. Pewnie wieczorek w plenerze. Pole golfowe koło Sahary.

Odjeżdżają. Biorą impalę Deb. Furgonetka Duane'a zostaje.

Wayne odliczył dwie minuty. Wayne zebrał się w sobie. Wayne wysiadł i rozprostował kości.

Podszedł. Chwycił się płotu. Przeskoczył. Opadł ciężko. Otarł skórę na dłoniach. Wytarł je w spodnie.

Podbiegł ku werandzie. Drzwi wyglądały na liche. Zasuwka latała. Szarpnął drzwiami. Powstała szczelina. Wayne oderwał zasuwkę.

Otworzył drzwi. Znalazł się w pralni. Pralka/ suszarka/ linki na bieliznę. Okno do wnętrza domu – i jedne drzwi wewnętrzne.

Wayne wszedł do środka. Zamknął drzwi wejściowe. Luźne deski podłogowe w pralni pod nim podskakiwały. Uderzały w stopy Wayne'a.

Dotarł do drzwi wewnętrznych. Poruszył klamką. Bingo – niezamknięte na klucz.

Znalazł się w kuchni. Spojrzał na zegarek. *Dwadzieścia minut – nie więcej.*

18.23:

Szuflady w kuchni – nic ciekawego – sztucce, talerze i kupony promocyjne.

18.27:

Salon – nic ciekawego – nadmiar jasnego drewna.

18.31:

Biblioteka – nic ciekawego – strzelby sportowe i regały z książkami.

18.34:

Gabinet Hinton – tu powoli – to prawdopodobna kryjówka.

Regały na dokumenty/ księgi rachunkowe/ klucze na kółku. Żadnego sejfu w ścianie/ jedno zdjęcie – Hinton i Lawrence Welk.

18.39:

Sypialnia – nic ciekawego – znów nadmiar jasnego drewna. Żadnego sejfu w ścianie/ żadnego sejfu pod podłogą/ żadnej luźnej klepki podłogowej.

18.46:

Piwnica – tu powoli – to prawdopodobna kryjówka.

Elektronarzędzia/ stół warsztatowy/ „Playboye”. Szafa – zamknięta na klucz. Tamte klucze – pamiętasz – pęk kluczy na kółku.

Wayne pobiegł na górę. Wayne chwycił pęk. Wayne zbiegł na dół. Wayne zaczął wtykać klucze do zamka.

18.52:

Klucz nr 9 pasuje. Drzwi puszczają. Szafa staje otworem.

Dostrzegł jedno pudełko. To wszystko, nic więcej. Przejrzyjmy je.

Kajdanki. Piłeczki. Taśma izolacyjna. Rękawice ze śrutem. Aparat fotograficzny – polaroid. Sześć rolek filmu. Czternaście zdjęć: murzyńskie dziwki, zakneblowane i zmalretowane – osiem znanych ofiar plus sześć dodatkowych.

Plus:

Niewykorzystany film. Jedna rolka. Dwanaście ujęć. Dwanaście ewentualnych zdjęć.

Wayne opróżnił pudełko. Wayne zrobił miejsce na podłodze. Wayne rozłożył wszystko. Cykaj szybko. Schowaj wszystko z powrotem. *Zostaw tak, jak to znalazłeś.*

Załadował film. Cyknął dwanaście fotek. Wywoływały się i zaraz wyskakiwały. Odbitki od ręki – kolorowe, prosto z polaroidu.

Pogrupował zdjęcia Hintonia – cztery osobne ujęcia – cztery zbliżenia. Miał na fotkach kneble z piłek. Miał stłuczenia. Miał powybijane zęby i krew.

27

(Las Vegas, 14 stycznia 1964)

Istny raj czarnucha: czterech szwarców/ cztery działki/ jedna szpryca.

Zawładnęli parkingiem pod wiatą. Otoczyli starego merca. Mieli anielski pył. Mieli herę.

Rozpuszczali ją. Podgrzewali. Napełniali strzykawkę. Przewiązywali rękę. Jęczeli. Padali. Słaniali się. Kiwali głowami.

Czaaaaaad...

Pete patrzył. Pete ziewał. Pete drapał się po tyłku. Obserwacja – noc nr 6 – zmiana przed świtem – ćpuńskie odloty o piątej, kurwa, nad ranem.

Zaparkował przy skrzyżowaniu Truman i J. Zjechał na siedzeniu nisko. Patrzył. Tamten smoluch zadzwonił i dał mu cynk. Powiedział, że Wendell wrócił. Powiedział, że Wendell ma broń. Powiedział, że Curtis i Leroy – niegrzeeeeeczni. Handlują białym proszkiem.

Sprawdzić parking pod wiatą. Sprawdzić osiedle Evergreen. Fani hery lubią się tam zbierać. Fani gry w kości też. A Wendell to fan kości pieeerwsza klaaasa. Wypatrywać Curtisa i Leroya – dwóch tłustych gówniarzy z nastroszonymi kudłami.

Pete połknął aspirynę. Jego ból głowy sięgał zenitu. Sześć nocy. Gówna warta obserwacja. Bóle głowy i żarcie od smoluchów. Brudny samochód.

Plan:

Stuknąć Curtisa i Leroya. Udobruchać Chłopców i odegrać grzecznego ich wielbiciela. Stuknąć Wendella Durfee'ego. Uczynić Wayne'a Juniora swoim dłużnikiem.

Jesteś mi coś winien, Wayne. Zajrzyjmy w twoje akta.

Sześć nocy. Brak szczęścia. Sześć nocy szlajania się po LV. Sześć nocy kulenia się w wozie.

Pete obserwował parking. Pete ziewał. Pete się przeciągał. Dorobił się już hemoroidów wielkości Matterhornu.

Ćpuny lataaaaly.

Popijały wodę sodową. Zapalały zapałki. Parzyły sobie dłonie. Podpalały ustniki papierosów.

Pete ziewał. Pete drzemał. Pete odpalał papierosa od papierosa... O, kurde, a to...

Dwóch szwarców przecięło J. Tłusci gówniarze z nastroszonymi kudłami – wielkie, nalakierowane szopy.

Chwila, moment – *jeszcze* dwóch szwarców – czarny alert pierwszego stopnia.

Przecięli skrzyżowanie Truman i K i dołączyli do tych z szopami. Wszczęli murzyńską gadkę.

Jeden palant taszczył koc. Drugi taszczył kości. Ten od kości gadał z szopiaistymi. Zwracał się do nich „Leroy” i „Cur-tiii”.

Pary się dogadały. Pary ruszyły na parking. Ćpuny jęknęły – o, kurde. Szopiaści ich przepędzili. Ćpuny potelepały się na południe. Szopiaści rozłożyli koc.

Leroy przyniósł śniadanie – dwa jabole. Cur-tiii rzucił kości. Zielone sześciiany zawirowały. Cur-tiiemu nie poszło. Leroy wyrzucił dwie jedynki.

Pete obserwował. Czarnuchy ryczały z uciechy. Czarnuchy idiociały. Czarnuchy się podniecały.

Przejechał radiowóz. Gliniarze przyuważyli grę. Czarnuchy ich olały. Radiowóz odjechał. Gliniarze ziewnęli – pieprzyć tych durnych asfaltów.

Leroyowi nie poszło. Cur-tiii miał radochę. Ci, co przynieśli kości, żłopali wino.

Jeszcze jeden smoluch przeciął ulicę J. Pete rozpoznał go raz-dwa – Wendell Durfee.

Te jego ciuchy alfonsa. Ta siatka na włosach. Ta spluwa wybrzusząca portki przy jajach.

Durfee przyłączył się do gry. Gadanina przybrała na sile. Durfee rzucił kości. Durfee odtąńczył radosne wah-watusi. Durfee łyknął wina.

Radiowóz powrócił. I stanął. Gliniarze się zaciekawili. Radiowóz się przyczaił. Radiowóz zawarczał na jałowym biegu. Zaskrzeczało radio.

Asfalty zamarły. Asfalty pobezczelniały. Zaciekawienie gliniarzy wzrosło. Asfalty porozumiały się telepatycznie – nasi ciemężyciele – asfalty podniosły się i rzuciły do biegu.

Rozdzielili się. Nawiali. Rozpierzchli się jak robactwo. Pognali wzdłuż J i K.

Gliniarze zamarli. Goście z koca nawiali. Zostawili flaszki. Pognali na wschód. *Nawiali.*

Gliniarze ożyli. Gliniarze przygazowali. Gliniarze ruszyli, drąc gumy, w pościg. Durfee pobiegł na zachód. Długie nogi i niska waga. Tłusci Leroy i Cur-tiii za nim.

Pete nadepnął na gaz. Nadepnął za mocno. Noga zjechała mu z pedału. Silnik zakaszłał i zgasł.

Pete wysiadł. Pete pobiegł. Durfee galopował. Durfee umykał swoim tłustym kolesiom. Grubasy powłóczyły nogami i dyszały.

Pędzili jakimś zaułkiem – hałdy śmieci na zwirowym podłożu – nędzne baraki po obu stronach. Durfee się poślizgnął. Durfee się zachwiał. Durfee rozdarł spodnie. Wypadła mu spluwa.

Pete się poślizgnął. Pete się zachwiał. Pete’owi pękł pas. Wypadła mu spluwa.

Schylił się. Zwolnił. Złapał spluwę Durfee’ego. Stracił grunt pod nogami. Poślizgnął się na żwirze.

Syrena zaryczała za jego plecami – głośno, całą parą.

Durfee przeskoczył przez płot. Grubasy się przeczołgały. Radiowóz skręcił gwałtownie. Zarzucił tyłem. Ustawił się bokiem. Zablockował Pete’owi drogę.

Pete upuścił spluwę. Podniósł ręce. Uśmiechnął się służalczo. Gliniarze wysiedli. Wyciągnęli pałki. Wycelowali z broni.

Zapuszczowali go – paragraf 407 kodeksu karnego – areszt szeryfa okręgu Clark.

Wrzucili go do pokoju przesłuchań. Przykuli go do krzesła. Pracowało nad nim dwóch dupków – książki telefoniczne i gówniana gadka.

Namierzyliśmy tę spluwę. Jest trefna. Dokonujesz napadów. Ja znalazłem tę spluwę – pieprzyć was.

Gówno prawda. Dlaczego tu jesteś? Powiedz, czego szukasz.

Miałem ochotę na pieczone prosię. Miałem ochotę na wieprzowe żeberka. Miałem ochotę na ciemne cipki. Gówno prawda. Powiedz, czego...

Działam na rzecz ruchu praw obywatelskich. Zwycięży...

Zamachnęli się książkami – grubymi – takimi z LA. Dokonujesz napadów. Obrabiasz graczy w kości. Chciałeś obrobić tamtych smoluchów.

Mylicie się – miałem ochotę na bigos.

Przywalili mu w żebra. Przywalili w kolana. Postarali się. Spięli ciaśniej

kajdanki. Zostawili tak, żeby zmiękł.

Nadgarstki mu zdrętwiały. Zdrętwiały mu ramiona. Chciało mu się łać.

Zastanawiał się, co może zrobić:

Nie dzwonić do Littella. Nie dzwonić do Chłopców. Nie zrobić z siebie kompletnego debila. Nie dzwonić do Barb – żeby jej nie przestraszyć.

Plecy mu zdrętwiały. Klatka piersiowa mu zdrętwiała. Złał się w spodnie. Zaparł się piętami w podłogę. Wykrzesał trochę siły. Zerwał łańcuszek od kajdanek. Poruszył rękoma i przywrócił krążenie.

Dupki wróciły. Zobaczyły zerwany łańcuszek. Jeden dupek gwizdnął i zaklaskał.

A Pete powiedział:

– Zadzwońcie do Wayne’a Tedrowa. Pracuje w WPLV.

Wayne Junior się zjawił. Dupki zostawiły ich samych. Wayne zdjął mu kajdanki.

– Powiedzieli, że chciałeś obrobić grających w kości.

Pete rozmasował nadgarstki.

– Wierzysz w to?

Wayne Junior zmarszczył brwi – urażona primadonna. Wayne Junior nadał się jak zadek przed pierdnięciem.

Pete wstał. Krążenie powracało. Odetkały mu się uszy.

– Obowiązuje tutaj prawo pozwalające zatrzymać aresztanta na siedemdziesiąt dwie godziny?

– Tak, a potem zwolnienie albo oskarżenie.

– No to z tego prawa skorzystam. Bywałem już w takich sytuacjach.

– Czego *chcesz*? Przysługi? Chcesz, żebym przestał przychodzić na występy twojej żony?

Pete pomachał rękami. Zdrętwienie częściowo ustąpiło.

– Jest tutaj Durfee. Włóczy się z dwoma kolesiami o ksywkach Leroy i Curtis. Widziałem ich w pobliżu tamtych ruder przy skrzyżowaniu Truman i J.

Wayne Junior poczerwieniał – aż po nasadę włosów – krew krążyła mu za szybko.

Pete powiedział:

– Zabij go. Myślę, że przyjechał tu, bo ma taki plan wobec ciebie.

28

(Waszyngton, 14 stycznia 1964)

Pikiety przed Białym Domem:

Prawa obywatelskie i zbrojenia nuklearne. Młodzi lewicowcy.

Maszerowali. Skandowali. Ich okrzyki się zlewały. Było zimno. Mieli na sobie płaszcze. Mieli futrzane kozackie czapy.

Bayard Rustin się spóźniał. Littell czekał. Littell siedział w Lafayette Park.

Pikiety rezerwowe gawędziły. Wszędzie było słycać tę samą paplaninę. LBJ i Castro. Groźba wojny w Wietnamie.

Obie grupy wspólnie popijały kawę. Lewicujące panienki przyniosły przekąski. Littell się rozglądał – Bayarda Rustina wciąż brak.

Znał twarz Rustina. Pan Hoover dostarczył zdjęcia. Spotkał się z wtyczką z Konferencji Przywódców Chrześcijańskich Południa. Rozmawiali zeszłego wieczoru.

Lyle Holly – eks-gliniarz z Chicagowskiego Wydziału Policji.

Lyle pracował w Czerwonej Drużynie. Lyle badał lewicę. Lyle gadał jak lewica, a *myślał* jak prawica. Mieli podobne kwalifikacje i referencje. Cierpieli na takie samo rozdzielenie. Lyle sypał rasistowskimi dowcipami. Lyle mówił, że kocha doktora Kinga.

Littell znał brata Lyle'a. Pracowali razem w FBI w St. Louis – 1948–50.

Dwight H. był mocno na prawo. Dwight po cichu pracował dla Klanu. Dwight pasował tam *idealnie*. Bracia Holly pochodzili z Indiany. Bracia Holly mieli związki z Klanem. Tatko Holly był Wielkim Smokiem.

Klan należał do przeszłości. Bracia uzyskali dyplomy prawnicze i zostali policjantami.

FBI Dwighta *też* należało do przeszłości. Choć nadal pracował dla federalnych. Wstąpił do Biura do spraw Narkotyków. Dwight to był niespokojny duch. Wciąż zmieniał pracę. Marzyła mu się wielka policyjna robota: śledczy główny/ prokuratura federalna/ okręg Nevada Południowa.

Dwight był twardy. Lyle był miękki. Lyle'a stać było na podobną do

Littellowej empatię.

Lyle spisał jego historię:

Ward Littell – były oficer FBI. Zwolniony. Zhańbiony. Trwale okaleczony przez pana Hoovera. Obecnie: prawnik mafii. Sympatyzujący z lewicą. Posiadający dostęp do mafijnych pieniędzy.

Solidna pisanina. Littell ją zatwierdził. Lyle się śmiał. Lyle mówił, że pan Hoover mu pomógł.

Układ został zawarty. Littell miał kasę – Carlos i Sam złożyli daninę.

Powiedział im prosto z mostu – to pomysł pana Hoovera – nie-mafijny/anty-Konferencyjny.

Carlos i Sam zapiali z zachwytu. Lyle pogadał z Bayardem Rustinem. Lyle ściemniał:

Ward Littell – mój stary kumpel. Ward to pokrewna dusza. Ward ma kasę. Ward popiera Konferencję.

Pikieta od broni się rozeszła. Pojawiła się inna. Nowe transparenty: „Stuknąć Brodacza” i „Ukrzyżować Chruszczowa”.

Podszedł Bayard Rustin.

Wysoki – dobrze ubrany i zadbany – bardziej wymizerowany niż na policyjnych fotkach.

Usiadł. Założył nogę na nogę. Zajął resztę ławki.

Littell spytał:

– Jak mnie pan rozpoznał?

Rustin się uśmiechnął.

– Był pan tu jedyną osobą niezaangażowaną w demokratyczne procesy.

– Prawnicy nie wymachują transparentami.

Rustin otworzył teczkę.

– Nie, ale niektórzy z nich składają darowizny.

Littell otworzył teczkę.

– Będzie tego więcej. Ale wszystkiemu zaprzeczę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Rustin wziął pieniądze.

– Zaprzeczy pan. Potrafię to zrozumieć.

– Musi pan wziąć pod uwagę źródło ich pochodzenia. Ludzie, dla których pracuję, nie są przyjaciółmi ruchu praw obywatelskich.

– A powinni być. Włosi też bywali prześladowani.

– Oni tego w ten sposób nie postrzegają.

- Może dlatego odnoszą takie sukcesy w wybranej przez siebie dziedzinie.
- Prześladowani uczą się prześladować. Pojmuję logikę, ale nie uważam, by mogła ona stanowić ogólnie przyjętą życiową mądrość.
- I nie przypisuje pan bezwzględności wszystkim ludziom tej narodowości?
- Nie w większym stopniu niż przypisuję głupotę wszystkim ludziom podobnym do pana.
- Rustin klepnął się po kolanach.
- Lyle mówił, że jest pan bystry.
- Sam też jest bystry.
- Mówił, że znacie się od dawna.
- Poznaliśmy się na wiecu pod hasłem „Uwolnić Rosenbergów”. To musiało być w pięćdziesiątym drugim.
- Po której stronie byliście?
- Littell się roześmiał.
- Kręciliśmy film operacyjny z tego samego budynku.
- Rustin się roześmiał.
- W tamtej demonstracji akurat nie uczestniczyłem. Nigdy nie byłem prawdziwym komunistą, wbrew temu, co twierdzi pan Hoover.
- Littell powiedział:
- Wedle jego logiki, pan jest. Wie pan, co to określenie w sobie kryje i w jakim stopniu zawiera w sobie wszystko, czego pan Hoover się lęka.
- Rustin się uśmiechnął.
- Nienawidzi go pan?
- Ależ nie.
- Po tym wszystkim, na co pana naraził?
- Trudno mi nienawidzić ludzi, którzy są tak wierni samym sobie.
- Czy studiował pan ideę biernego oporu?
- Nie, ale bywałem świadkiem daremności oporu czynnego.
- Rustin się roześmiał.
- To dość niezwykle stwierdzenie jak na mafijnego prawnika.
- Zerwał się wiatr. Littell zadrżał.
- Wiem coś o panu, panie Rustin. Jest pan człowiekiem utalentowanym i zdolnym do kompromisów. Może nie posiadam pańskich talentów, lecz gdy chodzi o kompromisowość, myślę, że idziemy łeb w łeb.
- Rustin się skłonił.

– Przepraszam. Staram się nie snuć domysłów co do kierujących ludźmi ukrytych motywów, ale w pańskim przypadku nie udało mi się powstrzymać.

Littell pokręcił głową.

– Nic się nie stało. Pragniemy przecież tego samego.

– Tak, i każdy z nas przykłada się do tego na swój sposób.

Littell zapiął płaszcz.

– Podziwiam doktora Kinga.

– Na tyle, na ile katolik może podziwiać człowieka o imionach Martin Luther?

Littell się zaśmiał.

– Podziwiam Martina Luthra. Zdobyłem się na ten kompromis, gdy jeszcze byłem człowiekiem bardziej wierzącym.

– O naszym Martinie usłyszysz pan mnóstwo złego. Pan Hoover od dawna już robi mu złą reklamę. Martin Luther King to diabeł wcielony. Uwodzi kobiety i zatrudnia komunistów.

Littell naciągnął rękawiczki.

– Pan Hoover ma wielu korespondencyjnych przyjaciół...

– Tak. W Kongresie, wśród duchowieństwa i wśród dziennikarzy.

– On w to mocno wierzy, panie Rustin. I dlatego zaraża swą wiarą innych.

Rustin wstał.

– Dlaczego teraz? Dlaczego zdecydował się pan podjąć takie ryzyko w takich czasach?

Littell wstał.

– Byłem ostatnio w Las Vegas i nie spodobało mi się to, co się tam dzieje.

Rustin się uśmiechnął.

– Niech pan jeszcze powie tym mormonom, żeby się trochę rozluźnili.

Podali sobie dłonie. Rustin odszedł. Rustin odszedł, pogwizdując Chopina.

W parku zrobiło się jaśniej i cieplej. Pan Hoover zsyłał na człowieka różnorakie dary.

29

(Las Vegas, 15 stycznia 1964)

Sekwencja obrazów:

Martwa dziwka/oko na podłodze/Wendell Durfee z kłami.

Obrazy i krótkie majaki. Brak snu i utraty świadomości. Dwie stłuczki na koncie.

Obrazy się zazębiały. Od trzydziestu sześciu godzin. Ulewny deszcz jeszcze je podsycił.

Wayne przycisnął taksjarza z Monarchy. Wayne świsnął mu trochę amfy. Wayne zadzwonił do szkoły Lynette i zostawił wiadomość:

Nie wracaj do domu – zatrzymaj się u jakiejś koleżanki – zadzwonię jeszcze i wyjaśnię.

Łyknął amfę. Popił kawą. Podrajcowało go to. I wypompowało. Wywołało sekwencję obrazów.

Czaił się na skrzyżowaniu Truman i J. Wcześniej przekopał akta. Wyciągnął policyjne fotki. Zdobył brudy na Leroya Williamsa i Curtisa Swaseya.

Alfonsi. Gracze w kości. Dwanaście aresztowań/ dwa wyroki. Włączył bez stałego adresu.

Nie kładł się spać – pół dnia/ cała noc/ cały dzień. Obserwował parking. Obserwował kluby – Zakątek/ U Woody'ego/Gęś.

Obserwował grających w kości. Obserwował kolejki po grillowane mięso. Widział cienie. Zobaczył Wendella. Zamrugął i Wendell znikł.

Siedział w samochodzie. Obserwował zaułek. Dwie godziny temu coś mu z tego przyszło.

Curtis wyłania się z jednej z bud. Tylne drzwi wychodzą na zaułek. Curtis wyrzuca coś do śmietnika. Curtis pędem wraca.

Wayne czekał. Siedział w samochodzie. Obserwował zaułek. Godzinę temu:

Leroy wychodzi z budy. Leroy wyrzuca coś do śmietnika. Leroy pędem

wraca.

Wtedy Wayne podbiegł. Wayne przewrócił śmietnik. Wayne zobaczył foliową płachtę. Lepił się do niej biały proszek – resztki białego proszku.

Posmakował – heroina.

Okrzyżył budę. Okna zasłaniała pomarszczona folia. Odciągnął kawałek. Zobaczył Curtisa i Leroya.

To było o 17.15. Teraz była 18.19.

Wayne obserwował budę. Wayne widział cienie i światło. Światło dobywało się z rozdarc w folii.

Deszcz lał jak z cebra. Pieprzony monsun. Obrazy się zazębiały. Dallas. Pete i Durfee. Pete mówi: „Zabij go” – grzmiało mu to w uszach już od dwóch dni.

Trzeba go było zabić już *wtedy*. Ten gość lubi wracać. Powinieneś to *wiedzieć*.

ZABIJ GO. ZABIJ GO. ZABIJ GO. ZABIJ GO. ZABIJ GO.

Samochód stał w błocie. Dach przeciekał. Deszcz sączył się do środka. Był dłużnikiem Pete’a. Telefon Pete’a go ocalił. Telefon Pete’a rozproszył jego uwagę.

Pieprzyć Buddy’ego Fritscha – pieprzyć jego robotę przy aktach – Hinton zapłaci za tę dziwkę.

Wrócił tam raz – dziesięć godzin temu. Przejechał obok przyczepy. Od przyczepy bił smród. Dziwka leżała i gniła.

Obrazy: skrzepy/ robactwo/ kulki śrutu we krwi.

Wayne dalej obserwował budę. Deszcz zaćmiewał mu widok. Czas się rozkładał. Czas się składał na nowo.

Tylne drzwi się otwierają. Wychodzi mężczyzna. Idzie. Idzie w tę stronę. *Zbliża się*.

Wayne obserwował. Wayne uchylił drzwi pasażera. Proszę – to Leroy Williams.

Bez czapki. Bez parasola. W przemoczonych ciuchach.

Leroy przechodził obok. Wayne kopniakiem otworzył drzwi. Trafił w Leroya bez pudła. Leroy zaskamlał. Leroy runął w błoto. Wayne wyskoczył z wozu. Leroy wstał. Wayne wyciągnął spluwę i zdzielił go nią. Leroy padł. Otarł się o samochód.

Wayne kopnął go w jaja. Leroy zaskamlał. Leroy się rzucał. Leroy upadał. Plół matkocośćam. Wyciągnął kosę. Wayne przytrzasnął mu rękę drzwiami.

Zmiażdżył mu palce. Przytrzymał je. Leroy wrzasnął i upuścił nóż. Wayne wepchnął trójkątną szybkę w samochodzie. Włożył rękę do środka i otworzył schowek.

Grzebał przez chwilę. Wygrzebał taśmę klejącą. Oderwał kawałek. Leroy wrzeszczał. Przejazd pociągu zagłuszył hałas. Wayne przestał dociskać drzwi.

Leroy wyciągnął rękę. Sterczały z niej odłamki połamanych kości. Leroy darł się wniebogłosy.

Wayne chwycił za jego kudły. Wayne zakleił mu gębę. Leroy się wił. Leroy skamlał. Leroy trzepał pogruchotaną łapą.

Wayne go kneblował – trzy okrążenia – szeroka taśma. Kopnął go tak, że koleś zwał się na brzuch. Skuł mu nadgarstki. Wrzucił na tylną kanapę samochodu.

Wsiadł za kierownicę. Przygazował. Ruszył zygzakami wśród błota i śmieci. Deszcz lał coraz mocniej. Wycieraczki mu nawaliły. Jechał na wyczucie.

Pokonał półtora kilometra. Zobaczył znak. Błysnął światłami – złomowisko aut – blisko – rzut beretem.

Pokonał pięćdziesiąt metrów. Skręcił ostro w prawo. Zahamował. Stanął. O krawężnik rozwalił sobie oś.

Włączył długie światła. Oświetlił złomowisko: deszcz/ rdza/ setki gruchotów.

Zaciągnął hamulec. Posadził Leroya. Zdarł taśmę. Z taśmą zdarł skórę i pół wąsów.

Leroy skamlał. Leroy kaszlał. Leroy pluł żółcią i krwią.

Wayne włączył lampkę.

– Wendell Durfee. Gdzie on jest?

Leroy zamrugał. Leroy zakaszlał. Wayne poczuł smród gówna w jego spodniach.

– Gdzie jest Wendell Dur...

– Wendell mówi, że ma coś do załatwienia. Mówi, że wrócił po coś i zaraz przyska z miasta. Cur-tiii mówi, że Wendell ma jakiś interes.

– Co za interes?

Leroy pokręcił głową.

– Nie wiem. To interes Wendella, nie mój.

Wayne się przybliżył. Chwycił go za kudły. Wayne rozwalił mu gębę

o drzwi wozu. Leroy wrzeszczał. Leroy pluł zębami. Wayne przeczołgał się na jego siedzenie.

Powalił Leroya. Skrępował całego taśmą. Złapał za łańcuszek od kajdanek. Otworzył drzwi. Wyciągnął go. Zawłókł go do jakiegoś buicka. Wyjął spluwę i wpakował sześć kulek w bagażnik.

Wrzucił Leroya do środka. Przykrył starymi oponami. Zatrzasnął klapę bagażnika.

Był przemoczony. W butach mu chlupało. Nie czuł stóp. Widział cienie. Wiedział, że nie są prawdziwe.

Deszcz zelżał. Wayne pojechał z powrotem. Wayne zaparkował w tym samym miejscu w zaułku. Wysiadł. Okrążył budę. Odgiął kawałek folii.

Jest Cur-tiii. Jest jeszcze jeden gość. Obaj mają takie same gęby. Cur-tiii ma brata.

Cur-tiii siedział na podłodze. Cur-tiii się kiwał. Cur-tiii rozrywał paczki. Cur-tiii dzielił herę.

Jego brat odleciał. Jego brat fruwał. Jego brat był w siódmym ćpuńskim niebie. Jego brat zapalał papierosa.

Poparzył palce. Uśmiechnął się. Cur-tiii zachichotał. Cur-tiii dzielił herę.

Zakręcił nożem. Udał, że rozpruwa komuś bebechy. Powiedział:

– Całkiem jak świnia w przebraniu. – Zakręcił nożem. Udał, że kogoś goli. Powiedział: – Wendell lubi gładkie. A ciachanie cipek to zawsze było Wendella modus operandi. – Powiedział jeszcze: – Zrobił jej to, facet. Stracił swoją spluwę, więc musiał się jakoś odegrać.

Wayne to USŁYSZAŁ. Natychmiastowe skojarzenie. Wayne to ZOBACZYŁ – natychmiastowa sekwencja obrazów.

Pobiegł. Poślizgnął się. Potknął. Padł w błoto. Wstał. Potknął się. Biegł. Wsiadł do samochodu. Dźgał kluczykiem stacyjkę. Nie mógł trafić.

Udało się. Przekręcił klucz. Wrzucił bieg. Koła zawirowały i samochód ruszył.

Zajaśniała błyskawica. Rozległ się grzmot. Wayne prześcignął deszcz.

Przemykał przez skrzyżowania. Jechał na żółtych światłach i na czerwonych. Podskakiwał na torach kolejowych. Zahaczał o krawężniki. Ocierał się o zaparkowane wozy.

Dotarł do domu. Wjechał na trawnik. Wytoczył się z auta i biegł. W domu panowała ciemność. Zamek był uszkodzony. Jego klucz utknął w dziurce.

Kopniakiem wyważył drzwi. Rozejrzał się po korytarzu. Zobaczył światło w sypialni. Podszedł i zajrzał.

Była naga.

Pościel była czerwona. Czerwień lała się z *niej*. W czerwieni tonęło całe łóżko.

Rozciągnął jej ręce i nogi. Poprzywiązywał. Użył krawatów Wayne'a. Rozplatał ją i ogolił. Wyciął kawałek tkanki na łonie.

Wayne wyciągnął broń. Wayne odciągnął kurek. Włożył sobie lufę do ust i pociągnął za cyngiel.

Kurek pstryknął. Wystrzelił cały bębenek na złomowisku.

Burza minęła. Uszkodziła linie energetyczne. Nie działały światła na ulicach. Ludzie jeździli jak obłąkani.

Wayne jechał z rozwagą. Wayne jechał bardzo powoli.

Zaparkował koło budy. Chwycił strzelbę. Podszedł i kopniakiem wyważył drzwi.

Cur-tiii pakował towar. Jego brat gapił się w telewizor. Ujrzeni Wayne'a. Skinęli głowami. Uśmiechnęli się jak debile.

Wayne próbował coś powiedzieć. Wayne'owi język stanął kołkiem. Za to Cur-tiii gadał. Gadał na zwolnionych obrotach, jak to po herze.

– Hej, gościu. Wendella nie ma. Chyba nie myślisz, że będziemy dawać żreć...

Wayne podniósł strzelbę. Wayne zamachnął się kolbą.

Zdzielił Cur-tiiiiego. Przewrócił go. Stał mu na piersi. Chwycił sześć woreczków. Wpakował mu je do ust.

Cur-tiii się krztusił. Cur-tiii gryzł folię. Ugryzł Wayne'a w rękę. Cur-tiii łykał herę razem z woreczkami.

Wayne stanął mu na gębie. Woreczki pękały. Zęby mu się łamały. Żuchwa wyskoczyła z zawiasów.

Cur-tiii się rzucał. Nogi mu zeszywniały. Krew poszła nosem. Cur-tiii drgnął i ugryzł Wayne'a w but.

Wayne podgłośnił telewizor. Morey Amsterdam ryczał. Dick Van Dyke wrzeszczał.

Braciszek płakał. Braciszek błagał. Braciszek zaklinał. Zaklinał na wszystkie świętości, rozwalony na podłodze.

Usta mu się ruszały. Cała twarz się ruszała. Powieki zatrzepotały. Oczy się

wywróciły.

Wayne go zdzielił.

Wybił mu zęby. Złamał nos. Złamał kolbę śrutówki. Usta mu się ruszały. Cała twarz się ruszała. Oczy się wywróciły. Widać było białka.

Wayne podniósł telewizor. Wayne spuścił mu go na głowę. Lampy popękały i eksplodowały. Spaliły mu twarz.

Linie energetyczne zostały naprawione. Światła na ulicach działały. Wayne jechał na złomowisko.

Zatrzymał się. Włączył długie światła. Trafił w buicka. Wysiadł i otworzył bagażnik.

Zdjął Leroyowi taśmę. Spytał:

– Gdzie jest Durfee?

Leroy powiedział:

– Nie wiem.

Wayne go zastrzelił – pięć ładunków w twarz – bez pudła, z najgrubszego śrutu.

Odstrzelił mu łeb. Rozwalił bagażnik. Rozniósł podwozie. Wzbił w powietrze stare opony.

Wrócił do samochodu. Spod maski z sykiem dobywał się dym. Jeździł bez oleju. Zatarł silnik.

Rzucił strzelbę.

Wrócił do domu pieszo.

Usiadł przy Lynette.

30

(Las Vegas, 15 stycznia 1964)

Littell popijał kawę. Wayne Senior sączył szkocką.

Stali przy jego barku – tek i mahoń – powyżej wisiąły trofea łowieckie.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– Jestem zaskoczony, że zdołaliście wylądować podczas tej burzy.

– Nie było łatwo. Przeżyliśmy kilka chwil grozy.

– W takim razie pilot musiał znać się na swojej robocie. Miał komplet pasażerów-hazardzistów, którym spieszno było wysiąść w Vegas i przegrać trochę pieniędzy.

Littell powiedział:

– Zapomniałem panu podziękować. Jest już późno, a ja całkiem niedawno uprzedziłem o swojej wizycie.

– Nazwisko pana Hoovera otwiera wiele drzwi. Proszę się tego nie wstydzić. Kiedy pan Hoover mówi: „Skacz”, ja pytam tylko: „Jak wysoko?”.

Littell się zaśmiał.

– To tak jak ja.

Wayne Senior się zaśmiał.

– Przyleciał pan z Waszyngtonu?

– Tak.

– Widział się pan z panem Hooverem?

– Nie. Widziałem się z człowiekiem, z którym kazał mi się zobaczyć.

– Czy wolno panu o tym rozmawiać?

– Nie.

Wayne Senior zakręcił laską.

– Pan Hoover zna prawie wszystkich. Jego znajomi mogliby utworzyć całkiem sporą pętlę.

„Pętla”: Akta delegatury w Dallas. Maynard Moore – wtyczka FBI. Jego opiekun – Wayne Tedrow Senior.

Littell zakaszłał.

- Zna pan Guya Banistera?
- Owszem, znam Guya. A skąd pan go zna?
- Kierował chicagowską delegaturą FBI. Pracowałem tam od 1951 do 1960 roku.
- Widział się pan z nim ostatnio?
- Nie.
- O? Myślałem, że może wasze ścieżki skrzyżowały się w Dallas. Guy się wygadał. Guy za dużo paplał. Guy był niedyskretny.
- Nie. Nie widziałem się z Guyem od czasów Chicago. Nie mamy ze sobą wiele wspólnego.
- Wayne Senior uniósł jedną brew. Miało to znaczyć: aleś ty naiwny.
- Littell oparł się o barenkę.
- Pański syn pracuje w sekcji wywiadowczej WPLV. Chciałbym go poznać.
- Wpłynąłem na mego syna bardziej, niż on sam chciałby przyznać. I nie jest mi do końca niewdzięczny.
- Słyszałem, że świetny z niego policjant. Przypominam sobie pewne zdanie: „Niepodatny na korupcję wedle standardów policji Las Vegas”.
- Wayne Senior zapalił papierosa.
- Pan Hoover pozwala panu czytać akta.
- Niekiedy.
- Mnie też czasami funduje tę przyjemność.
- „Przyjemność”. Dobrze powiedziane.
- Wayne Senior sączył szkocką.
- Postarałem się, aby mój syn został wysłany do Dallas. Człowiek nigdy nie wie, kiedy przyjdzie mu się otrzeć o historię.
- Littell popijał kawę.
- Założę się, że mu pan tego nie powiedział. Przypominam sobie pewne zdanie. „Ukrywa delikatne informacje przed swoim synem”.
- Mój syn jest niezwykle szczodry wobec ludzi, którzy mieli mniej szczęścia. Słyszałem, że pan też kiedyś taki był.
- Littell zakaszłał.
- Mam pewnego ważnego klienta. Chciałby się przenieść do Las Vegas i bardzo ceni sobie mormonów.
- Wayne Senior utopił papierosa. Szkocka pochłonęła popiół.
- Znam wielu zdolnych mormonów, którzy bardzo chcieliby pracować dla

pana Hughesa.

– Pański syn posiada pewne akta, które mogłyby nam pomóc.

– Nie poproszę go o nie. Żywię pionierską wręcz pogardę wobec Włochów i mam pełną świadomość, że oprócz pana Hughesa posiada pan jeszcze innych klientów.

Szkocka i mokry tytoń. Barowe zapachy z dawnych czasów.

Littell odsunął szklankę.

– Co pan mówi?

– Że ufamy tylko ludziom naszego własnego pokroju. Że Włosi nigdy nie pozwolą mormonom prowadzić hoteli pana Hughesa.

– Wybiegamy trochę za bardzo w przyszłość. Najpierw musi on te hotele nabyć.

– Och, nabędzie je. Dlatego, że chce je nabyć, a pańscy inni klienci chcą je zbyć. Mógłbym tu użyć terminu „zgodność interesów”, ale tego nie zrobię.

Littell się uśmiechnął. Littell podniósł szklankę – *touché*.

– Pan Hoover świetnie pana poinformował.

– Tak. Działając w interesie nas obu.

– I swoim własnym.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– Rozmawiałem o panu także z Lyle'em Hollym.

– Nie wiedziałem, że go pan zna.

– Znam jego brata od lat.

– Też znam Dwighta. Pracowaliśmy razem w FBI w St. Louis.

Wayne Senior pokiwał głową.

– Mówił mi. Powiedział, że zawsze był pan ideologicznie niepewny, a pańskie obecne zatrudnienie w charakterze prawnika mafii to potwierdza.

Littell podniósł szklankę.

– *Touché*. Jednak moich obecnych chlebodawców nie nazwałbym „ideologicznymi” pod żadnym względem.

Wayne Senior podniósł szklankę.

– *Touché*. Tym razem dla pana.

Littell zakaszłał.

– Spróbujmy złożyć to wszystko w jedną całość. Dwight jest zatrudniony w tutejszym Biurze do spraw Narkotyków. Kiedyś pracował dla pana Hoovera przy malwersacjach pocztowych. W tamtych czasach działaliście razem.

– Zgadza się. Znamy się od trzydziestu paru lat. Jego tato był tatą także dla mnie.

– Wielki Smok? Dla miłego mormońskiego chłopca, takiego jak pan?

Wayne Senior chwycił wysoką szklanę. Wayne Senior przygotował sobie Rob Roya¹¹.

– Klan w Indianie nigdy nie był tak awanturniczy jak chłopcy z głębokiego Południa. Oni bowiem są *zbyt* awanturniczy, nawet jak dla Dwighta i dla mnie. Dlatego właśnie pracowaliśmy z Dwightem przy malwersacjach pocztowych.

Littell powiedział:

– To nieprawda. Dwight robił to, bo kazał mu pan Hoover. Pan zaś chciał się pobawić w agenta federalnego.

Wayne Senior zamieszał drinka. Littell poczuł zapach gorzkiego likieru i wermutu. Ślina napłynęła mu do ust. Odsunął się z krzesłem. Wayne Senior mrugnął.

Po barku przemknął cień. Tylny taras przecięła kobieta. Dumna sylwetka/ ciemne włosy/ siwy kosmyk.

Wayne Senior powiedział:

– Chcę panu pokazać pewien film.

Littell wstał. Littell się przeciągnął. Wayne Senior zabrał swego drinka. Ruszyli bocznym korytarzem. Whisky i gorzki likier się zbełtały. Littell otarł usta.

Stanęli przed składzikiem. Wayne Senior włączył światło. Littell ujrzał projektor i ekran na ścianie.

Wayne Senior nałożył szpulę. Wayne Senior nastawił urządzenie. Wayne Senior założył film. Littell zgasił światło. Wayne Senior włączył projektor. Na ekranie ukazały się słowa i liczby.

Kod materiału z inwigilacji – białe na czarnym. Data – 28.08.1963. Miejsce – Waszyngton.

Słowa się rozmyły. Rozpoczął się film. Czarno-biały, nakrapiany zakłóceniami. Sypialnia/ Martin Luther King/ biała kobieta.

Littell patrzył.

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Dyszał ciężko. Klapnął na jakieś krzesło. Barwy skóry odcinały się od siebie wyraźnie – czarne na białym – rozstępy i pościel w kratkę.

Littell patrzył na ekran. Wayne Senior się uśmiechał. Wayne Senior patrzył

na Littella.

Różnorakie dary. Pan Hoover. Dar, którego jeszcze pożąda...

31

(Las Vegas, 15 stycznia 1964)

Gliniarze go wypuścili.

Podzwonili w parę miejsc. Zdobyli jego kartotekę. Zdobyli ją błyskawicznie. Jest związany z mafią/ zna Chłopców/ Chłopcy znają jego.

Pete wyszedł. Pete zadzwonił do Barb do pracy. Powiedział, że wkrótce będzie w domu.

Siedział czterdzieści jeden godzin. Jadł byle co. Bolała go głowa. Bolały nadgarstki. Cuchnął jak gówno chihuahua.

Pojechał po swój wóz. Pojechał taksówką Monarchy – Czarnogrodzki Ekspres. Kierowca seplenił. Kierowca miał róż na policzkach. Kierowca mówił, że ma spluwy na sprzedaż.

Kierowca wysadził Pete'a przy parkingu. Wóz Pete'a stał pogruchotany/zaśmiecony/porozbijany.

Brak przedniej szyby. Brak kołpaków. Brak opon. Brak kół. Hotel Cadillac – zamelinował się w nim jeden żulik.

Chrapał. Obijało się o niego robactwo. Tulił do siebie dwie flachy taniego wina. Samochód zyskał nowe ozdoby na lakierze – murzyńskie graffiti:

„Allah rządzi”/ „Śmierć białasom”/ „Kochamy Malcolma X”.

Pete się zaśmiał. Pete, kurwa, zaryczał ze śmiechu. Kopnął w maskownicę. Kopnął w drzwi. Rzucił żulikowi swoje klucze.

Zaczął padać deszcz – słaby, ale zimny. Pete usłyszał gdzieś w pobliżu harmider. Namierzył go – bardzo blisko – jedna z bud przy J.

Podszedł. Zobaczył, co się dzieje.

Sześć radiowozów – WPLV i szeryfa. Dwie bryki federalnych – zderzak przy zderzaku. Wielkie czarowanie przed jedną murzyńską norą.

Reflektory/ biało-czerwona taśma zabezpieczająca/ ambulans. Wielkie policyjne zgromadzenie.

Gliny w obrębie biało-czerwonej taśmy. Bambusy poza nią. Bambusy uzbrojone w słodkie wino i smażone kurczaki.

Pete podszedł blisko. Jeden z gliniarzy wyciągnął nosze na kółkach – sztuk dwie. Inny gliniarz wtargał je do budy. Jeszcze inny przeskoczył taśmę. Następny złożył meldunek. Pete podsłuchiwał uważnie.

Zgłosił to jakiś gówniarz. Rzeczony gówniarz mieszka po sąsiedzku. Rzeczony gówniarz usłyszał harmider. To robota jakiegoś bladego. Blady miał strzelbę. Blady wsiadł do wozu i zwiął. Rzeczony gówniarz wszedł wtedy do budy. Rzeczony gówniarz zobaczył dwóch sztywnych – Curtisa i Otisa Swaseyów.

Bambusy się pchały. Parły na biało-czerwoną taśmę. Bambusy tańczyły wah-watusi. Jakiś gliniarz ustawił barierki. Inny gliniarz poprawił taśmę. Jeszcze inny cofnął bambusów.

Bambusy przyglądały się Pete'owi. Bambusy go popychały. Biały Człowiek – zła moc. Biały Człowiek – wracaj do siebie. Biały Człowiek – taki zabił naszych.

Zakład, że to robota Wayne'a Juniora. Zakład, że Wendell Durfee leży *gdzieś* – załatwiony i porzucony.

Bambusy się tłoczyły. Bambusy mamrotały. Bambusy się szykowały. Jeden rzucił butelkę. Inny rzucił kurze udko. Jeszcze inny rzucił frytki.

Czterej gliniarze wyciągnęli pałki. Dwaj inni wytoczyli nosze na kółkach.

O, Curtis – siny – bladą obiał mu głowę. O, Otis – przypieczony – bladą spalił mu twarz paskuuudnie.

Pete się wycofał. Oberwał parę kuksańców. Dostał paroma skrzydełkami z kurczaka. Dostał paroma ziemniakami.

Przeszedł przez J. Znalazł się koło grupy gliniarzy. Oparł się o radiowóz. Z przodu siedział policjant. Policjant trzymał w dłoni mikrofon. Policjant mówił głośno:

„Mamy jeszcze jednego – strzały ze strzelby, śmierć na miejscu – czarnuch o nazwisku Leroy Williams. Kuuuurna! Dosłownie odstrzelił mu łeb! Złomiarze znaleźli go w buicku. Mamy strzelbę”.

No dobra: *Leroy* – sztywniak nr 3. Wendell – a gdzie *ty* się podziewasz?

Pete się kręcił. Gliniarze go olewali. Gliniarze tamowali ruch. Gliniarze nie ruszali się z miejsca. Gliniarze wstrzymali ruch na J.

Pierdolony deszcz się wzmógł. Chmury pędziły. Pete złapał jakieś pudełko. Pete wysypał kurze żołądki. Pete założył pudełko, żeby mieć suchą głowę.

Bambusy się rozproszyły. Pochowały się po pobliskich kątach. Bambusy

nie dawały za wygraną.

Nadjechała federalna bryka. Wysiadł wielki gość. Wyglądał na jakiegoś *El Jefe*¹² – szary garnitur i szary kapelusz fedziów.

Jefe mignął odznaką. Jefe został obsłużony. Strażnik zasalutował. Jakiś zwykły fedzio się skłonił. Jefe wziął sobie jego parasol.

Pete przesunął się wzdłuż taśmy. Pete podszedł bliżej. Gliniarze go ignorowali. Pieprzyć cię – jakiś kretyn z ciebie – masz na głowie czapkę z pudełka po kurczaku.

Pete stał w pobliżu. Czapka przeciekała. Tłuszcz z kurczaka wysmarował mu włosy. Mały fedzio podlizywał się wielkiemu federalnemu – tak jest, panie Holly.

Pan Holly się *wkurzał*. To *moja* sprawa. Ofiary handlowały narkotykami. To *moje* miejsce zbrodni – przeszukajmy tę budę.

Pan Holly pozostawał suchy. Mały fedzio był już mokry. Podszedł jakiś sierżant. Sierżant w przemoczonym granatowym mundurze miejskiego policjanta.

Mówił głośno. Wkurzał pana Holly’ego. Mówił, to *nasza* sprawa. *Plombujemy* tę budę. Sprowadzimy tu *nasz* wydział zabójstw.

Pan Holly się nadał. Pan Holly nie zdzierzył. Kopnął w barierkę. Zajęczał. Stłukł sobie stopę.

Podjechał radiowóz. Wysiadł jakiś gliniarz. Gestykulował jak wariat. Gadał jak wariat. Pete usłyszał: „wóz na złomowisku”. Pete usłyszał: „Tedrow”.

Pan Holly wrzeszczał. Sierżant wrzeszczał. Jakiś gliniarz podniósł megafon. Zaplombujemy chatę – jedźmy na sygnale na złomowisko w Tonopah.

Gliniarze się rozpierzchli. Powsiadali do wozów. Ruszyli ulicą J, ślizgając się po błocie, brnąc przez zwirowe podwórza.

Jeden gliniarz został. Rzeczony gliniarz pozamykał budę.

Stanął przy frontowych drzwiach. Stał w ulewie. Palił papierosy. Deszcz mu je gasił. Każdym zaciągał się najwyżej dwa razy. Dał sobie spokój. Pobiegł do wozu. Zamknął okna.

Pete rzucił się do biegu. Deszcz zapewniał ochronę. Błoto bryzgało dokoła. Wrócił do zaułka. Okrążył budę.

Zero samochodów. Zero strażnika przy tylnych drzwiach – jest dobrze. Drzwi były zamknięte na klucz. Okna przesłonięte folią.

Pete wyciągnął rękę. Pete pociągnął za folię. Pete odsłonił okno.

Wspiął się. Wskoczył do środka. Zobaczył kredowe kontury i plamy krwi. Zobaczył spalony telewizor.

Śmieci na podłodze – w kredowych kółkach: porwane woreczki/ szkło lamp z telewizora/ osmalone murzyńskie włosy.

Pete przeszukał budę. Pete działał *rápídamente*. Rozejrzał się. Zobaczył: jedną komodę/ jeden kibel/ żadnych półek.

Dwa materace. Gołe ściany i podłogi. Żadnych tajnych schowków. Okienny klimatyzator – brudne szybki i zardzewiałe przewody.

Zero kabla. Zero wtyczki. Zero zaworu wlotowego. Jasne: schowek na towar.

Pete podniósł pokrywę. Pete włożył rękę. Pete podziękował samemu Allahowi.

Hera – owinięta w folię – trzy wielkie paki.

32

(Las Vegas, 17 stycznia 1964)

Wałkowało go pięciu gliniarzy.

Wayne siedział. Oni stali. Wypełnili cały pokój przesłuchań.

Buddy Fritsch i Bob Gilstrap. Człowiek od szeryfa. Fedzio o nazwisku Dwight Holly. Gliniarz z Dallas o nazwisku Arthur V. Brown.

Ogrzewanie nawaliło. Przy każdym oddechu unosiła się para. Zaszło nią lustro fenickie. On siedział. Oni stali. Jego prawnik stał pod głośnikiem. Jego prawnik został za drzwiami.

Zwinęli go z domu – o 2.00 w nocy – wciąż siedział tam z Lynette. Fritsch zadzwonił do Wayne’a Seniora. Wayne Senior przyjechał do aresztu.

Wayne go olał. Wayne olał jego prawnika. Dwight Holly znał Wayne’a Seniora. Dwight Holly nawiązywał do tej znajomości w taki sposób:

Nie jesteś taki jak twój tato. Zabiłeś trzech ludzi. Spieprzyłeś mi śledztwo.

Przycisnęli go dwukrotnie. Powiedział prawdę. Potem zmądrzał i zadzwonił do Pete’a.

Pete już wiedział. Pete znał prawnika. Jego nazwisko: Ward Littell.

Wayne spotkał się z Littellem. Littell go przepytął: „Nagrywali cię? Stenografowali to, co mówisz?”.

Wayne powiedział: „Nie”. Littell udzielił mu porad. Littell powiedział, żeby uważał na ich następny ruch. Littell powiedział, że sprzeciwi się nagrywaniu i stenografowaniu.

Sprzeciw podziałał. Pokój był czysty – zero magnetofonu/ zero stenografistki.

Wayne zakaszłał. Z jego ust dobieła się para.

Fritsch powiedział:

– Przeziębiles się? Pewnie przemokłeś tamtej nocy.

Holly powiedział:

– Włączył się po dworze, żeby zabić trzech nieuzbrojonych mężczyzn.

Fritsch powiedział:

– Daj spokój, przecież się przyznał.
Człowiek szeryfa zakaszłał.
– *Ja też się kurewsko przeziębilem. Nie on jeden chodził po deszczu.*
Gilstrap się uśmiechnął.
– Potwierdziliśmy na razie przynajmniej część twojej historii. Wiemy, że nie zabiłeś Lynette.
Wayne zakaszłał.
– Ciekawe, skąd ta pewność.
– Chłopcze, nie chciałbyś wiedzieć.
Holly rzekł:
– Powiedz mu. Chcę zobaczyć jego reakcję.
Fritsch powiedział:
– Koroner wykrył otarcia i nasienie. Facet się spuścił. Grupa krwi: AB minus – bardzo rzadka. Sprawdziliśmy kartotekę więzienną Durfee’ego. Miał taką samą.
Holly się uśmiechnął.
– Zobacz, nawet nie mrugnął.
Brown powiedział:
– Twardziel.
Człowiek szeryfa rzekł:
– Nawet nie płakał, gdy go znaleźliśmy. Gapił się tylko na ciało.
Gilstrap:
– Dajcie spokój, był w szoku.
Fritsch oznajmił:
– Wierzimy, że to Durfee ją zabił.
Człowiek szeryfa zapalił cygaro.
– I wierzymy, że to Curtis i Otis cię na to naprowadzili.
Holly usiadł okrakiem na krześle.
– Ktoś cię napuścił na Leroya Williamsa i braci Swaseyów.
Wayne zakaszłał.
– Mówiłem wam. Mam informatora.
– Którego nazwiska nie chcesz nam ujawnić.
– Zgadza się.
– A twoim zamiarem było znaleźć i aresztować Wendella Durfee’ego.
– Zgadza się.
Brown powiedział:

– Chciałeś go aresztować, by zrehabilitować się za to, że nie zrobiłeś tego w Dallas.

– Zgadza się.

– I wiesz, synu, to mi właśnie nie daje spokoju. Skąd Durfee mógł wiedzieć, że właśnie ty byłeś policjantem wysłanym do Dallas, by przeprowadzić jego ekstradycję.

Wayne zakaszłał:

– Mówiłem już wcześniej. Zatrzymywałem go parę razy, kiedy jeszcze pracowałem jako patrolowiec. Znał moją twarz i moje nazwisko. Widział mnie podczas naszej strzelaniny w Dallas.

Fritsch powiedział:

– Ja to kupuję.

Gilstrap:

– Ja też.

Brown rzekł:

– A ja nie. Uważam, że coś między wami zaszło, między tobą a Durfeem. Może w Dallas, a może tu, zanim cię wysłano do Teksasu. Nie rozumiem, czemu miałyby przyjeżdżać aż tutaj, przypuszczalnie tylko po to, by zabić i poużywać sobie z twoją żoną, gdyby nie miał jakiegoś osobistego motywu.

Ten Teks był dobry. Teks był lepszy niż człowiek szeryfa. Pete pogonił grających w kości. Gliniarze pogonili jego. Zwinęli Pete'a. Założyli mu kartotekę. Człowiek szeryfa wiedział o tym wszystko.

Brown powiedział:

– Twoje sprawy tutaj mnie nie obchodzą. Miałbym to wszystko gdzieś, gdyby nie niedawne zaginięcie policjanta z Dallas. Chodzi mi o Maynarda Moore'a, z którym podobno nie najlepiej ci się układało.

Wayne wzruszył ramionami.

– Moore był brudny. Jeśli go pan znał, to wie pan, że to prawda. Nie lubiłem go, ale byliśmy zmuszeni pracować razem tylko przez kilka dni.

– Powiedziałeś „był”. Uważasz zatem, że Moore nie żyje?

– Zgadza się. Zabił go Durfee albo jeden z tych jego pieprzonych koleśków z Klanu.

Gilstrap powiedział:

– Rozesłaliśmy za Durfeem dwa listy gończe. Daleko nie ucieknie.

Brown się kręcił.

– Twierdzisz, że Moore należał do Ku Klux Klanu?

– Zgadza się.

– Nie podoba mi się wydźwięk tego oskarżenia. Zniesławiasz pamięć kolegi policjanta.

Człowiek szeryfa ryknął śmiechem.

– A to dobre. Zabija trzech Murzynów, a teraz czepia się KKK.

Brown zakaszłał.

– Wydział Policji Dallas od zawsze był przeciwny Klanowi.

– Bzdura. Wszyscy jesteście po jednych pieniądzach.

– Synu, moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Nie mów do mnie „synu”, ty wsiowy pedale.

Brown kopnął krzesło. Fritsch je podniósł.

Gilstrap powiedział:

– Dajcie spokój. Taka rozmowa donikąd nas nie prowadzi.

Holly bujał się na krześle.

– Leroy Williams i bracia Swaseyowie handlowali heroiną.

Wayne powiedział:

– Wiem.

– Skąd?

– Widziałem, jak Curtis porcjował towar.

– Byli obserwowani. Handlowali w Henderson i Boulder City, a planowali rozszerzyć swój obszar działania o zachodnie Vegas.

Wayne zakaszłał.

– Nie przetrwaliby nawet dwóch dni. Mafia by ich sprzątnęła.

Fritsch przewrócił oczami.

– Najpierw Klan, a teraz mafia.

Gilstrap przewrócił oczami.

– W Vegas jest tyle mafii, ile Klanu w Dallas.

Wayne przewrócił oczami.

– No, Buddy, kto ci kupił wyścigową motorówkę? No, Bob, kto ci dał drugi kredyt pod hipotekę?

Fritsch kopnął w ścianę. Gilstrap kopnął krzesło. Brown je podniósł.

Holly rzekł:

– Nie zyskujesz tu sobie przyjaciół.

Wayne rzekł:

– Nawet nie próbuję.

Fritsch rzekł:

– Masz nasze współczucie.

Gilstrap rzekł:

– I nasz układ zdarzeń.

Człowiek szeryfa zakaszłał.

– Usiłujesz aresztować zbiegłego zabójcę policjanta. Dowiadujesz się, że twoja żona może być w niebezpieczeństwie, więc gnasz do domu i znajdujesz ją martwą. Twoje poczynania od tej chwili wydają się najzupełniej zrozumiałe.

Brown podciągnął spodnie.

– To twoje wcześniejsze związki z Durfeem są dla mnie *niezrozumiałe*.

Holly rzekł:

– Zgadzam się.

Fritsch rzekł:

– Spójrz na to z naszej strony. Próbujemy znaleźć coś, co można by wcisnąć prokuraturze okręgowej. Nie chcemy patrzeć, jak policjant z WPLV idzie na dno za trzy morderstwa.

Gilstrap powiedział:

– Pomówmy otwarcie. Sprawa ma się inaczej, niż gdybyś zabił trzech białych.

Brown strzelił palcami.

– Ty zabiłeś Maynarda Moore’a?

– Walcie się.

– To Wendell Durfee brał udział w tym zabójstwie, co? I to stąd ta cała afera?

– Walcie się.

– Bo Wendell Durfee był świadkiem zabójstwa?

– Walcie się.

Holly przysunął krzesło. Holly walnął w krzesło Wayne’a.

– No, porozmawiajmy o tym, co zastałeś w tamtej budzie.

Wayne wzruszył ramionami.

– Widziałem tylko pakunki z herą i wepchnąłem je Curtisowi Swaseyowi do gęby. Nie widziałem żadnych innych narkotyków ani związanych z narkotykami akcesoriów.

Holly się uśmiechnął.

– Bezbłędnie odgadłeś intencje, jakie kryły się za moim pytaniem.

Wayne zakaszłał.

– Jesteś agentem do spraw narkotyków. Chcesz wiedzieć, czy nie ukradłem większej ilości heroiny, jaką twoim zdaniem posiadały ofiary. Nie obchodzą cię te morderstwa ani moja żona.

Holly pokręcił głową.

– To nie do końca prawda. Wiesz, że przyjaźnię się z twoim ojcem. Oczywiście, że obchodzi mnie Lyn...

– Mój ojciec gardził Lynette. Jego tak naprawdę nikt nie obchodzi. Szanuje tylko takich twardzieli jak ty. Jestem pewien, że z czułością wspomina wasze wspólne, dobre czasy w Indianie z panem Hooverem.

Holly się pochylił.

– Nie szukaj we mnie wroga. Bo zaraz możesz go znaleźć.

Wayne wstał:

– Walcie się, ty i mój ojciec. Gdybym chciał jego pomocy, już by mnie tu nie było.

Holly wstał.

– Myślę, że dostałem już to, czego potrzebuję.

Gilstrap pokręcił głową.

– Zgrywasz się na kamikadze, chłopcze. I spuszczasz bomby na własnych, cholera, przyjaciół.

Fritsch pokręcił głową.

– Mnie już możesz skreślić z tej listy. Robimy, co w naszej mocy, żeby Vegas pozostało czyste, podczas gdy ty sobie idziesz i zabijasz trzech czarnuchów, co bez wątpienia ściągnie tu cały ten małpi cyrk obrońców praw obywatelskich.

Wayne się roześmiał.

– *Vegas? Czyste?*

Gliniarze wyszli. Wayne zmierzył sobie tętno. Ponad 180 uderzeń na minutę.

33

(Las Vegas, 17 stycznia 1964)

W pokoju było zimno. Nawaliło ogrzewanie. W areszcie można było zamarznąć.

Littell przeglądał notatki.

Wayne Junior był dobry. Zbił z tropu Browna. Odparł jego atak. Pete streścił mu sprawę już wcześniej. Pete rzucił bombę: Wayne Junior wie o Dallas.

Pete lubił Wayne'a Juniora. Pete opłakiwał Lynette. Pete się obwiniął. I nie powiedział dlaczego. Wspomnił tylko coś o syfie w Dallas.

Littell przeglądał notatki. Domysł: to Wayne Junior zabił Maynarda Moore'a. Szczegóły kłóciły się ze sobą. Ale Wendell Durfee gdzieś tu pasował.

Wayne Junior miał akta komisji. Littell ich potrzebował. Littell mógł potrzebować Wayne'a Seniora. Wayne Senior dzwonił do niego. Wayne Senior był miły. Powiedział: „Chcę pomóc synowi”. Powiedział: „Chcę, by *sam* mnie o to poprosił”.

Littell poinformował Wayne'a Juniora. Wayne Junior powiedział: „Nie”. Littell przekazał to Wayne'owi Seniorowi. Senior się rozgniewał. To dobrze. Littell mógł potrzebować Wayne'a Seniora. To „nie” rozłożyło go na łopatki.

Wayne Junior był dobry. Wayne Junior wkurzył Dwighta Holly'ego. Littell dzwonił do Lyle'a Holly'ego. Rozmawiali zeszłego wieczora. Omówili spotkanie z Bayardem Rustinem. Lyle powiedział, że Dwight to wariat. Te zabójstwa wkurwiły go do granic wytrzymałości. Wayne Junior schrzanił mu śledztwo.

Podpuścił Lyle'a. Powiedział: „Jestem adwokatem Juniora”.

Lyle się roześmiał. Lyle powiedział: „Dwight nigdy cię nie lubił”.

Littell przeglądał notatki. W pokoju było zimno. Z ust dobywała się para. Wszedł Bob Gilstrap. A za nim Dwight Holly. Usiedli i przechylili się z krzesłami do tyłu.

Holly się przeciągnął. Marynarka mu się rozchyliła. Miał przy sobie oksydowaną na niebiesko czterdziestkę piątkę.

– Postarzałeś się, Ward. Te blizny dodają ci lat.

– Ciężko na nie zapracowałem, Dwight.

– Niektórzy ludzie uczą się przez ciężką pracę. Mam nadzieję, że ty też się czegoś nauczyłeś.

Littell się uśmiechnął.

– To pomówmy o Wayne Tedrowie Juniorze.

Holly podrapał się po karku.

– To śmieć. Posiada całą arogancję swojego ojca, lecz ani odrobiny jego uroku.

Gilstrap zapalił papierosa.

– Senior i Junior łamią wszelkie konwencje. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć ani jednego, ani drugiego.

Holly splótł ręce.

– Coś się wydarzyło pomiędzy nim i Durfeem. Gdzie i kiedy, tego nie wiem.

Gilstrap pokiwał głową.

– Właśnie ta możliwość najbardziej mnie przeraża.

Nawiew załomotał. Powiało ciepłem. Holly odkaslnął flegmę.

– Ten gówniarz mi pyskuje i rozsiewa zarazki.

Gilstrap stwierdził:

– Przeżyjesz.

Holly powiedział:

– Skończmy już z tym pieprzeniem. Jestem tu jedyną osobą, która nie chce tego wyciszyć.

– To nie twoja instytucja będzie musiała za to beknąć.

– Cholera, ja *sam* będę musiał beknąć.

W pokoju zrobiło się cieplej. Holly zdjął marynarkę.

– Powiedz coś, Ward. Wyglądasz jak kot, który zjadł kanarka.

Littell otworzył teczkę. Wyjął „Las Vegas Sun”. Pokazał nagłówek: litery wielkie jak byki. I podtytuł – trochę mniejszą czcionką:

**POLICJANT ZATRZYMANY ZA POTRÓJNE ZABÓJSTWO –
OBROŃCY PRAW OBYWATELSKICH ZAPOWIADAJĄ PROTESTY.**

**NAACP: TE BEZECNE AKTY TERRORU TO PUNKT WYJŚCIA DO
POLEMIKI NA TEMAT RASIZMU W LAS VEGAS.**

Gilstrap powiedział:

– O, cholera.

Holly się zaśmiał:

– Wielkie słowa i kolorowe brednie. Wystarczy, że dorwą się do słownika, a już im się zdaje, że rządzą całym światem.

Littell postukał w gazetę.

– Nie widzę tu twojego nazwiska, Dwight. To dobrze czy źle?

Holly wstał.

– Rozumiem już, do czego to zmierza, i jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, to pójdę do prokuratora federalnego. Naruszenie praw obywatelskich i utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Paskudnie będą potem wyglądać, ale wy będziecie wyglądać jeszcze gorzej, a ten gówniarz pójdzie siedzieć.

Nawiew załomotał. Przestało wiać ciepłem. Holly wyszedł.

Gilstrap powiedział:

– Ten czubek mówił poważnie.

– Nie wydaje mi się. Przeszłość za bardzo wiąże go z Wayne'em Seniozem.

– Dwight nie patrzy w przeszłość, Dwight patrzy w przyszłość. Wayne Senior może narobić hałasu i pójść do pana Hoovera, ale ten najprawdopodobniej go oleje, bo jak donoszą moje źródła, ma słabość do Dwighta.

Littell złożył gazetę. Littell rozprostował kant. Zobaczył poważne wiadomości i zdjęcia Associated Press: policyjne psy/ wzburzeni Murzyni/ gaz łzawiący.

Gilstrap westchnął.

– No dobra, zastanówmy się, co dalej.

– Czy prokuratura okręgowa chce wnieść oskarżenie?

– Nikt tego nie chce. Obawiamy się tylko, że to wszystko za bardzo się już rozniosło.

– I?

– I istnieją dwa poglądy na tę sprawę. Należy ją wyciszyć i zatkać uszy na cały ten komunistyczny bełkot albo przekazać akta prokuraturze i zebrać ciągi.

Littell zabębnił po stole.

– Pańskiemu wydziałowi może się wtedy naprawdę mocno oberwać.

Gilstrap wypuścił kółka dymu.

– Drażni się pan ze mną, panie Littell. Krąży pan wokół tematu, nie zdradzając, o co tak naprawdę panu chodzi.

Littell postukał w gazetę.

– Niech pan mi powie, że Dallas pana nie przeraża. Niech pan mi powie, że Junior nie spieprzył tam zadania i nie dał Durfee’emu motywu, by ten chciał go zabić. Niech pan mi powie, że to nie wyjdzie w sądzie. Niech pan mi powie, że jest pan przekonany, iż Junior nie zabił Maynarda Moore’a. Niech pan mi powie, że nie wyznaczycie ceny za głowę Durfee’ego i nie zapłaciliście Juniorowi sześciu tysięcy dolarów, żeby go zabił. Niech pan mi powie, że chce pan, by to wszystko wyszło na jaw, i niech pan mnie przekona, że Junior nie ujawni tego choćby tylko po to, żeby zmarnować sobie życie.

Gilstrap ścisnął popielniczkę.

– To niech *pan* mi powie, że Wydział Policji Dallas zwyczajnie się od nas odczepi.

– To niech pan mi powie, że Junior nie był dość bystry, by dobrze ukryć ciało. Niech pan mi powie, że pierwszy lepszy gliniarz, który zobaczy Durfee’ego, nie zabije go i nie wyeliminuje jedyne go potencjalnego świadka Wydziału Policji Dallas.

Gilstrap walnął w stół.

– No to słucham, co mamy *robić*.

Littell postukał w gazetę.

– Przeczytałem te relacje. Nie zawierają konkretnego przebiegu zdarzeń. Mowa jest tylko o czterech zabójstwach w ciągu jednego wieczoru.

– Zgadza się.

– Materiał dowodowy można zaprezentować tak, żeby wskazywał na działanie w obronie własnej. Może w ten sposób uniknie się też demonstracji.

Gilstrap westchnął.

– Nie chcę być dłużnikiem Wayne’a Seniora.

Littell powiedział:

– Nie będzie pan.

Gilstrap wyciągnął rękę.

Obmyślił plan. Zadzwoił do Pete’a i mu opowiedział. Pete się zgodził. Poprosił tylko o jedną przysługę:

Chcę zobaczyć Lynette. To *moja* wina. Spieprzyłem sprawę w Dallas.

Buddy Fritsch miał fotki z kostnicy. Littell je oglądał. Durfee zgwałcił Lynette. Durfee ją wypatroszył. Durfee ją ogolił.

Widział zdjęcia. Przyglądał się im. Wprawiał się w przerażenie. Dopasowywał twarz Jane do ciała Lynette.

Wysłał Pete'owi przepustkę do kostnicy. Pete powiedział, że rozmawiał z Juniorem. Junior obiecał mu akta.

Littell zadzwonił na wschód. Littell pociągnął za sznurki. Littell dryndnął do Lyle'a Holly'ego. Powiedział, że zabójstwa mogą zaszkodzić Dwightowi – więc słuchaj, jaki mam plan:

Zadzwoń do Bayarda Rustina. Daj mu radę: nie organizuj protestów w związku z tą sprawą, a zamiast tego zadzwoń do Warda Littella.

Rustin zadzwonił. Littell skłamał. Littell podsunął mu uzasadnienie. Pewien Murzyn zabił białą kobietę. Wynikły z tego jeszcze trzy zabójstwa. Policjant zabił w obronie własnej. Wszystko to jest udokumentowane.

Rustin *rozumiał* – nie wzbudzajmy nienawiści – nie dręczmy zropaczonego białego policjanta. Vegas to nie Birmingham. Czarne ćpuny to nie cztery dziewczynki w kościele.

Rustin miał łeb. Rustin był wdzięczny. Littell obiecał więcej pieniędzy. Littell wyniósł pod niebiosa doktora Kinga.

Spotkał się z Rustinem dopiero raz. A już oczarował go i zwabił w pułapkę. Od razu go *wykorzystał*.

Ja naprawdę *wierzę*. Jestem wielkim dłużnikiem. Postaram się pomóc bardziej, niż będę zmuszony zaszkodzić.

34

(Las Vegas, 19 stycznia 1964)

Widział Lynette.

Widział rozplątany brzuch. Widział odarte z ciała żebra. Widział miejsce, gdzie nóż zahaczył o kość. Wayne Junior go nie winił. Wayne Junior obwiniął się sam.

Pete stał przy autostradzie. Wdychał spaliny. I miał nową brykę – zarypiastego nowego lincolna.

Podjechał radiowóz. Wysiadł gliniarz. Przekazał Pete'owi trzy sploty. Trzy kalibry: .38/.45/.357 magnum.

Sploty-podrzutki. Ometkowane i podpisane inicjałami: L.W./O.S./C.S.

Gliniarz znał plan. Mieli dwa miejsca przestępstwa. Mieli krew o odpowiedniej grupie – ze starych dobrych zapasów Czerwonego Krzyża.

Gliniarz odjechał. Pete pojechał do Henderson. Pete wstąpił do sklepu z bronią. Pete kupił amunicję.

Załadował sploty. Przykręcił tłumiki. Wrócił do Vegas.

Wayne Junior był na wolności. Widział się z nim wczoraj. Prokuratura okręgowa olała jego sprawę. Spotkali się. Pogadali. Wpadli do banku ze skrytką depozytową. Wayne przekazał mu akta komisji i dorzucił jeszcze parę danych.

Spurgeon ciupciał małolaty. Peavy kantował fiskusa. Hinton zaciukał murzyńską dziwkę. Trzej członkowie komisji – przeważająca liczba głosów – dobra wiadomość dla hrabiego Draka.

Spurgeon wydawał się łatwy. Hinton wydawał się trudny, ale do przejścia. Peavy wywoływał żalną tęsknotę. Taxi Monarcha jako Taxi Tygrys – warto nad tym pomyśleć.

Wayne wyglądał na wykończonego. Oczy miał rozbiegane. Bombardował spojrzeniem bambusów. Jedli lunch i gadali.

O niczym – walka Clay kontra Liston. Pete twierdził, że Liston wygra w dwóch rundach. Wayne, że najwyżej w trzech. Jakiś asfalt obsługiwał ich

stolik. Wayne, kurwa, zeszywniał.

Pete pojechał na złomowisko. Gliniarz się tam z nim spotkał. Złomowisko było zabezpieczone. Słońce stało wysoko. Wiał lekki wiatr.

Pogadali. Przeszli przez biało-czerwoną taśmę. Samochód Wayne'a znikł. Buick został pocięty na kawałki.

Gliniarz taśmą zaznaczył kontur ciała – biała taśma na szarym betonie. Pete wymierzył z czterdziestki piątki.

Wystrzelił sześć razy. Celował w drzewo. Wydłubał pociski. Oszacował trajektorie. Upuścił pociski w odpowiednich miejscach. Obwiodł je kredą. Gliniarz zrobił zdjęcia.

Pete spryskał wewnątrz konturu oznaczającego ułożenie ciała. Patrzył na zasychającą krew. Gliniarz zrobił zdjęcia.

Pojechali do tamtej meliny. Przeskoczyli przez taśmę. Gliniarz zaznaczył dwa kontury ciała. Gliniarz spryskał wewnątrz obrysów krwią.

Pete wymierzył z trzydziestki ósemki. Pete strzelił w ścianę i wydłubał pociski. Gliniarz włożył je do torebki. Gliniarz opisał je dla potrzeb laboratorium. Gliniarz zrobił zdjęcia.

Pojechali do kostnicy miejskiej. Gliniarz posmarował tamtejszemu cieciewi. Cieciew miał trzy trupy. Rzeczony trupy spoczywały na trzech osobnych stołach.

Leroy nie miał głowy. Leroy miał kolorową luźną koszulę. Gliniarz wyciągnął pałkę. Gliniarz pogruchotał Leroyowi dłoń. Gliniarz wyłamał mu palec.

Pete zdjął odciski. Pete naniósł je na magnum. Pete umieścił ślady na chwycie.

Curtis był sztywny. Otis był sztywny. Obaj mieli na sobie koszulki Dodgersów i prześcieradła z kostnicy.

Pete ścisnął im dłonie. Pete pogruchotał palec. Pete wyłamał paliczki paznokciowe. Gliniarz naniósł odciski – na lufach – na czterdziestce piątce i trzydziestce ósemce.

Trupy cuchnęły różem do policzków i trocinami. Pete zakaszłał i kichnął.

Ward tak to ustalił. Spotkamy się w Wilt's Diner – to niedaleko Tamy Davisa.

Zjawili się wcześniej. Zajęli jeden z boksów. Rozsiedli się przy stoliku i pili kawę. Ward wyciągnął torebkę. Położył na samym środku blatu – *très*

niedyskretnie.

Zjawił się Dwight Holly. Punktualnie – o 14.00 co do minuty.

Zaparkował wóz. Zajrzał przez szybę. Zobaczył ich i wszedł prosto do środka.

Pete zrobił mu miejsce. Holly usiadł. Holly wlepił wzrok w torebkę.

– Co to?

Pete powiedział:

– Boże Narodzenie.

Holly pokazał mu środkowy palec. Holly rozwalił się na siedzeniu. Przeciągnął się. Rozłożył szeroko łokcie. Szturchnął potężnie Pete'a. Zakaszłał.

– Ten pieprzony gówniarz Tedrow mnie zaraził.

Ward się uśmiechnął.

– Ale dzięki, że przyjechałeś.

Holly pociągnął za spinki do mankietów.

– A ten co za drab? Dziki człowiek z Borneo?

Pete się roześmiał. Pete poklepał się po kolanach.

Ward wziął łyk kawy.

– Rozmawiałeś z prokuratorem fede...

– Zadzwoił do mnie. Powiedział, że pan Hoover kazał mu nie wszczynać postępowania w sprawie tego szczeniaka. Myślę, że to Wayne Senior wtrącił swoje trzy grosze, i mam nadzieję, że nie ściągnęliście mnie tutaj, żeby się chełpić.

Ward postukał w torebkę.

– Nasze gratulacje.

– Z jakiej okazji? Tego śledztwa, które spieprzył mi twój klient?

– Pewnie rozmawiałeś z prokuratorem *wczoraj*.

Holly pociągnął za swój pierścień ze szkoły prawniczej.

– Wkurzasz mnie, Ward. Przypominasz mi, dlaczego nigdy cię nie lubiłem.

Ward zamieszał kawę.

– Jesteś nowym śledczym głównym na Nevadę Południową. Pan Hoover powiedział mi to dziś rano.

Holly ściągnął pierścień. Pierścień spadł. Upadł na podłogę. Potoczył się.

Ward się uśmiechnął.

– Chcemy zyskać przyjaciół w Nevadzie.

Pete się uśmiechnął.

– Przymknąłeś Leroya Williamsa i braci Swasey. Wyszli za kaucją i wtedy Wayne ich zabił.

Ward postukał w torebkę.

– W raportach zmieniono daty. Poczytasz, to się dowiesz.

Pete postukał w torebkę.

– A to jest białe Boże Narodzenie.

Holly chwycił torebkę. Holly chwycił nóż do steków. Holly wbił go w jedną paczkę. Holly zanurzył palec.

Polizał. Spróbował. Poczował heroinę.

– Przekonaliście mnie. Ale z tym szczeniakiem jeszcze nie skończyłem i gównu mnie obchodzi, kto stoi po jego stronie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.01.1964. Artykuł w „Las Vegas Sun”.

NARKOTYKI PRZYCZYNA ZABÓJSTW MURZYNÓW

Podczas konferencji prasowej rzecznicy Wydziału Policji Las Vegas oraz Prokuratury Stanowej Okręgu Nevada Południowa oświadczyli, że Leroy Williams, a także Otis i Curtis Swaseyowie, trzech ciemnoskórzy mężczyźni zabici w nocy 15 stycznia, niedługo wcześniej zostali aresztowani przez agentów Federalnego Biura do spraw Narkotyków, zaś w chwili śmierci przebywali na zwolnieniu za kaucją.

„Wszyscy trzej od dawna pozostawali pod naszą obserwacją”, powiedział agent Dwight C. Holly. „Sprzedawali ogromne ilości heroiny w pobliskich miastach i przygotowywali się do rozprowadzania jej także w Las Vegas. Zostali aresztowani we wczesnych godzinach rannych 9 stycznia, zaś w miejscu ich pobytu w zachodnim Las Vegas znaleziono trzy kilogramy heroiny. Williams i bracia Swaseyowie wyszli na wolność za poręczeniem majątkowym 13 stycznia i powrócili do miejsca swego zamieszkania”.

Kapitan Robert Gilstrap z WPLV przedstawił wydarzenia, jakie miały miejsce w nocy 15 stycznia. „Dziennikarze prasowi i komentatorzy telewizyjni założyli, że wszyscy trzej mężczyźni, którzy zginęli tamtej nocy, zostali zabici przez sierżanta WPLV, Wayne’a Tedrowa Juniora, pragnącego pomścić śmierć żony Lynette, zgwałconej i zamordowanej prawdopodobnie przez Murzyna o nazwisku Wendell Durfee. Tymczasem to nieprawda.

Durfee był blisko związany z Williamsem i braćmi Swaseyami i to właśnie bracia zapłacili mu, by zabił panią Tedrow. Do tej pory nie został ujawniony fakt, że śmierć pani Tedrow nastąpiła *po* zgonach Williamsa i braci Swasey oraz że sierżant Tedrow, w ramach operacji połączonych sił WPLV i Biura do spraw Narkotyków, miał Williamsa i braci Swaseyów pod stałą obserwacją, starając się nie dopuścić do ich ucieczki po wyjściu za kaucją”.

„Późnym wieczorem 15 stycznia sierżant Tedrow usłyszał dochodzące z miejsca ich zamieszkania odgłosy awantury”, dodał agent Holly. „Postanowił sprawdzić, co się dzieje, i został ostrzelany przez braci Swaseyów. Strzały nie były przez nikogo słyszane, gdyż obaj mężczyźni strzelali z broni wyposażonej w tłumiki. Sierżant Tedrow zdołał unieszkodliwić obu mężczyzn, zabijając ich ze znalezionej na miejscu broni. Tymczasem pojawił się Leroy Williams. Sierżant Tedrow ścigał go aż do złomowiska przy drodze do Tonopah, gdzie doszło do wymiany ognia, w wyniku czego Williams zmarł”.

Agent Holly i kapitan Gilstrap pokazali zdjęcia dowodowe wykonane w obu miejscach, gdzie doszło do strzelanin. Randall J. Merrins z Prokuratury Federalnej powiedział następnie, że krążyły pogłoski, iż sierżant Tedrow przebywał w areszcie, podczas gdy toczyło się przeciwko niemu postępowanie dowodowe zmierzające do przedstawienia mu zarzutu zabójstwa.

„Nic bardziej błędnego”, sprostował Merrins. „Sierżant został zatrzymany w areszcie dla jego bezpieczeństwa. Obawialiśmy się kroków odwetowych ze strony innych, nieznanych członków narkotykowego gangu Williamsa i Swaseyów”.

Sierżant Tedrow, lat 29, nie udzielił komentarza i pozostawał nieosiągalny. Przypuszczalny zabójca pani Tedrow, Wendell Durfee, został zidentyfikowany na podstawie odcisków palców i innych dowodów znalezionych w domu państwa Tedrowów. Rozesłano już za nim ogólnokrajowy list gończy. Durfee jest również poszukiwany przez władze Teksasu w związku ze zniknięciem w 1963 roku funkcjonariusza policji z Dallas Maynarda D. Moore’a.

Długotrwała obserwacja braci Swaseyów i Leroya Williamsa, prowadzona przez stróżów prawa pod dowództwem agenta Holly’ego, zyskała pochwałę zastępcy prokuratora federalnego Merrinsa, który oświadczył, że Holly, lat 47, wkrótce obejmie stanowisko głównego śledczego Prokuratury Federalnej

w okręgu Nevada Południowa. Z kolei kapitan Gilstrap ogłosił, że sierżant Tedrow został wyróżniony najwyższym odznaczeniem WPLV, Medalem za Odwagę, za „wyjątkową waleczność i męstwo podczas obserwacji, a następnie śmiertelnej konfrontacji z trzema uzbrojonymi i niebezpiecznymi handlarzami narkotyków”.

Pani Tedrow pozostawiła oprócz męża siostrę i rodziców, państwa Sproulów z Little Rock w Arkansas. Jej ciało zostanie przewiezione do Little Rock, gdzie odbędzie się pogrzeb.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.01.1964. Artykuł z „Las Vegas Sun”.

WIELKA ŁAWA PRZYSIĘGLYCH OCZYSZCZA Z ZARZUTÓW POLICJANTA

Wielka ława przysięgłych okręgu Clark wydała dziś oświadczenie, że funkcjonariuszowi Wydziału Policji Las Vegas, sierżantowi Wayne’owi Tedrowowi Jr., nie zostaną postawione zarzuty w związku ze śmiercią trzech kolorowych handlarzy narkotyków.

Wielka ława przysięgłych przez sześć godzin wysłuchiwała zeznań pracowników WPLV, Wydziału Szeryfa Okręgu Clark i Federalnego Biura do spraw Narkotyków. Pracownicy wszystkich tych instytucji jednogłośnie stwierdzili, że działania sierżanta Tedrowa były uzasadnione i usprawiedliwione. Przewodniczący ławy przysięgłych, D.W. Kaltenborn, oznajmił: „Uważamy, że sierżant Tedrow działał z ogromną determinacją i w zgodzie z wszelkimi przepisami prawnymi stanu Nevada”.

Rzecznik Wydziału Policji Las Vegas, obecny podczas posiedzenia wielkiej ławy przysięgłych, oświadczył, że dziś rano sierżant Tedrow zrezygnował z pracy w WPLV. Sierżant Tedrow nie udzielił komentarza w tej sprawie, jako że przez cały czas pozostaje nieuchwytny.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.01.1964. Artykuł z „Las Vegas Sun”.

PRZYWÓDCY MURZYŃSCY MÓWIĄ: PROTESTÓW NIE BĘDZIE

Podczas zorganizowanej naprędce konferencji prasowej w Waszyngtonie rzecznik Narodowego Zjednoczenia na rzecz Rozwoju Ludności Kolorowej

(NAACP) oświadczył, że organizacja ta wraz z innymi ugrupowaniami stającymi w obronie praw obywatelskich nie zamierza protestować w sprawie zabójstwa trzech Murzynów przez białego policjanta z Las Vegas, do którego doszło 15 stycznia br.

Lawton J. Spofford powiedział zgromadzonym reporterom: „Nasza decyzja nie bazuje na wydanym niedawno oświadczeniu wielkiej ławy przysięgłych okręgu Clark, które uwolniło Wayne’a Tedrowa Jr. od odpowiedzialności za śmierć Leroya Williama oraz Curtisa i Otisa Swaseyów. Organ ten jest marionetką w rękach politycznego establishmentu okręgu Clark i jako taki nie stanowi dla nas żadnego autorytetu. Decyzję podjęliśmy w oparciu o informacje, jakie dotarły do nas z zaprzyjaźnionego anonimowego źródła, które przekazało nam, że sierżant Tedrow, działając pod wpływem ogromnego osobistego stresu, postąpił może nieco nierozważnie, lecz nie było w jego zachowaniu premedytacji, która mogłaby świadczyć o pobudkach rasowych”.

NAACP, wraz z Kongresem Równości Rasowej (CORE) i Konferencją Chrześcijańskich Przywódców Południa (SCLC), oznajmiło wcześniej swój zamiar zorganizowania w Las Vegas protestów, których celem miałyby być „rzucenie światła na miasto, gdzie panoszy się segregacja, a obywatele murzyńscy żyją w ubolewaniu godnych warunkach”. Te trzy zabójstwa, jak mówił Spofford, „miały się dla nas stać punktem wyjścia do żądania zadośćuczynienia i pełnego wyjaśnienia sprawy”.

Inni przywódcy murzyńscy obecni na konferencji powiedzieli, że nie wykluczają zorganizowania demonstracji poparcia dla praw obywatelskich w Las Vegas w przyszłości. „Nie ma dymu bez ognia”, stwierdził rzecznik CORE Welton D. Holland. „Nie uważamy, by Las Vegas mogło zmienić swe oblicze bez jakiejś przyciągającej uwagę konfrontacji”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.02.1964. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Dzień dobry, panie Littell.

WJL: Dzień dobry, sir.

JEH: Ostatnio zawierał pan czarujące znajomości i na nowo odkrywał

starych przyjaciół. Myślę, że to dobry punkt wyjścia do naszej rozmowy.

WJL: „Czarujący” to słowo, którym mógłbym opisać pana Rustina, sir. A „starym przyjacielem” z pewnością nigdy nie nazwałbym Dwighta Holly’ego.

JEH: Mogłem się spodziewać podobnej odpowiedzi. I wątpię, by Lyle Holly mógł zostać pańskim długoletnim kolegą.

WJL: Mamy znakomitego wspólnego przyjaciela w pańskiej osobie, sir.

JEH: Jest pan dziś rano w figlarnym nastroju.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: A czy pan Rustin skarżył się na moje wysiłki podejmowane przeciwko panu Kingowi i Konferencji?

WJL: Owszem, sir.

JEH: I stosownie pan nad tym ubolewał.

WJL: Powierzchnianie, sir, owszem.

JEH: Ja nie mam wątpliwości, że wypadł pan przekonująco.

WJL: Nawiązałem z panem Rustinem dobry kontakt, sir.

JEH: Jestem pewien, że go pan podtrzyma.

WJL: Mam taką nadzieję, sir.

JEH: Czy rozmawiał pan z nim ponownie?

WJL: Lyle Holly ułatwił mi drugą rozmowę. Wykorzystałem pana Rustina, by zapobiec pewnym zamieszkom w Las Vegas. Dotyczyło to jednego z moich klientów.

JEH: Znam szczegóły tej historii. Wrócimy do niej za chwilę.

WJL: Proszę bardzo, sir.

JEH: A czy nadal uważa pan, że niemożliwe jest nagranie Czarnego Księcia po raz drugi?

WJL: Niestety, sir.

JEH: Chętnie posłuchałbym, jak bardzo cierpi.

WJL: Ja też, sir.

JEH: Wątpię. Pan ma naturę podglądacza, nie sadysty, i chyba nigdy nie wyleczy się pan do końca ze swego dawnego zauroczenia Bobbym.

WJL: No cóż, sir.

JEH: Lyndon Johnson uważa, że trudno go do czegokolwiek przekonać. Wielu doradców twierdzi, że LBJ powinien umieścić go na jesiennej liście wyborczej, ale prezydent za bardzo nienawidzi Czarnego Chłopca, by temu ulec.

WJL: Rozumiem, jak się czuje, sir.

JEH: Tak, i nie pochwała pan tego w ten sobie tylko właściwy sposób.

WJL: Nie jestem aż tak skomplikowany, sir. Ani tak skłonny do kompromisu w swych emocjach.

JEH: Ależ pan rozkoszny, panie Littell. Nominuję to pańskie ostatnie stwierdzenie do nagrody za Najlepsze Kłamstwo roku 1964.

WJL: Czuję się zaszczycony, sir.

JEH: Bobby może ubiegać się o miejsce w Senacie po Kennecie Keatingu z okręgu Nowy Jork.

WJL: Jeśli się zdecyduje, wygra.

JEH: Tak. Utworzy koalicję pozbawionych złudzeń i moralnie upośledzonych i okaże się zwycięzcą.

WJL: Czy kontynuuje swą pracę w Departamencie Sprawiedliwości?

JEH: Bez większego entuzjazmu. Wciąż wydaje się w szoku. Pan Katzenbach i pan Clark wykonują większość pracy za niego. Myślę, że zrezygnuje w najbardziej stosownym czasie.

WJL: A czy nadzoruje pracę agentów Komisji Warrena?

JEH: Nie rozmawiałem z nim o śledztwie. Rzecz jasna, otrzymuje skróty raportów od wszystkich moich agentów terenowych.

WJL: Odpowiednio zredagowane, sir?

JEH: Figle się pana dzisiaj trzymają. Choć impertynencja może byłaby tu lepszym słowem.

WJL: Przepraszam, sir.

JEH: Nie ma za co. Bawi mnie ta rozmowa.

WJL: Rozumiem, sir.

JEH: Cóż, są one odpowiednio zredagowane, rzecz jasna. Bez tych wszelkich elementów, które mogłyby przeczyć tezie o Dallas, którą omówiliśmy już na samym początku.

WJL: Miło mi to usłyszeć.

JEH: Pańskim klientom też powinno być miło.

WJL: Oczywiście, sir.

JEH: I nie możemy ponownie wysłać pańskiej wtyczki. Jest pan pewien?

WJL: Niestety, sir.

JEH: Żal mi zmarnowanej szansy. Bardzo chciałbym usłyszeć prywatny pogląd na śmierć Króla Jacka.

WJL: Podejrzewam, że nie będzie dane nam go poznać, sir.

JEH: Lyndon Johnson wciąż dzieli się ze mną swoimi nader barwnymi przemyśleniami. Powiedział ostatnio, cytując: „Wszystko zaczęło się od tego żalostnego wypierdka mamuta, jakim jest Kuba. Może to robota tego lachociąga z brodą albo tych pieprzonych meneli-uchodźców”. Koniec cytatu.

WJL: Niezwykle kwiecista i przenikliwa analiza.

JEH: Pan Johnson znieubił wszystko, co kubańskie. Uchodźcy podzielili się na frakcje i rozproszyli jak pył na wietrze, co cieszy go niepomierne.

WJL: Podzielam tę radość, sir. Wiem, jak wielu ludzi dało się tej sprawie uwieść.

JEH: Tak. Gangsterzy i pewien francuski Kanadyjczyk o zabójczych skłonnościach.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Kuba pociąga gorące głowy i osoby kalekie moralnie. Chodzi o tamtejszą kuchnię i seks. O banany i kobiety, które odbywają stosunki z osłami.

WJL: Ja nie darzę tego miejsca wielką sympatią, sir.

JEH: A pan Johnson zaczął wielką sympatią darzyć Wietnam. Należałoby poinformować o tym pana Hughesa. Mogą tą drogą nadejść ciekawe kontrakty wojskowe.

WJL: Będzie zachwycony, gdy się tego dowie.

JEH: Powinien go pan powiadomić, że postaram się, by był pan na bieżąco z planami Departamentu Sprawiedliwości dotyczącymi Las Vegas.

WJL: Miło mi to słyszeć.

JEH: Każdy powinien dysponować informacjami, jakie mu są potrzebne do działania, panie Littell. Tak jak w przypadku naszych układów.

WJL: Rozumiem, sir. I nie podziękowałem jeszcze panu za pomoc w sprawie Tedrowa. Dwight Holly uparł się, by chłopcu zaszkodzić.

JEH: Zasłużył pan sobie na najwyższe uznanie. Bardzo sprytnie ominął pan Wayne'a Seniora.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Jak rozumiem, zaprosił pana na lunch.

WJL: Tak jest, sir. Nie ustaliliśmy jeszcze daty.

JEH: Uważa, że jest pan słaby. Zaś ja mu powiedziałem, że jest z pana śmiały, a niekiedy i bezwzględny człowiek, który nauczył się cenić powściągliwość.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Dwightem targają sprzeczne uczucia. Otrzymał robotę, jakiej pragnął, lecz jednocześnie znienawidził Wayne'a Juniora. Moje źródła w prokuraturze federalnej donoszą, że postanowił ominąć w jakiś sposób Seniora i w dłuższej perspektywie zaszkodzić Juniorowi.

WJL: Pomimo przyjaźni z Seniozem?

JEH: Lub może ze względu na nią. Z Dwightem nigdy nic nie wiadomo. Jest z niego niezły prowokator i łajdak, więc na wiele mu pozwalam.

WJL: Rozumiem, sir.

JEH: Podobnie jak na wiele pozwalam panu.

WJL: Pojąłem aluzję, sir.

JEH: Nie lubi pan Dwighta i nie lubi pan Wayne'a Seniora, a ja dam panu dodatkowy powód. Ich ojcowie należeli do tej samej komórki Klanu w Indianie. Muszę jednak dodać, że wówczas grupy te wydawały się bardziej dystygowane niż Klan obecnie grasujący na Południu.

WJL: Jestem pewien, że nigdy nie zlinczowali żadnego Murzyna.

JEH: Nie, choć jestem przekonany, że mieliby przy tym ogromną uciechę.

WJL: Zapewne, sir.

JEH: Wielu ludzi pozwalało sobie na tego rodzaju rozrywkę. Musi pan więc docenić ich powściągliwość.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Może pan porozmawiać o działalności Klanu w Indianie z Bayardem Rustinem. Chciałbym, by złożył pan kolejną darowiznę.

WJL: Nawiążę do tego tematu, sir. Jestem pewien, że Rustin przyzna, iż była to wielce dystygowana instytucja.

JEH: Naprawdę trzymają się dziś pana figle.

WJL: Mam nadzieję, że pana nie obraziłem, sir.

JEH: Skądże znowu. Ja zaś mam nadzieję, że nie obraziłem pana sprawą Juniora.

WJL: Tak?

JEH: Musiałem rzucić Dwightowi Holly'emu jakiś ochłap na pociechę. Chciał, by Juniora wyrzucono z WPLV, więc to załatwiłem.

WJL: Spodziewałem się, że to pan za tym stoi, sir. Choć gazety okazały się łaskawe. Napisały, że chłopak sam odszedł.

JEH: A czy zyskał pan sobie względy Juniora na tyle, by zdobyć jego akta? Przez wzgląd na pana Hughesa?

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Jestem też pewien, że Senior ucieszy się z wyrzucenia Juniora. Łączą ich dziwne stosunki.

WJL: Na pewno, sir.

JEH: Miłego dnia, panie Littell. Bardzo przyjemnie się z panem rozmawiało.

WJL: Miłego dnia, sir.

35

(Las Vegas, 7 lutego 1964)

Lincoln lśnił. Nowy lakier/ nowy chrom/ nowa skóra.

Ten wóz go jarał. Ten wóz go rozpraszał. Wciąż jednak widział Lynette. Rozpłatany brzuch i odarte z ciała żebra. Nóż Durfee'ego poharatał kość.

Pete jeździł. Pete testował gadżety. Zapalniczka działała. Ogrzewanie działało. Siedzenia odchyłały się do tyłu.

Vegas było w porządku. Chłodne powietrze bijące od gór i blask słońca. Dzień walki o głosy – jak na razie zdobył jeden.

Przycisnął Webba Spurgeona. Wyjaśnił mu brzmienie paragrafu o gwałcie na osobie nieletniej. Powiadomił o konsekwencjach. Spurgeon rozdziawił gębę. Spurgeon zaczął się płaszczyć. Spurgeon obiecał swój głos.

Jak na razie całkiem nieźle – jeden głos z głowy, jeszcze dwa do załatwienia.

Pete przejechał obok Monarchy. Pete się podrajcował. W oczach zaświeciły mu symbole dolara.

Taksówki przyjeżdżały. Taksówki odjeżdżały. Taksówki tankowały. Kierowcy łykali prochy. Kierowcy popijali lunch. Kierowcy nosili spluwy za pasem.

Taxi Monarcha. *Być może*: Taxi Tygrys – reaktywacja.

Źródło gotówki. Centrum malwersacji. Skorumpowani pracownicy. Monarcha jak Tygrys – warto nad tym pomyśleć.

Pete jeździł. Pete się błąkał. Pete pojechał do zachodniego LV. Pete sprawdził tamtą parcelę.

Z przyczepą: złuszczone farba. Spękana skorupa. Zwęglone deskowanie zewnętrzne.

Podszedł jakiś szczeniak. Pete go zachęcił. I szczeniak wyśpiewał.

Ta przyczepa śmierdziała. Coś tu jest nie tak. Jakaś padlina w środku. Tamten gość ją podpalił. Smród znikł. Smród się wypalił. Ale żadne gliny nie przyjechały. Żadni strażacy. Padlina *wciąż* tam jest, w środku.

Szczeniak się ulotnił. Pete obejrzał przyczepę. Zerwał się wiatr. Przyczepa zatrzeszczała. Płaty farby odłupały się i odleciały.

Pete dalej jeździł. Pete się błąkał. Pete pojechał na południe. Pete zjawił się przed domem Duane'a Hinton.

Zaparkował. Podszedł. Zapukał do drzwi. Wyciągnął zdjętą Wayne'a.

Tłusta dziwka, związana i zakneblowana. Ssie gumową kulkę.

Hinton otworzył drzwi. Pete podetknął mu zdjęcie pod sam nos.

Hinton się zachwiał. Pete złapał go za włosy. Pete podniósł kolano. Pete złamał mu nos.

Hinton padł. Kości trzasnęły. Chrupnęła chrząstka.

Pete zarządził:

Głosuj po naszymu. Nie tykaj dziwek. Nie krzywdź dziwek. Nie zabijaj dziwek – ALBO JA ZABIJĘ CIEBIE.

Hinton próbował coś powiedzieć. Hinton się zadławił. Hinton przegryzł sobie język.

36

(Little Rock, 8 lutego 1964)

Oddana żona. Nauczycielka. Kochająca córka.

Kaznodzieja ciągnął tak bez końca. Trumna stała gotowa. Cmentarz Lakeside: tanie pochówki, segregowane kwatery.

Sproulowie byli na czarno. Janice była na czarno. Wayne Senior był na granatowo. Sproulowie stali sami. Wayne stał sam. Przyglądał mu się tatko Sproul.

Żołnierzyk. Jankes. Ona miała siedemnaście lat. Zalecałeś się do niej. Ona zabiła twoje dziecko. Zmusiłeś ją do tego.

Życzliwa dusza. Święte dziecko. Dar od Boga.

Nabożeństwo było krótkie. Trumna była tania. Kwatera była niedroga. Tedrowowie sprowadzili ciało do domu. I na tym ich panowanie nad Lynette się skończyło.

Lynette gardziła religią. Lynette czciła gwiazdorów filmowych i Johna Kennedy'ego.

Szofer stał w pobliżu. Murzyn. Wysoki jak Wendell Durfee.

Ksiądz dorwał Wayne'a przed nabożeństwem. Ksiądz go pocieszał.

Wiem, jaką poniosłeś stratę. Wiem, jaki czujesz żal. *Rozumiem.*

Wayne powiedział: „Zabiję Wendella Durfee'ego”.

Wola Boska. Ironia losu. Zamordowana w kwiecie wieku.

Kwatera sąsiadowała z liceum Central High. Tam poznał Lynette. Żołnierze i wsioki z południa. Przerażone murzyńskie dzieciaki.

Szofer stał w pobliżu. Szofer piłował paznokcie. Szofer miał siatkę na włosach. Miał fryzurę Durfee'ego. Miał skórę Durfee'ego. Miał smukłą sylwetkę Durfee'ego.

Wayne przyglądał się mu. Wayne wyretuszował mu włosy. Wayne wyretuszował mu skórę. Wayne zrobił z niego Wendella D.

Ksiądz się modlił. Sproulowie płakali. Tedrowowie stali niewzruszeni. Szofer pielęgnował paznokcie.

Wayne mu się przyglądał.
Spalił mu twarz. Wybił zęby. Nakarmił go heroiną.

37

(Las Vegas, 9 lutego 1964)

Skarbiec w Desert Inn.

Pieniądze – kubelki z monetami i wypchane kosze. Zawieszona pod sufitem ruchoma kamera przemysłowa.

Gospodarz – Moe Dalitz.

Kasjerzy nieobecni. Kamera wyłączona. Pieniądze w stertach do pasa. Littell kichnął – zapach nie był miły – drażniąca woń metalu i farby drukarskiej.

Moe mówił:

– To wcale nie jest takie skomplikowane. Rachmistrze mają konszachty z facetami od kamer. Kamera nawala, przypadkowo albo z czyjąś pomocą, a rachmistrze wynoszą odciągniętą sumę i jej nie księgują. Niepotrzebny do tego dyplom magistra.

Druciane kosze – takie jak na brudną bieliznę. Czterdzieści koszy/ czterdzieści tysięcy w każdym.

Moe sięgnął do jednego. Moe wyciągnął dziesięć kawałków – w samych setkach.

– Proszę bardzo, to na te twoje machlojki z prawami obywatelskimi. Jakie jest to ich pierdolone motto? „Zwyciężymy”?

Littell złapał gotówkę. Littell wpakował ją do teczki.

– Interesuje mnie, jak wygląda ta cała procedura odciągania.

– Nie tylko ciebie. Niektóre agencje federalne też są tego ciekawe.

– Szukacie może akurat kurierów?

Moe powiedział:

– Nie. Wykorzystujemy wyłącznie cywili. Zwykłych, szarych obywateli, którzy wiszą kasę markierom z kasyna. Wynoszą odciągniętą gotówkę i spłacają dług, otrzymując siedem i pół procent wartości każdego transportu.

Littell otrzepał mankiety.

– Pomyślałem o mormonach pana Hughesa albo innych zaufanych

ludziach za piętnaście procent.

Moe pokręcił głową.

– Nie zamierzam psuć czegoś, co okazało się sukcesem, ale i tak cię wysłucham.

Littell kichnął. Moe podał mu chusteczkę. Littell wytarł nos.

– Macie zamiar sprzedać panu Hughesowi część kasyn. Pan Hughes będzie chciał, by prowadzili je jego mormoni lub *jacyś inni* mormoni. Wy będziecie tam chcieli własnych ludzi, a to będzie taki kompromis, dzięki któremu podniesiecie własne zyski z odciągania.

Moe podrzucił w powietrze dziesięciocentówkę.

– Nie drażnij się ze mną. Masz tendencję do przeciągania.

Littell przycisnął do siebie swą teczkę.

– Chcę z czasem zatrudnić pewną liczbę mormonów, żeby byli gotowi z chwilą, gdy sprzedacie hotele panu Hughesowi. Będziecie wówczas mieli grupę własnych ludzi znających procedurę odciągania.

– To mnie jeszcze nie przekonało, żeby płacić im piętnaście procent.

– Bo na pierwszy rzut oka nie wygląda to przekonująco.

Moe przewrócił oczami.

– Więc mi to wytłumacz. Jezu Chryste, nie każ się prosić.

– W porządku. Ludzie pana Hughesa latają czarterowymi samolotami Hughes Aircraft. Mógłbym zatrudnić pewną liczbę mormonów, którzy pracowaliby dla pana Hughesa już teraz, a wy dzięki temu transportowałibyście odciągniętą gotówkę, unikając ryzyka związanego z kontrolą na lotnisku.

Moe podrzucił dziesięciocentówkę. Moe ją złapał – orłem do góry.

– Na pierwszy rzut oka nawet mi się to podoba. Pogadam z innymi chłopakami.

– Chciałbym zacząć jak najszybciej.

– Wyluzuj. Nie przemęczaj się tak.

– Jestem pewien, że to dobry pomysł, ale chciałbym...

– Jest lepszy. Postaw na Claya przeciwko Listonowi. Na tym dopiero zrobisz pierdoloną kasę.

– Walka jest ustawiona?

– Nie, ale Sonny ma parę przykrych nawyków.

Littell poleciał do LA.

Leciał sam. Zamówił samolot Hughesa. Flota powietrzna Hughesa stacjonowała w Burbank. Cessny Twins – w każdej po sześć miejsc – dość przestrzeni na przewóz odciągniętej gotówki.

Lot przebiegał gładko. Zero chmur i migocząca w dole pustynia.

Moe łyknął przynętę. Moe nie połapał się w jego machinacjach. Myślał, że kombinuje na rzecz Drakuli. Błąd – kombinował na rzecz praw obywatelskich.

Jasna sprawa:

Kurierzy z forszą. Potencjalni „konsultanci” do spraw kasyn. Ludzie *Hughesa*. Traktowani ulgowo, jak to z lotami czarterowymi bywa.

Mógł odciągnąć trochę z tego, co oni odciągali. Mógł sponsorować Bayarda Rustina. Mógł zniwelować nieco szkody czynione przez pana Hoovera. Wayne Senior znał mormońskich zbirów. Wayne Senior znał osiłków zbierających kasę. *Littell* mógłby ich zatrudnić.

Cel długoterminowy: niwelacja szkód.

Pan Hoover filmował doktora Kinga. Pan Hoover próbował wciągnąć go w pułapkę. Pan Hoover karmił brudami swoich „korespondentów”: kongresmanów/dziennikarzy/duchowieństwo.

Pan Hoover ich pouczał. Pan Hoover uczył ich powściągliwości. Działajmy jak spiskowcy i pozwólmy, by tajne informacje wyciekały na zewnątrz. Róbmy to sprytnie. Nie ujawniamy danych z podsłuchów *otwarcie*. Nie narażajmy na ryzyko założonych pluskiewek.

Pan Hoover gromadził brudy. Pan Hoover ujawniał brudy. Pan Hoover zadawał ból. Pan Hoover nienawidził doktora Kinga. Pan Hoover obnażył swą jedną słabość:

Sadyzm. *Podsycany*. Pielęgnowany przez długi CZAS.

CZAS pracował na dwa sposoby. Był CZAS, by wyrządzić krzywdę. Był CZAS, by wyrządzoną krzywdę naprawić.

Plan z odciąganiem mógł się powieść. Plan rodził pytanie: pieniądze Hughesa – czy mogły stanowić potencjalne źródło dziesięciny?

Samolot się przechylił. *Littell* obrał jabłko. *Littell* napił się kawy.

Pete miał akta Wayne’a. Pete przycisnął Spurgeona i Hintoną. Spurgeon sypnął Pete’owi trochę brudów. Najważniejsi członkowie zgromadzenia ustawodawczego i ich działalność charytatywna – brudy płynące z filantropii.

Pete powiedział, że pominął Eldona Peavy’ego. Peavy miał plecy u gliniarzy. Peavy mógł się nie ugiąć przed groźbami. Pete był nieszczerzy.

Jego groźby zawsze skutkowały. Pete pragnął Monarchy. Pete planował przejęcie.

Samolot obniżył lot. Burbank ukazało się w słońcu i smogu.

Przed odlotem zjadł lunch z Wayne'em Seniosem. Wayne Senior pochwalił go – ocalił mi pan syna.

Junior nie chciał pomocy Seniora. Junior olał jego koneksje. Junior odrzucał propozycje dobrej roboty. Junior miał gdzieś swój dyplom z chemii. Junior sam poszukał sobie pracy. Junior znalazł nisko płatną fuchę.

Kasyno Wild Deuce – nocny bramkarz – od 18.00 do 2.00. W Deuce nie było lekko. Do Deuce Ignęli Murzyni. Junior Ignął do bólu.

Wayne Senior postawił Littellowi lunch. Wayne Senior był uprzejmy. Wayne Senior mówił brzydkie rzeczy.

Wayne Senior drwił z ruchu praw obywatelskich. Wayne Senior wspomniał o filmie z Kingiem.

Littell się uśmiechnął. Littell był miły. Littell pomyślał: *jeszcze wszyscy za to zapłacicie.*

Jane powiedziała:

– Znalazłam pracę.

Na tarasie było zimno. Widok wynagradzał wszystko. Littell oparł się o balustradę.

– Gdzie?

– W wypożyczalni samochodów Hertza. Mam prowadzić księgi w filiach w zachodnim LA.

– Pomógł dyplom z Tulane?

Jane się uśmiechnęła.

– Pomógł mi zyskać dodatkowy tysiąc rocznie, o który poprosiłam.

Ścinała samogłoski. Prawie je połykała. Pozbyła się swej południowej śpiewności. Pracowała nad głosem i wymową – właśnie to zauważył.

Powiedziała:

– Miło jest dołączyć do klasy pracującej.

Wyraźne, mocne „d”. Niewskazujące na żaden region. Czyste spółgłoski.

Littell się uśmiechnął. Littell otworzył teczkę. Littell wyciągnął sześć kartek.

Kiedy wylądował, pojechał do Hughes Tool. Zajrzał do księgowości i wykradł formularze.

Rachunki. Zestawienia. Same standardowe druki.

Wszedł. Wyszedł. Opracował stosowne kłamstwo.

– Mogłabyś na to zerknąć w wolnej chwili? Potrzebna mi twoja rada w paru sprawach.

Jane przejrzała świstki.

– To typowe formularze. Koszty, przekroczenia kosztów, tego typu sprawy.

Mocne „t” i „k”. Przedłużane „o” zanikło.

– Muszę coś wiedzieć o technikach defraudacji i o tym, jak wykorzystać te formularze. Coś się szykuje w Wietnamie i pan Hughes prawdopodobnie otrzyma kilka kontraktów. Obawia się malwersacji i poprosił mnie, bym to przestudiował.

Jane się uśmiechnęła.

– Powiedziałeś mi, że twoja dziewczyna jest malwersantką?

– Nie. Tylko że potrafi dochować tajemnicy.

– Boże, co my za życie prowadzimy...

Krótkie „a” i „e”. Wyraźne końcówki.

Jane się roześmiała.

– Zauważyłeś? Zgubiłam swój akcent.

Jane czytała w łóżku. Jane zasnęła szybko. Littell odtworzył swoje taśmy. Zwariował. Ostatnio przy dwóch okazjach. Dwukrotnie podjął wariackie ryzyko.

Zahaczył o Waszyngton. Założył podsłuch Dougowi Eversallowi. Przycisnął go. Ugłaskał. Zapłacił mu pięć kawałków.

Eversall nagrał Bobby’ego. Jeszcze dwa razy – dwukrotnie podjęte wariackie ryzyko. Eversall w końcu się zbuntował. Eversall olał Littella.

Koniec z tym. Wsadź sobie swoje groźby. Odmawiam krzywdzenia Bobby’ego. Jesteś chory. Jesteś popieprzony. Masz świra na punkcie Bobby’ego.

Littell się wycofał:

Koniec z tym. Już nigdy więcej. Obiecuję ci. Skłamię Carlosowi. Powiem, że nam się nie udało.

Eversall wtedy odszedł. Eversall się potknął. But ortopedyczny wygiął mu się i poślizgnął. Littell pomógł mu wstać. Eversall dał mu po gębie. Eversall napluł mu w twarz.

Littell odtworzył nagranie z 29 stycznia. Słabe zakłócenia/ szum taśmy.

Bobby planował procesy. Eversall robił notatki. Bobby ziewał i zbaczał z tematu. Mówił o ewentualności kandydowania w wyborach do Senatu. O Wietnamie. O tym „zafajdanym sukinsynu Lyndonie Johnsonie”.

Bobby był przeziębiony. Bobby’emu zebrało się na wyzwiska. LBJ był „gównojadem”. Dick Nixon był „czubkiem”, co nosi na plecach znak „daj mi kopa”. Pan Hoover był „psychopatycznym cwelem”.

Littell wcisnął przewijanie. Taśma się cofnęła. Littell odtworzył nagrania z 5 lutego.

Oto Bobby – jaki teraz czcigodny.

Wychwalał Jacka. Cytował Housmana: *Na śmierć młodego sportowca*. Eversall ciągnął nosem. Bobby się śmiał – „Nie maż mi się tutaj”.

Wtrącił się jakiś nowy głos. Zakłócenia zagłuszyły słowa. Littell usłyszał zniekształcone „Hoover” i „King”.

Bobby powiedział: „Hoover się boi. Wie, że King ma jaja jak kokosy”.

38

(Las Vegas, 10 lutego 1964)

W Monarsze wrzało.

Południowy szczyt/ *mucho* telefonów/ dziesięć taksówek w trasie. W baraku wrzało – Eldon Peavy miał gości.

Sonny Liston. Czterech zbirowatych czarnuchów. Jakiś tam Konrad i Kongijczycy czy może Marvin i Mau-Mau¹³.

Pete bacznie obserwował.

Zapadł się głęboko w siedzeniu. Włączył ogrzewanie. Liczył. Peavy miał dwadzieścia taksówek. Peavy prowadził interes na trzy zmiany. Do tego kursy na lotnisko i posiadacze karnetów.

W baraku wrzało. Jeden z kierowców handlował futrami. Mau-Mau zaczęli je macać. Sonny rozwinął plik banknotów. Peavy wyciągnął kilka.

Kongijczycy kipieli. Fasonowali futra. Nękali norki. Szarpali szynszyle.

Sonny nie wyglądał najlepiej. Zbliżała się walka z Clayem. Wszyscy stawiali na Sonny'ego. Wszyscy prócz Sama G. Sam lubił Claya. Sam powiedział, że Sonny ma przykre nawyki.

Było zimno. Brrr – zima w Vegas. Pete zadygotał i podkręcił ogrzewanie. W Teksasie było zimno. Na Florydzie też. Właśnie wrócił z podróży. Nie znalazł Hanka K. Nie znalazł Wendella Durfee'ego. Podróżował sam. Opracowywał trzytorowy projekt.

Tor A: Znaleźć i załatwić Hanka. Tor B: Wstrzymać się z Durfeem. Tor C: Sprowadzić Wayne'a, żeby samo go zabił.

Zero zaufania/ zero luzu. Nie znalazłeś/ szukaj dalej.

Wrócił. Zadzwoił do Warda. Oznajmił: chcę kupić Taxi Monarchę. Ward go zgasił. Ward powiedział: nie wymuszaj przekazania własności. *Potrzebny* nam Peavy. *Potrzebny* nam jego *głosy*. Nie osłab jego pozycji w komisji. Zdrowa, kurwa, rada – Ward Littell w pełnej krasie.

Pete od niechcienia słuchał radia. Pete obserwował barak. Peavy żłopał gin. Mau-Mau żłopali szkocką z mlekiem. Sonny rozbierał kapsułki. Sonny

usypywał kreski. Sonny wciągał proszek.

Peavy wyszedł. Sonny wyszedł za nim. Kongijczycy wytoczyli się sznurkiem. Siorbali mleko. Mieli białe bródki. Smoluchy z mlekiem na brodzie.

Podjechała długa limuzyna. Cała ekipa wsiadła. Limuzyna odjechała. Pete ruszył za nią powoli.

Limuzyna skręciła na zachód. Limuzyna zatrzymała się szybko. Proszę – kasyno Honey Bunny.

Peavy wysiadł. Peavy wszedł. Pete rozsiadł się beczynn timer. Pete gapił się w okno.

Peavy podszedł do kasy. Peavy kupił żetony. Kasjer napełnił woreczek. Peavy wyszedł. Peavy wskoczył do limuzyny. Limuzyna odjechała natychmiast.

Pete za nią. Skręciła na zachód. Zatrzymała się *mucho* szybko. Proszę – sklep z alkoholem Sugar Bear Liquor.

Wybiegło pięć panienek – same ciemne – balowe sukienki i wysokie obcasy. Wpakowały się do limuzyny. Dyszały ciężko. Okna zaszyły parą. Limuzyna zaczęła się kołysać i podskakiwać.

Rzeczony panienki *przy pracy*.

Osie szorowały po asfalcie. Amortyzatory trzeszczały. Podwozie dygotało. Dwa kołpaki odpadły i potoczyły się w dal.

Pete się śmiał. Pete, kurwa, ryczał ze śmiechu.

Panienki wysiadły. Panienki chichotały i ocierały usta. Panienki powiewały dolarami.

Pete ujrzał martwą dziwkę. Pete poczuł smród podpalonej przyczepy.

Limuzyna odjechała. Pete za nią. Skręcili na zachód. Wjechali do zachodniego LV. Jechali bardzo w *głąb*. Proszę – Liceum Monroe'a.

Tylna brama była otwarta. Trybuny pełne. Transparent głosił: „Witaj, Mistrzu!”.

Pełna widownia:

Kolorowe dzieciaki – dwie setki, lekko licząc – wielkie szkolne święto.

Limuzyna zaparkowała na boisku. Pete został za bramą. Pete odchylił w tył oparcie fotela.

Sonny wysiadł. Sonny się zatoczył. Wymachiwał woreczkiem z żetonami. Stał twarzą do dzieciaków i zachwiał się kompletnie nawalony. Dzieciaki wiwatowały. Dzieciaki skandowały „Sonny!”. Jakies debilne belfry tylko się

gapiły.

Dzieciaki wrzeszczały. Dzieciaki grzmociły o ławki. Belfry się gapiiły. Sonny się uśmiechnął. Sonny się zachwiał. Sonny powiedział:

– Cicho być.

Dzieciaki wiwatowały. Sonny się chwiał. Sonny wrzasnął:

– Zamknąć się, wy małe skurwysyny!

Dzieciaki się zamknęły. Belfry się skrzywiły. Sonny wygłosił inspirującą pogadankę.

Uczcie się pilnie. Zdobywajcie dobre oceny. Nie obrabiajcie sklepów z gorzałą. Grajcie, żeby wygrać, i chodźcie do kościoła. Używajcie dobrych prezerwatyw. Zobaczcie, jak łoję skórę Cassiusowi Clayowi. Zobaczcie, jak daję mu takiego kopa w tę muzulmańską dupę, że poleci z powrotem prosto do Mekki.

Sonny zamilkł. Sonny się skłonił. Sonny pociągnął z flaszki. Dzieciaki wiwatowały. Belfry klaskały skromnie.

Sonny pomachał swoim woreczkiem. Sonny wyciągnął garść żetonów. Sonny rozrzucił je po trybunach.

Dzieciaki łapały. Dzieciaki się rzucały. Dzieciaki wpadały na siebie. Dzieciaki nie sięgały. Dzieciaki z góry spadały na te na dole.

Sonny rozrzucał żetony – całymi garściami – same jednodolarowe nominały.

Dzieciaki wyciągały ręce. Dzieciaki upadały. Dzieciaki okładały się pięściami.

Sonny podniósł flaszkę. Sonny pomachał: pa, pa. Sonny wskoczył do limuzyny.

Limuzyna odjechała. Pete zawrócił i ruszył za nią. Dzieciaki piszczały: „Mistrzu, pa, pa!”.

Limuzyna parła naprzód. Pete tuż za nią. Przekraczali wszelkie ograniczenia prędkości. Skręcili na wschód i południe. Wjechali do centrum Las Vegas.

Ruch się zwiększył. Limuzyna zrobiła pętlę na Fremont. Limuzyna zahamowała i stanęła.

Proszę...

Parking. Sklep marynarsko-wojskowy – Sierżant Sid.

Ekipa wysiadła. Ekipa skupiła się i rechotała głośno. Ekipa weszła tylnymi drzwiami. Kierowca pomachał – *adios*, Mau-Mau – limuzyna się ulotniła.

Pete zaparkował. Pete zamknął samochód na kluczyk i zbliżył się powoli. Pete stanął przy tylnych drzwiach.

Wszedł. Przeszedł przez magazyn. Przepchnął się wśród dwurzędówek na wieszaku. Zobaczył skrzynie/kartony/łopaty. Poczł smród smaru do broni.

Dotarł do korytarza. Usłyszał dźwięki. Poszedł za nerwowym chichotem i jękami miłości – ooo, ooch!

Szedł spokojnie. Podążał w stronę dźwięków. Przykucnął i się skradał. Zobaczył uchylone drzwi i zajrzał. Czas na pornoseans. Ekran z prześcieradła i projektor. Lesbijskie figle – splecione w uścisku młode dziewczęta.

Czarnuchy chichotały. Peavy ziewał. Dziewczęta miały najwyżej po czternaście lat. Sonny rozłupał kapsułkę. Sonny wysypał na dłoń anielski pył. Sonny wciągnął.

Dziewczęta zabawiały się sztucznymi penisami. Pojawił się osioł. *El Burro* miał diabelskie rogi.

Pete wyszedł na zewnątrz. Pete znalazł budkę telefoniczną. Pete zadzwonił do bukmachera w Stardust. Postawił zakład – czterdzieści kawałków – na zwycięstwo Claya nad Listonem.

Deuce kulał się powoli – automaty na monety/ bingo/ whisky i piwo.

Rozdający mieli broń. W barze serwowano lewe piwo. Kelnerki puszczały się za pieniądze. Deuce gościł same łajzy. Było tam pełno staruchów i meksów. Czarnuchów więcej niż w afrykańskiej dżungli.

Z miejsca przy barze widziało się całą salę. Pete rozsiadł się i popijał wodę sodową. Pete patrzył, co się dzieje.

Jakiś pryk wyciąga aparat tlenowy. Musi być dobrze po dziewięćdziesiątce. Pali camela. Kaszle krwią. Zaciąga się tlenem. Dwóch pedałów spogląda na siebie. Pedały mają zielone koszule. Zielone koszule to pedalski znak.

Dwóch bambusów rozgląda się ukradkiem. Patrzą, jak by tu coś capnąć i zwiać. Dość spojrzeć na te portki od dresu i sportowe buty. Podchodzi Wayne. Wayne ma przy pasie pałkę. Wayne ma kajdanki.

Wayne klepie bambusów po ramieniu. Patrzą na siebie – o, kurwa mać...

Wayne okłada ich gołymi rękami. Wayne kopie. Wayne łapie za te ich nastroszone kudły i popycha. Bambusy rozumieją. Ewakuują się – *Nie zwyciężymy.*

Pete zaklaskał. Pete zagwizdał. Wayne odwrócił się i go zobaczył.

Podszedł. Obrócił krzesło. Zyskał widok na salę.

Pete powiedział:

– Nie znalazłem go. Myślę, że jest w Meksyku.

– Jak zawzięcie szukałeś?

– Niezbyt zawzięcie. Przede wszystkim szukałem jednego gościa na Florydzie.

Wayne zacisnął dłonie. Z rozcięć na knykciach zaczęła się sączyć krew.

– Moglibyśmy zwrócić się do meksykańskich *federales*. Mogliby wydać własny list gończy. Moglibyśmy im zapłacić, żeby go dla mnie przytrzymali.

Pete zapalił papierosa.

– Zabiliby go sami. Zwabiliby cię tam, ukradli twoje pieniądze i ciebie też zabili.

Wayne obserwował salę. Pete podążył za jego spojrzeniem. Proszę – jeden asfalt/ jedna dziwka/ nieprzyzwoite zachowanie...

Wayne wstał. Pete złapał go za pas. Pete szarpnął go w dół.

– Daj spokój. Rozmawiamy teraz.

Wayne wzruszył ramionami. Wayne wyglądał jak urażona niewinność. Wayne wyglądał, kurwa, jak upośledzony.

Pete rozejrzał się dokoła.

– Czy ten lokal należy do twojego ojca?

– Nie, należy do mafii. Santo Trafficante ma tu udziały.

Pete wypuścił kółka z dymu.

– Znam Santa.

– Nie wątpię. Wiem, dla kogo pracujesz, dlatego tyle się domyśliłem na temat Dallas.

Pete się uśmiechnął.

– W Dallas nic się nie wydarzyło.

Przeszła jakaś dziwka. Wayne znowu odpłynął, obserwował salę. Pete złapał jego stołek. Pete szarpnął go i obrócił. Pete pozbawił go widoku.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Wayne zacisnął pięści. Knykcie mu pulsowały. Z knykci sączyła się krew.

Pete powiedział:

– Nie używaj rąk. Użyj pałki, jeżeli już musisz.

– Jak Duane Hint...

– Zamknij się, co? Mam już martwych babek potąd.

Wayne zakaszłał.

– Durfee jest dobry. To mnie najbardziej wkurza. Od czasu Dallas zostawia wszystkich w tyle.

Pete odpalił papierosa od papierosa.

– Wcale nie jest dobry. Po prostu ma szczęście. Wyrwał się do Vegas jak ostatni pajac i takie właśnie ruchy go w końcu zgubią.

Wayne pokręcił głową.

– Jest na to za cwany.

– Wcale nie.

– Może mnie sypnąć za Moore’a.

– Gówno prawda. To będzie tylko jego słowo przeciwko twojemu i nic więcej.

– Jest dobry. I to mnie właśnie...

Przeszedł jakiś smoluch. Wayne popatrzył na niego. On spojrzał na Wayne’a i mrugnął.

Pete zakaszłał.

– Kto jest właścicielem Sierżanta Sida?

Wayne odparł:

– Pajac o nazwisku Eldon Peavy. Nazwał to miejsce na cześć swojego pedalskiego kołesia, który umarł na syfa.

Pete się roześmiał.

– Pokazuje tam pornolce. Nieletnie panienki, tego typu sprawy. Ile może za to dostać?

Wayne wzruszył ramionami.

– Stanowe przepisy nie są szczególnie surowe, gdy chodzi o posiadanie. Musiałby produkować i sprzedawać te filmy, werbować i zmuszać do tego małolaty.

Pete się uśmiechnął.

– Zgadnij, dlaczego o to pytam.

– Nie muszę zgadywać. Chcesz kupić Monarchę i powspominać swoje pieprzone przygody w Miami.

Pete się roześmiał.

– Rozmawiałeś z Wardem.

– Jasne, jak klient i adwokat. Zapytałem, dlaczego tak się ze mną certolisz, ale mi nie odpowiedział.

Pete strzelił palcami.

– Postaw dziś na Claya. Twojemu drogiemu Sonny’emu przydałby się

lepszy trening.

Wayne zwinął dłonie w pięści.

– Jest taki jeden zastępca szeryfa, gość o nazwisku Farlan Moss. Sprawdza biznesmenów na zlecenie ludzi, którzy chcą przejąć ich interesy. Niczego nie będzie fałszował, ale jeśli zdobędzie jakieś obciążające dowody, przekaże ci je i pozwoli wykorzystać tak, jak sam uznasz za stosowne. To w Vegas stara procedura.

Pete złapał serwetkę. Pete zapisał: „Farlan Moss/ zastępca szeryfa okręgu Clark”.

Wayne zakręcił pałką.

– Dziwnie się wobec mnie zachowujesz.

– Miałem młodszego brata. Kiedyś ci o nim opowiem.

Barbarzyńcy przygrywali. Barb złapała mikrofon. Ukłoniła się. Suknia jej się podciągnęła. Nylony się naprężyły.

Pete siedział przy estradzie. Jakiś dupek zajął miejsce Wayne’a. Wayne pracował teraz do późna. Wayne widywał Barb raz na długi czas.

Ward mówił, że gadał z Wayne’em Seniozem. Senior wkurzał się na Juniora. Ward to przekazał.

Junior lubił się chować. Junior lubił patrzeć. Junior rozpałał w sobie ogień. Junior płonął. Życie Juniora toczyło się w jego własnej głowie.

Barb posłała całusa. Pete go pochwycił. Pete przyłożył dłoń z całusem do serca. Narysował w powietrzu dwie litery T – ich potajemny gest – zaśpiewaj *Twilight Time*.

Barb zrozumiała. Barb dała znak Barbarzyńcom. Barb zaczęła śpiewać.

Tęsknił za nią całymi dniami. Pracowali o różnych godzinach i spali na zmianę. Wstawili sobie za kulisami składane łóżko. Kochali się pomiędzy występami.

Sprawdzało się. Sprawdzało się ich bycie razem. Wykańczało go. I *przerazało*.

Barb śledziła wiadomości. Barb śledziła pracę Komisji Warrena. Barb nie chciała zapomnieć o Dallas. Barb nie chciała zapomnieć o swoich związkach z Jackiem.

Nigdy tego nie powiedziała. Pete po prostu *wiedział*. Nie chodziło o seks. Nie chodziło o miłość. Kierował nią „podziw”. A ty go zabiłeś. Nie dało się tego zapomnieć. Zabiłeś go i nawet ci włos z głowy nie spadł.

On miał *własną* wersję. *Nim* kierował „lęk”. Zdobyłeś ją. Możesz ją stracić – przez Dallas.

Cuchniesz Lękiem. Ziejesz Lękiem. Stosujesz logikę Lęku. Wiesz, że uszedłeś cało, bo:

To było *takie* wielkie. To było *takie* zuchwałe. To było *takie* złe.

Stosujesz tę logikę. Upiększasz ją. Okazujesz lęk. Wywołujesz lęk. Przekazujesz swój lęk dalej. Niewłaściwi ludzie odnajdują cię i stukają do twoich drzwi.

Barb śpiewała *Twilight Time*. Barb pieściła niskie tony.

Zastukał Wendell Durfee. Zapłaciła Lynette. Martwe kobiety wywoływały lęk. Lynette jako Barb. Lynette jako „Jane”.

Widział ciało Lynette. Musiał je zobaczyć. Obraz pozostał. Przywoływał go. Odpędzał go. Śnił o nim i rwał w strzępy pościel.

Barb posłała całusa na koniec *Twilight Time*. Barb zmysłowo zakołysała biodrami.

Urok prysł. Unicestwiła go szybka melodia. Kelner przywłókł telefon.

Pete wziął go na kolana.

– Tak?

Jakiś męski głos powiedział:

– Carlos chce cię widzieć.

– Gdzie?

– W De Ridder w Luizjanie.

Poleciał do Lake Charles. Wziął taksówkę do De Ridder. Było mokro. Było gorąco. W upale mnożyło się robactwo.

Z De Ridder było zwykle Wypierdkowo. Niedaleko znajdowała się baza Fort Polk. Miasteczko żyło dzięki wojsku.

Budy ze smażonym kurczakiem i żeberkami z grilla. Bary piwne/ salony tatuażu/ kioski ze świeższczykami.

Carlos przyjechał limuzyną. Pete go powitał. Miejscowa biedota patrzyła. *Tępa* biedota – same rozdziawione gęby, pożywka dla robactwa.

Pojechali na wschód. Wjechali w kraj czerwonej gliny i skarp porośniętych sosnami. Okrążyli Kisatchee Forest.

Pete podniósł przesłonę. Pete odgradził ich od kierowcy. Wiatraczki pompowały do środka chłodne powietrze. Ciemne szyby nie wpuszczały słońca.

Carlos sponsorował obóz – wszystkiego czterdziestu kubańców – niedoszłych zabójców. Carlos powiedział: „Odwiedzmy moich chłopców”. Carlos powiedział: „Porozmawiajmy”.

Jechali. Rozmawiali. Mijali zgromadzenia Klanu. Carlos wkurzał się na Klan – oni nienawidzą katolików – to znaczy, nienawidzą *nas*.

Pete zaprotestował – jestem hugenotem – takie fiuty jak wy wyżywały takich ludzi jak ja.

Rozmawiali. Pytlowali o *la Causa*. O Taxi Tygrys i Zatoce Świń. O tchórzostwie LBJ. Carlos wyciągnął butelkę. Pete wyciągnął papierowe kubki.

Carlos powiedział:

– Mafia nie ma ani odrobiny czułości dla Sprawy. Każdy myśli: „Podnieciliśmy się, straciliśmy nasze kasyna, a teraz nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem”.

Wjechali w koleinę. Pete rozlał X.O.

– Hawana była piękna. Vegas się nie umywa.

– Littell ma plan, w którym mowa jest o zagranicznych kasynach. Wszyscy ześwirowali na jego punkcie, zresztą całkiem słusznie.

Mijali wojskowe ciężarówki. Mijali znaki. Znaki lżyły ACL¹⁴.

Pete powiedział:

– Ta pierwotna ekipa była dobra. Laurent Guéry, Flash Elorde...

Carlos skinął głową.

– Dobrzy dilerzy narkotyków i dobrzy zabójcy. Człowiek nigdy nie musiał wątpić w ich szczerłość.

Pete starł whisky z koszuli.

– John Stanton też był niezły. Mafia i CIA pracowały razem.

– No. Jak w tej piosence: *Przez jedną ulotną chwilę*.

Pete zgniótł kubek.

– Stanton jest w Indochinach?

– Nie bądź takim Francuzem. To się teraz nazywa Wietnam.

Pete zapalił papierosa.

– W Vegas jest jeden taki interes taksówkowy. Mógłbym zamienić go dla nas w żyłę złota. Littell chce, żebym się wstrzymał, bo właściciel zasiada w komisji wydającej licencje.

Carlos sączył X.O.

– Nie wysilaj się tak, żeby mi zaimponować. Nie jest z ciebie Littell, ale

nie jesteś znów taki najgorszy.

Rekruci stali na baczność. Pete przeszedł się wzdłuż szeregu. Pete dokonał analizy krytycznej i przeglądu żołnierzy.

Czterdziestu kubańców – tłuściochów i patyczaków – samych eks-więźniów.

Guy Banister ich rekrutował. Guy znał gliniarza ze Stowarzyszenia Johna Bircha. Gliniarz sfalszował kartoteki więzienne. Gliniarz uwolnił skazańców. Rzeczeni skazańcy byli zbokami. Rzeczeni skazańcy byli „muzykami” – same niedoszłe latino gwiazdy.

Pete szedł wzdłuż szeregu. Pete sprawdzał broń. M-1 i M-14 – załadowane ślepakami.

Kurz na lufach. Pleśń. Mech.

Pete się wkurzył. Pete’a rozbolała głowa. Dowódca tych palantów szedł tuż za nim. Jakiś wojskowy oszołom – śmieć z Fort Polk – kinderkomandos. Stał na czele jednej z komórek Klanu. Miał destylarnię. Sprzedawał zacier jęczmienny. Sprowadzał chłopakom pijane Indianki.

Rekruci wyglądali, jakby się bawili w wojenkę. Cały obóz zresztą też. Baraki z blachy falistej i małe namioty – ekwipunek pieprzonych skautów. „Strzelnica” – strachy na wróble i pniaki. „Skład amunicji” – jak z klocków Lego.

Rekruci stali na baczność. Rekruci salutowali. Pomajstrowali przy karabinach. Oddali nierówną salwę. Zacięło się osiem zamków.

Narobili hałasu. Spłoszyli trochę ptaków. Ptasie gówna wzbiły się w powietrze i opadły.

Carlos się skłonił. Carlos rzucił woreczek z darowizną. Dowódca palantów złapał go i się skłonił.

– Pan Banister i pan Hudspeth wkrótce tu będą – rzekł. – Transportują właśnie wyposażenie.

Carlos zapalił cygaro.

– I na nie właśnie pójdzie te moje dziesięć kawałków?

– Tak jest, sir. To moi główni dostawcy broni.

– A więc to oni *robią kasę* na moich darowiznach?

– Nie w takim sensie, jak pan sugeruje, sir. Jestem pewien, że nie czerpią z tego żadnych osobistych korzyści.

Podstawowe „wyposażenie”: jeden stół piknikowy/ jeden grill.

Oszołom zadał w gwizdek. Rekruci skierowali się ku strzelnicy. Wypalili. Mierzyli nisko. Spudłowali.

Carlos wzruszył ramionami. Carlos był wkurzony. Carlos odszedł. Oszołom wzruszył ramionami. Oszołom czuł się zraniony. Oszołom odszedł.

Pete odszedł. Pete obejrzał strzelnicę. Pete obejrzał skład amunicji. Pete skrytykował uzbrojenie.

Dwa karabiny maszynowe – stare pięćdziesiątki – luźne zamki/ luźne pasy. Sześć miotaczy ognia – popękane zbiorniki na paliwo/ popękane rury. Dwie szybkie motorówki – napędzane silnikami z kosiarek do trawy. Sześćdziesiąt dwa rewolwery – skorodowane i w rozsypce.

Pete znalazł trochę oleju. Pete znalazł jakieś smary. Pete wyczyścił kilka trzydziestek ósemek. Słońce grzało miło. Smród oleju odstraszał komary. „Rekruci” ćwiczyli.

Robili pompki. Niszczyli sobie manicure. Sapali i dyszeli.

On szkolił *asów*. *On* był na Kubie. *On* oskalpował *mucho* czerwonych. *On* zabijał *Fidelistos*. *On* pojechał do Zatoki Świń. *On* próbował sprzątnąć Fidela. Powinni byli wygrać. Jack K. ich wykiwał. Jack zapłacił. *On* zapłacił. Wszystko to poszło się pieprzyć.

Pete porządkował broń. Czyścił lufy. Szorował kolby. Pucował bębunki. Wydrapywał mech.

Zajechał stary ford. Wymalowany z boku napis krzyczał: „PRAWICOWY SZAJBUS!”.

No, no:

Krzyże. Paski i gwiazdy. Odwrócone swastyki.

Za fordem podskakiwała przyczepa. Sterczały z niej lufy karabinów. Ford zahamował. Wpadł w poślizg. Zahaczył o sprzęt do grillowania.

Ford stanął i zgasł. Wsiadł Guy B. Hank Hudspeth go podtrzymał. Guy był czerwony, jakby mu groził zawał. Już trzeci. Carlos powiedział, że serce ma do bani.

Guy wyglądał na pijanego. Guy wyglądał na słabego. Guy wyglądał na chorego. Hank wyglądał na pijanego. Hank wyglądał na silnego. Hank wyglądał na wkrótce martwego.

Guy taszczył hot dogi. Hank wyciągnął steki i bułki. Rozejrzeli się. Zobaczyli Pete'a. Skrzywili się.

Hank zagwizdał. Guy wałnął w klakson. Rekruci ruszyli tyłki.

Hank wyciągnął węgiel drzewny. Oszołom-dowódca napełnił grill. Guy

spryskał wszystko benzyną. Rozpalili ogień. Osmalili hot dogi. Rekruci oblegli przyczepę.

Wykrzykiwali radośnie. Wyciągali karabiny. Oglądali – maszynowe thompsony/ ponad setka.

Pete chwycił jeden. Kolba była poharatana. Zamek zacięty. Wyważenie do bani.

Gówniany złom – zapasy jeszcze z walk z japońcami.

Rekruci układali karabiny w stos. Pete ich olał. Ogień na grillu huczał. Owady atakowały żarcie.

Guy podszedł do limuzyny. Carlos wysiadł. Guy uściskał go i zagadnął.

Rekruci ustawili się w kolejce. Hank wydawał talerze. Pete złapał trzydziestkę ósemkę. Pete strzelił na sucho.

Carlos podszedł. Carlos powiedział:

– Nie cierpię pijaków.

Pete wycelował w Guya. Pete strzelił na sucho – pyk!

– Stuknę go. Za dużo wie.

– Może później. Najpierw chcę się przekonać, czy da się wydusić coś z tych palantów.

Pete zatarł ręce. Carlos wziął do ręki rewolwer.

– Dostałem cynk na temat Hanka Killiama. Jest w Pensacoli.

Pete powiedział:

– Pojadę tam jeszcze dzisiaj.

Carlos się uśmiechnął. Carlos wymierzył w Pete'a. Carlos strzelił na sucho – pyk!

– A ta Betty McDonald siedzi w Więzieniu Okręgowym w Dallas. Powiedziała jednemu gliniarzowi, że w listopadzie ktoś ją ostrzegł, by wiała z miasta. Nie twierdzą, że to byłeś ty, ale...

39

(Las Vegas, 13 lutego 1964)

Strzelali do rzutków. Strzelali z robionej na zamówienie broni.

Strzelali z tylnego tarasu. Strzelali do robionych na zamówienie rzutków. Rzutki wypuszczała Janice. Siedziała na dole. Chwytała słońce. Miała na sobie bikini.

Wayne Senior trafiał za każdym razem. Wayne chybiał o milę. Rozwalił sobie rękę. Tłukąc tamtych kolorowych. Miał niepewny chwyt.

Janice wypuściła rzutka. Wayne wypalił. Wayne chybił.

Wayne Senior załadował.

– Za słabo trzymasz strzelbę.

Wayne zacisnął dłoń. Rozwalił ją i nie dawał jej się zagoić. Pozostawała rozwalona przez cały czas.

– Ręka mi nie pozwala. Zraniłem się w pracy.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– Na Murzynach czy hołocie innej maści?

– Znasz odpowiedź.

– Twoi pracodawcy wykorzystują twoją reputację. A to znaczy, że wykorzystują ciebie.

– Wykorzystywanie działa w obie strony. Jeśli brzmi to znajomo, to przypominam, że sam mnie tego nauczyłeś.

– A zatem się powtórzę. Masz zbyt wysokie kwalifikacje, by mścić się, licząc na łut szczęścia, i by pracować jako wykidajło w kasynie.

Wayne zacisnął dłoń.

– Zaczynam w sobie kształtować nowe gusta. Jeszcze nie wiesz, czybyś je zganił, czy przypisałbyś sobie za nie częściową zasługę.

Wayne Senior mrugnął.

– Mógłbym ci pomóc osiągnąć to, czego chcesz, w inteligentny sposób. Miałbyś też sporo miejsca na indywidualne działanie.

Janice przestawiła leżak. Wayne patrzył. Stanik jej się przesunął. Sutki

nabrzmiały.

Wayne powiedział:

– Nie kupuję tego.

Wayne Senior zapalił papierosa.

– Poszerzyłem zakres działalności. Widziałeś w święta, no i jakoś znów zacząłeś nas odwiedzać... Powinieneś wiedzieć, że będę robił pewne *bardzo* ciekawe rzeczy dla pana Hoovera...

Wayne krzyknął:

– Daj!

Janice wypuściła rzutka. Wayne trafił. W uszach mu dudniło. Skaleczona ręka pulsowała bólem.

– Nie zamierzam się ukrywać pod prześcieradłem i donosić ci na pocztowych kombinatorów, żebyś ty mógł sprzedać więcej swoich nienawistnych pamfletów.

– Rozmawiałeś z Wardem Littellem. Czujesz się teraz bezradny i ludzie tacy jak Littell i Bondurant zaczynają ci imponować.

Słońce dotarło na taras. Wayne zmrużył oczy.

– Przypominają mi ciebie.

– Nie uznaję tego za komplement.

– Nie powinieneś.

– Powiem ci to tylko raz: nie daj się zwieść zbirom i złodziejom.

– Do tego nie dojdzie. Tobie opierałem się przez dwadzieścia dziewięć lat.

Janice pojechała pograć w golfa. Wayne Senior pojechał pograć w karty. Wayne został na ranczu sam.

Odwiedził ten pokój z bronią. Nawinął film. *Oglądał.*

Rzeczony film cechował dobry kontrast. Czarna i biała skóra/ czarno-białe nagranie.

King zamknął oczy. King poddał się ekstazie. King nauczał w Little Rock. Wayne widział go na żywo w 1957.

Kobieta przygryzła wargi. Lynette zawsze tak robiła. Kobieta miała fryzurę jak Barb.

To bolało. Oglądał mimo wszystko. King rzucał się i pocił.

Obraz się zamazał – para na soczewkach kamery i zniekształcenia. Barwy skóry się zatarły – King zrobił się ciemny jak Wendell Durfee.

To bolało. Oglądał mimo wszystko.

40

(Dallas, 13 lutego 1964)

22.00 – zgaszone światła.

Piętro kobiet. Dwanaście cel. Jedna więźniarka.

Pete wszedł. Strażnik kazał mu być cicho. Człowiek Carlosa przekupił go zeszłego wieczora.

Wszystkie cele w jednym szeregu. Naprzeciwko ściana. Światło zza zakratowanego okna.

Pete szedł korytarzem. Serce mu waliło. W rękach czuł mrowienie. Tętno skakało mu jak szalone. Jeszcze na zewnątrz łyknął sobie szkockiej – strażnik mu zorganizował. Zebrał się w sobie. Podburzył emocje. Wykrzesał nieco siły woli.

Szedł dalej. Chwytał się krat zamykających cele. Stanął.

Oto Betty Mac.

Leży na pryczy. Pali. Ma na sobie obcisłe rybaczki.

Zobaczyła go. Zamrugła. ZNAM go. Ostrzegł mnie ostatnim...

Krzyknęła. Posadził ją. Ugryzła go w nos. Zaczęła dźgać papierosem.

Sparzyła mu usta. Sparzyła nos. Sparzyła szyję. Cisnął nią. Wpadła na kraty. Złapał ją za szyję i przydusił.

Rozdarł jej spodnie. Uwolnił z nich nogę. Krzyknęła i upuściła papierosa.

Załoczył jej pętlę na nogę. Założył pętlę na szyję. Opasał ją. Podciągnął. Wyprostował opasaną nogę. Przywiązał sznur do krat.

Rzucała się. Wierzgała. Szarpała. Targała za sznur przy szyi. Łamała paznokcie. Kaszłąc, wypluła protezy.

Wtedy przypomniał sobie, że ona miała kota.

41

(Las Vegas/Los Angeles/Chicago/Waszyngton, DC/Chattanooga, 14 lutego 1964–29 czerwca 1964)

Pracował. Żył praktycznie w samolotach. Szufladkował. Sprawy prawne: apelacje i wnioski. Sprawy finansowe: defraudacje i dziesięciny.

Coraz lepiej kłamał. Przyglądał się Jane. Od niej uczył się technik kłamania. Żonglował zobowiązaniami.

4.03.1964: Jimmy Hoffa idzie na dno. Chattanooga – sprawa Test Fleet – tuzin nieczułych na łapówki przysięgłych.

Littell składał apelacje. Prawnicy Teamstersów ślali poręczenia. Teamstersi wydali oświadczenie: Kochamy Jimmy’ego Hoffę. Będziemy stać za nim niewzruszenie.

Jimmy dostał osiem lat w więzieniu federalnym. Proces nr 2 w toku. Chicago – oszustwa w Funduszu Emerytalnym – najprawdopodobniej wyrok skazujący.

„Prawdziwe” księgi były bezpieczne. Mieli je Chłopcy. Plan ich wykorzystania miał wreszcie ruszyć z miejsca.

Littell pisał wnioski. Ludzie Jimmy’ego piali z zachwytu. Littell pisał coraz więcej. Littell wysyłał coraz więcej pism. Littell zarzucał nimi sądy.

Grajmy na zwłokę. Nie mówmy o niczym Jimmy’emu. Grajmy na zwłokę i opóźniajmy – o trzy lata, może i dłużej. Drak wówczas posiada już Vegas. Chłopcy posiadają Draka. Plan z księgami Funduszu będzie przynosił ZYSKI.

Pracował dla Draka. Przygotowywał urzędowe pisma w sprawie TWA. Drak go hamował. Drak unikał wezwań. Pomagał mu prywatny łaps Fred Otash.

Otash zarządzał sobowtórami – klonami Howarda Hughesa – urzędnicy z wezwaniem dostarczali korespondencję *im*. Otash był sprytny. Otash był równie wszechstronny jak Pete. Otash przeprowadzał szantaże. Otash handlował prochami. Otash załatwiał skrobanki.

Drak tkwił w swojej trumnie. Zajmowali się nim mormoni. Drak ssał krew.

Drak pożerał demerol. Drak szprycował się kodeiną. Drak wykonywał telefony. Drak sporządzał notatki. Drak oglądał kreskówki.

Drak często dzwonił do Littella. Drak prowadził monologi:

Strategia udziałowa/ potencjalne ceny/ plaga zarazków. Wytępić wszystkie wirusy! Wytępić wszystkie bakterie! Na klamki założyć prezerwatywy!

Drak pragnął Las Vegas. Drak obnażył kły. Drak miał pożądanie w oczach. Drak się pysznił. Drak ssał krew.

Littell rozpieszczał Draka. Hołubił Draka. Obnażał swoje kły. Kąsał Draka. Jane mu pomagała.

Wymuszał od niej tę pomoc. Spijał śmietankę z jej fachowości. Kochał ją. Ona kochała jego. Wierzył, że to prawda. Ona kłamała, żeby żyć. On kłamał, żeby żyć. Przez to wszystko jego percepcja mogła być upośledzona.

Mieszkali w LA. Latali do DC. Lubili pracę w weekendy. On przygotowywał pisma. Ona – sprawozdania finansowe dla Hertz. Chodzili po DC i zwiedzali.

Próbował pokazać jej siedzibę Teamsters. Zaczerwieniła się i wzdrygnęła. Była *zbyt* stanowcza. Odwołała go gdzie indziej. *Siliła się* na obojętność.

Przypomniał mu się moment w LA – niedawna rozmowa.

Powiedział: „Mogę załatwić ci pracę u Teamstersów”. Ona: „Nie”. Była nieustępliwa. Wydała mu się wtedy dziwna.

Znała Chłopców. Unikała Vegas. Chłopcy tam właśnie się zabawiali. Rozmawiali o tym. Jane była skryta. Jane *siliła się* na obojętność.

Teamstersi ją przerażali. Wiedział to. Ona wiedziała, że on wie. Kłamała. Pomijała. On odwdzięczał się jej tym samym.

Obserwował Jane. Pozwalał sobie na wnioski. Naprawdę *miała* na imię Arden. Naprawdę pochodziła z Missisipi. Naprawdę uczyła się w De Kalb.

Był podejrzliwy. Ona odwdzięczała mu się tym samym.

Przejrzała niektóre rachunki Hughesa. Przystudiowała je. Wyjaśniła, jak można wykryć defraudację. Ciekawiło ją, *dlaczego* chciał to wiedzieć.

Kłamał. *Wykorzystywał* ją. Pomagała mu skubać Howarda Hughesa.

Kradł dowody wpłaty. Fałszował księgi. Poprawiał rachunki. Przekierowywał wpłaty. Przekazywał je na podstawione konto.

Jego konto – Chicago – Bank Handlowy.

Prał pieniądze. Realizował czeki. Słał dziesięcinę dla SCLC. Czeki podpisane lewym nazwiskiem – jak na razie na sześćdziesiąt kawałków – miało być więcej.

Wpłaty pokutne. Niwelacja szkód. Tajna operacja przeciwko FBI.

Wpłacał też pieniądze od mafii. Pan Hoover prowadził księgowość. On spotykał się z Bayardem Rustinem. Przekazywał mu datki.

Panu Hooverowi zdawało się, że zna Littella. Pan Hoover błędnie interpretował jego zaangażowanie. Pan Hoover rozmawiał z Littellem przez telefon. Pan Hoover błędnie interpretował jego poczucie lojalności.

Pan Hoover rozmawiał ze swymi korespondentami. Pan Hoover wyjawiał im brudy z podsłuchów. Pan Hoover atakował doktora Kinga. Dziennikarze otrzymywali obelgi. Ubierali je w odpowiednie słowa. Drukowali. Zatajali źródło.

Pan Hoover mówił swoje. Bayard Rustin mówił swoje. Lyle Holly mówił swoje. Wszyscy mówili o prawach obywatelskich.

LBJ przepchnął swój wielki projekt ustawy o prawach obywatelskich. Pan Hoover nie mógł tego ścierpieć – *ale*:

Wisi nad nim widmo siedemdziesiątki. Widmo przymusowej emerytury. LBJ mówi: „Zostań i pokaż, co potrafisz”.

Pan Hoover dziękuje. To oznacza konieczność rewanzu. LBJ mówi: „A teraz zajmij się w moim imieniu walką z Klanem”.

Pan Hoover się zgadza. Pan Hoover się dostosowuje. Nowy Klan jest *outré*. Pan Hoover to wie.

Stary Klan rozpowszechniał nienawistne pamflety. Stary Klan podpalał krzyże. Stary Klan obcinał jaja. Kastracja była przestępstwem stanowym. Pocztowe malwersacje – federalnym.

Stary Klan manipulował przy maszynach do frankowania. Stary Klan kradł znaczki. Stary Klan rozsyłał nienawistne pamflety. W ten sposób łamał prawo federalne.

Zawartość ich korespondencji była zgodna z prawem. Metody jej wysyłania – nie. FBI walczyło ze Starym Klanem. Miało niewielkie uprawnienia. Środki stosowane przeciwko Klanowi były łagodne.

Nowy Klan to były podpalenia. Nowy Klan to były morderstwa. Najbardziej zapalnym punktem było Missisipi.

Młodzież gromadzi się, by bronić praw obywatelskich. Nadciąga „Lato Wolności”. Klan już się czai. Tworzą się nowe klawerny. Wstępują do nich gliniarze. Klawerny trzymają się razem.

Biali Rycerze. Królewscy Rycerze.
Klaxtorowie/Kleagle’owie/Kladdowie/Kluddowie/Klokardowie. Klan-klawe

i Klan-wokacje.

Bomby w kościołach. Zabójstwa i okaleczenia. Trójka młodych ludzi w okręgu Neshoba – zaginieni, prawdopodobnie martwi¹⁵.

LBJ wypowiada wojnę. Zjeżdżają dwie setki agentów. Z tego setka do Neshoby – na trzy potencjalne ofiary – czyli trzydziestu trzech agentów na głowę.

Z wizytą przybywa doktor King. Przybywa Bayard Rustin. Bayard Rustin relacjonuje wszystko Littellowi. Littell sprawdza w atlasie. Tuż obok Neshoby leży De Kalb. A tam znajduje się szkoła Jane.

Pan Hoover czuł się rozdarty. Ta wojna go wykańczała. Ta wojna go obrażała. Ta wojna przyniosła chlubę FBI. Pan Hoover przyjął pochwały – niechętnie. Ta wojna zakłóciła mu spokój ducha.

Ta wojna była *outré*. Przybierała na sile. To nie pasowało jego informatorom z klawern. Informatorzy przenikali do klawern. Donosili o malwersacjach pocztowych. Byli przenikliwi. Byli rasistami. Podporządkowywali się „Wytycznym” Biura:

„Dopuszczalne ryzyko” i „Zezwolenie na stosowanie przemocy”. „Wykaz działań spornych”.

Pan Hoover czuł się rozdarty. Ta wojna tak go rozdarła. LBJ okaleczył jego rasistowską estetykę. Ale jeszcze się odkuje. Będzie walczył z Kingiem. Doczeka zadośćuczynienia.

Pan Hoover do niego dzwonił. Rozmawiali i ścierali się słownie. Pan Hoover drwił z Bobby’ego.

LBJ nienawidził Bobby’ego. LBJ *potrzebował* Bobby’ego. Mógł wysunąć kandydaturę Bobby’ego na urząd wiceprezydenta.

Littell odtwarzał taśmy z Bobbym. Takie późnowieczorne pojednanie. Niekiedy nagrania budziły Jane. Jane słyszała głosy przez sen.

Kłamał. Mówił: „Nie śniło ci się – odtwarzałem taśmy z zeznaniami”.

Pan Hoover śledził ruchy Bobby’ego – wciąż jeszcze prokuratora generalnego. Bobby *powinien* ustąpić. Na jego urząd *powinien* wstąpić Nick Katzenbach.

Mogłaby wówczas zapanować federalna gorączka. Federalna gorączka *mogłaby* uderzyć w Las Vegas. Pan Hoover *mógłby* go ostrzec. Chłopcy *mogliby* powiedzieć: tak – zatrudnij ludzi do odciążania; a Wayne Senior *mógłby* mu ich dostarczyć.

Jadł lunch z Wayne’em Seniosem – raz w miesiącu – udawali wzajemny

szacunek. Wayne Senior miał wizję Vegas pod panowaniem Drakuli. Wayne Senior zapragnął wyrwać dla siebie jakiś kęs.

Porozmawiajmy. Umieścmy moich mormonów w pobliżu Hrabiego. Zapuścmy zęby w starego Draka.

Loty czarterowe z wywożeniem pieniędzy *mogły* okazać się sukcesem. Littell wiązał z tym własny plan. Pragnął *jeszcze* jednego źródła dziesięciny.

Pieniądze go *posiadły*. Pieniądze go *poniosły*. Miał swoje finansowe układy. Formował finansowe więzi. Miał tylko jednego niefinansowego przyjaciela.

Pete wyjechał z Vegas – w połowie lutego – wrócił nieutulony w żalu.

Pete poleciał do Dallas. Pete przyleciał z powrotem. Pete wrócił z bliznami po papierosie i z kotem. Littell kupił gazety z Dallas. Prześledził notatki z ostatnich stron.

Proszę... SAMOBÓJSTWO PRAWDOPODOBNA PRZYCZYNA ŚMIERCI ARESZTOWANEJ PROSTYTUTKI.

Zadzwoił do Carlosa. Udawał głupiego. Carlos sam o tym wspomniał. Carlos się śmiał. Carlos powiedział, że odgryzła sobie język.

To oznaczało dwoje unieszkodliwionych. To oznaczało dwoje na wolności – Hanka K. i Arden-Jane.

Pete powiedział: „Nie tknę jej”. Pete nie rzucał słów na wiatr. Pete wyglądał na smutnego i słabego. Pete miewał migreny. Schudł. Uwielbiał swego kota.

Pete pragnął Monarchy. Pete wynajął prywatnego łapsa. Łaps obserwował Eldona Peavy’ego. Pozostańmy przydatni. Reaktywujmy Taxi Tygrys. Pomóżmy Chłopcom odrobić straty.

Pete miał finansowe układy. Pete formował finansowe więzi. Pete miał nowego kota. Pete miał młodszego brata. Wayne Junior *et* Pete.

*Les frères de sang. Littell, un conseiller des morts*¹⁶.

Wszyscy się boją. Wszyscy wiedzieli, co wydarzyło się w Dallas.

(Las Vegas, 14 lutego 1964–29 czerwca 1964)

NIENAWIŚĆ.

To ona go napędzała. To ona nim kierowała. Ona pchała go do działania. Dzięki niej pozostawał opanowany. Pozostawał usprawiedliwiony.

Nigdy nie powiedział CZARNUCH. Nie wszyscy oni byli źli. Wiedział o tym i pozostawał usprawiedliwiony. Wynajdywał tych złych. Oni go *znali*. Wayne Junior – ten *złyyyyyy*.

Pracował w Wild Deuce. Zadawał ból. Oszczędzał dłonie i używał pałki. Nigdy nie powiedział CZARNUCH. Nigdy nie pomyślał CZARNUCH. Nigdy nie zaakceptował tego pojęcia.

Brał w robocie po dwie zmiany. Pozostawał podwójnie usprawiedliwiony. Właściciel miał swoje zasady. Kierownik też miał zasady. Zasady rządziły w Deuce.

Wayne też miał zasady. Wayne wprowadzał je w życie. Nie obmacuj kobiet. Nie bij kobiet. Dzielki traktuj z szacunkiem.

Wprowadzał swe zasady w życie. Przerzucał most nad podziałami rasowymi. Wprowadzał w życie swoją Regułę Intencji. Przewidywał brutalne działania. Potrafił je udaremnić. Wkładał w to stosowną ilość siły.

Śledził ICH. Jeździł za NIMI. Przeczesał zachodnie LV. Szukał Wendella Durfee'ego. Nadaremnie. Wiedział to. To NIENAWIŚĆ go tam ciągnęła.

Odzyskał STRACH. STRACH kazał mu czasem *zostać*.

Wayne Junior – *złyyyy*. Zabija czarnych braci. Bije ciemnoskórych towarzyszy.

W Deuce oglądano walkę Liston–Clay. ONI przyszli. ONI się panoszyli. ONI wiwatowali.

Wyczuł intencję. Wcielił zasadę. Udaremnił. Paru muzułmanów zaczęło się przepychać. Wyrzucił ich. Ich prawa obywatelskie zostały pogwałcone.

ONI zawołali do niego „Junior”. Pasowało. Mile polechtało jego

NIENAWIŚĆ. To odróżniło jego NIENAWIŚĆ od nienawiści Wayne'a Seniora.

Obok przejeżdżał Sonny Liston. Sonny szanował Wayne'a, znał jego historię. Sonny powiedział: „Postąpiłeś właściwie”. Sonny był wkurzony. Cassius Clay złożył mu dupę¹⁷. Pieprzyć całe to muzułmańskie szambo.

Pojechali do Gęsi. Nawalili się. Przyciągnęli tłum. Sonny powiedział, że zna kupę czarnych. Czarni znają Czarnogród. Potrząsną właściwymi czarnymi drzewami i znajdą Wendella Durfee'ego.

Ta NIENAWIŚĆ:

Kradł żetony. Krążył po zachodnim LV. Rozdawał żetony naokoło. Nazywał je napiwkami. Płacił IM, żeby pomogli mu GO znaleźć.

ONI brali żetony. ONI go wykorzystywali, pluli na żetony i szli grać.

To było daremne. Wiedział o tym.

Kupował gazety z Dallas. Przeglądał strona po stronie. Nie znajdował nic na temat Maynarda Moore'a. Nie znajdował nic o Wendellu Durfeem.

Czytał niektóre notatki. Natykał się czasem na nazwisko sierżanta A.V. Browna. Sierżant Brown pracował w Wydziale Zabójstw.

Sierżant Brown wiedział, że to on zabił Maynarda Moore'a. Sierżant Brown nie miał dowodu ani ciała. Sierżant Brown go nienawidził. Podobnie jak Dwight Holly.

Holly go śledził – w niektórych miejscach/ co którąś noc. Wycieczki po zachodnim LV – najwyżej dziesięćminutowe. Ogony na pokaz. Jawne ogony/ ogony z urazy wzięte. Zderzak w zderzak.

Holly go śledził. Holly wiedział o jego poczynaniach w Czarnogrodzie. Holly był fedziem. Holly z pozoru był za Murzynami. Te zabójstwa wkurwiły Holly'ego. Te zabójstwa spieprzyły jego stosunki z Wayne'em Seniosem.

Znali się długo. Śmiali się z tych samych żartów jeszcze w Indianie. Łączyła ich ta sama czysta NIENAWIŚĆ.

NIENAWIŚĆ ciągnęła ich w różne miejsca. NIENAWIŚĆ Wayne'a ciągnęła go na ranczo. Jeździł tam regularnie. Czuł potrzebę i ją pielęgnował. Wybierał najlepsze momenty.

Janice wychodzi. Wayne Senior wychodzi. On patrzy na nich, jak znikają, i wchodzi. Idzie do garderoby. Czuje zapach Janice. Dotyka jej rzeczy.

Czyta akta Wayne'a Seniora. Czyta jego pamflety.

Papieska Pępowina. Statek do Kongo – bilety w jedną stronę na rejs

Titanikiem.

Pamflety sięgały roku 1952. Pamflety „dotykały” Little Rock. Pamflety „obnażały” Emmetta Tilla¹⁸. Szczeniaki z Little Rock roznosiły rzeźaczkę. Emmett Till gwałcił białe dziewczęta.

Wszystko bzdury. Wszystko to czysta i tchórzliwa NIENAWIŚĆ.

Wayne Senior kłamał – „»Poszerzyłem« w zeszłym roku zakres swojej działalności”. Bzdura – Wayne Senior ział nienawiścią *od dawna*.

Pamflety NIENAWIŚCI. Komiksy NIENAWIŚCI. Podręczniki NIENAWIŚCI. Alfabet NIENAWIŚCI.

Wayne przejrzał teczkę z korespondencją Wayne’a Seniora. Pan Hoover pisał notatki służbowe. Dwight Holly pisał listy. Od długiego czasu, jak to pomiędzy starymi kumplami – od 1954 roku.

1954 – to było szaleństwo. Sąd Najwyższy zniósł segregację w szkołach. Ku Klux Klan rozszalał się na nowo.

Pan Hoover szalał. Pan Hoover wyznaczył Dwightowi Holly’emu nowe zadanie. Holly znał Wayne’a Seniora. Pan Hoover uwielbiał jego pamflety. Pan Hoover je kolekcjonował. Pan Hoover się nimi chwalił. Pan Hoover dzwonił do Wayne’a Seniora.

Rozmawiali. Pan Hoover przynudzał:

Kolportuj pamflety nienawiści. *Ktoś* musi to robić. Są nieszkodliwe. Są zabawne. Przemawiają do prowincjonalnej prawicy. Prowincjonalna prawica jest podzielona. Prowincjonalna prawica to same tępaki.

Ty masz kwalifikacje do siania nienawiści. *Ty* możesz pomóc mi umieścić informatorów. Umieścimy ich w komórkach Klanu. Dwight Holly będzie ich nadzorował. Będą donosić o malwersacjach pocztowych. Pognębią twoją konkurencję. Będą pomagać FBI.

Wayne przeczytał notatki. Pisał pan Hoover. Pisał Dwight Holly. Klanowi klauni klecili klechdy. Lgnęli do Wayne’a Seniora. Piali na jego cześć. Opisywali swoje starcia z asfaltami.

Korespondencja urywała się nagle – lato 1963. Żadnych notatek służbowych od federalnych/ żadnych listów od informatorów/żadnych komunikatów: *Ale jak to? Dlaczego?*

Wayne uwielbiał notatki federalnych. Styl federalnych iskrzył: „Wytyczne odnośnie do ciężkich przestępstw”. „Dopuszczalne działania w celu wzmocnienia wiarygodności informatora”.

Wayne uwielbiał notatki Klanu. Ich treść olśniewała. Ich styl iskrzył.

Wayne Senior przekupywał wsioków. Wayne Senior ich rozpieszczał. Żyli z federalnych pieniędzy. Kupowali kukurydzianą wódkę. Dopuszczali się „nieszkodliwych napadów”.

Jedna notka wzburzyła w nim krew. Pisał Dwight Holly – 8.10.1957.

Holly chwalił Wayne’a Seniora. Holly się zachwycał: Wytrzymałeś/zachowałeś kamienną twarz.

6.10.1957. Shaw w stanie Missisipi. Sześciu członków Klanu łapie Murzyna. Mają przy sobie tępy nóż. Obcinają Murzynowi jaja. Na jego oczach karmią nimi psa. Wayne Senior patrzy.

Wayne przeczytał notatkę. Przeczytał ją pięćdziesiąt razy. Oto, czego się dowiedział:

Wayne Senior się ciebie boi. Wayne Senior boi się twojej NIENAWIŚCI. Jest nieposkromiona. Nie da się w żaden sposób wykorzystać. Jest nieukierunkowana.

Nienawiść Wayne’a Seniora była maluczka. Wayne Senior ją ukierunkował. Wayne Senior próbował okiełznać i jego NIENAWIŚĆ.

Wayne Senior odtworzył mu nagranie z podsłuchu. Wayne Senior odtworzył je przy drinkach. Data: 8.05.1964. Miejsce: Meridian, Missisipi.

Rozmawiało czterech działaczy na rzecz praw obywatelskich – czterech Murzynów. Murzyni lżyli białe dziewczęta. Rzeczone dziewczęta to były „wyzwolone pizdy”. Rzeczone dziewczęta to były „wielkie dziury wystawione dla czarnych pałek”.

Wayne słuchał. Wayne odtwarzał taśmę – trzydzieści osiem razy.

Wayne Senior puścił mu film federalnych. Wayne Senior puścił mu go przy lunchu. Data: 19.02.1964. Miejsce: Nowy Jork.

Klub folkowy/ tańce/ ciemne wargi i ciemne malinki.

Wayne oglądał. Wayne odtwarzał film – czterdzieści dwa razy.

NIENAWIŚĆ:

Obserwował ICH. Odnajdywał ICH. Dostrzegał ICH w tłumie. Napędzała go NIENAWIŚĆ. NIENAWIŚĆ zbliżyła go z Wayne’em Seniozem.

Rozmawiali. Szambo wokół nich gęstniało. Szambo osiągało punkt kulminacyjny i się rozrzedzało. Janice z nim rozmawiała. Janice mu się przyglądała. Janice częściej go dotykała. Ubierała się dla niego. Ścięła włosy. Nosła je teraz tak jak Lynette.

Lynette go straciła. Miała tego świadomość. Wiedziała, że Dallas ją od niego odciął. Uciekał od niej. Ukrywał się. Wystarczał mu seks, który nosił

w głowie.

Janice i Barb. Ujęcia z rancza. Obrazki z baru.

Własny dom go wkurwiał. Wendell Durfee wyważył drzwi. Lynette tutaj umarła.

Wyrzucił łóżko. Zdarł farbę. Pozbył się krwawych plam. Nie wystarczyło.

Sprzedał dom. Ze stratą. Zaszalał. Pojechał do Dunes i zagrał w kości.

Wygrał sześćdziesiąt kawałków. Grał całą noc. Przerznął całą wygraną. Moe Dalitz go obserwował. Moe zafundował mu rano naleśniki.

Przeprowadził się do domku gościnnego Wayne'a Seniora. Założył telefon. Odbierał fałszywe cynki i prowadził ich rejestr.

Miał dwa pokoje. Miał widok. Janice się przechadzała. Janice się przebierała. Janice ćwiczyła krótkie wybiecia przez okno.

Mieszkał w domku gościnnym. Grał w Salonie Sułtana. Spotykał się z Pete'em. Patrzyli razem na Barb i się bratali.

Pete go przedstawił. Wayne się zaczerwienił. Pojechali do Sands. Pili mrożone mai tai¹⁹. Rozmawiali. Barb się ubzdryngoliła i zaczęła mówić o seksualnych szantażach. Barb powiedziała: „Pracowałam nad JFK”.

Urwała – spojrzenia powędrowały w różne strony – spojrzenia się rozpierzchły. Barb wiedziała o Dallas. Spojrzenia mówiły: „Wszyscy o tym wiemy”.

To było w marcu. Pete i Barb wrócili z Meksyku. Byli opaleni.

Polecieli do Acapulco. Wrócili dziwni. Pete wychudł. Barb wychudła. Pete miał blizny na wargach. Mieli kota – prądkowanego kocura – czcili i wielbili jego parszywy zadek.

Wayne zadzwonił do Warda Littella. Wayne spytał: „Co się dzieje z Pete'em?”. Wayne wspomniał o jego „młodszym bracie”. Ward wyjaśnił mu wszystko:

Pete zabił swojego brata. Pete schrzanił akcję. Pete zabił François'a B. przez przypadek. Był rok 1949. Wayne miał wtedy piętnaście lat. Wayne mieszkał w Peru w stanie Indiana.

Pete otrzymywał telefony. Pete wyjeżdżał z Vegas. Wayne zjadł z Barb lunch. Rozmawiali. Na same bezpieczne tematy. Nie wspominali o pracy Pete'a. Mówili o siostrze Barb w Wisconsin. Mówili o jej barze. Mówili o tym śmieciu, eks-mężu Barb.

Barb się z Wayne'em drażniła. Barb widziała go z Janice. Przyznał się, że durzy się w niej od szesnastu lat.

Pete mu ufał. Pete wiedział, że durzy się w Barb. Pete uznał to za szczeniacką miłośćkę. Barb była świetna. Barb go bawiła. Barb odciągała jego uwagę od NICH.

Naciskał na Pete'a – znajdź mi *prawdziwą* robotę – Pete się migał. Naciskał na Pete'a w sprawie Dallas – podaj mi więcej szczegółów – Pete się migał.

Spytał: „Dlaczego jesteś taki wykończony i masz takiego pierdolca na punkcie tego kota?”.

Pete powiedział: „Zamknij się”. Pete powiedział: „Więcej się uśmiechaj i nie ziej tak nienawiścią”.

43

(Dallas/Las Vegas/Acapulco/Nowy Orlean/Houston/Pensacola/Los Angeles, 14 lutego 1964– 29 czerwca 1964)

Znalazł tego kota. Przywiózł go. Kot wylądował w Vegas. Kot wylądował w hotelu Stardust.

Kot wylądował w ich apartamencie. Kot raczył się żarciem dostarczanym przez obsługę. Barb robiła pieprzone zamieszanie. Ktoś cię, kurwa, z krzyża zdjął? Poleciałeś. Przyleciałeś. Wróciłeś do domu ledwo żywy. Nie jesz, jak należy. Nie śpisz, jak należy. Cały się *trzęsiesz*.

Wszystko to była prawda. W dodatku odpalał papierosa od papierosa. Zgrzytał zębami. Upijał się, by zasnąć. Wciąż śnił mu się jeden koszmar:

Saipan, 1943. Japońcy. Drogi poprzegradzane cieniułkami drutami. Przejeżdżają jeepy. Druty tną gładko. Lecą głowy.

Głowa wciąż go bolała. Pił whisky. Łykał aspirynę. Przerazała go konieczność zaśnięcia. Czytał książki. Oglądał telewizję. Bawił się z kotem. W rękach czuł mrowienie. Częściej sikał. Drętwiały mu stopy.

Walczył z tym. Poleciał do Nowego Orleanu. Skombinował cienki drut. Zaczaił się na Carlosa. Zastanawiał się. Zrobił w myślach listę za i przeciw. Przeciw ostatecznie zwyciężyło.

Nie porywaj się na to. Chłopcy zabiliby Barb – tak na początek. Zabiliby jej matkę. Zabiliby jej siostrę. Wybiliby do nogi Lindscottów.

Poleciał z powrotem do Vegas. Znalazł opiekunkę dla kota. Barb wzięła tydzień wolnego. Polecieli do Acapulco. Dostali apartament na klifie z widokiem na morze. Przyglądali się, jak mekse nurkują, żeby wyłowić rzucane przez turystów monety.

Zdobył się na odwagę. Posadził Barb. Opowiedział jej WSZYSTKO.

O François i Ruth Mildred Crossmeyer. O każdej jednej mokrej robocie, za którą dostał pieniądze. O Betty Mac. O pętli na kratkach. O paznokciach przy szyi.

Sypał faktami. Sypał nazwiskami. Sypał liczbami. Sypał szczegółami. Sypał nowymi brudami z Dallas. Sypał informacjami o Wendellu D. i Lynette.

Barb uciekła.

Spakowała walizkę. Uciekła. Wyprowadziła się. Usiłował ją zatrzymać. Złapała jego pistolet. Wycelowała w niego.

Dał spokój. Uciekła. On upijał się i patrzył na klif. Urwisko miało ze dwieście metrów wysokości.

Podbiegł. Zawahał się. Podbiegał dziesięć razy. Podbiegał po pijaku i na trzeźwo. Dziesięć razy wymiękł. Osunął się na ziemię i oplótł ramionami. Okazał się śmierdzącym tchórzem.

Zdobył trochę anielskiego pyłu. Przesypiał całe dnie. Zaszył się w pokoju. Łykał prochy. Spał. Łykał. Spał. Obudził się i pomyślał, że umarł.

Była z nim Barb. Powiedziała: „Zostanę”. Rozplakał się i porwał pościel na łóżku.

Barb go ogoliła. Barb nakarmiła go zupą. Barb odwiodła go od prochów i skoków z urwiska.

Polecieli do LA. Spotkał się z Wardem Littellem. Ward wiedział o Betty. Carlos się pochwalił.

Poczynili plany. Omówili środki ostrożności. Ward był bystry. Ward był dobry. Ward zrobił z Arden Jane.

Szambo wyglądało teraz inaczej. Ward powiedział, że rozumie. Vegas wyglądało inaczej – ostre barwy i skwar.

Wygrał zakład postawiony na Claya. Urządził kotu apartament. Skasował okrągłą sześciocyfrową sumkę. Kot urzędował. Kot łaził po meblach. Kot skakał. Kot łowił myszy na ścianach.

Pete zadzwonił do Farlana Mossa. Moss był zastępcą szeryfa. Moss z rozmachem łapał pedałów i dziwki. Pete go wynajął. Robota: znajdź brudy na Taxi Monarchę i Eldona Peavy'ego. Moss powiedział, nie ma sprawy. Moss obiecał pełną jawność. Moss obiecał wyniki.

Carlos zadzwonił do Pete'a. Carlos nie wspomniał o Betty. Carlos był miły.

– Pete, mam nadzieję, że przejmiesz Monarchę. Sam chętnie wykupiłbym parę udziałów...

Pete powiedział:

– Niestety.

Zamajaczyła Betty Mac.

Carlos powiedział:

– Zaczekajmy na Hanka K.

Pete powiedział:

– Okej.

Pete siedział i czekał. Odstawił szkocką. Lepiej teraz spał. Koszmary ustąpiły.

Kumplował się z Wayne'em. Kumplował się z kotem. Od czasu do czasu sprawdzał Monarchę. *Ślinił się*. Zadzwoił do Freda Otasha. Zadzwoił do kumpli gliniarzy. Sprawdzili odzew na list gończy.

Wendellu Durfee – gdzie jesteś? Wendella Durfee'ego *brak*.

Nosiło go. Pojechał do Dallas. Betty Mac majaczyła i zostawiała wszędzie upiorne ślady. Posprawdzał tu i ówdzie. Sprawdził w Wydziale Policji Dallas. Nie znalazł tropów Durfee'ego ani żadnych wskazówek.

Zadzwoił Carlos. Carlos powiedział: „Jedź, stuknij Hanka Killiama”.

I Pete pojechał do Houston. I zabrał Chucka Rogersa. Chuck wciąż mieszkał z rodzicami. Rodzina świrów. Nawet spać chodzili w szatach Klanu.

I Pete, i Chuck ruszyli na wschód – w stronę Pensacoli.

Jechali bocznymi drogami. Nie spieszyli się. Gadali o Wietnamie. Był tam teraz John Stanton. CIA miała kupę roboty. Chuck znał gościa z żandarmerii wojskowej w Sajgonie – facet nazywał się Bob Relyea – eks-strażnik więzienny, eks-członek Klanu.

Chuck rozmawiał z Bobem. Ucinali krótkofalowe pogawędki. Bob wychwalał Wietnam, non stop. Było *gorąco*. Było ekstra. To była Kuba na amfie.

Chuck gadał o Kubie – *Viva la Causa!* – Pete nabijał się z „rekrutów” w De Ridder. Zgodzili się – trzeba było załatwić Hanka Hudspetha i Guya B. Za dużo pili. Za dużo gadali. Sprzedawali beznadziejną broń.

Południe pławiło się w obłędzie – wiosenne deszcze i wielkie wudu.

Jechali przez Luizjanę. Nocowali w obozach dla uchodźców. Chuck musztrował rekrutów. Pete czyścił brudną broń.

Rekruci urągali wszelkim standardom. To był zwykły kubański motłoch. Prysnęli z Kuby. Wyemigrowali. Żyli na garnuszku prawicy. Brakowało im jaj. Brakowało umiejętności. Brakowało sprawności. Brakowało zdolności zachowania się w różnych sytuacjach.

Chuck znał wszystkie boczne drogi. Chuck znał bary z grillowanymi żeberkami na całym Południu. Przejechali przez Missisipi. Przejechali przez Alabamę. Unikali wozów federalnych. Napotykali płonące krzyże. Chuck znał chłopaków w białych płachtach w całym stanie.

Miłe dzieciaki – trochę tępawe – trochę endogamiczne.

Nocowali w obozach Klanu. Wyjeżdżali o świcie. Mijali spalone kościoły. I stojących przy nich zdekościelnionych czarnuchów.

Chuck się śmiał. Chuck machał. Chuck wrzeszczał: „Siemanko!”.

Dotarli do Pensacoli. Czatowali na Hanka K. Hank K. nie opuszczał domu. Wdarli się do środka. Podcięli mu gardło. Wozili jego ciało po mieście. Włóczyli się. Krążyli tak do 3.00 nad ranem. Znaleźli witrynę sklepu z telewizorami.

Wrzucili Hanka do środka. Hank zbił szybę. Hank rozbił odbiorniki.

„The Pensacola Tribune”/ trzecia kolumna/ strona 2: NIEZWYKŁE SAMOBÓJSTWO. SKOK PO ŚMIERĆ WŚRÓD TELEWIZORÓW.

Chuck poleciał potem do Houston. Pete pojechał do Vegas. Pete nie przejął się Hankiem K. Hank był facetem. Hank znał zasady. Hankowi nie przysługiwała płciowa taryfa ulgowa.

Pete zabijał czas. Pete kumplował się z kotem. Pete kumplował się z Wayne'em. Oglądali występy Barb. Siadali przy estradzie. Wayne nie odrywał oczu od Barb. Wayne się nie krył. Wayne w ten sposób adorował kobiety.

14.06.1964: umiera Guy Banister. Zawał nr 4. Chuck dzwoni. Chuck się chełpi. Chuck wyjaśnia.

To Carlos powiedział: „Zabij go”. Chuck zastosował przedawkowanie napaństwa.

Chuck się śmiał. Chuck powiedział: „Nie czuj się pokrzywdzony. Carlos chciał ci dać wytchnąć”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.06.1964. Raport poufny. Od: Farlan D. Moss. Sporządzony dla: Pete Bondurant. Temat: „Działalność przestępcza Eldona Lowella Peavy'ego (biały, lat 46), korporacja Taxi Monarcha i hotel-kasyno Golden Cavern/ lista znanych powiązań przestępczych”.

Panie Bondurant,

zgodnie z daną obietnicą przesyłam mój raport i kopie kartotek znanych

kontaktów Peavy'ego. Tak jak się umówiliśmy, proszę nie robić żadnych zapisków i zniszczyć wszystko zaraz po przeczytaniu.

PRAWO WŁASNOŚCI I LICENCJE/ STATUS PODATKOWY LEGALNIE POSIADANYCH FIRM

Obiekt PEAVY jest jedynym właścicielem Korporacji Taxi Monarcha (licencja wydana przez władze okręgu Clark 1.09.1955), hotelu-kasyna Golden Cavern (licencja Nevadzkiego Komitetu Gier z dn. 8.06.1957), sklepu Sierżant Sid (pozwolenie na prowadzenie działalności przekazane ob. PEAVY'EMU dn. 16.12.1960) oraz baru Cockpit Cocktail w Reno (nevadzka licencja na sprzedaż alkoholu nr 6044 z dn. 12.02.1958). (Uwaga: rzeczony bar to miejsce spotkań homoseksualistów). Wszystkie licencje PEAVY'EGO są ważne i legalne, podobnie jak jego rozliczenia podatkowe z władzami federalnymi, stanowymi i okręgowymi (okręgi Clark/Washoe), włączając w to podatek od prowadzenia działalności gospodarczej, podatek od dochodów osobistych, podatek od nieruchomości i podatek na fundusz świadczeń pracowniczych. Bez zarzutu pozostaje także kwestia rejestrowania zatrudnianych przez niego byłych więźniów. Obiekt PEAVY (bez wątpienia pragnąc strzec swojej reputacji i zachować miejsce w Nevadzkiej Komisji Kontroli Gier oraz w Komisji Kontroli Sprzedaży Wyrobów Alkoholowych Okręgu Clark) skrupulatnie prowadzi wszelkie obowiązkowe rejestry i przestrzega obowiązujących przepisów dotyczących prowadzenia działalności gospodarczej.

NIELEGALNA DZIAŁALNOŚĆ (PROWADZONA W WW. FIRMACH)

Wszystkie cztery firmy PEAVY'EGO pozostają przedsiębiorstwami o charakterze przestępczym i służą jako miejsca spotkań znanych kryminalistów i homoseksualistów. Wszystkie są chronione przez policję, co może stanowić przeszkodę w Pańskiej strategii przejęcia. Bar Cockpit (ochroniany przez Wydział Szeryfa Okręgu Washoe) jest punktem dystrybucji homoseksualnej pornografii (filmy i zdjęcia), gadżetów erotycznych meksykańskiej produkcji i fiolek z azotanem amyłu, wykradanych z Centrum Medycznego Okręgu Washoe. W lokalu tym

gromadzą się męskie prostytutki, a budki telefoniczne są wykorzystywane jako punkty kontaktowe dla „Randki z Chłopcem”, usługi świadczonej w Cockpit pod kierownictwem miejscowych barmanów. Barmani ci to: RAYMOND „GEJ RAY” BIRNBAUM (biały/ lat 39/ patrz: załączone kopie kartotek policyjnych) i GARY DE HAVEN (biały/ lat 28/ patrz: załączone kopie). Obiekt PEAVY rzekomo otrzymuje procent od wszystkich zysków czerpanych z przestępczej działalności prowadzonej na terenie Cockpit.

Sklep Sierżant Sid (E. Fremont 521) służy jako punkt wypadowy męskich prostytutek pracujących przed Glo-Ann Motel (E. Fremont 604) i jako punkt kontaktowy dla „Orłów” (starszych bądź żonatych homoseksualistów, którzy polują na młodych chłopców), dążących do nawiązania znajomości. Hazardziści, którym się nie powiodło, i studenci uniwersytetu Las Vegas, pragnący zarobić pieniądze, gromadzą się na parkingu i sypiają w samochodach w nadziei na „sponsorowane randki”. Kierownik sklepu, SAMMY „ŚLISKI” FERRER (biały/ lat 44/ także: kierowca w Taxi Monarcha/ patrz: załączone kopie), zezwala, aby „randki” owe odbywały się w pokojach na zapleczu sklepu, i często po kryjomu filmuje je przez ukryte otwory w ścianie. FERRER montuje materiał filmowy w krótkie „obrazki”, po czym sprzedaje owe „obrazki” w barze Hunky Monkey, przybytku słynącym z goszczenia homoseksualistów o brutalnych upodobaniach. FERRER i obiekt PEAVY także wyświetlają filmy pornograficzne (o treści zarówno homo-, jak i heteroseksualnej) w pokojach na zapleczu sklepu. Jest to rozrywka przeznaczona dla pracowników Monarchy i ich specjalnych klientów. (Uwaga: aktorzy ROCK HUDSON i SAL MINEO, a także były mistrz świata wagi ciężkiej SONNY LISTON są stałymi klientami Monarchy/Golden Cavern i często oglądają filmy w Sierżancie Sidzie).

Korporacja Taxi Monarcha i jej biuro/dyspozytornia (Tilden Street 919, północne Las Vegas) stanowi swoiste centrum dowodzenia nielegalnymi (aczkolwiek ochranianymi przez policję) interesami. Obiekt PEAVY zatrudnia 14 kierowców w pełnym bądź niepełnym wymiarze, z czego sześciu to prawdopodobnie homoseksualiści bez przeszłości kryminalnej, niekarani za żadne poważniejsze wykroczenia drogowe w stanie Nevada. Pozostała ósemka (wszyscy znani ze swych skłonności homoseksualnych) to:

Ww. SAMMY „ŚLISKI” FERRER, HARVEY D. BRAMS, JOHN „CHAMP” BEAUCHAMP, WELTON V. ANSHUTZ, SALVATORE „SATYNOWY SAL” SALDONE, DARYL EHMINTINGER, NATHAN

WERSHOW i DOMINIC „DŁUGI DOM” DELLACROCIO. Cała ósemka ma bogatą przeszłość kryminalną, włączając w to takie przestępstwa, jak sodomia, napady z bronią w rękę, gwałt na osobach nieletnich, męska prostytutka, posiadanie narkotyków, a także oddalone oskarżenia o zabójstwo (patrz: załączone kopie kartotek). DELLACROCIO, BEAUCHAMP, BRAMS i SALDONE pracują też przed hotelem-kasynem Golden Cavern jako męskie prostytutki. DELLACROCIO (kierowca Monarchy i tancerz rewii „Vegas A Go-Go” w hotelu Frontier) występuje także jako aktor w filmach pornograficznych. DELLACROCIO werbuje niekiedy innych tancerzy do pracy w charakterze męskich prostytutek.

Taxi Monarcha posiada i obsługuje nielegalnie zainstalowane automaty na monety w licznych barach w zachodnim Las Vegas. Są one nadzorowane przez MILTONA H. (HERMANA) CHARGINA (biały/ lat 53/ brak przeszłości kryminalnej), nie zdradzającego skłonności homoseksualnych byłego dziennikarza pism brukowych („Sensacje” i „Szeptem”), dyspozytora Monarchy (w niepełnym wymiarze godzin) oraz „oficera porządkowego” PEAVY’EGO, tj. człowieka, który dba o porządek wśród pracowników PEAVY’EGO.

Wszystkich 14 kierowców sprzedaje dostępne jedynie na receptę środki (barbiturany, kodeinę, pochodne amfetaminy) dostarczane im przez lekarzy z Las Vegas. (Owi lekarze otrzymują żetony miejscowych hoteli-kasyn, co stanowi część umowy pomiędzy szefami kasyn a obiektem PEAVYM. Patrz: Lista znanych kontaktów – spis lekarzy i pracowników kasyn).

Kierowcy sprzedają głównie Murzynom w zachodnim Las Vegas, Meksykanom i poborowym odbywającym służbę w Nellis w północnym Las Vegas, artystom estradowym występującym w barach, a także przybywającym z Los Angeles w celach rozrywkowych homoseksualistom, których limuzyny Monarchy odbierają z lotniska i odwożą do Golden Cavern. Podobnie jak inne, tak i te działania nie są ścigane przez WPLV ani przez szeryfa okręgu Clark.

Hotel-kasyno Golden Cavern (Saturn Street 1289, północne Las Vegas) ma 35 pokoi i 60 stolików do gry. Posiada stosowne zezwolenia, jest należycie prowadzone i gości głównie turystów i hazardzistów grających o raczej niskie stawki. Obiekt PEAVY i zatrudniany przez niego kierownik hotelu RICHARD „RÓZGA” RINCON (także występujący jako aktor w filmach pornograficznych) posiadają też sześć bungalów znanych jako „Groty

Zabawy” albo „Groty Rozpusty”, wynajmowanych odwiedzającym homoseksualistom, którym dostarcza się męskie prostytutki, egzotyczne trunki, jedzenie na wynos, projektory i filmy pornograficzne, jak również wyżej wspomniane nielegalne środki dostępne wyłącznie na receptę, plus azotan amylu i marihuanę. Liczne gwiazdy filmowe i telewizyjne są częstymi gośćmi w bungalowach. Bywają tam m.in. DANNY KAYE, JOHNNIE RAY, LIBERACE, WALTER PIDGEON, MONTGOMERY CLIFT, DAVE GARROWAY, BURT LANCASTER, LEONARD BERNSTEIN, SAL MINEO, RANDOLPH SCOTT i ROCK HUDSON. Ulubioną męską prostytutką wyżej wymienionych jest kierowca/tancerz/aktor porno DOMINIC „DŁUGI DOM” DELLACROCIO. Golden Cavern jest dobrze znana w homoseksualnym półświatku, a rezerwacji często dokonuje się przez tzw. pośredników, którzy bywają w miejscowych barach homoseksualnych schadzek, takich jak Klondike, Hunky Monkey, Risque Room i Gay Caballero.

PORNOGRAFICZNY INTERES ELDONA PEAVY’EGO

Czynnikiem, który najbardziej może ułatwić przejęcie interesów PEAVY’EGO, jest jego finansowanie i udział w pornobiznesie zapoczątkowanym w Chula Vista w stanie Kalifornia (miasteczko przygraniczne) i w Tijuanie w Meksyku. Biznes ów prosperuje dzięki meksykańskim policjantom, którzy zatrudniają, a często też zmuszają nieletnie dziewczęta do „grania” w filmach u boku dorosłych aktorów i zwierząt wykorzystywanych też w pokazach na żywo, odbywających się w Tijuanie. Dziewczęta to głównie uciekinierki z domu z Kalifornii i Arizony. Sześć z nich rozpoznałem, oglądając filmy i porównując aktorki ze zdjęciami w rejestrze osób zaginionych. Rozpoznane dziewczęta (MARILU FAYE JEANETTE/ l. 14, DONNA RAE DARNELL/ l. 16, ROSE SHARON PAOLUCCI/ l. 14, DANA LYNN CAFFERTY/ l. 13, LUCILLE MARIE SANCHEZ/ l. 16 i WANDA CLARICE KASTELMEYER/ l. 14) pojawiają się w sumie w 87 filmach, nakręconych w Tijuanie i sprzedawanych poprzez zamówienia telefoniczne realizowane drogą pocztową przez ww. znajomego PEAVY’EGO, SAMMY’EGO „ŚLISKIEGO” FERRERA (uwaga: są to też filmy pokazywane w sklepie Sierżant Sid).

Filmy mają treść zarówno hetero-, jak i homoseksualną. Ww. RICHARD

„RÓZGA” RINCON pojawia się w homoseksualnych filmach zatytułowanych: *Człowiek-Różga, Chłopiec-Różga, Król Różg, Ogier i Różga, Różga Be-Be i Zatknięta Różga*. Ww. DOMINIC „DŁUGI DOM” DELLACROCIO pojawia się w homoseksualnych filmach zatytułowanych: *Od tyłu, Pan wchodzący tylnymi drzwiami, Pan Podwieszony, Pan Wielki Ptak, Pan Półmetrowy, Pan Parówa, Parówa mniam-mniam, Parówa rozrabia, Parówa i Czekolada oraz Parówa i 69 Rozbójników*.

Ww. filmy są nagrywane na ośmiomilimetrowej taśmie i przesyłane do Sierżanta Sida z poczty głównej w Chula Vista. Ww. SAMMY „ŚLISKI” FERRER odbiera i przechowuje filmy w swoim mieszkaniu (Arrow Highway 10478, Henderson) i rozsyła je z poczty w Henderson. (Patrz: załączona lista z tytułami filmów, datami wysyłki z Chula Vista i Henderson oraz z nazwiskami i adresami odbiorców).

Podsumowując, uważam, że działana ELDONA LOWELLA PEAVY’EGO mogą podpadać pod w sumie 43 paragrafy kodeksu karnego stanu Nevada, stanu Kalifornia, stanu Arizona oraz prawa federalnego w związku z nakłanianiem do nierzędu i wykorzystywaniem nieletnich, z przewożeniem materiałów pornograficznych, a także ze współuczestnictwem w dystrybucji ww. materiałów. (Patrz: załączone kopie fragmentów kodeksu karnego oraz ustaw federalnych).

Raz jeszcze proszę, aby przeczytał to Pan i natychmiast zniszczył.

(Okręg Neshoba, 30 czerwca 1964)

Klimatyzacja padła. Littell otworzył okno.

Jechał autostradą I-20. Mijał wozy federalnych. Mijał furgonetki ekip telewizyjnych. Jechały za nimi wozy Klanu. Na owych wozach widniały skróty. „CJZK” oznaczało „Czy jesteś z Klanu?”. „ZKJJ” oznaczało „Z Klanu jam jest”.

Zadzwoił do pana Hoovera. Wspomnił o tej wycieczce. Pan Hoover go poparł. „Wyborny pomysł. Może pan się spotkać z Bayardem Rustinem i przyjrzeć się »Latu Wolności« na żywo. Z rozkoszą zapoznam się z pańskimi spostrzeżeniami, wykluczając pańskie promurzyńskie poglądy”.

Wiózł dwadzieścia kawałków. Dziesięć dla Bayarda Rustina/ dziesięć dla jakichś kubańskich uchodźców. Pete wygrał na walce Clay–Liston. Pete miał własną dziesięcinę do spłacenia.

Było gorąco. Robactwo bombardowało samochód. Klan-wozy śmigały obok. Klan-ciołki szczyrzyły do niego zęby. Klan-czubki działały mu na nerwy.

Wyglądał na fedzia. To czyniło go oczywistym celem. Miał broń pod ręką – bezpieczeństwo przede wszystkim.

Lyle Holly dzwonił do niego w Las Vegas. Lyle Holly kładł nacisk na ostrożność. Lyle Holly odradzał tę wycieczkę.

Nie rób tego. Wyglądasz jak fedzio. Klan cię nienawidzi. Biali cię nienawidzą. Lewicowcy chętnie flaki by ci wypruli.

Littell przejeżdżał obok bagna Bogue Chitto. Littell widział ekipy poszukiwawcze. Tamci młodzi ludzie nie żyli. Lyle tak twierdził. Pan Hoover twierdził, że jacyś Indianie znaleźli ich samochód.

To wyglądało na robotę Klanu. Pan Hoover był wkurzony. Teraz te dzieciaki zostaną męczennikami. I w dupę będzie można wsadzić autonomiczne prawa południowych stanów.

Littell jechał I-15. Littell słuchał radia. Szurnięci kaznodzieje prawili

kazania. To kłamstwo. To mistyfikacja. Gówniarze siedzą sobie spokojnie w Nowym Jorku.

Rozmawiał z Moe Dalitzem. Moe pogadał z Chłopcami. Wszyscy zgodzili się na plan z czarterami Hughesa. To oznaczało więcej pieniędzy – kolejne źródło dziesięciny.

Samochody jechały coraz wolniej. Gapie stali wzdłuż drogi. Wlokły się wozy federalnych. Wlokły się wozy transmisyjne. Ludzie wyciągali szyje.

Stanowi policjanci i biała hołota. Kury domowe i brzdące w betach. Poruszali rękami, dając sobie znaki – taki Klan-kod – konfidencjonalna konwersacja.

Littell zmienił pas. Littell skręcił ostro w prawo. Krzyż obok drogi. *Wykorzystany* krzyż – robota z ostatniej nocy – szmaty na spalonym drewnie.

Tłum gapił się na ten totem. Fedzie i Murzyni. Sprzedawcy lodów odarci z białych szat.

Jest Bayard Rustin – odstawiony, w prążkowanym lnianym garniturze.

Bayard go zobaczył. Bayard pomachał. Bayard podszedł. Jakiś facet rzucił jajkiem. Jakiś inny lodami z syropem owocowym. Trafili Bayarda bez pudła.

Zaparkowali. Obejrżeli spalony kościół.

Kościół został zmieciony z powierzchni ziemi. Obrzucony koktajlami Mołotowa. Ekipy techników zbierały szczątki bomb.

Littell wypłacił Bayardowi dziesięcinę. Bayard schował pieniądze do teczki. Bayard obserwował techników.

– Czy powinienem się cieszyć?

– O ile zrozumie pan, że to za sprawą Lyndona Johnsona.

– Pan Hoover nieźle pogrywa...

Słońce stało wysoko. Bayard usmarowany był jajkiem i stopionym lodem.

– Chce utrzymać gniew i nienawiść na właściwym, wedle jego mniemania, poziomie, a atak na Klan zapewni mu największy prestiż.

Bayard zabębnił o deskę rozdzielczą.

– Pozwolę sobie zadać pytanie. Lyle mówił, że pan się na tym zna.

– Słucham.

– Jest taka sytuacja: Martin i Coretta wchodzą do pokoju w hotelu i chcą się upewnić, że ich przyjaciel Edgar nie był tam przed nimi. Gdzie szukają pluskiew i co robią, gdy je znajdą?

Littell odsunął się z fotelem do tyłu.

– Szukają cienkich drucików zakończonych dziurkowanymi blaszkami, sterczących z abażurów i ram obrazów. Rozmawiają na niewinne tematy, dopóki nie ustalą, co z podsłuchem, ale nie niszczą go, gdy go znajdą, bo to rozżłości ich przyjaciela Edgara i sprowokuje go do bardziej wyęźonego działania przeciwko doktorowi Kingowi, który czyni wielkie kroki, podczas gdy Edgar powoli gromadzi przeciw niemu akta, bo największą słabością Edgara jest stosowanie instytucjonalnego sadyzmu w wolnym tempie.

Bayard się uśmiechnął.

– W przyszłym tygodniu Johnson podpisuje ustawę o prawach obywatelskich. Martin jedzie do Waszyngtonu.

Littell się uśmiechnął.

– A więc dobrze, że pan zapytał.

– Ma pan jeszcze jakieś rady?

– Tak. Proszę trzymać waszych ludzi z dala od miejsc, gdzie działają Królewscy Rycerze i Skonsolidowani. Mnóstwo jest wśród nich informatorów donoszących na oszustwa pocztowe. Są niemal równie wredni jak Biali Rycerze, a FBI nigdy ich nie tknie.

Bayard otworzył drzwi pasażera. Klamka go oparzyła.

Littell powiedział:

– Wkrótce będę miał więcej pieniędzy.

Impreza ciągnęła się do późna.

Littell siedział do późna. *Musiął*. Miasto go nie chciało. Recepcjoniści mierzyli go wzrokiem. Recepcjoniści widzieli jego garnitur i spluwę. Recepcjoniści mówili: „Brak wolnych miejsc”.

Ta impreza to była stypa. Guy Banister – *mort*. Obóz leżał na brzegu Zatoki. Kubańczycy okupowali jakieś cztery akry.

Gościł ich na swojej ziemi Klan. Koalicja Maynarda Moore’a. Popierająca uchodźców. Carlos sponsorował obóz. Pete zahaczył o niego wiosną. Pete mówił, że rekrutom trzeba szkolenia.

Littell obszedł teren. Littell sypnął dziesięciną Pete’a. Littell ściągnął marynarkę i brnął w piachu.

Barak. Motorówka. Strzelnica Klanu i uchodźców. Cele: słomiane kukły z twarzami jak na kreskówkach: LBJ/ dr King/ Fidel „Broda” Castro.

Skład broni: miotacze płomieni, bazooki i maszynowe browningi.

Uchodźcy byli mili – znał Wielkiego Pete’a. Chłopcy z Klanu byli

niemili – nosił garnitur fedzia.

Słońce zaszło. Na piaszczystych wydmach roiło się od pcheł. W wilgotnym powietrzu – od komarów.

Wędrowały butelki. Rozlegały się toasty. Chłopaki z Klanu mieli grille. Serwowali hot dogi. Przypalone. Opieczone miotaczem płomieni.

Littell trzymał się na uboczu. Wpadali różni goście. Littell przypominał sobie ich dane:

Hank Hudspeth – koleś Guya – czubek w żałobie. Guya załatwił Chuck Rogers. Zawał Guya nie przyszedł sam z siebie.

Laurent Guéry i Flash Elorde – prawicowi współpracownicy Pete'a. Najemnicy/ rezerwowi z Dallas/ dawna ekipa Pete'a i Boyda. Laurent był kiedyś w CIA. Laurent stuknął Patrice'a Lumumbę. Flash załatwił niezliczonych *Fidelistos*.

Zamknięty krąg. Tajemnice poliszynela. Rzeczy, które po prostu się *wiedziało*.

Laurent rzucał aluzje: *Monsieur Littell, nous savons, n'est-ce pas, ce qui s'est passé à Dallas?*²⁰

Littell się uśmiechał. Littell wzruszał ramionami – *Je ne parle pas le français*²¹. Laurent się śmiał. Laurent chwalił *le strzelec*.

*Le strzelec était un français. Jean Mesplède, qui est maintenant un „najemnik” à Mexico City*²².

Littell odszedł. Guéry go denerwował. Littell przystanął i zjadł hot dog. Był niesmaczny. Był przypalony. Opieczony miotaczem płomieni.

Littell trzymał się z boku. Littell obserwował imprezę. Littell czytał gazety. Ustawa o prawach obywatelskich/ konwencje/ kandydatura Bobby'ego w wyborach.

Impreza ciągnęła się bez końca. Hank Hudspeth dął w saksofon tenorowy. Kubańczycy wypuszczali w powietrze race.

Pete kochał *la Causa*. *La Causa* stanowiła zakotwiczenie. *La Causa* stanowiła usprawiedliwienie. *La Causa* zawsze zapewniała przebaczenie. Mieli podobne problemy – pokuta i dziesięcina. On o tym wiedział. Pete nie.

Littell próbował zasnąć. Kubańczycy śpiewali. Wybuchwały race.

De Kalb było niedaleko Scooby. De Kalb było niedaleko Neshoby.

Jazda zajęła pięć godzin. Upał dawał w kość silnikowi. De Kalb jak z opisu Jane.

Główna ulica. Sklepy spożywcze. Segregowany cień. Biali na chodniku/

Murzyni na ulicy.

Littell jechał przez miasto. Murzyni spuszczaali oczy. Biali przeszywali go wzrokiem.

Proszę – jest szkoła. Wypisz wymaluj jak z opisu Jane.

Bungalowy. Zadaszone przejścia. Topole. Baraki z blachy falistej.

Littell zaparkował. Littell sprawdził notatki. Kierowniczką dziekanatu była panna Byers – bungalow nr 1.

Littell szedł. Littell kierował się wskazówkami Jane. Bungalow pasował do opisu.

Jeden kontuar. Za nim regał na akta. Jedna kobieta – w apaszkach i binoklach.

Kobieta go zobaczyła. Kobieta zakaszłała.

– To mistyfikacja, jeśli chce pan poznać moją opinię.

Littell otarł kark.

– Słucham?

– Ci chłopcy w Neshobie. Pewnie w tej chwili sączą sobie zimne napoje w Memphis.

Littell się uśmiechnął.

– Panna Byers?

– Owszem. A pan jest agentem Federalnego Biura Śledczego.

Littell się zaśmiał.

– Potrzebne mi informacje na temat dawnej studentki. Prawdopodobnie uczęszczała tu na zajęcia pod koniec lat czterdziestych.

Panna Byers się uśmiechnęła.

– Pracuję tu, odkąd założono tę szkołę w 1944, i jakoś tak się składa, że te powojenne lata były w jej historii najlepsze.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że mieliśmy tych niegrzecznych chłopców zaraz po wojsku i parę sztuk równie niegrzecznych dziewcząt. Mieliśmy tu jedną taką, co popadła w narkomanię, a dwie zostały wędrownymi prostytutkami.

– Ta dziewczyna nazywała się Arden Smith albo Arden Coates.

Panna Byers pokręciła głową.

– Nigdy nie było tu żadnej Arden. To takie ładne imię, że na pewno bym je zapamiętała. Byłam jedyną kierowniczką dziekanatu w tej instytucji i jak dotąd pamięć mnie jeszcze nie zawiodła.

Littell spojrział na przegródki z aktami. Littell zobaczył oznaczenia dat. Po

jednej przegródce na rok/ od 1944.

– Czy akta poszczególnych studentów ułożone są alfabetycznie?

– Oczywiście, że tak.

– Czy zawierają zdjęcia studentów?

– Tak, proszę pana. Przypięte do pierwszej strony.

– Czy pracowali tu kiedyś nauczyciele o nazwiskach Gersh, Lane i Harding?

– Uczyli i nadal uczą. Nauczyciele, którzy tu przychodzą, przeważnie zostają.

– Czy mógłbym przejrzeć te akta?

Panna Byers zmrużyła oczy.

– Najpierw niech mi pan powie, że całe to zamieszanie to nie mistyfikacja.

Littell powiedział:

– Ci chłopcy nie żyją. Zabił ich Klan.

Panna Byers zamrugała. Panna Byers zbladła. Panna Byers podniosła ruchomy blat kontuaru. Littell wszedł. Littell wyjął dokumenty, rocznik 1944.

Spojrzał na pierwszą kartotekę. Przyjrzał się układowi stron. Na wierzchu znajdowała się fotografia i lista przedmiotów. Notatki na ostatniej stronie: skierowania do pracy/ miejsca zatrudnienia/ uwagi ogólne.

Jane знаła tę szkołę. Jane się tu uczyła – albo znała kogoś, kto się tu uczył.

Littell wyciągał kolejne teczki. Littell sprawdzał akta. Odczytywał nazwiska. Sprawdzał zdjęcia. Zaczął od roku 1944 i posuwał się do przodu. Żadnej Arden/ żadnego zdjęcia Jane/ żadnych panien Coates ani Smith.

Czytał akta. Czytał je powtórnie. Wrócił do roku 1944. Spisywał nazwiska. Sprawdzał adnotacje z ostatniej strony.

Panna Byers obserwowała. Panna Byers kibicowała. Littell notował nazwiska.

Skojarzenia. Odnośniki. Jane może jeszcze kiedyś wymienić jakieś nazwisko. Jane rzucała nazwiskami bez przerwy. Jane dodawała swoim kłamstwom wiarygodności. Jane malowała słowem barwne sceny.

Marvin Whitely/ 1946 – obecnie: księgowy. Carla Wykoff – biegła księgowka po egzaminie państwowym.

Littell wyciągnął rocznik 1947.
Aaron/Abelfit/Aldrich/Balcher/Barrett/Bebb/Bruvick. Marne posady.
Prozaiczna robota. Firmy budowlane/ sklepy spożywcze/ związki zawodowe.

Richard Aaron ożenił się z Meg Bebb. Aldrich został w De Kalb. Balcher złapał tocznia. Barrett pracował w Scoobie. Bruvick przeniósł się do Kansas City. Bruvick wstąpił do Amerykańskiej Federacji Pracy.

Littell sprawdzał akta. Littell spisywał nazwiska. Panna Byers pomagała.

Bobby Cantwell miał półpasiec. Siostry Clune zaczęły się puszczać. Carl Ennis roznosił wszy. Gretchen Farr – wcielenie diabła. Ćpunka i jeszcze coś o wiele gorszego.

Littell przerwał. Kolana go zaboląły. Pióro się wypisało.

Jane budowała wokół siebie cały świat. Jane kłamała, przekraczając ustalone przez nich granice. Jego kłamstwa były niczym w porównaniu z kłamstwami Jane.

Panna Byers powiedziała:

– A ja i tak uważam, że to była mistyfikacja.

45

(Las Vegas, 2 lipca 1964)

Paskudny upał – jak to w Vegas.

Wayne włączył klimatyzację. Wayne wychłodził pokój. Wayne wyciął najświeższą wiadomość:

„Dallas Morning News” – 29 czerwca – WP DALLAS UZNAJE ŚMIERĆ ZAGINIONEGO POLICJANTA.

Wpiął wycinek do teczki. Przebiegł wzrokiem po korkowej tablicy. Zobaczył Lynette na stole w kostnicy. Zobaczył powiększone zdjęcia Wendella D.

Same błyszczące fotki – plus kilka odbitek FBI.

Nagi doktor King. Nagi i pulchny. Nagi z blondynką na wyrku.

Wayne zaciągnął zasłony. Wayne odgrodził się od słońca. Wayne odgrodził się od widoku Janice. Janice ubierała się teraz stosownie do temperatury. Janice przez cały dzień chodziła w bikini.

Wayne sprawdził szuflady w komodzie. Wayne przeliczył broń – w stu procentach skonfiskowaną. Sześć noży/ osiem pistoletów/ jeden obrzyn. Pracował w Deuce. Rozbrajał palantów. Kradł ich broń. Gromadził ją na Durfee’ego. Janice bardzo się to podobało. Janice nazywała to jego kuferkiem nadziei.

Sprawdził teczkę z cynkami. Naliczył dziewięćdziesiąt jeden wskazówek. Wszystkie do dupy/ wszystkie na nic.

Na zewnątrz zaczęły podjeżdżać samochody. Trzaskały drzwi. Na parkingu pod wiatą dudniło echo. Oto i sam gospodarz – Wayne Senior.

Kolejne „spotkanie na szczycie” siewców nienawiści. „Największe i najlepsze” – jak sam to opisał.

Dziesięć dni i dziesięć spotkań. Spotkania w sprawie funduszy i „sympozja”. Kampanie siewców nienawiści. Miejmy w dupie prawa obywatelskie. Głośmy autonomiczne prawa południowych stanów. Kolportujmy więcej ulotek. Pan Hoover chce przyspieszyć. Pan Hoover chce

szerokiej dystrybucji.

Wayne Senior powiedział to Wayne'owi. Wayne Senior mówił mu WSZYSTKO. Wayne Senior podsycił jego NIENAWIŚĆ.

On się hamował. On patrzył przez szparę w zasłonach.

Widział federalne wozy. Widział filujących federalnych. Federalni tkwili przy drodze. Federalni obserwowali spotkania. Federalni sprawdzali numery samochodów.

Miejscowi federalni – nie z FBI – chłopcy Dwighta Holly'ego.

Wayne Senior był rozkojarzony. Wayne'a Seniora ogarnęła pamfletowa obsesja. Wayne Senior nie zważał na upał. Wayne Senior mówił. Wayne Senior podburzał Wayne'a. Wayne Senior robił wszystko, by wyrzeć wrażenie.

Wayne Senior znał teraz Warda Littella. Wayne Senior się chełpił: „Littell potrzebuje pomocy. Być może umieszczę część swoich ludzi w organizacji Hughesa”.

Wayne w zeszłym tygodniu zadzwonił do Littella. Wayne go ostrzegł: Wayne Senior cię orznie – a Dwight Holly zaczyna podskakiwać.

Wayne wyczyścił noże. Wayne wyczyścił pistolety. Wayne ułożył naboje do obrzyna. Weszła Janice. Janice była mokra – wyszła z basenu. Janice pachniała chlorem.

Wayne rzucił jej ręcznik.

– Kiedyś pukałaś.

– Kiedy byłeś dzieckiem – owszem.

– Kogo dziś gości Wayne Senior?

– Ludzi ze Stowarzyszenia Johna Bircha. Chcą, żeby zmienił czcionkę w pisanych dla nich pamfletach, żeby odróżnić je od tych rasistowskich.

Jej opalenizna była nierówna. Majtki od bikini zjechały nisko. Ukazało się czarne owłosienie.

– Kapiesz mi na dywan.

Janice się wytarła.

– Zbliżają się twoje urodziny.

– Wiem.

– Skończysz trzydzieści lat.

Wayne się uśmiechnął:

– Chcesz, żebym powiedział: „A ty w listopadzie skończysz czterdzieści trzy”. Chcesz się przekonać, czy pamiętam o takich sprawach.

Janice upuściła ręcznik.

– Twoja odpowiedź mnie zadowala.

Wayne powiedział:

– Ja nie zapominam. Wiesz przecież.

– Tego, co się naprawdę liczy?

– W ogóle niczego.

Janice popatrzyła na tablicę. Janice zobaczyła M.L. Kinga.

– Nie wygląda mi na komunistę.

– Wątpię, by nim był.

Janice się uśmiechnęła. –

Nie wygląda też jak Wendell Durfee.

Wayne się skrzywił.

Janice powiedziała:

– Muszę iść. Jestem umówiona z Clarkiem Kinmanem na brydża.

W Deuce panowała martwota. Martwy lokal/ martwe automaty/ martwe stoliki.

Wayne się snuł.

Chodził. Przysiadał. Łaził za Murzynami. Sygnalizował im swoje intencje i wzbudzał lęk. Uciekali przed nim. Ignorowali go. Zgrywali twaaaaardych.

Zmiana się włókła. *On* się włókł. Usiadł przy kasie na obrotowym taborecie. Okręcił się parę razy, żeby siedzieć wyżej.

Wchodzi Murzyn. Niesie papierową torbę. Przyniósł sobie flaszkę. Rusza do automatów. Wrzuca trochę monet. Ma peeeecha.

Czterdzieści prób i zero wygranej – prawdziwy peeeech.

Gość wyciąga małego. Gość sika. Gość leje na automaty. Gość leje na lesbowatą zakonnicę.

Wayne podszedł.

Gość się śmieje. Gość tłucze butelkę. Sypie się szkło. Leje się wino. Zakonnica klepie zdrowaśki.

Gość się śmieje. No, mam tulipana. Z papierowym uchwytem.

Rzucił się.

Wayne zrobił unik. Wayne złapał go za rękę. Wayne złamał mu nadgarstek. Gość się zrzygał. Gość upuścił tulipana.

Wayne kopnął go i położył na brzuchu. Wayne wykopał mu zęby. Wayne przygniół go kolaniem.

46

(Las Vegas, 6 lipca 1964)

Eldon Peavy wyglądał na brutala. Eldon Peavy wyglądał na wredną ciotę.

3.10 nad ranem.

W baraku martwota. Peavy pracował solo. Pete wszedł prosto do środka. Peavy się rzucił. Peavy wyciągnął rękę. Peavy był *très* powolny.

Pete zastawił biurko. Pete wyszarpnął szufladę. Pete dorwał pistolet.

Peavy zmienił taktykę. Peavy wiedział, jak się zachować. Obniżył fotel. Podniósł nogi. Pogłaskał Pete'a stopami po udach.

– Wysoki, ciemnowłosy i brutal. Dokładnie w moim typie.

Pete wysunął magazynek. Pete wysypał naboje. Stuknęły i potoczyły się po podłodze.

Peavy uśmiechał się krzywo.

– Przyszedłeś na casting? Chcesz być moim utrzymankiem czy interesuje cię jednorazowy numererek?

Pete powiedział:

– Nie dzisiaj.

Peavy się zaśmiał.

– Hejże, on mówi.

Na biurku zadzwonił telefon. Peavy go olał. Poruszał stopami. Przebierał palcami nóg. Miętosił Pete'owi uda.

Pete zapalił papierosa.

– „Biznes ów prosperuje dzięki meksykańskim policjantom, którzy zatrudniają, a często też zmuszają nieletnie dziewczęta do »grania« w filmach”.

Peavy poruszył palcami u stóp.

– Cholera, a już miałem nadzieję. Znasz tę piosenkę? „Nadejdzie dzień, że zjawi się ten pan, którego kocham”.

Pete wyrzucił kieszenie. Pete wyciągnął dwieście kawałków – same nowiuśkie banknoty.

Rzucił rzucone pieniądze. Złapał Peavy'ego za nogi. Przerzucił je na bok biurka.

– Potrzebne nam twoje głosy w Komisjach do spraw Gier i Alkoholu i zachowasz pięć procent od tego tu interesu.

Peavy wyciągnął grzebień. Peavy nastroszył swój loczek na czole.

– Znam się na szantażach i wymuszeniach całkiem nieźle, więc przejdź do następnego etapu i powiedz, że spalisz mi taksówki.

Pete pokręcił głową.

– Jeśli przejdę do następnego etapu, stracisz swoje pięć procent.

Peavy machnął na Pete'a ręką. Pete zarechotał. Pete pokazał mu trzy zdjęcia.

Rose Paolucci: w kościele. Rose Paolucci: ssąca mastiffa. Rose Paolucci ze swym wujkiem – Johnem Rossellim.

Peavy uśmiechnął się krzywo – chi-chi-chi – Peavy skupił wzrok.

Zbladł. Spocił się. Przewrócił swoją kolację. Zalał centralkę. Utopił telefon. Zaczął zbierać zamoczone pieniądze.

Pete chwycił notes z telefonami. Znalazł numer Milta Chargina.

Spotkali się w Sill's Tip-Top. Pieprzyli o niczym. Wsuwali naleśniki.

Milt był na bieżąco ze wszystkim. Jestem komikiem. Zabawiam miejscowych. Taki ze mnie Mort Sahl²³ niezależny.

Milt znał Freda Otasha. Milt znał ze słyszenia Pete'a. Milt pamiętał złote czasy brukowców. Milt znał Moe D. Milt znał Freddy'ego Turentine'a. Freddy pracował dla „Szeptu” – zakładał podsłuchy w pieprzalniach.

Pete wypalił prosto z mostu. Pete powiedział: „Kupiłem Monarchę”. Pete powiedział: „Potrzebuję teraz twojej pomocy”.

Milt się ucieszył. Monarcha to była wielka stajnia pedałów. Monarcha to była pedalska zgraja. *Trochę* ciot mogło się przydać. Cioty dobrze robiły interesom. Ale nikomu nie była potrzebna ich homoestetyka.

Pete wypytywał Milta. Milt odpowiadał konkretnie.

Milt wystrzegał się pedalstwa. Milt wystrzegał się pornolców. Milt wystrzegał się homoestetyki. Powiedział, że zostanie. Poczynił nawet kilka sugestii.

Peavy jest właścicielem Cavern. W tej pedalskiej dziurze roi się od klientów. Zabawiajmy dalej te cioty, miejscowe i przyjezdne. Bądźmy ostrożni. Bądźmy opanowani. Pogódźmy się *po części* z homoestetyką.

Pieprzyli o niczym. Mówili o interesach Peavy'ego. Takich, których lepiej się wystrzegać/ które można rozwinąć/ które trzeba zmodyfikować.

Pete przepytował Milta. Pete powiedział: „Pokaż, co potrafisz – odegraj pana Znawcę Vegas”.

– Jestem na Strip i chcę podupczyć, powiedzmy za stowę. Dokąd idę?

– Spróbuj u Louisa we Flamingo. Ma u siebie jedną pieprzalnię. Za seciaka możesz mieć lizanie rdzawej dziurki.

– A jeśli mam ochotę na ciemny towar?

– Dzwonisz do Al ze związku zawodowego pokojówek. Niezła dupa, jeśli nie masz nic przeciwko ciupciani w schowku na miotły.

– Kogo unikam?

– Larry'ego z Castaways. Stręczy transwestytów udających prawdziwe kobiety. Warto przestrzegać zasady: „Nie ufaj tym, co nie chcą się rozbierać”.

– A jeśli mam ochotę na trójkącik z dwiema lesbami?

– Idź do Rugburn Room. To miejsce spotkań lesbijek. Pogadaj z Gretą za barem. Ona umówi cię z dwiema babkami po pięć dych od każdej. Zrobi też zdjęcia i za dodatkowe dwie dychy opchnie ci odbitki razem z negatywami. No wiesz, tak na pamiątkę.

– Sonny Tufts. Z czego słynie?

– Gryzie panienki z estrady po udach. Dziewczyny szczepią się przeciw wścieklicznie, jak tylko usłyszą, że jest w mieście.

– John Ireland?

– Lubi pokazywać swojego półmetrowego węża. Chodzi w ustronia dla nudystów i chwali się tym swoim towarem. Wywołuje spore podniecenie.

– Lenny Bruce?

– Ćpun i kapuś szeryfa okręgu LA.

– Sammy Davis Junior?

– Biseks. Rżnie wszystko, co wysokie i ma blond włosy, niezależnie od płci.

– Natalie Wood?

– Lesba. Aktualnie mieszka z panią major, na którą wołają Fanga.

– Dick Contino?

– Cipoman i nałogowy hazardzista. Powiązany z kartelem z Chicago.

– Najlepsze barowe show w Las Vegas?

– Barb i Barbarzyńcy. Myślisz, że nie wiem, komu się teraz podlizywać?

– Wymień mi jedną mormońską grubą rybę. No wiesz, kogoś naprawdę ważnego.

– Może Wayne Tedrow Senior? To niby marny kupczyna, ale z masą szmalu. Jego synalek załatwił trzech szwarców i uszło mu to na sucho.

– Sonny Liston?

– Pijak, ćpun i dupoman. Kumpel wspomnianego już szwarcobójcy Wayne’a Tedrowa Juniora. Jezu, nie każ mi mówić nic więcej o Sonnym.

– Bob Mitchum?

– Lubi skakać z kwiatka na kwiatek.

– Steve Cochran?

– Rywal Johna Irelanda.

– Jane Mansfield?

– Bzyka się, z kim popadnie.

– Która korporacja taksówkarska obsługuje członków stanowego zgromadzenia ustawodawczego?

– Taxi Express. Ustawodawcy mają tam zniżki.

– A co z szychami z Nellis?

– Też korzystają z Expressu. Mają cholernie dobre rabaty.

– Czy Taxi Express jest powiązane z mafią?

– Nie, to tylko zwykła zgraja frajerów, którzy wiedzą, że lepiej przestrzegać zasad.

Pete się uśmiechnął. Pete skinął głową. Pete wyjął dziesięć kawałków. Milt rozlał kawę. Milt poparzył sobie ręce. Milt powiedział:

– O, jassssna...

Pete powiedział:

– To taka premia powitalna. Od dziś jesteś moim wywiadowcą.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.07.1964. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Dzień dobry, panie Littell.

WJL: Dzień dobry, sir.

JEH: Proszę mi opowiedzieć o swojej wycieczce na Południe. Otrzymuję sprawozdania od agentów terenowych, ale chętnie poznałbym inny punkt widzenia.

WJL: Pan Rustin był szczęśliwy, odbierając ode mnie darowiznę. Wydawał się zadowolony z ustawy o prawach obywatelskich i chwalił obecność Biura w Missisipi.

JEH: Czy poprawił go pan, dodając do słowa „obecność” określenie „wymuszona”?

WJL: Tak jest, sir. Odegrałem swoją rolę i wyraziłem uznanie dla prezydenta Johnsona.

JEH: Lyndon Johnson potrzebuje miłości nieszczęśników. Jest w tej swojej potrzebie rozwiązły i niepohamowany. Przypomina mi Króla Jacka i jego stosunek do kobiet.

WJL: O tak, sir.

JEH: Pan Johnson i Ciemny Książę uparli się, by uczynić z tych zaginionych młodzieńców męczenników. Niesłusznie wielbiony wielebny King pewnie ma ochotę na to samo.

WJL: Jestem pewien, że tak, sir. Jestem pewien, że postrzega ich jako chrześcijańskie symbole.

JEH: A ja nie. Ja widzę w roli męczennika stan Missisipi. Jego suwerenność została ograniczona w imię dyskusyjnych „praw”, a Lyndon Johnson uczynił ze mnie swego współnika mimo woli.

WJL: Jestem przekonany, że znajdzie pan sposób, by to sobie wynagrodzić.

JEH: Oczywiście, że tak. A pan mi pomoże, dokonując swoich niezrozumiałych i politycznie dwuznacznych czynów pokutnych.

WJL: Doskonale mnie pan zna, sir.

JEH: Tak, a w dodatku potrafię zinterpretować pańską modulację i odgadnąć, kiedy pragnie pan zmienić temat.

WJL: No cóż, sir...

JEH: Słucham, panie Littell. Proszę zadawać pytania lub wygłaszać stwierdzenia, na jakie tylko przyjdzie panu ochota.

WJL: Dziękuję, sir. Moje pierwsze pytanie dotyczy Lyle’a i Dwighta Hollych.

JEH: Proszę przejść do pytań. Wszelkie wstępy uważam za nudne i męczące.

WJL: Czy Lyle dzieli się z Dwightem swoimi informacjami na temat SCLC?

JEH: Nie wiem.

WJL: Czy Dwight prowadzi oficjalne dochodzenie w sprawie Wayne'a Tedrowa Seniora i/lub Juniora?

JEH: Nie, choć jestem pewien, że obserwuje ich z niezwykłym uporem, do której to czynności nie mam najmniejszej ochoty go zniechęcać.

WJL: Być może dokooptuję kilku z mormonów Wayne'a Seniora...

JEH: Do organizacji Hughesa?

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Teraz czy w przyszłości?

WJL: Teraz.

JEH: Proszę od razu rozwijać swoje wypowiedzi, panie Littell. Mam umówiony lunch na przełomie wieków.

WJL: Działalność, którą mam na myśli, jest potencjalnie ryzykowna, zwłaszcza jeśli Departament Sprawiedliwości wzmoże swą aktywność w Las Vegas.

JEH: Nie ja dyktuję politykę Departamentu Sprawiedliwości. FBI to tylko jeden mały trybik w potężnym systemie, co Księżę Bobby wytykał mi przy niejednej przykrej okazji.

WJL: Rozumiem, sir.

JEH: Proszę mi powiedzieć, czego pan chce, panie Littell.

WJL: Na wszelki wypadek chciałbym uzyskać pańskie zobowiązanie. Jeśli mormoni ściągną na siebie kłopoty, mógłby pan wkroczyć do akcji i wstawić się za nimi, wykorzystując te ich kłopoty, by uczynić Wayne'a Seniora swoim dłużnikiem.

JEH: Czy chce pan, żebym zaproponował mormonom tajną ochronę?

WJL: Nie, sir.

JEH: Czy poinformuje pan Seniora i mormonów o potencjalnym zagrożeniu ze strony federalnych?

WJL: Już sam opis czekających ich zadań zawiera pewne ostrzeżenie. Nie będę się wysilał ponad to.

JEH: A kto miałby skorzystać na pańskiej strategii kooptowania?

WJL: Pan Hughes i moi włoscy klienci.

JEH: A zatem proszę działać wedle własnego uznania. I proszę bezgranicznie polegać na mojej potencjalnej pomocy.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Niech pan dopilnuje, żeby pan Hughes pozostał przekonująco nieprzewidywalny.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Miłego dnia, panie Littell.

WJL: Miłego dnia, sir.

47

(Las Vegas, 14 lipca 1964)

Golf go nudził. Wayne Senior się uparł – turniej w Desert Inn.

Littell stał przy stoisku z napojami. Littell krył się przed upałem. Upał w Vegas parzył. Upał w Vegas palił żywym ogniem.

Niektóre dołki były blisko. Littell patrzył, jak Tedrowowie walczą o ósmy dołek. Janice biła Wayne'a Seniora na głowę. Trafiała do dołków od razu lub prawie od razu. Wygrywała.

Poruszała się z wdziękiem. Afiszowała się swoim siwym pasemkiem. Poruszała się zwinnie jak Jane.

De Kalb go przeraziło. De Kalb dało mu nauczkę:

Sam zachęcałeś Jane do kłamstw. Sam wybierałeś sobie z nich to, w co chciałeś wierzyć. Sam zainicjowałeś tę grę pozorów. Teraz nie masz prawa żądać zadośćuczynienia.

Jane zbecześciła jego estetykę kłamstwa. Zbecześciła wszelkie jego uroki. Tworzyła sobie wspomnienia. Budowała przeszłość z materiałów z drugiej ręki.

Kłamała. Upiększała. Szyfrowała. Znał ją wyłącznie poprzez szyfr. Nie mógł jej tak naprawdę pochwycić – wykorzystywał tylko jej umiejętności. Nauczyła go przeprowadzania defraudacji. Pomagała mu skubać Howarda Hughesa.

Tedrowowie walczyli o dziewiąty dołek. Janice trafiła prędzej niż przeciwnicy. Wayne Senior strzelił Panu Bogu w okno. Janice przeszła do dziesiątego dołka. Czekał na nią chłopak z kijami. Wayne Senior pomachał do Littella.

Podjechał wózkiem. Podskoczył na trawie. Daszek nad wózkiem dawał przyjemny cień.

Littell zajął do środka. Wayne Senior się uśmiechnął.

– Grywa pan?

– Nie. Nigdy nie lubiłem sportu.

- Golf to raczej interesy niż sport. Pan Hughes mógłby panu kupić...
 - Chcę zatrudnić trzech pańskich ludzi. Mogę zapewnić im robotę kurierów od zaraz i pracę w kasynach, kiedy pan Hughes już się tutaj urządzi.
- Wayne Senior zakręcił kijem golfowym.
- Określenie „kurierzy” brzmi jak eufemizm. Czy chodzi o jakiś przerzut?
 - W pewnym sensie. Ludzie ci mieliby latać samolotami czarterowymi pana Hughesa do różnych miast.
 - Z lotniska McCarrana?
 - Miałem nadzieję, że z Nellis.
 - Dla większego bezpieczeństwa?
 - Tak. Ma pan przyjaciół w Nellis i byłoby niedbalstwem z mojej strony, gdybym nie próbował tego wykorzystać.
- Chłopak z kijami krzyknął: „Uwaga!” – piłka uderzyła w wózek.
- Wayne Senior drgnął.
- Mam przyjaciół w służbie kwatermistrzowskiej i służbie uzbrojenia. Znam się też z generałem Kinmanem.
 - Czy nazwałby go pan swoim kolegą?
 - Kolegą i przewodnikiem, owszem. Twierdzi, że w Wietnamie niedługo zrobi się gorąco, a on powinien raczej coś o tym wiedzieć.
- Littell się uśmiechnął.
- Jestem pod wrażeniem.
- Wayne Senior zakręcił kijem.
- I słusznie. W przyszłym miesiącu ma się odbyć demonstracja siły marynarki wojennej, co pomoże LBJ przyspieszyć wojnę. Pan Hughes powinien wiedzieć, że znam ludzi, którzy wiedzą o takich sprawach.
- Littell powiedział:
- Będzie pod wrażeniem.
 - I słusznie.
 - Czy zastanowił się pan nad moją pro...
 - Co owi kurierzy mieliby przewozić?
 - Nie mogę panu powiedzieć.
 - Oni mi powiedzą.
 - To już będzie ich własna decyzja.
 - Pomówmy więc o rachunkach.
- Daszek zafurkotał. Littell zamrugał. Słońce go raziło.
- Pańscy ludzie otrzymają dziesięć procent wartości każdej przesyłki.

Może pan z nimi ustalić wysokość własnej prowizji.

Moe zgodził się na piętnaście. Littell mógł sobie uszczknąć pięć na dziesięcinę.

Wayne Senior ścisnął piłeczkę. Wayne Senior wgryzał się w problem.

Odciąganie.

On *wie*. Nie *powie* tego. Pozostanie czysty. Zamiast tego narazi na ryzyko swoich ludzi.

Janice przeszła do jedenastego dołka. Jej siwy kosmyk zafalował. Upuściła piłkę. Ustawiła ją. Zamachnęła się. Trafiała prosto w wózek.

Littell drgnął. Janice roześmiała się i pomachała.

Wayne Senior powiedział:

– Wchodzę w to.

48

(Las Vegas, 15 lipca 1964)

W Wild Deuce martwota.

Rozdający ziewali. Barmani ziewali. Po lokalu plątały się bezpańskie psy. Chroniły się przed upałem. Żebrały o jedzenie. Żebrały o głaskanie i pieszczoty.

Wayne siedział przy barze. Wayne tarmosił skundlonego labradora. Zatrzeszczał interkom:

– Wayne Tedrow proszony do kierownika.

Wayne poszedł. Labrador powlókł się za nim. Kierownik ziewnął. Pies nasikał na spluwaczkę.

– Pamiętasz tego kolorowego gościa? Dziesięć czy dwanaście dni temu?

– Pamiętam.

– No tak, powinienes, bo pogruchotałeś mu sporo kości.

Wayne zacisnął dłoń.

– To go miało odstraszyć.

– Taka jest twoja wersja, ale NAACP twierdzi, że była to niesprowokowana napaść, co rzekomo może potwierdzić dwóch świadków.

– Twierdzi pan, że mnie pozwą?

Kierownik ziewnął.

– Nie mogłem cię wybronić, Wayne. Żądają dwudziestu kawałków od nas i dwudziestu od ciebie, a przy tym sugerują, że mogą cię pozwać za parę jeszcze innych wybryków.

– Niech pan się zatroszczy, żeby panu nic się nie stało. Ja zajmę się sobą sam.

Wayne'owi Seniorowi bardzo się to spodobało. Wayne Senior poradził krótko: „Zapłać – nie dzwoń do Littella – on jest po *ich* stronie”.

Na tarasie było gorąco. Powietrze parzyło. Latały robaczki świętojańskie.

Wayne Senior popijał rum.

– Rozbroiłeś go *i* przygniotłeś kolanem. Ciekaw jestem twojego

uzasadnienia.

– Wciąż myślę jak policjant. Kiedy zbił tę butelkę, dał sygnał, że ma zamiar mnie zranić.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– Odsłoniłeś się przez tę odpowiedź.

– Twierdzisz, że nadal przydałoby mi się ukierunkowanie.

– Twierdę, że zrewidowałeś swoje pobudki do działania. Przesadzasz teraz z przemocą, którą...

– Którą rzadko stosowałem jako gliniarz.

Wayne Senior zakręcił laską.

– Chcę cię wykupić od procesu. Czy pogodzisz się z tym, że wyświadczę ci tę przysługę?

– Nie możesz mnie zmusić, bym nienawidził ich tak jak ty. Czy ty się z tym pogodzisz?

Wayne Senior pstryknął włącznikiem w ścianie. Z sykiem dobyło się chłodne powietrze.

– Czy jestem aż tak przewidywalnym ojcem?

– W pewnym sensie.

– Czy potrafisz przewidzieć moją następną propozycję?

– Jasne. To propozycja pracy. Ma związek z tym twoim niby-legalnym związkiem zawodowym albo jednym z czternastu kasyn, których jesteś właścicielem wbrew przepisom ustanowionym przez nevadzką Komisję Kontroli Gier.

Chłodne powietrze zawirowało. Świetliki zatrzepały skrzydłami. Świetliki się ewakuowały.

– Brzmi to tak, jakbyś przeprowadził w mojej sprawie dochodzenie.

– Spaliłem swoje akta, gdy odchodziłem z Wydziału Policji.

– Twoje akta dotyczące twojego ojca...

– Organizowałeś karciane oszustwa w konkurencyjnych kasynach. Pomagali ci niejaki Boynton i niejaki Sol Durslag, który pracuje teraz dla Komisji do spraw Alkoholu okręgu Clark. Masz w kieszeni paru facetów z Nellis. Sprzedajesz podkradaną żywność i gorzałę połowie hoteli przy Strip.

Wayne Senior się przeciągnął.

– Dobrze, że o tym wspomniałeś. Potrzebuję właśnie kogoś, kto zająłby się dostawami do hoteli.

Wayne liczył świetliki. Wzbijały się w powietrze. Zapalały się. Spadały.
– Na obie propozycje odpowiadam „tak”. Tylko niech ci się od tego w głowie nie poprzewraca.

Rugburn Room:

Buda bitników. Sześć stolików/ estrada. Bitnicki wystrój.

Milt Chargin zatrudnił duo. Akolici Milesa Davisa. Grali na bongosach i saksie.

Milt zabawiał bitników. Lesby o męskim wyglądzie serwowały piwo. Pokazał się Sonny Liston, wywołując kilka okrzyków radości.

Sonny uściskał Wayne’a. Sonny usiadł. Sonny poznał Barb i Pete’a. Sonny ich uściskał. Oni uściskali Sonny’ego. Sonny zmierzył wzrokiem Pete’a.

Posiłowali się na ręce. Bitnicy się zakładali.

Pete wygrał dwa do jednego.

Milt przedstawiał swoje skecze. Milt naśladował Lenny’ego Bruce’a²⁴. Lawrence Welk przesłuchuje do programu ćpuna. Pat Nixon dyma się z Lesterem, baaaardzo męskim bambusem.

Tłum się zaśmiewał. Tłum palił trawę. Sonny łykał amfę. Pete i Barb odmówili.

Wayne łyknął trzy. Wayne’owi stanął. Wayne przez cały czas gapił się na Barb. Wayne nie mógł oderwać ślepiów od jej włosów.

Milt przeszedł do czegoś nowego. Milt przedstawiał teraz „Klauna Fako, Ulubieńca Maluchów”. Milt nadmuchiwał kondomy. Milt zawiązywał. Milt rzucał wysoko.

Tłum szalał.

Ludzie łapali kondomy. Wymachiwali papierosami. Gumki pękały – pach! pach!

Milt przedstawiał Fidela Castro. Fidel przychodzi do baru dla pedałów. Wchodzi Jack Kennedy. Fidel mówi: „Zabawmy się, *muchacho*”. Jack na to: „Spotkamy się w Zatoce Świń, ale musisz zerznąć też Bobby’ego”.

Pete zaryczał. Barb zaryczała. Wayne zarechotał.

Milt przedstawił skecz z Sonnym.

Sonny porywa Cassiusa Claya. Sonny porzuca go w Missisipi. Klan bierze go jako zakładnika. Przyjeżdża Martin Luther King.

Marty ma białą maskę. Marty udaje białego. To śmiała apostazja. Pieprzyć to murzyńskie zamieszanie.

Marty wzywa Boga. Bóg zsyła J.Ch. J.Ch. jest artystą estradowym. Występuje z grupą Judasz i Pięć Gwoździ.

Marty mówi do J.Ch.: „Słuchaj, koleś, przechodzę kryzys wiary, robi się ze mnie rewizjonista. Zaczynam myśleć, że biały człowiek ma wszystko z bańki, ma chleb powszedni i białe kobiety, i sprzęt hi-fi, a skoro nie można go pokonać, trzeba się z nim zasymilować i skończyć z tym całym pieprzeniem o prawach obywatelskich”.

J.Ch. wzdycha. Marty czeka. Marty czeka baaaardzo długo. Marty czeka na zapewnienie o sensie pracy jego życia.

J.Ch. milczy. J.Ch. parska śmiechem. J.Ch. zsyła na niego boże słowo:

CO TY NIE POWIESZ, TY TĘPY POJEBANCU!

Tłum sfiksował. W pomieszczeniu zrobiło się duszno, Sonny za-za-zanosił się od śmiechu.

Milt przedstawił LBJ. Milt przedstawił Jamesa Deana. Jimmy, mamroczący masochista. Jimmy-„Popielniczka”²⁵.

Milt przedstawił Jacka Ruby’ego.

Jack siedzi w pudle. Jack jest wkurzony i głodny. Te dybuki, te goje jedne, strażnicy, nie wiedzą, co to dobry łosoś wędzony. Jack potrzebuje koszernych cymesów. Jack się łamie i zrywa więzy z Izraelem.

Wayne zawył ze śmiechu. W pomieszczeniu gorączka sięgnęła zenitu. Pete i Barb re-re-rechotali.

Spoglądali po sobie. Zanosili się śmiechem. Rechotali znowu. Sonny nie zrozumiał. Sonny lepiej znał się na własnych dowcipach.

Pete wziął Wayne’a na stronę. Pete powiedział:

– Podpalmy parę taksówek.

Taxi Express znajdowało się na uboczu. Czternaście aut/ jeden barak/ jeden parking/ od przecznicy do przecznicy.

Pete odwalał brudną robotę. Wayne zajął się chemią. Pracowali w Monarsze. Pracowali *très* długo.

Pete nalał benzyny. Pete napełnił czternaście butelek. Wayne domieszał azotanów. Wayne domieszał płatków mydlanych. Nasaczyli lonty butelek. Nasaczyli lont doprowadzający. Dodali klej modelarski.

Wayne’owi kręciło się w głowie. Przez amfę i Barb. Barb poszła sobie z Rugburn. Barb ich uściskała. Barb pozostawiła swój zapach.

Pojechali do Taxi Express. Zaparkowali. Przeskoczyli przez płot.

Przetaszczyli swój bagaż.

Czternaście taksówek – fordy, rocznik 1961 – w rzędzie, jeden za drugim. Parking i dystrybutor z paliwem.

Położyli się. Ułożyli bomby. Powiązali lonty. Rozlali benzynę. Nasączyli lont doprowadzający do czternastu wozów.

Wayne podpalił zapalniczkę. Pete ją rzucił. Pobiegli.

Wozy eksplodowały. W powietrze pofrunęły kawałki metalu. Hałas ranił uszy. Kolejne wybuchy nakładały się jeden na drugi.

Wayne nałykał się dymu. Wayne nałykał się oparów. Szkło poszybowało ku niebu.

49

(Los Angeles, 17 lipca 1964)

Narzędzia kradzieży – papier/ołówki/pióra.

Littell pracował. Littell fałszował księgi Hughes Tool. Wypisał fakturę. Zrobił kopię przez kalkę. Poprawił listę wypłat.

Jane spała. Jane kładła się wcześniej. Wypracowali rutynę. Trzymali się jej. Sygnalizowali własne potrzeby.

Jane potrzebowała snu wieczorem. On potrzebował samotności. Jane tę jego potrzebę wyczuła. Jane się do niej dostosowała.

Littell zmienił pióra. Littell osuszył bibułą atrament. Czasami natrafiał na przeszkody. Przydałaby mu się pomoc Jane. Ale jakoś sobie radził. Nie wtajemniczał Jane. Defraudował solo.

Littell liczył. Littell dodawał. Jane była dziś wieczór rozdrażniona. Wyczuł napięcie przy kolacji.

Powiedziała, że jej praca ją nudzi. Powiedziała, że współpracownicy ją męczą. Rzucił jej chytrze: Teamstersom przydałaby się pomoc.

Jane odmówiła. Jane odmówiła za szybko. Jane roześmiała się za późno.

Opisał jej wycieczkę na Południe. Skrócił tekst swego opowiadania. Jane nawet nie mrugnęła i zaczęła mówić o De Kalb.

Panna Gersh. Panna Lane. Chłopak z toczniem. To panna Byers o nim wspomniała. Jane pominęła go w *swoim* tekście.

Zadawał pytania. *Grał* z nią. Nie zdradzał się ze swoją znajomością De Kalb. Jane wspomniała o Gretchen Farr. Panna Byers też ją wspominała. Gretchen była „wcieleniem diabła”.

Skradzione wspomnienia. Skradziona przeszłość. Zapożyczone anegdoty.

Littell ziewał. Littell pracował. Littell przewyciężył jakoś kłopoty z fakturą – solo.

Włączył radio. Słuchał wiadomości. Eksperci się zgadzali – Bobby będzie kandydował w stanie Nowy Jork.

Littell potarł oczy. Kolumny mu się zamazywały. Cyferki skakały.

Wayne Senior przysłał listę – dwunastu mormońskich zbirów – dwunastu kandydatów na „odciągaczy”. Littell przesłał kopię Drakuli. Drak zapoznał się z listą. Drak kazał *swoim* mormonom wybrać trzech „konsultantów do spraw kasyn”.

Littell zadzwonił do Draka. Littell nakłamał:

Ci ludzie będą latali samolotami Hughesa. Będą odwiedzali „różne miasta”. Będą spotykali się z „zamożnymi osobistościami”. Będą „formowali więzi”. Będą „pracowali nad przejęciem hoteli”.

Drakowi strasznie się to spodobało. Drak uwielbiał intrygi. Drak powiedział: „Wykorzystamy ich”. Drak zaaprobował czartery. Wayne Senior załatwił starty z Nellis.

Partnerzy w odciąganiu – Siły Powietrzne i mafia.

Drak coraz bardziej zagłębiał się w świat złudzeń. Drak kazał swoim mormonom schodzić z drogi Littellowi. Ward to *mój* chłopak – to *on* będzie nadzorował konsultantów.

Littell coraz śmielej sobie poczynał. Littell improwizował. Littell rewidował swój plan odciągania.

Wykorzystam nieposkromioną pychę Draka. Będę pisał fałszywe sprawozdania. Będę je pisał za tych tak zwanych „konsultantów”. Sprawię radość Drakuli – „To *pan* kiwa mafię – nie mafia pana”.

Moe D. okazywał wdzięczność. Moe zrewidował swe obliczenia związane z odciąganiem. Moe powiedział: „Pięć procent odciągniętej kasy jest twoje”.

Dzięki, Moe. Dzięki za gotówkę na dziesięcinę. Nie muszę jej już teraz kraść.

Bogacze odciągają gotówkę. Mormoni z nią latają. Procenty rosną. Kasa się mnoży. *Jego* kasa. Mormonów. Wayne’a Seniora.

W ten sposób przygotowywał grunt. Stymulował rozwój sytuacji. Pokonajmy tę fosę. Przypuśćmy szturm na hotele Draka.

Littell fałszował księgi. Kolumny skakały. Symbole dolara się zamazywały.

50

(Las Vegas, 18 lipca 1964–8 września 1964)

Taxi Express – *muerto*.

Tamto podpalenie nie było zaplanowane. Podpalenie nie miało błogosławieństwa Chłopców. Nie poinformował ich. Poinformował po fakcie. Nacisk położył na swój jedyny motyw.

Potrzebna NAM siedziba korporacji. Potrzebne NAM brudy. Pomóżmy Drakowi. Zgromadźmy trochę brudów. Dobrze je wykorzystajmy.

Carlos bił brawo. Sam G. bił brawo. Moe posyłał całusy.

Pete dorwał dyspozytora z Express. Pete mu posmarował. Kupił od niego księgę stałych klientów. Pete kupił jego duszę. Pete go zatrudnił. Pete przejął jego klientów. Pete przejął dziewięciu ustawodawców. Pete przejął całą masę szych i szyszek z Nellis.

Moe zajął się podpaleniem. Moe udał się do WPLV. Gliny wzięły w łapę. Gliny wrobiły jakiegoś menela.

Moe ostatecznie unicestwił Express. Moe zajął się resztą po spaleniu. Jego goryle wzięły w obroty właściciela. Przeniosły go do Dupkowa w Delaware.

Pete zmienił nazwę korporacji. Proszę bardzo – Taxi Tygrys – reaktywacja. Taxi Tygrys – zmartwychwstanie.

Posprzedawał stare packardy. Kupił dwadzieścia fordów. Zatrudnił ćpającego „artystę” o ksywce Von Dutch.

Von Dutch wsuwał pejotl. Von Dutch pomalował taksy. Von Dutch postarał się o zarypiaaaastą tapicerkę. Wymalował na karoserii tygrysie pasy. Podpisał oryginalną czcionką. Siedzenia pokrył sztucznym tygrysim futerkiem.

Pete zakupił cztery limuzyny – najbardziej luksusowe wozy – lincolny continentale. Miały zamontowane hi-fi i rozkładane siedzenia. Takie pieprzalnie na kólkach.

Skonsultował się z Miltem Charginem. Przeprowadził w firmie czystkę. Wylał paru pedałów. Zatrudnił normalnych facetów. Wykopał dwóch

transwestytów.

Posłuchał rady Milta – zatrzymaj Nata Wershowa – Nat jest bystry i twardy. Zatrzymaj Champa Beauchampa. Zatrzymaj Harveya Bramsa. Zatrzymaj Długiego Doma – Dom to magnes dla pedałów – Dom nakręca pedalski interes.

Zadzwoił do znajomego z Teamsters. Zapisał załogę do związków. Dostali ubezpieczenie emerytalne. Dostali ubezpieczenie zdrowotne. Mieli płacić Teamstersom składki.

Jimmy H. dostał udziały. Jimmy miał radochę. Cioty płaszczyły się i podlizywały. Cioty łapały trypra. Łapały syfa. Teamstersi mieli płacić za ich leczenie.

Pete zatrudnił dwóch asfaltów – kumpli Sonny’ego Listona. Byli dobrymi kierowcami. Byli tępawymi bokserami. Byli zdrowymi czarnogrodzkimi mięśniakami.

Interes się kręcił. Mieli sporo gotówki. Klienci Monarchy też ich nie opuścili.

Pete rządził w dyspozytorni. Pracował na trzy zmiany. Robota go nakręcała. Robota go wycieńczała. Robota tłumiała w nim złe myśli.

Mieszkał w dyspozytorni. Sprowadził sobie kota. Kot polował na szczury.

Zbudował sraczyk dla normalnych. Zachował sraczyk dla pedałów. Normalni odmówili srania razem z pedałami.

Normalni nienawidzili pedałów. Z wzajemnością. Pete poruszył tę kwestię. Pete położył nacisk na koegzystencję. Pete wcielił w życie Prawo:

Żadnych kłótni. Żadnych rękoczynów. Żadnych wojen pomiędzy frakcjami. Żadnych seksualnych podtekstów. Żadnego flirtowania pomiędzy ciotami a normalnymi.

Obie frakcje przyjęły Prawo z pokorą. Obie frakcje posłuchały.

Zawarł układ z Johnnym R. Dostał prawo postoju przed Dunes. Zawarł układ z Samem G. Dostał prawo postoju przed Sands.

Powiedział załodze: CHCĘ BRUDÓW.

Pytajcie dziwki. Pytajcie rozdających. Zdobywajcie brudy. Zdobywajcie brudy na znanych klientów i nałogowych hazardzistów. Gromadźcie brudy. Zanoście je Miltowi C.

Milt był dobry. Milt rozpatrywał skargi załogi. Milt zapobiegał zamieszaniu.

Milt jeździł na lotnisko. Milt woził sławnych pedałów. Milt woził

ustawodawców. Milt woził ich do pieprzalni. Milt woził ich tam, gdzie mogli się naćpać. Milt meldował o brudach.

Milt rozdawał napiwki. Milt smarował chłopcom hotelowym/ barmanom/ panienkom przy barze. Milt mówił: „CHCĘ BRUDÓW”.

Brudy oznaczały wpływy. Brudy oznaczały pozycję. Wpływy oznaczały szmal. Szmal dla Chłopców i Draka Hughesa.

Taxi Tygrys: Brud-Centrala. Szwindel nie z tej ziemi.

Cioty rozrabiały. Heterycy rozrabiali. Na jakiś czas przycichli i rozrabiali teraz razem. Pete zatrudniał kierowców notowanych przez policję. Pete zatrudniał kierowców, którzy mieli już kartoteki. Pete zatrudniał wyłącznie zbirów.

Pete konsolidował działania. Pete pracował na dwóch najważniejszych frontach. Pete pracował nad interesem z prochami i automatami na monety.

Pornobiznesu się wystrzegał. Wystrzegał się osłów. Wystrzegał się meksykańskich gliniarzy. Wystrzegał się porno-dzieciaków. Przycisnął Eldona Peavy’ego. Zmusił go do zaprzestania kręcenia pornolców.

Zatrudnił Farlana Mossa. Wysłał go do Tijuany. Moss posmarował tamtejszym glinom. Moss zwinął dziewczęta. Moss wysłał je do domu – natychmiast.

Pete wykradł książki Peavy’ego. Pete wpisał w nie porno-transakcje. Pete wpisał BRUD.

Peavy wyjechał z miasta. Pete stracił ochronę dla swoich interesów. Pete zadzwonił do Sama G. Sam stygryślał i wykupił udziały. Wykupił dwadzieścia procent.

Sam kupił im ochronę – nową i ulepszoną – szeryfa i WPLV. Taka wiązana transakcja oznaczała zabezpieczenie. Zabezpieczenie oznaczało poczucie bezpieczeństwa. Poczucie bezpieczeństwa oznaczało znieczulenie.

Starał się nie pamiętać o Betty. Działo to tylko chwilami. Wykreślał z kalendarza minuty i godziny, i czas snu. Pracował na niby. Pracował naprawdę. Starał się te chwile wydłużać. Pielęgnował wszystko, co przykuwało uwagę.

Przepracowywał się. Wykańczał się. I wtedy atakowała Betty. To go przerażało. To dawało ulgę. To zdawało się mówić: MASZ TO Z GŁOWY, NAPRAWDĘ.

Betty wciąż była przy nim. Dallas jakoś wyblakło.

Komisja Warrena zaczyna pracę. Gromy sypią się na martwą głowę Lee O.

Jack Ruby idzie siedzieć, uznany za winnego. Jack milczy. Jack się boi. Pierdoła Bobby ustępuje ze stanowiska prokuratora generalnego.

Barb przestała oglądać popołudniowe wiadomości. Wayne przestał pytać o Dallas. Carlos przestał gadać o zamachu. Betty miała pecha. Arden-Jane jeszcze nie.

Jimmy'emu też powinęła się noga – oszustwa w funduszu emerytalnym – dwa wyroki po pięć lat jednocześnie. Jimmy jest udupiony. Jimmy to wie. Jimmy szuka pocieszenia.

Pocieszali go dobrzy prawnicy. Pocieszali dobrzy Teamstersi. Pocieszał Ward i jego plan z księgami Funduszu.

Najlepszym pocieszeniem był Tygrys. Tygrys przyćmiewał Betty – chwilami.

Tygrys ryczał. Tygrys się czał. Tygrys grasował po zachodnim LV. Ta przyczepa wciąż tam stała. Ta dziwka nadal w niej gniła.

Wayne chciał roboty. Wayne naciskał na Pete'a. Pete zawsze mówił: nie. Taxi Tygrys zatrudniało czarnuchów. Wayne miał na czarnuchów alergię.

Wayne pracował dla Wayne'a *père*. *Père* pociągnął za sznurki. *Père* mógł ciągnąć mocno. *Père* przewidział, co się stanie w Zatoce Tonkińskiej.

Wayne był pod wrażeniem – patrzcie na moją tatkę – on to jest *chingón*.

Wayne Senior naciskał na Wayne'a – stwórzmy własny wtyczko-Klan – Nic-Niewartych Rycerzy Nikogo albo inną podobną bzdurę.

Wayne chciał się zgodzić. Pete powiedział: Nie rób tego – Klany nie są dla ciebie.

Wayne Senior paplał aż do bólu. Ward Littell słuchał. Ward znał Wayne'a Juniora. Ward miał na niego wpływ. Ward mógł przeciąć więzy między ojcem a synem.

Wayne Senior sypnął kasą na ich fundusz zamachowy. Wayne Senior powiedział o tym Wardowi. Wayne Senior wysłał do Dallas Juniora.

Wayne był naiwny. Wayne nie wiedział.

Pozostań naiwny – naiwni żyją dłużej. Tygrys rządzi. Porzuć swą nienawiść, a ja znajdę ci robotę. To miejsce dla elity. To miejsce może wykończyć. To miejsce pomaga zapomnieć o martwych kobietach.

51

(Las Vegas, 10 września 1964)

Żywność w puszkach i gorzała. Kiszona kapusta i pomarańczowy likier – zaopatrzenie Sił Powietrznych USA.

Wayne podawał skrzynki. Jakiś ciołek je układał. Harowali. Zalewali się potem. Okupowali rampę dostawczą przy Desert Inn.

Kukurydza w sosie własnym i smirnoff. Nadziewane oliwki i anyżówka. Chrupki serowe i brandy.

Wayne pracował szybko. Ciołek pracował powoli. Ciołkowi nie zamykała się gęba.

– Wie pan, że straciliśmy paru chłopaków, w tym naszego intendenta. Słyszałem, że pański ojciec posłał go do roboty z Howardem Hughesem. Jakiś prawnik to załatwił.

Wayne wrzucił ostatnią skrzynkę. Ciołek ją złapał. Ciołek wyciągnął plik banknotów i zapłacił.

Przestąpił z nogi na nogę. Podrapał się. Zgrywał nieśmiałego. Przeciągał transakcję.

Wayne spytał:

– O co chodzi?

– Hm... to dość osobiste pytanie.

– Słucham.

– Hm... myśli pan, że ten Durfee jest na tyle głupi, że tutaj wróci?

– Moim zdaniem on w ogóle nie jest głupi.

Wayne jechał do Nellis.

Zaplanował dwa kursy. Ten drugi to późny wyjazd po ciasteczka Twinkies i Jima Beama – zaopatrzenie dla Flamingo.

Wayne ziewał. Ruch był niewielki. Robota miała działanie usypiające. Robota była nudna jak flaki z olejem.

Domyślił się. Zajęło mu to parę tygodni. Wayne Senior *chce*, żebyś się znudził. Wayne Senior ma swoje *plany*.

Rzeczony plan wyglądał tak:

Jedź do Alabamy. Wyrób sobie opinię. Opowiadaj, jak pomściłeś Lynette. Zawiąż wtyczko-Klan. Werbuj wtyczki. Pracuj dla federalnych.

Opowiedział o tym Pete'owi. Pete stwierdził, że „to szambo dla tchórzy”.

Wjechał do Owens. Zajechał przed bramą Nellis. Wjechał prosto do bazy. W Nellis było beżowo – beżowe budynki/ beżowe koszary/ beżowe trawniki.

Wielkie koszary. Budynki ponazywane tak jak hotele przy Strip. Bez żartów czy cienia ironii.

Kwatermistrz, z którym się kontaktował, mieszkał poza bazą. Kwatermistrz parkował w bazie. Wayne miał zapasowe kluczyki. Wayne zostawiał w samochodzie pieniądze.

Minął „Sands”. Minął „Dunes”. Minął Klub Oficerski. Zaparkował. Wysiadł. Zobaczył kwatermistrzowskiego forda.

Dwa szeregi dalej: corvetta, rocznik 1962.

Czerwona z białymi dodatkami. Białe opony i chromowane rury. Odpicowana bryka Janice.

Janice wyjechała z rancza. Wyjechała w południe. Janice mówiła, że jedzie na golfa. Boulder City, trzydzieści sześć dołków/ Twin Palms Country Club.

Bez troska Janice. Golf – akurat.

Wayne otworzył forda. Wayne opuścił szyby. Wayne przyczał się nisko, skulony.

Samochody przyjeżdżały. Samochody odjeżdżały. Wayne żuł gumę. Pocił się. Obserwował corvette.

Czas się włókł. Czas się ślimaczył. Jakiś instynkt mówił: *siedź*.

Słońce się przemieściło. Słońce padło na forda. Wayne zaczął się smażyć. Guma w ustach zrobiła się sztywna i sucha.

Oto i Janice.

Wychodzi z Klubu Oficerskiego. Wsiada do corvetty. Wkłada kluczyk do stacyjki i zapala.

Oto i Clark Kinman.

Wychodzi z Klubu Oficerskiego. Wsiada do dodge'a. Wkłada kluczyk do stacyjki i zapala.

Janice rusza. Kinman rusza za nią.

Wayne ruszył powoli. Wayne trzymał się z tyłu. Wayne wydłużał dystans – Wayne popuszczał smycz.

Wayne trzymał się z tyłu. Zerkał na tarczę zegarka. Odczekał pełną

minutę.

Teraz...

Dodał gazu. Zbliżył się. Dogonił. Trzysamochodowy konwój – w drodze na wschód – Lake Mead Boulevard.

Janice jechała prosto. Kinman walił w klakson. Siedział jej prawie na rurze wydechowej. *Bawili się*. Flirtowali przez okna. Wyglądali się.

Wayne trzymał się z tyłu. W odległości dwóch wozów. Wayne jechał pasem obok.

Zmierzali na wschód. Pokonali dwanaście kilometrów. Dotarli do pustyni. Motele i bary piwne. Piasek i stacje benzynowe ostatniej szansy.

Janice mrugnęła kierunkowskazem. Janice skręciła w prawo. Kinman mrugnął kierunkowskazem. Kinman skręcił w prawo.

Proszę – motel Złoty Parów.

Złocisty tynk. Jedna kondygnacja/ jeden rząd drzwi. Dwanaście sąsiadujących ze sobą pokoi.

Wayne zjechał na prawy pas. Wayne zahamował. Wayne stanął. Wayne spojrzął we wsteczne lustro.

Janice zatrzymała się na motelowym parkingu. Kinman zatrzymał się tuż obok. Wysiedli. Objęli się i pocałowali. Weszli do pokoju nr 4. Pominęli recepcję. Mieli własny klucz.

Wayne poczuł skurcze w żołądku. Zamknął samochód i poszedł pieszo.

Stanął w pobliżu pokoju nr 4. Stał i słuchał. Janice się śmiała. Kinman powiedział:

– Pokaż łobuzowi, co potrafisz.

Wayne rozejrzył się po parkingu. Zobaczył przywiane z pustyni roślinne szczątki i stare gruchoty. Zobaczył meksykańską dzieciarnię.

Cienkie ściany. Głosy *en español*. Meksykańcy. Goście: sezonowi robotnicy rolni z Meksyku.

Kinman się śmiał. Janice się odezwała:

– Oooo.

Wayne stał. Wayne słuchał. Wayne się czał. Cienie się wydłużyły. Żaluzje się popodnosiły. Pojawiły się śniade twarze.

Spostrzegł coś:

Pokój nr 5 nie miał okien. W drzwiach były *dwa* zamki.

Zachował to dla siebie. Unikał Wayne'a Seniora. Przejrzył dokumenty.

Sprawdził akty własności nieruchomości w okręgu Clark. Namierzył motel.

O, cholera – właściciel: Wayne Senior.

Jest 6.03.1956. Wayne Senior staje do przetargu i wygrywa. Ten motel to okazja. Ten motel to ucieczka przed podatkiem.

Wayne miał nad czym myśleć. Pete dzwonił na ranczo i zostawiał wiadomości. Wayne je olewał. Wayne obserwował motel.

Na posterunku wczesnym popołudniem. Pokój nr 4. Janice i generał brygady Clark Kinman. Dwa popołudnia po trzy godziny.

Parkował przy drodze. Patrzył przez lornetkę. Przechodził. Słuchał. Słyszał wzdychającą Janice.

Złoty Parów miał dwanaście pokoi. Mekse zajmowali dziesięć. Janice miała własny klucz. Pasował do pokoju nr 4.

Pokój nr 5 miał dwa zamki. Pokój nr 5 nie miał okien. Pokój nr 5 pozostawał pusty.

Za dnia na parkingu było gwarno. Kręcili się mekse. Meksykańska dzieciarnia wrzeszczała i skamlała. Mekse tyrali. Mekse tłukli się ostro. Mekse tłukli się od samego rana.

Kiedyś zatrzymał włamywacza – pod koniec 1960 roku. Zachował jego narzędzia. Zachował jego wytrychy.

Pokój nr 5 rzucał się w oczy. Drzwi były zielone. Zielone jak w takiej piosence:

Jaki to sekret za sobą chowacie?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.09.1964. Poufna notatka służbowa: Howard Hughes do Warda J. Littella.

Drogi Wardzie,

wielkie brawa z powodu tych nowych konsultantów do spraw kasyn. Moi asystenci wybrali trzech twardych i sprawnych, całkiem niegłupich ludzi z listy, którą dostarczyłeś, zaś oni zapewnili mnie, że są oddanymi swej wierze mormonami o pozbawionej zarazków krwi.

Ich nazwiska to Thomas D. Elwell, Lamar L. Dean i Daryl D. Kleindienst. Posiadają oni bogate doświadczenie, gdy chodzi o działalność w związkach zawodowych w Las Vegas, i zdaniem moich asystentów nie ulękną się negocjacji ani starć z ludźmi z mafii, których, jak mówił mi pan Hoover,

masz owiniętych wokół małego palca. Według moich asystentów ludzie owi „znają się na rzeczy”. Nie spotkali się z nami osobiście, ale moi pracownicy korespondowali z panem Tedrowem w Las Vegas i poprosili go o radę. Pan Tedrow jest niezmiernie szanowany w mormońskich kręgach, jak mi powiedziano, i opinię tę potwierdził sam pan Hoover.

Ludzie owi będą podróżować tu i ówdzie w związku z naszymi planami dotyczącymi Las Vegas, tak więc jestem zadowolony, że koszty ich podróży obniżą się dzięki korzystaniu z moich samolotów zamiast z usług komercyjnych linii lotniczych. Posłałem notatki służbowe do wszystkich załóg obsługujących loty czarterowe, instruując je, by na pokładzie zawsze było pod dostatkiem czipsów, pepsi i lodów, bo ciężko pracujący ludzie zasługują na to, by dobrze zjeść. Dziękuję także za uzyskanie pozwolenia na korzystanie z lotniska Bazy Sił Powietrznych Nellis, co również pozwoli nam na redukcję kosztów.

Co nagle, to po diable, Wardzie. Przekonałeś mnie, że realizacja naszych planów w Las Vegas musi potrwać dość długo, a tymczasem plan z konsultantami do spraw kasyn uważam za strzał w dziesiątkę. Nie mogę się już doczekać Twojego pierwszego sprawozdania.

Najlepsze życzenia,

H.H.

52

(Las Vegas, 12 września 1964)

Wayne Senior oznajmił:

– Wiem, co przewożą moi ludzie.

– Doprawdy?

– Tak. Doprawdy. Objasnili mi całą procedurę.

Siedzieli przy basenie. Janice stała w pobliżu. Janice wygrzewała się na słońcu i wbijała do dołka piłeczki golfowe.

– Wiedział pan o tym od naszego pierwszego spotkania. To było dość oczywiste.

– Domysły to nie to samo co pewność.

Littell uniósł jedną brew.

– Jest pan nieszczerzy. Wiedział pan wtedy, wie pan teraz, wiedział pan przez cały czas.

Wayne Senior zakaszłał.

– Proszę nie naśladować moich min i gestów. Nie ma pan mojego talentu.

Littell chwycił jego laskę. Littell nią zakręcił. Pieprzyć Wayne'a Seniora, niech się buja.

– Proszę mi powiedzieć, czego pan chce. Może pan mówić otwarcie i nie obawiać się słowa „odciąganie”.

Wayne Senior zakaszłał.

– Moi ludzie wystąpili ze związku. Odmówili mi płacenia procentu, o który poprosiłem.

Littell zakręcił laską.

– Ile pan chce?

– Zadowoliliby mnie pięć procent.

Littell zakręcił laską. Zaczął nią wywijać ósemki. Wykonał wszystkie sztuczki Wayne'a Seniora.

– Nie.

– Nie?

- Nie.
- Kategorycznie?
- Owszem.

Wayne Senior się uśmiechnął.

- Muszę założyć, że pan Hughes nie wie, co transportują jego samoloty. Littell przyglądał się Janice. Pochyliła się. Odbiła piłkę. Stała prosto.
- Radziłbym panu nic mu o tym nie mówić.
- Dlaczego? Bo pańscy włoscy przyjaciele zrobią mi krzywdę?
- Bo powiem pańskiemu synowi, że wysłał go pan do Dallas.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.09.1964. Artykuł z „Dallas Morning News”:

AUTOR PISZĄCY KSIĄŻKĘ O JFK TWIERDZI, ŻE „UJAWNI SPISEK”.

Dziennikarz „Dallas Times Herald” Jim Koethe zna pewną opowieść, którą przedstawi każdemu, kto tylko zechce go wysłuchać.

W niedzielny wieczór 24.11.1963 roku Koethe wraz z redaktorem „Times Herald” Robertem Cuthbertem i reporterem Billem Hunterem z „Press-Telegram” z Long Beach (Kalifornia) odwiedził mieszkanie Jacka Ruby’ego, który został skazany za zabójstwo Lee Harveya Oswalda, zamachowca na życie prezydenta. Wszyscy trzej mężczyźni spędzili „dwie lub trzy godziny” na rozmowie ze współlokatorem Ruby’ego, handlarzem błyskotek Georgem Senatorem. „Nie mogę ujawnić, co powiedział pan Senator”, oznajmił Koethe. „Ale proszę mi wierzyć, była to rewelacja, która zmusiła mnie do zastanowienia się nad pewnymi faktami”.

Koethe powiedział jeszcze, że poszperał nieco wokół zamachu i pisze właśnie książkę na ten temat. „To był spisek, to pewne jak to, że dwa razy dwa jest cztery”, orzekł. „I moja książka to ujawni”.

Koethe odmówił podania nazwisk ludzi, którzy jego zdaniem ponoszą odpowiedzialność za śmierć prezydenta Johna F. Kennedy’ego, nie zgodził się też ujawnić podstawowych motywów ani szczegółów spisku. „Będziecie państwo musieli poczekać na książkę”, oznajmił Koethe. „Ale proszę mi wierzyć, że warto”.

Przyjaciół Koethego, reporter Bill Hunter, zmarł w kwietniu. Redaktor Robert Cuthbert nie zgodził się na wywiad do niniejszego artykułu. „To, co Jim robi poza godzinami pracy, to jego prywatna sprawa”, oznajmił Cuthbert.

„Choć przyznaję, że życzę mu powodzenia z książką, bo lubię dobrą chałturę. Osobiście uważam, że Oswald był samotnym strzelcem, a Raport Warrena jeszcze mnie w tym przekonaniu utwierdza. Mimo to muszę stwierdzić, że Jim Koethe jest reporterem, którego zaciętość nie ma sobie równych, więc być może coś z tego wyniknie”.

Koethe (lat 37) to miejscowa barwna postać, dziennikarz znany ze swego uporu, asertywnego zachowania i związków z Wydziałem Policji Dallas. Powszechnie wiadomo, że blisko przyjaźnił się z sierżantem Wydziału Policji Maynardem Moorem, który zniknął mniej więcej w tym czasie, kiedy dokonano zamachu. Poproszony o komentarz na temat zaginięcia sierżanta Moore’a, Koethe powiedział: „Ani mru-mru. Dobry dziennikarz nie ujawnia swoich źródeł, a dobry pisarz nie ujawnia niczego”.

Zdaje się, że będzie trzeba poczekać na książkę. Tymczasem zaś osoby zainteresowane będą musiały zadowolić się szesnastotomowym Raportem Warrena, który według piszącego te słowa stanowi jedyne wiarygodne źródło informacji i daje ostateczne wyjaśnienie.

53

(Las Vegas, 13 września 1964)

Kot złapał szczura. Jeden chaps – *adieu*.

Kot kroczył dumnie po baraku. Kot paradował z ofiarą. Harvey Brams się przeżegnał. Długi Dom się zaśmiał.

Milt zabrał szczura. Kot fuknął i pokazał zęby. Milt wrzucił szczura do kibla. Kot zaczął się łąsić do Pete'a. Kot pacnął pazurami centralkę.

W interesie nie było ruchu. 18.00 – popołudniowa senność.

Wpadł Champ B. Champ B. podniósł morale. Champ B. podrzucił trochę zajmowanych skądś pall malli.

Pete je kupił. Powiedzmy, że to taka marketingowa juma – powiedzmy, że darowizna od Draka. *Szpitalna* juma – he, he, he – juma z oddziału chorób płuc.

Interes się rozruszał. Zadzwoił Sonny Liston. Sonny zamówił dwie taksy. Sonny zamówił szkocką i anielski pył.

Pete ziewnął. Pete pogłaskał kota. Wszedł Wayne, zamyślony. Dom spojrział na jego krocze. Dom wzrokiem pogłaskał wypukłość.

Pete powiedział:

– Dzwoniłem do ciebie.

Wayne wzruszył ramionami. Wayne podał Pete'owi świstek. Wycinek z gazety – dwie kolumny. Ktoś znowu zadzwonił. Odebrał Milt. Pete wziął Wayne'a na stronę.

Wayne wyglądał na wykończonego. Pete zmierzył go wzrokiem. Pete wetknął mu wycinek do kieszeni.

Pete zapytał:

– Sol Durslag. Mówi ci to coś?

– Jasne. Karciany oszust. Jest skarbnikiem Komisji do spraw Alkoholu i kiedyś pracował dla mojego ojca.

– Pokłócili się?

– Każdy kłóci się z...

– Twój ojciec jest właścicielem Land o’Gold, zgadza się? Ma tam potajemne udziały.

– Zgadza się. W Gold i trzynastu innych kasynach.

Pete zapalił papierosa.

– Milt szuka brudów. Dowiedział się, że Durslag ma swoich ludzi, którzy wyciągają z Gold kasę. Być może kiedyś będzie mi potrzebna jego pomoc.

Wayne się uśmiechnął.

– Mój ojciec był kiedyś jego przełożonym.

– To właśnie powiedział mi Milt.

– Więc chcesz...

– Chcę, żebyś go przycisnął. Pomyśl nad tym. Jesteś synem Wayne’a Seniora i masz własną reputację.

Wayne spytał:

– Czy to próba?

Pete odpowiedział:

– Tak.

Durslag mieszkał przy Torrey. Durslag mieszkał jak na klasę średnią przystało. Durslag mieszkał w uliczce Sherlocka Holmesa.

Rzeczona uliczka to był miszmasz stylów. Rezydencje jak z czasów Tudorów i palmy. Dwuspadowe dachy i piaszczyste podwórza. Jeden wielki miks.

Było ciemno. W domu nie paliły się światła. Chmury przykryły księżyc.

Pete zastukał. Zero odpowiedzi. Brama garażu była otwarta. Dali nura do środka.

Pete palił. Pete’a bolała głowa. Pete łykał aspirynę. Wayne ziewał. Wayne boksował nieistniejącego przeciwnika. Wayne gmerał przy stojącej lampie z wyginaną szyją.

Milt powiedział im o Solu co nieco. Milt powiedział, że Sol jest rozwiedziony. Dobra wiadomość – brak kobiet.

Oczekiwanie się przeciągało. Minęła 1.00 w nocy. Snuli się. Przeciągali, likwidując skurcze. Sikali na ściany.

W końcu...

Reflektory samochodu/ podjazd/ zbliżające się snopy światła.

Pete przykucnął. Wayne przykucnął. Wjechał cadillac. Światła zgasły. Wysiadł Sol. Sol pociągnął nosem...

Co to za dym...

Rzucił się do biegu.

Pete podstawił mu nogę. Wayne cisnął Sola na maskę. Pete chwycił za lampę. Pete zgiął jej szyję. Pete oświetlił Wayne'a.

– To jest pan Tedrow. Pracowałeś kiedyś dla jego ojca.

Sol powiedział:

– Walcie się.

Pete poświecił mu w oczy. Sol zamrugał. Sol przesunął się na masce. Wayne go złapał. Wayne go przydusił. Wayne wyjął pałkę.

Pete go oświetlił. Wayne go spałował – mocne ciosy – kostki, ręce. Sol zamknął oczy. Sol zagryzł wargi. Sol zacisnął pięści.

Wayne powiedział:

– Wycofasz swoją ekipę z Land o'Gold.

Sol powiedział:

– Walcie się.

Wayne go spałował – mocne ciosy – kostki/ klatka piersiowa.

Sol powiedział:

– Walcie się.

Pete powiedział:

– Dwa razy „tak”. Nic więcej od ciebie nie chcemy.

Sol powiedział:

– Walcie się.

Wayne go spałował – mocne ciosy – kostki/ręce.

Sol powiedział:

– Walcie się.

Wayne go spałował. Pete poświecił mu w oczy. Żarówka była mocna. Żarówka była gorąca. Żarówka sparzyła mu twarz.

Wayne podniósł pałkę. Wayne się zamachnął. Pete go powstrzymał.

– Jedno „tak” dla mnie, jedno dla pana Tedrowa. Wycofasz swoją ekipę. Jako członek Komisji do spraw Alkoholu wyświadczysz moim ludziom kilka przysług.

Sol powiedział:

– Walcie się.

Pete dał Wayne'owi znak. Wayne go spałował – mocne ciosy – ręce/zebra. Sol się skulił. Sol się przetoczył. Urwał ozdobę na masce. Złamał wycieraczkę.

Sol kaszlał. Sol się krztusił. Sol powiedział:

– Walcie się, tak, okej.

Pete podciągnął lampę. Światło zamrugało i rozległ się syk.

– To oznacza dwa razy „tak”, zgadza się?

Sol otworzył oczy. Sol miał przypalone brwi. Sol miał poparzone powieki.

– Zgadza się. Myślicie, że mam ochotę na więcej?

Pete wyciągnął piersiówkę – old crow – błyskawicznie działający środek na ból głowy.

Sol chwycił flaszkę. Sol ją opróżnił. Sol zakaszlał i zrobił się czerwony – jak bogackiego, dobre!

Skrzywił się. Zsunął się z maski. Stał prosto. Chwycił lampę. Zgiął szyjkę. Poświecił na Wayne’a.

– Twój ojciec mówił mi o tobie co nieco, chłopcze drogi.

Wayne rzekł:

– Zamieniam się w słuch.

– Mógłbym powiedzieć ci to i owo o tym chorym pojechańcu.

Wayne zgiął lampę ku dołowi. Światło zamrugało i rozległ się syk.

– Możesz mówić. Nic ci nie zrobię.

Sol zakaszlał. Sol splunął flegmą – gęstą i krwawą.

– Mówił, że lecisz na jego żonę. Jak mały zboczony szczeniak.

Wayne rzekł:

– I?

– I nigdy nie miałeś jaj, żeby w tej sprawie zadziałać.

Pete obserwował Wayne’a. Pete obserwował jego ręce. Pete podszedł blisko.

Wayne rzekł:

– I?

– I tatko nie powinien ci prawić kazań, bo sam jest chorym pojechańcem, gdy chodzi o własną żonę.

Pete obserwował Wayne’a. Pete zablokował mu ręce. Pete stał teraz *baardzo* blisko.

Wayne rzekł:

– I?

Sol zakaszlał.

– I tatko każe mamuśce pieprzyć się z facetami, którym chce dogodzić, a mamuśka puściła się kiedyś bez jego pozwolenia z kolorowym muzykiem

o nazwisku Wardell Grey i tatko zatłukł go jak psa swoją laską.

Wayne się zachwiał. Sol się zaśmiał. Sol trzepnął go krawatem w twarz.

– Wal się. Jesteś śmieciem. Jest z ciebie taki sam pojebaniec jak twój tatko.

54

(Las Vegas, 14 września 1964)

Złoty Parów – 23.00.

Dwanaście pokoi. Senne meksyki. Pokój nr 5 – pustka. Pokój nr 4 – schadzka.

Zjawili się o 21.00. Przyjechali dwoma wozami. Kinman przywiózł gorzałę. Janice przywiozła klucz.

Wayne obserwował. Wayne przeszedł przez parking. Wayne miał narzędzia. Wayne miał wytrychy i małą latarkę.

Zboczony szczeniak. Pojebaniec jak twój...

Na parkingu martwota. Żadnych wypoczywających/ żadnych śniadych panienek/ żadnych pijaczków zadekowanych w samochodach. Pokój nr 5 – zero okien. Pokój nr 4 – ciemność.

Wayne podszedł do drzwi piątki. Wayne wyciągnął narzędzia. Wayne oświetlił zamki.

Jedenaścioro brązowych drzwi. Jedne *zielone* – żeby się odróżniały. I taki mały figiel zboczonego szczeniaka.

Wayne manipulował wytrychami. Wayne kręcił nimi w prawo i w lewo. Wayne pracował nad obydwoma zamkami.

Ręce mu zadrżały. Zalewał go pot. Miał pokaleczone kciuki. W prawo/ nic z tego/ w le...

Górny zamek gotowy.

Puściła jedna zapadka. Otarł ręce. Puściła dru...

Dolny zamek gotowy.

Wayne wytarł ręce. Wayne oparł się o drzwi. Wayne otworzył je i wszedł do środka.

Zamknął. Poświecił latarką. Pokój był mały. Pachniał znajomo.

Stare zapachy – *zagnieżdżone*. Trunki Wayne'a Seniora. I jego tytoń.

Wayne omiół latarką podłogę. Omiół ściany. Wayne zobaczył wszystko.

Fotel. Kredens. Jedna popielniczka/ jedna butelka/ jedna szklanka. Jedno

lustro fenickie. Z widokiem na pokój nr 4. Jeden głośnik/ dźwiękoszczelne ściany/ włącznik dźwięku.

Wayne usiadł. Wayne rozpoznał fotel – jeden z przywiezionych z Peru w Indianie. Lustro było ciemne. W pokoju nr 4 nie paliło się światło. Wayne nalał sobie drinka.

Wypił. Zrobiło mu się gorąco. Czekał, aż go przepali. Lustro miało metr na metr. Typowy policyjny wymiar – typowa oprawa.

Wayne włączył dźwięk. Usłyszał jęki Kinmana. Wayne usłyszał towarzyszące im jęki Janice.

Janice jęczała zbyt głośno. Janice jęczała jak aktorka w pornolcu – ujęcie nr 101.

Wayne nalał drinka. Wayne wypił. Wayne czekał, aż go przepali. Kinman szczytował – ooo-ooo-ooo. Janice szczytowała wraz z nim. Janice jęczała mezzofalsetem – jak porno-aktorka na amfetaminie.

Wayne usłyszał szeptaną rozmowę. Wayne usłyszał chichot. Wayne usłyszał szum w głośniku. Zapaliło się światło. Pokój nr 4 zajaśniał.

Janice wyszła z łóżka. Janice stała naga. Janice podeszła do lustra. Zatrzymała się. Przyjęła pozę. Wzięła papierosy ze stolika nocnego.

Wayne przysunął się blisko. Janice się zamazała. Wayne się odsunął, by widzieć znów wyraźnie. Kinman coś powiedział. Kinman mamrotał czułe słówka. Kinman był nieświadomy. Kinman gównowo wiedział.

Janice pogłaskała bliznę po wycięciu wyrostka. Janice odrzuciła w tył włosy.

Jej piersi zafalowały. Jej włosy się zmierzwiły. Z każdym jej oddechem unosiła się para. Lał się z niej pot. Uśmiechnęła się. Oblizwała palec. Napisała na lustrze: „Junior”.

55

(Dallas, 21 września 1964)

Jim Koethe był ciotą.

Wypychał sobie krocze. Węszył po barach dla pedałów. Sprowadzał do domu chłopców. Ów dom znajdował się w Oak Cliff – Dallas dupojebców. Ów dom znajdował się na osiedlu Oak View Apartments.

Trzy kondygnacje. Zadaszone chodniki przed domem. Widok na wszystkie strony świata.

Pete okupował ławkę na przystanku autobusowym. Pete obserwował jego metę. Pete miał przy sobie torebkę z podarunkiem. 1.16 w nocy – uwaga: cioty.

Koethe miał randkę. Koethe dymał swoich kochasiów przez dwie godziny. Pete znał Koethego. Pete znał jego nawyki.

Wayne czytał gazety z Dallas. Wayne przyniósł mu wycinek. Dotyczył Koethego i jego książki. Dotyczył Koethego i jego kumpla Maynarda Moore'a. Pete przyleciał do Dallas. Pete śledził Koethego. Pete udał dziennikarza. Pete zadzwonił do redaktora jego gazety.

Facet wyśmiał Koethego. Koethe był porąbany. Koethe pieprzył jak naćpany. Pewnie, że byli u Ruby'ego. Pewnie, że rozmawiali z jego współlokatorem. Tak – ale ta cała gadka, to była jedna wielka lipa. Zwyczajne pieprzenie w bambus.

Spisek – akurat. Przeczytajcie sobie Raport Warrena.

Facet mówił przekonująco – *ale* – Jim Koethe znał Maynarda Moore'a.

Podjechał autobus – jakiś nocny ekspres. Pete machnął ręką, że ma jechać dalej.

Zmarnował tak już cztery dni. Śledził Koethego. Poznawał Koethego i jego nawyki. Koethe uwielbiał Holiday. Koethe uwielbiał Vic's Parisian. Koethe uwielbiał Salon Muzyczny u Gene'a. Koethe popijał brandy z likierem pomarańczowym. Koethe polował w kiblach. Koethe dymał chłopięce dupki.

Oak Cliff to było bagno. Oak Cliff to była dzielnica duchów. Betty Mac/

meta Ruby'ego/ zamieszanie Oswald–Tippit.

Kochaś Koethego wyszedł. Kochaś Koethego miał nogi jak pałaki. Minał ławkę. Zmierzył Pete'a. Zrobił „uuu-ach” i poszedł dalej.

Pete założył rękawiczki. Pete wziął torbę z podarunkiem. Koethe mieszkał pod numerem 306 – tam gdzie wciąż paliło się światło.

Pete wybrał boczne schody. Pete wspiał się powoli. Pete rozejrzał się po chodnikach. Zero hałasu na zewnątrz/ zero hałasu wewnątrz/ zero świadków.

Podszedł. Dotarł do drzwi. Poruszył klamką. Pokonał zamek. Otworzył. Wszedł. Znalazł się w ciemnym pokoju. Zaczął rozróżniać cienie i dźwięki.

Odgłos prysznic – koniec korytarza – w bok od wejścia. Para i światło z tamtego kierunku.

Pete stał nieruchomo. Pete wyteżał wzrok. Pete zajrzał za jedne drzwi. Zobaczył pokój dzienny zamieniony w gabinet. Zobaczył regały na dokumenty. Zobaczył aneks kuchenny.

W głębi korytarza: łazienka i sypialnia.

Pete upuścił torbę z podarunkiem. Pete przykucnął. Pete ruszył korytarzem. Prysznic umilkł. Buchnęła para. Pojawił się Koethe.

Miał na biodrach ręcznik. Skręcił w prawo. Wpadł na Pete'a.

Zderzyli się. Koethe zapiszczał. Koethe przeszedł do ataku. Koethe przyjął pozycję z jakichś sztuk walki.

Ręcznik mu spadł. Zadyndało oprzyrządowanie. Miał przedłużony sztucznie członek i doczepione sztuczne jaja.

Pete się roześmiał. Pete się pochylił.

Koethe kopnął. Koethe nie trafił. Koethe zachwiał się i poleciał. Pete go kopnął. Pete trafił w narządy – bez pudła.

Koethe zgiął się wpół. Koethe się wyprostował. Koethe zaczął próbować jakichś sztuczek z karate. Zamłócił łapami. Wystawił pięści. Przyjął pozycję.

Pete załatwił go chwytem judo. Pete wbił mu w twarz paznokcie.

Koethe wrzasnął. Pete złapał go za gardło. Pete przytrzymał go i wygiął do tyłu. Pete ścisnął mu kość gnykową.

Koethe zbulgotał. Koethem targnęły drgawki. Koethe zakrztusił się zółcią. Pete go wyprostował. Pete wygiął mu kark. Pete wrzucił go pod prysznic.

Postał tam jeszcze. Chwytał oddech. Poczul ból głowy rozmiarów Godzilli. Otworzył apteczkę. Znalazł aspirynę. Połknął pół fiolki.

Chodził po mieszkaniu. Rozpakował swoją torbę. Porozrzucił po

dywanach i fotelach pamiątki: sztuczne fiuty/ skręty/ pedalskie świerszczyki/ płyty Judy Garland.

Ból głowy zaczął ustępować – Godzilla przybrała rozmiar King Konga. Znalazł trochę ginu. Ból jeszcze zelżał – King Kong zmienił się w zwykłego goryla.

Przeszukał metę. Porozwalał wszystko. Upozorował włamanie. Nabałaganił w sypialni. Nabałaganił w kuchni. Przeszukał szuflady z dokumentami. Znalazł wycinki z gazet. Znalazł notatki. Znalazł teczkę podpisaną: „Książka”.

Szesnaście stron/ maszynopis. Spisek, cholera.

Pete przejrzał zapiski. Historia była pełna dygresji. Jej trzon jednak trzymał się kupy.

Wendell Durfee był „tępy alfons”. Był „zbyt tępy, żeby zabić Maynarda Moore’a”. Moore miał zadanie do wykonania. Moore miał partnera: Wayne’a Tedrowa Juniora z WPLV.

Koethe znał sierżanta A.V. Browna. Sierżant Brown mówił:

„Moore i Junior darzyli się niechęcią. Doszło między nimi do jakiejś awantury w hotelu Adolphus. Moore rzekomo nie stawił się na spotkanie z Juniorem. Moim zdaniem Junior go zabił, ale nie mam na to dowodów”.

Koethe znał jakiegoś fedzia. Koethe owego fedzia cytował:

„Tedrow Senior miał swoich informatorów w Klanie. Maynard Moore mu donosił, więc to nie mógł być zwykły zbieg okoliczności, że Moore i Tedrow Junior dostali wspólne zadanie w tamten weekend”.

Koethe kombinował:

Moore znał J.D. Tippita. Obaj byli „sklanowani”. Moore znał Jacka Ruby’ego. Moore bywał w klubie Carousel.

Koethe kombinował na temat Ruby’ego. Koethe powoływał się na „tajne źródło”:

„Jack sprowadził kilkoro ludzi do kryjówki, gdzie przebywała ekipa związana z zamachem. Mogło to być w północnym Teksasie albo w Oklahomie, mógł to być jakiś motel albo domek myśliwski. To był chyba Jack i dwie kobiety, i może jeszcze Hank Killiam. Pewnie zobaczyli coś, czego widzieć nie mieli”.

Koethe kombinował. Koethe wypisał znane kontakty Jacka Ruby’ego. Gwiazdkami zaznaczył nazwiska: Jack Zangetty/ Betty McDonald/ Hank Killiam. Koethe dodał przypisy – informacje prasowe:

Jack Zangetty znika – Gwiazdka 1963. Jack znajduje się, wyrzucony na brzeg jeziora Lugert. Betty McDonald/ samobójstwo – 13.02.1964. Hank Killiam/ samobójstwo – 17.03.1964.

Jim Koethe – cytata dosłowny: „Kim była druga kobieta w kryjówce?”.

Koethe kombinuje. Koethe uważa, że „ekipa zamachowa” się rozwiązała. „Zmuszeni byli opuścić Dallas. Być może przekroczyli granicę z Meksykiem”. Koethe znajduje „źródło w straży granicznej”. Rzeczone źródło dostarcza mu listę kontrolowanych paszportów.

Daty: 23.11–2.12.1963.

Koethe pracuje nad listą. Koethe znajduje „tajne źródło”. Koethe sprawdza 89 nazwisk. Koethe namierza „głównego podejrzanego”.

Jean Philippe Mesplède/ biały/ lat 41. Miejsce urodzenia: Lyon, Francja. Były żołnierz armii francuskiej/ były strzelec OAS²⁶.

Mesplède ma „prawicowe powiązania”. Mesplède ma powiązania z „ugrupowaniami uchodźców kubańskich”. Aktualny adres Mesplède’a: Ciudad Juarez 1214/ Mexico City.

Zawodowy strzelec był Francuzem. Chuck Rogers tak twierdził. Chuck powiedział, że facet przekroczył granicę.

Pete przerzucał kartki. Treść traciła na spójności. Z wywodów Koethego umykała logika.

Znajdźmy powiązania Oswalda i Ruby’ego. Znajdźmy powiązania Oswalda i Moore’a. Połączmy to z Lady Bird Johnson²⁷. Połączmy to z Karyn Kupciner²⁸.

Pete przerzucał kartki. Cały ten szajs tracił na spójności. Połączmy to z Dorothy Kilgallen²⁹. Połączmy to z Lennym Brucem. Połączmy to z Mortem Sahlem.

Pete przerzucał kartki. Szajs znów zyskał na spójności – O, KURWA...

Zdjęcie z kartoteki policyjnej. Dowód rzeczowy A. Źródło: Wydział Policji Kansas City – 8.03.1956.

To Arden-Jane. Wtedy: Arden Elaine *Bruvick*. Zarzut: Posiadanie towarów pochodzących z kradzieży.

Jedno zdjęcie. Załączone notatki. „Tajne” wskazówki:

Księgowa Jacka Ruby’ego pryska z Dallas. Nazywa się Arden *Smith*. Była w kryjówce. Widziała to, czego widzieć nie miała. Prysła z Wielkiego D. na dobre.

Koethe skojarzył imię „Arden”. Koethe skojarzył wskazówki i uderzył do

źródeł. Ten gość znał tamtego gościa. Tamten gość znał tego. Jeden gość dostarczył zdjęcie. Jacyś inni podrzucili informacje.

Takie jak:

Arden zaliczała facetów. Arden miała męża. Rzeczony mężulo był w Teamsters. Mężulo stał na czele związku w Kansas City. Mężulo miał dryg do rachunkowości. Chodził do szkoły w Missisipi. Mężulo nie lubił Hoffy. Podprowadził Teamstersom część kasy.

Arden nie była niewinna. Arden prowadziła się z dziwkami. Arden trzymała się blisko z dwiema siostrzyczkami: Pat i Pam Clunes.

Notatki o Arden się urwały. Notatki do „Książki” się urwały. Wszystko utknęło w martwym punkcie. Pete poczuł zawroty głowy. Pete zmierzył sobie puls – sto, kurwa, sześćdziesiąt trzy.

Spakował notatki do torby. Sprawdził szuflady. Sprawdził półki i szafki. Żadnych kopii/ żadnych teczek z wycinkami.

Przetrzęsął chatę raz jeszcze. Przeszukał gruntownie. Przetrzęsął znowu. Posprzątał szybko.

Bałaganił. Sprzątał. Pracował szybko. Pracował dokładnie.

Przetrzęsął apteczkę. Poukładał wszystko na nowo. Rozmontował i zmontował toaletę. Ostukał ściany. Ściągnął dywany. Ułożył je z powrotem. Porozpruwał fotele. Porozpruwał kanapy. Rozpruł łóżko.

Żadnych zakamarków. Żadnych schowków. Żadnych kopii. Żadnych dodatkowych wycinków.

Łyknął kilka tabletek aspiryny. Popił ginem. Zdobył się na sensowne myślenie. Cioty często zabijały się nawzajem. To była powszechna policyjna wiedza. Byli tego świadomi wszyscy gliniarze.

Dorwał nóż. Dźgnął Jima Koethego dziewięćdziesiąt cztery razy.

Na południe – ponad sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Jechał I-35. Minął przedmieścia slumsów. Czuć go było krwią i ginem. Czuć go było szamponem Jima Koethego.

Mijał parkingi przy autostradzie. Mijał pola biwakowe. Widział dziecięce huśtawki i grille. Z tyłu włókł się jakiś wóz – jakieś dziesięć aut za nim – bał się go.

Wykonywał manewry, żeby go zgubić. Nie było szans. 4.00 nad ranem – jedna autostrada/ dwa samochody.

Ból głowy powrócił. Narastał i pęczniał. Znow był wielkości King Konga.

Ujrzał znak pola biwakowego. Zjechał z autostrady. Ujrzał dołek z kratką do grillowania i stoliki. Podjechał. Wyłączył światła. Działał w ciemności.

Wrzucił zapiski Koethego. Wypełnił dół. Zaczepnął z baku trochę benzyny i polał nią kartki. Zapalił zapałkę i wywołał wielkie fuuuuch.

Płomienie strzeliły w górę. Płomienie się uspokoiły. Gorąco podsyciło ból głowy. Był teraz jak potwór. Większy od Godzilli. Był jak Bestia z Czarnej Laguny.

Pete pobiegł do samochodu. Pete odjechał. Pete wrócił na autostradę. Prysnać z Wielkiego D. Zyskać spokój na zawsze. Najeść się barbituranów. Naszprycować się herą.

Tamten wóz ciągnął się za nim dalej. To statek kosmiczny. Kieruje nim King Kong. Ma w oczach promienie Roentgena. Wie, że zabiłeś Koethego i Betty.

Pete miał zawroty głowy. Przednia szyba wyparowała. Teraz to okienko w samolocie/ dziurka w sicie. Droga się obniżyła. Teraz to strużka czarnego atramentu z kałamarza. Teraz to Czarna Laguna.

Bestia gryzła go w głowę. Pete zwymiotował na kierownicę.

Jest zjazd. Ucieka. Jest znak:

HUBBARD, TEKSAS, LICZBA MIESZKAŃCÓW 4001.

Japońce. Rozciągnięte druty. Betty Mac. Skośne oczy/ kraty/ obcisłe rybaczki.

Pojawiały się. Znikały. Drogi się zapadały. Znow się ukazywały. Kałamarze i Czarne Laguny.

Jego przytomność pojawiała się. Jego przytomność znikła. Czuł się jak Frankenstein. Szwy i kłamry. Zielone ściany i biała pościel.

Łowcy narządów. I doktor Frankenstein:

Szczęściarz z pana. Jakiś człowiek pana znalazł. Bóg chyba naprawdę pana kocha – rozbił się pan koło szpitala świętej Anny.

Doktor miał blizny po trądziku. Doktor miał cuchnący oddech. Doktor mówił z południowym akcentem.

Minęło sześć dni. Wycięliśmy panu spory guz z głowy. Był łagodny. Założę się, że cierpiał pan na koszarne migreny. Teraz proszę się niczym nie martwić – tamten człowiek w samochodzie zadzwonił do pańskiej żony.

Przywrócili go do życia.

Frankenstein przychodził. Frankenstein odchodził. Zakonnice przemykały z szelestem. Nie róbcie mi krzywdy – jestem francuskim protestantem.

Frank pozdjmował mu klamry. Zakonnice go ogoliły. Przytomność wróciła. Widział brzytwy i ręce. Przytomność go opuściła. Znow widział japońców i Betty Mac.

Czyjeś ręce karmiły go zupą. Czyjeś ręce dotykały jego małego. Czyjeś ręce wtykały rurki. Mgła nieprzytomności się rozpraszała. Zaczęły docierać słowa. Zmniejszyć dawkę – żeby się nie uzależnił.

Przytomność wróciła. Zobaczył twarze:

Nowicjuszek z zakonu – oblubienice Frankensteina. Drobny mężczyzna – ciuchy studenta najlepszego uniwerku – całkiem jak u Johna Stantona. Ścieżka Pamięci: Miami/ hera/ kooperacja: mafia – Agencja.

Zmrużył oczy. Próbował coś powiedzieć. Zakonnice zrobiły: ćśśś.

Przytomność go opuszczała. Przytomność wracała. Wróciła na dobre. Stanton był tam naprawdę – ta jego opalenizna – ten jego lniany garnitur.

Pete próbował mówić. W gardle poczuł kluchę. Odkaslnął flegmę. Piekł go mały. Wyciągnął sobie cewnik.

Stanton się uśmiechnął. Stanton przysunął krzesło.

– Śpiąca Królowa się budzi.

Pete usiadł. Napiął się przewód od kroplówki.

– Jechałeś za mną. Widziałeś, jak zjechałem z drogi.

Stanton skinął głową.

– Zadzwoiłem do Barb i powiedziałem, że wszystko będzie dobrze, ale nie możesz na razie przyjmować gości.

Pete przesunął ręką po twarzy.

– Co tu robisz?

Stanton mrugnął. Stanton sięgnął po teczkę. Stanton wyciągnął broń Pete'a.

– Odpoczywaj. Lekarz powiedział, że jutro będziemy mogli pogadać.

Usiedli na ławce. Wynieśli się na dwór. Stanton miał na sobie lniany garnitur. Pete miał na sobie szlafrok.

Czuł się dobrze. Bóle głowy – *adieu*.

Wczoraj zadzwonił do Barb. Nadrobili te osiem dni. U Barb wszystko było w porządku. Stanton ją przygotował. Barb trzymała się dzielnie.

Przejrzał „Times-Herald”. Najważniejsze już wiedział. Zabójstwo Koethego – było, minęło. Pracował nad tym Wydział Policji Dallas. Wydział Policji tępił pedałów. Wydział Policji miał ich gdzieś. Wyglądało to na sprawę nie do rozwiązania. Pedalska robota – pieprzyć to.

W „Morning News” zamieścili artykuł. Wyśmiali Koethego. Wyśmiali jego „bredzenie”. Koethe był znanym maniakiem. Koethe miał „fiola na punkcie spisków”.

Spalił notatki Koethego. Przy okazji wypłynęła Arden. Myślał. Podjął decyzję – nie powie Wardowi Littellowi.

Ten brud był *fragmentaryczny* – trzeba go było uzupełnić.

Minęła ich zakonnica – słodziutka – Stanton ją otaksował.

– Jackie Kennedy nosiła takie kapelusze.

– Jeden miała w Dallas.

Stanton się uśmiechnął.

– Szybko kojarzysz.

– Uczyłem się w szkole łaciny. Wiem, co znaczy *quid pro quo*.

Zakonnica się uśmiechnęła. Zakonnica pomachała i zachichotała. Stanton był słodki. Stanton żył na sałatkach i martini.

– Słyszałeś o tym zabitym dziennikarzu? Ponoć pisał książkę.

Pete się przeciągnął. Pękł mu szew na głowie.

– Zacznijmy od początku. Jechałeś za mną. Ocaliłeś mi życie. Mówię więc: „dziękuję”.

Stanton się przeciągnął. Ukazała się spluwa pod pachą.

– Wiemy, że niektórzy ludzie z Agencji byli *przynajmniej* marginalnie związani z tą sprawą Kennedy’ego. Jesteśmy zadowoleni z rezultatów. Nie zamierzamy podważać Raportu Warrena, ale w razie gdyby powstały wątpliwości, chcielibyśmy poznać całą rzecz chociaż w ogólnym zarysie.

Pete się przeciągnął. Pękł kolejny szew. Pete potarł głowę. Pete powiedział:

– Kuba.

Stanton się uśmiechnął.

– To nie za wiele.

– To mówi samo za siebie. Wiesz, kogo gość orznął, wiesz, kto miał kasę i możliwości. Uratowałeś mi życie, więc będę szczery. Poznałeś i pracowałeś z połową ekipy.

Ławka była wilgotna. Dało się na niej pisać palcem. Stanton narysował

gwiazdy. Stanton napisał: „KUBA”.

Pete potarł głowę. Szew zaczął puszczać.

– No dobra, zabawmy się.

Stanton rysował gwiazdy. Stanton postawił „!” za słowem KUBA.

– Jack nas skrzywdził. Teraz Johnson się do tej krzywdy dokłada.

Pete postawił „?”. Stanton go przekreślił.

– Johnson kładzie lachę na Sprawie. Uważa, że jest przegrana, i wie, że przez nią zginął Jack. Obciął nam środki na działania operacyjne na Kubie i niektórzy z moich kolegów uważają, że czas już zacząć obchodzić jego politykę.

Pete postawił „!” . Pete postawił „\$” . Stanton założył nogę na nogę. Ukazała się spluwa przy kostce.

– Chcę ściągnąć cię do Wietnamu. Chcę, żebyś woził heroinę z Laosu do Stanów. Mam już ustawioną ekipę w Sajgonie. Sami chłopcy z Agencji i Armii Południowego Wietnamu. Możesz zwerbować własnych ludzi po obu stronach drogi. Prochy sfinansowały z tuzin wietnamskich zamachów, więc wykorzystajmy je także dla Sprawy.

Pete zamknął oczy. Pete przypomniał sobie wiadomości. Francuzi tracą Algier. Francuzi tracą Dien Bien Phu.

*Et le Cuba sera notre grande reavanche*³⁰.

Stanton powiedział:

– Chcesz pchnąć prochy do Las Vegas. Rozmawiałem o tym z Carlosem. Uważa, że może namówić mafię do zniesienia zakazu handlu, jeśli będziesz sprzedawał wyłącznie Murzynom. Chcemy, żebyś wypracował system, kupił kluczowych gliniarzy i ograniczył swój kontakt z ulicą do ostatnich dwóch ogniw całego łańcucha dystrybucji. Jeśli operacja w Vegas się powiedzie, rozszerzymy działalność na inne miasta. A sześćdziesiąt pięć procent zysków będzie szło do wartych zachodu ugrupowań uchodźców.

Pete wstał. Pete się zachwiał. Pete zamarkował sierpowe i proste, zrywając szwy.

Przeszła zakonnica. Zobaczyła Pete’a. Przeraziła się. Przegnała.

C’est un fou.

C’est un diable.

*C’est un monstre Protestant*³¹.

56

(Las Vegas, 30 września 1964)

Czas na przerwę – punktualnie 16.00.

Oderwał się od pracy. Zrobił kawę. Usiadł przed swoim apartamentem. Puścił wiadomości. Patrzył na pole golfowe. Janice grała prawie codziennie.

Zobaczy go. Pomacha. Wykrzyczy jakiś epigram. Powie: „Nie lubisz mojego męża”. Powie: „Za ciężko pracujesz”.

Janice grała świetnie. Janice poruszała się zwinnie. Trafiała do dołek. Jej spódnica się podnosiła. Łydki rozluźniały się i napinały.

Littell patrzył na dołek nr 6. Littell słuchał wiadomości. LBJ rozpoczął kampanię wyborczą w Wirginii. Bobby rozpoczął kampanię w Nowym Jorku.

Janice celowała do szóstki. Janice w polu zostawiła przyjaciół. Zobaczyła go. Pomachała. Krzyknęła.

Powiedziała: „Mój mąż się ciebie boi”. Powiedziała: „Potrzebujesz odpoczynku”.

Littell się zaśmiał. Littell pomachał. Janice uderzyła piłeczkę.

Jane bała się Vegas. W Vegas rządzą Chłopcy. Janice *ucieleśniała* Vegas. Lubił na nią patrzeć. Zabierał ze sobą te widoki do łóżka. Przyoblekał Jane w ciało Janice.

Wiadomości się skończyły. Janice trafiła do dołka i pomachała. Littell wszedł do pokoju. Littell pisał wnioski o apelację.

Jimmy Hoffa był skończony. Chłopcy o tym wiedzieli. Carlos stał twardo za Jimmym. Carlos sypał kasą. Carlos utworzył Fundusz „Pomóc Jimmy’emu”. To było daremne. To było beznadziejne. Forsa na łapówki wreszcie się skończyła.

Littell odłożył swój wniosek. Littell wziął do ręki wyciągi bankowe. Littell przejrzał liczby i zsumował dziesięciny.

Dobre wieści:

Kurierzy nie dali Seniorowi żadnych szans. Oskubali go z jego honorarium

za odciąganie. Kurierzy byli obłudni. Kurierzy byli po mormońsku niesforni.

Kierował nimi. Kierował odciąganiem. Sporządzał fikcyjne raporty. Okłamywał Draka. Oszukiwał Draka. Ssał krew Draka.

Kurierzy kursowali. Kurierzy mieli kurs z sześciuset kawałkami odciągniętych dochodów. Littell wziął swoje pięć procent. Zasilił chicagowskie konto. Otworzył też rachunki w Silver Spring i DC. Użył fałszywego nazwiska. Prał gotówkę. Płacił dziesięcinę SCLC.

Wypisywał czek na dziesięcinę. Po pięć tysięcy każdy. Posługiwał się pseudonimami. Usuwał z kopert swoje odciski palców.

Drak i Chłopcy sponsorami doktora Kinga – zwyciężymy.

Zadzwoił telefon na biurku. Littell odebrał.

– Tak?

Szum zakłóceń – zamiejskowa. Zniekształcony głos Pete'a:

– Ward, to ja.

Szum narastał. Na linii zatrzęszczało. Szum ucichł.

– Gdzie jesteś?

– W Mexico City. To pieprzone połączenie zaraz się przerwie, a potrzebna mi twoja przysługa.

– Mów.

– Chcę, żeby Wayne przestał się trzymać twojej spódnicy i przyjechał tu popracować ze mną.

Littell powiedział:

– Nie ma sprawy.

(Las Vegas, 30 września 1964)

Janice pieprzyła się z Clarkiem Kinmanem. Wayne patrzył.

Zostawiła zapalone światła. Wiedziała, że on tam jest. Ujeżdżała Kinmana. Wayne widział jej plecy.

Wayne wpatrywał się w lustro. Wayne popijał szkocką Wayne'a Seniora. Był to jej szósty show. A on szósty raz bawił się w chowanego.

Obserwował motel. Janice pieprzyła się co wieczór. Wayne Senior przeważnie ją podglądał. Wszystko dokładnie zaplanowane w czasie. Łącznie z przyjazdami.

Kinman zjawia się o 21.00. Janice o 21.10. Wayne Senior o 21.40. Kinman przyjeżdża, żeby się rznąć. Janice przyjeżdża, żeby dać spektakl. Kinman, nieświadomy, gra w spektaklu wraz z nią.

Dla Wayne'a Seniora pieprzyła się w ciemności. Dla Wayne'a zapalała światło.

Przemyślał to.

Widziała go w Nellis. *Znała go. Wiedziała, że się włamie. Że pozna zwyczaje Wayne'a Seniora. Że zawładnie wieczorami, kiedy ojca nie będzie, i będzie PATRZYŁ.*

Janice wygięła się w tył. Włosy jej opadły. Wayne widział jej twarz do góry nogami. Włączył się głośnik. Kinman jęczał. Kinman plótł erotyczne bzdury.

Janice się wyprostowała. Janice uniosła biodra. Wayne widział tkwiącego w niej Kinmana.

Sol Durslag mówił prawdę. „The Vegas Sun” opisał tę historię. Maj 1955 – Wardell Gray/ saksofon tenorowy. Pobicie porzucone ciało/ piaszczysta wydma/ zgon stwierdzony po przybyciu na miejsce przez policyjną ekipę. Żadnych podejrzanych – sprawa zamknięta.

Janice wygięła się w tył. Włosy jej opadły. Wayne zobaczył jej oczy do góry nogami.

Kinman jęczał coś w rodzaju „teraz, teraz”. Kinman plótł erotyczne bzdury. Janice chwyciła poduszkę. Janice zatkała mu usta.

Palce u nóg mu się podwinęły. Kolana się zgięły. Stopy się skuliły. Janice zeszła z niego, wolna.

Kinman zrzucił poduszkę. Kinman uśmiechnął się i podrapał po jajach. Kinman pociągnął za medalik świętego Krzysztofa na łańcuszku.

Rozmawiali. Ich usta się poruszały. W głośniku zlewały się westchnienia.

Kinman pocałował świętego Krzysztofa.

– Zawsze noszę go, żeby mnie bronił. Czasem mam wrażenie, że mogłabyś mnie zabić.

Janice usiadła. Janice siedziała przodem do lustra.

Kinman powiedział:

– Wayne Senior powinien bardziej cię pilnować. Cholera, spotykamy się już od szesnastu dni z rzędu.

Janice mrugnęła. Janice powiedziała:

– Bo jesteś najlepszy.

– Powiedz prawdę. On jest dobry?

– Nie, ale ma inne zalety.

– To znaczy pieniądze.

– Niezupełnie.

– Musi coś w sobie mieć, inaczej już dawno poszukałabyś innego ogiera.

Janice mrugnęła.

– Wysyłałam sygnały, lecz nikt nie zastukał do moich drzwi.

– Niektórzy chłopcy nie wiedzą, jak czytać znaki.

– Niektórzy chłopcy musieliby najpierw je dostrzec.

– Cholera, gdyby twój mążulo cię teraz zobaczył...

Janice podniosła głos. Janice mówiła przesadnie powoli.

– Kiedyś miałam romans z jednym muzykiem. Wayne Senior się dowiedział.

– I co zrobił?

– Zabił go.

– Droczyś się ze mną?

– Ależ skąd.

Kinman pocałował świętego Krzysztofa.

– Doprowadzisz mnie do zguby. Cholera, a myślałem, że Junior to jedyny zabójca w rodzinie.

Janice wstała. Janice podeszła do lustra.

Poprawiła włosy. Chuchnęła na szkło. Pośliniła palec. Zaczęła rysować serca i strzały.

Rozpętała się burza piaskowa. Gorący wiatr unosił piach i suchą bylicę.

Wayne pojechał na ranczo. Wayne wszedł do domku dla gości. Wayne zobaczył samotny wóz na drodze.

Ward Littell.

Kulił się przed wiatrem. Zamknął za sobą drzwi domku. Wyglądał na wysmaganego piaskiem i wiatrem.

Powiedział:

– To twój ojciec wysłał cię do Dallas.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.10.1964. Tajne akta Wywiadu. Od: John Stanton. Do: Pete Bondurant. Oznaczone: „Dostarczyć do rąk własnych/ zniszczyć po przeczytaniu”.

P.B.,

mam nadzieję, że otrzymałeś ten raport na czas. To jedynie skrót najważniejszych informacji, z którego usunąłem nieistotne szczegóły. Przekazuję je przez placówkę w Mexico City, żeby zdążyć w zasugerowanym przez Ciebie terminie. Komentarz: informacje zaczerpnięte z akt Interpolu w Paryżu i Marsylii. Kopia: akta Agencji nr M-64889/Langley.

Dot.: MESPLÈDE, JEAN PHILIPPE, biały, ur. 19.08.1922. Ostatni znany adres zamieszkania: Ciudad Juarez 1214, Mexico City.

1941–45: sprzeczne doniesienia. MESPLÈDE (prawdopodobnie antysemita) był albo kolaborantem nazistów, albo członkiem francuskiego ruchu oporu w Lyonie. Sprzeczne doniesienia: MESPLÈDE wydawał Żydów w ręce SS/ MESPLÈDE dokonywał zamachów na nazistów przebywających w sanatorium w Arbois. Uwaga: jakiś koleś z Interpolu doszedł do wniosku, że był zaangażowany i w jedno, i w drugie.

1946-47: Miejsce pobytu nieznane.

1948–50: Najemnik w Paragwaju. Nasza placówka w Asuncion posiada 41-stronicowe akta. MESPLÈDE przenikał do lewicowych ugrupowań studenckich na zlecenie Paragwajskiego Związku Szefów Policji.

MESPLÈDE (biegle mówiący po hiszpańsku) dokonał na życzenie Związku zamachów na 63 sympatyków komunizmu.

1951–55: Służba w armii francuskiej (Indochiny – obecnie Wietnam – i Algieria). MESPLÈDE służył jako spadochroniarz, brał udział w akcji pod Dien Bien Phu i podobno bardzo rozgoryczyła go porażka Francuzów i ich odwrót. Wedle relacji (niepotwierdzonych) w kolejnym miejscu swego stacjonowania, w Algierze, rozprawadzał opium i haszysz. W Algierze MESPLÈDE przeniósł się do jednostki okupacyjnej i uczył członków najemnej policji zatrudnianej przez bogatych francuskich kolonizatorów sztuki torturowania. MESPLÈDE (zdeklarowany antykomunista) dokonał rzekomo zamachów na 44 algierskich nacjonalistów podejrzewanych o komunistyczne powiązania i zyskał reputację jako genialny specjalista od mokrej roboty.

1956–59: Miejsce pobytu przeważnie nieznane. Uważa się, że w tym czasie MESPLÈDE podróżował dużo po Stanach Zjednoczonych. Wydział Policji w Atlancie (Georgia) posiada w swoich aktach z października 1958 notatkę na jego temat. MESPLÈDE był podejrzany o udział w podłożeniu bomby w synagodze będącej celem neonazistów. Wydział Policji w Nowym Orleanie posiada notatkę w aktach z 9.02.1959. MESPLÈDE był podejrzany o 16 napadów z bronią w rękę w Nowym Orleanie, Metairie, Baton Rouge i Shreveport. Uwaga: według niepotwierdzonych doniesień MESPLÈDE obracał się w tym czasie w kręgach przestępczości zorganizowanej.

1960–61: Najemnik w Kongo Belgijskim. MESPLÈDE (znający naszego wspólnego znajomego LAURENTA GUÉRY'EGO) najmował się jako egzekutor u belgijskich posiadaczy ziemskich i pracował z łącznikiem Agencji walczącym w powstaniu przeciwko Lumumbie. MESPLÈDE i GUÉRY przygotowali i przeprowadzili porwanie i egzekucję 491 lewicowych rebeliantów w prowincji Katanga. Właściciele ziemscy dali MESPLÈDE'OWI carte blanche i polecili mu stosować ostre środki w celu zastraszenia potencjalnych rebeliantów. MESPLÈDE i GUÉRY stłoczyli rebeliantów w rowie i zabili ich przy pomocy miotaczy ognia.

1962–63: Przeważnie we Francji. MESPLÈDE (który utracił sporo ziemi w wyniku nadania przez de Gaulle'a niepodległości Algierii) wstąpił podobno do OAS i brał udział w zamachach na de Gaulle'a w marcu 1962 i sierpniu 1963. MESPLÈDE ujawnił się potem w Mexico City (wrzesień 1963) i od tamtej pory pozostawał w kontakcie z naszymi wspólnymi

znajomymi GUÉRYM i FLASHEM ELORDE'EM. MESPLÈDE jest znanym i oddanym przeciwnikiem Castro i, jak już to zostało powiedziane, równie oddanym antykomunistą. Biegle mówi po hiszpańsku i posiada doświadczenie zarówno w rozprawianiu narkotyków, jak i w dziedzinie działań wojennych, zdobyte podczas pobytu w Azji Południowo-Wschodniej. Podsumowując: uważam, że możemy go wykorzystać.

Wybieram się z powrotem do Sajgonu. Dalsza korespondencja pomiędzy nami będzie się odbywać za pośrednictwem mojej skrzynki w Arlington. Od tej pory będziemy wykorzystywać skrzynki kontaktowe i specjalnych kurierów. Pamiętaj: nasze działania są ściśle tajne, podobnie jak to było z operacją w Tygrysie w Miami. Znasz dawną procedurę: przeczytać, zapamiętać i spalić.

Masz moją pełną akceptację, gdy chodzi o MESPLÈDE'A, jeśli tylko uznasz, że się nadaje. Resztę ekipy możesz zwerbować sam, niezależnie ode mnie. À propos MESPLÈDE'A: uważaj. Ten jego życiorys jest nieco przerażający.

Za Sprawę,
J.S.

58

(Mexico City, 2 października 1964)

Meks przyniósł kawę. Rzeczony meks lizał mu dupę. Wyszczzerzone zęby/ głębokie ukłony/ głęboko zakorzeniona uległość.

Pete się rozsiadł. Pete wsuwał bułki. Pete macał swoją spluwę pod stołem. Spust jak należy. Tłumik w porządku. Lufa wycelowana w siedzenie naprzeciwko.

Pete popijał kawę. Pete głaskał się po głowie. Mexico City – *niet*.

To jedno wielkie śmierdzielewo. Całe usrane przez psy. Dajcie mi Hawanę sprzed Castro.

Szukał Flasha i Laurenta. Znalazł. Zostawił u nich wiadomość. Mesplède przekazał mu swoją:

Pogadajmy – trochę o tobie słyshałem.

Zabijał czas. Co dzień dzwonił do Barb. Dzwonił do Kansas City. Rzucił nazwiska. Zadawał pytania – odnośnie do Arden Elaine Bruvick.

Historia w skrócie: *Frau* Bruvick była żoną Danny'ego Bruvicka. Danny prowadził oddział Teamsters nr 602 w Kansas City – lata: 1953–1956. Danny świsnął Teamstersom pieniądze. Danny prysł. Jimmy H. wydał wyrok. Danny znikł. Arden została w KC.

Jimmy pociągnął za sznurki. Wydział Policji Kansas City zatrzymał Arden. Arden szybko wyszła za kaucją. Arden prysła z KC.

Pete znał gościa z Wydziału Policji KC. Pete do niego zadzwonił. Facet sprawdził Arden. Oddzwonił do Pete'a.

Arden wyszła za kaucją 10.03.1956. Wykupiła ją korporacja T&C. T&C było własnością Carlosa M. T&C było jego zasłoną dymną dla urzędu skarbowego.

Niepewne więzi. Łamigłówka. Carlos mówi: „Dorwać Arden”. A jego korporacja ją wykupuje.

Zdobądź więcej. Dowiedz się więcej. Nie mów nic Littellowi – *jeszcze nie*. Więź zdawała się cienka. Więź mogła się postrzepić. Więź mogła się zerwać.

Wszedł jakiś facet. Był gruby. Nosił okulary. Miał ciemne plamy na rękach. Bez pudła: tatuaże francuskiego komandosa.

Komandoskie pitbule – *très* francuskie – kły i spadochrony.

Pete wstał. Facet go zobaczył. Facet zajął stolik przy wejściu.

Pete zaimprovizował:

Przykucnął. Odkleił spod stołu spluwę. Wsadził ją do kabury i podszedł. Ukłonił się facetowi. Podali sobie ręce. Pitbule miały czerwone oczy.

Usiedli. Mesplède powiedział:

– Znasz Chucka Rogersa.

– Chuck to kapitalny gość.

– Mieszka z rodzicami. Facet po czterdziestce.

Mówił jak z *sud-Midi*. Wyglądał jak *marseillais*. Ubierał się *très fasciste* – cały na czarno.

Pete powiedział:

– To bardzo oddany człowiek.

– Tak. Można mu wybaczyć nieco dziwaczne zapatrywania.

– Sam traktuje je z humorem.

– Ku Klux Klan mnie mierzi. Lubię murzyński jazz.

– A ja lubię muzykę kubańską.

– A ja kubańską kuchnię i kubańskie kobiety.

– Fidel Castro musi umrzeć.

– Tak. Jest z niego *cochon* i *pédé*.

– Widziałem Zatokę Świń. Dowodziłem rekrutami z obozu w Blessington.

Mesplède skinął głową.

– Chuck mi mówił. Strzelałeś do komunistów z okna samolotu.

Pete się zaśmiał. Pete zamarkował strzały. Mesplède zapalił *gauloise*'a. Mesplède poczęstował Pete'a.

Pete zapalił. Pete zakaszłał – papieros cuchnął jakimś piżmowym dziadostwem.

– Co jeszcze powiedział ci Chuck?

– Że potrafisz być bardzo oddany.

– To wszystko?

– Mówił jeszcze, że... *qu'est-ce que c'est?* „Zacierales ślady”.

Pete się uśmiechnął. Pete pokazał zdjęcia. Oto Jack Z. – związany. Oto Hank K. – wzucony.

Mesplède postukał w nie palcem.

– Nieszczęśnicy. Widzieli coś, czego widzieć nie mieli.

Pete zakaszłał. Pete wypuścił kółka dymu.

Mesplède zakaszłał.

– Chuck mówił, że ta blondynka zabiła się w areszcie.

– Zgadza się.

– Nie zrobiłeś jej zdjęcia?

– Nie.

– A więc została tylko Arden.

Pete pokręcił głową.

– Nie można jej znaleźć.

– Nie ma takich ludzi.

– Najwyraźniej są.

Mesplède odpalił papierosa od papierosa.

– Widziałem ją kiedyś w Nowym Orleanie. Była z jednym z ludzi Carlosa Marcello.

– Nie można jej znaleźć. I tak to zostawmy.

Mesplède wzruszył ramionami. Mesplède opuścił ręce. I zaraz pstryk. Zaraz suw. Zaraz odciągnięty kurek.

Pete się uśmiechnął. Pete się uklonił. Pete pokazał spluwę. Mesplède się uśmiechnął. Mesplède się uklonił. Mesplède pokazał swoją.

Pete złapał serwetkę. Pete rozłożył ją na stole. Pete przykrył broń.

Mesplède powiedział:

– W twojej wiadomości była mowa o robocie.

Pete strzelił palcami.

– Heroina. Wozimy ją z Laosu do Sajgonu i przierzucamy do Stanów. To taki skok w bok Agencji, bez niczyjej zgody. Wszystkie zyski idą na Sprawę.

– A nasi współpracownicy?

– Pracujemy dla człowieka o nazwisku John Stanton. Robiłem już dla niego przy prochach i uchodźcach. Werbujemy Laurenta Guéry’ego, Flasha Elorde’a i pewnego eks-gliniarza, który zajmie się chemicznym aspektem przedsięwzięcia.

Minęła ich dziwka. Dzwinka spojrzała. Mesplède pokazał jej tatuaże. Zacisnął pięści. Psy kłapnęły zębami. Psy wgryzły się w wielkie *chorizos*.

Dzwinka się przeżegnała. Dzwinka odeszła – *gringos malo y feo!*³²

Mesplède powiedział:

– Jestem zainteresowany. Jestem oddany sprawie wolnej Kuby.

– *Mort à Fidel Castro. Vive l'entente franco-américaine*³³.

Mesplède złapał widelec. Mesplède zaczął dłubać pod paznokciami.

– Chuck twierdził, że jesteś „miękki dla kobiet”. Uwierzę w niemożność znalezienia Arden, o ile udowodnisz swoją lojalność wobec Sprawy.

– Jak?

– Hank Hudspeth leje na Kubę. Sprzedaje gorsze uzbrojenie grupom uchodźców, a porządny towar opycha Klanowi.

Pete powiedział:

– Zajmę się tym.

Mesplède zacisnęła pięści. Jego psy ogarnęła chuć.

– Nie miałbym nic przeciwko małej pamiętce.

Pułapka zadziałała – pogadajmy o broni – mam kasę/ ty towar.

Pete dzwonił z Houston. Hank się napalił. Powiedział: „Wsiadaj w samolot. Mam swój bunkier w pobliżu Fort Polk”.

Pete poleciał do De Ridder. Pete wynajął samochód. Podjechał do supermarketu. Kupił turystyczną lodówkę. Kupił suchy lód.

Podjechał na pocztę. Kupił karton. Nakleił znaczki lotnicze. Na wierzchu umieścił adres Jeana Mesplède'a.

Podjechał do sklepu z bronią. Kupił nóż myśliwski. Podjechał do sklepu ze sprzętem fotograficznym. Kupił polaroid. Kupił film.

Ruszył na północ. Jechał bocznymi drogami. Jechał przez lasy Kisatchee. Było gorąco – prawie trzydzieści stopni o zmierzchu.

Hank się z nim spotkał. Hank był napalony – mam towar.

Bunkier znajdował się w szybie kopalnianym. Skład broni zwieńczony małą kopułą – dziesięć schodków poniżej poziomu gruntu.

Hank szedł przodem. Hank dotarł do pierwszego stopnia. Pete wyciągnął spluwę i strzelił mu w plecy.

Hank runął. Pete strzelił raz jeszcze. Pete rozwalił mu żebra.

Przekreślił go. Przygotował aparat. Cyknął zbliżenie. W bunkrze było gorąco – wyłożone kamieniem ściany i wąskie korytarze.

Pete wyjął nóż. Pete naciągnął włosy Hanka. Pete zrobił nacięcie od boku do boku.

Zagłębił ostrze aż po samą kość. Zaczął przesuwac nim po gołej czaszce. Przydepnął głowę Hanka. Szarpnął mocno. Zdjął skalp.

Oczyścił go z krwi. Umieścił w suchym lodzie. Zapakował do kartonu.

Ręce mu drżały jak u nowicjusza, a oskalpował przecież z setkę czerwonych.
Wytał ręce. Podpisał fotkę. Napisał na odwrocie „Viva la Causa!”.

59

(Las Vegas, 4 października 1964)

Janice była w domu. Wayne'a Seniora nie było. Wayne chodził po swoim pokoju. Wayne się stroił.

Widział się z Pete'em w Tygrysie. Rozmawiali godzinę temu. Pete go urabiał. Pete go nakręcał.

Jesteś chemikiem. Jedźmy do Wietnamu. Będziesz produkował herę. Weźmiemy udział w tajnej operacji.

Zgodził się. To się zdawało logiczne. To się zdawało jak najbardziej właściwe.

Wayne się ogolił. Wayne przyczesał włosy. Wayne otarł krew z zacięcia przy goleniu. Ward go dopadł – cztery dni temu – Ward mu powiedział.

Poszedł tropem Wardowej logiki. Pokombinował. Wayne Senior był szefem wtyczek FBI. Wayne Senior był więc *wtedy* szefem Maynarda Moore'a. A zatem miał swój udział w zamachu.

Ward pozostawił białe plamy. Wayne kombinował. Wayne Senior przestał ostatnio uzupełniać akta wtyczek. Wayne Senior *wtedy* był szefem Maynarda Moore'a.

Wayne wyszczotkował włosy. Ręka mu drżała. Upuścił szczotkę. Spadła na podłogę i się roztrzaskała.

Wayne wyszedł na zewnątrz. Było wietrznie. Było gorąco. Było ciemno.

Proszę... jej pokój/ jej światło.

Wayne wrócił do środka. Grało hi-fi. Cool-jazz czy jakiś inny szajs – dysharmonia sekcji dętej.

Wyłączył to. Ruszył w stronę światła. Podszedł. Janice zmieniała ciuchy. Janice go ujrzała – i bęc – ot tak.

Upuściła szlafrok. Zrzuciła z nóg buty do golfa. Zdjęła stanik i luźną koszulkę.

Zbliżył się. Dotknął jej. Ona zdjęła mu koszulkę. Rozpięła spodnie.

Chwytał ją. Próbował pocałować. Wyślizgnęła się. Uklękła. Włożyła jego

małego do ust.

Mały nabrzmiał. Zrobił się mokry. Wayne prawie się spuścił. Chwycił ją za włosy i wyrwał się z jej ust.

Cofnęła się. Ściągnęła jego spodnie. Potknęła się o jego buty. Usiadła na podłodze. Zwinęła w kłębek jakąś spódnicę. Wetknęła ją pod siebie.

On ukląkł. Otarł kolana. Rozchylił jej nogi. Całował uda. Całował włosy. Włożył język do środka.

Zadrzała. Wydawała zabawne dźwięki. On czuł jej smak. Czuł jej smak na zewnątrz. Czuł jej smak w środku.

Drżała. Wydawała dźwięki, jakby się czegoś bała. Chwyciła go za włosy. Zadała mu ból. Przyciągnęła ku sobie jego głowę.

Rozszerzył jej kolana. Rozłożył ją, jak tylko się dało. Wciągnęła go w siebie. Zacisnęła uda. Zamknęła oczy.

Nacisnął na jej brwi. Zmusił do otwarcia oczu. Pochylił się. Skupił się na jej tęczęwkach. Zobaczył zielone plamki, których nigdy wcześniej nie widział.

Poruszali się. Szarpali. Odnaleźli wspólny rytm. Jedno ścisnęło twarz drugiego. Jedno wpatrywało się w oczy drugiego.

Wayne był blisko. Pomyślał o czymś niemiłym i się wstrzymał. Janice się wyginała. Janice dygotała. Janice ścisnęła go jak w imadle.

Wayne się pocił. Wayne zalał jej potem oczy. Zamrugęła. Zacisnęła powieki.

Otworzyły się drzwi. Zamknęły się. Światło przeciął cień.

Janice się wygięła. Janice zaczęła płakać. Wayne był blisko. Wayne doszedł. Wayne zamknął oczy.

Janice starła łzy. Janice pocałowała własne palce. Janice włożyła mu je do ust.

Położyli się do łóżka. Zamknęli oczy. Zostawili otwarte drzwi. Zostawili zapalone światło.

Zaczęły docierać domowe odgłosy. Wayne usłyszał gwizdanie Wayne'a Seniora. Wayne poczuł zapach jego cygar.

Otworzył oczy. Pocałował Janice. Janice zadrzała. Jej oczy pozostały zamknięte.

Wayne wstał. Wayne się ubrał. Wayne poszedł do barku. O – jest Wayne Senior.

Wayne złapał jego laskę. Wayne nią zakręcił. Wayne wykonał cały repertuar sztuczek.

Wayne powiedział:

– Nie trzeba mnie było wysyłać do Dallas.

CZEŚĆ III
DYWERSJA

PAŹDZIERNIK 1964–LIPIEC 1965

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.10.1964. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Pete Bondurant. Od: John Stanton. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

P.B.,

oto raport, o który prosiłeś. Jak zawsze proszę, przeczytaj i spal.

Po pierwsze, analitycy Agencji doszli do zgodnego wniosku: zostaniemy w Wietnamie na dłużej. Wiesz, jak daleko w przeszłość sięga ta cała sprawa – dotyczy jeszcze Japończyków, Chińczyków, Francuzów. Nasze zainteresowanie sięga roku 1945. Zrodziło się z naszego oddania dla Francji i naszego pragnienia, by uchronić Europę Zachodnią przed „czerwonym potopem”, a zostało podsycone przez fakt, że do obozu komunistycznego dołączyły Chiny. Wietnam to kluczowy dla nas kawałek ziemi. Jeśli przystąpi do czerwonych, stracimy nasz jedyny punkt oparcia w Azji Południowo-Wschodniej.

Obecną sytuację w dużej mierze zawdzięczamy porażce, jaką Viet Minh zgotował siłom francuskim pod Dien Bien Phu w marcu 1954. To doprowadziło do zwołania konferencji genewskiej, na której dokonano podziału wzdłuż siedemnastego równoleżnika na tzw. Północny i Południowy Wietnam. Komuniści wycofali się z południa, a Francuzi z północy. Latem 1956 roku miały się odbyć ogólnonarodowe wybory.

Umieściliśmy na południu naszego człowieka, Ngo Dinh Diema. Diem był proamerykańskim katolikiem, przeciwnikiem buddyzmu, francuskiego kolonializmu i komunizmu. Tajni agenci sfałszowali referendum, dzięki czemu Diem zastąpił Bao Daia na stanowisku premiera. (To nie było subtelne zagranie. Nasi ludzie zapewnili Diemowi więcej głosów, niż wynosiła liczba uprawnionych do głosowania).

Diem wycofał się z wyborów zarządzonych przez konferencję genewską. Stwierdził, że obecność Viet Minhu sprawi, iż wybory nie będą „tak do końca wolne”. Termin wyborów się zbliżał. Stany Zjednoczone poparły Diema odmawiającego wzięcia w nich udziału. Diem powziął „środki bezpieczeństwa” przeciwko Viet Minhowi na południu. Podejrzani członkowie i sympatycy Viet Minhu byli torturowani i sądzeni przez miejscowych urzędników wyznaczonych przez Diema. Jego działania okazały się skuteczne, Diem bowiem zdołał rozbić dziewięćdziesiąt procent komórek Viet Minhu w delcie Mekongu. W tym samym czasie jego

propaganda ukuła pejoratywny termin „Vietnam Cong San”, czyli „wietnamski komunista”.

Termin wyborów minął. Sowieci i czerwone Chiny nie naciskali na polityczne porozumienie. Na początku 1957 roku Sowieci zaproponowali stały podział, usankcjonowany przez ONZ, na Wietnam Północny i Południowy jako dwa odrębne państwa. Stany Zjednoczone nie zamierzały uznać komunistycznego tworu państwowego i odrzuciły tę inicjatywę.

Diem budował na południu polityczną bazę. Mianował swoich braci i innych członków rodziny na wysokie stanowiska w aparacie władzy i w gruncie rzeczy zmienił Wietnam Południowy w rządzoną przez wąską klikę, choć wybitnie antykomunistyczną, oligarchię. Bracia i krewni Diema zbudowali sobie bardzo silne pozycje. Byli żarliwymi katolikami i przeciwnikami buddyzmu. Brat Diema, Can, stał się istnym gubernatorem wojskowym. Drugi brat, Ngo Dinh Nhu, prowadził skierowaną przeciwko Vietcongowi siatkę wywiadowczą finansowaną przez CIA.

Diem wzdragał się przed reformami agrarnymi i sprzymierzył się z bogatymi rodzinami posiadaczy ziemskich w delcie Mekongu. Utworzył też Khu Tru Mat, tj. wiejskie wspólnoty, zaś celem tego posunięcia było odseparowanie wieśniaków od sympatyków i komórek Vietcongu. Chłopi byli wrywani ze swych rodzinnych wiosek i zmuszani do budowania owych wspólnot, nie otrzymując w zamian żadnej zapłaty. Wojska rządowe często kradły im świnie, ryż i kurczaki.

Poczynania Diema zrodziły potrzebę reform. Diem zamykał opozycyjne gazety, oskarżał dziennikarzy, studentów i intelektualistów o komunistyczne powiązania i kazał ich aresztować. Do tego czasu Stany Zjednoczone zdążyły zainwestować w Wietnam Południowy miliardy dolarów. Diem (nazywany „marionetką, która sama pociąga za własne sznurki”) wiedział, że potrzebny nam jest jego reżim dla zahamowania komunistycznego potopu. Wydał mnóstwo z darowanych przez USA pieniędzy na wzmocnienie sił policyjnych i wojskowych, by położyć kres najazdom Vietcongu na obszar poniżej 17 równoleżnika i unieszkodliwić krajowe spiski przeciwko jego osobie.

W listopadzie 1960 roku nie powiódł się wojskowy zamach stanu przeciwko Diemowi. Żołnierze Diema pokonali żołnierzy pułkownika Armii Południowego Wietnamu Vuong Van Donga. Diem nie ustąpił ze stanowiska, ale jego poczynania przysporzyły mu wielu wrogów w elitach Sajgonu i delty

Mekongu. Ten brak wewnętrznej zgody ośmielił na północy Ho Chi Minha. Rozpętał on kampanię terroru na południu i w grudniu 1960 obwieścił powstanie nowego ugrupowania rebelianckiego, Narodowego Frontu Wyzwolenia. Utrzymywał, iż nie pogwałcił postanowień konferencji genewskiej, wysyłając żołnierzy na południe. Oczywiście było to kłamstwo. Od roku 1959 czerwoni żołnierze nieustannie przenikali na południe, wędrując tzw. Szlakiem Ho Chi Minha.

Krótko po objęciu fotela prezydenckiego John Kennedy zapoznał się z dokonaną przez Pentagon analizą pogarszającej się sytuacji w Wietnamie. Owa analiza kładła nacisk na konieczność niesienia większej pomocy dla Diema. Kennedy zwiększył liczbę jego „doradców” do 3 tysięcy. Doradcy ci byli de facto żołnierzami, co naruszało postanowienia konferencji genewskiej. Kennedy ogłosił program pomocy zagranicznej, który miał na celu zwiększenie liczebności armii południowowietnamskiej (ARVN, czyli Armii Republiki Południowego Wietnamu) o 20 tysięcy, co ogółem dawało 170 tysięcy żołnierzy.

Diem przejawiał niechęć wobec obecności amerykańskich „doradców”. W tym samym czasie duże oddziały Vietcongu zaczęły atakować posterunki ARVN. I w tych okolicznościach Diem oświadczył doradcom, że chce zawrzeć dwustronny pakt obronny pomiędzy USA i Wietnamem Południowym.

Kennedy wysłał do Sajgonu generała Maxwella Taylora. Taylor przesłał mu raport potwierdzający strategiczną konieczność stanięcia przeciw Vietcongowi. Wskazał na potrzebę przysłania większej liczby doradców, a także śmigłowców i pilotów, którzy stanowiliby wsparcie dla ARVN. Taylor poprosił o 8 tysięcy żołnierzy. Połączone Kolegium Szefów Sztabów i sekretarz obrony McNamara poprosili w sumie o 200 tysięcy ludzi. Kennedy poszedł na kompromis i zwiększył pomoc finansową dla Diema.

Diem wprowadził w życie program „Strategiczna Wioska” na początku 1962 roku. Przetrzymany chłopów w zamkniętych ufortyfikowanych osadach, usiłując zmniejszyć ich podatność na wpływy Vietcongu. W rzeczywistości program ów przyczynił się do zwiększenia liczby sympatyków Vietcongu. W lutym 1962 Diem przeżył kolejny zamach. Dwóch pilotów ARVN zaatakowało pałac prezydencki napalmem, bombami i ogniem z karabinów maszynowych. Diem, jego brat Nhu i pani Nhu nie ucierpieli.

Ngo Dinh Nhu stał się czarną owcą. Uzależnił się od opium i miał skłonności do napadów paranoi. Pani Nhu przekonała Diema do wydania dekretów zakazujących rozwodów, środków antykoncepcyjnych, aborcji, organizowania walk bokserskich, konkursów piękności i tworzenia palarni opium. Dekrety owe wywołały ogromną niechęć. Amerykańscy doradcy odnotowali nową falę gniewu skierowanego przeciwko reżimowi Diema.

Nieprzychylnie Diemowi nastroje narastały też wśród dowódców ARVN. Can Lao (Południowowietnamska Tajna Policja) Diema wzmogła aresztowania i tortury podejrzanych buddyjskich dysydentów. Na znak protestu czterech buddyjskich mnichów dokonało publicznego samospalenia. Pani Nhu wyraziła radość z powodu tych samobójstw, czym wywołała jeszcze większą niechęć. Kennedy i nowy ambasador w Wietnamie, Henry Cabot Lodge, wspólnie doszli do wniosku, że reżim Diema stał się wstydlivym ciężarem, zaś głównym źródłem problemu są Ngo Dinh Nhu i pani Nhu. Tajni agenci otrzymali polecenie, by wy badać stopień niezadowolenia wśród dowództwa ARVN i omówić możliwość dokonania zamachu stanu.

Ustalono, że istniało już w tym czasie wiele spisków o różnym stopniu zaawansowania. Diem wyczuł niezadowolenie w ARVN i zarządził demonstrację siły przeciwko buddystom i buddyjskim sympatykom w Sajgonie i Hue. Zamiarem Diema było nastawienie buddystów przeciwko ARVN i wykorzystanie powstałej sytuacji wedle własnego zamysłu. 21.08.1963 żołnierze Diema zaatakowali świątynie buddyjskie w Sajgonie, Hue i innych miastach. Zabito, zraniono bądź aresztowano setki mnichów i mniszek. Skutkiem tego były zamieszki i protesty przeciw reżimowi Diema.

Agencja dowiedziała się o machinacjach Diema w ciągu kilku tygodni. Kennedy i jego doradcy byli wściekli. Nadal byli przekonani, że główny problem stanowi Ngo Dinh Nhu. Diema poinstruowano, by pozbył się Nhu. W razie odmowy tajni agenci otrzymali polecenie skontaktowania się z potencjalnymi przywódcami spisków i zobowiązania się do udzielenia wsparcia po ewentualnym zamachu.

Ambasador Lodge spotkał się z Diemem. Zyskał pewność, że Diem nigdy nie pozbedzie się Nhu. Lodge poinformował o tym swoich łączników z Agencją. Ci zaś skontaktowali się z wysokim dowództwem ARVN. Doszło do spotkania Lodge'a, Kennedy'ego, McNamary i Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Dyskutowano na nim o odcięciu pomocy finansowej dla

reżimu Diema.

Decyzja o odcięciu pomocy została podjęta i ogłoszona. Spiskowcy przystąpili do działania. Najważniejsi z nich to generał Tran Van Don, generał Le Van Kim i generał Duong Van Minh, alias „Wielki Minh”. Tajni agenci spotkali się z generałami Donem i Minhem i obiecali im kontynuację pomocy i wsparcia ze strony USA. Kennedy postanowił, że jego administracja nie ujawni swego udziału w spisku, a sam zamach ma wyglądać tak, jakby dotyczył całego Wietnamu.

Zamach planowano i odkładano przez całą jesień. Wśród doradców Kennedy'ego byli zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy takiego rozwiązania. Przeciwnicy argumentowali, że autonomiczny charakter przewrotu może doprowadzić do kolejnego „fiaska w stylu Zatoki Świń”.

Wewnętrzne niesnaski podzieliły samych spiskowców. Generałowie spierali się co do tego, jakie stanowiska w aparacie władzy zajmą w Sajgonie po zamachu. Datę przewrotu ustalono ostatecznie na 1.11.1963. Po południu tego dnia plan został wprowadzony w życie.

Pani Nhu była w Stanach. Premier Diem i Ngo Dinh Nhu ukryli się w podziemiach pałacu prezydenckiego. Jednostki powstańcze zajęły pałac, koszary straży i posterunek policji. Diem i Nhu zostali pojmani i „odeskortowani w bezpieczne miejsce” transporterem opancerzonym. Transporter zatrzymał się przed przejazdem kolejowym. Diem i Nhu zostali postrzeleni i zaatakowani nożami, wskutek czego zginęli.

Władzę przejęła dwunastoosobowa Wojskowa Rada Rewolucyjna – szybko pogrążyła się w wewnętrznych konfliktach. Jednocześnie przez Wietnam Południowy przetoczyła się fala zamieszek, a z północy zaczęła płynąć niekończąca się rzeka Vietcongu. Żołnierze ARVN masowo dezercerowali. W międzyczasie przeprowadzono zamach na Kennedy'ego. Lyndon Johnson i jego doradcy zrewidowali i na nowo określili (choć niezbyt jasno) politykę USA wobec Wietnamu, bazując na założeniach administracji Kennedy'ego i postanawiając rozszerzyć nasze finansowe i militarne zobowiązania.

Generał Nguyen Khanh obalił Wojskową Radę Rewolucyjną 28.01.1964. (Bez najmniejszego wahania można określić tę zmianę rządów jako bezkrwawą: pozostali generałowie zrezygnowali i powrócili na swe stanowiska w wojsku). Tymczasem Vietcong wzmógł jeszcze swoje parcie na południe, pokonując w kilku potyczkach ARVN i organizując serię

zamachów terrorystycznych w Sajgonie, włączając w to podłożenie bomby w kinie, gdzie zginęło troje Amerykanów. W pierwszych miesiącach 1964 roku siły Vietcongu podwoiły się, sięgając 170 tysięcy żołnierzy (zwerbowanych głównie na południu), czemu towarzyszyła też poprawa jakości uzbrojenia, na które składały się dostarczane przez czerwone Chiny i Sowieców AK-47, moździerze i wyrzutnie rakiet.

Sekretarz McNamara w marcu odwiedził Wietnam i odbył propagandową podróż po jego południowej części, usiłując wzmocnić pozycję premiera Khanhha. A gdy powrócił do Waszyngtonu, zaproponował, by prezydent Johnson wydał „wezwanie do działania” – jego propozycja została przyjęta. W wezwaniu owym domagano się zwiększenia pomocy finansowej, dzięki której zapewniono by ARVN większą ilość samolotów i innego rodzaju uzbrojenia. Premier Khanh otrzymał pozwolenie na dokonywanie najazdów na komunistyczne bastiony w Laosie, a jednocześnie miał zbadać możliwość zbrojnych najazdów na Kambodżę w celu odcięcia dróg zaopatrzenia Vietcongu. Specjaliści z Pentagonu zaczęli też wyznaczać w Wietnamie Północnym cele do amerykańskich nalotów bombowych.

Ambasador Lodge zrezygnował ze swej funkcji, by kontynuować karierę w kręgach polityki wewnętrznej. Prezydent Johnson wyznaczył generała Williama C. Westmorelanda na stanowisko dowódcy amerykańskiej Jednostki Doradztwa Wojskowego (MACV) w Wietnamie. Westmoreland obstaje przy propozycji znacznego zwiększenia liczby Amerykanów w Wietnamie. Na południu stacjonuje obecnie ogromny kontyngent amerykański, w którego skład wchodzi wojskowi, księżowie, lekarze, mechanicy i mnóstwo innych ludzi zaangażowanych w wydawanie 500 milionów dolarów, które Johnson obiecał z podatków za 1964 rok. Znaczna część z podarowanej przez USA żywności, broni, lekarstw, paliwa i nawozów trafiła na czarny rynek. Obecność amerykańska w Wietnamie Południowym coraz szybciej staje się siłą napędową południowowietnamskiej gospodarki.

Johnson zatwierdził tajny plan nazwany „OPLAN 34-A”, który zachęca do wtargnięć na terytorium położone na północ od 17 równoleżnika, do wzmożonej propagandy i tajnych operacji mających na celu przerwanie komunistycznych dostaw dla Vietcongu na południu. Incydent w Zatoce Tonkińskiej (1–3.08.1964; dwa niszczyciele amerykańskie zostały ostrzelane przez komunistyczną marynarkę i odpowiedziały ogniem) był w dużej mierze

zaaranżowanym wydarzeniem, które Johnson wykorzystał, by uzyskać aprobatę Kongresu dla planowanych nalotów bombowych. 64 bombardowania, które potem nastąpiły, przeprowadzone zostały w ciągu jednego dnia, tak aby wywołać wrażenie reakcji – jakkolwiek nieco przesadzonej – na incydent w Zatoce Tonkińskiej.

Obecnie (16.10.1964) w Wietnamie przebywa blisko 25 tysięcy „doradców”, przy czym większość z nich to tak naprawdę przeszkoleni do walki żołnierze. Są to członkowie Wojskowych Sił Specjalnych, komandosi i personel pomocniczy. Prezydent Johnson zobowiązał się do wprowadzenia planu rozszerzenia tajnej działalności, który to plan pozwoli mu na wysłanie w pierwszej połowie przyszłego roku kolejnych 125 tysięcy żołnierzy. Przewidywane północnowietnamskie prowokacje pomogą mu przepchnąć wyżej wymieniony plan przez Kongres. Plan pozwoli też na wysłanie zimą i wiosną 1965 roku dużej liczby marines, zaś latem – piechoty. Johnson zamierza też wznowić naloty bombowe na Wietnam Północny. Naloty rozpoczną się na przełomie zimy i wiosny 1965 roku. Analitycy Agencji uważają, że Johnson zechce pozostać w Wietnamie na dłużej. Panuje powszechna zgoda, że postrzega on Wietnam jako sposób na wyrobienie sobie opinii antykomunisty, by wykorzystać ją potem do złagodzenia tarć, jakie może wywołać, wprowadzając niektóre ze swych liberalnych reform w polityce wewnętrznej.

Ogółem, taka eskalacja działań powinna posłużyć do zamaskowania naszych tutejszych działań. Opium i jego pochodne napędzały gospodarkę wietnamską już w początkowych dniach kolonizacji francuskiej. Jednostki wywiadowcze armii francuskiej handlowały opium i prowadziły większość palarni w Sajgonie i Cholonie w latach 1951–54. Zyski z handlu opium sfinansowały dziesiątki zamachów stanu, udanych i nieudanych, zaś Ngo Dinh Nhu zginął w czasie, gdy planował obejście dekretu premiera Diema zakazującego handlu opium. Od czasu zamachu przeprowadzonego 1.11.1963 ponownie otwarto 1,8 tysiąca palarni w Sajgonie i 2,5 tysiąca w chińskiej enklawie Cholon (Cholon znajduje się 4 km w górę kanału Ben Nghe od centrum Sajgonu). Premier Khanh wobec palarni zastosował politykę nieingerencji, która powinna nam się nieźle przysłużyć. Należy zauważyć, że Khanh jest wyjątkowo uległy i wdzięczny za naszą obecność w Wietnamie Południowym. Kocha amerykańskie pieniądze i nie zaryzykowałby obrazy choćby pomocniczego personelu Agencji, w tym

naszej Kadry. On nie jest „marionetką, która pociąga za własne sznurki”. Wątpię, czy długo przetrwa na swoim stanowisku, lecz wątpię też, by jego następca miał nam sprawić jakiegokolwiek kłopoty.

Miejsce uprawy naszego potencjalnego towaru jest usytuowane w Laosie w pobliżu granicy z Wietnamem. Na pola w okolicy Ba Na Key składają się żyzne gleby wapienne, na których mak rośnie doskonale, a do tego znajdują się tam dziesiątki wielkich farm. Ba Na Key leży niedaleko granicy z Wietnamem Północnym, co wyklucza ten teren z wykorzystania do naszych celów. Jednak pas ziemi bardziej na południe, w pobliżu Saravanu, także zawiera żyzne gleby wapienne i istnieje do niego dostęp od strony granicy z Wietnamem Południowym. Niedaleko Saravanu znajduje się kilka plantacji maku. Są one prowadzone przez laotańskich „watażków”, którzy zatrudniają „armie” nadzorców doglądających „klik” laotańskich i wietnamskich „niewolników” podczas zbioru makówek. Od jakiegoś czasu przysposabiam mówiącego po angielsku Laotańczyka o nazwisku Tran Lao Dinh, zaś mój plan polega na tym, byś razem z Tranem kupował bądź w jakikolwiek inny sposób pozyskiwał usługi laotańskich watażków.

Standardową procedurą jest rafinowanie mlecza makowego i produkowanie w ten sposób bazy morfinowej, która może być przetwarzana dalej, dając heroinę. Chciałbym, aby baza produkowana była na farmie (farmach) i przesyłana do dalszej obróbki w laboratorium naszego chemika w Sajgonie. Transport odbywałby się drogą powietrzną lub na pokładzie ścigacza torpedowego, co wymagałoby zatrudnienia pilota-nawigatora dobrze znającego szlaki wodne w Wietnamie. Bazę morfinową wywozi się z Wietnamu przeważnie frachtowcem do Europy lub Chin. To jednak byłoby całkiem sprzeczne z naszymi interesami. Konieczne jest, aby Twój chemik rafinował bazę na miejscu, tak aby zmniejszyć masę towaru i w łatwiejszy sposób transportować go do Las Vegas. Zastanów się, proszę, jak moglibyśmy przerzucać końcowy produkt do Stanów, tak by zminimalizować ryzyko na każdym etapie podróży.

Kilka uwag końcowych.

Pamiętaj, że wszedłem w to razem z sześcioma innymi agentami oraz że jest to operacja ściśle tajna, nieusankcjonowana przez Agencję. Poznasz moich kolegów, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Ty jesteś szefem operacyjnym, ja zaś odpowiadam za personel. Wiem, że chciałbyś jak najszybciej przelewać pieniądze na Sprawę, ale będziemy zmuszeni ponieść ogromne

wydatki związane z działaniami po obu stronach oceanu, dlatego najpierw chciałbym nam zapewnić płynność finansową. Agencja jest właścicielem pewnej firmy w Australii, dzięki której możliwa będzie wymiana wietnamskiej waluty na dolary amerykańskie, i być może uda nam się wykorzystać konta w bankach szwajcarskich do prania naszych ostatecznych zysków.

Pozwól, że coś teraz mocno zaakcentuję. Przez wzgląd na ewentualne konsekwencje żadna ilość bazy morfinowej ani gotowego produktu nie może dostać się w ręce amerykańskich wojskowych ani kadry ARVN. Większość żołnierzy ARVN jest bardzo podatna na korupcję i w żadnym wypadku nie można im ufać, gdy chodzi o nadające się do sprzedaży narkotyki.

Uważam, że spodoba ci się Kadra, którą zaangażowałem. Zwerbowałem pewnego wojskowego, porucznika Prestona Chaffee'ego. To spec od języków, komandos i świetny zwiadowca. Planuję zrobić z niego łącznika z dowództwem ARVN, z sajgońskimi politykami i premierem Khanhem.

Muszę koniecznie zapoznać się z Twoimi planami i sprawdzić ludzi, których proponujesz. Czy możesz przekazać mi informacje do skrzynki w Arlington?

Za Sprawę,
J.S.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.10.1964. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: John Stanton. Od: Pete Bondurant. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

J.S.,

zapoznałem się z Twoim raportem i jestem przekonany, że spodoba mi się w Wietnamie.

Oto moi ludzie:

1. Wayne Tedrow Jr. 1954–58 – służba w armii amerykańskiej (82. Dywizja Powietrznodesantowa). Były policjant z Las Vegas. Dyplom z chemii/ Uniwersytet Brigham Younga/ 1959.

Tedrow jest w porządku. Dobrze zna się na broni, zarówno strzeleckiej, jak i większej. Powiedział mi, że studiował „budowę chemiczną opiatów” i „teorię składu chemicznego narkotyków”. Zamierza znaleźć „oblatywaczy” bądź też „szczury doświadczalne”, na których mógłby przetestować

maksymalne dawki – chodzi o narkomanów, osoby uzależnione od opium, które posiadają już pewną tolerancję na te środki. Dzięki temu będzie mógł przeprowadzać proces rafinowania do samego końca w Sajgonie i przerzucać do Las Vegas towar gotowy do wprowadzenia na ulicę.

Ojciec Tedrowa to w Nevadzie wielka szycha. Tedrowa łączy z nim bardzo chłodne stosunki, ale stary ma powiązania z bazą sił powietrznych Nellis, co moglibyśmy kiedyś chcieć wykorzystać. Więcej informacji na ten temat później.

2 i 3. Laurent Guéry i Flash Elorde.

Znasz ich z czasów Miami. Od końca 1963 roku mieszkają w Mexico City, gdzie działają jako najemnicy, i bardzo im zależy na znalezieniu jakiejś stałej fuchy. Są oddani Sprawie i mogliby się przydać przy uprawie, egzekwowaniu posłuszeństwa i dystrybucji. Obu łączy silne więzi z uchodźcami kubańskimi, co też będziemy mogli wykorzystać.

4. Jean Philippe Mesplède.

Sam przesłałeś mi jego akta, więc nie będę cytował danych. Spotkałem się z nim w Mexico City i facet mi się spodobał. Biegle zna angielski i francuski, a przy tym podłapał trochę wietnamskich dialektów podczas swego pobytu tam w latach 1953–54. Ma również – zdobyte tam, na miejscu – doświadczenie z narkotykami, a także kontakty z uchodźcami i jest bardzo oddany Sprawie.

5. Chuck Rogers.

Kolejny znajomy z czasów Tygrysa. Wiesz, co potrafi: pilot, spec od mokrej roboty i łączności krótkofalowej. Łączy go silne związki z uchodźcami i kręgami handlującymi bronią na Południu. Nieoceniony człowiek, zdolny do wszystkiego. Chce rozpowszechniać ulotki nienawiści i nadawać przemowy na krótkich falach, a ja zamierzam mu na to pozwalać tak długo, jak rzecz cała nie wymknie się spod kontroli.

6. Bob Relyea.

Nie znam go i zamierzam go zatrudnić wyłącznie na podstawie rekomendacji Rogersa. (Od lat kumplują się przez krótkofalówki. Rogers za niego ręczy, a do tego gość już jest na miejscu).

Relyea jest sierżantem sztabowym w brygadzie żandarmerii wojskowej w Sajgonie. Wcześniej był strażnikiem więziennym w Missouri i posiada silne prawicowe powiązania na Południu. Jest strzelcem wyborowym i doskonale zna się na każdym rodzaju broni.

Odnosnie do mojego planu:

Chcę jak najszybciej znaleźć się w Laosie i razem z Tran Lao Dinhem rozpocząć negocjacje z „watażkami” dotyczące ich upraw maku. Zamierzam przekupić właściwych ludzi w ARVN oraz innych sajgońskich oficjeli, by zapewnić nam jak najlepszą ochronę. Następnie każę Rogersowi skołować jakiś niewielki dwusilnikowy samolot, którym kursowałby pomiędzy Laosem a Sajgonem. Chuck będzie dostarczał bazę morfinową do laboratorium Tedrowa i dodatkowo egzekwował posłuszeństwo na farmach niewolników.

Odnosnie do dostaw do Stanów:

Chciałbym wykorzystać loty kurierów Agencji do Nellis. Mam przyjaciela, dobrze ustawionego prawnika, który mógłby pociągnąć za odpowiednie sznurki i zdobyć dla nas wszelkie niezbędne pozwolenia. Dalej rozprawdzalibyśmy towar przez Taxi Tygrys, sprzedając go (zbędnym dla nas) Murzynom, którzy handlowaliby nim wyłącznie w zachodnim Vegas. Rogers, Guéry i Elorde będą przekazywać zyski grupom uchodźców stacjonującym nad Zatoką.

Ekipa jest pewna. Jestem przekonany, że wszystkim im będzie się razem dobrze pracowało. Nie zapominajmy, że robimy to dla Kuby.

Viva la Causa!

P.B.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.10.1964. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Pete Bondurant. Od: John Stanton. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

P.B.,

podoba mi się Twoja Kadra i Twój plan – z jednym zastrzeżeniem.

Żeby lądować w Nellis, potrzebna nam będzie przykrywka w postaci manifestu ładunkowego. Co radzisz?

J.S.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 31.10.1964. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: John Stanton. Od: Pete Bondurant. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

J.S.,

odnośnie do Twojej ostatniej notatki:

Howard Hughes (mój dawny szef i obecny szef mojego kolegi prawnika) chce się przypochlebić politykom i kadrze wojskowej w Nevadzie, w związku z czym już zdobył pozwolenie na lądowanie samolotów Hughes Aircraft-Tool Co. w bazie Nellis. Mój kolega prawnik będzie starał się przekonać H.H. do zakupu nadwyżek z wyposażenia ARVN w celu przekazania ich nevadzkiej Gwardii Narodowej – dla H.H. będzie to taki chwyt reklamowy. Nam zaś pozwoli to na zwiększenie liczby lotów, które mogłyby się kończyć lądowaniem w Nellis, a także na ukrycie naszego towaru wśród wyposażenia, dzięki czemu mógłby on być transportowany bezpośrednio do Nellis i Las Vegas.

Co ty na to?

P.B.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.11.1964. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Pete Bondurant. Od: John Stanton. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

P.B.,

skontaktuj się z kolegą prawnikiem i postaraj się jak najszybciej wprowadzić swój plan w życie. Zatwierdzam Twój wybór Kadry, a już wkrótce każę porucznikowi Chaffee’emu skontaktować się z sierżantem Relyea i odciągnąć go od jego zwykłych obowiązków. Do zobaczenia w Sajgonie 3 listopada 1964.

J.S.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.11.1964. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Tajne 1-A: tylko do wiadomości Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Dzień dobry, panie Littell.

WJL: Dzień dobry, sir.

JEH: Wybory tuż, tuż. Prawdopodobne zwycięstwo księcia Bobby’ego musi pana radować.

WJL: Owszem, sir.

JEH: Ciemny Księżę natarł na Nowy Jork z wielkim animuszem. Nasuwa się wręcz porównanie do szturmujących Rzym Wizygotów.

WJL: To nader barwne porównanie, sir.

JEH: Lyndon Johnson, acz niechętnie, poparł Bobby'ego. Powiedział mi, cytuję: „Edgar, nienawidzę tego sukinsyna o zajęczej twarzy i szlag mnie trafia, że sam przysparzam mu głosów”.

WJL: Prezydent Johnson też jest pełen animuszu.

JEH: Tak, a znaczną jego część kieruje na przepchnięcie budzących wielkie wątpliwości ustaw. Jego gadanie o „Wielkim Narodzie” zaczyna mi pobrzmiwać jak nowy tekst do *Międzynarodówki*.

WJL: Ciekawa analogia, sir.

JEH: Lyndon Johnson zrujnuje swój prestiż na froncie krajowym, by odbudować go w Wietnamie. Historia osądzi go jako człowieka o odstających uszach, który nade wszystko pragnął być kochany przez nieszczęsny naród.

WJL: Powiedziane z wielkim animuszem, sir.

JEH: Lyndon Johnson potrafi już docenić animusz niejakiego Martina Lucyfera Kinga. Przesyłam mu taśmy z motelowych pokoi. Lucyfer wykazuje się na barykadach równie wielkim animuszem jak w łóżku.

WJL: Doktor King ma wiele twarzy.

JEH: I jeden zadek odziany we wzorzyste gacie...

WJL: Prowadzi pan nader wnikliwą obserwację, sir.

JEH: Tak, a zadaniem Lyle'a Holly'ego jest kierować mnie do ulubionych miejsc Lucyferowych schadzek. Rozmawiam z Lyle'em niemal codziennie, a z tego, co mi przekazuje, wynika, że Bayard Rustin jest wielce oczarowany panem i pańskimi datkami, rzekomo podkradanymi przestępczości zorganizowanej.

WJL: Pan Rustin wierzy w moją szczerłość, sir.

JEH: Bo jest pan szczery.

WJL: Pracuję z animuszem, sir.

JEH: I odnosi pan sukcesy.

WJL: Dziękuję, sir...

JEH: Wyczuwam zmianę w pańskim głosie. Czy chce mi pan zadać jakies pytanie?

WJL: Tak jest, sir...

JEH: Więc proszę pytać, panie Littell. Wie pan, że uważam wszelkie

wstępy za męczące.

WJL: Czy już pan postanowił, kiedy szepnąć słówko prawdy o moich darowiznach?

JEH: Kiedy uznam, że moje perory na temat komunistycznych powiązań i życia erotycznego Lucyfera osiągnęły punkt kulminacyjny.

WJL: To rozsądna strategia, sir.

JEH: To strategia natchniona. I współgrająca z pańskim ostatnim posunięciem wobec Wayne'a Seniora.

WJL: Czy jest na mnie wściekły, sir?

JEH: Tak, ale nie chce mi powiedzieć dlaczego.

WJL: Zawarłem z nim pewien układ. Ułatwił mi zdobycie pozwolenia na pewne loty z Nellis i zażądał wyższego procentu. Jego mormoni tymczasem pozbawili go nawet tego, który miał dostać.

JEH: Procentu od czego?

WJL: Od odciągania w kasynach.

JEH: Mój zachwyt wywołany tą informacją jest równie wielki jak wściekłość Wayne'a Seniora.

WJL: Zawsze jestem szczęśliwy, mogąc pana ucieszyć, sir.

JEH: Wayne Senior jest ostatnio w ogóle dość poirytowany. Nie raczy odpowiadać na pytania o jego syna.

WJL: Podniosę mu procent, sir. To mu powinno poprawić nastrój.

JEH: Dlaczego? Czego pan od niego potrzebuje?

WJL: Potrzebne mi rozszerzenie pozwolenia na korzystanie z lotniska w Nellis.

JEH: Co miałoby ono zawierać?

WJL: Pozwolenie na lądowania samolotów z Wietnamu.

JEH: Różne informacje w jakiś dziwny sposób się ze sobą zbiegają. Jest pan tego ranka drugą osobą, która mówi mi o Wietnamie.

WJL: Drugą, sir?

JEH: Bo dzwonił już Dwight Holly. Mówił mi, że Wayne Tedrow Junior i Pete Bondurant otrzymali ostatnio wietnamskie wizy.

WJL: To dziwne, sir.

JEH: Tak, a pan jest dziwnie mało przejęty i nieszczerzy, więc lepiej zmienię temat. Jak postępują prace w związku z planami hrabiego Drakuli, dotyczącymi kolonizacji Las Vegas?

WJL: Doskonale, sir. Pete Bondurant stał się właścicielem korporacji

taksówkarskiej i wykorzystuje swą nową pozycję do gromadzenia informacji dla pana Hughesa. Kierowcy zebrali nieco brudów przeciwko kilku członkom nevadzkiego zgromadzenia ustawodawczego.

JEH: Sprytnie. Taksówkarze to kapitalne nocne marki. Patrzą na dziwactwa wszelakich nieszczęśników z rynsztokowej perspektywy.

WJL: Przypuszczałem, że spodoba się panu ten pomysł, sir. A skoro już mowa o...

JEH: Niech pan mnie nie podpuszcza. Niech pan prosi o przysługę, póki wciąż jeszcze jestem w figlarnym i wesołym nastroju.

WJL: Chciałbym zainicjować operację zakładania w Vegas podsłuchów. Chcę zapluskwić pokoje hotelowe, w których najczęściej zatrzymują się ustawodawcy. Sprowadzę Freda Turentine'a, który pomoże mi przy instalacji, i byłbym wdzięczny, gdyby kilku agentów gromadziło taśmy i dostarczało mi ich kopie.

JEH: Proszę zaczynać. Wyznaczę do tego dwóch agentów z delegatury w Las Vegas.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: To ja dziękuję. Znacząco poprawił mi pan humor.

WJL: Cieszę się, sir.

JEH: A co Tedrow Junior i Le Grand Pierre mogą porabiać w Wietnamie?

WJL: Nie mam zielonego pojęcia.

JEH: Cóż, miłego dnia, panie Littell.

WJL: Miłego dnia, sir.

60

(Sajgon, 3 listopada 1964)

Widok był niezły:

Ryksze i worki z piaskiem. Stanowiska karabinów maszynowych i krzewy plumerii. Siatki zabezpieczające przed granatami i żółtki. Sajgon w samo południe – Nowy Wspaniały, kurwa, Świat.

Sajgon jest wielki. Jest trójkulturowy. Jest gorący. Jest hałaśliwy i cuchnący.

Limuzyna toczyła się powoli. Limuzyna wdzierała się pomiędzy ryksze. Ryksze wpadały na siebie. Ślizgały się. Ich koła zawadzały o siebie jak w scenie wyścigu w *Ben Hurze*.

Białe budynki. Pagody. Znaki propagandowe: CZUJNOŚĆ TO WOLNOŚĆ/ ZDRADA CZAI SIĘ NA PÓŁNOCY.

Limuzyna toczyła się dalej. Resory skrzeczały. Koła się ślizgały. Wentylator zdechł.

Mesplède palił. Chuck palił. Flash palił. Kierowca sprzedał im czarnorynkowe koolsy. Guéry palił cohibę. Chaffee palił mecundo. Palili za zdrowie Fidela.

Wayne jęczał. Wayne był zielony na twarzy. Pete miał mdłości. Pete czytał w swym ojczystym języku:

A BAS LES VIET-CONG! HO CHI MIN, LE DIABLE COMMUNISTE!³⁴

*Qu'est-ce que c'est, toute cette merde?*³⁵

Limuzyna się toczyła. Dotoczyła się do Tu Do – żółtkowego Bulwaru Zachodzącego Słońca.

Wielkie drzewa i wielkie sklepy. Wielkie hotele i wielki ruch. Wielki żółty zgiełk.

Pete ziewnął. Pete się przeciągnął. Lecieli tu dziewiętnaście godzin. Stanton załatwił pokoje. Hotel Catinat był coraz bliżej – spanie w stylu bardzo retro.

Kierowca walił w klakson. Kierowca skasował rykszę. Mesplède wciągał nosem powietrze i identyfikował zapachy:

Nuoc mam – sos rybny – grillowana koźlecina. Smar do karabinów/ kwitnąca plumeria/ kozie gówna.

Stanton powiedział: „Powalkonicie się przez dwa dni, a potem polecicie do Dak Sut. Przedostaniecie się do Laosu i spotkacie się z Tran Lao Dinhem. Uzbrojony oddział ARVN doprowadzi was do granicy. Będą na was czekały dwa samoloty, którymi polecicie na makową farmę w pobliżu Saravanu. Tam będziecie negocjować”.

Przez jezdnię przechodzili buddyjscy mnisi. Pojazdy stanęły. Pete ziewnął. Pete się przeciągnął. Pete łokciami zrobił sobie więcej miejsca.

Tygrysa prowadził teraz Milt C. Milt zarządzał łącznością. Milt prowadził operacje dodatkowe:

Ward Littell miał zapluskwić apartamenty hotelowe. Milt miał przekupić recepcjonistów. Milt miał z nimi pogadać. Milt miał im powiedzieć: „Umieszczajcie ustawodawców stanowych zawsze w tych apartamentach”.

Wielkie zarządzenie Pete’a:

Pilnować załogi Tygrysa. Ograniczyć handel pigułami. Tępić handlujące nimi konkurencyjne ekipy. Kablować na konkurencję agentowi Dwightowi Holly’emu.

Rozpieprzyć handel pigułami w całym Vegas. Wygłodzić zachodnie LV. Pozbawić ćpunów uciechy. Zaostrzyć apetyty. Przygotować ćpunów na wielką „H”.

Chaffee machnął niewielkim płóciennym workiem. Chaffee rozdał podarunki. Zasuszone głowy – autentyczność gwarantowana – same Vietcongi – *très bien*³⁶.

Wayne swoją głowę wyrzucił. Flash swoją pocałował. Guéry nazwał swoją „Fidel”.

Pete ziewnął. Pete łyknął aviomarin. Sprawa Arden nie dawała mu spokoju. Gryzła go non stop.

Wpasował w nią Carlosa. Marzec 1956: Carlos wpłaca kaucję za Arden/ Arden pryska z Kansas City.

Nowy Orlean – 1959 – Mesplède widzi Arden. Arden ma randkę. Jej amant to człowiek Carlosa/ makaroniarz. Listopad 1963: Arden odwiedza kryjówkę. Carlos dlatego każe ją załatwić.

Wpasował Carlosa. Zatrzymał tę informację dla siebie. Nic nie powiedział

Wardowi. Zadzwoił do Freda Otasha. Powiedział: popytaj trochę.

Zajmij się Arden. Uderz do swoich kontaktów. Podrzuc mi jakieś tropy. Sprawdź Arden. Sprawdź jej eksa – niejakiego Danny’ego Bruvicka.

Flash pocałował swą zasuszoną głowę. Pocałował z jęczyzkiem. Chaffee się zaśmiał. Mesplède nazwał swoją głowę „de Gaulle”.

Chuck zakołysał swoją głowę. Wayne ją chwycił. Wayne ją zaraz wyrzucił.

Chuck powiedział:

– Zdarzają się chwile, kiedy mam wrażenie, że zatrudniliśmy nie tego Tedrowa, co trzeba.

Bezsensowność – głowa pracująca na pełnych obrotach.

Pokój był w porządku – *comme ci/ comme ça*³⁷ – podobnie jak widok na ulicę Tu Do.

Łóżko było zapadnięte. Okiennice piszczwały. Klimatyzacja furkotała. Do środka wdzierały się zapachy – *sos nuoc mam – ce n’est pas bon*³⁸.

Uliczny zgiełk niósł się do góry. Śmigłowce warczały nad dachem.

Pete się poddał. Pete nasmarował sploty. Pete powiesił zdjęcia nad łóżkiem. Barb/ kot z obnażonymi kłami/ Barb z kotem.

Stanton zorganizował wyjście – 19.00 – Sajgon nocą. Wybadamy tubylców. Popodziwiamy nocne widoki.

Pete usiadł na tarasie. Pete podziwiał *obecne* widoki. Pete widział oddziały ARVN. Pete widział żółtych policjantów.

Chaffee nazywał ich „białymi myszkami”. Mesplède nazywał amerykańskich żołnierzy „Con Van My”.

Na horyzoncie ciekawe zestawienia – blaszane dachy i sterczące w górę szpice – karabiny maszynowe M-60.

Uwielbiał strefy wojny. Widział Pearl Harbour. Widział Okinawę. Widział Saipan. Widział Zatokę Świń. Świnie zostały pomszczone. Pete oskalpował czerwonych – *beaucoup*³⁹.

Nadciągał zmierzch. Załogi na dachach ogarnęła radocha. Żołnierze celowali z karabinów w niebo i wystrzeliwali pociski smugowe. Puszczali fajerwerki.

Nowa Kadra była okeeeej. Nowa Kadra to był nr 1.

Stanton polubił chłopaków. Stanton nazwał Relyea „łebkim Bobem”. Relyea zabijał Vietcongów. Odrąbał im głowy. Sprzedawał je akademiom

medycznym.

Flash nazwał swoją głowę „Chruszczow”. Stanton nazwał swoją „Ho”. Chuck nazwał swoją „JFK”.

Spotkali się. Wsiedli do długiej limuzyny.

Zjawił się Bob Relyea. Chuck go uściskał. Roześmiali się. Napluli na dłonie, podali je sobie i zaczęli gadkę o Klanie.

Limuzyna siadła – dziewięciu pasażerów plus uzbrojenie.

Kadra miała przy sobie spluwy. Kierowca miał granaty. Relyea miał 30.06.

Skręcili i zjechali z Tu Do. Wjechali w boczne uliczki. Na limuzynie powiewały chorągiewki: MACV/ ARVN/ czaszka i skrzyżowane piszczele.

Ryksze tamowały ruch. Kierowca walił w klakson. Żółtki go ignorowały. Kierowca wrzeszczał: *Di! Di!*

Mesplède otworzył szyberdach. I wystrzelił w niebo. Hałas był paskudny. W dół posypały się łuski. Flash łapał je, gorące. Żółtki usłyszały hałas. Żółtki pojeżdżały na boki. Żółtki pochyliły nisko głowy i czekały.

Kierowca dodał gazu. Mesplède napiął wytatuowaną skórę. Dwóm pitbullom stanęły członki. Pokazały się dwa spadochrony.

– Tym ludziom trzeba jasno pokazać, o co ci chodzi. Rozumieją tylko siłę.

Relyea ułożył wachlarz z kart do gry – same asy pik.

– Rozumieją siłę i przesady. Takie karty, czaisz. Rzucisz jedną na martwego Vietconga, a już żaden żółtek nie przejdzie na ich stronę.

Chaffee powiedział:

– To fakt. Lubię wietnamców, chociaż to prymitywne skurwysyny. Gadają do cieni i zdechłych kurczaków.

Flash memlał w ustach łuskę.

– A gdzie są amerykańscy żołnierze? Na razie naliczyłem może ze czterech.

Stanton powiedział:

– Chodzą przeważnie w cywilkach. I tak rzucają się w oczy, bo są biali albo czarni, więc nie chcą jeszcze intensyfikować problemu przez zakładanie munduru.

Flash wzruszył ramionami. *Qué pasa* „intensyfikować”?

Pete zapalił papierosa.

– Johnson zaanonsował, że do lata przyśle tu ponad sto tysięcy żołnierzy. To oznacza, że teraz jest chwila wytchnienia.

Flash wzruszył ramionami. *Qué pasa* „zaanonsował”? Guéry wzruszył ramionami. *Qu'est-ce que c'est?*

Pete parsknął śmiechem. Stanton parsknął śmiechem. Relyea potasował karty. Rozłożył je. Złożył. Wyciągnął zza koszuli Wayne'a.

– Chuck i ja mamy swoje plany dystrybucji. Rozsyłałem przemowy do skazańców za pośrednictwem systemu więziennictwa w Missouri, który był moim pracodawcą, jeszcze zanim zatrudniła mnie armia. Wtykałem je w te broszurki Głosu Ameryki, co oznacza, że więźniowie otrzymywali lepszą wersję prawdy i prawdę prawdziwą.

Chuck zapalił papierosa.

– Najlepsze będą zrzuty z powietrza. Lecisz nisko i bombardujesz żołnierzy.

Relyea pokręcił głową.

– Nie zgadzam się. Marnujesz porządne traktaty na czarnuchów w mundurach.

Chuck mrugnął.

– Tatuś Wayne'a jest specem od traktatów. Wydaje też niezłe przyjęcia...

Wayne wpatrywał się w Chucka. Wayne strzelał kciukami.

Chuck powiedział:

– Wayne jest wielbicielem Martina Luthera Kunta-Kinte. Widział wszystkie jego filmy...

Wayne się wpatrywał. Chuck odwzajemniał spojrzenie. Napięcie rosło. Chuck zamrugał pierwszy. Wayne zamrugał ostatni.

Napięcie opadło. Kierowca omal nie rozjechał świni. Pete wyjrzał. Pete spojrzał w górę.

Zobaczył błyski pocisków smugowych. Wyglądały jak stada robaczków świętojańskich.

Krążyli po Khanh Hoi. Oglądali kluby. Wpadli do Duc Quynh.

Lokal był mały. Był ciemny. Był francuski. Boksy z tapicerowanymi ławkami/ nastrojowe światła/ szafa grająca. Zajęli stolik. Zamówili wino. Zjedli gulasz rybny.

Wayne się dąsał. Pete go obserwował.

Ward przeciął pępowinę łączącą go z tatusiem. Hej ty, Waynie, słuchaj no: tatko wpakował cię w Dallas. Wayne ciężko to przeżył. Wayne dusił to w sobie. Wayne skutkiem tego sposepniał.

Jedzenie pachniało – czosnek i kałamarnice – *chow indigène*. Na estradzie występowały dziewczyny. Na piersiach miały tylko nalepki na sutki. Poruszały ustami do lecącej z playbacku melodii. Była to jedna z piosenek Barb.

Chuck się urznął. Bob się urznął. Zaczęli pieprzyć o Klanie. Flash się urznął. Guéry się urznął. Zaczęli pieprzyć we własnym narzeczu.

Chaffee się urznął. Chaffee zaczął machać zasuszonymi głowami. Chaffee wystraszył śpiewające dziewczyny.

Stanton sączył martini. Wayne sączył wodę sodową. Mesplède wypalał jednego gauloise'a na minutę. Pete usłyszał wybuchy – namierzył kierunki.

Niewielkie bomby – dość daleko – odgłos niósł się po wodzie.

Chaffee wyjaśnił – Białe Myszki i Vietcong. Chałtura – bomby rurowe *pas beaucoup*⁴⁰.

Klub się wypełniał. Żołnierze amerykańscy i pielęgniarki. Pili. Tańczyli. Maltretowali szafę grającą. Puszczali wiet-rocka – Ricky Nelson w żółtym wykonaniu – *Herro, Mely Ruu*.

Pokazało się dwóch czarnuchów. Wyglądali jak goryle z dżungli. Wyglądali jak buhaje z plantacji bawełny. Uderzyli do białych pielęgniarek. Nawiązali kontakt. Posiedzieli z nimi. Zaczęli tańczyć. Tańczyli baaardzo powoooooli.

Wayne się spiął. Wayne patrzył. Wayne ścisnął krawędź stołu.

A oni tańczyli. Najpierw stroll. Potem watusi. Wayne patrzył. Chuck zauważył. Chuck dał znak Bobowi.

Obserwowali Wayne'a. Pete obserwował Wayne'a. Wayne obserwował tańczących czarnuchów. Jak poruszali biodrami. Jak palili papierosy. Jak dmuchali dymem na pielęgniarki.

Wayne ścisnął krawędź blatu. Wayne ułamał deskę. Garnek z gulaszem spadł. Wyleciały rybie głowy.

Pete powiedział:

– Przejdźmy się.

Dotarli do doków. Spotkali się z ludźmi z ARVN od Stantona. Dwóch *trung uys* – niska ranga – żółci porucznicy.

Laboratorium było w pobliżu. Poszli pieszo. Żółtki kroczyły wyprostowane. Pociski smugowe leciały w górę. Czerwone światło barwiło wodę w rzece.

No proszę...

Budynek z białej cegły. Upstrzony wietnamskim graffiti. Klub nocny/ palarnia opium – każde na osobnym piętrze. Trzy kondygnacje – laboratorium na samej górze.

Weszli. Rozejrzeli się po klubie Go-Go. Jest bar. Jest estrada. Są suszone głowy. Trofea z suszonych głów na ścianach. Suszone głowy zamiast popielniczek. Suszone głowy zamiast lichtarzy.

Znowu barowe dziewczyny. Znowu ARVN. Znowu amerykańscy żołnierze. Znowu stęchlizna i Ricky Nelson. Znowu *Herro, Mely Ruu*.

Poszli na górę. ARVN ich prowadzili. Oto i palarnia opium.

Sienniki na podłodze/ luźne deski/ posłania dla fruwaczy – bu-kuu. Koryta na szczochy i wiadra do srania. Cztery ściany ograniczające przestrzeń do pierdzenia.

Fruwacze – bu-kuu. Fruwacze na najwyższym haju. Żółci i paru białych. Jeden asfalt.

Przeszli przez palarnię. Przeskakiwali ponad siennikami. Umykali przed oparami. Pete zatkał nos. Zapachy mieszały się i wirowały.

Pot/dym/bąki.

ARVN wywijali latarkami – pacz pacz pacz.

Zobaczcie tylko skórę tych ćpunów. Zobaczcie te zaćpane oczy. Zobaczcie te bokserki – najnowszy krzyk mody.

Chaffee powiedział:

– Ci Amerykanie to ekszołnierze. Zostali wywaleni i tutaj zostali. Ten czarny stręczy dziewczyny z Go-Go na dole.

ARVN poświęcili na posłanie asfalta. Rzeczony asfalt fruwał w luksusie. Jedwabna poduszka. Puchowe posłanie i jedwabna pościel.

Pete kichnął. Flash zakaszłał. Stanton wdepnął w gówno. Chuck się zaśmiał. Guéry kopnął siennik. Guéry przewrócił żółtka.

Mesplède się zaśmiał. Bob się zaśmiał. Wayne patrzył na asfalta.

Szli dalej. Dotarli do tylnych drzwi. Ruszyli po schodach na górę. Oto i laboratorium – no, no!

Palniki. Kadzie. Beczki. Zlewki/miski/dzbanki. Półki. Słoje z etykietami.

Stanton powiedział:

– Zdobyłem wszystko, o co prosił Wayne.

Chaffee kichnął.

– Towar najwyższej jakości. Kupowałem przeważnie w Hongkongu.

Filtry do kawy. Woreczki z wapnem. Pompy ssące i przewody odprowadzające.

Pete powiedział:

– Produkuje gotowy towar i wysyłamy go w tej postaci. Wayne i ja prowadzimy sprawę tutaj i w Vegas. Latamy samolotami kurierskimi do Nellis i tam działamy dalej.

Chuck zapalił papierosa.

– Ward Littell musi załatwić pozwolenie, a to oznacza, że będzie musiał się podlizać Wayne’owi Seniorowi.

Wayne pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Jest jeden generał brygady, Kinman. On może to załatwić.

W pomieszczeniu unosił się zapach. Odczynniki zasadowe. Pył wapienny – bu-kuu.

Pete kichnął.

– Zadzwoń do Warda i mu powiem.

Wayne przeglądał półki. Wayne sprawdzał etykiety:

Chloroform. Amoniak. Siarczany. Kwas solny. Bezwodnik kwasów organicznych.

Odkręcał słoje. Wąchał związki. Macał proszki.

– Chcę produkować maksymalnie czysty – w granicach opłacalności – towar tu, na miejscu. Etap produkcji kończymy tutaj i mówimy gościom od dystrybucji w Vegas, żeby już bardziej proszku nie czyścili.

Stanton się uśmiechnął.

– Swoich „oblatywaczy” masz piętro niżej.

Chaffee się uśmiechnął.

– Ich tolerancja na opium spokojnie ci wystarczy.

Mesplède się uśmiechnął.

– Najpierw podaj im kofeinę. To rozszerzy naczynia krwionośne i da ci bardziej wiarygodny wynik.

Pete uchylił okno. W niebo leciały pociski smugowe. Ulicą szła procesja:

Żółtki w długich szatach – same łysole – głośna, monotonna recytacja.

Wszyscy zaczęli ziewać. Spojrzeli po sobie. Pieprzyć to wszystko – różnica czasu i brak snu nas rozpierdala.

Stanton zamknął laboratorium. Chaffee posmarował ARVN-owcom. Pilnujcie laboratorium/ bądźcie tu całą noc – dziesięć dolarów

amerykańskich.

Wszystkim darły się gęby. Wszyscy byli wykończeni. Wszyscy ziewali szeroko i się przeciągali.

Zeszli po schodach. Przeszli przez palarnię. Przeszli przez klub. Klub żył nowym życiem.

Przybyło białych. Przybyło żołnierzy. Doszło paru typków – chyba z ambasady amerykańskiej.

Asfaltowy alfons był już na nogach. Asfaltowy alfons zszedł z ćpuńskiego nieba na ziemię i tryskał energią. Dyrygował swoimi dziwkami. Kazał im się rozebrać. Kazał im wskoczyć na stoły.

Dziewczyny się połączyły. Dziewczyny wykonywały numerki na stołach. Całowały się z jęczyzkiem i pieprzyły w pozycji 69.

Wayne się zachwiał. Pete go podtrzymał. Do środka wszedł buddyjski mnich.

Z jego szaty kapało. Patrzył jak otępiały. Jego szata śmierdziała benzyną. Skłonił się. Przykucnął. Podpalił zapałkę. Upiekł się w benzynowym sosie.

Ogień buchał. Ogień jaśniał. Płomienie sięgały sufitu. Laski z lesbijskiego show się rozpierzchnęły. Mnich płonął. Ogień się rozszerzał. Niektórzy z klubowych gości zaczęli wrzeszczeć.

Barman chwycił syfon. Barman chlusnął wodą sodową. Barman zalał mnicha.

61

(Las Vegas, 4 listopada 1964)

Zapluskwianie.

Littell skręcał kabelki. Littell wieszał mikrofony. Fred Turentine wieszał przewody zasilające.

Kładli kable. Łączyli przewody. Mocowali je na ścianach. Maskowali.

Hotel Riviera – zapluskwanie nr 9. Wielki apartament – trzypokojowy. Zapluskwanie w całym Vegas. Dostęp za łapówki – cztery hotele z głowy.

Moe Dalitz smarował kierownikom. Milt Chargin smarował recepcjonistom. Pan Hoover przekupił miejscowego szefa agentów. Rzeczony szef obiecał dać ludzi. Rzeczony szef obiecał pośpiech. Rzeczony szef obiecał kopie taśm.

Taśmy dla pana Hoovera. Taśmy dla Warda Littella.

Turentine walczył z kablami. Littell włączył telewizor. Leciały wiadomości: przytłaczające zwycięstwo LBJ. Bobby wchodzi do Senatu.

Turentine dłubał w nosie.

– Nie cierpię mocowania do ścian. Ta cholerna pasta piecze w dłonie.

LBJ wychwalał głosujących. Ken Keating mu przytakiwał. LBJ ścisnął swoje dzieciaki.

– Chyba miałem fuksa, że dostałem tę robotę. Czasy szmatławych gazet już przeminęły. Wtedy Freddy Otash kazał mi zapluskwiać każdy pieprzony kibel w LA.

Goldwater przytakiwał. Hubert Humphrey się uśmiechał. LBJ ścisnął dzieciaki.

Turentine pstryknął smarkiem.

– Freddy dostał fuchę. Pete kazał mu znaleźć coś na jedną babkę. Jej stary orznął kiedyś Jimmy’ego H.

Littell wyłączył dźwięk. Humphrey zamilkł. LBJ poruszał ustami.

– A kto trzyma stare brudy tamtych szmatławców? Freddy mógłby to wiedzieć?

Turentine zawiesił kable.

– Masz na myśli te *ostre* kawałki? Te, które nigdy nie ukazały się w druku?

– Zgadza się.

– Po co ci...

– Ich informacje mogłyby nam pomóc. Te szmaty zawsze miały informatorów w Vegas.

Turentine wycisnął przyszcza na szyi.

– Jeśli jesteś gotów zapłacić, to Freddy na pewno będzie gotów poszukać.

– Zadzwoń do niego, co? Powiedz, że zapłacę podwójną dzienną stawkę plus koszt.

Turentine skinął głową. Turentine wycisnął przyszcza na brodzie. Littell pogłośnił telewizor. LBJ wychwalał Bobby'ego. Bobby wychwalał LBJ. Bobby wychwalał „Wielki Naród”.

Littell umieścił mikrofon w stoliku nocnym. Littell umieścił mikrofon w nodze od kanapy. Littell umieścił mikrofon w lampie.

Stare brudy były naprawdę stare. Stare wciąż były jare. Stare brudy mogły pomóc panu Hughesowi. Potrzebowali brudów. Brudy oznaczały długi wdzięczności. Zadzwońmy do Moe D. Zadzwońmy do Milta C. Trzeba zapluskwic jeszcze więcej pokoi.

A potem młyny – pokoje na piętrach – Milt przynosiłby taśmy. Zapluskwijmy Vegas. Zdobywajmy brudy. Dokonujmy wymuszeń.

Littell umieścił mikrofon w fotelu. Turentine zmienił kanały. Ukazał się pan Hoover we własnej osobie.

Powiedział: „King”. Powiedział: „Sympatyk komunizmu”. Wyglądał staro. Wyglądał słabo.

Wiadomości ciągnęły się do późna. Relacje na temat Bobby'ego ciągnęły się długo.

Littell pojechał do „domu”. Littell zadzwonił po obsługę. Littell jadł kolację i oglądał telewizję.

Nie ma jak w „domu”. Kolacja do pokoju i służący na zawołanie.

Tęsknił za Jane. Poprosił, żeby przyjechała na Święto Dziękczynienia. Zgodziła się. I bała się. Bo miastem rządzą Chłopcy.

Kłamała. W LA nie dawało mu to spokoju. Tęsknił za nią i chciał ją mieć tutaj.

Bobby wychwalał LBJ. Bobby wychwalał jego programy. Bobby wychwalał doktora Kinga.

Littell odtwarzał taśmy Bobby'ego. Odtwarzał je niemal co wieczór. Czasami Jane podsłuchiwała. Wtedy kręcił. Kłamał. Opowiadał o przesłuchaniach.

Kłamstwa:

Bayard Rustin go naciskał – spotkaj się z doktorem Kingiem – Bayard proponował kolację. Littell *kłamał*. Mówił o nieistniejących zobowiązaniach. *Kłamał*. Nigdy nie powiedział: zachowajmy dystans.

Dystans minimalizował jego ryzyko. Dystans minimalizował jego zaangażowanie.

Littell zadawał kłam ideom Kinga. Wspomagał Kinga. Pracował nad zachowaniem równowagi.

Prywatna znajomość mogłaby to zabić. Sympatia unicestwiłaby szacunek. Szufladki zostałyby zniszczone. Ryzyko wzrosłoby gwałtownie.

Bobby obiecał nowe ustawy. Bobby obiecał ciężką pracę. Bobby nie wspomniał nic o przestępczości zorganizowanej. Bobby nie wspomniał nic o Jacku.

On *znał* Bobby'ego. Bobby *wiedział*, że Chłopcy zabili Jacka. Bobby na taśmie: „Kiedy przyjdzie czas, zabiorę się za to i zobaczymy, kto będzie miał ostatnie słowo”.

Nie. Proszę... Nie kładź na szali własnego bezpieczeństwa. Nie ryzykuj...

Littell zmieniał kanały. Littell zobaczył LBJ. Littell zobaczył reklamę piwa i grupę amerykańskich doradców w Wietnamie. Obietnica wysłania kolejnych żołnierzy. Samospalenia buddyjskich mnichów.

Pete zadzwonił do niego tego ranka. Pete przedstawił plan: uderz do Draka/ *urób* Draka/ pomóż mi zrealizować *ten* nowy plan.

Zgodził się. Wykręcił do Draka i nim zamanewrował. Drak zgodził się na „plan” Pete'a. Pete rzucił nazwisko: Clark Kinman. Dzięki niemu ominiesz Wayne'a Seniora.

Zadzwonił do Kinmana. Umówił się na spotkanie. Rozszyfrował z grubsza „plan” Pete'a.

Heroina/Wietnam. „Wyposażenie”/ ukryte prochy/ darowizny dla picu.

To mogło oznaczać tylko jedno. Chłopcy uchylili zakaz handlu herą. I Chłopcy o niczym mu nie powiedzieli.

Pete wydawał się zadowolony. Pete wydawał się zaangażowany. Pete

budował szczelnie pozamykane szufladki. Tutaj Betty Mac. Tam heroina. Między nimi ścianka.

Littell zmieniał kanały. Bobby machał do ludzi. Bobby tulił dzieciaki.

Kinman zaproponował coś do picia. Littell sącył wodę sodową. Kinman sącył szkocką.

– Słyszałem o panu. To pan doprowadził do tego czarterowego układu pomiędzy Wayne’em Seniozem i Howardem Hughesem.

W gabinecie było duszno. W gabinecie było wojskowo. Modele samolotów i plakaty z samolotami na ścianach.

Littell się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że się to panu opłaciło.

Kinman pociągnął łyk szkockiej.

– Jestem oficerem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Nie zamierzam mówić kompletnie obcej osobie, gdzie i jak mi się coś opłaciło ani czy w ogóle się opłaciło.

Littell bawił się podkładką pod szklanę.

– Mógłby pan zadzwonić do Wayne’a Seniora po referencje.

– Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach. Powiedział mi, że pana nie lubi, co na dzień dzisiejszy stanowi nie najgorszą referencję.

Na górze trzasnęły drzwi. Rozbrzmiała muzyka. Dołączył do niej nucący kobiecy głos.

Littell zamieszał napój.

– Wie pan, dla kogo pracuję?

– Poinformowano mnie, że dla Howarda Hughesa, który, jak wieść niesie, ma pewne plany dotyczące Las Vegas. Doszedłem do wniosku, że może on wnieść coś dobrego do miasta, i z tego też powodu ułatwiłem zawarcie tamtego układu czarterowego.

– Który albo się panu opłacił, albo nie.

Muzyka umilkła. Kroki zabrzmiały na schodach. Kobieta nuciła dalej.

Kinman się uśmiechnął.

– Jest u mnie przyjaciółka. To oznacza, że ma pan pięć minut, by wyłuszczyć sprawę i zniknąć.

Littell dotknął czubkiem buta swojej teczki.

– Pan Hughes chce podarować nadwyżki z dostarczanego armii wietnamskiej wyposażenia Powietrznej Gwardii Narodowej. Chce nagłośnić

sprawę tych darowizn i przypisać panu zasługę zainspirowania go do tego posunięcia. Prosi pana jedynie o rozszerzenie pozwolenia na korzystanie z lotniska, tak aby mogły tu od czasu do czasu lądować samoloty kurierskie z Sajgonu.

Kinman pogryzł kostkę lodu.

– Bez odprawy celnej?

– Pan Hughes, owszem, byłby wdzięczny za taką uprzejmość.

– Ta „uprzejmość” będzie go kosztowała pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Gotówką, bez możliwości zwrotu.

Littell otworzył teczkę. Littell wyjął czterdzieści kawałków. Drak dał mu pięćdziesiąt. Dychę zachował dla siebie – na dziesięć.

Kinman wrzasnął z radości. Wtedy weszła Janice Tedrow.

Utykała. Kołysała laską. Na ustach miała szramę.

62

(Dak Sut, 7 listopada 1964)

Upał. Robactwo. Szajs.

Dak Sut to byli wieśniacy. Dak Sut to było gliniaste błoto. Dak Sut to były trzydzieści trzy chaty.

Żołnierze ARVN nazywali wieśniaków *que lam*. Chaffee nazywał żołnierzy ARVN „Marvinami”. Pete nazywał ich „Marvami”. Chuck nazywał ich „Marvami”. Bob Relyea mówił na nich „Sahib”.

Wayne’a wszystko swędziało. Wayne tłuł robactwo. Wayne rozglądał się po Dak Sut. Zobaczył świnie. Zobaczył kubły z ryżem. Zobaczył rzekę Dak Poko.

Most. Brunatna woda. A dalej gęsta dżungla.

Przylecieli samolotem. Marvi przylecieli z nimi. Chaffee wynajął hueya. Pilot żłopał wino. Chuck i Bob zrzucali swoje ulotki.

Wayne’a wszystko swędziało. Wayne tłuł robactwo. Wayne miał mundur polowy i czterdziestkę piątkę. Wayne miał strzelbę kaliber 12.

Wyposażenie amerykańskiej armii – przerobione na potrzeby Kadry. Dum-dumy i pszczoły – naboje wypełnione stalowymi strzałkami.

Laos był niedaleko. Marvi znali drogę. Marvi mieli *własnego* przewodnika – eks-Vietconga zadekowanego w jednej z chat.

Tran Dinh czekał niedaleko Saravanu. Tran Dinh miał ludzi. Tran Dinh miał w pogotowiu dwa samoloty. Polecą do obozu watażki. Będą „negocjować”.

Wayne’a wszystko swędziało. Wayne tłuł robactwo. Wayne rozglądał się po Dak Sut. Wieśniacy snuli się dokoła. Mesplède częstował koolsami. Pete wszedł do chaty nr 16. Pete wywlókł Vietconga.

Chuck zdjął mu kajdanki. Bob założył obrożę. Marvi przypięli smycz. *Niezła* ta obróżka – rozmiar jak na pudła i najeżona kolcami.

Chuck bawił się smyczą. Chuck popuszczał. Chuck gwałtownie ściągał.

Wayne podszedł. Vietcong miał na sobie czarną wietnamską piżamę.

Vietcong miał blizny po torturach.

Chuck powiedział:

– Hau, hau.

Bob cmoknął:

– Na spacerek, piesku.

Wyszli z wioski.

Szli gęsiego. Przekroczyli Dak Poko. Dotarli do posterunku granicznego. Marvi posmarowali dowódcy – pięć dolarów. Dowódca omal nie zemdłał.

Wkroczyli do Laosu. Wędrowali ścieżkami. Wzgórza i krycie w postaci zarośli. Gliniaste podłoże.

Vietcong szedł na przędzie. Chuck szarpnął go za smycz. Chuck nazwał go „Fido”. Fido ciągnął. Fido szedł boso. Fido się wyrywał.

Wayne szedł na końcu – co za szalooooone życie – najpierw 82. Dywizja, a teraz to.

W Sajgonie zabijał czas. Czytał podręczniki chemii. Wpadł na amerykańską pocztę. Zamówił gazety z Vegas i Dallas. Wprowadził się do laboratorium. Przeniósł tam akta Durfee’ego.

Katalogował zebrane cynki. Wyciągał z nich wnioski. Żywił się w go-go na dole. Przyzwyczajają się do dziwnego jedzenia. Pomagał trochę właścicielowi.

Smażony mnich spowodował tam szkody. Smażony mnich opalił krokwie pod sufitem. Smażony mnich osmalił farbę.

Wayne malował. Wayne naprawiał krokwie. Czarny alfons kręcił się w pobliżu. Wayne go obserwował. Wayne poznawał jego dane:

Maurice Hardell/ alias Bongo/ były starszy szeregowy, kwatermistrz. Siedział w więzieniu wojskowym, wywalony z armii za obsceniczne zachowanie.

Obserwował Bonga. Obserwował Kadrę. Kadra obserwowała jego. Kadra znała jego dane. Kadra sporo o nim wiedziała. Chuck miał długi język.

On też znał dane Kadry. Pete mu je dostarczył:

Guéry nienawidził czerwonych. Mesplède nienawidził czerwonych. Obaj mordowali rebeliantów w Kongo. Mordowali Algierczyków. Chuck nienawidził czerwonych. Chuck był kiedyś w CIA. Chuck zabijał *Fidelistos*.

Flash nienawidził czerwonych. Flash zabijał czerwonych. Flash stręczył kiedyś panienki w Hawanie. Flash prysnął z Kuby. Flash uderzył do USA.

Flash rabował sklepy z gorzałą.

Flash znał Guéry'ego. Flash poznał Pete'a. Flash poznał Johna Stantona. Chuck znał Boba. Bob kolportował ulotki. Bob kolportował ulotki w więzieniach.

Chaffee miał w żyłach błękitną krew. Chaffee wstąpił do armii. Stanton miał w żyłach błękitną krew. Stanton wstąpił na Yale. Stanton znał ojca Chaffee'ego. Stanton był udziałowcem United Fruit. United Fruit musiało zwinąć się z Kuby przez Brodacza. Brodacz sprawił, że akcje United Fruit stały się gównem warte.

Kuba ich nakręcała. Kuba nakręcała Pete'a. Kuba nakręcała heroinowe plany. Kuba nakręcała działania w Wietnamie. Coś też podpowiadało, że Kuba nakręciła Dallas.

Rozmawiali:

Guéry i Mesplède/ Chuck i Pete/ Flash Elorde. Mówili po angielsku. Urywali. Zaczynali mówić po hiszpańsku i francusku. „Dallas” padało we wszystkich trzech językach.

Dallas – rzeczownik – miasto w Teksasie. Dallas – punkt zwrotny w *jego* życiu.

Czekał na to od dzieciństwa. Zaliczył szybki numer. Rzucił ojcu ten swój tekst o Dallas. Przeleciał Janice. Naraził ją na niebezpieczeństwo. Oboje chcieli się uwolnić od Wayne'a Seniora. Pieprząc się, świadomie zniszczyli sobie życie.

Kupował gazety z Vegas. Sprawdzał komunikaty o zaginionych i nekrologi. Wayne Senior zabił Wardella Graya. Wayne Senior nie zabił Janice.

Odciał się od nich. Opuścił ich. Odszedł. Olał ich. Myślał o Bongu. Myślał o Wendellu D.

Kadra brnęła z mozołem. Szlak był kręty. Zarośla ich hamowały. Chaffee niósł kompas. Kierowali się na północny zachód.

Przecinali polany. Rozdzielali się. Szli obrzeżami. Wayne zmienił swe miejsce w rzędzie. Wayne przejął smycz Fida.

Fido szedł szybko – dobry piesek – choć wielce niemłody.

Wayne szedł szybko. Fido ciągnął. Wayne przyspieszył i szedł obok niego. Fido zaczął strzelać oczami. Wayne podążał za jego spojrzeniem. Fido skręcił nagle. Fido zaczął lawirować.

Marv 1 krzyknął:

– *Chuyen gi vay?*

Marv 2 krzyknął:

– *Chuyen, chuyen?*

Fido krzyknął:

– *Khong co chuyen gi het.*

Dotarli do polany. Rozeszli się na boki. Fido szarpnął w lewo. Fido przysiadł. Fido ściągnął portki.

Wayne zobaczył, jak sra. Wayne zobaczył pniak. Wayne zobaczył X. Fido coś chwycił. Fido coś rzucił. Coś wybuchło.

O, kurwa – dym/ szrapnel/ ogień z karabinów.

Chaffee dostał odłamkami. Chaffee upadł. Dwóch Marwów dostało centralnie. Poleciała jakaś ręka. Poleciała stopa. Pniaki poszły w drzazgi.

Wayne padł na brzuch. Wayne się przetoczył. Wayne wyciągnął czterdziestkę piątkę. Pete padł na brzuch. Chuck padł na brzuch. Marv 3 zaczął strzelać.

Pete strzelał. Chuck strzelał. Fido szarpał się na smyczy. Wayne się zaparkł. Wayne pociągnął za smycz. Wayne przyturlał go do siebie.

Jest blisko – jest jego szyja/ są oczy.

Wayne wycelował. Wayne wypalił aż cztery razy. Fidowi posypały się zęby. Kark Fida eksplodował.

Wayne usłyszał wrzaski. Wayne ujrzał czterech VC.

Szarżowali. Mierzyli z karabinów. Byli blisko Kadry. Pete wstał. Chuck wstał. Mesplède machnął: *naprzód*.

Bob wstał. Bob wycelował z karabinu. Bob mierzył nisko. Wyleciała pszczoła – posypały się strzałki – żądła w natarciu.

Żądła frunęły ławą. Żądła trafiły. Żądła obcięły nogi. Trzy korpusy oddzieliły się od bioder i spadły.

Pete strzelał. Chuck strzelał. Mesplède trafiał bez pudła. Wystrzelali całe magazynki swoich czterdziestek piątek – strzelali w głowy po dziesięć razy.

Wayne podszedł. Wayne kopnął utraconą nogę. Wayne ujrzał tatuaż z Ho Chi Minhem. Wayne ujrzał ślady po igle.

Pete powiedział: „Żadnych pogrzebów”. Chuck powiedział: „Żadnych dowodów”. Mesplède powiedział: „Bebechy wabią dzikie świnie”.

Bob wybebeszył Marwów. Pete wybebeszył Chaffee’ego. Bob wybebeszył VC. Wayne rzucił monetą. Marwowi 3 zachciało się głów. Wayne wyrzucił

reszkę – co za pech.

Wybebeszył Fida. Pomyślał o Maynardzie Moorze. Poczł zapach parkingu przy autostradzie niedaleko Dallas.

Odeszli. Chuck zostawił ulotki. Bob zostawił asa pik.

Szli dalej.

Stracili kompas Chaffee'ego. Kierowali się słońcem. Zapadł zmierzch. Kierowali się gwiazdami.

Podniosła się mgła. Gwiazdy znikły. Szlak się rozgałęził. Instyktownie skręcili w prawo. Przez mgłę przebiła się Mała Niedźwiedzica. Popatrzyli i wrócili do punktu wyjścia.

Szli. Korzystali z latarek. Wpadli w zarośla. Gęste jak diabli – listowie i zwisające korzenie.

Przedarli się przez nie. Znow podniosła się mgła. Gwiazdy znikły. Musieli oszczędzać latarki. Wyłączyli je. Szli w ciemności.

Zobaczyli światła. Marv 3 wyjaśnił:

Parę kroków przed nimi – wioska – wieśniaków *beaucoup*. Ja tam pójść. Zdobyć w wioska pomoc. Znaleźć przewodnik.

Pete powiedział: „Idź”. Marv 3 poszedł. Oni czekali. Nikt nic nie mówił. Nikt nie palił. Wayne odmierzył czterdzieści sześć minut.

Marv 3 wrócił. Marv 3 przyprowadził Fida 2. Starzec – klasyczny papasan – kozia bródka i sandały na grubych podeszwach.

Chuck założył mu smycz. Chuck nazwał go „Rover”. Chuck poczęstował go papierosem. Rover miał niezłą kondycję. Rover pomykał szybko. Rover przeskakiwał ponad gałęziami i niskimi krzakami.

Dotarli do polany. Rozeszli się na boki. Rozeszli się po całym jej obwodzie. O dziesiątej wystrzeliła raca – pofrunęła różowa smuga, wybuchając na tle nieba.

Rozpierzchli się. Wystrzelili pszczoły. Strzałki trafiły w próżnię.

Ktoś krzyknął: „Swój!”.

Ktoś krzyknął: „Tran Dinh!”.

Tran miał swoje obozowisko. Pete nazwał je Fontainebleau. Akry powierzchni. Zielsko i pokryta mierzwą ziemia. Moskitiery i siatki przeciw granatom. Baraki z błyszczącej stali.

Spali twardo. Spali długo. Ludzie Trana przygotowali im późne śniadanie.

Tran zebrał u Stanton. Stanton zebrał u wojskowych. Stanton wyzebrał ciasto naleśnikowe w konserwach. Stanton wyzebrał boczek w puszkach i mielonkę.

Tran miał szóstkę niewolników – samych wyrzutków z ARVN. Tran wyglądał jak mały małpiszon. Tran zachowywał się jak primadonna.

Niewolnicy zaserwowali żarełko. Płonące naleśniki w tanim winie.

Chuck był w siódmym niebie. Pete się oblizywał. Bob się prawie porzygał. Mesplède się prawie porzygał. Marv 3 pochłonał wszystko, co dostał. Wayne ugryzł. Wayne się prawie porzygał. Wayne nakarmił węża należącego do Trana.

Tran znał angielski. Tran znał francuski. Tran przedstawił im plan działania:

Przylatują dwa hueye. Wtedy wyruszamy. Odwiedzamy makowe farmy. „Negocjujemy”.

Pete wziął Trana na stronę. Wayne przyglądał się ich *tete-à-tete*. Wayne usłyszał „improvizacja”. Pete uśmiechnął się szeroko. Tran uśmiechnął się szeroko. Tran zachichotał. Wayne załapał, w czym rzecz: „negocjujemy” – *gównno prawda*.

Chuck wyłożył amunicję. Chuck wyłożył zasady: wszyscy bierzemy śrut – pszczoły *verboten*.

Wayne usunął swoją amunicję. Wayne załadował śrut. Wayne pomyślał:

Amunicja do strzałów z małej odległości. „Improvizacja”. Pete wie/ Tran wie/ Chuck wie. Wszyscy wiedzą – wszyscy oprócz *ciebie*.

Tran wygłosił mowę. Tran potępił Vietcong. Tran potępił Francuzów. Tran wyłączył z tego Pete’a i Mesplède’a. Tran potępił Ho Chi Minha. Tran potępił Ngo Dinh Diema. Tran potępił sękatego Charliego de Gaulle’a.

Tran wyniósł pod niebiosa Prestona Chaffee’ego. Tran potępił Brodacza. Tran pochwalił szefa LBJ. Tran krzyczał. Tran kaszłał. Tran głądził przez godzinę, aż zachrypł.

Wayne usłyszał warkot śmigłowców. Wayne ujrzał dwa hueye.

Zbliżyły się. Zawisły nad ziemią. Obniżyły się i siadły. Otworzyły się drzwi. Marvi za sterami pokazali, że mają wskakiwać.

Tran odmówił modlitwę. Tran założył kuloodporną kamizelkę. Wayne spojrział na Pete’a. Pete uśmiechnął się i puścił oko.

Startowali osobno. Bob poleciał Śmigłem nr 1. Bob wyposażył się

w snajperski celownik optyczny.

Pete odliczył dziesięć minut. Śmigło nr 2 zaczęło się szykować. Tran krzyknął:

– Na pokład!

Wsiedli. Wayne zajął miejsce przy drzwiach. Chuck zajął miejsce przy karabinie. Pete zajął miejsce z tyłu. Mesplède trzymał się blisko niego. Tran trzymał się blisko Marva-Pilota i Marva 3.

Marv-Pilot zapuścił silniki. Śmigła się poruszyły. Zaczęli się wzbijać. Osiągnęli pułap. Zawisli.

Wysokość trzy tysiące metrów – co za zieleń – zielone doliny/ zielone wzgórza/ zielone zarośla.

Wayne spojrział w dół. Wayne ujrzał pasma ziemi w kotlinach. Wayne dostrzegł ich szarawe zabarwienie.

Słodka gleba. Dobry odczyn – niskie pH. Pożywka dla maku. Makowi niewolnicy palą drzewa. Popiół zasila glebę.

Wapń i potas. Wysoki poziom fosfatów. Wiosenne wypalania i zasiew na jesień. Fasola i kukurydza jako płodozmian.

Minęli Saravan. Wayne ujrzał blaszane dachy i iglice. Wayne ujrzał malutkich ludzików i małe poletka. Saravan zjawił się i zaraz znikł. Powróciła zieleń.

Chuckowi zrobiło się niedobrze. Chuck rzygał do worka. Wayne odwrócił wzrok i patrzył w dół.

Proszę...

Makowe pola/ równe bruzdy/ niewolnicy w spiczastych kapeluszach.

Pete zdjął pilotowi słuchawki. Założył je. Zaśmiał się. Podniósł trzy palce w górę. Tran się zaśmiał. Chuck się zaśmiał. Mesplède się zaśmiał. Marv 3 huknął śmiechem.

Wayne załapał:

Bob jest w śmigłowcu nr 1. Bob ma karabin. Bob pyka do strażników. Bob załatwił trzech.

Marv-Pilot skręcił. Wayne zobaczył chaty. Ujrzał lądowisko. Wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę. Sprawdził magazynek. Załadował nabój.

Marv-Pilot zawisł w powietrzu. Marv-Pilot obniżył lot.

I proszę...

Koszary. Więzienie niewolników. Boisko do siatkówki. Komitet powitalny – Li'l Tojo plus sześciu innych. Mali Laotańczycy/ moro i buty za

kostki/ niemieckie hełmy z drugiej wojny światowej.

Pete się roześmiał. Chuck wskazał na *wschód* – patrzcie na te krzaki/ zobaczcie ten błysk.

Wayne spojrział. Wayne pochwycił błysk. To Bob. Śmigło nr 1. Ten błysk to promienie odbite od byczego karabinu maszynowego.

Marv-Pilot siadł. Marv-Pilot wyłączył silniki. Tojo zasalutował. Jego goryle stanęły na baczność.

Wyskoczył Tran. Wyskoczył Pete. Wyskoczył Chuck i się potknął. Wyskoczył Marv-Pilot. Marv 3 go podtrzymał.

Wyskoczył Mesplède. Mesplède się potknął. Wyskoczył Wayne i go złapał. Teren opadał. Oto siedmiu Kadrowiczów – naprzeciw Tojo i jego szóstki.

Tran uściskał Toja. Tran odegrał mistrza ceremonii. Tran przedstawił Kadrowiczów – wszystkie nazwiska brzmiały jak *di di*.

Tojo nazywał się Dong. Jego ludzi nie sposób było rozróżnić – sami Dinh/ Minh/ coś tam. Wszyscy się śmiali. Wszyscy się ściskali. Wszyscy mieli broń.

Wayne się rozejrzał. Niewolnicy z więzienia snuli się w pobliżu. Wszyscy mieli tylko przepaski na biodrach. Wszyscy ssali fajki. Opium gwarantowało posłuszeństwo.

Wayne przyjrzał się grającym w siatkówkę Tojokom – po czterech zawodników w drużynie/ zaraz po prawej budynek koszar na trzydziestu chłopów.

Wayne zakaszłał. Kamizelka kuloodporna ciasno go opinała. Rwał mu się oddech. Tran sięgnął do hueya. Tran zaczął wyciągać karabiny. Tojocy zaraz się zjeżyli.

Tran podawał broń – całej Kadrze – po sztuce na głowę. Dong się uśmiechnął. Dong powiedział:

– Nosicie broń. W porządku. Karabiny są okej.

Tran się uśmiechnął. Tran zagadał po wietnamsku. Dong po wietnamsku odpowiedział. Marv 3 przetłumaczył – żółciutką angielszczyzną: „My teraz mieć ładna wycieczka. Potem my mieć lunch. Wszystko okej”.

Dong zagwizdał. Dong coś pokazał. Dong wysłał gdzieś goryla. Goryl pobiegł. Dotarł do koszar. Wrócił. Przywłókł sześć M-1.

Dong się skłonił. Dong rozdał karabiny – wszystkim gorylom/ po jednym na głowę. Dong się uśmiechnął. I zagadał po wietnamsku. Marv 3

przetłumaczył – żółciutką angielszczyzną: „Zaufanie okej. Równość bardziej okej. Lunch na zgodę”.

Dong się skłonił. Tran się skłonił. Dong pokazał: wy przodem. Kadra ruszyła. Tojocy tuż za Kadrą. Dong i Tran szli z tyłu.

Przecięli pola makowe – makówki jak okiem sięgnąć – poletka/ bruzdy/ przejścia pomiędzy nimi. Niewolnicy spulchniali ziemię. Niewolnicy siali. Niewolnicy ścinali makowe pędy.

Nosili spiczaste kapelusze. Nosili kajdany. Nosili kwieciste bokserki. Dziwnie chodzili. Powłóczyli nogami. Kajdany ciasno opinały im piszczele.

To była *dobra* gleba. Wyglądała na mocno wapienną. Wyglądała na taką o niskim pH.

Chodzili. Słońce zatoczyło łuk. Tojocy wlekli się z tyłu. Tojocy zionęli curry. Wayne czuł zapach. Namierzył źródło jakieś trzy metry za sobą.

Tojocy mieli M-1. Tojocy mieli powtarzalną broń – jedna kula/ jeden strzał. Tojocy mieli trzydziestki ósemki w kaburach na biodrze – wolno się stamtąd wyciąga.

Nie tutaj – nie teraz – nie będą próbować.

Wayne rozglądał się na boki. Pete to dostrzegł. Pete mrugnął. Wayne odczytał: „Na twój znak, chłopcze”.

Oni mieli kamizelki kuloodporne. *Oni* mieli lepszą broń. Tojocy mieli ponemieckie hełmy.

Wayne wciągnął powietrze. Kamizelka mu się napięła. Wayne poczuł zapach gulaszu z ryby.

Oto i chata-kantyna. Cała z bambusa. Cztery ściany z liści i patyków. Szerokie wejście.

Wayne rozejrzał się na boki. Wayne mrugnął. Pete odmrugnął. Wayne poszedł pierwszy. Wayne dotarł do chaty. Wayne oparł się o ścianę przy wejściu.

Kadra dołączyła. Wayne się uklonił. Wayne pokazał: panowie przodem. Chłopaki pokręcili głowami. Chłopaki małpowali maniery żółtków. Chłopaki pokazali: my za panem.

Wayne pokręcił głową. Wayne się skłonił. Wayne pokazał: panowie przodem. Chłopaki się śmiali. Chłopaki się trzęśli. Chłopaki zwijali się ze śmiechu.

Dogonili ich Tojocy. Chłopaki się skłonili. Chłopaki pokazali: panowie przodem. Tojocy wzruszyli ramionami. Tojocy stwierdzili: pieprzyć was.

Tojocy weszli bez wahania do środka.

Chłopaki zablokowali wyjście. Chłopaki wycelowali. Chłopaki podziurawili im plecy.

Wayne strzelał z czterdziestki piątki. Pete strzelał z pompki. Kule i śrut śmigwały. Jazgot wśród czterech ścian – odpowiedź ogniem/ poparzenia od prochu/ huk z luf.

Chuck strzelał. Marv 3 strzelał – opróżniał całe magazynki. Mesplède się potknął. Mesplède strzelał. Kule rykoszetowały.

Pete oberwał. Pete upadł. Pete'owi zapaliła się kamizelka. Wayne oberwał. Wayne upadł. Wayne'owi pękła i zapaliła się kamizelka.

Pete się tarzał. Wayne się tarzał. Ziemia zgasła płomienie. Odrzut i echo strzałów. Wszędzie rykoszety.

Wayne ujrzał tryskającą krew. Wayne ujrzał wielkie kotły. Wayne ujrzał ryby w krwawym sosie.

Usłyszał warkot karabinu maszynowego – daleko – Bob R. na trzeciej godzinie. Przetoczył się. Zdarł kamizelkę. Ściągnął koszulę.

A oto i Dong.

Biegnie. Tran go goni. Tran łapie za włosy. Tran rzuca na ziemię. Tran macha nożem. Tran kołysze jego głową.

Wayne zamknął oczy. Ktoś nim potrząsnął. Ktoś go mocno szarpnął w górę.

Otworzył oczy. Pete powiedział:

– Zdałeś.

63

(Sajgon, 11 listopada 1964)

Stanton powiedział:

– Spieprzyłeś robotę.

W barze Go-Go panowała martwota. Przez piezzonego mnicha interes padł.

Pete zapalił papierosa.

– Nie miałem ochoty na negocjacje. Tran mnie poparł, więc improwizowaliśmy.

– „Improwizacja” niczego nie tłumaczy. Studiowałem na Yale z ojcem Prestona Chaffee’ego, a teraz on nawet nie będzie mógł pochować swego syna.

Pete wydmuchiwał kółka z dymu.

– Upiecz jakiegoś mnicha i wyślij go w worku na zwłoki. Nie zauważą różnicy.

Stanton walnął pięścią w stół. Stanton kopnął krzesło. To obudziło Bonga. Obudziło dwie dziwki. Obróciły się na stołkach. Popatrzyły. Obróciły się z powrotem.

– Spieprzona robota to jedno, a druga rzecz to pieniądze. Będę teraz musiał zapłacić jakimś gościom z Can Lao, żeby pojechali do Laosu i pilnowali pól, które ty ukradłeś, i zastąpili strażników, których ty zabi...

Pete walnął pięścią w stół. Pete kopnął krzesło.

– Tran miał napalm. Chuck i Bob Relyea polecili tam i zrzucili go zeszłej nocy. Spalili koszary i chaty dowódców w dwóch obozach sąsiadujących z obozem Donga. Oszczędzili za to wytwórnie i więzienia, więc powiedz mi, o co, kurwa, tyle hałasu.

Stanton założył nogę na nogę.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Chcę powiedzieć, że jesteśmy teraz właścicielami *jedynych trzech farm makowych* na południe od Ba Na Key. Chcę powiedzieć, że mamy na

wszystkich trzech plantacjach gotowych do roboty niewolników. Chcę powiedzieć, że Tran zna kilku chińskich chemików, którym moglibyśmy zlecić przygotowywanie bazy morfinowej dla Wayne'a. Chcę powiedzieć, że wszystkie trzy farmy są, kurwa, praktycznie niedostępne dzięki lasom, górcom i rzece, a od ciebie potrzeba mi tylko kilku żywych dusz, które nadzorowałyby niewolników i pracowały pod komendą Kadry w Laosie.

Stanton westchnął.

– Żywe dusze kosztują.

– Marvi pracują za półdarmo. Bob mówił, że co dzień spierdalają z armii całymi setkami.

– Zapominasz o jednym. Z kasą wiadomo jak jest, a nasza operacja jest ściśle tajna. Rozliczam się przed kolegami z Agencji, a teraz będę musiał im powiedzieć, że koszty twojej eskapady pokryjemy z czterdzieści pięć procent udziału w zyskach, jaki mieliśmy przeznaczyć na Sprawę.

Pete pokręcił głową.

– Na Sprawę idzie sześćdziesiąt pięć procent. Sam mi to powiedziałeś.

Stanton pokręcił głową.

– Za dużo łap wyciąga się po gotówkę. Szef ARVN usłyszał o twojej małej przygodzie i podniósł opłatę za każdy środek transportu i każdego człowieka, którego da nam do dyspozycji.

Pete kopnął krzesło. Krzesło uderzyło w bar. Dziwki znów się ocknęły. Dziwki pokręciły palcami i stuknęły się w skroń. Poruszyły ustami: waaaaliat.

Stanton się uśmiechnął:

– Posłuchajmy jakichś dobrych wiadomości.

Pete się uśmiechnął.

– Przywieźliśmy z Laosu dziesięć kilo bazy morfinowej. Wayne na niej teraz ekperymentuje.

– Niepotrzebnie narażaliście go podczas tej wyprawy. To jedyny chemik od heroiny, jakiego mamy.

– Musiałem sprawdzić, na co go stać. To już się więcej nie pow...

– Co jeszcze? Rozmawiałeś z Litt...

– Spokojna głowa. Drakula dał mu sto kawałków na sprzęt. Pieniądze przylecą razem z pocztą kurierską w południe.

Stanton się uśmiechnął.

– To znaczy...

– Zgadza się. Zdobył dla nas Nellis. Za pięć kawałków miesięcznie. Niewielki to koszt w porównaniu z tym, co możemy zyskać.

Stanton zakaszłał.

– Znalazłeś już źródło?

– Bob znalazł. Jakiegoś typka z Bao Loc. Ma zadekowane trochę amerykańskiego sprzętu wydartego z powrotem Vietcongom.

– Nie oszczędzaj na tym. Postaraj się, niech Hughes i Siły Powietrzne dadzą się tu dobrze zapamiętać.

– Nie musisz mi tego mówić.

– Nie jestem taki pewien.

– *Bądź* pewien. Obu nam na tym zależy z tego samego powodu.

Stanton się nachylił.

– Jesteśmy teraz *tutaj*. Nie na Kubie. Będziemy mieli znacznie lepsze krycie w przyszłym roku, gdy rozpoczną się przygotowania do wojny.

Pete się rozejrzył. Dziewki popatrzyły: ti waaaaliat.

– Masz rację. Zresztą byłem już w gorszych miejscach.

Bao Loc leżało na północy. Dziewięćdziesiąt cztery kilosy. Jechali tam limuzyną.

Zamówił ją Mesplède. Chuck i Flash rozwalili się na siedzeniach. Samolot z pocztą kurierską wylądował wcześniej. Drak wyskoczył z kasy. Ward tę kasę dostarczył.

Używane banknoty – same setki – całe sto tysięcy.

Pete się rozwalił. Pete wpatrywał się w wiejski krajobraz za szybą.

Dzwonił do Warda. Rozmawiali na linii Sajgon–Las Vegas. Ward go zrugął. Ward zrugął go za narkotyki.

Migawka z przeszłości, sprzed dziesięciu miesięcy – Ward *kocha* herę. Ward wychwala herę podczas Szczytu. Hera to kasa. Hera to szczęście Draka. Hera to wyciszone czarnuchy.

Migawka z teraźniejszości – Ward się wkurza – Ward ma swoje *ideały*. Hera to zło. Hera to głupota. Hera to ryzyko. Nie stawaj z nią na przeszkodzie moim planom z księgami Funduszu. Nie stawaj na przeszkodzie przejęciu Las Vegas przez Draka.

Ward jak to Ward. Łatwo się wkurzał. Ward utopił w rynsztoku swoją wiarę w Boga.

Kazał Wardowi odwiedzić Barb. Kazał Wardowi obserwować Tygrysa.

Sprawdź dyspozytornię/ śledź taksówki/ egzekwuj zakaz handlu pigułami...

Pete ziewnął. Limuzyną zarzuciło. Tylne koła bryzgnęły błotem. Mesplède włączył radio. Chuck i Flash tylko się gapili. Patrzcie na te rzeki. Patrzcie na zatoczki. Patrzcie na sampany. Patrzcie, jak te słodkie, urocze żółtki truchleją.

Chuck zachwycał się Laosem. Mesplède mówił, że napalm świeci. Tran mówił, że widział białego tygrysa. Oto nasz teren – cały płaskowyż Bolaven.

Trzy makowe farmy. Rzeka Set. Wielkie ślady tygrysich łap.

Był tam teraz Guéry. Był tam teraz Tran. Dowodził uszczuploną załogą. Sześciu goryli na trzy obozy – niewolnicy: hulaj dusza.

Niewolnicy przeżyli bombardowanie. Starzy goryle się usmażyli. Wytwórnice pozostały nietknięte. Tran znał ewentualnych chemików. Tran znał wśród Marwów ewentualnych strażników. Tran znał geografie. Tran powiedział: „Ty cwany. Ty najechać na Bolaven. Nie najeżdżać na północ Ba Na Key – tam blisko VC – rodowe farmy *bu-kuu*. Farmy rodu Hmong. Ciężkie. Tam niewolniki nie – Hmong pracują *en famille*. Oni walczyć. Oni się nie chować. Oni się nie cackać”.

Radio ryknęło – posrana kakofonia – Mesplède kochał czarny jazz. Szosa była kręta. Dotarli do Tran Phu. Bao Loc – dwa kilometry.

Skęcili w prawo. Mijali krosna z jedwabiem. Mijali plantacje kauczukowców. Przecięli rzekę Seoi Tua Ha. Mijali grupy żebraków. Mesplède rzucał miejscowe drobniaki. Żebracy rzucali się na kolana. Żebracy gryźli się i drapali.

Minęli graniczną budkę. Minęli kilka plantacji herbaty. Minęli kilku żółtych księży na motorowerach.

Jest Bob. Jest skład sprzętu ARVN.

Proszę bardzo:

Wartownicy ARVN. Korpus K-9. Hałdy karabinów pod płachtami – wszystko gotowe do przeprowadzenia transakcji.

Zatrzymali się. Wysiedli. Zobaczył ich Bob. Bob przyprowadził swojego człowieka.

– To jest François. Jest pół-Francuzem i zdaje mi się, że lubi chłopców, co wcale nie umniejsza wartości kapitalnego towaru, który ma na sprzedaż.

François miał na sobie piżamę z różowego jedwabiu. François miał papiloty we włosach. François pachniał Chanel N°5.

Chuck zaczął się z nim drażnić.

– Hej, słodziutki, czyśmy się już kiedyś nie spotkali? Czy nie wpisałeś mi się do karneciku na jednym z *takich* bali?

François powiedział:

– Wał się. Ty cienki cieć. Ty amerykański śmieć nr 10.

Chuck ryknął śmiechem. Flash zarechotał. Mesplède zawył. Pete wziął Boba na stronę.

– Co tu mamy?

– Mamy RKM-y kaliber .50, mamy od pyty CKM-ów, miotacze płomieni M-132 z częściami zapasowymi, mamy pistolety maszynowe kaliber .45 z magazynkiem na trzydzieści nabojów, mamy całe pierdolone stosy M-14 i trzydzieści cztery granatniki M-79.

Pete się obejrzał. Pete zobaczył sześć hałd – pękatych pod narzuconymi płachtami.

– Planujesz sześć transportów?

– Planuję sześć *wielkich* transportów, bo za każdym stosem są jeszcze dwa takie same, a poza tym musimy rozłożyć wszystko w czasie, uwzględniając przesyłki z laboratorium Wayne’a.

Pete zapalił papierosa.

– Co z jakością?

– Nieco poniżej standardów armii amerykańskiej, co idealnie nam pasuje, bo można to dzięki temu zaliczyć do nadwyżek i uniknąć problemów w Nellis.

Pete podszedł i pościągał płachty. Pete poczuł zapach smaru. Drewniane skrzynki/ przybite klapy/ naniesione szablonami oznaczenia.

Podszedł Bob.

– Wszystko poleci do Nellis, zgadza się? Jakiś rekrut to rozładuje i zawiezie w miejsce wyznaczone przez Agencję.

– Zgadza się. Nie będzie wiedział, co tam ukryliśmy, więc na wszelki wypadek towar musi podróżować z czymś, czego nie będą chcieli zwędzić.

Bob podrapał się po jajach.

– Części zapasowe do miotaczy płomieni. Muszę powiedzieć, że nie ma na nie zbytniego popytu na czarnym rynku.

Pete skinął głową. Pete zagwizdał. Pete kiwnął na Mesplède’a. Mesplède dorwał François i zaczął się handel.

Mesplède się targował. François się targował. Mesplède nie popuszczał. Rozmawiali jak poligłoci – francuszczyzna z wietnamszczyzną – dwugłoski

i krzyki.

Pete podszedł. Pete słuchał. Pete wyczuł *bonnes affaires*⁴¹. Pete usłyszał azjatyckie tam-tamy. Pete wyczuł dialekt z Lyonu.

François przewracał oczami. François tupał nogą. François przepocił różowe jedwabie. Mesplède przewracał oczami. Mesplède zaciskał pięści. Mesplède wypalił trzy gauloisy. François zachrypł. Mesplède zachrypł. Zakaszleli. Pokleпали się po plecach. Złożyli ukłony.

François powiedział:

– Okej, wielki men.

Ruszyli z powrotem. Pieprzyli po drodze o niczym. Przejechali przez Bien Hoa. Dziesięć dni wcześniej uderzył tu Vietcong – móździerze przed świtem.

Podjechali bliżej. Ujrzeni bałagan i flagi w połowie masztów.

Zawrócili. Śmiali się. Żłopali bacardi. Snuli opowieści – od Paragwaju po Zatokę Świń – nabijali się z wpadek CIA.

Jest rok 1962. Oskubmy Brodacza. Zróbmy z niego impotentą. Nasypmy prochów do kubańskiej wody. Zafundujmy kubańcom wielki haj. Zainscenizujmy wizytę Chrystusa.

Śmiali się. Pili. Przysięgali uwolnić Kubę. Zatrzymali się i wpadli do Go-Go.

Oto i Wayne. Siedzi sam – jak zwykle. Nabzdyczony – jak zawsze. Obserwuje Bonga i jego dziewczyny.

64

(Las Vegas, 22 listopada 1964)

Minął rok.

On to wiedział. Wiedziała to Jane. Żadne z nich tego nie *powiedziało*.

Littell pojechał do Taxi Tygrys. Littell włączył radio. Radiowi eksperci analizowali. Jeden dureń skupił się na Jackie. Drugi dureń skupił się na dzieciach. Trzeci dureń skupił się na utraconej niewinności.

Jane przyjechała do Las Vegas. Jane się zaszyła. Jane nie wychodziła z apartamentu. Nazwali to „Świętem Dziękczynienia”. Zbieżność dat. Nie wzięli tego pod uwagę.

Sprawę odgrzały gazety. Sprawę odgrzała telewizja. Odgrzewała ją przez cały dzień. Wyszedł wcześniej. Jane go pocałowała. Jane włączyła telewizor. Wrócił późno. Jane go pocałowała. Jane wyłączyła telewizor.

Rozmawiali. Unikali tematu. Zajmowała ich proza życia. Jane była zła. Ściągnął ją do Vegas. Ściągnął ją – PO CO?

Powiedział, że musi się czymś zająć. Pocałował Jane i wyszedł. Usłyszał, jak Jane włącza telewizor.

Littell wyłączył radio. Littell przejechał obok Taxi Tygrys. Littell zatrzymał się po drugiej stronie ulicy.

Zaparkował. Obserwował dyspozytornię. Zobaczył Barb B. Oto Barb w barowym stroju – obcasy wyniosły ją na ponad metr osiemdziesiąt.

Milt Chargin przedstawiał jakiś skecz. Barb się śmiała. Barb wzięła paczkę. Barb złapała wyjeżdżającą taksówkę. Tygrysie pasy – zachodnie Miami – wszystkie drogi prowadzą na Kubę.

Littell obserwował dyspozytornię. Kierowcy wchodzili i wychodzili – afektowane sługusy tolerancyjnego Pete’a. Pete kolekcjonował przybłędy. Pete przymykał oczy na ich wady. Pete lubił różnorodność. Pete mówił, że nawiedza go Betty. Mówił, że liczy dni i godziny od jej śmierci.

Wracaj najdalej za dwie godziny – nie niszczy czegoś tylko dlatego, że nie umiesz nad tym zapanować.

Littell obserwował dyspozytornię. Ruszyła taksówka. Littell pojechał za nią. Taksówka kierowała się na zachód. Littell trzymał się blisko. Wjechali do zachodniego LV.

Taksówka stanęła – skrzyżowanie Monroe i J – wsiadło dwóch gości. Taksówka ruszyła. Littell trzymał się blisko. Dotarli do drogi do Tonopah.

Taksówka stanęła. Goście wysiedli. Goście weszli do Moulin Rouge. Taksówka ruszyła. Littell trzymał się blisko. Wrócili prosto do Taxi Tygrys.

Wiadomość dla Pete'a: zero handlu pigułkami/ zero podejrzeń o zdradę.

Littell ziewnął. Littell poczuł mdłości. Nie zjadł kolacji. Jane zrobiła kapitalne żeberka. Gotowała przez cały dzień. Jednocześnie oglądała telewizję.

Wyłgał się od kolacji. Wyszedł. Wymyślił „coś do załatwienia”.

Littell zmieniał stacje radiowe. Littell złapał największe hity Jacka: „Nie pytaj” i „*Ich bin ein Berliner*”. Pałeczka przekazana nowemu pokoleniu i inne.

Ściszył. Pojechał do Sahary. W barze panował ścisk. Stał w pobliżu sceny. Patrzył na Barb z bliska.

Barb śpiewała *Sugar Shack*. Barb zaryczała crescendo. Dostrzegła go. Pomachała. Zrobiła: „ups”.

Była kiepska. Wiedziała o tym. Miała z tego ubaw. Zgrywała się. Nabijała z czasów, kiedy robiła za panienkę do towarzystwa.

Faceci ją uwielbiali. Miała ubaw ze swego wzrostu. Zgrywała się i stawała tak, jakby miała iksowate nogi. Była kiedyś w więzieniu. Grała wobec facetów, którzy o tym wiedzieli.

Barbarzyńcy się skłonili. Barb zeskoczyła ze sceny. Obcas jej utknął. Zachwiała się. Littell ją złapał. Poczuł jej tętno. Poczuł zapach jej mydła. Poczuł zapach potu.

Podeszli do baru. Zajęli pobliski stolik. Littell siedział przodem do telewizora.

Barb zapaliła papierosa.

– To pomysł Pete'a, co? Żebyś mnie odwiedził.

– W pewnym sensie.

– W jakim sensie?

– Zabijam czas. Pomyślałem, że pozabijam go z tobą.

Barb się uśmiechnęła.

– Ja na jego nadmiar nie narzekam. Mam czterdzieści minut.

Obraz w telewizorze skakał. Jack – Największe Hity – odgrzewanie. W Paryżu z Jackie. Na meczu futbolowym. Zabawy z dziećmi.

Barb się obejrzała. Barb spojrziała w TV. Barb spojrziała Littellowi prosto w oczy.

– Nie sposób od tego uciec.

Littell się uśmiechnął.

– Niektórzy z nas próbują.

– Rozmyślasz o tym?

– Od czasu do czasu.

– Ja nie rozmyślam, dopóki coś mi się nie przypomni. A wtedy się boję.

Littell zerknął na ekran. Jack i Bobby się śmiali. Zjawiała się kelnerka. Barb ją spławiła.

– Pete nigdy o tym nie mówi.

– Bo my jesteśmy przydatni. Pete wie, że wszystko się do tego sprowadza.

Barb odpaliła papierosa od papierosa.

– Wayne też wie. Domyśliłam się tego.

– Wypytywałaś go?

– Nie. Po prostu dodałam dwa do dwóch.

Littell się uśmiechnął.

– Kocha się w tobie.

Barb się uśmiechnęła.

– Niegroźnie.

– A my jesteśmy przydatni. Powtarzaj to sobie, kiedy następnym razem coś ci się przypomni.

Barb zgasila papierosa. Sparzyła sobie przy tym dłoń. Wzdrygnęła się i przycisnęła ją do siebie. Powiedziała:

– Cholera.

Littell spojrzal jej w oczy. Littell zobaczył zwężone źrenice – nerwówka na amfetaminowym głodzie.

Barb zapaliła papierosa. Littell spojrzal w TV. Jack się śmiał. Jack siał tę Swoją Magię.

Barb powiedziała:

– I Jane wie.

Littell się wzdrygnął.

– Nigdy jej nie poznałaś. A Pete chyba nie...

– Nic mi nie mówił. Słyszałam tylko, jak szepczecie coś tajemniczo,

i dodałam dwa do dwóch.

Littell pokręcił głową.

– Została w hotelu. Teraz pewnie się gryzie.

– Rozmawiacie o tym?

– Rozmawiamy *dookoła* tego.

– Czy ona się boi?

– Tak, bo wie, kto to zrobił, a nie istnieje żaden sposób, by mogła być przydatna.

Barb się uśmiechnęła. Jakby analizowała słowo „przydatność”.

– Dostałam list od Pete’a. Pisze, że dobrze mu idzie.

– Wiesz, co tam robi?

– Tak.

– Jesteś w stanie się z tym pogodzić?

Barb pokręciła głową.

– Podoba mi się, że jest przydatny, a o reszcie wolę nie myśleć.

– O tym, że grabiony jest jeden naród po to, by wolność zyskał inny?

Barb ścisnęła mu dłoń.

– *Przestań*. Nie zapominaj, co *sam* robisz i z kim rozmawiasz.

Littell się roześmiał.

– Chcesz mi powiedzieć, że pragniesz jedynie, aby był szczęśliwy?

Barb się zaśmiała.

– Powiedzmy, że chcę wolności dla Kuby.

Weszła Janice Tedrow. Littell ją spostrzegł. I zaczął się przyglądać. Barb przyglądała się, jak on się przygląda.

Janice go dostrzegła. Janice pomachała. Janice zajęła stolik na uboczu. Zamówiła drinka. Siedziała twarzą do telewizora. Oglądała Jacka i Bobby’ego.

Barb powiedziała:

– Rumienisz się.

– Nieprawda. Mam pięćdziesiąt jeden lat.

– *Rumienisz się*. Jestem ruda i znam się na rumieńcach.

Littell się zaśmiał. Barb podciągnęła mu rękaw. Barb spojrzała na jego zegarek.

– Muszę iść.

– Powiem Pete’owi, że u ciebie wszystko okej.

– Powiedz mu, że jestem „przydatna”.

– On już to wie.

Barb się uśmiechnęła. I odeszła. Na iksowatych nogach. Mężczyźni się poruszyli. Mężczyźni na nią patrzyli. Littell patrzył w telewizor.

Oto Bobby i Jackie. Oto Jack w Senacie. Oto przeminiona słodycz Fitzgeraldów.

Littell zgłodniał. Littell zamówił kolację – wyborne żeberka, których nie zjadł z Jane. Kelnerka poddała się hipnozie Jacka. Kelnerka ślęczała przed telewizorem.

Littell jadł. Littell patrzył na Janice. Janice patrzyła w telewizor. Sączyła whisky. Palila papierosy. Kręciła swoją laską. *Nie wiedziała*. Wayne Senior jej nie powiedział. Znał go już na tyle dobrze, by to wiedzieć.

Obejrzała się. Ujrzała go, jak patrzy. Wstała. Podeszła, podpierając się laską.

Wypychała jedno biodro. Stawiała laskę. Kuśtykała *con brio*. Littell wysunął krzesło. Janice złapała papierosy Barb.

– Ta ruda śpiewała na moim przyjęciu gwiazdkowym.

– Tak, jest artystką estradową.

Janice zapaliła papierosa.

– Nie sypiasz z nią. To było widać.

Littell się uśmiechnął. Littell zakręcił jej laską.

Janice się zaśmiała.

– Przestań. Kogoś mi przypominasz.

Littell zgniół serwetkę.

– Potraktował cię tą swoją pałką.

Janice zakręciła laską.

– To była część umowy rozwodowej. Jeden milion bez bicia, dwa z biciem.

Littell wziął łyk kawy.

– Mówisz mi rzeczy, o które nawet nie pytałem.

– Nienawidzisz go tak samo jak ja. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć.

– Dowiedział się o generale Kinmanie?

Janice się zaśmiała.

– Clark nie stanowił dla niego problemu. Poszło o pewnego młodego człowieka.

– Było warto?

– Było. Gdybym nie porwała się na coś drastycznego, utknęłabym tam na

zawsze.

Littell się uśmiechnął.

– Myślałem, że odsiadujesz tam dożywocie.

– Siedemnaście lat to aż nadto. Kochałam jego pieniądze i w jakimś sensie jego styl, ale przestało mi to wystarczać.

Littell zakręcił laską.

– A ten młody człowiek?

– Młody człowiek to twój dawny klient, który obecnie podżega do konfliktu zbrojnego w Wietnamie.

Littell upuścił laskę. Janice ją podniosła.

– Nie wiedziałaś?

– Nie.

– Jesteś wstrząśnięty?

– Trudno mną wstrząsnąć, za to czasem łatwo mnie rozbawić.

Janice ścisnęła mu dłonie.

– I masz blizny na twarzy, które przypominają mi tę zajęczą wargę, którą się chwilowo szczycę.

– To guru Wayne'a je tam umieścił. Teraz jest moim najbliższym przyjacielem.

– To mąż tej rudej. Wayne mi powiedział.

Littell się oparł.

– Nie grywasz w golfa. Wypatrywałem ciebie...

– Uczę się chodzić. Nie zamierzam pokonywać osiemnastu dołków, podpierając się laską.

– Lubiłem patrzeć, jak grasz. Pod tym kątem ustalałem sobie nawet przerwy w pracy.

Janice się uśmiechnęła.

– Dlatego wynajęłam domek na polu przy Sands. Twój widok mnie zainspirował.

– Pochlebiasz mi. I masz rację, widok czasem naprawdę wiele znaczy.

Janice wstała.

– Domek jest przy pierwszym dołku. Taki z niebieskimi okiennicami.

Littell wstał. Janice mrugnęła i odeszła. Pomachała. Upuściła laskę i tak ją tam zostawiła. Kuśtykała *molto con brio*.

Oglądał występ Barb. Stał przy scenie. Zabijał czas. Migał się przed pójściem

do łóżka z Jane. Snuł plany podróży.

Polecę do LA. Ty wróc samochodem. Spotkamy się na miejscu.

Pojechał do domu. Światła się paliły. Jane wciąż nie spała. Telewizor grał. Jakiś spiker bez końca opłakiwał Jacka.

Littell go wyłączył.

– Muszę jutro lecieć do LA. Wyjdę bardzo wcześnie.

Jane zakręciła popielniczką.

– To bardzo nagły wyjazd, a do tego zbliża się Święto Dziękczynienia.

– Mogłaś jednak przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu. Tak by było lepiej.

– Chciałeś, żebym przyjechała, więc jestem. A teraz sam wyjeżdżasz.

Littell pokiwał głową.

– Wiem i przykro mi.

– Chciałeś się przekonać, czy przyjadę. Sprawdzałeś mnie. Złamałeś jedną z zasad, które razem ustaliliśmy, i teraz ja jestem uwięziona w tym apartamencie.

Littell pokręcił głową.

– Mogłabyś pójść czasem na spacer. Mogłabyś wziąć lekcję golfa. Mogłabyś poczytać, zamiast gapić się w telewizor przez szesnaście pieprzonych godzin na dobę.

Jane cisnęła popielniczką. Trafiła w telewizor.

– W taką rocznicę niby jak mam robić cokolwiek innego?

– W taką rocznicę moglibyśmy o tym porozmawiać. W taką rocznicę moglibyśmy trochę nagiąć zasady. W taką rocznicę mogłabyś się poddać i wyjawić mi kilka swoich cholernych sekretów.

Jane cisnęła filiżanką. Trafiła w telewizor.

– Nosisz broń. Nosisz teczkę pełną pieniędzy. Latasz po całym kraju na spotkania z gangsterami, słuchasz nagrań Roberta Kennedy’ego, kiedy wydaje ci się, że śpię – i to *ja* mam sekrety?

Spali osobno.

Pozbierał jej niedopałki. Spakował swoją walizkę. Spakował teczkę. Spakował trzy garnitury. Spakował wnioski o apelację i pieniądze – dziesięć kawałków w gotówce.

Posłał sobie na kanapie. Wyciągnął się. Próbował zasnąć. Myślał o Janice. Myślał o Barb. Myślał o Jane.

Próbował zasnąć. Myślał o Barb. Myślał o Janice.

Wstał. Wyczyścił broń. Wziął się za czasopisma. W „Harper’s” był artykuł – jak to pan Hoover rozrabia.

Wygłosił mowę. Wywołał wzburzenie. Atakował doktora Kinga. Niepokoił. Przerazał. Siał nienawiść.

Littell wyłączył światło. Liczył przychody. Procenty z odciągania i defraudacji – dziesięcina na prawa obywatelskie.

Próbował zasnąć. Myślał o Jane. Liczył jej kłamstwa. Stracił rachubę. Powróciły obrazy.

Barb idzie na iksowatych nogach. Janice wymachuje laską. Janice się uśmiecha. Janice kuśtyka. Janice rzuca laskę.

Wstał. Ubrał się. Pojechał na lotnisko McCarrana. Zobaczył reklamę papierosów Kool Menthol – same kostiumy kąpielowe i słońce.

Obejrzał się. Cofnął. Pojechał do Sands. Zaparkował. Przejrzał się w lusterku wstecznym.

Ruszył na pole golfowe. Znalazł domek i zapukał. Janice otworzyła.

Zobaczyła go. Uśmiechnęła się. Zaczęła ściągać papiloty.

65

(Sajgon, 28 listopada 1964)

Heroina – temat jego pracy dyplomowej.

Wayne zmieszał bazę morfinową z amoniakiem. Wayne pracował przy trzech palnikach. Wayne zagotował trzy kilo. Wydzieliła się substancja.

Wayne opróżnił zlewki z amoniaku. Wayne je wyczyścił. Wayne osuszył uzyskaną substancję.

Okej: krok nr 8.

Zmarnował już dwadzieścia próbek. Niewłaściwie filtrował. Zawalał cały proces. Uczył się. Posuwał krok po kroku. Wylewał organiczne odpady.

Pete przesunął datę transportu. Pete dał mu czas na naukę.

Wayne zagrzał wodę. Wayne zmierzył temperaturę. Okej: 83°C.

Zdjął z ognia. Wlał bezwodnik kwasu octowego. Napełnił trzy kadzie. Podgrzał. Okej.

Temperatura: 83°C.

Odważył M-bazę. Pokruszył. Dodał. Zamieszał. Uzyskał wygląd. Uzyskał zapach – ocet i suszone śliwki.

Pociągnął nosem. Zapiekły go śluzówki. Wyglądało nieźle – dobre wiązania – dobry czas reakcji.

Okej: krok nr 9 – diacetylmorfina/nieoczyszczona.

Wayne kichnął. Wayne potarł oczy. Wayne podrapał się po nosie.

Mieszkał w laboratorium. Pracował w laboratorium. Wdychał żrące odczynniki. Nabawiał się alergii. Kadra się nie pojawiała. On też jej unikał. Unikał Chucka i Boba.

Nękali go. Mówili: „Wstąp do Klanu”. Mówili: „Nienawidź czarnych”. Mówili: „Nienawidź, tak jak my”.

On miał własną nienawiść. Oni nie WIEDZIELI.

Mieszkał w laboratorium. Przesypiał dni. Pracował nocami. Dzielne hałasy go rozpraszały. Docierał warkot motorowerów i monotonne recytacje z zewnątrz. Docierał propagandowy bełkot.

Przesypiał to. Co wieczór mógł liczyć na pobudkę – salwy z pocisków smugowych o szóstej.

Nocne hałasy go nie rozpraszały. Brzęczała szafa grająca na dole. Kominami wentylacyjnymi płynęła muzyka.

Pracował nad herą. Budował regały. Przeglądał gazety. Porównywał wycinki. Dziennik z Dallas i dziennik z Vegas – docierające tu z tygodniowym opóźnieniem.

Gazeta z Dallas trąbiła o rocznicy. Gazeta z Dallas trąbiła o dawnych sprawach. Wielkie artykuły i krótkie wzmianki – zupełnie „bez związku”. Gdzie jest Maynard Moore? Gdzie się podział Wendell Durfee?

Wayne sprawdził wynik kroku nr 9. Proszę – właściwy zapach/ właściwe pieczenie/ właściwa masa. Odczynniki strącające – widoczne – bezdiacetylowa masa.

Wayne pracował sam. Wayne pracował jako pomocnik Kadry. Kadra była w Laosie. Kadra była zapracowana.

Ich nalot bombowy wybił strażników na farmach. Potrzebowali nowych. Stanton kazał Pete’owi zatrudnić Marvów. Służący w armii Marvi byli drodzy. Tran zatrudnił dezertersów – Marvów i Vietcongów.

Czterdziestu dwóch strażników/ osiemnastu Marvów/ dwudziestu czterech VC.

Pracowali ciężko. Pracowali tanio. Przekrzykiwali się ze swoimi poglądami: Ho kontra Khanh/ Północ kontra Południe/ Mao kontra LBJ.

Pete się wkurzył. Pete ustanowił regulamin. Pete posegregował załogi strażnicze. Pete przesyłał wiadomości – z Saravanu do Sajgonu – samolotami CIA – bu-kuu.

Pete chwalił Kadre. Pete chwalił Trana. Pete przekazał mu pogłoskę: premierowi zachciało się zagrać pod publikę. Premier zarządził „zmianę polityki”.

Istnieć już dużo palarni opium. Wkrótce przybyć dużo amerykańskich żołnierzy – koncentracja wojsk bu-kuu. Palarnie wielkie. Palarnie złe. Moja polityka wobec palarni wymagać zmian.

Stanton tego nie kupował. Stanton powiedział, że zna premiera. Rzeczony premier to marionetka, za której sznurki pociągają pieniądze. Rzeczony premier nakładał na palarnie podatki – bu-kuu.

Zachodnie Vegas czekało w gotowości. Milt Chargin tak mówił Pete’owi. Pete szepnął słówko Wayne’owi. Milt ścigał handlarzy pigułami. Milt

kablował Dwightowi Holly'emu. Holly przekazywał dane swoim fedziom. Zachodnie LV było na głodzie. Kanał przerzutowy czekał. Wayne obiecał towar:

Heroina – stopień czystości 4 – gotowa na 9.01.1965.

Wayne sprawdził godzinę. Wayne sprawdził kadzie. Odmierzył węglan sodu. Odmierzył chloroform. Napełnił trzy menzurki.

Zamknął laboratorium. Zszedł na dół. W palarni było ciemno. W palarni było pełno. Jakiś Chińczyk sprzedawał kwas. Chińczyk czyścił fajki. Chińczyk sprzątał walające się gówna.

Wayne zatkał nos. Wayne wszedł, świecąc latarką.

Mijał barłogi. Potykał się o sienniki. Kopał miski z sikami. Ćpuny się wierciły. Ćpuny się kuliły. Ćpuny wierzgały.

Bombardował światłem ich oczy. Bombardował ich ręce. Bombardował ślady po igle. Ślady na rękach/ ślady na nogach/ ślady na członkach/ stare ślady/ ślady po *nieudanych* wkłuciach.

Powietrze cuchnęło dymem i sikami. Światło płoszyło szczury. Wayne szedł. Wayne niósł taśmę. Wayne zaznaczył osiem barłogów.

Świecił po oczach. Świecił po rękach. Światło padło na trupa. Dobrały się do niego szczury. Szczury wygryzły mu krocze. Szczury pluskały się w wiadrach z gównem. Szczury zajęły całą podłogę.

Wayne szedł. Wayne sprawdził posłanie Bonga.

Bongo chrapał. Bongo spał z dwiema dziwkami. Bongo miał puchowe poduszki i jedwabną pościel.

Wayne poświecił mu w oczy. Bongo spał dalej. Wayne wyobraził go sobie z twarzą Wendella Durfee'ego.

Udało się. Stało się. Wyszło. Zrobił to – wyprodukował heroinę.

Gotował cały dzień. Filtrował. Pracował nad węglanami. Oczyszczał. Rafinował. Mieszał z węglem i alkoholem.

Osiągnął stopień nr 3 – sześć procent czystości.

Zszedł na dół.

Wybrał trzech ćpunów. Załadował im fajki. Palili nr 3. Rzygali. Odlatywali. Fruwali po orbicie.

Wrócił. Wziął eter. Wziął kwas solny. Rozpuścił nr 3. Doprawił. Domieszał kwas i eter.

Pracował całą noc. Czekał. Oglądał fajerwerki z pocisków smugowych.

Filtrował. Osuszał. Otrzymał płatki odczynnika strącającego i otrzymał to:

Heroinę – stopień nr 4 – dziewięćdziesiąt sześć procent czystości.

Zmieszał z cukrem. Rozpuścił. Podzielił. Przygotował osiem strzykawek. Przygotował osiem tamponów. Przygotował osiem ekstra strzałów.

Ziewnął. Uderzył w kimę. Spał bitych dziewięć godzin.

Dwóch Marwów eskorty. Dwóch Marwów wprowadziło ich do środka. Śmierdzieli. Ich odór był gorszy niż smród amoniaku. Ich odór był gorszy niż smród węglanów.

Wayne uchylił okno. Wayne zmierzył im źrenice. Marvi paplali żółtą angielszczyzną:

Zbliżyć porządki – zbliżyć koncentracja – porządki dać dużo dobre.

Wayne przygotował osiem strzałów. Wayne założył osiem igieł.

Dwóch ćpunów nawiało. Czterech się wyszczerzyło. Dwóch napompowało sobie żyły.

Marvi złapali uciekinierów. Marvi napompowali im żyły. Wayne założył opaski. Wayne dał im po strzale. Zesztywnieli. Zaczęli się trząść. Wayne poświecił latarką po oczach. Źrenice im się skurczyły. Były jak główki od szpilek.

Pokiwali głowami. Zatoczyli się. Porzygali się. Zapaskudzili zlew. Ogarnął ich bezwład. Byli jak zombie.

Runęli na brzuch. Odlecieli. Marvi trzymali pozostałych sześciu. Marvi dobrze ich przygotowali.

Tamponami przetarli skórę. Zacisnęli opaski. Napompowali żyły. Wayne dał po strzale całej szóstce.

Wszyscy zesztywnieli. Zaczęli się trząść. Zarzygali zlew. Odlecieli.

Marvi mieli radochę. Marvi paplali żółtą angielszczyzną.

Przyjeżdżać dygnitarze – to znaczyć dużo pieniądze – porządki dobra rzecz.

Ćpuny się słaniały. Ćpuny na siebie wpadały. Ćpuny się zwijały i rozwijały. Odlot aż na orbitę – Wielka „H” trèś bu-kuu.

Wayne zapłacił Marvom. Wayne zapłacił dziesięć baksów. Marvi wytaszczyli ćpunów. W laboratorium cuchnęło. Wayne wyczyścił zlew lizolem. Wayne wytarł igły z krwi.

– Jakbyś miał więcej, tobym sobie polatał.

Wayne się obrócił – co, do diabła? – Wayne upuścił tackę ze

strzykawkami.

Oto i Bongo. W skąpych kąpielówkach. W pedalskich trzewikach.

– Jakie wyniki możesz uzyskać, testując na takich kurduplach? Potrzebny ci wielki facet jak ja, żeby sprawdzić pieprzoną jakość tego towaru.

Wayne'a lekko zatkało. Wayne sprawdził zawartość kadzi i łyżek. Wayne zobaczył najwyżej jedną działkę.

Zlał wszystko do jednego naczynia. Naciągnął strzykawkę. Podgrzał.

Bongo powiedział:

– Zawsze się na mnie gapisz. A jak już zdarzyło nam się poznać, to nie masz nic do powiedzenia.

Wayne złapał opaskę. Wayne założył igłę.

– Krążą słuchy, że zabiłeś trzech moich braci, ale ja w to nie wierzę. Bardziej mi wyglądasz na takiego, co woli popatrzeć.

Wayne złapał go za ręce. Wayne napompował żyły. Wayne namierzył jedną grubą i niebieską.

– Coś ci język zjadło? Głuchoniemy jesteś, kurwa, czy co?

Wayne założył opaskę. Wayne wbił igłę.

Bongo zeszywniał. Bongo zaczął się trząść. Bongiem tarpnęło. Zarzygał podłogę. Zarzygał Wayne'owi buty. Wyszczерzył zęby w uśmiechu. Zachwiał się. Zaczął tańczyć.

Tańczył swim. Tańczył wah-watusi. Rzuczał się. Chwytał się półek. W końcu się wytoczył.

Wayne usłyszał fajerwerki. Wayne pootwierał okna. Jest świetlny łuk. Jest syk. Jest różowy blask.

Wayne pootwierał przewody wentylacyjne. Napłynęła muzyka. Jest *Night's Train* – ulubiony kawałek Sonny'ego Listona.

Znowu wszedł Bongo. Bongo prowadził dwie dziwki. Dzwiki go trzymały. Dzwiki go wspierały.

Powiedział:

– Są twoje, kotku. Lizanko gratis.

Wayne pokręcił głową.

Jedna dziwka rzekła:

– On wariat.

Druga dziwka rzekła:

– On cwel.

66

(Saravan, 30 listopada 1964)

Wycieczka po pocztę – Aéroport de Saravan.

Pocztą przylatywała. Pocztą docierała do Sajgonu. Pocztą docierała do Sztabu Południe. Marvi odbierali pocztę dla Kadry. Marvi odwiedzali obóz. Marvi ją dostarczali.

Na lądowisku cuchnęło. W pobliżu pasły się kozy. Jeden pas startowy/ jeden barak.

Pete czekał. Pete przyjechał jeepem. Pete przywiózł dwóch strażników. Pete przywiózł kontyngent eks-Vietcongów.

Eks-Vietcongi się wkurzyli. Eks-Vietcongi gardzili Marvami. Marvi się wkurzyli. Marvi gardzili eks-Vietcongami.

Pete bał się zamieszek. Pete zabrał im pistolety. Pete dał im strzelby i gumowe kule. Zneutralizował strażników. Pete rozpieszczał niewolników. Dostawali świeżą żywność i wodę. Dostali nowe kajdany.

Tran najechał na jakąś wioskę. Tran wybił VC. Tran zwinął ich zaopatrzenie. Tran zdobył żywność w konserwach i penicylinę. Tran zdobył amfetaminę.

Niewolnicy byli ciency. Niewolnicy byli słabi. Zbliżał się czas zbiorów. Pete odebrał im opium. Pete karmił ich zupą. Pete karmił ich fasolą i parówkami.

Niewolnicy chorowali – febra i grypa – Pete dawał im penicylinę. Niewolnikom brakowało siły woli. Niewolnikom brakowało ikry. Pete dawał im amfetaminę.

Tyrali na trzy zmiany. Robota wrzała. Na polach aż iskrzyło. Produkcja słomy rosła. Tran zatrudnił sześciu chińskich chemików. Chemicy przygotowywali bazę. W wytwórniach wrzało.

Wayne pracował nad dostarczoną bazą. Wayne obiecał heroinę. Umiejętności Wayne'a rosły.

Samolot z pocztą wylądował. Kozy się rozpiezchły. Pilot wyrzucił worki.

Marvi wysiedli szybko. Vietcongi Pete'a opróżnili worki.

Przeglądali pocztę. Pete wyciągał listy. Pete czytał.

Pisał Ward. Ward donosił, że sprawdził Tygrysa. Tygrys zdawał się okej. Nellis zdawało się okej. Kinman zdawał się okej. Kinman obiecał pomoc. Lotników do wyładowywania skrzynek/ lotników do załadowania skrzynek/ lotników do przewożenia skrzynek do składu Agencji.

Ward donosił, że widział się z Barb. Barb była samotna. Barb zdawała się okej.

Wayne pisał. Donosił, że wszystko gotowe: na 9.01.1965.

Fred Otash pisał. Fred nie miał nic na Arden. Fred nie miał nic na D. Bruvicka. Wątki się rwały/ będzie szukał dalej/ będzie informował, jak ustalili.

Barb pisała. Barb tworzyła strumień świadomości. Miała rozbiegane myśli. Miała rozedrganą rękę.

Raz się cieszę. Raz się smucę. Sypiam o dziwnych godzinach.

„Nie o *naszych* dziwnych godzinach. Nie tak jak wtedy. Spotykaliśmy się i kochaliśmy, szliśmy do łóżka i wstawaliśmy”.

Widziała się z Wardem. „Ward leci na macochę Wayne'a”. Kot za nim tęsknił. „Śpi teraz na Twojej poduszce”.

Wpadała do Tygrysa. „Milt Chargin mnie dobija. Każe mi oceniać wszystkie swoje skecze. Długi Dom wozi mnie do pracy. Zastanawia się, dlaczego nie potrafi zdobyć przyjaciół, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego »sprzęt«. Powiedziałam: »Może dlatego, że jesteś męską prostytutką«”.

Kot pogryzł pokojówkę. Kot podrapał kanapę. Kot pogryzł jej perkusistę.

„Tęsknię za Tobą... Tęsknię... Wariuję, kiedy Cię nie ma, bo jesteś jedyną osobą, która wie, co robię, i dlatego raz się cieszę, raz smucę i trochę świruję, udając, że rozmawiam z Tobą, i zastanawiając się, gdzie będę za pięć lat, kiedy moi słuchacze wymienią mnie na nowszy model i nie będę już taka przydatna. Zastanawiałeś się nad tym kiedyś?”

Pete przeczytał list. Pete rozmazał atrament. Poczł zapach Barb. Poczł Barb. Te „radości i smutki” trochę go wkurwiły.

W obozie wrzało. Pete przejechał go jeepem. Pete zrobił objazd.

Teraz to była jedna wielka farma. Całe akry – naznaczone słupami, płotami i barakami.

Zalesione granice. Gęste zarośla. Zagony makówek/ bruzdy/ ścieżki. Wytwórnice i chaty strażników. Baraki niewolników i chaty sztabu.

W lasach czaiły się tajemnicze bestie. Białe tygrysy krążyły bu-kuu.

Pete lubił koty. Pete lubił tygrysy. Pete lubił fajne nazwy. Pete wymyślił „Farmę Tygrys”.

Z Flasha był rysownik-amator. Flash rajcował się tygrysami. Flash utygrysił chaty. Flash namalował tygrysie kły i tygrysie pasy.

Pete krążył ścieżkami. Pete krążył wśród makowych zagonów. Pete patrzył.

Niewolnicy machali gracami. Niewolnicy spulchniali ziemię. Niewolnicy ciągnęli ryksze. Szeregi niewolników spętanych razem łańcuchami – dwanaście sztuk na szereg – niewolnicy napędzani amfą.

Niewolnicy pracowali. Niewolnicy robili za długie przerwy. Strażnicy strzelali gumowymi kulami.

Laurent pomachał. Flash pomachał. Mesplède pomachał. Laurent pogonił roboli – *di thi di* – Mesplède mignął tatuazami.

Pete liczył sadzonki. Pete mnożył: liczba makówek na sadzonkę/ wydajność z jednej makówki/ ilość bazy z soku. Sadzonki migają mu przed oczami. Pete dał spokój liczeniu. Pete się pomylił.

Pojechał do Sztabu Północ. Vietcongi zajęli się jeepem. Wszedł. Zobaczył Chucka i Boba. Zobaczył ich szwedzki stół:

Wołowina w sosie chili i kiszona kapucha. Parówki i fasola. Wina: czerwone jabole/ białe porto.

Chuck powiedział:

– Tracimy Boba.

Pete dorwał krzesło.

– Dlaczego?

– Nie to, żebyśmy tracili go zupełnie. Chodzi raczej o to, że się przenosi, żeby pomóc bratniej duszy.

Bob popijał jabola.

– Chuck spiknął mnie z tatulkiem Wayne’a, oczywiście bez, kurwa, wiedzy synalka. Jego ludzie zaproponowali mi poprowadzenie w Missisipi kablującego Klanu, jak skończy mi się kontrakt z armią.

Chuck popijał jabola.

– Federalni finansują tę jego klawernę, co oznacza oficjalną aprobatę działań i nieograniczone pole manewru, choćby nie wiadomo jak był niegrzeczny.

Pete strzelił palcami.

– Porąbało was. Porzucilibyście naszą sprawę tylko dlatego, że trafia się okazja podpalenia paru kościołów?

Chuck wsuwał fasolę.

– Pete ma pewne luki w edukacji politycznej. Nie potrafi myśleć o niczym poza Kubą.

Bob beknął.

– A mnie podoba się to nieograniczone pole manewru i to, że mam być przywódcą. Zwerbuję własnych Klanmanów, zajmę się swoją działalnością, a przy okazji załatwię parę aktów oskarżenia o malwersacje pocztowe i sam pozostanę nietykalny.

Chuck pożerał parówki.

– Jak daleko możesz się posunąć?

– To jest pytanie za sto tysięcy dolarów, więc muszę założyć, że „nieograniczone pole manewru” oznacza funkcjonowanie według zasad ustanowionych przez mojego szefa plus wszystko to, o czym się nie dowie. Wayne Senior powiedział, że mam zacząć od demonstracji siły, kapujecie, żeby wyrobić sobie reputację.

Pete zapalił papierosa.

– Nie wygadaj się tylko przed Wayne’em, że jesteś w kontakcie z jego ojcem, i nie pieprz przy nim o Klanie. Ma świra na punkcie czarnuchów i taka gadka go przeraża.

Chuck się roześmiał.

– Dlaczego? Przecież to zabójca szwarców.

Pete się roześmiał.

– Boi się, że za bardzo spodoba mu się to wasze wariackie pieprzenie!

Chuck pochłaniał wołowinę chili.

– Stwierdzenia tego rodzaju są politycznie podejrzane. Zdaje mi się, że spędzasz za dużo czasu z VC.

Lunął deszcz. Bob zamknął okno.

– A teraz powiem, dlaczego to wszystko nie oznacza mojego pożegnania z Kadrą. Po pierwsze, Missisipi leży nad Zatoką. Po drugie, jest tam pełno kubańców. Po trzecie, mógłbym służyć za łącznika z Chuckiem i przeznaczać nasze zyski na broń, którą przerzucałbym nad Zatokę.

Pete powiedział:

– Podoba mi się to. *Jeśli* uda ci się uzyskać gwarancję nietykalności ze strony miejscowych gliniarzy i federalnych.

Walnął piorun. Chuck uchylił okno. Pete wyjrzał. Niewolnicy wrzeszczeli z radości. Niewolnicy tańczyli amfo-mambo.

Chuck powiedział:

– Intryguje mnie ta pierdolona idea „porządków”. Przyjeżdża coraz więcej żołnierzy, a Stanton mówi, że Khanh chce, by Sajgon wyglądał jak Disneyland ze względu na tych wszystkich pieprzonych pismaków i grube ryby.

Niewolnicy potrząsali kajdanami. Niewolnicy tańczyli łańcuchowe woogie-boogie.

Bob powiedział:

– Chciałbym utworzyć fundusz na rzecz Missisipi. Może mógłbym opychać nadwyżki towaru napływającym szwejdom.

Pete się obrócił.

– Nikt nie będzie sprzedawał naszym żołnierzom. Zabiję każdego, kto się odważy.

Chuck się roześmiał.

– Pete ma zasady jeszcze z drugiej wojny światowej. *Semper fi*, szefie.

Bob się roześmiał.

– On *dinky dau*. Robi się zbyt sentymentalny.

Pete wyciągnął spluwę. Pete wsunął trzy naboje. Pete zakręcił bębenkiem. Chuck się roześmiał. Bob pokazał mu faka.

Pete wymierzył. Pete pociągnął za spust. Strzelił do Boba trzy razy. Kurek pstryknął trzy razy. Trzykrotnie trafił w pustą komorę.

Bob wrzasnął. Bob rzygnął. Bob wyrzygał fasolę i parówki.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.11.1964. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Dzień dobry, panie Littell.

WJL: Dzień dobry, sir.

JEH: Pomówmy o Azji Południowo-Wschodniej.

WJL: Obawiam się, że niewiele mi na ten temat wiadomo, sir.

JEH: Mnie zaś wiadomo, że Pierre Bondurant i Wayne Tedrow Junior przebywają tam w ramach tajnego kontraktu z pewną wybitną agencją

wywiadowczą. Małe ptaszki ćwierkają mi o pewnych sprawach i nie wypada mi się tym z panem nie podzielić.

WJL: Tego akurat byłem świadomy, sir.

JEH: Stacjonują nie gdzie indziej jak w Wietnamie.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Czy zechciałby pan rozwinąć swoje odpowiedzi?

WJL: Wolałbym nie wdawać się zbytnio w szczegóły. Wydaje mi się, że wie pan dość na temat przeszłości Pete'a i chemicznej edukacji Wayne'a Juniora, by wyciągnąć trafne wnioski.

JEH: Wyciągam wnioski z zawrotną szybkością. Jeden z nich jest taki, że nasi włoscy przyjaciele zmienili poczetą z bezmyślności „Politykę Czystego Miasta” dotyczącą Las Vegas.

WJL: Owszem, jednak dystrybucja będzie ściśle ograniczona do pewnego obszaru.

JEH: Dostrzegam tu pewną zbieżność interesów. Ten rodzaj dystrybucji uwzględnia uprzedzenia hrabiego Drakuli i zaspokaja pragnienie naszych włoskich przyjaciół, by go zrobić na szaro.

WJL: To nader wnikliwa obserwacja, sir.

JEH: A nasi przyjaciele pewnie już się jeżą na myśl o zbliżającym się dniu sądu ostatecznego nad Jimmym Hoffą...

WJL: Wiedzą, że jest skończony, sir. Wiedzą, że proces apelacyjny zakończy się w ciągu dwóch lat.

JEH: Ironia tej sytuacji nie umknęła mej uwadze. Tandetne zabójstwo miało unieszkodliwić Ciemnego Księcia, a koniec końców tylko nasiliło jego antypatię.

WJL: Mnie samemu owa ironia często nie dawała spokoju, sir.

JEH: Księżę jest teraz senatorem elektem. Czy zastanawiał się pan, jaki kurs obierze?

WJL: Nie poświęciłem temu szczególnej uwagi.

JEH: Wierutne kłamstwo, panie Littell, i zupełnie pana niegodne.

WJL: Przyznaję, że tak, sir.

JEH: Czy uważa pan, że będzie firmował swym nazwiskiem prace legislacyjne skierowane przeciwko przestępczości zorganizowanej?

WJL: Mam nadzieję, że nie.

JEH: Myśli pan, że zaatakuje przestępczość zorganizowaną z senatorskiej trybuny?

WJL: Mam nadzieję, że nie.

JEH: Czy myśli pan, że tamto jarmarczne zabójstwo dało mu lekcję, którą na długo zapamięta?

WJL: Mam nadzieję, że tak.

JEH: A ja nie skomentuję tutaj pańskich skomplikowanych relacji z Robertem F. Kennedym.

WJL: Pańskie komentarze jak dotąd zawsze były nader wymowne, sir.

JEH: Zmieńmy temat na jeszcze mniej przyjemny. Jutro mam się spotkać z Martinem Lucyferem Kingiem.

WJL: W jakim celu, sir?

JEH: Lucyfer mnie o to poprosił. Chce porozmawiać o moich atakach prasowych. Lyle Holly mnie poinformował, że Lucyfer dodał sobie dwa do dwóch i doszedł do słusznego wniosku, iż to ja prowadzę przeciwko niemu tajne i niezbyt legalne działania, co zapewne bardzo go irytuje.

WJL: Jak się o tym dowiedział? Czy podejrzewa pan wyciek informacji?

JEH: Nie. Sam publicznie nawiązałem do słów, które Lucyfer wypowiedział do kogoś na osobności, i w ten sposób zdradziłem miejsca, w których założono podsłuch. A nawiązałem do nich, rzecz jasna, najzupełniej świadomie.

WJL: Domyśliłem się tego, sir.

JEH: Lucyfer, Rustin i inni trzymają teraz w hotelowych pokojach gęby na kłódkę. Lucyfer ograniczył swoje seksualne figle do łóżek poza zasięgiem mojej elektroniki.

WJL: Ale zdaje się, że ma pan jakiś nowy plan, sir...

JEH: Ma pan rację. Zamierzam drastycznie zintensyfikować moje działania przeciwko Lucyferowi i SCLC. Przestanie pan przekazywać tej organizacji pieniądze od swoich włoskich przyjaciół, lecz nadal będzie się pan spotykał z Bayardem Rustinem. Nadal będzie pan udawał gorącego zwolennika, którego źródło mafijnych pieniędzy niestety wyszło. Będzie pan nosił podsłuch na te spotkania z Rustinem. Będzie pan lawirował tak, by Rustin proponował kolejne spotkania. Wykorzysta pan jego homoseksualizm i słabość do szczerych i politycznie niepewnych mężczyzn.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: To przedsięwzięcie będzie ściśle tajne. Nadałem mu kryptonim OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Kryptonim ów to ukłon w stronę seksualnego pędu, jurności i bezmyślnego, infantylnego zachowania naszych

długouchych przyjaciół. Będzie pan otrzymywał kopie wszelkich notatek służbowych, jako że potrafi pan zręcznie wyciągać wnioski ze skomplikowanych danych. Kluczowe postacie otrzymały pseudonimy. Będzie się pan nimi posługiwał w miejsce prawdziwych nazwisk. Nawiązują one do króliczego motywu i psyche poszczególnych osób.

WJL: Coraz bardziej mnie pan intryguje, sir.

JEH: Martin Luther King będzie CZERWONYM KRÓLIKIEM. Bayard Rustin będzie RÓŻOWYM KRÓLIKIEM. Lyle Holly będzie BIAŁYM KRÓLIKIEM. A pana najstosowniej będzie nazwać WOJUJĄCYM KRÓLIKIEM.

WJL: To niezwykle dowcipne, sir.

JEH: Chcę, żeby się pan dowiedział, co King zaplanował na Południu. Pańskie informacje uzupełnią te, które napłyną od Lyle'a Holly'ego. Zamierzam zorganizować Front przeciw Białej Nienawiści w Luizjanie, Alabamie i Missisipi i potrzeba mi danych, by tę operację przeprowadzić.

WJL: Czy celuje pan w Klan, sir? Za malwersacje pocztowe?

JEH: Celuję w najbardziej brutalne, nieudolne, skłonne do przestępstw, krótko mówiąc, w najbardziej nieludzkie grupy Klanu w obrębie tych trzech stanów. Bóg ukarze tych ludzi za lincze i kastracje, o ile nie zdobędzie się na współczucie i nie uzna owych aktów za uzasadnione. Ja natomiast ukarzę ich za stanowiące pogwałcenie prawa federalnego malwersacje pocztowe.

WJL: Genialnie rozdzielił pan kary, sir.

JEH: Front rozpocznie działania w czerwcu 1965. Pański dobry znajomy Wayne Senior zwerbował człowieka, który uformuje własną komórkę Klanu. Człowiek ów wyjdzie z wojska i rozpocznie pracę nad swym zadaniem w maju.

WJL: Czy to Wayne Senior będzie dowodził...

JEH: Wayne Senior będzie nazywany KRÓLIKIEM OJCEM. Przywódca nowej komórki klanu zyska miano DZIKIEGO KRÓLIKA. Wycofałem się z finansowania wszystkich komórek informacyjnych Klanu dowodzonych przez Wayne'a Seniora, za jego aprobatą. Chcę skonsolidować moją walkę z Klanem pod jednym sztandarem bezwarunkowo oddanej mi grupy DZIKIEGO KRÓLIKA, Królewskich Rycerzy KKK.

WJL: Cóż za nazwa, sir.

JEH: Wydaje się pan dzisiaj nad wyraz bezczelny i nonszalancki, panie Littell. Wiem, że jest pan zachwycony, i wiem, że jednocześnie pan tego nie

pochwała. Proszę nie akcentować tego drugiego.

WJL: Przepraszam, sir.

JEH: Kontynuujmy. Obie operacje będą nadzorowane przez Dwighta Holly'ego, który otrzyma pseudonim BŁĘKITNY KRÓLIK. Dwight zrezygnował ze stanowiska w prokuraturze federalnej i przeniósł się z powrotem do Biura. Wybrałem go, bo jest genialnym agentem. Jest także bratem Lyle'a Holly'ego, a Lyle zna SCLC lepiej niż jakikolwiek biały człowiek na tej ziemi.

WJL: Czuję się zdezorientowany, sir. Myślałem, że Dwight poróżnił się z Wayne'em Seniozem.

JEH: Takie sprawy przemijają. Dwight i Wayne Senior się pogodzili. Murzyni, których zabił Wayne Junior, okazali się tylko chwilową przeszkodą w ich stosunkach. Wayne Senior jest teraz poróżniony z Wayne'em Juniorem, jak to pomiędzy ojcami i synami na całym świecie bywa.

WJL: A czy ja będę miał do czynienia z Wayne'em Se...

JEH: Nie bezpośrednio. Okazał się pan górą w waszym układzie z kurierami, skutkiem czego w nim nadal kipi uraza.

WJL: Dwight Holly nigdy nie był mi przyjacielem, sir.

JEH: Dwight świadom jest pańskich talentów, choć niechętnie się do tego przyznaje. Ocalił pan jego twarz w tamtej sprawie z zabitymi Murzynami, co uczyniło go pańskim dłużnikiem. To powiedziawszy, muszę wszak zauważyć, że Dwight Chalfon Holly nie znosi długów i dlatego kazał pana śledzić agentom prokuratury, bezrozumnie pragnąc zgromadzić obciążające pana akta. Uznał, że pańska obecność stanowi zagrożenie dla stanu Nevada.

WJL: Biorąc pod uwagę charakter Dwighta, mogę uznać to za komplement.

JEH: Strasznie to przeżył, gdy musiał wycofać śledzących pana agentów. Niełatwo się poddaje. To zresztą wasza wspólna cecha.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Proszę mi podziękować ciężką pracą przy OPERACJI CZARNY KRÓLIK.

WJL: Oczywiście, sir. Tymczasem, czy życzy pan sobie, bym usunął część podsłuchów założonych w celu inwigilacji SCLC?

JEH: Nie. Być może członkowie organizacji staną się jeszcze nieostroźni i zaczną mówić.

WJL: To prawda, sir.

JEH: Lucyferowi przyznano Pokojową Nagrodę Nobla. To wywołuje we mnie wściekłość dorównującą zapewne swoją mocą pańskiemu wzruszeniu.

WJL: Jestem wzruszony, to prawda.

JEH: To stwierdzenie stanowi o pańskiej dla mnie wartości.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Proszę sobie przyswoić królicze pseudonimy.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Do usłyszenia, panie Littell.

JEH: Do usłyszenia, sir.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.12.1964. Artykuł z „Washington Post”:

SPOTKANIE HOOVER–KING. WSPÓŁPRACOWNICY MÓWIĄ O „NERWOWEJ KONFRONTACJI”

Waszyngton, DC, 1 grudnia.

Dyrektor FBI J. Edgar Hoover i wicedyrektor Cartha DeLoach spotkali się dzisiaj z dr. Martinem Lutherem Kingiem oraz jego najbliższymi współpracownikami, Ralphem Abernathym i Walterem Fauntroyem. Spotkanie odbyło się w gabinecie Hoovera w siedzibie FBI.

Poruszono wiele tematów, w tym rzekomą obecność komunistów i sympatyków komunizmu w ruchu praw obywatelskich oraz sposób traktowania przez FBI skarg wnoszonych przez Murzynów i członków ruchu praw obywatelskich na Południu – skarg dotyczących brutalnego traktowania przez policję. King wyjaśnił, co miał na myśli, wygłaszając swe niedawne oświadczenia dotyczące zachowania agentów FBI w Missisipi i ich, tutaj cytując: „bratania się z miejscowymi stróżami prawa”. Hoover odpowiedział wyliczeniem niedawnych sukcesów FBI odniesionych w Missisipi i Alabamie.

Przewidywano, że zostanie też omówiona sprawa pogłosek na temat podsłuchów zakładanych rzekomo przez FBI w celu inwigilowania Kinga i Konferencji Przywódców Chrześcijańskich Południa. „Nic podobnego nie miało miejsca” – oświadczył dr Abernathy. „Rozmowa była zdominowana przez monologi pana Hoovera dotyczące komunizmu i jego powtarzane zapewnienia, że »w stosownym czasie« relacje i zachowania na Południu ulegną zmianie”.

„Pan Hoover zachęcał dr. Kinga, by »nakłaniał Murzynów do głosowania«” – powiedział Fauntroy. „Nie złożył oczekiwanej obietnicy poparcia dla osób pracujących na rzecz praw obywatelskich, znajdujących się teraz w ogromnym niebezpieczeństwie”.

Obaj współpracownicy zgodzili się, że godzinne spotkanie przebiegło w „nerwowej” atmosferze. Tuż po spotkaniu King rozmawiał z dziennikarzami i oznajmił, iż wierzy, że on i pan Hoover osiągnęli „nowy poziom porozumienia”.

Hoover odmówił komentarza. Wicedyrektor DeLoach wydał prasowe oświadczenie, w którym znalazł się tylko opis poruszanych na spotkaniu tematów.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.12.1964. Artykuł z „Los Angeles Times”:

POKOJOWY NOBEL DLA KINGA. KING WYRAŻA „NIEWZRUSZONĄ WIARĘ” W USA

Uniwersytet w Oslo. Oslo, Norwegia, 10 grudnia.

W obecności norweskiej pary królewskiej i członków norweskiego parlamentu wielebny Martin Luther King Jr wszedł na scenę, by odebrać Pokojową Nagrodę Nobla.

Przewodniczący parlamentu norweskiego przedstawił dr. Kinga jako „nieugiętego orędownika pokoju, pierwszego człowieka w zachodnim świecie, który pokazał nam, że walka może być prowadzona bez przemocy”.

Dr King najwyraźniej poruszony takim wprowadzeniem, wkroczył na scenę, by odebrać nagrodę. Powiedział, iż uważa ją za „wyraz głębokiego uznania dla stanowiska, że brak agresji stanowi odpowiedź na kluczowy polityczny i moralny problem naszych czasów, na potrzebę człowieka, by pokonać przemoc i ucisk bez uciekania się do przemocy i ucisku”.

Przemawiając w oślepiającym świetle telewizyjnych reflektorów do morza urzeczonych twarzy, dr King kontynuował. „Nigdy nie zaakceptuję przekonania, że człowiek jest zwykłym pływającym szczątkiem niesionym przez rzekę życia, która go otacza” – mówił. „Nigdy nie zaakceptuję poglądu, że rodzaj ludzki jest tak tragicznie pogrążony w bezgwiezdnej nocy rasizmu i wojen, iż jasne światło pokoju i braterstwa nie zdoła się przez nią przebić”.

Opisując „pełną udręki drogę, która prowadziła z Montgomery w stanie

Alabama do Oslo”, dr King stwierdził, że otrzymana przez niego Nagroda Nobla należy się tak naprawdę „milionom Murzynów, w imieniu których tu dzisiaj staję”.

„Ich nazwisk nigdy nie pozna świat”, mówił dr King. „A jednak gdy przeminą lata, a oślepiające światło prawdy padnie na czasy, w których żyjemy, mężczyźni i kobiety wiedzieć będą, zaś dzieci się dowiedzą, że żyją we wspanialszym kraju, wśród lepszych ludzi, w szlachetniejszej cywilizacji, ponieważ te uniżone dzieci Boga zechciały kiedyś cierpieć za sprawiedliwość”.

Przemowa dr. Kinga została przyjęta burzliwymi oklaskami. Setki studentów z pochodniami otoczyły ogromną bożonarodzeniową choinkę i pozdrowiły dr. Kinga, kiedy wraz ze świtą opuszczał gmach uniwersytetu.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.12.1964. Wewnętrzna notatka służbowa. Oznaczono: „Ścisłe tajne”/ „Zastrzeżone dla Dyrektora”/ „Przeczytać i zniszczyć”. Do: dyr. Hoover. Od: AS Dwight Holly.

Sir,

odnośnie do naszej rozmowy przez telefon:

zgadzam się. W świetle Pańskiego niedawnego spotkania z OBIEKTEM KINGIEM powinien Pan powstrzymać się od wszelkich ataków i obraźliwych uwag na jego temat, aby w ten sposób zapewnić lepszą ochronę potrzebną do przeprowadzenia OPERACJI CZARNY KRÓLIK, a zwłaszcza jej członów związanych z SCLC i BIAŁĄ NIENAWIŚCIĄ. Zgadzam się, że żadne notatki służbowe ani biuletyny nie powinny być umieszczane w aktach przez żadnego członka operacji oraz że należy bezwzględnie przestrzegać zasady „przeczytać i spalić”, a rozmowy telefoniczne powinny być zabezpieczane przez szyfratorów FBI.

Odnośnie do rzeczonych członków/ obiektów operacji i jej założeń:

1 – BŁĘKITNY KRÓLIK (niżej podpisany/ AS D.C. Holly). Zadanie: nadzorować i koordynować oba człony operacji, kierować działaniami nw.:

2 – BIAŁY KRÓLIK (Lyle D. Holly). Nasza wtyczka w SCLC. Przekazuje dane dotyczące polityki SCLC i ważne informacje na temat OBIEKTÓW: KINGA i RUSTINA.

3 – WOJUJĄCY KRÓLIK (Ward J. Littell). Pozornie zdeklarowany sympatyk ruchu praw obywatelskich. Przekazał na rzecz ruchu 180 tysięcy

dolarów, rzekomo wykradzonych przestępczości zorganizowanej. Podstawiony przez nas człowiek, zobowiązany do noszenia podsłuchu i zdobywania obciążających, krępujących i kompromitujących informacji od RUSTINA.

4 – KRÓLIK OJCIEC (Wayne Tedrow Sr.). Konserwatywny pamflecista, tajny zwierzchnik informatorów FBI, przez wiele lat pracujący przy wykrywaniu malwersacji pocztowych KKK. Nasz łącznik z BIAŁĄ NIENAWIŚCIĄ. Łącznik z naszym nowo zwerbowanym przywódcą komórki wywiadowczej Klanu. Zobowiązany zaopatrzyć rzeczonogo przywódcę w listę subskrybentów nienawistnych pamfletów (łącznie z tymi, którzy związani są z systemem więziennictwa w stanach Oklahoma i Missouri) oraz pomóc rzeczonemu przywódcy w tworzeniu jego komórki Klanu.

5 – DZIKI KRÓLIK (sierżant sztabowy armii amerykańskiej Bob D. Relyea). Ww. przywódca Klanu, obecnie służący w 618. Batalionie Żandarmerii Wojskowej w Sajgonie (Wietnam) i biorący udział w ściśle tajnej operacji CIA w Laosie. (Uwaga: sierż. Relyea odmawia ujawnienia szczegółów swej obecnej pracy i nazwisk swojego zwierzchnika z CIA oraz współpracowników. Nie naciskałem na niego. Sierż. Relyea przestrzega w ten sposób jedynie zasad tajności, a to dobrze świadczy o jego zdolności do ich respektowania).

Sierż. Relyea jest doświadczonym pamflecistą i byłym strażnikiem więziennym w stanowym zakładzie karnym w Missouri, posiadającym kontakty ze zwolennikami segregacji na całym Środkowym Zachodzie i Południu. Przez cały czas kolportuje nienawistne ulotki własnego projektu za pomocą systemu więziennictwa w Missouri. Sierż. Relyea kończy służbę wojskową w maju 1965 i z tą datą zerwie swą współpracę z CIA. Możemy się spodziewać, że rozpocznie pracę przy OPERACJI CZARNY KRÓLIK.

Odnośnie do obiektów CZERWONY KRÓLIK (Martin Luther King) i RÓŻOWY KRÓLIK (Bayard Rustin) oraz naszych założeń. Założenia:

1 – Zdyskredytować CZERWONEGO KRÓLIKA i RÓŻOWEGO KRÓLIKA i stanąć na przeszkodzie ich wywrotowym, socjalistycznym zamysłom.

2 – Dokonać powyższego poprzez gromadzenie i rozpowszechnianie obciążających i/lub krępujących danych, dotyczących ich związków z komunizmem, moralnej hipokryzji i degeneracji seksualnej.

3 – Skrupulatnie planować ujawnianie ww. danych, tak by wykazać socjalistyczne fundamenty całego ruchu praw obywatelskich.

4 – Wprowadzić nieufność do ruchu praw obywatelskich.

5 – Wzbudzić nieufność i urazę w stosunku do CZERWONEGO KRÓLIKA w społeczności murzyńskiej i odebrać poparcie, jakie CZERWONY KRÓLIK zaczął zdobywać wśród nie-Murzynów.

6 – Ujawnić socjalistyczno-komunistyczne zamysły CZERWONEGO KRÓLIKA, SCLC i ruchu praw obywatelskich oraz wywołać politycznie efektywny ostry sprzeciw.

7 – Przy pomocy wysyłanych pocztą anonimów przypuścić atak na najwyraźniej niezrównoważoną i zdegenerowaną psychikę CZERWONEGO KRÓLIKA.

8 – Równocześnie z punktami 1–7 wprowadzić w życie człon BIAŁA NIENAWIŚĆ OPERACJI CZARNY KRÓLIK w celu wzmocnienia wiarygodności FBI jako agencji walczącej z rasizmem i Ku Klux Klanem, a także w celu słamszenia wrogości wobec FBI, szerzonej przez prowokatorów z ruchu praw obywatelskich i dziennikarzy liberalno-socjalistycznych mediów.

Dodatkowo zalecałbym:

9 – MONITOROWANIE KORESPONDENCJI SCLC. Przechwytywanie, czytanie, rejestrowanie i dalsze odsyłanie wszelkich amerykańskich i zagranicznych przesyłek kierowanych do głównych i regionalnych biur SCLC.

10 – MONITOROWANIE ODPADKÓW SCLC. Badanie, rejestrowanie i ewidencjonowanie wszelkich śmieci i odpadków wrzucanych do kubłów we wszystkich biurach SCLC.

11 – Spreparowanie anonimowego listu napisanego z perspektywy Murzyna i wysłanie go do domu CZERWONEGO KRÓLIKA w Atlancie.

List zacznie się słowami „King, uderz się w pierś” i będzie opisywał „ponurą farsę”, za jaką Pokojowa Nagroda Nobla i inne niedawne zaszczyty, którymi uhonorowano CZERWONEGO KRÓLIKA, uchodzą w oczach większości społeczności murzyńskiej. List ten będzie delikatnie nakłaniał CZERWONEGO KRÓLIKA do popełnienia samobójstwa raczej niż dalszego popadania w niełaskę społeczności murzyńskiej, a dodatkowo będzie zawierał fragmenty materiałów z podsłuchu, dotyczące rozwiązłości CZERWONEGO KRÓLIKA, co będzie miało na celu poparcie Pańskich

niedawnych oświadczeń i przekonanie CZERWONEGO KRÓLIKA, że oświadczenia owe są ogólnie znane i przyjmowane za prawdę przez większość Murzynów.

Podsumowując:

Nasze podsłuchy pozostaną na miejscu, choć w znacznej mierze zostały już zdemaskowane. Co się tyczy naszej ostatniej rozmowy telefonicznej, zgadzam się z Pańską oceną. OPERACJA CZARNY KRÓLIK musi uzyskać status ściśle tajnej. CZERWONY KRÓLIK cieszy się ostatnio niezmiernie wysokim poparciem opinii publicznej, które zdołamy osłabić tylko wtedy, kiedy wykażemy się najwyższą czujnością i zachowamy nasze działania w najgłębszej tajemnicy.

Z wyrazami szacunku,
D.C.H.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.12.1964. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: John Stanton. Od: Pete Bondurant. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

J.S.,

Wayne odkrył naszą żyłę złota. Ruszamy 9.01.1965, a po rozprawieniu towaru spodziewam się zysku netto rzędu 320 tysięcy dolarów. To daje Kadrze (przy 45%) około 150 tysięcy dolarów. W tej chwili dopracowuję szczegóły, ale plan pozostaje niezmienny.

Laurent, Chuck i Flash będą kupowali broń w prawicowych kręgach w Teksasie i na Południu, a następnie będą ją przerzucać uchodźcom nad Zatoką. Tak z grubsza wygląda plan, z jednym zastrzeżeniem.

Obaj pracowaliśmy na wybrzeżu i wiemy, że wysyłanie rekrutów z południowej Florydy donikąd nas nie zaprowadziło. Uważam, że nasi uchodźcy powinni wykorzystać fakt, iż są Kubańczykami, i powinni przerzucać broń do grup przeciwników Castro bezpośrednio na Kubie. Będę na to bardzo nalegał.

Jakie jest Twoje zdanie? Proszę, odpowiedz jak najszybciej.

P.B.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.12.1964. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Pete Bondurant. Od: John Stanton. Oznaczono: „Doręczyć do rąk

własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

P.B.,

popieram Twój plan w ogólnym zarysie i zgadzam się, że naszym ostatecznym celem powinno być zaopatrzenie w broń dysydentów na wyspie, kiedy zdołamy wypracować stosowny zysk netto. To powiedziawszy, muszę znów zauważyć, że strasznie jesteś w gorącej wodzie kąpany, gdy chodzi o Kubę. Nie planuj żadnego wydatkowania przychodów, dopóki nie zdołamy oszacować w pełni kosztów naszej działalności, a pieniądze nie zostaną wyprane przez odpowiednie, związane z Agencją firmy. Nie chcemy, żeby nasze „datki” na Kubę dało się w jakikolwiek sposób powiązać z naszymi interesami w Las Vegas.

Na zakończenie:

Wkrótce rozpocznie się porządkowanie Wietnamu. Kontyngent Can Lao zajmie teren wokół Khanh Hoi, lecz zapewniono mnie, że laboratorium pozostanie nietknięte. Kaź Tedrowowi zabezpieczyć pracownię i opuścić ją przed świtem 8.01.1965.

Por la Causa,

J.S.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Przekazać do: Dyrektor/ Błękitny Królik/ Biały Królik/ Królik Ojciec/ Taśma matka zniszczona/ Przeczytać i spalić”.

Miejsce nagrania: Waszyngton, DC (Lafayette Park). Data: 4.01.1965, godz. 8.42. Rozmawiają: WOJUJĄCY KRÓLIK/ RÓŻOWY KRÓLIK.

WK (rozmowa w toku): Z tego (zakłócenia/ odgłosy ulicy) przeczytałem w prasie. Doktor King wydawał się zadowo...

RK (ze śmiechem): W opinii Martina brak przemocy oznacza też brak inwektyw (pauza/ 2,1 sekundy). Nie, Hoover był chamski i nieustępliwy. Martin mówił, że aż nim telepało.

WK: A zatem brak postępu?

RK: Właśnie. Nie potwierdził ani nie zaprzeczył istnieniu podsłuchów. (Zakłócenia/ 2,8 sekundy) ...nie naciskał. Czasem chce się zachowywać jak sam Jezus Chrystus.

WK: Doktor King dobrze zrobił, że go nie rozjuszył.

RK: Masz rację, Ward. Z jednej strony mamy do czynienia z obłąkanym starcem, a z drugiej z wielką postacią, która coraz bardziej zyskuje na znaczeniu. Musimy wierzyć, że ludzie to dostrzegą i rozumieją.

WK: Nigdy nie traktuj z góry i nie lekce... (odgłosy ulicy/ 2,9 sekundy) zdolności.

RK: Wkrótce po spotkaniu Martin sam się o nich przekonał.

WK: Jak do...

RK (wchodząc w słowo): Martin otrzymał list, a co najgorsze, to Coretta zobaczyła go pierwsza. Był rzekomo napisany przez Murzyna, który podburzał Martina do samobójstwa. Znalazły się tam (zakłócenia/ 3,3 sekundy) wzmianki – a ja nie zamierzam nawet komentować ich prawdziwości – dotyczące miłosnych podbojów, jakich Martin (zakłócenia/ 1,6 sekundy) miał się ponoć dopuścić. Coretta była (zakłócenia/ 0,9 sekundy) cóż, była zdruzgotana.

WK: Jezu Chryste.

RK: No właśnie.

(Zakłócenia/ odgłosy ulicy/ 9,3 sekundy).

RK (rozmowa w toku): ...że nie jest święty, ale aż do tej chwili nie zdawałem sobie w pełni sprawy ze zła tkwiącego w tym człowieku. (Pauza/ 4,1 sekundy/ RK się śmieje). Coś taki ponury, Ward? Wyglądasz całkiem jak upiór.

WK: Nie mogę dać wam więcej pieniędzy, Bayard. To się staje dla mnie zbyt ryzykowne. (Zakłócenia/ 0,8 sekundy) ...później, ale w najbliższej przyszłości nic z tego.

RK: Nie musisz (pauza/ 2,2 sekundy). I skończ już z tym ponuractwem. Zrobiłeś dla sprawy i tak mnóstwo dobrego i przynajmniej ja mam nadzieję, że pozostaniesz w kontakcie.

WK: Chciałbym. Wiesz, co o tym myślę.

RK: Wiem, wiem. Lubię nasze rozmowy i polegam na twoich spostrzeżeniach dotyczących sposobu myślenia w FBI.

WK: Nie będę ci ich szczędził. Często jestem przejazdem w DC.

RK: A ja zawsze chętnie pójde z tobą na kawę albo na drinka.

WK (zakłócenia/ 3,4 sekundy/ rozmowa w toku): ...zaplanował doktor King?

RK: Szykujemy wielką kampanię w Selmie w Alabamie. Zamierzamy powtórzyć „Lato Wolności” w Missisipi, a w czerwcu szykujemy się na

wschodnią Luizjanę.

WK: To miejsca, w których mocno zaznacza się obecność Klanu. Delegatura FBI w Baton Rouge ma okazałe akta.

RK: Bogalusa to tętniące życiem gniazdo naszych przyjaciół w spiczastych kapturach. Zamierzamy przeprowadzić kampanię zachęcającą do wpisywania się na listy wyborców, a przy okazji zirytować KKK tak, żeby jego członkowie zrzucili te swoje prześcieradła.

WK (śmiech/ odgłosy ulicy/ 20 sekund): ...przewiduje oporu?

RK: Owszem, ale Martin poczuł się zachęcony obecnością FBI w Missisipi zeszłego lata i jest przekonany, że zły pan Hoover postara się zapewnić bezpieczeństwo naszym ludziom, jakkolwiek niechętnie...

(Zakłócenia/ koniec taśmy).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 7.01.1965. Wiadomość kurierska z Saravanu (Laos) do Sajgonu (Wietnam Południowy). Do: Wayne Tedrow Junior. Od: Pete Bondurant. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych”.

W.T.,

bądź gotów wyruszyć z pierwszą dostawą do domu rankiem 9.01.1965. Opuść laboratorium przed 8.01. Pilne! Odpowiedz jeszcze dziś!

P.B.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.01.1965. Wiadomość kurierska z Saravanu (Laos) do Sajgonu (Wietnam Południowy). Do: Wayne Tedrow Junior. Od: Pete Bondurant. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych”.

W.T.,

zabezpiecz laboratorium i wynoś się natychmiast! Pilne! Odpowiedz natychmiast!

P.B.

(Sajgon, 9 stycznia 1965)

Zostańmy. Zbliźmy się. *Popatrzmy*.

Laboratorium było bezpieczne. Zeszłej nocy zawiadomił Chucka:

Spotkam się z Pete'em/ lotnisko Tan Son Nhut/ ot 29. Towar spakowałem. Ukryłem – sprawdź skrzynię oznaczoną „Części zapasowe do miotaczy ognia”.

Zostańmy chwilę dłużej. Zbliźmy się. Popatrzmy na „Porządki”.

Can Lao uderzyło minionej nocy. Can Lao zrobiło wstępne porządki. Cuchnącym gazem potraktowało Go-Go. Przepędziło klientów. Przepędziło dziwki. Zamknęło palarnię opium. Zamknęło w niej śpiących ćpunów. Rzeczony ćpuny spały dalej.

Wayne spojrział na zegarek – 6.14 – Wayne wyjrzał przez okno.

Marvi wywieszali flagi. Marvi rozwijali transparenty. Marvi siłą przepędzali ulicznych handlarzy. Marvi kradli ich gotówkę. Marvi wywracali stragany. Marvi dali znak oddziałowi z gumowymi wężami.

Oddział wycelował. Oddział wypalił. Woda uderzyła w ściany i stragany. Woda robiła papkę z owoców. Woda porywała szczątki i zmywała graffiti. Handlarze fruwali – waga musza – jak unoszące się na wodzie konfetti.

Marvi wznosili transparenty. Oto i LBJ. Ten jego wielki kinol i Uśmiech Miłości. Oto i premier Khanh. Te jego wielkie zęby. Ten Wielki Krzywy Uśmiech Miłości.

Przefrunął jakiś handlarz. Podskakiwał na wodzie. Na wodzie podskakiwały ryksze.

– Lubisz se, kurwa, popatrzeć.

Wayne'a lekko zatkało. Wayne się obrócił. Zobaczył Bonga.

W jego obcisłych, pedalskich kąpielówkach. W jego pedalskich trzewikach. Z pyzată dziwką.

– Wiesz, co mi się w tobie podoba? Ta wiara, że „cisi na własność posiadają ziemię”. Lubisz sobie popatrzeć, ale nigdy się, kurwa, nie odzywasz, choćby

słowem.

Dziwka miała koszulkę na ramiączkach. Dziwka miała malinki na udach. Dziwka miała blizny po petowaniu.

– Podoba ci się? Nazywam ją „Popielniczka”. Jak jest w pobliżu, nie musisz sięgać po drugą.

Wayne zamknął okno. Bongo poprawił sobie jaja. I napompował żyły.

– Stwierdziłem, że trochę z tobą pohandluję. Ja mam ochotę na strzał, ty masz ochotę popatrzeć, jak Popielniczka mi obciąga.

Wayne się uśmiechnął. Wayne’a lekko zatkało. Wayne otworzył jedną z szafek.

Przygotował wodę. Przygotował igłę. Przygotował łyżkę. Przygotował herę. Podgrzał ją. Wciągnął do strzykawki.

Bongo się zaśmiał. Dziwka zachichotała. Wayne zasłonił im widok. Nabrał do strzykawki amoniak. Nabrał truciznę na szczury. Nabrał strychninę.

Bongo powiedział:

– Powolny jesteś, wiesz o tym?

Wayne się obrócił. Bongo zapętlił opaskę. I zacisnął ją na ramieniu.

Wayne dostrzegł żyłę. Wayne ją pomacał. Wayne wbił strzykawkę. Wayne wciskał tłok – baaaardzo powoooooli.

Proszę bardzo – no i jak?

Bongo się rzucił. Bongo podskoczył. Bongo zesrał się i zsiakał. Bongo runął na podłogę, drgnął i się spuścił.

Wayne się cofnął. Wayne się przyglądał. Dziwka podeszła bliżej.

Bongo pluł pianą. Bongo pluł krwią. Bongo odgryzł sobie język. Wayne podszedł bliżej. Wayne nadepnął mu na głowę. Wayne zmiażdżył mu czaszkę.

Dziwka zatkała nos. Dziwka się przeżegnała. Dziwka kopnęła Bonga w jaja. Wayne go chwycił. Wayne go powlókł. Wayne zrzucił go w dół komina wentylacyjnego.

Dziwka rzekła:

– Bongo cienki. Bongo numer dziesięć.

Wayne zobaczył Leroya i Cur-tiego. Wayne zobaczył Wendella Durfee’ego.

Porządków ciąg dalszy – jego i ich.

Wayne sprzątał laboratorium. Wayne oglądał show za oknem. Marvi

polewali wodą mnichów. Polewali wodą ściany. Marvi likwidowali graffiti.

W przewodzie wentylacyjnym zawrzało. Zaczęły zlatywać się szczury. Szczury znalazły Bonga. Szczury zabrały się za konsumowanie.

10.05 – wkrótce odlot.

Prooooooszę...

Głosy i tupot nóg – dwa kliknięcia na dole. Proszę – nadchodzą – wiedziałeś, że nadejdą.

Wayne zszedł. Stał na półpiętrze. Znalazł miejsce w cieniu.

Proszę – dziesięciu goryli z Can Lao. Dwa zespoły po pięciu chłopca. Mają latarki i magnum z tłumikiem. Mają węże/ miotacze ognia/ worki.

Rozproszyli się. Szli między siennikami. Celowali w twarze. Nie robili hałasu – mieli tłumiki – strzelali w głowy.

Świecili latarkami. Strzelali. Wyrzucali łuski i przeładowywali. Głowy eksplodowały w świetlistych kręgach. Pod siennikami pękały deski.

Opium – *totalne znieczulenie* – sen głęboki i mocny.

Wayne patrzył. Widział oświetlone twarze. Dziewczyny z baru i Popielniczka. Goście typu wujaszka Ho.

Goryle skończyli. Goryle przegrupowali się w wejściu. Goryle się odsunęli.

Jeden goryl wycelował z miotacza ognia. Rzeczony goryl mierzył nisko. Rzeczony goryl opiekował całe rzędy trupów.

Trzy pociągnięcia w głab i na boki. Skoncentrowany snop płomieni.

Goryl wyłączył miotacz. Inny goryl wycelował z węża. Rzeczony goryl zalał wszystko wodą.

Płomienie syczały. Ciała jaśniały. Barłogi trzeszczały.

Wayne patrzył. Goryle się przegrupowali. Goryle weszli i się rozeszli.

Podwinęli nogawki. Brodzili w wodzie. Wtaszczyli worki jutowe. Rozsypali wapno. Przypudrowali trupy. Zafundowali im białą panierkę.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.02.1965. Wewnętrzna notatka służbowa. Temat: OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Do: DYREKTOR. Od: BŁĘKITNY KRÓLIK. Oznaczono: „Ścisłe tajne”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

Sir,

oto mój pierwszy raport dotyczący OCK.

1 – WOJUJĄCY KRÓLIK dwukrotnie spotkał się z RÓŻOWYM

KRÓLIKIEM w Waszyngtonie (6.01.1965, 19.01.1965) i przekazał mi swoje taśmy. Zgodnie z wytycznymi obowiązującymi w operacjach ściśle tajnych osobiście sporządziłem stenogramy i zniszczyłem taśmy. Stenogramy Taśmy 1 i Taśmy 2 są dołączone do niniejszej notatki (Aneks A). Zgodnie z wytycznymi, proszę przeczytać i spalić.

2 – Choć w wielu miejscach jakość dźwięku była bardzo słaba, nie mam wątpliwości, że właściwie oceniłem zawartość taśm. Jest oczywiste, że zniewieściały i dowcipny RÓŻOWY KRÓLIK jest zauroczony dowcipem, pięknie udawaną szczerością i żarliwie głoszonymi ideałami WOJUJĄCEGO KRÓLIKA. Wykazał się Pan niesamowitą dalekowzrocznością i intuicją, kontaktując ich ze sobą. RÓŻOWY KRÓLIK przyjął wiadomość WOJUJĄCEGO KRÓLIKA o wstrzymaniu darowizn z pieniędzy „podkradanych” przestępczości zorganizowanej z ogromną wielkodusznością i obaj mężczyźni wyrazili pragnienie „pozostania w kontakcie”. Pragnienie owo, wyrażone na Taśmie 1, zostało potwierdzone podczas drugiego spotkania RÓŻOWEGO KRÓLIKA z WOJUJĄCYM KRÓLIKIEM, zarejestrowane na Taśmie 2.

3 – WOJUJĄCY KRÓLIK sprytnie wypytywał RÓŻOWEGO KRÓLIKA na obu taśmach. (Patrz: stenogramy). Na dzień dzisiejszy jednakże RÓŻOWY KRÓLIK ujawnił jedynie informacje przekazane nam już przez nasze własne źródło w SCLC, BIAŁEGO KRÓLIKA. W ogólnym zarysie przedstawiają się one następująco:

3-A: Planowana agitacja w Selmie w stanie Alabama (pikiety, bojkoty, nakłanianie do wpisywania się na listy wyborców);

3-B: Planowana (na czerwiec 1965) kampania na rzecz desegregacji szkół w Chicago;

3-C: Plany (na razie niesprecyzowane) dotyczące udziału SCLC w drugim „Lecie Wolności” – kampanii agitacyjnej w Missisipi;

3-D: Planowana na czerwiec 1965 agitacja w okolicach Bogalusy w Luizjanie.

4 – Przesłuchałem najświeższe taśmy z utrzymywanego wciąż podsłuchu w pokojach hotelowych. CZERWONY KRÓLIK, RÓŻOWY KRÓLIK i inni członkowie SCLC przebywali w owych pokojach przy czternastu okazjach w okresie od 1.01.1965 do 4.02.1965. Nie uzyskałem jednak żadnych istotnych informacji. Niewinne pogawędki i częste szepty wskazują na to, iż podsłuchiwanie podejrzewają obecność elektronicznych środków inwigilacji.

Rzeczony podsłuchy pozostaną na miejscu.

5 – BIAŁY KRÓLIK donosi, że CZERWONY KRÓLIK, RÓŻOWY KRÓLIK i inni członkowie SCLC omawiali anonimowy „zabójczy list” wysłany do CZERWONEGO KRÓLIKA i doszli do wniosku, iż został on spreparowany przez FBI. BIAŁY KRÓLIK donosi też, że CZERWONY KRÓLIK i RÓŻOWY KRÓLIK przy wielu okazjach atakowali werbalnie Pańską osobę w sposób podobny do tego, w jaki RÓŻOWY KRÓLIK atakował Pana na Taśmie 1. BIAŁY KRÓLIK oświadczył, iż CZERWONY KRÓLIK był „bardzo wzburzony” z powodu listu, zwłaszcza zaś z powodu „druzgocącego wpływu”, jaki miał on na jego żonę.

6 – Odnośnie do MONITOROWANIA KORESPONDENCJI. Na dzień dzisiejszy wyznaczeni agenci przechwycili, zarejestrowali i odesłali dalej wiele listów poparcia, zawierających większe i mniejsze datki na SCLC, z czego wiele pochodziło od ważnych lewicowców, członków ugrupowań frontu komunistycznego i gwiazd filmowych, takich jak Danny Kaye, Burt Lancaster, Walter Pidgeon, Burl Ives, Spencer Tracy, Rock Hudson, Natalie Wood i wielu wykonawców muzyki folk, cieszących się mniejszą sławą. (Szczegóły – patrz: Lista w Aneksie B. Zgodnie z wytycznymi, proszę przeczytać i spalić).

7 – Odnośnie do MONITOROWANIA ODPADKÓW. Na dzień dzisiejszy wyznaczeni agenci zgromadzili i zarejestrowali znaczne ilości lewicowych periodyków i pikantnych magazynów, zawierających zdjęcia nagich białych kobiet, wyrzucanych wraz z innymi, nieistotnymi i niezewidencjonowanymi odpadkami. (Patrz: Lista w Aneksie C). (Uwaga: Lista z Aneksu B zostanie wkrótce opracowana i złożona na przechowanie zgodnie z zasadami tajności. Jej wykorzystanie ułatwi, o ile takie będzie Pańskie zalecenie, MONITOROWANIE KONT BANKOWYCH SCLC w celu ustalenia, czy ww. datki zostały legalnie wpłacone i zaksięgowane, co powinno pomóc nam podjąć decyzję o ewentualnym zbadaniu federalnych i stanowych zeznań podatkowych SCLC).

Na zakończenie:

MONITOROWANIE będzie kontynuowane zgodnie z poleceniami. Wkrótce trafi do Pana raport odnośnie do członu OPERACJI CZARNY KRÓLIK o kryptonimie BIAŁA NIENAWIŚĆ.

Z wyrazami szacunku,
BŁĘKITNY KRÓLIK

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.02.1965. Wewnętrzna notatka służbowa. Temat: BIAŁA NIENAWIŚĆ/ OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Do: Dyrektor. Od: BŁĘKITNY KRÓLIK. Oznaczono: „Ścisłe tajne”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

Sir,

oto mój pierwszy raport dotyczący członu OPERACJI CZARNY KRÓLIK o kryptonimie BIAŁA NIENAWIŚĆ.

1 – Z pomocą asystentów KRÓLIKA OJCA sporządziłem listę potencjalnych dysydentów Klanu, obecnie z nikim i z niczym nie związanych, po tym jak w grudniu 1964 KRÓLIK OJCIEC rozwiązał finansowaną wcześniej przez siebie komórkę Klanu, skupiającą informatorów. (Patrz: Aneks A – Lista rzeczonych członków Klanu). (Uwaga: stosując się do zasad tajności, proszę zapoznać się z ww. aneksem i go spalić. Zgodnie z wytycznymi zachowałem oryginał).

KRÓLIK OJCIEC dostarczył też (patrz: Aneks B/ przeczytać i spalić) listę 14 tysięcy nazwisk osób prenumerujących ulotki nienawiści w Luizjanie i Missisipi, zwolenników specyficznej serii nienawistnych artykułów popierających segregację, wymierzonych przeciwko Murzynom i kolportowanych przez organizację KRÓLIKA OJCA. Sprawdzenie kryminalnej przeszłości owych subskrybentów poskutkowało znalezieniem na liście 921 mężczyzn aresztowanych za drobne i poważniejsze przestępstwa oraz osób będących członkami skrajnie prawicowych ugrupowań.

2 – Mój plan polega na tym, by KRÓLIK OJCIEC drogą pocztową, przy pomocy listów podpisanych przez „anonimowego patriotę”, nakłonił owych mężczyzn do listownego skontaktowania się z DZIKIM KRÓLIKIEM po jego zwolnieniu ze służby w armii amerykańskiej. DZIKI KRÓLIK zweryfikuje otrzymaną korespondencję, nawiąże kontakt z najbardziej obiecującymi kandydatami i na tej podstawie zbuduje jądro swojej nowej komórki Klanu. Ustali reguły odnośnie do tego, co jego rekruci mogą, a czego nie mogą robić, a także zgromadzi informacje na temat ich poprzednich związków z szerzącymi nienawiść ugrupowaniami. DZIKI KRÓLIK określi też ich przyszłe obowiązki informatorów.

3 – WOJUJĄCY KRÓLIK i BIAŁY KRÓLIK wspominali o kampanii

agitacyjnej pod nazwą „Drugie Lato Wolności” w Missisipi oraz o planowanej na czerwiec 1965 kampanii agitacyjnej w okolicach Bogalusy w Luizjanie. DZIKI KRÓLIK chce wykorzystać te sytuacje i wydaje mi się, że jeśli przeprowadzi w tym miejscu i w tym czasie odpowiednio kontrolowaną, a jednocześnie robiącą wrażenie demonstrację siły, zdoła zwerbować znaczną liczbę zwolenników. Aby zapewnić sobie w przyszłości ich posłuszeństwo, DZIKI KRÓLIK wyposaży swoich rekrutów w niskiej jakości karabiny i broń krótką kupowaną przez jego przyjaciela CHARLESA „CHUCKA” ROGERSA (biały mężczyzna/ lat 43), tajnego kontraktowego współpracownika CIA działającego z DZIKIM KRÓLIKIEM w Wietnamie. ROGERS posiada szerokie koneksje w świecie handlu bronią oraz wśród prawicowych ugrupowań uchodźców kubańskich nad Zatoką.

4 – DZIKI KRÓLIK ustanowił wśród więźniów i eks-więźniów, jakich poznał, pracując jako strażnik więzienny w Missouri, „Ministerstwo do spraw Kolportażu Ulotek Nienawiści”. Planuje też werbowanie ludzi spośród gorliwych skazańców zwolnionych warunkowo, którzy kontaktują się z nim po opuszczeniu zakładów karnych. Moim zdaniem takie podejście do rekrutacji może przynieść nam wiele dobrego.

Na zakończenie:

Wydaje się, że na dzień dzisiejszy (20.02.1965) jesteśmy teoretycznie przygotowani do działania. Proszę o odpowiedź w dogodnej dla Pana chwili.

Z wyrazami szacunku,

BŁĘKITNY KRÓLIK

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.03.1965. Wewnętrzna notatka służbowa. Temat: OPERACJA CZARNY KRÓLIK/ 20.02.1965. Do: BŁĘKITNY KRÓLIK. Od: DYREKTOR. Oznaczono: „Ścisłe tajne”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

BŁĘKITNY KRÓLIKU,

możesz uważać zaproponowane przez siebie środki opisane w notatce z 20.02.1965 za w pełni zaakceptowane. Wkrótce za akceptacją popłynie żywa gotówka. W razie potrzeby możesz wymieniać informacje z KRÓLIKIEM OJCEM i BIAŁYM KRÓLIKIEM. Biorąc pod uwagę jego podejrzane zapatrywania, nie zdradzaj żadnych informacji związanych z BIAŁĄ NIENAWIŚCIĄ ani nie kontaktuj się w żaden sposób

z WOJUJĄCYM KRÓLIKIEM, o ile nie otrzymasz wyraźnego polecenia.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.03.1965. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: John Stanton. Od: Pete Bondurant. Oznaczono: „Doręczyć do rąk własnych przez specjalnego kuriera”/ „Po przeczytaniu zniszczyć”.

J.S.,

jesteśmy gotowi do działania po obu stronach oceanu. Oto sprawozdanie, o które prosiłeś.

Wszystko idzie gładko.

A) – Milt Chargin posmarował gliniarzom z centralnego archiwum Wydziału Policji LV i Szeryfa Okręgu Clark, skutkiem czego otrzymał listę wszystkich wcześniej notowanych ćpunów z zachodniego Vegas.

B) – Zwerbowałem na próbę czterech kolorowych handlarzy, którzy mieliby obsługiwać ostatni etap dystrybucji w zachodnim Vegas. Wszyscy czterej mają niewdzięczną robotę w kasynach i byli szczęśliwi, otrzymując taką fuchę. Przekazałem im kopie wcześniej wspomnianej listy nazwisk i kazałem dostarczyć figurującym na niej ćpunom darmowe próbki z pierwszej dostawy naszego towaru z 9.01.1965. Owe „darmowe próbki” wywołały w nich apetyt na więcej. Kazałem swoim 4 ludziom „częstować” każdego kolorowego, który tylko będzie miał ochotę. Znaleźli wielu chętnych i dzięki temu zyskaliśmy wielu „stałych klientów” (określenie Milta C., nie moje).

C) – Systematycznie sprawdzam tych 4 gości i jestem przekonany, że jak dotąd (1) nie zwędzili nic z towaru Kadry, (2) nie sprzedawali niekolorowym klientom, (3) nie sypnęli nikogo z Kadry ani z Taxi Tygrys, (4) nie chwalili się koleśiom z półświatka swoimi powiązaniem z Kadrą czy z Taxi Tygrys i (5) nie wygadają się z tym, jeśli zostaną zatrzymani przez policję, co jest mało prawdopodobne, bo (6) Milt posmarował brygadam antynarkotykowym szeryfa i WPLV, zapewniając im tym samym nietykalność, zaś jeśli któryś z owej czwórki zostanie aresztowany, plan jest taki, żeby wyciągnąć go za kaucją i stuknąć, zanim zaczną za dużo gadać.

Tak więc (7) wszystko jest zabezpieczone. Kierowcy Tygrysa dostarczają towar w ustalone miejsca, a handlarze rozprowadzają go i tą samą drogą przekazują pieniądze. Wszyscy kierowcy są porządnymi profesjonalistami i nie puszcza pary z gęby, jeśli ich ktoś przycisnie. Podczas swojego pobytu

w kraju Wayne od czasu do czasu śledził handlarzy, dzięki czemu ustalił, że nie podbierają towaru ani nie rzną nas w żaden inny sposób. Wayne ma diabelską reputację w zachodniej części LV, przez co żaden z handlarzy nie próbuje mu podskoczyć.

D) – Jak wiesz, Wayne wrócił do Sajgonu i 2.03.1965 wysłał do kraju drugą partię (2 kg). Rogers, Relyea, Mesplède, Guéry i Elorde pozostają w Laosie, gdzie doglądają produkcji M-bazy na Farmie Tygrys (podczas gdy Ty i inni goście, którzy zaplanowali tę balangę, płaczą się po całej Azji Południowo-Wschodniej, prowadząc jakieś pieprzone tajne działania). Produkcja na Farmie Tygrys utrzymuje się na wysokim poziomie, a zbiory w styczniu i lutym znacznie przewyższyły szacunki naszych chemików. Skończyła się amfetamina od Trana (może to i dobrze – wykitowało po niej 3 niewolników) i przez tydzień (pod koniec lutego) pracowaliśmy mniej wydajnie, bo niewolnicy palili kosmiczne ilości opium i odlatywali. W kwietniu musimy podpalić plantację, żeby przygotować glebę pod jesienny zasiew, ale mamy wystarczający zapas M-bazy, żeby przetrwać do następnych zniw, jako że 3 wytwórnie, które najechaliśmy i zdobyliśmy w listopadzie, były tym półproduktem zapchane. Na razie nie wycofałem się z polityki gumowych kul, bo byli ARVN-owcy i eks-Vietcongi nadal toczą spory. Mesplède co tydzień organizuje walki bokserskie pomiędzy jednymi i drugimi (niewolnicy robią za sędziów i sekundantów), co pomaga rozładować atmosferę i podnieść morale.

E) – Miałeś rację co do „porządków”. Can Lao zajęło palarnię pod laboratorium (i najprawdopodobniej 600 innych), ale teraz, kiedy skończyły się te początkowe ceregiele z przybyciem żołnierzy, wszystko wróciło do normalnego stanu. Żaden z przelotów Chucka z towarem z Saravanu do Sajgonu nie został zakłócony, a służby celne po żadnej ze stron nie sprawdzały ładunku. Palarnia pod laboratorium i bar Go-Go znów zostały otwarte, a Wayne nadal testuje dawkowanie na miejscowych ćpunach. Tran powiedział, że Khanh przestał wygłaszać antynarkotykowe oświadczenia, a w Sajgonie wszyscy wydają się przejęci przybyciem wojska i wiszącą w powietrzu wojną. Miałeś rację, wygląda na to, że ta koncentracja sił może stanowić dla nas dodatkową przykrywkę.

F) – Przerzuty jak dotąd odbywają się bez przeszkód. Na Tan Son Nhut celnicy nie sprawdzają odlatujących samolotów, a i w Nellis nie było dotychczas żadnych problemów. Mój przyjaciel Littell nadzorował 9.01.1965

przerzut ładunku z Nellis do magazynu Agencji i dalej, do ostatecznego miejsca odbioru „darowizny”, tj. do Arsenалу Gwardii Stanu Nevada. Milt C. przetransportował towar z magazynu do Taxi Tygrys. Nasz system jest idealnie zabezpieczony przed wypadkami, a Gwardia niezmiernie cieszy się z „darowizn” pana Hughesa.

G) – Milt musiał ponieść w związku z operacją pewne nieprzewidziane wydatki, lecz nie licząc tego, jesteśmy jak na razie 182 tysiące dolarów do przodu, gdy chodzi o nasze zyski w Vegas z partii przesłanych 9.01 i 2.03. Jestem gotów przenieść Chucka, Laurenta i Flasha do kraju i zlecić im inspekcję obozów dla uchodźców, ocenę rekrutów i rozpoczęcie szkolenia wojskowego dla tych, których wybiorą. Bob Relyea w maju odchodzi z armii, żeby rozpocząć pracę dla federalnych, i będzie stacjonował w pobliżu Zatoki. Wykorzysta swoje kontakty w handlu bronią i pomoże Chuckowi, Laurentowi i Flashowi w dostarczaniu jej uchodźcom.

To by było wszystko. Nie mogę się już doczekać, żeby ruszyć wątek kubański. Dajmy sobie spokój z tą ostrożnością i gównianymi ograniczeniami finansowymi i bierzmy się do roboty.

Viva la Causa!

P.B.

68

(Las Vegas/ Los Angeles/ Miami/ Waszyngton DC/ Chicago/ Selma, 21 marca 1965–15 czerwca 1965)

Pokuta. Dziesięcina. Kontruderzenia.

Był posłuszny panu Hooverowi. Nagrywał Bayarda Rustina. Króliczał. Dopuszczał się kolejnych zrad – operacja KRÓLIK – kontrdziesięcina pana Hoovera.

Podróżował służbowo. Pracował dla Draka i Jimmy’ego. Pracował dla Draka i dla Chłopców. Latał z DC do Miami. Latał z Chicago do LA.

Krążył po bankach. Zakładał nowe konta. Podawał fałszywe nazwisko. Wpłacał gotówkę. Wypisywał czek. Płacił dziesięcinę SCLC.

Kontroperacje:

Działki z odciągania. Defraudacje. Pozbawianie pazurów CZARNEGO KRÓLIKA.

Skubał Draka. Brał niewielkie kęsy – maleńkie, isticie królicze. Udawało się. Plan z odciąganiem też działał. Spływała do niego kontrgotówka.

On pracował.

Pracował dla Jimmy’ego. Pisał wnioski. Walczył z dwoma wyrokami. Zastukał do drzwi Chłopców. Zdobył dwie bańki na Fundusz Nadziei Jimmy’ego.

Nowa nadzieja. Złudna nadzieja. Beznadzieja. Nie znaleźli się przekupni przysięgli. Nie znalazły się przekupne sądy.

Pan Hoover miał wejścia. Pan Hoover lubił Jimmy’ego. Pan Hoover mógł pomóc. Nie naciskaj na niego ani go nie błagaj. Nie powiększaj swojego długu – jeszcze nie.

Pracował dla Draka. Pisał wnioski. Grał na zwłokę. Potrzebował roku – góra szesnastu miesięcy. Wtedy niech Drakula pozbędzie się udziałów. Niech dobierze się do swojej gotówki. Niech wstrzyknie ją w Las Vegas.

Fred Otash pracował.

Fred Otash gromadził. Fred Otash przesiewał. Fred Otash szukał skandali.

Zdobądźmy archiwa. Znajdźmy brudy. Będziemy mogli je wykorzystać.

Te archiwa istniały: „Poufności”/„Szał”/„Szeptem”/„Sensacje” i „Cichosza!”. Archiwa istniały. Archiwa kusily. Archiwa zionęły brudem.

Podśluchy zionęły brudem.

Littell zakładał podśluchy w Vegas. Fred Turentine pomagał. Zapluskwili hotelowe pokoje. Dostali brudy. Dostali ustawodawców.

Na razie trzech – trzech cudzołożników/ trzech dziwkarzy/ trzech pijaków.

Fedzie obsługiwali stanowiska podsłuchowe – dwóch agentów przez trzy miesiące. Pan Hoover się znudził. Takie brudy mu nie wystarczały. Takie brudy to nie były brudy.

Pan Hoover wycofał fedziów. Zastąpił ich Fred. Fred zionął brudem. Fred gromadził brud. Fred patynował brud. Fred zachowywał brud dla Pete’a.

Trzech ustawodawców i jedyny w swym rodzaju Pete. Uległość gwarantowana. Mamy już głosy komisji. Teraz mamy WAS. Obiecacie poparcie. Patrzcie biernie, jak łamiemy ustawy antytrustowe. Patrzcie, jak rządzą w Las Vegas. Patrzcie, jak spadają hotelowe zyski. Patrzcie, jak pędzą w górę odciągnięte przychody. Patrzcie, jak Littell inwestuje odciągniętą gotówkę.

Mamy „prawdziwe” księgi. Mamy środki. Wiemy wszystko, co wiedzieć musimy, żeby je zalegalizować. Wchłaniamy różne biznesy. Przerzucamy gotówkę. Budujemy zagraniczne kasyna.

Chłopcy ciują kasę. Chłopcy lawirują. Chłopcy omijają przeszkody – zazwyczaj.

Sam G. właśnie na jedną wpadł. To była najświeższa wiadomość. Sam siedział w więzieniu w Chicago. Wezwała go wielka ława przysięgłych. Zebrał ją Bobby – jeszcze wtedy prokurator generalny.

Sam odmówił składania zeznań. Sam powołał się na Piątą Poprawkę. Sędzia wezwał go do stawienia się w sądzie.

Obraza Wysokiego Sądu – Zakład Karny Okręgu Cook. Wyrok wielkiej ławy przysięgłych – rok, do wiosny 1966.

Sędzia wyżywał się na Samie. Sędzia małpował Bobby’ego. Bobby wyżywał się na Samie w 1957. Bobby był wtedy senackim prawnikiem. Teraz Bobby był senatorem.

Odtwarzał nagrania Bobby’ego. Krążył po Senacie. Przesiadywał na galerii. Obserwował Bobby’ego. Czytał sprawozdania z obrad. Śledził każde słowo Bobby’ego.

Bobby gromi projekty ustaw. Bobby wychwala projekty ustaw. Bobby nigdy nie wspomina o Chłopcach. Bobby skupia się na prawach obywatelskich. Bobby wychwala doktora Kinga.

Littell nagrywał Bayarda Rustina. Bayard chwalił Kinga. Littell spotykał się z Bayardem bez okablowania. Bayard ostatnio posmutniał. Bayard pokazał mu list.

„King, uderz się w piersi”.

„King, jak to z każdym kanciarzem być musi, twój koniec jest bliski”.

„Jesteś gigantycznym oszustem, wyjątkowo podłym i złym”.

„King, pozostało ci tylko jedno”.

Spotkali się w Lafayette Park. Bayard pokazał mu ten list. Littell go przeczytał. Littellowi zakręciło się w głowie. Littell odszedł.

Spotkał się z Bayardem raz jeszcze. Znów w Lafayette Park. Rozmawiali bez okablowania. To go podniecało. To go przerażało.

Ogony.

Dwight Holly kazał go śledzić. Tak twierdził pan Hoover. Ogony w Vegas – przed KRÓLIKIEM.

Holly był BŁĘKITNYM KRÓLIKIEM. Holly prowadził CZARNEGO KRÓLIKA. Holly go nienawidził. Ogony oznaczały kontrolę. Ogony oznaczały dokumentację. Ogony oznaczały gromadzenie informacji.

Spotkał się w Vegas z Jane – ten jeden okropny raz – potencjalne ogony czyhały. Spotkał się z Janice – ich pierwszy raz – potencjalne ogony czyhały.

Holly wycofał ogony. Holly wycofał je jeszcze przed KRÓLIKIEM. Tak twierdził pan Hoover. Holly dowodził KRÓLIKIEM. Holly miał wpływy. Holly mógł posłać ogony ponownie.

Spotkał się z Bayardem. Dwa spotkania bez okablowania. Oglądał się za ogonami. Żadnych nie zauważył. Nikt mu nie podpadł. Nikt nie wydał się prawdopodobny.

Bayard powiedział: „Jedź do Selmy. Zobaczysz, jak się tworzy historię”.

Posłuchał go. Poleciał na Południe. Pod przybranym nazwiskiem. Podrobił legitymację prasową. Unikał demonstrantów. Unikał policji. Przyłączył się do dziennikarzy.

Obserwował. Bał się ogonów. Był świadkiem Krwawej Niedzieli.

Droga nr 80. Most Edmunda Pettusa. Grupa szturmowa szeryfa Clarka – konie i radiowozy z flagami Konfederacji na zderzakach.

Clark otoczył demonstrantów. Clark powiedział: „Macie dwie minuty,

żeby się rozejść”. Po minucie oddział zaatakował. Zaatakował gazem łzawiącym i gumowymi pałkami. Zaatakował pejciami i pałkami owiniętymi drutem kolczastym.

Oddział ruszył na demonstrantów. Oddział się przedarł. Oddział ich skosił. On patrzył. Schował się za kamerami. Widział, jak drut kolczasty rozdziera nosy. Widział, jak pejce odrywają uszy.

Chował się. Potulny WOJUJĄCY KRÓLIK. Niegodny odważnych CZERWONEGO i RÓŻOWEGO.

Poleciał z powrotem do Vegas. Myślał o ogonach. Myślał o panu Hooverze. Pan Hoover obiecał notatki służbowe – pan Hoover nie przysłał żadnej.

Zastanówmy się. Pobójmy się trochę.

Pan Hoover jest zajęty. Tkwi głęboko w CZARNYM KRÓLIKU. BŁĘKITNY KRÓLIK mu doradza. BŁĘKITNY nienawidzi WOJUJĄCEGO. BŁĘKITNY przechwytuje notatki. BŁĘKITNY hamuje ich przepływ.

Albo:

Pan Hoover ma plany. Bardzo drastyczne. Plany, które zastąpią nakłaniające do samobójstwa listy. Po co niepokoić WOJUJĄCEGO? Po co narażać się na jego pokrętne wyrzuty?

Lepiej nie drażnić go taką wiedzą. Lepiej nie narażać się na zdradę. Lepiej nie wystawiać na próbę jego niemądrych ideałów.

Albo:

BŁĘKITNY ma swoją marionetkę – DZIKIEGO KRÓLIKA, za którego sznurki pociąga. DZIKI KRÓLIK pracuje sam. DZIKI dowodzi Klanmanami. DZIKI może się uniezależnić. DZIKI może stać się zwyczajnym łobuzem.

Pan Hoover o tym wie. BŁĘKITNY o tym wie – więc po co mówić o tym WOJUJĄCEMU?

Tylko niezbędne informacje. Przeczytać i spalić. Szufladki. Blokada dostępu. Zabawa w chowanego w miłości.

Miał Jane. Jane przeżyła jakoś wycieczkę do Las Vegas. Jane nigdy tam więcej nie pojechała. Powrócili do dawnych zasad. Na powrót zablokowali swoje szufladki. Ukryli się w LA.

Nie powracali do tamtej kłótni. Wznowili swą grę. On kłamał. Ona kłamała. Szyfrowali wiadomości. Ich szyfr mówił, że schrzanili sprawę. Ich szyfr mówił, że to boli. Ich szyfr mówił, że przeżyli Dallas.

Jane wiedziała, że nagrywał Bobby’ego. Jane wiedziała, że skubie

Howarda Hughesa. Jane znała Chłopców. Jane znała Życie. Jane naprawdę bała się Teamstersów.

Szufladki. Blokada dostępu. Miłość i kłamstwa. Miłość była w porządku. Kłamstwa bolały. Blokada trzeszczała.

Podróżował. Zablokował się w Vegas. Szufladkował. Spotykał się z Barb. Wstąpił do jej fanklubu. Siadywał tuż przy estradzie.

To były szczeniackie randki. Podziw i szczere rozmowy. Bezalkoholowe napoje i jej występy.

Pete się kręcił. – Wietnam, Vegas, Wietnam – wszyscy utrzymywali kontakty towarzyskie. Barb kręciła się z *nim*. Jej źrenice nie były już jak główki od szpilek. Jej oczy błyszczały.

Piguły. Jej tajemnica. Jej pocięcha pod nieobecność Pete'a.

Kochali się w niej wszyscy faceci. Powiedział o tym Pete'owi. Pete stwierdził, że wie. Barb się rozwijała. Barb zmieniała się, gdy ją obserwował. Barb zmieniała swe idiotyczne *emploi*.

Częściej stawała na iksowatych nogach. Częściej improwizowała i się naśmiewała. Mam metr osiemdziesiąt wzrostu. Nie umiem śpiewać. Wiem o okropnych rzeczach.

Kochał ją. Kochał ją bardziej niż Janice i Jane.

Janice była w LV. Jane była w LA. Kręcił się między nimi. Szufladki: szczerłość i kłamstwa/ osobne przegródki.

Janice wyjawiała swe tajemnice. Janice *nigdy* nie kłamała. Mówiła o seksie. Udowadniała, że jej słowa to nie tylko przechwałki. Afiszowała się swoją chucią.

Za dużo mówiła. Wabiła mężczyzn. Uwielbiała ten dreszczyk. Zdawało jej się, że panuje nad facetami. Jej opowieści temu przeczyły. Myliła chuć z uczuciem.

Rozwiodła się z Wayne'em Seniozem. Pozbyła się jego nazwiska. Znów była Lukens. Zarobiła swoje dwa miliony. Opłacała je skurczami. Opłacała je kulawą nogą.

Walczyła. Grała w golfa. Utykając, nie miała szans na wygrane. Nigdy nie płakała. Nigdy się nie skarżyła. Nigdy nie narzekała.

Spotykali się w jej domku. Kochali się. Rozmawiali.

To Janice *mówiła*. On słuchał.

Pieprzyła się kiedyś z jednym Murzynem. Wayne Senior się dowiedział i go zabił. Pieprzyła się z Clarkiem Kinmanem. A Wayne Senior ją

podglądał. Pieprzyła się z chłopcami hotelowymi, którzy się o nią założyli.

Pieprzyła się z Wayne'em Juniorem. Musiała zapłacić.

Za dużo mówiła. Za dużo piła. Kuśtykała po korcie tenisowym. Kierowała nią obłąkańcza siła woli. I nie lubiła Jane.

Janice mówiła i mówiła. Janice lubiła dygresje. Janice opowiadała o Wayne Seniorze. Był zły. Był okrutny. Był zdolny do WSZYSTKIEGO.

Janice mówiła. Janice go przerażała. Wayne Senior był KRÓLIKIEM OJCEM.

69

(Las Vegas/ Miami/ Port Sulphur/ Sajgon/ Saravan/ Dac To/ Dak Sut/ Muang Kao, 21 marca 1965–15 czerwca 1965)

Kręcenie się:

Ze wschodu na zachód – z W do V – z Wietnamu do Vegas.

Barb czekała na niego na lotnisku. Promieniała. Jaśniała. Przeczyła zupełnie tamtemu listowi.

Tamten list spędzał mu sen z powiek. Nerwowa pisanina i te wzmianki o „radości i smutku”. Myślał o pigułkach – amfa, a potem anielski pył, na wyciszenie.

Nie/niet/nein. Noi, jak mówią w Wietnamie. Barb promieniała. Barb, kurwa, jaśniała własnym światłem.

Oboje jaśnieli, już od trzech lat. Jaśnieli, jednocześnie zmagając się z szambem. Barb była coraz lepsza. Barb była coraz silniejsza. Barb miała rentgen w oczach.

Prześwietlała ludzi na wskroś. Znała to Życie na wskroś. Życie było wrednie ułożone. To mężczyźni podejmowali ryzyko. I dobrze się bawili. I konspirowali. I służyli wielkim sprawom. Kobiety służyły im herbatą.

Barb powiedziała: „Miałam swoje pięć minut wcześniej. Szantażowałam JFK”. Barb powiedziała: „Ty masz Kubę. Ja mam Salon Sułtana”.

Nie zrzędziła. Nie odgrywała sekutnicy. Powiedziała tylko, że się zmieniła.

Przemilczeli to. Wyczuł, że Barb potrzebuje zmiany. Vegas ją tłamsiło. Sprzedał pierwszą partię towaru. Kupił dwa bilety na wschód.

Polecieli do Miami. Wzięli ze sobą kota. Wzięli apartament w Doral. Kot go zdemolował.

Darł zasłony. Srał na fotele. Łowił ptaki na tarasie. Wyżerał dostarczane do pokoju jedzenie.

Widzieli Dino⁴². Widzieli Shecky’ego Greene’a⁴³. Dostali miejsca tuż przy scenie. Spali do późna i uprawiali seks.

Rozmawiali. Pete mówił o Wietnamie. Kłamał. Przemilczał zabijanie. Przemilczał niewolników.

Barb go podchodziła. Barb zastawiała pułapki. Barb wykrywała jego kłamstwa. Stwierdził: pieprzyć to. Dał sobie na luz. Otworzył się.

Barb powiedziała: „I to wszystko dla *Kuby?*”.

Trochę się opalali. Wpadli na Jimmy’ego H. Razem poszli na kraby. Jimmy kipiał. Jimmy się gotował. Jimmy non stop zawodził.

Jego tarapaty z prawem. Sam G. w opalach. Jego pękające hemoroidy.

Pete drażył. Pete podpuszczał. Pete bazował na jego niehumorze. Pete naprowadzał. Pete kluczył.

Kansas City. Rok 1956. Danny Bruvick robi cię na szaro.

Jimmy nie wyrobił – co za kurewstwo! / co za skurwysyństwo! / to ta pizda niemyta Arden! Jimmy nie oszczędzał Arden. Jimmy rzucił bombę:

Arden Bruvick – ta pizda – była kiedyś laską Jules’a Schiffrina.

Pete powiedział: „Przepraszam”. Pete poszedł do sracza. Znalazł sobie tron. Pete zasiadł. Pete się zadumał.

Jules Schiffrin – mafijny finansista – zmarł w 1960. „Prawdziwe” księgi Funduszu – własność Schiffrina. Arden Bruvick: *księgowa*.

Jest rok 1956. Kansas City. Danny Bruvick pryska z forszą. Jimmy się gotuje. Gliny zwijają Arden. Korporacja T&C wpłaca za nią kaucję. T&C należy do Carlosa M.

Cięcie, i:

Rok 1959 – Nowy Orlean – J.P. Mesplède przejazdem. Mesplède widzi Arden – z jakimś gorylem od Carlosa.

Cięcie, i:

Rok 1960 – Wisconsin – Ward Littell wykrada księgi. Schiffrin umiera na zawał.

Cięcie, i:

Jesień 1963. Carlos uderza do Warda. Carlos mówi: „Masz księgi. Jimmy o tym nie wie. Chłopcy i ja wiemy. Znamy cię. *Mamy* cię. Sprzedasz Drakowi nasze hotele. *Rozpracujesz* księgi. Wyciągniesz z nich dane. Będziesz prał pieniądze”.

Cięcie, i:

Dallas – czas zamachu – Arden poznaje Warda. Pracuje dla Jacka Ruby’ego. Prowadzi *jego* księgi. Była w kryjówce. Widziała cele. Widziała ekipę.

Ward leci na Arden. Carlos chce jej śmierci. Ward robi z Arden „Jane”. Ward ukrywa „Jane”. Ward kombinuje z księgami Funduszu.

A zatem:

Czy Carlos znalazł Arden? Czy Carlos okazał miłosierdzie? JEŚLI BĘDZIESZ DONOSIĆ NA LITTELLA? Arden była księgową. Arden znała Schiffrina. Arden żyła z Littellem.

Wszystko logiczne, ale:

On sam widział Warda z „Jane”. Byli ze sobą *naprawdę*. Wiedział to.

To go przerażało. To mu spędzało sen z powiek. Myślał: *prawdziwe* układy z kobietami łatwo można podkopać – i w ten sposób wszystko spieprzyć.

Barb widziała, jak podpuszczał Jimmy’ego. Barb wiedziała, co może znaczyć taka wycieczka do kibla. Barb czegoś się domyśliła. Dopowiedział jej potem resztę. W skrócie. Pomiął Carlosa. Pomiął Wielkie D.

Barb była zachwycona. Barb uwielbiała sekrety. Barb potrafiła ich dochować. Rozmawiali. Powiedział – dowiem się więcej.

Zadzwoił do Freda Otasha. Otash chciał być pomocny. Otash powiedział: „Pracuję nad tym – nic się nie martw. Przekupię *więcej* gliniarzy. Dam *więcej* łapówek na poszukiwania. Moi gliniarze przejrzą akta i oddzwonią”.

Otash miał też wiadomość: Ward go wynajął. Ward pragnął brudów. Ward mu zapłacił – odszukajmy archiwa starych szmatławców.

Pete powrócił do tematu Arden. Pete powiedział: „Ani słowa Wardowi – nawet mu o tym nie wspominaj”. Otash szedł mu na rękę. Otash miał już zdjęcia Arden. Otash *wiedział*, że Arden to Jane.

Pete’owi spędzało to sen z powiek. Pete dumał. Pete przeżywał. Pete się kręcił.

Vegas było okej – sto procent. Hera trafia na rynek. Wieść się niesie. Klientów przybywa: niuchaczy/zjadaczy/szprycerów/ćpunów maści wszelkiej.

Handlarze działali. Handlarze głosili nowinę. Nosili szpanerskie ciuchy. Jeździli czaderskimi brykami. Wychwalali wielką „H”. Gloryfikowali. Upiększali. Koloryzowali.

Krążyli po osiedlach. Przyciągali tłumy. Wciągali mleko w proszku i cały czas dobrze się trzymali. Obalali mit o uzależnieniu.

Nosili wisiory. Nosili sztucznie prostowane włosy. Nosili pistolety pokryte sztucznym złotem. Kłamali. Mówili, że to czarni prowadzą ten biznes.

Przeczyli istnieniu Białego Człowieka.

Wayne ich śledził. To ich przerażało. Znali reputację Wayne'a. Wayne Junior – niedoobry. Wayne Junior – zabójca naszych braci.

Zyski rosły. Milt je sumował. Milt radował się heroinową epidemią. Była ograniczona. Była pod kontrolą. Białych należało trzymać od tego z daleka.

Zjawił się jakiś handlujący śmieć. Rzeczony śmieć miał ambicje. Rzeczony śmieć zwęszył interes. Rzeczonego śmiecia węch nieco zawiódł:

Hera jest cool – pohandlujmy trochę – mafii to nie przeszkadza.

Pete rozesał swoich asfaltów. Asfalty złapały śmiecia.

Santo T. miał rekina o imieniu Batista. Rekin mieszkał u Santa w basenie. Żarł hamburgery. Żarł steki. Żarł pizzę.

Asfalty wrzuciły śmiecia do basenu. Batista pożarł go żywcem.

Hera pozostała na zachodzie. Ćpuny pozostały w domu. Ćpuny wystrzegały się białego Vegas. Tygrysie taksówki krążyły po zachodnim LV. Oczy Tygrysa czuwały.

Jak dotąd:

Żadnych nowych handlarzy. Żadnych szopek z glinami. Żadnych podskoków ze strony nieprzekupionych darmochoą ćpunów.

Taxi Tygrys było na topie. Nawet Sonny Liston był ich. Sonny jadł w dyspozytorni. Sonny pił w dyspozytorni. Sonny występował w lokalnej TV.

Sonny robił im reklamę. Sonny głosił nowinę: „Taxi Tygrys to po prostu nokaut”. „Taxi Tygrys to kop w niewieści zadek Cassiusa Claya”.

Pedalscy kierowcy kursowali. Normalni kierowcy kursowali. Pete zarządził odprężenie pomiędzy frakcjami. Pedalscy kierowcy handlowali chłopcami. Pedalskie osobistości chłopców kupowały. Pedalscy kierowcy wozili cweli do hoteli.

Pedalscy recepcjoniści silili się na elegancję. Pedalscy recepcjoniści znacząco się uśmiechali. Pedalscy recepcjoniści przydzielali pokoje. Rzeczony pokoje: zapluskwione/okablowane/szantażogenne.

Pedalscy kierowcy wozili cweli. Pedalscy kierowcy handlowali numerkami. Długi Dom bzykał się z Salem Mineo. Długi Dom bzykał się z Rockiem Hudsonem.

Sonny mówił: „Tygrys krąży przez dwadzieścia cztery na dobę! Jeśli nie swingujesz, z Tygrysem nie kursujesz!”.

Taxi Tygrys rządził w Vegas. Farma Tygrys trzęsła Laosem – i to ostro.

Pete się kręcił. Pete wyjechał z Vegas. Pete przeciął pępowinę łącząco go z Barb. Wayne się kręcił. Stanton działał w Sajgonie. Laurent i Chuck działali w Laosie.

Pete oddelegował Flasha – kwiecień 1965 – wyraźny rozkaz. Ruszaj nad Zatokę. Ruszaj do uchodźców. Łów dobrych rekrutów.

Pete oddelegował Mesplède'a – kwiecień 1965 – wyraźny rozkaz. Ruszaj do Stanów. Ruszaj na Południe. Łów dobrych handlarzy bronią.

Bob Relyea opuścił Laos – maj 1965 – Bob Relyea ruszył do Missisipi. Bob był teraz fedziem. Zajmował się kapowaniem. To była tajna Ku-Kluksprawa.

Chuck miał podążyć za Bobem. Chuck miał ruszyć do Houston. Chuck miał łowić broń. Chuck miał łowić w pobliżu Zatoki – blisko Missisipi. Blisko Mesplède'a i swego kumpla Boba.

Chuck rechotał do Boba. Bob rechotał do Chucka. Rechotali kontrapunktowo. Przerechotali całe wielkie pożegnanie Boba.

Zebrało im się na figle. Zebrało się na grę słów. Zebrało się na klan-błaznowanie. Birmingham, Alabama. Tak naprawdę BOMBingham. Bogalusa – che-che-che – BOMBalusa.

Bob odszedł do federalnych. Chuck zmienił współlokatora. Chuck waletował teraz z Laurentem Guérym. Chuck zawracał głowę. Chuck truł dupę. Chuck go zamęczał:

Tym swoim Klan-pieprzeniem. Błazeńskimi Klan-deklaracjami. Klan-zapewnieniami o krzyżach, które wkrótce zapłoną.

Kręcenie się, nieustanne kręcenie się – Dallas–Vegas – Vegas–Wietnam. Powitania i spotkania ekipy z dawnych lat.

Chuck się ćwiczył. Strzelał z pagórka. Mesplède strzelał z karabinu Oswalda. Flash i Laurent byli w ekipie Boyda. Zostali odsunięci jeszcze przed zamachem.

Kręcenie się – Sajgon–Zatoka – Zatoka–Kuba. Flash jest Kubańczykiem. Flash jest śniady. Flash mógłby się dostać.

Plan: Flash trafia na Kubę. Flash organizuje ruch oporu. Flash znajduje dobrych ludzi. Flash szmugluje ich do Stanów. Flash przerzuca ich łodziami. Flash dostarcza ich Guéry'emu i Mesplède'owi.

Mają taką budę. W pobliżu Zatoki. Mają elektrody. Torturują ludzi. Testują wytrzymałość. Wyrabiają lojalność.

Kręcenie się – Kuba–Zatoka – Zatoka–Wietnam. *Ogrrrrrrromne* liczby

amerykańskich żołnierzy.

Stanton znał te liczby. Stanton wiedział o prowokacjach. Stanton zapowiadał długą wojnę.

Vietcong uderza na Pleiku. Ginie ośmiu jankesów. LBJ reaguje. Atak sił powietrznych: Operacja Płonąca Strzała.

Vietcong uderza na Qui Nhon. Ginie dwudziestu jeden jankesów. Kolejny atak sił powietrznych: Płonąca Strzała II.

Przybywają amerykańscy żołnierze – „doradcy” – dwa bataliony piechoty morskiej. Kolejne ataki sił powietrznych: Operacja Grom.

Przybywają dwa bataliony – logistycy – dwadzieścia tysięcy ludzi. Zostają rozlokowani. Zostają rozproszeni. Zostają oddelegowani do jednostek Marvów.

Wymiany ognia. Polegli jankesi. W odpowiedzi koncentracja sił – stopniowa – każdy rzut to czterdzieści tysięcy żołnierzy. Przybywają do Sajgonu. Płaczą się na przepustkach. Roją się na ulicach. Długa wojna – dobra rzecz. Kadrze w to graj. Koncentracja sił – bu-kuu.

Wayne mieszkał w Sajgonie. Wayne mieszkał w laboratorium. Wayne mówił, że w jego pieprzonym świecie też się roi. Coraz więcej ludzi. Coraz większy hałas. Coraz więcej piosenek brzmiących w kanałach wentylacyjnych. Coraz więcej Marvów. Coraz więcej ćpunów. Coraz więcej dziwek.

Coraz lepsza przykrywka. Coraz więcej hery. Coraz więcej kasy.

Stanton prął zyski. Stanton zaopatrywał Pete'a. Pete zaopatrywał Mesplède'a. Mesplède kupował *broń* – dla Sprawy.

Pięćdziesiątki/ ithaki/ maszynowe browningi/ karabiny przeciwpancerne.

Flash znalazł obóz uchodźców. W pobliżu Zatoki i bardzo ooookej. Leżał koło Port Sulphur w Luizjanie. Mieścił sześćdziesięciu rekrutów – samych kubańskich dupków.

Mesplède podrzucił im trochę broni. Dupki wyły z radości. Pete wpadł do nich na chwilę. Pete obejrzał rekrutów. Pete obejrzał manewry.

Rekruci byli mocni. Rekruci byli *très* twardzi. Rekruci byli *très sanguinaire*⁴⁴.

Pete się kręcił. Wrócił do Sajgonu. Spotkał się z kumplami Stanton z CIA. Sześciu chłopów plus Stanton – wszyscy skubanizowani.

Rozmawiali o Kubie. Rozmawiali o działaniach. Rozmawiali o testach na wykrywaczu kłamstw. Będą przeprowadzane na wyrywki i obowiązkowe.

Obejmą całą Kadrę. Rozpoznamy i pozbądźmy się zdrajców. Wykopmy złodziei. Zapewnijmy sobie lojalność.

Polecieli do Laosu. Stanton zabrał wykrywacz. Pete poddał się próbie. Pete wypadł czysto. Tran poddał się próbie. Tran wypadł czysto.

Stanton został z wizytą. Stanton przyglądał się wiosennemu wypalaniu.

Strażnicy rozkuli niewolników. Niewolnicy gromadzili chrust. Strażnicy utworzyli brygadę ogniową. Ułożyli chrust w stosy. Rozmieścili je – jeden na każdy zagon makowego rzyska.

Niewolnicy napełnili beczki propanem-butanem. Strażnicy zanurzyli w paliwie pochodnie. Strażnicy zaczęli drzeć się z radości. Strażnicy zapalili pochodnie. Strażnicy podpalili chrust.

Pola zapłonęły. Niebo pojaśniało. Pola paliły się całą noc. Strażnicy wiwatowali. Niewolnicy wiwatowali. Farma Tygrys zmieniła się w pogorzelsko.

Popiół wzbijał się w górę. Popiół opadał. Popiół użyźniał glebę.

Stanton był zachwycony. Stanton został jeszcze. Na walkę Clay–Liston. Chuck jakoś się podłączył do radiostacji MACV w Sajgonie.

Sonny przegrał. Walce brakowało polotu. Kiepy ze sportowych gazet darły się: „Ustawiona walka!”.

Pete się śmiał. Gówno prawda – Pete *wiedział*:

Sonny był stary. Sonny był powolny. Sonny był poddanym Tygrysa.

70

(Las Vegas/ Sajgon/ Saravan. Bao Loc, 21 marca 1965– 15 czerwca 1965)

Eskalacja. *Popatrzmy.*

Khanh jest. Khanha nie ma. Premier Ky ściera w proch premiera Khanha. Bez mrugnięcia okiem – zamachy stanu i starcia w proch – normalka.

„Eskalować” – czasownik – ulubione słowo LBJ: „zwiększać, wzmacniać, intensyfikować”. Eskalacja działań zbrojnych. Wayne obserwował.

Przybywało coraz więcej piechoty. Obiecywano coraz więcej piechoty. Prowokacja oznaczała reakcję. Przybywało coraz więcej marines. Obiecywano coraz więcej marines. Przybywało coraz więcej wojsk powietrznych. W odpowiedzi obiecywano coraz więcej wojsk powietrznych.

Coraz więcej poległych:

Coraz więcej zamachów bombowych w centrum Sajgonu. Coraz więcej trupów. Hotel Brinks/ ambasada – coraz więcej zabitych jankesów.

Coraz więcej Vietcongu. Coraz więcej nocnych patroli. Coraz więcej akcji sabotażowych.

Pleiku – rozwalone samoloty – śliczna amerykańska flota powietrzna. Vietcong atakuje – nader śmiało i z animuszem. Vietcong używa bomb domowej roboty – *très* VC. Trotyl/ palmowe liście/ bambus.

Wiele samolotów eksploduje. Ginie *jeden* VC.

Prowokacja oznaczała reakcję. Reakcja oznaczała naloty bombowe. Coraz więcej pilotów. Coraz więcej żołnierzy. Coraz więcej artylerii.

Stanton rzucał liczbami. Prowokacja oznaczała reakcję – reakcję o stosownej sile. Stanton przewidywał napływ dwustu tysięcy żołnierzy do końca 1965 roku.

Potężne liczby. Potężne uzbrojenie. Potężna siła.

Wayne obserwował. Wayne patrzył. Wayne nie rozumiał. Wietnam był jednym wielkim szambem. Vietcong nie mógł przegrać. Vietcong żył po to, żeby zginąć.

Jeden Vietcong wszedł do Go-Go. Ubrany jak to Vietcong – czarna piżama de-lux. Trafił go jakiś snajper. Wybuchła bomba. Ups – Vietcong-kamikadze. Sześć trupów – sami Amerykanie – wynik: 6:1 dla Vietcong.

Stanton uwielbiał tę wojnę. Pete też. Stanton i Pete uwielbiali Kubę. Kuba to też było szambo. Taki Sajgon – tyle że z piachem.

Kadra uwielbiała tę wojnę. Kadra była tu dla Kuby. Wayne był tutaj, żeby popatrzeć.

Tkwiał w Sajgonie. Produkował herę. Patrzył. Szweje wpadali do Go-Go. Szweje wpadali na dziwki. Szweje rżnęli je na gołej podłodze.

Patrzył.

Ćpuny z palarni się rozłożyły. Wapno zżarło kości. Marvi zrobili z nich nawóz. Marvi sprzedali go hurtem.

Patrzył.

Vietcong spalił słupy wysokiego napięcia. Sajgon tonął w ciemnościach. Piloci zrzucali flary w psychodelicznych barwach.

Patrzył. Pracował. Mieszkał w Sajgonie. Jeździł do Bao Loc. Kupował broń. Rzeczona broń była przykrywką dla prochów. Rzeczona broń miała być darowizną.

Jeździł tam i z powrotem. Włóczył się za patrolami. Jego ulubioną czynnością było *patrzenie*:

8.04.1965 – niedaleko Dinh Quan. Wymiana ognia na polach ryżowych – Marvi kontra VC.

Na drodze wybuchła mina. Jeep Wayne'a wyleciał w powietrze. Przednia szyba się rozleciała. Kierowca najadł się szkła. Kierowca zginął. Wayne przyczaił się przy jego zwłokach.

Krzaki – niedaleko od drogi. Teraz się poruszają. To przybrani w gałęzie VC.

Nacierali. Marvi rozciągnęli się na brzuchach. Czysta walka bez osłony.

Wayne się przetoczył. Wayne wyciągnął broń. Wayne trafił trzech VC. Jego pociski brzdęknęły. Trafiły w blaszane kubraki – pokrywy, kurwa, od kubłów na śmieci.

VC strzelali. Marvi strzelali. Marvi celowali wysoko i nisko. Strzelali po stopach. Strzelali po nogach. Strzelali po twarzach. Strzelali tam, gdzie nie było blachy.

VC padali. Pociski z brzękiem rykoszetowały od jeepa. Jakiś medyk runął z kulą w szyi. Wayne przetoczył się i dalej strzelał.

Trafił sześciu VC. Wszystkich trafił w głowę. Każdy strzał poprawił.

Marvi się podnieśli. Jeden wszedł w pułapkę. Posiekały go kolce pundzi – od kostek aż po piersi – rany klute i szarpane.

Wayne przetoczył się do medyka. Wayne dobrał się do strzykawkę – czysta morfina.

Przetoczył się do Marva. Wstrzyknął morfinę. Marv dostał drgawek. Wyrzygał własną śledzionę.

Wayne miał herę – jedną strzykawkę w kieszeni – jedna krótka próba dawkowania.

Znalazł żyłę. Wcisnął tłok. Człowiek sapnął. Człowiek się uśmiechnął. Człowiek odleciał.

Wayne zmierzył czas konania. Kipnął po szesnastu sekundach. Kipnął w strzępach, kompletnie nic nie czując.

Pete żył jeszcze drugą wojną światową. Pete miał zasadę: nie sprzedawać amerykańskim żołnierzom. To było naiwne. To było sprzeczne z *prawdziwą* zasadą: prowokacja wywołuje reakcję.

„Nasi Chłopcy” będą walczyć w tej wojnie. „Nasi Chłopcy” będą szukać ucieczki. „Nasi Chłopcy” znajdą Wielką „H”.

Stanton miał własne określenia: „Wojna Agencji” i „Osobiste Zaangażowanie”.

Wayne zabił Bonga. Zaangażował się. Wraz z tym czynem przystąpił do wojny. Zgniół gryzącego go robaka. Było mu z tym dobrze. Było bezosobowo. Zabił Bonga. Wyrzucił Bonga. Zmierzył sobie puls. Sześćdziesiąt dwa uderzenia na minutę – zero złości/ zero stresu.

Szczury zjadły Bonga. Marvi znaleźli kości. Rozeszły się plotki: robota chemika – chemik zabił alfonsa.

Dziwki dorwały Wayne’a. Powiedziały: „Bądź naszym alfonsiem – kochamy cię”. Powiedział: „Nie”. Ujrzał tamtą czarną dziwkę. Ujrzał jej przyczepę.

Plotka zataczała kręgi. Dotarła do Chucka. Chuck powiedział Bobowi. Bob dorwał Wayne’a. Bob powiedział: jedź na Południe i wstąp do mego Klanu – razem będziemy wpierdalać czarnuchom.

Wayne powiedział: „Nie”. Bob rzucił aluzję: „Pracuję dla twego tatki”. Wayne powiedział: „Nie”. Bob się śmiał. Wayne powiedział, że może przyjedzie POPATRZEĆ.

Patrzył w Sajgonie. Patrzył w Bao Loc. Patrzył w Vegas. Obserwował

dilerów. Śledził dilerów. Wyrabiał w nich posłuszeństwo.

Podpatrywał zachodnie LV. Podpatrywał bary. Podpatrywał tamtą przyczepę. Korzystały z niej teraz ćpuny. Ćpuny szprycowały się w środku. Miały gdzieś sadzę. Miały gdzieś smród. Miały gdzieś kości tamtej dziwki.

Podpatrywał zachodnie LV. Pytał tu i tam. Szukał Wendella Durfee'ego. Miejscowi mieli go gdzieś. Miejscowi wpuszczali go w maliny. Miejscowi pluli mu na buty.

Dostawał cynki. Wypłacał nagrody. Zbierał bezużyteczne informacje. Wpadał do barów. Dostał cykora. Zaczął ze sobą ciągać Sonny'ego Listona.

Sonny złopał J&B. Sonny łykał piguły. Sonny pieprzył głupoty:

Wendell Durfee przeszedł na islam – Mahomet przemówił – taka jest prawda! Wendell prowadzi meczet. Wendell zna Cassiusa Claya. Wendell znał nieboszczyka Malcolma X.

Rusz na murzyńskie meczety. Podłącz się do murzyńskiej poczty pantoflowej. Przeczesz murzyński półświatek. Przełącz się na murzyńską częstotliwość. Słuchaj, o czym ćwierkają murzyńskie wróbelki – i namierz tego czarnucha!

Sonny szeroko otworzył swe murzyńskie oczy. Sonny wysunął murzyńskie pazury. Sonny nakierował swe murzyńskie zmysły. Sonny zdobywał cynki. Sonny rozdawał nagrody. Sonny obiecywał wyniki.

Pete powiedział, że Durfee nie żyje. Wydział Policji Dallas załatwił go cichcem. Zabili go za Maynarda Moore'a.

Wayne powiedział: „Nie – mylisz się”. Wayne gromadził cynki i PATRZYŁ.

Przesiadywał w barze. Obserwował Barb. Siadywał z boku. Zaglądał za kulisy. Widział prawdę.

Barbarzyńcy popalali trawę. Barb łykała piguły. Barb popijała Jasia Wędrowniczka. Wskazywał na to jej wzrok. Wskazywał na to jej puls. Zbierała się do kupy tylko na przyjazd Pete'a.

Obserwował. Widział coś dosłownie wszędzie. Czuł się niewidzialny.

Przesiadywał w barze. Oglądał występy Barb. Widywał Janice i Warda Littella. Siedzieli blisko. Trzymali się za ręce. Stykali się kolanami.

Widywał ich. Oni nigdy nie widzieli jego. Sonny miał swoją teorię: widzą cię tylko czarnuchy.

71

(Las Vegas, 18 czerwca 1965)

Janice uderzała w piłki.

Strzelała z własnej werandy. Weranda była jej treningową strzelnicą golfową – rzutnia/ kawałek trawnika/ siatka.

Było gorąco. Janice miała bluzkę z marynarskim kołnierzem i szorty. Littell patrzył, jak się koncentruje. Littell patrzył, jak uderza.

Janice ustawiała piłki. Janice uderzała. Janice napinała siatkę. Obróciła się. Bluzka jej się rozchyliła. Ukazały się blizny po cięgniach.

Powiedziała:

– Widziałam w Desert Inn Wayne’a Seniora. Dzwonił gdzieś.

Littell się uśmiechnął.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo go nienawidzisz i czujesz ciekawość dotyczącą mężczyzny, z którym sypiałam.

Littell wziął łyk kawy.

– Mam nadzieję, że nie byłem zbyt wścibski.

– Przy mnie ci to nie grozi. Wiesz, jak lubię gadać.

– Wiem. To właśnie odróżnia cię od...

– Od Jane, wiem.

Littell się uśmiechnął.

– Powiedz mi, co słyszałaś.

Janice ustawiła piłkę.

– Był w kasynie i korzystał z jednego z tych telefonów grzecznościowych. Nie widział mnie za swoimi plecami.

– I?

– I rozmawiał z człowiekiem, do którego zwracał się „Chuck”. Mówił o złym połączeniu z Wietnamem i sypał żartami o Bogalusie i „Bombalusie”.

Littell zamieszał kawę.

– To wszystko?

– Strasznie był z czegoś zadowolony i przeciągał słowa, jakby znów był w Indianie.

Zaraz, zaraz. Chwilecz...

Littell zamieszał kawę. Littell pomyślał. Bogalusa leżała we wschodniej Luizjanie. Bogalusa należała do Klanu.

Agitacja przedwyborcza – właśnie teraz – prowadzona przez SCLC. CZARNY KRÓLIK w akcji. Wayne Senior jako KRÓLIK OJCIEC.

Zaraz, zaraz. Chwilecz...

Masz ksywkę WOJUJĄCY KRÓLIK. Bayard Rustin to RÓŻOWY. Nagrałeś RÓŻOWEGO. RÓŻOWY powiedział ci o Bogalusie. Przekazałeś panu Hooverowi.

Pan Hoover wie. Pan Hoover w ogóle nie dzwoni. Pan Hoover obiecuje wiadomości. Pan Hoover żadnych nie przysyła.

Janice przygotowała martini.

– Znajdzie się dla mnie miejsce w tym twoim transie czy mam cię zostawić w spokoju?

Littell zakaszłał.

– Czy domyślasz się, kim jest ten Chuck?

– Cóż, wydaje mi się, że to tamten chudzielec, który przyleciał samolotem na gwiazdkowe party u Wayne’a Seniora i zjawił się z tym troglodytą, twoim kumplem Pete’em.

Zaraz, zaraz. Chwilecz...

Chuck Rogers: pilot/ zabójca/ rasistowski świr/ strzelec z Dallas. Człowiek z Wietnamu i człowiek Pete’a – tajny współpracownik CIA.

KRÓLIK OJCIEC kieruje DZIKIM KRÓLIKIEM. DZIKI KRÓLIK jest w wojsku. DZIKI KRÓLIK służy „za granicą”. Pan Hoover mówił o królikach. Pan Hoover operował datami. DZIKI KRÓLIK ma wyjść z wojska – maj 1965. DZIKI KRÓLIK ma wstąpić do Klanu.

– Ward, czy ja mam zrobić striptiz, żeby cię wyrwać z tego transu?

Zastanawiał się. Rozmyślał. Śnił o KRÓLIKACH. Nie mógł o tym zapomnieć. Przyniósł to z sobą do domu. Wziął to ze sobą do łóżka.

BOMBalusa. BOMBingham: wrzesień 1963. W kościele baptystów przy Szesnastej Ulicy wybucha bomba. Giną cztery młode Murzynki.

Obudził się. Zrobił kawę. Zaczął planować:

Nie dzwoń do pana Hoovera. Nie wszczynaj alarmu. Nie dzwoń do Pete’a.

Nie wspominaj o Chucku. Nie łam zasady posiadania tylko informacji koniecznych do działania. Nie dzwoń do Bayarda. Nie wypytuj o Bogaluse. Nie wzbudzaj w nim niepokoju.

Nie dzwoń do BŁĘKITNEGO KRÓLIKA. Nie dzwoń do BIAŁEGO KRÓLIKA. Nie prowokuj chłopców Holly'ego. Oni nienawidzą Murzynów. Oni kochają pana Hoovera.

Wayne Senior to KRÓLIK OJCIEC. OJCIEC zna Chucka. OJCIEC kieruje DZIKIM. DZIKI KRÓLIK kieruje jakąś klawerną. Fedzie ją finansują i wytyczają zasady:

„Wytyczne operacyjne”. „Przemoc dla podtrzymania wiarygodności informatora”. BOMBingham/BOMBalusa/BOMB...

Littell złapał telefon. Littell zadzwonił do Barb. Littell zaimprovizował:

Laos. Narkotykowa klika Pete'a. Czy jest w niej Chuck Rogers?

Barb powiedziała: „Tak”.

Littell się rozłączył. Littell wybrał numer centrali. Littell poprosił telefonistkę: „Z Urzędem Celnym – biurem paszportowym – Nowy Orlean”.

Telefonistka zadziałała. Littell dostał numer. Littell połączył się bezpośrednio.

Odebrał mężczyznę.

– Urząd Celny. Agent Bryce.

– Nazywam się Ward Littell. Pracowałem kiedyś w FBI i zachowałem należne agentom uprawnienia. Miałem nadzieję, że wyświadczy mi pan przysługę.

– Jasne. Jeśli tylko będę mógł.

Littell złapał pióro.

– Chciałbym, żeby pan sprawdził rejestr przylotów z Laosu i Wietnamu. Chodzi mi o lądowania samolotów cywilnych bądź wojskowych w waszej jurysdykcji w obiektach obsadzonych przez ludzi z Urzędu Celnego i potrzebne mi są nazwiska z list pasażerów.

Bryce zakaszłał.

– Może pan zaczekać? Nie było tego więcej jak trzy czy cztery przyloty.

Littell powiedział:

– Zaczekam.

Bryce wcisnął guzik. Łącza zatrzeszczały. Na linii pojawił się szum. Littell czekał. Littell zerkał na zegarek. Littell liczył króliki.

BŁĘKITNY KRÓLIK/ DZIKI KRÓLIK/ CZERWONY KRÓLIK. Trzy

minuty/ czterdzieści dwie se...

Bryce podniósł słuchawkę.

– Proszę pana? Mamy tylko jeden taki przylot. To...

– Może mi pan podać...

– Jeden transport uzbrojenia. Z Sajgonu na lotnisko Gwardii Narodowej w pobliżu Houston. Załoga plus jeden pasażer, mężczyzna o nazwisku Charles Rogers.

72

(Saravan, 19 czerwca 1965)

Testy na wykrywaczu – czysta improwizacja – przyleciał John Stanton.

Wysprzątał chatę. Rozwinął taśmy wykresów. Ustawił igłę. Ustawił miernik tętna. Ustawił tarcze.

Pete skołował krzesło. Laurent Guéry usiadł. Stanton przygotował rękaw ciśnieniomierza.

Stanton zapiął rękaw. Pete podłączył przewód do piersi. Stanton napompował rękaw. Stanton spojrział na tarczę:

Wynik w normie – 110/80.

Zerwał się wiatr. Wpadły ziarenka maku. Pete zamknął okno.

Stanton usiadł. Stanton zmierzył Guéry'emu tętno. Pete usiadł. Pete obserwował igłę.

Stanton spytał:

– Czy pijesz wodę?

Guéry odparł:

– Tak.

Igła podskoczyła. Igła opadła. Igła wyrysowała płaską linię. Stanton odczytał wyniki pomiaru ciśnienia i tętna:

W porządku – reakcja w normie.

Stanton spytał:

– Czy jesteś obywatelem Republiki Francuskiej?

Guéry odparł:

– Tak.

Igła podskoczyła. Igła opadła. Igła wyrysowała płaską linię. Stanton odczytał wyniki pomiaru ciśnienia i tętna:

W porządku – reakcja w normie.

Pete się przeciągnął. Pete ziewnął – pieprzyć cały ten cyrk.

Stanton spytał:

– Czy jesteś zdeklarowanym antykomunistą?

Guéry odparł:

– Tak.

Płaska linia.

Stanton spytał:

– Jesteś za Vietcongiem?

Guéry odparł:

– Nie.

Płaska linia.

Stanton spytał:

– Czy kiedykolwiek okradłeś Kadrę?

Guéry odparł:

– Nie.

Igła opadła o trzy centymetry. Igła wyrysowała zygzak. Stanton napompował rękaw. Stanton spojrział na tarczę.

Nie w porządku – 140/110 – reakcja *nie* w normie.

Guéry się wił. Pete obserwował. Pete odczytywał reakcje: dreszcze/ gęsia skórka/ poty.

Stanton spytał:

– Czy kiedykolwiek okradłeś związany z Kadrą personel?

Guéry odparł:

– Nie.

Igła opadła o cztery centymetry. Igła wyrysowała zygzak.

Stanton wcisnął guzik interkomu. Stanton przemówił językiem żółtków:

– *Quon, Minh. Mau len. Di, thi, di.*

Wpadło dwóch skośnookich – jeden Marv i jeden Vietcong – szybki marsz. Guéry się wił. Pete odczytywał reakcje: wilgotne ręce/ wilgotne pachy/ spocone krocze.

Stanton skinął głową. Żółtki stanęły po bokach Guéry'ego. Żółtki wyciągnęły pałki.

Stanton spytał:

– Czy wiadomo ci cokolwiek o takich kradzieżach?

Guéry odparł:

– Nie.

Igła opadła o dziewięć centymetrów. Igła wyrysowała zygzak.

Stanton spytał:

– Czy wiesz coś o takich kradzieżach popełnianych przez Pete'a

Bonduranta?

Guéry odparł:

– Nie.

Igła podskoczyła. Płaska linia.

Stanton spytał:

– Czy wiesz coś o takich kradzieżach popełnianych przez Jeana Philippe’a Mesplède’a?

Guéry odparł:

– Nie.

Igła podskoczyła. Płaska linia.

Stanton spytał:

– Czy wiesz coś o takich kradzieżach popełnianych przez Wayne’a Tedrowa Juniora?

Guéry odparł:

– Nie.

Igła podskoczyła. Płaska linia.

Stanton spytał:

– Czy wiesz coś o takich kradzieżach popełnianych przez Chucka Rogersa?

Guéry odparł:

– Nie.

Igła opadła o dwanaście centymetrów. Igła wyrysowała zygzak.

Guéry się wił. Stanton dał znak żółtkom. Chwycili za liny. Zrobili pętle. Przywiązali Guéry’ego do krzesła.

Stanton wyciągnął spluwę. Stanton odciągnął kurek. Pete złapał telefon. Pete połączył się z laboratorium.

Chucka nie było. Chuck wyjechał do Sajgonu. Chuck wyjechał przed czterema dniami. Chuck waletował teraz z Guérym. Chuck zamęczał Guéry’ego. Chuck doprowadzał Guéry’ego do szału.

Pete usłyszał sygnał połączenia. Pete usłyszał zakłócenia na linii. Pete usłyszał „klik”.

Wayne odebrał:

– Słucham?

– To ja. Widziałeś Chucka?

– Nie. A miał...

– Miał wyskoczyć do Bao Loc i Sajgonu. Miał skołować trochę broni.

– W ogóle go nie widziałem. Zawsze wpada do Go-Go, kiedy jest...

Pete się rozłączył. Stanton dał znak – idź sprawdzić ich metę.

Pete pobiegł. Pete pchnął drzwi. Pete potknął się o wycieraczkę. Złapał równowagę. Obiegł pomieszczenie wzrokiem. Przeczesał kwadrat po kwadracie.

Cztery ściany/ dwa worki/ dwa stoliki nocne/ dwie szafki/ jeden sracz/ jedna umywalka.

Pete wywalił wszystko ze stolików. Pete przeszukał rupiecie. Pasta do zębów/ prezerwatywy/ świerszczyki/ nienawistne pamflety/ kilka numerów magazynu „Ring”.

Dwa paszporty – oba Guéry’ego – francuski/CIA.

Pete wywalił wszystko z szafek. Pete przeszukał rupiecie. Nienawistne pamflety/ spray na robactwo/ porno-pisemka/ smar do broni/ kilka numerów magazynu „Swank”.

Paszportów Chucka brak. Brak jakichkolwiek dokumentów.

Pete chwycił telefon. Pete wykręcił do Sajgonu. Połączył się ze Sztabem Południe. Przełączyli go. Połączył się z Tan Son Nhut. Przełączyli go. Usłyszał zakłócenia. Połączył się z Urzędem Celnym.

Odebrał żółtek. Pete przemówił po francusku. Żółtek odpowiedział czystą wietnamszczyzną. Żółtek go przełączył. Zaszumiały zakłócenia. Odezwał się jakiś biały.

– Urząd Celny, agent Lierz.

– Tu sierżant Peters z Wojskowej Służby Celnej. Chciałbym sprawdzić pewnego cywila, który mógł przejść waszą kontrolę w ciągu ostatnich kilku dni.

Lierz zakaszłał. Łączy się zakrztusiły. Zaszumiały zakłócenia.

– Zna pan nazwisko?

– Rogers. Charles Rogers.

Lierz zakaszłał.

– Mam tutaj rejestr. Chwileczkę... Rice. Ridgeway, Rippert... tak, Rogers. Wyleciał cztery dni temu. Okazał list przewozowy, załadował materiały wybuchowe i zabrał się z transportem na lotnisko Gwardii Narodowej w Houston w Tek...

Pete się rozłączył. Pete *zaczał*: kradzieże/ lewe papiery/ materiały wybuchowe.

Guéry się darł. Pete słyszał wyraźnie. Wrzask niósł się z odległości

czterdziestu metrów.

Pobiegł z powrotem. Poczłł smród dymu i szczochów. Uchylił drzwi i zobaczył:

Oto Guéry.

Przywiązany. Bez gaci. Przerażony. Stanton trzyma generator prądu. Stanton trzyma palec na włączniku. Stanton założył mu klamry na jaja.

Żółtki patrzyły. Żółtki paliły czarnorynkowe koolsy. Żółtki złopały miejscowe wino.

Stanton spytał:

– Co ukradł Chuck Rogers?

Guéry pokręcił głową. Stanton wduśił przycisk. Stanton podkręcił wolty. Guéry zgiął się i wrzasnął.

Stanton powiedział:

– Jeżeli ta kradzież była tylko pośrednio związana z Kadrą, a ty w niej nie uczestniczyłeś i nigdzie się nie wygadałeś, będę skłonny potraktować cię ulgowo.

Guéry pokręcił głową. Stanton wduśił przycisk. Stanton podkręcił wolty. Guéry zgiął się i wrzasnął.

Stanton spytał:

– Gdzie jest teraz Rogers? Co ukradł i od kogo?

Guéry pokręcił głową. Stanton wduśił przycisk. Stanton podkręcił wolty. Guéry zgiął się i wrzasnął.

Pete *zaczał* – teraz już naprawdę.

Chuck i Guéry byli razem w Dallas. Stanton nie ma o tym pojęcia. Guéry nic nie powie. Guéry nie zakabluje Chucka w *żadnej* sprawie.

Stanton spytał:

– Czy Rogers jest na miejscu? Czy wrócił do Stanów?

Guéry pokręcił głową. Stanton wduśił przycisk. Stanton podkręcił wolty. Guéry zgiął się i wrzasnął.

Żółtki się zaśmiały – ale waaaaliat – ale *dinky dau*.

Stanton wduśił przycisk. Stanton podkręcił wolty. Guéry się zgiął. Guéry wrzasnął. Guéry się rozdarł: – *Assez!*⁴⁵

Stanton dał żółtkom znak. Żółtki zdjęły klamry. Żółtki rozwiązały Guéry'ego. Żółtki posmarowały mu jaja oliwką dla niemowląt. Żółtki dały mu czerwonego wina.

Guéry wyzłopał. Wstał. Zachwiał się. Klapnął z powrotem na krzesło.

Stanton się pochylił.

– Gdybym teraz powiedział, że dla mnie było to równie przykre jak dla ciebie, byłbym pieprzonym kłamcą.

Pete kichnął – w chacie cuchnęło – spalone owłosienie na jajach i pot.

Guéry powiedział:

– To skład amunicji... Bao Loc... Chuck... *qu'est-ce que c'est...* ukradł tam materiały wybuchowe od François.

Stanton pokręcił głową.

– Powiedział ci, po co mu to potrzebne?

Pete się pochylił.

– Chuck poleciał do Stanów. Jeśli pozwolisz mi pogadać z nim sam na sam, wyduszę resztę.

Stanton skinął głową. Stanton wstał. Stanton dał żółtkom znak – *venez, venez.*

Wyszli razem. Pete złapał butelkę. Guéry mu ją wyrwał. Guéry ją opróżnił. Guéry podciągnął spodnie.

– Nie będę mógł mieć dzieci.

– I tak nigdy nie chciałeś.

– Nie chciałem. Na świecie za dużo jest komunizmu.

– Chyba wiem, dlaczego milczałeś.

Guéry wytarł nos.

– Nie zdradziłem Kadry.

– Wiem o tym.

Guéry rozmasował jaja.

– Chuck... *qu'est-ce...* dostał list od rodziców. Oni chyba mają nie po kolei.

Pete zapalił dwa papierosy. Guéry wyrwał mu jednego.

– Chuck z nimi mieszka. Napisali, że znaleźli jego... *journal?*

– Pamiętnik.

– Opisał w nim naszą operację w Dallas... a oni... zażądali wyjaśnień... dlatego... Chuck powiedział, że poleci do domu i... *qu'est-ce...* się tym zajmie.

Pete kopnął we framugę.

– *Na to* ukradł materiały wybuchowe?

Guéry zakaszłał.

– Nie, na coś innego. Nie chciał mi powiedzieć.

Pete wyszedł. Niewolnicy mijali go w pośpiechu. Strażnicy strzelali do nich gumowymi kulami.

Stanton siedział okrakiem na barierce.

– Bardzo źle?

Pete wzruszył ramionami.

– Sam mi powiedz. Laurent powiedział, że chodzi o jakiś zatarg w rodzinie i dlatego Chuck poleciał do domu z materiałami wybuchowymi.

Stanton odgryzł kawałek skórki przy paznokciu.

– Do Fort Sam Houston odlatuje samolot kurierski. Lećcie razem z Wayne'em znajdźcie go i zabijcie.

73

(Houston, 21 czerwca 1965)

Upał nad Zatoką:

Niskie chmury i ciężkie powietrze. Powietrze w sam raz dla chmar robactwa.

Pożywka robali. Raj robali. Inkubator robali. *Zaduch* – 30 stopni o 2.12 nad ranem.

Na drodze panowała martwota. Robactwo odbijało się od samochodu. Prowadził Pete. Wayne odczytywał mapy.

Chuck mieszkał przy Driscoll. Chuck mieszkał blisko. Chuck mieszkał blisko uniwerku.

Wayne ziewał. Pete ziewał. Ziewali na zmianę. Lecieli osiemnaście godzin – z Sajgonu do Houston – pokonali sześć stref czasowych.

Lecieli z transportem. Siedzieli na skrzynkach. Jedli wyłącznie kukurydzę z puszek. Stanton załatwił im wóz – forda rocznik 1961 – już w Fort Sam.

Kompletny gruchot. Bez tłumika. Bez pieprzonej klimy.

Stanton coś wiedział. Pete tak twierdził. Pete twierdził, że przemilczał to, co najważniejsze. Może Chuck tu jest. Może go tu nie ma. Może jest w Bogalusie. Z Bobem Relyea – eks-Kadrowcem – teraz: klaunem z Klanu. Bob kierował donosicielską komórką Klanu. Wayne Senior kierował Bobem. To oznaczało, że *on* mógł PATRZEĆ.

Zjechali z głównej drogi. Wjechali w boczne uliczki. Włączyli długie światła. Houston to było szambo – chaty z cegły i pełno lamp odstraszających komary.

Stanton dostarczył im akta: dane rodziny Chucka. Tatko i mamusia Chucka to Fred i Edwina. Mieli oldsmobila rocznik 1953. Teksaska rejestracja: DXL-841.

Wjechali w Kirby Street. Wjechali w Richmond. Skręcili ostro w prawo. Proszę bardzo – Driscoll – 1780/1800/1808.

1815 – klinkierowa cegła. Ani pałac/ ani slums. Dwie kondygnacje

i żadnych zapalonych świateł.

Pete zaparkował. Wayne złapał dwie latarki. Wysiedli. Okrążyli dom. Poświecili w okna. Oświetlili drzwi.

Zbudzili robactwo. Zbudzili sowy. Osy zaczęły bombardować własne gniazdo.

Wayne oświetlił tylną werandę. Pete oświetlił żywopłot. Wayne dostrzegł błysk – światło odbite od stali – Pete obniżył promień.

Wayne sięgnął. Wayne chwycił i wyciągnął. Wayne skaleczył dwa palce.

Proszę bardzo...

Jedna teksańska tablica rejestracyjna – wepchnięta w żywopłot. Bingo: DXL-841.

Pete powiedział:

– Zmienił tablice w oldsmobilu.

Wayne ssał palce.

– Wejdźmy do środka. Może coś znajdziemy.

Pete oświetlił tylne drzwi. Wayne podszedł i popatrzył. W porządku: jeden zamek/ płaski rygiel/ szeroka dziurka od klucza.

Pete świecił. Wayne wyciągnął wytrychy i gmerał w dziurce. Dwa nie pasowały. Jeden trafił. Wszedł głęboko. Wayne obrócił. Przekręcił. Odsunął rygiel. Pchnęli drzwi i weszli.

Skierowali latarki na podłogę. Skierowali na schody. Wayne poczuł zapach zapiekanki. Wayne poczuł zapach pieczonej fasoli.

Skręcili w lewo. Znaleźli się w korytarzu. Dotarli do kuchni. Wayne poczuł zaduch. Przez żaluzje wpadał księżycowy blask.

Pete zamknął żaluzje. Wayne zapalił światło. Proszę bardzo:

Woda w zlewie – ciemnoróżowa – na wierzchu noże do mięsa. Pieczona fasola i muszki owocówki w formie do zapiekanki. Włosy w durszlaku. Kropki na podłodze. Kropki przy lodówce.

Pete ją otworzył. Wayne poczuł zapach. *Zobaczyli:*

Odrąbane nogi. Poćwiartowane biodra. Głowa mamuśki w koszyku na warzywa.

74

(Bogalusa, 21 czerwca 1965)

Telefony:

Pokój nr 6 – motel Poświęta – bezpośrednie połączenia. Hałas na zewnątrz jako przeciwwaga.

Okrzyki. Wrzaski wicherzycieli. Czarnuch! Czarnuch! Czarnuch! Zwyciężymy!

Jesteśmy teraz w BOMBalusie. Pamiętamy BOMBingham.

Spał z tą słowną gierką. Żył z nią. Pędził.

Ku: marszom i modłom, i podpaleniom krzyży. Ku: pobiciom i zamieszkom, i okrzykom.

Był pewien obecności federalnych. Zostawiał za sobą fałszywe tropy. Zadzwoił do Carlosa. Umówił się na spotkanie. Przyleciał z przesiadką w Nowym Orleanie.

Mógł być tutaj BŁĘKITNY KRÓLIK. I brat BŁĘKITNEGO, BIAŁY. I zaufani ludzie Hoovera. I miejscowi fedzie.

Zostawiał ślady. Byłem blisko. *To* było blisko. Musiałem zobaczyć. Jestem WOJUJĄCY KRÓLIK. Mam fioła na punkcie praw obywatelskich.

Littell sprawdzał w książce telefonicznej. Littell wydzwaniał do moteli. Tego ranka wykręcił do Wydziału Komunikacji w Dallas. Dostał namiary na Chucka Rogersa.

Houston/ Driscoll Street/ jeden oldsmobile. Tekszańskie tablice: DXL-841.

Zdobył namiary. Zdobył pokój. Wydzwaniał do moteli. Czterdzieści dwa adresy – suche fakty z książki telefonicznej.

Udawał fedzia. Podawał swoje dane. Sprawdzał meldunki. Wykonał dziewiętnaście telefonów. Otrzymał same „nie”. Połączył się z recepcjonistą nr 20.

– Jest pan już dzisiaj drugim przedstawicielem władzy, który pyta o tego oldsa. Tylko że tamten gość nie podał mi numeru, za to powiedział, że wóz będzie miał lewe tablice z Teksasu.

Próbował znaleźć odpowiedź. Mnożyły mu się KRÓLIKI. KRÓLIK OJCIEC to Wayne Senior. OJCIEC zna Chucka. OJCIEC kieruje DZIKIM KRÓLIKIEM. DZIKI jest blisko. DZIKI to Klan.

Jest też BŁĘKITNY KRÓLIK. Federalny. Kto *jeszcze* chce dorwać Chucka?

Wydzwaniał do moteli. Sprawdził już dwadzieścia osiem. Zero wyników. Jazgot na zewnątrz się wzmagał – te nieznośne wrzaski: Czarnuch! Czarnuch!

Littell działał. Littell wydzwaniał do moteli. Littell niczego nie osiągał. Motel 29. Motel 30. Motel 31-2-3.

Motel 34:

– Jest pan już drugim facetem, który pyta o tego Rogersa i ten wóz, ale nie widziałem ani jednego, ani drugiego.

Motel Księżycowy Blask/ motel Skowronek/ motel Kotwica – zero wyników. Dixie/Bayou/U Konfederaty:

– Recepcja. Czym mogę służyć?

– Tu agent specjalny Brown z FBI.

Facet się zaśmiał.

– Przyjechał pan powstrzymać tych agitatorów?

– Nie, proszę pana. Chodzi o coś innego.

– To szkoda, bo...

– Szukam białego mężczyzny jeżdżącego oldsmobilem z 1953 roku na teksańskich numerach.

Facet się zaśmiał.

– No to ma pan szczęście, panie agencie od integracji, bo gość wprowadził się wczoraj do piątki.

– Słucham? Może pan powtó...

– Mam go tutaj. Charles Jones, Houston, Teksas. Olds sedan, rocznik 1953. PDL-902. Jak na moje oko, to niezły z niego psychol. Żłopie pewnie płyn borygo albo zabawia się żyletkami.

Ruch prawie stał w miejscu. Ciągle coś go wstrzymywało.

Demonstracje na chodnikach. Krzykacze. Ekipy telewizyjne. Transparenty obu stron. Pyskacze o mocnych płucach. Żądni wrażeń gapie.

Wolność dla stanów! Precz z Jimem Crowem! Czarnuchy do domu! Zwyycięęęzymyyy! – i tak na zmianę.

Littell jechał wynajętym samochodem. Auta prawie się nie ruszały. Littell zaparkował i poszedł pieszo. Wszędzie włóczyły się bandy z jajami. Białe szczeniaki ciskały. Ciskały w Murzynów. Namierzały fedziów.

Littell szedł. Littell robił uniki. Jaja trafiały w demonstrantów. Jaja trafiały w transparenty.

Bandy z jajami chodziły. Furgonetki z jajami jeździły. Jajcarze wozili wysokobiałkową amunicję. Jaja fruwały. Jaja trafiały w drzwi. Jaja trafiały w okapy i samochody.

Demonstranci mieli foliowe peleryny. Z peleryn spływało żółtko. Spływały jajeczne skorupy. Gliniarze stali dokoła. Gliniarze robili uniki. Gliniarze popijali zimne napoje.

Littell szedł. Jaja omal go nie trafiały. Wyglądał jak stuprocentowy fedzio.

Skręcił w lewo. Minął dwie przecznice. Minął dwie budki z jajami. Jajcarskie bandy się formowały. Jajcarskie bandy się zbroyły. Jajcarskie furgony gromadziły ładunek.

Zobaczył – tuż przed sobą – U Konfederaty.

Parterowe domki. Dziesięć pokoi. Wszystkie z widokiem na ulicę. Konfederacka flaga i konfederacki znak – neon przedstawiający żołnierza Konfederacji. Miejsca parkingowe/ zadaszony chodnik wzdłuż budynku/ recepcja w osobnym domku.

Littell wyciągnął kartę kredytową. Littell ruszył przed siebie. Littell dojrzał pokój nr 5.

Zapukał. Brak odpowiedzi. Brak samochodu przed drzwiami/ brak ludzi/ brak oldsmobili.

Stanął twarzą do ulicy. Oparł się o drzwi. Założył ręce z tyłu. Teraz – na wyczucie:

Futryna. Zamek. Wetknąć kartę kredytową i szybko przesunąć nią w dół.

Zrobił tak. Drzwi się otworzyły. Wpadł tyłem do środka. Zamknął za sobą. Włączył światła. Sprawdził pokój.

Jedno łóżko. Łazienka. Garderoba. Niewielka torba na podłodze.

Przeszukał torbę. Znalazł ciuchy i brzytwę. Znalazł ulotki nienawiści. Sprawdził garderobę. Sprawdził półkę. Znalazł pudełko z lontami – w połowie opróżnione.

Zobaczył strzelbę mossberga. Zobaczył czterdziestkę piątkę. Zobaczył magnum .357.

Złapał pompkę. Wyjął naboje. Złapał czterdziestkę piątkę. Wyciągnął

nabój z komory. Wysunął magazynek. Złapał magnum. Otworzył bębenek. Wysypał naboje. Zamknął.

Schował amunicję. Zamknął drzwi garderoby. Zgasił światło w pokoju. Usiadł. Wyciągnął własną spluwę. Odciągnął kurek.

Oparł się o łóżko. Twarzą do drzwi. Liczył króliki.

Zdrzemnął się. Złapały go skurcze. Usłyszał na zewnątrz skandowanie. Dwa słowa – jakieś dwie przecznice dalej.

„Wolność” i „czarnuch” – zlewały się w jedno.

Słońce się obniżyło – światło wpadało przez rolety w oknach – rolety wydawały się czarne.

Littell się zdrzemnął. Littell się poruszył. Littell usłyszał wycie syren. Krótkie sygnały – karetki przebijające się przez uliczne korki.

Wstał. Wyszedł na zewnątrz. Goście wylegli przed motel. Goście darli się, wtórując miejscowym krzykaczom.

Jakiś facet się zaśmiał.

Jakiś facet wrzasnął:

– Bum-bum!

Jakiś facet powiedział:

– Wyleciał w powietrze kościół czarnuchów.

Littell pobiegł.

Skręcił w lewo. Minął dwie przecznice. Minął budki z jajami. Marynarka mu trzepotała. Widać było spluwę. Jajcarze przyuważyli.

Cisnęli jajami. Trafili. Zapaskudzili mu spodnie. Upačkali głowę.

Dotarł do głównej arterii. Skręcił w prawo. Przeciskał się wśród demonstrantów. Do ust trafiały mu rozbite jajka. Do ust trafiały mu transparenty.

Poślizgnął się. Wpadł na skorupy. Przewrócił się. Jakiś biały wsiok go kopnął. Jakiś demonstrant go kopnął, byle kopnąć.

Klaksony. Syreny. Okrzyki – blokada uliczna z samochodu w poprzek drogi – dokładnie na wprost. Furgonetki z jajami i jajcarze. Karetce zgasł silnik i utknęła.

Nadbiegły białe wsioki. Nadbiegli demonstranci. Powoli podbiegli spasieni gliniarze. Dotarli do zawalidrogi. Wrzaski. Przepychanki.

Zawalidroga ani drgnął. Przepychanki. Klaksony/syreny/krzyki.

Littell wstał. Littell ociekał jajkami. Littell podbiegł szybko. Gliniarze go zobaczyli. Wymienili spojrzenia – uwaga, fedzio.

Littell wyciągnął odznakę. Littell wyciągnął broń. Gliniarze uśmiechnęli się krzywo. Jajcarze podobnie.

Demonstranci się cofnęli.

Coraz głośniej: okrzyki uciechy i wyzwiska. Klaksony/syreny/krzyki.

Littell dorwał jednego jajcarza. Jajcarz uśmiechnął się krzywo. Littell rozkwasił mu gębę o maskę jego własnego wozu. Walnął gościem o drzwi. Walnął o ziemię. Sztuczna szczeka wypadła mu i pękła.

Jajcarze się cofnęli. Gliniarze się cofnęli. Gliniarze wpadli na demonstrantów. Gliniarze wpadli na transparenty.

Littell otworzył drzwi zawalidrogi. Littell zwolnił hamulec. Wóz się potoczył. Wóz walnął w słup ulicznej latarni. Karetka zatoczyła łuk i przejechała.

Littell się cofnął. Jaja trafiły go w okulary. Tytoniowy sok w buty.

Zgliszcza:

Osmalone krokwie/ mokre krokwie/ mokra ziemia. Dwa trupy – chłopiec i jego ojciec.

Bomba wybuchła podczas popołudniowego nabożeństwa. Deski podłogi zaraz stanęły w ogniu. Płomienie strzeliły w górę. Ławki się rozleciały. Drewno zmieniło się w popiół.

Littell krążył wśród tłumu.

Widział karetki. Widział trupy. Widział chłopca bez palców u nóg. Widział wozy strażackie. Widział wozy transmisyjne stacji telewizyjnych. Widział młodź z Klanu.

Młodzieńcy tworzyli kliki. Młodzieńcy konferowali. Młodzieńcy kłapali jadaczkami przed kamerami.

Littell krążył wśród tłumu.

Przyciągał spojrzenia. Śmierdział jajami. Ociekał żółtkiem i skorupami.

Pokazało się trochę demonstrantów. Pokazało się trochę fedziów. Demonstranci pocieszali rannych. Ranni płakali i krwawili.

Medycy wlekli wózki. Medycy wlekli poszkodowanych. Karetki odjeżdżały na sygnale.

Littell ruszył za nimi. Littell patrzył, jak wyładowują rannych. Ludzie utykali. Ludzie kuleli. Tamten chłopak trzymał swoje palce od nóg. Szpital był stary. Szpital był zaniedbany. Napis głosił: „Tylko dla kolorowych”.

Littell obserwował. Fedzie obserwowali Littella. Pielęgniarki popychały

stojaki na kroplówki. Jakaś kobieta upadła. Chłopiec od palców dostał drgawek.

Littell pojechał do sklepu z alkoholem. Littell kupił pół litra porządnej szkockiej.

75

(Bogalusa, 21 czerwca 1965)

Radiowy rock:

Śpiewka nienawiści. „Komu potrzebne czarnuchy?” i „Odesłać czarnuchów na czarny ląd”. Kapitalne. Klawe kapele. Kapelmistrz tych kapel: K-L-A-N.

Pete obniżył oparcie fotela. Wayne obserwował drzwi. Nr 5 – motel U Konfederaty.

Chucka nie było. Pete miał rację. Chuck bujnął się do Bogalusy. Chuck pociachał swoich starszaków. Chuck świsnął ich wóz. Chuck przytaszczył swój chudy zadek tutaj.

Przeszukali dom. Znaleźli różne części ciała. Nie znaleźli żadnych notatek na temat zamachu. Ruszyli na wschód. Sprawdzali motele. Znaleźli Chucka.

Jechali szybko. Jechali wykończeni. Ostatni raz spali w Sajgonie. Zatrzymali się w Beaumont. Łyknęli amfę. Odzyskali siły.

Pete opowiedział Wayne’owi historię zamachu. Wyjawiał mu wszystko.

Sypał nazwiskami. Sypał detalami. Nakreślił szerszą perspektywę. Zrobił Wayne’owi wodę z mózgu. Ujął własną historię Wayne’a dotyczącą Dallas we właściwe ramy.

Wayne nawiązał do Wayne’a Seniora. Wayne Senior zasilił fundusz zamachowy. Wayne Senior kierował Klanem kapusiów. Wayne Senior kierował teraz Bobem Relyea.

Pete powiedział: „Wayne Senior kieruje *TOBĄ*”.

Radiowy rock: wciąż te same śpiewki.

Wayne poruszył pokrętłem. Wayne złapał wiadomości.

– ...eksplozja w kościele murzyńskim na obrzeżach Bogalusy. Agitatorzy ruchu praw obywatelskich twierdzą, że to „zamach bombowy”. Rzecznik Federalnego Biura do spraw Integracji oznajmił, że zgromadzone jak dotąd dowody wskazują na nieszczelność instalacji gazowej.

Pete wyłączył radio.

– Cali fedzie. I ci ich rzecznicy.

Wayne łyknął dwie tabletki amfy.

– Wiedzą, że to Bob.

Pete sączył colę. Po amfie strasznie go suszyło.

– Mają podejrzenia i chcą zabezpieczyć sobie tyły. Nie kazali mu tego robić, nie chcieli, by to zrobił, ale on doszedł do wniosku, że mu się upiecze, a jeśli nawet domyślą się, że to on, to nic mu nie zrobią, najwyżej ostrzegą, żeby nie próbował znowu.

Wayne obserwował drzwi. Zapaliły się nad nimi lampy. Wejścia jaśniały niebieskawą poświatą.

– Myślisz, że Bob jest z Chuckiem?

Pete strzelił palcami.

– Mam nadzieję, że nie. Nie chciałbym zabić współpracownika federalnych, który ma konszachty z twoim ojcem.

Wayne złapał colę.

– Nie podoba mi się kolejność zdarzeń. Chuck dostaje list. Chuck przylatuje do domu i załatwia swoich rodziców. *Prawdopodobnie* zabrał pamiętnik i *być może* powiedział o zamachu Bobowi.

Pete strzelił kciukami.

– Spytamy go o to.

Wayne popijał colę. Podjechał oldsmobile. Pete odczytał numery: PDL-902.

Wysiadł Chuck. Chuck kroczył dumnie, dłubiąc w zębach. Chuck wszedł do pokoju nr 5.

Wayne powiedział:

– Jest sam.

Pete łyknął dwie amfy. Wayne chwycił ich spluwy. Pete zamocował tłumiki. Wyciągnęli ze spodni koszule. Wetknęli spluwy za pasek. Zakryli chwyty.

Podeszli. W pokojach hałas – gówniana muzyka południowych wsioków i pełne obłożenie.

Wayne poruszył klamką. Drzwi były zamknięte. Pete napał ramieniem. Futryna zatrzeszczała. Zamek puścił. Wpadli do środka razem z drzwiami. Oto i gówniany pokój – ale gdzie jest Ch...

Chuck wychodzi z garderoby. Chuck ma dwie spluwy. Chuck celuje i strzela. Dwa głuche kliknięcia. Chuck dostaje kurewskiego cykora. Chuck,

kurwa, *sra* w gacie.

Pete się na niego rzucił. Pete go złapał. Pete powalił go na podłogę. Wayne zamknął drzwi. Wayne rzucił kajdanki. Pete złapał.

Chuck się czołgał. Chuck próbował wiać. Pete złapał go za włosy. Pete walnął jego głową o podłogę.

Wayne go skuł. Pete go podniósł. Pete rzucił nim o ścianę. Chuck uderzył mocno. Zostawił wgniecenie. Osunął się na podłogę.

Wayne ukląkł.

– Powiedziałeś Bobowi o Dallas?

Chuck pluł krwią.

– Powiedziałem twojemu tacie, że jest z ciebie pieprzony dupek.

– Czy ty i Bob podłożyliście bombę w tym kościele?

Chuck pluł żółcią.

– Zapytaj Królika Ojca. Powiedz mu, że Dziki Królik go nie zawiedzie.

Pete złapał kuchenkę elektryczną. Pete ją podłączył. Pete poczekał, aż spirala się nagrzeje.

Wayne spytał:

– Gdzie są notatki, które znaleźli twoi rodzice?

Chuck zsikał się w gacie.

– Dziki Królik mówi: pierdol się. Królik Ojciec mówi, że jest twoim tatą.

Pete opuścił kuchenkę. Spadła spirala w dół. Osmaliła Chuckowi włosy.

Chuck wrzasnął. Spirala skwierczała. Chuck się darł:

– Okej! Okej!

Wayne zabrał kuchenkę. Wayne złapał poduszkę. Wayne zgasił włosy Chucka.

Chuck pluł krwią. Chuck pluł żółcią. Chuck szorował głową o podłogę.

– Nie... powiedziałem... Bobowi. Spaliłem... tamte... notatki.

Pete dał Wayne'owi znak. Wayne włączył radio. Wayne śpiewał razem z Royem Rozrabiaką:

– ...„Wielki Biały Człowiek nad Kunta Kinte góruje, gdy mu biała żona pyszności gotuje”...

Wayne wyciągnął spluwę. Pete wyciągnął spluwę. Chuck powiedział:

– Nie, *proszę*.

Skrzypnęły drzwi. Trachnęła futryna i posypały się drzazgi. Wszedł Ward Littell. Był upačkany jajami. Był non compos coś tam. Ziajał gorzałą.

Pete powiedział:

– O, kurwa.

Wayne powiedział:

– Jezu Chryste.

Ward wyłączył muzykę. Ward podszedł do Chucka. Chuck nasrał w spodnie. Chuck wypluł parę zębów.

Ward powiedział:

– Dziki Królik.

Chuck zakaszał. Chuck wypluł zęby.

– Dziki Królik to rasa fede...

Ward wyciągnął spluwę. Ward strzelił Chuckowi między oczy.

CZEŚĆ IV
PRZYMUSZENIE

LIPIEC 1965–LISTOPAD 1966

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.07.1965. Wewnętrzna notatka służbowa. Do: Dyrektor. Od: BŁĘKITNY KRÓLIK. Dotyczy: OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Oznaczono: „Ścisłe tajne”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

Sir,

piszę odnośnie do bomby podłożonej w kościele i związanych z tym czynności operacyjnych Biura w Bogalusie.

Przysłani na miejsce agenci zakończyli już wewnętrzne dochodzenie. Złożyli mi ustny raport, nie umieszczając żadnego sprawozdania w aktach, i potwierdzili oficjalną wersję Wydziału Policji w Bogalusie: eksplozja była „dziełem przypadku”, a spowodowana została przez nieszczelność instalacji gazowej. Niniejsze orzeczenie powinno zostać potraktowane jako oficjalny werdykt w tej sprawie. Jest to niezbędne dla dalszego powodzenia operacji CZARNY KRÓLIK i jej członu o kryptonimie BIAŁA NIENAWIŚĆ.

Rozmawiałem z DZIKIM KRÓLIKIEM. Jego zapewnienia, że nie miał z tym podłożeniem bomby nic wspólnego, nie brzmiały przekonująco. Ostrzegłem go, iż takie działania wykraczają poza jego uprawnienia operacyjne i że nic takiego nie powinno się już więcej zdarzyć. DZIKI KRÓLIK zdawał się wystraszony i nie sprzeciwiał się udzielanej przeze mnie reprimendzie. Chciałbym zauważyć, że na rękach miał dziwne sińce, jakby niedawno został porządnie pobity.

DZIKI KRÓLIK odmówił komentarza na temat swoich siniaków i ewentualnego pobicia. Spytałem o jego znajomego z Wietnamu, Chucka Rogersa, i prawdopodobne miejsce jego pobytu w chwili wypadku w kościele, a DZIKI KRÓLIK wyraźnie się zdenerwował. Istotna informacja: rozczłonkowane ciała sędziwych rodziców Rogersa zostały znalezione 23 czerwca w ich domu w Houston w Teksasie, przy czym właśnie Rogers (którego miejsce pobytu pozostaje nieznane) jest głównym podejrzanym w sprawie tego podwójnego zabójstwa. Sprawdziłem go u wietnamskiej i amerykańskiej straży granicznej i dowiedziałem się, że 15 czerwca Rogers wyleciał z Sajgonu do Houston, a ładunkiem transportowanym w samolocie, którym leciał, były materiały wybuchowe. Uważam, że Rogers dostarczył materiał do wyprodukowania bomby podłożonej w kościele, a DZIKI KRÓLIK pomagał mu przy tej nieusankcjonowanej przez nas prowokacji.

Chcę również zauważyć, że krótko po wybuchu miejscowi agenci namierzili w murzyńskim szpitalu WOJUJĄCEGO KRÓLIKA. Wydawał się

zrozpaczony i wyglądał niechlujnie. Sprawdziłem firmy wynajmujące w regionie samoloty i samochody, skutkiem czego dowiedziałem się, że WOJUJĄCY KRÓLIK wyleciał z Las Vegas do Nowego Orleanu, skąd pojechał do Bogalusy. Myślę, iż jest prawdopodobne, że spotkał się w Nowym Orleanie ze swoim klientem Carlosem Marcellem, a następnie wykorzystał okazję, że znalazł się tak blisko Bogalusy.

Uważam podróż WOJUJĄCEGO KRÓLIKA do Bogalusy za absolutnie dla niego typową i nie dziwię się, że chciał osobiście zobaczyć, jak przebiega zaplanowana agitacja ruchu praw obywatelskich. Proszę o odpowiedź w sprawie WOJUJĄCEGO KRÓLIKA.

Z wyrazami szacunku,
BŁĘKITNY KRÓLIK

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.07.1965. Wewnętrzna notatka służbowa. Do: BŁĘKITNY KRÓLIK. Od: Dyrektor. Dotyczy: OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Oznaczono: „Ścisłe tajne”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

BŁĘKITNY KRÓLIKU,
podejmij wszelkie niezbędne środki, by teoria o eksplozji będącej skutkiem wypadku pozostała jedyną oficjalną wersją w sprawie wydarzeń w Bogalusie. DZIKI KRÓLIK może przypisać sobie zasługę przeprowadzenia tego zamachu, dzięki czemu zyska wiarygodność w swojej nowej komórce Klanu. Nadal jednak staraj się odwieść go od popełniania aktów przemocy niewchodzących w zakres jego kompetencji operacyjnych.

Zgadzam się: obecność w Bogalusie WOJUJĄCEGO KRÓLIKA wydaje się całkiem dla niego typowa, aczkolwiek odrobinę niepokojąca. WOJUJĄCY KRÓLIK jest bliskim znajomym Pete’a Bonduranta, który jest bliskim znajomym Charlesa Rogersa.

Ten zbieg okoliczności nie daje mi spokoju. Każ agentom z Los Angeles i Nevady śledzić WOJUJĄCEGO KRÓLIKA w nieregularnych odstępach czasu. Zainicjuj też kontrolę poczty i śmieci w miejscach jego zamieszkania w Los Angeles i Las Vegas.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.07.1965. Wewnętrzna notatka służbowa. Do: Dyrektor. Od: BŁĘKITNY KRÓLIK. Dotyczy: OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Oznaczono: „Ścisłe tajne”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

Sir,

rozmawiałem z BIAŁYM KRÓLIKIEM. Powiedział mi, że wkrótce wybiera się na wakacje do Las Vegas. Czy powinienem zaaranżować jego spotkanie z WOJUJĄCYM KRÓLIKIEM, tak by BIAŁY mógł ostrożnie ocenić stan jego umysłu?

Z wyrazami szacunku,
BŁĘKITNY KRÓLIK

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.07.1965. Wewnętrzna notatka służbowa. Do: BŁĘKITNY KRÓLIK. Od: Dyrektor. Dotyczy: OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Oznaczono: „Ściśle tajne”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

BŁĘKITNY KRÓLIKU,
tak. Poleć BIAŁEMU KRÓLIKOWI, aby podczas pobytu w Las Vegas skontaktował się z WOJUJĄCYM.

76

(Port Sulphur, 14 lipca 1965)

Kandydaci: Gaspar Fuentes/ Miguel Díaz Arredondo. Kubańczycy/ wrogowie Brodacza /przyjaciele – ponoć – Tygrysa.

Flash popłynął na Kubę. Flash ich znalazł. Flash ich przywiózł. Flash zachwalał ich umiejętności. Flash zachwalał ich łamaną angielszczyzną. Flash zachwalał ich twarde jaja.

Miejsce akcji: barak z pustaków/ trzy metry na trzy/ skwar jak w piekle. Dwa krzesła elektryczne – pasy i kaptury – odkupione z angolskiego więzienia. Prądnica/ dwa kable zasilające/ dwa wykrywacze kłamstw.

Flash przypiął Fuentesa. Laurent G. przypiął Arredonda. Wayne i Mesplède patrzyli.

Na zewnątrz słyhać było strzały. Rekruci celowali w tarcze. Obóz Tygrys Południe. Miejscowi uchodźcy: sześćdziesięciu silnych chłopca – związanych z Kadrą, przez Kadrę zbrojonych, przez Kadrę karmionych.

Flash ustawił igły wykrywaczy. Laurent napompował rękawy ciśnieniomierzy. Wayne patrzył. Wayne się wyłączył.

Jesteśmy w Port Sulphur. Trochę na północ i ciach – Bogalusa.

Littell strzela do Chucka. Littell jest pijany. Littell poprzysięga trzeźwość. Pete go pociesza: pozbędę się Chucka i przycisnę DZIKIEGO KRÓLIKA. Dzikie Bob robi teraz dla federalnych. Jest chłopcem Wayne'a Seniora...

Flash obsługiwał wykrywacze. Laurent przeprowadzał kwiz: Czy pijesz wodę? Czy twoja koszula jest niebieska? Czy nienawidzisz Fidela Castro?

Igła w dół – na moment – szczerą prawdą.

Port Sulphur – rzut kamieniem do Bogalusy.

Wozili Chucka tu i tam. Znaleźli bagno. Wrzucili Chucka. Zżarły go aligatory. Wayne i Pete patrzyli.

Wayne pojechał do szpitala. Wayne widział rannych w zamachu. Wayne widział chłopca bez palców u nóg.

Obrazy. Nowe ujęcia. Następne do Bongo-kolekcji. Następne do kolekcji

Wendela D. Obrazy: lodówka/ rodzice Chucka/ wielkie zębiska aligatorów.

Flash obsługiwał wykrywacze. Laurent przeprowadzał kwiz: Czy jesteś szpiegiem? Czy służysz w kubańskich siłach zbrojnych?

Igła w dół – na moment – szczerą prawdą.

Wayne się wyłączył. Wayne ziewnął. Te wycieczki do kraju go nudziły. Tęsknił za Sajgonem. Tęsknił za laboratorium. Tęsknił za wojną i niebezpieczeństwem.

Czy jesteś *anti-Communisto*? Czy jesteś *pro-Tigre*? Czy będziesz służył *El Gato*⁴⁶ Wielkiemu?

Igła w dół – na moment – szczerą prawdą.

Uśmiech Flasha. Uśmiech Laurenta. Mesplède wstał i wzniósł okrzyk radości.

Zdjęli kandydatom pasy. Uściskali ich. Fuentes uściskał Wayne'a. Fuentes cuchnął brylantyną. Arredondo uściskał Wayne'a. Arredondo cuchnął gorzałą.

Wymienili spojrzenia. Hej – pora na lunch – upieczmy sobie coś na krzesłach elektrycznych.

Ruszyli na żebry. Wcisnęli parę kitów. Flash wyzebrał hot dogi. Laurent wyzebrał peklowaną wołowinę.

Zebrawali wszystko do kupy. Wpakowali do kapturów. Pociągnęli za wajchy. Strzeliły iskry. Mięso zaczęło się smażyć. Z kapturów skapywał tłuszcz.

Mięso upiekło się nierówno. Pomysł był czaderski. Rzeczywistość – do bani.

Mesplède skołował musztardę. Flash skołował bułki.

(Las Vegas, 16 lipca 1965)

Świeczki – całe czterdzieści pięć sztuk.

Pete je zdmuchnął. Jeden dmuch wystarczył. Barb pokroiła tort.

– Pomyśl sobie życzenie, tylko nie wspominaj o Kubie.

Pete się roześmiał:

– Już pomyślałem.

– Więc powiedz mi.

– Nie. Wtedy się nie spełni.

Barb włączyła klimatyzację. Barb wyziębiła apartament.

– Miało związek z Kubą?

– Nie powiem.

– Z Wietnamem?

Pete polizał polewę.

– Wietnam nie umywa się do Kuby.

Barb podrapała kota.

– Powiedz mi, dlaczego. To twoje urodziny, więc nie będę zrzędzić.

Pete napił się kawy.

– Bo jest za wielki, zbyt popieprzony i zbyt zmechanizowany. Masz tam helikoptery z reflektorami na brzuchu, które mogą oświetlić cztery kilometry kwadratowe dżungli. Masz naloty dywanowe i napalm. Masz żółtków bez odrobiny pieprzonego czaru i bandę cwanych kurdupli w czarnych jedwabnych piżamach, prowadzących partyzantkę od pięćdziesięciu pieprzonych lat.

Barb zapaliła papierosa.

– Kuba ma więcej czadu. Bardziej odpowiada twojej imperialistycznej estetyce.

Pete się roześmiał.

– Rozmawiałaś z Wardem.

– Chcesz powiedzieć, że przyswoiłam sobie jego słownictwo.

Pete strzelił palcami. Kot ułożył mu się na kolanach.

– Flash przesznuł dwóch ludzi. Napadali na kasyna i zabijali krupierów. W Hawanie do tego trzeba jaj.

– Do zabijania bezbronnych ludzi?

Pete się roześmiał.

– W kasynach pracują zbiry z milicji.

Barb się roześmiała.

– To wielka różnica.

Pete ją pocałował.

– Nikt nie potrafi wyrażać dezaprobaty tak wspaniale jak ty. To jeden z dziesięciu tysięcy powodów, dla których nam się układa.

Barb zrzuciła kota. Barb ścisnęła mu kolana.

– Ward twierdzi, że pomogłeś mi dorosnąć.

Pete się uśmiechnął.

– Ward potrafi zabić ćwieka. Wydaje ci się, że wiesz, na co go stać, aż tu raptem się okazuje, że to jeszcze nie wszystko.

– To znaczy?

– Zależy mu na ludziach, którzy nie mogą zrobić dla niego nic dobrego, ale daleko mu przy tym do frajera.

– To znaczy?

– Zwiertzył jakoś jeden numerek Klanu. I odpieprzył coś takiego, na co nikt inny by się nie porwał.

Barb się uśmiechnęła.

– Nawet ty?

Pete skinął głową.

– Pomogłem mu trochę. Przycisnąłem jednego gościa z Kadry i jasno wyłożyłem mu pewne zasady.

Barb się przeciągnęła. Kot wbił pazury w jej spódnice.

– Zjadłam z Wardem lunch. Martwił się. Widział, jak Jane przegląda jego papiery.

Pete wstał. Pete rozlał kawę.

O, kurwa...

Szef Marvów szykuje się do zbombardowania Hanoi. Prowadzi rozmowy ze swoim doradcą finansowym, Daj Mi Kasem, i swoim sekretarzem do spraw figo-fago Cwelem San Chinem. Siedzą w chińskiej restauracji w Sajgonie.

Cwel San Chin złapie z wielkiej michy śmietanę udojoną z młodego chłopca...

Tu Pete zarechotał. I dalej obserwował budynek.

Poleciał do LA. Zabrał ze sobą Milta C. dla rozrywki. Wypożyczył samochód.

Czuł to: Jane jest lewa. Jest wtyczką. Z Wardem ustawił ją Carlos.

Zadzwoił do Freda Otasha. Przepytał go – czego się dowiedziałeś? Otash poczęstował go informacjami o Dannym Bruvicku – eksie Arden-Jane.

Danny ma interes z łodziami. Danny ma pseudo. Danny prowadzi firmę czarterującą łodzie – „gdzieś w Alabamie”.

Carlos mieszkał w Nowym Orleanie. Alabama była niedaleko.

Pete obserwował budynek. Milt dłubał w nosie. Ward był w Chicago. Sam G. po niego zadzwonił. Arden-Jane była na górze.

– Szczurza Paczka ma tournée po Wietnamie. Frank wyrywa skośnookie cipki. Dino non stop chodzi nawalony w cztery dupy. Jest taki zalany, że strzela gafę za gafą. Podchodzi do niego jeden żółtek, a Dino do niego: „Zaprowadź mnie do swojego przywódcy”. Żółtek pyta: „Ky, Mao czy Ho Chi Minha?”. Dino na to: „Zatańczymy później. Teraz zabierz mnie do swojego przywódcy”.

Pete zarechotał. Pete obserwował budynek.

Milt zapalił papierosa.

– Freddy T. przesłał mi taśmę. Trzech ustawodawców i sześć dziwek zadekowanych w Dunes.

Pete się podrapał. Pete obserwował budynek.

Milt wydmuchiwał kółka z dymu.

– Przygotowuję nowe reklamy dla telewizji z Sonnym w roli głównej. „Taxi Tygrys, mistrzostwo Las Vegas. Zadzwoń już teraz albo skopiemy ci tę śliczną pupulkę”.

Pete zarechotał. Pete obserwował budynek. Milt zrzucił buty. Milt wietrzył nogi.

– Mamy kilku klientów migających się od zapłaty. Nie widzę sensu rozdawania hery na krechę.

– Zajmę się tym.

Milt zarechotał.

– Wykorzystajmy Sonny’ego. Czaisz, on uwielbia futra, zawsze kupuje je swoim dziwkom, a Długi Dom obrobił właśnie sklep z futrami w Reno.

Czaisz, Sonny mógłby pobierać dla nas kasę, a my płacilibyśmy mu futrami.

Pete zarechotał.

– Milt, ty mnie po prostu rozbrajasz. – Pete zobaczył wychodzącą Jane.

Portier się uśmiechnął. Portier sprowadził jej wóz. Jane wsiadła. Ruszyła. Pojechała na zachód.

Pete zapalił silnik. Pete ruszył. Pete pojechał za nią. Jechali wzdłuż Wilshire na zachód. Skręcili w Bundy na południe. Wjechali w Pico na zachód, w stronę plaży.

Pete pozostawał w tyle. Jane zmieniała pasy. Jane zjechała na prawo. Jane mrugnęła kierunkowskazem. Jane skręciła.

Proszę: Bank of America – filia w zachodnim Los Angeles.

Zatrzymała się. Zamknęła wóz. Weszła.

Milt się jej przyjrzał.

– Niezłe cycuszki. Chętnie bym się z nią pociupciał.

Pete zapalił papierosa. Milt wyzebrał od niego kolejnego.

– No dobra, to kim ona jest? Dzwonisz do mnie o piątej nad ranem. Mówisz: „Jedziemy do LA”, niczego nie wyjaśniasz. Zaczynam już myśleć, że zabrałeś mnie tutaj, żeby się pośmiać.

Jane wyszła. Jane wyniosła sakiewkę z monetami. Jane podeszła do budki telefonicznej na parkingu. Wykręciła „0”. Wrzuciła monety. Mówiła. Słuchała. Zasłaniała słuchawkę ręką. Rozmowa trwała i trwała. Jane zabrzęczała monetami. Nakarmiła aparat ponownie.

Pete ją obserwował. Pete mierzył czas: pięć minut/ sześć/ siedem.

Milt ziewnął.

– Coś tu śmierdzi. Przecież babka chyba ma telefon u siebie w chacie.

Dziesięć minut/ dwanaście/ czternaście.

Rozłączyła się. Podeszła do samochodu. Wsiadła i odjechała.

Pete ruszył za nią. Wjechali w Pico na wschód. Ujechali prawie dziesięć kilosów. Skręcili na północ w La Brea. Przecięli Wilshire. Przecięli Trzecią. Skręcili w Beverly, na wschód. Skręcili w Rossmore, na północ.

Proszę... zjeżdża na lewy pas. Daje sygnał. Skręca. Zwalnia przed Algiers – przypominającym meczet motelem z białej cegły.

Zaparkowała. Wsiadła. W ręce trzymała teczkę. W motelu były wielkie okna. Wszystko było widać na przestrzał.

Weszła do środka. Zatrzymała recepcjonistę. Oddała mu teczkę.

Milt powiedział:

– Węszę zadymę. Udziały w tym motelu ma Carlos.

Pete powiedział:

– Wiem.

Zastanawiał się. Rozważał możliwości. Rozkładał wszystko, kurwa, na czynniki pierwsze. Carlos miał udziały. Carlos miał *pakiet kontrolny*. Carlos decydował o doborze personelu.

Polecieli do domu. Milt się zmył. Pete uderzył do Taxi Tygrys. Obmyślił zmyłę. Wymyślił kilka kłamstw. Wykręcił numer.

– Informacja policyjna – męski głos. – Kto mówi?

Pete zakaszłał.

– Sierżant Peters z Wydziału Policji. Potrzebny mi numer połączenia z budki telefonicznej.

– Czas, miejsce, numer telefonu, z którego przeprowadzono rozmowę.

Pete złapał długopis.

– Dziś, 13.16. Nie znam numeru telefonu, ale wiem, że to budka przed Bank of America przy West Pico 14229, Los Angeles.

Tamten chrząknął.

– Proszę czekać.

Pete czekał. Pete obserwował parking. Długi Dom rzucał kości. Długi Dom pożerał wzrokiem chłopców. Długi Dom macał się po klejnotach.

Na linii zaszumiało. Ktoś chrząknął.

– To była rozmowa zamiejscowa z wypożyczalnią łodzi w Bon Secour w Alabamie.

78

(Chicago, 19 lipca 1965)

Sam biadolił.

Na więzienne żarcie. Na więzienne wszy. Na swoje więzienne hemoroidy.

Sam mówił głośno. W pokoju widzeń huczało. Wszy miały nogi. Wszy miały skrzydła. Wszy miały zęby jak Godzilla.

Littell się przeciągnął. Krzesło pod nim zatrzeszczało. Siedzenie go swędziało – wszy jak Godzilla.

Sam powiedział:

– Dziś rano znalazłem robala w talerzu z płatkami. Miał skrzydła jak odrzutowiec. A wpakował mnie w ten gnój ten palant, który powołał tę pieprzoną wielką ławę przysięgłych, ten słynny skurwysyn Robert F. Kennedy.

Littell postukał długopisem.

– Za dziesięć miesięcy będziesz wolny. Wtedy kończy się mandat wielkiej ławy przysięgłych.

Sam podrapał się po rękach.

– W ciągu pół roku będę trupem. Człowiek nie jest w stanie przeżyć walki z wszami takiej wielkości.

Littell się roześmiał. Sam podrapał się po nogach.

– To wszystko wina Bobby’ego. Jeśli ten skurwiel zacznie się ubiegać o fotel prezydenta, to, kurwa, pożałuje tego, bez kitu.

Littell pokręcił głową.

– On już nie będzie próbował się do ciebie dobrać. Ma teraz co innego na tapecie.

Sam podrapał się po karku.

– Fakt. Skumał się z agitatorami czarnuchów, co jeszcze nie znaczy, że się od nas całkiem odpieprzy.

Po stole przechadzał się robal. Sam go rozkwasił.

– Jeden zero dla nas. Nie będziesz się więcej mnożył, skurwysynu.

Littell odchrząknął.

– W Vegas wszystko idzie zgodnie z planem. Mamy głosy komisji i zgromadzenia ustawodawczego. Pan Hughes powinien dostać swoje pieniądze jakoś w przyszłym roku.

Sam podrapał się po stopie.

– Szkoda, że Jimmy nie będzie mógł tego zobaczyć.

– Może uda mi się utrzymać go z dala od więzienia, dopóki w to nie wejdziemy.

Sam kichnął.

– Żeby mógł świętować w drodze do pudła. My tu rżniemy Howarda Hughesa, a Jimmy pakuje pizamkę do więzienia.

– Tak by to mniej więcej wyglądało, zgadza się.

Sam kichnął.

– Nie podoba mi się to twoje spojrzenie. Mówi: „Mam dla ciebie ważne informacje, chociaż to ty mnie tu wezwąłeś”.

Littell przetarł okulary.

– Rozmawiałem z innymi. Wpadli na pewien pomysł, który ich zdaniem powinieneś rozważyć.

Sam przewrócił oczami.

– Więc *gadaj*. Masz wielką skłonność do certolenia się i robienia przydługich wstępów.

Littell się pochylił.

– Oni uważają, że w Chicago jesteś skończony. Uważają, że jesteś łatwym celem dla FBI i stanowej prokuratury. Uważają, że powinieneś przenieść się do Meksyku i prowadzić swoje interesy stamtąd. Uważają, że powinieneś nawiązywać latynoskie kontakty, żeby później pomóc nam wprowadzić w życie naszą zagraniczną strategię budowy kasyn, co ma nastąpić wkrótce po tym, jak sprzedamy hotele panu Hughesowi.

Sam podrapał się po karku. Sam podrapał się po rękach. Sam podrapał się po jajach. Skoczyła wesz. Sam ją rozkwasił.

– Dobra, pójdę na to. Wiem, że jak koniec, to koniec, i potrafię rozpoznać dobrą przyszłość, jak mi ją ktoś przedstawi.

Littell się uśmiechnął. Sam bujnął się z krzesłem do tyłu.

– Wciąż masz to spojrzenie. Wal w końcu, zanim znowu mnie zacnie swędzieć.

Littell poprawił krawat.

– Chcę dopilnować sprawy wykupu hoteli i wyprania kasy z Funduszu Emerytalnego, chcę pomóc w zagranicznych negocjacjach w sprawie kasyn, a potem przejść na emeryturę. Zamierzam formalnie zwrócić się z tym do Carlosa, ale najpierw chciałbym otrzymać błogosławieństwo od ciebie.

Sam się uśmiechnął. Sam wstał. Sam udał ulicznego mima. Skropił go wodą święconą. Udzielił mu komunii. Odliczył stacje Drogi Krzyżowej.

– Masz je. *Jeśli* pomożesz nam w jeszcze jednej sprawie.

– Powiedz tylko w jakiej.

Sam usiadł na krześle okrakiem.

– Zostaliśmy orznięci przy wyborach w 1960. Kupiłem Jackowi Wirginię Zachodnią i Illinois, a on nasłał na nas swojego pierdolonego braciszka. Teraz Johnson jest w porządku, ale za bardzo lubi czarnuchów i może nie wystartować w 1968. Rzecz w tym, że jesteśmy gotowi wykazać się wielką szczodrością wobec odpowiedniego kandydata, jeśli ten ułaskawi Jimmy'ego i pomoże nam na paru innych frontach. I chcemy, żebyś to ty się tym zajął.

Littell wciągnął powietrze. Littell wypuścił powietrze. Littell zbladł jak trup.

– Jezu Chryste.

Sam podrapał się po dłoniach.

– Chcemy, żeby pan Hughes dołożył się w dwudziestu pięciu procentach do naszej puli na ten cel. Chcemy, żeby nasz człowiek zgodził się na politykę nietykalności wobec Teamsters. Chcemy, żeby hamował zapędy FBI przeciwko mafii. Chcemy, żeby nie mieszał się w sprawy państw, w których planujemy otwarcie naszych kasyn, nieważne, czy będą prawicowe, czy lewicowe.

Littell wciągnął powietrze. Littell wypuścił powietrze. Littell prawie zemdłał.

– Kiedy?

– Wybory wstępne 1968. Mniej więcej w tym czasie. No wiesz, konwencje partii.

Skoczyła wesz. Sam ją złapał. Sam ją rozkwasił.

– Nie będziesz się więcej mnożył, sukinsynu.

Tabele: zyski/ koszty ogólne/ debety.

Littell odczytywał tabele. Littell studiował kolumny. Littell sporządzał notatki. Pracował na tarasie. Widok go rozpraszał. Uwielbiał jezioro

Michigan.

Hotel Drake – dwupokojowy apartament – na koszt Sama Giancany.

Littell odczytywał tabele. Liczby z ksiąg Funduszu skakały. Pieniądze użyte/ pieniądze zainwestowane/ pieniądze oddane.

Namierzone firmy. Finansowane ze środków Funduszu. Potencjalne pralnie. Siłą przejmujemy rzeczony firmy. Zbudujemy zagraniczne kasyna. Kupimy sobie prezydenta. Ukształtujemy jego politykę. Odkujemy się za 1960. Obstawimy więcej opcji. Zabezpieczymy się ze wszystkich stron. Podporządkujemy sobie lewicujące narody.

To było dziwne – mafia zawsze skłaniała się na prawo i przez tę skłonność zawsze prawicę korumpowała.

Chicago się skwarzyło. Wiatr pomarszczył jezioro. Littell w kąś cisnął tabele. Littell zaczął przeglądać wnioski.

Wnioski apelacyjne – uchronić czas jakiś Jimmy’ego przed pudłem. Wnioski w sprawie sprzedaży udziałów – przekonać Drakulę. Gówniana robota. W kółko to samo. Do zasranej śmierci.

Wstał. Przeciągnął się. Popatrzył na szeroką nadbrzeżną ulicę. Zobaczył sznury samochodowych świateł.

Wczoraj przeszedł się po bankach. Wyciągnął pieniądze na dziesięć. Wypisał czek. Wysłał je. Bał się zadzwonić.

Zadzwonił do Bayarda Rustina. Skłamał na temat Bogalusy. Zrobił to, żeby się chronić. Zrobił to, by chronić Pete’a i Wayne’a.

Czytał gazety. Oglądał wiadomości. Wybuch w kościele był „dziełem przypadku”. Nikt nie skojarzył z nim Chucka. Nikt nie skojarzył DZIKIEGO KRÓLIKA.

Zadzwonił do Bayarda. Potwierdził to, co było w wiadomościach. Powiedział, że wybuchła instalacja gazowa. Zacytował zmyślone źródła. Bayard wyraził wdzięczność. Bayard uwierzył. *On* skłamał. *On* kłamał jak z nut. *On* zadziałał zbyt późno.

Kościół wyleciał w powietrze. Littell podniósł kwoty swoich datków – ofiara za *jego* zabitych i rannych.

Widział rannych. Jacyś fedzie widzieli jego. Fedzie mogli donieść panu Hooverowi. Upił się. Zabił Chucka. Wytrzeźwiał. Wciąż pragnął. Wciąż czuł smak. Butelki z alkoholem migają mu przed oczami.

Zabił Chucka. Spał dwanaście godzin. Obudził się z takimi myślami:

Skończyć z tym. Porzucić To Życie. Urwać się stąd i zwać, gdzie

popadnie.

Sam powiedział: „Tak”. Sam pobłogosławił. Sam postawił warunki. Carlos też być może powie: „Tak”. Carlos też być może postawi warunki.

Dziesięciny/warunki/wybory.

Służył panu Hooverowi. Byli partnerami. Spłodzili CZARNEGO KRÓLIKA. Spłodzili DZIKIEGO KRÓLIKA. Spłodzili zabitych i rannych. On zabił Chucka. Pete pobił DZIKIEGO. Marna to była pokuta. Całkiem niewystarczająca.

Jezioro lśniło. Krążyły statki wycieczkowe. Littell widział ich światła na dziobach. Widział grające do tańca orkiestry. Widział kobiety.

Jane oznaczała teraz wojnę. Jane zyskała nad nim przewagę. Jane *znała* go z czasów, gdy on jeszcze *nie znał* jej. Wiedziała, że kradnie. Wiedziała, że zdobywa pieniądze. Wiedziała, że odtwarza nagrane po kryjomu taśmy.

Grzebała mu w papierach. Przyłapał ją. Oddalili się od siebie. Zaprzestali rozmów. Zaprzestali konfrontacji.

Jane miała plany. On to *wiedział*. Mogła chcieć go skrzywdzić. Mogła chcieć go wykorzystać. Mogła chcieć go jeszcze lepiej poznać.

To go przerażało. To go podniecało. To sprawiało, że pragnął jej tym bardziej.

Statek podpłynął bliżej. Orkiestra grała. Niebieska sukienka wirowała. Sukienka taka, jakie nosiła Janice.

Ona była sprośna. Wciąż go to kręciło. Wciąż raczyła go opowieściami i seksem.

Rzuciła Wayne’a Seniora. Szczegóły go przeraziły. Wayne Senior był KRÓLIKIEM OJCEM. Janice go rzuciła. Janice go nienawidziła. Janice wciąż na sobie czuła jego smycz.

Statek odpłynął. Niebieska sukienka zniknęła. Littell zadzwonił do Sands. Janice nie było. Littell zadzwonił do Desert Inn. Littell sprawdził, czy są dla niego jakieś wiadomości.

Była jedna: Zadzwoń do Lyle’a Holly’ego – jest w Rivierze. Cholera, BIAŁY KRÓLIK chce się z tobą widzieć.

Littell znalazł numer. Littell nie dzwonił od razu. Littell przygotował taśmę. Littell chwycił szpulę.

Sam go przerażał. Sam kłął: Bobby/skurwysyn/pozałuje.

Littell przygotował magnetofon. Littellowi zebrało się na wspomnienia.

Chicago, 1960 – Widmo kocha Bobby’ego. Chicago, 1965 – Bobby jak

żywy na taśmie.

79

(Las Vegas, 20 lipca 1965)

W Tygrysie huczało.

Pismaki lepiły się do Sonny'ego – rzuć nam coś do zacytowania – zeszmać tego śmiecia Cassiusa X. Sonny ich olewał. Sonny żłopał szkocką. Sonny macał norki.

Ukradł je Długi Dom. Długi Dom je sprzedawał. Długi Dom popełniał niedyskrecje. Obrabiam sklepy z futrami/ rucham Rocka Hudsona/ różną Sala Minea.

Jego chłoptaś się dąsał. Jego chłoptaś biadolił – hipokryta. Jego chłoptaś na pełen etat stręczył męskie dziwki.

Wayne patrzył. Barb patrzyła.

Dom migał się od roboty. Jego chłoptaś wysyłał innych kierowców. Unikali południowego szczytu. Sonny kupił rękawiczki z nerek. Sonny kupił skąpe slipy z nerek. Sonny kupił nauszniki z nerek.

Jakiś pismak spytał:

– Czy te futra są dmuchnięte?

Sonny odparł:

– Twoja mamuśka jest dmuchnięta. A ja jestem twój tatuś.

Jakiś pismak spytał:

– Dlaczego nie dołączysz do ruchu praw obywatelskich?

Sonny odparł:

– Bo nie mam zadka odpornego na psie zęby.

Pismaki zarechotały. Wayne zarechotał. Barb wyszła na parking. Łyknęła pigułki. Popiła. Zgniotła puszkę po 7Up-ie.

Wayne wyszedł do niej. Wayne stanął blisko.

– Pete wyjechał. Zaczynasz brać, jak tylko zniknie z pola widzenia.

Barb się cofnęła.

– Zastanów się najpierw, co *sam* robisz, i dopiero wtedy powiedz, że mnie potępiasz.

Wayne się zbliżył.

– Widzisz przecież, komu sprzedajemy.

– A ty widzisz *mnie*. Czy wyglądam jak jedna z tych naćpanych dziwek, za których ojców możecie się uważać?

– Owszem, widzę cię. I widzę zmarszczki, których jeszcze rok temu nie miałaś.

Barb się zaśmiała.

– Zapracowałam na nie. Od piętnastu lat prowadzę To Życie.

Wayne się cofnął.

– Unikasz mnie.

– Nie. Mówię tylko, że siedzę w tym dłużej i wiem, na czym to wszystko polega, lepiej od ciebie.

– Powiedz to Pete’owi. Nie łyknie, ale i tak mu powiedz.

Barb się zbliżyła.

– To ty jesteś uzależniony, nie ja. Jesteś uzależniony od Tego Życia, choć nie wiesz nawet, na czym ono polega.

Wayne się zbliżył. Zderzyli się kolanami. Wayne poczuł zapach jej mydła.

– Jesteś po prostu wkurzona, że nie ma w tym miejsca dla ciebie.

Barb się cofnęła.

– Będziesz zmuszony robić rzeczy, z którymi nie będziesz potem umiał żyć.

– Może już je robiłem.

– Będzie coraz gorzej. I będziesz robił coraz gorsze rzeczy, żeby sobie udowodnić, że potrafisz je znieść.

Jazda próbna:

Cztery zbiórki. Czterech nieskłonnnych do zapłaty ćpunów. Debiut Sonny’ego w kwestii egzekucji należności.

Rzeczony ćpuny zawładnęły kościelną piwnicą. Rzeczony ćpuny posiadały ją przez zasiedzenie. Miejscowy pastor szprycował się demerolem. Ćpuny szprycowały się w kościele.

Wayne prowadził wóz. Sonny czyścił paznokcie ostrzem sprężynowca. Sonny popijał szkocką. W zachodnim LV panował skwar. Ludzie taplali się w nadmuchiwanych basenach. Ludzie mieszkali w klimatyzowanych wozach.

Wayne rzekł:

– Zabiłem w Sajgonie jednego kolorowego.

Sonny rzekł:

– Zabiłem w St. Louis jednego białego.

Oto i kościół. Zapuszczony. Wysmagany piaskiem. Obwieszony neonami. Złożone do modlitwy dłonie i krzyże. Jezus rzucający kości do gry.

Zaparkowali. Podeszli do drzwi piwnicy. Wytrychem rozprawili się z zamkiem. Wkroczyli do środka.

Ujrzeni czterech ćpunów. Rozwalonych na samochodowych siedzeniach wytarganych ze starych cadillaców. Ujrzeni łyżki i zapalki. Ujrzeni igły i strzykawkki. Ujrzeni zwitki i ich białą zawartość.

Do tego sprzęt hi-fi. Płyty. Jakiś gospel.

Ćpuny wypoczywały – po jednym na każdym siedzeniu – wszyscy w ćpuńskim siódmym niebie.

Zobaczyli Sonny'ego. Zobaczyli Wayne'a. Wyszczrzyli zęby w uśmiechach. Zarechotali. Westchnęli.

Wayne powiedział:

– Dawaj.

Sonny zagwizdał. Sonny zebrał się w sobie. Sonny przypuścił szturm na siódme niebo.

– Hej, wy, pojechańcy, macie dziesięć sekund na to, żeby przestać się opierdalać w tej świątyni i oddać nam to, co jesteście winni.

Jeden ćpun zachichotał. Jeden się podrapał. Jeden zarechotał. Jeden ziewnął.

Wayne włączył hi-fi. Wayne umieścił płytę. Wayne opuścił igłę. Ryknęło jakieś byle co. Ekstatyczny chrześcijański chór.

Wayne powiedział:

– Dawaj.

Sonny kopnął w siedzenia. Sonny pozwalał ćpunów. Sonny cisnął ich na posadzkę. Ćpuny się wiły. Ćpuny kwiczały. Ćpuny pospadały z ćpuńskiego nieba nr 7.

Sonny ich skopał. Sonny ich popodnosił. Sonny ich popuszczał. Sonny chwycił za fotele. Sonny celował. Sonny spuszczał im je na głowy.

Kwiczele. Piszczeli. Wyli i krwawili.

Sonny prał po gębach. Sonny wywracał kieszenie. Sonny wyrzucał różne śmieci. Jeden palant sam wywrócił swoje kieszenie. Jeden zaczął błagać.

Sonny go podniósł. Sonny go upuścił. Sonny go kopnął. Sonny się schylił. Sonny wysłuchał błagania.

Sonny wstał. Sonny się uśmiechnął. Sonny dał znak Wayne'owi. Chór ryknął *forte*. Wayne wyciągnął wtyczkę i podszedł.

Sonny się uśmiechał.

– Wiesz, jakoś tak na wiosnę Wendell Durfee stręczył meksykańskie dziwki w Bakersfield w Kalifornii.

(Bon Secour, 22 lipca 1965)

Łodzie:

Wynajem. Tekowe kadłuby i potężne silniki. Czterdzieści pomostów/ trzydzieści pustych/ trzydzieści łodzi wypłynęło w morze.

Pete przechadzał się po nabrzeżu. Pete spostrzegł pomost 19. Proszę, oto i „Odpływ”. Szesnaście metrów długości. No i te wysokie nadburcia.

Nieźle cacko. Wysokie maszty i przestrzeń załadunkowa. Mosiężne mocowania pierwsza klasa.

Jakiś gość pracował na pokładzie. Gość średniego wzrostu, dobrze po czterdziestce. Miał sztywną nogę. I koślawy chód.

Było gorąco. Powietrze się skraplało. Chmury gęstniały. Mobile Bay – Pierdutkowo – budy z przynętą na ryby i kupa ludzi.

Pete przechadzał się wzdłuż łodzi. Pete obserwował pomost 19.

Sprawdził numer, pod który dzwoiła Jane. Przyleciał. Powęszył. Właścicielem „Odpływu” był niejaki „Dave Burgess”. „Dave Burgess” go czarterował. „Dave Burgess” znał ludzi z Nowego Orleanu. Dodać jedno do drugiego. Dodać D.B. „Dave Burgess” to Danny Bruvick.

Właścicielem „Odpływu” była korporacja T&C. Właścicielem T&C był Carlos. Carlos był *panem* Nowego Orleanu.

Pete przekupił jednego gliniarza. Sprawdził rejestry telefoniczne. Sprawdził numery. „Burgess” pasował. „Burgess” korzystał z budek telefonicznych – tuż przy nabrzeżu.

„Burgess” dzwonił do Carlosa. „Burgess” dzwonił do Carlosa dość często. W ciągu ostatniego miesiąca „Burgess” dzwonił do Carlosa cztery razy.

Pete ruszył pomostem 19. „Burgess” czyścił haki na ryby. Pete wszedł na pokład. „Burgess” podniósł wzrok.

Drgnął. Lekko się poruszył. Nastawił czułki.

Ta kusza na ryby – *uważaj*.

„Burgess” wyciągnął rękę. „Burgess” chciał złapać. „Burgess” trafił na

uchwyt. Pete się zamachnął. Pete kopnął. Pete trafił w uchwyt.

Kusza smyrnęła po pokładzie. „Burgess” powiedział:

– O, cholera.

Pete podszedł. Pete chwycił kuszę. Pete wrzucił ją do morza.

„Burgess” powiedział:

– O, kurwa.

Pete podciągnął koszulę. Pete pokazał spluwę.

– Myślisz pewnie: „To gość od Jimmy’ego Hoffy”, ale się mylisz.

„Burgess” posaż kciuk. „Burgess” poruszał dłonią. Pete rozejrzał się po łodzi. Łódź kusiała. Łódź uwodziła.

Ładna: stalowy kadłub/ bosaki/ mocowania. *Ładna*: twarde drewno z Filipin.

„Burgess” zginał nadgarstek.

– Kiedyś szmuglowano tą łodzią rum. Mam tu różne...

Pete podciągnął koszulę. Pete pokazał spluwę. Pete wskazał pod pokład. „Burgess” wstał. „Burgess” westchnął. „Burgess” ustawił swą sztywną nogę i pokuśtykał.

Miał na sobie szorty. Widać było blizny. Widać było przedziurawione kulą kolano.

Przeciął pokład. Minął sterownię. Schodami na jej tyle podążył w dół. Pete za nim. Pete chłonał szczegóły.

Dwa stery/ stanowiska kontrolne/ pełne oprzyrządowanie. Tekowe ściany/ hol/ kajuty na tyłach.

W głębi: silniki/ przestrzeń ładunkowa/ trapy załadunkowe.

Pete szedł przed siebie. Zobaczył biuro: dwa krzesła/ jedno biurko/ półka z whisky.

Wciągnął „Burgessa” do środka. Złapał krzesło. Posadził „Burgessa”. Przysunął krzesło z „Burgessem” do biurka. Nalał mu Cutty Sark.

Łódź się zakołysała. Pete rozlał trochę gorzały. „Burgess” złapał szklankę. „Burgess” wypił. „Burgess” się zaczerwienił.

Pete nalał jeszcze. Pete nalał dużo. „Burgess” nie odmówił. „Burgess” wyżłopał.

Pete wyciągnął spluwę.

– Ty jesteś Danny Bruvick, a ja Pete Bondurant. Mamy wspólnych przyjaciół.

Bruvick beknął. Bruvick się zaczerwienił. Bruvick wyglądał na

moczymordę.

Pete zakręcił sfluwą.

– Chcę usłyszeć całą historię o tobie, „Arden” i Carlosie Marcellu. Chcę wiedzieć, dlaczego Arden spiknęła się z Wardem Littellem.

Bruvick wpatrywał się w butelkę. Pete nalał mu jeszcze. Bruvick nie odmówił. Łódź się zakołysała. Bruvick zalał spodnie.

– Nie powinieneś dawać mi tyle do picia, bo mogę stać się odważny.

Pete pokręcił głową. Pete wyciągnął tłumik. Pete przykręcił go do lufy. Bruvick przełknął głośno. Bruvick wyjął różaniec. Bruvick zaczął klepać zdrowaśki.

Pete strzelił do Cutty. Pete strzelił do Gibley’ sa. Pete strzelił do Jacka D. Butelki się rozpryskiwały. Tekowe ściany trzeszczały. Odłamki szkła dziurawiły drewno.

Pokojem zatrzęsyły fale dźwiękowe – łodzią zakołysało.

Bruvick zbaraniał. Bruvick ścisnął różaniec. Bruvick zakrył uszy.

Pete ściągnął mu ręce w dół.

– Zaczynj od Arden. Podaj mi jej prawdziwe nazwisko i opowiedz co nieco o przeszłości.

Bruvick kichnął. Proch łaskotał w nozdrzach. Kordyt piekł.

– Naprawdę nazywa się Arden Breen. Jej stary był agitatorom związkowym. No wiesz, komuchem.

Pete strzelił palcami.

– Mów dalej.

Bruvick otrzepał włosy. Posypały się odłamki szkła.

– Jej matka zmarła. Miała gorączkę reumatyczną. Stary wychowywał Arden sam. Był pijakiem i dziwkazem. Miał inną panienkę na każdy dzień tygodnia i ciągał Arden po burdelach i siedzibach związków, a to były *naprawdę* paskudne miejsca. No wiesz, stary gadał wprawdzie jak czerwony, ale jak tylko nadarzyła się okazja, szedł na układ z kierownictwem, co oznaczało...

– Arden. Wróć do niej.

Bruvick rozmasował kolana.

– Szybko rzuciła szkołę, ale zawsze miała głowę do liczb. Poznała te dwie dziwki, które chodziły do tej samej szkoły dla księgowych w Missisipi co ja, i od nich podłapała trochę umiejętności. Prowadziła księgi paru burdelom i związkom, no wiesz, fuchy załatwione przez starego. Pracowała w takich

lepszyc burdelach i szpiclowała klientów. Wydębiała od nich informacje na temat akcji i takich tam. Była dobra we wszystkim, co miało związek z cyferkami i księgami. No wiesz, z kalkulacjami finansowymi.

Pete strzelił kciukami.

– Do rzeczy. Widzę, że do czegoś zmierzasz.

Bruvick masował kalekie kolano. Blizna na nim pulsowała.

– Pracowała w coraz lepszych burdelach. W końcu poznała tego szmalownego gościa, Jules’a Schiffrina. Facet był związany z...

– Wiem, kim był.

– No dobrze. I ten gość został stałym klientem Arden. Utrzymywał ją, no wiesz, a ona miała okazję poznać wielu ludzi z Tego Życia i pomagała mu w prowadzeniu tak zwanych „prawdziwych” ksiąg Funduszu, nad którymi pracował.

Pete strzelił nadgarstkami.

– Mów dalej.

Bruvick masował kolano.

– Jej ojciec zginął w 1952. Orznął Jimmy’ego H. na jakimś układzie i Jimmy kazał go stuknąć. Arden miała to gdzieś. Nienawidziła starego za tę jego pieprzoną hipokryzję i gówniane wychowanie, jakie jej zafundował.

Łodzią zakołysało. Pete chwycił się biurka.

– Jeszcze Arden i Schiffrin. Rozwiń temat.

– A co tu rozwijać? Nauczyła się od niego, czego tylko mogła, i puściła go w trąbę.

– I?

– I zaczęła się puszczać na własną rękę, i spiknęła się z Carlosem. Poznałem ją w 1955. Mieliśmy wspólne znajome, te dwie dziwki, które chodziły ze mną do szkoły. Pracowałem wtedy w Kansas City. Pobraliśmy się i zaczęliśmy snuć plany.

– Na przykład: „Skubnijmy Jimmy’ego”.

Bruvick zapalił papierosa.

– Przyznaję, że to nie było najbystrzejsze...

– Zostaliście przyłapani. Jimmy wydał wyrok.

– Zgadza się. Paru gości mnie przyskrzyniło i zaczęło strzelać. Zwiąłem, ale prawie straciłem nogę, a ten pierdolony wyrok nadal nade mną wisi.

Pete zapalił papierosa.

– Jimmy się postarał, żeby gliny z Kansas City wsadziły Arden do pudła.

Carlos ją wykupił i ukrył ciebie. Nie starał się anulować wyroku wydanego przez Jimmy'ego, bo chciał mieć na ciebie haka.

Bruvick pokiwał głową. Bruvick spojrział na półkę z gorzałką.

– Ależ z ciebie dupek. Zmarnowałeś tyle trunków.

Pete się uśmiechnął. Pete wycelował. Pete zniżył broń. Pete strzelił w krzesło Bruvicka.

Nogi się złamały. Krzesło runęło. Drewno się roztrzaskało. Bruvick zwałił się na podłogę. Bruvick zaskamlał. Bruvick powrócił do zdrowasiek.

Pete wydmuchiwał kółka z dymu.

– Carlos ustawił cię z tym wypożyczeniem łodzi. A co się stało z Arden?

Łodzią zakołysało. Bruvick upuścił różaniec.

– Nie ufała Carlosowi. Nie chciała mu być dłużna, więc prysła do Europy. Zaczęliśmy polegać na telefonach publicznych, dzięki nim się kontaktowaliśmy.

Pete zakaszłał.

– W końcu wróciła do Stanów. Nie umiała zerwać z Tym Życiem.

– Fakt. Wylądowała w Dallas. Tam wpakowała się w jakieś bagno, gdzieś pod koniec 1963. Nie chciała mi powiedzieć, co się stało.

Pete rzucił papierosa. Pete dostrzegł, jak Bruvick się czerwieni.

– Daj spokój, Danny. Chyba nie chcesz, żebym się zrobił niemiły.

Bruvick wstał. Kolano się pod nim ugięło. Zachwiał się. Wpadł na ścianę. Osunął się po niej i usiadł.

Rozmasował kolano. Zgasił rzuconego przez Pete'a papierosa.

– Kiedy to prawda. Nie chciała mi powiedzieć, co się stało. Wiem tylko, że spiknęła się z Littellem i mniej więcej w tym samym czasie znalazł ją Carlos. Powiedział, że oboje będziemy bezpieczni, jeżeli Arden będzie pilnowała Littella, ale nadal nie chciał pogodzić nas z Jimmym.

Jasne. Tak musiało być. Szantaż na dwóch frontach. Wyrok Jimmy'ego/wpadka z kryjówką. Arden – takie rzadkie imię.

Carlos *zna* Arden. Carlos rozpoznaje jej *imię*. Carlos nie ufa Littellowi. Carlos odnajduje Arden. Carlos robi z niej wtyczkę. Arden szpieguje Littella.

Wydawało się, że to prawda – w dziewięćdziesięciu procentach – niekompletna.

Pete powiedział:

– Nie chcę, żeby Littellowi coś się stało.

Bruvick wstał. Kalekie kolano tym razem go utrzymało.

– Arden chyba też nie. Łączy ją z nim coś naprawdę dziwnego.

Zadzwoił do Carlosa. Odebrała pani M. Zostawił wiadomość:

„Poznałem D.B. – Danny’ego Żeglarza – proszę przekazać to Carlosowi. Proszę przekazać, że wpadnę. Proszę przekazać, że chciałbym pogadać”.

Pojechał do Nowego Orleanu. Robił sobie przystanki w bibliotekach. Studiował książki.

Łodzie:

Kambuzy/ mostki kapitańskie/ radary/ pokłady dla wędkarzy/ spływniki/ maszty.

Studiował nazewnictwo. Studiował dane silników. Studiował mapy/ Pine Island/ Cape Sabel/ Key West. Potencjalne przystanki w drodze na Kubę – na południe.

Jechał okrężną drogą. Wpadł do Port Sulphur. Zobaczył obóz Tygrys-Południe. Zobaczył rekrutów. Zobaczył Flasha i Laurenta. Spotkał Fuentesę i Arredonda. Rozmawiali o nocnych wyprawach. Rozmawiali o wypadach po skalpy. Rozmawiali o powstaniu.

Wayne był w Sajgonie – jeden krótki wypad i szybki powrót. Wayne uwielbia PATRZEĆ. Wayne chce DZIAŁAĆ. Wayne chce ZOBACZYĆ Kubę z bliska.

Flash miał plan: Zrobię mały wypad wyścigową motorówką. Wysadzę Fuentesę i Arredonda. Migiem – na północnym brzegu – na plaży Varcadero. Chłopcy przenikną z powrotem. Przygotują strefy zrzutu. Przyplyną motorówką z powrotem. Będą wozić broń. Będą startować z Florydy. Będą kursować motorówką. Będą targać karabiny. Szybko i po cichu. Tam i z powrotem. Unikając radarów – sześć kursów w tygodniu.

Pete powiedział: „Nie”. Pete powiedział dlaczego: „Za daleko/ ryzyko utraty dwóch ludzi/ niska wydajność”.

Flash spytał:

– *Que?*

Laurent spytał:

– *Quoi?*

Fuentes spytał:

– *Que pasa?*

Pete mówił o sieciach. Pete mówił o nadburciach. Pete mówił o wydajności paliwa.

Pete mówił o łodziach.

Carlos powiedział:

– Jasne, że jest moim szpiegiem. Powiedz mi, że Ward jest na pewno w porządku, a dopiero wtedy wciskaj mi, że jej nie potrzebuję.

W Galatoire's było pusto. Dostali najlepszy stół. Carlos zgasił cygaro. Mecundo zanurzył w anyżówce.

– Praca Warda nad księgami Funduszu to ryzykowna sprawa, a z Arden jest kurewsko dobra księgowa. Bronię tylko swoich interesów, a Ward ma przy okazji niezłą cipkę.

Pete zapalił papierosa.

– On ją kocha. Nie chcę, żeby stała mu się krzywda.

Carlos mrugnął.

– A ja nie chcę, żeby krzywda stała się *tobie*. Znam się z tobą tak długo jak z Wardem. Niektórzy mogliby żywić urazę za to, co zrobiłeś z Dannym B., ale ja do nich nie należę.

Pete się uśmiechnął.

– Przyznałem się do tego, no nie? Zadzwoiłem do ciebie.

– Zgadza się. Postąpiłeś źle i postanowiłeś kryć własny tyłek.

– Ja nie chcę tylko...

– Nic mu nie będzie. Oni oboje są siebie warci. Znam Arden, a Arden wie, że mnie w balona nie robi. Skoro mówi, że Ward przeciwko mnie nie kombinuje, to jej wierzę. Zawsze miałem wrażenie, że Ward skubie Howarda Hughesa, ale Arden twierdzi, że nie, więc też jej wierzę.

Pete beknął. Pete rozpiął pasek – ciężkostrawna kreolska kuchnia.

– Nie mów o tym Wardowi. Chyba nie chcesz, żebym się na ciebie wkurzył.

To „coś” – wciąż *prawie* namacalne – wciąż niekompletne.

Zjawił się kelner. Pete podziękował za brandy na koszt firmy.

Carlos beknął.

– A o co chodziło z tym „pomysłem”?

Pete odsunął kilka talerzy. Pete rozłożył mapę. Pete zajął cały stół.

– Kursy motorówką to strata ludzi i czasu. Nie da się przewieźć sprzętu w większej ilości. Chcę przerobić łódź Bruvicka tak, żeby kursować nią z Bon Secour. Chcę wozić broń w większej ilości i organizować zamachy terrorystyczne.

Carlos spojrział na mapę. Carlos zapalił cygaro. Carlos wypalił wielką dziurę w Kubie.

81

(Las Vegas, 7 sierpnia 1965)

Lyle Holly: Dwight Holly, tylko że w mniejszym wydaniu. BŁĘKITNY KRÓLIK i BIAŁY KRÓLIK. Prostak/krzykacz/krętacz.

Spotkali się w Desert Inn. Siedzieli w barze. Lyle był szczery. Lyle był nieokrzesany. Lyle był nawalony, choć dopiero minęło południe.

Lyle mówił:

– Ze mnie to chyba jest schizofrenik. Pracuję dla SCLC, pracuję dla pana Hoovera. Tu ścigam CZARNEGO KRÓLIKA, a zaraz biorę udział w demonstracjach na rzecz praw wyborczych. Dwight twierdzi, że jestem stuknięty.

Littell pił kawę. Littell czuł zapach szkockiej Lyle’a.

– Czy pan Hoover nasłał cię, żebyś mnie szpiegował?

Lyle klepnął się po kolanach.

– Dwight mi to zasugerował. Wiedział, że się wybieram do Vegas, więc co tam.

– Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś mi wyjawić?

– Kurde, nie. Powiem Dwightowi, że Ward, którego spotkałem, to ten sam Ward, którego ponoć znałem jeszcze w Chicago, z tą tylko różnicą, że teraz ma taką samą schizę jak ja i z tych samych powodów.

Littell się roześmiał. Obok przeszedł Sammy Davis Junior. Lyle wlepił w niego gały.

– Patrz tylko. Jest szkaradny, ma jedno oko, jest czarny *i* jest Żydem. A słyszałem, że leci na niego mnóstwo białych cipek.

Littell się uśmiechnął. Lyle pomachał Sammy’emu. Sammy mu odmachął.

Lyle pił Johnniego Walkera.

– Marty ma wygłosić przemówienie w Nowym Jorku. Znajdzie tam słuchaczy w osobach Żydów z głębokimi kieszeniami. Zaczyna atakować wojnę w Wietnamie i podniecać mośków słowami takimi jak „ludobójstwo”. Wykracza już poza ramy walki o prawa obywatelskie i zaczyna kasać rękę,

która go karmi.

Pete był w Laosie. Wayne był w Sajgonie. Wojna ich tam ukryła. Zadzwoił do Carlosa. Carlos mówił o Pecie. Carlos mówił, że właśnie obmyślili plan w sprawie Kuby.

Littell powiedział: „Chcę przejść na emeryturę”. Carlos powiedział: „W porządku”. Carlos potwierdził zgodę Sama. Carlos wspomniał o wyborach 1968.

Lyle pił szkocką. Obok przeszedł Peter Lawford. Lyle wlepił gały.

– On kiedyś stręczył panienki Jackowi Kennedy’emu. To czyni nas kolegami po fachu. Ja załatwiam Marty’emu wszystkie białe pizdy, a czasem też wynajduję jakiegoś młodego ptaszka dla Bayarda Rustina. Pan Hoover ma zdjęcie Bayarda z fiutem w paszczy. Zrobił odbitkę dla prezydenta Johnsona.

Littell się uśmiechnął. Lyle przywołał kelnerkę. Lyle szybko dostał kolejną whisky.

– Dwight mówił, że w tamtym kościele to była bomba. Bayard twierdzi, że to była nieszczelność instalacji gazowej, co nasuwa mi przypuszczenie, że to ty mu to powiedziałaś.

Littell wziął łyk kawy.

– Powiedziałem, to fakt.

Lyle wziął łyk szkockiej.

– WOJUJĄCY KRÓLIK to w stu procentach biały człowiek. Powiem to Dwightowi.

Littell się uśmiechnął. Lyle się wyszczerzył. Lyle wyciągnął książeczkę czekową.

– Czuję, że szczęście mi dzisiaj sprzyja. Myślisz, że mógłbyś wymienić mi czek na żetony do gry?

– Ile?

– Dwa kawałki.

Littell się uśmiechnął.

– Umieść na czeku moje inicjały i „apartament 108”. Powiedz kasjerowi, że jestem stałym gościem.

Lyle się uśmiechnął. Lyle wypisał czek. Lyle wstał i ruszył – nieco chwiejnym krokiem.

Littell obserwował.

Lyle się zatoczył. Lyle siorbnął whisky. Dotarł do kasyna. Przystąpił do

kasy. Podał czek. Dostał żetony.

Littell patrzył. Littell myślał – WOJUJĄCY KRÓLIK/ stuprocentowy Biały Człowiek/ instalacja gazowa.

Lyle dorwał się do ruletki. Lyle ustawił żetony – setki żetonów – dwa kawałki. Krupier się skłonił. Krupier zakręcił. Koło zawirowało. Koło stanęło. Krupier zgarnął żetony.

Lyle klepnął się w czoło. Lyle poruszył ustami. Littell patrzył. Littell odczytał z jego ust: „O, szlag by to...”.

Schiza/ koledzy po fachu/ młode ptaszki.

Lyle mógł prowadzić swoje *prywatne* akta. W rzeczonych aktach coś mogło być. W rzeczonych aktach mogło być coś na CZARNEGO KRÓLIKA.

Lyle rozejrzał się dokoła. Lyle zobaczył Littella. Lyle pomachał książeczką czekową. Littell pomachał ręką i skinął głową.

Lyle podszedł do kasy. Lyle chwycił się kraty. Wypisał czek. Zabrał żetony.

Obok przechodziła kelnerka. Littell ją zatrzymał.

– Mój przyjaciel gra w kasynie. Proszę mu zanieść potrójnego Johnniego Walkera.

Skinęła głową. Uśmiechnęła się. Littell dał jej dziesięć dolców. Podeszła do baru. Nalała drinka. Ruszyła w stronę kasyna. Podeszła do ruletki. Zobaczyła Lyle’a i go poczęstowała.

Lyle wyłopał szkocką. Lyle ustawił żetony. Czerwone – setki żetonów – wielkie rolki.

Krupier się skłonił. Krupier zakręcił. Koło zawirowało. Koło stanęło. Krupier zgarnął żetony.

Lyle klepnął się w czoło. Lyle poruszył ustami. Littell patrzył. Littell odczytał z jego ust: „O, szlag by to...”.

Littell ruszył do niego. Littell minął kelnerkę. Littell wsunął jej dychę. Skinęła głową. *Zrozumiała*. Uśmiechnęła się chytrze.

Lyle podszedł. Lyle połknął drinka. Lyle przeżuł lód.

– Nie idzie mi, ale nie jestem spłukany. Mam jeszcze środki.

– Zawsze umiałeś je gromadzić, Lyle.

Lyle się roześmiał. Lyle zachwiał się po pijacku. Lyle beknął.

– Traktujesz mnie protekcjonalnie. To właśnie tej świętości Dwight tak w tobie nie znosi.

Littell się roześmiał.

– Nie jestem święty.

– Nie, nie jesteś. Martin Luther King Kong jest jedynym świętym, jakiego znam, a mam na niego trochę zajebistych brudów.

Zjawiła się kelnerka. Lyle chwycił kolejną whisky.

– Zajebistych, mówię ci.

Podpuścić go teraz... powoli... spokojnie.

– Chcesz powiedzieć, że pan Hoover ma brudy.

Lyle zamieszał szkocką w szklance.

– On ma swoje brudy, ja mam swoje. Mam całą hałdę u siebie w mieszkaniu w LA. I moje brudy są lepsze, bo mam codzienny dostęp do samego świętego Marty'ego.

Podjudzić go trochę... powoli... spokojnie.

– Nikt nie ma lepszych informacji niż pan Hoover.

– Gówno prawda, ja mam. Chowam je do czasu kolejnych rozmów na temat mojego kontraktu. Powiem mojemu przełożonemu: „Chcecie informacji, podnieście mi pensję – bez dobrej płacy nie ma kołaczy”.

Mijał ich Sammy Davis. Lyle wpadł na niego. Sammy się zachwiał. Sammy się zachnął – rany, aleś ty nawalony!

Lyle się zachwiał. Lyle łyknął whisky. Lyle wycisnął sobie syfa na brodzie.

– Lecą na niego białe dupcie. Musi być nieźle podwieszony.

W powietrzu krążyły opary. Dym z papierosów i słodówka – osiemdziesiąt sześć procent. Littell zaczął się ślinić. Littell się odsunął.

Lyle wyciągnął dwie książeczki czekowe – obie z tłoczonymi napisami – „L.H.” i „SCLC”. Ucałował je. Zwiesił w palcach. Podniósł gwałtownie tak, jakby wyciągał rewolwery. Zakręcił obiema po kowbojsku i wycelował.

– Czuję, że szczęście mi dzisiaj sprzyja, co oznacza, że być może zmuszony będę wziąć pożyczkę od ruchu praw obywatelskich.

Littell się uśmiechnął. Lyle się zachwiał. Lyle złapał równowagę. Lyle odszedł, nawalony.

Littell patrzył.

Lyle znowu dopadł do kasy. Lyle pokazał książeczkę czekową – niebieską, tę z SCLC. Lyle wypisał czek. Ucałował go. Zebrał żetony.

Czerwone – dziesięć rolek – pięć kawałków.

Powoli teraz – spokojnie – żarty się skończyły.

Littell podszedł do telefonów. Littell zajął budkę. Podniósł słuchawkę. Rozległ się sygnał. Zaraz zgłosiła się telefonistka.

– Desert Inn. W czym mogę pomóc?

– Mówi Littell z apartamentu 108. Chcę zamówić rozmowę zamiejscową z Waszyngtonem.

– Numer poproszę.

– EX4-2881.

– Proszę czekać. Łączę.

Na linii zabuczało – trwało łączenie – pojawiły się szумы i trzaski. Littell rozejrzał się dokoła. Littell zobaczył Lyle'a. Lyle siedział przy stole do gry w kości. Lyle ustawiał żetony.

Krupier rzuca. Lyle klepie się w czoło. Lyle mówi: „O, szlag by to...”

W słuchawce zatrzeszczało. Połączenie zaskoczyło. Pan Hoover powiedział:

– Tak?

Littell powiedział:

– To ja.

– Tak? A cel tego niespodziewanego kontaktu?

– Biały Królik zaproponował mi spotkanie. Zjawił się w Desert Inn pijany. Teraz przegrywa w kasynie pieniądze SCLC.

Na linii zaszumiało. Littell poruszył przewodem. Littell poklepał słuchawkę. A na widoku Lyle. Lyle przy kasie. Lyle w ekstazie. Lyle pobiera kolejne żetony.

Czerwone – duże rolki – chyba z dziesięć kawałków.

Na linii szumiało. Na linii trzeszczało. Połączenie w końcu się oczyściło.

Pan Hoover powiedział:

– Proszę mu zablokować kredyt i natychmiast wyprawić z Las Vegas.

Na linii zaszumiało. Głos umilkł. Littell usłyszał trzask odkładanej słuchawki. A na widoku Lyle. Lyle przy stoliku do gry w kości. Lyle pośród tłumu. Lyle ustawiający żetony.

Sammy Davis skłania głowę. Sammy Davis się modli. Sammy Davis rzuca kości. Tłum wiwatuje. Lyle wiwatuje. Sammy Davis się kłania.

Littell poszedł tam. Littell się precisnął.

Lyle popchnął Sammy'ego. Lyle poprosił, by Sammy dla niego rzucił. Sammy nabijał się z białego świra. Mrugnął do blondynki. Strzepnął niby-wszy z marynarki. Skrzywił się z obrzydzenia.

Czerwone żetony na stole – cały majątek Lyle’a. Niezła kasa – jakieś dwadzieścia kawałków.

Sammy bierze kości. Sammy trzyma je na dłoni. Lyle śle im mokre całusy. Sammy nabija się z Lyle’a – liżydupek Szczurzej Paczki – tłum jest wniebowzięty.

Sammy rzuca kości. Sammy wyrzuca 7. Lyle wygrywa czterdzieści patoli. Tłum wiwatuje. Lyle ściska Sammy’ego. Sammy zbiera kości. Lyle na nie chucha. Lyle się ślini. Lyle jest wniebowzięty. Sammy wyciąga chusteczkę. Sammy zabawia zebranych. Sammy wyciera kości.

Sammy rzuca. Sammy wyrzuca 7. Lyle wygrywa osiemdziesiąt patoli. Tłum wiwatuje. Lyle ściska Sammy’ego. Lyle zabiera mu papierosa.

Sammy zbiera kości. Lyle pcha się coraz bardziej. Sammy robi krok w tył. Wciska się blondynka. Sammy ją chwyta. Pociera kośćmi o jej sukienkę.

Tłum się śmieje. Lyle coś mówi. Littell wychwycił „smoluch” i „mosiek”.

Sammy rzuca. Sammy wyrzuca 9. Sammy wszystko przegrywa. Sammy wzrusza ramionami – życie to gra w kości, małeńka. Tłum śmieje się i klaszcze.

Krupier zgarnął żetony – wszystkie żetony Lyle’a – wielkie rolki po dziesięć kawałków każda.

Lyle dopił drinka. I przechylił szklanekę. Wciągnął do ust pokruszony lód. Tłum się rozszedł. Sammy odszedł. Blondynka popędziła za nim.

Lyle odszedł. Lyle się zataczał. Lyle się chwiał. Lyle parł naprzód. Próbował się czegoś chwytać. Wpadł na automaty do gry. Zatoczył się. Dotarł do kasy. Littell stanął z boku. Littell pokazał: *koniec z żetonami*. Lyle zastukał w okienko. Kasjer pokręcił głową. Lyle kopnął automat do gry.

Littell go złapał. Littell nim pokierował. Littell wyprowadził go, półprzytomnego. Lyle był bezwładny. Lyle próbował iść. Lyle plótł jakieś pierdoły.

Przeszli przez kasyno. Wyszli na zewnątrz. Dotarli na parking. Upał – czas pożarów – suchy pustynny skwar.

Lyle stracił przytomność. Littell musiał go wlec – jak trupa.

Wywrócił mu kieszenie. Sprawdził portfel. Znalazł adres i dane samochodu: merc coupe/ rocznik 1961/ CAL-HH-492.

Littell się rozejrzał. Littell dostrzegł wóz. Littell musiał wlec bezwładnego Lyle’a. Lyle Holly był nieduży – najwyżej siedemdziesiąt kilo – bezwładny, ale lekki.

Dowlókl go do samochodu. Pootwierał okna. Wsadził Lyle'a do środka i ułożył wygodnie. Odsunął siedzenie do tyłu.

LA – pięć godzin jazdy, najwyżej.

Lyle będzie spał w swoim aucie. Lyle się zbudzi. Zbudzi się na parkingu Desert Inn. Lyle nie mógł się oderwać od gry. Lyle znał procedurę:

Najpierw cię nęca. Potem przegrywasz. Potem sprawdzają twoją wypłacalność.

Lyle przerznął swoją kasę. Lyle grał kasą SCLC. Desert Inn działa szybko. SCLC wstrzymuje wypłatę. Lyle mieszka w DC. Lyle mieszka w LA. Egzekutorzy kasyna ruszają w trasę. Egzekutorzy udają się wpierw do LA. Rzeczeni egzekutorzy łamią prawo na co dzień. Rzeczeni egzekutorzy ściągają dług. Rzeczeni egzekutorzy spuszczaają manto.

Littell jechał. Jego wóz się przegrzewał. Littell jechał międzystanową I-10 na zachód.

Odmierzał czas. Wiedział, jak działa alkohol. Wiedział, kiedy urywa się film, a kiedy człowiek się budzi. Wiedział to wszystko dokładnie. Trzy godziny – najwyżej cztery. Lyle się budzi./ Gdzie ja jestem?/ O, kurwa.

Pustynny skwar. Drżące powietrze. Wskaźnik temperatury silnika się podnosił. Littell dotarł do Baker. Było coraz goręcej. Littell dotarł do San Berdoo. Dotarł do Redlands. Dotarł do Pomony. Dotarł do LA. Prowadził z jedną ręką na kierownicy. Studiował plan miasta. Szukał dojazdu.

Lyle mieszkał przy North Ivar – w ślepej uliczce w gorszej części Hollywood.

Zjechał z autostrady. Wjechał w boczne uliczki. Jechał przez Hollywood. Proszę – North Ivar 2200. Małe domki. Wypłowie od słońca markizy. Byle jakie pastelowe elewacje. 19.10/ letni zmierzch/ cisza.

Ślepa uliczka. Na końcu zamknięta: płot i urwisko.

Littell jechał powoli. Littell odczytywał tabliczki. Littell odczytywał numery. Dom Lyle'a – nareszcie:

Nr 2209. Wyschnięty trawnik. Łuszcząca się od słońca brzoskwiniowa farba.

Zaparkował dwa domy dalej. Wysiadł i otworzył bagażnik. Wziął łom. Podszedł. Rozejrzał się. Nie dostrzegł żadnych świadków.

Drzwi z litego drewna/ mocne framugi/ porządne okucia.

Przygotował łom. Postukał w futrynę. Oparł się mocno o drzwi. Utworzył

szczelinę. Wsunął łom.

Nacisnął. Pchnął. Przyłożył się. Drewno zatrzeszczało. Drewno popękało. Drewno się ugięło.

Zmienił uchwyt. Wsunął łom raz jeszcze. Wyłamał zamek. Pchnął drzwi. Wszedł i zamknął się w środku.

Obmacał ściany. Znalazł kontakty. Włączył światło.

Nora BIAŁEGO KRÓLIKA:

Zakurzona i stęchła. Po kawalersku zapuszczona.

Pokój dzienny. Kuchnia. Boczne drzwi. Humorystyczne plakaty na ścianach – psy przy grze w karty, psy w czarnych krawatach. Kanapy ze sztucznej skóry. Pufy ze sztucznej skóry. Fotele ze sztucznej skóry.

Littell grasował. Littell sprawdził kuchnię. Littell sprawdził sypialnię i gabinet.

Przestarzały sprzęt. Wędliny i trunki. Rozklekotane szuflady i szafki kuchenne. Nieodkurzane półki.

Jeszcze więcej plakatów – psy na wieczorne kawalerskim, psy pożerające wzrokiem młode laski.

Jedno biurko. Jedna szuflada na dokumenty. Błagam – tylko bez żadnych skrytek w ścianach i sejfów.

Do dzieła: *najpierw bałagan*.

Littell założył rękawiczki. Littell pracował metodycznie. Littell robił metodyczny bałagan.

Wywalił wszystko z szuflad. Porozrzucał ubrania. Rozbebeszył łóżko. Znalazł niemieckiego lugera. Znalazł nazistowskie flagi. Znalazł nazistowskie hełmy. Wrzucił je do poszewki od poduszki. Miały robić za łup włamywacza.

Znalazł nazistowski bagnet. Znalazł krugerrandy. Znalazł japoński nóż. Zapakował wszystko w zapasowe prześcieradło. Miały robić za łup włamywacza.

Otworzył lodówkę. Wywalił wędliny. Wywalił gorzałę. Zamachnął się łomem. Podziurawił kanapy. Porozdzierał fotele.

Wywalił wszystko z kuchennego kredensu. Znalazł pistolet mauser. Znalazł nazistowski nóż. Zapakował wszystko do papierowej torby. Miały robić za łup włamywacza.

Zamachnął się łomem. Pozrywał deski podłogi. Pozrywał panele ze ścian.

A teraz: biurko i szuflada.

Wrócił. Spróbował. Nie były zamknięte na klucz.

Przeszukał je. Znalazł rachunki. Znalazł listy. Została jedna teczka.

Była zawiązana. Była zabazgrana. Lyle narysował nordyckiej urody panienki i noże.

Była podpisana. Podpis w kółku brzmiał: „Marty”.

Pojechał na południe. Opuścił Hollywood. Znalazł śmietnik. Pozbył się łupu od Lyle’a.

Tylko nie do domu – tam jest Jane – trzeba znaleźć motel.

Ruszył na południe. Znalazł metę przy Pico. Zameldował się na jedną noc. Zamknął się na klucz. Przejrzał rachunki Lyle’a. Przeczytał jego listy.

Nuda: rachunki za telefon/ rachunki za gaz/ wezwanie do wpłacenia raty kredytu hipotecznego. Ulotki z wystaw broni/ wiadomości od eks-żon.

Teraz powoli – jest „Marty”.

Otworzył teczkę. Ujrzał przepisane na maszynie notatki – szesnaście stron zapelnionych od góry do dołu.

Przejrzał je. Wyłapał sedno. Dr King i jego plany. Dr King i spiski. Dr King i knowania.

Wprowadzenie – BIAŁY KRÓLIK – cytat dosłowny:

„Poniższe sprawozdanie zawiera szczegółowy opis zamierzeń MLK na czas począwszy od dziś (8.03.1965) do wyborów prezydenckich 1968. MLK omawiał owe założenia na zebraniach aktywistów SCLC na wysokim szczeblu, przy czym zabronił aktywistom wspominać o nich publicznie i rozmawiać o nich poza zebraniem, a także odrzucił wszelką krytykę własnej osoby, wskazując na oczywisty fakt: zakres jego działalności socjalistycznej odbierze mu energię, uszczupli środki SCLC i podważy wiarygodność ruchu praw obywatelskich. Doprowadzi to do naruszenia amerykańskiego status quo, co może go kosztować utratę poparcia podczas wyborów do Kongresu i wyborów prezydenckich, a także może wzbudzić wrogość bogatych liberałów. Prawdziwym zagrożeniem tkwiącym w jego planach jest to, że mogą one posłużyć do zawiązania koalicji zagorzałych komunistów, sympatyków komunizmu, lewicujących intelektualistów, zniechęconych studentów i Murzynów podatnych na płomienną retorykę i skłonnych do przemocy”.

MLK na temat Wietnamu:

„Ludobójstwo ukryte za zasłoną antykomunizmu. Najgorsza z wojen

powodująca niewyobrażalne zniszczenia”.

MLK planuje przemówienia. MLK planuje akcje bojkotowe. MLK planuje protesty.

MLK na temat slumsów:

„Ekonomiczne utrwalanie ubóstwa wśród Murzynów. Prawdziwa kolebka segregacji. Dwudziestowieczne niewolnictwo lekceważone przez polityków wszelkiej maści. Patologiczna rzeczywistość socjalna i stan, który upoważnia do masowej redystrybucji majątku i bogactwa”.

MLK planuje przemowy. MLK planuje akcje bojkotowe. MLK planuje strajki lokatorów.

MLK na temat biedy:

„Murzyn nie będzie prawdziwie wolny, dopóki dane mu od Boga prawo do współistnienia z białymi nie zostanie poparte przez uprawnienia ekonomiczne, które uczynią go finansowo równym białym”.

MLK planuje przemówienia. MLK planuje protesty. „Związki Ubogich”. „Marsze Ubogich”. Ubodzy napaleni na protesty.

MLK na temat redystrybucji:

„Ażeby obalić obecną amerykańską strukturę władzy, ażeby zarekwirować będące w jej posiadaniu dobra, a następnie rozdzielić je – bardziej sprawiedliwie – na nowo, musimy stworzyć nową unię, nową koalicję społeczeństwa pozbawionego praw obywatelskich, które nie będzie tolerować ludzi żyjących w luksusie, podczas gdy inni egzystują w skrajnej nędzy i brudzie”.

MLK planuje przemówienia. MLK planuje warsztaty. MLK planuje protesty.

Szczyty. Warsztaty. Burze mózgów. Koalicje. Przeciwnicy wojny. Pacyfiści. Lewicowi pamfleściści. Namawianie do głosowania. Nowy podział na okręgi wyborcze. Skutek: wzrost znaczenia politycznego.

BIAŁY KRÓLIK cytował pomysły. BIAŁY KRÓLIK tworzył grafiki. BIAŁY KRÓLIK wymieniał daty.

MLK prorokował. MLK potępiał Wietnam:

„Ta interwencja przerodzi się w najbardziej morderczą pomyłkę amerykańską dwudziestego wieku. Doprowadzi do podziałów, rozedrze społeczeństwo na części, obudzi rzeszę sceptyków i ludzi sumienia. Oni utworzą załączek unii, która zrówna z ziemią Amerykę w kształcie, w jakim znamy ją teraz”.

Grafiki. Gromadzenie funduszy. Szacowanie kosztów. Szacowanie liczby głosów. Granice okręgów. Liczby zarejestrowanych wyborców. Cyfry. Kalkulacje. Prognozy.

Potężne. Wielkie. Wspaniałe. Szalone. Megalomańskie.

Littell potarł oczy. Littell pozbył się podwójnego widzenia. Littell oblał się potem.

Słodki Jezu...

Pan Hoover by się zwijał. Pan Hoover by sapał. Pan Hoover mógłby WALCZYĆ.

Littell otworzył okno. Littell wyjrzał na zewnątrz. Littell zobaczył zjazdy z autostrady. Zobaczył samochody. Tylne światła mrugały para za parą. Drogowskazy zamazywały się w blasku reflektorów.

Potarł zapałkę. Podпалиł teczkę. Popiół wrzucił do zlewu i spłukał. Pomodlił się za Martina Luthera Kinga.

Jego słowa nie dały się zapomnieć.

Littell się nimi rozkoszował. Odtwarzał je w pamięci. Wypowiadał głosem doktora Kinga.

Obserwował dom Lyle'a. Parkował tuż obok. Zero merca/ zero egzekutorów/ zero ruchu. Powiedzmy, że Lyle zaspał – dajmy mu czas – czekajmy na egzekutorów.

Ulica North Ivar była opustoszała. Okna połyskiwały czernią i bielą. W szybach odbijały się telewizyjne cienie. Zamknął oczy. Zniżył oparcie siedzenia. Czekał. Ziewał. Przeciągał się.

Reflektory...

Minęły jego wóz. Skręciły. Oświetliły dom Lyle'a. Poznał niebieskiego mercedesa.

Lyle zaparkował na podjeździe. Lyle wysiadł i podszedł. Lyle zobaczył wyłamane i zniszczone drzwi.

Wbiegł do środka. Pozapalał światła. Wrzasnął.

Littell zamknął oczy.

Usłyszał, jak coś się tłucze. Usłyszał, jak coś rzuconego spada. Usłyszał krzyki: „O, nie!”. Otworzył oczy. Spojrzał na zegarek. Zaczął mierzyć, ile czasu zajmie Lyle'owi *zrozumienie*.

Znowu coś się tłukło. Znowu coś spadało. Brak krzyków czy wrzasków.

Lyle wybiegł. Littell sprawdził: 3 minuty 6 sekund.

Lyle się potknął. Lyle wyglądał jak zamroczony. Lyle wyglądał niechlujnie. Lyle wsiadł do swego wozu. Lyle zapalił silnik. Lyle wrzucił wsteczny i zjechał na jezdnię.

Dodał gazu. Zdarł gumy. Wjechał tyłem w płot na końcu ulicy. Samochód poszybował. Samochód wywinął w powietrzu salto.

Littell usłyszał łoskot. Littell usłyszał, jak wybuchł bak. Littell zobaczył płomienie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.08.1965. Dosłowny zapis wewnętrznej rozmowy telefonicznej. (Uzupełnienie akt OPERACJI CZARNY KRÓLIK). Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Ścisłe tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor, BŁĘKITNY KRÓLIK.

DYR.: Dzień dobry.

BK: Dzień dobry, sir.

DYR.: Zasmuciła mnie wiadomość o twoim bracie. Moje kondolencje.

BK: Dziękuję, sir.

DYR.: Był z niego nieoceniony współpracownik. To zaś sprawia, że okoliczności jego śmierci wydają się tym bardziej niepokojące.

BK: Nie będę za niego przepraszał, sir. Zdarzało mu się wpadać w alkoholowy cug i stosownie do tego zachowywać.

DYR.: Nie daje mi spokoju fakt, że było to samobójstwo. Jeden z sąsiadów widział go, jak cofał samochód w dół wzgórza, co dodatkowo potwierdziło odkrycia dokonane przez Wydział Policji LA i przez koronera.

BK: Brat był porywczy, sir. Żenił się cztery razy.

DYR.: Cóż, prawie jak Mickey Rooney⁴⁷.

BK: Sir, czy pan już...

DYR.: Zapoznałem się z raportami WPLA i rozmawiałem z szefem agentów z Vegas. Dom BIAŁEGO KRÓLIKA został gruntownie przetrząśnięty. Jeden z sąsiadów powiedział policji, że BIAŁEMU KRÓLIKOWI skradziono pamiątkową kolekcję broni, a także zawartość biurka i szafki na dokumenty. Agenci przesłuchali egzekutorów z Desert Inn. Jeden z ludzi przyznał, że włamał się do BIAŁEGO KRÓLIKA, ale dopiero dwa dni po jego samobójstwie, i dom był już wtedy splądrowany, ale to nie może być prawda. Funkcjonariusze WPLA, którzy odpowiedzieli na zgłoszenie o samobójstwie, powiedzieli, że już tego dnia zastali drzwi

otwarte i że pokój dzienny najwyraźniej został wcześniej przeszukany.

BK: Wszystko się zgadza, sir. Mój brat już wcześniej popadał w hazardowe długi, choć nigdy nie takie wielkie.

DYR.: Czy BIAŁY KRÓLIK posiadał prywatne akta dotyczące działań SCLC?

BK: Nie wiem, sir. W kontaktach ze mną zawsze przestrzegał zasady posiadania tylko informacji niezbędnych do działania.

DYR.: Nie daję mi też spokoju rola, jaką w tym wypadku odegrał WOJUJĄCY KRÓLIK.

BK: To tak jak mnie, sir.

DYR.: Czy był śledzony w okresie poprzedzającym alkoholowo-hazardowy ciąg BIAŁEGO KRÓLIKA?

BK: Nie, sir. Spotkanie BIAŁEGO z WOJUJĄCYM było już zaplanowane i nie chciałem komplikacji. Agenci z Nevady jednakże czasem na niego wpadali.

DYR.: WOJUJĄCY KRÓLIK wciąż nam gdzieś wyskakuje. Kica od katastrofy do katastrofy z iście króliczą fantazją.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Pojawia się w Bogalusie. I *voilà*, znika przyjaciel DZIKIEGO KRÓLIKA, Charles Rogers. Pojawia się w Vegas. I *voilà*, jest świadkiem preludium do samobójstwa BIAŁEGO KRÓLIKA.

BK: Zna pan moją niechęć do WOJUJĄCEGO KRÓLIKA, sir. A mimo to powinienem chyba zauważyć, że zadzwonił i ostrzegł pana.

DYR.: Owszem, i rozmawiałem z nim wczoraj. Powiedział mi, że wyprowadził BIAŁEGO KRÓLIKA na zewnątrz i że BIAŁEMU zwyczajnie urwał się film w samochodzie. Jego wersja wydaje się wiarygodna i przydzieleni do tej sprawy agenci nie zdołali jej podważyć. Powiedzieli mi, że WOJUJĄCY rzeczywiście zablokował BIAŁEMU kredyt w kasynie, co jeszcze wzmacnia jego wiarygodność.

BK: Mógł jakoś skorzystać na tym wypadku, sir. Ale szczerze wątpię, by sam go sprowokował.

DYR.: Ja na razie jestem otwarty na różne wersje. WOJUJĄCY KRÓLIK zdolny jest do najbardziej nieprzewidywalnych prowokacji.

BK: Zgadza się, sir.

DYR.: Zbaczając z tematu, powiedz mi, jak sprawuje się DZIKI KRÓLIK.

BK: Dobrze, sir. Grzecznie buduje swój Klan, głównie polegając na

koneksjach KRÓLIKA OJCA. Zapoznał pewną liczbę rekrutów z informacjami dotyczącymi malwersacji pocztowych dokonywanych przez konkurencyjne klawerny i grupy paramilitarne. Wygląda na to, że incydent w Bogalusie go uspokoił, tak iż wydaje się teraz przestrzegać wytycznych operacyjnych.

DYR.: DZIKI to niezwykle rozbrykany królik, któremu najwyraźniej oberwało się nieźle po uszach.

BK: Też tak sądzę, sir. Nie wiem tylko, kto mu po tych uszach nakładł, a nie daje mi przy tym spokoju wątek Rogersa.

DYR.: Ten łańcuch zdarzeń rzeczywiście zdaje się frapujący. Rogers zabija swoich rodziców i znika. A tysiąc dwieście kilometrów na wschód wylatuje w powietrze murzyński kościół.

BK: Mnie podobają się tylko takie zagadki, które potrafię rozwiązać, sir...

DYR.: Kazałem agentom z Houston zasięgnąć języka u straży granicznej. Pete Bondurant i Wayne Tedrow Junior przybyli do Houston wkrótce po Rogersie. Myślę, że go zabili, choć nie mogę wpaść na to, co mogło stanowić ich motyw.

BK: I znowu, sir, WOJUJĄCY KRÓLIK i jego bliskość miejsca zdarzeń.

DYR.: Tak, kolejne utrapienie.

BK: Sir, czy pan...

DYR.: Zapewne CZERWONY KRÓLIK zechce wziąć udział w pogrzebie BIAŁEGO KRÓLIKA. Czy na to pozwolisz?

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Mogę zapytać, dlaczego?

BK: Mój powód może się wydać błahy, sir.

DYR.: Nie krępuj się, proszę. Raz możesz zaszaleć.

BK: Mój brat lubił CZERWONEGO KRÓLIKA, sir. Wiedział, co z niego za jeden, a jednak go lubił. Jeśli chodzi o mnie, to może przyjechać i wygłosić wielką mowę pogrzebową, powtarzając nawet to swoje „Marzy mi się”. Lyle dożył tylko czterdziestu sześciu lat, więc zamierzam uczcić jego pamięć.

DYR.: Nowy wymiar braterskiej więzi. Brawo, Dwight.

BK: Dziękuję, sir.

DYR.: Czy nie przyszło ci do głowy, że WOJUJĄCY i BIAŁY mają pewne cechy wspólne i łączy ich podobna próżnia moralna?

BK: Owszem, sir.

DYR.: A czy twa nienawiść do CZERWONEGO KRÓLIKA wzrasta?

BK: Tak jest, sir. Miałem nadzieję, że nasilimy działania OPERACJI CZARNY KRÓLIK i powetujemy stratę.

DYR.: W stosownym czasie. Na razie chcę poczekać i dokonać oceny dodatkowej operacji, którą dopiero planuję.

BK: Tajnej?

DYR.: Nie, chodzi o formalny szantaż.

BK: Przeprowadzony przez agentów terenowych?

DYR.: Nie, miałyby go przeprowadzić niejaki Pierre Bondurant, znany w ciemnych kręgach jako „Pan Wyłudzeń” vel „Król Szantaży”.

BK: Jest z niego kawał twardziela.

DYR.: Jest bliskim znajomym WOJUJĄCEGO KRÓLIKA. Moglibyśmy się dowiedzieć tego i owego.

BK: Zapewne, sir.

DYR.: Miłego dnia, Dwight. I jeszcze raz, moje kondolencje.

BK: Miłego dnia, sir.

82

(New Hebron, 12 sierpnia 1965)

CZARNUCH.

Nigdy tak nie myślał. Nigdy tak nie mówił. To było wstrętne. To było głupie. To czyniło człowieka jednym z NICH.

Wayne jechał bocznymi drogami. Wayne widział obskurne jak chlewy nory. Wayne widział ICH.

Uprawiali rolę. Taszczyli chrust. Wylewali pomyje. Wayne patrzył. Wayne widział w nich Bonga. Wayne widział Wendella D.

Wredny Wendell – ostatnio widziany w Bakersfield – kalifornijskie Zadupkowo. Najpierw robota/ *wkrótce* Bakersfield/ teraz New Hebron.

Z New Hebron też było Zadupkowo. New Hebron było małe. New Hebron było kwintesencją Missisipi. Szalał tu Bob Relyea. Bob tworzył klatkę Dzikiego Królika. Bob tworzył swoją komórkę Klanu.

Bob miał karabiny dla Kadry. Wayne miał kasę od Kadry. Czyli: Kadra spotyka się z Klanem.

Wayne jechał powoli. Wayne ICH obserwował. Czuł się rozdarty. Czuł się wykończony tym pieprzonym podróżowaniem.

Przyleciał na zachód. Opuścił Sajgon – jakieś trzy tygodnie temu. Wyprodukował herę. Popakował herę. Ruszył śladem hery na zachód.

Pete był w Laocie. Podobnie jak Mesplède. Mesplède właśnie do niego dołączył. Pilnowali Farmy Tygrys. Pilnowali niewolników. Przygotowywali bazę.

Pete dostawał tam robaków w tyłku. Pete się tam nudził. Pete opłacił jeden nalot. Pete opłacił kilku Marvów-pilotów. Piloci zrzucili napalm na Ba Na Key. Spalili las. Oczyszczili ziemię. Pozbawili drzew. Spalili jedną narkotykową farmę. Spalili makowe pole. Oszczędzili wytwórnę morfiny. Zawiadomili Trana Lao Dinha. Tran splądrował wytwórnę. Tran ukradł M-bazę i sprzęt. Tran dostarczył je Tygrysowi.

A Laurent był w Bon Secour w Alabamie. Podobnie jak Flash E. Pete

znalazł tam jakąś łódź. Flash zna się na łodziach. Laurent zna się na ciesielstwie.

Jedna łódź dla wędkarzy – kapitalny remont – jedna łódź wojenna bu-kuu.

Plan Pete'a: Przejrzysz broń. Zapłacisz Bobowi. Przerzucisz rzeczoną broń z New Hebron do Tygrysa-Południe. *Wtedy* pojedziesz do Bon Secour. Dasz chłopakom wsparcie. To ty przyciśniesz Danny'ego Bruvicka.

Pętla. Kręcenie się. Pieprzone podróżowanie.

Flash miał dość pieprzonych podróży. Flash zatoczył pętłę na Kubę. Flash dotarł tam szybką motorówką. Flash wysadził Fuentesę i Arredonda. Zostali tam. Flash wrócił. Flash zaraz pojechał do Bon Secour.

Wkrótce:

Przerzut broni nr 1: „Odpływ” przeobrażony – nowe wcielenie: „Tygrysi Pazur”.

Wayne sunął na wschód. Wayne jechał polnymi drogami. Wayne widział papiernie i płonący kompost. Wayne zobaczył „farmę” Boba.

Jeden barak – „stodoła Führera” przeznaczona dla Boba. Tuż przy niej strzelnica. Kibuc klaunów z Klanu. Klika klaunów z Klanu. Kukły na strzelnicy dla klaunów z Klanu.

Wayne wjechał. Wayne zaparkował. Wayne poczuł smród prochu i końskiego łajna. Wayne wszedł do stajni. Uderzył go chłód – „Igloo Führera”.

Zamknął drzwi. Zaśmiał się. Kichnął.

Zasłony we flagi konfederatów. Dywany we flagi konfederatów. Meble we flagi konfederatów. Na stole ulotki – czcionka Wayne'a Seniora – „Czerwoni czarnuchofile”/ „Szwarcem na ucho”.

Na kanapie amunicja/ na stoliku białe szaty/ na stołku kaptury. Wyczyszczone chemicznie i poskładane. Wszystkie w celofanie.

Wayne się zaśmiał. Wayne kichnął. Drzwi się otworzyły. Wszedł Bob Królik. Bob był w moro. Bob był w wojskowych butach. Bob zdjął biały kaptur Klanu.

Wayne się zaśmiał. Bob zamknął drzwi. Bob podkręcił klimatyzację.

– Najnowszy model to to nie jest, ale działa.

Wayne poklepał się po kieszeniach.

– Przywiozłem kasę.

– Masz pozdrowienia od tatusia. Zawsze o ciebie pyta.

– Obejrzyjmy może tę broń.

– Najpierw może pogadajmy. „Hej, Bob, jak tam interes?” „Stoi twardo. A twój, Wayne?”

Wayne się uśmiechnął. Pete nieźle Bobowi dowalił. Pete okaleczył mu te królicze uszy. Pete zemścił się za Warda Littella.

– Obejrzyjmy broń.

Bob zatkał dziurkę od nosa. Bob niuchnął tabakę.

– W LA burzą się czarnuchy. Powiedziałem swoim chłopcom: „Trzeba by napalmu i ze dwustu Wayne’ów Juniorów, żeby to opanować”.

Wayne kichnął – zimne powietrze i tabaka.

– Przestań pieprzyć i pokaż mi karabiny.

– Pogadajmy najpierw. Porozmawiamy o czarnuchach, a ja pokażę ci moją korespondencję z zakładem karnym w Missouri.

Wayne powiedział:

– Zaczynasz mnie wkurzać.

Bob wytarł nos.

– Dostałem listy od Jimmy’ego Raya i Loyala G. Binnsa. Obaj to porządni tępiciele czarnuchów, a do tego cholernie podatni na wpływy. Myślę, że do nas dołączą, jak tylko wyjdą na...

Wayne ruszył z miejsca. Wayne wpadł na Boba – specjalnie. Wayne wszedł do kuchni.

W kuchni grał telewizor. Murzyni rozrabiali. Murzyni rzucali kamieniami. Murzyni kradli gorzałę. Dźwięk był wyłączony. Murzyni wrzeszczeli. Ich zęby połyskiwały bielą.

Wszedł Bob. Bob wpadł na Wayne’a – specjalnie. Bob otworzył niepodłączoną chłodziarkę.

Broń: M-14/pompki/bazooki.

Bob zatkał jedną dziurkę od nosa. Bob wydmuchał nadmiar tabaki.

– Na strzelnicy mam stosowną amunicję i osiem M-132 „Zippo”. Kilku gości napadło na posterunek Gwardii Narodowej w Arkansas. Jeden z moich ludzi ich zna, więc dostaliśmy towar pierwsza klasa. Założę się, że potrzebujecie całą kupę żelastwa dla Tygrysa-Południe i waszych wycieczek na Kubę.

– Ile?

– Trzydzieści pięć. Moim, kurwa, zdaniem, prawie jak za darmo.

Wayne chwycił pompkę. Wayne sprawdził suwadło. Ślady po wypalaniu/brak numerów.

– Został wypalany. Jest bez numeru.
– Jak wszystkie. Tamci goście nie chcieli, żeby ktoś wpadł na trop i powiązał broń ze skokiem.
Wayne chwycił M-14. Wayne chwycił bazookę.
– To dobry sprzęt. Za dobry jak na wyposażenie Gwardii.
– Nie marudź. Trafiła nam się zajebista okazja.
Wayne chwycił M-14. Wayne sprawdził lufę.
– Pete chciał, żeby były z numerami. Chodzi o taktykę terroru. Gdyby broń została przechwycona, chłopcy od Castro wiedzieliby, że to dar od Wuja Sama.
Bob wzruszył ramionami.
– No to idźcie do sklepu i kupcie sobie, kurwa, żelastwo z metką, z ceną i dożywotnią gwarancją.
Wayne wyciągnął banknoty – wszystkie czyściutkie i niewygniecione/ wszystkie spisane i elegancko wyprane.
Bob się roześmiał:
– Lepiej nie rozmieniać tego w sklepiku na rogu.
Wayne stuknął w telewizor. Zaskoczył dźwięk. Strzelały pistolety. Wyły syreny. Murzyni rozrabiali.

Robota przy łodzi:

Laurent szykował stanowiska dla karabinów. Flash skrobał kadłub. Brali narzędzia. Narzędzia odkładali. Oblewali się potem.
Przywłaszczyli sobie „Odpyw”. „Odpyw” przerobili. „Odpyw” skubanizowali. Przystroili go w sieci. Wybrudzili żagle. Porysowali tekowe drewno. Kamuflaż. Zbudowali niby to kubańską łódź.
Flash trzymał szlifierkę. Flash tworzył rysy na mostku. Flash niszczył mahoń. Danny Bruvick patrzył. Danny Bruvick jęczał. Danny Bruvick żłopał cutty sark.
Wayne patrzył. Wayne był wściekły. Wayne ziewał. Jechał szesnaście godzin. Zataczał pętle. Zjeździł całe Południe.
Wyjechał z New Hebron. Łyknął amfę. Pojechał do Port Sulphur. Wpadł do Tygrysa. Zrzucił broń. Przyjechał do Bon Secour.
Flash miał rozkazy – od samego Pete’a.
Pete nie ufa Danny’emu. Danny ma tę swoją eks. Babka spiknęła się z Wardem Littellem. Przyciśniemy Danny’ego – ja i Laurent – i *Jefe* Carlos

też. Zapoznamy go z Prawem Tygrysa. Danny, pokłoń się przed Tygrysem. Zabierz nas na Kubę.

Danny to śmieć. Danny to żulik. Danny może zadzwonić do tej swojej eks i się jej wybeczeć. Twoja robota, Wayne: nie pozwól mu na to.

Nastał zmierzch. Flash włączył lampy. Laurent zaczął gadać o Kubie. Wayne popijał piwo. Wayne studiował mapy.

Kuba jest sexy. A Bakersfield to kalifornijskie zadupie.

Robota przy łodzi:

Laurent stawiał maszty. Laurent łątał żagle. Flash regulował silniki. Danny Bruvick patrzył. Danny Bruvick patrzył, zalany w trupa.

Wayne stał przy pomoście 18. Wayne patrzył z dystansu. Flash miał nowe rozkazy – prosto od Pete’a.

Eks Danny’ego ma na imię Arden. Danny to ciepła klucha. Danny może do niej zadzwonić i wszystko wyśpiewać. Twoja robota, Wayne: nie pozwól mu na to. To ma związek z Carlosem – śliska sprawa – więc ani mru-mru.

Flash taszczył kanistry z paliwem. Laurent lutował beczki. Wayne patrzył. Suszyło go po amfetaminie. Popijał sok jabłkowy.

Nadjechała limuzyna. Szofer otworzył tylne drzwi. Wysiadł Carlos – typowy *padrone* w typowym garniturze z połyskliwej „skóry rekina”.

Podszedł do pomostu 19. Laurent stanął na baczność. Bruvick zaczął klepać zdrowaśki. Flash stanął na baczność. Carlos się uklonił. Carlos uściskał Laurenta.

Bruvick stanął na baczność. Carlos go olał. Carlos zszedł pod pokład. Zszedł Flash. Zszedł Laurent. Bruvick pokuśtykał powoli.

Łódź zakołysała się i uspokoiła. Wayne usłyszał krzyki.

Znalazł małą latarkę. Studiował mapy. Łódź się zakołysała. Usłyszał łomot. Usłyszał skamlanie i krzyki.

Pojawił się Flash. Pojawił się Laurent. Carlos wyłonił się, krocząc dumnie à la *Il Duce*. Szli pomostem 19. Wytarli ręce w papierowe ręczniki. Wpakowali się do limuzyny.

Limuzyna odjechała. Wayne obserwował łódź. Wayne spojrzał na zegarek i odliczał sekundy.

Proszę...

Bruvick wychodzi na pokład. Bruvick kuśtyka. Bruvick opuszcza łódź. Liczy drobne. Rusza wzdłuż nabrzeża. Idzie do telefonu.

Wayne podbiegł. Bruvick go zobaczył. Bruvick rzucił:

– O, kurwa.

Wayne dostrzegł okaleczenia:

Wybite zęby i spuchnięte uszy. Nabrzmięte wargi i otarcia.

Bon voyage.

Zatankowali. Załadowali broń od Boba. Załadowali własne żelastwo: pompki browning i beretty. Noże do skalpowania i tłumiki. Jeden „Zippo” do miotania wielkich płomieni.

„Tygrysi Pazur” – kamuflaż ekstraklasa. Karabiny na lewej burcie. Karabiny na sterburcie. Sześć otworów strzelniczych w nadburciu. Pistolety maszynowe przymocowane do dulek.

Wyłynęli o 6.00 – kierunek południe-południowy wschód. Nawigował Bruvick. Laurent czytał mapy. Flash czytał komiks. Wayne czytał plany miasta. Wayne poznawał Bakersfield. Gospodarstwa warzywne i mekse. Harówka na roli i Wendell Durfee.

Pokonywali fale. Ścigali się z czasem. Było gorąco. Chwyтали wilgoć z morza. Chwyтали odbijające się od wody promienie.

Posmarowali się kremami przeciwsłonecznymi. Łodzią kołysało. Łykali aviomarin. Bruvick pocił się i dygotał – alkoholowy głód. Flash pochował mu gorzałę. Flash powiedział, że Pete nie znosi Bruvicka. Flash powiedział, że to sprawa osobista – chodzi o Warda Littella.

Flash odczytywał dane z kompasu. Flash odczytywał mapy. Flash przedstawiał scenariusz:

Jesteśmy umówieni na morzu w pobliżu Varcadero. Spotykamy się z naszymi ludźmi. Podczepiamy ich łodzi do naszej. Oni dostają broń. My dostajemy *carte blanche*. Jesteśmy blisko plaży. Jesteśmy blisko posterunku milicji – koszary pełne Brodaczy.

Flash był radosny. Flash był w nastroju do zabijania. Flash poczuł, że musi ich ostrzec. Flash powiedział:

Uważajcie na złodziei łodzi – oni zabijają rybaków – mają lekkie łódki. Kradną ryby. Kradną łodzi. Noszą fidelowskie brody.

Laurent był radosny. Laurent był w nastroju do zabijania. Laurent ostrzył swój nóż do skalpowania.

Nastał zmierzch. Dotarli do Snipe Key. Dotankowali. Postawili żagle. Znow się zakamuflowali.

Bruvick błagał o wodę. Flash zakuł go w kajdanki. Zeszli z pokładu. Znaleźli budę poławiacza krabów. Na kolację mieli kraby i amfetaminę.

Wayne się nawalił. Flash dostał wytrzeszczu oczu. Laurent zgrzytał zębami. Przynieśli Bruvickowi kolację. Rozkuli go. Dali mu piwo. Bruvick wyłopał je w okamgnieniu.

Wyłynęli. Płynęli na południe-południowy wschód. Zmagali się z prądami. Łodzią kołysało. Chmury zakryły księżyc.

Bruvick stał za sterem. Bruvick się pocił. Bruvick klepał zdrowaśki. Flash go gnębił. Flash go straszył. Flash małpował jego zdrowaśki.

Wysmarowali się barwnikiem sadzowym. Ręce im się przy tym trzęsły – obłąkająco – po amfetaminie. Mieli czarne twarze. Laurent był wysoki. Laurent wyglądał jak Wendell Durfee.

Flash odczytał dane z kompasu. Włynęli na wody kubańskie. Wayne chodził po dziobie. Wayne chwycił wilgoć. Wayne patrzył przez lornetkę. Fale podrzucały. Ryby skakały. W górę wystrzeliła raca. Wayne zobaczył tę łódź. Wayne zobaczył inną łódź, która odpływała.

Po prawej stronie – czterysta metrów od nich – mała łódka w odwrocie.

Flash wystrzelił racę. Niebo zaświzzczało. Bruvick zaraz zatrzymał łódź. I proszę: *ich* ludzie/ umówione spotkanie.

Łodzie się lekko zderzyły. Flash rzucił bosak. Flash trafił prosto w reling na burcie. Wayne ujrzał Fuentesę i Arredonda.

Rzucili swoje bosaki. Wskoczyli na dziób. Zachwiali się. Laurent ich przytrzymał. Runęli na pokład. Potoczyli się.

Wayne powiedział:

– A ta druga łódź? *La boata? Qué es esto?*⁴⁸

Fuentes wstał.

– Milicja. Oni nas... *qué es...* skontrolowali?

Arredondo wstał.

– *Los putos del Fidel*⁴⁹. Wyczuli, że coś u nas śmierdzi.

Wayne poczuł smród ryb. Wayne przyjrzał się łodzi. Wayne ujrzał kamuflaż: wędkę/ rybę bebeczy/ rybę głowy.

Flash podbiegł. Flash uściskał chłopaków. Flash zrobił się wylewny. Popłynęła hiszpańszczyzna – „*chinga*” zamiast „o, kurwa” i „*puto rojo*” zamiast „czerwony kutas”.

Wayne wytargał broń – owinięta w folię/ okryta taśmą/ ciężka. Brał po dwie paki naraz. Zbiegał pod pokład. Wbiegał z powrotem. Przerzucał. Zrobił

osiem kursów. Napędzał taśmociąg:

Rzucał do Flasha. Flash do Fuentesa. Fuentes do Arredonda. Arredondo układał. Mali faceci – ale silni – dobrzy łapacze.

Bruvick patrzył. Bruvick drapał wysypkę na szyi. Bruvick klepał zdrowaśki. Fuentes zdjął bosak. Fuentes pomachał. Arredondo odepchnął ich łódź.

Laurent złapał Bruvicka. Flash go zmumifikował: zakuł w kajdanki, obwiązał taśmą. Zrobił z niego Tutenhamona. Zakleił mu usta. Obwiązał taśmą nogi. Przywiązał mumię do masztu.

Laurent napompował ponton. Wayne rzucił kotwicę. Flash powiedział:

– No to zabijmy paru komunistów

Wzięli beretty. Wzięli noże. Wzięli pompki browning. Wzięli owiniętego w folię „Zippo”. Wsiadli do pontonu. Zaczęli wiosłować. Podskakiwali na falach i zaciskali zęby.

Trzy kilometry czarnego morza. Pięć kilometrów do pierwszych świateł na lądzie. A oto i one: jeden budynek koszarowy, jedna budka wartownicza. Przy plaży. Na skraju grząskiego piachu. Niedaleko polnej, pełnej kolein dojazdówki.

Odpłynęli w bok. Powiosłowali w lewo. Uderzały w nich fale. Wayne i Flash rzygali.

Dotarli do brzegu. Trafili na prąd. Zniosło ich jeszcze na lewo. Zaszurali na piachu. Ponton się wywrócił. Wypadli.

Wciągnęli ponton w głąb plaży. Spojrzeli na wartownię. Cztery metry na cztery/ czterech ludzi w środku/ czterdzieści metrów przed nimi. Obok: budynek koszar/ jedno wejście/ jedna kondygnacja.

Mieli jedną lornetkę. Ustawiali ostrość. Wychwytywali obrazy. Otwarte drzwi. Dwa rzędy łóżek. 2.00 w nocy/ trzydziestu chłopca/ prycze i moskitiery.

Flash pokazał na migi: najpierw wartownia. Użyjemy tłumików.

Sprawdzili swoje beretty. Rozpakowali „Zippo”. Poczłógali się we trójkę, ramię przy ramieniu. Laurent włókł „Zippo”.

Wayne świszczał. Wayne łykał piach. Wayne drżał. Byli blisko – sześć metrów od budki – Wayne widział twarze.

Milicjanci siedzieli. Milicjanci palili. Wayne dojrzał cztery ustawione obok siebie karabiny.

Flash poruszył bezgłośnie ustami – leżymy na brzuchu, strzelamy na trzy.
Raz – wycelowali. Dwa – dotknęli spustów. Trzy – wypalili – jednogłośnie „pyk” tłumików.

Uderzenie było potężne. Strzelali w najczulsze punkty. Trafiali w głowy i tułowia. Ładowali. Celowali. Strzelali w krocza. Strzelali w plecy. Strzelali w szyje.

Dwóch dupków padło. Runęły dwa krzesła. Dwóch dupków zaskowyczało. Dwie gęby rozwarły się szeroko. I zamknęły się bezgłośnie – dźwięk stłumiły ściany.

Flash podczołgał się bliżej. Flash strzelał. Ciała podrygiwały. Ciała chłonęły ołów.

Flash dał znak. Koszary – TERAZ.

Laurent odpalił „Zippo”. Wiśniowa końcówka zajaśniała. Podczołgali się bliżej. Oto i cel. Oto i drzwi.

Laurent wstał. Laurent wywalił drzwi. Laurent puścił w ruch „Zippo”. Celował w łóżka. Celował w moskitiery. Celował w czerwonych *putos*.

Komuchy płonęły. Komuchy wrzeszczały. Komuchy spadały z barłogów. Komuchy płątały się w moskitierach i uciekały.

Laurent palił pościel. Laurent palił ściany. Laurent palił ludzi w bieliźnie i pizamach. Komuchy uciekały. Komuchy upadały. Komuchy skakały przez zamknięte okna.

Koszary płonęły. Komuchy wiały. Płomiennoczerwoni wiali tylnymi drzwiami. Wiali na plażę. Padali na piach. Biegli i wpadali do wody.

Zalewały ich fale. Fale ich gasiły. Fale ich pochłaniały. Fale się gotowały. Koszary płonęły. Amunicja eksplodowała.

Laurent ścigał uciekające kule ognia. Celował „Zippo” w mokry piach. Gotował słoń wodę.

Flash wszedł do wartowni. Flash wyciągnął dwóch nieboszczyków. Flash rzucił ich na piach i nasikał im na głowy.

Podszedł Wayne. Wayne miał tremę. Zrób to. Pokaż im. Niech *Pete* wie.

Wyciągnął nóż. Chwycił za włosy. Zatopił ostrze w skórze głowy.

Bakersfield – pieprzone podróże. Brudne ulice/ brudne niebo/ brudne powietrze. San Joaquin Valley – ciasnota i pył – brud i spiekota.

Miał dość tych pieprzonych podróży. Z Kuby do Snipe Key. Ze Snipe Key do Bon Secour. Z Bon Secour do Nowego Orleanu. Z Nowego Orleanu

poleciał na zachód. Zaczął źle sypiać. Skończyła mu się amfetamina.

Zadzwoił do Sajgonu. Mesplède połączył go z Pete'em. Pochwalił się wycieczką na Kubę. Pochwalił się bronią. Zmieszał z błotem Boba za jego przekręt z wypalonymi numerami.

Pete był wściekły. Bluzgał na Boba. *Wybijcie numery – wystraszcicie Brodacza – pokażcie, że broń pochodzi z USA.*

Wayne zadzwonił do Barb. W ich rozmowie czuć było napięcie. Napięcie po tamtej kłótni. Barb miała nowiny. Barb miała nową fuchę – występy dla wojska. Będziemy w Sajgonie. Będziemy w Da Nang. Proszę, ściągnij Pete'a na występ. Powiedział: „Jasne”. Powiedział: „Niedługo wracam”. Powiedział: „Te pieprzone podróże mnie wykańczają...”.

Wayne krążył po Bakersfield. Wayne spoglądał na plan. Przyleciał samolotem. Wypożyczył wóz. Jechał prosto na peryferie.

Meksykowo było na wschodzie. Gospodarstwa warzywne też. Były tam bary/przyczepy/motele. Był kurz. Było robactwo. Było mnóstwo meksykańskich nor.

Wpadał do barów. Popijał piwo. Wyciągał informacje. Barmani mówili. Barmani gawędzili.

Meksykańskie dziwki? *Jasna dupa.* Przecież Meksykanki to są dziwki.

Pieprzone mekse przekraczają zieloną granicę. Kradną ludziom pracę. Pracują za półdarmo. Harują ponad normę. Żyją po to, żeby się pieprzyć. Mnożą się jak króliki. Zbierają plony. Dostają zapłatę – i wtedy to *dopiero* rzną dziwki. Meksykańscy alfonsi stręczą meksykańskie dziwki – w dniu wypłaty bzykają na potęgę. Zaludniają motele. Reprodukują się. Kopulują. Sprawdź tylko w Sun Glo. Sprawdź w Vista. Sprawdź, gdzie chcesz. Dzień wypłaty jest jutro – dzień kopulacji – zobaczysz sam.

Wayne rzucił nazwisko „Wendell Durfee”. W odpowiedzi uzyskał tylko wzruszenie ramion.

Kto to jest? Jakiś smoluch?

Zgadza się – kolorowy. Jest dość hałaśliwy i wysoki.

O, kurde...

Mekse nie cierpią smoluchów. Nie cierpią ich właściciele gospodarstw. Ten smoluch niech się stąd lepiej zabiera.

Dzień wypłaty: Wayne krążył po gospodarstwach warzywnych. Wayne się włóczył. Wayne patrzył.

Mekse zbierają kapustę. Mekse wyrywają chwasty. Mekse napełniają beczki na śmieci. Zaczynają wyć syreny. Mekse wrzeszczą. Mekse ciskają motyki i biegną.

Dopadają do furgonetek z forszą. Ustawiają się w kolejki. Chwytają kasę i gnają – rodziny/*hombres*⁵⁰/*muchachos*⁵¹. Niektórzy zbierają się w grupy. Niektórzy odchodzą. Niektórzy się ociągaaaaają. *Hombres todos* – faceci szczerzący zęby w uśmiechach samozadowolenia.

Nadjeżdżają furgonetki. *Hombres* pozdrawiają *hombres*. *Hombres* rozdzielają: piwo/ kondomy/ erotyczne gadżety/ tanie wino/ nagie zdjęcia. Pokazują fotki meksykańskich cip – pokopulujmy.

Wayne podszedł. *Hombres* się wystraszyli. Wayne wyglądał na glinę. Wayne spróbował ich ugłaskać. Wayne zagadnął łamaną hiszpańszczyzną. Wayne spróbował wyciągnąć informacje.

Efekt:

Ludzie z furgonetki stręczyli dziwki. Zapisywali klientów zawczasu – popyt równoważył podaż. Idź do Sun Glo i Vista. Zobacz, jak wygląda maraton pieprzenia.

Mekse oglądali gołe zdjęcia. Mekse się zapisywali. Wayne pokazał zdjęcie Wendella Durfee'ego i nic nie uzyskał. Cholera – nie widzieliśmy go/ nie znamy go/ nienawidzimy *negritos*.

Wayne odszedł. Wayne zahaczył innych zmotoryzowanych alfonsów. I tak nic nie zyskał. Wrócił do wozu. Spojrzał na plan. Pojechał do Czarnogrodu. Prawdziwa segregacja – mekse na północy/ kolorowi na południu.

Ziewnął. Walczył z pieprzonym zaspaniem. Za długo kimał tej nocy. Spał czternaście godzin. Zapamiętał paskudne sny.

Barb go ruga – nie łykaj prochów – on odpłaca jej pięknym za nadobne. Nie rób tego samego – brzydko się zestarzejesz – kocham cię.

W drugim śnie pojawił się Bongo. Bongo dygotał w konwulsjach. Bongo kablował na Wendella Durfee'ego. Wendell jest na Kubie. Ma równe sześć tysięcy gotówką. Nosi brodę Castro.

Wayne krążył po Czarnogrodzie. Wayne wpadał do klubów bilardowych. Wayne wpadał do barów. Wyglądał na gliniarza. Wyglądał na takiego, co kipi gniewem. Nosił spluwę na wierzchu.

Gliniarze go dostrzegali. Gliniarze mu machali. Gliniarze widzieli w nim brata-gliniarza. Cisnął kolorowych. Pokazywał im fotkę Wendella. W odpowiedzi dostawał: „Hę?”. W odpowiedzi dostawał wielkie oburzenie.

Widziałeś, co było w Watts? To się mogło stać *tutaj*. To się mogło dziać TERAZ.

Nie zważał na to. Ciężko pracował. Przeczesał cały Czarnogród. Nikt nie znał Wrednego Wendella. Nikt nic nie wiedział.

Zapadł zmierzch. Pojechał do Sun Glo. Trafił na maraton pieprzenia. Dziesięć pokoi/ dziesięć dziwek/ dziesięć miejsc do parkowania. Ponad dwudziestu meksów i alfonsi ze stoperami – będziecie się pieprzyć według *mojego zegarka*.

Stoiska z przekąskami – sklecone z byle czego budy/ *mamacitas* za ich ladami. Serwowały fasolę. Serwowały piwo. Serwowały mięso.

Było gorąco. Smażona wieprzowina ociekała tłuszczem. Strzelały tłumiki gruchotów.

Drzwi się otwierały. Drzwi się zamykały. Wayne widział migawki: nagie dziewczyny z rozstawionymi szeroko nogami. Wymiętoszona, brudna pościel.

Kolejki posuwały się szybko – sześć minut na numerka. Dokoła stali gliniarze. Alfonsi im smarowali – dolarek od numerka.

Gliniarze jedli smażoną wieprzowinę. Gliniarze pilnowali kolejek. Gliniarze sprzedawali lewą penicylinę. Wayne stanął w kolejce. Wayne skupił na sobie spojżenia. Wayne pokazał *swoje fotki*.

*Qué? No se. Negrito muy feo*⁵².

Wayne dorwał jedną mamuszkę. Wayne pomachał pięćdziesięcioma dolicami. Zagadnął łamaną hiszpańszczyzną. Powiedział: „Piwo dla wszystkich”.

Uśmiechnęła się. Ponalewała piwa. Obsłużyła meksów. Obsłużyła alfonsów. Obsłużyła gliniarzy. Pochwaliła Wayne’a – *gringo muy bueno*⁵³.

Wayne zyskał aplauz. Mekse zaczęli ścisnąć jego rękę. Alfonsi wymachiwali swoimi sombrero. Pokazał fotki raz jeszcze. Fotki zaczęły krążyć. Trafiły do wszystkich dupomanów. Zatoczyły koło. Wygniotły się. Wróciły.

Jeden gliniarz szturchnął Wayne’a w bok.

– Jakieś trzy miesiące temu wyгнаłem tego szwarca z miasta. Próbował stręczyć białe dziewczyny, a to mi się jakoś nie podobało.

Wayne dostał gęziej skórki. Gliniarz wyszczerzył zęby.

– Słyszałem, że zna się ze szwarcem zwanym King Arthur. Zdaje się, że facet ma bar dla pedałów we Fresno.

Bar Playpen Lounge miał wejście od ulicy. Bar Playpen Longe znajdował się w dzielnicy biedoty.

Wayne pojechał do Fresno. Wayne popytał ulicznych meneli. Wayne znalazł. Menele byli rozmowni – Playpen to nora dla ciot – wszyscy się boją Kinga. To podła kreatura. Wychował się na Haiti. Prawdziwy kalipso. Nosi koronę. To babochłop. Obojnak.

Wayne wszedł. Wystrój bił w oczy – zderzenie stylów Kamelotu i Liberace.

Pluszowe ściany. Fioletowe draperie. Nabijana ćwiekami zbroja. Bar i ścianki boksów z różowej sztucznej skóry.

Rzęziła szafa grająca. Mel Torme zawodził. Tubylcy się poruszyli. Wayne przyciągnął spojrzenia. Wayne wywołał „o, la, la”.

Kolorowy towar – cieplaki i twardziele.

Oto i King. Siedzi w boksie. Ma swoją koronę. Rasowy król: blizny od noża/ podziurawione uszy/ zrobione z rur regalia.

Wayne podszedł. Wayne usiadł. King Arthur sączył mrożonego drinka.

– Za bardzo jesteś wyniosły jak na gliniarza z Fresno i za bardzo męski, by być kimś innym niż gliną.

Szafa grająca zawyła. Wayne sięgnął do tyłu. Wayne chwycił i wyrwał przewód.

– Moja kasa. Twoje informacje.

King poklepał się po koronie. Jarmarczna zabawka – blacha wysadzana górskim kryształem.

– Skonsultowałem się właśnie ze swoim rozumem. Podpowiedział mi, że policjanci pytają, ale nie płacą.

King sepleniał. Głos Kinga wibrował. King się nie spieszył. Obok przeszło dwóch cweli. Jeden zachichotał. Jeden pomachał.

Wayne powiedział:

– Ja *byłem* gliniarzem.

– A pfe, ty niemądry dzikusie. Nie trzeba było tego mówić.

Wayne wyciągnął pieniądze. Wayne ułożył je w wachlarz. Skierował na nie światło stołowej lampki.

– Wendell Durfee. Słyszałem, że go znasz.

King poklepał się po koronie.

– Zaraz będę miał wizję... tak... już widzę... Jesteś tym gliną z Vegas,

który za przyczyną Wendella stracił swą biedną żonę.

Szafa znów zaczęła grać. Popłynął głos Kaya Starra. Wayne sięgnął do tyłu i szarpnął za przewód. Jakiś pedzio chwycił go za rękę. Pedzio podrapał go po dłoni. Pedzio zachichotał lubieżnie.

Wayne cofnął rękę. Pedzie zarechotali. Pedzie się wycofali. Pedzie odeszli. Próbowali uwodzić Wayne'a. Słali mu całusy.

Wayne wytarł rękę. King się roześmiał. King zrobił „a pfe”.

– Spotkałem się z Wendellem parę miesięcy temu. Kupiłem od niego kilka dziewczyn.

– I?

– I jeden pies z Bakersfield zniechęcił mnie do stręczenia ich w jego jurysdykcji.

– I?

– I Wendell szukał dla siebie zawodowego pseudo, któremu nie sposób byłoby się oprzeć. Zaproponowałem, by nazwał się Cassius Cool, a jemu się spodobało.

Wayne postukał w pieniądze.

– Mów dalej. Wiem, że jest coś jeszcze.

King poklepał się po koronie.

– Zaraz będę miał wizję... tak... zabiłeś trzech nieuzbrojonych Murzynów w Las Vegas... i... tak... Twoja żona miała superorgazm, zanim Wendell ją załatwił.

Wayne wyciągnął spluwę. Wayne ją podniósł. Wayne odciągnął kurek. Wayne usłyszał echo. Wayne usłyszał odciągane kurki.

Rozejrzył się. Spojrzył w stronę baru. Zobaczył cweli. Zobaczył spluwy. Zrozumiał, że to samobójstwo.

Schował broń do kabury. King zgarnął kasę.

– Wendell namówił jakichś palantów na ustawioną grę w kości i stanowczo mu doradzono, by opuścił Bakersfield. Słyszałem, że wybrał się do LA.

Wayne się rozejrzył. Wayne ujrzał cweli ze spluwami. Wayne ujrzał złowrogie twarze.

King się roześmiał.

– Dorośnij, chłopcze. Nie możesz przecież zabić *wszystkich* Murzynów.

83

(Sajgon, 20 sierpnia 1965)

Pete powiedział:

– Wayne zdjął kilka skalpów.

Barowa godzina. Drinki w Catinat. Siatki przeciw granatom i cała kupa wietnamskich oficerów.

Stanton pochłonał pasztecik.

– Kubańskich czy afroamerykańskich?

Pete się uśmiechnął.

– Już wrócił. Powiem mu, że o to pytałeś.

– Powiedz mu, że cieszę się, słysząc, iż się rozwija.

W barze było tłoczno. Kręcili się amerykańscy doradcy wojskowi. Rozmowy toczyły się w trzech językach.

Pete zapalił papierosa.

– Ta sprawa z Bobem R. mnie wkurzyła. Chcę przerzucić na Kubę wyraźnie rozpoznawalną amerykańską broń.

Stanton posmarował grzanekę.

– Wyraziłeś się jasno. A skoro już to sobie wyjaśniliśmy, powinienem powiedzieć, że jak dotąd Relyea wykonywał całkiem niezłą robotę.

– Owszem, ale teraz tkwi po czubek głowy w tym szambie z Klanem, przez co w każdej chwili może na nas ściągnąć niezły smród. Chcesz znać moje zdanie? Powinniśmy przerzucić Laurenta z powrotem do Laosu do roboty na farmie, a Mesplède'a zostawić na stałe w Stanach, żeby działał przy broni. Ma niezłe koneksje i chęci i jest cholernie sprawny.

Stanton pokręcił głową.

– Po pierwsze Bob ma lepsze koneksje i wystarczające poparcie FBI, by trzymać nas z dala od kłopotów, które sam mógłby spowodować. Po drugie, wprowadziłeś do interesu tego całego Bruvicka, przez co zapaliłeś chęci w Carlosie, który podnieca się teraz Sprawą tak, jak nie podniecał się od 1962 roku. Jest *aktywny*. Jest *jedynym* oddanym Sprawie człowiekiem z mafii

i jestem pewien, że ma swoje źródła, w których mógłby zdobyć broń. Po trzecie Laurent jest w dobrych stosunkach z Carlosem i dlatego chcę, żeby siedział przez cały czas w Stanach zamiast Mesplède'a. On najlepiej się nadaje do współpracy z Carlosem i do przerzutu broni.

Pete przewrócił oczami.

– Carlos to gangster. Jego znajomość świata handlu bronią polega jedynie na kontaktach z grupami uchodźców, które same dysponują głównianym uzbrojeniem. Nie będzie w stanie skombinować tak dobrego sprzętu, jak choćby ten od Boba, no a na ile skoków na magazyny z bronią możemy twoim zdaniem liczyć?

Zawyła syrena. Wszystko w barze zamarło. Wietnamscy oficerowie wyciągnęli spluwy. Syrena zamilkła. Zawyła znowu. Alarm odwołano. Wietnamcy schowali broń.

Stanton sączył wino.

– Dobrze jest, jak jest. Ty i Wayne kręcicie się po świecie, bo stanowicie trzon Kadry i wiecie, jak sprawy stoją, zarówno tu, jak i w Vegas. Gdyby Wayne został przyłapany w laboratorium, mógłby pracować w Vegas i zajmować się przerzutem broni, a ty...

– John, Jezu Chryste, czy nie możesz...

– Nie, daj mi dokończyć. Straciliśmy Chucka, *c'est la guerre*⁵⁴, ale Tran i Mesplède to więcej niż potrzeba, by poprowadzić Farmę Tygrys. Zatrzymamy Mesplède'a tutaj, a Flasha i Laurenta zostawimy w Port Sulphur i Bon Secour. Innymi słowy, jesteśmy kryci i nie chcę, żebyś próbował poprawiać idealnie funkcjonujący system.

Syrena wyła – odwołanie alarmu. Padła klimatyzacja. Jeden kelner uchylił drzwi. Drugi pootwierał okna. Trzeci zamontował siatki zabezpieczające przed granatami.

Pete spojrzął na zegarek.

– Jestem umówiony z Wayne'em. Ma zamiary na jakąś darowiznę z żelastwa w Da Nang.

Powietrze zrobiło się gorące. Kelnerzy zaczęli włączać wentylatory.

– Ile skalpów ściągnął?

– Cztery.

– Myślisz, że mu się spodobało?

Pete się uśmiechnął.

– Z Wayne'em nigdy nic nie wiadomo.

Stanton się uśmiechnął.

– Czy uraczysz mnie jakąś swoją opinią, zanim stąd wyjdiesz?

Pete wstał. Sufit miał tuż nad głową. Musiał umykać przed skrzydłami wentylatorów.

– Twój pomysł nie jest taki zły. Jest w nim tylko mniej pasji niż w moim.

Polecieli. Piloci z MACV sterowali hueyami – rutynowy przelot z Tan Sot Nhut.

Siedzieli na ławce z tyłu. Leciały z nimi jakieś typki z administracji – obejrzymy ten show w Da Nang.

Wayne ziewał. Wayne dopiero co wrócił. Wayne miał dość tych pieprzonych podróży.

Śmigłowiec był zatłoczony. Wojskowi gówniarze nieźle się bawili. Hałasowali. Grali w orła i reszkę. Wywijali swoimi czterdziestkami piątkami.

Śmigła wirowały. Drzwi dygotały. Radio trzeszczało. Pete i Wayne siedzieli blisko. Pete i Wayne rozmawiali głośno.

Ustalili: Bob Relyea szkodzi. Ustalili: Jest z niego pieprzony króliczek Wayne'a Seniora. Ustalili: Potrafi skołować niezły sprzęt. Ustalili: D. Bruvick jest cwany i tchórzliwy.

Carlos ostrzegł Bruvicka. Carlos powiedział: nie dzwoń do Arden – nie wypapłaj się ze swoimi wycieczkami na Kubę. Bruvick go olał i próbował dzwonić. Wayne temu zapobiegł.

Ustalili: Pozbądźmy się go. Ustalili: Znajdźmy na jego miejsce innego.

Ustalili. Pete trochę zmiękł. Pete powiedział, że Carlos chce Bruvicka. Bruvick to jego zaufany człowiek. A Carlos nie ufa nikomu. Carlos podstawia informatorów.

Ergo: Bruvick dalej pływa na Kubę. Bruvick dzwoni do Carlosa. Bruvick kapuje *na nas*.

Wayne się połapał. Wayne zmienił temat. Eks-Bruvickowa, Arden – teraz z Wardem Littellem. Jest wtyczką. Obserwuje Littella. Donosi Carlosowi.

Zgadza się – pokapowałeś się – ale niczego więcej się nie dowiesz.

Wayne powiedział: „Okej”. Pete mówił o Carlosie – wykład dla wtajemniczonych.

Carlos manipuluje ludźmi. Carlos niszczy ludzi. Jest blisko z Johnem Stantonem. Jest chciwy. Będzie naciskał na Johna – daj mi udziały w handlu herą. John się zgodzi. Wszyscy się zgodzimy. Jesteśmy to Carlosowi winni.

Carlos namówił innych Chłopców. Nagięli nieco mafijne prawo. Pozwolili przyprószyć białym proszkiem zachodnie Las Vegas.

Ustalili: Jesteśmy dłużnikami Carlosa Wielkiego. Ustalili: Jesteśmy dłużnikami Arystokraty Johna.

Śmigłowcem telepało. Drzwi się trzęsły. Dupki z administracji łykały aviomarin.

Ustalili: koszty operacyjne Tygrysa – kosmiczne – laboratorium/ Farma Tygrys/ Tygrys-Południe. Łapówki dla Marvów/ łapówki dla szefa tajnej policji „pana Kao”/ łapówki dla Trana Lao Dinha. Łapówki za transport. Łapówki dla Nellis. Łapówki dla gliniarzy – szeryfa i WPLV. Koszty operacji w Wietnamie i poza nim – międzykontynentalne.

Przerzucamy herę – w wielkich ilościach – zasypujemy zachodnie LV. Zyski rosną. Szwarcie kochają biały proszek. Ni stąd, ni zowąd zyski spadają. Wszystko przez pieprzone zamieszki w Watts – na żywo w pieprzonej TV. Szwarcie widzą rozróby. Szwarcie się podniecają. Co mała zobaczy, to mała uczyni. Szwarcie włóczą się po zachodnim LV. Cisną kilka pałek. Podpałą parę bud. Zawieszamy interesy Kadry. Pilnujemy Taxi Tygrys. Gliny tępią zamieszki. Szwarcie idą do pudła. Zyski maleją.

Ustalili: Interes kiepsko idzie – bessa. Ustalili: Poszerzymy zakres działalności – odbijemy się od dna. Zatrudnimy więcej dilerów – łatwych do usunięcia szwarców – znowu będzie hossa.

Huey leciał nisko. Widzieli ogień walki. Widzieli spalone wioski. Wayne mówił o ekspansji – zasypmy znów proszkiem zachodnie Vegas. Przysypmy też trochę czarne LA.

Pete się roześmiał – Chłopcy nie pozwolą – doskonale to, kurwa, wiesz.

Gównu wiem. Tam może być Durfee. To *jedyne*, co wiem.

Da Nang: piekące słońce i gorąca bryza od morza. Słone mikrokropelki w powietrzu.

Ich człowiek z bronią się nie pojawił. Pete się wściekł. Wayne podsunął mu pomysł zastępczy: Pojedźmy obejrzyć to przedstawienie dla wojska.

Pojechali rykszami. Ich szofer był grubawy. Ich szofer zasuwał raz-dwa. Ścigali się z jakimiś podporucznikami. Podporucznicy byli narąbani. Ryksza, pędząc, kołysała. Pete łykał aviomarin. Wayne łykał sól w pigułkach. Wjechali na drogę dojazdową. Wjechali do bazy marynarki. Dotarli do czegoś w rodzaju amfiteatru.

Rykszarze ujrzeni rzędy ławek. Rykszarze ostro zahamowali. Koła zaryły w ziemi, wpadły w poślizg i stanęły.

Koszmarny upał.

Pete się śmiał. Wayne się śmiał. Podporucznicy zzielenieli na twarzach i rzygnęli.

Występ był za darmo. Tłumy napływały. Pete i Wayne stanęli w kolejce. Gorąco było jak na patelni.

Scena znajdowała się na ziemi. Ławki, ustawione w sześćdziesiąt rzędów, pięły się pod górę. Na scenie: Hip Herbie i Ho – tanie, durne skecze.

Ho był kukłą. Trzymał go Hip Herbie. Hip Herbie trzymał mikrofon. Hip Herbie był bruchomówcą. Hip Herbie poruszał ustami. Wyglądał na moczymordę albo ćpuna.

Znaleźli miejsca. Siedzieli ściśnięci jak śledzie w beczce. Siedzieli w dziesiątym rzędzie.

Ze sceny niosły się dźwięki. Ho lamentował:

– Amerykańscy żołnierze straszni! Ja się strasznie bać! Wy zabijać Vietcongów – pif-paf!

Było gorąco. Słońce paliło. Pete’ a dopadły nudności. Tłum od niechcienia rechotał. Ho miał na głowie czerwone rogi diabła. Ho miał na zadku pieluchę.

Hip Herbie mówił:

– Co właściwie masz przeciwko Wujowi Samowi?

Ho na to:

– Ja być w USA! Oni mnie nie wpuścić do Disneyland!

Tłum rechotał bez zaangażowania.

Ho głądził dalej:

– Ja się mścić! Podkładać miny przeciwpiechotne! Ja zabić Kaczor Donald!

Tłum rechotał bez entuzjazmu. Konferansjer dał Hipowi znak: zbieraj się z tym szajsem.

Ho się burzył:

– Ja zrobić strajk okupacyjny! Ja się modlić w kościołach! Ja zastrzelić Kaczora Donalda!

Konferansjer dał znak muzykom. Nisko zajęczał saksofon. Hip Herbie zwinął się raz-dwa. Ukłonił się. Z Ho poleciały trociny. Kurtyna opadła. Tłum zaklaskał bez życia – pieprzyć tę kukłę i tego moczymordę.

Dźwięki saksofonu pięły się coraz wyżej. Kurtyna szła w górę. Pete zobaczył ukazujące się z wolna dłuuuugie nogi.

Nie, to niemożliwe. Proszę, tak. Powoli teraz, jednocześnie: kurtyna i saks razem w górę.

Proszę bardzo – żadne tam „niemożliwe”, tylko „tak”.

Pete zobaczył jej nogi. Pete zobaczył ją. Pete, wstając, chwycił jej całusy. Wayne się uśmiechnął. Barbarzyńcy zagrali. Barb zaczęła śpiewać wietrocka.

Gwizdy/pohukiwania/aplauz...

Barb tańczyła. Barb potrząsała biodrami. Barb zrzuciła z nogi pantofel. But poszybował wysoko. Faceci wyciągnęli ręce i prawie dosięgli. Pete sięgnął wyżej.

Jest blisko. Jest...

W piersi coś go zakłuło. Zaparło dech. Lewa ręka wystrzeliła w górę.

But jest blisko. Ma wysoki obcas i cekiny. But jest zielony i...

Lewa ręka zamarła w bezruchu. Nadgarstek się obrócił. Dłoń się otworzyła.

Trafił bez pudła. Złapał but. Ucałował go. Runął, przyciskając do siebie zdobycz. Barb zamazała mu się, przesłonięta przez biel biel biel...

84

(Waszyngton, DC, 4 września 1965)

Zamieszki. Bunt. Powstanie.

NBC nadawało powtórki. Eksperci telewizyjni dokonywali oceny.

Littell oglądał.

Murzyni rzucali koktajlami Mołotowa. Murzyni rzucali cegłami. Murzyni plądrowali sklepy z alkoholem. Szef policji Parker obwinił chuliganów. Bobby namawiał do przeprowadzenia reform. Doktor King namawiał do protestów.

Doktor King pozwalał sobie na dygresje. Doktor King podkreślał znaczenie innych zamieszek. Doktor King podkreślał znaczenie zachodniego Las Vegas.

Powtórki: Murzyni rzucają koktajlami Mołotowa/ Murzyni rzucają cegłami/ Murzyni plądrują sklepy z alkoholem.

Littell oglądał powtórki. Littell odtwarzał w pamięci Draka:

„Musimy wyciszyć te zwierzęta, Ward. Nie chcemy, żeby *tak* szalały *tak* blisko moich hoteli”.

Tylko nie mów: „Pete handluje czymś na wyciszenie, sir, ale w tej chwili zdaje się, że to nie działa”.

Sam Pete też nie najlepiej działał. W zeszłym tygodniu dzwoniła Barb. Barb oznajmiła, że Pete miał zawał. *Poważny* zawał. Teraz Pete był stabilny. Ze starego Pete'a zrobił się wrak. Barb trzymała się dzielnie. Barb błagała:

Pociągnij za sznurki. Poproś Carlosa. Spraw, żeby Pete przeszedł na emeryturę. Sprowadź go do domu. Spraw, żeby został. Zrób to dla mnie.

Littell powiedział, że spróbuje. Littell zadzwonił do Da Nang. Littell rozmawiał z Pete'em. Pete miał chrapliwy głos. Pete był zmęczony. Pete wydawał się słaby.

Littell zadzwonił do Carlosa. Carlos powiedział, że wszystko zależy od Pete'a.

Littell wyłączył telewizor. Littell popatrzył na fotkę w gazecie. Wyciął ją.

Zachował. Zalaminował.

„The Washington Post”: KING NA POGRZEBIE DORADCY. Doradca Lyle Holly – samobójca – wtyczka FBI: BIAŁY KRÓLIK.

King to CZERWONY KRÓLIK. Bayard Rustin – RÓŻOWY. Brat Dwight – BŁĘKITNY. Wszyscy stoją blisko. CZERWONY i RÓŻOWY pogrążeni w żałobie. BŁĘKITNY – uśmiechnięty znacząco.

Wyciął zdjęcie. Przyjrzał mu się. Zgromadził w sobie złość. Popatrzył na relacje z zamieszek. Popatrzył na powtórki. Zgromadził więcej złości.

Podróżował służbowo. Wyjechał z Vegas. Pojechał do LA. Dostrzegł za sobą ogon. Zignorował go. Zgromadził więcej złości.

Już wiedział:

Pan Hoover w ciebie wątpi. BŁĘKITNY KRÓLIK w ciebie wątpi. Wątpliwości nękają CZARNEGO KRÓLIKA. BIAŁY KRÓLIK ginie. Widziałeś preludium do jego samobójstwa. Budzisz lęk. Pan Hoover dzwoni. Ty z niczym się nie zdradzasz. Pan Hoover cię sprawdza.

Powiedzmy, że to był pojedynczy ogon. Od tamtej pory żadnego nie widziałeś. Logika miesza się ze złością.

Byłeś już śledzony – jeszcze przed CZARNYM KRÓLIKIEM. Pan Hoover ci powiedział. Pan Hoover zdjął tamte ogony. Pan Hoover umieścił je teraz na nowo – po samobójstwie Lyle’a.

Ergo:

Wtedy cię nie podejrzewał. *Podejrzewa* cię *teraz*.

Pracował. Podróżował – z LV do LA. Nie spostrzegł żadnych ogonów ani tu, ani tam.

Przerażała go Jane. Jane go *znała*. Pan Hoover wiedział o Jane. Agenci podrzucili jej sfałszowany wyciąg z indeksu. Agenci załatwili jej dyplom Tulane.

Rozglądał się za ogonami. Rozglądał się co dzień. Nie spostrzegł żadnego. Oglądał powtórki relacji z zamieszek. Odtwarzał słowa doktora Kinga. Odtwarzał sprawozdanie Lyle’a – niemal kropka w kropkę.

Przygotował plan. Zdecydował o eskalacji działań. Poleciał do Waszyngtonu. Popracował dla Teamstersów. Wpadł do SCLC. Po drodze nie spostrzegł żadnych ogonów.

Odwiedził Bayarda Rustina. Bayard musiał odebrać telefon. Littell przeprosił i wyszedł. Znalazł dawną kanciapę Lyle’a. Działał szybko. Znalazł jego aktówkę. Przejrzał pogrupowane tematycznie papiery. Wykradł jego

maszynę do pisania. Wykradł papier listowy SCLC.

SCLC opłakiwało Lyle'a. Nikt tam nie wiedział, że Lyle to był BIAŁY KRÓLIK.

Lyle był hazardzistą. Lyle cię wykiwał. Ale wciąż cię szanował. Lyle cię zdradził. Lyle zginął. Teraz Lyle zmartwychwstał i bardzo żałuje.

Littell zaparzył kawę. Littell studiował papiery. Littell wodził długopisem po podpisie Lyle'a D. Holly'ego.

Poćwiczył. Udało się. Przygotował maszynę Lyle'a. Wkręcił kopertę. Napisał kapitalikami:

„WYSŁAĆ W PRZYPADKU MOJEJ ŚMIERCI”.

Wyciągnął kopertę. Wkręcił papier i kalkę. Wygładził papier listowy SCLC.

Spowiedź Lyle'a Holly'ego.

Spowiadał się z alkoholowych cugów. Z hazardu. Ze sfałszowanych czeków. Ze zdrady – zdrady sponsorowanej przez FBI – zdrady na rozkaz J. Edgara Hoovera.

Punkt 1. Pan Hoover to wariat. Nienawidzi doktora Kinga. Przyłączyłem się do jego kampanii nienawiści.

Punkt 2. Wstąpiłem do SCLC. Oszukiwałem doktora Kinga. Oszukiwałem kluczowych działaczy.

Punkt 3. Piąłem się w górę w strukturach ruchu. Dawałem wytyczne. Znałem tajemnice ruchu.

Punkt 4. Przekazywałem na zewnątrz tajne informacje. Donosiłem federalnym. Mówiłem, gdzie mają założyć podsłuch.

Załącznik 1: Lista podsłuchów. *Sprawdzonych* podsłuchów – znanych Littellowi. Podsłuchów *prawdopodobnie* znanych Lyle'owi Holly'emu.

Punkt 5. Notowałem niedyskrecje doktora Kinga. Przekazywałem je panu Hooverowi. To on wpadł na pomysł listu nakłaniającego do samobójstwa. Listu wysłanego do doktora Kinga. Listu, który namawiał go do odebrania sobie życia.

Punkt 6: Nienawiść pana Hoovera rośnie. Nienawiść pana Hoovera się pogłębia. Nienawiść pana Hoovera nadal będzie się wzmacniać.

Littell przerwał. Littell wszystko przemyślał. Littell dokonał ponownej oceny własnych pomysłów.

Nie – nie zdradzaj CZARNEGO KRÓLIKA. Nie zdradzaj BŁĘKITNEGO KRÓLIKA. Nie zdradzaj zdradzieckiego Klanu DZIKIEGO KRÓLIKA. Nie

przekraczaj granic wiarygodności. Nie rzucaj cienia na samego siebie. Nie ujawniaj tego, czego Lyle mógł nie wiedzieć.

Punkt 7. Wyrzuciłem wielką krzywdę. Żał mi doktora Kinga. Zaczynam myśleć o *własnym* samobójstwie. Ten list pozostanie zamknięty. Działacze ruchu znajdą go i wyślą, jeśli umrę.

Littell wyciągnął papier z maszyny. Littell podpisał Lyle D. Holly.

Wkręcił kopertę. Wystukał na maszynie adres: Przewodniczący Komisji Śledczej Kongresu. Wyciągnął kopertę. Wkręcił kopertę. Wystukał na maszynie adres: senator Robert F. Kennedy/ Siedziba Biur Senatu.

To się wiązało z ryzykiem. Bobby kierował Departamentem Sprawiedliwości – 1961–1964. Kierował panem Hooverem. Pan Hoover zaczął działać na własną rękę. Pod szyldem Bobby’ego rozpętał kampanię nienawiści. Bobby mógł się dlatego czuć winny. Bobby mógł czuć wstyd.

Zaufaj Bobby’emu. Podejmij to ryzyko. Idź do SCLC. Podrzucić listy. Niech znajdą się na nich pieczętki organizacji.

Czekaj – a potem czytaj gazety. Czekaj – a potem oglądaj TV.

Bobby może przekazać to mediom. A wtedy ty będziesz mógł się z nim skontaktować. Ty będziesz mógł zmartwychwstać – anonimowo.

85

(Da Nang, 10 września 1965)

Szpital – pigułki/zastrzyki/kroplówki. Nowy świat Pete’a – Pete’a wycieńczonego i słabego.

Wayne przysunął krzesło. Pete leżał w łóżku. Barb poprawiła mu poduszkę.

– Rozmawiałem z Wardem. Mówił, że nie może się doczekać, kiedy będzie mógł wypróbować swoje wpływy w komisji gier. Uważa, że może ci załatwić licencję na jakiś młyn.

Pete ziewnął. Pete przewrócił oczami. To oznaczało: wal się.

Weszła pielęgniarka. Zbadała Pete’owi puls. Sprawdziła źrenice. Zmierzyła ciśnienie. Zapisała wyniki.

Wayne spojrział w kartę. Wyniki w normie. Pielęgniarka wyszła. Barb poprawiła Pete’owi poduszkę.

– Moglibyśmy poprowadzić ten lokal razem. Ward twierdzi, że to rewolucyjny pomysł: ty i legalne źródło dochodu.

Pete ziewnął. Pete przewrócił oczami. To oznaczało: wal się. Stracił sporo na wadze. Skóra na nim wisiała. Kości sterczały.

Poleciał wtedy z ławki w dół. Wayne go złapał. Pete ścisnął but Barb. Barb zeskoczyła ze sceny. Jakiś facet ją złapał. Pokazało się dwóch łapiduchów. Jeden zabrał się za reanimację. Drugi chciał wyrwać but. Pete go kopnął. Pete go ugryzł. Pete swego trofeum nie wypuścił.

Barb powiedziała:

– Rzuciłam palenie. Skoro ty nie możesz palić, ja też nie będę.

Wyglądała na wykończoną. Wyglądała na odurzoną. Wyglądała na rozdrażnioną. Była na prochach – to jasne – była usprawiedliwiona smutkiem.

Pete powiedział:

– Chcę cheeseburgera i paczkę cameli.

Jego głos pozostał bez zmian – zachował barwę i moc.

Wayne się roześmiał. Barb pocałowała Pete'a. Pete uszczyptał ją w pupę i zrobił maślane oczy. Barb posłała mu całusa i wyszła. Zamknęła za sobą drzwi.

Wayne usiadł na krześle okrakiem.

– Ward zmusi cię do kupienia lokalu. Chociażby ze względu na Barb.

Pete ziewnął.

– To Barb będzie go wtedy prowadzić. Ja mam kupę roboty i bez tego.

Wayne się uśmiechnął.

– Świerzbi cię, żeby pogadać o interesach. Jeśli tak, to słucham.

Pete podniósł oparcie łóżka.

– Pokierujesz sprawami, dopóki stąd nie wyjdę. To znaczy tutaj i w Stanach.

– Okej.

– W laboratorium mamy spory zapas towaru, więc o to przynajmniej nie musimy się martwić. Chcę, żeby Mesplède i Tran poprowadzili Farmę Tygrys. Chcę, żebyś ty razem z Laurentem i Flashem zajął się przerzutem i żebyś nadzorował wyprawy na Kubę. I chcę, żebyś pomógł Miltonowi w Taxi Tygrys.

Wayne pokiwał głową. Wayne pochylił się nad łóżkiem.

Pete mówił:

– Dostałem cynk od Boba. Ma dwie ciężarówki bazook i silnych materiałów wybuchowych świeżych z Fort Polk. To kupa towaru i konieczne będą pewnie ze dwa kursy. Dopilnuj transportu na Kubę, ale w tym przypadku i we wszystkich innych pieprzonych przypadkach w przyszłości nie mieszaj się do samych transakcji i pozwól, żeby to Laurent i Flash przewieźli towar z New Hebron do Bon Secour. Bob jest kryty przez FBI, więc chcę, by pozostał, mimo że jest nam najbardziej zbędny. Laurent i Flash wożą broń, więc są mniej zbędni od Boba, ale o wiele bardziej zbędni niż ty. Ty masz dbać o swoje bezpieczeństwo i pilnować Danny'ego Bruvicka, któremu w ogóle nie ufam.

Wayne zaklaskał.

– Odzyskałeś siły w płucach.

Pete spojrzał w swoją kartę.

– Nieźle. Niedługo już stąd wyjdę.

Wayne się przeciągnął.

– Gadałem z Tranem. Powiedział, że kilku niewolników nawiało z częścią

M-bazy. To byli członkowie Vietcongu i Tran uważa, że spiknęli się z komuchami prowadzącymi laboratorium w pobliżu Ba Na Key. Przypuszcza, że goście planują produkcję towaru i dystrybucję wśród naszych żołnierzy na południu, żeby obniżyć ich morale.

Pete kopnął w barierkę w nogach łóżka. Jego karta spadła.

– Niech Mesplède przesłucha pozostałych niewolników. Możemy się w ten sposób czegoś dowiedzieć.

Wayne wstał.

– Wypoczywaj, szefie. Wyglądasz na zmęczonego.

Pete się uśmiechnął. Pete chwycił za krzesło Wayne'a. Pete wyłamał szczebelki oparcia. Wayne zaklaskał.

Pete powiedział:

– Wypoczywaj, kurwa mać.

Barb tańczyła. Barb robiła tę łaskę napalonym marynarzom. Obstępowali ją. Odbijali ją sobie nawzajem. Miała średnio po trzech partnerów na piosenkę.

Piosenki z płyt/ same ograne hity/ z płytoteki klubu żołnierza. *Sugar Shack*/ pierdoły o surfowaniu/ watusi.

Wayne patrzył. Włosy Barb falowały. Wayne dostrzegł nowe nitki siwizny pośród rudych. *Surf City* wybrzmiało. Marynarze zaklaskali. Barb wróciła.

Wayne odsunął jej krzesło. Usiadła. Zapaliła zapalniczkę.

– Chcę papierosa.

Wayne wyrwał jej te nowe siwe włosy. Barb się skrzywiła. Wayne wyrwał też parę rudych.

– Przeżyjesz to.

Barb podpała siwe. Syknęły i spłonęły.

– Powinnam wracać do domu. Jeśli zostanę, zacznę widzieć rzeczy, które mi się wcale nie spodobają.

– Takie jak na przykład nasze interesy?

– Takie jak ten chłopak na oddziale trzy piętra pod Pete'em. Bez rąk. Takie jak ten chłopak, który się zgubił i został potraktowany napalmem przez własnych ludzi.

Wayne wzruszył ramionami.

– Tak to już jest przy tej robocie.

– Powiedz to Pete'owi. Powiedz mu: „Następny zawał może cię zabić, jeśli wojna nie dopadnie cię pierwsza”.

Wayne wyrwał siwego.

– Daj spokój. On jest na to za dobry.

Barb zapaliła zapałkę. Barb podpaliła włos. Barb patrzyła, jak płonie.

– Wyrwij go stąd. Ty i Ward znacie ludzi, którzy mogliby tego dokonać.

– Nie zgodzą się. Pete ma u nich dług, wiesz jaki.

– Dallas?

– To i fakt, że jest za dobry na to, by pozwolić mu odejść.

Przytelepał się jakiś marynarz. Barb podpisała mu się na serwetce. Barb podpisała mu się na rękawie bluzy. Zapaliła zapałkę.

– Tęsknię za kotem. Wietnam sprawił, że zaczyna mi się cknić za Vegas.

Wayne przyjrzał się jej włosom. Idealnie – same rude.

– Za trzy dni będziesz w domu.

– Ucałuję tamtejszą ziemię. Poważnie.

– Daj spokój, nie jest chyba aż tak źle.

Barb zgasila zapałkę.

– Widziałam chłopca, który stracił swoje narzędzia. Żartował z pielęgniarką, że teraz armia sprawi mu nowe. Jak tylko siostra wyszła, zaczął płakać.

Wayne wzruszył ramionami. Barb rzuciła zapałką. Trafila w niego. Zapiekło. Barb odeszła. Marynarze patrzyli. Barb poszła do toalety.

Zabrzmiało *Sugar Shack*. Pętla czasu – ta sama piosenka w szafie grającej Ruby'ego.

Barb wyszła. Dorwał ją marynarz. Był czarny. Był wysoki. Wyglądał jak Wendell D.

Barb z nim zatańczyła. Tańczyli średnio wolno. Lekko się dotykali.

Wayne patrzył.

Tańczyli ładnie. Tańczyli modnie. Tańczyli przy jego stoliku. Barb była rozluźniona. Barb była opanowana. Barb miała na nosie biały pył.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.09.1965. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. (Aneks do dokumentów OPERACJI CZARNY KRÓLIK). Oznaczono: „Nagrano na polecenie Dyrektora”/ „Ścisłe tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor, BŁĘKITNY KRÓLIK.

DYR.: Dzień dobry.

BK: Dzień dobry, sir.

DYR.: Porozmawiajmy o działalności DZIKIEGO KRÓLIKA w Missisipi. Na myśl zaraz przychodzi oksymoron „Wywiadowcza siatka wsioków”.

BK: DZIKI KRÓLIK radzi sobie nieźle, sir. Uposażenie od nas pozwala mu rekrutować ludzi i gromadzić informacje wywiadowcze. Także KRÓLIK OJCIEC nie szczędzi funduszy. Powiedział mi, że przekaże część swoich dochodów z ulotek nienawiści na działalność DZIKIEGO KRÓLIKA.

DYR.: A czy dobrze uposażony DZIKI KRÓLIK osiąga jakieś rezultaty?

BK: Tak jest, sir. Jego Rycerze przenikają do innych grup i dostarczają mu informacje. Myślę, że już wkrótce będziemy mieli gotowe akty oskarżenia w sprawie malwersacji pocztowych.

DYR.: Datki KRÓLIKA OJCA po części służą też jemu samemu. Wspomaga działalność DZIKIEGO KRÓLIKA, przez co zmniejsza skuteczność swoich rywali od ulotek nienawiści.

BK: Zgadza się, sir.

DYR.: Czy DZIKI KRÓLIK pozostaje posłuszny?

BK: O tak, chociaż słyszałem, że sprzedaje broń Kadrze narkotykowej Pete’a Bonduranta. Jeśli dobrze rozumiem, zdobywa broń pochodzącą z napadów na magazyny i z kradzieży z baz wojskowych, co wydaje się dziwne, jako że nie udało mi się znaleźć żadnych aktualnych raportów na temat takich zdarzeń nigdzie na Południu.

DYR.: Tak, to rzeczywiście dziwne. A skoro już to ustaliliśmy, to czy uważasz, że DZIKI KRÓLIK zachowa stosowny poziom dyskrecji w kwestii swoich poczynań w handlu bronią?

BK: Myślę, że tak, sir. Ale czy powinienem mu kazać zaprzestać tej działalności?

DYR.: Nie. Podoba mi się jego związek z Bondurantem. Pamiętaj, że sami będziemy nawiązywać kontakt z Le Grand Pierre, gdy CZARNY KRÓLIK wejdzie w fazę szantażu.

BK: Słyszałem, że w zeszłym miesiącu Pete przeszedł zawał.

DYR.: Fatalnie. Jakie są rokowania?

BK: Zdaje się, że pomyślne, sir.

DYR.: To dobrze. Pozwolimy mu zatem wrócić do sił, a następnie przysporzymy nieco napięcia jego i tak nadmiernie obciążonym naczyniom wieńcowym.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Pomówmy o WOJUJĄCYM KRÓLIKU. Czy zdobyłeś jakieś

konkretne informacje?

BK: I tak, i nie, sir. Nie zyskaliśmy nic, śledząc, sprawdzając jego pocztę i przeszukując śmieci, zaś co do ewentualnych podsłuchów, jestem pewien, że WOJUJĄCY ma zbyt duże umiejętności techniczne, by można je było zastosować. Nadal przyjaźni się z RÓŻOWYM KRÓLIKIEM, co trudno uznać za zarzut, skoro sam pan go do tego zachęcał...

DYR.: Twój ton cię zdradza. Intrygujesz mnie. Czy mam zaryzykować domysł?

BK: Proszę bardzo, sir.

DYR.: Twoje rewelacje dotyczą kobiet WOJUJĄCEGO.

BK: Zgadza się, sir.

DYR.: Proszę o bardziej wyczerpujące odpowiedzi. Mam umówiony lunch w 2000 roku, na który chciałbym zdążyć.

BK: WOJUJĄCY spotyka się od jakiegoś czasu z Janice Lukens, była żoną KRÓLIKA OJCA w Las...

DYR.: To już wiemy. Proszę kontynuować.

BK: Mieszka też z pewną kobietą w Los Angeles. Jej nazwisko to rzekomo Jane Fentress.

DYR.: „Rzekomo” – dobrze powiedziane. Dwa lata temu sam pomagałem zbudować jej tożsamość. Nowoorleański agent podrzucił do dziekanatu uczelni jej wyciąg z indeksu.

BK: Jej historia jest znacznie bogatsza, sir. Myślę, że mogłaby nam posłużyć za narzędzie, gdybyśmy chcieli pognębić WOJUJĄCEGO.

DYR.: Konkrety, proszę. Nowe tysiąclecie jest coraz bliżej.

BK: Kazałem ją śledzić. Mój człowiek zdjął jej odciski palców ze szklanki, z której piła w restauracji. Sprawdziliśmy je i poznaliśmy jej prawdziwe nazwisko: Arden Louise Breen, B-R-E-E-N, po mężu Bruvick, B-R-U-V-I-C-K.

DYR.: Proszę dalej.

BK: Jej ojciec był lewicującym związkowcem. Teamstersi zabili go w 1952, a sprawa tego zabójstwa nadal figuruje w aktach policji w St. Louis jako „nierozwiązana”. Kobieta podobno nie miała pretensji do Teamsters, rzekomo dlatego, że ojciec zmuszał ją do pracy w charakterze prostytutki. W roku 1956 udało jej się wykpić od zarzutu przyjęcia skradzionych dóbr, postawionego przez Wydział Policji Kansas City, a w tym samym czasie jej mąż zdefraudował pieniądze oddziału Teamsters w KC i zniknął.

DYR.: Proszę kontynuować.

BK: I tu przechodzimy do najciekawszego. Z aresztu w Kansas City wykupiła ją legalnie działająca korporacja Carlosa Marcella. Kobieta wówczas znikła. Ma doświadczenie w księgowości i podobno przez długi czas romansowała z człowiekiem mafii Jules'em Schiffrinem.

DYR.: Kapitalne wieści, Dwight. Absolutnie warte twoich denerwujących wstępów.

BK: Dziękuję, sir.

DYR.: Wydaje mi się, że twoja opowieść sprowadza się do jednej istotnej prawdy. Carlos Marcello nie ufa WOJUJĄCEMU KRÓLIKOWI.

BK: Też doszedłem do tego wniosku, sir.

DYR.: Wycofaj więc swoje ogony, zaprzestań sprawdzania poczty i śmieci. Jeśli będziemy musieli dobrać się do WOJUJĄCEGO, dostaniemy go przez tę kobietę.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Miłego dnia, Dwight.

BK: Miłego dnia, sir.

86

(Saravan, 22 września 1965)

Tortury:

Sześciu przywiązanych do krzeseł niewolników. Sześciu podłączonych do kabli Vietcongów. Sześć gorących krzeseł/ sześć przycisków na generatorze prądu/ sześć prowadzących do jąder przewodów.

Mesplède obsługiwał generator. Mesplède częstował prądem. Mesplède zadawał pytania. Mesplède gadał franko-anglo-wietnamszczyzną.

Pete obserwował. Pete żuł nicorette. Było parno i gorąco – burzowo bu-kuu. Chata chłoneła skwar. Chata zatrzymywała skwar. W chacie było jak na patelni.

Mesplède mówił po wietnamsku. Mesplède groził. Mesplède mówił szybko. Słowa się zlewały – be-be-beł-KOOT.

Pete znał sedno tej gadaniny. Pete sam napisał scenariusz. Pete czytał w sześciu twarzach.

Niewolnicy uciekają. Wszyscy to zwolennicy Vietcongu. Kto im na to pozwolił? Ja nie wiedzieć! – wszystkie sześć twarzy powiedziało to samo – Ja nie wiedzieć, kto!

Ciągnęło się to bez końca – gadać! – nie nie! Pete obserwował. Pete żuł gumę. Pete czytał im w oczach.

Mesplède zapalił gauloise'a. Pete dał mu znak. Mesplède wdusił przyciski. Prąd popłyynyła.

Klamerki na jądrach – przewody od czarnej skrzynki do jaj – żadna śmiertelna dawka napięcia. Żółtki dygoczą. Żółtki chłoną prąd. Żółtki żółkną bu-kuu.

Mesplède odciął prąd. Mesplède zagadnął niby-wietnamszczyzną: „Vietcongi uciekają! Kradną M-bazę! Gadać, co wiecie!”.

Żółtki skwierczały. Żółtki się wiły. Żółtki się jarzyły. Gadać! Ty! Mów, co wiesz! Żółtki zajazgotały – żółty sekstet – my nie znać, kto!

Jeden żółtek kwiczy. Jeden żółtek skamle. Jeden żółtek się ślini. Przepaski

z bioder ściągnięte do kostek/ podłączone jądra/ zwisające przewody. Jeden żółtek się kuli. Jeden żółtek się modli. Jeden żółtek sika.

Pete dał znak Mesplède'owi. Mesplède wdusił przyciski. Prąd popłyynył.

Żółtki się gną. Żółtki chłoną napięcie. Żółtki się kręcą. Żółtki wrzeszczą. Rzucają się i napinają żyły.

Pete rozmyślał. Pete żuł gumę. Pete oddawał się burzy mózgu z zamkniętymi oczami.

Tran informuje Wayne'a – niewolnicy zwiewają – kradną M-bazę, bu-kuu. Przetwarzają ją. Podrzucają. Niszczą naszych żołnierzy, bu-kuu.

Ale:

Hery się nie podrzuca. Herę się *sprzedaje*.

A:

Wayne zakręcił się do domu. Laboratorium Wayne'a stoi puste. Mogą się tam wśliznąć chemicy konkurencji. Rzeczeni chemicy mogą wykorzystać sprzęt. Rzeczeni chemicy mogą go sobie przywłaszczyć.

Przyjrzyć się laboratorium – i to natychmiast – zanim *sam* na nowo rozpoczniesz kręcenie się.

Mesplède zakaszłał.

– Czy żując tę gumę, wpadłeś w jakiś trans, Pierre?

Pete otworzył oczy.

– Jeden z nich musi coś wiedzieć. Zapytaj ich, *dlaczego* tamci uciekli, i podkreć napięcie, jak zaczną ci wciskać kit.

Mesplède się uśmiechnął. Mesplède zakaszłał. Mesplède zagadnął niby-wietnamszczyzną. Mówił szybko. Połykał końcówki. Wypluwał słowa jak karabin maszynowy.

Żółtki słuchają. Żółtki chłoną. Żółtki mówią: Nie nie nie nie...

Mesplède wdusił przyciski. Popłynął prąd. *Prawie* śmiertelne napięcie. Żółtki wrzeszczały. Ich jaja poczerwieniały. Ich jaja nabrzmiały.

Mesplède odciął napięcie. Żółtki wczuwają się w swój ból. Żółtek nr 5 gada jak nakręcony. Mesplède się uśmiecha. Mesplède chłonie. Mesplède tłumaczy:

– Mówi, że się obudził i zobaczył, jak Tran wyciąga ich z baraku. Tran... *qu'est-ce...* zmusił ich do ucieczki, a ten tutaj kilka minut później usłyszał strzały.

Pete wypluł gumę.

- Wypuść ich. Daj im dodatkową porcję fasoli na kolację.
- Mesplède powiedział:
- Co za miłosierdzie.

Wzgórza dawały mu w kość.

Dyszał ciężko. Szedł powoli. Zostawał w tyle. Mesplède szedł szybko. Po bokach miał dwóch strażników.

Przecięli farmę. Brnęli przez zarośla. Umykali przed węzami. Nie przestawało padać. Smagały ich gałęzie. Pete sapał.

Wziął pigułki. Rozrzedzały mu krew. Czyściły żyły. Osłabiały go. Rujnowały. Spowalniały.

Pete podbiegł. Dogonił pozostałych. Dyszał.

Brnęli przez błoto. Błoto było gęste. Jego ciężar przygniatał mu piersi. Szli tak przez trzy kilometry. Zaczęli wreszcie schodzić w dół. Ciężar na piersi zelżał.

Pete usłyszał chrząkanie i pokwikiwanie. Pete zobaczył błotnisty dół. Pete poczuł smród rozkładających się trupów. Pete zobaczył ryjące dzikie świnie.

Proszę bardzo:

Rzeczony błotnisty dół. Bufet. Rzeczony świnie i kawałki ludzkiego ciała bez kości.

Pete wskoczył. Świnie się rozpierzchły. Błoto było głębokie. Błoto było gęste. Pete zaczął szperać.

Szukał po omacku. Młócił. Znalazł rękę. Znalazł nogę. Znalazł głowę. Strzepnął błoto. Zdarł skórę. Zdarł płat ze skroni.

Ujrzał dziurę. Była wielkości kuli. Złapał za szczęki. Rozwarł je szeroko.

Zdrowy oddech. Pełnia sił. Świetne wyniki pacjenta leczonego ambulatoryjnie.

Wypadła kula. Pete ją złapał. Była zniekształcona. Pochodziła z magnum. Była dokładnie taka, jakich używał Tran Lao Dinh.

Tran próbował czarować. Tran próbował wszystkiego. Tran próbował się wywinąć. Mesplède i tak go podpiął. Mesplède podpiął go w dwóch miejscach – podpiął jądra i głowę.

Deszcz wciąż padał. Monsunowa normalka – nic, tylko błoto.

Pete żuł gumę. Pete otworzył drzwi. Pete wpuścił powietrze.

– Nic ci teraz nie pomoże. Podaj nam szczegóły, mów, z kim się spiknąłeś,

a ja zobaczę, co na to powie John Stanton.

Tran powiedział:

– Znacie mnie. Ja nie pracować z VC.

Pete wdusił przycisk. Prąd popłynął. Tran się wygiął. Tran zesztyniał. Klamry zaiskrzyły. Włosy zaiskrzyły. Jaja zadygotały. Tran przygryzł wargi. Przygryzł język. Zaszczękał sztucznymi zębami.

Pete powiedział:

– Ta historia, którą opowiedziałeś Wayne’owi o demoralizowaniu amerykańskich żołnierzy, to bujda. Przyznaj to i zacznij od początku.

Tran oblizał wargi.

– To VC, szefie. Nie lekceważ ich.

Pete wdusił przycisk. Prąd popłynął. Tran się wygiął. Tran zesztyniał. Krwawił z pęcherza. Klamry iskrzyły. Głowa mu dygotała. Wypadły protezy.

Mesplède powiedział:

– *Il est plus que dinky dau, il est carrément fou*⁵⁵.

Pete kopnął sztuczne szczęki. Poleciały ku wyjściu i na dwór. Wpadły w monsunowe błoto. Tran pokazał dziąsła. Pete zobaczył dawne blizny – pamiątki po torturach Vietcongu.

– Następnym razem zwiększę napięcie. Chyba tego nie chcesz. Nie...

– Okej, okej, okej. Ja zabić niewolniki i sprzedać baza ARVN.

Pete wypluł gumę.

– Niezły początek.

Tran cofał się z krzesłem. Tran robił Pete’a w ciula – *le świr bu-kuu*.

– Wy, Francuzi, niedobre. *Wy carrément fou*.

Pete znów wziął gumę.

– Z kimś się dogadałeś. Powiedz mi, z kim.

Tran robił Pete’a w ciula. Pokazał mu faka – *il bah-fangoo*.

– Pieprzyć zabojadów. Wy fiuty złamane. Wy uciec spod Dien Bien Phu.

Pete żuł gumę.

– Powiedz mi, komu podlegasz. Napijemy się czegoś i o tym pogadamy.

Tran się wiercił. Tran cofał się z krzesłem. Tran pokazał Pete’owi faka – podniósł palec i zakręcił – *ty świr bu-kuu*.

– Ty francuski *cochon*⁵⁶. Ty rznąć grubasów.

Pete żuł gumę. Pete zrobił balona. Balon pękł – *pyk!*

– Dla kogo pracujesz? Nie siedzisz w tym sam.

Tran odsunął krzesło. Tran rozstawił nogi. Tran podrzucił biodrami bu-

kuu.

– Bzykam twoją żonę. Rzną rudą cipę, bo ty homo...

Pete wdusił przycisk. Pete *zablokował* przycisk. Tran się wygiął. Tran podrzucił biodrami. Tran cofnął się z krzesłem bu-kuu. Przesunął je. Zatrzymał się. Był przy samym wyjściu. Mesplède podskoczył. Pete się potknął.

Tran zrobił ich w ciula. Tran przewrócił krzesło w tył. Tran wyglądał jak skarłale drzewo. Tran trafił na deszcz. Trafił w błoto. Spowodował spięcie i zaświecił.

(Los Angeles, 28 września, 1965)

Mormoni:

Mormońscy prawnicy. Mormońscy doradcy. Mormońskie darmozjady. Mormoni Drakuli – Święci Dni Ostatnich.

To był ich szczyt. To był ich teren. To był wybrany przez nich hotel. Przypuścili szturm na Statlera. Zarezerwowali apartament. Przywieźli własne przekąski. Ich imiona się plątały. Littell zwracał się do każdego per pan.

Littell nie mógł się skupić. Właśnie dzwonił do niego Fred O. Fred O. dotarł do niepublikowanych materiałów z brukowców. Będą twoje za dziesięć kawałków. Biorę/ spotkajmy się/ już są moje.

Szczyt pora zacząć. Sześciu mormonów zasiadło przy stole. Jeden przygotował magnetofon. Jeden założył taśmę. Jeden wcisnął „Play”.

Przemówił Drak:

„Dzień dobry panom. Ufam, iż macie w pokoju konferencyjnym czyste powietrze, jak również stosowne przekąski, takie jak chrupki kukurydziane Frito i suszoną wołowinę Slim Jim. Jak wiecie, celem tego spotkania jest oszacowanie cen hoteli-kasyn, które zamierzam zakupić, jak również opracowanie strategii omięcia wprowadzonych niedawno przepisów, tak zwanych »praw obywatelskich«, a raczej »antyobywatelskich«, które w niedługim czasie okażą się szkodliwe dla amerykańskiego systemu wolnej przedsiębiorczości. Moim zamiarem jest sprytnie i z uporem omijać owe prawa, zachować segregację wśród załóg pracowniczych, a także zniechęcać Murzynów do bywania w moich kasynach, czyniąc przy tym wyjątki dla tak wybitnych osobistości jak Wilma Rudolph, podobno najszybsza kobieta na ziemi, oraz utalentowany w wielu dziedzinach Sammy Davis Junior. Zanim poproszę o poprowadzenie spotkania mojego przedstawiciela z Las Vegas, Warda J. Littella, pragnę panów poinformować, że od jakiegoś czasu studiowałem przepisy podatkowe stanu Kalifornia i doszedłem do wniosku, iż są one niezgodne z konstytucją. Moim zamiarem jest unikanie płacenia

podatku stanowi Kalifornia przez cały nadchodzący rok fiskalny 1966. Być może postanowię przemieszczać się do czasu, aż miejscem swojego stałego pobytu uczynię Las Vegas. Prawdopodobnie będę podróżował pociągiem, unikając nadmiernie długich pobytów w którymkolwiek z pięćdziesięciu stanów, a w związku z tym unikając też płacenia podatków stanowych w ogóle”.

Przycisk „Stop” pstryknął. Głos z taśmy umilkł. Mormoni się poruszyli. Mormoni sprawdzili zawartość bufetu.

Słone Fritos. Zagęszczony sos serowy. Pyszne Slim Jimy.

Littell zakaszłał. Littell rozdał kartki z tabelami i wykresami. Szacunkowe ceny dwunastu hoteli. Szacunkowe zyski z dwunastu kasyn. Wszystko odpowiednio spreparowane. Skorygowane i sfalszowane. Szef przedsięwzięcia – Moe Dalitz.

Mormoni czytali. Mormoni przeglądali tabele. Mormoni chrząkali. Mormoni notowali.

Jakiś mormon zakaszłał.

– Cena zakupu podskoczyła o dwadzieścia procent.

Moe ustalił ceny. Skonsultował się z nim Carlos. Pomógł Santo T.

Littell zakaszłał:

– Myślę, że ceny są rozsądne.

Jakiś mormon rzekł:

– Będą nam potrzebne deklaracje podatkowe. Musimy ustalić ceny na podstawie zgłoszonych dochodów, a nie szacunków.

Jakiś mormon rzekł:

– Nie zawracałbym sobie tym głowy. Mamy do czynienia z ludźmi związanymi w mniejszym lub większym stopniu z przestępczością zorganizowaną. Wszyscy wiemy, że wykazują w zeznaniach zaniżone zyski.

Jakiś mormon rzekł:

– Możemy złożyć wniosek o wydanie nam ich deklaracji przez urząd skarbowy. W ten sposób nie zdołają wcisnąć nam fałszywek.

Bzdura. Zadziała pan Hoover. Pan Hoover nie pozwoli wydać wszystkich deklaracji. Pan Hoover wybierze tylko takie, które poprą to, co tu widzicie. Żadnych staroci. Nic sprzed roku 1964. Śliczne zeznanka z 1964/ Chłopcy zawyżają zyski/ Chłopcy rzucają przynętę.

Jakiś mormon rzekł:

– Pan Hughes pozostaje niewzruszony, gdy chodzi o kwestię murzyńską.

Jakiś mormon rzekł:

– Wayne Senior może nam w tym pomóc. Sam utrzymuje segregację wśród swoich załóg pracowniczych i wie, jak omijać te nowe przepisy.

Littell wbił ołówek w notes. Littell złamał grafit.

– Pańska sugestia stanowi dla mnie obrazę. Jest niesmaczna, by nie rzec wręcz odrażająca.

Mormoni wlepili w niego spojrzenia. Littell bez mrugnięcia okiem je odwzajemniał.

Fred Otash był wielki. Fred Otash był obcesowy. Fred Otash pochodził z Libanu. Życie spędzał w restauracjach. Uwielbiał Dino's Lodge i Luau. Klienci tam go znajdowali.

Ustawiał końskie gonitwy i walki bokserskie. Załatwiał aborcje. Ścigał zbiegów. Przeprowadzał szantaże. Sprzedawał rozbierane zdjęcia. To i owo wiedział. Tego i owego mógł się dowiedzieć. Słono sobie za to liczył.

Littell wpadł do Luau. Otasha nie zastał. Littell wpadł do Dino. Littell trafił w dziesiątkę – oto i Freddy O. przy ulubionym stoliku.

Ma na sobie szorty. Ma hawajską koszulę. Jest opalony. Wsuwa kałamarnicę. Przegląda tabele wyścigów. Popija schłodzone białe wino.

Littell podszedł. Littell usiadł. Littell rzucił na stół gotówkę.

Otash kopnął karton po sałacie.

– Wszystko tam masz. Skopiowałem to, co najlepsze, jakby się kto pytał.

– Tak też myślałem.

– Znalazłem fotkę Rocka Hudsona rżnącego w dupala dżokeja z Filipin. Wysłałem kopię panu Hooverowi.

– Zmyślne posunięcie.

Otash się zaśmiał.

– Zabawny jesteś, Ward, ale za tobą nie przepadam. Nigdy nie rozumiałem twojego zauroczenia Pete'em B.

Littell się uśmiechnął.

– Pomyśl, że łączy nas historia.

Otash nadział na widelec kęs kałamarnicy.

– Na przykład Dallas '63?

– Czy cały świat już wie?

– Tylko paru gości, których to nie obchodzi.

Littell kopnął karton.

- Powiniennem iść.
- To idź. I uważaj na pieprzone idy wrześnie.
- Mógłbyś mi to wyjaśnić?
- Sam niedługo zobaczysz.

Jane nie było w domu. Littell wtaszczył pudło. Littell sprawdził najpierw gazety. Trzy prenumerowane dzienniki: „LA Times”/ „New York Times”/ „Washington Post”.

Przejrzał pierwsze strony. Przejrzał dalsze strony. Ani słowa – a minęło dziewiętnaście dni.

Listy poszły – *mea culpa*/ Lyle Holly – wysłane przez SCLC. Jeden do komisji Kongresu/ jeden do Bobby’ego.

Littell przejrzał ostatnie strony. Nic – na razie ani słowa.

Rzucił w kąt gazety. Zrobił miejsce na biurku. Wyrzucił zawartość kartonu.

Skoroszyty i kopie materiałów. Zdjęcia i notatki. Nieopublikowane brudy – całe artykuły. Archiwum wszystkich szmatławców – od „Poufności” przez „Szeptem” i „Sensacje”, aż po „Cicho sza!”.

Układał sterty. Przeglądał materiały. Czytał szybko. Chłonał brud.

Pijaństwo. Ninfomania. Kleptomania. Pedofilia. Koprofilia. Flagelacja. Masturbacja. Krzyżowanie ras.

Lenny Bruce obsmarowuje Sammy’ego Davisa. Sammy jest biseksem/ Sammy wciąga kokę. Danny Thomas lubi ciemny towar. Bob Mitchum macza ptaka w dilaudidzie i pieprzy się całą noc.

Sonny Liston zabił białego człowieka. Bing Crosby przeleciał Dinah Shore. Dinah wyskrobała sobie jego bliźniaki w syfiastej klinice w Cleveland. Lassie cierpi na psią psychozę. Lassie gryzie dzieci na Lick Pier.

Bingo:

Dwaj podstawieni właściciele kasyn/ jedna męska prostytutka.

Spotykają się w Rugburn Room. Idą do Dunes. Imprezują z pejotlem i pigułkami. Panowie rzną chłopaka. Chłopak doznaje urazu i krwawi. Panowie sprawdzają księgę meldunkową. Panowie szukają lekarza. Panowie wpadają do apartamentu 302.

Konował jest pijany. Konował jest naćpany. Konował twierdzi, że ściga go King Kong. Konował dezynfekuje przyrządy w wódce. Konował operuje.

Chłopak umiera. Konował czmycha do Des Moines. Recepcjonista dzwoni do „Poufności”.

Jedno trafienie. Jeden smaczny kąsek dla Draka. Jedno poletko do szantażu.

Littell przekładał kartki. Littell przeglądał kopie artykułów. Littell sprawdzał notatki. Przekupstwa/ łapówki/ płatne zabójstwa/ odwyki/ szpitale wariatów/ wypadki samochodowe.

Johnnie Ray. Sal Mineo. Adley Stevenson. Publiczne toalety/ dziury w przepierzeniach/ rzeżącz...

Zaraz, zaraz. Idy wrześ...

„Cicho sza!”, październik 1957 – nieopublikowany artykuł. Tytuł: CZERWIEN WŚRÓD GANGSTERÓW.

Arden Breen Bruvick. Jej tatko komuch – zabity w 1952. „Kto stuknął tatkę Breena? Temperamentni Teamstersi? Arden czy mąż Dan?”

Arden to rozrywkowa dziewczyna. Arden to prostytutka. Arden umknęła przed tarapatami w Kansas City. Dan B. to malwersant. Ucieka. Wieje z Kansas City.

Arden to *femme fatale*. Arden ma związki z mafią. Arden zna Jules’a „Szubrawca” Schiffrina.

Wycięte zdjęcie/ podpis/ data:

12.08.1954 – CZERWONA PANIENKA PLAŚA Z MILUSIM MAFIOSEM.

Oto i Arden. Jest młoda. Tańczy z Carlosem Marcellem.

Littell zadrzał. Littell dostał dreszczy. Littell poczuł się jak na głodzie.

Dygotał. Ręce mu się trzęsły. Podarł zdjęcie. Rzucił notatki.

Zaczął widzieć:

Przewody na ścianach. Przewody przy lampach. Przewody przy telewizorze

Zaczął słyszeć:

Stukot podsłuchu. Buczenie w telefonie. Trzaski na linii.

Krzesło się przesunęło. Littell spadł. Zobaczył kable na ścianach. Zobaczył pluskwy. Zobaczył wiązki przewodów. Wstał. Potknął się. Oparł się o ścianę. Widział kształty. Widział mikrofony. Widział przewody...

(Las Vegas, 28 września 1965)

Kot miał na nim używanie. A jemu się to bardzo podobało. Ta bestia stała się sensem jego życia.

Kot drapał mu spodnie. Kot rwał mu skarpetki. Kot zasrywał koszule. Uwielbiał to. Nasraj na mnie jeszcze. Twoje gówno to sens mego życia.

Z klimatyzatora kapało. Pete wyłączył go, stukając w przycisk na ścianie. Kot rozdarł mu koszulę.

W interesie zastój. Przedłużające się popołudniowe uśpienie. Pete odbierał telefony. Kierowcy palili na dworze.

Nowe zasady: Manifest Taxi Tygrys.

Nie palić, gdy jestem w pobliżu. Nie jeść, gdy jestem w pobliżu. Nie żreć tłustych, ciężkostrawnych potraw. Nie kusić mnie poczęstunkami – niech najpierw przyjdę do siebie.

Mam teraz więcej sił. Mam więcej ikry. Mam więcej czadu. Odstawiłem tabletki. Tabletki mnie wkurwiały. Teraz pozwalam, by robił to kot.

Nie palić. Nie jeść nic niezdrowego – tak powiedzieli lekarze.

No dobra – podporządkuję się.

Bez nerwów. Bez ciężkiej pracy. Bez rotacji – a w dupie z tym.

Tran się usmażył. Pete się zdenerwował. Pete wziął się solidnie do roboty. Opłacił kilku Marvów. Obserwowali laboratorium. Donieśli:

Do środka zakradło się paru Can Lao. Wpuścili chemików. Chemicy przynieśli M-bazę – bu-kuu. Chemicy wyprodukowali herę. Chemicy skorzystali ze sprzętu Wayne'a.

Pete przycisnął Stantoną. Stanton był zmieszany. Stanton rzekł: „Miałem zamiar ci powiedzieć – *jak* wydobrzejesz”.

Pete rzekł: „GADAJ TERAZ”. Stanton powiedział: „Nowy reżim jest twardy. Sam wiesz. Z szefem Can Lao, panem Kao, nie ma żartów. Jest chciwy. Jest cwany. Produkuje wielką »H« w naszym laboratorium – pod nieobecność Wayne'a. Wysyła »H« do Chin. Przerzuca »H« na zachód. Ma

francuską klientelę”.

Pete nie wytrzymał. Zaczął kopać w ściany. Nadwerężył naczynia wieńcowe. Stanton się uśmiechnął. Stanton go uspokoił. Stanton pokazał księgę.

W księdze zapisane były liczby. Liczby mówiły wszystko: pan Kao wykupił sobie czas w laboratorium. Pan Kao zapłacił grubą kasę. Kadra zarobiła pieniądze.

Stanton przekonywał. Stanton objaśniał. Stanton próbował Pete’a ugłaskać. Mówił, że Kao jest za USA i za Kadra. Mówił, że Kao nie będzie sprzedawać prochów amerykańskim żołnierzom.

Pete przekonywał. Stanton przekonywał. Omówili samobójstwo Trana.

Tran zabił niewolników. Tran ukradł M-bazę. Pan Kao zaraz ją od niego odkupił. Tran boi się Kao. Nie nakabluje na Kao. Tran woli się upiec.

Stanton mówił, że pogada z Kao. Mówił, że powie mu tak: „Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Nie wykorzystuj nas. Nie rób nas na szaro. Nie sprzedawaj prochów amerykańskim żołnierzom”.

Pete’owi ulżyło. Pete poleciał na zachód. Pete dał swoim żyłom trochę odpoczynku. W Stanach był teraz Wayne. Wayne był w Bon Secour. Wayne na Południu pilnował przerzutów broni.

Pete do niego zadzwonił. Pete opowiedział o Tranie. Pete opowiedział o Can Lao Kao.

Wayne się wściekł. Wayne kochał laboratorium/ Wayne kochał herę/ Wayne kochał chemię. Pete go uspokajał. Pete wrzeszczał i kłął. Pete nadwerężył sobie żyły...

Wszedł Długi Dom. Kot na niego fuknął. Kot nie znosił pedałów. Kot nie znosił makaroniarzy.

Dom mu odfuknął. Pete się roześmiał. Zadzwonił telefon.

Pete odebrał:

– Tygrys.

– Tu Otash. Jestem w LA i nie potrzebuję taksówki.

Pete pogłaskał kota.

– Co jest? Znalazłeś coś?

– No. Kłopot w tym, że nie chcę robić w ciula jednego klienta, żeby dogodzić drugiemu, co oznacza, że znalazłem tamte materiały dla Littella, a było w nich też trochę szajsu na tę jego panienkę i Carlosa M., więc mówię ci o tym, bo płacisz mi za tę samą wersję tej samej...

Pete się rozłączył. Pete przełączył telefon. Pete wykręcił do Bon Secour.
Usłyszał wolny sygnał. Kilka dzwonek. Ward już wie. Ward...

– Motel Charthouse.

– Z Wayne'em Tedrowem, pokój...

Odgłosy łączenia/ trzaski/ wolny sygnał...

Wayne odebrał:

– Tak?

– To ja. Chcę...

– Jezu, uspokój się, bo będziesz miał następny...

– Dorwij Bruvicka. Każ mu zadzwonić do Warda o 22.00 czasu LA.

Wayne spytał:

– Co jest?

Pete powiedział:

– Nie jestem pewien.

(Los Angeles, 28 września 1965)

Zdemolowane: pokój dzienny/ sypialnie/ kuchnia.

Widział wiązki. Widział kable. Ale ich tam nie było. Rozmontował telefony. Szukał podsłuchów. Ale ich tam nie było. Rozmontował telewizor. Szukał pluskiew. Ale ich tam nie było.

Zdemolował swój gabinet. Zdemolował pokój Jane. Nie znalazł żadnych kabli ani pluskiew. Poszedł do sklepu z alkoholem. Kupił Chivas Regal. Wrócił do domu.

Otworzył butelkę. Powąchał. Wylał.

Złożył z powrotem telefony. Raz jeszcze przeczytał jej historię. Arden Breen Bruvick/ Carlos i Jane.

Wyciął artykuł. Przyciął równo zdjęcie. Przykleił je do wejściowych drzwi od środka. Przykleił je na wysokości oczu Jane.

Jane się spóźniała. Jane miała wrócić o... Arden Breen Bruvick Smith Coates.

Littell złapał krzesło. Littell usiadł na zewnątrz. Widok z tarasu wabił. Zachodnie LA/ tyle światła/ takie urwisko...

Klucz w drzwiach. To ona. To Arden Breen Bruv...

Zamek szcęknął. Drzwi trzasnęły. Cisza. I głośny wdech.

Upuściła klucze. Zapaliła zapałkę. Knuje. Zapala papierosa. Potrzebuje rekwizytu w ręce.

Littell usłyszał, jak szura stopami po podłodze. Wysokie obcasy zastukały o drewno. Littell poczuł dym z papierosa.

Proszę... stoi za tobą.

– To nie tak, jak myślisz. Mogę ci to wszystko wyjaśnić.

Poczuł ciepło na karku. Poczuł jej oddech. Wpatrywał się w światła. Ukrywał przed nią swoją twarz.

– Carlos ochraniał cię przed Dallas. Ja chronięm cię potem. Wróciłaś do Carlosa i zaczęłaś mnie szpiegować.

Jane powiodła dłońmi po jego ramionach. Powiodła dłońmi po karku. Próbowała go wybadać. Zaczęła rozmasowywać mu spięte mięśnie. Gejsza/szpieg/dziwka.

Badała. Masowała mu kark. prostytutka/ kłamliwa dziwka.

– Carlos ukrywał mojego męża. Powiedział, że wyda nas Jimmy’emu Hoffie, jeśli nie będę na ciebie donosić. Miałam romans z Jules’em Schiffrinem, a Carlos powiedział mi o twoich planach z księgami rachunkowymi Teamsters.

Dotyk jej dłoni *działał*. *Działał* też jej głos. Konkubina/dziwka.

– Ale kochałam cię, podobało mi się nasze życie i podobało mi się to, co dla mnie zrobiłeś.

Przesunęła mu dłonią po karku. Pocałowała. Gangsterska lafirynda/dziwka.

– Cóż, grzebałam w twoich rzeczach, ale nie powiedziałam Carlosowi, że okradasz Howarda Hughesa ani że przekazujesz pieniądze dla SCLC, ani że sypiasz z Janice Tedrow, kiedy nie śpisz ze mną, ani że gromadzisz te żałosne pamiątki związane z Robertem Kennedym.

Littell przetarł oczy. Światła się zamazały. Littell zapatrzył się w urwisko.

– Na pewno masz na mnie teczkę. Za bystra jesteś, żeby nie mieć.

Jane opuściła rękę. Jane zaczęła szukać w torebce. Jane opuściła mu na kolana klucz.

– Bank of America, oddział Enchino. Możesz ją sobie wziąć. Oto, jak wiele to teraz dla mnie znaczy.

Littell zacisnął w dłoni klucz. Jane pocałowała go w kark.

– Kochałam mojego ojca. Plotka, że go nienawidziłam, była bzdurą. Danny i ja go nie zabiliśmy. To robota Jimmy’ego Hoffy.

Littell potarł oczy. Jane się nachyliła. Jane wytarła swoje łzy w jego kark.

– Wszystko sprowadza się do Jimmy’ego Hoffy i mafii. Zamierzałam skończyć ze swoim uzależnieniem od Carlosa i pójść do FBI. Zamierzałam przekazać im wszystko, co tylko wiedziałam o wszystkich znanych mi ludziach z mafii i zawrzeć z nimi taki układ, by ocalić ciebie.

Littell potarł oczy. Littell potarł kark. Zdrajczyni/szpieg/dziwka.

Wstał. Odwrócił się. *Zobaczył* Jane. Zacisnął pięści. Jej oczy były wilgotne. Policzki też. Rozmazała sobie makijaż.

Zadzwoił telefon. On wpatrywał się w Jane. Jane nie odwracała spojrzenia. Telefon dzwonił. On patrzył. I widział:

Nowe siwe włosy. Nowe zmarszczki na twarzy. Widoczne żyły na szyi.

Telefon dzwonił. On patrzył. I widział:

Jedno biodro wysunięte w bok/ kości policzkowe/ puls bijący na szyi.

Telefon dzwonił. To Jane przerwała ich zapatrzenie. Poszła i odebrała.

Powiedziała:

– Halo?

Zadrzała – znów puls na szyi.

Poszedł za nią. Patrzył. Widział jej żyły na szyi i żyłki na policzkach. Widział pulsowanie. Odwróciła się. Zakryła słuchawkę dłonią. Minął ją. Podniósł słuchawkę w holu.

Usłyszał mężczyznę. Usłyszał słowo „uciekać”. Usłyszał: „spaleni z Littellem”. Usłyszał, jak głos mężczyzny się łamie. Usłyszał silny głos Jane.

Powiedziała:

– Uciekaj.

Powiedziała:

– Cicho już.

Powiedziała:

– Carlosa to *będzie* obchodzić.

Rozłączyła się. Trzask odkładanej słuchawki odbił się echem. Littell odłożył swoją.

Podszedł. Zobaczył, że jej oczy zaczynają wysychać. Zobaczył, że jej puls słabnie.

– Czy kiedykolwiek byliśmy naprawdę?

– Myślę, że bardziej niż siebie nawzajem kochaliśmy ryzyko.

– Zawsze pozostałaś Arden. Nigdy tak naprawdę nie byłaś Jane.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.10.1965. Nagłówek z „Atlanta Constitution”:

FBI ATAKUJE KRĄG NADAWCÓW NIENAWISTNEJ POCZTY

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.10.1965. Podtytuł z „Miami Herlad”:

WIELKA ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH ZARZUCA PRZYWÓDCOM KLANU
MALWERSACJE POCZTOWE I ZŁAMANIE MIĘDZYSTANOWEGO
PRAWA HANDLOWEGO

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.10.1965. Nagłówek i podtytuł z „Jackson

Sentinel”:

NEONAZISTOWSCY PRZYWÓDCY PRZED SĄDEM
CZŁONKOWIE ORGANIZACJI OZNAJMIAJĄ: „TO POGROM
PRZEPROWADZANY PRZEZ FBI”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.10.1965. Nagłówek i podtytuł z „Mobile Daily
Journal”:

ZAGADKA Z BON SECOUR
ZNANY SZYPER ZNIKA WRAZ Z ŁODZIĄ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 31.10.1965. Nagłówek i podtytuł z „San Francisco
Chronicle”:

WIETNAMSKI KONTYNGENT: 240 000 ŻOŁNIERZY
KING WZYWA DO PROTESTÓW W CELU ZMIANY
WYNEGOCJOWANYCH POSTANOWIEŃ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.11.1965. Nagłówek i podtytuł z „Mobile Daily
Journal”:

ŁÓDŹ SZYPRĄ Z BON SECOUR ZNALEZIONA
NA FLORIDA KEYS
ZAGADKA NIEROZWIĄZANA: WIEŚCI O SZYPRZE BRAK

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.11.1965. Podtytuł z „Los Angeles Times”:
RFK MÓWI „NIE” PREZYDENCKIM WYBOROM ‘68

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.11.1965. Nagłówek i podtytuł z „Chicago
Tribune”:

PROKURATOR GENERALNY MÓWI O „ŚWIETNEJ ROBOCIE” FBI
W WALCE Z NIENAWIŚCIĄ RASOWĄ
REKORDOWA LICZBA AKTÓW OSKARŻENIA W SPRAWIE
MALWERSACJI POCZTOWYCH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.11.1965. Nagłówek z „Milwaukee Sentinel”:
KING ZAPOWIADA KAMPANIĘ PRZECIW SLUMSOM W CHICAGO

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.11.1965. Nagłówek i podtytuł z „Washington
Post”:

HOOVER ATAKUJE KINGA
NA WIECU LEGIONU AMERYKAŃSKIEGO
WOJOWNIK O PRAWA OBYWATELSKIE
NAZWANY „DEMAGOGIEM”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.11.1965. Nagłówek i podtytuł z „Washington Post”:

KRYTYCY POTĘPIAJĄ ATAK HOOVERA
WYSTĄPIENIA PRZECIW KINGOWI: „ZBYT OSTRE”,
WRĘCZ „HISTERYCZNE” W TONIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 5.12.1965. Nagłówek i podtytuł z „Seattle Post Intelligencer”:

ŚLEDZTWO KOMISJI SENACKIEJ W SPRAWIE „NIELEGALNYCH”
PODSŁUCHÓW
PRZYWÓDCY RUCHU PRAW OBYWATELSKICH TWIERDZĄ: „TO
BZDURA”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.12.1965. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Herald-Express”:

HOWARD HUGHES I TWA
MILIARDER-SAMOTNIK ZGADZA SIĘ WYZBYĆ UDZIAŁÓW

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 15.12.1965. Podtytuł z „Denver Post-Dispatch”:
HOFFA SKŁADA APELACJĘ W SĄDZIE NAJWYŻSZYM

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.12.1965. Podtytuł z „Chicago Sun-Times”:
KING UJAWNIA SZCZEGÓŁY ANTYSLUMSOWEJ KAMPANII

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.12.1965. Podtytuł z „New York Times”:
GRUPA „OBYWATELE DLA RFK” ZAPOWIADA ZBADANIE
MOŻLIWOŚCI KANDYDOWANIA W 1968

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.12.1965. Nagłówek i podtytuł z „Chicago Tribune”:

GIANCANA NADAŁ W WIĘZIENIU
ODMOWA ZŁOŻENIA ZEZNAŃ PRZED WIELKĄ ŁAWĄ

PRZYSIĘGLYCH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.01.1966. Podtytuł z „Washington Post”:
KOMISJA ŚLEDICZA NAKAZUJE HOOVEROWI USUNĄĆ WSZELKIE
PODSŁUCHY NIEZATWIERDZONE PRZEZ PROKURATORA
GENERALNEGO

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.01.1966. Nagłówek i podtytuł z „Mobile Daily
Journal”:

ZAGADKA WCIAŻ NIEROZWIĄZANA
GDZIE JEST ZNANY SZYPER Z BON SECOUR?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.01.1966. Nagłówek i podtytuł z „Mobile Daily
Journal”:

ZAGADKA CORAZ BARDZIEJ ZAGMATWANA
CZY ZNIKNIĘCIE SZYPRY MOŻE MIEĆ ZWIĄZEK
Z OSKARŻENIAMI Z 1956 ROKU I ZAGINIONĄ DAWNO TEMU
ŻONĄ?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.01.1966. Nagłówek z „Atlanta Constitution”:
KOLEJNE AKTY OSKARŻENIA
W SPRAWIE MALWERSACJI POCZTOWYCH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.01.1966. Nagłówek i podtytuł z „Chicago
Tribune”:

ŚMIAŁE SŁOWA WIELEBNEGO KINGA
„PODSTAWOWYM CELEM RUCHU PRAW OBYWATELSKICH JEST
DOPROWADZENIE DO UPADKU SIŁ NIEUSTANNIE DAŻĄCYCH DO
TWORZENIA SLUMSÓW”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 31.01.1966. Nagłówek i podtytuł z „Denver Post-
Dispatch”:

WYROK ZA MANIPULACJĘ ŁAWĄ PRZYSIĘGLYCH UTRZYMANY
W MOCY
HOFFA WYBIERA SIĘ DO WIĘZIENIA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.02.1966. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles

Herald-Express”:

WROGOWIE OSKARŻAJĄ HOOVERA
KŁOPOTY SZEFA FBI W ZWIĄZKU Z ATAKAMI NA KINGA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.02.1966. Podtytuł z „Miami Herald”:
ECHA APELI KINGA W PRZEMÓWIENIU RFK NA TEMAT
WIETNAMSKIEGO KONTYNGENTU

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.03.1966. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Times”:

HUGHES POZBYWA SIĘ AKTYWÓW TWA
6,5 MILIONA UDZIAŁÓW WARTYCH NETTO 546 000 000 \$

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.03.1966. Wewnętrzna notatka służbowa. Do: BŁĘKITNY KRÓLIK. Od: Dyrektor. Dotyczy: OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Oznaczono: „Tajne 1-A”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

BŁĘKITNY KRÓLIKU,

natychmiast zlikwiduj wszelkie podsłuchy w SCLC. Pilne! To zadanie koniecznie musi zostać wykonane, zanim Komisja Śledcza rozpocznie oficjalne przesłuchania.

Zainicjuj pierwszą fazę OPERACJI CZARNY KRÓLIK/
UZUPEŁNIENIE. Wybierz cel i oceń stan zdrowia P. Bonduranta, który odtąd będzie znany jako WIELKI KRÓLIK.

90

(Wietnam/ Laos/ Los Angeles/ Las Vegas/ Bon Secour/ Bay St. Louis/ wody terytorialne Kuby, 1 kwietnia 1966–30 października 1966)

Duchy: Arden-Jane i Danny Bruvick.

Wayne pilnował Danny'ego.

Danny zadzwonił do Arden-Jane. Arden-Jane zostawiła Warda Littella. Wayne tkwił przy Dannym. Wayne niańczył Danny'ego. Wayne pracował nad ocaleniem Littella.

Pete powiedział: „Pilnuj Danny'ego”. Pete powiedział: „Wypuść go”. Pete powiedział: „Daj mu dwa dni, a potem zadzwoń do Carlosa. Powiedz, że Danny zwiął. Powiedz, że nie wiadomo dokąd”.

Tak też zrobił. Został z Dannym. Danny chłwał. Danny wspominał.

Danny kocha Arden. Arden kocha Warda. Arden trochę kocha Danny'ego. Arden pracuje dla Carlosa. Arden szpieguje Warda. Szpieg na pół etatu/ kochanka na cały etat/ żona na odległość.

Wayne *pojął*:

Danny był słaby. Arden była silna. Arden wciągnęła go w To Życie. Wszystko sprowadzało się do szamba z Teamsters – defraudacja i ucieczka...

Wayne czekał. Danny czekał. Arden przyjechała. Paliła papierosa za papierosem. Certoliła się z Dannym. Panikowała.

Wiedziała, że to koniec. Powiedziała: „Jestem zmęczona uciekaniem i Ward o tym wie”.

Wayne opuścił łódź. Danny postawił żagle. Wayne przepieprzył jakoś dwa dni. Wayne zadzwonił do Carlosa. Powiedział, że Danny zwiął. Powiedział, że Danny świsnął „Tygrysi Pazur”. Tchórzliwy Danny – bał się wypraw po skalpy/ bał się o własne życie.

Carlos się darł. Carlos się wściekał. Carlos rzucał paskudne groźby. Wayne śledził gazety. Wayne odnotowywał kolejne informacje.

„Tygrysi Pazur” dryfuje. „Tygrysi Pazur” zostaje wyrzucony na brzeg.

Danny'ego ani Jane nigdzie nie ma. Carlos milczy. Carlos niczego nie podpowiada. Carlos nie bierze w obroty Pete'a. Nie bierze w obroty Wayne'a.

Pete podkablował Wardowi Arden. Pete postawił się Carlosowi. Arden uciekła do Danny'ego. Razem pomknęli na spotkanie śmierci. Trzymali się dzielnie. Nie wydali Pete'a. Nie wydali Wayne'a. W innym przypadku Pete i Wayne coś by już o tym wiedzieli.

Pete kocha Warda. Ward kocha Jane-Zjawę. Pete wie, że Danny i Arden nie żyją. Pete nigdy o tym nie wspomina. Nieżyjące kobiety źle na niego działają.

Pete kocha Barb. Pete wraca do Stanów. Pete zaprzestaje kręcenia się. Barb zwabiła go do domu. Ward załatwił licencję.

Pete kupił Golden Cavern. Pete kupił sobie hotel-kasyno na własność. Eldon Peavy dostał syfa. Eldon Peavy sprzedał tanio. Eldon Peavy pozbył się pedalskiego interesu.

Cavern chętnie przyjmował cweli. Cavern gościł cweli. Cavern spiknął się z Taxi Tygrys. Kierowcy-cwele wozili cweli-gości. Fred T. zapluskwał pokoje. Pedalskie cmy ciągnęły do tutejszego ognia.

Zbierały się brudy: cioto-brudy/ dandy-brudy/ polityko-brudy/ ciotowate osobistości/ ciotowaci dandysi/ polityczne cioty.

Pete urządził po swoim „Groty Zabawy”. Fred zapluskwił ściany. Pete wprowadził do interesu niepedalski element. Członkowie zgromadzenia ustawodawczego/ grupy Shrinersów/ moczymordy w pijackim cugu.

Pete gromadził brudy. Pete gromadził brudy na pedałów i brudy na normalnych. Wieść się niosła – Cavern jest okej – ekstra: to rozejm pomiędzy normalnymi i ciotami.

Interes kwitł. Pete zdobywał brudy i zarabiał pieniądze. Pete wrócił do zdrowia. Pete dobrze teraz wyglądał. Pete zdołał naprawić swoją chorą pompkę.

Przestał palić. Zrzucił parę kilo. Bez przerwy żuł gumę. Bez przerwy pracował. Kierował narkobiznesem. Kierował Taxi Tygrysem. Kierował Cavern. Odnowił lokal. Dał Barb stałe zatrudnienie.

Występował z nią Milt C. Milt przedstawiał tematyczne skecze. Milt miał kukłę. Kukła była włochatą małpą. Milt nazwał ją Narko Gorylkiem. Narko nabijał się z osobistości. Narko nabijał się z pedałów. Narko leciał na Barb.

Barb wabiła gości. Milt wabił gości. Pete zarabiał *coraz więcej* pieniędzy.

Sonny Liston pokochał Cavern. Sonny w Cavern zamieszkał. Sonny ukrywał się przed żoną i pomagał Pete'owi.

Sonny plątał się po kasynie. Sonny ściągał kasę z handlu herą. Sonny ściągał wałkoni. Wayne jeździł z Sonnym. *Razem* ściągali kasę z handelku. Wyrobili sobie niezłą markę.

Opinie na ich temat były różne. Byli czarno-biali. Byli czarno-czarni i biało-biali. Krążyli po zachodnim LV. Rozmawiali o Wendellu Durfeem. Sonny dumał. Sonny snuł teorie. Sonny'emu spodobała się ksywka:

Cassius Cool – eks-Wendell Durfee. Ja nazwę go Cassius X.

Wayne się kręcił. Wayne latał z Sajgonu do Vegas. Wayne latał na zachód. Krążył po LA. Czaił się na Wendella Durfee'ego. Błąkał się po Watts. Odbierał wibracje nienawiści. Powiedzmy, że to reperkusje po zamieszkach.

Wpadał do barów z panienkami. Wypytywał alfonsów. Wypytywał dziwki. Zero rezultatów. Smarował gliniarzom. Sprawdzał w aresztach. Wysłuchiwał plotek. Zero rezultatów. Zapuszczał się na południe. Jeździł głównymi ulicami. Przyglądał się twarzom. Zero rezultatów.

Zaczepiał włóczęgów. Rozdawał wizytówki. Próbował mówić ich językiem. Był popychany. Był szarpany. Był opluwany. LA to LA. Tu nie miał żadnej marki.

Kręcił się na wschód. Kręcił się na południe. Załatwiał interesy Kadry. W Sajgonie produkował herę. Rozprowadzał ją w Vegas. Przerzucał broń z Missisipi.

Zyski rosły. Rosły też koszty Kadry. Broń przewożona na Południe. Utrata „Tygrysięgo Pazura”. Utrata kapitana Bruvicka.

Kupili nową łódź. Wyposażyli ją. Kupili nowego kapitana. Dick Wenzel – urodzony wilk morski – koleś Laurenta Guéry'ego.

„Tygrysi Pazur II”, Bay St. Louis, Missisipi.

Wenzel pływał na Kubę. Wenzel zabierał Laurenta. Wenzel zabierał Flasha i Wayne'a. Wenzel był dobry. Wenzel był śmiały. Wenzel miał jaja jak otoczaki.

Wyprawy przebiegały gładko. Żadnych usterek/ żadnych przeszkód/ żadnych niespodziewanych ataków. Zbliżali się do wybrzeża. Rzucali bosak. Spotykali się z Fuentesem i Arredondem.

Wydawali broń. Zaopatrywali powstańców. Broń wędrowała w głąb lądu. Wybrzeże zaopatrywało wzgórze. Kadra napędzała *la Causa*.

Kadra była ostrożna. Pete powiedział: „Nie ufać nikomu”. Pete zarządził

testy na wariografie. Przeprowadził je Laurent. Laurent obsługiwał gorące krzesła w Port Sulphur. Wayne przeszedł test czysto. Flash przeszedł test czysto. Tak samo Fuentes i Arredondo.

Wyprawy na Kubę przebiegały gładko. *Mucho* wypraw bez żadnych przeszkód i usterek. Bob działał. Działał Laurent. Zdobywali broń. Kryli swoje źródła. Mówili, że mają kontakty z Pospolitym Ruszeniem. Mówili, że mają kontakty z ludźmi od Johna Bircha. Mówili, że dogadali się z wojskowymi kwatermistrzami.

Bob był dyskretny. Powoływał się na zasadę posiadania tylko niezbędnych informacji i konieczność ochrony źródeł. Bob załatwiał niezłą broń. Bob szedł na ustępstwa. Jego źródła obawiały się namierzenia. Jego źródła „czyściły” broń. Jego źródła wypalały numery seryjne. Pete nie mógł tego znieść. Pete pragnął konfiskaty przez *Fidelistos*. Pokażmy Brodaczowi, że to *my*.

Bob załatwiał *dobrą* broń. Broń *bez numerów*. Pete musiał się z tym pogodzić.

Kanał przerzutowy prowadził na Kubę. Kanał prowadził z powrotem. Kanałem wracały informacje. Fuentes donosił. Arredondo mu pomagał.

A więc: Potyczki/ napady na wioski/ wymiany ognia. Varaguay/ Las Tunas/ Puerto Guinico.

Powstańcy uderzają. Powstańcy zabijają. Powstańcy giną. Przychodzą inni. Nieźle, ale:

Jak dotąd – żadnej poważniejszej bitwy. Brak poważniejszych postępów. A zatem: broń od Kadry o niczym jeszcze nie przesądziła.

Wayne uwielbiał wyprawy na Kubę. Wayne łykał aviomarin. Wayne zaliczył siedem wycieczek. Dick Wenzel robił za kapitana. Pete zaliczył dwie wycieczki. Flash i Laurent po siedem.

Zbliżali się. Zrzucali broń. Zapuszczali się na ląd. Podpalali baraki. Skalpowali *Fidelistos*. Zachowywali skalpy. Suszyli je. Wypalali na nich swoje inicjały. Prowadzili spis. Mocowali do łodzi. Skalpy służyły im za dekorację.

Wayne miał szesnaście. Flash dwanaście. Laurent i Pete po dziewięć. Pete pragnął więcej. Pete pragnął eskalacji.

Wojna uległa eskalacji. Ich zbiory uległy eskalacji. Eskalacji uległ handel herą. Mesplède został na Farmie Tygrys solo. Mesplède sprowadził posiłki.

Chuck nie żył. Tran nie żył. Pete był w Stanach. Flash był w Stanach.

Wayne się kręcił. Mesplède potrzebował pomocy. Mesplède ściągnął więcej Marvów. Mesplède przekupił goryli z Can Lao, którzy go ochraniaли. Pilnowali niewolników. Nadzorowali chemików.

Wayne znał sprawę Trana. Pete mu opowiedział. Powiedział, że wszystko jest okej. Chłopcy pana Kao *wynajmują* laboratorium. Pracują tam wtedy, kiedy ty się kręcisz. Jest dobrze. Goryle strzegą *twojego* laboratorium. Goryle płacą daninę Stantonowi.

Eskalacji ulegała wojna. W roku 1966 napłynęła ogromna liczba żołnierzy. Eskalacji ulegały interesy Kao. Kao handlował herą we Francji. Kao handlował w Sajgonie. Opychał tu tylko złotkom. Nigdy innym. Nigdy amerykańskim żołnierzom.

Kao stworzył narkobrygadę. W całości była złożona z Can Lao. Działała absolutnie tajnie. Ludzie z narkobrygady zalali Sajgon. Demolowali palarnie opium. Przerabiali je na heroinowe dziuple i sami je prowadzili. Sprzedawali biały proszek. Dbali o czystość. Szorowali podłogi i dezynfekowali igły.

Kao miał swoje lenno. Kao miał eksport i Sajgon. Kadra miała Vegas.

Wspólnie korzystali z pomieszczenia laboratorium. Wspólnie korzystali ze sprzętu. Wspólnie korzystali z „oblatywaczy”. Ćpuny tłumnie nawiedzały Go-Go. Ćpuny szprycowały się na górze. Chemicy Kao ich *wykorzystywali*. Opracowywali nowe formuły. Testowali dawki. Odhaczali zejścia.

Wayne kręcił się na wschód. Wayne widział, jak kwitnie wojna. Widział, jak kwitnie produkcja hery. Wayne kręcił się na zachód. Wayne widział, jak kwitnie wojna – co wieczór w TV.

Barb widziała wojnę. Barb nienawidziła wojny. Barb oglądała wojnę w TV. Cała Barb. Barb w Da Nang. Barb z białym proszkiem na nosie.

Zwiedziła Da Nang. Widziała okaleczonych. Widziała powalonego chorobą Pete’a. Brała piguły. Chciała więcej. Znalazła. Znalazła herę. Wciągała herę. Zadała kłam zapewnieniom Pete’a: to *my* kontrolujemy handel herą/ *my* decydujemy o tym, gdzie trafia – dla białych *verboten*.

Barb poleciała do domu. Barb przywiozła szpitalne obrazki. Barb oglądała wojnę w TV.

Miała teraz Pete’a przez cały czas. Uwielbiała to. Pete uwielbia wojnę. Barb jej nienawidzi. Barb rozpętała *prawdziwą* wojnę – pomiędzy nimi.

Wciąż bluzgała na Wietnam. Plotła antywojenne bzdury. Jechała non-stop na herze.

Zasmakowała jej. Wciągała ją nosem. Pod nosem Pete’a. Zdobywała ją.

Przeczyła twierdzeniom Pete'a. Przeczyła teorii o ograniczonej strefie handlu.

Niewielkie dawki. Żadnych igieł. Żadnego szprycowania.

Wayne wiedział, że to robi. Pete nie. Wayne przyglądał się jej bliżej. Wayne uwielbiał ją na dystans. Wayne żył po to, żeby PATRZEĆ.

Patrzył w Vegas. Patrzył w LA. Patrzył w Wietnamie. Wojna ulegała eskalacji. Wojna stanowiła To Życie w wymiarze bez ograniczeń.

Pete się mylił. Nie mogliśmy wygrać. Nie mogliśmy narzucić ograniczenia. Pete się mylił. Hera zacznie rządzić. Hera unicestwi ograniczenie. Barb była żywym dowodem na to, że Pete się mylił. Następni będą żołnierze. Hera będzie rządzić bez ograniczeń.

Wayne obserwował wojnę. Wayne zapoznawał się z liczbą poległych. Wayne nawiedzał szprycownie. Wayne słuchał pogłosek.

Obiecano wysłać kolejnych żołnierzy. To oznaczało więcej nalotów. To oznaczało rozkwit jednostek na lądzie.

Pan Kao też rozkwitał. Pan Kao bombardował Ba Na Key. Makowe pola płonęły. Pan Kao niszczył laotańskich rywali.

Stanton twierdził, że Kao jest okej. Kao nas nie orżnie. Jesteśmy ustawieni. Jesteśmy samowystarczalni. Dobrze nam idzie w zachodnim LV.

Wayne naciskał na Pete'a. Wayne podkreślał wagę sprawy. Przyciśnijmy Stantona. Przyciśnijmy Carlosa. Powiedzmy im tak: „Wejdźmy z herą do LA”.

Pete powiedział: „Nie pieprz mi tu”. Pete powiedział: „Chodzi ci o Wendella Durfee'ego”. Pete go znał. Pete znał jego fioła. Pete znał jego sny.

Bongo/ King Arthur/ Cassius Cool/ czarne twarze/ białe tło/ białe szaty. Cur-tiii i Leroy. Otis Swasey. Martwa dziwka/ jej przyczepa/ piłeczka w jej zębach.

Sny się powtarzały. W snach pojawiał się Wayne Senior. To był taki senny mechanizm. Sen i jawa. Oto Królik Ojciec na twojej poduszce.

Sny jawiły się w cyklach. Sny się powtarzały. Sny się kręciły.

Kręcisz się na wschód – widzisz Bonga – tam go zabiłeś. Kręcisz się na zachód – widzisz czarne twarze – tam je poznałeś. Kręcisz się na południe – widzisz nowe twarze – ich właściciele się tam linczuje.

Białe szaty. Szaty Klanu. Bob Relyea – Dziki Królik.

Bob się z nim drażnił. Bob mówił: „Twój tatuś cię kocha. Tęskni za tobą.

Tak mi powiedział. Liczy na ciebie. To Królik Tatuś. Jest spoko. Jest okej. Sponsoruje mój Klan. Walczymy z pocztowymi malwersacjami. Pomagamy panu Hooverowi”.

Nasza nienawiść jest mądra. Ograniczamy się. Konsolidujemy się. Rozpieprzamy złych siewców nienawiści. Szerzymy dobrą nienawiść.

Sny. Powtórki. Kręcenia się.

Śpisz w samolotach – pokonujesz strefy czasowe – widzisz twarze. Mądra nienawiść. Konsolidacja. Ave, Króliku Ojczy!

Sny się powtarzały. Idea trwała. Istota się wzmacniała:

On cię potrzebuje. On cię widzi. On cię *chce*.

(Las Vegas/ Bay St. Louis/ wody terytorialne Kuby, 1 kwietnia 1966–30 października 1966)

Wojny:

Prawdziwa wojna. Wojna jak w TV. Nieustający ostrzał ze strony Barb.

Oglądają wiadomości. On komentuje. Mówi: „Wygramy”. Barb mówi: „Nie powinniśmy”. Barb mówi: „Nie możemy i nie wygramy”.

On mówi: „*Byłem tam*”. Mówi: „*Wiem, co mówię*”. Ona na to: „*Ja też tam byłam. Ja też wiem, co mówię*”. Następuje eskalacja. Debatują nad kontrolą. Debatują nad ograniczeniem. Wojna jak w TV – salonowe potyczki – snajperskie ataki. Szaleństwo. Eskalacja. Koniec. Barb spuściła na niego bombę jądrową. Barb wygrała.

Powiedziała: „Nikt nad tą wojną nie panuje, a ty nie panujesz nad handlem herą, bo spotkałam w Da Nang lekarza, i *on* załatwia mi niewielkie dawki, które zażywam, kiedy jestem śmiertelnie znudzona albo wystraszona, że spadniesz z tej pieprzonej łodzi do pieprzonego kubańskiego morza”.

Nie wyrobił. Zaczął się ciskać. Nadwerężył serce. Poprzewracał krzesła. Potłukł okna. Wyrzucił telewizor. Jeden ruch – dziewięćdziesiąt kilo w powietrzu. Jeden akt wkurwionego zawałowca. Telewizor pofrunął. Czternaście piętér w dół. Wbił się w dach niebieskiego forda.

Pete szalał. Żyły mu pulsowały. Pikawa waliła. Wysiadł. Wbił się w kanapę. Barb wszczęła rozmowy pokojowe.

Nie jestem ostatnią ćpunką. Wciągam proszek nosem. Biorę do ust. Nigdy się nie szprycuję. Nienawidzę twojej pracy. Nienawidzę tej wojny – ona cię przede mną kryje.

Próbował walczyć. Łykał powietrze. Pikawa załomotała i zwolniła. Barb trzymała go za ręce. Barb trzymała kota. Barb mówiła *très* powoli.

Nienawidzę twojej roboty. Nienawidzę Tego Życia. Nienawidzę już teraz Vegas. Wyjedziemy stąd. Przetrywamy to. Wygramy.

Pogodzili się. Uspokoili. Wykrzesał z siebie siłę. Kochali się. Rozwalili

kanapę. Kot im kibicował.

No, w końcu powiedziała *to*. *To* zawisło w powietrzu. Po *ty*m zapadło milczenie. Żadnych obietnic abstynencji/ żadnych obietnic zaprzestania/ żadnych obietnic zmiany.

Rozejm.

Wynieśli się ze Stardust. Wprowadzili się do Cavern. Kupili nowy telewizor. Barb oglądała wojnę. Barb dąsała się i głośno sądy. On pilnował interesu. Rozprowadzał herę. Rozprowadzał broń.

Barb pracowała w Cavern. Barb zakładała skąpe kiecki. Barb pokazywała ciało. Patrzcie: zero ukłuc/ zero sińców/ zero śladów.

Rozejm.

Żyli. Kochali się. On podróżował. Barb wtedy latała. Wiedział o tym. Barb latała liniami Biały Proszek.

Żyli według zasad rozejmu. Pete dopisał Klauzulę:

Barb miała rację – wojna była do dupy – nie mogliśmy wygrać. Barb miała rację – ich miłość była wielka – trzymając się jej, mogli wygrać. Barb była w błędzie – hera miała zęby – hera gryzła, by wygrać.

Biała flaga/ zawieszenie broni/ rozejm.

Musiał się z tym pogodzić. Był dłużnikiem Barb. Sprowadził ją wtedy do Dallas. Rozejm trwał. Klauzula obowiązywała. Tylko atrament, który ją spisał, popłynął.

Masz Barb. A Jane nie żyje. Ward o tym wie. Ward mu to raz powiedział. Ward powiedział: „Jane odeszła”. I urwał.

Ward znał przeszłość Jane. Dowiedział się sporo ze szmatławego archiwum. Resztę dopowiedział sobie sam. Arden ucieka do Danny’ego. Wyruszają w morze. Wody Zatoki ich wabią. Są znużeni i wyczerpani – za nimi długie lata ucieczki.

Ward stracił kobietę. Carlos stracił łódź. Carlos stracił szpiega. Carlos stracił Danny’ego. Carlos *zabił* Danny’ego. Carlos porzucił *la Causa*.

Nowa łódź go nudziła. Rejsy nową łodzią też. Gówniana skorupa. Nudziły go wypadki na Kubę. Drażniły go. Męczyły pikawkę.

Pływanie wzdłuż wybrzeża i przekazywanie broni – zbyt łatwe. Wycieczki pontonem i polowanie na skalpy – mało efektywne.

Jest styczeń 1966. Pete’a ogarnia frustracja. Pete wysyła Flasha w głąb lądu. Flash jest Kubańczykiem. Flash jest śniady. Flash dobrze tam pasuje.

Flash wędruje po Kubie. Flash spotyka się z Fuentesem i Arredondem.

Razem idą w góry. Odwiedzają obozy. Widzą darowaną przez Kadre broń. Wielkie obozy. Mnóstwo ludzi. Mnóstwo sprzętu.

Przeprowadzają atak. Mają sześćdziesięciu ludzi. Napadają na koszary milicji. Okrążają. Strzelają karabiny. Strzelają bazooki. Biegną pod osłoną ognia, szeroko rozstawieni. Uruchamiają miotacze ognia.

Zabili osiemdziesięciu ludzi. Stracili trzech. Zgolili mnóstwo bród. Pete'owi się to spodobało. Pete odżył na wieść o tej akcji. Pete zrzucił z serca ciężar bu-kuu.

Ciężar to ciężar. Prochy to prochy. Robota to robota. Doktorki kazały nie palić. Posłuchał. Kazały jeść zdrowo. Jadł. Kazały się nie przepracowywać. Powiedział: „Pieprzyć was”.

Kierował narkobiznesem. Kierował Taxi Tygrysem. Kierował Cavern. Cavern mu pasował. Cavern był spoko.

Cavern uwielbiali nowomodni gogusie. Gogusie uwielbiali Milta C. i jego Narko Goryłka. Cavern uwielbiali dupomani. Dupomani ślinili się na widok Barb B. Cavern uwielbiał Sonny Liston. Uwielbiały ją cioty. Cioty wpadały i w Cavern się roztkliwiały.

Wpadł i Wayne Senior. Wayne Senior starał się być miły. Pomóc ci w czymś? Dzwon, jeśli zajdzie potrzeba – wiem dobrze, jak to jest w tych młynach. Pete starał się być miły. Pete powiedział: „Jasne – zadzwonię”.

Wayne Senior wrócił. Wayne Senior przegrał kasę. Wayne Senior się rozgadał.

Życie jest okrutne. Życie jest dziwne. Ward Littell z moją eks. Co tam u mego syna? Wiem, że stał się twardy. Wiem, że dla ciebie pracuje.

Pete starał się być miły. Starał się być obojętny. Pete starał się unikać zobowiązań. Wayne Senior mówił. Wayne Senior pragnął rozejmu. Wayne Senior powiedział: „Tęsknię za synem – wiem, że był w nieluuuudzkich miejscach”.

Wayne Senior wydawał się niespokojny. Rozeszła się wieść – nadciągał Drakula. Drak – krwiopijca. Drak – kukła mafii. Drak – chciwa pijawka.

Przygotowania trwały długo. Pete pracował przy nich trzy lata. Pete nieeeźle się przy tym dorobił.

Masz czterdzieści sześć lat. Jesteś zabójcą. Jesteś zabojadzkim parweniuszem. Jesteś bogaty. Masz jakieś dwa miliony majątku netto.

*Pas mal, mais je m'en fous*⁵⁷.

Korzyści z przygotowań i zwieńczenia dzieła. Pieniądze i długi. Barb

i heroina. Barb i znudzenie. Barb i Wietnam.

Zabawili się. Pete ją rozebrał. Wziął się do roboty. Sprawdził jej ręce. Sprawdził jej żyły. Sprawdził jej palce u nóg. Sprawdził ją wszędzie. Szukał śladów po igle.

Nic.

Wszystko pod kontrolą. Panuję nad tym. Biorę tylko małe dawki.

Sprawdził jej kostki. Łaskotał ją. Wiódł palcem po żyłach. Dotknęła go. Przytuliła.

Zabawa pomogła. Zabawa zadała cierpienie. Zabawa zabrała go tam z powrotem:

Jest gorąco. Czuje ból w piersi. Rzuca się po jej but.

**(Los Angeles/ Las Vegas/ Waszyngton/ DC, Boston/
Nowy Orlean/ Chicago/ Mexico City,
1 kwietnia 1966–30 października 1966)**

Żałobnik. Pograżony w żalu kochanek.

Umarła. Zostawiła teczkę. Zostawiła spuściznę. Wytropił ją na południu. Uciekł się do logiki.

Logiczne:

Otash widzi artykuły ze szmatławego archiwum. Otash widzi Carlosa i Jane. Otash dzwoni do Pete'a. Pete wątpi w Jane. Pete wątpi w nią już wcześniej. Jane ucieka. Jane odnajduje Danny'ego Bruvicka.

Dzwonił do linii lotniczych. Sprawdzał listy pasażerów. Znalazł nazwisko Arden Breen. Poleciała do Mobile w Alabamie. Poleciała do Bon Secour.

Logiczne:

Pete miał kontakty nad Zatoką. Pete przerzucał broń. Pete interweniował w Bon Secour. Pete zrobił w jajo Carlosa. Pete kazał Jane wiać.

Carlos odnalazł Danny'ego. Carlos odnalazł go z Jane.

To było całkiem logiczne. Podparte faktami. Podsycone gazetowymi wycinkami.

Jane nie żyła. Littell był w żałobie. Pracował z Carlosem. Obaj milczeli. Carlos nie przemówił na ten temat ani słowem. Pete milczał. Obaj go źle odczytali. Obaj interpretowali to tak: Ward nie wie tego co my.

Ja wiem. Uciekłem się do logiki. A potem miałem sny.

Carlos zabija z rozmachem. Jego ekipa zabiera narzędzia. Carlos zabija powoli. Piły elektryczne/ nożyce/ wiertła. Dłuta i metalowe pałki.

Śniło mu się to. Słyszał to. Widział. Spał z tym. Żył z tym. Nie pił. Nie pragnął otępienia. Nie pragnął znieczulenia. Pracował. Lawirował. Szukał kryjówek.

Pojechał do banku. Dobrał się do teczek Jane. Studiował akta: sześć skoroszytów/ sporządzone na maszynie notatki/ wszystko jasne.

Jane go *znała*. Te akta by go *zdemaskowały*.

Domyśliła się jego malwersacji. Śledziła jego podróże. Przewidziała istnienie jego kont bankowych. Krytykowała jego metody. Próbowła odgadnąć wielkość sum. Zakładała płacenie dziesięcin zrodzonych z poczucia winy.

Grzebała w jego papierach. Kojarzyła fakty. Wyciągała jasne wnioski. Grzebała w śmiechach. Uważnie się im przyglądała. Znajdowała kapitalne dowody.

Rozszyfrowała jego interes docelowy. Obliczyła potencjalne zyski. Oszacowała przychody z odciążania. Oszacowała wysoko. Wkalkulowała koszty ich wyprania. Wyskalowała wszystko w obcych walutach.

On obmyślił plan związany z księgami Funduszu. *Ona* go rozgryzła.

Śledziła jego podróże. Notowała rozmowy telefoniczne. Łapała go na kłamstwach i niedomówieniach.

Zdemaskowała, co następuje:

Hughes najeżdża na Las Vegas. Omija przepisy antytrustowe. Chłopcy sprzedają Drakowi Las Vegas.

Zyski z kasyn/ schemat przepływu gotówki/ pieniądze z odciążania/ kurierzy/ potajemne udziały/ zafałszowane ceny.

Posłużyła się tym, co teraz wiedzą wszyscy – Hughes pragnie Las Vegas – do reszty doszła metodą indukcji.

Tekst skakał mu przed oczami. Akta demaskowały Jules'a Schiffrina. Jane znała Jules'a. Jules mimochodem wyjawiał jej tajemnice.

Jane wyciągała wnioski. Jane przypisała mu pewne „zasługi”:

Jules tworzy Fundusz Emerytalny. Jules tworzy fałszywe księgi. Jules szykuje przekręt z księgami „prawdziwymi”.

Szczegóły. Fakty. Domyśły. Pewniki. Zdumiewające – *wszystko* nowe – rzeczy, o których *on* nie wiedział.

Tekst skakał mu przed oczami. Akta demaskowały Jimmy'ego Hoffę.

Jimmy zabił ojca Arden. Świadczenie sypali faktami jak z rękawa. Jimmy zawierał ciemne układy. Jimmy zlecał pobicia. Jimmy zlecał zabójstwa.

Jane była bystra. Jane *rzekomo* nienawidziła swego ojca. Jane kłamała. Jane oddaliła od Jimmy'ego groźbę sporych kłopotów. Te akta to była zemsta Jane: od dawna przygotowywana/ od dawna planowana.

Tekst skakał mu przed oczami. Akta demaskowały Chłopców.

Carlos/ Sam G./ John Roselli/ Santo/ Moe Dalitz/ gangsterzy z Kansas

City.

Szczegóły. Fakty. Pogłoski. Pewniki.

Odnosnie do: zabójstwa/ planowane zabójstwa/ wymuszenia. Przekupstwa sędziów/ przekupstwa ław przysięgłych/ przekupstwa gliniarzy na szeroką skalę. Szwindle wprowadzone w życie/ szwindle zaniechane/ szwindle wskrzeszone i na nowo przemyślane.

Zdumiewające. Prowokujące. Wielce wyczerpujące.

Jane tworzy testament. Jane poddaje się wreszcie znużeniu. Jane otrzymuje bodziec i pryska.

Jane przechowuje akta. Jane zrzeka się ich na jego korzyść. Jane spłaca swój dług jeszcze z Dallas. Jane płaci mu za dwa lata jako „Jane”.

Jej testament. Teraz już *jego*. *Jego* zabezpieczenie. Powie Carlosowi. Powie *wszystkim* Chłopcóm:

Służyłem wam. Jestem zmęczony. Proszę, pozwólcie mi odejść.

Wybrał bank w Westwood. Wynajął skrytkę depozytową. Ukrył akta. Opłakiwał Jane.

Miał sny. Widział szpikulce do lodu i wiertła. Modlił się. Liczył trupy od czasów Wielkiego D. aż do dziś.

Kradł. Skubał Howarda Hughesa. Płacił dziesięcinę SCLC. Opłakiwał. Jego smutek się przeobrażał. Jego poczucie krzywdy zmieniło się w NIENAWIŚĆ.

Carlos zabił Jane. Jego nienawiść Carlosa ominęła. Ominęła wszystkich Chłopców. Jego nienawiść rozproszyła się i zogniskowała. Jego nienawiść odnalazła pana Hoovera.

Obserwował go.

Pan Hoover przemawiał w Waszyngtonie. Pan Hoover zabiegał o względy Legionu Amerykańskiego. On obserwował. Stał z tyłu sali i patrzył.

Na sali wrzało. Pan Hoover sypał frazesami. Pan Hoover atakował doktora Kinga. Pan Hoover staro wyglądał. Pan Hoover wyglądał krucho. Pan Hoover zionął NIENAWIŚCIĄ.

Littell obserwował.

Pan Hoover zaniechał ironii. Pan Hoover zaniechał dobrego smaku. Pan Hoover zrezygnował z samokontroli. Pan Hoover zionął nienawiścią. Jego nienawiść była niepokonana/nieprzewyciężona/niepohamowana.

Littell dokonał oceny.

Pan Hoover był stary. Świat go przerósł. Przeżył już okres swego

panowania i wpływów. *Jego* nienawiść się rozproszyła. *Jego* nienawiść się zogniskowała. *Jego* nienawiść odnalazła doktora Kinga.

Littell ocenił *własną* nienawiść.

Żył swoją pychą. Podjął zbyt wielkie zobowiązania. Wykroczył poza *własną* strefę wpływów. *Jego* nienawiść się rozproszyła. *Jego* nienawiść się skondensowała. *Jego* nienawiść zwiększyła zasięg. Littell przerósł swój świat. Zachował swoje ideały. Przerósł własne zamiłowanie do intrygi. *Jego* nienawiść rozproszyła się i zogniskowała. *Jego* nienawiść odnalazła Johna Edgara Hoovera.

Dał się jej poprowadzić. Pozostawał bierny. Czekał. Nic jeszcze nie robił. Niech pan Hoover sobie najpierw poNIENAWIDZI.

Niech świat oszaleje. Niech doktor King sprzymierzy się z Bobbym. Obaj mają plany. Nienawidzą wojny. Mogą pójść na współpracę.

Doktor King planował rewoltę. Lyle Holly znał jej szczegóły. Littell zniszczył zapiski Lyle'a. Niech doktor King wprowadzi plan w życie. Niech doktor King porzuci *bierność*.

Pokojowe ataki. Agitacja wyborcza. Kampania przeciw slumsom. Rewolta we wczesnym stadium rozwoju – zaplanowana do końca roku 1968.

Czekać. Nic samemu nie robić. Niech pan Hoover NIENAWIDZI. *Jego* nienawiść pali. *Jego* nienawiść nie daje się ukryć. *Jego* nienawiść go dyskredytuje. Doktor King planuje swoje. Doktor King spiskuje. Pozycja doktora Kinga rośnie.

Nie naciskać *zbyt* mocno. Nie naciskać *zbyt* szybko. Nie ryzykować utraty wiarygodności. Niech świat szaleje we *własnym* tempie. Niech pewne rzeczy dzieją się same.

LBJ prowadzi swą zamorską wojnę. Pan Hoover go popiera. LBJ sprzyja prawom obywatelskim. Pan Hoover po cichu się złości. Pan Hoover zionie nienawiścią.

LBJ mógłby go rozliczyć. Edgar – ty schodzisz na psy. Musisz odejść.

Wojna będzie nabierać rozmachu. Wojna doprowadzi do podziałów. Wojna może odstawić LBJ na boczny tor. Bobby może wystartować w wyborach '68. Doktor King może zredukować swój plan działań. Bobby może udzielić mu poparcia.

Obserwował Bobby'ego. Czytał relacje z obrad Senatu. Podliczał głosy Bobby'ego. Bobby był bystry. Bobby nigdy nie mówił „Chłopcy”. Bobby nienawidził ostrożnie.

Nienawidzić mocno. Nienawidzić dzielnie. Nienawidzić nie tak jak pan Hoover.

Pan Hoover do niego zadzwonił. Telefon zabrzączał w połowie lipca. Pan Hoover zasiał w nim strach.

Jego ogony zniknęły. *Wiedział* to. Był bezpieczny w sprawie Chucka Rogersa. Był bezpieczny w sprawie Lyle'a H.

Mimo to – pan Hoover zasiał strach.

Był szorstki. Był nieuprzejmy. Howard Hughes i Las Vegas – aktualne informacje proszę.

Littell powiedział, że Drak to wariat. Drak boi się podatków stanowych. Drak wynajął sobie pociąg. Drak udał się do Bostonu. Wziął ze sobą mormonów. Wynajął całe piętro w Ritzu.

Drak pragnie hoteli. Rozmawiałem z *oficjalnymi* właścicielami. Pro forma. To Chłopcy mają udziały. To Chłopcy będą ustalać ceny.

Pan Hoover się śmiał. Pan Hoover knuł. Pan Hoover obiecał politykę nieingerowania w odciąganie. Nie wywołujemy wrogości. Nie nagłaśniamy sprawy. Po co trapić Hrabiego i jego hrabstwo?

Littell zmienił temat. Powiedział, że Drak ma konkretny plan. Uderzy na Las Vegas pod koniec listopada. Ograniczenia znikną. Będzie miał gotówkę. Przypuści atak na Desert Inn. Zarezerwował już sobie piętro. Sprowadzi swych niewolników. Oni sprowadzą jego krew i prochy.

Pan Hoover się śmiał. Pan Hoover badał grunt:

Zlikwidowałem niektóre podsłuchy. Komisja senacka mnie do tego zmusiła. Dostałem cynk: Lyle Holly dotarł do Bobby'ego. Lyle wysłał mu swą pośmiertną „spowiedź”.

Littell udał szok:

Tylko nie Lyle H.! Tylko nie nasz BIAŁY KRÓLIK!

Pan Hoover badał grunt. Pan Hoover rozprawiał. Pan Hoover kipsiał. Gardził BIAŁYM i WOJUJĄCYM. Rozpracował „moralną próżnię” ich obu. Bluzgał na tego zdrajcę BIAŁEGO.

Littell dokonał oceny jego gadania. Wniosek: Pan Hoover mnie nie podejrzewa/ łyknął tamtą „spowiedź”/ łyknął „zdradę”.

Pan Hoover zmienił temat. Zaatakował doktora Kinga. Objawiła się jego NIENAWIŚĆ. Jego NIENAWIŚĆ jaśniała. Jego NIENAWIŚĆ rosła.

Littell powiedział: „Może powinienem pomóc. Przecież pan wie, że mam dokumenty. Są w nich wyszczególnione wszystkie moje »mafijne datki«”.

Pan Hoover powiedział: „Nie”. Pan Hoover powiedział: „To za mało”. Pan Hoover powiedział, że jest na to zdecydowanie za późno.

Littell wychwycił w jego głosie nienawiść. Littell wychwycił stanowczość. Littell wiedział: pan Hoover ma nowe plany. Pan Hoover wzmoże działania.

Pan Hoover się rozłączył. Pan Hoover przemilczał:

Więści na temat pocztowych malwersacji. Więści na temat jednego członu operacji CZARNY KRÓLIK. Wielki sukces/ wielce chwały godny. Znamienne przemilczenie.

Littell je sobie wytłumaczył. Littell wiedział:

Pan Hoover miał nowe plany. Pan Hoover miał wzmóc działania.

Czekać. Nic nie robić. Niech jego nienawiść wyjdzie na jaw. Niech jego nienawiść ukaże się sama.

I Chłopcy mieli plany. Zmiana dekoracji – Sam G. opuszcza areszt.

Littell zawiózł go do domu. Sam spakował walizki. Razem polecili do Mexico City. Sam kupił trochę tego i owego. Sam kupił dom. Sam zaczął mówić o swoich knowaniach.

Kupimy sobie wybory '68. Zafundujemy je *naszemu* kandydatowi. Ten bierze naszą kasę. Kłania się. Jest posłuszny. Ułaskawia Jimmy'ego Hoffę. Pozwala nam się rozwijać. Nie zwraca uwagi na naszą kolonizację. Posuwamy się na południe. Kolonizujemy. Zakładamy kasyna. Pozwól nam rozkwitać – nie wpieprzaj się w sprawy naszych kolonii – prawicowych *albo* lewicowych.

Uwaga: *My* kupujemy kandydata. *My* kupujemy go w siedemdziesięciu pięciu procentach. Drak dorzuca dwadzieścia pięć procent. Dogadujemy się. Drak może liczyć na dodatkowe korzyści – czas pokaże jakie.

Jimmy jest skończony. Apelacjami nic nie wskóra. Już wiosną będzie w pudle. Niech tam trochę pocierpi. *My* tymczasem kupimy kandydata. Wybierzemy go.

Rzeczony kandydat odczekuje. Rzeczony kandydat ułaskawia Jimmy'ego. Jedno ułaskawienie. Jedna polityka kolonialna, dotycząca krajów prawicowych *albo* lewicowych.

Kuba była lewicowa. Tam nie mogli założyć swych kasyn. Wszystkie ich potencjalne kolonie musiały być *prawicowe*. Wystarczy wspomnieć. Cofnąć się o trzy lata – jesień '63.

Planowany jest zamach. Chłopcy są wściekli. Chłopcy chcą odzyskać swoje kubańskie kasyna. Usiłowali zabić Castro. Próbowali prowadzić tajne

operacje. Nic z tego nie wyszło.

Sam wciąga do sprawy Santa. Santo wabi Johnny'ego Rosellego. Gadają z Brodaczem. Robią się mili – *prosimy*, zwróć nam kasyna. Brodacz mówi: „Nie”. Likwidują Jacka. Świat szaleje i drży w posadach.

Od wtedy do dziś – plany: rażące i zuchwałe.

Tak jak ta wojna – ulubiony mezalians Wielkiego Pete'a...

On sam umawiał się z Barb na lunch. Spotykali się raz w tygodniu. Rozmawiali. Barb nienawidziła wojny. Barb znów pałała miłością do Bobby'ego. Barb atakowała Pete'a.

Barb mówiła o polityce. Barb powtarzała barowe plotki i plotła bez ustanku. Barb mówiła o „wyzysku”. O „masowych mordach” i „ludobójstwie”.

Barb była humorzasta. Barb brała. Barb się znieczulała. Rozmawiali o Pecie i jego interesach. Rozmawiali o Pecie i jego szufladkach.

Barb grała na zwłokę. Barb nie mogła się zdecydować. Barb szufladkowała: kocham Pete'a/ nienawidzę jego interesów/ nienawidzę jego wojny.

On ją kochał. Ward ją kochał. Wiedziała o tym. Wszyscy mężczyźni ją kochali. Powiedział jej o tym. Ona wiedziała.

Powiedziała: „Bardzo mi się to podoba”. Powiedziała: „Choć wcale mi się to nie podoba”. Powiedziała: „Już z tego wyrosłam”.

Wiedziała, że Jane odeszła. Nie znała szczegółów. Droczyła się z nim, mówiąc o Janice. Powiedział jej prosto z mostu. Zagrał otwarcie – Janice stanowiła odmianę.

Janice oznaczała seks. Janice oznaczała styl. Janice oznaczała brawurę.

Wayne Senior ją pobił. Janice wciąż kulała. Janice miała skurcze. Janice wciąż świetnie grała w golfa. Wciąż kapitalnie grała w tenisa. Rwała siatkę. Kuśtykała. Walczyła ze skurczami. Uderzała. Zdobywała punkty. Wygrywała, biorąc przeciwnika na przetrzymanie.

Odrzącała mormońskich goryli. Rzeczeni goryle wystawiali macki. A Wayne Senior tęskni za Wayne'em Juniorem.

Odpowiadała zawsze w ten sam sposób. Jej słowa brzmiały: „Idźcie się pieprzyć”. To była jej jedyna odpowiedź, dosłownie.

Lubił ją. Kochał Barb. Kochał Jane.

Barb miała czasem maślane oczy. Ukrywała się wtedy przed Pete'em. Littell zazdrościł jej tych oczu. Zazdrościł spokoju.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.10.1966. Wewnętrzna notatka służbowa. Dotyczy: OPERACJA CZARNY KRÓLIK. Do: BŁĘKITNY KRÓLIK. Od: Dyrektor. Oznaczono: „Tajne 1-A”/ „Poufne”/ „Przeczytać i spalić”.

BŁĘKITNY KRÓLIKU,

od jakiegoś czasu trawię rozmowę telefoniczną, jaką w lipcu przeprowadziłem z WOJUJĄCYM. Nie zdołałem zinterpretować jego reakcji na moją wzmiankę o rzekomej spowiedzi BIAŁEGO KRÓLIKA, zaś jego stan psychiczny uznałem za problematyczny.

BIAŁY KRÓLIK był, rzecz jasna, Twoim bratem. Poważnie zastanawiałem się nad Twoimi zapewnieniami, że jego spowiedź została sfabrykowana. Oświadczyłeś, że WOJUJĄCY KRÓLIK jest jedyną znaną nam osobą zdolną do takiej mistyfikacji, a ja nie mam powodów, by z tym sądem polemizować.

WOJUJĄCY KRÓLIK nie daje mi spokoju. Jak zauważyłeś, jego kochanica Arden Breen/ Jane Fentress znikła w październiku i prawdopodobnie została zabita przez członków przestępczości zorganizowanej. Podejrzewam, że jej nieobecność i paskudny los, jaki ją zapewne spotkał, przyczyniły się do wywołania w WOJUJĄCYM KRÓLIKU strachu. Często określałeś WOJUJĄCEGO jako „mięczaka”, jednak dodać muszę, że jego skłonność do popełniania czynów godnych kamikadze czyni go najniebezpieczniejszym mięczakiem na świecie.

To powiedziawszy, uważam, że powinniśmy powrócić do naszej inwigilacji WOJUJĄCEGO oraz do kontroli jego poczty i śmieci. Działania niniejsze odsuną na razie w czasie naszą decyzję o wyłączeniu go z działań operacyjnych CZARNEGO KRÓLIKA.

A co się tyczy uzupełnienia operacji pt. „Szantaż”:

Nie zgadzam się z Twoim osądem, że naszym celem powinien być CZERWONY KRÓLIK. CZERWONY KRÓLIK zwyczajnie będzie zbyt ostrożny, by dać się schwytać w pułapkę.

Naszym celem będzie RÓŻOWY KRÓLIK. Jego bezmyślna pogoń za homoseksualnymi partnerami czyni go bardziej odpowiednim i podatnym na nasze działania.

Zdaje się, że WIELKI KRÓLIK wydobrzył już po zawale. Proszę nawiązać z nim kontakt 1.12.1966.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.11.1966. Nagłówek z „Miami Herald”:
KING POTĘPIA „IMPERIALISTYCZNĄ” WOJNĘ W WIETNAMIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.11.1966. Nagłówek i podtytuł z „Denver Post-Dispatch”:
HOFFA: DATA ROZPOCZĘCIA ODSIADKI WYZNACZONA
ZŁE HUMORY PRAWNIKÓW OD APELACJI

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.11.1966. Podtytuł z „Atlanta Constitution”:
WOJNA TO „MORALNY GWAŁT”, TWIERDZI W PRZEMÓWIENIU
KING

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.11.1966. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
RFK OŚWIADCZA: NIE PLANUJĘ STARTU
W WYBORACH W 1968

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.11.1966. Podtytuł z „San Francisco Chronicle”:
„KENNEDY NA PREZYDENTA”. RUCH POPARCIA PRZYBIERA NA
SILE MIMO ZDEKLAROWANEJ NIECHEŃCI SENATORA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.11.1966. Nagłówek i podtytuł z „Chicago Sun-Times”:
KING OGŁASZA OTWARCIE WARSZTATÓW
OPORU WOBEC WCIELANIA DO WOJSKA
HOOVER NAZYWA BOJOWNIKA O PRAWA
OBYWATELSKIE „KOMUNISTYCZNĄ MARIONETKĄ”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.11.1966. Podtytuł z „Washington Post”:
GWAŁTOWNA REAKCJA NA WYMIERZONE
W KINGA ATAKI HOOVERA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.11.1966. Podtytuł z „Boston Globe”:
NIEZWYKŁA KOLEJOWA ODYSEJA HOWARDA HUGHESA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.11.1966. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:
POCIĄG HUGHESA NA TRASIE

CO PRZYBYCIE SAMOTNIKA-MILIARDERA
WRÓŻY LAS VEGAS?

CZEŚĆ V

INGERENCJA

(27 LISTOPADA 1966–18 MARCA 1968)

(Las Vegas, 27 listopada 1966)

Nadciąga.

Pan Szycha we własnej osobie. Sam Howard Hughes. Hrabia Las Vegas. Littell obserwował.

Przyłączał się do pismaków. Przyłączał się do ekip telewizyjnych. Przyłączał się do zwykłych gapiów z Las Vegas. Poszła plotka. Przyjeżdża Hrabia. Dworzec kolejowy – 23.00.

Nadciąga. Sprawdzić tor 14. Uważać na Drak Express.

Na peronie szumiało. Reporterzy zbierali się w grupki. Asystenci ustawiali reflektory. Operatorzy zakładali taśmę do kamer.

Littell obserwował.

Spotkał mormonów Drakuli. Pogadali o remoncie. Powiedzieli, że wpadli do Desert Inn. Powiedzieli, że zdrakulizowali hotel. Zdezynfekowali penthouse. Wtaszczyli zamrażarki. Zrobili zapasy przekąsek i innych delikatesów.

Rożki lodowe/ pizza/ batony. Demerol/kodeina/dilaudid.

Powiedzieli, że wkrótce startujemy. Negocjujemy i pertraktujemy. *Kupujemy* Desert Inn. Chłopcy powiedzieli: to *my* startujemy. *My* pertraktujemy i *my* ustalamy cenę.

Cena jest wielka. Drak stanie jak wryty. Drak będzie się dąsał. Drak zapłaci. Drak zainicjuje kampanię na rzecz mormońskiej hegemonii. Drak będzie krzyczał: mormoni muszą prowadzić moje kasyno!

Chłopcy zmieniają kurs. Chłopcy złączą knuć. Chłopcy zawyrokują: Littell musi przycisnąć Wayne'a Tedrowa Seniora.

Porozmawiają. Popertraktują. To nie będą miłe pogaduszki. Wayne Senior odegra się na nim za Janice.

Na peronie zahuczało. Tory zadygotały. Zagwizdał pociąg.

Nadciąga.

Podjechała policyjna furgonetka. Wyszli gliniarze. Gliniarze taszczyli

sprzęt. Jeden pchał nosze na kółkach. Jeden toczył namiot. Jeden dźwigał butle z tlenem.

Gliniarze popychali pismaków. Gliniarze popychali obywateli. Gliniarze odsuwali kamerzystów. Pismaki napierali. Pismaki walczyli o miejsce. Pismaki popychali gliniarzy.

Światła zbliżającego się pociągu – gwizd pełną parą.

Littell stanął na palcach. Jakiś dzieciak go trącił. Littell cofnął się o krok. Littell zyskał szerszą perspektywę.

Sypnęło iskrami. Pociąg zahamował. Pociąg zatrzymał się i szarpnął w tył. Tłum zaczął się pchać. Rozbłysły flesze. Tłum się rozproszył.

Gapie ruszyli na pociąg. Osłaniali oczy. Zaglądali do okien. Otwierały się drzwi – gapie wpadali do środka i wypadali – tłum ruszył za gliniarzem z noszami na kółkach.

Littell się zaśmiał. Littell znał strategię Drakuli. Littell znał się na odciąganiu uwagi.

Proszę bardzo:

Oto nosze nr 2. Oto namiot nr 2. *Wszystko* w tyle.

Wysiedli mormoni. Mormoni dali znak. Mormoni spuścili podjazd. Mormoni utworzyli kordon. Mormoni wypchnęli wózek inwalidzki. Mormoni wytoczyli Draka.

Jest wysoki. Jest chudy. Ma na głowie hełm z pudełka po chusteczkach.

(Las Vegas, 27 listopada 1966)

Nadciągą.

Już wysiadł z pociągu. Jest w samochodzie. Ma na głowie ten debilny hełm.

Wayne udał się do Desert Inn. Kasyno zdawało się iskrzyć elektrycznością. Wszędzie krążyły hieny. Wayne podsłuchiwał plotki.

Spóźnia się. Zaraz tu będzie. *Już* tu jest. Ma blizny po katastrofach samolotowych. Ma chorobę skóry. Ma śruby w szyi jak Frankenstein.

Hieny zajmowały pozycje. Hieny się szykowały. Od hien roiło się w całym kasynie. Hieny wchodziły na krzesła. Hieny wymachiwały aparatami. Hieny czały się z notesami na autografy.

Od hien roiło się na zewnątrz. Wayne zobaczył tam Barb. Przeszkłone ściany zapewniały widok. Barb ujrzała Wayne'a. Barb pomachała. Wayne jej odmachał.

Hieny się snuły. Snuli się hotelowi goryle. Ktoś wrzasnął: „Limuzyny!”. Ktoś inny: „*To on*”.

Hieny zaskowytały. Hieny się rozpierzchły. Hieny wybiegły na zewnątrz. Wayne spojrział przez przeszkloną ścianę. Wayne zyskał widok.

Zobaczył gliny. Zobaczył limuzyny. Zobaczył sobowtóra Howarda Hughesa. Rozpoznał go. Kiedyś go aresztował – jeszcze w 1962.

Gość prowadził show z dzieciakami. Chwalił się swoim fiutem. Obmacywał nieletnich. Gliniarze dali mu ksywkę „Chester Molester”.

Hieny się rzuciły. Chester wspaniałomyślnie pozował do zdjęć. Chester rozdawał autografy. Przejechała inna limuzyna. Opuściła się szyba. Wayne pochwycił obraz: siwe włosy/ martwe oczy/ kretyński hełm.

Ktoś krzyknął: „To sobowtór!”. Hieny rzuciły się biegiem. Pognały za limuzyną.

Barb weszła do środka. Wayne ją dostrzegł. Wayne podszedł.

– Nie pracujesz dzisiaj?

Barb się zaśmiała.

– Mogłabym cię zapytać o to samo.

Wayne się uśmiechnął.

– Myślałem o Pecie i Wardzie, i o tym, jak się to wszystko zaczęło...

Barb ziewnęła.

– Opowiesz mi o tym przy kawie, dobrze?

Przebiegła hiena. Musieli umknąć. Poszli do baru. Zajęli miejsca z widokiem na kasyno.

Zjawiła się kelnerka. Barb dała jej znak. Zaraz przyniesiono kawę. W kasynie był mały ruch. Chester grał w kości. Pomiedzy stolikami snuły się hieny.

Barb popijała kawę.

– Minęło tyle miesięcy, a ja wciąż mam ochotę na papierosa.

– Pewnie nie taką jak Pete.

Chester rzucił kości. Nic nie wyrzucił. Przegrał kasę.

Barb mu się przyglądała.

– Są takie sekrety, które wszyscy znają.

– Nie wszyscy.

Barb rozwinęła serwetkę. Barb obróciła w palcach łyżeczkę.

– Zacznijmy od tego, że jest pewne miasto w Teksasie. No i są plany mafii wobec pana Hughesa.

Wayne się uśmiechnął.

– Zdradź mi jakieś sekrety, których nie znam.

– Na przykład?

– Daj spokój. Pete kazał przecież zapluskwić połowę pokoi w Las Vegas.

Barb obróciła w palcach nóż.

– No dobra. Długi Dom zadekował się w Cavern. Już cztery noce spędził z Salem Mineo i przez ten czas w ogóle nie wychodzili z apartamentu. Chłopcy hotelowi dostarczają im prochy. Pete zastanawia się, jak długo to jeszcze może potrwać.

Wayne się roześmiał. Wayne zerknął w stronę kasyna. Chester rzucił kości. Chesterowi się poszczęściło. Chester zarobił kasę.

Barb się uśmiechnęła. Barb wyszła. Barb poszła do WC. Hieny dopadły Chestera. Chester-Hughes był jak magnes.

Chester chłonał uwielbienie jak gąbka. Chester kłaniał się wielkodusznie. Chester pozował do zdjęć.

Barb wróciła. Barb szła nieco chwiejnie. Usiadła. Powieki jej opadły. Oczy zrobiły się maślane, szkliste od hery.

Uśmiechnęła się. Obróciła w palcach nóż. Wayne uderzył ją w twarz. Złapała za nóż. Dźgnęła nim blat. Nie trafiła w dłoń Wayne'a.

Wayne uderzył ją w twarz. Barb dźgnęła. Ostrze trafiło w stół. Utknęło. Zadygotało z brzękiem. Nóż stał na sztorc.

Barb dotknęła policzka. Barb przetarła oczy. Barb uroniła parę łez.

Wayne chwycił ją za dłonie. Wayne wygiął jej ręce. Wayne zmusił ją do spuszczenia nisko głowy.

– Jesteś nawalona. Wciągasz to gówno nosem i krzywdzisz Pete'a za każdym razem, gdy to robisz. Wydaje ci się, że jesteś nie wiadomo kim, bo nienawidzisz wojny i interesów Pete'a, ale to tylko gówniane usprawiedliwienie, bo jesteś barowym beztalenciem uzależnionym od prochów i o ograniczonym, kurwa...

Barb wyrwała ręce. Barb złapała za nóż. Wayne ją uderzył. Upuściła nóż. Rozmasowała policzek. Otarła oczy.

Wayne dotknął jej włosów.

– Kocham cię. Nie mam zamiaru pozwolić bez walki, byś spieprzyła sobie życie.

Barb wstała. Barb wytarła oczy. Barb odeszła chwiejnym, heroinowym krokiem.

Show w kasynie:

Chester w roli głównej. Złaziły się tłumy – wszystkie moczymordy i inni debile. Chester pozował. Chester obłaskawiał Las Vegas. Chester nawijał o wypadkach lotniczych.

Wpadali pismacy. Pismacy rechotali. Pieprz się, ty dupku od dziecięcych pokazów.

Wayne patrzył. Wayne obserwował kasyno. Sącył burbona. Dąsał się. Powąchał serwetkę Barb. Wyczuł jej krem do rąk. Wyczuł jej olejek do kąpieli.

Chodziła po kasynie. Przystawała przy automatach. Przepieprzała pieniądze. Udało jej się rozbić bank. Zgarnęła monety. Dała jąmużnę jednemu menelowi.

Menel zaczął się płaszczyć. Menel zaczął dziękować. Menel miał na nogach buty nie do pary. Menel dorwał się do automatu. Pociągnął za rączkę.

Przepieprzył swoją jałmużnę.

Wzruszył ramionami. Przegrupował się. Zaczął zebrać. Uderzył do Chestera. Chester powiedział:

– Spieprzaj.

Przykuśtykała Janice. I zaraz odeszła. Janice zesłała Wayne'owi z oczu. Wyszła tylnymi drzwiami – z widokiem na pole do golfa.

Poszła do apartamentu Warda. Nocne rendez-vous.

Wayne powąchał serwetkę. Wayne poczuł Barb. Coś nim wstrząsnęło na widok Janice. Poczuł ochotę na rendez-vous.

Wyjechał z parkingu. Droga wiodła w dół. Jechał ponad setką. Wszedł prosto do domu. Złapał flaszkę z barku. Przeszedł przez dom.

Jest i taras. Jest i Wayne Senior. Bliski starości. Po sześćdziesiątce. Stary, a wcale nie zmieniony.

Ten sam szeroki uśmiech. Ten sam fotel. Ten sam widok.

– Pijesz teraz z butelki. Oto, co nam przyszło z dwóch lat rozłąki.

Wayne usiadł na podnóżku.

– Mówisz tak, jakby to była jedyna rzecz, jakiej się nauczyłem.

– Gdzieżby tam. Otrzymuję raporty, stąd wiem, że było ich więcej.

Wayne się uśmiechnął.

– Wystawiłeś macki.

– A ty ich unikałeś.

– To chyba nie była odpowiednia pora.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– Howard Hughes i mój syn jednego wieczora. Co za wstrząs dla mego starego serca.

Podnóżek był niski. Wayne zadarł głowę.

– Nie podniecaj się tak. To czysty przypadek.

– Nie, to raczej konfluencja osób i zdarzeń. Bondurant... Hughes... To przybycie Hughesa oznacza, że Ward Littell wkrótce zacznie błagać o przysługi.

Wayne usłyszał strzały na północy. Znany odgłos z czasów, kiedy był gliniarzem. Spłukany hazardzista opuszcza miasto. Spłukany hazardzista szuka odprężenia.

– Ward nigdy nie błaga. Powinieneś to już wiedzieć.

– Bierzesz mnie pod włos, synu. Próbujesz mnie skłonić, żebym pochwalił

twojego eks-prawnika.

Wayne pokręcił głową.

– Staram się jedynie pokierować rozmową.

Wayne Senior dotknął stopą podnóżka. Wayne Senior dotknął stopą kolana Wayne'a.

– Co tam, do cholery. Czymże byłoby pojednanie pomiędzy ojcem i synem bez kilku szczerych pytań.

Wayne wstał. Wayne się przeciągnął. Wayne kopnął podnóżek.

– Jak tam interes nienawiści?

– Do diabła, nienawidzisz teraz bardziej niż ja kiedykolwiek.

– Daj spokój. Odpowiedz na pytanie.

– No dobrze. Wyrzekłem się interesu z ulotkami nienawiści, aby służyć sprawie przemiany czasów na wyższym szczeblu.

Wayne się uśmiechnął.

– Widzę w tym rękę pana Hoovera.

– A więc masz dobry wzrok, co mówi mi, że te dwa lata nie przyćmiły twojej...

– No dalej, *opowiedz* mi.

Wayne Senior zakręcił laską.

– Od jakiegoś czasu pracuję z twoimi kumplami, Bobem Relyea i Dwightem Hollym. Odstawiliśmy na boczny tor kilku najbardziej zdziwaczałych siewców nienawiści na całym Południu.

Wayne przechylił flaszkę burbona. Wayne wychylił resztę. Wayne wykończył butelkę.

– Mów dalej. Podoba mi się ta gadka o „najbardziej zdziwaczałych siewcach nienawiści”.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– To dobrze. Nienawidzić można albo mądrze, albo głupio, a ty nigdy nie umiałeś dostrzec tej różnicy.

Wayne się uśmiechnął.

– Może czekałem, aż mi ją pokażesz.

Wayne Senior zapalił papierosa – ze złoconym filtrem.

– Wierzę, że kolorowi powinni otrzymać prawo wyborcze i inne prawa posiadane przez białych, dzięki czemu wzrosłby poziom ich zbiorowej inteligencji i odporności na gadanie takich demagogów jak Martin Luther King i Robert Kennedy. Twoje przedsięwzięcie farmaceutyczne zapewnia im

wyciszenie, jakiego większość z nich pragnie, i izoluje ich od bezmyślnej retoryki naszych czasów. Moi przyjaciele z policji twierdzą, że poziom czarnej przestępczości w białych dzielnicach nie wzrósł znacząco, odkąd rozpoczęła się ta twoja operacja, która dodatkowo jeszcze przyczynia się do odseparowania kolorowych w ich części miasta, gdzie i tak woleliby przebywać sami.

Wayne się przeciągnął. Wayne popatrzył na północ. Wayne zerknął na Strip.

Wayne Senior wydmuchiwał kółka z dymu.

– Wyglądasz na zamysłonego. Nastawiłem się na ciętą odpowiedź.

– Jestem wykończony.

– A zatem ściągnąłem cię w samą porę.

– W pewnym sensie tak.

– Opowiedz mi o Wietnamie.

Wayne wzruszył ramionami.

– To beznadziejna bzdura.

– Tak, ale tobie bardzo się podoba.

Wayne złapał laskę. Wayne nią zakręcił. Wayne nią pomachał. Wayne ją obrócił. Wayne nią parę razy wywinął.

Wayne Senior odebrał mu laskę.

– Spójrz na mnie, synu. Patrz na mnie, kiedy będę do ciebie mówił.

Patrz: oto *jego* twarz. Patrz: oto *jego* oczy.

Wayne Senior upuścił laskę. Wayne Senior chwycił go za rękę. Wayne Senior ścisnął je mocno.

– Przepraszam za Dallas, synu. To jedyna rzecz w moim życiu, której naprawdę żałuję.

Patrz – on mówi *szczerze* – te wilgotniejące oczy...

Wayne się uśmiechnął.

– Są takie chwile, gdy myślę, że się tam narodziłem.

– Jesteś za to wdzięczny?

Wayne uwolnił rękę. Wayne strzepnął je, przywracając krążenie. Wayne strzelił kciukami.

– Nie męcz mnie takimi pytaniami. Nie każ mi żałować, że przyjechałem.

Wayne Senior zgasił papierosa. Popielnica podskoczyła. Ręka mu zadrżała.

– Zabiłeś Wendella Durfee'ego?

– Nie znalazłem go.
– Czy chociaż wiesz...
– Myślę, że jest w LA.
– Znam ludzi z tamtejszego Wydziału Policji. Mogliby rozesłać tak po cichu list gończy.

Wayne pokręcił głową.

– To moja sprawa. Nie poganiaj mnie.

Rozległy się strzały – na dziesiątej godzinie/ północny zachód.

Wayne powiedział:

– Przykro mi z powodu Janice.

Wayne Senior się zaśmiał. Wayne Senior zaryczał. Wayne Senior zawył jak sto diabłów.

– Mój syn pieprzy moją żonę i mówi, że mu przykro. Przepraszam, że się śmieję i twierdzą, że mam to gdzieś, ale zawsze bardziej kochałem właśnie jego.

Patrz – wilgotne oczy i zmarszczki od śmiechu – mówi *szczerze*.

Zerwał się wiatr. Powiało chłodem. Wayne dostał gęziej skórki.

Wayne Senior zakaszłał.

– Czy przyjąłbyś pewną propozycję?

– Mogę posłuchać.

– Dwight Holly ma prowadzić pewną skomplikowaną operację w związku z walką o prawa obywatelskie. Byłbyś dla niego kapitalnym wsparciem.

Wayne się uśmiechnął.

– Dwight Holly mnie nienawidzi. Przecież wiesz.

– Dwight Holly nienawidzi mądrze. Zna twoją nienawiść i jestem pewien, że wie, jak bardzo mógłbyś się przydać.

Wayne strzelił kciukami.

– Ja nienawidzę tylko tych złych. Nie jestem żadnym Ku-Klux-popaprańcem, któremu staje tylko wtedy, gdy podłoży w jakimś kościele bombę.

Wayne Senior wstał.

– Mógłbyś prowadzić działania na wysokim szczeblu. Wiesz, na jakich zasadach działa ten świat i jak zachować trwałość pewnych rzeczy. Mógłbyś pozbyć się zamiłowania do tych ryzykownych interesów, zabłysnąć przed właściwymi ludźmi i zacząć wieść ekscytujące życie.

Wayne przymknął oczy. Wayne ujrzał znaki: *Nienawiść/Miłość/Robota*.

– Wydajesz się zamyślony, synu. A tu nos twego tatuśka zwęszył dla ciebie taką szansę.

Wayne powiedział:

– Nie naciskaj na mnie. Bo wszystko spieprzysz.

(Las Vegas, 28 listopada 1966)

Kot grasował. Łóżko było całe jego.

Drapał w wezglowie. Drapał pościel. Drapał poduszkę Pete'a. Pete się obudził. Pete pocałował Barb. Pete zobaczył wielkiego siniaka.

Poszedł spać wcześniej. Barb poszła spać późno. Nie słyszał, jak przyszła.

Dotknął jej włosów. Pocałował jej siniaka. Ktoś zadzwonił do drzwi – Barb się nie obudziła.

Cholera – 7.40 rano.

Pete wstał. Pete założył szlafrok. Pete poszedł otworzyć. O, kurde – Fred Turentine.

Nastroszony Freddy – ledwo żywy, totalnie wykończony. W wystrzępionych kapciach. W pieprzonym szoku.

Ze sprzętem do nagrywania. Z taśmą. Z dr-dr-dr-dreszczami.

Pete wciągnął go do środka. Pete capnął sprzęt. Pete zamknął drzwi. Fred odzyskał władzę w nogach. Fred opanował dreszcze i drgawki.

– Byłem na stanowisku podsłuchowym. Przesłuchiwałem taśmy z zeszłej nocy, materiały z apartamentów. I usłyszałem o tym nieszczęściu z Domem i Salem Mineo.

Chwila, moment. O jakim...

Pete uprzątnął krzesła. Pete rozłożył sprzęt. Pete podłączył magnetofon. Pete założył taśmę.

Podkręcił dźwięk. Wcisnął „Play”. Usłyszał szum zakłóceń. Usłyszał miarowe pikanie – brak głosu, który by włączył nagrywanie.

Wreszcie – głos Sala/ pstryknięcie/ sprzęt uruchomiony.

„Dom... ej... ty porąbańcu, to mój port...”

Dom: „...nie to, co... tylko patrzę... ten numer tele...”.

Sal: „Ty pojechańcu. Ty pierdolony lachociągu”.

Dom: „Sam jesteś lachociąg. Ciągniesz moją grubą lachę, jak tylko trafi ci się okazja, ty popieprzony obciąg...”.

Odgłosy demolki/ sapanie/ stukot. Odgłosy z kuchni/ odgłosy szuflad/ tłuczone szkło.

Stukot. Brzęczenie *noży*. „Sal, nie nie nie”. Skamlanie/ bulgotanie/ zdławiony oddech.

Cisza. Miarowe pikanie. Szum zakłóceń. Szlochy. Pedalskie zawodzenie. Stukot.

Sal: „Błagam błagam błagam. Boże, błagam błagam błagam”.

Szlochy. Wzdychanie. Sapanie i modły – papieskie pieprzenie: „Boże, w swej miłości niezmierny, wejrzyj na mój żal...”.

Pete dostał gęziej skórki. Jaja mu się skurczyły. Włosy na karku stanęły. Wcisnął „Stop”. Chwycił zapasowe klucze do bungalowów. Chwycił spluwę.

Wyszedł na zewnątrz. Sprawdził parking. Rozejrzał się po domkach. 8.00 rano/ zaparkowane wozy/ cisza i spokój.

Sal przyleciał do Vegas. Dom przybył na ich miejsce schadzek. Dom zawsze jeździł do klientów autem.

T-bird Doma: brak.

Pete podszedł. Teraz spokojnie – oto i pieprzalnia. Spokojnie – sprawdź drzwi.

Sprawdził. Zamek trzymał mocno. Wyciągnął klucze. Otworzył. Wszedł. Zobaczyć:

Różowe wykładziny – grube i miękkie – spryskane krwią. Kartony po pizzy. Puszki po piwie. Niedojedzone brzegi pizzy na talerzach. Poprzewracane fotele. Poprzewracane stoliki. Białe ściany i wyszorowane do różowości czerwone plamy.

Pete zamknął drzwi. Pete ruszył do kuchni. Pete sprawdził zlew.

Ajax. Gąbka. Odpływ zatkany mięsem. Mięsem z *narządów* – upstrzonym włosami – wymieszany ze skórą o makaroniarskiej karnacji.

Cioty zabijały po rzeźnicku. Cioty zabijały metodycznie. Cioty zabijały *buon gusto*.

Pete sprawdził łazienkę.

Brak zasłonki prysznicowej/ noże w sedesie/ noże w umywalce. Kropki na podłodze/ luźne włosy ze szczotki/ maty łazienkowe wyszorowane do różowości.

Odcisk kciuka na ścianie. Wciąż widoczne fragmenty linii papilarnych. Całość wyszorowana do różowości.

Pete przeszedł się po apartamencie. Pete odnotował szkody. Pete zyskał

ogólny pogląd. Pete zamknął drzwi na klucz. Pete wrócił. Pete otworzył swój apartament.

A tam Fred T.

Żłopie Jacka Daniel'sa. Wcina chrupki kukurydziane. Już z nim wszystko w porządku. Już wyszedł z szoku. Już się zdążył nawalić.

Fred się zaśmiał. Fred opluł się whisky. Opluł się chrupkami.

– Węszę w tym wielkie możliwości. Sal jest kandydatem do Oscara.

Pete wyciągał szuflady. Znalazł wreszcie swój polaroid. Wyjął go i założył film.

Fred powiedział:

– Mam nadzieję, że zachował ptaka Długiego Doma. Przydałby mi się przeszczep.

Obudziła się Barb. Pete ją usłyszał. Usłyszał szelest jej pościeli.

Fred powiedział:

– Nigdy nie lubiłem Doma. Była w nim ta arogancja, która zawsze idzie w parze z wielkim fiutem.

Pete go złapał. Pete ścisnął go za nadgarstki.

– Zagadaj Barb. Zatrzymaj ją tu, dopóki nie cyknę paru fotek.

– Pete... Jezu... daj spokój... przecież jestem po twojej stronie.

Pete wykręcił mu nadgarstki.

– Trzymaj gębę na kłódkę, dopóki się z tym nie uporam. Nie chcę, żeby zaczęto o tym gadać w Cavern.

– Pete, Pete, Pete. Znasz mnie. Wiesz, że jestem jak ten pieprzony faraonowy Sfinks.

Pete go puścił. Pete wyszedł. Pete przebiegł przez parking. Pete dotarł znów do bungalowu.

Otworzył drzwi. Wszedł. Zaczął robić zdjęcia. Polaroidem – dwanaście kolorowych fotek.

Cyknął odcisk kciuka. Cyknął plamy krwi. Cyknął mięso. Cyknął różowe wykładziny. Cyknął noże. Cyknął krwawe kropki.

Zrobił dwanaście zdjęć. Aparat je wywoływał. Aparat furczał. Wypluwał wilgotne odbitki.

Przeszukał odpływy. Załadował nowy film. Cyknął kolejne zdjęcia:

Kciuk Doma – uwięziony w kratce odpływowej. Sztuczny penis/ fajka do haszyszu/ resztki haszyszu.

Wysuszył odbitki. Rozłożył je na kanapie. Złapał telefon. Zadzwoił

bezpośrednio do LA.

Trzy sygnały – *bądź tam...*

– Otash.

– Tu Pete, Freddy.

Otash się roześmiał.

– A już myślałem, że jesteś na mnie wściekły. Ta sprawa z Littellem, pamiętasz?

Pete zakaszłał. Serce mu podskoczyło. Puls przyspieszył.

– Nie jestem pamiętliwy.

Otash zarechotał.

– Jesteś kłamliwym jebanym żabojadem, ale ci odpuszczę przez wzgląd na dawne czasy.

Pete zakaszłał. Serce mu podskoczyło. Puls przyspieszył.

– Znasz Sala Mineo?

– No, znam Sala. Wyciągnąłem go raz z szamba z jakimś nieletnim chłoptasiem.

– Znow wdepnął w szambo. To robota dla dwóch, wyjaśnię ci, jak się zobaczymy.

Otash zagwizdał.

– On jest w Vegas?

– Myślę, że jedzie właśnie z powrotem do LA.

– A kasa?

– Przyciśniemy go i coś wykombinujemy.

– Kiedy będziesz?

– Złapię samolot w południe.

– No to do zobaczenia w moim biurze. I przywieź trochę grosza, w razie gdyby Sal gównem dał z siebie wycisnąć.

Pete się rozłączył. Zatrzęsły się drzwi. Stuknęły zapadki w zamkach. Weszła Barb. Pete powiedział:

– O, cholera.

Barb się rozejrzała. Barb co nieco ujrzała. Barb poczuła zapach. Dotknęła stopą plamy na dywanie. Schyliła się. Ścisnęła w palcach włosie. Powąchała. Skrzywiła się. Powiedziała:

– O, cholera.

Pete się jej przyglądał. Barb potarła policzek. Rozejrzała się dokoła. Spostrzegła plamy na ścianach. Spostrzegła zdjęcia.

Zacząła im się przyglądać. Obejrzała całe dwa tuziny. Podniosła wzrok na Pete'a.

– Sal czy Dom? Fred nie chciał powiedzieć.

Pete wstał. Puls mu przyspieszył. Chwycił oparcie fotela. Przytrzymał się. Popatrzył na policzek Barb. – Co ci się stało w twarz?

Barb się skrzywiła.

– Wayne się postarał, żebyś zwróciła na niego uwagę.

Pete trzymał się fotela. Pete wbił paznokcie. Pete wyrwał kawałek tkaniny.

Barb powiedziała:

– Sama się o to prosiłam. Prosiłam się u ciebie, ale Wayne'owi zależy na mnie w inny sposób, dzięki czemu widzi to, czego ty nie dostrzegasz.

Pete przewrócił fotel. Cisnął nim o ścianę. Trafił w różowe plamy krwi.

– Jesteś moja. Nikt inny nie ma prawa do tego, żeby mu na tobie zależało, i nikt nie widzi w tobie nic, czego ja nie dostrzegłbym pierwszy.

Barb spojrzała na Pete'a. Barb spojrzała na poplamioną ścianę za jego plecami. Barb zamknęła oczy. Barb wybiegła. Wybiegła prosto na dwór, mijając Pete'a bez słowa.

Otash powiedział:

– Dom jest w bagażniku. Stawiam sześć do jednego.

Obserwacja z auta – wóz Freda O. – oparcia siedzeń odchylone do tyłu. Bąki Freda O. i jego kolońska.

Wylegiwali się. Namierzyli t-birda Doma. Namierzyli apartamentowiec Sala.

Pete powiedział:

– Stoi. Ja twierdzę, że wyrzucił go gdzieś na pustyni.

Otash zapalił papierosa. Zawirował dym. Pete się zaciągnął.

Barb wybiegła. Niech jej będzie. I tak wróci. Wayne ją uderzył. Wayne ją kochał. Wayne'owi wystrzelił pierdolony korek. Wayne kochał głupio. Wayne był porąbany. Wayne miał porąbane stosunki z kobietami. Wayne'a się wkrótce przycisnie. Wayne'owi wkrótce się przemówi do rozumu. Wcisnie mu się ten wystrzelony korek na miejsce.

Pete ziewnął. Pete się przeciągnął. Pete'owi zachciało się Fredowego szluga.

Wysprzątał bungalow. Zmył ściany. Spalił dywany. Zadzwonił do chłoptasia Doma. Udawał głupiego. „Gdzie jest Dom?”, spytał. Palant na to:

„He?”. Palant nie wiedział. Palant nie wiedział, jak odróżnić gówno od granitu.

Pogadał ze swoją obsługą hotelową. Nikt nigdy nie widział Sala. Wszystkie kwitki podpisywał Dom. Dom rezerwował apartament. To dobrze. To mu pasowało.

Otash powiedział:

– Sal się stacza. Która pieprzona gwiazda filmowa mieszka w pieprzonym apartamentowcu?

Pete rozejrzał się po ulicy. Jesteśmy w zachodnim Hollywood – w pieprzonych Himalajach Elegancji. – Chodzi ci o to, jaką może mieć kasę?

Otash podłubał w nosie.

– No właśnie. Po tym, jak wyda wszystko na męskie dziwki i prochy.

Pete strzelił palcami.

– Ma złotego rolexa.

– Na początek wystarczy.

Niebo pociemniało. Lunał deszcz. Otash podniósł szybę.

– Chcesz wiedzieć, co mnie martwi? Że gość być może spowiada się teraz ze wszystkiego jakiemuś pedalskiemu księżulowi albo ciotom w Gold Cup.

Pete strzelił kciukami.

– Siedzi gdzieś i pije. Masz to jak w banku.

– Dom jest w bagażniku. Czuję jego śmierdzącą dupę aż tutaj.

– Jest na pustyni. Stawiam stówę.

– Przyjmuję.

Pete wyciągnął banknot studolarowy. Nadjechał samochód. Pete rozpoznał kolor – ford, rocznik 1964, Sala.

Sal zaparkował. Sal wysiadł. Sal wszedł do środka. Pete dał znak Otashowi – wchodzimy na dziesięć.

Odliczali. Odliczali powoli. Doliczyli do dziesięciu. Wysiedli. Ruszyli. Pobiegli. Dotarli do drzwi. Wpadli na korytarz.

Oto i Sal. Przy swoich drzwiach. Wyciągnął klucz. Podbiegli. Pete go obszukał. Otash zwinął klucz.

Otworzył drzwi. Wepchnął Sala do środka. Pete złapał krzesło. Pete posadził Sala. Otash ściągnął mu zegarek.

– To, a do tego połowa honorarium za twój następny film. Taniocha jak na to, co dostaniesz w zamian.

Sal – twardziel:

– To taki kawał, no nie? Przysłali was z bractwa.

Pete powiedział:

– Dobrze wiesz, co to jest.

Sal – zuchwały:

– Jasne. To dowcip bractwa. Ty i Freddy wstąpiliście do Chi Alfa Omega.

Otash polerował rolexa.

– Pomyśl chwilę, koleś. Na pewno zaczaisz.

Sal – bystry:

– Kapuję. Prysnąłem z Cavern, nie regulując rachunku. Jesteście z agencji windykacyjnej.

Otash powiedział:

– Cavern. Tak. Dobry początek.

Sal – opanowany:

– Teraz już wiem. Narobiłem trochę bałaganu. Chcecie zapłaty za poczynione szkody.

Pete powiedział:

– Ciepło, ciepło.

Otash powiedział:

– Zaraz będzie gorąco.

Sal – spokojny:

– Tworzycie, chłopcy, dobrą drużynę. Jak ci komicy Abbot i Costello.

Pete westchnął:

– Czas nas goni.

Otash westchnął:

– Tak, a ja właśnie zacząłem myśleć nad ripostą.

Sal – mądrała:

– To takie trudne słowo, Freddy. Nauczyłeś się go chyba w szkole dla goryli.

Pete zapytał:

– Bagażnik czy pustynia?

Otash powiedział:

– Założyliśmy się. Ja twierdzę, że jest teraz przed domem.

Pete powiedział:

– Pustynia, mam rację? Zjechałeś z drogi zaraz za Vegas.

Otash powiedział:

– Jest jeszcze Griffith Park. Tyle tam wzgórz i jaskiń.

Pete powiedział:

– Widziałem jeden z filmów Doma. Jego mały miał chyba z metr długości.

Sal – odważny:

– Wzgórza, metry, pierdoły. Gadacie chyba po chińsku.

Pete zanucił kawałek *The Man I Love*. Otash po babsku machnął dłonią.

Sal – przenikliwy:

– Nie wiedziałem, chłopcy, że tacy jesteście. Jezu, to dopiero rewelacja.

Pete westchnął. Otash westchnął. Pete podniósł Sala. Pete go uderzył. Pete go upuścił.

Sal wypluł ząb. Ząb Sala trafił w marynarkę Pete'a. Otash uderzył Sala. Otash nosił sygnety. Otash porał mu skórę.

Sal otarł twarz. Sal wydmuchał nos. Sal napaskudził.

Pete powiedział:

– Wszystko może ci się upiec. Ja będę pilnował spraw w Vegas, Freddy będzie cię obserwował tutaj. Ja nie chcę plotek w Cavern, ty nie chcesz być oskarżony o zabójstwo.

Sal wytarł nos. Otash podał mu chusteczkę. Pete wyciągnął zdjęcia. Pete je rzucił – wprost na kolana Sala.

Popatrz na ten bajzel. Popatrz na te włosy w odpływie. Popatrz na krew. I na obcięty kciuk.

Sal ocierał rozcięcia na twarzy. Sal oglądał zdjęcia. Sal zrobił się szarozielony.

– Wiecie, naprawdę go lubiłem. Zły był z niego człowiek, ale potrafił też być słodki.

Otash rozmasował knykcie. Otash wytarł sygnety.

– Wolisz nas czy gliny?

Sal powiedział:

– Was.

Otash spytał:

– Gdzie on jest?

Sal powiedział:

– W bagażniku.

Otash narysował w powietrzu symbol dolara. Pete wypłacił – bagażnik/sześć do jednego.

Poleciał do domu. W samolocie bujało. Martwił się o Wayne'a i Barb.

Barb wciągała biały proszek. Wayne o tym wiedział. Wayne był zrozpaczony. Wayne kocha Barb. Wayne unika kobiet. Wayne to obserwator. Wayne to męczennik. Wayne ma porąbane stosunki z kobietami.

Dać Wayne'owi ostrzeżenie. Barb powiedziec delikatnie: *Znam cię – ja i tylko ja.*

Samolot wylądował. Vegas zarzyło się radioaktywnie. Pete wziął taksówkę do Cavern. Pete otworzył drzwi apartamentu.

Skoczył na niego kot. Pete podniósł go. Pocałował. Dostrzegł karteczkę z wiadomością.

Umieszczoną płasko na ścianie. Przyklejoną taśmą. Na wysokości oczu.

Pete,

na jakiś czas Cię opuszczam, żeby uporządkować pewne sprawy. Nie zamierzam się ukrywać. Zatrzymam się u mojej siostry w Sparcie. Muszę wynieść się z Vegas i znaleźć sposób na to, jak być z Tobą, podczas gdy Ty robisz to, co robisz. Nie jesteś jedynym facetem, który mnie zna, ale jesteś jedynym, którego kocham.

Barb

Pete podarł kartkę. Pete zaczął kopać ściany i regały. Pete przytulił kota. Pete pozwolił mu podrzeć koszulę.

(Las Vegas, 29 listopada 1966)

Moe Dalitz powiedział:

– Patrz.

Littell wyjrzał przez okno. Littell zobaczył czubków. Dziesięć pięter niżej. Czubki z aparatami. Czubki z dziećmiakami.

Moe powiedział:

– Myślę, że Hughes śpi w trumnie. Kombinują, że się obudzi o zmierzchu i w pelerynie zacznie rozdawać autografy.

Littell się zaśmiał. Littell pokazał „ćśśś”. Teraz cicho – tu się załatwia interesy.

Dziesięć metrów od nich. Dwa stoliki – spotkanie mormonów z podstawionymi właścicielami kasyn.

Moe się uśmiechnął.

– To mój pieprzony hotel i moja kurewsko wielka sala konferencyjna. Mam szeptać u siebie w domu?

Jakiś mormon się obejrzał. Moe uśmiechnął się i pomachał.

– Gojskie gównojady. Mormoni to prawie to samo co Ku Klux Klan.

Littell się uśmiechnął. Littell poprowadził Moe. Pokonali jakieś dziesięć metrów. Minęli trzy stoliki.

– Chcesz posłuchać najświeższych doniesień?

Moe przewrócił oczami.

– Dawaj. Tylko się streszczaj.

– A zatem krótko i słodziutko. Myślę, że uzyskamy naszą cenę. Teraz dyskutują o podatkach.

Moe się uśmiechnął. Moe poprowadził Littella. Pokonali jakieś dziesięć metrów. Minęli trzy stoliki.

– Wiem, że go nie lubisz, ale ten słynny gojski gównojad Wayne Tedrow Senior jest dla naszych planów postacią kluczową. Potrzebujemy jego związków zawodowych i musimy się postarać, żeby jego eks-kolesie

i mormoni ogółem nadal uczestniczyli w operacji odciągania podczas lotów czarterowych. Teraz posłuchaj, przekupiliśmy telewizję i gazety, żeby wycięły ten numer pod tytułem „Hughes pozbywa się z Vegas wpływów mafii”, i dlatego uważam, że powinniśmy zwerbować *więcej* czystych mormonów do odciągania, bo Hughes będzie się upierał przy zatrudnieniu mormonów na kluczowych stanowiskach kierowniczych, a ja nie chcę, by przy robocie kręcili się jacyś starzy odciągacze, bo wyglądałoby to podejrzanie, tym bardziej że możemy mieć niewinnych jak noworodki mormońskich gównojadów i *zwłaszcza* że zyski z odciągania mają przecież znacznie wzrosnąć.

Littell kombinował. Littell wyglądał przez okno. Littell widział rojących się czubków. Littell widział pismaków. Widział palantów przy straganach z przekąskami.

– Wzrośnie też gorączka w mediach.

Moe zapalił papierosa. Moe łyknął digitalis.

– Powiedz mi, co ci chodzi po głowie. Możesz trochę szerzej, jeśli będziesz musiał.

Littell kombinował – układał błyskawiczny plan. Złożyć propozycję/ przekonać Moe/ dopracować plan. Dać prezent panu Hooverowi/ zasłużyć w zamian na prezent od niego/ zasłużyć na powrót do CZARNEGO KRÓLIKA.

Moe przewrócił oczami.

– Jesteś w jakimś transie. Jakbyś dostał udaru od tego nevadzkiego słońca.

Littell zakaszłał.

– Dalej jesteś chroniony przed swoimi dawnymi odciągaczami?

– Przed tymi, których zastąpiliśmy? Tymi, których wymieniliśmy na mormonów?

– Zgadza się.

Moe przewrócił oczami.

– Zawsze się chronimy. Inaczej byśmy nie przeżyli.

Littell się uśmiechnął.

– Sypnijmy paru z nich federalnym, jak tylko pan Hughes przejmie kilka hoteli. To podeprze naszą kampanię w mediach, uszczęśliwi pana Hoovera i zaangażuje fedziów w procesy sądowe.

Moe rzucił papierosa. Moe przypalił gruby dywan. Moe zdusił niedopałek nogą.

– Podoba mi się to. Podobają mi się wszelkie akcje, które dają w dupę wyłączonego z interesów personelowi.

– Zadzwoń do pana Hoovera.

– Zrób to. Przywitaj się i przekaż mu nasze najserdeczniejsze pozdrowienia w ten swój najbardziej dopieszczony prawniczy sposób.

Osiem stolików dalej zagrzmiały głosy – stawki podatków/ ulgi podatkowe. Moe poprowadził Littella. Pokonali jakieś osiem metrów. Minęli dwa stoliki.

– Wiem, że rozmawiałeś o tym z Carlosem i Samem, ale chcę, żebyś usłyszał, jak to wygląda z mojej perspektywy: nie chcemy żadnej pieprzonej powtórki wyborów z 1960. Chcemy poprzeć mocnego człowieka, który ostro weźmie się za całą tę agitację i niepokoje społeczne i twardo będzie się trzymał w Wietnamie, a nas zostawi w cholerę w spokoju. Zaś co do tego wspomnianego już gojskiego gównojada Wayne’a Tedrowa Seniora, to pozwól mi powiedzieć jedno. Słyszeliśmy, że przestał już kugłować z tymi swoimi pamfletami nienawiści, wyczyścił co bardziej podejrzanе aspekty swojej działalności i razem ze swymi mormonami kuma się teraz z tym dobrze znanym odgrzewanym politykiem Richardem M. Nixonem, który zawsze nienawidził czerwonych bardziej niż tak zwanej mafii. Chcemy, żebyś pogadał z Wayne’em Seniozem i podpytał, czy Nixon będzie kandydował, a jeśli powie tak, to wiesz, czego chcemy i za co gotowi jesteśmy zapłacić.

Dziesięć stolików dalej zagrzmiały głosy – podatkowe przywileje/ kredyty podatkowe.

Littell odkaszlnął.

– Zadzwoń do niego, jak tylko...

– Zadzwońisz do niego w ciągu pięciu najbliższych minut. Spotkasz się z nim i wyłożysz sprawę. Każesz mu umieścić wtyczkę wśród ludzi Nixona i powiesz, że to ty zasiądziesz do rozmów z Nixonem, jeśli ten przebiegły sukinsyn zdecyduje się startować.

Littell powiedział:

– Jezu Chryste.

Moe powiedział:

– Ty i ten twój gojski zbawca. Też na swój sposób taki prezydencki typek.

Dziesięć stolików od nich zagrzmiały głosy – murzyńska higiena/ wyciszenie Murzynów.

Turniej golfowy T-Bird – dołek nr 10.

Gra się dłużyła. Matoły młóciły kijami. Starcy ciągnęli wózki. Littell popijał wodę sodową. Littell obserwował dołek nr 9.

Kobiety marnowały uderzenia. Kobiety chrzaniły odbicia po ziemi. Kobiety sypały piachem. Wszystkie tylko waliły w piłki – żadna nie grała tak jak Janice.

Zadzwoił do Wayne’a Seniora. Umówił się na spotkanie. Zadzwoił do pana Hoovera. Rozmawiał z jego asystentem. Obiecał wieści. Obiecał solidne informacje. Pana Hoovera nie było. Asystent powiedział, że go znajdzie. Asystent oddzwonił. Asystent powiedział: „Pan Hoover jest zajęty. Proszę pomówić z agentem specjalnym Dwightem Hollym – jest teraz w Vegas”.

Littell powiedział: „Dobrze”. Littell ocenił sytuację.

Pan Hoover uwielbia Dwighta. Dwight to jego *biegły*. Dwight się z tobą spotka i cię oceni. Urób Dwighta/ urób jego ocenę/ wkręć się z powrotem do CZARNEGO KRÓLIKA.

Zerwał się wiatr. Grający w golfa schrzaniłi uderzenia. Odbite po ziemi piłki zatoczyły szeroki łuk. Littell kombinował. Littell obserwował dołek nr 9.

Urobić Wayne’a Seniora. Zebrać informacje. Jego związek łamał prawo. Jego związek lekceważył ustawy o prawach obywatelskich. Zebrać rzeczne informacje. Zorganizować ich przeciek do Bobby’ego. Może teraz/ może później/ może w 1968.

Będzie wolny. Będzie na „emeryturze”. Bobby może wystartuje w wyborach prezydenckich. Zorganizować przeciek/ kontrolować przeciek/ nie dopuścić do odkrycia źródła.

Littell obserwował dołek nr 9. Wayne Senior szykował się do uderzenia. Schrzanił swoją kolejkę. Jedna piłka trafiła w bunkier. Jedna poleciała szeroko. Jedna potoczyła się po trawie i na tym koniec. Wayne się zaśmiał. Opuścił kolegów od golfa.

Podszedł żwawo. Littell zorganizował składane krzesło.

– Witam, Ward.

– Panie Tedrow.

Wayne Senior oparł się o krzesło.

– Interesy z panem robią się poważne. Każde słowo nabiera znaczenia.

– Będę mówił krótko. Za pięć minut wróci pan do gry.

Wayne Senior uśmiechnął się znacząco. Wayne Senior wyszczerzył się: o, kurczę.

– Pomyślałem, że popracujemy nad poprawą naszych stosunków. Moglibyśmy poużalać się nad pewną kobietą i zacząć właśnie od tego.

Littell pokręcił głową.

– Nie rozmawiam o swoich romansach.

– To szkoda, bo Janice robi to bez skrępowań.

Tuż obok przeleciała piłka. Wayne Senior zrobił unik.

Littell powiedział:

– Moi klienci będą potrzebowali parę osób do pracy w hotelach pana Hughesa razem z kilkoma nowymi kurierami. Chciałbym przejrzeć akta osobowe pańskiego związku i poszukać kandydatów.

Wayne Senior zakręcił swoim kijem.

– *Sam* ich poszukam. Ostatnim razem, jak ubiliśmy interes, moi ludzie porzucili związek, a ja straciłem udziały.

Littell się uśmiechnął.

– Wynagrodziłem tę szkodę.

– Wynagrodził pan, ale bardzo niechętnie, a poza tym jest pan ostatnim człowiekiem na tej ziemi, któremu udostępniłbym swoje akta. Dwight Holly uważa, że nie należy panu powierzać informacji, i zdaje mi się, że pan Hoover się z nim zgadza.

Littell zdjął i przetaił okulary. Obraz Wayne'a Seniora się zamazał.

– Słyszałem, że zaprzyjaźnił się pan z Richardem Nixonem.

– Dick i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy, to fakt.

– Myśli pan, że wystartuje w 1968?

– Jestem tego pewien. Wolałby walczyć z Johnsonem albo Humphreym, lecz dokopie i młodemu Kennedy'emu, jeśli będzie musiał.

Littell się uśmiechnął.

– Przegra.

Wayne Senior się uśmiechnął.

– Wygra. Bobby to nie Jack. Daleko mu do niego.

Tuż pod ich nogami potoczyła się piłka. Littell ją podniósł.

– Jeśli pan Nixon wystartuje, chciałbym, żeby umówił mnie pan z nim na spotkanie. Przedłożę mu prośby moich klientów, przemyślę jego odpowiedź i dalej sam się wszystkim zajmę. Jeśli pan Nixon zgodzi się spełnić prośby moich klientów, otrzyma stosowne wynagrodzenie.

Wayne Senior spytał:

– Ile?

Littell odparł:

– Dwadzieścia pięć milionów.

(New Hebron, 30 listopada 1966)

Klanowanie:

Klauni z Klanu taszczyli broń. Klauni z Klanu smarowali broń. Klauni z Klanu kombinowali.

Siedzieli w kółku. Pracowali pod dachem. Musieli się schronić przed gradem. Bunkier Führera – duszny od bąków i smaru do karabinów.

Wayne się wylegiwał. Bob Relyea pozbywał się numerów. Bob Relyea się wkurwiał.

– Moi łącznicy zaczynają się opierdalać. Chcą, żeby numery seryjne były wypalane, i mnie to nie przeszkadza, chociaż Pete’owi się nie podoba. Ale fakt, że mam robić to sam, to już, kurwa, całkiem inna historia.

Wayne patrzył. Wayne ziewał. Bob chwycił M-14. Bob chwycił pompki. Bob chwycił bazooki. Miał założone gumowe rękawice. Brał szczotkę. Wcierał żrącą papkę.

Wayne się przyglądał. Papka wyzerowała numery – kody z trzema zerami.

Bob mówił:

– Moi łącznicy obrobili kilka wojskowych ciężarówek niedaleko Memphis. Jest tam takie miasteczko, nazywane Białą Oazą, gdzie przenieśli się wszyscy biali, żeby nie mieć do czynienia z czarnuchami. Połowa z nich to wojskowi.

Wayne kichnął. Chemikalia drażniły mu nos. Wayne wylegiwał się i dumał. Wayne Senior/ załatwianie roboty/ „Mądra Nienawiść”.

Bob spytał:

– Wiesz, jak nazywa się mała siedząca nocą z paroma czarnuchami? Kierownik nocnej zmiany.

Klocki z klanu ryknęły śmiechem. Bob stłumił kichnięcie. Bob czyścił z numerów M-14. Do obozu zadzwonił Pete. Pete dorwał Wayne’a jakąś godzinę temu. Pete zweryfikował plany jego kręcenia się.

Nie będziesz nadzorował przerzutu broni. Nie popłyniesz na Kubę. Polecisz do Vegas/ spotkasz się z Sonnym/ przyciśniesz jednego wałkonka.

Bob pakował broń. Miał się zjawić Flash – Kadra w stanie gotowości. Kawalkada – New Hebron do Bay St. Louis.

Wayne wstał. Wayne przeszedł się po norze nienawiści. Ściany obwieszane nożami. Konfederackie flagi. Plakaty: George Wallace/ Ross Barnett/ Orval Faubus⁵⁸. Zdjęcia grupowe. Oto Rycerze Królewscy. Oto fotka z więzienia – trzech skazanych w „Legionie Gromu”. Rzeczeni skazańcy mieli na sobie więzienne łąchy. Rzeczeni skazańcy uśmiechali się szeroko. Rzeczeni skazańcy podpisali się na zdjęciu: Claude Dineen/ Loyal Binns/ Jimmy E. Ray.

Bob zapytał:

– Wayne, gadasz ty czasami ze swoim staruszką?

Ruszył na północ. Poleciał z Memphis do Vegas. Myślał o Janice. Myślał o Barb. Myślał o Wayne Seniorze.

Janice starzała się, zachowując siły. Dobre geny i silna wola współgrały z pragnieniami ciała. Barb starzała się szybko. Jej nałogi współgrały z pragnieniami, które się nie spełniały. Wayne Senior wyglądał staro. Wayne Senior wyglądał dobrze. Wayne Senior miał pragnienia zrodzone z mądrej nienawiści.

Janice utykała. Pewnie jeszcze więcej się teraz pieprzyła. Żeby pokonać ułomność. Żeby sobie zrekompensować.

Samolot wylądował. Wayne wysiadł zaspany – 1.10 w nocy.

Zszedł po schodkach. Ruszył za grupą zakonnic. Mijał tragarzy z wózkami.

Oto i Pete. Stoi przy wyjściu. Sterczy przy jakichś wózkach na bagaże. *Pali.*

Wayne złapał swoją torbę z ciuchami. Wayne podszedł, zaspany.

– Wyrzuć tego pieprzonego pa...

Pete pchnął wózek. Trafił Wayne'a w kolana. Przewrócił go. Wayne poleciał na wznak. Pete podbiegł. Pete postawił mu nogę na piersi.

– To jest ostrzeżenie. Mam gdzieś, co czujesz do Barb i co twoim zdaniem ona ze sobą wyprawia. Uderz ją jeszcze raz, a cię zabiję.

Wayne'owi gwiazdy zaczęły wybuchać przed oczami. Wayne zobaczył niebo. Wayne zobaczył but Pete'a. Wayne zassał powietrze. Połknął spaliny z samolotu. Odzyskał oddech.

– Powiedziałem jej coś, czego ty byś nie powiedział, i zrobiłem to, kurwa,

żeby ci pomóc.

Pete wyrzucił papierosa. Pete poparzył Wayne'owi szyję. Pete rzucił mu na pierś karteczkę.

– Zajmijcie się tym. Ty i Sonny. Barb wyjechała, więc będziemy udawać, że to się nigdy nie zdarzyło.

Przeszła jedna zakonnica. Zakonnica posłała im spojrzenie – wy poganie, natychmiast przestańcie!

Pete odszedł. Wayne usiadł. Wayne odetchnął głęboko. Nadeszli dwaj smarkacze. Zobaczyli leżącego Wayne'a. Zachichotali.

Wayne wstał. Wayne mijał tragarzy i wózki na bagaże. Wayne dotarł do budki telefonicznej.

Wrzucił monety. Wybrał numer. Usłyszał sygnał. Trzy dzwonki. Odebrał On.

– Komu to chce się dzwonić o tak nieludzkiej porze?

Wayne odparł:

– Wezmę tę robotę.

(Las Vegas, 1 grudnia 1966)

Na scenie: Milt C. i Narko Gorylek.

Milt zapytał:

– Co to za rejwach z tym całym Howardem Hughesem?

Narko odpowiedział:

– Słyszałem, że to ciota. Sprowadził się, żeby być bliżej Liberacego.

Tłum rechotał. Tłum ryczał ze śmiechu.

Milt mówił:

– Daj spokój. Słyszałem, że bzyka Avę Gardner.

Narko:

– To *ja* bzykam Avę Gardner. Prysnęła od Sammy’ego Davisa. A Sammy stoi na polu golfowym, ale nie gra, tylko duma. Podchodzi do niego taki jeden i pyta: „Jakiś problem?”. A Sammy na to: „Jestem półślepyim czarnym Żydem. Nikt nie chce mi sprzedać domu w porządnej okolicy. Chciałem być ucieleśnieniem zgody i pokoju pomiędzy Kongiem a Izraelem. A nie mam nawet gdzie powiesić jarmułki”.

Tłum rechotał. Milt poruszał ustami. Milt nie był najlepszym brzuchomówcą. Pete patrzył. Pete palił. Pete opłakiwał Barb.

Nie było jej od trzech dni. Nie zadzwoniła. Nie napisała. *On* też nie zadzwonił. I nie napisał. Zamiast tego przycisnął Wayne’a.

To było bez sensu. Wayne miał rację. Pete dobrze o tym wiedział. Barb uciekła. *On* to wykorzystał. Pozwalał sobie. Palił. Jadł hamburgery. Stosował dietę o nazwie „Pieprzyć to”. Chlał. Oglądał występy Milta C. Oglądał występy ekipy Barb. Barbarzyńcy minus Barb – do dupy.

Bar pękał w szwach. Głównie od młodzieży. Milt ściągał hipisowską smarkaterię.

Narko Gorylek mówił:

– Frank Sinatra uratował mi życie. Jego bandziory prały mnie na parkingu przed Sands. Frank powiedział: „Już wystarczy, chłopcy”.

Tłum rechotał. Pete palił. Jakiś dupek poklepał go po ramieniu. Pete się odwrócił. Zobaczył Dwighta Holly'ego.

Przeszli do biura Pete'a. Stanęli przy barku. Było im ciasno. Stali blisko siebie.

Pete powiedział:

– Dawno się nie widzieliśmy.

– No. Od 1964. Twój koleś, Wayne, zabił wtedy trzech asfaltów.

Pete zapalił papierosa.

– A ty jakoś sobie poradziłeś.

Dwight wzruszył ramionami.

– Wayne mnie załatwił, ale ty i Littell wszystko naprawiliście. Zapytaj mnie teraz, czy przyszedłem podziękować.

Pete nalał szkocką.

– Przyjechałeś przypadkiem do miasta i postanowiłeś do mnie wpaść.

– Niezupełnie. Przyjechałem do miasta spotkać się z Littellem, ale wolałbym, żebyś zachował to dla siebie.

Pete wziął łyk szkockiej. Dwight postukał się w pierś.

– Jak twoja pikawa?

– W porządku.

– Nie powinienes palić.

– A ty nie powinienes mnie wkurzać.

Dwight się roześmiał. Dwight nalał szkockiej.

– Co byś powiedział na to, gdybym cię poprosił o pomoc w złapaniu w pułapkę pewnego sympatyka komuchów?

– Robota twoja i pana Hoovera?

– Nie odpowiem na to pytanie ani tak, ani nie. Milczenie oznacza brak zaprzeczenia, więc wyciągnij własne wnioski.

Pete powiedział:

– Opowiedz mi o tym. Najpierw o pieniądzach.

Dwight zamieszał szkocką.

– Dwadzieścia kawałków dla ciebie. Po dziesięć dla twojej przynęty, dla twojego pomocnika i dla specja od podsłuchów.

Pete się roześmiał:

– Ward zna się na podsłuchach.

– Ward to król podsłuchów, ale ja wolałbym Freddy'ego Turentine'a

i wolałbym, żeby Ward się o niczym nie dowiedział.

Pete wziął popielniczkę. Pete zgasił papierosa.

– Podaj mi jeden powód, dla którego miałbym zrobić w ciula Warda i pomóc tobie.

Dwight rozwiązał krawat.

– Powód pierwszy, całe to szambo ma związek z Wardem. Powód drugi, to ma być numer na cholernie wysokim szczeblu i nie będziesz w stanie oprzeć się pokusie. Powód trzeci, siedzisz w Tym Życiu przez całe swoje życie i prędzej czy później coś spieprzysz, a wtedy wstawi się za tobą pan Hoover, bez zadawania zbędnych pytań.

Pete wziął łyk szkockiej. Pete wygiął szyję. Pete stuknął głową o ścianę.

– Kto to?

– Bayard Rustin, Murzyn, lat pięćdziesiąt cztery. Agitator na rzecz praw obywatelskich z zamiłowaniem do młodych białych chłopców. Jest jurny, jest wybuchowy, jest taki czerwony, że bardziej już nie można.

Pete stuknął głową.

– Kiedy?

– W przyszłym miesiącu w LA. W hotelu Beverly Hilton ma się odbyć impreza SCLC połączona ze zbiórką funduszy.

– To już niedługo.

Dwight wzruszył ramionami.

– Jedyne, co cię może opóźnić, to przynęta. Myślisz, że...

– Mam przynętę. Gość jest młody, jest atrakcyjny i jest ciotą. Zrobił coś, przez co może mieć kłopoty z prawem, więc...

– Więc pan Hoover tę sprawę załatwi, bez zadawania pytań.

Pete stuknął głową. Pete stuknął mocno. Aż zabolalo.

– Chcę Freda Otasha do pomocy.

– Zgoda.

– Plus Freddy'ego Turentine'a i dziesięć kawałków na koszt.

– Zgoda.

Pete'owi zaburczało w brzuchu. Szkocka mu nie służyła. Pete pomyślał o cheesburgerze.

Dwight się uśmiechnął.

– Szybko łyknąłeś haczyk. Myślałem, że będę musiał cię urabiać.

– Żona mnie zostawiła. Mam sporo wolnego czasu.

Otash powiedział:

– Sal dziś zaliczy. Stawiam sześć do jednego.

Obserwacja z auta – wóz Freda O. – oparcia foteli odchyłone mocno do tyłu. Bąki Freda O. i jego kolońska.

Obserwowali ulicę. Obserwowali samochód Sala. Obserwowali bar Klondike. Pete palił papierosa. Pete był wzdęty. Pete wsunął niedawno dwa cheesburgery.

– Jasne, że zaliczy. Jest w końcu jakimś gównem wartym gwiazdorem filmowym.

Wyleciał z Vegas od razu. Zadzwoił do Otasha. Wprowadził go w temat. Sprawdzili metę Sala. Sala nie było. Sprawdzili knajpy, które Sal lubił odwiedzać: 4-Star/ Uroczą Spelunka/ Biff's Bayou.

Gówno – brak wozu Sala/ brak Sala.

Sprawdzili Gold Cup. Sprawdzili U Arthura J. Sprawdzili Klondike – skrzyżowanie Ósmej i LaBrea.

Jest...

Pete powiedział:

– Jesteś pewien, że nam nie spieprzy?

– Ze sprawą *Doma* na karku? Pewnie, że jestem pewny.

– Powiedz mi dlaczego.

– Dlatego, że jestem jego nowym tatusiem. Dlatego, że jestem gościem, o którym co dzień myśli przy porannej kawie. Bo jestem gościem, który pozbył się Doma i jego pieprzonego wozu w dole z wapnem w pieprzonym Angeles Forest.

Pete odpalał papierosa od papierosa.

– W Vegas też wszystko na razie w porządku. Gliny się nie kręcą.

– Z Doma był niezły kombinator. Myślisz, że jego chłoptaś złoży doniesienie o zaginięciu?

Wyszedł Sal. Sal kogoś miał. Sal czepiał się ramienia krzepkiego młodego pedała.

Otash zatrąbił klaksonem. Pete włączył światła. Sal zamrugał. Sal dostrzegł samochód. Sal zostawił pedzia i podszedł.

Pete opuścił szybę. Sal oparł się o krawędź okna.

– Cholera. Jesteście dla mnie, chłopcy, jak dożywocie.

Pete mignął mu przed oczami fotką dla przypomnienia. Światło latarni padło na obcięty kciuk Długiego Doma. Sal zamrugał. Sal głośno przełknął.

Salowi zrobiło się niedobrze.

Pete powiedział:

– Lubisz czarny towar, no nie? Od czasu do czasu nachodzi cię ochota.

Sal machnął ręką – czarne fiutki/ *comme ci comme ça*⁵⁹.

Otash rzekł:

– Zamierzamy załatwić ci randkę.

Pete rzekł:

– To miły facet. Jeszcze nam podziękujesz.

Otash rzekł:

– Przystojniaczek. Taki ekstra.

Pete rzekł:

– I jest komunistą.

99

(Las Vegas, 2 grudnia 1966)

Czas na wycieczkę:

Przedostatnie piętro Desert Inn. Pod gawrą Wielkiego Draka. Littell jako przewodnik. Dwight Holly jako turysta.

Proszę bardzo:

Oto pompy krwi. Oto kroplówki. Oto zamrażarki. Batony. Pizza. Lody. Jest kodeina. Jest amfa. Jest dilaudid.

Dwight jest zachwycony. Dwight rechocze. Dwight obraża mormonów. Mormoni patrzą groźnie na fedzia.

Inwazja Wielkiego Draka – minął tydzień.

Zgromadzenie ustawodawcze uchyla przepisy antytrustowe. Zgromadzenie zapala zielone światło – ruszaj, Drak! Kupuj Desert Inn. Kupuj Frontier. Kupuj Sands. Kupuj dużo! Kupuj, ile chcesz! Kup Castaways. Nasyć się. Kup Silver Slipper.

Littell pootwierał okna. Dwight wyrżał. Dwight ujrzał czubków z transparentami: „Kochamy H.H.!”/ „Pomachaj nam!”/ „Hughes na prezydenta!”.

Dwight się roześmiał. Dwight postukał w zegarek – pora pogadać o interesach.

Szli. Przemierzali korytarze. Dotarli do magazynku. Włoczyli się pomiędzy pudła z dokumentami.

Littell wyciągnął swoją listę. Moe spreparował ją zeszłej nocy.

– To kurierzy-odciągacze. Łatwo postawić ich przed sądem.

Dwight udał, że ziewa.

– Czyli niepotrzebni, odstawieni na bok. Niemormońscy kurierzy, którzy mają odciągnąć uwagę od Drakuli i zapewnić ci wdzięczność pana Hoovera.

Littell skłonił głowę.

– Nie będę zaprzeczał.

– A niby czemu miałbyś to robić? Wiesz, że jesteśmy wdzięczni, i wiesz,

że postawimy ich w stan oskarżenia.

Littell złożył listę na pół. Dwight mu ją odebrał. Dwight wrzucił ją do swojej teczki.

– Myślałem, że będziesz próbował mnie zmiękczyć. No wiesz, gadką: „ty straciłeś brata, a ja przyjaciela”.

Littell zakaszłał.

– Minęło piętnaście miesięcy. Nie spodziewałem się, byś wciąż o tym myślał.

Dwight poprawił krawat.

– Lyle zagrał na dwa fronty. Przekazał niepochlebne dla Biura informacje komisji śledczej i Bobby’emu Kennedy’emu. Pan Hoover musiał usunąć kilka podsłuchów.

Littellowi szczęka opadła. To niewiarygodne! Zrobił wielkie oczy.

Dwight powiedział:

– Lyle, przyczajony liberał. Trudno mi było przywyknąć do tej myśli.

– Mogłem ci pomóc.

Dwight się roześmiał.

– Tak, znasz to z autopsji.

– Niezupełnie. Wiesz, że wolę knuć przeciwko liberałom, niż być jednym z nich.

Dwight pokręcił głową.

– Ty *jesteś* jednym z nich. To przez ten swój pokręcony katolicyzm. Uwielbiasz wielkie czyny, uwielbiasz lud, jesteś jak ten papież, który wstydzi się, że jego kościół zarabia pieniądze.

Littell ryknął śmiechem – Błękitny Króliku – *mon Dieu!*

– Pochlebiasz mi, Dwight. Nie jestem aż tak skomplikowany.

– Jesteś, jesteś. Dlatego pan Hoover tak cię lubi. Jesteś dla niego jak Bayard Rustin dla Marty’ego Kinga.

Littell się uśmiechnął.

– Bayard jest skomplikowany na swój własny sposób.

– Bayard to nieprzeciętny numer. Prowadziłem jego obserwację w 1960. Brał płatki cheerios i polewał pepsicolą.

Littell wciąż się uśmiechał.

– Bayard to dla Kinga głos rozsądku. King chce działać na zbyt szerokim froncie, a Bayard stara się go hamować.

Dwight wzruszył ramionami.

– King to rakietka. To jego pięć minut i on o tym wie. Pan Hoover się starzeje i objawia swoją nienawiść w najgorszy z możliwych sposobów. King peroruje, pieprzy o Mahatmie Gandhim, a pan Hoover to łyka. Boi się, że King spiknie się z Bobbym K., który to strach nie jest nieuzasadniony.

Błękitny Królik wykazał się przenikliwością. Błękitny Królik pokazał, że ma jaja. Błękitny Królik wątpił w pana Hoovera.

– Czy jest coś, co ja mógłbym zrobić?

Dwight pociągnął się za krawat.

– W sprawie dotyczącej doktora Kinga, nie. Pan Hoover uważa, że byłeś zbyt blisko związany ze śmiercią Lyle’a i tamtym zamachem bombowym w Bogalusie.

Littell wzruszył ramionami – *moi?*⁶⁰ – niby jak?

Dwight uśmiechnął się znacząco.

– Chcesz wrócić. Odcięto cię od CZARNEGO KRÓLIKA, i to cię gryzie.

Littell uśmiechnął się znacząco.

– Zastanawiam się, dlaczego pan Hoover kazał ci odebrać listę, skoro mogłem przesłać ją telegraficznie.

– Nie, wcale się nie zastanawiasz. Wiesz, że przysłał mnie, żebym sprawdził, co za brednie chodzą ci po głowie, i żebym rozszyfrował to twoje udawanie.

Littell westchnął – *passé* – naprawdę mnie *znasz*.

– Tęsknię za tą naszą grą. Powiedz mu, że choć jestem popieprzonym liberałem, to pozostaję po jego stronie.

Dwight puścił oko.

– Rozmawiałem z nim dziś rano. Zaproponowałem, żeby zlecił ci robotę w nawiązaniu do mojej oceny.

– To znaczy?

– Powiedziałem, że jesteś popieprzonym liberałem, który potępia podsłuchy, lecz mimo to uwielbia je instalować. I że nie miałbyś nic przeciwko zapluskwieniu dla nas szesnastu lokali mafii, żeby tylko pozostać w grze.

Littell poczuł mrowienie.

– Coś za coś?

– Jasne. Ty instalujesz pluskwy. Wynosisz się. My nie mówimy ci, gdzie się znajdują stanowiska podsłuchowe. Zaprzeczasz, że brało w tym udział Biuro, jeśli zostaniesz złapany, i punktujesz u pana Hoovera.

Littell powiedział:

– Zgadzam się.

Drzwi otworzyły się raptem. Wtargnęły zapachy: przypalona pizza/
rozlana krew/ lody.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.12.1966. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. (Aneks do akt OPERACJI CZARNY KRÓLIK). Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor, BŁĘKITNY KRÓLIK.

DYR.: Dzień dobry.

BK: Dzień dobry, sir.

DYR.: Zaczynij od Le Grand Pierre, który odtąd będzie znany jako WIELKI KRÓLIK.

BK: Wszedł do gry. Razem z Fredem Otashem i Freddym Turentine'em.

DYR.: Czy zwerbował już przynętę?

BK: Tak jest, sir. Wykorzysta młodego aktora o homoseksualnych skłonnościach, Sala Mineo.

DYR.: Jestem zachwycony. Młody Mineo genialnie wypadł w *Exodusie* i *Historii Gene'a Krupy*.

BK: To utalentowany młodzieniec, sir.

DYR.: Utalentowany i oddany miłości do własnej płci. Pozwalał sobie na związki z licznymi gwiazdoramii kina, w tym z Jamesem Deanem, zwanym „Popielniczką”.

BK: WIELKI KRÓLIK dokonał dobrego wyboru, sir.

DYR.: Kontynuujmy.

BK: WIELKI KRÓLIK ma jakiegoś haka na Mineo, lecz odmawia jego ujawnienia. Chce, by aktor był chroniony w razie aresztowania przez służby stojące na straży prawa, inne niż FBI. Myślę, że WIELKI KRÓLIK próbuje też przy okazji kupić ochronę dla siebie.

DYR.: On kupuje, my sprzedajemy. Byłbym zachwycony, mogąc udzielić ochrony WIELKIEMU KRÓLIKOWI i młodemu Mineo.

BK: Przekazałem WIELKIEMU KRÓLIKOWI listę faktów, które Mineo powinien zapamiętać. Chcemy, by był w stanie przekonać RÓŻOWEGO KRÓLIKA, że jest fanatykiem praw obywatelskich.

DYR.: To nie powinno być dla niego trudne. Aktorzy są moralnie

rozchwiani i psychicznie nie zrównoważeni. Trzymają się podsuniętych im w danej chwili scenariuszy z wielkim zapalem. To wypełnia ich wewnętrzną pustkę i daje wolę istnienia.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Kontynuujmy. Opisz mi swoje spotkanie z WOJUJĄCYM KRÓLIKIEM.

BK: Przede wszystkim muszę w końcu przyznać, że jest tak wszechstronnie utalentowany, jak pan zawsze twierdził. Jeśli chodzi o zaufanie, to nie wiem, czy jest go godzien, czy nie. Wydawał się szczerze wstrząśnięty, kiedy wspomniałem o rzekomych przeciekach informacji od mojego brata do Bobby'ego Kennedy'ego i komisji śledczej, mógł jednak wyćwiczyć taką reakcję zawczasu.

DYR.: Czy nadal jesteś przekonany, że twój brat nie napisał tamtej „Spowiedzi”?

BK: Bardziej niż kiedykolwiek. Choć teraz zaczynam dochodzić do wniosku, że nie była to robota WOJUJĄCEGO KRÓLIKA. Moim zdaniem istnieje spore prawdopodobieństwo, że zajął się tym ktoś z SCLC, kto wynajął prywatnego detektywa albo kogoś w tym rodzaju do przeszukania lokali i znalezienia podsłuchów, po czym postanowił wykorzystać śmierć mojego brata i wysłać tę „Spowiedź”.

DYR.: Zgadza się, że to możliwe.

BK: Uważam, że pańska ocena WOJUJĄCEGO KRÓLIKA jest zasadniczo trafna, sir. On żyje dla intrygi, gotów jest zdradzić swoje moralne przekonania, byle tylko móc uczestniczyć w wielkich czynach, a przy tym jest godny zaufania przynajmniej w pewnym ograniczonym zakresie i dlatego warto go wykorzystać.

DYR.: Czy zaproponowałeś mu zainstalowanie podsłuchów?

BK: Tak jest, sir. Przyjął tę propozycję natychmiast.

DYR.: Spodziewałem się tego.

BK: Cieszę się, że zaakceptował pan moją sugestię, sir. Opinia publiczna zwróciła się przeciwko inwigilacji elektronicznej, a podsłuchy w lokalach uczęszczanych przez przestępczość zorganizowaną są nam nadal potrzebne.

DYR.: Zmienię nieco twoje stwierdzenie. Potrzebne nam są tajne pluskwy, których łatwo będzie się wyprzeć, monitorowane przez ostrożnie dobranych agentów.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Jak opisałeś to zadanie?

BK: Wspomniałem o szesnastu miastach i o tym, że to operacja o drugim stopniu tajności. Wymieniłem restaurację U Lymana w Los Angeles, U Lombarda w San Francisco, Grapevine Tavern w St. Louis i parę innych.

DYR.: Czy wspomniałeś o szacownym hotelu El Encanto w Santa Barbara?

BK: Tak jest, sir.

DYR.: I jak zareagował WOJUJĄCY?

BK: Nie zareagował w ogóle. Najwyraźniej nie ma pojęcia, że Bobby Kennedy wynajmuje tam apartament.

DYR.: Ironia tej sytuacji wprost mnie zachwyca. WOJUJĄCY KRÓLIK zakłada podsłuchy w hotelowych pokojach Księcia Bobby'ego. I czyni to w przekonaniu, że apartament należy do jakiegoś barona zorganizowanej przestępczości.

BK: To kapitalny kawał, sir.

DYR.: WOJUJĄCY KRÓLIK to zagorzały Bobbyfil. Jesteś pewien, że nie wie o apartamencie Bobby'ego?

BK: Owszem, sir. Podpłaciłem dyrektora. Powiedział mi, że Bobby nigdy nie ujawnia, iż się tam zatrzymuje. Dyrektor wpuści Littella, żeby wykonał swoją robotę, i dopilnuje, by na ten czas usunięto z apartamentu wszelkie rzeczy osobiste Bobby'ego.

DYR.: Doskonały pomysł.

BK: Dziękuję, sir.

DYR.: Potrzebny nam dostęp do Bobby'ego. Jestem przekonany, że zaangażuje się on w niechlubny związek z CZERWONYM KRÓLIKIEM.

BK: W sprawie Bobby'ego już jesteśmy ustawieni, sir.

DYR.: Podobnie jak w sprawie RÓŻOWEGO KRÓLIKA, zakładając, że Sal Mineo przekonująco odegra swoją rolę.

BK: Jestem tego pewien, sir. Zatrudniłszy geja, żeby wrobił geja, co koniec końców musi przynieść genialne rezultaty.

DYR.: Chcę otrzymać zapasową kopię filmu. Każ ją sporządzić rano, nazajutrz po imprezie SCLC.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Każ zrobić dwie kopie. Jedną sprezentuję Lyndonowi Johnsonowi na urodziny.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Miłego dnia, Dwight. Z Bogiem.

BK: Miłego dnia, sir.

100

(Las Vegas, 5 grudnia 1966)

Wayne rozpracowywał zamek.

Korzystał z dwóch wytrychów. Poruszył zasuwkę. Szarpnął mocno w prawo. Dłużniczy patrol/ pokój nr 6/ motel Pustynny Świt.

Sonny stwierdził:

– Skurwiel ma zamiast imienia dwa nazwiska. Sirhan Sirhan.

Drzwi ustąpiły. Weszli do środka. Wayne stopą zamknął je z powrotem. Co za śmietnisko.

Brudne łóżko. Żadnych dywanów. Plakaty z wyścigów konnych/ strój dżokeja/ sterty kwitów poświadczających zakłady.

Sonny stwierdził:

– Skurwiel ma fioła na punkcie wyścigów.

W pokoju śmierdziało. Zapachy się mieszały. Rozlana wódka i stara chińszczyzna. Stary ser topiony i papierosy.

Wayne sprawdził toaletkę. Wayne powyciągał szuflady. Wayne przeglądał śmieci. Waciki nasączone preparatem przeciwtrądzikowym/ puste butelki po gorzale/ pety.

Sonny stwierdził:

– Skurwiel lubi chomikować.

Wayne wyciągał szuflady. Wayne szperał. Wayne przeglądał śmieci. Kwity wyścigowe i typowania. Listy wycofanych koni i traktaty nienawiści.

Traktaty wydane na tanim papierze. *Niepochoźące* od Wayne'a Seniora. Tekst i rysunki – antysemickie bzdury.

Jarmułki z symbolem dolara. Zakrwawione chusty modlitewne. Ociekające ropą kły. „Syjonistyczny Zakon Świń”/ „Wampiryczny Żyd”/ „Rakotwórcza żydowska machina”. Żydzi ze szponami zamiast rąk. Żydzi ze świńskimi racicami. Żydzi z mieczami zamiast fiutów.

Wayne przejrzał pobieżnie tekst. Autor się powtarzał. Żydzi rżnący Arabów. Arabowie poprzysięgający zemstę.

Sonny stwierdził:

– Skurwiel nie lubi mošków.

Tekst był nudny. Pełen błędów drukarskich. Na szerokim marginesie ciągnęły się odręczne notatki. „Zabić Zabić Zabić”/ „Śmierć Izraelowi!”/ „Syjonistyczne chuje muszą umrzeć!”

Sonny stwierdził:

– Skurwiel aż kipi od urazy.

Wayne rzucił ulotki. Wayne pozamykał szuflady. Wayne kopniakiem przewrócił krzesło.

– Damy mu dwie godziny. Wisi Pete’owi tysiąc z groszami.

Sonny żuł wykałaczkę.

– Wiesz, Barb prysła od Pete’a. Prawdę mówiąc, już dawno widziałem, że się na to zanoszą.

– Może to ja jej dopiekłem.

– Może ty, a może głupie zachowanie Pete’a. Może powiedziała: „Prześnij opychać herę współbraciom Sonny’ego albo zostawię cię w diabły, ty biały fiucie złamany”.

Wayne się roześmiał.

– To może do niej zadzwonimy i zapytamy?

– *Sam* sobie zadzwoń. To ty jesteś tym porąbańcem, który się w niej kocha, w dodatku zbyt tchórzliwym, żeby ją porządnie opierdolić.

Wayne się roześmiał. Wayne gryzł paznokcie. Wayne odgryzł kawałek jednego.

Przejście z Pete’em było bolesne. Pete posiniaczył mu jaja. Pete ustawił go do pionu. Wayne nie miał racji. Miał ją Pete. Wayne już to wiedział.

Zadzwoił do Wayne’a Seniora. Pogadali. Wayne Senior obiecał Robotę. „Dobra robota”/ „w swoim czasie”/ „wkrótce”. Może ją weźmie. A może nie. Był dłużny Pete’owi kręcenie się: Sajgon/Missisipi/przerzut.

Sonny powiedział:

– Jedźmy do LA. Znajdziemy Wendella Durfee’ego i odstrzelimy mu tę czarną dupę.

Wayne się roześmiał. Wayne gryzł paznokcie. Wayne skubał skórki.

Sonny powiedział:

– Zabijmy byle jakiego czarnucha z ulicy i powiedzmy, że to Wendell. Zatkasz niektóre gęby przynajmniej w tym temacie.

Wayne się uśmiechnął. Drzwi się zatrzęsły – a to co?

Drzwi się zacięły. Drzwi puściły. Kretyn wszedł. Młody gość/ śniady/ z szopą czarnych włosów.

Zobaczył ich. Zadrzał. Skulił się, jakby miał pełne gacie.

Sonny powiedział:

– Witaj, Ahabie-Arabie. Gdzie masz swojego wielbłąda, skurwielu?

Wayne zamknął drzwi.

– Wisisz Golden Cavern tysiąc sto sześćdziesiąt dolców. Wskocz z kasy albo brat Liston zrobi ci krzywdę.

Kretyn się kulił. *Nie róbcie mi krzywdy.* Zadarła mu się koszula. Wayne ujrzał sfluwę przy pasie. Wayne dorwał ją szybko. Pozbawił ją magazynka.

Sonny spytał:

– Jak to się stało, że masz dwa nazwiska?

Sirhan gestykulował. Ręce młóciły z prędkością błyskawicy. Wyglądał jak jakiś spieprzony semafor.

– Wybaczcie mi... ja często spadam z konia... na wyścigach... i często boli mnie głowa... Zapominam i gubię pieniądze, jak nie wezmę lekarstwa.

Sonny rzekł:

– Nie podobasz mi się. Powoli przypominasz mi Cassiusa Claya.

Sirhan zaczął coś pieprzyć po arabsku. Sirhan pieprzył śpiewnie. Sonny pochwalił się lewym prostym. Sonny trafił w ścianę. Sonny zrobił dziurę.

Wayne zakręcił sfluwą.

– Wiesz, brat Liston znokautował Floyda Pattersona i Clevelanda „Wielkiego Kota” Williamsa.

Sonny pochwalił się prawym prostym. Sonny trafił w ścianę. Sonny zrobił dziurę. Sirhan zajęczał. Sirhan wezwał Allacha. Sirhan zaraz opróżnił kieszenie.

Łupy: lizak/długopis/kluczyki do samochodu.
Setki/piąta/dziesięciocentówki.

Wayne zgarnął pieniądze.

Sonny spytał:

– Ty coś masz przeciwko Żydkom?

Wayne wpadł do Cavern. Wayne otworzył swój pokój. Wayne zobaczył list na toaletce.

Otworzył kopertę. Od razu poczuł Barb.

Wayne,

przepraszam za tamtą noc, mam nadzieję, że nie stałam się przyczyną zatargu pomiędzy Tobą a Pete'em. Powiedziałam mu, że miałeś do tego absolutne prawo, lecz on nie zrozumiał. Powinnam mu była powiedzieć, że rzuciłam się na Ciebie z nożem, co być może uświadomiłoby mu, jak nisko upadłam i jak rozsądnie Ty się zachowałeś.

Jestem tchórzem, bo nie napisałam bezpośrednio do Pete'a, choć zamierzam zaprosić go do Sparty na Gwiazdkę, żeby zobaczyć, czy uda się nas jeszcze uratować. Nienawidzę tych jego interesów, nienawidzę tej jego wojny i jestem tym większym tchórzem, że mu tego nie powiedziałam.

Tęsknię za Pete'em, tęsknię za kotem i tęsknię za Tobą. Pracuję w knajpie mojej siostry i wystrzegam się nałogów, w które wpadłam w Las Vegas. Zaczynam się zastanawiać, co trzydziestopięcioletnia była barowa tancerka i panienka od szantaży może zrobić z resztą swojego życia.

Barb

Wayne przeczytał list raz jeszcze. Wayne wychwycił subtelniejsze zapachy. Krem i mydło lawendowe. Ucałował list. Zamknął swój pokój. Poszedł do baru.

A tam Pete.

Pije. Pali. Trzyma na kolanach kota. Wpatruje się w Barbarzyńców – combo Barb bez Barb.

Wayne przywołał kelnera. Wayne dał mu list. Wsunął mu pięć dolarów. Pokazał na Pete'a. Kelner zrozumiał.

Kelner podszedł. Kelner położył list. Pete otworzył kopertę.

Przeczytał list. Wytarł oczy. Kot wbił mu pazury w koszulę.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

HOWARD HUGHES W VEGAS!

JEDYNE ZDJĘCIA Z KRYJÓWKI SAMOTNIKA!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 7.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

BRAK TROPÓW W SPRAWIE ZAGINIONEGO

TANCERZA-TAKSÓWKARZA

PRZYJACIELE APELUJĄ DO EWENTUALNYCH ŚWIADKÓW

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

OŚWIADCZENIE RZECZNIKA PRASOWEGO HUGHESA:

MILIARDER-SAMOTNIK ZAMIERZA „WZBOGACIĆ”, NIE

„ZMONOPOLIZOWAĆ” RYNEK HOTELOWY W VEGAS

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

FBI ARESZTUJE PODATKOWYCH KOMBINATORÓW
RZECZNIK HUGHESA CHWALI DYREKTORA HOOVERA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Chicago Tribune”:

KOLEJNE NALOTY NA POCZTOWYCH
MALWERSANTÓW Z POŁUDNIA
W PRZYGOTOWANIU: 22 AKTY OSKARŻENIA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Chicago Sun-Times”:

KING KRYTYKUJE DZIAŁANIA FBI NA POŁUDNIU
„TERROR KLANU, NIE MALWERSACJE POCZTOWE, POWINIEN
BYĆ DLA FBI PRIORYTETEM”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 15.12.1966. Podtytuł z „Los Angeles Times”:

KING POTĘPIA „LUDOBÓJCZĄ” WOJNĘ W WIETNAMIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.12.1966. Podtytuł z „Denver Post-Dispatch”:

RFK ZAPRZECZA POGŁOSKOM O STARCIE
W WYBORACH PREZYDENCCKICH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.12.1966. Nagłówek z „Boston Globe”:

NIXON UNIKA ODPOWIEDZI NA PYTANIE
O PLANY WOBEC BIAŁEGO DOMU

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Washington Post”:

PALĄCA KRYTYKA
ZAGRANICZNI DZIENNIKARZE POTĘPIAJĄ LBJ ZA
DWULICOWOŚĆ W ZAKRESIE PRAW OBYWATELSKICH
I WIETNAMU

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „San Francisco Chronicle”:

HOOVER ATAKUJE KINGA W KONGRESIE
BOJOWNIK O PRAWA OBYWATELSKIE NAZWANY „GROŹNYM
TYRANEM”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.12.1966. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

NEGOCJATORZY HUGHESA KLĘBIĄ SIĘ NA STRIPIE
PRZEJĘCIA HOTELI CORAZ BLIŻEJ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.12.1966. Nagłówek z „Washington Post”:
EKSPERCI OD POLITYKI WEWNĘTRZNEJ FORMUŁUJĄ OPINIĘ: J.
EDGAR HOOVER JUŻ SIĘ PRZEŻYŁ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.01.1967. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
TŁUMY GWIAZD ZAPOWIADAJĄ SWÓJ UDZIAŁ W ZBIÓRCIE
FUNDUSZY NA WALKĘ O PRAWA OBYWATELSKIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.01.1967. Nagłówek z „Dallas Morning News”:
JACK RUBY NIE ŻYJE – POKONANY PRZEZ RAKA

101

(Beverly Hills, 3 stycznia 1967)

Plakaty:

Dyrzymały w stylu Mau-Mau. Gołąbki pokoju. Uściśnięte murzyńskie ręce.

Plakaty rujnowały ściany. Ściany były wysokie. Sala balowa zdawała się wznosić aż do samego nieba. W sali balowej królowała kawa z mlekiem – delikutaśne pomieszanie ras.

Są sławne osobistości i są politycy. Są czarne matrony. Jest Marty K. Jest Burl Ives. Jest „Banana Boat” Belafonte.

Pete obserwował. Pete palił. Dusił się w ciasnym smokingu. Otash obserwował. Otash palił. Dusił się w ciasnym smokingu.

Wyposażenie sali – podium i mównica. Balowe krzesła i godna balu strawa. Parujące tace – delikutas z kurczaka à la szwarc.

W tłumie plątali się gliniarze. Wyróżniały ich tanie garnitury. Snuli się kelnerzy. Kelnerzy taszczyli tace. Kelnerzy częstowali delikutasami.

Pete stosował swoją „Pieprzyć to” dietę. Pete wsuwał klopsy. Pete wsuwał pasztet. Pete wsuwał pigmejskie porcje delikutasów.

Jest burmistrz Sam Yorty. Jest gubernator Pat Brown. Jest Bayard Rustin – wysoki i chudy – patrzcie tylko na ten kraciasty smoking. Jest Sal Mineo – snuje się – patrzcie tylko na to pedalskie bóstwo.

Jest i Rita Hayworth. A *ja* kto wpuścił? Wygląda, jakby chciała się urząnąć.

Otash spytał:

– Nie przyszło ci do głowy, że się tu rzucamy w oczy?

Pete zapalił papierosa.

– Raz albo dwa.

– Rita wygląda już na zaprawioną. Jakies dziesięć lat temu miałem z nią przelotny romansik. Rude przeważnie brzydko się starzeją, nie włączając w to Barb.

Pete przyglądał się Ricie. Rita dostrzegła Otasha. Rita wzdrygnęła się

i cofnęła.

Poleciał do Sparty. Spędził tam Gwiazdkę. Pobył z żoną. Kochali się. Klócili się. Barb z błotem mieszała jego „wojenny interes”.

Barb przestała niuchać „H”. Barb przestała brać piguły. Barb promieniała, nie to co Rita. Przy Barb przyspieszał mu puls. Barb go dobiła. Barb powiedziała wprost: nienawidzę narkotyków. Nienawidzę pracy w barach. Nienawidzę Vegas. Nie stoczę się znowu. Nie wrócę tam.

Zmienił front. Wymyślił kompromis. Zaryzykował. Powiedział: „Będę pracował w Milwaukee. Będę handlował białym proszkiem tutaj. Na stałe zamieszkamy w Sparcie”.

Barb go wyśmiała. Barb powiedziała: „Nigdy w życiu”.

Rozmawiali. Klócili się. Kochali. Znów zmienił front. Znów zaryzykował. Znów wymyślił kompromis. Powiedział: „Wycofam się z Wietnamu. Przekażę Farmę Tygrys Johnowi Stantonowi. John będzie kierował/ Wayne będzie się kręcił/ Mesplède im pomoże”.

Barb się z nim drażniła. Mówiła: „Ty uwielbiasz Wayne’a”. Mówiła: „On mnie uderzył”. W porządku – on *zna* ciebie – wygrałaś.

Wypracowali rozejm. Opracowali plan. Omówili szczegóły. Powiedział: „Zostanę w Vegas. Będę prowadził Taxi Tygrys. Będę prowadził Cavern. Nie tknę prochów. Zadbam tylko o transport. Muszę – zrobiło się gorąco – Drak wywołał spory szum i ściągnął uwagę. Będę pracował w Vegas i przyjeżdżał do ciebie do Sparty”.

Barb kupiła ten plan. Ten plan kładł nacisk na Wietnam. Ten plan kładł nacisk na jego odejście z *tej* roboty.

Kochali się. Przypieczętowali układ. Wybrali się na przejażdżkę pieprzonym skuterem śnieżnym. Pieprzona Sparta w Wisconsin – luteranie i choinki...

Pete rozglądał się po sali balowej. Pete rozglądał się po parkiecie. Sal M. spojrzął w jego stronę. Sal M. odwrócił wzrok.

Chłoptaş Doma zgłosił zaginięcie. Nad sprawą pracował WPLV. Napisali nawet o tym w gazetach. Do Cavern zawitali gliniarze. Pete ich przekupił. I zaraz przestali zajmować się tą sprawą.

Otash pilnował Sala. Sal nauczył się scenariusza. Łatwizna: wprost *kooocham* prawa obywatelskie! Otash popracował z Dwightem Hollym. Przerobili nieco chatę Sala. Przebudowali jedną z garderób. Powiesili lustro fenickie i zainstalowali kamerę. Skierowali ją na łóżko Sala.

Fred T. pomagał. Fred T. umieścił pluskwy w lampach. Fred T. umieścił pluskwy w sprężynach łóżka.

Pete rozglądał się po sali balowej. Rozglądał się po parkiecie. Kręciły się sławne osobistości. Osobistości kleiły się do Kinga.

Otash spytał:

– Czytałeś gazetę? Jack Ruby wykorkował.

– Czytałem.

– Znałeś go od dawna. Sam G. coś wspominał.

Sal spojrział w ich stronę. Pete dał mu znak – *do boju*.

Sal dorwał kelnera. Sal złapał drinka. Sal wypił duszkiem. Zrobił się czerwony. Wmieszał się w tłum. Odszedł.

Pedalski Alert – Bayard Rustin – dziesiąta wieczór i napalone pedzie. Bayard Rustin ma adoratorów – Burl Ives i jeszcze jakichś dwóch. Sal się zbliża.

Sal widzi Bayarda. Bayard widzi Sala. Dwa uśmiechy, dwoje rozedrganych ust. Gra muzyka. *Strangers in the Night. Some Enchanted Evening.*

Burl się wkurza. Co to za śmieć? To ja od dawna jestem sympatykiem lewicy. Sal rzucił „cześć”. Sal się oddalił. Wzrok Bayarda podążył za jego pupą.

Otash powiedział:

– Chwycił.

Rozbrzmiał dzwonek. Czas na wyżerkę. Czas na pigmejskie porcje bankietowego jadła.

Grupki się rozproszyły. Goście ruszyli do stołów. Wzrok Sala podążył za Bayardem. Sal usiadł blisko.

Bayard go spostrzegł. Bayard zapisał coś na serwetce. Pat Brown ją podał. Sal przeczytał. Sal poczerwieniał. Sal przekazał odpowiedź.

Pete powiedział:

– Mamy ich.

Zabijali czas.

Przeszli do sali obok. Napili się whisky. Wyżłopali koktajle owocowe z rumem. Wsunęli marynowaną kurzą wątróbkę.

Wszędzie snuły się gliny. Gliny wymieniały poglądy:

Kolacja z głowy. Ta przemowa Kinga. King ma pianę na ustach. To

komuch. Już ja to wiem. Pacyfiści go uwielbiają. A mnie szlag trafia. Mój syn jest w Wietnamie.

Włączył się telewizor. Barman zmieniał programy. Barman wyłączył głos. Na trzech kanałach relacje z wojny. Helikoptery i czołgi. Na dwóch innych – czerwony King.

Pete spojrzął na zegarek. Była 22.16. W oczekiwaniu na pedalską ruję. Otash wrębał talerz chińszczyzny. Pas od smokingu zrobił mu się za ciasny.

22.28.

Wchodzi Sal. Sal siada. Sal nie zwraca na nich uwagi.

22.29.

Wchodzi Bayard. Bayard siada. Bayard wita się z Salem: „Jak się masz, chłopcze! Jestem twoim *zagorzałym* wielbicielem!”.

Otash wstał. Pete wstał. Pete chwycił szaszłyk z krewetek na drogę.

Przygotowanie:

Wpadli do mieszkania Sala. Przewietrzyli swoją garderobę. Przygotowali kamerę. Załadowali film. Siedzieli spokojnie. Czekali.

W garderobie było gorąco. Zaczęli się pocić. Rozebrali się do szortów i skarpetek.

Siedzieli spokojnie. Pogasili lampy. Tarcze ich zegarków fosforyzowały.

23.18. 23.29. 23.42.

Bach! Światło pod drzwiami. Gdzieś w bok od sypialni – na prawo.

Pete ustawił kamerę. Otash nawinął film. Więcej światła/ lampy w sypialni/ oświetlenie górne.

Wszedł Sal. Zaraz za nim Bayard. Śmiali się. Dotykali. Ocierali biodrami. Bayard pocałował Sala. Otash się skrzywił. Sal oddał pocałunek.

Pete poprawił kamerę. Pete wycelował w łóżko. Trafił w dziesiątkę – półzbliżenie.

Sal mówił:

– Martin umie przemawiać, ale ty za to jesteś przystoj...

Sal urwał. Sal zamilkł – co, do kur...

Jego głos wibrował. Niósł się echem. Jego głos dudnił basem. Piszcział cienko. Odbijał się w całej sypialni.

O, KURWA...

Za mocny sygnał. Sprzężenie. Mikrof...

Bayard się szarpnął. Bayard odskoczył. Rozejrzał się szybko dokoła.

Zajodłował. Krzyknął:

– Ha-looo!

Odpowiedziało echo.

Sal złapał go za kark. Sal rzucił się do całowania. Sal ścisnął go za tyłek. Bayard go odepchnął. Sal wpadł na łóżko. Oderwał się ukryty w sprężynach mikrofon.

Spadł na podłogę. Podskoczył. Potoczył się. Zatrzymał.

Pete rzucił:

– O, cholera.

Otash rzucił:

– O, kurwa.

Bayard wrzasnął:

– Ha-looo! J. Edgar! – Odpowiedziało echo.

Sal złapał poduszkę. Sal ukrył twarz. Sal wymiękł jak ciota. Sal wierzgał nogami.

Bayard rozejrzał się wokół. Bayard spostrzegł lustro. Bayard podbiegł.

Uderzył w szkło.

Wbił pięści.

Wyszarpnął ręce z powrotem.

102

(Silver Spring, 6 stycznia 1967)

Odwiedziny w banku:

Bank of America. Południowa część stolicy. Dziesięcinowy kanał przerzutowy nr 3.

Littell wypisał bankowy dowód wpłaty. Littell wypisał czek. Littell podpisał kopertę.

Siedem kawałków – wpłata gotówki świętej Drakowi. Pięć kawałków – wypłata dziesięciny. Darowizna od „Richarda D. Wilkinsa” – dziesięcinowy pseudonim nr 3.

Littell stanął w kolejce. Littell dotarł do kasy. Pokazał wypisane przez siebie kwitki i książeczkę czekową. Kasjer się uśmiechnął. Kasjer wypełnił papierki. Kasjer podbił mu czek.

Littell sprawdził saldo. Schował czek. Zakleił kopertę. Wyszedł. Lawirując pomiędzy zaspami, znalazł skrzynkę pocztową.

Wrzucił kopertę. Rozejrzał się za ogonami. Teraz tak już było zawsze.

Nic. Ogonów brak. *Wiedział*, że tak będzie.

Pozostał na dworze. Tak było przyjemniej. Chłodne powietrze niesło orzeźwienie. Był zmęczony. Miał mnóstwo roboty – działania zlecone przez Biuro.

Objechał szesnaście miast. Założył szesnaście podsłuchów. Zapluskwił szesnaście miejsc spotkań mafii. Pracował solo. Fred T. był zajęty. Fred T. pracował z Fredem O. On sam wziął urlop. Drak się nie sprzeciwił. Znalazł sobie zastępstwo wśród mormonów.

Mormoni targowali się w Vegas. Mówili: „Sprzedajcie nam Desert Inn”. Mówili: „Sprzedajcie nam inne hotele”.

Latał tu i tam. Zakładał podsłuchy. Dzwonił do Moe D. Moe się podniecał. Moe mówił: „Oskubiemy Draka – *wiem to*”.

Latał tu i tam. Chicago/ Kansas City/ Milwaukee. St. Louis/ Santa Barbara/ LA. Dopieszczał plany. Poleciał do LA. Zaczął działać.

Przejrzał dokumenty Jane. Przesiał brudy. Zgromadził gnój na podrzędnych gangsterów – tylko tych ze Wschodniego Wybrzeża.

To były pierwszorzędne informacje w stylu Arden. Szczegóły na temat porwań i zabójstw na zlecenie. Dane dla niego bez znaczenia. Niepowiązane z księgami Funduszu Emerytalnego. Niepowiązane z: Carlosem/ Samem G./ Johnem Rosellim/ Jimmym/i innymi.

Spisał na maszynie fakty. Nie rozwodził się. Wyciągnął kartkę. Wyleciał znowu. Wyruszył w podróż. Zapluskwił kolejne miejsca spotkań. Zaliczył San Francisco/ Phoenix/ Filadelfię. Zaliczył Waszyngton i Nowy Jork.

Zatrzymał się na Manhattanie. Wziął pokój w hotelu. Posłużył się pseudonimem. Zmienił swój wygląd. Zadbał o szczegóły.

Kupił sztuczną brodę w kolorze siwoblond. Doskonałej jakości. Ukrywała blizny. Zmieniała kształt twarzy. Postarzała o dziesięć lat.

Widział się z Bobbym tylko raz. Widział się z nim na trzy dni przed Dallas. Bobby go zapamiętał. Bobby wiedział, jak wygląda.

Kupił ubranie robocze. Kupił szkła kontaktowe. Obserwował kwaterę Bobby'ego: wieżowce ONZ/ stara cegła/ w bok od Pierwszej Alei.

Pogadał z portierem. Portier znał Bobby'ego. Portier powiedział, że Bobby się kręci. Bobby lata na Południe, lata do Waszyngtonu, wraca do Nowego Jorku.

Littell obserwował. Littell czekał. Bobby zjawił się po dwóch dniach. Bobby przywiózł ze sobą młodego asystenta.

Chudy chłopak. Ciemne włosy, okulary. Chłopak wydawał się bystry. Chłopak wielbił Bobby'ego. Chłopak podlizywał mu się obrzydliwie.

Przechadzali się po East Side. Wyborcy machali. Chłopak odsuwał krzykaczy i wazeliniarzy. Littell szedł za nimi. Littell był blisko. Littell słyszał, co mówił Bobby.

Chłopak miał samochód. Littell spisał numery. Littell sprawdził je w drogówce. Chłopak to: Paul Michael Horvitz/ lat 23/ zamieszkały w Waszyngtonie.

Kasjerzy wyszli. Strażnik zamknął bank. Spadł śnieg. Zrobiło się zimno. Littell nie czuł chłodu.

Przygotował się. Popracował nad specyficznymi gestami. Skombinował nowe ciuchy. Zmienił akcent na południowy.

Tweedowy garnitur. Batystowa koszula. Broda/ seplenienie/ afektowana

postawa.

Zjawił się wcześniej. Sam wybrał lokal: U Eddiego Changa. Światło tu było słabe. Takie światło to dobry kamuflaż.

Zajął miejsce w boksie. Rozsiadł się wygodnie. Zamówił herbatę. Obserwował drzwi. Zerkał na zegarek.

Oto i Paul.

Godzina 20.01. Jest punktualny. Jest młody i szczery. Littell przygotował się na jego przyjęcie – bądź stary/ bądź afektowany.

Paul rozejrzał się dokoła. Paul ujrzał pary. Paul ujrzał jednego samotnego mężczyznę. Podszedł. Usiadł. Littell od razu nalał mu herbaty.

– Dziękuję, że przyszedłeś, mimo że nie dałem ci wiele czasu.

– Cóż, pański telefon mnie zaintrygował.

– Miałem nadzieję, że tak będzie. Młodzi ludzie, tacy jak ty, często otrzymują dwuznaczne propozycje, lecz to z pewnością nie jest jedna z nich.

Paul zdjął płaszcz. Paul rozwiązał szal.

– To senator Kennedy otrzymuje propozycje, nie ja.

Littell się uśmiechnął.

– Nie to miałem na myśli, chłopcze.

– Zrozumiałem, co pan miał na myśli, lecz wolałem to zignorować.

Littell się wyciągnął. Littell zabębnił o stół.

– Wyglądasz jak Andrew Goodman, ten biedny chłopiec, który zginął w Missisipi.

– Poznałem Andy’ego w szkole COFO⁶¹. Sam omal wtedy nie zginąłem.

– Cieszę się, że do tego nie doszło.

– Pan stamtąd pochodzi?

– Jestem z De Kalb. To mała miejscina pomiędzy Scoobą a Electric Mills.

Paul napił się herbaty.

– Jest pan jakimś lobbyistą, prawda? Wiedząc, że niełatwo jest dotrzeć do senatora, postanowił pan znaleźć sobie ambitnego, młodego asystenta.

Littell się skłonił – krótko/ *très* południowo.

– Wiem, że ambitni młodzi ludzie zaryzykują wyjście na idiotów i gotowi będą opuścić w śnieżny wieczór swój ciepły dom, czepiając się szansy odkrycia czegoś ważnego.

Paul się uśmiechnął.

– I to pan jest niby taki „ważny”.

– To moje dokumenty są ważne i już po pierwszym przeczytaniu przekonasz się sam, a także senator Kennedy, o ich autentyczności.

Paul zapalił papierosa.

– A co z pańską autentycznością?

– Nie zamierzam niczego udawać i wolałbym, żeby moje dokumenty przemówiły same za siebie.

– Zaś dokumenty owe dotyczą...?

– Moje dokumenty dotyczą występów popełnionych przez członków zorganizowanych grup przestępczych. Dostarczę pierwszą część w kilku paczkach, zaś kolejne będę przesyłał w dyskretnych partiach, tak byście obaj z senatorem Kennedym mogli zapoznawać się z nimi w stosownym dla siebie czasie i okolicznościach. Mój jedyny warunek jest taki, by nie ujawniano publicznie żadnych faktów związanych z informacjami, które panom przekażę, aż do końca 1968 lub początku 1969 roku.

Paul zakręcił popielniczką.

– Myśli pan, że do tego czasu senator Kennedy będzie prezydentem?

Littell się uśmiechnął.

– Oby to były prorocze słowa, choć prawdę mówiąc, miałem na myśli to, co sam wtedy będę robił.

Włączył się nawiew w ścianie. Buchnęło ciepło. Littell się spocił.

– Myślisz, że senator wystartuje?

Paul odparł:

– Nie wiem.

– Czy nadal jest taki oddany sprawie walki z przestępczością zorganizowaną?

– Tak. Nie przestaje o tym myśleć, chociaż nie czuje się na tyle pewnie, by ujawniać to publicznie.

Littell się pocił. W tweedach po prostu się gotował. Sztuczna broda zaczęła mu zjeżdżać. Rozstawił palce. Objął podbródek. Udał apatię. Przytrzymał brodę.

– Możecie panowie liczyć na moją lojalność, ale wolałbym pozostać we wszelkich naszych kontaktach anonimowy.

Paul wyciągnął rękę. Littell przekazał notatki.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.01.1967. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej (aneks do akt OPERACJI CZARNY KRÓLIK). Oznaczono: „Nagrane na

połączenie Dyrektora”/ „Ścisłe tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”.
Rozmawiają: Dyrektor, BŁĘKITNY KRÓLIK.

DYR.: Dzień dobry.

BK: Dzień dobry, sir.

DYR.: Przeczytałem twoją notatkę. Przypisujesz porażkę operacji o drugim stopniu tajności wadliwym wtyczkom kondensatorowym.

BR. To była wada techniczna. Nie obwiniałbym tu Freda Otasha ani WIELKIEGO KRÓLIKA.

DYR.: Winny jest więc Fred Turentine, nikczemny „Podśluchiwacz Gwiazd”, sługus Otasha i WIELKIEGO KRÓLIKA.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Nie znajduję żadnej pociechy w zrzucaniu winy na najemnika. Ogarnia mnie tylko niemożliwa do zniesienia furia.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Przekaż mi jakieś dobre wieści na uspokojenie.

BK: Otash zachował się bardzo poprawnie już po operacji. Przycisnął Mineo i ostrzegł go, żeby trzymał język za zębami. I jestem mocno przekonany, że RÓŻOWY KRÓLIK nie narazi się na ośmieszenie własnej osoby ani złą prasę dla SCLC poprzez nagłaśnianie tego szantażu.

DYR.: Tak czekałem na ten film. Bayard i Sal, dwa gołąbeczki...

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Pomówmy o WOJUJĄCYM KRÓLIKU.

BK: Świetnie się spisał przy instalacji podsłuchów.

DYR.: Czy kazałeś go śledzić?

BK: Trzykrotnie, sir. Bardzo uważa na ogony, lecz moi ludzie zdołali przeprowadzić obserwację.

DYR.: Udzielaj od razu wyczerpujących odpowiedzi. Jestem umówiony na lunch w roku 2010.

BK: Nie zauważono, by WOJUJĄCY KRÓLIK zachowywał się w najmniejszym stopniu podejrzanie.

DYR.: Jeśli nie liczyć zakładania nielegalnych podsłuchów na nasze zlecenie.

BK: Także w apartamencie Bobby’ego Kennedy’ego w Santa Barbara, sir.

DYR.: Cóż za cudowna ironia. WOJUJĄCY zapluskwia swojego zbawcę, którego ja darzę taką antypatią. Mimowolny współludział wyższego rzędu.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Ile czasu zajmie zwerbowanie ludzi do obsadzenia stanowisk podsłuchowych?

BK: Trochę to potrwa, sir. Mamy aż szesnaście takich miejsc.

DYR.: Kontynuujmy. Opowiedz mi o DZIKIM KRÓLIKU.

BK: Radzi sobie całkiem dobrze, sir. Widział pan wyniki. W sprawie malwersacji pocztowych wciąż przygotowywane są nowe akty os...

DYR.: Dobrze o tym wiem. Ale wiem też, że nie zbliżyliśmy się ani o krok do osiągnięcia zadowalającego celu w sprawie Martina Luthera Kinga vel CZERWONEGO KRÓLIKA, vel Apostoła Antychrysta. Nasze próby usunięcia go ze sceny i podkopania jego prestiżu pochłonęły dziesiątki tysięcy godzin pracy naszych ludzi i spęły na niczym. Jesteśmy przez niego jak te żuki gnojaki albo ten rzadki gatunek afrykańskich ptaków grzebiących w gównie słoni, a ja mam już powyżej uszu czekania, aż on sam zdyskredytuje się w oczach opinii publicznej.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Jesteś jak skała, Dwight. Zawsze mogę liczyć na to, że powiesz: „Tak jest, sir”.

BK: Chciałbym poszukać bardziej radykalnych środków, by unieszkodliwić CZERWONEGO KRÓLIKA. Czy mam pańskie pozwolenie na wprowadzenie w sprawę zaufanego przyjaciela i wykorzystanie związanych z tym możliwości?

DYR.: Tak.

BK: Dziękuję, sir.

DYR.: Dobrego dnia, Dwight.

BK: Dobrego dnia, sir.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.01.1967. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez BŁĘKITNEGO KRÓLIKA. Oznaczenie: „Zakodowane przez FBI”/ „Pierwszy stopień tajności”/ „Zniszczyć bez czytania w przypadku mojej śmierci”. Rozmawiają: BŁĘKITNY KRÓLIK, KRÓLIK OJCIEC.

BK: Senior, jak tam się trzymasz? I jak połączenie?

KO: Słyszę jakiś stukot.

BK: To mój koder. Pikanie oznacza, że jesteśmy wolni od podsłuchów.

KO: Lepiej byłoby rozmawiać osobiście.

BK: Jestem w Missisipi. Nie mogę się stąd wyrwać.

KO: Jesteś pewien, że to bez...

BK: Wszystko jest w porządku. Jezu, nie wkurwiał mnie.

KO: Nie zamierzam. Rzecz tylko w tym, że...

BK: Że wydaje ci się, iż on ma jakąś nadludzką moc, a wcale jej nie ma. Nie potrafi czytać w myślach i nie jest w stanie założyć podsłuchu na zakodowanej częstotliwości.

KO: No cóż, mimo to...

BK: Mimo co, do cholery? On nie jest Bogiem, więc przestań się zachowywać tak, jakby nim był.

KO: Niewiele mu do Boga brakuje.

BK: Niech ci będzie.

KO: Czy on...

BK: Zgodził się.

KO: Myślisz, że wie, co planujemy?

BK: Nie, ale będzie szczęśliwy, kiedy to już się stanie, a jeśli domyśli się, że to nasza robota, zaraz namiesza w śledztwie.

KO: To dobra wiadomość.

BK: Nie gadaj, Sherlocku.

KO: Ludzie go nienawidzą. Znaczą się, Kinga.

BK: Ci, którzy go nie kochają, owszem.

KO: A co z pluskwami...

BK: Na tym froncie jesteśmy całkiem bezpieczni. Namówiłem go, żeby pozwolił mi założyć podsłuchy w szesnastu miejscach. Przeczyta stenogramy, dostrzeże rosnącą nienawiść i się podnieci.

KO: Zdaje się, że chodzi tu o jakąś przykrywkę.

BK: Jasne, że tak. Gangsterzy nienawidzą kolorowych i tego pieprzenia o prawach obywatelskich. Hoover zda sobie sprawę z ich nienawiści, cała rzecz wyda mu się nieunikniona, bum – i się stanie. Całe to zamieszanie z gangsterami ma służyć za zasłonę dymną, ma wpoić mu przekonanie, że sprawa jest tak poważna, iż lepiej się w nią nie mieszać.

KO: Tak jak było z Jackiem Kennedym.

BK: Otóż to. To coś nadciąga, jest nieuniknione, a gdy już się stanie, okaże się, że dobrze zrobiło interesom. Naród ogarnie żaloba i nienawiść do błazna, którego mu podsuniemy.

KO: Znasz się na metafizyce.

BK: Wszyscy wyciągnęliśmy wnioski z lekcji z Jackiem.

KO: Ile czasu zajmie przygotowanie tych podsłuchów?

BK: Jakies sześć tygodni. A wiesz, co jest najlepsze? Że zleciłem ich założenie Wardowi Littellowi.

KO: Dwight, Jezu Chryste.

BK: Miałem swoje powody. Po pierwsze, to najlepszy spec od podsłuchów, jakiego znam. Po drugie, możemy go w którymś momencie potrzebować. Po trzecie, musiałem rzucić jakiś ochłap, żeby utrzymać go w grze.

KO: Jasna dupa. Każdą grę, w której bierze udział Littell, można ustawić, od początku do końca.

BK: Rzuciłem też kość Hooverowi. Nienawidzi Bobby'ego K. niemal tak samo jak Kinga i przekazuje wszystkie znane sobie brudy L.B. Johnsonowi. Kazałem Littellowi zapluskwić jeden z apartamentów hotelowych Bobby'ego.

KO: Przyprawiasz mnie o dreszcze, Dwight. Zaczynasz opuszczać „pan” przed nazwiskiem „Hoover”.

BK: Bo ufam technologii kodowania.

KO: Chodzi o coś więcej.

BK: No dobra. To dlatego, że facet się stacza. Po co przebierać w słowach? King jest facetem, którego chciał zniszczyć jak nikogo innego na świecie, i jego akurat zniszczyć mu się nie udało. Powiem ci coś jeszcze. Lyle lubił Kinga. Pracował przeciwko niemu, a jednak go podziwiał, i ja zaczynam czuć to samo. Ten napuszony skurwysyn wydaje się czarnuchem wszech czasów.

KO: No, teraz już mnie nic nie zdziwi.

BK: Oj, zdziwi. Posłuchaj tego: Hoover jest ćpunem.

KO: Dwight, daj spo...

BK: Doktor Humorek zatrudniony przez Biuro przylatuje co dzień z Nowego Jorku. Serwuje Hooverowi płynną amfetaminę zmieszaną z witaminami z grupy B i męskimi hormonami. Staruszek zasypia około pierwszej, a o drugiej już zrywa się jak pies w czasie rui.

KO: Jezu...

BK: Nie jest z niego żaden Bóg ani Jezus. Facet się stacza, ale jeszcze jest niezły. Musimy na niego uważać.

KO: Musimy zacząć myśleć o koźle ofiarnym.

BK: Chciałbym wprowadzić Freda Otasha i Boba Relyea do pomocy

w szukaniu. Poznałem Otasha bliżej i facet wydaje się w porządku, a do tego ma wpływy na wybrzeżu. Bob to twój królik, więc znasz jego możliwości. Ten pojeb zna każdego zbędnego rasistę na Południu.

KO: Mam pomysł. To nam może ułatwić sprawę...

BK: Słucham.

KO: Powinniśmy przechwycić trochę nienawistnych listów do Kinga i SCLC i przekonać się, czy nie uda nam się znaleźć gościa, który je wysyła. Wiem, że Biuro sprawdza pocztę, i uważam, że powinniśmy wprowadzić człowieka, który przeglądałby przechwycone przesyłki, fotografował je i zwracał sprawdzającemu pocztę agentowi, a wszystko to przy zachowaniu największej dyskrecji.

BK: Niezła myśl, o ile uda nam się znaleźć zaufanego człowieka.

KO: Mój syn.

BK: Akurat. Przestań pieprzyć.

KO: Mówię poważnie.

BK: Myślałem, żeś się z dzieciakiem poprzytykał. Gówniarz przerzucał hereę z Pete'em Bondurantem i myślałem, że ze sobą nie gadacie.

KO: Pogodziliśmy się.

BK: O, cholera.

KO: Wiesz, jak on nienawidzi kolorowych. Byłby idealny do tej roboty.

BK: Cholera, jest zbyt nieprzewidywalny. Pamiętasz tamto nasze starcie?

KO: On się zmienił, Dwight. To genialny chłopak i idealnie pasuje do tej roboty.

BK: Że jest genialny, to się zgadzam. Jeszcze w czterdziestym czwartym to ja kupiłem mu pierwszy zestaw młodego chemika.

KO: Pamiętam. Powiedziałeś wtedy, że kiedyś rozgryzie, jak rozszczyć atom.

BK: Pogodziliście się, ufasz mu, zgadzam się, że będzie dobry. Mimo wszystko nie chcemy, żeby się dowiedział, na co się szykujemy.

KO: Ściemnimy coś. Każemy mu przechwytywać pocztę Kinga, a do tego dwóch polityków, jednego liberała i jednego konserwatysty. Pomyśli, że po prostu gromadzę dla siebie informacje wywiadowcze.

BK: Cholera.

KO: Będzie dobry. To właściwy człowiek do...

BK: Ale chcę mieć haka. Wprowadzę go, o ile będziemy coś na niego mieli. Wiem, że to twój syn, ale mimo to będę nalegał.

KO: Spróbujmy podsunąć mu Wendella Durfee'ego. Ponoć jest w LA, co znaczy, że mogę nasłać na niego po cichu moich znajomych z WPLA. Wiesz, co zrobi Wayne, kiedy go dorwie.

BK: No. A ja mogę udawać, że nadal go nienawidzę, i dzięki temu go przycisnąć.

KO: To się może udać. Jasna dupa, to się *musi* udać.

BK: Z Durfeem zanosi się na dłuższą robotę. Zajmie to sporo czasu i możemy się na tym przejechać.

KO: Wiem.

BK: A gościa od poczty musimy wprowadzić w ciąg najbliższych sześciu tygodni.

KO: Wprowadzę Wayne'a. A nad Durfeem popracujemy w międzyczasie.

BK: Ale to nam odbierze haka.

KO: Nie w dłuższej perspektywie.

BK: O czym ty mówisz?

KO: Niepotrzebny nam hak, żeby namówić go do pracy nad przesyłkami. Potrzebny nam będzie wtedy, gdy każę mu być na miejscu w Tym Dniu.

BK: Jezu Chryste.

KO: Mój syn jeszcze tego nie wie, ale czekał na coś takiego przez całe życie.

BK: Cytując ciebie, „jasna dupa”.

KO: Dobrze to ująłeś.

BK: Muszę kończyć. Chcę się napić kawy i się nad tym wszystkim zastanowić.

KO: Już się przecież nie cofniemy.

BK: Masz, kurwa, świętą rację, że nie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.01.1967. Nagłówek z „Las Vegas Sun”:

HUGHES – DESERT INN: NEGOCJACJE W TOKU

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.02.1967. Podtytuł z „Denver Post-Dispatch”:

AKTY OSKARŻENIA DLA KURIERÓW
„ODCIĄGAJĄCYCH” ZYSKI Z KASYN

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.02.1967. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

GDZIE SIĘ PODZIAŁ DOM DELLACROCIO?
POLICJA LAS VEGAS W KROPCE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.02.1967. Podtytuł z „Chicago Tribune”:
KING PRZEPOWIADA „KRWAWĘ LATO”,
JEŚLI MURZYNI NIE UZYSKAJĄ „PEŁNYCH PRAW”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.03.1967. Podtytuł z „Denver Post-Dispatch”:
KURIERZY-„ODCIGAĞACZE” UZNANI ZA WINNYCH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.03.1967. Podtytuł z „Las Vegas Sun”:
RZECZNICZY HUGHESA KOMENTUJĄ PROCES KURIERÓW
I OBIECUJĄ WALKĘ O „CZYSTE LAS VEGAS”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 7.03.1967. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Times”:

HOFFA U PROGĘ WIĘZIENIA
NA HORYZONCIE WYROK 58 MIESIĘCY POZBAWIENIA WOLNOŚCI

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.03.1967. Nagłówek z „Las Vegas Sun”:
TRANSAKCJA POMIĘDZY HUGHESEM
I DESERT INN ZAWARTA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.04.1967. Podtytuł z „San Francisco Chronicle”:
KING KRYTYKUJE „RASISTOWSKĄ” WOJNĘ W WIETNAMIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.04.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu.
Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor,
agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: biuro w restauracji Mike’a Lymana/ Los Angeles/
w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Nieznani Mężczyźni 1
i 2, prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa
w toku od 2,6 min).

NM1: ...za Trumana i Ike’a to był porządek. Był Hoover, który wcale się do
nas nie przypierdał. Pieprzony Bobby i pieprzony Jack zmienili to
wszystko.

NM2: LBJ cierpi na schizofilię. Nie certoli się z czerwonymi w Wietnamie, ale klei się jak pijawka do tego całego Kinga, jakby był jego dawno utraconą bratnią duszą. Nasi stratedzy na wschodzie widzą pewien związek. King przyjeżdża do Harlemu, wygłasza te swoje przemowy i mąci w głowach wszystkim tym czarnym kurdupłom. Kurduple przestają obstawiać zakłady, nasze banki dostają w dupę, a te pieprzone pigmeje podniecają się i robią się ważni.

NM1: Też widzę ten związek. Przestają obstawiać zakłady, chodzą z łepetynami w chmurach. Zaczynają myśleć o komunizmie i gwałceniu białych kobiet.

NM2: King lubi białe kobiety. Słyszałem, że to pies na białe baby.

NM1: Jak wszystkie czarnuchy. Zakazany owoc, kurwa, najlepiej smakuje. (Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.04.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: archiwum Klubu Towarzyskiego Świętej Agnieszki/ Filadelfia/w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Steven DeSantis i Ralph Michael Lauria, związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 9,3 min).

SDS: ...Ralphie, Ralphie, Ralphie, nie da się z nimi rozmawiać. Nie da się dyskutować z nimi jak z normalnymi ludźmi.

RML: To dla mnie żadna nowina. Od lat już, kurwa, wynajmuję mieszkania.

SDS: Jesteś bezwzględny królem slumsów, jak w mordę strzelił, Ralphie. Nie próbuj wciskać kitów takiemu staremu wyjadaczowi jak ja.

RML: Gadasz jak ten pierdolony czarnuch King, i to właśnie chciałem zauważyć. Lecę do moich kamienic pierwszego, bo wtedy przychodzą czeki z pomocy społecznej, a te smoluchy, które pracują, mają akurat wypłatę. A tu jedna czarna starucha pokazuje mi „Time” z Kingiem na okładce i mówi: „Nie muszę płacić żadnego czynszu, bo wielebny doktor Martin Luther King Junior mówi, że jesteś pan królem slumsów, który mnie wyzyskuje”. Jakiś pojeb w innym znowuż mieszkaniu domaga się swoich praw obywatelskich, a opisuje je, kurwa, tak: „Nie muszę płacić żadnego czynszu, dopóki mój lud

nie będzie wolny”.

SDS: Oni wszyscy mają coś z dekiem nie tak. Jako rasa, znaczy się.

RML: To ten King ich nakręcił. Mamy teraz całą rasę nadmiernie pobudzonych debili.

SDS: Ktoś powinien stuknąć tego dupka Kinga. Powinni mu podsunąć zatrutego arbuza.

RML: Powinniśmy wstąpić do Ku Klux Klanu.

SDS: Za gruby jesteś, żeby nosić szatę.

RML: Odpieprz się. I tak do nich wstąpię.

SDS: Zapomnij o tym. Oni nie lubią Włochów.

RML: Dlaczego? Przecież jesteśmy biali.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.04.1967. Meldunek ze stanowiska podsłuchowego. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce podsłuchu: apartament 301/ Hotel El Encanto/ Santa Barbara/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego.

Szanowni Panowie,

podczas pierwszego okresu monitorowania (2.04.1967–20.04.1967) obiekt RFK nie przebywał w wyznaczonym miejscu. Obiekt RFK wynajmuje apartament na cały rok, a podczas jego nieobecności pokoje pozostają puste. W związku z tym uruchamiane za pomocą głosu urządzenia wychwyciły tylko nieistotne rozmowy pomiędzy pokojówkami i innymi pracownikami El Encanto. Zgodnie z rozkazami stanowisko podsłuchowe będzie kontynuowało pracę w pełnej obsadzie przez cały czas.

Z poważaniem,

agent specjalny C.W. Brundage

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.05.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: sala do gry w karty w Grapevine Tavern/ St. Louis/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Nieznani Mężczyźni 1 i 2, prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 1,9 min).

NM1: ...Członkowie Klanu chcą zacząć bardziej czynnie głosić swoje

przekonania, co oznacza, że można by ich nazwać naszymi oddziałami szturmowymi.

NM2: Jestem za segregacją, żebyś sobie nie myślał.

NM1: St. Louis to super miasto. Z jednej strony, pełno tu prostaków. Z drugiej, pełno katolików. Ja nie wstydzę się przyznać, że jest ze mnie prostak, tak jak z ciebie jest Włoch i katolik, a jednak dogadujemy się, bo wy, tak zwani ludzie mafii, jesteście biali i czcicie Jezusa, dokładnie tak jak ja, co znaczy, że dokładnie tak jak ja nienawidzicie, więc musicie przyznać, że Klan ma parę gotowych rozwiązań, i gdyby tylko dał sobie spokój z tymi antykatolickimi pierdołami, sami palilibyście się do tego, żeby złożyć mu okazałe darowizny.

NM2: To prawda. Zgadzam się z tobą, bo wy, ludzie z Południa, myślicie i nienawidzicie podobnie jak my.

NM1: Gdyby czarnuch King wszedł tutaj w tej chwili, tobym go zabił.

NM2: Ale najpierw powalczyłbyś o tę przyjemność ze mną. King i Bobby Kennedy to gnojki, których naprawdę nienawidzę. Bobby rznął i rznął, i rznął, i rznął mafię tak, że została ledwo żywa. A teraz to samo robi King. Najpierw zerznie ten kraj w dupala, a potem będzie rznął i rznął, i rznął, i rznął nas, podczas gdy smoluchy będą mnożyć się tak, że zamienią Stany Zjednoczone w jedno wielkie opiekuńcze szambo.

NM1: Ale to moja rodzina należy do Klanu od trzech pokoleń. Tak, i nie ma w tym nic dziwnego. Ty może i słuchasz rozkazów z Rzymu, ale ja mam to gdzieś. Jesteś białym człowiekiem tak jak ja.

NM2: Pieprz się. Ja słucham rozkazów grubego gościa, co mieszka na Południu i nosi sygnet na małym palcu.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.05.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: sala do gry w karty w Grapevine Tavern/ St. Louis/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Norbert Donald Kling i Rowland Mark DeJohn, skazańcy na zwolnieniu warunkowym, prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 3,9 min).

NDK: ...coś w rodzaju wspólnej kabzy, znaczy się.

RMDJ: Kapuję. Goście się zrzucają, a ty patrzysz, jak kabza pęcznieje.

NDK: My się nie zrzucamy. To zadanie tych, co mają naprawdę grubą forszę, dopóki nie uciują sumy, która zainteresuje faceta gotowego to zrobić.

RMDJ: No, tak. To taka pula. Rozchodzi się pogłoska, że takie coś istnieje, wykonujesz robotę, udowadniasz, że to zrobiłeś, i zgarniasz kasę.

NDK: Zgadza się. Chodzi o znalezienie zawodowca, któremu musi się udać. Nie tak jak Oswaldowi, no wiesz, z Kennedym.

RMDJ: Oswald był komuchem i świrem. Chciał, żeby go złapali.

NDK: Fakt. I ludzie kochali Kennedy'ego.

RMDJ: No tak, przynajmniej niektórzy. Ja osobiście sukinkota nienawidziłem.

NDK: Ale wiesz, o czym mówię. W przypadku Kinga masz czarnucha, którego nienawidzą wszyscy. Jest może paru Żydków i komuchów, ale to jedyni biali, którzy go trawią, bo pozostali wiedzą, że zniesienie segregacji zrobi z tego kraju kupę gnoju, tak więc pozbywasz się Wroga Publicznego nr 1 i niszczysz taką ewentualność w zarodku.

RMDJ: On jest trupem, a kraj się raduje.

NDK: Trzeba to tylko nagłośnić. To jedyny problem.

RMDJ: No, to trzeba rozpowiedzieć o tej puli.

NDK: My nie spełniamy wymogów, ale są goście, co je spełnią.

RMDJ: Smoluch sam się o to prosi.

NDK: I to mi się podoba najbardziej. Jak się o coś prosi, to się to dostanie...

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.06.1967. Fragmenty wybrane z nienawistnej korespondencji. Zebrane przez: OJCIEC KRÓLIK. Zapieczętowane i oznaczone: „Zniszczyć bez czytania w razie mojej śmierci”.

Nadawca przesyłki: anonim. Pieczęć pocztowa: Pasadena, Kalifornia. Adresat: senator Robert F. Kennedy. Fragment strony 1 (z 19).

DROGI SENATORZE KENNEDY,
WIEM, ŻE TO PAN I TEN SYJONISTYCZNY ZAKON ŚWIŃ
O ŚWIATOWYM ZASIĘGU WLALIŚCIE ROPEŃ W RAKOTWÓRCZĄ
ŻYDOWSKĄ MACHINĘ I WYWOŁALIŚCIE U MNIE BÓLE GŁOWY,

KTÓRE LEKARZE PRZYPISUJĄ UPADKOM Z KONIA. TWIERDZICIE, ŻE ALLACH JEŹDZI IMPALĄ, ALE JA WIEM, ŻE ŻYDOWSKI APARAT KONTROLI PRZEJĄŁ WŁADZĘ NAD PRODUKCJĄ POJAZDÓW W DETROIT I BEVERLY HILLS. JEST PAN SKAŻONĄ KUKŁĄ W RĘKACH ŻYDOWSKIEGO WAMPIRA I MUSI PAN PRZESTAĆ EMITOWAĆ BÓLE GŁOWY W IMIENIU NACZELNEGO RABINA MIASTA ŁODZI I MIAMI BEACH, I PROTOKOŁÓW MĘDRCÓW SYJONU.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 5.07.1967. Fragmenty wybrane z nienawistnej korespondencji. Zebrane przez: OJCIEC KRÓLIK. Zapieczętowane i oznaczone: „Zniszczyć bez czytania w razie mojej śmierci”.

Nadawca przesyłki: anonim. Pieczęć pocztowa: St. Louis, Missouri, Kalifornia. Adresat: dr M.L. King. Fragment strony 1 (z 1).

Drogi Czarnuchu,
Bój się, o, bój się letnich ciepłych burz,
Cena za twą głowę wyznaczona już.
Zdrajcą jesteś czerwonym, co trupem winien paść,
Co łąać tylko umie i gwałcić, i kraść.
Jednak Biały Człowiek zna zamysły twe,
A ty za swą duszę już zacznij modlić się.
Bo nie unikniesz kuli jak jakiś Superman
I zginiesz, jak zakłada Białego Pana plan.
Gdy list ten dostaniesz, lepiej ukryj się,
Choć przed białym gniewem nie zdołasz umknąć, nie!

Podpisano

Z.B.A. (Zjednoczeni Biali Ameryki)

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.07.1967. Fragmenty wybrane z nienawistnej korespondencji. Zebrane przez: OJCIEC KRÓLIK. Zapieczętowane i oznaczone: „Zniszczyć bez czytania w razie mojej śmierci”.

Nadawca przesyłki: anonim. Pieczęć pocztowa: Pasadena, Kalifornia. Adresat: senator Robert F. Kennedy. Fragment strony 2 (z 16).

[I] ZDRADZIŁEŚ NARÓD ARABSKI, I WYKRADŁEŚ NAM NASZ KRAJ MLEKIEM I MIODEM PŁYNĄCY, ŻEBY DOIĆ ROPEŁ Z SYJONISTYCZNEGO ZAKONU ŚWIŃ I Z ŻYDOWSKIEJ RAKOTWÓRCZEJ MACHINY. ANI BAYEROWSKA ASPIRYNA, ANI BUFFERIN, ANI SZPITAL ŚWIĘTEGO JUDY NIE SĄ W STANIE UŚMIERZYĆ MOICH BÓLÓW GŁOWY WYWOŁANYCH ROPĄ WSTRZYKNIĘTĄ PRZEZ ŻYDOWSKIEGO WAMPIRA ANI UCISZYĆ GŁOSU W MOJEJ GŁOWIE MÓWIĄCEGO, ŻE RFK MUSI ZGINĄĆ RFK MUSI ZGINĄĆ RFK MUSI ZGINĄĆ RFK MUSI ZGINĄĆ RFK MUSI ZGINĄĆ RFK MUSI ZGINĄĆ!!!!!!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.07.1967. Nagłówek i podtytuł z „Boston Globe”:
MIASTO OGARNIĘTE FALĄ ZAMIESZEK
PODPALENIA, SZABROWNICTWO, TERROR

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.07.1967. Nagłówek i podtytuł z „Detroit Free Press”:

ZAMIESZKI WSTRZĄSAJĄ DETROIT
ROŚNIE LICZBA OFIAR I ROZMIAR SZKÓD

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.07.1967. Nagłówek i podtytuł z „Boston Globe”:
KING DO DZIENNIKARZY:
TE ZAMIESZKI TO „MANIFESTACJE BIAŁEGO RASIZMU”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.08.1967. Podtytuł z „Washington Post”:
ROSNA SZKODY W WYNIKU ZAMIESZEK. „STREFA WOJNY” – TAK
POLICJA OKREŚLA OGARNIĘTE ROZRUCHAMI DZIELNICE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 5.08.1967. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Times”:

KING KOMENTUJE ZAMIESZKI:
„OWOC BIAŁEJ NIESPRAWIEDLIWOŚCI”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.08.1967. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez BŁĘKITNEGO KRÓLIKA. Oznaczono: „Zakodowane przez FBI”/ „Stopień tajności I”/ „Zniszczyć bez czytania w przypadku mojej

śmierci”. Rozmawiają: BŁĘKITNY KRÓLIK, KRÓLIK OJCIEC.

BK: Witaj, Senior.

KO: Jak się masz, Dwight. Dawno się nie słyszeliśmy.

BK: Nie przejmuj się tymi stukotami. To mój koder.

KO: Nie przejmuję się. Wolę już pogadać, niż korzystać z pośrednictwa skrzynki kontaktowej.

BK: Oglądałeś wiadomości? Kolorowi zaczynają się buntować.

KO: King to przepowiedział.

BK: Nie, on to obiecał, a teraz się chełpi.

KO: Przysparza sobie wrogów. Chwilami myślę, że możemy nie być pierwszymi, którzy go dopadną.

BK: Chwilami też tak myślę. Mafia go nienawidzi, a każdy biały wsiok z Południa chodzi, jakby go coś świerzbiło. Powinieneś tylko posłuchać taśm z podsłuchów.

KO: Jasna dupa, chciałbym.

BK: Jest taki lokal w St. Louis. Speluna o nazwie Grapevine. Bywają tam chłopaki z mafii i pośledniejsi gangsterzy. Mówili coś o pięćdziesięciu kawałkach łupu. Zaczyna to przypominać cudowny erotyczny sen w *spiritus mundi*.

KO: Rozbrajasz mnie. „Erotyczny sen” i „*spiritus mundi*” w jednym zdaniu...

BK: Jestem jak kameleon. Przypominam w tym Warda Littella. Zmieniam słownictwo w zależności od tego, z kim rozmawiam.

KO: Ty przynajmniej jesteś tego świadom. Nie wydaje mi się, by Littell tak do końca panował nad swoim życiem.

BK: I tak, i nie.

KO: Na przykład?

BK: Na przykład przez cały czas rozgląda się za ogonami, gdziekolwiek się znajdzie. Pan Hoover od lat każe go z przerwami śledzić. Udaje mu się wykryć dziewięćdziesiąt procent, dziesięć procent mu umyka. Pewnie własna megalomania każe mu teraz wierzyć, że trafia w sto procent.

KO: Megalomania. Podoba mi się.

BK: Mam nadzieję. Podłapałem to na studiach prawniczych w Yale.

KO: O, la, la.

BK: Opowiedz mi lepiej o przechwytywaniu korespondencji. Jeśli dobrze

liczę, twój syn siedzi w tym już od dwunastu tygodni.

KO: Raczej od ośmiu. Wiesz, ile podróżuje dla Pete'a Bonduranta. Dopiero po dłuższym czasie udało mu się wypracować system.

BK: No to opowiadaj.

KO: Wynajął mieszkanie w Waszyngtonie. Ściąga do siebie pocztę kierowaną do Kinga, Barry'ego Goldwatera i Bobby'ego Kennedy'ego. FBI stosuje normalną procedurę przechwytywania, a ich listy przychodzą na adres siedziby SCLC i Biur Senackich. Ekipa złożona z czterech agentów obsługuje zrzutnię pocztową na rogu Szesnastej i D. Nocna zmiana idzie do domu o 23.00, więc Wayne wchodzi o 1.00, podbiera korespondencję, kopiuje i zwraca o 5.00. Przylatuje tam z Nowego Jorku, kiedy jest akurat w drodze z Sajgonu.

BK: Jak wchodzi do środka?

KO: Zrobił odlew zamka i skopiował klucze.

BK: I bywa tam w nieregularnych odstępach czasu?

KO: Zgadza się. Zawsze wtedy, gdy nie koliduje to z tymi jego podróżami. Sprawdza odciski palców na korespondencji, którą zabiera, bo autorzy nigdy nie podają adresów zwrotnych na koper...

BK: Niepotrzebnie się trudzi. Ekipy agentów sprawdzają w ten sposób pocztę przychodzącą. Zanim twój chłopak się do niej dorwie, wszystko jest już zmazane.

KO: Gównu, zapominasz, że mój syn jest chemikiem. Spryskuje kartki jakąś substancją o nazwie ninhydryna i za każdym razem uzyskuje chociaż fragmenty odcisków palców. Powiedział, że opracowuje własną technikę i któregoś dnia uda mu się uzyskać całe.

BK: W porządku. Jest dobry. Przekonałeś mnie.

KO: I jest ostrożny.

BK: Mam nadzieję. Chyba nie chcemy, by wyszło na jaw, że korespondencję widziały niepowołane do tego oczy.

KO: Mówiłem ci, jest ost...

BK: A co z kandydatami?

KO: Na razie nic. Z korespondencji wyłoniła się jak dotąd tylko banda wariatów, którzy wypisują takie brednie, że zaraz powinno się ich ubrać w kaftany bezpieczeństwa.

BK: Bob ma kandydata. Może nie będziemy potrzebowali pomocy Wayne'a w tym względzie.

KO: To Bob powinien mi powiedzieć. Jasna dupa, jestem jego przełożonym.

BK: Jesteś jego Króliczym Tata. I właśnie z tego powodu istnieją sprawy, o których ci nawet nie wspomni.

KO: No dobra, to ty mów.

BK: Gość w kwietniu nawiał z więzienia stanowego w Missouri. Bob poznał go, kiedy pracował tam jako strażnik. Obaj siedzieli po uszy w tym swoim prawicowym fanatyzmie.

KO: I to wszystko, co masz?

BK: Bob ma przysłać mi więcej informacji. Przekażę ci je.

KO: Cholera, Dwight, wiesz, że mi się to nie podoba.

BK: To fakt – dlatego nie wykorzystamy faceta, jeśli obaj się nie zgodzimy, że jest idealny.

KO: No dobra, dalej. Jesteś mi winny więcej...

BK: Ten koleś ucieka przed policją. Bał się zostać w obozie Boba, więc prysnął do Kanady. Bob ma na niego zamiary. Jeśli uznamy, że gość się nadaje, wyślę Freda Otasha, żeby nad nim popracował.

KO: Tak bezpośrednio? Myślałem, że wprowadzimy paru pośredników.

BK: Kazałem Freddy'emu zrzucić trzydzieści kilo. Był wysoki i gruby, a teraz jest wysoki i chudy.

KO: A więc wygląda inaczej.

BK: Zupełnie inaczej. Jest Libańczykiem, zna hiszpański, moglibyśmy z niego zrobić jakiegoś meksa. Bob powiedział, że jego kandydat łatwo daje sobą manipulować. Dla Freddy'ego taki ktoś to bułka z masłem.

KO: Podoba ci się ten facet.

BK: To mocny kandydat. Jak przeczytasz informacje, dasz mi znać, co o nim sądzisz.

KO: Cholera, to zajmuje tyle czasu.

BK: Jak wszystko, co chce się dobrze zrobić.

KO: Ktoś może nas ubiec.

BK: Jeśli tak się stanie, to trudno.

KO: A co pan Hoover...

BK: Boi się, że Marty i Bobby połączą siły. O niczym innym nie mówi. CZARNY KRÓLIK zdechł w momencie, kiedy nie wypalił szantaż. Hoover wie, że „szukam bardziej radykalnych środków”, ale nie zadał mi ani jednego pytania, odkąd to zaproponowałem.

KO: To znaczy, że wie, co planujesz.

BK: Może tak, a może nie.

KO: Dwight, Jezu...

BK: Daj spokój. Pamiętasz, co ci mówiłem? On nie umie czytać w myślach i nie umie podsłuchiwać zakodowanych rozmów.

KO: Mimo wszystko...

BK: A co z Durfeem? Czy twoi ludzie z WPLA na coś wpadli?

KO: Nie. Rozesłali po cichu listy gończe, ale kompletnie nic się nie pojawiło.

BK: Najpierw musimy go znaleźć. A potem urządzić wszystko tak, by Wayne się nie domyślił, że mu go wystawiamy.

KO: To akurat jest proste. Zadzwonimy do Sonny'ego Listona, który podobno rozesłał swoich ludzi w pogoni za Durfeem, choć nie wydaje...

BK: Potrzebny mi ten hak. Bez niego nie dopuszczę Wayne'a ani o krok bliżej.

KO: A ja jestem mu winien Durfee'ego. Mam wobec niego dług i Durfee go spłaci.

BK: Naślę na niego moich ludzi. Wspólnymi siłami może go jakoś dorwiemy.

KO: Spróbujmy, jestem to Wayne'owi dłużny.

BK: Cieszę się, że nie mam dzieci. Kiedyś pewnie by skończyły, zabijając nieuzbrojonych Murzynów i handlując heroiną.

KO: Ewangelia według Dwighta Chalfonta Holly'ego.

BK: No, no. Lepiej pogadajmy o kasie na operację.

KO: Ja wchodzę z dwiema setkami w żywej gotówce. Zresztą wiesz.

BK: Otash chce pięć dych.

KO: I na pewno jest ich wart.

BK: Bob dorzuca stówkę.

KO: Jasna dupa. Przecież nie ma takiej forsy.

BK: Siedzisz?

KO: Tak. A bo co...

BK: Byłem w New Hebron. Widziałem, jak Bob usuwał numery seryjne z jakichś miotaczy ognia, szykując je do przerzucenia na Kubę. Wszystkie miały na początku trzy zera, a tak się składa, że wiem, iż oznacza to sprzęt zakupiony ze środków CIA. Spytałem o to Boba, a on skłamał, co nie było najmądrzejsze, biorąc pod uwagę okoliczności.

KO: Pieprzysz chyba po chińsku, Dwight. Sam już nie wiem, o co tutaj chodzi.

BK: Przycisnąłem Boba. A on się wygadał.

KO: Z czym?

BK: Ten ich przerzut broni na Kubę to jedna wielka ściema. Carlos Marcello i John Stanton, ten gość z CIA, razem wszystko uknuli. Broń wędruje w głąb wyspy do oddziałów Castro z błogosławieństwem Carlosa. Mafia chce się podlizać Fidelowi, żeby pomógł jej wprowadzić w życie jakiś plan z zakładaniem kasyn w krajach Ameryki Łacińskiej. Castro ma wpływy wśród lewicowych powstańców w krajach, na które chętnym okiem spogląda mafia, i przesyła im broń, którą Bob i spółka szmuglują na Kubę. Dzięki temu, jeśli lewica przejmie władzę w swoich krajach, wpuści do nich mafię. Jeśli do przejścia władzy nie dojdzie, mafia posmaruje prawicowcom, którzy przy korycie pozostaną.

KO: Zaczynam mieć wizję, Dwight. Zaczynam widzieć wszystkich Świętych Dni Ostatnich.

BK: Idzie ku dobremu.

KO: Lepiej być nie może. I nie musisz mnie przestrzegać, żebym nie wspominał o niczym Wayne'owi, bo dobrze wiem, jak by to chłopaka rozwścieczyło.

BK: W każdym przypadku mafia jest kryta. Castro poświęcił na to przedsięwzięcie iluś tam swoich milicjantów, by Bondurant, Wayne i ich ludzie mogli bezkarnie pływać łodzią na wyspę i zdejmować skalpy. Castro zarabia pieniądze, a w dłuższej perspektywie warto poświęcić paru Żołnierzy Rewolucji, bo wszystko to ma służyć nakręcaniu komunizmu w Ameryce Łacińskiej.

KO: Dwight, wprawiasz mnie w osł...

BK: Stanton i inni zaangażowani w to agenci CIA przekazują zyski z handlu herą człowiekowi z Agencji. On zaopatruje Boba w sprzęt CIA, a pieprzony Bob wciska kit, że to towar zwędzony wojsku albo pochodzący z napadów na magazyny z bronią. Stanton i Marcello obracają milionowymi zyskami i od samego początku wypłacają procencik Bobowi i tym dwóm, Laurentowi Guéry'emu i Flashowi Elorde'owi, żeby pilnowali całej tej ściemy. Tylko Bondurant, twój syn i jakiś facet o nazwisku Mesplède myślą, że działają na poważnie. Wychodzą na głupków, ciągle wierząc w Sprawę.

KO: Mój Boże! Wszyscy Święci i Aniele Moroni.

BK: Bob skasował już stowę w żywej gotówce. Dołoży się z nią do naszej operacji, jeśli pozwolimy mu strzelać albo chociaż robić za wsparcie dla naszego kozła ofiarnego.

KO: Nie śmiałybym odmówić. Nie po tym, co usłyszałem.

BK: A zatem jest z nami. Nie puścił na ten temat pary z gęby od lat, więc chyba można mu zaufać.

KO: Musimy i my zachować milczenie. Jeśli Bondurant albo mój syn się dowie, rozpęta się...

BK: Trzymam Boba za jaja. Nikomu nie piśnie ani słówka.

KO: Dwight, ja teraz powinienem...

BK: Jasne. Strzelić sobie malucha i pogadać ze swoimi świętymi.

KO: Zaczynam mieć wizję, Dwight... Mówię poważnie.

BK: A ja o mało co nie zająłem się prawem cywilnym. Uwierzysz w to?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.08.1967. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: KRÓLIK OJCIEC. Od: BŁĘKITNY KRÓLIK. Oznaczono: „Zastrzeżone”/ „Przeczytać i spalić”.

OJCZE,

przesyłam informacje od Boba. Zebrane przez niego fakty i dane bazują na jego osobistych kontaktach z KANDYDATEM i dokumentach, które wykradł z więzienia stanowego w Missouri. Uporządkowałem jego gramatykę i ortografię i dołączyłem kilka własnych obserwacji. PRZECZYTAJ, SPAL i prześlij mi odpowiedź przez skrzynkę kontaktową.

KANDYDAT:

Ray, James Earl/ biały/ 175 cm/ 80 kg/ data ur. 16.03.1928/ miejsce ur. Alton, Illinois/9 rodzeństwa.

KANDYDAT dorastał w rolniczych regionach stanów Illinois i Missouri. Ojciec był drobnym złodziejaszkiem. W wieku 14 lat (1942) KANDYDAT został po raz pierwszy aresztowany (kradzież). Zaczął bywać na różnorodnych festynach i w domach publicznych. Zaprzyjaźnił się ze starszym od siebie mężczyzną (niemieckim imigrantem), zwolennikiem Hitlera i członkiem Ligi Niemiecko-Amerykańskiej. W tym czasie w KANDYDACIE zaczęło się rozwijać negatywne nastawienie do społeczności murzyńskiej.

KANDYDAT zaciągnął się do armii amerykańskiej (19.02.1946) i poprosił o wysłanie na służbę do Niemiec. Przeszedł szkolenie podstawowe

w Camp Crowder w Missouri i otrzymał przydział jako kierowca ciężarówki w okupowanych Niemczech. Wkrótce został kierowcą w batalionie żandarmerii wojskowej w Bremerhaven. Handlował papierosami na czarnym rynku, korzystał z usług prostytutek, leczył się na syfilis i rzeżączkę. Zaczął nadużywać alkoholu i zażywać amfetaminę. Po przeniesieniu do batalionu piechoty we Frankfurcie poprosił o natychmiastowe zwolnienie ze służby.

Prośbę rozpatrzono odmownie. KANDYDATOWI postawiono zarzut spożywania alkoholu na terenie jednostki i zatrzymano. KANDYDAT uciekł, został złapany i skazany na 3 miesiące ciężkich robót. W grudniu 1948 powrócił do USA i uzyskał „honorowe zwolnienie ze służby”. Spędził nieco czasu w domu rodzinnym w Alton, Illinois. Autostopem udał się do Los Angeles (wrzesień 1949) i tam został aresztowany za włamanie (9.12.1949) i skazany na 6 miesięcy w więzieniu okręgowym, skąd wcześniej go zwolniono (marzec 1950) za dobre sprawowanie.

KANDYDAT udał się na wschód. Był aresztowany za włóczęgostwo (Marion, Iowa) 18.04.1950 i zwolniony 8.05.1950; aresztowany za włóczęgostwo (Alton, Illinois) 26.07.1951 i zwolniony we wrześniu 1951; aresztowany za napaść z bronią w rękę (napad na taksówkarza, Chicago, 6.05.1952, postrzelony w czasie próby ucieczki).

KANDYDAT dostał wyrok dwóch lat więzienia. Odsiadywał go w Joliet i Pontiac. Zyskał reputację więziennego samotnika, nałogowo spożywającego produkowany domowym sposobem alkohol i amfetaminę. Został zwolniony warunkowo 12.03.1954.

KANDYDATA aresztowano znów za włamanie w Alton, Illinois, 28.08.1954. Został zwolniony za kaucją przed procesem. Udał się na wschód wraz z innym kryminalistą o podobnych poglądach politycznych (np. wszyscy Murzyni są gorsi od białych i powinni zostać zgładzeni). W marcu 1955 został aresztowany za napad na pocztę w Kellerville, Illinois. Dostał wyrok 3 lat pozbawienia wolności w więzieniu federalnym. Przewieziono go do Zakładu Karnego w Leavenworth 7.07.1955 i zwolniono warunkowo w maju 1958.

Zwolniony warunkowo KANDYDAT podlegał teraz jurysdykcji St. Louis (tam mieszkali członkowie jego rodziny). W lipcu i sierpniu 1959 KANDYDAT wraz z dwoma współnikami dokonał kilku napadów na supermarkety (w St. Louis i Alton). KANDYDATA aresztowano 10.10.1959. W dniu 15.12.1959 próbował uciec z więzienia. Skazano go na 20 lat

w więzieniu stanowym w Missouri. Odbywanie kary rozpoczął 17.02.1960 w Zakładzie Karnym w Jefferson City.

Jeff City jest znane jako najcięższe i najbardziej bezwzględnie prowadzone więzienie w całych Stanach. Biali i Murzyni są osadzeni osobno. Biali więźniowie to głównie prostytutki z Południa, bez żenady głoszący swoją nienawiść do Murzynów. W więzieniu tworzyły się nieformalne grupy KKK, Narodowej Partii Praw Stanów, Partii Odrodzenia Narodowego i Legionu Gromu.

KANDYDAT pracował w pralni chemicznej i w październiku 1961 podjął nieudaną próbę ucieczki. Handlował nielegalnie wyrobami z więziennej piekarni i amfetaminą, sam zażywał amfetaminę, zaś będąc na „haju”, często pozwalał sobie na antymurzyńskie tyrady. KANDYDAT sprzedawał także i wypożyczał przemycone do więzienia czasopisma pornograficzne oraz uczestniczył w nieformalnych zebraniach ultrapravicowych grup (z udziałem zarówno skazańców, jak i strażników), gdzie często opowiadał o swojej żądzy „zabijania czarnuchów” i „zgładzenia Martina Luthera Kunta-Kinte”.

KANDYDAT opowiadał, że chciałby przenieść się do któregoś z państw afrykańskich, gdzie obowiązuje segregacja, zostać „najemnikiem” i „zabijać czarnuchów”. Zdaniem B.R. KANDYDAT był wyjątkowo żądny zabijania, nawet jak na więzienne standardy.

Otwarcie fantazjował, że „Stowarzyszenie Białych Biznesmenów” wyznaczyło cenę 100 tysięcy dolarów za głowę Kinga. Wygląda to zachęcająco, zwłaszcza w kontekście niedawnych rozmów o „puli” podsłuchanych w Grapevine Tavern w St. Louis. Zdaniem B.R. idea „puli” bardzo silnie przemawia do mentalności KANDYDATA i jego chęci szybkiego wzbogacenia się.

KANDYDAT odmówił wyjścia na zwolnienie warunkowe w 1964. Dokonał próby ucieczki 11.03.1966. Uciekł 23.04.1967 (ukrywając się w opuszczającej więzienie furgonetce z chlebem).

KANDYDAT oświadczył B.R., że:

Przeszedł górkami drogami do Kansas City, mając się „różnych prac i gromadząc kasę”, po czym autobusem udał się do Chicago, gdzie znalazł posadę pomywacza w restauracji w miejscowości Winnetka. KANDYDAT odwiedził członków rodziny oraz miejsca, gdzie bywał jako dziecko, w Alton, Quincy i wschodnim St. Louis, i ustalił, że nie jest prowadzony za nim żaden większy pościg. KANDYDAT obrabował sklep z alkoholem we

wschodnim St. Louis i ukradł 4,1 tysiąca dolarów.

KANDYDAT udał się na Południe i spędził tydzień w obozie B.R. (5–12.07.1967). W pobliżu New Hebron obrabowano 8.07.1967 sklep spożywczy. B.R. uważa, że sprawcą był KANDYDAT. KANDYDAT i B.R. rozmawiali o „polityce”, zaś KANDYDAT najwyraźniej nie obawiał się, że B.R. na niego doniesie. KANDYDAT „izolował się”, pił i zażywał amfetaminę, nie zwracał uwagi na współtowarzyszy B.R. z Klanu, rozmawiał wyłącznie z B.R. i często podkreślał swe pragnienie „zabijania czarnuchów”, „zgarbiania pul za głowy czarnuchów”, „zostania najemnikiem i zabijania czarnuchów w Kongo” oraz „życia w ziemskim rajku białego człowieka, takim jak Rodezja”.

KANDYDAT opuścił obóz 13.07.1967, mówiąc B.R., że udaje się do Kanady, skąd zadzwoni, by ponownie nawiązać kontakt. KANDYDAT zadzwonił 17.07.1967 i podał B.R. numer swojego telefonu w Montrealu.

Podsumowanie:

B.R. opisuje KANDYDATA jako człowieka o zmiennych nastrojach, uległego, w pewnym stopniu samowystarczalnego i przebiegłego, społecznie nieprzystosowanego, łatwo dającego się prowadzić ludziom o silniejszej osobowości i podatnego na manipulacje w sferze poglądów politycznych. Jego często podkreślane pragnienie „zabijania czarnuchów” i obsesja na punkcie „puli” wyglądają dla nas zachęcająco, zdają się zwiększać prawdopodobieństwo, że praca nad nim będzie wymagała tylko minimalnego wysiłku. KANDYDAT może być skłonny się zastrzelić, a my możemy zyskać możliwość zmanipulowania tym aktem tak, by ukazał się w odpowiednim świetle.

Myślę, że to właściwy człowiek. Daj mi znać, czy się zgadzasz.

Na marginesie:

Wczoraj odbyłem długą rozmowę z panem Hooverem. Wyraziłem swe z troską fakt, że praktycznie wszyscy już wiedzą o jego atakach wymierzonych w Kinga. Napomknąłem o jego oświadczeniach na temat Kinga, o oskarżeniach wysuwanych przez SCLC, a dotyczących podsłuchów, o doniesieniach w sprawie listu, który wysłano, by nakłonić Kinga do samobójstwa, i który został zacytowany przez kilka lewicowych periodyków. Zasugerowałem, że w celu zapewnienia przykrywkę dla operacji BIAŁA NIENAWIŚĆ i dla działań wymierzonych w Kinga, prowadzonych w ramach OPERACJI CZARNY KRÓLIK, wraz ze wszelkimi czynami, jakie mogą

one za sobą pociągnąć, powinna zostać spreparowana na Kinga teczka, zawierająca znacznie okrojone dane, i umieszczona w Archiwum FBI, gdzie byłaby dostępna do wglądu w razie wezwania przez komisję Kongresu bądź w razie jakiegoś procesu cywilnego.

Pan Hoover zrozumiał, że taka spreparowana teczka służyłaby jako zasłona dymna dla co bardziej śmiałych poczynań w ramach OCK, broniłaby prestiżu FBI i zaświadczałaby o słuszności wcześniejszych niezbyt drastycznych kroków podejmowanych przez niego przeciwko Kingowi i SCLC. Pan Hoover zlecił mi spreparowanie odpowiednich dokumentów i dołączenie ich do tych już istniejących, a odnoszących się do wydarzeń, o których powszechnie wiadomo, na skutek czego miałyby powstać jedne spójne akta.

Będę nad tym pracował przez najbliższe miesiące. Owa spreparowana teczka będzie też oczywiście służyć jako przykrywka dla naszych niezależnych poczynań. Nadam jej kryptonim OPERACJA ZORRO w nawiązaniu do fikcyjnego dobroczyńcy ludzkości chodzącego w czarnej masce.

Jestem otwarty na propozycje odnośnie do tego, co ma się znaleźć w teczce. Jeśli będziesz miał jakieś pomysły, daj mi znać. Radzę Ci też spalić natychmiast wszelkie notatki służbowe dotyczące OPERACJI CZARNY KRÓLIK, włączając w to niniejszy list.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.08.1967. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: BŁĘKITNY KRÓLIK. Od: KRÓLIK OJCIEC. Oznaczono: „Zastrzeżone”/ „Przeczytać i spalić”.

BŁĘKITNY,

odnośnie do KANDYDATA: z wielkim entuzjazmem udzielam pełnego poparcia. Czy KANDYDAT odezwał się już do B.R., podając swoje zamiary w Montrealu? Jeśli tak, każ Otashowi nawiązać kontakt.

Odnośnie do OPERACJI ZORRO: popieram pomysł i raduję się Twoją dalekowzornością. Natychmiast spalę wszelkie papiery związane z CZARNYM KRÓLIKIEM.

Domyślam się, że nadal nic nie słyhać na temat Wendella Durfee'ego. Czy możesz nakazać, aby Twoi ludzie prowadzący poszukiwania bardziej się do tego przyłożyli?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.08.1967. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej.
Do: KRÓLIK OJCIEC. Od: BŁĘKITNY KRÓLIK. Oznaczono:
„Zastrzeżone”/ „Przeczytać i spalić”.

OJCZE,

KANDYDAT skontaktował się z B.R. Otash nawiązał kontakt z KANDYDATEM w Montrealu i jego propozycja jest następująca: Nie będzie nam przekazywał żadnych informacji, dopóki nie podporządkuje sobie należycie bądź nie zwerbuj KANDYDATA.

Odnosnie do Wendella Durfee'ego: Moi ludzie nie ustają w poszukiwaniach. Wprowadzili jeszcze trzech pomocników.

PRZECZYTAJ TO I SPAL.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.08.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu.
Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor,
agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: sala do gry w karty w restauracji Fritziego Heidelbergera/ Milwaukee/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Nieznani Mężczyźni 1, 2 i 3, prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 5,6 min).

NM1: (I) pożąda jeszcze dnia, kiedy przyjdzie i zacznie agitować, bo dzień, w którym przemaszeruje tu w Paradyzie Świętego Jakiegoś tam, będzie dniem, kiedy wszyscy biali odłożą swe nieszczęsne bratobójcze i wewnętrzne waśnie na bok i się zjednoczą.

NM2: Im się wydaje, że są biali. I to mnie po prostu dobija.

NM3: Widziałem raz czarnucha maszerującego w Paradyzie Świętego Patryka. Niósł transparent z napisem „Daj buzi. Jestem Irlandczykiem”.

NM2: To King ich do tego podburza. Wtykają najpierw palec od nogi do naszego świata, potem stopę, potem kostkę...

NM1: A mnie najbardziej martwią ich ptaki. Większość z tych ogierów ma je ponoć wielkości niezłej kiełbacy.

NM2: A ja gadałem z Philem. Znasz go? „Phil Piguła”. Ma osiedle przyczep pod St. Louis.

NM3: Znam go. Phil Piguła. Zażera się prochami, jakby to był popcorn.

NM2: Phil twierdzi, że jest wyznaczona cena. No wiecie, pula. Jak za

Steve'a McQueena w *Poszukiwany żywy lub martwy*.

NM1: Słyszałem o tym. Jak stukniesz tego czarnucha, zarobisz pięćdziesiąt kawałków. Nie wierzę w takie opowiadki ani przez sekundę.

NM3: Racja. Jakiś czubek stuknie Kinga, przyjdzie do Grapevine i powie: „Zapłaćcie mi”. A wszyscy: „Niby dlaczego? To była tylko pieprzona pogłoska, a czarnuch co nie żyje, to nie żyje”.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.09.1967. Meldunek ze stanowiska podsłuchowego. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce podsłuchu: apartament 301/ Hotel El Encanto/ Santa Barbara/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego.

Szanowni Panowie,

jeśli chodzi o ostatnich 9 okresów monitorowania (od 2.04.1967 do dziś) obiekt RFK nie przebywał w wyznaczonym miejscu. Obiekt RFK wynajmuje apartament na cały rok, a podczas jego nieobecności pokoje pozostają puste. W związku z tym uruchamiane za pomocą głosu urządzenia wychwyciły tylko nieistotne rozmowy pomiędzy pokojówkami i innymi pracownikami hotelu El Encanto. Zgodnie z rozkazami stanowisko podsłuchowe będzie kontynuowało pracę w pełnej obsadzie przez cały czas.

Z poważaniem,

agent specjalny C.W. Brundage

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.09.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: sala bankietowa w trattorii U Sala/ Nowy Jork/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Robert „Gruby Bob” Paolucci i Carmine Paolucci, związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 31,8 min).

RP: Jesteśmy świadkami końca znanej nam cywilizacji.

CP: To przejściowe. Tak samo jak twist i hula hop. Akurat teraz asfalom zachciało się praw obywatelskich, więc spalą parę budynków i trochę sobie

pokrzyczą. Chcesz zakończyć te pieprzone zamieszki? Daj każdemu szwarcowi klimatyzator i trochę taniego wina i niech się leczą z tej gorączki we własnym stylu.

RP: To coś więcej niż zwykła gorączka tak ich podjudza. To King i jego bratnia dusza Bobby Kennedy. Ci dwaj każą im widzieć coś, czego nie ma. Dają im powód do pieprzonego życia, coś na zasadzie: „biały człowiek rznął was na całej linii, więc co jest jego, jest wasze”. Wystarczy, że pomyśli tak dziesięć milionów pierdolonych ludzi, a jeden z dziesięciu zacznie działać, i już masz milion rozwścieczonych czarnuchów wyruszających po białe skalpy jak pieprzeni czerwonoskórzy.

CP: No, kapuję, o co ci chodzi.

RP: Ktoś powinien stuknąć Kinga i Bobby’ego. Można by w ten sposób ocalić co najmniej milion ludzi.

CP: To fakt. Na dłuższą metę dla wielu to by oznaczało ocalenie.

RP: Stuknij tych dwóch sukinsynów. Stuknij ich, a uratujesz świat taki, jakim go znamy.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.09.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: sala do gry w karty w Grapevine Tavern/ St. Louis/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Nieznani Mężczyźni 1 i 2, prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 17,4 min).

NM1: Widział to na własne oczy. Mój brat, znaczy się. Jest w Gwardii Narodowej.

NM2: Ale to było w Detroit. A tam masz więcej smoluchów niż białych.

NM1: Nie powiesz mi, że to się nie może stać i nie stanie się w innych miejscach. Nie mów mi, że do tego nie dojdzie, bo dojdzie. Zobacz sobie na mapie, zaznacz miejsca, gdzie przeszedł Martin Luther King Kong, i zobacz, że to te same miejsca, w których zginęli biali ludzie.

NM2: Fakt. Watts, Detroit, Waszyngton. Zamieszki nawet w stolicy.

NM1: Ale jest ta pula. Wiem, że to nie brzmi całkiem realnie...

NM2: No, delikatnie mówiąc. Ale...

NM1: Ale to nie ma znaczenia, ważne tylko, żeby jakiś Jasio Patriota uwierzył w jej istnienie i wziął się do roboty.

NM2: Pif, paf. Jasne, że się weźmie. Cholera, to pewne jak w banku.

NM1: Trzeba tylko wierzyć, że jest więcej takich pul. Prawdziwych czy nie, grunt żeby znalazł się jeden, co uwierzy.

NM2: King Kong już jest trupem. To jest... jak to się mówi?

NM1: Nieuniknione?

NM2: No. Właśnie.

NM1: Jest nas więcej niż czarnuchów. Jakies dwadzieścia razy więcej. Dlatego na pewno do tego dojdzie.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.09.1967. Nagłówek i podtytuł w „Las Vegas Sun”:

HUGHES KUPUJE SANDS
23 000 000 \$ ZA HOTEL-KASYNO

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.09.1967. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

HUGHES NA FALI
MILIARDER-SAMOTNIK SZYKUJE SIĘ
NA CASTAWAYS I FRONTIER

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.09.1967. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

LAS VEGAS WIELBI HUGHESA
ON JEST KRÓLEM STRIP!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.09.1967. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:

KING CORAZ OSTRZEJ ATAKUJE
„IMPERIALISTYCZNĄ” WOJNĘ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.09.1967. Podtytuł z „St.Louis Globe-Democrat”:
RFK ZGADZA SIĘ Z KINGIEM I W SWYM PRZEMÓWIENIU POTĘPIA
WOJNĘ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.10.1967. Podtytuł z „San Francisco Chronicle”:

RFK MILCZY NA TEMAT STARTU W WYBORACH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.10.1967. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Times”:

NIXON DO DZIENNIKARZY:
W 1968 WSZYSTKO SIĘ MOŻE ZDARZYĆ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.10.1967. Podtytuł z „Washington Star”:
ŹRÓDŁA DONOSZĄ O „KONSTERNACJI” LBJ:
PREZYDENT ZADZIWIIONY OSTRYMI WYSTĄPIENIAMI KINGA
PRZECIWKO WOJNIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.10.1967. Raport terenowy FBI. Oznaczono: „Poufne”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Szanowni Panowie,
odnośnie do obserwacji obiektu Ward J. Littell.

Obiekt Littell w dalszym ciągu dzieli swój czas pracy pomiędzy Los Angeles, Las Vegas i Waszyngton. Aktualnie pracuje nad sfinalizowaniem negocjacji dotyczących zakupu hotelu Castaways w Las Vegas, zaś w Waszyngtonie uczestniczy w procesach apelacyjnych w imieniu prezesa Teamsters Jamesa R. Hoffy. Obiekt Littell kontynuuje też bliską znajomość z Janice Tedrow Lukens. Wraz z innymi przydzielonymi do tego zadania agentami doszliśmy do wniosku, że obiekt Littell domyśla się, iż jest czasami śledzony, i w związku z tym jeździ do pracy różnymi trasami, by zgubić „ogony”. Powinienem tu nadmienić, że obiekt Littell nie zaangażował się dotychczas w żadne działania, które należałoby uznać za podejrzane.

Obserwacja będzie kontynuowana na dotychczasowych zasadach.

Z poważaniem,
AS T.V. Houghton

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.10.1967. Fragmenty wybrane z nienawistnej korespondencji. Zebrane przez: OJCIEC KRÓLIK. Zapieczętowane i oznaczone: „Zniszczyć bez czytania w razie mojej śmierci”.

Nadawca przesyłki: anonim. Pieczęć pocztowa: St. Louis, Missouri.
Adresat: dr M.L. King. Fragment strony 1 (z 1).

Oto kolejny wierszyk dla ciebie, Czarnuchu:
Już ktoś wziął pulę za to, byś nie został przy duchu.
Bój się Johna Bircha i Klanu się bój,
I gniewu Białego Człowieka, dla któregoś gnój.
Zbieraj swoje manele i Sądu czekaj Dnia,
Bo zbyt długo już tutaj wędrówka twoja trwa.
Zabieraj swoich pigmejów, swe wino i prochy,
I spieprzaj stąd jak najdalej, nie zwlekaj ni trochę,
Zwiewaj do Afryki na karku złamanie,
Bo cię inaczej czeka w grzańskim gównie kąpanie,
Z którego żywy nie wyjdiesz, ku radości białych,
Szczęśliwych, że jest już wolny od ciebie nasz naród wspaniały!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.10.1967. Fragmenty wybrane z nienawistnej korespondencji. Zebrane przez: OJCIEC KRÓLIK. Zapieczętowane i oznaczone: „Zniszczyć bez czytania w razie mojej śmierci”.

Nadawca przesyłki: anonim. Pieczęć pocztowa: Pasadena, Kalifornia. Adresat: senator Robert F. Kennedy. Fragment strony 8 (z 8).

OGÓLNOŚWIATOWY ŻYDOWSKI ZAKON ŚWIŃ UDZIELIŁ CI SWEGO BŁOGOSŁAWIEŃSTWA RAZEM Z PAPIEŻEM-GWAŁCICIELEM I UCZONYMI MĘDRcami SYJONU, KTÓRZY RZUCILI KLĄTWĘ ROPY NA DZIECI OŚMIELAJĄCE SIĘ WALCZYĆ Z NIEWIERNYMI ŻYDAMI W IMIĘ ARABSKIEJ DIASPORY. TWOJA SZKARADNA MATKA WIE, ŻE JESTEŚ PŁODEM Z ŻYDOWSKIEGO NASIENIA WŚCIEKŁEGO KOZŁA. RAKOTWÓRCZA ŻYDOWSKA MACHINA BOI SIĘ DOKTORA LECZĄCEGO BÓL GŁOWY. DOKTOR PALI MARLBORO I NIE TYKA KARPIA PO ŻYDOWSKU. I MÓWI RFK MUSI ZGINAĆ! RFK MUSI ZGINAĆ! RFK MUSI ZGINAĆ! RFK MUSI ZGINAĆ!!!!!!

(Las Vegas/ Los Angeles/ Waszyngton/ Nowy Orlean/ Mexico City, 4 listopada 1967–3 grudnia 1967)

Załatwione: Desert Inn/ Sands/ Castaways. Na tapecie: Frontier.

Trafione w dziesiątkę: niemormońscy odciągacze podkablowani federalnym. Stara gwardia od odciążania za kratkami.

Littell planował. Littell siał. Chłopcy zbierali plony. Łapówki/ kity dla prasy/ wymuszenia. Szantaże/ filantropia.

Zajęło to cztery lata. Teraz Drak ma swoje Las Vegas. Drak zbudował królestwo.

Trzy hotele z głowy. Następne w kolejce. Trwają prace nad ośmioma. Drak wykupuje Las Vegas. Drak jest panem Las Vegas – z pozoru.

Chłopcy się radują. Chłopcy chwala Littella. Chłopcy przyjmują do współpracy Wayne’a Seniora. Wayne Senior załatwia personel. Wayne Senior werbuje:

Mormonów do Desert Inn. Mormonów do Castaways. Mormonów do Sands. Mormonów do kasyn/ mormonów zatwierdzonych przez Hughesa/ mormonów czystych. Mormońskich *odciągaczy/ niezatwierdzonych* przez Hughesa/*nieczystych*.

Kolejne hotele na tapecie. Zatrudniani kolejni mormoni. Drak dostaje akty notarialne. Drak pławi się w sławie. Chłopcy pławią się w kasie.

Littell pogadał z Chłopcami. Chłopcy się zgodzili: zawieśmy odciążanie. Niech Drak w tym okrzepnie. Niech wyschnie tusz na dokumentach. Niech ucichnie zamieszanie.

A wtedy – ciach – zaczynamy ciągnąć. Bierzemy pompę ssącą. Wąż przystawiamy do Draka.

Littell powiedział: „Jesteśmy gotowi. Namierzyłem sześćdziesiąt jeden firm. Wszystkie mają dług wobec Funduszu. Łatwo je podporządkować. To pryszcz. Wznawiamy odciążanie. Podporządkowujemy sobie rzeczony firmy. Przepuszczamy przez nie zyski i zakładamy zagraniczne kasyna”.

Na papierze wyglądało to nieźle. *Jego zdaniem* było okej. Podnosiło jego szanse na emeryturę.

Dajcie mi odejść. Jestem już wykończony. *Boję się*. Drak go przerażał. Drak gadał o kontaktach z mediami. Drak gadał o finansowej jawności:

Poprawię swój wizerunek. Każę skontrolować moje księgi. Upublicznię dane. *Nie rób tego. Skubałem cię*. Nie ujawniaj *moich* funduszy na dziesięcinę.

Dajcie mi odejść. Jestem wykończony. Moje życie to chaos. Śnię o Jane. Kocham się z Janice.

Janice znalazła sobie zajęcie. Janice kupiła sklep golfowy. Sprzedawała teraz sprzęt do golfa w Sands. Wyrabiała markę.

Prezentowała uderzenia przed drzwiami. Wyrabiała markę. Nabijała się z siebie tak, jak niegdyś Barb. Wyrabiała markę. Dobrze sobie radziła. Przyciągała klientów. Zarabiała pieniądze.

Wciąż utykała. Wciąż miała skurcze. Wciąż miała ataki bólu. Mniej teraz piła. Mniej się wygłupiała. Mniej paplała. Dała sobie spokój z Tedrowami. Wyzwoliła się spod ich uroku.

On sypiał z Janice. A dzieliła z nimi łożo Jane. Jane zatłuczona pałkami/ Jane zastrzelona/ Jane zakrwawiona.

Dajcie mi odejść. Jestem wykończony. *Boję się spać*. Moje życie to chaos.

Pracował z Wayne'em Seniolem. Targowali się w interesach. Wayne Senior mówił o Wizerunku.

Jasna dupa – to image się *liczy*. Pieprzyć nienawistne pamflety – *znam* Dicka Nixona.

Wayne Senior mówił o Wizerunku. Wayne Senior mówił o zmianach. Nie mówił o CZARNYM KRÓLIKU. Wayne Senior dobrze sobie radził. Wayne Senior dotrzymywał słowa.

Widział się z Nixonem. Pogadał z nim. Powiedział, że Dick wystartuje. Powiedział, że Dick *chce* tego stołka. Powiedział, że Dick chce tych pieniędzy.

Littell zadzwonił do Draka. Drak się zgodził. Drak powiedział, że odpali procenik. Littell zadzwonił do Chłopców. Chłopcy oszaleli z radości.

Dick lubi pieniądze. Dick gotów jest wyświadczać „przysługi”. Wayne Senior tak twierdzi. Wystartuje. Zdobędzie dość głosów. Wygra wybory wstępne. Zdobędzie nominację. Spotka się z Littellem.

Pozwólcie mi odejść. Jestem wykończony. Nie znoszę Wayne'a Seniora.

Nie znoszę Cwanego Dicka. Uwielbiam Bobby'ego. Uwielbiam jego asystenta.

Był przejazdem w Waszyngtonie. Spotkał się z Paulem Horvitzem. Zacerpnął informacji z dokumentów Jane. Przepisał na maszynie jej notatki. Podkablował Bobby'emu podrzędnych gangsterów.

Spotkał się z Paulem czterokrotnie. Dostarczył cztery paczki. Paul był w szoku. Paul cytował Bobby'ego. Bobby był pod wrażeniem. Zatrzymali sobie dane. Sprawdzili fakty. Wstrzymywali się z ujawnieniem.

Paul powiedział: „Nasza umowa obowiązuje. Nie ujawnimy pańskich brudów – aż do końca 1968 roku”. Paul powiedział, że Bobby być może wystartuje. LBJ być może pójdzie na emeryturę. Zaczekajmy do 1968.

Spotykał się z Paulem. Udawał pedzia z Południa. Zakładał sztuczną brode i przybierał akcent. Rozmawiali o polityce. Littell wplatał w to kłamstwa. Mówił, jak żył w Missisipi.

Szkoła w De Kalb. Liberalne wartości. Południowa delikatność. Musiał stamtąd wyjechać przez Klan. Ruszył na północ. Arystokrata na wygnaniu.

Paul słuchał tych opowieści. Znosił jakoś te proszone kolacje. Facet jest samotny. Jest stary. Kocha Bobby'ego.

Pozwólcie mi odejść. Jestem wykończony. Zaczynam fantazjować.

Podróżował. Pracował. Posyłał dziesięciny do SCLC. Wyglądał ogonów. Dostrzegał ogony. Gubił ogony.

Obliczał. Wyglądał ogonów. Znalazł prawidłowość: jednego dnia są/ przez dziewięć ich nie ma. Sprawdził jeszcze tę prawidłowość: dziewięć do jednego. Zgodnie z nią się pilnował.

Paranoja: słuszna i uzasadniona. Dziewięć dni wolności. Jeden dzień jej braku. Trzeba działać, mając to na względzie.

Pan Hoover nie dzwonił. Ani BŁĘKITNY KRÓLIK. Littell pracował nad podsłuchami. Kierowali nim agenci. Po BŁĘKITNYM KRÓLIKU słuch zaginął. Żadnych wiadomości w skrzynce kontaktowej. Żadnych braw. Żadnych podziękowań. Nie otrzymał zaproszenia do powrotu. Ani słowa na temat CZARNEGO KRÓLIKA.

To go przerażało. Zdawało się mówić, że CZARNY KRÓLIK kica tylko dla wybranych. A to oznaczało coś bardzo złego.

Raz w miesiącu spotykał się z Bayardem Rustinem. Jedli lunch w Waszyngtonie. Bayard powiedział, że omal nie padł ofiarą szantażu – chłopie, co za scena!

Bayard ją zrelacjonował. Bayard opisał mikrofony i lustra. Bayard opisał ciotę-przynętę. Wyglądało to na Freda Otasha. Mógł to być Pete B.

Pete był wtedy w żałobie. Opuściła go Barb. Pete dlatego chodził nadąsany. Littell sprawdził datę, jaką podał mu Bayard. Littell sprawdził możliwości.

Zakładał akurat wtedy podsłuchy w miejscach spotkań mafii. Dorwał Freddy'ego T. Freddy odmówił współpracy. Freddy *miał* fuchę. Freddy powiedział: „Fred O. mnie wynajął”.

Nie pytaj Pete'a. Jeszcze by to potwierdził. Jeszcze by powiedział: to ja zorganizowałem ten pedalski szantaż.

Pozwólcie mi odejść. Jestem wykończony. Moi przyjaciele mnie przerażają.

Spotykał się z Bayardem. Bayard mówił. Bayard powiedział: „Martin mnie przeraża. Snuje plany. Śmiało jak nigdy dotąd. Przysporzy sobie jeszcze więcej wrogów”.

Niepłacenie czynszów/ bojkoty/ związki biedoty/ marsze biedoty/ schizma biedoty.

Littell słuchał. Littell pamiętał – tak brzmiało proroctwo Lyle'a Holly'ego.

Bayard był przerażony. Martin był opętany. Martin ział wrogością. Jego plany wstrząsną krajem. Jego plany podzielą kraj. Jego plany zrodzą wrogość. W niwecz obrócą sukcesy. Wywołają gwałtowne reakcje. Jego plany staną się źródłem schizmy.

Littell już to *znał*:

Marthin Luther/1532. Europa w połodze. I papież. Całkiem jak pan Hoover. Jego stary świat w połodze.

Pozwólcie mi odejść. Chcę tylko patrzeć. Chcę się przyglądać biernie.

Jimmy Hoffa jest w więzieniu. Będę składał za niego apelacje. Pozwólcie mi odejść. Za dużo podróżuję. Skaczę po całym kraju. Proszę, pozwólcie mi odejść.

Latał na południe. Do Mexico City. Odbył cztery takie wycieczki i spotkał się z Samem G. Rozmawiali o kolonizacji. Sam opowiadał o swoim podróżowaniu.

Sam wędrował po Ameryce Środkowej. Sam wędrował po Karaibach. Sam woził ze sobą tłumaczy i pieniądze. Sam rozmawiał z dyktatorami. Sam rozmawiał z marionetkowymi oprychami. Sam rozmawiał z fanatycznymi rebeliantami.

Sam przemawiał. Sam przygotowywał grunt. Sam siał ziarno. Sam mówił: „Kocham waszą sprawę. Sprzyjam jej i zapewniam was o swym bratnim wsparciu. Macie tu trochę kasy. Dostaniecie więcej. Jeszcze się z wami skontaktuję”.

Sam siał, rozdając pieniądze. Sam siał, wspierając wszystkie ideologie. Zasiej ziarno – zbierz plon rewolt i represji – promuj ideologię kasyn.

Pozwólcie mi odejść. Mam już dość latania. Dym w kasynach przyprawia mnie o mdłości. Pozwólcie odejść Pete’owi. On też jest zmęczony. Jego praca przyprawia mnie o mdłości. Potępiam go – nie mam do tego prawa – to hipokryzja.

Pete handlował herą. Pete prowadził korporację taksówkarską. Pete prowadził swój hotel-kasyno. Pete miał Kubę. Pete miał Wietnam. Pete wariował na dwóch frontach. Pete tęsknił za Wietnamem. Jeszcze bardziej tęsknił za Barb. To Barb zatrzymała go w domu. Pete leczył się ze swych szaleństw.

Pete tkwił w Stanach. Pete podróżował. Pete odwiedził Barb. Pete odwiedził miasteczko w Wisconsin.

Pete do niego zadzwonił. Zadzwoniła Barb. Poznał obie wersje. Z Vegas do Sparty – Pete wyjeżdża pełen nadziei – Pete wraca przybity.

Pete pracował przy swoich szwindlach. Pete wychwalał wojnę. Pete folgował swoim nałogom. Barb potraktowała go ostro. Barb napiętnowała wojnę. Barb wystrzegą się nałogów.

Miłość w fazie zastoju. Dwa podejścia. Jego i jej.

Pozwólcie odejść Pete’owi. Awansujcie Wayne’a – *le fils de Pete*⁶².

Pete miał koszmary. Pete mu je opisał. Betty Mac/ kraty/ pętla.

Pete miał przynajmniej prawdziwe obrazy. *On* nie. Czuł się przez to tym gorzej.

Oto Jane Fentress – Arden Breen/Bruvick/Smith/Coates. Zakatowana nożem/ pałką/ stalowym drągiem.

Obrazy się zmieniały. Tylko podkład dźwiękowy pozostawał ten sam. List pana Hoovera – adresowany do doktora Kinga.

„Ponura farsa”. „Jedno wyjście”. „Obowiązek”.

Pozwólcie mi odejść. Postaram się żyć beczynn timer. Może mi się to nie udać.

(Wietnam/ Las Vegas/ Los Angeles/ Bay St. Louis/ wody terytorialne Kuby, 4 listopada 1967–3 grudnia 1967)

Coraz więcej:

Wojska. Przesunięć wojska. Trupów wśród wojska.

Coraz więcej:

Nalotów bombowych. Ataków. Oporu.

Opór w Wietnamie. Opór w Stanach. Opór na całym świecie. Wojny było coraz WIĘCEJ. Interesów – coraz MNIEJ. Wayne miał tego świadomość.

Coraz mniej:

Terytorium. Zysków. Możliwości.

Kadra podnajmowała laboratorium. Współpracowała z Can Lao. Po co? Can Lao wysyłało towar do Europy. Kadra – do Vegas. Co za dychotomia.

Interes Kadry szedł dobrze. Interes Can Lao znakomicie. Co za rozbieżność. Wojny było coraz WIĘCEJ. Interesów coraz MNIEJ. Co za brak konsekwencji.

Mieli ograniczony teren. Zachodnie Vegas już się nasyciło. Nie mieli gdzie się rozwijać. Pete kontaktował się ze Stantonem. Pete kontaktował się miesiąc w miesiąc. Pete mówił: „Pozwól nam się ROZWIJAĆ. Poza Vegas. W LA. W San Francisco”.

Mamy Farmę Tygrys. Mamy makowych niewolników. Mamy makowe pola bu-kuu. Możemy się ROZWIJAĆ. Możemy zarabiać WIĘCEJ. Możemy ROZWIJAĆ Sprawę.

Stanton powiedział: „Nie”. Stanton się uparł. Wayne wsłuchał się w jego ton. Brzmiał niepewnie. Brzmiał trochę dziwnie. Pete chce WIĘCEJ. Stanton chce MNIEJ. Co za entropia.

Wayne chciał więcej. Wayne kręcił się na wschód. Wayne widział coraz więcej. Coraz więcej żołnierzy popalających trawę. Coraz więcej żołnierzy łykających piguły. Coraz więcej żołnierzy coraz bardziej przerażonych.

Wielka „H” zabijała strach. Wkrótce się przekonają. Wayne był tego

świadomy.

Wojna go podniecała. Istny rock and roll. Wojna się rozwijała. „Sprawa” go nudziła. „Sprawa” go drażniła. „Sprawa” niosła ze sobą sprzeczności.

Na przykład: wypadki na Kubę/ czterdzieści z okładem/ zero oporu na morzu. To się zrobiło nudne. Nie niosło żadnych możliwości. To było trochę dziwne.

Sprawa była jak lep na muchy. Pete był muchą. Pete tkwił na lepie od 1960 roku. Laurent był muchą. Flash był muchą. Nieustannie brzęczeli o Kubie.

Pieprzyli przebrzmiałe bzdury. Gadali o zamachach stanu i komuchach. Gadali o teorii domina. Bob pieprzył przebrzmiałe bzdury. Gadał o rasach i komuchach. Gadał o teorii domina.

Bob był niepewny. Bob zdawał się taki już od tygodni. Bob zdawał się trochę dziwny. Zdawał się niespokojny. Zdawał się przerażony. Zdawał się podkrecony.

Bob zdawał się tkwić w tym po same uszy. Kuba to lep na muchy. Kuba to grzęzawisko. Kuba to klej.

Vegas to grzęzawisko. Barb to wie. Barb się z niego wyswobadza. Pete to wie. Pete jednak tkwi w nim dalej.

Pete wlał Wayne’owi. Wayne przyjął to lanie z pokorą. Pete przeprosił. Pete miał nerwy w strzępach. Barb była daleko. Interes – daleki od ideału.

Pete chce WIĘCEJ. Pete jest sfrustrowany. Stanton jest nieugięty. Pete jest uziemiony. Pete trafia na kłody pod nogami. Pete może w końcu nie wytrzymać.

Pete i Barb zawarli rozejm. Rozejm zawarł zakaz podróżowania – Wietnamowi *niet*. Pete był uziemiony. Pete’a ograniczały postanowienia rozejmu. Pete zaczął mówić o ich łamaniu.

Polecę do Sajgonu. Przycisnę Stantona. Zażądam WIĘCEJ. A Stanton zamruga. Stanton się uśmiechnie. Stanton go udobrucha.

Wojny było coraz WIĘCEJ. Interesów coraz MNIEJ. WIĘCEJ było też Wayne’a Seniora. Byli teraz sobie równi. Byli jakby kumplami. Kumplami, ale nie takimi jak on i Pete.

Pete szuka WIĘCEJ. Szuka terytorium i kasy. Wayne Senior szuka WIĘCEJ. Wayne Senior porzuca swój interes nienawiści. Wayne Senior gardzi zarabianiem pieniędzy. Pete znajduje frustrację. Wayne Senior znajduje Dicka Nixona.

Pete pije z dilerami. Pete spóźnia się z wezwaniem Taxi Tygrys. Pete

porusza się jak po lepie na muchy. Wayne Senior gra w golfa. Wayne Senior strzela do rzutków. Wayne Senior pije z Dickiem Nixonem.

Pracował dla nich obu. Byli zupełnie do siebie niepodobni. Byli jak dwaj jego domniemani ojcowie. On kochał kobiety obydwu. Żył bez kobiet. Załatwił mu to Wendell D. i sprawa z Lynette. Kobiety go intrygowały. Intrygowała go Barb. Intrygowała go aż do wtedy.

Uderzył ją. Ona chwyciła za nóż. Uciekła od niego i od Pete'a. Widziała wojnę. Widziała to, co w tej wojnie było najgorsze.

Pete'a i jego numery. To Życie.

Rzuciła prochy. Rzuciła To Życie. Była teraz szczęśliwsza. Uwolniła się z lepu na muchy. Lecz tamto bagno jej pasowało. Teraz straciła swój powab. Wayne kochał ją bardziej. Kochał ją mniej. Jego uczucie się chwiało.

Intrygowała go Janice. Już od dwudziestu lat. Zerznął ją w odwecie za Dallas. Jemu się upiekło. Ona zapłacała.

Nadal kulała. Nadal miewała skurcze. Oddech nadal jej się rwał. Widywał ją w Vegas. Widywał ją z Wardem i solo. Widziała czasami, jak na nią patrzy. Zawsze się uśmiechała. Zawsze machała. Zawsze przesyłała całusy.

To go cofało w czasie. Dawne migawki przez okno. Spojrzenia zza uchylonych drzwi.

Miała teraz czterdzieści sześć lat. On trzydzieści trzy. Jej biodra sterczały zabawnie – skutek utykania. Zastanawiał się, jak szeroko potrafi jeszcze rozstawić nogi.

Rozpalone na nowo uczucie. Co za żar. Typowy związek przyczynowo-skutkowy. Znów jest realna. Znów jest w twoich myślach – bo zszedłeś się na nowo z Wayne'em Seniozem.

Dłubanina. Służba przy poczcie nienawiści. Postudiujmy nienawiść. Przyjrzyjmy się, jak działa. Zobaczmy, co ze sobą niesie.

Wayne Senior powiedział, że gromadzę dla niego dane wywiadowcze. Podprowadzam informacje FBI. Mierzę stopień niezadowolenia. Badam jego puls. Na razie to studia czysto teoretyczne.

Wayne Senior przemawiał wzniośle. Wayne Senior przemawiał abstrakcyjnie. Wayne Senior co innego myślał, niż mówił.

Wayne wiedział:

On cię teraz naucza. Poczytaj o nienawiści. Nie nienawidź bezmyślnie.

Kręcił się. Latał na trasie Sajgon–Waszyngton. Przechwytywał informacje. Zakradał się. Zwijał pocztę. Robił odbitki. Sprawdzał odciski palców metodą

pyłową. Niczego nie znajdował. Przeprowadzał test ninhydryną. Uzyskiwał fragmenty. Poznawał Alfabet Nienawiści.

Zakradał się z powrotem. Odkładał przesyłki. Rozsmakowywał się w Alfabcie.

F jak Furia. P jak Przerazenie. I jak Idiotyzm. N jak Niedorzeczność. U jak Usprawiedliwienie.

Kolorowi kpią sobie z porządku. Kolorowi sieją chaos. Kolorowi plenią obłąd. Siewcy nienawiści to wiedzieli. Wiedział to Wayne Senior. Wiedział to *on*. Nienawidzący żyli po to, by nienawidzić. To było złe. *To* był obłąd. Nienawidzący żyli w nieporządku. Nienawidzącym służył chaos. Nienawidzący naśladowali nienawidzonych.

G jak Głupota. R jak Rozgoryczenie. S jak Słabość.

Odrabiał zadaną lekcję. Uczestniczył w Kursie Nienawiści Wayne'a Seniora. Szukał Wendella Durfee'ego.

Kręcił się na południe. Brał udział w wypadach na Kubę. Kręcił się na zachód do LA. Krążył po Compton. Krążył po Willowbrook. Krążył po Watts.

Patrzył na Murzynów. Murzyni patrzyli na niego. Nie tracił panowania. Nie tracił spokoju. Znał swój Alfabet. Wendella nigdzie nie było. Wendell, gdzie jesteś? Nienawidzę cię. Zabiję cię. Nienawiść mi nie przeszkodzi.

Nienawidź mądrze – jak Wayne Senior. T jak Trucizna. O jak Odwaga. W jak Wszystko.

Przechwytywał pocztę. Czerpał ze studni nienawiści. Wyciągał z niej obłąd.

Dziwne:

Dobrał się raz do tyłka jednemu wałkoniowi. Pod koniec 1966. Dupek nazywał się Sirhan Sirhan. Sirhan miał ulotki nienawiści. RFK otrzymywał nienawistne listy. Nabazgrane w podobnym stylu.

Wielkie drukowane litery/ bóle głowy i ropa/ „Rakotwórcza Żydowska Machina”/ Sirhan się ślini. Sirhan nienawidzi głupio. Sirhan pleni obłąd.

Daj temu spokój, Sirhan. Osiągniesz coś odwrotnego niż to, co zamierzasz. To głupota. Szaleństwo.

Nienawidź mądrze. Tak jak Wayne Senior. Jak ja.

**(Las Vegas/ Sparta/ Bay St. Louis/ wody terytorialne
Kuby, 4 listopada 1967–3 grudnia 1967)**

Jesteś bezdomny.

Jesteś w Vegas przejazdem. Masz embargo na dom. Jesteś pieprzonym uchodźcą.

To więzienie. To rynsztok. To kpina z kręcenia się. To Ucieczkowo. To prawie rozwód. To już nie tylko separacja.

Barb uciekła. Pete pojechał za nią – kręcenie się dla miłości. Pete wrócił sam – kręcenie się *bez* miłości. Podróże go wykańczały. Podróże go uczyły. Podróże pomagały mu coś zrozumieć:

Nienawidzisz Vegas. Bez Barb to jest szambo. Jesteś Jasio Vegas-Uchodźca.

Miał swój trójbiznes. Wszystko wiązało się z Vegas – Tygrys/ handel herą/ Cavern. Nie mógł uciec. Należał do Chłopców. Jego los był opieczętowany i oznaczony: „Dallas”.

Kochał swój trójbiznes. Nienawidził miasta. Wszystko się ze sobą splatało. Bezpaństwowiec.

Spotkał się z Barb. Ciskała talerzami. Bez wysokich obcasów/ bez cekinów. Siostra ją urabiała. Siostra ją wabiła – suuuper procencik od zysków. Barb B. – barowa eks-królowa. Kelnerka/restauratorka.

Nie mógł jej mieć. Nie mógł jej mieć na swoich warunkach. Nie mógł jej mieć *u siebie*.

Żył w Vegas. Latał do Missisipi. Nienawidził tego. Tępe białe wsioki i tępe czarnuchy. Komary i pchły.

Robił wypadu łodzią. Kiepsko to znosił. Czuł przyspieszenia pulsu. Pochłaniał aviomarin. Już go to nudziło. Ostrożność, skalpy i nic poza tym. Żadnego sensownego oporu.

Wszędzie był przejazdem. Pierdolca już dostawał od tych ciągłych podróży. Był kręcącym się uchodźcą.

Czegoś chcesz. Nie możesz tego mieć. Nie potrafisz zaniechać. Masz nałogi. Nie potrzebujesz ich. Nie potrafisz się ich pozbyć.

Papierosy. Pizza i ciasto orzechowe. Mocny alkohol i steki.

W Sparcie ukrywał swoje nałogi. Barb nie wiedziała o niczym. Odleciał. Dał spokój z oczyszczaniem organizmu. Obzerał się podczas kręcenia się.

Przejezdny. Żarłok. Wygnaniec. Wygnaniec w drodze na Kubę/ wygnaniec na Południu/ wygnaniec w Vegas.

Teraz to miasto Draka – przynajmniej z pozoru.

Znał Draka. Znał go od dawna. Spotkali się w 1953. Pracował dla Draka. Załatwiał mu prochy. Załatwiał kobiety. Drak był wtedy żarłokiem. Drak żarłokiem pozostał.

Przeszedł się po Desert Inn. Zapłacił mormonom za możliwość zwiedzenia. Kupił sobie bilet na dłuuuugą wycieczkę.

Drak drzemał. Leżał uwięzany pod kroplówkami. Drak dostawał transfuzje. Mormońska krew/ krew z hormonami/ krew czysta. Drak był chudy. Drak był smukły. Drak był elegancki. Drak nosił kartonowy kapelusz i kartonowe kaptcie.

Drak żył na prochach. Barb żyła bez prochów. Pete handlował prochami, nie bu-kuu. Pete był jak sparaliżowany. Pete czuł się orznięty na zyskach. Pete był prochowym wygnańcem.

Błagał Stantona. Mówił: „Pozwól mi się rozwinąć”. Stanton zawsze odmawiał. Zawsze cytował Carlosa. Zawsze cytował Chłopców: „Oni sobie nie życzą. Będziesz musiał z tym żyć. Takie są ich warunki”.

Żył z tym. Nie mógł tego znieść. Czuł się skazany na wygnanie.

Miał różne pomysły.

Polecę do Sajgonu. Przycisnę Stanton. Złamię postanowienie rozejmu. Powiem Barb, żeby wydała mi wizę. Zmuszę, by rozluźniła nieco ten uchwyt na moich jajach.

Powiem Stantonowi, żeby rozwinął interes albo wsadził go sobie w tyłek. Stanton się posra. Carlos się posra. Chłopcy być może będą grać na zwłokę.

To się może udać. To może nimi wstrząsnąć. To może mu pomóc powrócić z wygnania. Potrzebował tego. Potrzebował czegoś. Potrzebował WIĘCEJ.

Nudził się. Czuł, że popada w obłąd. Martwił się jak cholera.

Na przykład Kubą: *mucho* wypadów – zero oporu na morzu.

Na przykład Bobem Relyea: nerwowym i podkręconym.

Pieprzy głupoty. Mówi, że nasza robota jest martwa. Mówi: „Mam fuchę największej wagi”.

Wpadł do obozu Boba. Widział Boba z bronią. Widział, jak Bob wypala numery seryjne z trzema zerami.

I co? I co z tego? Nie chwytaj się brzytwy. Nie bądź takim narwanym uchodźcą.

Nudził się. Czuł, że popada w obłęd. Czuł, jak mu skacze ciśnienie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.12.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: sala do gry w karty w Grapevine Tavern/St. Louis/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Norbert Donald King i Rowland Mark DeJohn, skazańcy na zwolnieniu warunkowym (napady z bronią w rękę/ oszustwa/ kradzieże samochodów), prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 14,1 min).

NDK: A ludzie słuchają, czaisz. Wieść się niesie.

RMDJ: Normalnie jakby ją wiatr poganiał.

NDK: No, istna zawierucha, co sprzątnie czarnucha.

RMDJ: Faceci natrafiają na wieść, słuchają, zaczynają myśleć.

NDK: Myślą, czaisz, pięćdziesiąt kawałków za dobry uczynek, który nie będzie ci zapomniany.

RMDJ: Jak to zrobisz na Południu, żadna ława przysięgłych cię nie skaże.

NDK: To fakt. Tak jak jest z tymi gośćmi w Missisipi. Łoją tych dupków od praw obywatelskich i nic im się za to nie dzieje.

NDK: A wiesz ty, kogo tutaj widziałem? Jakoś tak w maju?

RMDJ: Kogo?

NDK: Jimmy’ego Raya. Kupowałem od niego prochy w Jeff City.

RMDJ: Słyszałem, że się zerwał.

NDK: No. Najpierw się zrywa, a potem się wkurza, że na niego nie polują.

RMDJ: To cały Jimmy. Hej ty, świecie, patrz, to ja.

NDK: Ale nienawidzi czarnuchów. Trzeba mu to oddać.

RMDJ: Trzymał się z klawiszami. W Jeff City, znaczy się. Nigdy mi się to w nim nie podobało.

NDK: Klawisze byli sklanowani. Dlatego Jimmy’ego tak do nich ciągnęło.

RMDJ: Jeden mnie naprawdę wkurzał. Pamiętasz go? Bob Relyea.

NDK: Bob Mózgowiec. Jimmy go tak nazywał.

RMDJ: Podobno jest teraz w Klanie gdzieś na Południu.

NDK: Jest w Klanie i jest wtyczką, z tego co słyszałem. Ponoć pracuje dla federalnych.

RMDJ: To możliwe. Pamiętasz? Rzucił Jeff i wstąpił do woja.

NDK: Jimmy mówił, że może go odwiedzi.

RMDJ: Jimmy to papla. Zawsze dużo gadał o różnych rzeczach.

NDK: Słyszał o puli. O mało się nie posikał, jak o tym mówił.

RMDJ: Mówić to on sobie mógł. Gadał kiedyś, że przeleciał Marilyn Monroe, co wcale nie znaczy, że to zrobił.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.12.1967. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczenie: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: biuro w restauracji Mike’a Lymana/ Los Angeles/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Nieznani Mężczyźni 1 i 2, prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 1,9 min).

NM1: ...słyszałeś o tym, no nie?

NM1: To i owo. Do Carlosa dotarło podobno, że są na łodzi, no i wysłał na wyspy koło Florydy swoich ludzi.

NM1: I to nie byle jakich ludzi, tylko Chucka Imadło i Nardy’ego Scavonego.

NM2: O, Jezu.

NM1: Wygląda na to, że chciał, żeby to wszystko trochę potrwało. Wszyscy wiedzą, że Chuck i Nardy pracują powoli.

NM2: Słyszałem co nieco, uwierz mi.

NM1: A wiesz, co jest najlepsze? Spodoba ci się.

NM2: No, gadaj. Nie drażnij się tu, kurde, ze mną.

NM1: No dobra, więc oni tam widzą łódź. Zacumowaną w jakimś spokojnym miejscu. Skradają się cicho i wchodzą na pokład.

NM2: No dalej, nie przeciągaj...

NM1: Arden i Danny widzą ich, jak nadchodzą. Danny zaczyna zawodzić

i klepać zdrowaśki. Arden ma broń. Strzela Danny'emu w tył głowy, żeby wybawić go od tej biedy. Celuje w pieprzonego Chucka i Nardy'ego, ale pieprzona słuwa się zacina.

NM2: O, kurwa, dobre. To jest naprawdę...

NM1: Chuck i Nardy łapią ją i związują. Carlos chce wiedzieć, dlaczego spieprzyli i czy ktoś dał im cynk. Chuck ma w skrzynce z narzędziami swoje imadło. Wkłada w nie głowę Arden. Obraca korbą, ale Arden się nie poddaje.

NM2: Jezu...

NM1: Wyłamał jej wszystkie zęby i złamał szczękę. Ale i tak nic nie powiedziała.

NM2: Jezu...

NM1: Odgryzła sobie język. Nie mogła mówić, nawet gdyby chciała, więc Nardy ją stuknął.

NM2: Jezu...

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.12.1967. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Dwight Holly. Od: Fred Otash. Oznaczenie: „Poufne”/ „Zastrzeżone”/ „Przeczytać i natychmiast spalić”.

D.H.,

oto sprawozdanie z moich dotychczasowych kontaktów z KANDYDATEM, zawierające moje argumenty za tym, dlaczego powinniśmy go wykorzystać. Nie cierpię pisaniny i śladów na papierze, dlatego PRZECZYTAJ TO I NATYCHMIAST SPAL.

1 – Kontakt z KANDYDATEM został nawiązany 16.08.1967 w barze Acapulco mieszczącym się na parterze kamienicy („Har-K Apts”) w Montrealu. KANDYDAT posługiwał się pseudonimem „Eric Starvo Galt”. Ja sam wykorzystałem mój nowy wygląd oraz latynoski akcent i posłużyłem się pseudonimem „Raul Acias”.

2 – W Acapulco sprzedałem KANDYDATOWI kapsułki amfetaminy i przez cały czas pozowałem na przemytnika o poglądach popierających segregację. Przez kilka kolejnych wieczorów spotykałem się z KANDYDATEM w Acapulco i Tawernie Neptuna, gdzie dyskutowaliśmy o polityce. KANDYDAT przyznał się do dwóch dokonanych niedawno rabunków (we Wschodnim St. Louis, Illinois, i w New Hebron, Missisipi),

lecz nie wspomniał o ucieczce z więzienia 23.04.1967. KANDYDAT oświadczył także, że okradł prostytutkę i jej alfonsa w ich mieszkaniu tuż po swoim przybyciu do Montrealu. Zdobył 1,7 tysiąca dolarów, ale pieniądze szybko mu się rozchodziły i stwierdził, że „niedługo będzie bez grosza”.

3 – KANDYDAT mówił o konieczności zapewnienia sobie bezpiecznej tożsamości, która umożliwiłaby mu uzyskanie kanadyjskiego paszportu i podróżowanie do innych państw. Powiedziałem, że mam układy i mogę mu pomóc. Pożyczyłem mu trochę pieniędzy, zaopatrzyłem w amfetaminę i podyskutowałem nieco o polityce. Często napomynał o swojej nienawiści do M.L. Kinga i o pragnieniu „zabijania czarnuchów w Rodezji”. Grałem na zwłokę w sprawie dokumentów tożsamości i nadal pożyczałem mu niewielkie kwoty pieniędzy. KANDYDAT stał się nerwowy i oświadczył, że chce wrócić do Stanów, pojechać do Alabamy i „być może popracować dla gubernatora Wallace’a”. Widziałem, że jest zdecydowany jechać, i ułożyłem naprędce pewien plan.

4 – Powiedziałem, że mam dla niego trochę narkotyków, które mógłby przewieźć przez granicę, za co zapłaciłbym mu 1,2 tysiąca dolarów. Zgodził się. Napełniłem teczkę piaskiem, zamknąłem na kluczyk i mu ją wręczyłem, po czym spotkaliśmy się już po amerykańskiej stronie granicy. Był to test, który miał sprawdzić, czy KANDYDAT ukradnie teczkę, czy też okaże się tak uległy, jak mi się zdawało.

5 – Test przeszedł pomyślnie i dokonał dla mnie dwóch kolejnych „przerzutów narkotyków”. Zauważyłem, że bardzo chce pojechać do Alabamy, i powiedziałem, że załatwię mu te dokumenty, nowy samochód i więcej \$, bo mam dla niego kolejne „zadania” do wykonania. KANDYDAT oświadczył, że chce spędzić trochę czasu w Birmingham ze względu na dokonywane w mieście zamachy bombowe „na czarnuchów”. Dałem mu 2 tysiące dolarów i kazałem czekać na list w Centralnym Punkcie Doręczenia Przesyłek w Birmingham. Zostawiłem mu także swój kontaktowy numer telefonu w Nowym Orleanie.

6 – To stanowiło najczulszy punkt operacji ze względu na istniejące prawdopodobieństwo, że KANDYDAT mi pryśnie. Skoro nie prysł, oznacza to, że ma uległą naturę, którą z łatwością da się wykorzystać w naszym zadaniu.

7 – KANDYDAT dzwonił pod numer kontaktowy 25 sierpnia i podał mi swój adres w pensjonacie „Tani Grill i Pokoje” w Birmingham. Przesłałem

mu 600 \$ i niewielki zapas kapsułek amfetaminy, po czym polecałem do Birmingham i obserwowałem go z dyskretnej odległości. KANDYDAT odwiedził siedzibę Narodowej Partii Praw Stanów, nabył prawicowe broszurki i zaszył się w swoim pokoju. Zadzwoiłem wtedy do niego (udając, że to zamiejskowa) i zgodziłem się dać mu 2 tysiące dolarów (zaliczka na poczet przyszłych zadań), żeby mógł sobie kupić nowy samochód. Przesłałem mu \$ telegraficznie i przyglądałem się, jak kupuje potem mustanga rocznik 1966.

8 – KANDYDAT uzyskał prawo jazdy stanu Alabama (6.09.1967) na nazwisko „Eric Starvo Galt” i zarejestrował mustanga. Następnie spotkałem się z KANDYDATEM w Birmingham, napiłem się z nim i podyskutowałem o polityce, po czym kazałem kupić sprzęt filmowy na handel w Meksyku. KANDYDAT za 2 tysiące dolarów nabył sprzęt, którego kazałem mu „pilnować”.

9 – Kandydat pozostał w Birmingham, zapisał się na kurs ślusarstwa i lekcje tańca, a także po kryjomu filmował kobiety ze swego okna w pensjonacie. Ja też pozostałem w Birmingham i dokładałem starań, by nas razem nie zobaczono. Mój plan polegał na tym, by pokazywać KANDYDATA w różnych miejscach i wydawać mu polecenia, które wydałyby się całkiem absurdalne, w razie gdyby go kiedykolwiek złapano i przesłuchiowano już po zakończeniu naszej operacji. A zapotrzebowanie KANDYDATA na \$ i amfetaminę czyni go ode mnie całkowicie zależnym.

10 – Napisałem do KANDYDATA 6.10.1967 i kazałem mu stawić się na spotkanie w Nuevo Laredo w Meksyku ze sprzętem do filmowania. KANDYDAT zgodził się ze mną spotkać po tym, jak „upłynni towar”. Jeszcze raz obiecałem mu zdobycie dokumentów i załatwienie kanadyjskiego paszportu. KANDYDAT spotkał się ze mną w Nuevo Laredo. Przyniósł \$ za sprzęt, który zbył ze stratą. Powiedziałem mu, że nic się nie stało i że mam dla niego kolejne „kursy z narkotykami”. KANDYDAT był wściekły, że jeszcze nie załatwiłem mu papierów, ale zgodził się zostać w Meksyku i czekać na moje telefony.

11 – KANDYDAT podróżował po Meksyku samochodem i dzwonił do mnie do Nowego Orleanu. Przesłałem mu za pośrednictwem American Express pewne sumy \$, płacąc za 4 „kursy z narkotykami” z McAllen do Juarez. Spotkałem się z KANDYDATEM 4 razy w okresie od 22.10.1967 do 9.11.1967 i ciągnąłem go za język na tematy polityczne. KANDYDAT

opowiedział mi o „Puli”, o której wiadomość wypłynęła w barze Grapevine w St. Louis (50 tysięcy dolarów za zabicie MLK), co brzmiało jak czysty wymysł, ale wskazywało na to, że byłby gotów stać się bohaterem Tego Dnia, co zwiększa jego rolę w naszym planie. W Meksyku KANDYDAT dużo pił, zażywał amfetaminę i palił marihuanę, dopóki nie wdał się w awanturę z prostytutkami i ich alfonsami. Wtedy KANDYDAT przyjechał do Los Angeles (nie powiadamiając mnie przedtem) i 21.11.1967 zadzwonił, by podać adres. Oznajmił, że chce, bym przydzielił mu kolejne zadania, że uczęszcza na kursy autohipnozy i samodoskonalenia, a także że odwiedza „popierające politykę segregacji księgarnie”. Ponaglił mnie, bym załatwił mu w końcu paszport jako „zaliczkę na poczet kolejnych zadań”.

12 – KANDYDAT pozostaje w LA. Sam jestem w LA, więc będę mógł go obserwować. KANDYDAT pozostaje uległy i jestem przekonany, że będzie dla nas pracował. Czy została już ustalona data i miejsce?

Odezwę się przez skrzynkę, kiedy zajdzie potrzeba. Jeszcze raz powtarzam: PRZECZYTAJ I SPAL.

F.O.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.12.1967. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Fred Otash. Od: Dwight Holly. Oznaczono: „Poufne”/ „Zastrzeżone”/ „Przeczytać i spalić”.

F.O.,

nie znamy jeszcze daty ani miejsca. Kontynuuj pracę z KANDYDATEM. Postaram się zdobyć plany podróży CZERWONEGO KRÓLIKA.

PRZECZYTAJ TO I SPAL.

D.C.H.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.12.1967. Nagłówek i podtytuł z „Atlanta Constitution”:

KING ZAPOWIADA „MARSZE BIEDOTY” NA WASZYNGTON
OBIETNICE PRACY NAD „REDYSTRYBUCJĄ DÓBR”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 5.12.1967. Nagłówek i podtytuł z „Cleveland Plain Dealer”:

KING NA TEMAT WIOSENNYCH MARSZÓW:

„CZAS MASOWO STAWIĆ CZOŁO STRUKTURZE WŁADZY”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.12.1967. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Ściśle tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, prezydent Lyndon B. Johnson.

LBJ: Czy to ty, Edgarze?

JEH: To ja, panie prezydencie.

LBJ: Ten cholerny marsz. W wiadomościach o niczym innym nie mówią.

JEH: Czytałem zapowiedzi. Spełniły się moje najgorsze lęki i obawy.

LBJ: Ten sukinsyn sprowadza całą armię ludzi, żeby przeciw mnie zademonstrować, po tym wszystkim, co zrobiłem dla Murzynów.

JEH: Ten marsz da początek rozlewowi krwi.

LBJ: Prosiłem go, żeby to odwołał, ale sukinsyn odmówił. Odbiera mi szansę na ponowny wybór. Spiknął się z tym w mordę kopanym skurwielem Bobbym Kennedym.

JEH: Zdradzę panu pewien mało znany fakt, prezydencie. Bobby sam pozwolił mi podsłuchiwać Kinga, jeszcze w 1963. W swoim pędzie, żeby porozumieć się z tym komunistą, zapomniał już o wcześniejszych złych przeczuciach.

LBJ: Ten skurwiel chce mojego stanowiska. I pewnie je dostanie przez te pieprzone protesty, które wywołuje King.

JEH: Czterdziestu czterech moich agentów pracuje nad wielebnym. Rozpowszechnią niepochlebne dla niego informacje po całym kraju. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić do marszu.

LBJ: Edgarze, czy był kiedykolwiek lepszy przyjaciel Murzynów niż ja?

JEH: Nie, panie prezydencie.

LBJ: Edgarze, czy podpisywane przeze mnie ustawy nie polepszyły losu Murzynów?

JEH: Ależ tak, panie prezydencie.

LBJ: Edgarze, czyż nie byłem zawsze życzliwy wobec Martina Luthera Kinga?

JEH: Tak, panie prezydencie.

LBJ: No to dlaczego ten skurwysyn próbuje mnie załatwić w chwili, kiedy wyciągnąłem ku niemu przyjazną dłoń?

JEH: Nie wiem, panie prezydencie.

LBJ: To gorsza zbrodnia mojego życia niż ta cała pieprzona wojna, w której tkwię po uszy.

JEH: Zamierzam umieścić czarną wtyczkę w SCLC. Ten Murzyn był kiedyś moim szoferem.

LBJ: Powiedz mu, żeby zjechał z Kingiem z urwiska.

JEH: Rozumiem pańską frustrację, sir.

LBJ: Dostaję w dupę z dwóch stron. Prowadzę wojnę na dwóch frontach, przeciwko Kingowi i przeciwko pieprzonemu Kennedy'emu.

JEH: Tak to wygląda, panie prezydencie.

LBJ: Dobry z ciebie człowiek, Edgarze.

JEH: Dziękuję, panie prezydencie.

LBJ: Zrób w tej sprawie, co tylko będziesz mógł, dobrze?

JEH: Tak jest, panie prezydencie.

LBJ: Do widzenia, Edgarze.

JEH: Do widzenia, panie prezydencie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 7.12.1967. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
BIZNESMENI KRYTYKUJĄ KINGA ZA „MARSZE BIEDOTY”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.12.1967. Podtytuł z „Dallas Morning News”:
WIOSENNY MARSZ NA WASZYNGTON TO „SOCJALISTYCZNA
DYWERSJA”, TWIERDZĄ LUDZIE BIZNESU

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.12.1967. Nagłówek i podtytuł z „Chicago Tribune”:

NIXON W 1968?
CZY BYŁY WICEPREZYDENT ZGŁOSI KANDYDATURĘ?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.12.1967. Nagłówek i podtytuł z „Miami Herald”:

KLER O MARSZU NA WASZYNGTON:
„NAWOŁYWANIE DO ANARCHII I ZAMIESZEK”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.12.1967. Podtytuł z „Chicago Sun-Times”:
RFK POPIERA MARSZ NA WASZYNGTON, LECZ MILCZY NA

TEMAT PLANÓW WYBORCZYCH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.12.1967. Nagłówek i podtytuł z „Denver Post-Dispatch”:

CZY WYSTARTUJE?
EKSPERCI OCENIAJĄ SZANSE NA REELEKCJĘ LBJ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.12.1967. Podtytuł z „Boston Globe”:
KING WZYWA DO POŁĄCZENIA PROTESTÓW PRZECIW WOJNIE
Z MARSZEM BIEDOTY

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.12.1967. Podtytuł z „Sacramento Bee”:
ŹRÓDŁA W PARTII REPUBLIKAŃSKIEJ: SPODZIEWAJCIE SIĘ
STARTU NIXONA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.12.1967. Podtytuł z „Los Angeles Times”:
RFK I HUMPHREY PRZYCZAJENI?
CZY CZEKAJĄ NA DECYZJĘ LBJ?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.12.1967. Podtytuł z „Kansas City Star”:
PREZYDENT ROTARIAN NAZYWA
MARSZ KINGA „SPISKIEM KOMUNISTÓW”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.12.1967. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

HOTEL FRONTIER W RĘKACH HUGHESA
NATARCIE MILIARDERA NA VEGAS TRWA!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.01.1968. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. (Aneks do dokumentów OPERACJI CZARNY KRÓLIK). Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Ścisłe tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor, BŁĘKITNY KRÓLIK.

DYR.: Dzień dobry.

BK: Dzień dobry, sir.

DYR.: CZERWONY KRÓLIK rozrabia. Strasznie niegrzeczne z niego króliczysko.

BK: Czytałem gazety, sir. Uważam, że przekroczył pewną granicę.

DYR.: To prawda, ale nie na tyle, by ostatecznie zdyskredytować się w oczach ludzi. Taka forma cenzury mu nie grozi. Płynie na fali niezadowolenia, które jest większe, niż przypuszczaliśmy.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Lyndon Johnson się wścieka. Nie może sobie darować, że tak cackał się z CZERWONYM KRÓLIKIEM. Wie, że ta fala głupiej niezgody powstała poniekąd za jego własną przyczyną.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Umieściłem swoją murzyńską wtyczkę w SCLC. To nikt inny, jak tylko mój dawny szofer.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: To rozsądny Murzyn. Nienawidzi komunistów bardziej niż białej struktury władzy.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Donosi mi, że SCLC jest w stanie ogromnego chaosu. Usiłują tam zebrać armię nieszczęśników, którzy swym barbarzyństwem mogliby konkurować z oddziałami Hannibala.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Przypuszczają szturm na naszą stolicę. Zostawią po sobie smród mnóstwa fekaliiów.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Ta demonstracja złości zakończy się gigantyczną katastrofą. Zachęci do działania ludzi nieposłusznych i skłonnych do popełniania przestępstw i da im licencję na wszystko. Konsekwencje będą zdefiniowane przez nihilizm i dlatego groźne.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Skończyły mi się już pomysły, Dwight. Nie wiem, co mam dalej robić.

BK: Szykuje się pewien odpór, sir. Jestem pewien, że czytał pan stenogramy z podsłuchów.

DYR.: Powiedziałbym, że ten odpór jest zbyt lokalny, zbyt słaby i szykuje się zbyt późno.

BK: Pewni ludzie oferują pulę.

DYR.: Nie byłbym zbyt nieszczęśliwy, gdyby do tego doszło.

BK: To bardzo żywa idea.

DYR.: Nie chciałbym jednak skończyć, prowadząc długotrwałe śledztwo w tego rodzaju sprawie. Skłoniłbym się w takim przypadku raczej ku zwiezłości, żebyśmy jak najszybciej mieli to z głowy.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Nierozsądne czyny i nieuzasadniona furia mogą niekiedy wywołać całkiem rozsądną i wyważoną reakcję.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Dodałeś mi otuchy.

BK: Miło mi to słyszeć, sir.

DYR.: Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, Dwight?

BK: Tak jest, sir. Czy mógłby pan pomówić ze swoim łącznikiem i przesłać mi przez skrzynkę kontaktową plan podróży CZERWONEGO KRÓLIKA na najbliższych kilka miesięcy?

DYR.: Tak.

BK: Dziękuję, sir.

DYR.: Miłego dnia, Dwight.

BK: Miłego dnia, sir.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.01.1968. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Fred Otash. Od: Dwight Holly. Oznaczono: „Poufne”/ „Zastrzeżone”/ „Przeczytać i natychmiast spalić”.

F.O.,

ruszamy. Prześlij KANDYDATOWI aktualne dane. Plan podróży CZERWONEGO KRÓLIKA na najbliższy czas.

PRZECZYTAJ I SPAL.

D.C.H.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.01.1968. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Dwight Holly. Od: Fred Otash. Oznaczono: „Poufne”/ „Zastrzeżone”/ „Przeczytać i natychmiast spalić”.

D.H.,

oto opis poczynań KANDYDATA w okresie od 3.12.1967 do dziś.

1 – Spotkałem się z KANDYDATEM 6 razy. Za każdym razem przekazywałem mu \$ jako zaliczkę na „poczet przyszłych zadań”.

Dyskutowaliśmy o polityce, zaś KANDYDAT często nawiązywał do kampanii prezydenckiej George'a Wallace'a, do „czarnuchów” i „puli za głowę Martina Luthera King Konga”. KANDYDAT znów naciskał na mnie w sprawie załatwienia mu dokumentów podróźnych, lecz tak jak poprzednio, grałem na zwłokę. KANDYDAT dzielił czas pomiędzy swoje mieszkanie (N. Serrano 1535, Hollywood), Komnatę Sułtana w hotelu St. Francis (Hollywood Boulevard) i klub Królicza Łapka (co za zbieg okoliczności!!!) także przy Hollywood Boulevard. Kandydat nadal opowiadał o swoich planach podróży do Rodezji i trzykrotnie powtórzył, że mógłby „zabić King Konga, zgarnąć pulę i poprosić o azyl polityczny w Rodezji”.

2 – W Komnacie Sułtana KANDYDAT poznał kobietę, która namówiła go na wspólną podróż z jej bratem do Nowego Orleanu w celu „zabrania dzieci jej przyjaciółki”. KANDYDAT powiedział mi o tym i poprosił o \$ na drogę. Przekazałem mu tysiąc dolarów i oznajmiłem, że spotkam się z nim w NO. KANDYDAT i brat kobiety wyruszyli do NO 15.12.1967, przybyli na miejsce 17.12 i zatrzymali się w motelu Prowincja. Spotkałem się z KANDYDATEM 3 razy, dałem mu \$ i obiecałem kolejne zadania. KANDYDAT pozostał w NO, gdzie często odwiedzał księgarnie z wydawnictwami porno. KANDYDAT i brat kobiety wraz z dwiema ośmioletnimi dziewczynkami opuścili NO 19.12 i przybyli do LA 21.12.

3 – KANDYDAT zadomowił się w LA na dobre. Śledziłem go przy 6 okazjach oraz odbyłem 6 spotkań. KANDYDAT odwiedzał księgarnie porno, uczestniczył w kursach hipnozy i powiedział mi, że zamierza hipnotyzować kobiety, żeby grały w filmach pornograficznych, które on będzie reżyserował. KANDYDAT bywał w Komnacie Sułtana i Króliczej Łapce, pił i zażywał amfetaminę. Często dyskutował o „puli” i swoich planach „ucieczki” do Rodezji. W tym też okresie KANDYDAT odwiedził biuro Wolnej Prasy LA i zamieścił ogłoszenie, poszukując kobiet chętnych do uprawiania seksu oralnego. KANDYDAT nabył także w kamienicy na skrzyżowaniu Franklin i Argyle płynną amfetaminę. Zazwyczaj nie chodzi spać przez 2–3 dni, a na jego rękach zauważyłem świeże ślady po igle.

4 – KANDYDAT oświadczył (przy 4 okazjach), że ma zamiar pozostać w LA i wykonywać dla mnie „zadania”; chce się dobrze bawić i znaleźć sposób, żeby „dobrać się do puli i prysnąć do Rodezji”. Zacząłem mówić o puli i sposobach na dorwanie MLK, a KANDYDAT nie zauważył najmniejszej zmiany w moim tonie ani zachowaniu, ponieważ (a) jest

poważnie nie zrównoważony i skrajnie skupiony na sobie, (b) jest ode mnie uzależniony z powodu \$ i narkotyków, (c) jest wyniszczony i niezdolny do logicznego myślenia przez nadużywanie alkoholu i narkotyków.

5 – Myślę, że powinienem zatrzymać go w LA aż do ustalonego dnia, a następnie przenieść w wybrane miejsce jako uczestnika zdarzenia albo „kozła ofiarnego”. Będziemy potrzebowali jego odcisków palców na karabinie i paru innych przedmiotach, co nie powinno być trudne do zdobycia.

6 – Ten gość to strzał w dziesiątkę. Bezdyskusyjnie. Jesteśmy z nim kryci (nikt nigdy nie uwierzy w jego opowieści o „Raulu”), a poza tym i tak nie dopuścimy do jego aresztowania.

PRZECZYTAJ TO I SPAL. Przekaż mi wiadomość przez skrzynkę kontaktową, jeśli będziesz potrzebował bardziej aktualnych danych.

F.O.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.01.1968. Podtytuł z „Boston Globe”:
MARINES W OBLĘŻENIU POD KHE SANH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.01.1968. Nagłówek i podtytuł z „New York Times”:

WIETNAMSKA OFENSYWA ZASKAKUJE SIŁY USA
NAJWIĘKSZE BITWY WOJNY NIENAWIŚCI

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.01.1968. Nagłówek z „Atlanta Constitution”:
KHE SANH – KRWAWY OBLĘŻENIE TRWA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.01.1968. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
POTĘŻNE BITWY W WIETNAMIE
WYWOŁUJĄ PROTESTY W USA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.01.1968. Nagłówek i podtytuł z „Chicago Sun-Times”:

KING KOMENTUJE „HOLOCAUST” TET
WEZWANIE DO BEZWARUNKOWEGO WYCOFANIA
AMERYKAŃSKICH ŻOŁNIERZY

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.02.1968. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles

Times”:

NIXON OGŁASZA SWÓJ START W WYBORACH
OBIETNICE DZIAŁANIA NA RZECZ „CIĘŻKO PRACUJĄCEJ,
ZAPOMNIANEJ WIĘKSZOŚCI”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.02.1968. Podtytuł z „Sacramento Bee”:
KING ZWIĘKSZA WYSIŁKI PRZY ORGANIZACJI MARSZU BIEDOTY

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.02.1968. Nagłówek i podtytuł z „Houston
Chronicle”:

RFK OSTRO WYPOWIADA SIĘ PRZECIWKO WOJNIE
WEZWANIE DO POKOJOWYCH NEGOCJACJI

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.02.1968. Podtytuł z „Cleveland Plain Dealer”:
HOOVER OSTRZEGA PRZED ROZLEWEM KRWI W RAZIE
WYDANIA POZWOLENIA NA MARSZ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.02.1968. Nagłówek i podtytuł z „Miami
Herald”:

TŁUMY POPIERAJĄ NIXONA W NEW HAMPSHIRE
BYŁY WICEPREZYDENT OBEJMUJE PROWADZENIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.03.1968. Nagłówek i podtytuł z „Boston Globe”:
ROŚNIE LICZBA ZABITYCH W WIETNAMIE AMERYKAŃSKICH
ŻOŁNIERZY
KING ZAWZIĘCIE KRYTYKUJE „BEZSENSOWNY” KONFLIKT

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.03.1968. Nagłówek i podtytuł z „Tampa
Tribune”:

WYSTARTUJE CZY NIE?
RFK MILCZY

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 13.03.1968. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu.
Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor,
agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: biuro w restauracji Mike’a Lymana/ Los Angeles/
w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Charles „Chuck Imadło”

Aiuppa i Bernard „Nardy” Scavone, związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 6,8 min).

CA: To się nazywa koalicja. Bobby startuje na prezydenta, ale potrzebuje tej naczelnej małpy, żeby zmobilizować wszystkie inne małpki do wręczenia mu władzy.

BS: Weź sobie dobrze policz, Chuck. Te małpki nie mają praw wyborczych.

CA: No to policz sobie Żydów, smarkaterię z college’ów, wielbicieli komuchów i maniaków opiekuńczości państwa. Z taką siłą poparcia to będzie wyścig łeb w łeb.

BS: Bobby mnie przeraża. Otwarcie się do tego przyznaję.

CA: Bobby potrzebuje tego naczelnego małpiszona, żeby wywołać niepokój. A potem on się zjawi i obieca wszystkim oszukanym gwiazdkę z nieba.

BS: Bobby nas orźnie, Chuck. Orźnie nas tak, jak to zrobił, kiedy był prokuratorem generalnym, a Jack prezydentem.

CA: Bobby jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy trzyma jaja jakiegoś ważnego gościa w imadle.

BS: Uważaj, co mówisz, Chuck. Jak mówisz o „imadle”, to zaraz mi się coś chce.

CA: Opanuj się. Jeszcze się napatrzysz. Wujek Carlos zawsze ma dla nas coś do zrobienia.

BS: Chętnie wpakowałbym w imadło tego naczelnego małpiszona i Bobby’ego. Jeden ścisk i *arrivederci*.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.03.1968. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: sala do gry w karty w Grapevine Tavern/ St. Louis/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: Norbert Donald King i Rowland Mark DeJohn, skazańcy na zwolnieniu warunkowym (napady z bronią w rękę/ oszustwa/ kradzieże samochodów), prawdopodobnie związani z przestępczością zorganizowaną. (Rozmowa w toku od 0,9 min).

NDK: To jest mocne. Łapię dziś rano słuchawkę od telefonu i kogo słyszę?

RMDJ: Jill St. John?

NDK: Nie.

RMDJ: No to tę... jak jej tam? Tę cipę w kozaczkach tańczącą go-go?

NDK: Nie.

RMDJ: Norb, do cholery...

NDK: Jimmy'ego Raya. Zaczyna coś tam pieprzyć i mówi, że wstąpił do francuskiej sekty w LA. Liże cipy i sam jest lizany całymi dniami i potrzebuje szmalu na utrzymanie wszystkich swoich niewolnic, i czy nie wiem, jak długo jeszcze można ubiegać się o pulę, bo na razie ma pełne ręce roboty z niewolnicami i nie wie, kiedy będzie wolny.

RMDJ: Ale numer. Jimmy i ręce pełne roboty, ja cię kręcę...

NDK: Jedną rękę ma zajęta, to pewne. A raz w Jeff City szprycował się amfą i był na haju przez dwa dni non stop. Przeglądał te śmieszne świerszczyki i odlatywał. Mówił, że te pieprzone obrazki do niego przemawiają.

RMDJ: Jimmy ma manię wielkości.

NDK: No. Ale nienawidzi czarnuchów.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 15.03.1968. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: apartament 301/ Hotel El Encanto/ Santa Barbara/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: senator Robert F. Kennedy, Paul Horvitz (pracownik biura senackiego), Nieznany Mężczyzna 1. (Rozmowa w toku od 3,9 min).

RFK: ...w sposób prosty i rzeczowy. Tak to ogłosił mój brat. (Przerwa/ 3,4 sekundy). Paul, zmierz czas wygłaszania oświadczenia. Przeczytaj na głos, tylko nie próbuj mnie naśladować.

(Śmiech/ 2,4 sekundy).

PH: Jeśli chodzi o program wyborczy, to czy opublikujemy...

NM1: Chcesz wersję skróconą, mam rację? Wersja dłuższa jest za bardzo naszpikowana szczegółami i dziennikarze będą musieli za dużo wycinać.

RFK: Skróćcie ją i dajcie mi do sprawdzenia w ostatecznym kształcie.

I dopilnujcie tylko, żeby nie znalazło się w niej ani jedno słowo na temat przestępczości zorganizowanej.

PH: Panie senatorze, uważam, że to błąd. To podważa pańskie osiągnięcia jako prokuratora generalnego.

NM1: Bob, do diabła. Wiesz, że dobierzesz się do tych ludzi pomi...

RFK: Mam taki zamiar, lecz *nie mam* zamiaru tego rozgłaszać.

NM1: Cholera, Bob. Dobrzy wrogowie stanowią o dobrej kampanii. Wojna i Johnson to jedno, ale...

PH: Mafia jako przedmiot kampanii już się przeżyła, lecz...

RFK: Zrobię, co do mnie należy, gdy nadejdzie pora, ale na razie nie mam zamiaru ogłaszać swoich zamysłów. Macie myśleć o „sprawiedliwości społecznej”, „końcu wojny” i „zjednoczeniu kraju” i zapomnijcie o nieszczęsnej mafii.

PH: Panie senatorze, czy nie uważa pan...

RFK: Dość już. Mam wystarczająco dużo na głowie i bez przejmowania się tymi sukinsynami.

(Rozmowa schodzi na nieistotny temat).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.03.1968. Dosłowny zapis nagrania z podsłuchu. Oznaczono: „Poufne”/ „Stopień tajności I”/ „Zastrzeżone dla”: Dyrektor, agent specjalny D.C. Holly.

Miejsce nagrania: apartament 301/ Hotel El Encanto/ Santa Barbara/ w zasięgu stanowiska podsłuchowego. Rozmawiają: senator Robert F. Kennedy, Paul Horvitz (pracownik biura senackiego), Nieznany Mężczyzna 1. (Rozmowa w toku od 7,4 min).

RFK: ...prawnika, z którym miałem do czynienia w Departamencie Sprawiedliwości. Uczestniczył w większości spraw, jakie wytoczyłem Carlosowi Marcellowi.

NM1: Wujcio Carlos. Deportowałeś go...

RFK: Posłałem jego tłustą dupę do Ameryki Środkowej.

PH: Jest pan wstawiony, senatorze. Na trzeźwo rzadko używa pan słowa „dupa”.

RFK: Wstawiam się teraz, bo nie będę mógł się wstawić aż do listopada. (Śmiech/ 6,8 sekundy).

RFK: Zaczynam się czuć jak bokser przed walką. Rzucam wszystko,

o czym nie będę mógł mówić podczas kampanii.

PH: A ten prawnik. Co w zwią...

RFK: Rozmawialiśmy o mafii. Powiedziałem mu, że kiedyś się do niej dobiore, poczekam tylko na stosowną porę.

PH: To znaczy?

RFK: To znaczy, że zmuszę tych skurwysynów pewnego pięknego dnia do zapłaty.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.03.1968. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez FBI. (Aneks do dokumentów OPERACJI CZARNY KRÓLIK). Oznaczono: „Nagrane na polecenie Dyrektora”/ „Ścisłe tajne 1-A: zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor, BŁĘKITNY KRÓLIK.

DYR.: Dzień dobry.

BK: Dzień dobry, sir.

DYR.: Wyciągnąłeś mnie ze spotkania. Spodziewam się, że masz naprawdę istotne informacje.

BR: Przyłapaliśmy WOJUJĄCEGO KRÓLIKA. Jeden z moich ludzi trafił za nim do banku w Silver Spring w Marylandzie. WOJUJĄCY ma tam dodatkowe konto. Zdobyłem nakaz i przeszedłem jego transakcje.

DYR.: Kontynuuj.

BK: Konto zostało otwarte na przybrane nazwisko. WOJUJĄCY korzysta z niego w jednym celu, żeby wysyłać czeki do SCLC. Sprawdziłem wpływy na konto SCLC i ustaliłem, że do organizacji trafiały też regularnie czeki z czterech innych banków w czterech miastach i stanach. Datują się od 1964 roku i na wszystkich widnieje pismo WOJUJĄCEGO. Przy każdym z kont korzysta z innego pseudo i przekazał już w sumie niemal pół miliona dolarów.

DYR.: Jestem oszołomiony.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Defraudował skądś pieniądze albo kradł z dogodnego źródła. Przy jego zarobkach nie byłoby go stać na taką szczodrość.

BK: Tak jest, sir.

DYR.: Zaspokaja swoją katolicką potrzebę pokuty. Zadość czyni za grzechy, które popełnił pod moim sztandarem.

BK: Jest coś jeszcze gorszego, sir.

DYR.: Mów. Niech spełnią się moje najgorsze obawy i najbardziej uzasadnione podejrzenia.

BK: Jeden z agentów namierzył go w Waszyngtonie. Był w przebraniu, prawie nie do rozpoznania. Spotkał się z pracownikiem biura Kennedy'ego, z niejakim Paulem Horvitzem, i spędził z nim dwie godziny w restauracji.

DYR.: Kolejna pokuta. Nie ujdzie mu to bezkarnie.

BK: Jakie są pańskie dalsze pole...

DYR.: Niech WOJUJĄCY nadal zadość czyni za swoje grzechy. Prześlij kopie nagrań z podsłuchów z hotelu El Encanto z 15 i 16 marca Carlosowi Marcellowi, Samowi Giancanie, Moe Dalitzowi, Santo Trafficantemu i wszystkim pozostałym mafijnym patriarchom w Stanach. Powinni wiedzieć, że księżę Bobby ma wobec nich dalekosiężne plany.

BK: To wielce śmiały i natchniony krok, sir.

DYR.: Miłego dnia, Dwight. Niech cię Bóg prowadzi i inne potrzebne ci moce.

BK: Miłego dnia, sir.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.03.1968. Nagłówek z „New York Times”:
RFK STARTUJE DO WALKI O NOMINACJĘ NA KANDYDATA
W WYBORACH Z RAMIENIA DEMOKRATÓW

CZEŚĆ VI
ODSUNIĘCIE

19 MARCA 1968–9 CZERWCA 1968

106

(Sajgon, 19 marca 1968)

Wróciłeś.

Jest wspaniale. Jest wrednie. Jest Wietnam.

Patrzysz na mrowie żołnierzy. Patrzysz na wysiedlonych żółtków. Słuchasz, jak gadają o komuchach. Patrzysz na zabite dechami świątynie. Na konwoje ciężarówek. Na działa przeciwlotnicze.

Wróciłeś. Patrzysz. Sajgon 1968.

Taksówka się wlokła. Wokół tłoczyły się ciężarówki. Ciężarówki z bronią/ ciężarówki z jedzeniem/ ciężarówki z żołnierzami. Wyziwy z rur wydechowych na wysokości przedniej szyby. Piekące od spalin oczy.

Pete patrzył. Pete palił. Pete gryzł miętowe pastylki.

Naruszył rozejm. Przyleciał nocnym lotem – San Francisco/ Tan Son Nhut. Zwabił Barb do Frisco. Udał przyływ romantyzmu. Zawoalował złamanie rozejmu.

Nie dała się nabrać. Powiedziała: wracasz tam – wiem o tym. Zaczął się wić. Powiedział: „Pozwól mi lecieć”. Powiedziała: „Daj mi pogadać ze Stantonem”.

Powiedziała: „Nie”. On powiedział: „Tak”. Poszło zupeeeełnie nie tak. Wrzeszczeli. Ciskali, czym się dało. Podziurawili ściany. Wystraszyli recepcjonistów. Wystraszyli chłopców hotelowych. Wystraszyli wszystkich pracowników hotelu.

Barb związała do Sparty. Pete włóczył się po San Francisco. Wspinaczki po wzgórzach rozkołatały mu serce. Pojechał na lotnisko. Usiadł w barze. Spotkał dwóch zbirów Carlosa: Chucka „Imadło” Aiuppę i Nardy’ego Scavonego.

Przywitali się z nim. Postawili kilka drinków. Nawalili się i zaczęli chrzanić. Powiedzieli, że załatwili Danny’ego Bruvicka. Opowiadali na zmianę. Załatwili byłą Danny’ego, Arden-Jane. Nie szczędzili szczegółów. Nie szczędzili efektów dźwiękowych.

Pete wyszedł. Pete wszedł do samolotu. Pete łyknął tabletkę. Zasnął. Samolot wzbił się w powietrze. Pete ujrzał pękające w imadłach głowy.

Taksówka się wlokła. Kierowca ocierał się o mnichów. Kierowca prowadził monolog. Komuchy zabijają. Przez komuchów wszystko do dupy. Komuchy zabijają amerykańskich żołnierzy. Vietcongi niedobre! Vietcongi podłe! Vietcongi złeeee!

Taksówka pięła się pod górę. Taksówka zjeżdżała w dół. Pete dławił się spalinami z ciężarówek. Pete stukał się kolanami w czoło.

Oto i bar Go-Go. Nadal pokryty wietnamskim graffiti. Wróciłeś. Bar wciąż strzeżony przez ARVN. Dwóch Marvów przy drzwiach. Wróciłeś.

Pete złapał swój wór marynarski. Pete złapał torbę Wayne'a – owinięte w papier zlewki i próbki. Podrzucić je/ sprawdzić laboratorium/ ruszyć do hotelu Catinat.

Kierowca zahamował. Pete wysiadł i się rozprostował. Marvi stanęli na baczność. Marvi znali Pete'a – żabojad *grand et fou*⁶³.

Zasalutowali. Pete wszedł do Go-Go. Poczuł zapach hery. Smród moczu i potu/ smród zalegającego kału/ smród podgrzewanej „H”.

Klub nocny był *mort*. Klub nocny zmieniony w prochową dziuplę. W naziemny Hades. A raczej w rzekę Styks.

Żółtki na siennikach. Opaski uciskowe. Zapalniczki. Łyżki do podgrzewania. Woreczki z herą. Strzykawki. Pięćdziesięciu ćpunów/ pięćdziesiąt barłogów/ pięćdziesiąt odlotowych platform startowych.

Żółtki podgrzewały herę. Żółtki zaciskały opaski. Żółtki się kłuły. Dostawały maślanych oczu. Uśmiechały się szeroko. Wzdychały.

Pete przeszedł przez pomieszczenie. Marvi i Can Lao sprzedawali herę w woreczkach. Marvi i Can Lao sprzedawali szpryce. Pete poszedł na górę – proszę – rzeka Styks płynęła i tutaj.

Więcej żółtków na siennikach. Więcej opasek. Więcej igieł. Więcej wkłuwania się w palec. Więcej rąk i nóg ze śladami po wkłuciach.

Pete poszedł na górę. Pete dotarł do drzwi laboratorium. Pete ujrzał zbira z Can Lao. Zbir zobaczył Pete'a. Znał Pete'a – *le* żabojad *fou*.

Pete rzucił torbę. Pete przemówił żółtą angielszczyzną:

– Sprzęt. Od Wayne Tedrow. Ja wam zostawić.

Can Lao się uśmiechnął. Can Lao się skłonił. Can Lao wyciągnął rękę i chwycił torbę.

Pete powiedział:

– Wpuszczaj. Ja sprawdzić laboratorium.

Can Lao się zjeżył. Can Lao zastawił drzwi. Can Lao wyciągnął spluwę. Can Lao zastukał w futrynę.

Drzwi się otworzyły. Wszedł żółtek. Pete pochwycił widok: tacki/ rurki/ popakowane działki.

Żółtek się zjeżył. Żółtek zamknął drzwi. Żółtek przesłonił Pete'owi widok. Żółtek zwrócił się do Can Lao. Zaczęli jazgotać po żółtkowemu. Przyglądali się *le* żabojad *fou*.

Pete dostał gęziej skórki. Pete'a ogarnęło przeczucie. Ogarnęło go przeczucie *bu-kuu*.

Na dole sprzedawali towar w woreczkach. Na górze pakowali go na dwa sposoby. Pakowali też jednorazowe działki. To oznaczało zerooooką dystrybucję. To wskazywało na coraz większy zasięg.

Żółtek zszedł na dół. Żółtek szedł szybko. Żółtek zabrał worek marynarski. Can Lao zjeżył się znowu. Pete skłonił się i uśmiechnął. Pete znów przemówił żółtą angielszczyzną:

– W porządku. Ty dobry człowiek. Ja już iść.

Can Lao się uśmiechnął. Can Lao się odjeżył. Pete pomachał: pa pa.

Zszedł na dół. Zatkanął nos. Kroczył pomiędzy siennikami. Kroczył po rozdeptanych gównach. Wszedł na dwór. Rozejrzał się. Zobaczył żółtka.

Jest na ulicy. Zmierza na południe. Niesie marynarski wór.

Pete ruszył za nim.

Żółtek szedł wzdłuż nabrzeża. Żółtek skręcił w głąb lądu. Żółtek szedł teraz ulicą Dal To. Było gorąco. Na ulicy wrzało. Całkiem jak w mrowisku żółtych mrówek, które dostały amoku.

Pete się wyróżniał. Pete szedł zgarbiony. Pete zginał się niemal wpół. Żółtek szedł szybko. Przedzierał się przez mnichów. Pete dyszał, próbując za nim nadążyć.

Żółtek skręcił na wschód. Żółtek szedł w dół Tam Long. Żółtek wszedł pomiędzy magazyny. Chodnik się zwęził. Ruch pieszych zmalął. Pete ujrzał przed sobą Can Lao.

Klasyka Can Lao – zbiry w cywilkach sterczące przed magazynem. Przed wejściem taksówki – całkiem sporo taksówek – taksówki czekające wzdłuż jezdni.

Żółtek stanął. Jeden z Can Lao sprawdził worek. Inny Can Lao otworzył drzwi. Żółtek wszedł do magazynu. Can Lao zatrzasnął drzwi. Can Lao

zamknął je na dwa zamki.

Sześć budynków od Pete'a. Przejścia pomiędzy nimi. Jedna łącząca je uliczka na tyłach.

Pete szedł dalej.

Skręcił w bok. Znalazł się w uliczce. Minął sześć budynków. Minął pół kwartału.

Sześć magazynów/ glazurowany beton/ po trzy kondygnacje w każdym.

Skręcił znów w stronę głównej ulicy. Ujrzał okna na parterze. Usłyszał Can Lao od frontu. Okna były przesłonięte siatką – zabezpieczenie przez włamywaczami.

Pete zajrzał. Przez szybę ujrzał światło.

Wziął wdech. Chwycił siatkę. Szarpnął. Zamierzył się. Zwinął dłoń w pięść. Zbił szkło.

Ujrzał sienniki. Ujrzał opaski uciskowe. Ujrzał przewiązane białe ręce. Ujrzał amerykańskich żołnierzy, jak kupowali działki. Ujrzał żołnierzy, jak podgrzewali herę. Ujrzał żołnierzy, jak dawali w żyłę.

Źle spał. Spał dziwnie. Różnica czasu plus tabletki nasenna. Miał złe sny. Widział imadła i kraty. Widział szprycujących się białych chłopców.

Obudził się. Trochę oprzytomniał. Stłumił w sobie wściekłość. Zadzwoił do Johna Stantona. Powiedział: „Jestem wykończony. Nie mogę jasno myśleć. Spotkajmy się jutro wieczorem”. Stanton się zaśmiał. Stanton powiedział: „Czemu nie?”.

Pete się uspokoił. Pete zasnął. Pete wstał i podskoczył. Senne obrazy ukazały mu się na jawie – w odłamkach rozbitej szyby.

Ten chłopak z tatuażami. Ten chłopak z odjechanymi oczami. Ten chłopak z igłą w małym.

Pete wynajął taksówkę. Pete się skulił. Pete prowadził obserwację. Czaił się w taksówce przed hotelem Montrachet – kwaterą Johna Stantona.

Mógł się teraz lepiej skupić. Sen pomógł. Pomógł wszystko poskładać do kupy. Jedna szprycownia dla amerykańskich żołnierzy/ *co najmniej jedna* – naruszenie kodeksu Kadry.

Nie sprzedawać amerykańskim żołnierzom. To świętokradztwo. To wyrok śmierci. Stanton o tym wiedział. Stanton sam się pod tym podpisał. Podobnie jak pan Kao. Podobnie jak całe Can Lao.

Stanton zapewniał Pete'a. Stanton uspokajał Pete'a. Stanton prychał z lekceważeniem i próbował go udobruchać.

Pan Kao rozprawdzał herę po Sajgonie. Pan Kao dowodził Can Lao. Stanton znał się z Kao. Stanton cytował Kao: „Ja nie sprzedawać amerykańskim żołnierzom!”.

Tyle miał. Tyle na początek. „Tyle” mogło oznaczać bardzo wiele.

Było gorąco. W taksówce było jak w ukropie. Na desce rozdzielczej kręcił się wiatraczek. Mielł gorące powietrze. Mielł opary benzyny. Mielł wszystkie puszczone bąki.

W hotelu Montrachet huczało. Uwielbiali go wietnamscy oficerowie. Patrzcie tylko na te wykuszowe okna z siatką przeciw granatom.

Pete obserwował drzwi. Kierowca włączył radio. Kierowca puścił wiet-rock. Bleatelsi i Bleach Bloys – z wietnamskimi tekstami.

9.46. 10.02. 10.08. Kurwa, to tak może trwać...

Jest Stanton.

Wychodzi. Niesie teczkę. Szybko przywołuje taksówkę. Pete szturchnął swojego kierowcę – za tym autem, raz-dwa.

Taksówka Stantoną ruszyła. Taksówka Pete'a za nią. Jeszcze jedna wcisnęła się pomiędzy. Taksówki otoczyły ich ze wszystkich stron. Taksówkowy korek utknął w miejscu.

Korek drgnął. Uwolnili się. Ruszyli na południe. Jechali powoli. Wlekli się jak ślimaki.

Szofer był niezły. Szofer trzymał się blisko. Szofer czasem zostawał dyskretnie w tyle. Jechali na południe. Wjechali w ulicę Tam Long. Wjechali w dzielnicę magazynów.

Taxi Stantoną zahamowało. Taxi Stantoną stanęło przed *tym* magazynem. Zaraz podeszło dwóch Can Lao.

Ujrzeli Stantoną. Strzelili obcasami. Przekazali kopertę. Pete obserwował. Taxi Pete'a trzymało się w tyle.

Taxi Stantoną dodało gazu. Taxi Stantoną ruszyło na południe. Taxi Pete'a jechało, lecz trzymało się w tyle. Rozdzieliła ich ciężarówka. Taxi Stantoną skręciło na zachód. Taxi Pete'a trafiło na czerwone światło.

Taxi Stantoną stanęło. W połowie bocznej uliczki. W typowo magazynowym kwartale.

Krótką uliczka/ sześć magazynów/ *porządną* magazynowy kwartał.

Cały pilnowany przez Can Lao. Taksówki czekające wzdłuż krawężnika.

Taksówki na całej długości uliczki.

Pete obserwował. Jego taxi chodziło na luzie. Jego taxi zostało w tyle.

Can Lao podbiegli. Can Lao otoczyli taksówkę Stantona. Can Lao wrzucili koperty. Drzwi jednego z magazynów się otworzyły. Wyszło czterech amerykańskich szwejków. Czterech szwejków na herze.

Taxi Stantona zawróciło. Taxi Stantona minęło taxi Pete'a. Pete skuulił się, jak mógł. Taxi Stantona skręciło na wschód. Taxi Pete'a ruszyło za nim. Taxi Pete'a podążało dyskretnie.

Auta się wlokły. Ślimaczy szlak. Pieprzone zółwie tempo. Pete się wkurzał. Pete palił papierosa za papierosem. Pete gryzł miętowe pastylki.

Dotarli na ulicę Tu Do. Taxi Stantona stanęło.

Pete znał to miejsce. Sklep z telewizorami/ przykrywka CIA. Jeden strażnik przy drzwiach/ szwejk/ broń wysoko, gotowa do strzału.

Stanton wysiadł. Stanton miał teczkę. Stanton wszedł. Pete chwycił lornetkę. Pete skierował ją na drzwi.

Szofer wrzucił jałowy bieg. Obraz w lornetce podskoczył. Obraz znieruchomiał. Pete sprawdził okno. Zobaczył zasłony.

Skierował lornetkę na szwejk. Przybliżył go sobie. Skupił się na karabinie. Na lufie. Na numerze seryjnym.

Poprawił ostrość. Zbliżył maksymalnie. Dziwne... kod z trzema zerami... jak u Boba Relyea.

Szofer zgasił silnik. Pete mierzył Stantonowi czas. Dziesięć minut/ dwanaście/ czter...

Proszę bardzo:

Wychodzi Stanton. Stanton wsiada do swojej taksówki. Stanton odjeżdża.

Pete szturchnął kierowcę – zaczekaj tu teraz. Pete podszedł do sklepu. Szwejk go zobaczył. Szwejk stanął na baczność.

Pete się uśmiechnął:

– W porządku, chłopcze. Jestem z Agencji i chciałem tylko zapytać o drogę.

Chłopak stanął na spocznij.

– He... Tak jest, sir.

– Jestem tu nowy. Czy możesz mi powiedzieć, jak dojechać do hotelu Catinat?

– He... Tak jest, sir. Prosto i nieco w lewo, cały czas wzdłuż Tu Do.

Pete się uśmiechnął.

– Dzięki. A tak przy okazji, zaintrygował mnie numer seryjny twojej broni. Sam kiedyś służyłem w siłach zbrojnych i nigdy nie widziałem takiego oznaczenia.

Chłopak się uśmiechnął.

– To oznaczenie przypisane wyłącznie CIA, sir. Nie spotka go pan na sprzęcie w regularnej armii.

Pete'a przeszedł dreszcz. Pete dostał gęziej skórki. To było jak zimny prysznic.

Trzymał nerwy na wodzy. Zachował spokój. Nie wybuchnął. Pojechał do hotelu Catinat. Pił kawę za kawą i odpalał papierosa od papierosa. Próbował logicznie myśleć.

A zatem:

Kod z trzema zerami/ tylko CIA/ *nie* armia.

Bob Relyea kłamał. Bob Relyea kantował Kadrę. John Stanton mu pomagał. „Podkradanie” i napady na ciężarówki z bronią w wersji Boba: głównie prawda.

A zatem:

Stanton zdobywał broń. Dzięki jakimś łapówkarskim układom. Kolesie z CIA mu pomagali. Czerpali zyski z handlu białym proszkiem. Niby to kupowali broń. Prali proszkowe pieniądze. Płacili swoim źródłom w CIA. Rzeczone źródła dostarczały broń. Stanton i ktoś jeszcze – *tylko kto?* – zarabiali.

Stanton i Bob. I Carlos, to logiczne. Idźmy dalej. Cofnijmy się w czasie. Posuwajmy się zgodnie z logiką i chronologią wstecz.

Stanton zna pana Kao. Pan Kao handluje białym proszkiem. Pan Kao korzysta z laboratorium Kadry. Kao prowadzi narkotykowe farmy. Kao wysyła towar do Europy. Kao eksportuje wyłącznie tam. Kao prowadzi szprycownie w Sajgonie. Kao nie sprzedaje amerykańskim żołnierzom. Kao diluje tylko wśród żółtków.

Głównie prawda.

Kao i Stanton się dogadali. Razem prowadzili szprycownie w Sajgonie. Rzeczone szprycownie służyły żółtkom. Rzeczone szprycownie służyły amerykańskim żołnierzom.

Narkotykowe meliny w magazynach/ co najmniej siedem. Naruszenie kodeksu postępowania Kadry. Wyrok śmierci/ bezdyskusyjnie/ naruszenie

kodeksu postępowania Kadry.

Powrót do przeszłości:

Jest wrzesień 1965. Kao zaczyna handlować herą. Kao mówi Stantonowi tak: „Ja tu szef. Ja dowodzić Can Lao. My razem korzystać z laboratorium. Ja nie sprzedawać amerykańskim żołnierzom”.

Stanton zgodził się bez szemrania. Kao *kupił* możliwość korzystania z laboratorium. Stanton tak powiedział Pete’owi. Stanton na dowód pokazał księgę rachunkową.

Stanton udobruchał Pete’a. Stanton podsunął fakty i liczby. Stanton podsunął lipne dowody.

Powrót do przeszłości:

Tran Lao Dinh zabija narkotykowych niewolników. Tran Lao Dinh kradnie M-bazę. Tran Lao Dinh opiera się torturom. Pete przypala mu jądra. J.P. Mesplède mu pomaga.

Tran powiedział: „Kradnę herę. Sprzedaję potem Marvom”. Nic więcej. Pete się upierał – dawaj szczegóły – Mesplède nie pożalował prądu. Tran wtedy zaimprovizował. Tran przewrócił gorące krzesło. Tran się usmażył.

Pete pogadał ze Stantonem. Pete opowiedział o Tranie. Pete przedstawił swoje przypuszczenia:

Tran kradł bazę. Tran sprzedawał ją Kao. Tran nie podkablował Kao. Stanton kupił przypuszczenia Pete’a. Stanton pochwalił jego logikę. Stanton w pełni się pod wszystkim podpisał.

Wniosek:

Tran pracował dla *Stantona*. Tran węszył po Farmie Tygrys. Tran był żółtym pieskiem Stanton. Tran kradnie bazę na rozkaz Stanton. Tran zaopatruje Kao. Tran *boi się* Stanton. Tran go nie podkablkuje. Tran smaży się z radością.

Oceń to na chłodno – Stanton i Kao to kumple. Od 1965 roku. Naruszenie kodeksu Kadry/ wyrok śmierci/ bez przedawnienia.

Wniosek drugi:

Pete się kręci. Wayne się kręci. Pete jedzie do Stanów. Jest tam Laurent. I Flash. Przerzucają towar do Stanów. Stanton zostaje w Wietnamie. Podobnie jak Mesplède. Farma Tygrys prawie bez nadzoru. Wojna przybiera na sile. Przybywa żołnierzy. Kadra operuje w Sajgonie na pół gwizdka.

Towar ma coraz więcej odbiorców. Poza zasięgiem ich wzroku. Wszystko podlega tajnemu nadzorowi. Zatwierdzone przez Stanton. szprycownie

sprzedają towar Amerykanom.

Od dwóch lat? Może od roku. Może od stycznia.

Udawany handel bronią. Handel prochami z Amerykanami – naruszenie kodeksu Kadry. Stanton przyłapany. Bob przyłapany – naruszenie kodeksu Kadry. Kto jeszcze trząsał kasę? Kto jeszcze był robiony w ciula?

Pete palił papierosa za papierosem. Pete pocił się jak szczur. Pete żłopał kofeinę. Urządził sobie tę burzę myśli w łóżku. Przepocił ubrania. Przemoczył pościel.

Jego wywód wydawał się słuszny. Jego wywód wydawał się niewiarygodny. Jego wywód wydawał się niekompletny. Tętno mu szalało. W piersiach dudniło. W stopach czuł mrowienie.

Stanton powiedział:

– Wyglądasz na zmęczonego.

Drinki w Montrachet. Vietcongowy alarm trzeciego stopnia. Więcej wartowników przy drzwiach. Więcej siatek przeciw granatom. Większy strach.

– Te podróże mnie rozpierdalają. Wiesz przecież.

– W dodatku podróże niepotrzebne.

Pete się skupił. Pete przećwiczył swój występ. Wścieknij się/ wściekły pozostań/ nie ujawnij niczego.

– O czym ty mówisz?

– Mówię, że mam oczy. Przyleciałeś tu, żeby mnie przekonać do rozwinięcia interesu, lecz ja zamierzam powiedzieć „nie” i jeszcze cię zaskoczyć. Cieszę się, że tu przyjechałeś, bo jestem ci winien powiedzenie tego prosto w oczy.

Pete poczerwieniał. Pete dobrze to poczuł – napływającą do twarzy krew.

– Słucham.

– Rozwiązuję operację. Na całej linii. Z Farmy Tygrys do Bay St. Louis.

Pete poczerwieniał. Pete dobrze to poczuł – ten sercowy rumieniec.

– Dlaczego? Podaj mi jeden pierdolony powód.

Stanton dźgnął blat pałeczką do koktajli. Kawalek odłamał się i poleciał.

– Po pierwsze, cała ta sprawa z Hughesem za bardzo zwróciła uwagę wszystkich na Las Vegas, tak że Carlos i Chłopcy chcą przywrócić zakaz handlu prochami. Po drugie, ta wojna wymknęła się spod kontroli i stała się w kraju zbyt niepopularna. Zbyt wielu jest w Wietnamie pismaków

i dziennikarzy telewizyjnych, którzy z wielką chęcią dobraliby się do tyłka paru niegrzecznym agentom CIA za to, co robimy. Po trzecie, nasi dysydenci na wyspie niczego nie są w stanie zdziałać. Castro utrzyma się przy władzy, dlatego wszyscy moi koledzy z Agencji zgadzają się, że pora się wycofać.

Pete poczerwieniał. Pete dobrze to poczuł – ten odcień ciemnej purpury na twarzy. *Bądź wstrząśnięty/ bądź wkurzony/ bądź wzburzony.*

– Cztery lata, John. Cztery lata pracy, a teraz mówisz mi *takie* rzeczy?

Stanton wziął łyk martini.

– To już koniec, Pete. Czasem ci, którym najbardziej zależy, nie są w stanie się z tym pogodzić.

Pete chwycił swoją szklankę. Pete ścisnął. Rozprysł się lód i wyciekła whisky. Złapał serwetkę. Stał krew. Opatrzył skaleczoną skórę.

Stanton się nachylił.

– Zwalniam Mesplède'a. Sprzedaję Farmę Tygrys panu Kao i jutro wyjeżdżam do Stanów. Zamierzam rozwiązać ekipę w Missisipi i wykonać ostatni skok na Kubę, żeby uspokoić Fuentesesa i Arredonda.

Pete ścisnął serwetkę. Szkocka piekła w skaleczonych miejscach. Odłamki szkła wbijały się coraz głębiej.

Stanton powiedział:

– Zrobiliśmy dla Sprawy wszystko, co w naszej mocy. To nas może trochę pocieszyć.

Taksówkowe śledztwo nr 2. 6.00/ kolejka taksówek przed Montrachet/ ukrop i spaliny.

Pete się kulił. Pete obserwował drzwi. Pete snuł przypuszczenia: Stanton odwołuje operację/ Stanton się przegrupowuje/ Stanton obcina fundusze i kontakty Kadry.

Pete ziewał. Pete nie zmrużył oka. Od drugiej nad ranem szwendał się po barach. Znalazł Mesplède'a. Mesplède był wkurzony i pijany. Nie mógł usiedzieć na tym swoim żabojadzkim tyłku.

Stanton go wylał. Mesplède kłął na czym świat stoi – *le cochon/ le putain du monde.*

Pete przyglądał się Mesplède'owi. Mesplède wydawał się szczerzy. Mesplède wydawał się niezestantoniony. Pete zafundował mu test. Pete zafundował wycieczkę.

Przejechali się obok prochowych melin. Ujrzeli podjeżdżające taksówki.

Ujrzeni wychodzących żołnierzy. Ujrzeni żołnierzy, którzy wyglądali jak zombie.

Mesplède był w szoku. Mesplède wydawał się *très* szczery i *très* przerażony. *On va tuer le cochon. Le cochon va mourir*⁶⁴.

Pete się z nim zgodził. Pete go poprawił. Pete dodał: „To ma być Ciężka Śmierć”.

Było gorąco. Panowała poranna duchota. Wiatraczek furkotał. Pete się kulił. Pete obserwował drzwi. Pete gryzł miętowe pastylki.

6.18. 6.22. 6.29. Kurwa, to się może tak cią...

Jest Stanton.

Z walizką. Najpierw sprawunki? *Potem* na lotnisko?

Stanton wziął taksówkę. Taksówka ruszyła. Taksówka odjechała powoli. Pete szturchnął swojego kierowcę – za tym autem, szybko.

Szofer dodał gazu. Wjechała przed nich jeszcze jedna taksówka. Kierowca szybko ją wyprzedził. Na Tu Do panował duży ruch. Ciężarówki z bronią dołączały do sznurów pojazdów, pyrkając pyr-pyr.

Taxi Stantoną skręciło na południe. Taxi Pete’a podążyło za nim. Taxi Pete’a utknęło dwa samochody dalej. Wjechała przed nie ryksza. Jakiś wieśniak targał w niej towar – krycie dla śledzącego *bu-kuu*.

Samochody zwolniły. Jechali na południe. Kierowali się ku nabrzeżu.

Taxi Pete’a stuknęło lekko w rykszę. Kierowca zatrąbił. Wieśniak machnął na niego ręką. Pete wyteżał wzrok. Pete wypatrywał anteny na taxi Stantoną. Antena dygocze/ lawiruje/ dobrze ją widać.

Dotarli do nabrzeża. Pete ujrzał magazyny. Pete ujrzał długaaaachne, niskie budynki. Taxi Stantoną zahamowało. Taxi Stantoną stanęło. Stanton wysiadł.

Minęła go ryksza. Minęło go taxi Pete’a. Pete schylił się i obejrzał. Stanton wziął walizkę. Stanton podszedł. Stanton otworzył jeden z magazynów.

Zrobił to z niby-opanowaniem. Rozejrzył się. Wszedł do środka. Zatrzasnął drzwi.

Taxi Stantoną czekało. Taxi Pete’a zawróciło. Taxi Pete’a zaparkowało nieco dalej przy tej samej ulicy. Pete obrócił wiatraczek. Pete łykał gorące powietrze i obserwował.

Zmierz czas wizyty. Teraz. Czas start.

Spojrzał na zegarek. Sekundówka brnęła. Sześć minut/ dziewięć/ jednaście.

Stanton wyszedł. Stanton wciąż targał walizkę. Stanton zamknął drzwi na klucz.

Wsiadł do taksówki. Przeciągnął się i ziewnął. Taksówka odjechała na północ – w stronę Tan Son Nhut.

Pete zapłacił kierowcy. Pete wysiadł i podszedł. Jego taksówka odjechała.

Magazyn się ciągnął. Miał długość dwóch boisk futbolowych albo i więcej. Jedna kondygnacja/ jedno stalowe drzwi. Po bokach przejścia. W ścianach okna zabezpieczone drucianą siatką.

Pete wdusił dzwonek. Jego dźwięk poniósł się echem. Żadnych kroków/ żadnych głosów/ żadnego wizjera w drzwiach. Dwa przejścia po bokach. Boczne okna. Żadnych świadków.

Pete ruszył na południe. Pete wszedł w jedno z przejść. Pete zdjął marynarkę.

Znalazł okno. Naprężył ręce. Zerwał siatkę. Przeszył go ból skaleczonej ręki. Tkwiące w niej odłamki szkła powbijały się głębiej.

Zwinął dłoń w pięść. Owinął ją. Zrobił z marynarki rękawicę. Uderzył w szybę. Szkło posypało się do środka.

Podciągnął się. Przecisnął przez wybite okno. Potoczył się po podłodze. Ręka pulsowała mu bólem. Wycisnął trochę krwi. Obmacał ścianę. Znalazł włącznik. Zapaliło się światło – dwa boiska futbolowe albo i więcej.

Zobaczył przestrzeń. Zobaczył powierzchnię. Zobaczył *towar*. Zobaczył łupy. Zobaczył rzędy i szeregi. Zobaczył całe hałdy.

Szedł. Dotykał. Oglądał. Liczył. Inwentaryzował. Oto, co ujrzał:

Sześćdziesiąt pudeł załadowanych zegarkami – czyste złoto do wysokości pasa. Futra z norek rzucone jak śmieci – czterdzieści trzy hałdy do wysokości bioder. Sześćset japońskich motocykli – ustawionych bok w bok. Meblowe antyki – dwadzieścia trzy szeregi ciągnące się w nieskończoność.

Nowe auta – zaparkowane obok siebie. Trzydzieści osiem szeregów/ dwadzieścia dwa wozy w każdym/ ciągnące się na całej długości magazynu.

Bentleye. Porsche. Aston-martiny DB-5. Volvo/jaguary/mercedesy.

Pete się przechadzał. Identyfikował łupy. Widział podoczepiane etykiety wywozowe. Miejsce nadania: Sajgon. Miejsce odbioru: USA.

Spokojnie. Przyjmij to z opanowaniem. Przyjmij to jako pewnik:

Łup. Nabyty na czarnym rynku. Niepochozący z USA. Łup z Europy/ Wielkiej Brytanii/ ze Wschodu.

Stanton pokierował szwindlem. Kumple z CIA mu pomogli. Zgarniali kasę

Kadry. Prali ją. Nabywali luksusowy towar.

Stanton odwołuje operację. Wysyłają towar do Stanów. Wysyłają bez cła. Chłopcy im pomagają. Carlos wchodzi w interes. Odsprzedają towar po cenie prawie detalicznej. Carlos dzieli kasę. Carlos płaci chłopakom Stantona. Miliony w żywej gotówce.

Heroinowy plan. Przerzut. Szmał na Sprawę. Błąd – TO była Sprawa.

Pete chodził po magazynie. Pete kopał opony. Pete wachał skórzane siedzenia. Pete pstrykał w anteny. Pete polerował różane drewno. Pete pieścił norki.

TO.

Przeprowadził wywód. Zaczął szukać luk w swoim rozumowaniu. Nie znalazł ani jednej.

Na dodatek:

Stanton się tu zatrzymał. Stanton wtaszczył walizkę.

Dlaczego?

Coś zostawił. Coś zabrał.

Co?

Pete szedł wzdłuż ścian. Pete opukiwał ściany. Pete trafiał wyłącznie na beton. Żadnych drewnianych paneli ani skrytek – cholera.

Pete rozejrzał się po podłodze. Szukał odłupanej farby. Szukał przebarwionych smug. Pete widział tylko beton/ lity/ żadnych smug.

Pete sprawdził sufit. Lity beton. Żadnych łat/ żadnych szczelin/ żadnych smug.

Żadnej łazienki. Żadnych składzików. Żadnych szaf. Cztery ściany/ jedno długaaaachne pomieszczenie/ dwa boiska futbolowe albo i więcej. *Coś było gdzieś. Coś było tutaj.*

Samochody/norki/zegarki. Motocykle/antyki. Robota na cały dzień. Szukanie igły w stogu siana. Ale trzeba to zrobić.

Szedł wzdłuż szeregów. Grzebał w pudłach z zegarkami. Grzebał w norkach. Chwytał. Macał. Szperał.

Czterdzieści trzy hałdy/ sześćdziesiąt pudeł – gównno.

Szedł wzdłuż szeregów. Otwierał szuflady antyków. Zaglądał i szperał.

Dwadzieścia trzy szeregi – gównno.

W brzuchu mu burczało. Godziny mijały. Bez zmrużenia oka i, kurwa, bez jedzenia.

Sprawdzał motocykle. Zaglądał pod siodełka. Otwierał baki i zerkał.

Sześćset motocykli – gównno.

Sprawdzał samochody. Sprawdzał szereg po szeregu. Sprawdził ich dwadzieścia dwa razy trzydzieści osiem.

Zaglądał pod maski. Otwierał schowki. Otwierał bagażniki. Sprawdzał pod dywanikami. Sprawdzał w silnikach. Sprawdzał pod siedzeniami.

Najpierw porsche. Potem bentleye – gównno.

W magazynie robiło się ciemno. Działał po omacku. Volvo/jaguary/DB-5. Polegał na dotyku. Pracował szybko – z konieczności metodą Braille’a.

Pięć modeli z głowy. Został jeden: mercedesy.

Zaczął od ostatniego rzędu. Zabrał się za pierwsze auto. Otworzył maskę. Dotknął pokryw zaworów. Dotknął filtra powietrza. Musnął cylinder.

Moment... jakiś garb... metoda Braille’a z konie...

Obmacał garb. Poczul taśmę. Szarpnął. Coś się oderwało. Owo coś było chropawe i twarde.

Prostokątne. Miało strony. Podłużna książka.

Chwycił ją. Podniósł i otworzył trójkątną szybkę. Namacał kluczyk i włącznik świateł. Porządna szwabska robota – rozbłyśły reflektory przeciwmgielne.

Ukucnął. Zaczął przewracać kartki. Czytał przy światłach przeciwmgielnych. Księga z podzielonymi na kolumny stronami – nazwiska/pieniądze/daty.

Kluczowe daty. Biegające wstecz aż do 1964. Inicjacja działań operacyjnych Kadry.

Nazwiska:

Chuck Rogers. Tran Lao Dinh. Bob Relyea. Laurent Guéry. Flash Elorde. Fuentes/Wenzel/Arredondo.

Wypłaty/ miesięczne pensje/ wszystko tajne. Nieznane hiszpańskie nazwiska w licznych kolumnach/ dopiski: „KM”.

Powiedzmy, że „KM” to kubańska milicja. Kubańskie wyprawy opłacone od A do Z.

Pete analizował kolumny. Pete analizował daty. Pete analizował nazwiska. Nazwiska wymienione/ nazwiska pominięte/ nazwiska nieobecne: jego nazwisko/ Wayne’a/ Mesplède’a.

Wypłacone pieniądze. Kupione lojalności. Naruszenia kodeksu Kadry.

Guéry i Stanton i ich testy na wykrywaczu. Jeden wielki *kant*. Wycieczki Flasha na Kubę. To był *kant*. Starcia na Kubie – nieustające *kantowanie*.

Bezpieczne wypadki na Kubę – opłacony *kant*. Kubańska milicja sprzedana jako mięso armatnie – część tego *kantu*. Broń wysyłana na Kubę – przerzucana dokąd? – klucz do tego *kantu*.

Samochody.

Zegarki.

Futra.

Japońskie motocykle.

Antyki.

Tyle lat harówki. Zawał. A teraz TO.

Pete upuścił księgę. Pete przekręcił kluczyk. Pete wyłączył światła.

Ciemność pasowała. Ciemność go przerażała. TO WSZYSTKO TO BYŁ JEDEN WIELKI PIERDOLONY KANT.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.03.1968. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej nagranej przez BŁĘKITNEGO KRÓLIKA. Oznaczono: „Zakodowane przez FBI”/ „Stopień tajności I”/ „Zniszczyć bez czytania w przypadku mojej śmierci”. Rozmawiają: BŁĘKITNY KRÓLIK, KRÓLIK OJCIEC.

BK: To ja, Senior. Słyszysz pikanie?

KO: Tak. Wiem. Technologia kodowania.

BK: Gotów jesteś posłuchać dobrych wiadomości?

KO: Jeśli dotyczą Tego Dnia, to jestem.

BK: Są z nim związane. To pewne.

KO: Czy mamy już wyznaczoną datę? Czy mamy miej...

BK: Moi ludzie znaleźli Wendella Durfee'ego.

KO: Słodki Jezu.

BK: Jest w LA. Wynajmuje pokój w jakimś slumsie.

KO: Słyszę głosy świętych, Dwight. Wszyscy oni śpiewają dla mnie hymny.

BK: Moi ludzie wiążą go z paroma zabójstwami na tle seksualnym. Myślisz, że zasmakował w tym z Lynette?

KO: Niby jak? Dla mnie to zawsze była zimna ryba.

BK: CZERWONY KRÓLIK jest w trasie. Ten Dzień powinien nastąpić jakoś w przyszłym miesiącu.

KO: Jasna dupa. No to wtajemniczmy Wayne'a.

BK: Moi ludzie obserwują Wendella. Zaczekam kilka dni, a potem znajdę

jakiegoś szwarca, żeby zawiadomił Sonny'ego Listona.

KO: Hymny, Dwight. Mówię ci. I to w stereo.

BK: Myślisz, że Wayne jest na to gotowy?

KO: Wiem to na pewno.

BK: Dam ci znać, jak będę miał więcej wiadomości.

KO: Oby były dobre.

BK: Jesteśmy już blisko, Senior. Czuję to.

KO: Oby cię Bóg wysłuchał.

107

(Mexico City, 26 marca 1968)

Prezentacja:

Willa Sama G./ pokój gier/ drinki z parasolkami.

Służący się uwijał. Służący częstował przekąskami. Służący przygotowywał dzin z wodą i sokiem cytrynowym.

Littell omawiał tabele. Littell omawiał ustawione na sztalugach wykresy. Sam patrzył. Moe patrzył. Carlos obracał w palcach swoją parasolkę. Santo i Johnny ziewali.

Littell dźgnął wskaźnikiem.

– Dostajemy zażądane przez nas ceny. Przed końcem roku pan Hughes powinien mieć wszystkie hotele.

Sam ziewnął. Moe się przeciągnął. Carlos zjadł tortillę z serem.

Littell mówił:

– W Reno jest pewne przedsiębiorstwo zajmujące się wywózką śmieci, które moim zdaniem powinniśmy wykorzystać na początku. Nie należy do żadnych związków, co stanowi dodatkowy plus. Podsumowując, wszystko idzie zgodnie z planem, poza jednym.

Moe się zaśmiał.

– To wszystko już wiemy, Ward. Skończ już z tą przedmową i przejdź do konkretów.

Sam rzekł:

– Ward lubi się podrażnić.

Santo rzekł:

– Ward wyleciał z seminarium, a tam uczą rozwlekłości.

Littell się uśmiechnął.

– Pan Hughes nalega, żeby w hotelach wprowadzić „politykę wyciszania Murzynów”. Wie, że to nierealne, ale się uparł.

Moe powiedział:

– Szwarce potrzebują wyciszenia. Wywołują za dużo niepokojów

społecznych.

Sam powiedział:

– Wyciszone szwarce nie gwałcą i nie rabują.

Carlos powiedział:

– To całe wyciszanie to już przebrzmiała historia. Zamykamy interes Pete’a.

Littell zakaszłał.

– Dłaczego? Myślałem, że to opłacalne.

Sam spojrział na Carlosa. Carlos pokręcił głową.

– Opłacalne czy nie, to mało ważne. Dostaliśmy to, czego chcieliśmy, a resztę mamy gdzieś.

Wymiana spojrzeń: Johnny do Santa/ Santo do Sama.

Sam zakaszłał.

– Jesteśmy ustawieni w Kostaryce, Nikaragui, Panamie i na Dominikanie. Goście, którym posmarowałem, nie potrzebowali żadnych wyjaśnień.

Santo zakaszłał.

– Dolar amerykański to międzynarodowy język. Wystarczy powiedzieć „kasyno i hazard” i już maluje się wspaniały obraz.

Johnny zakaszłał.

– Dolar amerykański kupuje wpływy po obu stronach politycznej barykady.

Santo zakaszłał.

– Powinniśmy za to podziękować naszemu brodatemu przyjacielowi.

Moe spojrział na Santa. Sam spojrział na Santa. Santo zrobił „ups”. Chłopcy zmienili temat. Chłopcy zabrali się za drinki. Chłopcy wzięli się za przekąski.

Littell zajął się wykresami. Littell próbował odgadnąć znaczenie tej gafy.

Orznęli Pete’a. Orznęli Pete’a na Kubie – *w jakiś sposób*. Broń dla Castro? Nie dla prawicowców? *Być może*. Kupowali lewicowców – te rzeczony „wpływy” – przydatność Pete’a spadła. *Prawdopodobnie/ w jakiś sposób/ być może*.

Nie powiem Pete’owi/ oni to wiedzą/ ufają mi/ mają mnie w garści.

Sam zakaszłał. Sam dał znak służącemu. Służący znikł *rapidamente*.

Carlos rzekł:

– Wciąż nie wiemy, czy LBJ wystartuje, ale jesteśmy w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach za Nixonem.

Santo rzekł:

– Nixon to właściwy człowiek.

Sam rzekł:

– LBJ nie jest w stanie zmienić Departamentu Sprawiedliwości tak, jak to zrobi ktoś nowy.

Johnny rzekł:

– Humphrey jest zbyt miękki w sprawie czarnuchów. I jakoś nie wyobrażam sobie, żeby on albo LBJ ułaskawił Jimmy’ego.

Santo:

– Nixon to właściwy człowiek. Nominację ma już praktycznie w kieszeni.

Carlos:

– Usiądziesz z nim do rozmów pod koniec czerwca, Ward. Potem możesz odejść.

Santo się uśmiechnął.

– Znam kogoś jeszcze, kto wkrótce odejdzie z pracy.

Sam się uśmiechnął.

– No, w związku z tym prezencikiem, który przyszedł pocztą.

Wymiana spojrzeń: Carlos–Santo/ Moe D.–Sam. Santo się zaczerwienił. Sam zrobił „ups”.

Samolot wzbił się w powietrze. Lot z Meksyku do Vegas – bez międzylądowania.

Szczyt też był odlotowy. Chłopcy zatwierdzili jego plany – żadnych sprzeciwów/ żadnych kontrowersji. Chłopcy popełniali gafy. Droczyli się z nim. Mogli być niebezpieczni dla Pete’a.

Porzucili heroinowy interes. To oznaczało kłopoty. To oznaczało wściekłość Pete’a. Koniec z wycieczkami na Kubę i działaniami w Wietnamie – *najprawdopodobniej*.

Samolot wzbijał się coraz wyżej. Littell zobaczył chmury. Kłęby bieli w brudnoszarych otoczkach.

Dzwonił do Janice. Rozmawiali minionej nocy. Była przerażona. Miała coraz gorsze skurcze. Była u lekarza. Ten przeprowadził jakieś badania.

Mówił o urazach. Długo pozostawały nieleczone. Robota Wayne’a Seniora. Urazy maskowały prawdziwe uszkodzenia wewnętrzne. To *mógł* być rak.

W jej głosie brzmiało przerażenie. W jej głosie brzmiała siła. Odmawiała litanie: jestem młoda/ to nie to/ to *nie może* być to. Littell ją uspokoił.

Powiedział dobranoc. Zaczął się za nią modlić. Odmówił różaniec.

Samolot wyrównał lot. Littell zamknął oczy. Littell ujrzał Bobby'ego.

Bobby wygłosił oświadczenie. Spotkał się z prasą dziewięć dni temu. Bobby powiedział: „Chcę tego”. Ogłosił swój program wyborczy.

Zakończmy wojnę. Pracujmy na rzecz pokoju. Zwalczajmy biedę. Reformy społeczne. Pakty pokojowe. Ani słowa o zamierzeniach wobec mafii.

Bobby rozważny. Bobby mądry. Sensowny program wyborczy.

W zeszłym tygodniu zadzwoniła Barb. Widziała w TV oświadczenie Bobby'ego. Rozmawiali. Roztkliwiali się nad Bobbym.

Barb poznała Bobby'ego. Wiosną 1962. Peter Lawford wydawał przyjęcie. Barb rozmawiała z Bobbym. Wtedy Barb polubiła Bobby'ego. Teraz Barb kochała Bobby'ego. Pete zrobił z Barb szantażystkę. Barb spała z JFK.

Barb się śmiała. Barb wychwalała Bobby'ego. Stwierdziła, że Bobby skopie Nixonowi tyłek. Barb przepowiadała zwycięstwo.

Zbliżał się steward. Steward pchał wózek. Littell wziął wodę sodową.

Littell wziął zwiniętego w rulon „LA Timesa”.

Rozwinął gazetę. Ujrzał wojenne nagłówki. Pod zgięciem kolumny się zmieniały. Zobaczył „Marsz Biedoty”/ „planowane etapy”/ „impet”. Przeszedł do strony drugiej. Zobaczył Bobby'ego.

Oto Bobby przyłapany znienacka. Stoi na polu golfowym. W pobliżu bungalowów. Tło wygląda na luksusowe. I jakieś takie znajome.

Littell zmrużył oczy. Zaraz, zaraz, o co...

Ujrzał ścieżkę. Ujrzał drzwi. Ujrzał numer 301. To ten bungalow. „Miejsce spotkań mafii”. Ta jego robota dla Dwighta Holly'ego.

Littell upuścił gazetę. Nie mógł zebrać myśli. Chłopcy/ tamta gafa/ „prezencik”.

(Los Angeles, 30 marca 1968)

Zestaw uśmiercający:

Cztery szpryce załadowane do pełna/ mieszanka: heroina i nowokaina.

Jedno magnum .44. Jeden tłumik. Jedna rolka taśmy samoprzylepnej. Jedna papierowa torba. Jedna paczka nawilżonych chusteczek jednorazowych.

I oto jesteśmy. Róg Piątej i Stanford. Dzielnica slumsów. Piekiełko meneli.

Wayne się nie spieszył. Obserwował hotel. Potrząsał torbą. Wayne stał przed bankiem krwi. W pobliżu kręciły się obszcymury. Pielęgniarki dobierały dawców.

On tam jest. Jest w hotelu Hiltz. Jest w pokoju 402. Na czwartym piętrze.

Wayne obserwował wejście. Wayne się delektował. Wayne zwlekał.

Był na Południu. Był w obozie Boba. Obóz był sprzątnięty. Zdaje się, że mieli tam nalot. *Nieprzewidziany* nalot. Nalot stanowej policji. Bob miał przyjaciół. W FBI był kryty. *To* wyglądało na robotę stanowych tępaków.

Wayne poleciał potem do Vegas. Wayne wpadł do Cavern. Odebrał wiadomość:

Zadzwoń do Pete'a. Jest w Sparcie. Zadzwoń do Sonny'ego.

Zadzwoił do Pete'a. Nikt nie odebrał. Zadzwoił do Sonny'ego. Sonny się podniecał. Sonny powiedział: „Dzwonił do mnie jeden czarny”. Sonny powiedział, co od niego usłyszał.

Bingo:

Człowiek Sonny'ego widział Wendella. Wendell miał teraz pseudo. Wendell zwał się Abdallah X.

Było ciepło. Jakies dwadzieścia pięć stopni w południe. Na menelskiej ulicy było rojno: chlory/ kaleki bez nóg na deskach z kółkami/ wymalowani transwestyci.

Popychali Wayne'a. Wayne nic nie czuł. Wayne czuł się, jakby go nie było. Skórę miał napiętą. Chodził jak po szkle. Układ krwionośny jakby mu

zamarzł.

Podszedł.

Wszedł frontowymi drzwiami. Minał meneli w holu. Minał włączony telewizor. Nova rocznik 1968! Kup teraz! *Se habla español* w salonie chevroleta Gianta Felixa!

Jeden menel wierzgnął. Wayne umknął. Wszedł na górę bocznymi schodami. Nie czuł teraz stóp. Nie czuł *nóg*. Zmagał się z grawitacją.

Dotarł na właściwe piętro. Ujrzał korytarz. I drewniane drzwi.

Minał numer 400. Minał 401. Dotarł do 402. Dotknął gałki. Przekręcił. Drzwi się otworzyły.

Oto i on. Oświetlony od tyłu. Wpadającym przez okno światłem. Oto i Wendell na krześle z prostym oparciem. Oto i Wendell z flaszką wina.

Wayne wszedł do środka. Wayne zamknął drzwi. Wayne omal nie zwymiotował. Wendell go ujrzał. Zmrużył oczy. Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu narąbanego wariata.

Wayne stał.

Wendell powiedział:

– Wyglądasz znajomo.

Wayne stał.

Wendell powiedział:

– Podpowiedz mi coś.

Wayne powiedział:

– Dallas.

Omala nie zwymiotował.

Wendell napił się wina. Wendell kiepsko wyglądał. Miał obrzęki po wkłuciach. Miał ślady po igle.

– To niezła podpowiedź. Wyglądasz mi na męża, który może mieć do mnie urazę. Owdowiało przeze mnie całkiem sporo facetów, więc Dallas trochę zawężył ten krąg.

Wayne rozejrzył się po pokoju. Ujrzał butelki po jabolach. Poczował odór winnych wymiocin.

Wendell powiedział:

– To był dopiero weekend. Pamiętasz? Zabito wtedy prezydenta.

Wayne się poruszył. Zrobił dwa kroki. Kopnął. Trafił w krzesło. W butelkę. Przewrócił Wendella na wznak.

Wendell wyrzygał wino i żółć. Wayne nadepnął mu na szyję. Wayne stanął

na nim całym ciężarem. Wayne zanurzył rękę w swej torbie.

Znalazł szprycę. Wendell się rzucał. Wayne wbił mu igłę w szyję. Wendell przestał się rzucać. Odleciał. Poszybował ku orbicie.

Wayne rzucił szprycę. Wayne znalazł szprycę. Wayne wstrzyknął mu w obie ręce. Wendell drgnął. Wendell odleciał. Wciąż dalej ku orbicie.

Wayne rzucił szprycę. Wayne znalazł szprycę. Wayne wstrzyknął mu w pachwiny. Wendell wyszczerzył się w uśmiechu. Wendell odleciał daleko. Daleeeeeeko ku orbicie.

Wayne rzucił szprycę. Wayne znalazł szprycę. Wayne wstrzyknął mu w kolana. Wendell wyszczerzył się w uśmiechu. Wendell odleeeeeciał daleko. Wendell szybował wysoooooo ku orbicie.

Wayne rzucił szprycę. Wayne znalazł taśmę. Wayne urwał długi pasek. Zakleił Wendellowi usta. Owinął mu ciasno całą głowę – trzy razy. Wayne przykleił mu szyję do podłogi.

Rzucił taśmę. Znalazł magnum. Odciągnął kurek. Przykręcił tłumik. Pochylił się nisko. Wendell przewrócił oczami, ukazując białka.

Wayne złapał go za prawą rękę. Wayne odstrzelił mu palce. Na końcu kciuk. Wendell się wił. Hera go blokowała. Jego oczy świeciły samymi białkami.

Wayne wyrzucił łuski. Wayne załadował. Wayne odciągnął kurek. Złapał Wendella za lewą rękę. Odstrzelił mu palce. Na końcu kciuk.

Wendell się wił. Hera go krępowała. Oczy wciąż świeciły samymi białkami.

Wayne wyrzucił łuski. Wayne załadował. Wayne odciągnął kurek. Wendell się zrzygał. Żółć popłynęła dziurkami od nosa. Wendell zesrał się w gacie.

Wayne się pochylił. Wayne wycelował. Wayne odstrzelił mu nogi w kolanach. Trysnęła krew. Odłamki kości wleciały w powietrze. Wayne znalazł nawilżone chusteczki.

Kikuty Wendella podrygiwały. Wayne usiadł na krześle. Wayne patrzył, jak Wendell wykrwawia się na śmierć.

Samolot miał późno. Czuł się otepiały. Przedrzemał całą drogę z LA. Czuł zapach, którego nie było.

Kordyt i krew. Tanie wino. Przypalony gwint tłumika.

Samolot wylądował. Wayne wysiadł. Czuł zapach, którego nie było.

Spalona kość i wymiociny. Pachnące wilgotne chusteczki.

Przeszedł przez terminal lotniska. Znalazł budkę telefoniczną. Wybrał numer centrali. Poprosił o połączenie ze Spartą.

Sygnal zabrzmiał osiem razy. Nikt nie odebrał. Ani Pete, ani Barb.

Wyszedł z budki. Ruszył na postój. Podeszło dwóch mężczyzn. Stanęli po bokach. Ścisnęli go. Typowa gliniarska metoda.

To Dwight Holly. I jakiś śniady. Aha, Fred Otash.

Fredzio Szantażysta – tyle że teraz chudy – jak szkielet.

Chwycili go. Poprowadzili. Czuł się bezwładny. Czuł się otępiały. Ujrzał dwa auta – zaparkowane bok w bok. Federalny sedan. Cadillac Wayne'a Seniora.

Stanęli między wozami. Klepnęli go. Puścili. Wayne się potknął. Prawie upadł. Poczul zapach martwego Wendella.

Holly powiedział:

– Durfee nie był tak za darmo.

Otash powiedział:

– To my daliśmy ci ten cynk przez Sonny'ego.

Holly powiedział:

– Mam twoje odciski palców. Jak się nie zgodzisz, każę komuś z moich ludzi poszukać ich w pokoju Durfee'ego.

Wayne popatrzył na nich. Wayne ich *zrozumiał*. Wayne już *TO* pojął. Wayne Senior/ jego gadanie o nienawiści/ przechwytywanie nienawistnej korespondencji.

Wayne spytał:

– Kto?

Holly odparł:

– Martin Luther King.

(Sparta, 31 marca 1968)

Telewizja – wiadomość z ostatniej chwili:

LBJ wypadł z gry. Wojna dała mu w dupę. Nie będzie się ubiegał o drugą kadencję. W prawyborach: Humphrey kontra Bobby. Szykuje się ostra walka.

Barb oglądała wiadomości. Pete przyglądał się Barb. Barb miała fioła na punkcie Bobby'ego. W domu było zimno. Siostra Barb była skąpa. Siostra Barb oszczędzała na ogrzewaniu.

Przyleciał z Sajgonu do Sparty. Barb powitała go bez entuzjazmu. Barb rugała go non stop. Rugała go za złamanie zakazu podróżowania.

Barb skakała po kanałach. Barb znalazła wiadomości o wojnie. Barb znalazła jakiś strajk w Memphis.

Śmieciarze. Marsz poparcia. Jak dotąd jedna demonstracja. Sześćdziesiąt osób rannych/ szkody wyrządzone przez szabrowników/ jeden czarny dzieciak zabity. Jest tam Szurnięty King. Szurnięty King przybył *pomiędzy* demonstracjami. „Marsz Biedoty” na tapecie.

Barb oglądała wiadomości. Pete przyglądał się Barb. Barb wpatrywała się w telewizor jak urzeczona. Pete wziął sobie gumę. Pete przestrzegął zakazu Barb – żadnego palenia w domu.

Żuł gumę. Żuł po dwa listki naraz. Denerwował się jak cholera.

Zadzwoił do obozu Boba. Usłyszał dziwny sygnał. Jakby nie było połączenia. Zadzwoił do Cavern. Zostawił Wayne'owi wiadomość. Wayne nie oddzwonił. Pete miał cykora. Zwlekał ze swoją mową. Odkładał powrót.

Barb skakała po kanałach. Znalazła Bobby'ego. Znalazła Szurniętego Kinga. Pete wstał. Pete zasłonił ekran. Pete wyłączył telewizor.

Barb zaklęła:

– Do cholery.

Pete zrobił balon z gumy.

– Posłuchaj mnie. Coś z tego, co powiem, może ci się spodobać.

Barb się uśmiechnęła.

– Szykujesz się, żeby mnie zbajerować. Widzę przecież.
– Najpierw dobra wiadomość. Chłopcy chcą zwinąć interes, skończyć z przerzutami i z całą operacją. To mi nawet pasuje.

Barb pokręciła głową.

– Gdyby to było wszystko, mówiłbyś z uśmiechem.

– Masz rację. Jest coś wię...

– Wiem, że jest coś więcej. Wiem, że to nic dobrego, więc mów.

Pete'a zatkało. Pete przełknął. Pete wykrztusił gumę z powrotem.

– Coś poszło nie tak. Muszę złapać Wayne'a w Vegas i skoczyć jeszcze raz na Kubę. Chcę, żebyś się gdzieś ukryła, dopóki się to nie skończy i dopóki nie wypracuję jakiegoś układu z mafią.

Barb rzekła:

– Nie.

Bęc – sprawa zamknięta – ot tak, po prostu.

Pete przełknął głośno.

– Pozbędę się wtedy Taxi Tygrys i Cavern. Wyjedziemy gdzieś.

Barb rzekła:

– Nie.

Bez werbli – bez namysłu – bez modulacji.

Pete przełknął głośno.

– Mogę tu zręcznie pomanewrować. Istnieje pewne ryzyko, to oczywiste, ale nie robiłbym tego, gdybym nie wierzył, że Chłopcy łykną moje wyjaśnienia.

Barb rzekła:

– Nie.

Bez fanfar – ze śmiertelną powagą – bez certolenia.

Pete przełknął głośno. Pete wykaszlnął gumę.

– Jeśli się za to nie wezmę, rozniesie się pogłoska. Niewłaściwi ludzie pomyślą, „Znał historię, a jednak nic nie zrobił”. Zaczną myśleć, że jestem słaby, co z czasem może nam przysporzyć wielkich kłopotów.

Barb rzekła:

– *Nie*. Czymkolwiek *to* jest, wszystko to są bzdury, sam wiesz.

Bez owijania w bawełnę – *znam* cię – i to wystarczy. Bez łez – na razie – łązy dopiero wzbierały, wilgotniały oczy.

Pete powiedział:

– Wrócę, gdy to się skończy.

Lot czarterowy: z La Crosse w Wisconsin do Vegas. Paczka rozbawionych czubków/ zadymiona kabina/ ściśnięte siedzenia.

Paczka składała się z agentów ubezpieczeniowych. Paczka składała się ze Shrinersów i Elksów. Pili. Wymieniali się czapkami. Dowcipkowali.

Pete próbował spać. Pete kombinował z TYM.

Zadzwonił do Stanton. To była rozmowa baaardzo zamiejscowa. Z Sajgonu do Bay St. Louis. Wspomnił o wycieczce na Kubę. Powiedział: „Chcę tam pojechać. Proszę, pozwól mi się pożegnać”.

Stanton się zgodził.

Posprzątał zaraz po sobie w Sajgonie. Zostawił mylne tropy. Kupił broń. Naprawił okno w magazynie. Pracował cichcem. Wprawił nową szybę/ nową siatkę. Zadzwonił do Mesplède'a. Powiedział: „Ja się tym zajmę”. Powiedział: „Ja pomszczę tę zdradę”.

Kupił trzy spluwy: jednego walthera i dwie beretty. Kupił trzy tłumiki. Kupił trzy kabury wewnętrzne.

Łupy. Towar. Samochody/futra/zegarki/antyki. TEN WIELKI PIERDOLONY KANT.

Samolot podskakiwał. Wpadali w obszary niskiego ciśnienia. Rozbawione czubki zaczęły stewardesy. Rozbawione czubki się śmiały. Rozbawione czubki wygłaszały mowy. Prowojenne dyrdymały. Same slogany. Nie możemy się wycofać. Ukarzemy Azję. Nie możemy uchodzić za słabych.

Pete zamknął oczy. Pete *słyszał* czubków. Pete *widział* dobrze znane obrazy.

Oto i Betty Mac. Po raz dwunastomilionowy. Oto ten świr Chuck Imadło. Oto Barb. Mówi: „Nie” – walcząc ze wzbierającymi łzami.

Będziemy twardzi. Pobjemy Vietcong. Nigdy się nie poddamy. Zdepczemy wszelkie traktaty pokojowe.

Ciągnęło się to bez końca. Ciągnęło się w stereo. Próbował zasnąć. Nie mógł. Walczył ze skrajnym zmęczeniem. Przyszło mu do głowy:

Pieprzyć to wszystko. Pieprznąć tym od razu. Pieprzyć zemstę za złamanie kodeksu Kadry.

Samolot wylądował. Pete wysiadł. Przeszedł do terminalu Air Midwest.

Kupił bilet z powrotem. Zaszalał. Zarezerwował pierwszą klasę do Milwaukee z połączeniem do Sparty/ dwa miejsca w jedną stronę.

Miał przerwę w podróży. Cztery godziny, z którymi nie było co zrobić.

Przeszedł do poczekalni. Przywłókł ze sobą torbę z bronią. Rozciągnął się na czterech siedzeniach. Zasnął. Było miękko i ciemno. Za pościel służyły mu gazety.

Otworzył oczy. Zobaczył lampy pod sufitem. Zobaczył Warda Littella. Ward trzymał jego bilet. Ward zaginał róg.

– Zamierzałeś wrócić. Barb się to spodoba.

Pete usiadł. Jego pościel z gazet pospadała.

– Jezu, aleś mnie wystraszył.

Ward przetarł okulary.

– Barb zadzwoniła. Mówiła, że wybierasz się na Południe w jakiejś głupiej sprawie, i pytała, czy nie mógłbym cię powstrzymać.

Pete ziewnął.

– I?

– I złożyłem do kupy kilka faktów, i zadzwoniłem do Carlosa.

Pete zapalił papierosa. Była 6.10. Jego samolot odlatywał o 7.00.

– Mów. Chcę się dowiedzieć, do czego to zmierza.

Ward zakaszłał.

– Część pochodzi od Carlosa, część wykombinowałem...

– Jezu, mów już...

– Carlos zamyka twój interes. To była tylko część podstępu, żeby dostarczyć broń dla Castro i żeby on dostarczył ją rebeliantom w Ameryce Środkowej. Wszystko współgrało z moim planem dotyczącym zagranicznych kasyn, ale o niczym nie wiedziałem.

Uzupełnij/ dopasuj elementy/ połącz kropki. Stanton i Carlos/ lipne przerzuty/ WIELKI KANT w pełnym wymiarze.

– To był jeden wielki szwindel, Ward. Cała ta sprawa.

– Wiem.

– A Bob Relyea? Co z...

– Rzucił swoją robotę z Klanem i bierze udział w innej operacji. Pracuje z nim Wayne, a Carlos twierdzi, że nic więcej nie wie.

Pete wyrwał mu bilet. Ward wyrwał go z powrotem.

– Poleciałeś do Sajgonu. Złożyłeś co nieco do kupy. Bazowałem na tym, co powiedziałaś Barb.

Pete złapał swoją torbę. Spluwy otarły się o siebie i zazgrzytały.

– Chcesz mnie na coś naprowadzić. Gadałeś z Barb, gadałeś z Carlosem, odszukałeś mnie. Zaczniemy tutaj.

Ward poprawił okulary.

– Carlos dowiedział się, że Stanton, Guéry i Elorde skubali go z części zysków. Chce, żebyś załatwił ich i ich kubańskich łączników. Powiedział, że jeśli zrobisz to i „wyświadcysz jeszcze jedną drobną przysługę”, będziesz mógł przejść na emeryturę.

Z głośnika popłynął głos. Lot 49 – do Milwaukee bez międzylądowania.

– Myślisz, że mówił poważnie?

– Tak. Chcą doprowadzić te sprawy do końca i ruszać dalej.

Pete zerknął w stronę swojej bramki. Załoga samolotu już tam była. Toczyły się wózki bagażowe.

– Zadzwoń do Barb. Powiedz jej, że już jestem jedną nogą w domu.

Ward skinął głową. Ward zgniótł bilet.

– Jest jeszcze coś.

– Co?

– Carlos chce, żebyś ich oskalpował.

110

(Memphis, 3 kwietnia 1968)

Króliki:

DZIKI KRÓLIK. CZERWONY KRÓLIK. MARTWY KRÓLIK – już wkrótce.

Wayne zahamował przy krawężniku. Wayne zaparkował. Wayne obserwował motel Nowy Konfederata.

Zajechał mustang. Przeszedł Fred O. Strzelec wysiadł. Oto cherlawy Fred O. Chodzi głodny, żeby inaczej wyglądać. Oto cherlawy Jimmy Ray. Chodzi głodny – pragnie amfetaminy.

Zaśmiali się. Uściskali. Fred O. przekazał pudełko. Było podłużne i wypchane. Zawierało 30.06.

Najwyższej jakości celownik. Karabin przystosowany do pocisków z wierzchołkiem odkrytym. Ekspandują po uderzeniu w cel/ powodują większe zniszczenie/ trudniej je zidentyfikować. Jimmy miał swój karabin. Bob miał taki sam. Fred O. miał karabin nr 3. Oddano z niego jeden próbny strzał. Były na nim odciski palców Jimmy'ego.

Ten Dzień miał nastąpić jutro. Jimmy może strzeli. Jimmy może stchórzy. Wtedy *strzeli* Bob.

Fred O. pracował nad Jimmym. Fred O. powiedział, że Jimmy strzeli. Fred nie miał najmniejszych wątpliwości.

Plan:

Jest pensjonat. Meta dla chlorów. Naprzeciwko motelu Lorraine. King zatrzymał się w Lorraine. Pokój 306. Z balkonem. W melinie dla chlorów jest jedno wolne miejsce. Fred O. już się o to postarał. Fred O. trzymał tę norę od tygodnia.

„Zameldował się”. Ani razu się nie pokazał. Jutro się „wymelduje”. Zamelduje się Jimmy. Dostanie rzeczony pokój. Tuż obok wychodka.

Może strzeli. Może stchórzy. Wtedy strzeli Bob.

Przy chlorowej melinie rośnie kępa krzewów. To zapewni krycie. To

zapewni właściwą trajektorię. Melina ma tylne wyjście na Main Street. Lorraine stoi przy ulicy Mulberry.

Jimmy strzela. Jimmy zmyka – z *dala* od Mulberry. Wyciera karabin. Zostawia karabin. Zostawia go w wejściu.

Fred O. czai się w pobliżu. Fred O. zabiera karabin. Fred O. podrzuca karabin nr 3. Z odciskami palców. Z odciskami palców Jimmy’ego. Z odciskami naniesionymi przez kalkę.

Jimmy pryska. Jimmy jedzie do kryjówki. Wayne już tam czeka. To tanio wynajęte mieszkanie. Kompletnie wyposażone.

W gorzałę/ w narkotyki/ w strzykawki. W heroinę/ w sprzęt do jej przyjmowania/ w krystaliczną amfetaminę.

W list pożegnalny samobójcy – sfalszowany przez Freda Otasha.

Odleciałem na amfie. Zabiłem szwarca Kinga. Teraz się boję. Uciekłem z Jeff City. Nie chcę tam wracać. Jestem bohaterem. Jestem męczennikiem. Hej ty, Świecie, patrz i podziwiał.

Wayne czeka. Wayne czeka, aż Jimmy się naćpa. Wayne serwuje Jimmy’emu złoty strzał. Jimmy umiera na superhaju.

Panika. Samobójstwo. Wasz szablonowy „samotny zamachowiec” – odwała kitę po amfetaminie.

Wayne obserwował Nowego Konfederatę. Fred O. został na zewnątrz. Jimmy wszedł do środka. Fred O. się obejrzał. Fred O. zobaczył Wayne’a i mrugnął.

Wayne odmrugnął. Wayne wycofał wóz. Wayne pojechał do motelu Lorraine.

Zaparkował w pobliżu. Przyjrzał się posesji. Balkonowi. Melinie. Zaroślom. Ulicy.

Zarośla były gęste. Po obu stronach porastały betonowy mur. Przejście prowadziło na Main Street. Przycupną w krzakach. Strzelą albo nie strzelą. Odejdą w stronę Main Street.

Wayne obserwował motel. Kręcili się po nim Murzyni. Stali na balkonie.

W pobliżu żadnych gliniarzy. Dwight Holly to potwierdził. Dwight Holly podsłuchiwał policyjne częstotliwości. W Memphis panowało napięcie. Zamieszki i demonstracje. W policji ogłoszono gotowość trzeciego stopnia. Szykowało się jeszcze większe zamieszanie. Zapowiedziano kolejny marsz. Zaplanowany na 5 kwietnia.

Wtedy będzie już martwy. Memphis zapłonie. Wayne to *wiedział*. Jimmy

strzeli. Fred O. tak powiedział. Fred to *wiedział*.

Fred O. pracował nad Jimmym. Jimmy przyjechał z LA do Memphis. Jimmy robił przystanki po drodze. Jimmy był zrąbany. Jimmy chodził na kursy hipnozy. Jimmy chodził do szkoły dla barmanów. Jimmy brał amfę. Kupował świerszczyki. Ćpał i czytał porno literaturę.

Jimmy wstąpił do Przyjaciół Rodezji. Jimmy zamieszczał ogłoszenia „towarzyskie”. Jimmy zrobił sobie operację plastyczną nosa. Jimmy łąził za doktorem Kingiem w LA. Jimmy śledził go 16 i 17 marca.

Fred O. go pilnował. Fred O. *już wiedział*: Jimmy zadziała. Fred zwerbował go, by zadziałał. Fred O. udawał „Raula”.

Fred miał plany podróży Kinga. Plany od Dwighta Holly’ego. Plany od źródła z FBI.

King pojechał do Selmy. Przybył 22 marca. Fred O. i Jimmy Ray też tam byli. Ustalono warunki. Fred O. ustalił datę.

King został w Selmie. Jimmy pojechał do Atlanty. Wiedział, że King tam mieszka. King go przechytrzył. King poleciał do Nowego Jorku. King miał tam coś do załatwienia.

Dwight dostał cynk. Cynk od źródła w FBI. CZERWONY KRÓLIK wybiera się do Memphis. Data przybycia: 28 marca. Ma się tam odbyć strajk śmieciarzy.

Dwight zwerbował Wayne’a na 30 marca. „Raul” ponaglił Jimmy’ego Raya. Gotówka i amfa – pędź od razu do Memphis.

Przyszła PORA. Fred tak powiedział. Fred to *wiedział*. Jimmy chodził na rzesach. Jimmy pragnął „puli”. Jimmy pragnął swojego świętego Graala.

Wayne obserwował balkon. Wayne widział, że coś się dzieje.

Dwight sprawdzał listy z groźbami śmierci. Fedzie z Memphis nie szczędzili faktów. King otrzymał osiemdziesiąt jeden pogrózek. Głównie od Klanu.

King je olewał. King się nimi chełpił. King gardził ochroną.

Wayne obserwował balkon. Wayne zobaczył Kinga. Mieli wspólną przeszłość. Ich losy się splatały. Była w nich symetria.

Pojechał do Little Rock. Walczył o integrację. Widział tam Kinga. Widział ten pieprzony film. Nakręcony przez FBI. Widział na nim Kinga. Zabił trzech kolorowych. King potępił Las Vegas. King omal tam nie pojechał. Zabił Bonga w Sajgonie. King potępił tę wojnę. Zabił Wendella Durfee’ego. To Wayne Senior znalazł Durfee’ego. King umożliwił mu zemstę.

Wayne Senior wiedział:

Chcesz tego. Sam do tego doprowadziłem. To teraz twoja sprawa.

Zabił Durfee'ego. Dwight wziął go pod swoje skrzydła. Dołączył do sprawy Wayne'a Seniora. Zgodnie z Wayne'a Seniora Szkołą Nienawiści. Robił teraz kurs podyplomowy. Kolorowi wywołują chaos. Kolorowi sięją niezgodę. Kolorowi szerzą lenistwo.

Wayne Senior mówił: „Dostałeś nauczkę”. Wayne Senior mówił: „Zapłaciłeś”. Wayne Senior mówił: „Ten strzał ci się należy”.

Wayne Senior się chełpił:

Ward Littell idzie na emeryturę. Grube mormońskie ryby mnie kochają. To ja zajmę jego miejsce u Hughesa. To pewne. Już ja to wiem. Zostało mi to przepowiedziane.

Dzwonił do mnie Carlos Marcello. Rozmawialiśmy. Mówiliśmy o Littellu i jego emeryturze. Mówiliśmy o interesach w ogóle. Mówiliśmy o wakacie u Hughesa.

Carlos powiedział tak:

„Littell pracował dla Hughesa i dla mnie. Ty zajmiesz obie te pozycje. Littell przekupuje Nixona. Potem idzie na emeryturę. Wtedy wkraczasz ty. To ty pracujesz nad Nixonem. To ty przedstawiasz mu nasze prośby. To ty uzyskujesz jego gwarancje”.

Wayne Senior powiedział tak:

„Jest jeszcze mój syn, chemik. Znasz go. *Wiem*, że przerósł Pete'a B”.

Carlos powiedział tak:

„Znajdziemy dla niego posadę. Zatrudnimy Wayne'a. Pożegnamy się z Pete'em B”.

Wayne obserwował balkon. Wayne zobaczył śmiejącego się Kinga. Wayne zobaczył Kinga klepiącego się po kolanach.

Nienawidzę mądrze. Zabiłem pięciu. Jestem w nienawiści niedościgniony.

111

(Bay St. Louis, 3 kwietnia 1968)

W drogę – 21.16. Lekki wiatr. Kurs: południe–południowy wschód.

Ostatnia wyprawa z bronią. Ostatni kurs Kadry.

Pete chodził po pokładzie. Spodnie miał opięte. Chował w nich trzy pistolety. Miał wyciągniętą na wierzch koszulę. Brzuch mu sterczał. Tłumiki uwierały.

Przyleciał. Odwlekl start. Przyleciał z opóźnieniem. Chciał znaleźć w Vegas Wayne'a. Nic z tego nie wyszło. Zadzwoił do niego Carlos.

Carlos jak to Carlos. Pieprzyć Wielki Kant. Carlos był szorstki:

„Dowiedziałeś się co nieco. No i co z tego? Przecież nigdy nie byłeś głupi, Pete”.

„Boba gdzieś wcięło. Pracuje z Wayne'em. Inaczej niż reszta on nie może oberwać”.

„Nie użalaj się nad sobą. Przywieź mi skalpy. Pamiętaj, że jesteś mi coś winien za Dallas”.

Łódź wznosiła się. Łódź opadała. Łódź płynęła równo. Pete chodził po pokładzie. Pete się zastanawiał. Pete walczył z mrowieniem w brzuchu.

Są pod pokładem. Dorwij ich pojedynczo/ dorwij ich razem. Rozwal zamek od schowka z bronią. Weź karabin. Załatw to jedną serią.

Poprowadź łódź. Przecież umiesz. Skieruj ją na kubańskie wody. Zwab Fuentesę. Zwab Arredonda. Zabij ich/ oskalpuj/ wyrzuć. Oskalpuj i wyrzuć resztę.

Sześć trupów. Fryzurki od rzeźnika. Oskalpowani za zdradę Kadry.

Łódź płynęła spokojnie. Na autopilocie. Powierzchnia Zatoki była gładka jak tafla szkła.

Pete wspiął się na mostek. Pete odczytał zegary. Pete sprawdził działanie przyrządów. Wszystko w porządku. Potrafisz. Uda ci się.

Zszedł na dół. Poczul skręty jelit – wieweeelkie mrówy w trzewiach. W głównej kabynie ścisk: Stanton/ Guéry/ Elorde/ Dick Wenzel.

Pete zadrzał. Pete zadygotał. Pete walnął głową w belkę.

Stanton stwierdził:

– Nie budują tych łodzi dla olbrzymów.

Guéry stwierdził:

– Też mam ten problem.

Flash stwierdził:

– A ja nie.

Wenzel stwierdził:

– Kurdupel jesteś, ale niebezpieczny.

Roześmiali się. Roześmiał się Pete. Pete'owi zakręciło się w głowie.

Czterech mężczyzn/ czterech bez broni pod ręką/ jest dobrze. Wszyscy rozluźnieni/ wszyscy sączą szkocką/ jest dobrze.

Co za niedopatrzenie. Co za fuszerka i niedogodność:

Mogłeś wziąć ze sobą seconal. Mogłeś doprawić im szkocką. Mogłeś ich załatwić we śnie.

Stanton powiedział:

– Zatankujemy na Snipe Key.

Wenzel powiedział:

– Mamy się z nimi spotkać sto czterdzieści kilometrów od brzegu. To jedyny sposób na rendez-vous przed świtem.

Pete zakaszłał:

– To moja wina. Spóźniłem się.

Flash pokręcił głową.

– To ostatni raz. Nie popłynęlibyśmy bez ciebie.

Guéry pokręcił głową.

– Zawsze byłeś... *qu'est-ce que...* „nieskończenie oddany”.

Wenzel wyłopał szkocką.

– Będzie mi brakowało tych wypraw. Nienawidzę komuchów jak każdy biały człowiek.

Flash się uśmiechnął.

– Ja nie jestem biały.

Wenzel się uśmiechnął.

– Jesteś. Jesteś biały duchem.

Pete udał, że ziewa. Serce mu łomotało. Tętno waliło jak oszalałe.

– A ja jestem zmęczony. Muszę się na chwilę położyć.

Goście się uśmiechnęli. Goście skinęli głowami. Goście powyszczierzali

zęby i się poprzeciągali. Pete wyszedł. Pete zamknął drzwi. Pete sprawdził kajuty:

Cztery kanciapy/ niskie grodzie/ cztery śpiwory. Proszę, urznijcie się. Proszę, idźcie spać. Proszę, idźcie spać po kolei.

Otworzył przestrzeń ładunkową. Łódź się kołysała. Łódź kołysała się *très* delikatnie. Kołysała się zbyt łagodnie – jakby bez ładunku broni była za lekka.

Otworzył drzwi do schowka. Zajrzał. Zapalił światło.

Bęc:

Pusto/ zero broni/ zero upakowanego ciasno sprzętu.

Poczuł mrowienie. Ogromne. Mrówy wielkości King Konga.

Zero broni. *To nie był przerzut broni.* Wszystko złożyło się do kupy. *To oni zabiją ciebie.* Wyrzucą cię. Zabiją Fuentesę i Arredonda.

Łódź się wzniosła. Pete zaparł się nogami, by nie upaść. Pete otworzył szafkę na strzelby. Czuł mrówy – wielkie skurczybyki – mrówy coraz wyżej.

Wyciągnął strzelby. Pomachał suwadłami. Wyrzucił naboje. Palce jak z masła: cztery strzelby/ wypadające naboje/ zbyt mało rąk, żeby je łapać.

Naboje spadające. Naboje wirujące. Uderzające o deski pokładu. Uciekające.

Łapał je. Wypychał sobie spodnie. Wypychał usta. Walczył ze strzelbami. Schował je z powrotem do szafki. Usłyszał skrzypnięcie drzwi ładowni.

Odwrócił się. Ujrzał Wenzela. Wyglądał głupio. Wyglądał, jakby dał się na czymś *złapać*. Miał w zębach naboje.

Wenzel zamknął drzwi. Wenzel podszedł bliżej. Wenzel przyszykował pięści.

– Co ty tu, kur...

Pete się obejrzał. Pete ujrzał raketnicę. Blisko. Na haku w ścianie.

Wypluł naboje. Zrobił krok w tył. Złapał raketnicę i wycelował. Pociągnął za spust. Zajaśniała flara. Flara trafiła Wenzela w twarz. Wenzel wrzasnął. Włosy mu zapłonęły. Zaczął się bić po głębie.

Flara spadła. Zapaliła ubranie. Wenzel płonął od stóp do głów.

Wkroczył Pete. Chwycił Wenzela za gardło. Zdusił płomienie we włosach. Zgiął mu szyję w lewo. Sparzył sobie ręce. Zgiął w prawo.

Wenzel zadygotał w konwulsjach. Wenzel legł bezwładnie. Brwi mu się zapaliły. Pete rzucił go na podłogę. Zdarł mu koszulę. Zdławił płomienie.

Flara przestała się żarzyć. Drzwi pozostały zamknięte. Smród i ogień

zostały *opanowane*.

Pete naprężył ręce. Bąble po poparzeniu pękały. Pete stanął mocno na nogach.

A zatem.

Będzie im go brakować. Będą go potrzebować. Będą wrzeszczeć. Łódź sunie spokojnie. Na autopilocie. Jakby Wenzel był na swym posterunku.

A zatem.

Pete spiął się w sobie. Pete się wsłuchał – z uchem przy drzwiach.

Nic.

Wyciągnął walthera. Odciągnął kurek. Otworzył drzwi. Jeden korytarz/ cztery kajuty/ z każdej strony dwie.

Dziesięć metrów dalej: kajuta główna/ prostopadle do pozostałych/ za zamkniętymi drzwiami.

Pete szedł. Maciupenkimi kroczkami – powoli. Kajuta 1. Zajrzał. Przytrzymał drzwi.

Pusto.

Pete szedł. Maciupenkimi kroczkami – powoli. Kajuta 2. Zajrzał. Przytrzymał drzwi.

Pusto.

Pete szedł. Maciupenkimi kroczkami – powoli. Kajuta 3. Zajrzał. Przytrzymał drzwi.

Jest Flash. Uwalił się na koi i kima.

Pete podszedł. Pete wycelował – z bliska. Lufa skierowana na czoło/ tłumik tuż przy skórze. Strzelił raz. Rozległo się pffft. Mózg zaplamił łóżko.

Pete wyszedł. Pete szedł maciupenkimi kroczkami – powoli. Kajuta 4. Zajrzał. Przytrzymał drzwi.

Pusto.

Pete szedł. Czuł się tak, jakby w trzewiach miał gigantyczne mrowisko. Pete pchnął drzwi kajuty głównej.

Pusto – wszyscy na pokładzie. Teraz *powoli* – najpierw głębooooooki wdech.

Zrobił go. Ruszył na górny pokład. Maciupenkimi kroczkami. Mrówy w trzewiach były jak samoloty. Oddech mu się rwał. Ręce drżały. Zwieracz puścił. Poczł smród własnego gówna. Poczł smród potu. Poczł smród przypalonego gwintu tłumika.

Maciupenkie kroczi – jeszcze trzy. Teraz na pokład. Uważaj, gdzie stajesz.

Wyciągnął beretkę. Odciągnął kurek. Wyłonił się oburęcznie uzbrojony. Oddech mu się rwał. Maciupęńkie krocзки, powoli i...

Staął na pokładzie. Przestał oddychać. Lewa ręka odmówiła posłuszeństwa. Ból przeszył go od serca do ramienia – spieprzone żyły.

Chwycił głośno powietrze. Zassał drobiny morskiej wody. Opadł na kolana. Lewa ręka upuściła pistolet. Rozległ się łomot na tekowych deskach.

Narobił hałasu. Ktoś krzyknął. Hałas wywołał odzew za jego plecami.

To Stanton.

Stanton krzyknął:

– Dick!

– Stanton krzyknął:

– Pete!

Po drugiej stronie pokładu. Dwanaście metrów dalej. Ławki na rufie.

Pete runął na deski. Lewa ręka eksplodowała bólem. O pokład wybił sobie zęby. Przetoczył się na plecy. Zassał powietrze. Wypluł wybite zęby.

Usłyszał Guéry'ego – na rufie po lewej:

– Nie widzę go.

Usłyszał Stantona – na rufie, na schodach:

– Chyba dorwał Dicka.

Usłyszał odciągane zamki. Usłyszał szczęk kurków. Usłyszał naboje wpadające do komór. Lewa ręka eksplodowała bólem. Lewa ręka znieruchomiła. Lewa ręka zwisała bezwładnie.

Zassał powietrze. Zassał mocno. Bolało jak cholera. Paliło jak cholera. Udało mu się zrobić częściowy wydech.

Czołgał się.

Jednoręki. Z jedną tylko spluwą. W jednorękim tempie. Otarł się o zwój lin. Mogły mu dać osłonę. Istna ściana z grubych powrozów.

Usłyszał kroki. Pośrodku łodzi przy lewej burcie. Ujrzał nogawki i stopy.

Guéry – szedł szybko – w jego stronę.

Oddech miał nierówny. Przed oczami wybuchały mu gwiazdy. Ujrzał dwanaście nóg i stóp. Wycelował zza lin. Mierzył nisko. Wypalił.

Wystrzelił jedna po drugiej sześć kul. Sześć razy błysnęła lufa. Podwójne widzenie/ świst pocisków/ pajęczne nogi i stopy.

Guéry wrzasnął. Guéry runął. Guéry złapał się za stopy. Guéry strzelił, ale za wysoko. Kule trafiły w żagiel.

Pete zassał powietrze. Pete *poczuł* je w płucach. Pete wymierzył. Pete

celował w głowę. Nacisnął spust powoooooli.

Pistolet się zaciął. Lufa nie błysnęła. Zobaczył Guéry'ego z odstrzelonymi stopami.

Usłyszał kroki. Na rufie. Kroki opuściły tylne schody. Pete wyciągnął spluwę nr 3. Poprzednia zawiodła. Rzucił ją.

Guéry wypalił. Kule trafiły w zwój. Kule rykoszetowały.

Pete wytoczył się z za lin. Pete się czołgał. Czołgał się przy pomocy ręki i dwóch nóg. Guéry go ujrzał. Guéry wyciągnął się na brzuchu. Guéry wypalił.

Pociski smugowe – głośno i blisko. Tuż nad jego głową. Kaleczą nadburcia. Ranią tekowe drewno. Sześć strzałów/ siedem/ cały magazynek.

Guéry rzucił broń. Pete się zbliżył. Pete wykonał jednoręki sus.

Odsłonił zęby. Ugryzł. Trafił Guéry'ego w policzek. Przeorał mu twarz paznokciami. Wyjął jedno oko.

Guéry wrzasnął. Guéry zamachnął się pięścią. Guéry trafił w odsłonięte zęby. Pete ugryzł. Pete zmiażdżył kość. Pete zgiał zdrową rękę.

Guéry się darł. Aż uszy pękały. Był to pół jęk/ pół wrzask.

Pete podniósł rękę. Pete rozdarł mu gardło. Pete pogruchotał mu kości szyi. Zabrał się za podniebienie i zęby.

Guéry się rzucał. Pete wyszarpnął rękę. Zostawił dziurę głęboką aż po łokieć. Guéry się rzucał. Pete przeturlał się na plecy. Zaparł się ręką i odepchnął nogami.

Kopnął Guéry'ego. Kopnął mocno. Zrzucił go z pokładu. Zrzucił go do morza.

Usłyszał plusk. Usłyszał krzyk. Zassał powietrze. *Poczuł* je w płucach. Poczołgał się.

Czołgał się dalej. Czołgał się o jednej ręce. Przez pokład przedarły się dźwięki.

To Stanton. Na dole. Stał zgrzyta o stal. Jest w ładowni. Ładuje strzelby. Stał stuka o stal.

Pete zassał powietrze. Przeturlał się. Dźwignął się na kolana. Pęcherz mu nie wytrzymał. Oddech mu się urwał. Zassał głęboko powietrze.

Zaczął iść. Chwiał się. Rzucano nim na boki. Dotarł do wejścia na schody na rufie. Natarł na drzwi. Rzucił się całym swym koślawym ciężarem.

I nic – za *mały* ciężar – zero efektu.

Kopnął w drzwi. Pchnął drzwi. Rzucił się swym koślawym ciężarem.

I nic – za *mały* ciężar – zero efektu.

Barykada/ drzwi nie do wyważenia/ blokada na schodach.

Pete ukląkł. Pete położył się krzywo. Odebrał echo spod pokładu. Usłyszał stal zgrzytającą o stal.

Jakiś metr w bok. Jakies trzy metry przed nim. Pokład jest tam zdarty. Cienki jak bibułka. Nic, tylko delikatny tek.

Pete się dźwignął. Zawalczył o oddech. Zdołał podnieść się na kolana.

Ruszył. Na kolanach, podpierał się ręką. Dotarł do kotwicy. Wstał. Przywołał w myślach Barb. Przykucnął. Wyciągnął prawą rękę. Oplótł trzon kotwicy. Szarpnął i wstał.

Płuca mu eksplodowały. Wstrzymał oddech. Lewe ramię paliło żywym ogniem.

Powlókł się. Dwa kroki na sterburtę. Cofnął się w stronę rufy. Upuścił kotwicę.

Żelastwo z głośnym trzaskiem przedziurawiło pokład. Połamało tekowe deski. Spadło. Runęło prosto w dół. Zrobiło ze Stantona miazgę.

112

(Memphis, 4 kwietnia 1968)

Odliczanie:

17.59. Zaraz będzie szach-mat – pionek pobije CZERWONEGO KRÓLA. Jesteśmy blisko. King jest na zewnątrz. King jest na balkonie.

Stoi przy balustradzie. Jest z jakimś Murzynem. Murzyni płaczą się w dole. King do nich mówi. Wesoło mu. Na dole przystają samochody.

Jimmy siedzi w motelu dla chlorów. Fred O. tak powiedział. Jimmy *strzeli*. Fred O. tak powiedział. Jimmy zwieje. Ja podrzucę karabin nr 3 – Fred O. tak powiedział.

Wayne obserwował balkon. Chował się w krzakach. Razem z Bobem Relyea. Pełzało po nich robactwo. Roiło się od mrówek. Sypał się pyłek z kwiatów.

Bob trzymał karabin nr 2. Mierzył. Skupiał wzrok na celu. Wayne trzymał lornetkę. Wayne ustawiał ostrość.

Wpatrywał się w Kinga. Widział jego oczy. Widział skórę.

Bob powiedział:

– Nie schodzi na dół. Jak Jimmy nie strzeli w ciągu minuty, to sam to zrobię.

Najwyższa gotowość/ wszystko na tip-top/ DO ROBOTY. Ochrona – zero/ gliniarze – zero w polu widzenia/ fedzie i ich wozy – jak wyżej. Ich własny samochód został na Main Street. Samochód Freda O. też.

Strzela Bob albo strzela Jimmy. Jimmy potem ucieka. Oni są szybsi. Pędzą jak lukstorki. Pokonują tę samą drogę. Są młodszy i sprawniejszy. Pokonują to samo przejście co Jimmy.

Dopadają do auta. Pyskają. Jimmy dopada swojego. Pyska. Fred O. podrzuca karabin nr 3 – w drzwiach sklepu Canipe Novelty.

Wayne dociera do kryjówki. Zjawia się Jimmy. Jimmy popełnia samobójstwo.

Odliczanie – punkt 18.00 – pionek bije CZERWONEGO KRÓLA.

Wayne wyregulował ostrość w lornetce. Widział oczy Kinga. Widział jego skórę.

– Mam go. Jak Jimmy spudłuje albo tylko draźnie, dam ci znać.

– Chcę, żeby stchórzył. Przecież wiesz.

– Otash twierdzi, że jest spoko.

– To pieprzony cwel. Zawsze nim był.

Wayne obserwował Kinga. Wayne znów to widział. Widział tamten pieprzony film. Materac skacze. Tłuszcz Kinga się trzęsie. Spada popielniczka.

Wayne poczuł mrowienie. Bob poczuł mrowienie. Wayne widział pulsowanie własnych żył. Usłyszeli strzał. Ujrzeli czerwoną krew na czarnej skórze. Usłyszeli jednocześnie: „pyk”.

Wayne widział moment uderzenia. Wayne widział rozrywaną szyję. Wayne widział upadającego Kinga.

Kryjówka:

Dwupokojowe mieszkanie. Wyposażone w graty z drugiej ręki. Pięć kilometrów od Main Street.

Wayne wysadził Boba. Wayne wszedł. Wayne usiadł. Pieprzony Jimmy świrował. Pieprzony Jimmy się nie pojawiał.

Fred O. powiedział Jimmy’emu: „Jedź tam”. Fred O. powiedział: „Czeka tam mój przyjaciel. On ma pulę. On ma twoją wizę. On ma twój paszport do Rodezji”.

Wayne siedział. Wayne czekał. Wayne nadawał krótkofalowe meldunki. Fred O. odpowiadał. Fred O. opowiadał. Fred O. podsłuchiwał soczystą policyjną gadkę.

Podrzucił karabin. Nikt go przy tym nie widział. Jimmy spakował swoją pukawkę i wybył. Zjawiły się gliny. Gliny znalazły karabin. Gliny go sprawdziły.

Gliniarze przepytывali świadków. Zdobywali opisy. Nadawali komunikaty. Szukajcie białego mężczyzny. W białym mustangu.

Błąd. Mustang Jimmy’ego był żółty.

Fred O. nadawał. Fred O. się wkurzał. Jimmy zniknął. Jimmy poczuł smród. Olał „Raula”. Gliniarze mają podrzucony karabin. Fedzie przejmą sprawę. Fedzie zaciemnią sprawę.

Pociski z odkrytym wierzchołkiem. Trudne do zidentyfikowania.

Balistyczny holocaust. Karabin kaliber 30.06. Broń morderców. To powszechnie znany fakt.

Zaufajcie panu Hooverowi. On wyciągnie właściwe wnioski. Tak twierdzi Wielki Dwight. Wayne się zgadzał. Wayne powiedział: „Jesteśmy kryci. *Obaj to wiemy*”.

Bob był zdruzgotany. Bob nie strzelił. Bob Klanman niespełniony. Bob zaśmiał się i przywołał taksówkę. Bob wyruszył do West Memphis w Arkansas.

Wayne siedział. Wayne czekał. Wayne postawił już na Jimmym krzyżyk.

Spalił pożegnalny list. Wrzucił do sedesu i spłukał amfetaminę. Zniszczył strzykawkę. Założył rękawiczki. Oczyszczył metę z odcisków palców. Działał przy włączonym radiu.

Wysłuchiwał peanów ku czci Kinga. Wychwytywał najświeższe wiadomości. Słuchał nieutulonych w żalu Murzynów na ulicach. Nieustające zamieszki/ kraj pogrążony chaosie/ podpalenia i grabieże.

Wayne uchylił okno. Wayne usłyszał syreny. Wayne ujrzał strzelające w górę płomienie, które się rozprzestrzeniały.

Wayne pomyślał: *Jestem tego sprawcą.*

113

(Waszyngton, 6 kwietnia 1968)

Najnowsze wiadomości – na żywo w TV.

Littell oglądał NBC. Littell podpatrywał zamieszki i żałobę. Littell przez cały dzień oglądał TV.

Ofiary zamieszek: cztery w Baltimore/ dziewięć w Waszyngtonie.

Zamieszki: LA/ Detroit/ St. Louis. Chicago/ Nowy Jork. Wściekłość/ reakcja łańcuchowa/ ogromne straty.

Littell uchylił okno. Littell poczuł dym. Littell usłyszał uderzenia kul.

Spiker przekazywał najświeższe doniesienia z DC. Właśnie otrzymał teleks: Murzyni widzą białego człowieka. Murzyni obstępują auto. Murzyni zabijają. Murzyni patrzą.

Littell oglądał TV. Littell czuwał. Już od czterdziestu ośmiu godzin z okładem. Przyleciał do Waszyngtonu. Zajął się robotą dla Teamsters. Usłyszał wiadomość. Zaszły się w swoim mieszkaniu. Nie odchodził od telewizora.

Pogrążył się w żałobie. Oglądał TV. Tworzył w myślach scenariusze: Dwight Holly/ pan Hoover/ CZARNY KRÓLIK.

Szantażowanie Rustina. Towarzysząca mu frustracja. Marsz Biedoty – wielka prowokacja. Chronologia/ łańcuchy zdarzeń/ wnioski za i przeciw. Śledztwo FBI/ tuszowanie faktów „dla” kogoś i „przeciw” komuś/ przeciwiczna lekcja z Dallas.

Littell się zaszły. Trochę popłakał. Zaczął się zastanawiać:

Podsłuch w El Encanto. Chłopcy i ich „prezencik”. Zapluskwiony lokal Bobby’ego. Wiedza o planowanej kampanii Bobby’ego.

Tworzył scenariusze. Łączył je ze sobą – King i Bobby. Oglądał TV. Obalał scenariusze – à propos Kinga i Bobby’ego. Nie ruszał się z domu. Był bezpieczny. Zadzwoił do Janice.

Dowiedziała się. Osiem dni temu. Lekarze powiedzieli, że to rak.

Siedzi w brzuchu. Rozrasta się powoli. Umieścił się w śledzionie.

Skurcze maskowały pani objawy. Skurcze skradły pani sporo czasu. Skurcze nie pozwoliły na wcześniejsze zdiagnozowanie.

Może będzie pani żyła. Może pani umrze. Operujmy. Janice powiedziała: „Może”. Janice powiedziała: „Dajcie mi pomysłać”.

Powiedział jej: „Uwielbiasz Desert Inn. Wprowadź się do mnie. Wypoczywaj i graj w golfa”.

Janice tak zrobiła. Janice się wprowadziła. Rozmawiali. Janice przeklinała Wayne’a Seniora.

Janice trochę płakała. Janice oświadczyła mu, że mówił przez sen. Spytał, co powiedział. Odparła, że wzywał „Bobby’ego” i „Jane”.

Nic więcej nie powiedziała. Zasznurowała usta i odgrywała bojaźliwą. Pocieszył ją. Przekonał – niech cię zoperują.

Janice pokazała odwagę. Janice powiedziała „tak”. W następnym tygodniu Janice poszła pod nóż.

Lista chorych:

Janice była chora. Pete omal nie umarł. Atak serca podczas wyprawy łodzią, na pełnym morzu.

Pete zabił czterech ludzi. Pete utopił ciała. Pete zawrócił łódź. Połączył się przez radio z Bay St. Louis. Powiedział: „Zawiadomcie mojego przyjaciela w Waszyngtonie”.

Littell odebrał wiadomość. Littell zadzwonił do Carlosa. Carlos obiecał ekipę do posprzątania. Pete doprowadził łódź do przystani. Pete miał szczęście. Nikt nie widział wsiadających *pięciu* mężczyzn.

Ekipa sprzątająca przybyła. Ekipa posprzątała. Lekarze wzięli w obroty Pete’a. Lekarze przeprowadzili operację. Lekarze połatali Pete’owi serce.

Zakrzepica wieńcowa. Tym razem średnio poważna. Miałeś fart.

Pete wypoczywał. Littell do niego zadzwonił. Pete powiedział, że załatwił czterech. Nie dostał jeszcze ostatnich dwóch.

Littell zadzwonił do Carlosa. Littell przekazał wiadomość. Carlos powiedział: „Pieprzyć to”. Ułaskawił ostatnich dwóch.

Pete oddzwonił do Littella. Poprosił o przysługi. Nie mów Barb. Nie przestrasz jej. Daj mi się zebrać do kupy. Zadzwon do Milta Chargina. Powiedz, że u mnie wszystko okej. Każ mu się zająć kotem.

Littell nie odmówił. Littell dzwonił do Pete’a. Dzwonił jakąś godzinę temu. Zgłosiła się pielęgniarka. Powiedziała, że Pete się wypisał – „wbrew zaleceniom lekarza”.

Pete miał gościa. Ów gość go wystraszył. „Carlos Jakiśtam”. Ze cztery godziny temu.

Littell przełączał kanały. Littell widział Bobby’ego. Bobby był uroczyście poważny. Bobby potępiał nienawiść rasową. Bobby opłakiwał doktora Kinga.

Scenariusze tworzyły się same: zakładanie podsłuchów/ „dla” kogoś i „przeciw” komuś/ spisek o szerokim zasięgu. Źle się działo. To się wymykało spod kontroli. To się stawało *realne*.

Littell chwycił swój notes z adresami. Littell odszukał Paula Horvitz’a.

Poprosił o spotkanie. Paul powiedział, że zaryzykuje. Do zobaczenia o 18.00 – u Eddiego Changa.

Littell rozważył *własne* ryzyko.

Podsłuch w hotelu. Jego ewentualne konsekwencje – trudne do wyobrażenia. Zaryzykuj. Powiedz Paulowi. Niech ostrzeże Bobby’ego.

Littell się przebrał. Założył swoją brodę i tweedy. Wyszedł.

Szedł pieszo. Naruszył godzinę policyjną. Słyszał syreny. Patrzył na Waszyngton pozamykany na wszystkie spusty. Widział płomienie trzy kilometry przed sobą. Słyszał nakładające się na siebie syreny.

Szedł szybko. W tweedach omal się nie ugotował. Wiatr przywiewał płatki sadzy. Przejechał jakiś samochód. Jakiś Murzyn krzyknął. Littell usłyszał rasistowskie wyzwiska.

Jakiś Murzyn cisnął puszką po piwie. Jakiś Murzyn rzucił popielniczką. Rozsypały się pety.

Littell dotarł do Connecticut Avenue. Z hydrantów tryskała woda. Strażacy ciągnęli węże. Gliniarze obstępowali wozy strażackie.

Lokal Eddiego Changa był otwarty. Sam Eddie był w zadziornym nastroju. Eddie karmił policjantów.

Littell wszedł. Littell zajął boks w głębi knajpy. Barman podkreślił głos w telewizorze.

Lokalne rozróby na żywo. Murzyni z kanistrami z benzyną. Samochody do góry kołami.

Weszło trzech ludzi. Trzech jowialnie-serdecznych typków. Mieli kaski na głowach i wielkie mięśnie piwne.

Jeden rzekł:

– Cholerne zwierzęta.

Jeden rzekł:

– A daliśmy im prawa obywatelskie.

Jeden rzekł:

– I patrzcie tylko, co mamy w zamian.

Littell rozwalił się na siedzeniu. Littell się rozluźnił. Littell zaczerpnął z repertuaru zachowań z głębokiego Południa.

Wszedł Paul Horvitz.

Dostrzegł Littella. Otrzepał spodnie. Podeszedł. Otrzepał rękawy marynarki. W powietrzu zawirował popiół.

Staął pewnie. Zagroził wejście do boksu. Chwycił po obu stronach stojaki na kapelusze.

– Pewien człowiek z FBI rozmawiał przed godziną z senatorem Kennedym. Pokazał mu zdjęcie mężczyzny bardzo podobnego do pana bez brody. Powiedział, że nazywa się pan Ward Littell i nazwał pana „prowokatorem”. Senator usłyszał to nazwisko, zobaczył zdjęcie i omal nie zwariował.

Littell wstał. Kolana mu zadrzały. Walnął pięścią w stół. Próbował coś powiedzieć. Nie mógł wydobyć słowa. Zaczął się j-j-j-jąkać.

Paul złapał go za marynarkę. Paul przyciągnął go do siebie. Paul zdarł mu brodę. Dał mu w gębę. Popchnął go. Zrzucił mu okulary.

Littell poleciał do tyłu. Littell przewrócił stolik. Paul wyszedł szybko.

Goście w kaskach obrócili się na swoich stołkach. Spojrzeli na niego. Posłali mu szerokie, cwaniakowate uśmiechy.

Jeden mignął legitymacją federalnych.

Jeden rzekł:

– Cześć, Ward.

Jeden rzekł:

– Pan Hoover o wszystkim już wie.

(Los Angeles, 8 kwietnia 1968)

Jakiś szurnięty Arab. O takim samym imieniu jak nazwisko.

Wayne coś wspominał. Wayne mówił, że go przycisnął. Arab robił na szaro Cavern. Arab obnosił się z ulotkami nienawiści. Arab nosił spluwę.

Wayne dostał fuchę przy nienawistnej korespondencji. Wayne podkradał nienawistne listy. I co się okazało? Że Arab pisywał do Bobby'ego.

Bredzenie totalneeeego świra. „Żydowskie świnię”/ „RFK musi zginąć”.

Pete przemierzał autostrady. Pete okrążał centrum LA. Pete jechał starczo powoli.

Czuł się słaby. Czuł się wyzuty z energii. Czuł się wycieńczony. Poruszał się teraz maciupęnkimi kroczkami. Z trudem oddychał. Chodził o lasce. Liczył co dzień swoje kroczi. Czerpał z tego niewielką pociechę. Z dnia na dzień odzyskiwał siły.

Jesteś młody. Jesteś silny. Doktorki tak powiedziały. Następny zawał cię zabije. Tak oświadczył chirurg.

Rozpłatali ci pierś. Wyczyścili żyły. Pozszywali. Wypisałeś się. Kupiłeś cążki chirurgiczne. Powoli wyjąłeś sobie szwy. Do dezynfekcji użyłeś whisky. Użyłeś whisky do znieczulenia. Użyłeś whisky, by uśmierzyć ból.

Pete przemierzał autostrady. Pete okrążał centrum LA. Pete jechał starczo powoli.

Carlos odwiedził go na łóżu boleści. Carlos wspomniał robotę na łodzi – brawo. Carlos napomknął coś o „drobnej przysłudze”. Wiem, że o tym wiesz. Wiem, że Ward ci powiedział.

Pete powiedział: „Jasne. Jedna drobna przysługa. A potem emerytura”.

Carlos powiedział: „Jedź do LA. Znajdź kozła ofiarnego dla Freda Otasha”.

Carlos powiedział: „Podoba mi się Fred. Wayne Senior go polecił. Wayne Senior też mi się podoba. Ma klasę. Dostanie fuchę Warda Littella. Ward wkrótce idzie na emeryturę”.

Pete wyszedł ze szpitala. Pete poleciał do LA. Pete spotkał się z Fredem O. Fred O. był teraz chudy. Fred O. wyznał mu dlaczego.

Pracował nad jednym czubkiem. Pracował nad nim przez osiem miesięcy. Pracował nad kozłem ofiarnym zamachu na Kinga.

Akcją kierował Bob Relyea. Pomagał mu Dwight Holly. Nad wszystkim czuwał Wayne Senior. Wayne Junior wszedł do drużyny. Wayne Junior był tam jako wsparcie.

Zabił Wendella Durfee'ego. W WPLA wszystko wiedzieli. A mimo to mieli pytania. Robota wyglądała na zemstę/ ten Murzyn zabił twoją żonę/ chcielibyśmy pogadać.

Pete ważył w myślach to, co wiedział. Pete znał Freda O. Pete rozgryzł ową „drobną przysługę”.

O, cholera. Chłopcy potrzebują kozła ofiarnego. Chodzi o zamach na Bobby'ego.

Fred O. potwierdził. Fred O. nie podał nazwisk. Fred O. potwierdził, lecz nic nie mówił otwarcie. Pete przypomniał sobie Araba. Fred O. był Libańczykiem. Powiedzmy, że to taka synergia.

Pete powiedział mu o Arabie. Pete podał niektóre dane. Fred O. dosłownie się, kurwa, zaślinił. Pete poleciał do Vegas. Pete ucałował kota: na powitanie i na pożegnanie. Pete przetrząsnął w Cavern pokój Wayne'a.

Znalazł kopie nienawistnych listów. Przejrzał je. Znalazł brednie Araba.

RFK MUSI ZGINAĆ! RFK MUSI ZGINAĆ! RFK MUSI ZGINAĆ!

Zadzwoił do Sonny'ego Listona. Gdzie to przycisnęli tego Araba? Sonny odparł: „W motelu Pustynny Świt”. Pojechał do Świtu. Dał w łapę recepcjoniście. Sprawdził zapisy w księdze meldunkowej.

Bingo: Sirhan B. Sirhan/ Pasadena, Kalifornia.

Poleciał z powrotem do LA. Zadzwoił do Biura Ewidencji Ludności. Zdobył pełne dane Sirhana. Dryndnął do Freda O. Powiedział: „Siedź na tyłku”. Powiedział: „Ja go przypilnuję”.

Wczoraj wieczorem dzwonił Carlos. Carlos zgrywał mądralę. Domyśliłeś się. Fred O. mi powiedział. Wiesz, nawet nie jestem zdziwiony.

Potem Carlos zrobił się stanowczy. Carlos powiedział tak:

„Ward jest czuły na punkcie Bobby'ego. Znasz Warda. Liberalny męczennik Littell. Zerwij z nim na razie wszelkie kontakty. Ward jest bystry. Ward czuje pismo nosem... Spiskowiec Littell”.

Pete powiedział: „Jasne”. Nie ma sprawy. Wiesz, że chcę odejść”.

Carlos ryknął śmiechem. Pete przypomniał sobie Dallas. Pękająca głowa Jacka – trach! I Jackie rzucająca się na to, co z niego zostało.

Meta Sirhana: niewielka stara buda o drewnianym szkielecie w pobliżu liceum Muira. Wóz Sirhana: ful bajerów/ chrom i spojłery/ ciemnokasztanowy ford.

Pete podjechał. Pete zaparkował. Pete czekał, żując nicorette.

Myślał o Barb. Miał włączone radio. Wysłuchał kilku śpiewanych przez Barb kawałków. Złapał wiadomości – ale jaja! – zabójca Kinga na wolności!

Pomyślał o Wayne. Wayne pogromcą czarnuchów. Mokre roboty – Wendell Durfee i nie tylko. Wsłuchał się w swoje przeczucia. Poczył założenia. Wayne Senior przydusił Wayne’a. Wayne Senior go zwerbował. To była robota pierdolniętego tatuśka.

Zmienił stację. Znowy usłyszał o Kingu. Usłyszał o kampanii wyborczej Bobby’ego.

Wyszedł Sirhan.

Szedł szybko. Szedł śmiesznie. Palił papierosa. Wpatrywał się w listę koni wyścigowych. Wpadł bokiem na drzewo. Wpadł twarzą w żywopłot.

Minęła go dwójka licealistów. Spojrzeli na Sirhana – co za czubek!

Sirhan szedł śmiesznie. Sirhan wyglądał śmiesznie. Sirhan miał szopę włosów na głowie i wielkie zęby. Sirhan wyrzucił papierosa. Sirhan zapalił papierosa. Sirhan błysnął poźółkłymi zębami.

Sirhan wszedł do wozu. Sirhan wykręcił. Sirhan pojechał na południowy wschód.

Pete ruszył za nim. Sirhan miał szajbę na punkcie wyścigów. Na pewno jechał do Santa Anita. Na pewno jechał na wiosenną gonitwę.

Sirhan prowadził śmiesznie. Sirhan machał rękami. Sirhan nie trzymał się swojego pasa ruchu. Pete siedział mu na ogonie. Pieprzyć wszelkie zasady dyskretnego śledzenia. Sirhan to był totalny świr.

Jechali na południowy wschód. Dotarli do Arcadii. Wjechali na parking wyścigów. Sirhan z piskiem opon. Sirhan zaparkował byle jak. Pete zaparkował tuż obok.

Sirhan wysiadł. Sirhan wyciągnął pół litra wódki. Sirhan pił małymi łydkami. Pete wysiadł. Pete ruszył za nim. Pete szedł za nim, wspierając się na lasce.

Sirhan szedł śmiesznie. Sirhan szedł szybko. Pete szedł wolno jak

zawałowiec.

Sirhan dotarł do kasy. Sirhan rzucił drobne. Sirhan powiedział:

– Miejsce na trybunach.

Pete kupił bilet. Pete sapał jak parowóz. Pete szedł za Sirhanem powoooooooooli.

Sirhan przeciskał się pomiędzy ludźmi. Sirhan przeciskał się śmiesznie. Sirhan używał spiczastych łokci. Ludzie się gapili – patrzcie, co za błazen/ co za czubek!

Sirhan stanął. Wyciągnął listę koni. Sirhan się zadumał.

Wpatrywał się w listę. Dłubał w nosie. Pstrykał smarkami. Lizał ołówek. Zakreślał konie. Dłubał w uszach. Wydłubywał woskowinę. Wąchał ją. Pstrykał.

Poszedł dalej. Pete z laską powoli za nim. Sirhan wyciągnął zwitek jednodolarówek. Sirhan podszedł do okienka.

Postawił sześć zakładów. Postawił na samych outsiderów – po dwa dolary na każdego. Śmiesznie mówił. Mówił wzniosłym stylem. Mówił szybko.

Facet w okienku podał mu kupony z zakładami. Sirhan odszedł. Pete ruszył powoli za nim. Sirhan szedł szybko. Sirhan co sześć kroków pociągał z butelki.

Łyk. Sześć kroków. Znowu łyk. Pete liczył kroki. Pete go śledził. Pete rechotał pod nosem.

Dotarli do trybun. Sirhan przyglądał się twarzom. Sirhan przyglądał się twarzom dłuuuugo. Gapił się. Strzelał oczami. Jego wzrok iskrzył się i płonał.

Pete się *kapnął*:

Palant szuka demonów. Wypatruje Żydów.

Sirhan stał nieruchomo. Sirhan się gapił. Sirhan widział wielkie nosy. Sirhan czuł zapach Żydów.

Sirhan ruszył dalej. Zajął miejsce. Sirhan usiadł przy niezłych panienkach. Panienki spojrzały na niego. Skrzywiły się z obrzydzenia. Panienki powiedziały: „A fuj!”.

Pete znalazł miejsce. Pete usiadł jeden rząd wyżej. Pete sprawdził widok: wybieg/ tor/ chabety w boksach.

Zadźwiczwał dzwon. Chabety ruszyły. Sirhan dostał amoku.

Darł się. Wrzeszczał: „Dawaj, dawaj, dawaj”. Koszula wyszła mu ze spodni. Pete ujrzał ładownicę na naboje. Pete ujrzał trzydziestkę ósemkę

z krótką lufą.

Sirhan złopnął wódki. Sirhan wydarł się po arabsku. Sirhan zdarł sobie gardło. Panienki się odsunęły. Szkapy minęły metę. Sirhan podarł kupony.

Sirhan się nadaśał. Sirhan się wiercił. Sirhan kopał papierowe kubki. Studiował swoją listę koni. Dłubał w nosie. Pstrykał smarkami.

Dosiedli się jacyś faceci – szweje w galowych mundurach. Sirhan się przysunął. Zaczął pieprzyć głupoty. Sirhan poczęstował ich wódką.

Szweje nie odmówili. Pete słuchał. Pete usłyszał:

– Żydzi kradną nam nasze cipki.

– To Robert Kennedy im płaci.

– To żadne kity, mówię wam.

Szweje rechotali. Szweje rzeli, dygocząc jak w spazmach. Sirhan wkurzył się i sięgnął po flaszkę. Szweje zaczęli rzucać nią nad jego głową. Szweje rzeli coraz głośniej.

Wstali. Wyprostowali się. Rzucali flaszką wysoko. Sirhan był niski. Oni – wysocy. Zmusili Sirhana do podskoków.

Zabawa w „głupiego Jasia” – trzej marines – trzy pary rąk.

Rzucali butelką. Sirhan skakał. Sirhan rzucał się i miotał. Zabieraj łapy/ uwaga!/ trzy dłonie.

Butelka fruwała. Butelka śmigła. Butelka spadła i się potłukła. Szweje się śmiali. Sirhan się zaśmiał – całkiem jak Kaczor Daffy.

Zaśmiał się jakiś widz. Był gruby i kędzierzawy. Patrzcie: jarmułka, mezusa.

Sirhan nazwał go „fiutem złamanym”.

Sirhan nazwał go „wampirycznym Żydem”.

Pete oglądał wyścigi. Pete oglądał Sirhan Sirhan Show.

Sirhan pochłaniał batony. Sirhan dłubał w zębach. Sirhan przegrywał. Sirhan się dąsał. Dłubał pod paznokciami u nóg. Zaczepiał blond panienki. Dłubał w uszach. Pieprzył bzdury.

Żydzi. RFK. Ropotwórcze marionetki Syjonu. Arabska rewolucja.

Sirhan wypatrywał Żydów. Sirhan drapał się po jajach. Sirhan wietrzył stopy.

Sirhan poszedł na padok. Pete tuż za nim. Sirhan zaczepiał dżokejów.

Też kiedyś byłem dżokejem. Byłem wziętym zawodnikiem. Nienawidzę syjonistycznych świń. Dżokeje nabijali się z niego – spieprzaj, złamasie –

jeździłeś może, ale na *wielbłądach*.

Sirhan poszedł do baru. Pete tuż za nim. Sirhan pił wódkę i zagryzał batonami. Sirhan żuł kostki lodu.

Sirhan wypatrywał Żydów. Wielkich kinoli. Sirhan zeskoczył ze stołka. Sirhan poszedł do kibla. Pete za nim. Sirhan minął pisuary. Sirhan zajął kabinę. Pete był tuż za nim. Sirhan srał długo i głośno. Sirhan wyszedł. Pete wszedł. Pete ujrzał sedesowe graffiti:

Świnie z Syjonu!

Żydowscy krwiopijcy!

RFK musi zginąć!

Pete zadzwonił do Freda O. Pete powiedział: „Gość wygląda obiecująco”. Pete pojechał do centrum. Pete wpadł do urzędu. Odwiedził pokój komisji do spraw wyścigów konnych.

Mignął legitymacją z pudełka po chrupkach ryżowych. Nabrał urzędnika. Wyzebrał listy pracowników.

Urzędnik zaprowadził go do archiwum. Pete ujrzał sześć szuflad w porządku alfabetycznym. Urzędnik ziewnął. Urzędnik wyszedł. Urzędnik poszedł na kawę.

Pete wyciągnął szufladę z „S”. Przebierał palcami w kartotekach. Znalazł: „Sirhan, Sirhan B.”. Przejrzał zawartość. Dowiedział się:

Sirhan *był* wziętym zawodnikiem. Sirhan spadał z koni. Sirhan często spadał na głowę. Sirhan za dużo pił. Sirhan za dużo obstawiał. Sirhan nalatywał na Żydów.

Pete znalazł notatkę. Komisja wysłała Sirhana do psychiatry. Doktor Mosiek/ G.N. Blumenfeld/ zachodnie LA.

Pete się roześmiał. Pete wyszedł. Pete znalazł budkę telefoniczną. Zadzwonił do Freda O. Powiedział: „Gość wygląda bombowo”.

Szybko się męczył. Męczył się bardzo. To go dobijało. Ten *dzień* omal go, kurwa, nie dobił. Cały dzień śledzenia o lasce w wieku czterdziestu siedmiu lat.

Dotarł do swego motelu. Łyknął tabletki. Wziął krople na rozrzedzenie krwi. Żuł nicorette. Zjadł na kolację trochę zieleniny.

Był wykończony. Ledwo zipał. Próbował zasnąć. Styki w jego mózgu puściły. Objawiły się niedawne wydarzenia.

Barb/ łódź/ Wielki Kant. Wayne/ zamach na Kinga/ Bobby.

Tylko Barb w tym wszystkim miała jakiś sens. Nic więcej. Barb świrowała na punkcie Bobby'ego. Barb będzie opłakiwać Bobby'ego. Barb może go skojarzyć z zamachem. Może się załamać: „Znowu!...”. Może ześwirować i uciec. Może go zostawić – za Bobby'ego i za Jacka.

To go przerażało. To i nic więcej. Żadnej wściekłości ani smutku z powodu *la Causa*. Żadnego strachu poza tym.

Ta robota mnie dobija. Ledwo zipię, jestem wykończony. Już nie mogę.

Zajrzał do książki telefonicznej. Znalazł adres tamtego psychiatry. Zasnął.

Spał sześć godzin. Odzyskał siły. Wyszedł bez laski. G.N. Blumenfeld/ gabinet przy Pico/ hen, w zachodnim LA.

Pojechał autem. Zaparkował przy krawężniku. Popatrzył na budynek. Otynkowana parterówka/ sześcioro drzwi w jednym szeregu.

Capnął swoją minilatarkę. Capnął składany nóż. Capnął kartę Diners Club. Wysiadł. Ruszył chwiejnym krokiem. Gdzie jest, kurwa, moja laska?

Dotarł do drzwi. Oświetlił zamek. Obmacał dziurkę. Dalej – nóż/ karta/ jeden mocny ruch.

Trafił na opór. Wysilił się bardziej. Drzwi puściły.

Chwiejnym krokiem wszedł do środka. Złapał oddech. Zamknął drzwi. Oświetlił latarką poczekalnię. Zobaczył obrazki z klaunami. Zobaczył biurko i kanapę.

Oświetlił drzwi z boku. Zobaczył laskę Eskulapa. Zobaczył napis G.N. BLUMENFELD. Podszedł. Trzymał się ścian. Jego oddech rwał się i świszczwał.

Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Oto i fotel doktora. Oto i jego akta. Oto i kanapa.

Zatkało go zupełnie. Poczł zawroty głowy. Wyciągnął się na kanapie. Parsknął śmiechem – jestem Sirhan Sirhan – strzeż się, RFK!

Wyrównał oddech. Uciszył rechot. Puls mu zwolnił. Pete oświetlił akta: od A do L/ od M do S/ od T do Z.

Wstał. Ciągnął za rączki szuflad. Wyjeżdżały akta. Od M do S – obyś tu był, ty pojebańcu jeden.

Wyciągnął M do S, szufladę nr 2. Zaczął przebierać palcami. Znalazł go: jedna teczka/ dwie kartki/ trzy wizyty i ich podsumowanie.

Przebiegł wzrokiem po kartkach. Treść nietrudno było sobie przyswoić:

„Zaniki pamięci”/ „ucieczki od rzeczywistości”/ „ogólna dezorientacja”.
„Nadmierne uzależnienie od pomocy innych przedstawicieli płci męskiej”.
Zajębiście. Fred O. zapieje z zachwytu. Halo, halo, wielbłądzi dżokeju!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.04.1968. Nagłówek i podtytuł w „Atlanta Constitution”:

POSZUKIWANIA ZABÓJCY KINGA TRWAJĄ
ZMASOWANY POŚCIG FBI

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.04.1968. Nagłówek i podtytuł z „Houston Chronicle”:

METKA Z PRALNI WSKAZUJE TOŻSAMOŚĆ
PODEJRZANEGO O ZAMACH INTENSYFIKACJA POSZUKIWAŃ
W LOS ANGELES

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.04.1968. Podtytuł z „Miami Herald”:

OCENA ZNISZCZEŃ PO ZAMIESZKACH
WYWOŁANYCH ZABÓJSTWEM KINGA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 15.04.1968. Nagłówek i podtytuł z „Portland Oregonian”:

SAMOCHÓD ZAMACHOWCA ODNALEZIONY W ATLANCIE
POSZUKIWANIA PODEJRZANEGO GALTA POSZERZAJĄ SIĘ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.04.1968. Podtytuł z „Dallas Morning News”:

POLOWANIE NA ZABÓJCĘ KINGA
„TO NASZ PRIORYTET”, TWIERDZI HOOVER.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.04.1968. Nagłówek i podtytuł z „New York Daily News”:

ODCISKI PALCÓW ZDRADZAJĄ ZABÓJCĘ!
„GALT” UCIEKINIEM Z WIĘZIENIA!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.04.1968: Nagłówek i podtytuł z „Chicago Sun-Times”:

WIELKA OFENSywa RFK W INDIANIE
ZAPOWIEDŹ KONTYNUACJI DZIEŁA DRA KINGA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.04.1968. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
ZAMORDOWANY W SLUMSACH W. DURFEE TO POSZUKIWANY
OD DAWNA GWAŁCICIEL I MORDERCA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 7.05.1968. Nagłówek z „New York Times”:
RFK WYGRYWA PRAWYBORY W INDIANIE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.05.1968. Nagłówek w „San Francisco
Chronicle”:
RFK WYGRYWA PRAWYBORY W NEBRASCE

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.05.1968. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
TROP ZABÓJCY KINGA PROWADZI DO KANADY

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 15.05.1968. Podtytuł z „Phoenix Sun”:
OFENSYWA RFK W OREGONIE I KALIFORNII

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.05.1968. Podtytuł z „Chicago Tribune”:
HOOVER TWIERDZI: ZAMACH NA KINGA
NIE BYŁ DZIEŁEM SPISKU

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.05.1968. Nagłówek i podtytuł z „Washington
Post”:
NISKA FREKWENCJA NA MARSZU BIEDOTY
PODAWANY POWÓD: ŚMIERĆ KINGA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.05.1968. Podtytuł z „Cleveland Plain Dealer”:
POSZUKIWANIA PODEJRZANEGO RAYA POSZERZAJĄ SIĘ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.05.1968. Podtytuł z „New York Daily News”:
RAY „UZALEŻNIONYM OD AMFETAMINY SAMOTNIKIEM”
Z ZAMIŁOWANIEM DO MAGAZYNÓW Z „PANIENKAMI”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.05.1968. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
ZNAJOMI MÓWIĄ O RASISTOWSKICH
PRZEKONANIACH RAYA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.05.1968. Podtytuł z „Los Angeles Examiner”:
BRAK TROPÓW MORDERCY ZE SLUMSÓW, WPLA ŁĄCZY OFIARĘ
Z NIEDAWNYMI ZABÓJSTWAMI NA TLE SEKSUALNYM TRZECH
Kobiet

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.05.1968. Nagłówek i podtytuł z „Portland
Oregonian”:

RFK PRZEGRYWA PRAWYBORY W OREGONIE
KAMPANIA PRZED NAJWAŻNIEJSZĄ PRÓBĄ W KALIFORNII

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.05.1968. Podtytuł z „Los Angeles Times”:
NIEPRZEBRANE TŁUMY WITAJĄ
SZTURMUJĄCEGO STAN RFK

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.05.1968. Podtytuł z „Los Angeles Times”:
RFK OBIECUJE ZAKOŃCZYĆ WOJNĘ –
REKORDOWE TŁUMY WIWATUJĄ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.06.1968. Podtytuł z „San Francisco Chronicle”:
KARKOŁOMNE TEMPO KAMPANII RFK W KALIFORNII

115

(Lake Tahoe, 2 czerwca 1968)

Kryjówka:

Chata Wayne'a Seniora/ cztery pokoje/ ustronie. Wysoko w górach. Rozległe widoki i pełne pstrągów strumienie.

Tymczasowy dom. Dom od czasu Memphis.

Miał zakodowany telefon. Miał zapas żywności. Miał telewizor. Miał nad czym myśleć. Miał *czas*, żeby myśleć.

Przeczekajmy. Fedzie dorwą Jimmy'ego Raya. WPLA da sobie spokój z Durfeem.

Bob Relyea miał własną kryjówkę. Bob miał jakąś norę koło Phoenix. Wayne miał lepsze warunki. Wayne rozmawiał przez telefon. Wayne oglądał telewizję.

Fedzie wytropili Raya w Anglii. Tam ślad się urwał. Dostaną go. Zabiją go albo zapuszczają. Ray wyda „Raula”. Fedzie powiedzą: masz świra. Powiedzą: nie ma żadnego „Raula”.

W telewizji nadawali wiadomości. Codziennie dzwonił Wayne Senior. Wayne Senior nadawał ploteczki.

Pracuję teraz u Carlosa. Carlos powiedział, że ma jakieś nagrania. Pan Hoover mu je przesłał. Te nagrania go wystraszyły. Bobby K. chce nas udupić. Stuknijmy go, i to szybko.

Wayne Senior papłał. *Widzisz, co ja wiem?* I puchł z dumy.

Fred O. ma tym pokierować. Przygotowuje nowego strzelca. Pomaga mu Pete B. Wayne Senior się chełpił. *Znam to teraz od podszewki.* Wayne Senior puchł z dumy.

Pete zabił paru ludzi z Kadry. Pete zakończył te parę wątków na morzu. Carlos mi to powiedział. Wayne Senior papłał. *Twój tatko słyszy to i owo.* Wayne Senior puchł z dumy.

Interes Kadry poszedł w diabły. Chłopcy olali Sprawę. Carlos mi to powiedział... Wayne się zastanowił. Wayne doszedł do wniosku, że ma to

wszystko gdzieś.

Oglądał TV. Widział wojnę. Widział polityków. Wayne Senior pęczył. Bobby już jest trupem. Ustawię Nixona z Chłopcami.

Wayne pomyślał. Wayne uznał, że to dobre posunięcie. Wayne wgrzył się w szczegóły. Stwierdził, że powróci równowaga.

King nie żyje. Bobby zginie wkrótce. Zawierucha rozpęta się i ścichnie. Marsz Biedoty nie wypalił. Przyćmiły go zamieszki. Durnie porzucali trochę kamieniami i ścichli. Chaos maleje. Durnie szybko się męczą. Śmierć Kinga pozwoli im się wyrzeszczyć i ścichnąć. Bobby zniknie. Zapanuje Dick Nixon. Naród popłacze i ścichnie.

Ten układ się sprawdzi. Zapanuje pokój. Wszystkim pokierują jego ludzie. Już to widział. Już to czuł. Już to *wiedział*.

I:

Tobie też zaczniesz się wieść coraz lepiej. Uszczkniesz kawałek dla siebie. Wiesz o tym. Dzwonisz. Słuchasz. Myślisz.

Dzwonił do Wayne'a Seniora. Pozwalał mu mówić. Pozwalał mu paplać i puchnąć z dumy.

Wayne Senior mówił:

Littell przejdzie na emeryturę. Zajmę jego miejsce. Zostanę łącznikiem pomiędzy Howardem Hughesem i Chłopcami. Dick Nixon i *ja*. Dick i Chłopcy – jasna dupa.

Wayne słuchał. Wayne ciągnął za język. Wayne rzucał ciche powiedz-mi-coś-jeszcze.

Wayne Senior mówił:

Kierowałem Maynardem Moorem. Był moją wtyczką. Miałem największy udział finansowy w Dallas. Posłałem cię tam. Byłeś blisko. Kupiłem ci kawałek historii. Zabiłeś Moore'a – *nieprawdaż?* – stałeś się *częścią* historii.

Wayne migał się przed takim sondowaniem. Wayne znowu myślał o Dallas. Moore i finansowy udział Seniora – to nie było dla niego nic nowego. Nowe były pogarda i nieposkromiona pycha.

Dallas wykoleiło ci życie. Dallas zabiło ci żonę. Dallas prawie zabiło i ciebie. Był tam Wendell D. Spędziłeś z nim weekend. A teraz to wasze ostatnie rendez-vous.

Wayne Senior odnalazł Durfee'ego. Pomógł Dwight Holly. Znaleźli go i wystawili dla ciebie. Durfee zabił jeszcze trzy kobiety. Zabił je w międzyczasie – *przed* waszym ostatnim rendez-vous.

Wayne Senior się chełpił. *Słuchaj teraz*. Wayne Senior się chwalił. Pete zabił ludzi z Kadry. Carlos go pochwalił. Carlos powiedział, że Pete może „iść na emeryturę”. Carlos nakłamał. Carlos powiedział Wayne’owi Seniorowi dlaczego.

Pete był impulsywny. Pete był nieobliczalny. Pete miał ideały. Pete i Barb muszą zginąć. Pete i Barb zginą po Bobbym. Carlos ma swojego człowieka. Nazywa się Chuck Imadło. Chuck zabija jak jasna dupa. Carlos zadzwoni do Chucka *après* Bobby.

Nieposkromiona pycha. Błędne oceny. Czysta pogarda dla CIEBIE.

Miał czas. Miał telefon. Miał zakodowane częstotliwości. Dzwonił. Nie dzwonił do Barb. Nie dzwonił do Pete’a.

Zadzwoił do Janice. Słuchał. Ona mówiła.

Miała raka. Część jej wycięli. Miała sporo przerzutów. Zostało jej pół roku – nie więcej. Obwiniła się. Skurcze maskowały objawy. Te skurcze zawdzięczała poniekąd Wayne’owi Seniorowi.

Kryła się z rokowaniami. Nie powiedziała Wardowi. Wprowadziła się do jego apartamentu. Nadal kochała grę w golfa. Wciąż posyłała piękne piłki.

Marniała. Ward niczego nie wyczuł. Ward jak to Ward. Ward mówił przez sen. Ward wzywał „Bobby’ego” i „Jane”.

Ward studiował księgi. Istniały dwa komplety. Ward trzymał je w kryjówce. Ward był tajemniczy. Ward był nieostrożny. Janice odnalazła kryjówkę.

Księgi rachunkowe Teamsters. Liczby i zaszyfrowane nazwiska. Jeden komplet. Księgi antymafijne. Zadrukowane kartki z odręcznymi dopiskami. Drugi komplet.

Dopiski kobiecą ręką. Prawdopodobnie autorstwa „Jane”.

Ward skopiował na powielaczu kartki Jane. Ward dodawał swoje notatki. Ward pakował je do kopert. Ward był tajemniczy. Ward był nieostrożny. Janice go obserwowała. Podglądała i widziała.

Zastosowała sztuczkę z ołówkiem. Delikatnie zamalowała kartkę z notatnika. Odczytała wiadomość, słowo w słowo. Ward pisał do „Paula Horvitza”. Do członka sztabu wyborczego Bobby’ego. Ward błagał. Ward się płaszczył. Ward naciskał. Pisał: „Mam więcej brudów”. Pisał: „Nie jestem szpiegiem”. Pisał: „*Proszę, nie żyw do mnie nienawiści*”.

To było żalosne. Tak twierdziła Janice.

Zadzwoił do niej raz jeszcze. Nie chciała rozmawiać o raku. Mówiła

o Wardzie.

Wyrzuty sumienia nie dają mu żyć. Ogarnia go paranoja. Traci orientację. Bredzi jak wariat. Mówi: „Ścigają mnie federalni”. Mówi, że Chłopcy mogą chcieć dorwać Bobby’ego.

Odtwarza taśmy z Bobbym. Puszczą je późno w nocy. Wydaje mu się, że śpi. On śpi z przerwami. Modli się za Bobby’ego. Modli się za Martina Luthera Kinga. Znikł przed dziesięcioma dniami. Nie zadzwonił. Chyba sfiksował.

Tęsknię za nim. Być może spalę jego ukryte akta. Być może dzięki temu wrócić mu zdrowe zmysły. Być może dzięki temu się ocknie.

Wayne rzucił: „Nie rób tego”. Janice się zaśmiała. Janice rzekła, że tylko tak gada. Wayne zaproponował spotkanie. Powiedział: „Niedługo będę przejeżdżał przez Vegas. Spotkajmy się w apartamencie Warda”.

Janice się zgodziła.

Pragnął jej. Umierającej czy nie. To było jasne. Janice prowokowała go do myślenia. Prowokowało go *wszystko*.

Poczuł potrzebę. Chodziło o podróż w czasie. O podróż czternaście lat wstecz... Zadzwonił do matki w Peru w Indianie.

Zszokował ją ten telefon. Wayne dał jej ochłonąć. Choć trochę przełamali lody. Wypełnili kilka luk. Rozmawiali. Nakłamał jej o swym życiu. Ona mówiła mu same miłe rzeczy.

Byłeś wrażliwym dzieckiem. Kochałeś zwierzęta. Uwalniałeś schwytane w potrzask kojoty. Byłeś genialnym dzieckiem. Studiowałeś wyższą matematykę. Byłeś doskonały z chemii. Nie było w tobie nienawiści. Bawiłeś się z kolorowymi dziećmi. Potrafiłeś pięknie kochać.

Kiedyś byłem w ciąży. To było w 1932 – dwa lata przed tobą. Wayne Senior miał sen. Wyśnił dziewczynkę. Chciał chłopca.

Zmasakrował mi brzuch. Kastetami. Dziecko zmarło. Wayne Senior miał rację. To była dziewczynka. Lekarz mi powiedział.

Wayne się wtedy pożegnał. Matka powiedziała: „Niech cię Bóg błogosławi”.

Wayne pomyślał. Zadzwonił do Janice. Umówił się na spotkanie.

(Long Beach, 3 czerwca 1968)

Bobby! Bobby! Bobby!

Tłum skandował. Tłum szalał. Mów, Bobby, mów!

Bobby wspiął się na platformę. Bobby złapał mikrofon. Bobby podwinął rękawy.

Centrum handlowe Southglenn. Trzy tysiące wielbicieli – Mów, Bobby Mów! Parkingowe szaleństwo. Dzieciaki na barana u tatusiów. Głośniki na statywach.

Wielbicie kochali Bobby'ego. Wielbiciele zdzierali gardła. Wielbiciele darli się jak porąbani. Patrz, Bobby się uśmiecha! Patrz, Bobby odrzucił grzywkę! Słuchaj, Bobby mówi!

Pete patrzył. Podobnie Fred O.

Obserwowali Bobby'ego. Obserwowali obstawę. Obserwowali policję. Nie było tego wiele. Bobby uwielbiał żywy kontakt z ludźmi. Bobby lał na ochronę.

Fred obserwował ruchy gliniarzy. Fred obserwował, jak obserwują tłum. Fred obserwował, jak się ustawili. Fred notował wszystko w pamięci.

Fred spotkał się z Sirhanem. „Poznali się” na wyścigach. Przed sześcioma tygodniami. Fred odegrał przed Sirhanem małe przedstawienie. Fred sprzął Żyda.

To był kawał chłopca. Miał wielki nos. I wielką jarmużkę. To był *wielki* Żyd.

Fred skopał mu tyłek. Sirhan się przyglądał. Sirhan oglądał przedstawienie. Fred nawiązał kontakt – jestem Bill Habib – jestem Arabem, tak jak ty.

Podchody/ujarzmienie/zwerbowanie/urabianie.

Fred zaprzyjaźnił się z Sirhanem. Fred kupował mu gorzałę. Fred lżył Żydów. Spotykali się codziennie. Zaklinali szczęście. Lżyli Bobby'ego K. Spotykali się w dość ustronnych miejscach. Fred wciąż był chudy. Fred

wciąż się kamuflował.

Fred podjudzał Sirhana. Fred studiował Sirhana. Fred się uczył:

Jak mocno może na niego naciskać. Ile musi wlać w niego gorzały. Jak bardzo podsycić nienawiść. Jak skłonić go do gadania. Jak skłonić do wykrzyczenia: Zabić RFK!

Jak spoić go do nieprzytomności. Jak totalnie go wkurwić. Jak wywołać zanik pamięci. Jak skłonić do gania na wiece. Jak skłonić do gadania o śmierci. Jak skłonić do gadania o losie. Jak skłonić do strzelania na wzgórzach – strzelania do kartonowych podobizn Bobby'ego.

Fred ocenił Sirhana. Fred orzekł:

Pije na umór. Pije co wieczór. Pije ze mną i beze mnie. Chodzi na wiece. Gania po wiecach w całym okręgu. Zawsze nosi spluwę. Śledziłem go. Widziałem. *Wiem.*

Nienawidzi Bobby'ego. Jego logika jest zwichrowana. Błędnie skierowana, choć poparta argumentami. Nienawidzi Żydów. Nienawidzi Izraela. Nienawidzi syjonisty Bobby'ego. Nienawidzi Bobby'ego, bo jest pieprzonym *Kennedym*.

Jest już urobiony. Jest gotowy. Jest nienormalny. Ma zaniki pamięci. Jest zmutowany przez alkohol.

Fred wybrał miejsce. Fred powiedział Sirhanowi. Fred namówił Sirhana do picia. *Sirhan* wybrał miejsce. Sirhan wybrał je dwie butelki później. Sirhan przypisał sobie autorstwo całego projektu. Sirhan myśli, że to *jego* pomysł. Jego poalkoholowe objawienie.

Jutro wieczorem. Hotel Ambassador. Gala zwycięstwa Bobby'ego. Bobby będzie chciał ogłosić wygraną.

Bobby będzie odurzony. Bobby będzie podniecony i napalony – coraz bardziej. Wyjście będzie prowadzić przez kuchnię. Droga krótka i szybka – co za szczęśliwy traf. Sirhan już tam będzie. Sirhan jest urobiony – nie odpuści.

Fred znał tę kuchnię. Fred ją sprawdził. Fred przekupił gliniarzy. Gliniarze wyjawili:

Ciasnota/ uzbrojona obstawa/ ścisła ochrona. To oznaczało potencjalną nerwowość/ potencjalne zamieszanie. I potencjalne szaleństwo.

Zasugerowany przez Freda scenariusz/ *przepowiadany* przez Freda obłąd:

Ludzie wyciągają broń. Ludzie strzelają do Sirhana. Kule rykoszetują i trafiają w Bobby'ego K. Fred powiedział, że Sirhan *na pewno* strzeli. Fred

znał się na wariatach. Fred-„Raul” urabiał Jamesa Earla Raya.

Pete się rozglądał. Tłum wrzeszczał. Tłum szalał. Tłum przekrzykiwał Bobby’ego.

Głośniki się sprzęgały. Ich wycie niosło się echem. Bobby mówił baso-falsetem. Pete słyszał komunały. Pete słyszał o „końcu wojny”. Pete słyszał o „dziedzictwie Kinga”.

Barb świrowała na punkcie Bobby’ego. Świrowała, słysząc to pieprzenie o wojnie. Nie zadzwonił do niej. Ona nie dzwoniła do niego. Nie napisała. Zero kontaktu od spotkania w Sparcie. Zero kontaktu od wyprawy łodzią. Zero kontaktu od ostatniego zawału.

Tłum wrzeszczał. Pete się rozglądał. Pete dostrzegł budkę telefoniczną. Tuż przy jezdni. Z dała od hałasu. Z dała od Bobby’ego.

Zaczął się przeciskać. Ludzie się rozstępowali. Ludzie widzieli jego laskę. Dotarł do budki. Złapał oddech. Wrzucił kilka ćwierćdolarówek.

Usłyszał telefonistkę. Podał numer Cavern. Połączono go z centralą. Zapytał o wiadomości.

Zero wieści od Barb. Jedną od Wayne’a: „Zadzwoń do mnie/ Lake Tahoe/ *pilne*/ bezpośrednio na ten numer”.

Pete dorzucił ćwierćdolarówek. Usłyszał telefonistkę. Poprosił o połączenie z Lake Tahoe. Rozbrzmiały dwa dzwonki. Odebrał Wayne:

– Halo?

– To ja. Gdzieś ty się, do cholery, po...

– Littell zwęszył zamach. Dorwij go i przywieź tutaj. I powiedz Barb, żeby się gdzieś ukryła.

(San Diego, 3 czerwca 1968)

Bobby był w swoim żywiole.

Dźgał palcem powietrze. Odrzucał w tył grzywkę. Wychwalał doktora Kinga. Głosił jego hasła. Retoryką bił go na głowę. Sprawiał, że pochwała brzmiała niczym hymn.

Wszystko w nim pasowało. Wszystko ze sobą współgrało – opalenizna/ głos/ podwinięte rękawy.

Tłum szalał. Tłum się wydzierał. Tłum wiwatował. Dwa tysiące ludzi/ odgradzające ich liny/ rzędy samochodów.

Littell patrzył. Littell zaklinał Bobby'ego: *Błagam, spójrz na mnie. Dojrzyj mnie. Nie lękaj się. Już cię więcej nie skrzywdzę. Jestem pielgrzymem. Boję się o ciebie. Mój strach jest uzasadniony.*

Bobby stał na platformie. Tylna kłapa zadrzała i opadła. Asystenci ustawili się u jego stóp. Asystenci go podtrzymali.

Spójrz tutaj. Spójrz w dół. Dojrzyj mnie.

Strach w nim dosłownie kipiał. Zaczął przed dwoma tygodniami. Jego strach narastał, aż sięgnął zenitu. Littell połączył kropeczki strachu. Ujrzał linie strachu. Odczytał hieroglify strachu.

Fotka w gazecie/ El Encanto/ apartament 301. Tekst Sama: „prezencik, który przyszedł pocztą”. Tekst Carlosa: Pete i jego „drobna przysługa”. Skojarzenia/ hieroglify/ puzzle strachu.

Sytuacja stawała się coraz gorsza. Littell się spalał. Nie mógł spać. Wyjechał z Vegas. Poleciał do DC. Zadzwoił do Paula Horvitz.

Paul odłożył słuchawkę. Zadzwoił do pana Hoovera. Zadzwoił do Dwighta Holly'ego. Też odłożyli słuchawki. Pojechał do siedziby Biura. Portierzy go wyrzucili.

Poleciał do Oregonu. Chciał dotrzeć do ludzi ze sztabu wyborczego. Ochrona mu nie pozwoliła. Ujrzał swe nazwisko na liście – liście „wrogów”.

Mówił goryłom: „Ja coś *przeczuwam*”. Mówił: „Posłuchajcie, *proszę*”.

Odpowiedzieli: „Nie”. Sponiewierali go. Wyrzucili.

Elementy puzzli zaczęły pasować. Littell miał przeczucia. Pan Hoover wie – tak jak wiedział o Jacku.

Poleciał do Santa Barbara. Zamieszkał w hotelu. Czaił się przy El Encanto. Obserwował 301. Poszedł tropem przewodów. Znalazł stanowisko podsłuchowe.

Apartament 208/ pięćdziesiąt metrów dalej/ obsadzony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przyczaił się. Nosił przebranie. Pracował przez sześć dni i nocy. Czekał. Stanowisko pozostawało obsadzone – całymi dniami i nocami.

Omal nie oszalał. Zaniechał snu – sześć dni/ sześć nocy. Schudł. Widział chochliki. Przed oczami latały mu mroczki.

Siódmego dnia padał deszcz. Na stanowisku został jeden agent.

Fart:

Rzeczony agent opuszcza stanowisko. Rzeczony agent odwiedza pokój 63. Rzeczony agent zabawia się z prostytutką.

Littell ruszył do 208. Littell pokonał zamek wytrychem. Littell zamknął się od środka. Littell przetrząsnął punkt podsłuchowy.

Znalazł rejestr nagrywanych rozmów. Znalazł rejestr wysyłek. Znalazł stenogramy. Przejrzał te z połowy marca. Zobaczył:

15/16 marca. Zapis rozmowy prowadzonej przez trzy osoby. Bobby i Paul Horvitz. I jakiś nieznany mężczyzna. Bobby mówi ze swadą. Bobby mówi górnolotnie. Bobby mówi krytycznie o mafii.

Przejrzał rejestr wysyłek. Trafił na 20 marca. Zobaczył, że wysłano kopie nagrań. Taśmy z 15/16 marca. Rzeczone taśmy zostały przesłane Chłopcom.

Carlosowi. Moe D. Johnowi Rossellemu. Santowi i Samowi G.

Odkrył to dziś rano. Dwanaście godzin temu.

Prześledził grafik Bobby'ego. Ruszył na południe. Przyjechał do San Diego. Zadzwoił do tutejszej siedziby FBI. Agent, z którym się połączył, odłożył słuchawkę. Zadzwoił na tutejszą policję. Opowiedział swoją historię. Sierżant, z którym się połączył, na niego naskoczył.

Sierżant się wydarł. Sierżant powiedział: „Jesteś na czarnej liście”. Sierżant odłożył słuchawkę.

Pojechał na wiec. Przybył za wcześnie. Widział, jak dźwiękowcy rozkładają sprzęt. Zahaczył ich. Zahaczył członków sztabu. Pogonili go jak włóczęgę. Odjechał. Wrócił. Wchłonął go tłum.

Littell obserwował teraz Bobby'ego. Littell machał rękami. *Spójrz na mnie, proszę.* Bobby był w swoim żywiole. Bobby machał. Bobby uwielbiał ten tłum. Bobby uwielbiał kontakt.

Littell machał rękami. Coś go ukłuło – jakaś igła/szpilka/drzazga. Zamroczyło go – BACH, i już – ukazał mu się chuuuuudy Fred Otash.

(Las Vegas, 4 czerwca 1968)

Szalona Janice – jakże teraz krucha.

Więcej siwych włosów. Większe cienie pod oczami. Więcej bruzd i zmarszczek.

Wayne wszedł. Janice zamknęła drzwi. Wayne ją objął. Poczuł żebra. Poczuł wychudłe ciało. Poczuł zwiotczałą skórę.

Janice się odsunęła. Wayne wziął ją za rękę.

– Dobrze wyglądasz jak na te okoliczności.

– Nie zamierzałam nakładać na siebie ton pudru. Jeszcze nie umarłam.

– Nie mów tak.

– Pozwól mi na tę przyjemność. To moja pierwsza randka, odkąd Ward mnie opuścił.

Wayne się uśmiechnął.

– A moja pierwsza randka w ogóle była właśnie z tobą.

Janice się uśmiechnęła.

– Mówisz o balu w Peru w 1949 czy o tym jedynym razie, kiedy to zrobiliśmy?

Wayne uściskał jej dłonie.

– Nigdy nie dostaliśmy drugiej szansy.

Janice się roześmiała.

– Nigdy się o nią nie starałeś. Dla ciebie to był jedynie sposób, by uwolnić się od ojca.

– Żałuję tego. W tym kontekście, znaczy się.

– Chcesz powiedzieć, że było miło, ale żałujesz wyboru chwili i motywów, jakie tobą kierowały.

– Żałuję, że tyle cię to kosztowało.

Janice uścisnęła mu dłonie.

– Do czegoś zmierzasz.

Wayne się zarumienił. Cholera, wciąż ci się to zdarza.

- Miałem nadzieję, że to jeszcze powtórzymy.
- Chyba nie mówisz poważnie. Ze mną w *takim* stanie?
- Za pierwszym razem nigdy nie jest tak, jak powinno.

Było delikatnie. Było powoli. Było tak, jak chciał. Jak zaplanował.

Na jej ciele znać było cierpienie. Kości sterczące ostro przez skórę. Szare odcienie na tle białości. Jej oddech miał gorzki smak. Lubił, jak smakowała dawniej – mentolowymi salemami i ginem.

Tarzali się po łóżku. Uwierały go kości. Dotykali się i długo całowali. Piersi jej obwisły. Podobały mu się. Dawniej jej piersi sterczały.

Wciąż miała siłę. Odpychała go. Chwytała i ścisnęła. Przetaczali się. Smakował ją. Ona smakowała jego.

Miała smak choroby. To go zdumiało. Przyzwyczyił się. Smakował ją w środku. Całował nowe blizny. Jej słaby oddech się rwał.

Przycisnął ją do siebie. Odsunęła się. Wprowadziła go do środka. Wyciągnął rękę. Włączył nocną lampkę. Wzrok przywykł do światła.

Światło padało na jej twarz. Odbijało się od siwych włosów. Dobywało z mroku kolor jej oczu.

Poruszali się w jednym rytmie. Dotarli niemal do celu i się wstrzymali. Zapatrzili się w siebie. Poruszyli. Szczytowali razem. Powieki w końcu im opadły.

Janice włączyła radio. KVGS – same barowe kawałki.

Trafili na parę piosenek Barb. Śmiali się i tarzali. Skopali pościel. Wayne ściszył głos. Barbarzyńcy nucili murmurando. Barb śpiewała *Twilight Time*.

Janice powiedziała:

– Kochałeś ją. Ward mi mówił.

– Wyrosłem z niej. Ona też dorosła i to moje uczucie olała.

Barb, nie przerywając, zmieniła rytm i melodię na *Chanson d'Amour*. Janice ściszyła głos. Barb sfalszowała na wysokim tonie. Zagłuszyli ją Barbarzyńcy.

– Wpadłam na nią jakieś dwa lata temu. Wypiłyśmy parę drinków i pogadałyśmy o pewnych facetach.

Wayne się uśmiechnął.

– Szkoda, że mnie tam nie było.

– Ależ byłeś.

– Nic mi więcej nie powiesz?

Janice zasznurowała usta.

– Nie.

Barb, nucąc sennie, przeszła do *Secretly* Jimmy’ego Rogersa.

Janice powiedziała:

– Uwielbiam tę piosenkę. Kojarzy mi się z mężczyzną, z którym wtedy byłam.

– Czy to był mój ojciec?

– Nie.

– Dowiedział się?

– Tak.

– Co zrobił?

Janice dotknęła jego ust.

– Bądź cicho. Chcę posłuchać.

Barb śpiewała. Jej głos brzmiał pewnie. Zmieniła melodię. Szybszy rytm zniweczył nastrój.

Wayne wyłączył głos. Wayne przysunął się do Janice. Pocałował ją. Dotknął jej włosów. Sprawił, że zamknęła oczy.

– Gdybym powiedział, że mogę pomóc ci wyrównać ten jeden jedyny rachunek, który naprawdę się liczy, chciałabyś to zrobić?

Janice odparła:

– Tak.

Spała.

Łyknęła coś na ból. Odpłynęła. Wayne poprawił jej włosy na poduszce. Wayne przykrył ją kołdrą.

Spojrzał na zegarek. Była 18.10.

Poszedł do swego wozu. Zabrał dwa puste worki z pralni. Zabrał notes i długopis. Wrócił. Zaryglował drzwi. Przeszedł do pokoju dziennego. Zaczął oklepywać ściany. Stukał i obmacywał.

Zero głuchego dudnienia/ zero łąt na ścianach/ zero płyt.

Przeszedł do sypialni. Sprawdził dokoła Janice. Stukał i macał. Zero głuchego dudnienia/ zero łąt na ścianach/ zero płyt.

Przeszedł do gabinetu Littella. Odsunął szafkę. Zobaczył łątę na ścianie. Znalazł zatrask i wdusił przycisk. Płyta na zawiasach odskoczyła.

Zobaczył półki. Zobaczył spluwę, kaliber .38. Zobaczył upchnięte książki.

Otworzył te niebieskie. Ujrzał nazewnictwo typowe dla Teamsters. Otworzył te brązowe. Ujrzał sporządzone na maszynie notatki i odręczne pismo. Przejrzał szybko tekst.

Arden-Jane oskarża Teamstersów. Arden-Jane oskarża mafię. Arden-Jane sypie faktami, które mogą zaszkodzić mafii.

Księga 2, strona 84:

Arden-Jane podpieprza „Chucka Imadło” Aiuppę. Arden-Jane podpieprza Carlosa M. Dotarła do niej pogłoska. Sprawdziła ją i potwierdziła. Zapisała.

Marzec 1959. Okolice Nowego Orleanu. Carlos zleca robotę „Chuckowi Imadło”. Jakiś „cajuński pojebaniec” zrobił Carlosa na szaro. Carlos mówi: załatw go.

„Chuck Imadło” wykonuje zadanie. „Chuck Imadło” zabija pojebańca. „Chuck Imadło” go zakopuje.

Naprzeciwko Boo Hot-Links – dziesięć kilometrów od Fort Polk. Sprawdźcie – znajdziecie tam kości.

Wayne wyrwał stronę 84. Wayne wziął do ręki notes. Wayne napisał liścik:

Panie Marcello,

zanim Arden Breen-Jane Fentress odeszła od Warda Littella, mój ojciec odkupił od niej pewne akta. Ward nie ma pojęcia o ich istnieniu.

Mój ojciec zamierza szantażować Pana przy pomocy informacji, które się w tych aktach znajdują. Czy możemy o tym porozmawiać? Zadzwoń do Pana w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Wayne Tedrow Jr.

Wayne poszukał w biurku Littella. Znalazł kopertę. Włożył do niej wyrwaną kartkę i liścik.

Zakleił kopertę. Zaadresował: Carlos Marcello/ hotel Tropicana/ Las Vegas.

Zebrał księgi. Schował je do worków. Wyszedł. Zgasił światła w sypialni. Pocałował Janice.

Dotknął jej włosów. Powiedział:

– Kocham cię.

(Lake Tahoe, 5 czerwca 1968)

Wiadomość specjalna! Wielki finał! Bobby K. wygrywa!

W telewizji podawali statystyki. Punkty procentowe i tym podobne. Zdecydowana przewaga. Wielkie zwycięstwo Bobby'ego.

Pete patrzył. Ward patrzył pogrążony w półśnie. Ward patrzył otumaniony.

Dostali wiadomość od Wayne'a. Dorwali go. Naszprycowali seconalem. Pete go tu przywiózł. Siedzieli w chacie Wayne'a Seniora.

Wayne był w Vegas. Fred O. był w LA. Fred O. tresował Sirhana.

Ward spał jak zabity. Ward spał szesnaście godzin. Ward spał przykuty kajdankami do łóżka. Ocknął się. Zobaczył Pete'a. *Wiedział*. Nie chciał rozmawiać. Powiedział: „Zero gadania”. Pete wiedział, że będzie chciał *zobaczyć*.

Pete usmażył naleśniki. Ward nie zjadł ani jednego. Pete oglądał telewizję. Czekali. Ward oglądał wiadomości wyborcze. Pete kręcił swoją laską.

Zadzwoił do Barb. Powiedziała: „Pieprzę cię. Nie będę uciekać. Nie będę się ukrywać”.

Pete cackał się z Wardem. Pete mówił: „Pogadaj ze mną, proszę”. Ward zamykał oczy. Ward kręcił głową. Ward zatykał uszy.

Wiadomość specjalna! Na żywo z hotelu Ambassador! Bobby ogłasza swoje zwycięstwo!

Najazd i zbliżenie. Bobby z nienaganną fryzurą/ roześmiany od ucha do ucha.

Zadzwoił telefon. Pete odebrał.

– No?

Wayne powiedział:

– To ja.

Pete wpatrywał się w telewizor. Obraz zanikł i znów się pojawił. Pete'owi zanikło na moment tętno. Bobbyfile skandowali: Bobby, Bobby.

– Gdzie je...

– Właśnie gadałem z Carlosem. Miał plany względem ciebie i Barb, ale go od nich odwiódłem. Jesteś wolny, możesz robić, co ci się podoba, a Ward od tej chwili jest na emeryturze.

– Jezu Chry...

– To Dallas i jego skutki, partnerze. Spłacam długi.

Obraz zanikł i się pojawił. Pete odłożył słuchawkę. Pete'owi zanikło na moment tętno.

Bobby opuszcza podium. Bobby się chwieje. Bobby robi krok w tył. Kamera kieruje się na wyjście – Bobby *adieu* – kamera wraca.

Kamera obejmuje Bobbyfilów. Mikrofon wychwytuje strzały. Mikrofon wychwytuje krzyki.

O Boże...

Och, nie.

Tylko nie *to*...

Senator Kennedy został...

Pete wcisnął guzik pilota. Telewizor zgasł.

Ward zatkał uszy. Ward zamknął oczy. Ward rozdarł się jak skurwysyn.

120

(Lake Tahoe, 9 czerwca 1968)

Powtórki:

Przemówienia. Msza żałobna. Sceny z pogrzebu. Czuwania – King i Bobby.

Oglądał. Oglądał dniami i nocami. Oglądał już od czterech dni.

Powtórki:

Chaos w hotelowej kuchni. Gliny z Sirhanem. Fedzie z Jamesem Earlem Rayem. Schwytanym w Londynie. „Jestem kozłem ofiarnym”. Znana śpiewka.

Oglądał TV. Od czterech dni non stop. Wkrótce to się skończy. Znajdzie się inny temat. Pojawią się inne wiadomości.

Littell skakał po kanałach. Littell oglądał LA i Memphis.

Był głodny. Jedzenie mu się skończyło. Pete zrobił zapas na dwa dni. Pete wyjechał cztery dni temu. Pete poprzecinał linie telefoniczne.

Pete powiedział: „Idź do Tahoe. To najwyżej dziesięć kilometrów. Złap pociąg do Vegas”.

Pete radził nieszczere. Pete wiedział, że Littell tego nie zrobi. Pete wiedział, że zostanie. Pete wyczuł pismo nosem. Pete zostawił swoją spluwę. Pete powiedział mu wprost:

„Oni zabili też Kinga. Powinieneś o tym wiedzieć. Jestem ci to winny”.

Littell powiedział: „Żegnaj”. Tylko tyle, ani słowa więcej. Pete uściskał mu dłonie. Pete odszedł.

Littell skakał po kanałach. Littell trafił na Wielką Triadę: Jack/King/Bobby. Trzy obrazki z pogrzebów. Trzy zgrabne ujęcia. Trzy ujęte w ramki wdowy.

To ja ich zabiłem. To moja wina. Ich krew jest na moich rękach.

Czekał. Wpatrywał się w ekran. Spróbujmy trafić na całą trójcę. Skakał po kanałach. Trafił na jednego i na dwóch. Czatował na trzech.

Jest... Stare zdjęcie. Sprzed 1963.

Są w Białym Domu. Jack siedzi za biurkiem. King stoi z Bobbym. Obraz nie zniknął. Jedno zdjęcie/ cała trójka.

Littell chwycił spluwę. Littell wetknął lufę do ust. Huk wystrzału unicestwił wszystkich.

121

(Sparta, 9 czerwca 1968)

Kot syczał. Kot szczyrzył kły. Kot chodził po klatce.

Taksówka trafiła na koleiny. Pete podskoczył. Kolanami uderzył w klatkę. Sparta w rozkwicie. Komary, luteranie i drzewa.

Przyleciał bez zapowiedzi. Przywiózł papiery rozejmowe. Przywiózł akty sprzedaży. Sprzedał Cavern. Ze stratą. Sprzedał Taxi Tygrys Miltowi C.

Kot syczał. Pete podrapał go za uszami. Taksówka skręciła na wschód.

Wracały mu siły. Pozbył się laski. Wciąż łatwo się męczył. Był wypompowany/wyczerpany/wycieńczony. Był wykończony i wolny.

Starął się żałować. Taksówka skręciła na południe. Kierowca śledził tabliczki adresowe. Kierowca stanął. Wóz zahaczył o krawężnik.

Pete wysiadł. Pete ujrzał Barb. Przycinała pierdolone drzewa. Usłyszała taksówkę. Obejrzała się. Ujrzała Pete'a.

Pete zrobił krok. Barb zrobiła dwa. Pete podskoczył i zrobił trzy.

122

(Las Vegas, 9 czerwca 1968)

Jest w domu.

Włączone światła. Podniesione rolety. Uchylone okno.

Wayne zaparkował. Wayne podszedł. Wayne otworzył drzwi i wszedł.

Siedzi przy barze. Odprawia swój rytuał. Pije drinka przed snem. Ma swoją laskę.

Wayne podszedł. Wayne Senior się uśmiechnął. Wayne Senior zakręcił laską.

– Wiedziałem, że wpadniesz.

– Co dało ci tę pewność?

– Pewne rzekomo niepowiązane ze sobą zdarzenia z kilku ostatnich miesięcy i to, jak łączą się one z naszą kwitnącą zażyłością.

Wayne chwycił laskę. Wayne zakręcił. Wayne wykonał parę sztuczek.

– Dobrze, że o tym wspomniałeś.

Wayne Senior mrugnął.

– W przyszłym tygodniu siadam do rozmów z Dickiem Nixonem.

Wayne mrugnął.

– Nie, to ja do nich siadam.

Wayne Senior się roześmiał – niby to rubasznie/ rech-rech.

– Poznasz Dicka w stosownym czasie. Załatwię ci miejsce w łoży podczas inauguracji.

Wayne zakręcił laską.

– Rozmawiałem z Carlosem i ludźmi pana Hughesa. Porozumieliśmy się w kilku kwestiach i mam objąć posadę po Wardzie Littellu.

Wayne Senior się skrzywił. Wayne Senior uśmiechnął się w zwolnionym tempie. Wayne Senior w zwolnionym tempie nalał sobie drinka.

Jedna ręka zaciśnięta. Na relingu wzdłuż baru. Druga całkiem wolna.

Ich spojrzenia się spotkały. Ich spojrzenia się splotły. Splotły się ze sobą ciasno jak jasna dupa.

Wayne wyciągnął kajdanki. Wayne zwolnił zapadkę. Wayne złapał nadgarstek. Obręcz zaskoczyła. Wayne Senior rzucił się w tył. Wayne szarpnął z powrotem w przód.

Wayne chwycił za wolną obręcz. Wayne zwolnił zapadkę. Wayne założył obręcz na reling.

Dobre kajdanki/ z WPLV/ Smith & Wesson.

Wayne Senior się rzucał. Łańcuch kajdanek trzymał. Reling barowy skrzypiał. Wayne wyciągnął nóż. Wayne otworzył ostrze. Wayne przeciął kabel telefonu na barze.

Wayne Senior szarpał się na łańcuchu. Wayne Senior przewrócił swój stołek. Wayne Senior rozlał drinka.

Wayne zakręcił laską.

– Nawróciłem się. Pan Hughes był uszczęśliwiony, słysząc, że jestem mormonem.

Wayne Senior się rzucał. Obręcze piszczały. Reling się trzymał. Łańcuch trzeszczał. Wayne wyszedł. Wayne stanął przy swoim aucie. Światła Strip migotały heeeen, daleko. Wayne ujrzał reflektory zbliżającego się samochodu.

Samochód podjechał. Samochód stanął. Janice wysiadła. Janice zachwiała się i złapała równowagę. Zakręciła kijem do golfa. Jakimś takim żelaznym. Wielka główka i gruby chwyt.

Minęła Wayne'a. Spojrzała na niego. Poczul jej rakowy oddech. Weszła do środka. Puściła rozkołysane drzwi.

Wayne stanął na palcach. Ujrzał obraz w ramie. Wayne wszystko widział przez okno. Końcówka kija zatoczyła łuk. Jego ojciec krzyknął. Na szyby trysnęła krew.

-
- 1 *Mort sans doute* (fr.) – martwy bez odwołania (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
 - 2 Stowarzyszenie Johna Bircha (John Birch Society) – faszystowska organizacja powstała w latach pięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych.
 - 3 Shriners (Ancient Arabic Order of the Nobles of the Mystic Shrine) – organizacja masońska istniejąca w Stanach Zjednoczonych, słynąca ze swoich parad, wyróżniająca się noszonymi przez jej członków podobnymi do fezów czapkami.
 - 4 Ich bin ein Berliner (niem.) – „Jestem berlińczykiem”. Zdanie wypowiedziane przez Johna Kennedy’ego w przemówieniu podczas pobytu w Berlinie 26 czerwca 1963 roku. Słowa te były wyrazem poparcia JFK i USA dla polityki Willy’ego Brandta i miały symbolizować istnienie wspólnoty ludzi odpowiedzialnych za demokrację.
 - 5 Mowa o Jamesie Meredicie, pierwszym czarnoskórym studencie na Uniwersytecie Missisipi. Jego podanie o przyjęcie zostało odrzucone ze względu na jego kolor skóry. Dopiero Sąd Najwyższy zmusił do zmiany decyzji władze Uniwersytetu i gubernatora Missisipi, a JFK wysłał żołnierzy, by chronili Mereditha, gdy pojawił się na uczelni.
 - 6 *Le frère Pete – un Francuz sanglant* (fr.) – Brat Pete – krwawy Francuz.
 - 7 *Cherchez la femme, Pierre* (fr.) – Przez kobietę, Pierre.
 - 8 Flaga z grzechotnikiem na żółtym tle i napisem „DON’T TREAD ON ME” („nie nadepnij mnie”), symbol amerykańskiej walki o wolność i niepodległość, a także emblemat pierwszych amerykańskich marines.
 - 9 Tzw. ustawy Jima Crowa wprowadzające segregację rasową w południowych stanach USA.
 - 10 Rycerze Kolumba – katolicka organizacja charytatywna działająca w Stanach Zjednoczonych.
 - 11 Rob Roy – drink przygotowywany z whisky, wermutu i gorzkiego likieru.
 - 12 *El jefe* (hiszp.) – szef, przywódca.
 - 13 Mau-Mau – tajna organizacja kenijska założona w 1947 roku, walcząca z kolonializmem i władzą białych.
 - 14 ACL (African Communities League) – jedna z organizacji walczących o prawa obywatelskie dla czarnoskórych.
 - 15 Mowa o czarnoskórym Jamesie Earlu Chaneyu (lat 21) oraz dwóch białych mężczyznach, Andrew Goldmanie (lat 21) i Michaelu Schwernerze (lat 24), którzy wędrowali po Missisipi w ramach „Lata Wolności”, kampanii mającej na celu zniesienie segregacji i zachęcenie czarnoskórych do wpisywania się na listy wyborców. Narazili się w ten sposób Ku Klux Klanowi i 21 czerwca 1964 roku padli ofiarą morderstwa.
 - 16 *Les frères de sang. Littell, un conseiller des morts* (fr.) – Połączeni braterstwem krwi. Littell, doradca umarłych.
 - 17 Mowa o walce z 25 lutego 1964 roku, kiedy to mistrz świata wagi ciężkiej Sonny Liston został pokonany przez młodego Cassiusa Claya, który na krótko przed tą walką przeszedł na islam, przybierając imię Muhammad Ali.
 - 18 Emmett Till – czternastolenni czarnoskóry chłopak, którego brutalne morderstwo w 1955

roku w Chicago stało się bodźcem do powstania ruchu praw obywatelskich.

- 19 Mai tai – drink przyrządzany z rumu i soku owocowego, często ozdobiony krążkiem ananasa lub kwiatem orchidei.
- 20 *Monsieur Littell, nous savons, n'est-ce pas, ce qui s'est passé à Dallas?* (fr.) – Panie Littell, wiemy, nieprawdaż, co wydarzyło się w Dallas?
- 21 *Je ne parle pas le français* (fr.) – Nie mówię po francusku.
- 22 *Le strzelec était un français. Jean Mesplède, qui est maintenant un „najemnik” à Mexico City* (fr.) – Strzelec był Francuzem. To Jean Mesplède, który jest najemnikiem w Mexico City.
- 23 Mort Sahl (ur. 1927) – komik amerykański i współautor przemówień JFK w czasach, kiedy ten kandydował na prezydenta. Po śmierci prezydenta był bardzo żywo zainteresowany tym, kto stał za zamachem i wnikliwie komentował Raport Komisji Werrena.
- 24 Lenny Bruce (1925–1966) – amerykański komik słynący z wulgarnego języka i obscenicznych żartów, nieoszczędzający sławnych osobistości ani polityków. JFK był jednym z ulubionych tematów jego dowcipów.
- 25 Aktor amerykański James Dean zyskał sobie przydomek „Popileniczka” ze względu na swe rzekome upodobanie do bycia przypalonym papierosami.
- 26 OAS (*Organisation Armée Secrète*) – Tajna Organizacja Zbrojna, francuska organizacja terrorystyczna, której celem było zapobieżenie odzyskaniu niepodległości przez Algierię.
- 27 Claudia Alta Taylor Johnson, żona prezydenta Stanów Zjednoczonych Lyndona B. Johnsona.
- 28 Karyn Kupcinet (1941–1963) – aktorka hollywoodzka znaleziona martwa w tydzień po zabójstwie Johna F. Kennedy’ego. Istniały przypuszczenia, że to ona zadzwoniła na policję i ostrzegła, że może dojść do zamachu na prezydenta.
- 29 Dorothy Kilgallen (1913–1965) – znana amerykańska reporterka, felietonistka i osobowość telewizyjna, która jako pierwsza przełamała złą milczenie i wytknęła w swym felietonie sprzeczności w oficjalnie prezentowanej wersji zdarzeń. Prowadziła prywatne śledztwo w Dallas, rozmawiała z Jackiem Rubym i, jak oświadczyła swoim bliskim, natrafiła na coś, co mogło stanowić przełom w sprawie. 8 listopada 1965 roku została znaleziona martwa w swoim mieszkaniu, zaś wszelkie notatki i dane, które mogły pomóc w ujawnieniu prawdy o zabójstwie JFK, znikły.
- 30 *Et le Cuba sera notre grande revanche* (fr.) – a Kuba to będzie nasz wielki odwet.
- 31 *C'est un fou. C'est un diable. C'est un monstre Protestant* (fr.) – To szaleniec. To diabeł. To protestancki potwór.
- 32 *Gringos malo y feo* (hiszp.) – źli i nieprzyzwoici gringo.
- 33 *Mort à Fidel Castro. Vive l'entente franco-américaine* (fr.) – Śmierć Fidelowi Castro. Niech żyje sojusz francusko-amerykański.
- 34 *A BAS LES VIET-CONG! HO CHI MIN, LE DIABLE COMMUNISTE!* (fr.) – Precz z Vietcongiem! Ho Chi Min komunistycznym diabeł!
- 35 *Qu'est-ce que c'est, toute cette merde?* – Co to jest, całe to gówno?
- 36 *Très bien* (fr.) – bardzo dobrze.

- [37](#) *Comme ci/ comme ça* (fr.) – taki sobie.
- [38](#) *Ce n'est pas bon* (fr.) – niedobre.
- [39](#) *Beaucoup* (fr.) – dużo.
- [40](#) *Pas beaucoup* (fr.) – w niewielkiej ilości.
- [41](#) *Bonnes affaires* (fr.) – dobry interes.
- [42](#) Dino, wł. Dean Martin (1917–1995) – piosenkarz amerykański włoskiego pochodzenia, występujący w klubach i prowadzący własny program radiowy, członek tzw. Szczurzej Paczki.
- [43](#) Shecky Greene (ur. 1926) – satyryk amerykański występujący w klubach.
- [44](#) *Très sanguinaire* (fr.) – bardzo krwawi.
- [45](#) *Assez!* (fr.) – Dość!
- [46](#) *El gato* (hiszp.) – kocur.
- [47](#) Mickey Rooney (1920–2014) – aktor amerykański, żonaty osiem razy.
- [48](#) *La boata? Qué es esto?* (hiszp.) – Ta łódź? Co to jest?
- [49](#) *Los putos del Fidel* (hiszp.) – Fiuty Fidela.
- [50](#) *Hombres* (hiszp.) – mężczyźni.
- [51](#) *Muchachos* (hiszp.) – chłopcy.
- [52](#) *Qué? No se. Negrito muy feo* (hiszp.) – Co? Nie wiem. Murzyn bardzo zły.
- [53](#) *Gringo muy bueno* (hiszp.) – Gringo bardzo dobry.
- [54](#) *C'est la guerre* (fr.) – to jest wojna.
- [55](#) *Il est plus que dinky dau, il est carrément fou* (fr.) – On jest gorszy niż dikny dau, on jest naprawdę szalony.
- [56](#) *Cochon* (fr.) – świnia.
- [57](#) *Pas mal, mais je m'en fous* (fr.) – Nieźle, ale mam tego dość.
- [58](#) George Wallace, Ross Barnett, Orval Faubus – gubernatorzy południowych stanów (Alabama, Missisipi, Arkansas), którzy mimo ustawowego zniesienia segregacji usiłowali zachować ją w szkołach w swojej jurysdykcji.
- [59](#) *Comme ci comme ça* (fr.) – tak sobie.
- [60](#) *Moi* (fr.) – ja.
- [61](#) Council of Federated Organizations (COFO) – struktura zrzeszająca różne organizacje ruchu praw obywatelskich w Missisipi.
- [62](#) *Le fils de Pete* (fr.) – syn Pete'a.
- [63](#) *Grand et fou* (fr.) – wielki i szalony.
- [64](#) *On va tuer le cochon. Le cochon va mourir* (fr.) – Zabijemy tę świnie. Ta świnia zginie.